
MIEJSKA BIBLIOTEKA PVBLICZNA W ŁODZI
EX LIBRIS

Szalkewich

Jac Szalkewich

Jac Szalkewich

Jac Szalkewich

WYBÓR PISM
IGNACEGO CHODŹKI.



Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

Kochanowski.

Drukarnia Józefa Zawadzkiego w Wilnie. Zamkowy zaułek № 8.

DOMEK
MOJEGO DZIADKA.

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy z daleka,
Ten sam kamień dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś, jak dziecko, igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trumnie,
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
Księże! kamień bez sądu rzuć prosto do piekła.

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia wchodząc po długiem oddaleniu do domku, w którym dni swe dziecinne i młode przepędzał? czyjeż oko nie zalało się łzą miłego rozrzewnienia, na wspomnienie osób, których w tych samych już nie ogląda izbach, a które go tu niegdyś z pieszczotą tuliły do serca! Komuż nie będzie słodsza jagoda w jesieni życia zerwana z tegoż samego krzaku, z którego gdy był dzieckiem, piastunka lub stary dziadulek go karmili. Któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem, choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych, a obecnych sercu i pamięci? Jakże mu drogim i szanownym będzie ten pomnik błogiej przeszłości! z jakąż rozkoszą rozmawiać z nim będzie, i uczyć się na nowo tego wszystkiego, na co dziecinnem kiedyś spoglądał okiem!

Przybywam do domku mojego dziada:

„wszystko tak jak było,
„Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Taż sama mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami, i też od niego w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa; a co najbardziej, tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć, razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu, lub zwróceni pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy, my, za jego długie życie, on, za naszą szczęśliwość, gorące modły. Zły człowiek, który tu był zamieszkał, ogałacając ze wszystkiego tę ubogą chatę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał głazu, i te jedyne przy ciemnych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.

Przed laty kilkudziesięciu mieszkał tu pan Maciej Widmont, skarbnik od pradziadów, dziadek mój, prawdziwy *szlachcic na za-*

grodzie. Patryarchalne cnoty jego i proste obyczaje, tem ciekawszy złożyć mogą obraz, że pomiędzy wielu opisów zbytków i wspaniałości naddziadów naszych, przedstawień ich cnót publicznych i obywatelskich, ich niespokojnych rozruchów; pomiędzy obrazami wad klasy wyższej i średniej, chcącej zawsze naśladować wyższą, a do naśladowania zbytek bardziej i nałogi, niżeli dobre wybierającej przymioty, — nie mamy prawie pierworysów wygasłego już pokolenia owej niższej i uboższej szlachty, w której skromnych zagrodach przechowywały się śród powszechnego częstokroć zepsucia, jakoby w utajonym schowie, bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczerość, chrześcijańska gorliwa pobożność i czystość sumienia. Przechowywał się także zapas przesądów, co wieczór w cichym powtarzanych gwarze, łączących familijnem, że tak powiem, ogniwem, gminne urojenia i powieści z domowemi bajkami, a tworzących niejako religijną ich poezyą.

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi składały dziedzictwo mojego dziada; z tem szczupłem mieniem był on szczęśliwy i uszczęśliwiał! Jakiż to los do zazdrości!

Pszczółka, klaczka i pszenica,
Wyprowadza z nędzy szlachcica.

powtarzał często pan Widmont i szedł w gospodarstwie za tem staroświeckiem przysłowiem. To też dwa ogródki jego gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczółek; na gumnisku zawsze kilkoro pięknych hasało źrebiąt, i corocznie wielka część pola jego, złotym pszenicy okrywała się kłosem: a obfitość i dostatek gospodarski napełniał mu stodoły, spiżarnie i spichrze.

Mój dziadek nie był nigdy bez zapasu pieniążków. O! dobrze pamiętam ów kuferek szczelnie okuty, w ciemnym kątku garderóbki alkowy stojący. Z niego to dostawały mi się często talary i złotówki, a zawsze ze zwyczajną przestrogą, którą mnie wnukowi za naukę, a sam sobie za refleksyę przeciw zbytecznej hojności, przy każdem otwarciu kuferka powtarzał:

Pamiętaj rozchodzie,
Żyj z przychodem w zgodzie."

Domek ten, w którym teraz żywot dawnego dziedzica jego rozpamiętywam, chędogi natenczas, wesoły i ludny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby, pokojami honorowie zwane, alkówkę z garderóbką i bokówkę z *alkierzykiem*. Bokówka ta z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zydlem koło pieca i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szczurów, była miejscem najwalniejszych spraw domowych. Tu panowie i słudzy zgromadzali się przededniem na różaniec, wieczorem na godzinki; tu przy kawie rano, snów tłómaczenie, i tu wieczorem przy kominie o upiorach i strachach gwary, którym mój dziadulo lubo zdawał się nie wierzyć i wszystkim niewiarę wmawiał, jednakże sam nową często przydając powieść, nauczając dawnego i doświadczonego sposobu odpędzania czarów, lub od-

krywania zaklętych skarbów, niechcący z własnem wydawał się przekonaniem, a kończył zawsze na tem: *dziatki! dziatki! bez woli Boga nic się nie stanie!* Tu furczały wiecznie dwa kołowrótki, głusząc zwadkę dwóch świegotliwycn prządek, zasłużonych pokojówek jejmości; tu nakoniec w niedziele i święta uroczyste, panna Helena, córka nieboszczyka ekonoma, do familijnej przyswojona gromady, siedząc przy piecu na zedelku ze spuszczonemi skromnie oczkami, cieniutko śpiewała światowe pieśni: „*chciało się Zosi jagódek*" lub pod dobry humor jegomości: „*Kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami.*" Rzadko jednak goście wstęp mieli do bokówki, dla nich dwa paradne były pokoje; w pierwszym z nich wielki obraz Bogarodzicy buntem błyszczących ozdobiony bisiorów, i co niedziela w świeże bukiety siarczystych goździków ustrojony, główną zajmował ścianę; pod nim bogaty relikwiarz misternej roboty, i dzwoneczek loretański odpędzający chmury, pioruny i nawałnice; kredens i inne sprzęty proste, dogadzały tu koniecznej tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi na zbytek zakrawał! Tu kanapki dywanikami zasłane, tu staroświeckie w kwiaty malowane obicia okrywały ściany, tu stolików parę niegdyś także malowanych, na jednym warcabnica, na drugim talia kart polskich dobrze ogranych i filiżanka z garścią bobu na marki; tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego maryasza, i świątecznego ćwika. Z jakimże zadowoleniem grano gdy płatka dwóch złotych dochodziła!... Mój dziadulek wyświeca tuza; brać czy nie brać? okrzyk powszechny brać! brać! dodaje serca.—Ale płatka, odzywa się ksiądz pleban, chcący w duchu aby gracz stchórzył, a tuz z kolei do niego przeszedł. Mój dziadulek wróży w palce: raz, dwa, trzy; biorę, rzekł nakoniec z energią godną podziwienia, biorę! Rozwija się powoli karta; oczekują wszyscy, ciche „*remis*" szepcze się już około stolika.—*Lepszy pan Bóg jak pan Rymsza!* zawoła nagle dziadunio,—kto pomaga? kto pomaga? kto do azardu? powtarza śmiało: nikt! nikt! ksiądz proboszcz powróżył także w palce, spójrzał ukosem w kartę źle strzeżoną gracza, aż tu obok *tuza* król w sekundach. A więc nikt nie pomaga? nikt nie bierze? nikt, po raz ostatni zawołał dziadunio, nikt! i pełny spodek groszaków wywrócił tryumfalnie przed siebie. Ileż to przyjaciół w szczęściu! każdy winszuje, każdy się przechwala że koniecznie tuza brać życzył, wszyscy przyznają, że pan skarbnik wybornie gra w ćwika! a jam skakał z radości.

O ileż to razy ze szkolnej uwolniony mozoły, jechałem na uroczyste święta? Błogi wieku dziecinny! jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba! jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaja rozkoszą niewinne serce, jak żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całem dziecinnem jestestwem! Student z Borun, z jakiemże uniesieniem postrzegałem zdaleka gaik i dach domku, w którym piękną Wielkanoc przepędzić miałem. Wielkanoc, święto najweselsze! Święto wiosny! Święto odżywiającej się natury! Święto odkupienia i powszechnej radości!

Ostatnie resztki sutej pańskiej wieczerzy, ostatni suchar i ostatni śledź w wieczór ostatniej soboty spożyty; i już z bokówki, jakby pierwociny jutrzejszych godów, mile zalatywały wonie, gdy huczne salwy artyleryi proboszcza, dawały hasło rezurekcyi. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy i my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa, bo kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkanocy, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał, powitany wesołem *Alleluja!* dzień zaświtał wśród nabożeństwa, dzień piękny wiosenny! Gromadnie i huczno wychodzono z kościoła. *Chrystos woskres! Chrystos woskres!* odzywa się na około; pozdrowienia te uroczyste mięszały się z wesołym gwarem pospólstwa, a rzeźwość, rozweselenie i radość jaśniały na wszystkich twarzach.

My także wracaliśmy do domu, przechodząc przez ulice z łubek; około każdej z nich, rodzina poczciwych chłopków w kupkę zebrana czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu w staroświeckiej na pasach kolasie, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla podobnegoż obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał! W pierwszym pokoju świeżą wysypanym jedlinką, długi stoł okryty najsmakowitszem święconem. Tu na środku baranek z czerwoną chorągiewką na grzbiecie, trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpierają go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonem jajem, zwyczajem wielkanocnym, dalej indyk utuczony, który sam jeden w całym domu, przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudopacholskich święconych stołów; przy niej, dla znieczulenia apetytu żarłoków, ćwierć cielęcia szeroką zalega misę. Cóż mówić o półgęskach, ozorach, zającach, cietrzewiach, zdolnych najgruntowniej stępiony obudzić apetyt. Na obu końcach stołu siadły szerokie, przysadziste, jakby tej spiżarni gospodynie, dwie okrutne baby; ach! bez nich, cóżby całe święcone znaczyło? na ich ogorzałych obliczach, jak na twarzy pijaka, gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czarniawa, lipka wysączona massa, upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory i wewnątrz i zewnątrz smacznemi były. Garnitur pierogów i placków rozmaitego kształtu i nazwy zapełniał przerwy między półmiskami a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów: widzenia, smaku i powonienia nęciło.

Oczekiwano księdza proboszcza, a tym czasem każdy przygotowywał się do swojej roli; poglądano w okna, milczano, lub szeptano z cicha. Kotka tylko faworytka domowa, siedząc na kredensie figlarnie myła się łapką, i filonek tańczył w około stołu.

Przybywa nakoniec i ksiądz proboszcz; mój dziadunio przyjmuje go na ganku. Wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę z miednicą i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże, a ukończywszy obrządek, odwraca się z powagą do gospodarza i

wyborną prawi oracyę. przez połowę po łacinie i po polsku O! mój dziadunio był pełen erudycyi i jezuickiej jeszcze łaciny; wzajemną zatem wyciął perorę proboszczowi, w której i dzisiejsza solenność, i respekt dla jego pasterskiej godności, *acuminose* połączone były. Tu już następowały powinszowania, w których mniej dowcipu a więcej prawdziwej wylewało się czułości: syn i synowie, córki i zięciowie ze łzami w oczach, mało mówiąc, całowali rękę ojca swego i dobroczyńcy; nakoniec przychodziła kolej na wnuka.—Aj! serce mi się wyrywało z piersi! Występowałem więc, koło się rozszerzało, jam na środku, pan dyrektor trochę bliżej od nich, dla dodania serca, i w potrzebie wyrazu, jeżeliby pamięć lub energia mówcę zawiodła. Zaczynam.. o cudo! o mądrości nad wiek i nadzieje, zaczynam po francuzku, i bez zająknienia palę aż do końca. Już francuzczyzna w modę wchodzić zaczynała, i ja z gotową w szkołach ułożoną oracyą, przybywałem na święta. Niewiele jej wprawdzie rozumiał ksiądz profesor, co ją układał, nie rozumiał pan dyrektor, co mi ją repetował, nie rozumiałem ja, który ją perorowałem, i nierozumiał mój dziadulek, który jej słuchał, ale cieszyli się wszyscy: dziadulek i rodzice płakali z radości, jam płakał z dziecinnego rozrzewnienia, a każdy mię pieszczotą i buziakami osypał.

Traktował potem gospodarz wszystkich z kolei pokrajanem jajem i nie opuścił najmniejszego dziecka: a z uczuciem równie życzliwem podawał talerz swym dzieciom jak swym sługom i wiernej czeladce, która potem szła do piekarni i posilała się nie tak wytwornem, lecz równie obfitem święconem.—Dzień ten cały jakże nam mile schodził! dodawał dobrego humoru pan Huszczanowski, organista, dął on bez miłosierdzia na klarnecie, i skwarzącym się jak patelnia głosem wtórował pannie Helenie: „*Wesoły nam dziś dzień nastał*“ i t. d. O Boże! gdzież się to wszystko podziało? gdzież owa czysta i serdeczna wesołość, z którą codziennie i w pałacach i w nizkich szlacheckich chatkach spotkać się natenczas można było? gdzie ta obfitość powszedniego chleba, którym każdy gospodarz domu dzielił się chętnie z gościem lub z nieszczęśliwym? gdzie to liczne plemię rezydentów, poczciwych próżniaków, którzy, jak błędni rycerze, wlokąc się z miejsca na miejsce, trawili życie po cudzych, jakby we własnych, domach i dowodzili, jeżeli nie swojej ochoty do pracy, to gościnności i dobroci dziadów naszych! Niestety! gdzież się to wszystko podziało?

„ Czemuż z miłych rzeczy zgubą,
„Człowiek pamięci nie traci *).

Gdy teraz w wieczór, równie jak dawniej spokojny i miły, tegoż samego Wielkiejnocy święta, ja sierota usiądę na kamieniu, niemym świadku mego tu niegdyś szczęścia, i gdy uroczystą ciszę pięknej kwietniowej nocy, chrząszcz tylko z burczeniem prze-

---

Kropiński,—w piosnce. „Te brzoz kilka.“

ciągając kiedy niekiedy przerwie, nagle pieśń, *„Wesoły nam dziś dzień nastał“* rozlega się w oddaleniu: wieśniacy obchodząc w nocy po siołach, winszują sobie tą pieśnią doczekanego Święta *). Ileż natenczas pamiątek budzi się razem w mem sercu! jakże głos ten wzrusza je do głębi, i jakby echo grobowe, odbija się wewnątrz ze drżeniem!

Mój dziadunio miał także swoje wspomnienia, i opowiadać je lubił; lecz życie jego proste, ciche i spokojne, domowe tylko miało dlań pamiątki. Rok taki to, był urodzajny; w tamtym zima wymroziła mu drzewa i pszczoły; w innym roku były znaki na niebie a po nich wojna okropna; po wojnie głód w czasie którego swojemi zapasami wyżywił on swoich włościan, i sąsiadów nie skąpo wspierał: to znowu w owym czasie podejmował sejmiki, i gorliwie trzymał stronę pana marszałka swego sąsiada i przyjaciela; nakoniec, liczył jak z regestru dzieje festów, kaznodziei i plebanów swojego parafialnego kościoła, o kroków kilkaset z klasztorkiem drewnianym, niegdyś siedliskiem Jezuitów, a dziś miejscowego pasterza, położonego.

Szczególna to łaska Boga nad nami, moje dziecię, powiadał mi poczciwy dziad mój, że tak blizko mamy dom Boży! Co za wygoda, codzień bez pojazdów i zaprzęgów odbyć pobożną przechadzkę na mszę świętą.—Inne tu wprawdzie dawniej był porządek; inaczej wszystko i lepiej. Co to za nabożeństwa! jakie w święta parady! jakie festyny za ojców Jezuitów! tu jak tu! ale naprzykład w Żodziszkach, moje dziecię, gdziem ja do szkół chodził! daleko o tem i gadać!... Tu nagle mój dziadunio zamilkł, łza mu spadała po twarzy, obrócił się do krzyża, i wzniósłszy ręce do góry, westchnął głęboko i rzekł: *„Requiem aeternam dona ei domine!“* Cóż to dziaduniu? pytałem, po kim to płacze, po kim się modli dziadunio?—Ach! moje dziecię, nie mogę spójrzeć na tę ubogą dziś plebaniję, nie mogę wspomnieć moich szkolnych czasów, abym razem nie przypomniał, nie westchnął do Boga za duszę mego najmilszego przyjaciela. W tej oto tam na prawo celce już teraz pustej, mieszkał on niegdyś, święty prawdziwie człowiek ksiądz Obłoczymski kapłan *Societatis* Jezu! Był on moim profesorem retoryki w Żodziszkach. Otóż moje dziecię, skończywszy szkoły i mając już lat trzydzieści, objąłem tę po rodzicach chudobę, ożeniłem się i gospodarzyłem sobie spokojnie: aż w lat cztery czy pięć przybywa na rektora do tutejszego zgromadzenia tenże sam mój praeceptor i dobrodziej ksiądz Obłoczymski: Co to za radość dla mnie była, moje dziecię, gdy mnie on raz pierwszy odwiedził i pobłogosławił moją chatkę! może dla tego i odtąd Bóg w niej mieszka i nam sporzyć raczy. Codziennie potem widywaliśmy się z sobą! Święty! prawdziwie święty człowiek! największy exorcysta w całej Litwie. Sam nieraz bywałem świadkiem jak czartów z nawiedzanych wypędzał.—Ach! dziaduniu! krzycza-

*) Zwyczaj ten trwa zawsze.

łem wtenczas całując go w ręce, jak to było? jak to było? — Ot tak moje dziecię, zły duch (niech nas Bóg strzeże) często dawniej z dopuszczenia Bożego napadał na jaką babę, a czasami i na mężczyznę i opętał ich, to jest opanował zupełnie; wtenczas opętani, ale już to nie baba, lub mężczyzna, tylko szatan w babie, dziwnych rzeczy dokazywał, krzyczał, skakał, bluźnił, różnymi językami gadał, i po łacinie, i po niemiecku, i takim nawet językiem że go nikt nie rozumiał, a najbardziej księży nienawidził. Takich moje dziecię nawiedzonych o mil kilkadziesiąt tu do Kościeniewicz do księdza Obłoczymskiego przyważano. Oho! jak tylko po mszy świętej pokazał się on z kropidłem, stułą i agendką, zaraz djabeł go poznawał i wiedział co z nim będzie. Toć już zaczynał łajać świątobliwego kapłana,— a ty klechu! a ty taki! a ty owaki; czego chcesz odemnie? rzucał się w oczy, groził; ale to nic nie pomogło. Ks. Obłoczymski przystępował odważnie, kropił najpierwiej babę wodą święconą i związywał stułą, przy stosownych a gorliwych modlitwach; djabeł poznawał, że kusa rada; dalej więc do próśb, do lamentów i obietnic: a ojczeńku, a tatuleńku! a nie męcz mnie, a ja tobie pokażę gdzie skarby zakopane, a ja tobie powiem co z tobą będzie po śmierci, a ciebie nauczę gwiazdy liczyć!—Nie, nic nie chcę od ciebie, wołał Obłoczymski; wychodź! i znowu go zaklinał, i znowu kropił.— Aj! aj! aj! nie lej warem, wrzeszczał djabeł! Bo widzisz moje dziecię, woda święcona parzyła go jak ukrop. —Zaraz wyjdę, zaraz; ale gdzie mi się podzieć; pozwól księże wlazę ot tu niedaleko, w tłustego wieprza. Obejrzymy się wszyscy, aż to tłusty organista wlecze się przez cmentarz. Poznał Obłoczymski chytrość djabelską: — Nie, nie pozwalam! odpowiedział, nie pozwalam! idź tam zkądeś przyszedł i gdzie tobie Bóg naznaczył mieszkanie! Wychodź wnet!—Nie chcę ja do piekła księżulu, nie chcę! oto wiesz co? pozwól wlazę w zgniłą kłodę tam na drodze pod Kurczeńcem. Miarkował znowu Obłoczymski, że szatan myśli go oszukać—dziś niedziela, powiadał nam, dzień targowy, ani chybi, chłopek pijany leży na drodze, i zły duch chce tylko odmienić kwaterę.—Zgadłeś klechu! zgadłeś, krzyczał zniecierpliwiony szatan! No to wyjdę, ale daj mi czasu, wyjdę za rok, dam cyrograf na to. Obłoczymski na żadne termina nie zgadzał się, a coraz bardziej modlitwą, kropidłem i świętemi słowami djabłu dokuczał; to koniec końcem musiał czart ustępować i wyjść z nawiedzionego. A że bywały zdarzenia, iż szatan niby wyszedł, a tylko się przytaił, więc kapłan zaklinał aby dał znak swojego odejścia. — Dobrze księżulu, wyjdę przez palec, przez oko, widocznie: to się znaczyło, że na pożegnanie, skręciłby palec, lub oko biednemu nawiedzionemu by wyłupił.— Nie szatanie! wyjdź jakeś wszedł! *Conjuro te!* Łaciny najbardziej djabeł nie lubił, choć sam ją *expedite* umie. To już dalej nie dotrzymując placu, raptem zazgrzytał zębami, zawył i zakręcił wichrem na piasku; a biedny nawiedzeniec, co przed chwilą cudów dokazywał, leżał jak nieżywy u nóg Obłoczymskiego. —

Wszyscy potem za promotorstwem tego świętego ojca odmawialiśmy litanję, dziękując Bogu za cud wyraźny i wyzwolenie duszy chrześcijańskiej z mocy czartowskiej.

Tak przeżyłem szczęśliwych lat z dziesiątek, mówił dalej mój dziadulek, siadając ze mną na owym ogromnym kamieniu, miejscu zwyczajnem odpoczynku i dogadzając żywej mej chęci słuchania, która wzajemnie jego chęci opowiadania dziejów dawniejszych, chęci tak zwyczajnej starcom, dogadzała; gdy razu pewnego ze stron dalekich przywieziono opętańca, o którym powiadano, że był szlacheckiej kondycyi, że nawet niedawno odprawił pielgrzymkę do Rzymu, co tem większą nabawiło nas ciekawością, i ksiądz Obłoczymski tem świątobliwiej przygotowywał się do tej praktyki. Ależ to w nim musiał być niechybnie sam Lucyper! Rzecz tylko dziwna, jak się dostał do tak bogobojnego człowieka? Jakiż uparty! jakiż bluźnierca! zimny pot lał się z czoła biednemu kapłanowi. Po trzykroć czynił najsilniejsze zaklęcia, wszystkich nas obecnych wzywał abyśmy się modlili, co też i czyniliśmy bez ustanku; organistę jako nałogowego opilca, a zatem będącego w grzechu śmiertelnym precz odprawił, słowem, pracował jak mógł najgorliwiej i nakoniec uchodził szatana — Jezuito! krzyknął bies wściekły! Jezuito! wychodzę, wypędzasz mię, wypychasz gwałtem! ale pamiętaj Jezuito! że wkrótce ciebie i twoich braci z waszych klasztorów, z waszych majątków, z waszych dostatków wypędzą: z waszych kościołów wypchną, z waszych sukienek wywleką! pamiętaj na moje słowa! pamiętaj Jezuito! Wtem kichnął opętany, aż mu się krew nosem rzuciła i padł jak bez duszy.—Zgiń, przepadnij do piekła szatanie! krzyknął ks. Obłoczymski, a z tobą razem niech przepadną fałszywe twoje proroctwa! Amen! zawołaliśmy wszyscy, i zwyczajną wnet zaczęliśmy litaniją.

Niestety! czart wiedział co wyrzekł. Ledwo lat dwa potem upłynęło, gdy raz do izby gdziem różaniec z czeladką odprawiał, wszedł do dnia ksiądz Obłoczymski. Zdziwiły mię tak ranne jego odwiedziny: *Laudatur Jezus Chrystus! In saecula saeculorum!* odpowiedziałem! — A, nie przeszkadzam, owszem pomogę, proszę kontynuować różaniec; więc tak i zrobiliśmy. Po ukończeniu, zapytał mię ks. Obłoczymski, czy pamiętasz waszeć panie Macieju, tak mię bowiem w prostocie serca i poufałości przyjacielskiej nazywał, czy pamiętasz waszeć co powiedział ostatnim razem szatan gdym go z nawiedzeńca wypędzał? czy pamiętasz co prorokował naszemu zakonowi?—przypominam rzekłem. — Otóż sie i ziściło. Niema już Jezuitów!—Jak to? zawołałem *Reverendissime*? Nie rozumiem co mówisz! - To się ma znaczyć, że Klemens XIV skasował nasz zakon; bullę jego dziekan wczoraj wieczorem przywiózł do naszego klasztoru, dziś nam ją *ex officio* ogłosi: kościołek nasz i klasztor przyjmie w swoje zawiadywanie a nam rozejść się dozwoli. Przychodzę więc do waszeci panie Macieju, prosić małego kątka dla mojej starej głowy, i kawałka chleba. Będę ci pomagał w twojej gospodarce, będę twoich dzieci i twoich chłop-

ków uczył Boga chwalić, i będę jego łaski w codziennych modlitwach dla was prosił.—Ojcze! rzekłem płacząc i całując, jak zwyczajnie to czyniłem, jego ręce, ojcze! każdym kęsem, każdą odrobiną chleba mojego podzielę się ochotnie z tobą: mieszkaj z nami! żyj z nami! Bóg błogosławić będzie ubogiej chatce mojej, gdy święty sługa jego w niej przemieszkiwać będzie! Płakaliśmy obadwaj; uściskał mię ksiądz Obłoczymski! — Tak Bóg chciał, rzekł: tego widać wymaga dobro naszej religii świętej: oby wszyscy bracia moi z równąż co ja, ten cios znieśli cierpliwością! Spodziewałem się, że waszeć mię przyjmiesz chętnem sercem; ot przynajmniej będę mógł codzień odprawić mszę w kościele, w którym przez tyle lat Boga chwaliłem; i pocieszać się z waszecią panie Macieju, którego jak brata kocham Uścisnęliśmy się raz jeszcze i poszedłem z moim gościem do klasztoru.

Do ostatniej tam chwili, jednostajny chowano porządek, i jednostajnie dotrzymywano reguły. W zwyczajnych godzinach codziennie odbywało się nabożeństwo; na twarzach kapłanów najmniejszego nie dostrzegłbyś znaku szczególnego wzruszenia, lub wewnętrznego niepokoju; w podwójnej tylko widocznie gorliwości w modlitwach, świadomi rzeczy, widzieliśmy wyraźny dowód głębokiego smutku uciekającego się do Boga i szukającego ulgi w zupełnej uległości jego świętym wyrokom.

Fatalna ta nowina rozbiegła się już po sąsiednich wioskach, i w samem tu miasteczku: tłum więc ciekawego ludu, choć w dniu powszednim napełnił kościół. Po ukończeniu nabożeństwa, stanął ksiądz dziekan *pontificaliter* ubrany na stopniach wielkiego ołtarza, i zgromadziwszy około siebie księży, odczytał bullę papieską, kasującą zakon *Societatis Jesu*, to jest Jezuitów *). Wnet po ukończeniu ksiądz Obłoczymski jako najstarszy wiekiem i rektor tutejszego zgromadzenia, *ex abrupto* począł mówić oracyę pożegnalną. Obowiązywał on braci swoich do zniesienia bez szemrania woli Bożej, objawiającej się wyrokiem głowy chrześcijańskiego kościoła; zaklinał aby przestając być zakonnikami, pamiętali że są kapłanami, i nie przestają nosić na sobie piętna sług świętej Chrystusowej religii, a zatem że obowiązani są zawsze do dawania przykładów wszelkich cnót chrześcijańskich, a teraz szczególniej cierpliwości i pokory; żegnał potem nas, jako pasterz trzodę, którą opuszcza. Płakał lud zgromadzony, płakali kapłani i my wszyscy; ksiądz dziekan nawet od łez wstrzymać się nie mógł. Nakoniec ksiądz Obłoczymski padł na kolana przed ołtarzem i wszyscy za nim bracia jego; przez chwilę tak cicho w głębokiem zebraniu ducha pomodliwszy się powstał, zaintonował *Te Deum laudamus*, wziął krzyż w ręce, wyszedł z kościoła na czele wszystkich kapłanów, zamknął drzwi kościelne, i klucze w ręce dziekana złożył. Rozeszli się księża w rozmaite strony, to do rodzin swoich, to do Wilna, to na kapelanów. Mój ksiądz Obłoczymski, wziąwszy

---

*) Z miejscowego podania.

krucyfix w ręce a brewiarz pod pachę: *omnia mea mecum porto*, panie Macieju, rzekł do mnie, i poszliśmy tutaj.

Odtąd aż do śmierci, składał on z nami jedną rodzinę: szanowaliśmy go jak ojca, on kochał nas jak dzieci. Oto między kilku temi sosenkami grób jego; wybrał on sam i poświęcił ten gaik na cmentarz dla chłopków naszych, i sobie na nim miejsce przeznaczył. Niech w Bogu spoczywa! *Requiem aeternam dona ei Domine*; wkrótce obok niego i mnie złożycie: złożycie obok przyjaciela, wśród poddanych i sług moich.—Ale co mówię? źle nazywam, wśród braci i dobrodziejów naszych, bo moje dziecię, kto nam chleb robi i dla nas w pocie czoła pracuje to nasz brat, to nasz prawdziwy dobrodziej.

Te i tym podobne rozmowy, wlewały w duszę moją najżywsze przywiązanie do kochanego dziadka: jego wiara, wspomnienia, przesądy, cnoty i zwyczaje, razem zlane utworzyły we mnie zapas uczuć i wyobrażeń, do których przylgnęło młodzieńcze serce moje, i które po wielu latach odrętwienia z głuchym żalem budzą się w niem na nowo! Ubiegłszy znaczniejszą część drogi życia, lubimy u kresu jego zwrócić pożegnalne spójrzenia na przeszłość naszą; i dumając nad każdym osobliwszym tej drogi wypadkiem, spocząć nakoniec ostatniem wytchnieniem pod strzechą rodzinnego gniazda. Rzekłbyś że dusza nasza przygotowywa się tym sposobem i pragnie z tegoż samego siedliska ulecieć w nowy, nieprzebyty szlak wieczności, na który, z łona jej spadła, i tym sposobem połączyć w jednym punkcie, pierwsze z ostatniem ogniwo łańcucha żywota naszego.

Z takiem to uczuciem poglądam ja na domek dziada mojego, i powtarzam z rozrzewnieniem słowa warmijskiego wieszcza:

«Domku mój miły! widok twój mię krzepi,
«Wszędzie mi dobrze a w tobie najlepiej.»



BORUNY.

Poświęcone A. E. Odyńcowi.

Dalekich dzwonów dźwięk mię dolata
Kraj przypomina obraz Litwy,
Wspominam moje dziecinne lata.
Mówię dziecinne moje modlitwy!
Odyniec. *Dumanie we Włoszech.*

I.

Pod opieką słynącej cudami Matki Boskiej w Borunach, wzrastało i uczyło się w szkołach kilkaset corocznie dzieci. Rodzice z dalszych i bliskich okolic Oszmiany, przywiózłszy tu i zostawując swych synów, prowadzili ich przed ołtarz Bogarodzicy, ze łzami błagali Jej łaski, zlewali na ich dziecinne głowy czułe swe błogosławieństwo, i ze spokojniejszem sercem wracali potem do domu; nieraz z ostatniego za Borunami wzgórza, z którego krzyż już tylko kościoła dojrzeć można było, zapłakana matka wysiadła raz jeszcze z pojazdu i gorące modły przesyłała ku miejscu, gdzie najmilszą sobie istotę, gdzie duszę swej duszy zostawiła; gdy tymczasem żak, rozdzielony od mamuni, płakał stojąc na ulicy, i poglądał na drogę na której pojazd zniknął; na niej tym sposobem spotykały się wzajemnej ich tęsknoty westchnienia!!!

Zdarzyłoż się któremu z moich boruńskich kolegów być teraz w opustoszałych Borunach? O! niejednemu zapewnie. Lecz czyliż kiedykolwiek z równem mojemu uczuciem spoglądał tu na ślady swej młodości? czyliż z równym urokiem smętnego rozrzewnienia, upadł na kolana przed tym samym obrazem, przed którym niegdyś w ordynku klęczał? Czy rozmierzył duszą tę przestrzeń i różnicę czasu, i tę jeszcze większą różnicę młodzieńczego i starganego przygodami życia, serca? Czy uczynił głęboko wewnątrz siebie to politowanie nad sobą, którem człek oskarża życie przed dawcą życia, i w którem wzywa na siebie jego przychylnego wejrzenia, jak dziecko wzywa przybycia oddalonej a czuwającej nad niem matki.

Boruny leżą w lesistej części powiatu Oszmiańskiego:

«Gdzie niedźwiedź miał legowisko,
Lub gdzie łoś swe pastwisko,
Tam grzesznik pokarmem żyje
Niebieskim; etc.

powiada stara pieśń na cześć cudownego Boruńskiego obrazu ułożona. Puszcza to więc była zapewne głucha natenczas, gdy po-

korni zakonnicy S. Bazylego, obrali tu sobie odludne siedlisko. Wspaniała potem świątynia i obszerny klasztor wzniósł się na tem miejscu słynącem już szczególniejszemi łaskami Matki Boskiej; a nakoniec pustynia ta ożywiła się zbiorem dziatwy wyśpiewującej co niedziela historyę i chwałę miejsca tego.

Z wyobraźnią mocno wzruszoną, z rozrzewnionem sercem, wyszedłem na rynek boruński z kościoła, do którego się prosto z powozu udałem. Mrok właśnie padał pięknego letniego wieczora, i zdawało się mi, że się zaraz wysypie ze wszystkich domków otaczających rynek, mnóstwo wesołych malców; że się rozlegną huczne ich hałasy; że echa odbiją zaraz taktowe uderzenia piłki o wieże i mury otaczające kościół; że się zwolna wysuną z klasztoru księża profesorowie, a nawet i sam ksiądz prefekt dobrodziej; że przypatrując się czas niejakiś z upodobaniem temu powszechnemu zamięszaniu, temu żywemu obrazowi wesołości, młodsi szczególniej z nich i żwawsi, nie dotrwają nakoniec, jako i nie dotrwali w powadze swego urzędu i stanu, a złączą się w równość braterską i podzielą z całego serca rzeźwe i niewinne studenckie swawole! — Ileż to razy bowiem ksiądz fizyk naprzykład, albo ksiądz wymowy, zawinąwszy habit około butów, biegł jak łoś do mety, albo przylepiał szeroką swą łapę do muru na cel koźlistej piłce, lub z pałką na ramieniu zamiast karabina, musztrował rotę wybranych, i równie jak on uzbrojonych rycerzy!!!

Ale oczekiwania moje, omamieniem wzbudzone, nie wywołały mi tu przeszłej ani odmieniły teraźniejszej rzeczywistości. Domki w pół porozwalane nie roiły się dziatwą; po cmentarzu przesuwał się mnich ponury; po ulicach przewlekła się obdarta hołota; na rynku tylko pod kaplicą siedziała baba w łachmanach, i wśród głuchego milczenia, mruczała modlitwę wieczorną, przypadającą szczególnie do tego obrazu nędzy i żałoby. Miałażby to być półtora-wieczna Raducina, pomyślałem, niegdyś postrach i zabawa studentów? Nie zapewne! ale zajmując tu zwyczajne i ulubione jej miejsce, postać, rysy i czyny Raduciny dawnej, rzuciła mi na wyobraźnię.

Była to prawdziwa *Megmeryllis* boruńska: baba stara ale czerstwa i wysoka, często półpijana, często półwaryatka. Kiedy szeroko rozpuściwszy łachmany, szła z podniesioną głową przez rynek, czarnym wywijając ożogiem, i chrapowatym głosem wyśpiewując jakąś nienabożną piosnkę, uciekała dziatwa z drogi, krzycząc, czarownica! czarownica Raducina!! Ale kiedy spokojnie i smutno siedząc wieczorem na swym pod kaplicą kamieniu, przywabiła którego ze śmielszych swych faworytów, i ciekawe mu zaczęła prawić historye, o upiorze, który oto tu z tego samego sklepu z pod kościoła co noc wyłaził, i szedł prosto na mogilnik, a potem znowu wracał do sklepu, jak mu potem głowę ucięli, i już potem nie chodził; jak leciała szarańcza aż słońca widać nie było, a na skrzydełkach u każdej po żydowsku napisano było, że to kara Boska; jak było powietrze i wszyscy poumierali; jak potem

ten kościół murowali i Raducina cegiełki podawała, a mularz jeden zleciał z dachu, ale cudem Matki Boruńskiej powstał z ziemi żywy i zdrowiuteńki; a jak to wszystko było, zawsze lat sto... Gdy tak opowiadała, to wnet gromadziło się coraz liczniejsze kółko słuchaczów, zapominano Raduciny czarownicy, a biednej staruszce Raducinie w czarne torby i kieszenie, miedziaki, pierogi i obwarzanki pakowano. — „Dziękuję wam Jasiu! Antosiu! Leonardku! dziękuję wam, mówiła ona, dajcie łapki, powróżę wam za to. Wnet kilkanaście rąk wysuwało się naprzód: niespokojna ciekawość malowała się na czerwonych policzkach malców. Raducina brała każdą z kolei rękę, a patrząc w oczy ze złośliwym uśmiechem, improwizowała proroctwa: „Ty będziesz!!! O! tobie będzie dobrze na świecie! ty będziesz ekonomem." Baba wiedziała że to pan marszałkowicz.—Antoś ekonom! Antoś ekonom, krzyknęła cała czereda, i pan marszałkowicz spuścił nos na kwintę: „A ty! ty choć sobie teraz chudy pachołek, szlachtura z Polennik, ty będziesz.. jenerał"—Leoś jenerał: wiwat Leoś jenerał! ozwał się znowu skaczący chór figurantów tej sceny. — A ja? a ja? wołają wszyscy razem, tłoczą się jeden przed drugim i gwałtem naprzód wyciskają dłonie. „Ty! ty będziesz wotywę śpiewał, *Oremus*."—O reverendissime Jasiu! reverendissime! winszujemy, brawo! *Oremus*, Oremus! i Jaś nie wiedział czy cieszyć się czy płakać nad swem przeznaczeniem! „A ty paniczu! tobie w sobotę pieniek, a w niedzielę pierogi!" Raducina niedawno wróciła z wędrówki okolicznej; wszędzie po domach rodziców przyjmowano ochoczo i uprzejmie babę boruńską, wiedziała więc zapowiedzianą w niedzielę bytność mamuni Tadeuszka, i wiedziała że Tadeuszek, naczelny wisus, pewnie nie ujdzie sobotniego rozrachunku. — Nagle wstaje baba, prostuje się okropnie i ryknie chrapliwie:

«Pewny sobie bogaty,
«W złoto, srebro, szarłaty,
«I zbyt kosztowne szaty,
«Miał aksamit, purpury,
«A na mnie łaty, dziury!» *)

Postać, mina, głos i ożog na którym się wsparła powraca Raducinę czarownicę; spłoszona zgraja rozbiega się w mgnieniu oka, i nie jeden zuch przelękniony zasnąć nie mógł, słysząc jak ponuro i z cicha do północy jeszcze dzieje Łazarza z pod kaplicy, jak z grobu wyciągała.

Zgasły dnia blaski, niebo gwiazdami się osypało, noc piękna i cicha nowego dumaniom moim dodawała powabu, w każde miejsce, każdy krok mój, złote chwile dzieciństwa odnawiały mi w pamięci. Tędy, przez gumniska i płoty stawał co zima groźny z lodu okop; ileż kłębów śniegu wytaczać trzeba było, aby go wznieść i umocnić należycie! Przed nim na straży, jak przed zaklętym pałacem Amadisa, stał potężny olbrzym; głową sfinxa, z

---

*) Pieśń o Świętym Łazarzu.

dwóch czarnych węgli źrenica, tułow Bachusa, a nogi, rodyjskiego kolosu; w ręku trzyma wzniesioną maczugę Herkulesa, i biada temu kto się jej dotknie! Co wieczór, gdy odwilżone powietrze łatwiej dozwalalo lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmy wytrzymać musiał. Rynek i ulica Mińska atakuje ulicę Wileńską; z jednej strony dowodzi pan Leon, świeżo przez Raducinę mianowany jenerał; z drugiej pan Justyn, podżyły infimista, trzecioletni weteran klasy I-szej, niemocny wprawdzie na dowodach, że „różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową,“ ależ za to biegły gracz w matony, pierwszy rycerz na ślizgawce i wódz w śnieżki najdzielniejszy.

«Wysuwa się ochotnik z tej i z owej strony
Z raza na udry, potem na plutony» *).

Grad śnieżek krzyżuje się w powietrzu, i lubo zmrok wieczorny zacienia walkę, zapalczywość jednak. hałas, krzyk i zamieszanie powszechne coraz wzrasta „Postrzega pan Stefan, że sprawa po djable **), że pan Leon grasuje po jego rotach, jak kawalerzysta po rozbitej piechocie, że większa część jego komendy w śniegu się tarza, daje więc hasło odwrotu! Za okopy mości panowie! za okopy! krzyknął: któż wie? może niebezpiecznego nieprzyjaciela na zasadzkę prowadzi?. . . Ale w tym momencie błyska od klasztoru światełko, znajoma to latarka ! ! ! Ksiądz prefekt! ksiądz prefekt! Przestroga ta oblatuje obie strony: przerwana bitwa; światełko się posuwa!. . . wnet ostatni a obfity grad lodówek leci z obu stron na ten cel jaśniejący zdaleka. . . i wszystko pierzchnęło ! ! ! a ksiądz prefekt z kilkakrotną kontuzyą i ze zbitą latarką, znajduje pustym plac pobojowiska. Następuje rewizya po kwaterach; próżne usiłowanie znalezienia winowajców! Siedzą wszędzie malcy spokojnie około stołów, a zatknąwszy uszy i zamrużywszy oczy, wrzeszczą na zabój:

„Byli tacy, byli tacy Aniołowie, Aniołowie, Aniołowie, którzy wojnę przeciw Bogu prowadzili“ i t. d. ***).

II.

Ostatni w Litwie pustelnik, żył przed dwudziestu laty pod Borunami. Zaledwo mnie, na liczbę kroków świadomemu odległości jego pustelni od miasteczka, udało się wynaleźć to miejsce. Bujne drzewa wzrosły na czystym niegdyś jego ogródku, pasorzytne zielska rozwlekły się po darninie szczupłego dziedzińca, a mały kopczyk z gruzów, oznaczał mogiłę zapadłej chatki. Księżyc łagodnym blaskiem oblewał ten maleńki krajobrazik, wśród którego ja wędrowiec daleki, za duszę przyjaciela mych dni dziecinnych, szczerą a prostę modlitwę „wieczne odpocznienie“ zmówiłem. Poczciwy

*) Amfitryon, tłumaczenie Zabłockiego.
**) Tamże.
***) Historya kościelna na klassę I-szą.

starzec! jakże on kochał dziatwę boruńską! Był on sędzią naszych spraw, a często poręcznikiem u pana dyrektora, lub u księdza prefekta; on przewodniczył w zbieraniu na zapas zimowy orzechów, jabłek i gruszek leśnych, których u siebie dla swych codziennych gości niewyczerpany miewał dostatek. To też gdy po rannem powitaniu wschodzącego słońca pieśnią: „zawitaj ranna jutrzenko“ którą echa do miasteczka donosiły, ojciec pustelnik pokazał się na ulicy, otaczała go dziatwa w około, a skacząc i witając radośnie przeprowadzała do kościoła na mszę studencką, na którą on nieodmiennie codzień przychodził. Na twarzy jego sędziwej, gęstą i siwą ozdobionej brodą, widziałbyś natenczas najprawdziwszy wyraz gorliwego uniesienia i głębokiej wiary, jaką prosta dusza jego pałała ku Bogu; łzy toczyły mu się po bladych licach, gdy klęczący z podniesionemi rękami łączył głos swój drżący z chorem dziatwy śpiewającej: *„Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami.“* Tak wznosiły się razem w niebiosa modły z obu ostatecznych kresów życia ludzkiego, nadziei życia i nadziei po życiu: modły dziecinnych błagań, uwielbienia i chwały, czyste, żywe, błyszczące, jakby brylanty na ozdobę korony Matki Boskiej na jej ołtarz sypane, i modlitwa żebrzącej pokory, skruchy, żalu, a może i pokuty, głęboka a ciężka jakby bryła głazu z trudem podjęta i na stopniu ołtarza w ofierze złożona.

Zresztą modły pokutne ojca Onufrego nie były zapewne gorzkiemi. Zgryzota sumienia nie wywlokła go z pośród ludzi na samotność, ani truła tej samotności; przeszłość jego powszednia, że tak powiem, nie szła po ostrych szczerbach życia, któregoby wypadki kończąc się pustelnictwem, mogły służyć za osnowę romantycznych powieści. Szlachcic, za młodu żołnierz, potem dworzanin jednego z magnatów litewskich, nakoniec gospodarz na małym własnym kawałku ziemi, ożenił się on i pędził, z przywiązaną do siebie żoną, życie spokojne, obyczajem prostej i poczciwej szlachty naszej, a obyczajniejszej polorem, w rozmaitych kondycyach, które przebył, nabytem. Pociecha podeszłego ich wieku, nadzieja starości, synek jedyny, wychował się im do lat siedmiu rzeźwo i zdrowo. Hasał on raz na koniku po polu, rodzice nań z wiśniowego ogródka z czułem uniesieniem patrzyli. „Tęgi chłopak! powiadał ojciec. — Kochane dziecko! mówiła matka: cóż z niego będzie? — Będzie poczciwy człowiek, Teresiu! oddamy go do szkół — A potem? — A potem jak się wszystkiego wyuczy powróci do nas. — A potem moje serce. — Potem, a moja duszko!... cóż potem? dworów niema teraz takich, w jakich ja za młodu sługiwałem: do wojska! .. — Jednego jego mamy, a któż naszą starość dochowa? — Więc potem, tak wypada moja duszko, ożenim go. — A potem? — Ha! potem, śmieszna jesteś moja Teresiu: potem będziemy wnuków kołychać, Antoś będzie gospodarzyć, pracować będzie na swoje dziatki i na swoich rodziców. — A potem moje serce, będziemy żenić naszych wnuków. — Oho! moja duszko,

tybyś chciała żenić aż do siódmego pokolenia! Nie moja Teresiu! potem będziemy starzy, ty będziesz wnuczkom lalki ubierać, a ja wnukom będę koniki strugał, i będziemy spokojni i będziemy szczęśliwi!— Tak, będziemy szczęśliwi! powtórzyła żona w upojeniu macierzyńskiego rozrzewnienia, będziemy szczęśliwi . . Wtem, ach! o Boże! krzyknęła nagle i padła bez duchu! Konik Antosia uląkł się jakiegoś krzaku śpiął się raptem, zrzucił jeźdzca i poleciał jak strzała. . . . Matka już więcej nic nie widziała, ale ojciec we mgnieniu oka przeskoczył płotek ogródka, i biegł co tchu za koniem, który ciągnął za sobą ukochanego Antosia, uwięzłego za nogę w strzemieniu; nakoniec koń ugrzązł w błotku, i nieszczęśliwy ojciec dopadł syna zbitego, krwią zlanego, i nie dającego znaku życia!!! Otóż nadzieje ludzkie! oto szczęście ludzkie!— Zazdrośny człowiekowi, niewidomy wróg rodzaju naszego, szatan, czatował zda się na ostatnie słowa cieszącej się matki, na jej najdroższe nadzieje! „Tak będziemy szczęśliwi,“ chwycił te słowa w swoje szpony, zgniótł je zajadle, zgruchotał i cisnął pod nogi. . . Niestety! już się one nigdy odtąd w tych samych ustach nie powtórzyły.

Przyniósł drżący i zapłakany ojciec ukochane swe dziecię do domu i złożył na łóżku, przyniesiono z ogródka żonę, ocuciła się wkrótce, a pierwsze jej słowa były: *Syn mój! mój Antoś!* Wbiegła do drugiej izby, gdzie schylony nad łóżkiem mąż jej tamował krew z ran Antosia i cucił go wszelkiemi sposobami: podjął on głowę na krzyk żony, stanęli oboje nad synem jak wryci, i spójrzeli na siebie wzajemnie!!! Ach! ten wzrok którego wyobrazić nie potrafię, ten wzrok rodziców nad trupem swojego dziecka! nie przedstawiaj go sobie czytelniku, jeżeli jesteś ojcem, abyś sobie wielu bezsennych nie przyczynił nocy. Wzrok ten przebił ich do głębi, wstrząsł całem ich jestestwem, dobył nakoniec łez krwawych z osłupiałej źrenicy, chatka rozległa się rykiem obojga rodziców i jękiem przywiązanej czeladki . . W lat kilkadziesiąt potem, ojciec Onufry opowiadający tę chwilę męczeńską swojego żywota, znieść jej obrazu nie mógł; przestawał mówić, ciężkie westchnienia tamowały mu oddech i krępowały język, i ledwo po długiej chwili osłupienia, łzy rozwiązywały mu usta i wolniej znowu oddychając, kończył opowiadanie.

Jednakowoż Antoś odżył, ale radość ztąd żywa rodziców, zmieniła się wkrótce na ciągły smutek, tak jak gwałtowne zbicie się ich syna na ciągłą mu przemieniło się chorobę. Uderzone niebezpiecznie w piersi schło dziecko i niszczało widocznie; próżno codziennie i doktorskich i domowych używano leków. Niekiedy błysnęła nadzieja: chłopiec na dni kilka polepszał się; natenczas orzeźwiało się i rodziców życie, więdniejące z nim razem; ale gdy rychło znowu wróciła mocniejsza choroba, wracał wnet razem coraz wzmagający się smutek. Niespokojna matka tuliła do łona ukochane swe dziecię, i koiła jak mogła jego cierpienia; niekiedy trzymając je na ręku padała przed obrazem Matki Boskiej, a łza-

ni i modlitwą boleść macierzyńską Maryi przy śmierci Syna na krzyżu przypominała; to znowu ojciec, biorąc chorego z rąk matki, nosił go, pieścił, całował, własne jakby mu zdrowie chcąc przelać. Chłopczyk zapominał natenczas o swojej chorobie, obejmował szyję ojca, kładł bladą główkę na jego ramieniu i cieszył go mówiąc: „Nie płacz ojcze! ja zdrów będę, mnie już lepiej.“ Ach! natenczas krajało się serce ojca, niemającego żadnej nadziei, a jednak zdawało mu się, że śmierć nie zdoła mu z rąk wydrzeć syna, i dla tego nosił go tak zwieszonego na swych piersiach jak najdłużej i z trudnością składał na łóżko, od którego ani na krok nie odstępowali oboje.—Nakoniec matka, życiem własnem do życia dziecka przylgnięta, bezustanną gorzką troską dręczona, bezsennemi nocami zmordowana, sama wpadła w chorobę, i obok syna zaległa łóżko.— Albo daj mi Boże wstać z nim razem, lub z nim razem umrzeć!— wołała niekiedy, i codzień słabiejąc los swój zgadywać się zdawała.

Wśród tak smutnego stanu rzeczy, pewnego wieczora chorzy w drugiej izbie leżący, usłyszeli w pierwszej: „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*“ i zaraz potem: „*Święty Justyn pozdrawia!*“— Kto tam? odezwała się słabym głosem gospodyni.— Podróżna, biedna uboga: chodzę po świętych miejscach, po cudownych, prosząc Boga za zdrowie moich dobrodziejów; wracam z Miadzioła od Ś. Justyna, a idę do Borun. *Kyrie elejson! Chryste elejson!* i t. d. Zwlekła się natychmiast chora z łóżka, i wszedłszy do pierwszej izby, ujrzała stojącą babę starą, w ubiorze zwyczajnym wędrujących dewotek. Półpłaszczyk gruby sukienny, czarny, dobrze wytarty, z pod niego długa koronka, na końcu której krzyżyk i kilka medalików mosiężnych; na piersiach duże szkaplerze, a z ramienia jakby znak widomy cechu żebrackiego, od którego ją ubiór odróżniać zdawał się, torba łatana wprawdzie, lecz dobrze pękata, i kij podróżny, jakiby przystał raczej silnemu zarobkowi, niżeli ubogiej i słabej niewieście; do tego kaptur na głowie trochę na bakier wciśnięty, spójrzenie śmiałe i ciekawe, a postać wysoka i prosta. Figura taka w końcu ciemnej izby stojąca, ponurym głosem mrucząc modlitwę, temże samem uczuciem trwogi i przerażenia napełniła chorą, jakiem nieraz w postaci czarownicy studentów boruńskich nabawiała. Była to bowiem znajoma nam Raducina, w podróżnym a uroczystym swym ubiorze, ze świątobliwych wracająca wędrówek, które corocznie w rozmaite strony, nie tak dla dewocyi jak raczej dla odwiedzenia znajomych dworów, zebrania zapasu nowinek na rok cały, i sowitej na odpustach jałmużny, odbywała.— Ach! moja babko, pomódl się za zdrowie mojego syna,— przemówiła ośmielona pani Onufrowa.— Dobrze dobrodziko: ale zdaje się że i dobrodzika nie bardzo zdrowa jesteś!— odpowiedziała Raducina.—Tak moja babko! ale mniejsza o mnie!— Pan Bóg z nami, dobrodziko, jak to mniejsza? pomodlę się i za matkę i za syna, a mam modlitewkę doświadczoną; tylko dobrodziko opowiedz mnie o chorobie, jak co jest? i

skąd licho się wzięło? Może kołtun, może czary, uroki?—Nie moja babko;— i tu opowiedziała gospodyni całą historyę przypadku Antosia, i nawet zaprowadziwszy babę do alkierza ukazała jej chorego.— Źle zrobiliście dobrodziko, że zaraz po przypadku nie ofiarowaliście synka do miejsc świętych: do Żyrowic, do Budy, do Borun. Oj! do Borun dobrodziko! do Borun! Nieraz widziałam sama, jak chory ledwo się tam przywlókł, a przecież za łaską i cudem naszej boruńskiej Opiekunki, wrócił zdrowiuteńki jak rybka! do Borun, dobrodziko, wieźcie synka!—Błysnęła nadzieja, chwytali się jej nieszczęśliwi rodzice. Po krótkiej więc naradzie postanowiono za przewodnictwem Raduciny odbyć pobożną peregrynacyę do Borun i od jutra wybrać się w podróż; a tym czasem utraktowano babę hojną wieczerzą i na świeżem sianie w odrynie, wygodną na noc wyznaczono gospodę.

Nazajutrz ledwie kur zapiał i zwiastował świtanie, pan Onufry już przyrządzał wóz podróżny. Wyszła i Raducina z odryny z koronką w ręku i przechadzając się po gumnisku, odmawiała różaniec, przerywając niekiedy modlitwy uwagami względem zapasów podróżnych tak dla chorych, jako i dla zdrowych nieodbicie potrzebnych. Wyniósł nakoniec parobek schorzałego Antosia, za którym wywlekła się i słaba matka jego; oboje umieścili się na wozie, parobek siadł za woźnicę, pan Onufry obok piechotą, a Raducina na przodzie prowadzić miała tę karawanę. Już wyruszali, gdy wysypała się wierna a poczciwa czeladka, ostąpiła powóz, całowali wszyscy ręce pani, panicza i pana, ze łzami polecali ich Bogu, i życzyli szczęśliwej drogi. Pan Onufry poruczając im swoją chudobę i domek, rozpłakał się także; Antoś żegnał zapłakaną rzewnie swą mamkę, a pies Rozbój pełzał i łasił się około nóg panów swoich, prosząc jakby pozwolenia na drogę. Raducina usiadła na ganku pod spichrzem, oparła ręce i brodę na kiju, i kiedy niekiedy kiwała smutnie głową. Jedźmy, rzekła nakoniec, więcej od wszystkich zalana łzami pani Onufrowa, bądźcie zdrowe dziatki! proście Boga, abyśmy do was wrócili. . . a jeśli nie wrócimy, módlcie się za naszą duszę!—Ruszyli więc.—Zatrzymajcie psa odezwał się pan Onufry. Ujęto Rozboja za szyję, ale łagodne zawsze psisko, na ten raz prawdziwym okazało się rozbojem; warknął zajadle, wyrwał się z rąk trzymającego chłopca, przeskoczył zamknięte wrota i złączył się z podróżnymi. Pan Onufry nie miał już serca odpędzić go, owszem pogładził łaskawie, a Rozbój podskoczył raźnie i pobiegł szczęśliwy naprzód. Był on potem jedynym towarzyszem i stróżem pana swojego na pustyni, a faworytem i pieszczochem całej szkoły boruńskiej. O ileż razy moją własną go ręką głaskałem! codzień prawie nawiedzał on swoich przyjaciół w miasteczku, zachodził nawiasem do księdza kanaparza w klasztorze, oddawał potem wizyty po kwaterach naszych, a jakby instynktem trafił zawsze tam, gdzie był świeży od mamuni transport. Położywszy natenczas pysk na kolanach malca, rozdzielającego kolegom wyborne przysmaki, cze-

Rozbój spokojnie swojej porcyi, i porcya jego nie była mniejszą.

Trzeciego dnia pod zachód słońca, idąc na przodzie Raducina, upadła na drodze na kolana; zdziwieni podróżni zbliżyli się do niej i spostrzegli krzyż kościoła boruńskiego, uczynili więc toż samo oboje rodzice Antosia. O! mogłyż być czyje kiedykolwiek gorliwsze modły, jak ojca i matki, błagających o zdrowie dla jedynego dziecka, i w głębokiej wierze oddawane jakby osobiście obecnej opiekunce nieszczęśliwych! Podnieśli i Antosia na wózku, i jemu modlić się kazali, ale z przerażeniem postrzegli rodzice zupełną słabość dziecka; nie miał siły zmówić pacierza, tylko konwulsyjnie chwycił za szyję ojca i matkę, i ostatnim wyrazem jedyne uczucia całego krótkiego swego życia i ostatniej swej chwili wymówił: Matko! Ojcze! jakże ja was kocham bardzo!!! jakże ja was kocham!... I odpadł na wózek. Śpiesznie ruszano ku miasteczku, w nadziei jakiegokolwiek ratunku, ale zanim doń dobiegli, Antosia już nie było.... Okropny był natenczas widok tego śmiertelnego wozu. Matka nie płakała; nie łez ale życia, jej ostatnie krople dosączały się nad trupem dziecka; ze zsiniałą twarzą i z osłupiałem okiem trzymała ona na kolanach bladą głowę zmarłego, obraniając starannie, aby się od wstrząśnienia wozu nie uderzyła. Nieszczęśliwa! była pewną, że syn jej nie żyje a piastowała go jeszcze!... Ojciec, któremu ten nagły i okropny cios ścisnął serce, usta, i powieki, padł pośród wozu pod nogi dziecka; nakoniec przerażona, i bezprzytomna Raducina, siedziała obok furmana. Widząc jej twarz bladą i zeschłą, włosy rozczochrane, postać wychudłą i dziką, widząc jak długie i suche ręce naprzód wyciągając nagliła konia do biegu, rzekłbyś, że to śmierć naładowawszy cały wóz swych ofiar, prze ich gwałtownie na mogiły.

Nazajutrz matkę złożono obok syna na katafalku, ojca na łóżku u księdza aptekarza któżby zniósł tyle razem nieszczęść!!!

Czas, starania i religijne pociechy, któremi poczciwi zakonnicy osładzali codziennie dolę nieszczęśliwego, wróciły zdrowie ciału i niejakie uspokojenie umysłowi jego; a może więcej niż to wszystko, ktoby się spodziewał, rozmowy częste z Raduciną, która codziennie prawie jakby wiadomości od żony i syna z tamtego świata, sny mu swoje o nich, lub *zdanie się* opowiadała, sprawiały na nim ten skutek.— Dobrodzieju! dziś widziałam przez sen imość nieboszczkę w ogrodzie i z Antosiem. Panie świeć nad ich duszyczkami! Oboje w bieli: ale jaki ogród, dobrodzieju! jak raj. Imość chodzi, a kwiatki zbiera i ubiera niemi panicza: podchodzę ja dobrodzieju, daje mnie kwiatek, a jakiż kwiatek? kluczyki; zanieś, powiada, memu mężowi; to ja i wzięłam kwiatek i... ocknęłam się. A cóż to znaczy? koniecznie dobrodzieju, że sama z synkiem w raju, i nam daje kluczyki od raju.— To znowu widziała matkę i syna klęczących przed ołtarzem Przeczystej boruńskiej, a zawsze w bieli, więc zawsze taki wniosek: „już to darmo dobrodzieju, taka wola Pana Boga, żyć dłużej nie mogli, ale oni

w opiece Matki Boskiej szczęśliwsi od nas, bo i w niebie i modlą się za jegomościa! W chorobach duszy, tak jak w chorobach ciała, często gdy sztuka wyczerpnie napróżno wszystkie mądre sposoby, proste lekarstwo ręką życzliwą podane, a z zaufaniem przyjęte, uleczy. Podobnież opowiadania Raduciny, tak zgodne z pojęciem i wyobrażeniami nieszczęśliwego ojca, ujęły proste i pełne wiary serce jego, i wzbudziły w nim pokorne poddanie się woli Boga, ale też razem przywiązały go do miejsca w którem cień od mogiły żony i syna padał mu codzień na serce, i w którem codzień duszą i modlitwą z nimi obcował. Pozbył się więc łatwo i rychło pan Onufry swojej chudoby, a gdy brak odpowiedniego usposobienia przeszkodą mu był do wzięcia zakonnego habitu, zajął więc od lat kilku opuszczoną małą pustelniczą pod Borunami chatkę, i odtąd pustynia, kościół i cmentarz składały krąg, po którym obiegało codzienne jego życie, i tąż samą koleją przeszły zwłoki jego raz ostatni na wieczny obok żony i syna spoczynek.

Dumania te moje, w opowiadanie dziś zamienione, nowem westchnieniem do Boga za duszę ojca Onufrego kończyły się, gdy echo uderzenia zegara na wieży boruńskiej, oznajmiło mi północ. Wróćmy, pomyślałem, do miasteczka, złożmy znużoną głowę w kątku, w którym się tak spokojnie niegdyś usypiało, wezwijmy świętej Opiekunki lat dziecinnych, aby usunęła z powieki troski dojrzałego wieku!... obym usnął snem słodkim, snem łagodnym, snem studenta umiejącego swą lekcyę na jutro! snem, w którym ostatnia myśl wesoła zlewa się z pierwszem miłem marzeniem!

III.

Marzyć o przeszłości, czerpać słodycz z przeszłego szczęścia, jest to brać procent od kapitału szczęścia złożonego w sercu własnem. Życie ludzkie ubiega między wspomnieniem a nadzieją. Wspomnienie idzie za człowiekiem, zmordowanemu podaje czarę słodkiego nektaru, orzeźwiającego w nim siłę i cierpliwość na dalszą drogę: na przodzie nadzieja, unosząc w ręku błyszczące widmo szczęścia, ulatuje przed człowiekiem, goni ją człowiek z całej siły, i gdy mu się zdaje, że ją dosięga, ona oddala się znowu jak cień fantastyczny, i człowiek goni ją znowu!... Tak się przybywa na granicę życia; tu nadzieja odrywa się od ziemi, przebywa nagle tę granicę, i staje niewzruszona w wieczności; idzie tam za nią człowiek, a ludziom zostawia... wspomnienie!

Jakże czystem i miłem było to, do którego cofnął mię ranek w Borunach! ranek to majowy, pogodny i cichy, lekkim tylko i wonnym chłodzony powiewem któż nie zgadnie, że mógł być rocznicą nie jednej majówki, najweselszej chwili studenckiego życia. Życie to w całym swoim okresie, nie jest wszakże najweselszem: praca nudna i przy uszona, posłuszeństwo bezwarunkowe, oddalenie się od najmilszych swoich, a zatem tęsknota i smu-

tek, kara często niezasłużona, wszystko to daje dziecku kosztować jakby pierwiastków goryczy życia dalszego! Ale jak w dniu wiosny najposępniejszym, jedno błyśniecie słonecznego promyka, rozpędza w mgnieniu oka chmury i rozwesela naturę, tak w wiośnie życia, jedna chwila szczęśliwa pogrąża w niepamięć całą dotkliwą przyszłość; orzeźwia, unosi, swawoli w dziecku, szaleje w młodzieńcu!... Ach! czemuż tak nie jest w jesieni roku? czemuż tak nie jest w jesieni życia!

Majówka więc. O! dzieje majówki od poprzedzającego ją wieczora zacząć należy.

Rozsypana młodzież na rynku swobodnie używa wieczora; piłka szybuje przez powietrze, ksiądz fizyk wyżej kościoła wybija ją w palanta. Walnyż to był nasz Reverendissimus fizyk! brat za brat z nami! On najlepiej wypuszczał długo-ogoniaste źmije, co dowodziło, jak sam powiadał, jego biegłości w mechanice; on wynalazł wielki sposób piłek koźlistych, radząc zwijać je na gummie elastyce; on nieraz wyprosił u księdza prefekta pardon dla rozbójnika, który z za płotu kamuszkiem, lub zimą kawałkiem lodu żydowi sińca na łbie posadził.—Nie wolno, powiadał, żydom mosanie, jako nieprzyjaciołom patronki tego S. miejsca, mieszkać w Borunach, po cóż więc włóczą się po ulicach! drażnią tylko mosanie dzieci i nic więcej! Nie bójcie się chłopcy, jeszcze będziemy żydów na kamieniu przed szkołami mosanie plażyć; daj pokój księże prefekcie, to wyborny malec, dobrze się uczy; won żydzie z klasztoru! bo sam cię mosanie kijem wyłatam.- I sprawa skończona: cóż takiej przeważnej wymowie oprzeć się mogło, i co bardziej ująć dlań serca pospolitej rzeczy? Otoż ksiądz fizyk odchodząc zmordowany całowieczorną przepędzanką, spójrzał na zachód, i jakby od niechcenia rzucił uwagę: jutro dzień piękny, wartoby dzieci o majówce pomyśleć. Ksiądz fizyk nigdy się w proroctwie nie myli; jutro dzień piękny, więc wnet wielka pod kościołem składa się rada, kilku z ichmość dyrektorów jej przewodniczy, i na niej jednomyślnością stanęło prosić o majówkę na jutro. Wyprawiona tuż w tropy za księdzem fizykiem do księdza prefekta delegacya, a wybrana ze śmielszych zuchów i mających łaskę u księdza prefekta, powraca w kwadrans z klasztoru. Krzyczą zdaleka posłowie: *Majówka! Majówka!* okrzyk się powtórzył na rynku: *Majówka!* na to hasło, pan Kazimierz, arcydobosz szkolny, wie co ma czynić; bieże do kościoła, porywa z chóru ogromny bęben, i waląc weń co ma siły, maszeruje po całem miasteczku, za nim biegnąc liczna tłuszcza głuszy huk bębna nieprzestannem wołaniem *Majówka!* gdy zaś zemdlały ręce panu Kazimierzowi, a krzykaczom zachrypło w gardle, rozbiegają się nakoniec wszyscy do domów, padają na pościel, i każdemu śni się majówka. Ledwo nazajutrz dzień zaświtał, leniwi w każdym innym czasie chłopcy na *primus* i na *secundus*, zrywają się ochoczo z pościeli: każdy skwapliwie pakuje zapasy podróżne: wtem pan Kazimierz daje hasło w taraban, a emeryt szósto-klasista,

otoczony liczną assystencyą, wynosi z kaplicy studenckiej szkolną chorągiew. Na niej z jednej strony wyobrażenie patronki szkolnej, Bogarodzicy, bogato na białym atłasie wyszyte, na drugiej zaś stronie kłosisty snop zboża, godło plonów z nauki: a jak tłómaczył ksiądz profesor wymowy, że snop ten oznaczać miał po łacinie: *„Disce puer latine, ego te faciam Mościpanie!“* a po polsku: *„ucz się ośle dobrze, to będziesz miał chleb!* Około tej chorągwi tłum dziatwy coraz liczniej się gromadził, rozmaite głosy i krzyki rozlegały się po całem miasteczku, a jednoczyły się i zlewały w jedno w tłumie. Scena to nadzwyczaj ruchawa i żywa; tu skaczą z radości, ztamtąd biegną bez pamięci, wyrzucając czapki w górę i łapiąc je na powietrzu, tam się czubią i godzą, a w powszechnym wrzasku słychać pisk strojonych klarynetów, brzęk fałszywego stroju skrzypiec, i pomrukiwanie jakby godzącej te spory poczciwej basetli. Otóż wychodzi z klasztoru sztab główny tej armii maroderów; ksiądz prefekt, naczelny wódz, i księża professorowie, otaczający go substytuci. Ogromnym palantem wywijając zręcznie ksiądz fizyk, jak niezważający na generała partyzant, uprzedził wszystkich, stanął w tłumie i głośno zawołał: „dokądże pójdziemy dzieci?—Do Giejstun, wołają jedni, do Olan drudzy, do Zahorza! krzyczą inni: Któż rozdzielone zdania zjednoczy? tenże sam ksiądz fizyk, który i sprzeczce dał powód. „Do Zahorza pójdziemy księże prefekcie!—Do Zahorza dzieci! już ja ręczę mospanie, że będzie tam dobrze!“ W tem nie czekając odpowiedzi, pchnął w kark chorążego: „Do Zahorza marsz, mosanie cymbale! marsz, krzyknął, marsz.“ Zabrzmiały klarynety, skrzypce i basetla, ruszyła chorągiew, a za nią hurmem wszyscy. Rozweselony ksiądz fizyk nie dał kończyć muzyce marsza, huknął z całej siły: *„Ozdobo twarzy pokrętne wąsy“* *) a wszyscy chórem za nim; klarnecista zmienił nótę i dał ile miał duchu, skrzypak opuścił smyczek, a przeszedł na dyszkanta, organista podpierając się basetlą jak kosturem piłował co mu się podobało! a echa okoliczne zabrzmiały pochwałą wąsów, głoszoną przez tych, którzy ich jeszcze nie mieli.

Miła jest nader okolica Borun po drodze ku Mińsku. Po wzgórkach, jakby po falach podnosi się ona i spływa, a z każdego wzgórza coraz to nowe, a zawsze przyjemne odkryjesz obrazy. Najpiękniejsze gaje z rozmaitych drzew i w rozmaitych występach i formach wznoszą się gęsto na góry, lub schodzą na łąki, między rozległemi i okrytemi bujnem zbożem polami, w dolinach rozesłane; gdzieniegdzie małe szykowne wioseczki, rozłożystemi dęby i kosatą brzozą ocienione; po obu stronach drogi, w gronie drzew owocowych lub stuletnich lip, wznoszą się dwory i dworki, w szybach przejrzystych stawów, jak w źwierciadłach odbite, dróżki wązkie wijąc po wzgórkach i polach łączą sąsiadów, a strumyki z jednego do drugiego przebiegając stawu szumią na

---

*) Piosenka Kniaźnina.

młynkach tu i owdzie rozrzuconych i ożywiają tę piękną, ludną i powabną krainę, która całością zachwyca a szczegółami przynęca. Lecz gdy o wiorst parę od Borun na najwyższą na drodze wstąpisz górę, nagle zmienia się obraz, i rozległy ci na mil kilka rozwija się widnokrąg, wzrok twój panuje nad nim, opiera się na ciemnych massach lasów i w głębokie jary i parowy przenika. Na lewo znaczą się ledwo dojrzane we mgle rozwaliny z czerwonej cegły Kiejstutowego więzienia *), ponuro i krwawo, jak pamięć samegoż Kiejstuta w odległej przeszłości; na prawo, dalej jeszcze i niewyraźniej bieleją gruzy zamku i kościół, **) siedlisko i grób Jana Sapiehy, starosty uświackiego, walecznego niegdyś litewskiego hetmana, a przed nim jeszcze książąt Holszańskich; nakoniec myśl, oko i wyobraźnia unosząc się i bujając nad tym całym wspaniałym horyzontem, po nad lasy, góry, jary i gruzy, gubią się i toną w mglistym i nieokreślonym błękicie.

Po tej to drodze, wysypawszy się z miasteczka ciągnęła czerń szkolna wesołym pochodem przez półtory najmniej godziny, potem zwróciła się małą drożyną na prawo ku dworowi blizko wzgórza dającemu się spostrzegać; to cel wędrówki, Zahorze! Maszerujemy więc w porządniejszym szyku, przy odgłosie samej tylko muzyki, prosto na dziedziniec; gdy się zbliżamy, widać zdaleka w oknach mnóstwo pięknych, świeżych, rumianych, twarzyczek, wyglądających przez szybki ciekawie, jakby obrazki Aniołów za szkłem w ramkach: a gdy pod bramę chorągiew się zbliża, występuje na powitanie uprzejmy gospodarz, pan szambelan Bujnicki. Któż z moich kolegów nie przypomni, jak poczciwy staruszek rad był swoim gościom, jak się uwijał między dziatwą, jak poprawiając pasa na niskiej, krępej a rubasznej figurze swojej błyskał szeroką łysiną kłaniając się na wszystkie strony; za nim wysypuje się liczne grono mamuniek, i rój jakby różnobarwnych motylków, onych twarzyczek różowych, napełniających pierwej okna, a teraz rozsypujących się po dziedzińcu i podlatujących w powietrze! Na ten widok chłopcy krzyczą z zadziwienia, ksiądz fizyk odzywa się z uśmiechem, „a cóż dzieci? nie mówiłem mosanie, że tu nam będzie dobrze?—he! Oj, bo ksiądz fizyk wysłał na całą noc Raducinę do bliskich dworów, uwiadamiając mamunie o majówce i zapraszając do Zahorza; wiedział więc kto się tam znajdzie, a zatem śmiało zaręczał, że tam będzie dobrze. Pieszczota dziatwy z rodzicami budziłaby zazdrość w innych, gdyby wesołość powszechna nie tłumiła wszelkich innych uczuć i myśli. Między gromadą siostrzyczek studenckich są i dla starszych panów dyrektorów ponęty; kilka dziewcząt co niedziela widywanych w kościele, a na których bliższy widok panowie dyrektorowie poprawiają chustek na szyjach, i stroją miny zalotne. Nareszcie prefekt i profesorowie wchodzą do budynku, za nimi starszyzna, panowie dyrektorowie, za nimi malcy, którzy tu rodziców zna-

*) Krewo. **) Holszany.

leźli, nakoniec muzyka i wszyscy którzy mają ochotę, proszeni i nieproszeni sute tam znajdują śniadanie: a tym czasem główny tłum majówki zwraca się na równinę, szeroko u spodu wzgórza, na którym dom się wznosi, rozciągającą się i bujnemi brzozami zrzadka porosłą, tak, że i cień przed śpieką w południe gotowy, i miejsca na zabawy wystarcza. Tam się rozmierza *meta*, obok wyznaczają place do *zająca*, do *przepędzanki*, do *palanta*, indziej ściśle sadowi się koło i boleśna skręca się pytka na *szydło*: ówdzie usiedli gracze w *matony*, oh! to pewne kiedyś szulery!— tam wysypano przyniesione kręgle; ówdzie kupią się gracze w *ponę!* słowem każdy wybiera co lubi i od jednej do drugiej swawoli przebiega.—Pod drzewem w oddaleniu usiadło dwóch chłopców; nie dzielą oni powszechnej zabawy, ale szczęśliwsi może od innych, oni też używają serdecznej słodyczy, przypomnienia i nadziei! Na jednej urodzeni grzędzie, wychowali się razem na jednym dziedzińcu; rodzice ich bliziuteńcy sąsiedzi, widzieli z pociechą zawiązującą się przyjaźń chłopczyków, i z uśmiechem dozwolili Rózi, siostrzyczce Adasia, podzielać zabawki braciszka i jego przyjaciela Ignasia, to też Adaś i Ignaś mają już swoją miłą przeszłość, wakacyę; rozpamiętywają o niej i wyliczają godziny, za któremi uśmiecha się znowu ich szczęśliwa przyszłość — także wakacya: a w jednym i drugim obrazie, Rózia, ich cacko ulubione, bawi się z nimi i pieści. Adaś kocha Rózię siostrzyczkę, Ignaś kocha Rózię więcej niżeli Adaś, sam nie wiedząc jak i dla czego!—Byłażby to już miłość? — nie jeszcze: jest to tylko instynkt czułego serca, objawiający wcześnie przyszłe przeznaczenie człowieka! Czułość ta zapłonie kiedyś miłością, ogarnie potem całe jestestwo, przepali je, wytrawi w niem cały zapas namiętności i szczęścia, i zostawi w sercu jak po wygasłem ognisku popiół i żużle. . . Takiż by miał być los Ignasia? Niestety ! takim był rzeczywiście ! ! !

Po sutem śniadaniu, wśród którego pan Bujnicki po kilkakrotnie z flaszką staruszki i sporym kieliszkiem przystępując do ichmość księży profesorów i prefekta, nie znalazł nigdy niegrzecznego odmówienia lub wstrętu, marcowy wdowczyk musnął się po łysinie, i jakby odmłodniał. Pan Dziewałtowski, metr muzyki, zrozumiał chęć gospodarza; chwycił skrzypce i urznął poloneza: reszta panów wirtuozów stanęła obok, a ucieszony pan szambelan huha! zawołał i stanął w pierwszą parę z panią mostowniczyną. Dziatwa wybiegła do gaju, panowie dyrektorowie stanęli za panem szambelanem, i zaczęły się tańce. Mamuniek i córeczek było wiele; było między kim wybierać! tańce więc szły hucznie i rzeźwo! ale jak wysmuklejsza lilia między towarzyszkami, tak między wszystkiemi jaśniała panna Katarzyna, hoża, ładna i wesoła dziewica. Emulacya wyraźna objawia się między panami dyrektorami, gdy ją przyszło brać do tańca; na wyścigi i hurmem biegli oni po jej rączkę, którą, niestety, najczęściej piastował pan aplikant z Oszmiany, jak na nieszczęście tu przybyły, śmielszy, bo nie-

dbający o księdza prefekta i niegodziwy, bo wyszydzający śmieszność studenckich zalotów. Po kilkunastu polonezach, odbijanych i nieodbijanych, panna Katarzyna na zgrabnym staniku opasawszy różowy fartuszek, stanęła do kozaka; w niedostatku równej partyi, mały jej braciszek stanął na przeciw za figuranta. Sama jedna więc Kasia powszechną zajęła uwagę; wszyscy kołem otoczyli dziewczynę, księża postawili na stoliki niedopite lampeczki trojniaku i ciekawe na środek pokoju obrócili oczy. Z rzeźwą, wiejską, niewymuszoną wesołością wbiegła dziewczyna w koło, i w różnych podskokach od końca do końca przelatywała pokój, fartuszkiem swym raz zakrywała figlarnie czarne swe oczy i mocniejszym rumieńcem okraszone jagody, to znowu chłodziła się jakby szeroko roztoczonym wachlarzem, to zwijając go zręcznie, piękną zeń i zalotną koło siebie tworzyła szarfę. Brawo! brawo! wołali wszyscy, klaskając z zapałem w dłonie; *bravissimo!* krzyczeli młodzi i zapaleńsi czciciele wdzięków panny Katarzyny! *bravissimo in superlativo gradu!* wrzeszczał pijany pan Dziewałtowski, pochyliwszy brodę, i aż głowę położywszy na skrzypcach, na których rznął zamaszyście kozaka; nakoniec tancerka, wykręciwszy na środku śmiałego młynka, dygnęła z wdzięcznym uśmiechem całej kompanii, i osypana oklaskami, pobiegła spocząć w drugim pokoju. Zachwyceni i zakochani panowie dyrektorowie poszli za nią; tam się każdy wysadzał na pochwały i komplementa. Pan Mateusz przez cały czas tańców przemyśliwał, coby pięknego miał powiedzieć pannie Katarzynie; tłumaczył on już Telemaka, czytał nieraz Gonzalwa z Korduby i Numę Pompiliusza, ale żadnym sposobem nie mógł nic przypomnieć ani przystosować do pięknych uczu Kasi, a natomiast te nieszczęśliwe wypisy na klasę pierwszą, które codzień z uczniami swymi repetował, plątały mu się gwałtem po głowie: „*Parentes carissimos habere debemus*“ i znowu i zawsze: „parentes carissimos i t. d.“ obronić się od tego nie mógł! Cóż począć? nagle wyborna przychodzi idea. Położywszy, pomyślał, pannę Katarzynę w liczbie pojedyńczej na miejscu *parentes*, i wytłómaczywszy to na język polski, będzie wyśmienita lokucja! Przystąpił więc uradowany pan Mateusz do Kasi, i uchyliwszy czoło, jakby się do boksów gotował, rzekł: „pannę Katarzynę za najmilszą mieć powinniśmy,“ wziął razem piękną jej rączkę i już do ust podnosił, gdy niezbożny zdrajca pan Hyacynt, aplikant z Oszmiany, szepnął nagle z tyłu: „ksiądz prefekt idzie!“ Upuścił rękę kochanki i odskoczył zmięszany pan Mateusz. . . księdza prefekta nie było, pusta dziewczyna rozśmiała się na cały pokój i uciekła do ogrodu, za nią pobiegł pan aplikant, a pan Mateusz opuszczony i zaambarasowany, stał i nie umiał z miejsca się ruszyć; nakoniec przyszedłszy do siebie i przypomniawszy aplikanta: „ośle przeklęty! pomruknął zapalczywie, ale tymczasem aplikant już był z Kasią w ogrodzie.

Tak dzień przelatywał wesoło; gdy godzina podwieczorku nadeszła, pan szambelan z całą kompanią wychodził do gaju, tam

w zgromadzonym tłumie dziatwy stanąwszy, równie grzecznie i uprzejmie jak przy powitaniu kłaniając się, zapraszał na podwieczorek. O jakże go kochano w szkole boruńskiej! dzieci i rodzice zarówno mu wdzięcznymi byli. Pan Bujnicki szanował i jednał sobie miłość nowego pokolenia swych ziomków; była to uprzejmość obywatelska, którą każdy z sąsiadów boruńskich, z równąż jak pan Bujnicki rozkoszą i chlubą nawet wyświadczał, gdy miał gościem całą szkołę boruńską. Proszę też było zagadnąć którego malca o panu szambelanie; za każde wątpliwe o nim słowo, dostałbyś sińca na czole, choćby wnet na pieńku odpokutować przyszło. Podwieczorek wiejski! kredens sejmikowy! w długich stodołach i odrynach ustawione wzdłuż i nakryte stoły, zedle i ławy zastawiono garnkami wybornego kwaśnego mleka; chleba i soli dostatek, misek i łyżek drewnianych mnóstwo, apetyt studencki, podniecony kilkogodzinną swawolą, wilczy! Lecz harmonia i zgoda przy piłce, szydle i kręglach, pomięszała się przy miskach i garnkach: kłócą się, wrzeszczą, odbierają sobie łyżki, rozlewają mleko i biją czerepy; wszystko uchodzi bezkarnie, bo pan szambelan poprowadził księży i starszyznę na podwieczorek, na mleko zaś w odrynach została luźna hołota.

We dworze wyśmienita kawa z wyborną wiejską śmietanką i cwejbaczkami ocukrowanemi, których mamunie kopami nawiozły, i których większa część w profesorskich potem osiadła celach, zasila uczone grono, i wesołych przed chwilą towarzyszy w poważnych i mądrych przemienia statystów, smakowite kożuszki łagodzą figle trojniaczku, nim go w powrocie chłodny wieczorny wietrzyk do reszty nie wywieje.

Przeciągły podwieczorek doprowadził aż do zachodu słońca, zatem na skinienie księdza prefekta dane niespodzianie hasło w taraban. — Ach! ach! krzyknęły przelęknione damy. — „Czas wracać“ rzekła smutno dziatwa, i gromadziła się około chorągwi wbitej na środku dziedzińca, na który i cała kompania wyszła z pokojów. Rozpoczynały się więc pożegnania i powszechne i szczególne; księża prawili panu szambelanowi podziękowania, pan szambelan znowu się kłaniał na wszystkie strony; chłopcy czepiali się szyi matek, dziewczynki całowali braciszków, panowie dyrektorowie zbliżali się do panny Katarzyny: jeden tylko pan Mateusz stał od niej zdaleka. . . Ten pan Mateusz był to poeta szkolny, nie wiem jak go potem na świecie Apollo sekundował, ale w szkołach, on wszystkim na potrzebę komponował wiersze, on układał oracyę studentom jadącym na Boże Narodzenie lub na Wielkanoc do rodziców; księża profesorowie nawet do niego się udawali czasami, gdy któremu pegaz zachromał. Mógłże on znieść cierpliwie konfuzyę od aplikanta w obec kochanki sobie zadaną, on poeta? *Genus irritabile?* Miłość i zemsta, dwie najgwałtowniejsze namiętności serca ludzkiogo, bez których ani romansów, ani tragedyj nie byłoby na świecie, nie dały kosztować panu dyrektorowi, ani pokoju, ani powszechnej wesołości, ani podwieczorku. Chodził

on po gaju i dumał, niekiedy mruczał, rozliczał palcami sylaby i średniówki, nakoniec pobiegł do stancyi ekonoma i tam z regestrów wydarłszy kartę, napisał prędko co wydumał i wsunął kartkę za nadrę .. Miłość i zemsta we czterech wierszach! wielkiż poeta z pana Mateusza!!! Gdy więc szły pożegnania, a pan Mateusz stał zdaleka, Józio, braciszek panny Katarzyny, porwał ją za rękę i ciągnąc do ogródka: chodź, chodź, Kasiu, mówił zcicha; mam do ciebie wielki interes!" — „Cóż takiego? pytała niechętnie oderwana od kompanii panna Katarzyna mów prędzej" — „Na! masz, rzekł figlarny chłopiec wciskając jej w rękę kartkę papieru: „masz to od pana dyrektora, czytaj!" — i uciekł. Ciekawa dziewczyna rozwinęła kartkę i przeczytała takie wiersze:

«Ani Wenera, ani Prozerpina,
«Nie jest tak piękna, jak ty Katarzyna!
«Wartaś miłości i ślicznego kanta,
«Od samego Jowisza, nie od aplikanta.»

Zarumieniła się Kasia, schowała prędko kartkę do woreczka i wyszła z ogródka. Wtenczas zbliżał się po razy kilka do niej pan Mateusz, ale ona tak zawsze stawała obok mamy, że słowa do niej przemówić nie mógł. Tymczasem pan Kazimierz bił na zabój w bęben, zabrzmiał marsz, ruszyła zatem chorągiew za bramę, a za nią wszyscy. Jednakowoż panna Katarzyna miała czas chwycić Józia za rękę i szepnąć mu do ucha: dowiedz się Józiu jakkolwiek od swego dyrektora, kto jest panną Prozerpiną i czy daleko mieszka? a powiesz mnie jak przyjedziesz na wakacyę: pamiętaj Józiu? panna Prozerpina." — Kasia bowiem tak rozkalkulowała sobie wierszyki boruńskiego poety: „o Wenerze wiem, bo to jest w kilku pieśniach światowych: była ona niegdyś jakąś boginią — Jowisz?... ponieważ pan Hyacynt jest aplikantem Jowisza, więc Jowisz musi być mecenasem w Oszmianie; ale *Prozerpina?* to sęk; pewnie to jakaś ładna panienka, a może i mężatka... dowiem się o wszystkiem przez Józia."

Gdyby Kasia trzydzieści lat później się urodziła, gdyby w dzisiejszych czasach na świetnych naszych pensyach brała wychowanie, w dwunastym roku wieku swego wiedziałaby kto Jowisz a kto Prozerpina, i gdzie oni mieszkają; tańczyłaby z prześlicznem wymuszeniem kontredanse; ale .. czy byłaby tak czerstwą i wesołą dziewczyną? czyby tak rzeźwo i zręcznie wyskoczyła kozaka?.

Wracamy więc; rój nas około księdza prefekta i chorągwi, jak pszczoły około matki, ciemnym, gęstym i szumnym posuwa się kłębem, reszta odlotków długiem po gościńcu ciągnie się pasmem, i odstrzela się pojedyńczo na boki. Znowu wchodzimy na górę, ale we wstecznym kierunku, i przeciwny z niej uderza nas widok. Horyzont tuż za Borunami głębokim w półkole ogranicza się lasem, na nim jak na tle czarnem odbite gmachy białe kościoła, klasztoru i wież boruńskich, dokończony od razu a poważny i uroczysty dają obraz. Gdy daleki wędrownik z pobożnem i re-

ligijnem uczuciem, zbliża się do Borun, z pokorą i nadzieją cudownej łaski i pociechy w smutkach i utrapieniach, lub po największe dobrodziejstwo w dolegliwościach ciała, po zdrowie, przedstawiający się mu natenczas z tej góry we wspaniałym i smutnym razem obrazie cel jego drogi, pokrzepia mu zapewne siły i czułą ufnością napełnia serce. My bez żadnego względu, z jednostajnym wesołym odgłosem, schodzimy z góry i zbliżamy się ku Borunom: lecz tu raptem hałas na przodzie ustaje, a w tylnej straży powiększa się gwałtownie: dwa przeciwne zjawiska, razem na obu przeciwnych ukazały się stronach. Obudzona naszym marszem, odpoczywająca w krzakach przy drodze po nowym kursie po dworach okolicznych i po sutych traktamentach Raducina, ukazała się nagle chopcom, z których jeden zostawszy zającem, wodził za sobą po zaroślach docierających gęsto kilkunastu strzelców. Nagle i źwierzyna i myśliwi zaczęli uciekać do gromady, a za nimi wyszła na drogę z wielką zieloną gałęzią w ręku czarownica.—„A czegoż uciekacie? czy to mnie nie poznaliście" wołała ona. „Jasiu! Leonardku! Antosiu! a wiecie wy kto wam mamunie i siostrzyczki do Zahorza sprowadził? Moje to stare nogi przez noc całą mordowały się za tym interesem. Ksiądz fizyk powiedział: marsz Raducina! i Raducina nogi za pas i marsz! a wy krzyczycie na mnie jak na hamana! poczekajcież!..." Pędziła więc przed sobą baba, wywijając gałęzią jak miotłą czarowniczą, zgraję maroderów uciekających z wrzaskiem; lecz wkrótce zwolniła kroku, poczuła bowiem niepewność w nogach i zawrót niejakiś w niewyspanej jeszcze głowie: podpierając się więc tąż samą brzeziną, wlokła się z tyłu za nami, słaniając się po trochu i wyśpiewując piskliwie, jakby nas do powrotu napędzała: „Pójdźcie! pójdźcie! gąski moje do domu." — O kilkanaście kroków od drogi, na stoku wzgórka, jest cmentarz wiejski z kilku krzyżami i mnóstwem płyt kamiennych, jakby z pod ziemi wyrosłych, i kilku staremi sosnami ocieniony; miejsce wiecznego spoczynku poczciwych naszych boruńskich gospodarzy, a kiedy niekiedy i młodego chłopca, kończącego śmiercią naukę! Miejsce to nie odmieniło się i teraz bynajmniej: pomnożone tylko głazy i krzyże, świadczą o coraz liczniejszych do ziemi przybyszów, a też same, i ani jedną gałązką nieuszczuplone jodły, żyją tam wśród powszechnej martwości, żyją jakby na przekor śmierci w jej własnym domu, i ssąc jak upiory zastygłą krew cudzą na własne soki, długo jeszcze żyć będą i przejmować codzień pod swe stare konary zmarłych boruńskich mieszkańców! Pod jedną z nich ojciec Onufry pogrzebał syna i żonę swoją; dla tego co wieczór, gdy dzwony z wieży kościelnej głosiły godzinę zadusznego pacierza, zobaczyłbyś między głazami cmentarza, klęczącego na ich grobie i równie jak głaz niewzruszonego, tego nieszczęśliwego ojca i męża. Chwila powrotu naszego z majówki, zbiegła się właśnie z chwilą modlitwy pustelnika, i jedna drugiej ujęła gwałtowniejszych wzruszeń: w płaczu i śmiechu jedna złagodziła drugą; pustelnik otarł łzę po-

stępując ku zbliżającym się swym przyjaciołom, studenci poprzestali hucznego śpiewu, widząc łzę nieszczęśliwego swego przyjaciela. Powitany więc serdecznie, złączył się z nami ojciec Onufry i postępowano dalej. . . aż przy wejściu do Borun marsz tryumfalny ozwał się znowu; natenczas dziatwa, złamawszy szyki i porządek, rzuciła się do miasteczka jakby je szturmem zdobyć chciała; muzyka umilkła na rynku, zmordowana tłuszcza rozsypała się po kwaterach, księża niknęli jeden za drugim w ciemnych korytarzach klasztornych, pustelnik szepcąc pacierz wieczorny przeciągnął powoli po ulicach, zmierzając ku swojej chatce, i gwar ustawał ciszej i coraz ciszej; aż nakoniec noc piękna majowa ogarnęła to siedlisko odpoczywającej wesołości, na setne rozdzielonej serca.

IV.

Kościół i szkoła, są to dwa różnych zupełnie i przeciwnych sobie uczuć i pamiątek studenckich składy; jak niebo do ziemi, jak raj do piekła, a właściwiej do czyśca, jak pogoda do słoty, tak się ma jedno do drugiego, zwłaszcza w Borunach, gdzie gmach kościoła wspaniały zewnątrz a ozdobny wewnątrz, zawiera wszystko co oko i umysł dziecka zdumieć i przywiązać może. Gdy brzmienie dzwonów ranne, niedzielne, zapowiada studentom dzień odpoczynku i zabawy: to w każdy inny dzień powszedni, dzwonek szkolny przeraźliwym brzękiem, jako swarliwy gdera budzi ich ze snu miłego, i po dwakroć powtórzoną zrzędą pędzi do kłopotów i pracy. Gdy w uroczyste święta kościół się ubiera wspaniale, gdy przyzywa dzieci do posługi u ołtarza, gdy je oblekа w piękne białe komże, jako w szaty niewinności i wesela: szkoła natenczas, jak złośliwy zazdrośnik, zamyka drzwi swoje i czeka w milczeniu końca uciechy, aby ich znowu ogarnąć i gnębić; w kościele hymny i pieśni chórem hucznym powtarzane, miłe sercu i uchu studenta, bo im echo z domowej, przedszkolnej jeszcze odzywa się bokówki: w szkole płacz powszedni codzień, a arcy-płacz co sobota! W szkole za piecem na pieńku, z groźnem okiem z dyscypliną w ręku, *strach*, starzec nieznośny, wychudły, na łzy chciwy, na modły i prośby nieczuły! biada gdy on swój pieniek na środek szkoły wytoczy, biada natenczas, biada! I nakoniec, dla dokonania i usprawiedliwienia niejako tej różnicy, oczekiwany z tęsknotą, przychodził w końcu czerwca Piotr Ś-ty, i w jednejże chwili kluczami swemi zamykał szkołę, a otwierał studentom drzwi kościoła, na uroczyste podziękowanie Bogu za przebycie i dokończenie pracowitego terminu nauki, i na publiczny z niej popis, a potem puszczał i ich wszystkich do raju, to jest na wakacye do domu. To też w perygrynacyach moich po miasteczku ozięble minąłem opustoszały dom szkolny, trąciłem nogą, jakby wyschłą czaszkę głowy nieprzyjaciela, spadły na ziemię i porzucony na dziedzińcu wyszczerbiony dzwonek, a posze-

dłem wnet do kościoła, abym zakończył wspomnienia dziecinnego wieku tam, gdziem też i sam wiek dziecinny zakończył; gdzie złożywszy dowód niby doskonałości w naukach, student wyzwala się na młodzieńca, bierze błogosławieństwo kościoła, życzenia nauczycieli, i z ciasnych drożek szkolnych, wychodzi na szerokie rozdroże świata . . Rozpamiętywając akt ten publicznego popisu i pożegnania szkoły, stajemy na granicy jednej najpierwszej cząstki naszego życia, którą przechodzimy z niesmakiem, kończymy z radością, a jednakże wspominamy z tęsknotą, i ubiegłej zazdrościmy!

Wspaniała nawa boruńskiego kościoła, w dniu pożądanym 29-go czerwca, napełniała się około nieszpornej godziny gośćmi rozmaitej płci, wieku i stanu. Obok pięknych i ozdobnych piórami i kwiatami kapeluszów, na wesołych główkach młodych mamuniek lub młodszych jeszcze siostrzyczek, zobaczyć można było grodeturowy kaptur, lub nastrzępiony dziwacznie czepek nad czerstwem i rumianem licem pani ekonomowej, obok zgrabnej i bogato litemi potrzebami sznurowanej na piersiach pana szambelana lub pana budowniczego taratatki, jakiej nigdzie już teraz nie zobaczysz, stał w kapocie szarej szlachcic z okolicy, lub w wytartym żupanie, jedwabnym pasem przepasany, stary dworzanin po paniczów przysłany. . . W ławkach po prawej stronie i od ławek aż do ołtarza na kilku rzędach krzeseł, rozmieszczał się ten tłum różnobarwny; babunie, mamy, siostrzyczki, ciocie, wujenki na przedzie: dziadulkowie, ojcowie, wujaszkowie i stryjaszkowie z tyłu. We sto par i więcej wchodzi młodzież i klasami szykuje się naprzeciw publiczności, a tymczasem ksiądz fizyk ustawia z boku na stoliku machinę elektryczną i baterye butelek lejdejskich; ksiądz matematyk zawiesza na kozłach wykreślone na przepych geometryczne figury, a sam ksiądz prefekt porządkuje na drugim stoliku pięknie zrysowane *erazty*, wyformowane wzory charakterów i ogromny stos *kwestyj* z koperdymentami, mającemi potem w ramkach i za szkłem figurować na ścianach domowych, jako pamiątki talentów szkolnych; kładzie księgę złotą, zawierającą imiona celujących uczniów, i naciska to wszystko globusem, jakby znakiem widomym chciał dać poznać, że wszelkiej doskonałości ludzkiej głową . . świat! Nakoniec wszystko się uszykowało, i wszystko pójdzie jak z płatka, bo cały program już kilkanaście razy wypróbowany. Więc na skinienie z dołu, symfonja studenckiej muzyki na chórze otwiera obrzęd; po niej występują jedni po drugich malcy i wszelkiemi językami witają publiczność! Ach! czemuż tych oracyj nie pamiętam! jakiż wymowny i rozmaity apendix utworzyłbym z nich na końcu! Po minie, a czasem i rozrzewnieniu mamy lub tatulka, poznałbyś czyj syn oratorem. Rozniesione wnet potem i rozdane jakby kwiaty z kosza koperdymenta, zajmują bardziej płeć piękną, niżeli całe popisy; ta dostała różę rozkwitłą i wielką jak talerz, tej przypadł tulipan błyszczący jak dzbanek ze stoła, inna piastuje na ręku kolumnę marmurową z

całym koszem kwiatów na kapitelu: u tamtej kupidynek mierzy strzałą do ogromnego rycerza, u którego godłem na tarczy napis „Kwestye szkoły boruńskiej na klasę V-tą. — Pannie Katarzynie dostał się z podziału piękny domek wiejski w gaiku nad strumykiem, z takimże napisem na kominie, jak u rycerza na tarczy; wszędzie dowcip w pomysłach i równyż talent w wykonaniu! Zaproszeni na examinatorów pan podkomorzy, pan szambelan i pan budowniczy, wystąpili na środek; nie byłoby żartów z tymi panami, gdyby oni alwar swój przypomnieć chcieli: ale mając kwestye w ręku, nie sądzili przyzwoitem ambarasować uczniów i nauczycieli innemi pytaniami, które, któż wie, jakby się powiodły: na zadane zaś z pisma, odpowiadano wyśmienicie, bo nieukom w wigiliją wyjechać dozwolono. Szedł tak popis klas pierwszych z pochwałami sypanemi szczodrze każdemu chłopcu i przedłużałby się dalej, ale stojący przy swojej elektrycznej machinie ksiądz fizyk, zniecierpliwiony zawołał: „Klasa czwarta mosanie z fizyki! Co to jest piorun?—odpowie pan Leonard" Piorun, odpowiedział głośno i smiało pan Leonard, jest to elektryczność, a dowodem tego butelka lejdejska.—„Brawo! wyśmienicie mosanie! a zatem proszę do machiny i zrób nam wasan piorun mosanie!" Powszechna protestacya przeciw temu experymentowi objawiła się w damach, ale świadomsi w rzeczy examinatorowie ośmielili wszystkich, i pan Leonard pokręciwszy przez kilka minut banie, nabił bateryę i dał ognia, a piorun nikogo nie przestraszył a wszystkich zabawił. „Pan Ksawery powie nam mosanie o balonach, odezwał się znowu ksiądz fizyk.—„Wielki ten wynalazek"—... na złamanie karku, przerwał ktoś z tłumu—ksiądz fizyk spójrzał ostro w tamtę stronę, lecz nie dostrzegł winowajcy, a pan Ksawery niezmieszany, historyę i sposób tego wynalazku ogłosił publiczności.—„Teraz z matematyki," zagadnął pan podkomorzy, podobno dla honoru urzędu swojego.—Ale mosanie, jeszcze niechby powiedzieli o gazach, o ziemi, o powietrzu, o wodzie, o ogniu: wszystko umieją upewniam!"—„To się znaczy o elementach, odezwał się pan szambelan."—O jakich elementach mosanie? nie masz już elementów, skasowano je.—Jakto skasowano? w Imię Ojca i Syna! któż, chyba sam Pan Bóg.—Nie mosanie, *pan Lavoisier*, jak zaczął rozbierać po jednemu, przyszło do tego że i żadnego nie zostawił, a natomiast mosanie wynalazł kwas. . ."—Zwarjowałeś księże fizyku! co gadasz! rzekł zadziwiony pan szambelan, i zajśćby mogło na wielką dysputę, lecz z nienacka trzecioklasista przy tablicy wykrzyknął cieńko a dobitnie: *Centum bovum*!—„Masz panie szambelanie, rzekł uśmiechając się ksiądz fizyk, masz alimenta, *centum bovum*, sto wołów, a to na kwitę za elementa; *litera nocet, litera docet* mosanie, a powtarzam panu, że elementa skasowano."—Proszę uniżenie! do czego to przyszło mruczał pan szambelan, na miejscu elementów. . . Kwas!. . . kwadrat z przeciwprostokątnej, równa się dwóm kwadratom z dwóch innych boków" i t. d. wrzeszczał tymczasem malec, i zwrócił przecież uwagę na swoję

stronę. Tak przebiegano a raczej prześlizgiwano się lekko po wszystkich naukach. Wymowa i poezya dała powód do deklamacyi wierszów i prozy z celujących naszych ośmnastego wieku autorów; z historyi prawili uczniowie szerokie opisania oblężenia Troi, piramid egipskich, ogrodów babilońskich i urodzajów assyryjskich! jakim podobnych, że nigdy w Litwie nie było, przyznali zgodnie słuchacze. Był na placu i globus! a pośrednie między geografią a astronomią trzymając miejsce, koleją dla pierwszej lub dla szóstej klasy pękate swe wychylał lice. Powstał nakoniec ksiądz prefekt, i roztworzywszy księgę złotą, po krótkiej przemowie odczytał zapisanych w niej imiona celujących w każdej klasie uczniów, i promocye ich do klas wyższych. Nie wiem jak to się zdarzało, że synowie obecnych na examinie rodziców, najczęściej w niej zapisanymi byli: i rozjaśniały się twarze rodziców i synków radością niewymowną, rzuciliby się pewnie w objęcia jedni drugich, lecz subordynacya szkolna, równie ścisła jak wojskowa, zatrzymuje malców w szeregach, i dręczy niecierpliwością jak najrychlejszego ukończenia parady. Lecz zostaje jeszcze mowa—mowa pożegnalna, do której występuje uczeń kończący kurs szkolny, i mająca swą doskonałością przynieść zaletę mówcy i szkole. Sam ją niegdyś dla siebie w pocie czoła układałem, i sam ją perorowałem z powszechnym aplauzem! Zawierała ona, tak jak i inne podobne kolegów moich, 1-ód wyrażenie wdzięczności dla nauczycieli: 2-re pożegnanie kolegów, 3-cie filozoficzne myśli o marności świata, a o wielkiej ważności nauk; 4-te o Arystotelesie nauczycielu Aleksandra Wielkiego, i nakoniec 5-te uprzejme życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności sobie i całemu prześwietnemu publicum. Po skończeniu tego arcydzieła elokwencyi, ruszano się z miejsc. . . Wtem w śród huku trąb i kotłów, opadła zasłona ołtarza i obraz cudowny Matki Boskiej w świetnej gwiaździe z drogich kryształów i kamieni, zajaśniał nad zgromadzeniem. Tłum cały napełniający świątynię, upada na kolana, starzy i młodzi, dziatwa i rodzice, kapłani, pospólstwo, ubodzy napełniający kruchtę, wszyscy pokornie do ziemi schylają czoła, natenczas kilkunastu młodzieńców powstaje i występuje z szyku, zbliżają się wprost do ołtarza, klękają na stopniach, i wnet rozległ się chór dobranych, czystych, dźwięcznych a mocnych głosów: *Sub tuum praesidium confugimus!!!* etc. Ileż to serc razem, ileż westchnień i modłów wzniosło się na ten czas do Boga! ileż wzajemnie nadziei i wesela spływało z ołtarza w serca ojców! matek i dzieci! Śpiew się ukończył; chwila potem cichej powszechnej modlitwy; aż znów!. . . zwolna podniosła się zasłona i zakryła ołtarz. Podniosło się więc razem i zgromadzenie, a na twarzach wszystkich wesołość prawdziwa, i zupełne z obecnej chwili zadowolenie jaśniały. Zabrzmiał nakoniec marsz huczny, przeprowadzający gości wychodzących z kościoła i siadających do pojazdów, których liczna kawalkata cały napełniła rynek. Pożegnania się kolegów, bardziej szumne niż tkliwe, gwar powszechny tak licznego zebrania, turkot odjeżdżają-

cych pojazdów, trzaskanie z biczów podpiłych furmanów, przerywające jakby wystrzałami z pistoletów cienkie wykrzykiwania płci pięknej, wszystko to razem tworzyło scenę malowniczą i ruchomą, lecz która całemi szmatami od ogólnego odrywała się obrazu, i coraz wolniejszem zostawiała samo tło onego, to jest rynek boruński. Nakoniec wszystko się w rozmaite rozpierzchało strony, a rynek pozostawał pustym i głuchym tak, jak jest głuchym i pustym teraz, gdy oto ja oparty o drzwi kościoła, stoję samotny i okiem mej duszy widzę tu rozsypanych przedemną i rozpoznaję wszystkich towarzyszy mozolnych lub miłych chwil dni moich dziecinnych. Gdzież są oni? *gdzie są moi wspól-wędrowcy...?* *) ach! trąba już chyba Archanioła, zbudzi nas wszystkich i zgromadzi kiedyś, dla wydania ostatniej pensy, przed wielkim Audytorem całego świata!

ŚMIERĆ MOJEGO DZIADKA.

Woda w górę nie popłynie,
Co dziś świeci jutro zgasło!
Przeminęło, mija, minie.
To ludzkiego życia hasło!!!
Lecz nie minie wiecznie żywa
Święta przodków naszych wiara,
Nie minie mądrość prawdziwa,
I poczciwość nasza stara!

Uroczyste święta nasze, są to rok rocznie wracające epoki domowych dziejów naszych. Zebrania natenczas i odwiedziny krewnych, odległych przyjaciół i sąsiadów, podczas których przywiązane do siebie osoby, połączone w jedno grono, wylewają się we wzajemnych dowodach serdecznych ku sobie uczuć, zupełne uwolnienie się od prac i zajęcia codziennego, a oddanie się wypoczynkowi lub rozrywkom właściwym każdemu wiekowi. Wesołość szczera i poufała, panująca w domu podejmującym naówczas to miłe zgromadzenie, przemieszane pospolicie gromadą dziatwy, która jakby małe ogniwka, łączy większe pierścienie familijnego wieńca; a cała ta szczęśliwość i swoboda, obleczona uroczystym i bogatym płaszczem religijnych obrzędów, wszystko to głęboko się wpaja w wyobraźnię i niezatarte zostawia rysy w pamięci!

Cóż dopiero, gdy, jak to najczęściej bywa, łączą się razem wspomnienia szczególniejszych wypadków życia naszego, w dniach takich zdarzone? Śluby małżeńskie, wesela, przenosiny, zaręczyny,

*) Zaleski — Duma ukraińska.

lub nawet pierwsze poznanie się i pierwsze miłosne wrażenia młodych serc, połączonych potem lub rozdzielonych na zawsze, lecz nie mogących zapomnieć chwili, w której pierwsze tkliwe odniosły wrażenia?

My jednak zapominamy już tego sposobu obliczania się z czasem. Oznaczamy wszystko na proste daty; lecz pasmo życia ojców i dziadów naszych, pospajane w główniejszych punktach z religią, miało w sobie niejakąś patryarchalną świątobliwość i i cnotę. Żadna burza życia nie mogła zepchnąć go na bezdroża, tak, jak najmocniejszy wicher nie zdoła oderwać i rzucić na wiatr pnącej się rośliny, mdłej, ale uczepionej gałązkami do skały!

Ileż to razy usiadłszy w sadzie pod rozłożystą gruszą, lub na ulubionym pod krzakiem kamieniu, dziadunio mój opowiadał mi domowe dzieje spokojnego swego żywota, licząc je na święta kościelne? „Rodzic mój nieboszczyk, a twój pradziadulek, Panie świeć nad jego duszą, mówił on, umarł w zgrzybiałej starości na *Różańcową*. Bóg mu zapewne dał ten termin za to, że codzień różaniec święty nabożnie odmawiał. Matki mojej nie pamiętam, odumarła mię w niemowlęctwie. W lat dwa po śmierci ojca, gdy macocha moja zabrawszy swoją substancyę i przemyśliwając *circa renovationem connubii*, wyniosła się odemnie, zapoznałem się na *Zielone Świątki*, jak dziś pamiętam, w domu nieboszczyka podstolego smoleńskiego, z moją pierwszą żoną, która także w Bogu spoczywa, a natenczas panną Bogumiłą, siostrzenicą gospodarza, podczaszanką ziemi nurskiej. Skłoniłem ku niej moje afekta, i tak nad podziw szczęśliwie poszło, że za błogosławieństwem Boskiem i rodzicielskiem, nastąpiły wnet i zaręczyny. Pan podczaszy, przyszły teść mój, wielki sensat, łacinnik, upodobał mnie od razu. „*Est facies testis, qualis intrinsice estis*“—z twarzy znam cię żeś poczciwy, powiadał on. Podstoli wyprawił suty bankiet, akt zaś weselny odłożono pod jesień na święty *Michał*, na dzień patrona pana podczaszego. Na bliższy termin nie zezwolił, chociaż ja usilnie o to błagałem. „*Nemo sapiens, nisi patiens*,“ panie zięciu! mówił on, i dodawał nadto:

„Bywaj gościu u mnie
Kiedy żytko w gumnie!“

Chudoba moja szlachecka nie wytrzyma bez sukursu jesiennego licznej weselnej frekwencyi, a waszeć panie zięciu lepszego piwa nawarzysz, kiedy z własnego, a nie z pożyczonego jęczmienia. Musiałem tedy, *volens nolens* przystać.

Rozmaite potem ludzkie *calumniae* i *perversiae*, o których żal wspomnieć i którym, pamiętając nań „odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ dawno już przebaczyłem i zapomniałem, przeciągnęły nasz ślub aż do *Trzech Króli*; bo na *Boże Narodzenie* kościół ś. ślubów zabrania. Natenczas teść mój powiadał:

„Praedestinata neminem fallunt.
„Co się przewlecze, to nie uciecze.“

Jakoż i nie uciekło; pobraliśmy się szczęśliwie. Ksiądz przeor Karmelitów głębockich, odśpiewawszy kolędę „*Exultemus et laetemur!*“, wziął za assumpt do perory przedślubnej też same słowa, i komparując potem gwiazdę, która trzech króli do Betleem przeprowadziła, z gwiazdą mojej fortuny, która mnie w progi pana stolnika zawróciła—wróżył ztąd dla nas *in futuris* wszelkie i szczególniejsze sukcesy i *konjunktury*. Pobłogosławił nam potem, a chociaż te prorokowane szczególniejsze sukcesy nigdy nam nie wypadły, wszelakoż cieszyliśmy się na weselu, cieszyliśmy się tutaj na przenosinach, a dzięki Bogu cieszyliśmy się i potem przez lat trzydzieści, w jedności i zgodzie naszego małżeńskiego pożycia. Matka twoja, jedyne dziecko nasze, urodziła się w wigilię *Zwiastowania Panny Maryi*, więc i daliśmy jej imię jakie sobie przyniosła, *Maryi*, polecając ją szczególniejszej opiece Matki Boskiej!“...

Niemiłe potem wspomnienia zasępiały czoło staruszka. Śmierć ukochanej pierwszej żony, którą tem więcej żałował, że i sam po jej zgonie w lat kilka postanowiwszy *renovare connubium*, trafił na zrzędnicę, która mu kilkanaście lat życia zatruła, i o której dobrze wspominać nie mogąc, a źle wspominać nie chcąc— żadnych uroczystych dat nie zachował w pamięci. Nie wspominał także przedemną najboleśniejszego ciosu w życiu swojem, utraty córki jedynej; bo wiedział że wzbudziłby w mem sercu dziecinnem, ale przywiązanem do matki, gorzki żal, i obaczyłby łzy rzewne na twarzy, na której wesołość i ciekawość w przysłuchiwaniu się rozpowiadaniom swoim widzieć lubił. Więc pomilczawszy trochę, wzdychał mój dziadunio głęboko, kiwał głową i kończył na — „Oj! tak to było moje dziecię! tak! tak!“ — A po nowej pauzie dodawał:— „Wkrótce podobno przydacie sumę do tego rejestru mojego życia, to jest datę końcową:

Bóg widzi, czas ucieka,
Śmierć goni, wieczność czeka!

Cóż robić! ośmdziesiąt szósty rok wkrótce zakończę. „*Fiat voluntas tua Domine*“. O mój Boże, daj mi przed Majestatem Twoim połączyć się z tymi, z którymi na tym padole płaczu sercem i duszą złączony byłem!!!“ Tu ręce i oczy ku niebu podnosił poczciwy starzec, którego życie opisawszy *), śmierć teraz szczęśliwą, spokojną i chrześcijańską opisać pragnę.

Przeciągłe brzmienie dzwonów bliskiego parafialnego kościoła, rozlegające się letnim pięknym wieczorem po miłej i spokojnej okolicy, otaczającej domek mojego dziadka, zwiastowało uroczystość Bożego Ciała nazajutrz. Słaby od niejakiego czasu dziadek mój, wywlókł się był w tym dniu o kiju i z pomocą sługi, z izby pod krzyż, i tam siedząc szeptał swoje modlitwy; ja, dziecko niedawno, teraz już wyrostek szkolny, siedziałem obok niego, czekając aż zacznie litanię kończącą zwykle wieczorne pacię-

*) Domek mojego dziadka.

rze.— W tem echa niespodzianym dźwiękiem uderzyły nam w uszy!!! Przerwał pacierz staruszek i podniósł instynktowo rękę do przeżegnania się—zatrzymał ją potem nad czołem . . Ja zdziwiony wzrok mój ciekawie nań obróciłem. Po chwili dokończył przeżegnania się mój dziadunio, i rzekł powoli a spokojnie: „Jutro!... tak po mnie zadzwonią!!!— Jak to kochany dziaduniu? rzekłem mocno wzruszony; dziadunio dziś masz się lepiej, więc i zdrowie da Bóg powróci!—Moje dziecię, w moim wieku już nic nie wraca się człowiekowi, co odeszło!... umrę jutro!—I podnosząc głos dodał: Bóg mi to objawił!!!— Kiedy? zapytałem prostodusznie i ciekawie.

— W tym momencie, mój kochany wnuku!

— Ja nic nie widziałem dziaduniu!—rozumiałem bowiem że to było widocznie cudowne objawienie, o jakich nie raz mi rozpowiadał.—Nie rozumiesz mię, moje dziecię! cóż ja jestem? marny zlepek gliny! czyliżem godzien aby Bóg cud dla mnie okazać raczył? Nie, moje dziecię! Ale ledwom zaczął modlitwę na uproszenie szczęśliwej śmierci uderzono we dzwony, i razem myśl mi przemknęła po głowie, że to jest *praesagium* szczęśliwego i rychłego skutku modłów moich! O, gdyby jeszcze w czasie tak wielkiego festu jak jutrzejszy, Bóg mię przed swój Majestat powołał, uznałbym wyraźne miłosierdzie jego nademną!!! Zmówmy moje dziecię razem na moję intencyę modlitwę; twoje niewinne, moje pokorne modły, wspólnie złączone, ubłagają może dla mnie szczęśliwą ostatnią godzinę!

Nie wiedziałem ja natenczas, bo niedoznałem był jeszcze, że są w życiu ludzkiem wieszcze przemknienia myśli, które nazwaćby można, *błyśnięciem przewracającej się karty w księdze przeznaczeń naszych!* Przeczucie instynktu? czy objawienie?—jakkolwiek to uważać czy mianować mamy, zawsze znajome są one każdemu, bo któż ich w chwilach niepewności, trwogi, nadziei, a nawet w chwilach zupełnej spokojności duszy nie doznał? Szczęśliwy, ktoby tę kartę tak podjętą mógł zatrzymać i przebiedz! ktoby przynajmniej przestrogę tę w przelocie pojmać i w pamięć swą wpoić zdołał! Ale nie! kartę przeznaczenia w mgnieniu oka się przewraca, myśl prorocza mignie jak błyskawica i ginie jak błyskawica!!! a powraca przypomnieniem natenczas, kiedy się wyrok już ziścił.

Kończyliśmy modlitwy, gdy zbliżył się do nas pan Jakób.

Człowiek ten należał do licznego jeszcze natenczas, a dziś wygasłego zupełnie bractwa rezydentów i dworaków, rozsypanych gęsto po kraju, których, jako wchodzących w skład nie jednej szlacheckiej ziemi i nie jednego obrazu tamtoczesnych domowych obyczajów, wprzódy ogólne i całemu bractwu właściwe wspomnę przymioty, nim jednego z nich, pana Jakóba, towarzysza ostatnich lat życia mojego dziadka, dam poznać.

Dzielili się rezydenci stosownie do wewnętrznego swego powołania i posiadanych talentów, na *myśliwych, rybaków* i *maszta-*

lerzy; skrzypeczka, nie stanowiąc oddzielnego fakultetu, do każdego składnie przypadała, i zwiększała zaletę i wesołość dworaka. Każdy z nich, posiadając wszelkie doskonałości swojej profesyi, miał jeszcze, jak to wyżej nadmieniłem, reguły i zasady, jakby dawnych rycerskich zakonów, całej kongregacyi wspólne, to jest: ochotę do nieustannej włóczęgi, póki zdrowie i własne, lub darowanego konika, nogi, służyły; nienawiść do ciągłego zajęcia się i pracy, nakoniec większy lub mniejszy pociąg do *aquaevity*. Wdowcy bezdzietni, lub starzy kawalerowie, nie mieli oni pospolicie żadnych ścisłych związków ani obowiązków. Każdy dom szlachecki był dla nich familijnym, bo wszędzie chleb powszedni i kąt opiekuńczy z ochotą dla nich otwarty znajdowali. Owszem, w czasach gdy każdy gospodarz pilnując własnej grzędy, niewiele zewnętrznych miał stosunków i związków, zbieracz taki i rozwoźca nowin, wiadomostek, anegdot, dykteryek, przybywający z życzliwem sercem i z wesołym humorem do domu, zawsze pożądanym był gościem, i zaraz poufałym stawał się domownikiem.— Wreszcie przywiązanie szczere do rodzin, około których się żywili, i poczciwość prosta, nieinteresowana, zalecała ich wszystkich. Nie wiele żądali, bo wszystkie ich konieczne potrzeby życia, bez pracy i kosztu, bez próśb nawet, ludzkość i dobrotliwość staroświecka ojców naszych opatrywała.— Wszakże w przypadkach tyczących się ich szczególnych talentów i profesyj, dozwalali oni sobie niekiedy, małych zboczeń od ściśle sumiennej ścieżki.—I tak: nieraz po wizycie myśliwca zginął z psiarni dwornej sławny w całej okolicy *Szumlas* lub *Zagraj*, a gonił potem zająca o mil kilkadziesiąt. Nie raz młody panicz, przepłaciwszy lub wyhandlowawszy wielkim przypadkiem zachwaloną kasselkę, na pierwszej zaraz ochocie chybił celu i źwierzyny, a zatem poznał z żalem i szkodą własną, wartość i rzetelność zaręczeń pana Piotra lub pana Grzegorza. Po takich jednak figlach, tęsknił każdy za powrótem starego franta, bo bez niego polowania nie miały zapału, obławy porządku, a najbardziej, nie było owej hucznej myśliwskiej wesołości, którą on tysiącem kłamstw pocieszniejszych jedne nad drugie, umiał zawsze ożywić i utrzymać, a która jak wiadomo, jest najpowabniejszą zachętą i nagrodą myśliwskich trudów.— *Z masztalerzem*, handlarzem i lekarzem koni zawołanym, najlepszemu jego przyjacielowi nie życzyłbym wchodzić w stosunki, w którychby pokusa nabycia handlem lepszego konia, opanować go mogła; bo natenczas nie oszczędził on zaręczeń najsolenniejszych, a w ostatniej potrzebie przysiąg nawet potocznych, aby wmówić przekonanie o wybornych zaletach swojego konia, którego dla przyjaźni tylko i przysługi na zamian puszczał. Ale też w domu gdzie zajechał i przebywał, zastępował on najściślej i najochotniej w stajni oko pańskie, które wedle dawnego przysłowia, tuczy koni; i jeżeli sam nie zaniedbał podpomódz sobie wszelkiemi sposobami do oszukania, choćby swojego gospodarza, to już za to nikomu innemu oszukać go nie dozwolił. Był to przy-

jaciel, który w pojedynku z sobą, sztuką czy zdradą zwyciężył, ale w pojedynkach z drugimi, bronił. — *Rybacy* nakoniec, do których właśnie i pan Jakób należał, prostsi i spokojniejsi od pierwszych, mniej też ze swego powołania miewali powszednich grzechów na sumieniu. Wytrząsł on ci niekiedy nie swoje więcierze; osławił wyborne tonie dla zachowania ich sobie, a sieć cudzą, obietnicą sowitego połowu, na karcze i wiry wprowadził. Te i tym podobne małe usterki, których pan Jakób i jego współbracia niekiedy się dopuszczali, zapominały się im tem łatwiej, że gdy się dobrze w niewodzie powiodło, udzielali oni ryby wspaniałe wszystkim, pracując tylko na chlubę i wdzięczność, której co piątek i sobotę, przy każdym smacznym z ryb półmisku, pewnymi byli. — Te główne działy *rezydentów*, dałyby się jeszcze na kilka poddziałków rozgałęzić: *ogrodników, lekarzy* od bolenia zębów, wysłużonych domowych, *dyrektorów*, a nawet *poetów!* Ale dość i tej krótkiej wzmianki i opisu, abyśmy przypomnieli sobie ludzi, żyjących bez troski, a przed którymi troski uciekały z domów; z pomiędzy których nie jeden z nas miał piastuna dni dziecinnych a mentora i najżyczliwszego domownika w młodzieńczym wieku; którzy nakoniec niknęli z pośród nas jak usychające jedne po drugich drzewa w ogrodach, którym ziemia pożywczych soków odmawia! — Takim był pan Jakób. — Nim wiek młodszy i siły mu wystarczały, odbywał i on swobodne wędrówki, powodem jednak jakiejś z dziadulkiem moim *kolligacyi*, zawsze na zimę, jak do głównego fundum, do jego domu przybywał. Lecz gdy szósty krzyżyk poczuł na barkach, zaniechał wojażów, oddał starego swego konia kwestarzowi bernardyńskiemu, i osiadł na zawsze przy moim dziadku, wpółsługą, wpółprzyjacielem, zawsze panem Jakóbem, gotowym na każde zawołanie pana skarbnika, czy to do rzeczywistej, byle nie długiej, w gospodarce pomocy, czy to do pacierzy, czy to do maryasza lub ćwika, dla zabawiania gości lub rozrywki gospodarza; czy to nakoniec do opowiadania w czasie długich jesiennych wieczorów, rozmaitych historyi, zaczętych częstokroć w pokoju dla panów, a gdy ci nie dotrzymawszy do rozwiązania rzeczy, spać poszli, kończonych na folwarku dla czeladzi. — Wzajemnie pan skarbnik z pobłażaniem i uśmiechem patrzał, gdy podczas festów, a nawet i w niektóre niedziele, zdarzało się panu Jakóbowi niepewną nogą, w późny wieczór, wracać do domu, przyśpiewując basem:

Oto to ja pan,
Oto to ja pan,
I o nic nie dbam... *).

Zbliżył się tedy do nas pan Jakób, w wybornym humorze, bo niósł w ręku drgającego wielkiego szczupaka.

— Mości dobrodzieju, krzyknął, misa na jutro!

— Na pozajutro, odpowiedział mój dziadunio.

---

*) Dawna piosnka.

— Imaginacya! pozajutro prawda piątek; no to potrzęsiemy znowu bucze, albo pojadę na zatoki: ale jutro pewni goście, więc zjemy *tego* za jegomościne zdrowie!

— Panie Jakóbie, rzekłem zapłakany, dziadunio mówi, że jutro umrze!

— Umrze? Imaginacya! jegomość chwała Bogu zdrówszy; a zatem jutro razem z nami szczupaka konsumować będzie! Wstydź się jegomość, takie rzeczy gadać!— No! bądź co bądź! panie Jakóbie, rzekł mój dziadunio, ja proszę waszeci, abyś mię posłuchał, i wszystko tak przygotował, jakby śmierć moja jutro nastąpić miała! Żyliśmy razem lat kilkanaście i nie zapomniałem o twoim chlebie na starość; to się znajdzie w moim testamencie. . . Bóg powołał do chwały swojej przedemną wszystkich, którzy mi tu miłymi byli; tęsknię oddawna do połączenia się z nimi na wieki. . . Został mi tylko ten chłopiec, wnuk mój, krew moja! *os ex ossibus meis!* i ojciec jego a zięć mój! Poślij więc waszeć po niego z oznajmieniem żem bardzo słaby, aby wraz przybywał...— Czy jegomość doprawdy to mówisz? przerwał pan Jakób, ocierając rękawem łzę na twarzy.

— Cóż waszeci do tego! prosiłem, abyś czynił jak mówię.

Pan Jakób upuścił szczupaka i słuchał, a łzy coraz bujniejsze padały mu z oczu.

— Jeszcze dzisiaj pofatygujesz się do plebanii, kończył mój dziadunio, i poprosisz księdza proboszcza, aby jutro przed nabożeństwem przybył tu dla wyspowiadania mnie i udysponowania ostatecznego, wedle świętej religii naszej, na drogę wieczności!!!— Zamilkł tu staruszek, przymknął oczy jakby się modlił w duchu, a potem głośniej, z wyrazem głębokiego uczucia wymówił:

— „*Ne memineris Domine delicta juventutis*".

— No! Panie Jakóbie, teraz podpomóż staremu, pójdźmy, mam interes do spichrza.—Pan Jakób podał rękę i prowadził powoli staruszka, ja wlokłem się z tyłu.

Zawołano ekonoma z kluczami, a gdy ten odemknął spichrz rzekł doń dziadek: - Wleź waść z łaski swojej na górę; znajdziesz tam trumnę, wysyp z niej żyto, a trumnę spuść ostróżnie na dół. Wlazł ekonom na górę, i po chwili odezwał się:—Jest trumna panoczku, ale żyta, ani zboża żadnego w niej niema, pusta panoczku!— Jakto być może! sam pamiętasz, że przed laty kilku, gdym ją zrobić kazał, nasypaliśmy do niej pełno żyta!

— Prawda panoczku, pamiętam, ale pękło dno—odezwał się z góry ekonom - i wszystkie ziarno powoli wyciekło .

Pan Jakób, który wiedział, że pan skarbnik, idąc za upowszechnionym natenczas między pobożną szlachtą zwyczajem, miał gotową dla siebie, ale zawsze zbożem nasypaną trumnę, i który wierzył równie jak wszyscy zachowujący ten obyczaj, że trumna nasypana zbożem, robi spór w spichrzu, a próżna jest wróżbą niezawodną śmierci gospodarza: usłyszawszy słowa ekonoma, zląkł się i rzekł zapomniawszy:—Ot co teraz, i ja powiem że prawda...

Postrzegłszy się jednak, dodał skwapliwie:—Da to imaginacya!!!— Ale mój dziadunio, uśmiechając się smutno— Aj! nie imaginacya, odpowiedział. Ziarno po ziarnie wyciekało z trumny, a razem wyciekał dzień za dniem życia mojego; i oto nakoniec dom wypróżniony, gotowy, czeka na przyjęcie mieszkańca

W tem ekonom pchnął nagle z góry trumnę, której połowa raptem na wschodach się okazała...! Jezus, Marya, Józef! krzyknął pan Jakób; ja przelękły wyskoczyłem aż na dziedziniec, wszystkie strachy, upiory, mary, których pełną miałem pamięć, stanęły mi razem przed oczyma; dziadunio mój nawet, nie mógł znieść spokojnie tego widoku!— Odprowadź mnie na ganek panie Jakóbie, rzekł z widocznym na twarzy umartwieniem, i pójdź do księdza, a gdy powrócisz znowu pogadamy.

Siedział potem staruszek przez czas niejaki na ganku, odpoczywając i prowadząc wzrokiem po całej swej dziedzinie, po całej chudobie i gospodarce, roztoczonej przed nim, po rozległej dolinie, na którą tylekroć przez ciąg życia swego poglądał! Smutnemi być musiały myśli i pożegnania jego! bo po kilkakroć oczy zachodziły mu łzami, i po kilkakroć wznosił je do nieba, błagając zapewne pociechy i uspokojenia strapionemu sercu! Nakoniec spostrzegł mnie siedzącego odeń z daleka:— Moje dziecię! rzekł zdziwiony, cóż to? czyż mnie, żyjącego jeszcze, już się lękasz?—Zgadł staruszek, bo w mojej wyobraźni, nawykłej od dzieciństwa do dziwnych i przerażających o umarłych powieści i urojeń, trumna ze spichrza już stała na środku pokoju, dziadunio leżał w niej umarły, księża śpiewali, świece i lampy paliły się, wszystko było straszno, ponuro i czarno!!!... Dziadunio mój zatem, siedzący na ganku, był upiorem na którego trudno mi było spójrzeć śmiało, a tem trudniej doń się przybliżyć! Lecz wreszcie czułe moje doń przywiązanie przemogło, gdy spójrzałem na zasmucone oblicze starca, wyciągającego do mnie swe ręce; znikła trwoga, żal i miłość ogarnęły serce, i rzuciłem się w jego objęcia!

Dzień był na schyłku, słońce zniżając się ku zachodowi osiadło nad lasem kończącym widnokrąg, i złociło żywym blaskiem dwa krzyże wysoko w oddaleniu błyszczące: tkwiły one i tkwią jeszcze na wieżach wspaniałego kościoła bucławskiego, oddalonego na mil kilka od domku mojego dziadka, lecz w dniach pogodnych dającego się łatwo spostrzegać. Widok ten ozdabiający okolicę i miły zawsze oku dziadka mojego, zajął go tem bardziej w usposobieniu, w jakiem teraz siedział ze mną na ganku.—Czy widzisz moje dziecię, rzekł on po krótkiem milczeniu, jak się tam pięknie świecą dwa krzyże złote?—To *Bucław!* odpowiedziałem.— Tak, *Bucław,* moje dziecię! ale nigdym ci jeszcze nie opowiadał cudownego założenia tego kościoła i od czego to miejsce *Bucławiem* nazwano? *)— Nie mój dziaduniu! nigdy! i kiedy dziadunio

*) Bucław, miasteczko w guberni wileńskiej, w powiecie wilejskim.

łaskaw.... Rozpogadzała się twarz staruszka, smutne przeczucia ustępowały widocznie nałogowej chęci jego rozpowiadania mi dziejów i pamiątek swoich: wróciła więc raz jeszcze, a to już raz ostatni chwila miłej, spokojnej i prostej, jako całe życie dziadka mojego, rozmowy jego ze mną której tylekroć słuchając, przywykałem sercem i pamięcią do jego myśli i wyobrażeń, niepostępujących za biegiem czasu i rzeczy, lecz dogorywających powoli, pod niską strzechą, w domowym przybytku staroświeckich cnót naszych!....— Otóż moje dziecię, co do Bucławia, tak było, zaczął mój dziadunio. Jednego z dawnych *regnantów* w tym kraju, Aleksandra Jagiellończyka *) prosili ojcowie Bernardyni wileńscy, których on podobno był i fundatorem, aby im wyznaczyć i darować raczył lasu na opał klasztorny. Ale że i w tamtych czasach musiały być częste procesy o dyferencye i granice, których biedni zakonnicy obawiali się, błagali więc oni króla, aby dla nich obrać kazał puszczę w takich pewnych granicach, o którychby nigdy żadnych wątpliwości nie można było wymyśleć ani uczynić. Trudna to rzecz była, moje dziecię, ale Bóg natchnął pobożnego króla, i wybrano podług prośby księży, a woli jego, włók lasu *praeter propter* ze dwieście, położonego między trzema rzeczkami *Serweczem, Terekiem* i *Zują*. Wyspę taką oddał król na wieczne czasy ojcom Bernardynom wileńskim, aby siedząc w cieple chwalili Boga i modlili się za duszę swego benefaktora.

— Dwadzieścia to i kilka mil od Wilna; ale Bernasie dali sobie radę, bo rzeczka Serwecz wpada do Wilii; a tak każdej wiosny, po wezbranej wodzie spławiali oni sobie tyle drzewa do Wilna, że nie tylko na opał swego klasztoru, ale jeszcze i na pewny dochód wystarczało.

— Że jednak tak wielki i pożyteczny obszar potrzebował pilności, a przez całą zimę trzeba było mieć pracowitych dozorców do wywożenia drzewa i do spławu; konwent przeto wileński posadził tam kilku braciszków, którzy na przebywanie swoje, kilka także budek wśród puszczy sklecili, i zbudowali malutką kapliczkę, dla pomodlenia się codziennego i dla mszy świętej, którą przebywający na tej pustyni razem z nimi, a wysyłany po kolejce z wileńskiego klasztoru, kapłan codzień odprawiał.

— Pewnego dnia zimą, moje dziecię, jeden z trzech braciszków, objeżdżając lasy, wracał pod wieczór do bud swoich i noc go zaskoczyła w lesie. Mróz i wiatr cisnął okrutny, noc ciemna choć oko wykol, wilki wyły straszliwie, biedny więc księżyna zwątpił o sobie, i polecił się Bogu, drżąc cały od zimna i strachu . . Nie wiedział on czy jest blizko czy daleko jeszcze od domu, gdy znagła postrzegł wielką jasność, jakby ogień jaki, przeświecający się przez drzewa. Uradowany więc, zbliżał się skwapliwie w tę stronę, myśląc, że jeżeli nie na własne budy, z których nigdy się tak nie świeciło, to na inne jakie mieszkanie ludz-

*) Historyczne.

kie natrafił: ale jakże się zdziwił, gdy wybiwszy się z gęstwiny wąziutką drożką, ujrzał się pod samą swoją kapliczką, a nad nią postrzegł w nadzwyczajnej jasności, jak w słońcu wizerunek Matki Boskiej, taki właśnie jaki był w jednym ołtarzu w kościele wileńskim *) Uczyniwszy więc głęboką adoracyę cudownemu temu zjawieniu, pobiegł i pobudził konfratrów i kapłana. Zeszli się wszyscy, i wszyscy widocznie ujrzeli toż samo zjawienie; popadali więc na kolana i modlili się, aż jasność i obraz zniknął, a konkludując, że Bogarodzica przeznacza to miejsce na szczególniejszą chwałę swoję, oznajmili natychmiast o wszystkiem do Wilna.

— Objawienie to powtórzyło się kilkakrotnie, a tymczasem przybyła na miejsce zwierzchność zakonna, a po zaprzysiężeniu naocznych świadków, sprowadzono z kościoła wileńskiego obraz, który się tak cudownie ukazał, a który i dziś w wielkim ołtarzu w Bucławiu jaśnieje, i umieszczono go w ubogiej kapliczce.

Wnet się rozgłosiła sława miejsca tego, poczęły się zgromadzać tłumy pobożnych, a ztąd wynikła potrzeba obszerniejszego domu Bożego i mieszkania przy nim kapłanów.— Wzięli się więc do dzieła ojcowie Bernardyni; ofiary codzienne pospolitego ludu i dary pańskie, tak ich hojnie wspomogły, że w krótkim czasie za pomocą Bożą zbudowali drewniany wprawdzie, ale przystojny kościołek i klasztor dla kilkunastu zakonników. A że najpierwiej od *Bud* wszystko poszło, że podobało się Bogu ubożuchne to mieszkanie biednych sług swoich, cudem rozsławić, przeto wynikła i denominacya miejsca tego złożona z *Bud* i *Sławy*, *Bud-sława*, a *per abbreviationem Budsław* i nakoniec *Bucław*.

Księża zamienili potem obszar swój leśny na kapitał, który, gdy się podwoił z nowych funduszów i legacyi, stanął przeto z czasem kościół *magnifice* wymurowany, i klasztor takoż, a tak pomnożyła się chwała Boża i pożytek ludzki; bo ze sto osób rozmaitej kondycyi żywi się i utrzymuje przy klasztorze, to w szkółce, to w bursie, to w posłudze kościelnej, to nakoniec w kapeli, która w każdą niedzielę i festa, piękną *rezonancyą* dodaje wspaniałości *apparencyom* kościelnym. Obraz zaś słynąć nie przestaje codziennie prawie łaskami Matki Boskiej!— Opowiem ci jeszcze moje dziecię.... Wtem zjawił się pan Jakób, wracający z plebanii i przerwał z widocznem nieukontentowaniem mojego dziadka, rozpocząć się mającą nową historyę. Nie trudno było poznać, że pan Jakób w ciężkim smutku swoim nie folgował sobie w konsolacyi...— Będzie mości dobrodzieju ksiądz proboszcz jutro raniuteńko przed nabożeństwem; jest tam i ksiądz definitor z Bucławia; kłania się jegomości dobrodziejowi! choć ze mną to inaczej było; nie bardzo grzeczne daliśmy sobie dobranoc!— A to dla czego? zapytał mój dziadunio.— Dla czego? Oto ni proszony, ni dziękowany wyjechał on z deklaracyą, że zaraz zasiądzie pisać exortę

*) Z miejscowego podania.

przy wyprowadzeniu ciała jegomości! Schowaj księże, powiedziałem, swoją ochotę i elokwencyę dla siebie! Pan skarbnik chce się spowiadać, to prawda, ale spowiedź nikogo jeszcze nie umorzyła, owszem często pomaga.— Na dobitkę potem zaczął dowodzić, że jegomość powinieneś kazać siebie pochować w habicie bernardyńskim, bo jesteś tercyarzem ich zakonu. — Imaginacya! odpowiedziałem. Pan skarbnik jest szlachcic z dziadów i pradziadów, więc będzie pochowany w mundurze i kwita. On swoje, ja swoje: pop przy kapturze, ja przy mundurze! Od słowa do słowa, przyszło do tego, że on mi powiedział: — „Idź wasan spać boś pijany.“ A ja powiedziałem, kociół garnkowi przyganę daje. . . trzasnąłem drzwiami aż okna zadzwoniły i wyszedłem.—Źle zrobiłeś, panie Jakóbie! rzekł mój dziadunio. Ksiądz definitor jest to pobożny kapłan, i dla mnie życzliwy. Cokolwiek on radził, to z dobrego serca. Wie on że ja, jako chrześcijanin zaufany w miłosierdziu Boskiem, śmierci nie obawiam się, a co do *ceremonii* pogrzebowych, dawno już wszystko to rozporządziłem. Testament mój znajduje się u mojego kochanego sąsiada pana marszałka i w jego też ręku ubogie moje za duszę ofiary, które wszystkie *in paratis* zostawuję. . . .

— Ja poszlę po doktora, ozwał się pan Jakób.

— A doktor mnie na co? jam zdrów, we mnie nie ma żadnej choroby. . . tylko. . . koniec życia, a na to. . . nie ma lekarstwa!

— Jegomość nie umrzesz, zawołał znowu pan Jakób, którego serce było teraz na ustach: jegomość nie umrzesz! mówił płacząc rzewnie, bo kiedy jegomość umrzesz, to i ja umrę; a nie, to pójdę piechotą choć za morze do Jerozolimy, jak książe Sierotka, modlić się za duszę jegomościa!—Nie potrzeba tak dalekiej peregrynacyi, panie Jakóbie. Na każdem miejscu módl się i pamiętaj o mojej duszy.

— Jegomość będziesz w niebie! dalibóg będziesz w niebie! jegomość taki poczciwy człowiek! a kiedy dusza potrzebować będzie pomocy, to jegomość mnie pokaż się: ja nie ulęknę się; albo przyśnij się mnie jegomość; to ostatnią kapotę sprzedam, a sprawię egzekwije! obaczysz jegomość!!!

Płakał pan Jakób choć bredził; dziadunio jednak pojął przywiązanie jego do siebie, chociaż tak szczególnie i dziwnie na życie i śmierć objawiane.— No, dość tego kochany panie Jakóbie, rzekł on, odprowadźcie mię do łóżka, bo nogi moje drętwieją i jakiś dreszcz po ciele przechodzi. . . układł się.—Wyszedłszy z panem Jakóbem, zapytałem go, o jakim to księciu Sierotce wspominał? — Ot imaginacya! odpowiedział Był jakiś pogański książe, o którym pisze, podobno w Tysiąc Nocy, który długo wędrował po całym świecie, i zaszedł aż do Jerozolimy, a nazywał się *Sierotka*: pan skarbnik wie o tem od deski do deski, ale ja tego dobrze nie pamiętam.—

Wśród rozległej i otwartej okolicy, którą zielonym szpalerem przedziela wielka droga, wiodąca w głębsze krainy północnej Li-

twy, na wzgórzu panującem nad całym obszarem, wznosi się kościół murowany, ku któremu z różnych stron głębokiemi koleinami poryte i kręto po polach wijące się podchodzą dróżki. Przy kościele drewniany stary klasztorek, niegdyś z dziesiątek jezuitów, dziś na wpół zapadły, i ledwo dwóch księży pomieścić mogący, a w niejakeim oddaleniu dom pocztowy i kilka włościańskich chatek—zajmują główne tło obrazu, któremu nizkie strzechy domówstwa mojego dziadka z boku w niewielkiej odległości rzucone, większej jeszcze prostoty i dobitniejszej wieśniaczej dodają barwy.

Odległa od miast głównych okolica ta, nie ma ruchu, ani zmiennej co chwila rozmaitości, właściwej ludniejszym podmiastowym krajobrazom. Spokojna i łagodna jednostajność, kołysana na falach pięknego zboża, okrywającego szerokie pola, lub zaległa na szarych zagonach pooranych błoni, rzadko tu czemkolwiek przerwaną bywa! ! !—Kiedy niekiedy pokaże się zdaleka na gościńcu długi ciąg powózek ruskich i przewlecze się leniwo od końca do końca przez całą przestrzeń widnokręgu; niekiedy także błyśnie pomiędzy brzozami broń przechodzącej drogą roty żołnierzy; a kilka razy na tydzień zamgli się na gościńcu w pyle trójka pocztowa, roznosząc w powietrzu echa wesołej trąbki, lub przeraźliwego dzwonka, i dając powód księdzu plebanowi i jego komendarzowi, do odwiedzenia wnet pisarza pocztowego lub zaproszenia go do plebanii, dla rozwiązania trzech ważnych kwestyj, kto jechał? gdzie jechał? i co z tego będzie? Cóż dopiero, gdy pisarz dodać może jeszcze, co on mówił? Ileż natenczas wniosków, sprzeczek i domysłów dyplomatycznych, z nowiny tej się wylęże! —Lecz w każdą niedzielę lub uroczystość kościelną, cicha ta okolica ożywia się i zaludnia. Wyprostowany od ziemi i otarłszy z czoła znój całotygodniowy, lud pospolity wszelkiemi dróżkami i wielkim szlakiem napływa do kościoła; skrzypią ponerady i kałamaszki, a wtórują im najczęściej skrzypki muzykantów, prowadzących do ślubu huczne weselne korowody. Poszykowane potem na placu kościelnym w osobne obozy, tłumy różnowzore i rozmaite, pieszych i konnych przybywając mieszczą się i czepią około płotów, oczekując w gwarze i natłoku rozpoczęcia nabożeństwa. Nakoniec dążą bryczki i torują drogę dla pięknych koczyków, przybywających najpóźniej, i jak kosze kwiatami, płcią piękną napełnionych.

Trzydzieści lat dziś się dopełnia, i powraca po raz trzydziesty dzień ósmy czerwca, gdy tenże sam obraz, i tejże samej okolicy, ożywionej jako i dziś uroczystością *Bożego Ciała*, przedstawiał się memu zasmuconemu oku! Uprzedzający zawsze i wszystkich do kościoła mój dziadek, leżał teraz słaby na łóżku. — Przepędził on noc bezsenną; zrana zaś dopełniwszy z najtkliwszą pokorą i skruchą wszystkich religijnych przedzgonnych obrzędów — w cichem zebraniu ducha oczekiwać zdawał się ostatniej chwili.

Sprawiedliwie tylekroć porównano życie ludzkie przy schył-

ku, do dogorywającego płomienia! Nagły wicher zdmuchnie go często przy samem zatleniu się; gwałtowna ulewa zagasi go nieraz, gdy jeszcze jasno się pali . . i to jest życie przerwane na początku, lub w połowicy! Lecz życie naturalnym biegiem zbliżające się do końca, tem podobniejsze jest do ogniska, wytrawiającego aż ostatnią swoją iskierkę, i z niej jeszcze jasnym, choć na krótko, błyskającego ogniem! Tak dusza ostatnich sił zwątlonego ciała użyje na przedłużenie życia, ostatnią kroplę zastygającej krwi zmusi do biegu; z ostatniej cząstki piersi wysili odetchnienie i zaświeci jeszcze w oczach, w mowie, i w jasnem pojęciu, a gdy zda się potem że już jej nie ma, znowu się objawia na nowo . . i na nowo niknie!—Mniemaćby można, że starość ma uzbierane zapasy życia i najtajemniej w rozmaitych kryjówkach, jak skarby u skąpca ukryte, które na ostatnią chowa potrzebę, i które wydaje powoli i najoszczędniej, otwierając po jednej, aż póki najtajniejszą wyczerpie. . . natenczas koniec!

Usypiał od niejakiego czasu i z kolei się przebudzał mój dziadunio; zdawało się że nie mniemał się tak blizkim zgonu, jakeśmy sądzili. Tymczasem, od kilku już godzin trwało nabożeństwo w kościele, mające się zakończyć jak zwyczajnie w to święto wielką procesyą do przygotowanych z maju i kwiatów ołtarzy.—Uderzenie we dzwony dało znak wyjścia procesyi z kościoła i obudziło staruszka.—Czy jest ołtarz przy naszym krzyżu? zapytał on u mnie: corocznie bowiem mój dziadunio prowadził sam celebrującego w procesyi do stacyi przy własnym krzyżu przybranej, i te solenne odwiedziny gorliwą modlitwą Bogu, a sutym obiadem plebanowi i całemu zebranemu duchowieństwu odwdzięczał.

— Krzyż ubrany, odpowiedziałem. — No! to i mnie wstać, ubrać się i wyjść pomóżcie!. . .

Po wczorajszemu więc, lecz słabszy niż wczora, wywlókł się staruszek za bramę pod krzyż, usiadł na podanem sobie szerokiem swojem krześle, i czekał z wypogodzonem zupełnie obliczem procesyi.—Wkrótce też, ogromnym chórem całego ludu śpiewana, dała się słyszeć najpierwiej nuta a potem pieśń:

«Niebo! ziemia! świat i morze!
I co tylko w was być może!
Jak najgłębiej upadajcie,
Pokłon Panu z nami dajcie.»

Zruszył się mój dziadunio z miejsca, chcąc upaść na kolana. Wprzód go chcieliśmy zatrzymać, potem pomódz musieliśmy koniecznemu jego żądaniu i wspierać klęczącego. Ukazał się najprzód zdaleka krzyż wielki, posuwający się powoli, a niesiony przez pana Jakóba, który przywileju tego nikomu i nigdy nie odstępował. Nad nim i za nim powiewały chorągwie: zbliżały się potem gęste ognie jarzące w rękach kaplanów, i bractwa i dziatwy, spokojnie palące się podczas pięknej dnia tego pogody; postępował w środku ksiądz pleban pod baldachimem, niosąc w ręku

wzniesione nad ludem, jakby ognisko światła, wiary i chwały, bogate *Monstrancyum*, okryte wianeczkami z kwiatów i ziółek polnych, w dniu tym zwykle poświęcanych . . Któż nie zna porządku, powagi i wspaniałości uroczystych procesyi? lecz komuż miłem nie będzie, jako i mnie piszącemu, wyobrażenie i przypomnienie onych.

Zmienia się pieśń przy zbliżaniu się do ołtarza; tryumfalnym tonem i słowami umyślnie na tę uroczystość złożonemi, obwieszcza się przyjście Pana:

«Idzie! idzie! Bóg prawdziwy!
Idzie, Sędzia sprawiedliwy,
Stanąwszy pięknym kołem,
Uderzmy wszyscy czołem.»

O mój Boże! zawołał starzec przenikającym do głębi serca głosem, usłyszawszy te pienia i wyciągając ręce ku zbliżającej się procesyi—o mój Boże! ja to! ja idę do Ciebie! ... ja przed sąd Twój stanę natychmiast! o mój Boże! zmiłuj się nademną!!!

Chwiejącego się zupełnie i słabego starca podjęliśmy i posadzili na krześle. Wzruszenie mocniejsze nad siły zwątlone, mowę mu odjęło; łzy jednak, płynące potokiem po twarzy, świadczyły że przytomny zupełnie; nie mogąc usty, modlił się duszą i myślą.

Po odśpiewaniu Ewangelii ruszyła nazad procesya, i zabrzmiały znowu słowa:

«Idzie! idzie! światłość wieczna!
Idzie! idzie! moc przedwieczna!
Stanąwszy pięknym kołem
Uderzmy wszyscy czołem.»

O! nigdy nie zapomnę natenczas twarzy mojego dziadka! na mojej młodej wyobraźni został jej obraz na zawsze! cała reszta życia zebrała się mu na oblicze, a życie to było już tylko samą miłością ku Bogu, i pragnieniem połączenia się ze *światłością wieczną*, która oddalając się, ciągnęła duszę jego za sobą!!! Podniósł on znowu ręce za procesyą, i nakoniec odpadł na krzesło . . . Odnieśliśmy zemdlonego na łóżko, bez nadziei aby raz jeszcze wrócił do życia.—Tymczasem, najrychlej jak mógł, po nabożeństwie, przybył ksiądz pleban, starzec mało młódszy od mojego dziadka, kilkadziesiątletni jego przyjaciel, codzienny wspólnik życia, zabaw i towarzystwa, a jako stróż sumienia, powiernik wszystkich myśli i zamiarów.—Za nim ksiądz definitor i kilku jeszcze przybyło kapłanów. Pan Jakób pierwej przybiegłszy, klęczał w pierwszym pokoju przed obrazem Najświętszej Panny, i zebrawszy około siebie czeladkę domową, modlił się z płaczem i łkaniem. Księża obstąpili łóżko, i gdy jeszcze jakiekolwiek ślady życia dawały się postrzegać, rozpoczęli modlitwy nad konającym zwykle odmawiane; ja nakoniec drżący z przerażenia, trwogi i żalu, stałem pomiędzy nimi! . . .

Wtem, odetchnienia umierającego stawały się coraz wyraźniejszemi; otworzył oczy, powlókł wzrokiem spokojnym po nas otaczających . . wziął potem za rękę księdza plebana, i cichym z początku, ale coraz wyraźniejszym głosem mówił: Dziękuję tobie mój ojcze, że mnie nie opuszczasz w tym ostatnim terminie . .—Błagałem Boga przy ołtarzu, rzekł proboszcz, o zdrowie dla ciebie panie skarbniku, i prosiłem wszystkich parafijan, aby także modlili się za twoje zdrowie. . . — Ach, mój ojcze! niechby się wolej modlili za moją duszę! . . . poszlijcie po moich chłopków, trzeba mnie i z nimi się pożegnać . . — Nie trzeba było posyłać, wszyscy oni z nabożeństwa prosto zaszli do dworu, i w sieniach czekali niespokojnie, co się stanie z ich ukochanym panem. Otworzono więc drzwi i napełnili izbę włościanie. Odwrócił ku nim głowę mój dziadunio, i mówił jak mógł najdobitniej.—Moje dziatki! umieram ja i żegnam was i błogosławię . . i was i dzieci wasze . . i chudoby . . . i chatki wasze! ! ! dziękuję wam za waszą życzliwość dla mnie! i za pracę waszą! i za chleb! . . .—Przerwał się głos starca, odpoczywał i zbierał ostatnie siły . . — Darujcie mnie, jeżelim którego z was mimowolnie ukrzywdził—darujcie dla miłości Boga! ! ! kto was po mojej śmierci krzywdzić odważy się, tego na sąd straszny zapozywam! — To ostatnie zapozwanie wymówił wyraźniej i znowu zamilkł

Włościanie żalem przejęci, nie wiedzieli sami co czynić. Jedni łzami zalani poklękali około łóżka i całowali kraje prześcieradła, którem umierający był nakryty; drudzy nachyliwszy głowy ku ziemi, klęcząc także, dotykali się rękę prawą obu swoich policzków; jestto u nich znak głębokiego uszanowania i adoracyi! inni popadali krzyżem na ziemię przy panu Jakóbie i odmawiali z nim litaniję.

Nakoniec mój dziadunio skinął abym się zbliżył i ukląkł, wyciągnął rękę, położył na mojej głowie i przez chwilę tak zatrzymawszy, uczynił potem znak krzyża na mojem czole . . powtórzył go raz drugi i trzeci, usiłując wymówić swoje nademną błogosławieństwo! Niestety! oczy mu tylko, które na mnie zwrócone trzymał, łzą zaszły . . . i ręka z głowy mej spadła . . . raz jeszcze podniósł ją mój dziadunio ujął za krzyżyk drewniany z wizerunkiem Chrystusa, który na piersiach nosił i do ust go swoich przyłożył, lecz przywarć ust i ucałować krzyża już nie mógł; tak więc z krzyżem na ustach zostawał . .

Widząc coraz rzadsze i słabsze odetchnienia umierającego, ksiądz pleban gromnicę gorejącą włożył mu w rękę i własnemi rękami ją utrzymując, rzekł uroczystym głosem:—Polecaj się Bogu chrześcijaninie! a stojący obok ksiądz definitor dodał ponuro:—wychodź duszo chrześcijańska! — Zadrżałem na te wywoływające słowa! Ściśnienie ręki proboszcza i gromnicy, dało poznać że jeszcze żył konający! głębokie potem milczenie opanowało izbę, łzy ciekły po twarzach wszystkich, ale nikt poruszyć się nie śmiał . . Anioł śmierci już był pomiędzy nami! Wnet ksiądz pleban u-

chylił się nad konającym. Po chwili podjąwszy głowę, wzniósł oczy ku niebu . . i zdmuchnął gromnicę!

Wkrótce zabrzmiały dzwony kościelne i sprawdziły wczorajsze przeczucia mojego dziadka! — Oto kamień mchem porosły na grobie jego, a na nim zaledwo już wyczytać się mogące te słowa. „Żył poczciwie! wierzył po prostu! umarł spokojnie!“



OSTATNIA SESYA

EKSDYWIZYI.

W szczęściu miałem tłum przyjaciół!
Co mię wiecznie kochać mieli;
Lecz gdy mię los z mańki zaciął,
Wszystkich razem djabli wzięli.
Dawna piosnka.

Ostatnie posiedzenie sądu dzielącego majątek biednego dziedzica między jego wierzycieli, podobnem jest do ostatniej godziny polowania, w której, mówiąc wyrazem myśliwskim, gończe z oka biorą źwierzynę. Lis stary, szczwany, jak to powiadają, da jeszcze kilka tęgich obrotów, nim go pogoń lub śrót zabójczy dosięgnie; ale trwożliwy zajączek dobywa sił ostatnich, aby doścignąć swej kniei ojczystej z której go wypłoszono, jakby tam koniecznie poledz pragnął, gdzie się urodził! Liczna stron gromada wywiera ostatnie, a najtęższe usiłowania na zbicie wszelkich środków obrony dziedzica; oblega stół sądowy prośbami tyczącemi się wartości rozdzielić się mającego majątku, miejsca gdzie kto wybiera i daną mieć sobie życzy schedę i wytknięcia najdobitniejszych, czy to błędów, czy to nieszczęść dziedzica, błędami ochrzczonych. Nareszcie uderzają go jakby na waletę, ostatnie razy mściwej niechęci, zawiedzionej nadziei, skarżącego się ubóstwa, nierozważnego natrząsania się i zwolna dopiekającej intrygi. Ten, który przeszedłszy różne koleje życia, nauczył się dotrwać w każdej, odpowie jednym, odepchnie drugich, pobłaży możniejszym, lękliwym pogrozi i da uczuć, że jeszcze zupełnie nie upadł; wzgardzi innych, podwoi w tej stanowczej chwili siłę działania i osobistość swoją nad tamę pogrążającą jego fortunę wyniesie. Ale młodzik, nieznający ludzi ni świata, któremu chciwy interes z nieostróżnej i łatwowiernej korzystający młodości, wprzód wydarł fundusz, nim on poznał wartość onego, który przebył drogę do zguby z zawiązanemi, że tak powiem oczyma, który we wszelkich stanowczych zdarzeniach życia, ledwo, że nie traci przytomności, a najmniej nie zdoła utrzymać siebie na stopniu umy-

słowej nad losem wyższości; taki zazwyczaj z sercem ściśnionem i ze łzą w oku, słucha jakby nie słyszał uderzających go wyrzutów, i do poniesionej straty chleba dodałby jeszcze lat kilka swojego życia za skróconą jedną chwilę, tego ostatniego paroksyzmu swego moralnego skonania. Mamy prawa na bankrutów; czemuż nie mamy na tych, którzy do bankructwa prowadzą? Kiedy widzę młodego człowieka otoczonego rojem pochlebców, obłudników, samolubów, próżniaków, i szachrajów, prowadzących go do zguby, przypomina mi się obraz od nianiek jeszcze opowiadany, jakto szatani dobrą duszę grzesznika do piekła zapraszają. Oto go otoczyli w około; jeden mu się kłania pięknie, drugi go pod rękę prowadzi, trzeci na fletrowersie marsz przygrywa, inny go z tyłu popycha, inny znowu ścieżkę gładzi i umiata; a wszyscy ciesząc się ze zdobyczy dowodzą, że w piekle i wygodnie i ciepło.

Na obszernym dziedzińcu, do którego przez bramę ze zwyczaju tylko wjeżdżano, bo opadłe sztachety i parkany wszędzie wolny dawały przystęp, wznosił się staroświeckiego kształtu budynek, którego jedna część z oknami całemi, zalecała się jako mieszkalna, środek szybami po większej części papierowemi, oznaczaćby mógł letnią rezydencyę, a jedna trzecia część bez okien i pusta, wyraźnie dawała poznać, że spustoszenie tu, jak zwycięztwo od lewego ku prawemu postępując skrzydłu, właśnie nad środkowym korpusem pracowało, a dziedzic w ostatniej reducie warownie się oszańcował. Reszta budowli otaczających dziedziniec, jednegoż z głównym rumem doświadczały losu. Wysoki lamus jak olbrzym stary, na szczudłach wsparty, poglądał z góry ogromnem wołowem okiem na własną mizeryę, i na kuchnię u dołu jego codzień niższą, która nań wzajemnie, jak zgrzybiała i osmalona babula, pokornem i przyćmionem z ziemi mrugała oczkiem, a przez dach, jak z pod starego kapiszonika, suche wyciągała ramiona. Naprzeciw stajnia i wozownia, niezamożna wprawdzie w zaprzęgi i powozy, lecz za to wozownia wartą była obejrzenia przez amatora starożytnych pamiątek; można ją było wziąść za skład wydobytych gdzieś jak z Herkulanum złomków woźnictwa średnich wieków. Ogromne czerwone od karety pudło ze czterma gałkami na wierzchu, na których ostatki pozłoty błyszczały jeszcze, główny kąt zajmowało; stary pokurć Bryś i kuchcik Janek, wielcy między sobą przyjaciele, wygodną w niem mieli gospodę. Z drugiego kąta strwożyć mogła niebacznego przechodnia, straszliwa głowa murzyna od paradnych niegdyś sanek urwana; nieraz w nich zapewne przed jakich stu laty, młodą piękność rzeźwy i zręczny powoził młodzieniec, a murzyn niemowa stercząc na przodzie, był jedynym powiernikiem ich oświadczeń i przysiąg; dalej szkielet poczciwej taradajki, w której nieboszczyk dziadulek dzisiejszego dziedzica tych skarbów objeżdżał z koronką w ręku pola, łąki i lasy; z bliższych epok ćwierć faetonu i półtorej kałamaszki.—Ale któż wyliczy bogaty zbiór kół i półkołów, bryczek, półkrytków, z których ręka znawcy gabinet ułożyć-

by mogła. Niestety! przyjaciel Brysia nie jeden rosół na tych pamiątkach zgotował, i jak mię późniejsze doszły wieści, wszystkie je tym sposobem, nie oszczędzając i własnej kwatery, zniszczył.

Wśród tych powszechnych ruin, jeden tylko folwarek gospodarski staranniej był opatrzony; mieszkał tam bowiem pan Baltazar ekonom, dbający bardziej o własne niżeli o pańskie wygódki.

Właścicielem dworu tego był pan podkomorzyc, jedynak, dobrego urodzenia i wychowania, którego fortunie ostatnia wybiła godzina: i dla tego na dziedzińcu jego, w dniu tym, który mi za treść służy, szczególniejszy zbiór i ruch postrzegać się dawał. Kilkanaście rozmaitych powozów stało przed stajnią, kilkadziesiąt osób różnego wieku i stroju, żywą prowadzących rozmowę, przechadzało się wielkimi krokami pomiędzy kilkunastu rozmaitej maści końmi, puszczonymi wolno na osty i pokrzywy gęsto na dziedzińcu porosłe. Grupy te łączyły się lub rozdzielały podług woli i kierunku koni dążących tak lub owak do bujniejszej trawy: często najważniejszą naradę przerywał i roztrącał deresz lub siwak wciskając się nieproszony między gromadę konsultatorów; często znowu na jakieś niewiadome hasło, całą kompanię ludzką pochłaniał budynek, a natenczas konie zdumione nagłem osamotnieniem podnosiły głowy, wyciągały chude szyje, i rżały jakby szyderczo.

W budynku samym, scena w ciaśniejszym zawarta obrazie, ożywieńszą jeszcze była. Tam w jednej z izb lepiej opatrzonych obrano sądowę; na środku postawiono długi stół, na nim krucyfix, stróż sumienia sędziów, i dzwonek, godło prezydenckiej władzy; w około stołu trzy krzesła, a za pierwszym z nich woźny, urzędową jak mogąc utrzymujący minę, oczekiwał na przybycie sądu i niedospaną fizyognomiję swoją ożywiał, trzęsąc często z rożka na kułak tabakę i ogromnym ją po kułaku dziubiąc nosem. To przybranie nadawało miejscu temu niejakąś powagę, a jednakże interes nie zważając na to żwawo się tu krzątał i pracował; drzwi się bez ustanku otwierały na oścież, lub się z trzaskiem zamykały; tłum rozmaitych figur tłoczył się i mieszał; tam rozkładano papiery, ówdzie rozpostartą na rękach trzymając mapę, kilkunastu z ichmościów na rozmaitych jej punktach, wzrok i palce oparli; kilku z czynniejszych facyendarzy przewijało się raźniej i żywiej nad innych; przebiegali oni od jednych do drugich, odprowadzali na sekreta, i wśród powszechnego gwaru rozprawiali wprawdzie ciszej na głos, ale mocniej na gesta i migi. Kiedy nie kiedy usłyszałeś tylko: „połowę na *bars gelt!*“—sto. . . ani grosza więcej!. . zjedz sto djabłów. . . połowę kapitału! Na suche bory i lasy. . Nie doczekasz! zgoda! i tym podobne wykrzykiwania; oznaczające zawarte lub zerwane układy.

W zgiełku tym, tłumie i zamieszaniu, odróżniał się spokojną postawą młodzieniec lat dwadzieścia kilka mieć mogący, pięknej postaci i łagodnych rysów twarzy, na której jednak nagłe zmiany

bladości i rumieńca, okazywały wewnętrzne mocne cierpienia i wzburzenia krwi gwałtowne. Stał on w izbie sądowej oparty o okno i obojętnem na tłum zgromadzony zdał się poglądać okiem; przybywający do sali zimnym go witali ukłonem, wyżeł tylko siedząc na tylnych łapach przed panem swoim, patrzał mu w oczy jakby chcąc zgadnąć myśli jego, lub warował u nóg i burczał na przechodzących. . . Powiadają, że pies wierny zgaduje nieprzyjaciela!

Młodzieniec ten był to dziedzic rozdzielającego się majątku, pieszczony niedawno i szanowany od tych wszystkich, którzy dziś na stypę jego fortuny przybyli.

W końcu przy drzwiach stała jeszcze jedna figura spokojna i nieporuszona, człowiek dobrze podżyły, ale czerstwy jeszcze i krzepki; uroda więcej niż mierna, rumiane policzki, włos siwy na głowie i takież wąsy, a w całej twarzy wyraźna poczciwość ale nie łagodność wszakże. Stary to sługa domu dziedzica, ojcowski jeszcze, lecz od lat już dziesiątka szlachcic na zagrodzie w pobliskiej okolicy! patrzy on ze smutkiem na swego kochanego panicza, na dwór w ruinach, za jego służby zamożny i porządny; na nieproszonych gości napełniających izby; patrzy. . . milczy. . niekiedy pokręca wąsa i duma! . . Jeden z uwijających się lityganów zbliżył się do pana Dagockiego (to było jego nazwisko), szepnął mu coś do ucha, mruknął coś nazad Dagocki, a forsujący odskoczył raptem w tył i przeżegnał się, widać że niepomyślną wziął odprawę.

Wtem otworzyły się zamknięte dotąd podwoje i weszli sędziowie, a za nimi z wielką księgą pod pachą, w wytartej kapotce, przenikliwem na wszystkie strony rzucając okiem i z piórem za uchem, regent sądowy. Rzekłbyś, że gwałtowny wicher uderzył raptem z tyłu na tłum zgromadzony, i razem wszystkich pochylił ku ziemi. Potem sprostowały się figury, a tymczasem na skinienie prezydenta, ozwał się najuroczystszym jak mógł głosem woźny: „Sądy taksatorsko-eksdywizorskie przywołują się!“ Panowie! rzekł potem prezydent, proszę panów ostatnie dziś nam przynieść *petyta*, gdyż dziś niezawodnie weźmiemy sprawę do namowy i to jest ostatnia sesya.“ Na te słowa szmer szczególniejszy dał się słyszeć po sali, ruch się podwoił, tłum się przewracał, popychał, szeptał i warzył, a tymczasem sędziowie zasiedli swe miejsca. „Słuchamy, rzekł znowu prezydent! cóż panowie“? Wystąpił więc z tłumu pan Grzegorz mecenas, główny plenipotent kredytorów. Figura tego jegomościa sucha, a podobniejszego dobierając malowidła, wymokła i jakby potem zawędzona, przedłużała się długą bocianią naprzód wysuniętą szyją, a kończyła się głową spłaszczoną na skroniach i policzkach, co tem wydatniejszym czyniło nos pana mecenasa, kobuziego kształtu, z bogatym na końcu rubinem w miedzianą jakoby oprawę osadzonym, bo do takiego koloru zbliżały się policzki jegomościa. Włos na głowie jego rzadki, nastrzępiony był niedbale nad czołem, które on marsz-

czył, stosownie jak ważne i zawzięte, lub łagodne snuł zamiary myśli; a razem też się wytrzeszczały lub mrużyły zapadłe głęboko oczy pana mecenasa. Zawołanyż to jurysta starej szkoły! *Quondam* aplikant, a potem agent trybunalski, z kolei naczelny powiatowy prawnik, i, co nie dawno jeszcze szło za tem, naczelny do haustu; nakoniec odstawny pieniacz, czyhający na wszelkie zjazdy, zajazdy, inkwizycye, tradycye, eksdywizye, na których jako tęgi planista i doświadczony *executivus*, ważną zawsze grał rolę. Całą on swoją drogę życia najwyborniej i gładziuteńko przechodził, bo wołał na wszystkich, wszędzie i zawsze słowami swojej profesyi: prawo! prawo! prawo! a sam zawsze szedł na lewo, i dla tego nigdy się nie zaczepił!!! Wyciskał się tedy pan obrońca z pośród swoich litygantów. a co krok pociągany za kubrak nachylał się na jedną i na drugą stronę; każdy mu szeptał słów kilka do ucha i za każdym razem kiwał on głową i powtarzał: „rozumiem! rozumiem! pamiętam! aha! aha! dobrze! dobrze!“ i tym podobnie. Jak kuryer zabiera po drodze listy do miejsca, gdzie się ma z tłomokiem rozpakować, tak pan mecenas z pełnym ładunkiem przybył do stolika, i wyprostowawszy się zawołał:

„Sądzie eksdywizorski! Wielmożni panowie dobrodzieje! proszę o głos!“—Prezydent skinął głową, a pan mecenas zcicha, powoli i lamentującym głosem tak mówił: „Otóż chwila sędziowie! w której macie stanowić o losie kilkudziesięciu osób i familij, które fundusze swoje w marnotrawne powierzywszy ręce, za gotowe i krwawą pracą zebrane pieniądze, kawałek ziemi nieużytecznej i wcale im niepotrzebnej otrzymać mają. Stoją tu przed wami, sędziowie! w znacznej liczbie zgromadzeni nieszczęśliwi kredytorowie, wyglądający od was sprawiedliwości i wyroku, przez który mądrość wasza zajaśnieje przed światem, i słynąć będzie w potomne wieki! Nie będę powtarzał poszczególnych wywodów interesu każdego z przychodzących wierzycieli, ani mojego własnego; bo to już w kategoryach osobnych, w produktach i replikach, miałem honor sądowi przełożyć: w ogólności więc tylko i ostatecznie zastanowię uwagę sądu nad tem, jaki jest stan i wartość funduszu pod rozdział idącego, konkludując oczywiście, że takowy wystarczyć nie może na usatysfakcyonowanie debitów pana dziedzica i jego antecesora, a zatem, że surowość prawa i rekurs dalszy *ad bona superabilia*, rozciągniętym tu być musi i powinien! Po tym wstępie, mówca coraz żywiej głos podnosił: „Cóż tu wziąć mamy sędziowie? ziemię! ale jakąż ziemię? piaski! podzoły! błota! mchy! na których kredytorowie żurowiny tylko zbierać będą! a reszta choćby lepsza z natury, to pusta, nieuprawna, nieurodzajna, to Arabija! sędziowie, to Arabija!!!“—A wiele wasan z tej Arabii zjadł pierogów, odezwał się z kąta gruby głos pana Dagockiego, bodaj wasan tyle...—Uciszcie się panowie! uciszcie się! przerwał woźny...—Nie, sądzie prześwietny! fałszywy to i nadto śmiały głos w obliczu waszem przerywa mnie; mało tu było pszenicy, mało pierogów, a wkrótce nie stało i chleba; ale

wszakże nie tem co było, lecz tem co jest dzielić się mamy, i tem gorsza nawet wina dziedzica, że objął, dajmy to pszenicę, a oddaje plewy, że objął intraty i urodzaje, a oddaje pustki. Bo zważ sądzie prześwietny! mamy tu wprawdzie wysadzane ulice i klomby jak je nazywają, a w rzeczy samej łozowe krzaki, w jakimś niby to ogrodzie założonym na nowo przez teraźniejszego dziedzica: ale nie mamy lasów wyciętych bez potrzeby i ładu, nie mamy łąk, zarosłych i zapłynionych w trzęsawiska przez niedbałość gospodarza“—Za każdym następnie satyrycznym peryodem mówca szeroką rozpościerał gestykulacyę, rzucając kiedy niekiedy wzrok na dziedzica opartego przy oknie.—„Na klombach że tu tylko zasiewać i gospodarzyć, bo na polach niemasz z czem, i nie ma na co! kilka nędznych krówek w oborze, dwie stare i chude szkapy w stajni, oto cały dobytek gospodarski i nierogaty. Mamy za to psów bez liku i dobrze wykarmionych, tu wskazał tłustego legawca warującego u nóg Karola, ale tej trzodki zrzekają się kredytorowie dla dziedzica, niech cała przy nim zostanie! Z licznej ruchomości, pozostają już tylko podarte obicia na ścianach, połamane taborety i stoły, szafy bez zawiasów i kluczów, i liczny zbiór butelek szampańskich i porterowych, niestety! próżnych.“ Uśmiechnął się tu mówca, uśmiechnęli się sędziowie, rozśmiała się publiczność, a pan Dagocki głową pokręcił. „Mamy i bibliotekę, ale nie wiele widać zawierają te księgi mądrości, gdy je pan dziedzic czytając ciągle, sposobu mienia pieniędzy nie wyczytał! Niechże je i dalej szczęśliwie czyta, w czas mu będzie filozofija przy hołocie, dla tego i biblioteki zrzekają się kredytorowie. Cóż mówić o budowlach i o całem *fundum?* W gumnach, stodołach i spichrzach pustych, deszcz przez dachy i ściany rynsztokami leci, a w dwóch tylko czy trzech tu pokoikach, zaledwo może sąd prześwietny, sam pan dziedzic, i my biedni kredytorowie jak pod parasolam ściśnieni, usiedzieć! Cóż tu więc sędziowie? i jak taksować będziecie? kiedy nie intraty, nie wartość kapitałów, ale rudera, a zatem *onera* na karki kredytorów rozdawać macie. Prosimy zatem sądu o likwidacyę *cum altero tanto* i z nawiązkami! prosimy realizacyi i zasądzenia pen i kontumacyów!“ Tu pan adwokat zajadle już wrzeszczał, przyśpieszał słowa jedne za drugiemi, przysiadał i podskakiwał raptem na stolik, i zakreślał w powietrzu palcem wskazującym i szerokim na nim herbowym krwawnikiem od ucha do stolika półkole: „pen i kontumacyów! bo dla czegóż jegomość nie stawał u sądu? dla czego narażał na kłopoty i ekspensa, swych łatwo mu wiernych przyjaciół, swych, śmiało powiedzieć mogę, dobrodziejów? prosimy o licytacyę wszelkiej, prócz psów i biblioteki, ruchomości! prosimy o kalkulacyę *de asse et grano* z pana dziedzica; obowiązany on zdać ją, obowiązany pokazać, gdzie podział fundusz własny i pieniądze kredytorskie? Prosimy o lokacyę *secundum potioritatem*, a w tej kolei, o pierwszość dla siebie i JWielmożnego chorążego tu obecnego, *ante omnia* suplikuję. Pro-

simy nakoniec o uchylenie wszelkich wniosków, żądań, lub za przeczeń dziedzica: bo gdyby jakiekolwiek czynić śmiał, zawołamy do niego; .. tu mówca zwrócił twarz ku młodzieńcowi stojącemu przy oknie, a palcem stukał po stoliku: „Zawołamy do niego, oddaj coś winien! *redde quod debes!* oddaj nierzetelny debitorze, oddaj rozrzutny paniczu! oddaj marnotrawny synu coś winien! *redde quod debes!* a nieoddajesz pieniędzy? to oddaj wszystko co masz, i wszystko co mieć możesz; a nawet oddaj własną osobę: bo tak chce sprawiedliwość, bo tak każe prawo artykułu z rozdziału statutu litewskiego! . Na tę apostrofę zagrażającą jego osobie, dziedzic jakby niespodzianie i nagle żmiję u nóg swych postrzegł, wstrząsł się i zbladł jak chusta.— „Nie masz klemencyi i moderaminu! kontynuował pieniący się konwulsyjnie pan Grzegorz, nie masz! bo i temu prawo i sumienie sędziów zaprzecza! Sędziowie! *pereat mundus fiat justitia!* to jest, jak się kto opisał, tak sądzon być ma!"

Odszedł od stołu mówca ocierając czoło zapotniałe; lityganci kłaniali mu się na znak zadowolenia z odbytego głosu, JW. chorąży scisnął mu rękę z uśmiechem, a łzy toczyły się po zbladłej twarzy dziedzica. Krzykiem mówcy czy instynktem zbudzony wyżeł, zerwał się gwałtownie, warknął i chciał się nań rzucić; chwycił go za obrożę pan jego, a woźny słysząc hałas i nie zważając od kogo pochodzi, krzyczał z nałogu: „uciszcie się mości panowie! uciszcie się!"

Czy ma co do odpowiedzi obrońca massy? zagadnął znowu prezydent: słuchamy! Wyszedł zatem z gromady chłopiec elegancko ubrany i przystąpił do stolika z miną niedbałą, z jaką przystępuje doktor do pacyenta bez nadziei; zabrał głos i tak zaczął: „Z obowiązku mojego i w swoim czasie, odpowiedziałem poszczególnie i dostatecznie na wniesienia każdego kredytora: teraz pozostaje mi tylko prosić sądu, aby mimo wymowny głos godnego obrońcy wierzycieli, sąd nie zapominał uwagi w sprawiedliwych decyzyach swoich na formalność zapisów i podług niej kasował..." Tu nagle postąpił do stolika dziedzic, odsunął swego obrońcę; twarz mu teraz pałała gorączką, głos drżał na ustach, mówił szybko i dobitnie, bo mówił z serca. „Nie, sędziowie! niemasz żadnej nieformalności w moich długach; za podpis mojego ojca ręczy moje sumienie, za mój podpis ręczy mój honor! gdzie takowe podpisy znajdziecie, wszędzie jest należność sprawiedliwą! Zliczcie więc takowe należności! zaspokojcie je choćby ostatnią stopą ziemi, dotąd mojej ojczystej! Nie oszczędzajcie żadnej mojej własności, choćby tego ostatniego fraka mojego! ja was o to proszę! a jeżeliby wszystkiego co mam, mało było, pójdę z ochotą pracować przez całe życie na korzyść moich wierzycieli, bylem nie miał na mojem sumieniu i w przekonaniu poczciwych ludzi zarzutu, żem pragnął cudzej własności, żem się dobrowolnie i rozmyślnie przyłożył do czyjejkolwiek złej doli!" Odszedł; spójrzeli nań wszyscy z zadziwieniem i potem spójrzeli po sobie, jakby z zapyta-

niem wzajemnem, co czynić należało? Tymczasem obrońca massy znowu niedbale przysunąwszy się do stolika, odezwał się: „W takim razie, sędziowie! ja nie mam nic do powiedzenia". Prezydent więc już brał się za dzwonek, gdy rozepchnąwszy tłum, pan Dagocki stanął przy adwokackim stoliku, i rzekł: „Ale ja, mospanie tego, mam jeszcze coś do powiedzenia sądowi. Sędziowie dobrodzieję! słuchałem ja, a bodajem ostatni raz słyszał, mowy długiej pana Grzegorza, którego znam i z pierza i z mięsa, mospanie tego. . . Podsunął się obok pan Grzegorz, to jest obrońca kredytorów, i przerwał: „Upraszam sądu o zapytanie tego jegomościa, jakiem prawem rwie się do głosu i śmie zabierać godziny sądowe? a nawet nie prosił głosu! – A to śmieszna rzecz, mospanie tego, pan Bóg dał mnie głos, na cóż mam o to kogoś prosić? i używam mego głosu i języka poczciwie. . . — Być to może mój panie, odezwał się prezydent, wszelakoż jeżeli pan nie jesteś kredytorem lub czyimkolwiek plenipotentem, więc nie masz prawa mówić u sądu. – „Aha! rozumiem, mospanie tego! a zatem kiedy tak koniecznie potrzeba, poszukamy, poszukamy... Tu pan Dagocki wyjął z zanadry i rozwinął stary, niegdyś czerwony pugilares, i włożywszy okulary, rozpoczął egzamin znajdujących się tam papierów; otoczyli go z bliska wszyscy, i zwrócili nań oczy. Tu są różne mantyki, mospanie tego, mówił rozpatrując powoli, była tu i karta nieboszczyka podkomorzego na sto talarów bitych. Zaraz!... zaraz!... to, nie, to nie to: to świadectwo nieboszczyka podkomorzego, Panie! świeć nad jego duszą! żem mu lat dwadzieścia ośm poczciwie i wiernie służył! a może ichmość nie wierzycie że można tak długo w poczciwości dotrwać? to proszę czytać, kiedy łaska! Nie chcecie? no, to niechaj sobie, mospanie tego... Proszę uniżenie! gdzie to ta karta podziała się? To patent bractwa różańcowego XX. Dominikanów na pierwszego bratczyka; a to assekuracya, mospanie tego, tychże ojców że ja będę w niebie!— Assekuracya, krzykniono! pokaż panie Dagocki, pokaż, zmiłuj się!— Nic z tego nie będzie, odpowiedział starzec i schował papier, niechcieliście czytać mojego świadectwa poczciwej służby, to i drogi do nieba nie pokażę. To, przepis doświadczonego lekarstwa na ochwat, a może któremu z ichmościów zdałoby się mospanie tego... dla koni? nie, jak sobie chcecie! Dziwna rzecz! pewnie moja imość gdzieś tę kartę zakantopiła: oj, bo ta moja imość!!! To dekret wywodowy mojej rodowitości; mniejsza co on pisze, ale żem szlachcic z antenatów, to tak mi Panie Boże dopomóż! Aha! otoż znalazłem, proszę. W rzeczy samej, wyjął pan Dagocki stary i zawalany szpargał, i złożył na stole sądowym. Prezydent obejrzał tę kartę i oddał onę dziedzicowi; ten również obejrzawszy,—tak, rzekł, jest to podpis mojego ojca: pierwszy raz o tej należności słyszę.—I nigdybyś o niej mospanie tego nie posłyszał, ale potem o tem; a teraz mamże już prawo mówić? Sędziowie dobrodzieje!... wstał pan regent i podchodząc do prezydującego rzekł z cicha, „*a salarie*"...— Mniejsza, odpowiedział

ten, formalności spełnią się później, a teraz aby nie ściągać czasu, ma głos pan Dagocki!—„Dziękuję mospanie tego! dobrze. Nie mogę ja sędziowie, gadać tak gładko i po łacinie jak pan Grzegorz, bo ja w szkole nie bywałem, jak to powiadają, z infimy uciekłem mospanie tego, i zacząłem więc i skończyłem na *haec virga*, a więcej nic nie pamiętam i nie umiem; ale choć wszystko po prostu opowiem, to przynajmniej prawdziwie i poczciwie, jak i co tu było, i jak nasi przyjaciele zgubili nas; a kiedy komu nie do smaku będzie moja mowa, to niechaj mospanie tego, nie słucha, niechaj sobie wyjdzie, wszak chwała Bogu na podworzu ciepło. Otoż trzeba wiedzieć panowie sędziowie dobrodzieje, że po śmierci nieboszczyka podkomorzego, pana mojego kochanego, została się nam piękna fortunka, a takich ichmościów, których tu dziś tłum. dwóch czy trzech tylko było, i to gwałtem trzymających się klamki pańskiej: bo co rok podkomorzy oddawał im substancyą ich, ale z płaczem prosili swego dobrodzieja aby im procencik płacił. Dobre panisko nie mógł odmówić; ale jak on zawarł powieki, mospanie tego, został się młody podkomorzyc, zwyczajnie jak młody, mospanie, każdemu wierzył, a każdy go oszukiwał. Co spójrzę teraz po tym pokoju, to wszystko, mospanie tego, przyjaciele nasi, którzy nie proszeni i nie dziękowani zjadali nasze pieczenie, a dziś pożal się Boże!!! Ten sam pan Grzegorz, który tak tu perorował, wszak to całą krescytywę swoją winien nieboszczykowi podkomorzemu. Zostawszy on niegdyś deputatem, wziął go z sobą do Grodna, a był natenczas pan Grzegorz goluteńki jak święty turecki mospanie tego! wepchnął go jakoś tam do palestryi i kreował jak najlepiej, aż też zaczął wkrótce porastać w pierze; a teraz syna swego dobroczyńcy, do kozy pakować myśli!!! Ale nie doczeka tego mospanie!—„Sądzie prześwietny! przerwał pan mecenas, niech stawający kredytor mówi do rzeczy, to jest o swoim długu nie zaś kalumnije osobiste, do interesu wcale nie właściwe!— Aha! prawda w oczy kole mospanie tego! do rzeczy, do rzeczy będę mówił, ale pamiętaj jegomość, że w długu i interesie jegomościa nie ma rzeczy... Otoż powiadam panom, że po śmierci podkomorzego hurmem do nas cisnąć się zaczęły rozmaite figury: a pan Grzegorz, jako domowy nasz sługa, zalecił się mospanie tego do podkomorzyca na *totumfackiego* i konsyljarza. Wszyscy mu zaraz i pan konsyljarz wmawiać zaczęli,— niechaj sam powie kiedy nieprawda, mospanie tego,—że on jest wielkim panem, że garściami może pieniądze rozrzucać. Zaraz tedy kredyt zupełny i powszechny: „oddasz pan dobrodziej kiedy zechcesz, każdy mówił, karteczkę tylko dla śmiertelności, i nic więcej, a to nieszczęście największe dla młodego mospanie; kiedy łatwo pożyczać, to dług rośnie mospanie tego, jak na drożdżach. Więc napełniać się zaczęła stajnia nasza końmi różnej maści i denominacyi; psiarnie, dziedzińce i pokoje kundlami różnego kształtu, których teraz nazad przyjmować nie chcą; zwozić tu zaczęto jak do norymberskiego sklepu, rozmaite nam

niepotrzebniusieńkie rzeczy: fajki, cybuki, dubeltówki, zegareczki, pierścioneczki, faetony; a za co, naprzód póki stało, szły pieniążki nieboszczyka podkomorzego, a potem karteczki mospanie tego; które we czworo a może i w dziesięcioro, Boże odpuść! otaksowawszy swoje towary, brali kochani nasi przyjaciele. Byli i tacy mospanie tego i są teraz tutaj, którzy jakieś pretensye, z czasów podobno króla Batorego, do nas przypomnieli; postraszyli że będą prawować się, pan totumfacki nasz zadecydował, że im słusznie się należy; więc w kombinacyę i na połowę po sprawiedliwości mospanie tego, i przecie zgoda; a podkomorzyc nie karteczki już, ale całe karty czyli obligi wydawać musiał.— Przychodził co rok święty Jerzy, to każdy z ichmościów podjeżdżał po procencik: „nie masz pan dobrodziej pieniędzy, to przypisz pan dobrodziej procencik do kapitału, dla śmiertelności mospanie tego, znowu dla śmiertelności tylko!“ Oj! będzie śmiertelność fortunie mówiłem ja nieraz i ostrzegałem mego kochanego podkomorzyca; ale konsyljarz nasz, pan Grzegorz, powiadał zawsze że to nic, że Dagocki stary gderacz! a pan Baltazar ekonom, którego on na mojem miejscu zarekomendował, i który na koniku kusym przyjechał, a teraz oto widzę jak pers nadęty stoi, a podobno mospanie tego ma nadzieję panem zostać, obiecywał co rok to większe urodzaje i intraty. W takich nadziejach szło wszystko jednostajnie na zgubę, i coraz to gorzej; nie ustawały kuple, handle, borysze, darowizny i hulanki, a zkądże taka gromada butelek? podkomorzyc nie pijak; sami ichmość wypili i sami teraz drwią sobie. Powiedz sumiennie panie Grzegorzu, wiele ich sam jak smok wyssałeś? — Uśmiechnął się sąd, zaśmiała się publiczność, a pan mecenas wyszedł za drzwi.—Była tu prawda i liczna ruchomość; były kantyny, serwisy, sztućce, puhary, słowem mospanie tego, było srebra jak drew, a gdzież to wszystko podziało się? JW. Chorąży dobrodzieju, wziąłeś całą kantynę srebrnego kredensu na dwanaście osób, za parę szłapaków, jak potem pokazało się, nosatych.“—Te... tego nareszcie... odezwał się zaambarasowany pan chorąży; dobrowolnie to,... i w dobrej komitywie... zatem... -- Nie masz co odpowiedzieć JW. chorąży, mospanie tego; a srebrny talarami sadzony puhar? Mości sędzicu dobrodzieju, rzekł obracając się do tłustego, grubego a niskiego jegomościa, któregoby na dwóch całych sędziów stało. . . Mości sędzicu, mospanie tego, wszak pamiętasz pan jak na imieninach podkomorzyca, które cztery razy do roku obchodzić mieliście zwyczaj, choć już dobrze podweselony, poszedłeś w zakład o ten puhar, że go duszkiem wychylisz za zdrowie solenizanta; a był to puhar mospanie tego półgarncowy! i dokazałeś sztuki, wygrałeś puhar.“ Pan sędzic zająkliwy i zawzięty z natury, wysunął się naprzód, przekrzywił okropnie usta, i z wysileniem jak z pistoletu wypalił: pu!... pu!... pu!... pu!... ha a a a arr, to... te... ten!“ Śmiech powszechny przerwał panu sędzicowi. - „Nie zająka się tak, mospanie tego, kiedy łyka, podrzucił pan Dagocki; czem rozgniewany jeszcze bardziej

pan sędzic, mocniej zawołał: pu... pu... pu... pu... ha a a arrr!... Widząc wszakże że mu dokończyć nie dadzą, bo śmiech coraz się powiększał, zawrócił się nagle i wcisnął się w tłum, gdzie go przyjęto hucznem w około: pu!... pu!... pu!...— Tym czasem woźny krzyknął: uciszcie się! a Dagocki dalej kończył: „A taratatka waszecina panie Baltazarze, czyż nie z kuntusza nieboszczyka podkomorzego? A krówki nasze, gdzież się na paszę nie rozeszły? W rozmaite strony, za lada pokłonem i prośbą. Nie ma podkomorzyc tak twardego serca, jak ci co go obdzierali; każdemu chciał dogodzić, każdego ująć, każdemu cóś wyświadczyć; czy biednemu, co nie żal, czy nie biednemu a chciwemu, co pożal się Boże! To też wszystko mospanie tego, rozeszło się, rozdało, rozdarowało z dobrego serca, a teraz; ot-że masz wdzięczność; przyjaciele chcą go z biczykiem z fortunki wyprawić: Dobry panicz! poczciwy i rozumny nawet! czyta a czyta książki, nie szuler, nie pijak, a przecież zginął mospanie tego! cała jego wina że nie miał mocy powiedzieć tego słowa: *nie dam!* albo *won z mego domu!* a wszystkoby inaczej poszło!!! Ale sędziowie dobrodzieje! jest jeszcze sposób wyratowania się; proszę tylko posłuchać.“ Jakoż na to wezwanie natężono uwagę: „Oto, niechaj każdy z panów kredytorów, podług Boga i sumienia, *tacto pectore,* jak powiadał nieboszczyk podkomorzy, to jest poczciwie, po szlachecku, a choćby i pobożywszy się za prawdę, wyzna szczerze wiele pożyczył panu podkomorzycowi pieniędzy? a wiele?... wiele?... jakby to powiedzieć mospanie tego?— wiele ma u niego na karteczce dla śmiertelności, niepożyczywszy gotówki, z facyendy naprzykład? Wiele warte było to co dawał, a wiele taksował dla podkomorzyca? i tak dalej mospanie tego. Po takiej substrakcyi, w Bogu nadzieja! będzie i wilk syt i koza cała!.. znowu śmiech powszechny przerwał mowę panu Dagockiemu. „Śmiejecie się panowie? macie więc za żart poczciwą radę? więc nie ma zgody? No! to inaczej poradzę. JW. chorąży dobrodzieju, dawałeś mi rok temu nazad, stępaka ze siądzeniem, abym tylko wyswatał córeczkę pańską Urszulkę podkomorzycowi; powiadałeś natenczas: ja kredytorów puszczę z kwitkiem, niech tylko podkomorzyc zapisze mojej Urszulce sto tysięcy złotych. Swatałem, radziłem, cóż poradzisz? kiedy choć ty kół na głowie czesz, ani weź nie chce on pańskiej Urszulki. Ale z czasem może się panicz opamięta, mospanie tego, a teraz powiedz pan dobrodziej, ten sposób puszczenia z kwitkiem“...
—Sądzie prześwietny! przerwał wróciwszy do sali pan mecenas, powtarzam prośbę zwrócenia tego jegomości do własnego jego interesu, niech mówi o swoich stu talarach nie zaś o naszych należnościach, które sąd justyfikować będzie.“— „Tak! ozwał się prezydujący, mów panie Dagocki o swoich stu talarach...— Aha! mospanie tego, stu talarów moich, stu talarów!... To mam wziąść za nie kawałek ziemi, kawał pola które mię tyle lat żywiło? odebrać kawał chleba od syna, którego ojciec mnie chlebem karmił? od dziecka, którem na ręku wypiastował?... O! niechby mnie pio-

run trzasnął na tej samej skibie ziemi, rzekł uderzając nogą o podłogę, którąbym wziął za te sto talarów!" — Porwał swój oblig, mocno wzruszony starzec, ucałował podpis, oddarł go, wsunął zanadrę, a resztę pisma podarł na szmatki i cisnął na pokój: „Wkrótce mospanie tego, kończył on, a łzy płynęły mu po licach; wkrótce da pan Bóg złączyć się mnie tam!... z moim kochanym panem; powiem mu, dalibóg powiem: zostawiłeś, panie mój poczciwego syna, ale otoczyli go... mospanie tego!!!" — Nie dał mu kończyć również płaczący dziedzic, rzucił mu się na piersi, całował go z całej duszy; starzec całował go także i ściskał... cała gromada z rozmaitemi twarzami patrzała na tę rozrzewniającą scenę!... przerwał ją dzwonek prezydenta. Do namowy! zawołał woźny, do namowy! Ruszyła się więc hurmem z sali cała gromada: i zatrzasnął woźny drzwi sądowe, zawierając za niemi los dziedzica, sprawiedliwość sędziów i nadzieje kredytorów!

SAMOWAR.

Twoja fortunka, choćby i chatka,
Będzie się dobrze wydawać,
Jeśli z stu złotych będzie intratka,
A z nich choć dziesięć zostawać,
Lecz gdy ci w głowie wielmożność zaświeci,
Zechcesz żyć huczno, huczno przyjąć gościa,
Jak jegomościem zostałeś z waszeci,
Tak znów waszecią będziesz z jegomościa.

I.

Któż na Litwie nie zna starego Muchina! któryż dom nie ma go przynajmniej raz na rok gościem? od kogoż odlegli od miast mieszkańcy, dostają wybornej lub miernej, w miarę jak chcą płacić herbaty? któż dostarczy ciepłego przed zimą tułuba? smacznego na post kawioru? słodkich dla paniczów i panienek konfitur, na które swoje coroczne małe gromadzą dochody? Zna on już wszędzie po imieniu każdego, każdego dawnym mianuje przyjacielem, każdemu ma coś do przypomnienia; dla wielu przywozi ukłony i nowiny o zdrowiu od daleko mieszkających krewnych lub przyjaciół: słowem on tu na Litwie, ma pewno więcej znajomych i dlań uprzejmych, aniżeli w swej rodzinnej stronie. - Ten tedy Muchin, w mroźny styczniowy poranek, w wigiliję Trzech Króli, zajechał przed dom folwarczny rozległego zabudowania, którego dziedzic, płacąc długi nieuważnej młodości, zbankrutował nakoniec; i opuściwszy staroświeckie pradziadów swoich gniazdo, popędził się w świat za fortuną, która mu z własnego domu uciekła.

Muchin wie czego komu potrzeba; po serdecznem więc przywitaniu się z gospodarzem, gdy mu towary przynieść rozkazano, dobywał tułuby z doskonałych macic dla jegomości, błamy kotów i okopconych zajęcy dla imości, a płócienka, rypsy i nienajlepsze perkaliki dla panienek. Ale na ten raz Muchin się oszukał: bo pan Baltazar Sularski, w ciągu roku, który przedzielił bytność tu kupca, z ekonoma został właścicielem części majątku rozdzielonego między dłużników rozrzutnego dziedzica, któremu własne jego dochody pożyczając jak swoje, naliczył sobie należność, i za nią usadowił się wiecznem a wilczem prawem na folwarku, gdzie wprzód ekonomską zajmował gospodę. W przeszłym jeszcze roku Muchin nic już w pałacu a wiele na folwarku utargowawszy, poznał na co się zanosi i przepowiedział zły koniec dziedzicowi, i dla tego prosto już teraz przed folwark zajechał. Wniosłszy do izby towary, spostrzegł w niej niejakie odmiany: była na nowo wybieloną, na miejscu zedla stała kanapa, którą on niegdyś w pokojach dziedzica widział; przed nią stolik czeczotkowy, kilka krzeseł około stolika, na ścianach na miejscu pobożnych obrazków, cztery pory roku, Venus à la Titien i historya syna marnotrawnego. Ha! pomyślił stary lis, cóś tu inszego pokazać przyjdzie. Jakoż z oburzeniem odrzuciły imość i panienki wszystko co przyniósł, a jegomość objaśnił zdumienie Muchina wykrzykując w pełności ukontentowanej miłości własnej: „Ja tu już pan! panie Muchin, ja pan! djabli wzięli mego pana! podkomorzyca: a teraz ja tu pan!—*No pozdrawlajem! pozdrawlajem* rzekł Muchin; napijemy się wódeczki, za zdrowie pańskie! to dobrze! to wyśmienicie! *ja etomu oczeń rad!* I imość kochanińka! i panienki *teper baryszni! eto charaszo! eto oczeń charaszo!* Tym czasem mruknął kilka słów niezrozumiałych towarzyszowi, a gdy ten zabierał wszystkie towary i wynosił, Muchin wyliczył długi regestr innych, przy każdym dodając zalety i nazwiska kupujących; gdy wspomniał czaj i samowary, panna Salomeja, starsza córka ichmość gospodarzy, podskoczyła raźnie, jakby starego Muchina pocałować chciała! Ach! samowary, papuniu, samowar i *czaj:* wszak to wszędzie piją herbatę z rana i wieczorem nawet, a my tylko jedni lipowym kwiatem i dziewanną dusić się musimy; papa dalibóg musisz kupić samowar, czy Pan Bóg papie nie dał chwała Bogu, teraz i majątku? czy nie ma za co? — Ej! co tam bredzisz, ofuknął się jegomość, idź precz z tym swoim samowarem; ot napijemy się z poczciwym Muchinem żytniej herbaty, to lepiej będzie; do waćpana panie Muchin. — Salomeja widząc, że idąc tak otwartą drogą nie trafi do celu, pociągnęła nieznacznie mamę za suknię, weszła do alkierza, a za nią i mama: tam z płaczem przełożyła mamuni, że nigdy za mąż nie wyjdzie, kiedy tak, rzekła, żyć będziemy jak dotąd, bo nikt nie bywa u nas, więc któż nas obaczy? a choćby kto i przyjechał, czy my po ludzku przyjmiemy; ot pan assesor może i doprawdy ma się do mnie, bo nieraz powtarza, że mnie kocha; ale cóż? kiedy jak tu przyjedzie, to jegomość wita go

pierwszem słowem: „Ja podatki opłaciłem“ — traktuje potem prostą wódką, a dla koni nie dają obroku; i czy mało ktoby się zdarzył.... — Nu dak co? przerwała mama, chcąca dopomódz losowi córeczki, czegoż trzeba? — Trzeba mamo kupić samowar i herbaty, mieć czem przyjąć i potraktować gości! czy mama nie potrafi jak i drugie gospodynie zasiąść pięknie za stolikiem, nalewać herbatę i prowadzić rozmowę? czy mama nie widziała ludzi i świata?... — Da to prawda, czy mało gdzie ja była, i czy mało co widziała. — Salomeja tym sposobem wzruszywszy w sercu mamy i miłość rodzicielską i miłość własną, była pewną swojego. — Niechajże mama idzie, dodała całując jej rękę, i niech jegomość kupi samowar. — Da kupi, pewnie kupi, rzekła mama i obie wyszły z alkierza. — Pan Sularski tymczasem potrójną odbywszy z flaszki kolejkę z Muchinem, dobił targu o tułub, i wnet się weń ustroiwszy przechadzał się rozkosznie po izbie, podejmując go u pasa obiema rękami w górę, bo był za długim na nizką i krępą figurę jegomości. A co duszko? widzisz w jakim ja sobie tułubie? powlekę go suknem i dam kołnierz ze starej *miedźwiedni* nieboszczyka podkomorzego, którą na licytacyi w czasie eksdywizyi kupiłem, ot będę miał i *miedźwiedzie*. — Da mniejsza o twoje miedźwiedzie! ot waszeć jegomość (bo pani Sularska dla której przez lat 30 mężulo był *waszecią*, trudno do jegomościa przywyknąć mogła, i najczęściej etykietalne i nałogowe zwanie męża razem łączyła) ot waszeć jegomość kup lepiej *samowar* i *herbaty!* — Czy znowu z samowarem? na co tobie duszko on potrzebny? ja piję z rana wódkę i ty czasami mnie pomagasz; no i kawę zgotujesz kiedy jaki mości pan przywlecze się; córki niech piją mleko, niechaj sobie i dziewannę z miodem.... — Ot waszeć bałamucisz przerwała imość, i po wszystkiem: chcesz gdyby ciebie ludzie znali, chcesz córki za mąż powydawać, a nie chcesz żyć jak ludzie! — Papo wszak mówił, onegdaj, odezwała się pokornie Salomeja, że chce zostać sędzią granicznym. — Ale sędzią! a czy ten samowar zrobi mię sędzią? — Poparł całą swą wymową żądanie imości i panienki, Muchin; jeszcze razy ze trzy imość traktowała go wódeczką, a za każdym razem Muchin podwyższał cenę samowaru, obawiając się, aby udobruchawszy się, nie zapomniał się, i nie stracił na przedłużonym targu. Nakoniec jegomość *volens nolens* uległ rozkazom żony, prośbom córki i radom Muchina, który odebrawszy podwójną wartość samowaru, zaniósł go z poważną i pontyfikalną miną na stolik, w kącie jakby umyślnie na przyjęcie dostojnego a błyszczącego gościa przygotowany. Funt herbaty dopełnił reszty kupli, i pan Sularski ostatnią z Muchinem z flaszy wychyliwszy kroplę, po kilkakrotnem zapewnieniu kupca, że nigdy nie minie tak *czestnych* gospodarzy, zostali wzajemnie z siebie kontenci.

Nie mogła się nacieszyć panna Salomeja z nowego naczynia! Ustawiała go rozmaicie na stoliku, przypatrywała mu się z siostrami i braciszkiem Mateuszkiem, i z daleka i z bliska; rozbierała go

na części, egzenterowała wewnątrz, ale zawsze w duchu przyznać musiała, że ani sama, ani nikt w domu nie wiedział jak postąpić, aby przygotować herbatę na samowarze. Nagle myśl ją wielka objęła! jutro imieniny papy!!! jutro... i znowu skoczyła pędem i znowu pociągnęła mamę za suknią do alkierza.

Wiesz co mamo?—Nu dak co? -- Jutro imieniny jegomościa. Trzech Króli, Kasper, Melchjor i Baltazar! — Aha! nu dak co?— Zrobimy mamo siurpryzę!—Co to jest siurpryzę?—czy to pieczono czy gotowano? może wiele trzeba jajek i masła? a tu nie ma: a może jeszcze czego i z kramów? — Ale nie mamo! nie! — Waszeć Salomciu niepotrzebnie u pani sędzinej nauczyła się pańskich fumów! my szlachta, na co nam to potrzebno! tak daj pokój tym sur... sur... jak tam gadasz!—Ale mamo to nie potrawa, to co innego!—Nu dak cóż! — To znaczy, że mimo wiedzy jegomościnej zaprosimy na jutro gości, wydamy herbatę z samowara i obejdziemy imieniny papy; siurpryza znaczy to, że jegomość tego się nie spodziewa, i wiedzieć o tem nie powinien.—Nu dak co? dak trzeba powiedzieć jegomościu? Zniecierpliwiona taką niewyrozumiałością córunia mamy, „ale co imości dzieje się“, rzekła, i zaczęła obszerniej i jak można najjaśniej tłumaczyć swoje plany; a że na końcu matka nie powtórzyła swojego nu dak co? więc milczenie wziąwszy za zgodę i wyrozumienie, wyszła z alkierza panna Salomeja i do dalszych zabrała się na jutrzejszą fetę przysposobień.

II.

W opustoszałym gmachu, pozostałym dziedzicowi od rozdzielonych obszernych wiosek, jakby na pomnik grobowy dostatniej jego przedtem fortuny, mieszkało jeszcze dwóch sług jego Michał i Józef: stary Michał, kucharz jeszcze dziadowski, duszą i sercem przywiązany do familii panów swoich, których trzem pokoleniom wiernie służył, płacząc codzień nad zniszczeniem ostatniego swego pana, którego na ręku wypiastował, pilnował ścian pałacu, i zazierał niekiedy do kuchni, rozmyślając sam o przeszłości z uczuciem takiem, z jakiem stary wojownik pogląda na pola, które niegdyś były placem jego tryumfów. Nienawidział on Sularskich, bo wiedział, że oni przyśpieszyli ruinę panicza, i podzielał tę nienawiść ze współmieszkańcem swoim Józefem, niegdyś lokajem, kamerdynerem, i faworytem panicza. Ten włócząc się z panem po miastach, dworach i miasteczkach, przejął obyczaje i manierę sługom wielkich panów właściwą, to jest grubijaństwo i zarozumiałość dla niższych, a usłużność i filuteryę dla wyższych stanów. Nie cierpiał także Sularskich, bo gdy dawniej, odnosząc im często rozkazy pańskie, połajał ekonoma, zniósł on to cierpliwie i jeszcze imość nieraz pana Józefa na śmietanę zaprosiła; a teraz Sularski kwitując za swoje, nieraz eleganta Józefem chamem nazwać odważył się i stu bizunami grożąc, dodawał: „odpowiem panu twojemu i zapłacę mu, bo taki on hołysz jak i ty.“ Obaj zaś słudzy,

jak izraelici Messyasza, tak czekali powrotu swojego pana. Zaraz po eksdywizyi pojechał on do bogatego a bezdzietnego stryja, którego jedynym był dziedzicem, z nadzieją możnego odeń wsparcia i powrotu z pieniędzmi do fortuny, a zatem ze sposobnością wyrugowania z niej nowych jej posiadaczów.

Wieczorem w dniu bytności Muchina w jednym z pokojów pałacu, stary Michał, siedząc w milczeniu, wiązał siatkę, bardziej z nałogu niżeli z potrzeby, staw bowiem ryb pełny należał do pana Sularskiego; zażywał przytem często tabakę, kiwał głową i wzdychał kiedy niekiedy: Józef, w ostatkach niegdyś sajetowego surduta, poprawiał ożogiem ogień w piecyku, palił fajkę z długiego pańskiego cybuka, i przewalając się na łóżku prawił Michałowi androny o swoich dowcipnych sztukach w Warszawie, w Wilnie i wszędzie gdzie bywał, wydarzonych: za każdem nowem jego kłamstwem, Michał kiwał głową i zażywał tabakę; a w tem weszła panna Salomeja do izby.

— Dobry wieczór Michale! dobry wieczór Józefie! Nieodpowiadając na komplement Michał, a prosto zawsze zmierzający do interesu,—a czego waćpanna, chcesz?—zapytał.—Przyszłam mój kochany Michale, prosić u was jednej rzeczy!—Jakiej rzeczy? my z łaski waćpaństwa żadnej już rzeczy nie mamy; stoły, stołki, krzesła i kanapy, wszystko a wszystko zabraliście; siedzicie, jecie, śpicie na naszych rzeczach!!! Niech wam Pan Bóg zatrzymał się stary... grzech przeklinać pomyślał; dokończył więc odmieniając przekląstwo na życzenie, nie zupełnie wszakże życzliwem być mogące: niech wam Pan Bóg po sprawiedliwości dopomaga! czego waćpanna chcesz?—Panna Salomeja zaróżowiła się ponsowo na tę apostrofę staruszka, jednak cierpliwie zniósłszy,—nie oto idzie kochany Michale,—rzekła,—ja nic brać od was nie chcę, ale przyszłam prosić, abyście mię nauczyli jednej rzeczy. Grzeczniejszy Józef od Michała, wstał przecież z łóżka i zapytał,—czegoż takiego chce panienka nauczyć się od nas?—Mój papa kupił dziś od Muchina samowar!—Ehe! już i samowar od Muchina: lepiejby kupił garnków od Ławryna, mruknął uszczypliwy Józef. Znowu rumieniec oblał piękną buzię Salomei, ale jakby nie słyszała gorzkiego konceptu, kończyła;—ja wcale tego nie chciałam, bo na co nam potrzebne, ale cóż? ojciec uparł się i kupił: otóż proszę kochany panie Józefie naucz mię jak robić herbatę na samowarze.—Herbatę na samowarze? powtórzył niedbale pan Józef, poprawiając znowu ożogiem w piecu, to wielki zachód!—Zdaje się, że nie tak bardzo, oto wszak tu jest ogień i żar, ja każę przynieść samowar, a Józef tak będziesz dobry, że mnie pokażesz jak co zrobić, będę starać się odsłużyć tę łaskę panu Józefowi.—A dla czegoż koniecznie dziś? już późno, węgle nie wypalone, będzie czad! pochorujem na głowy, i nic więcej: niechaj którego tam dnia innego, to obaczymy.—Ale bo mój Józefie ale bo widzisz... Panna Salomeja nie chciała powiedzieć przyczyny pośpiechu, lecz nie było innego sposobu zobowiązania Józefa, więc odważyła się

nakoniec; bo widzisz mój kochany Józefie, jutro Trzech Króli.— Aha! jutro Trzech Króli, odezwał się Michał, wielkie święto! nieboszczyk pan stary, niech Bóg świeci nad duszą jego, zawsze w wigilię Trzech Króli pisał sam swoją ręką kredą jakieś święte litery na każdych drzwiach, i powiadał, tędy bieda nie wejdzie: i chwała Bogu, za jego czasów nie weszła Ale po nim nikt liter nie pisał i tu zażył mocno tabaki, pokiwał głową, westchnął głęboko, i znowu siatkę wiązał spokojnie. Dowcipna Salomeja wnet schwyciła za węgiel i rada, że się przypodoba staremu, — ja kochany Michale, rzekła, tymczasem choć węglem napiszę na waszych drzwich te trzy litery: właśnie tylko co ojciec napisał toż samo i u nas, a jutro przyjdę z kredą i przepiszę: nieszpetną więc rączką ująwszy delikatnie, aby się nie umazać węgielek, napisała Salomeja na drzwiach wielkie K. M. B. Michał trzymając iglicę w niedowiązanem oku siatki, patrzał na piszącą. — Czekaj waćpanna, jeszcze nie wszystko rzekł; jegomość nieboszczyk kładł krzyżyki między literami.—Salomeja podjęła węgielek i położyła krzyżyki.—Nu teraz dobrze, daj Boże waćpannie zdrowie i męża, da Pan Bóg, kiedy nosów w górę zadzierać nie będziecie, jak zaczynacie. Cierpliwa panienka, znowu do Józefa się obróciła, i rozumiejąc że zapomni o zaczętej powieści; więc, kochany Józefie, nauczysz mię zaraz o co cię proszę? Ale Józef chciał wyczerpać do dna przyczyny i zamiary panny ekonomówny, domyślał się bowiem czegoś nadzwyczajnego, i postanowił albo dobrze ze zręczności skorzystać, albo odpłacić znakomitym figlem za niegrzeczne przegróżki Sulärskiego. A cóż panienka zaczęłaś mówić o jutrzejszych Trzech Królach i nie skończysz? dla czego koniecznie jutro potrzeba herbaty z samowaru? czy będą goście jacy?— Otoż to widzisz. kochany Józefie, jutro imieniny papy. — Jakiej papy, odezwał się znowu Michał, papa to chleb; a kiedyż to imieniny chleba?—Nie, Michale, to imieniny naszego ojca; wiesz że jemu imię Baltazar, a teraz to zwyczajnie ojca, dzieci nazywają papą!—Dawniej, odpowie Michał, dzieci chleb nazywali papą, a ojca tatulą; ale to wszystko jedno, zawszeż ojciec dzieci swoje chlebem karmi, więc i to papa i to papa: po tej moralnej uwadze Michał siatkę wiązał.—Otoż mój kochany Józefie, może jutro ktoś zdarzy się do nas, toby ojciec był rad, gdyby dać herbatę z kupionego samowara.—A któż może się zdarzyć? chyba zaprosicie kogokolwiek sami. — Mama podobno ma poprosić z kościoła na podwieczorek i na herbatę panią sędzinę z córkami; podobno będzie pan assesor i jeszcze tam ktokolwiek może.—A to co innego, to będą huczne imieniny pana Sularskiego; no! to sprawiedliwie, trzeba dać herbatę z samowara.—Więc Józefie ja pobiegnę po samowar.—Na co to potrzebne; jutro jak się zbiorą goście, panienka daj mi znać, ja przyjdę do piekarni, i tam wszystko należycie urządzę. — Ale bo mój kochany Józefie, jak czasem jutro w domu nie będziecie, a my naprosimy gości!—Kiedy ja panience daję słowo, że nigdzie nie oddalę się i będę czekał tu na miejscu,

bądź panienka spokojna!—Zmiłuj się kochany Józefie! i sam herbaty się napijesz, i podwieczórkiem potraktujemy, i jeszcze postaram się chusteczki jakiej na szyję dla Józefa. — No dobrze-dobrze, idź waćpanna spać, a jutro wszystko pójdzie jak najwyśmieniciej. Niedowierzając panna Salomea szalbierskiemu uśmiechowi pana Józefa, jeszcze mu powtarzając prośby raz i drugi dygnęła. Po uroczystych nakoniec zaręczeniach poszła do domu, zostawując Michała już drzemiącego, a Józefa zamyślonego nad wyborem swego jutrzejszego postępowania. Ważył on na jednej stronie zyski swoje: podwieczórek, herbata! i chusteczka! na drugiej śmiech, wstyd i złość dla Sularskich; ważył, rozważał, miarkował,—i jak to najczęściej bywa na świecie w wyższych i niższych stanach, zło przeważyło; zasnął więc wybierając tylko sposoby swej zemsty.

III.

Nakryto pięknie stolik, a zebrani liczni goście obsiedli go dokoła; imieninki Sularskiego wybornie obchodzono. Pani sędzina, prima-donna tej fety, z trzema córeczkami rówieśnicami w wieku trzech panien Sularskich, w wybornem była humorze! Pan asesor, zalecający się na przemian to do starszej panny sędzianki, to do starszej panny byłej ekonomówny, znajomej nam panny Salomei, w wybornym był humorze; jego sekretarz, człek tłustych policzków i bogatego wąsa, poglądający z rozkoszą na sporą karafkę czerwonej cieczy w rezerwie na kominku stojącą, wróżąc jej smakowity wkrótce użytek, w wybornym był humorze; pan komornik byłej tu eksdywizyi, przybyły po resztę od kopca doliczanych solariów i odebrawszy je od pana Sularskiego z sowitością, w wybornym był humorze. Sam jegomość dobrodziej, gospodarz i solenizant był odziany w nową, czarną, suto taśmami oszamerowaną węgierkę, szeroka jedwabna zielona na szyi chustka, w długich końcach spadała mu niedbale na piersi i łączyła się z łańcuszkiem od zegarka za nadrę wepchniętym, a tym sposobem, grubo-płaska figura jegomościa na dwie szerokie połowy bławatno-złocistą wzdłuż się przedzielała pręgą; grzeczni goście w niedostatku koniecznego dlań tytułu, nazywali go bez różnicy to skarbnikiem, to rotmistrzem—ustrojony więc i utytułowany pan Sularski w wybornym był humorze. Jejmość nakoniec poglądając z rozkoszą na swoje trzy pociechy, rzeczywiście piękniejsze od trzech panien sędzianek, podchodziła do jegomościa i szepcząc mu na ucho, tę sprawiedliwą swej radości przyczynę, gładziła go pod brodę i ze szczególniejszem przymileniem pytała pomrukiwającego mężula: „Nu dak cóż duszko? Nu dak co? a to oznaczało wyraźnie, że w wybornym była humorze. A tak cała zebrana czereda, w najpiękniejszem usposobieniu około stolika, jakem to powiedział, osiadła.

Tymczasem Józef dotrzymując, wczorajszej obietnicy, za daniem mu hasła, przystawił się na przeciwek i już od półgodziny z młotkiem pracował około samowaru, dowodząc pannie Salomei, że zepsuty samowar kupiono, że go klinować i naprawiać musi, samowar był wyśmienity i cały; na co zaś ten ladaco godził, skutek to potem okazał! lecz nie uprzedzajmy w opowiadaniu, kolei ważnych dnia tego wypadków!

Dwoma przeciwnemi sobie elementami, wodą i ogniem napełniony samowar, wzniósł oburącz Józef i powolny prośbie panny Salomei, zadarłszy jak najwyżej swój nos w górę, raczył wnieść do pokoju i postawić wśród gości na stoliku, to nieszczęściem brzemienne naczynie. Natychmiast Salunia z niewymównym wdziękiem, piękną swą rączką na wierzchołek kurzącego się komina *czajnik* wzniosła.

O dziewico! dla czegoż tyle wiesz o sile pary, ile przed stu laty najwięksi filozofowie wiedzieli! dla czegoż nie wiesz, że ona dziś pędzi okręta przez morza, pędzi wódkę w browarach! że hamowana rozrywa! ale dziewica siedzi najspokojniej przy panu assesorze i nim w czajniku herbata naciągnie, słucha z miłym uśmiechem jego duserów.

Kipi war, syczy, niecierpliwie mocując przybitem wiekiem. Czas nalewać herbatę odezwała się pani sędzina. Panna Salomea powstaje i chce ująć czajnik; pan sekretarz ujmuje za butelkę czerwonej cieczy. . . a wtem . . zrywa się wieko samowara i ulatując do góry, wywraca imbryk, który spada na głowę kochanego pieszczoszka Mateuszka i gorącą go po twarzy i uszach oblewa herbatą; wierzch spadając trafia na łysinę papuni, który jęczącym oj! oj! oj!! zawtórował wrzaskom dziecięcia. Tymczasem nagle uwolniony war, prysnąwszy gwałtownie na oczy, twarze, nosy i gorsy osiadłej około i zamoderowanej męzkiego, żeńskiego i nijakiego rodzaju gawiedzi, jak lawa z krateru gorącymi potokami się rozlał; na dobitkę, w powszechnem zamieszaniu i wrzasku, ktoś trącił nieostróżnie modny na jednej nożce stolik — wywraca się samowar i raptem półwiadrem waru podlewa obróconych tyłem do stolika, panią sędzinę i pana komornika, a panu asesorowi, ocierającemu właśnie trzewiczki na sparzonej nóżce panny Salomei, w gęstą czupryne gorącego z żarem nasypuje popiołu. Tu zgiełk i krzyki przeszły wyobrażenie—wszyscy jednym pędem skoczyli do bokówki, uciekając od piekielnego, ogniem i warem buchającego smoka; lecz asesor z kurzącą się czupryną wyleciał do sieni i krzyknął: *palim się!* Na te słowo, przerażeni w bokówce rzucają się gwałtem do okna; w mgnieniu oka wyparte z uszaków i pobite, otworzyły wolny przestwór, przez który cisnąc się jedno przez drugiego, cała kompania nakoniec w wysokiej hurbie śniegu tuż pod ścianą osiadła! Niech mi daruje przezacne towarzystwo w śniegu uwięzłe, gdy powiem, że nie jęczało, nie krzyczało, lecz nakształt rui wilków około Gromnic zebranych, różnemi głosami wyło; a co najgorsza, że jak prawie zawsze i wszędzie, w złej do-

li, niezgoda wszczyna się między nieszczęśliwymi, tak i tu pani sędzina, poczęła łajać panią Sularskę, po razy kilka ją przeklętą ekonomową nazywając. Można było darować tak boleśnie podlanej sędzinej, i pani Sularska skłonną być się okazała do puszczenia płazem obelgi, bo tylko zawołała: Nu dak co? że ekonomowa? nu dak co? Ale panna Salomea obok matki w burbie siedząca, wcale niegrzecznym sposobem pomściła się za mamę, wykrzykując: Ach! waćpani sędzina! osobliwość! Sędzina! osobliwość!—i byłoby dalej zaszło, lecz wybiegła czeladź, a na jej czele z zalanym pożarem na głowie asesor i sekretarz jego z butelką czerwonej cieczy w ręku, którą arcy-przytomnie z powszechnego uratował zniszczenia. Wydobyto niektórych, niektórzy sami wybrnęli i powracano do pokoju: nikt nie był bez szwanku, każdy oparzony lub opalony złorzeczył i przeklinał; imościanki piszcząc i płacząc z bolu, pytały się wszelako jedna drugiej, czy zblakują oblane sukienki?—proszę tu ufać losowi! przed chwilą wszystkim było tak wesoło!

Sam jegomość złapał czającego się za piekarnią Józefa i całą winę nań zwalając, chciał pójść z nim w tuzy; rejterujący się Józef oskarżał pannę Salomeę: „jam panienkę nauczył jak postępować“ z samowarem, cóż ja winienem?“ Usprawiedliwiony Józef uciekł, a jegomość wpadłszy z zakrwawioną łysiną do sieni, jednym zamachem dwa smagłe policzki wyciął po pięknej buzi Salomei; ledwo drugiego dokończył, gdy bolesny w plecy kułak dał mu uczuć, że córka ma mścicielkę w mamuni. Chciał więc i żonę aplaudować zapamiętały Sularski, lecz pan komornik stanął w obronie.

Owoż naprzekor wszystkim prawie powieściom kończącym się pospolicie weselem, moja kończy się *nieweselem*, — bo katastrofa taka zniweczyła wszelkie nadzieje panny Salomei z oświadczeń pana asesora powzięte, a które świetnym obchodem imienin papy, i wyniesieniem się nad dotychczasową ekonomską sferę, ugruntować chciała. Chociaż bowiem po najrychlejszym odjezdzie rozgniewanej sędzinej i dalszej kompanii, pan asesor z sekretarzem i komornikiem, z powodu uratowanej czerwonej cieczy zostali i oną z udobruchanym gospodarzem do ostatniej wysuszyli kropli; wszelako uległa sowitej konfuzyi panna Salomea, nie pokazała się więcej.—Nu dak co? że ojciec ciebie szturchnął! nu dak cóż? dla tego to nic! ot tylko wstań i wyjdź zaraz, mówiła do niej matka w alkierzu. Na tę rozsądną radę, Salomea odwróciła się tylko do ściany i mocniej stękać poczęła; a tymczasem i pan asesor wyjechał, zabrawszy z sobą samowar, który mu pan Sularski jako przyczynę wszystkich kłopotów, z ukontentowaniem darował.

Gdzież oryginały? zapytasz czytelniku, dla którychby, powiastka ta za obrok duchowy służyć mogła? komużby ją poświęcić, i że tak powiem przypisać należało? — Ach! zejdź czytelniku do wielkich niegdyś hrabstw naszych, na malutkie, dziś przez

eksdywizye, porozdzielanych cząstki, zejdź do tych kilkochatkowych panków, pragnących piąć się jak kilkodziesiętni; ileż tam Sularskich! ileż panien Salomeek znajdziesz! im więc to poświęcam moją powiastkę, z wróżbą niechybną w godle, i z sensem moralnym w takim Epilogu.

«Gdy cię los w nizkim pomieścił stanie,
«Zbytkiem się nie unoś zdrożnym —
«Lepiej być dobrym M o s p a n i e,
«Niżeli śmiesznym W i e l m o ż n y m.



POWRÓT DZIEDZICA.

Nie pogardzaj ubogiego,
Szanuj wszystkie stany;
Poznaj w chłopku brata twego,
A będziesz kochany.
Krakowiacy i Górale.

Niedaleko od opisywanego w poprzedzających obrazach dworu, jest wioseczka od chat kilkunastu, w przyjemnem i wygodnem położeniu osadzona. Mieszkaniec wsi, rolnik, przyjaciel włościan, który często obcuje z nimi jak z braćmi swymi, który z upodobaniem mieszkania ich i gospodarstwa nawiedza, zna to miłe uczucie jakie nas ogarnia, gdy się schludne, dobrze obudowane i i wesołe przechodziło sioło. Serce się pochyla ku nizkim strzechom, rozumie że tam siedlisko spokojnej doli; myśl pokrzepia się i zasila prostym wyrazem poczciwego włościanina, tak jak znarowiony zbytkami żołądek zasila się i pokrzepia łyżką prostej strawy z piekarni, i kawałkiem razowego chleba. Nie potrzeba dręczyć wyobraźni urojonymi opisy pasterskich sielanek i wieśniaczych chatek, aby miłe i życzliwe dla nich obudzać uczucia. Rzeczywistość bez przesady, obrazy włościańskich obyczajów z natury wzięte, sercu skłonnemu do czystych, wiejskich, spokojnych rozkoszy, równie upodobanemi będą, a słodsze w niem i głębsze, bo prawdziwe obudzą wrażenia.

Oto masz dziedzińczyk do około zabudowany domowstwem, w którem mieści się dobytek i zamożna chudoba gospodarza; z chlewa ci kilka pięknych wyjdzie krówek, za niemi poważne suną kroki dwa woły, jakby młodszego rodzeństwa opiekuny, a względem pana swojego jak starzy pracy jego i mozołu na polu wspólnicy i towarzysze. Z innej zagrody z boku, wybiegają gromadnem stadem owce, i tłusta maciora liczne swe wyprowadza potomstwo; wszystko to zmierza na środek dziedzińca ku studni, przy której mały chłopczyk trzyma na powodzie ulubionego konika, i z któ-

rej hoża mołodzica lub raźna dziewka wyciąga wodę, i jak Rachel pojąca trzodę Labana ojca swojego, rozlewa onę dla swych krówek i wszelkiego otaczającego studnię żywiołu.

W końcu dziedzińca są wrota na gumnisko. Żadna murawa w pięknych naszych parterach wypieszczona, nie przewyższy świeżością i powabem murawy gumniska porządnego (a tylko o porządnych tu mowa) włościanina. To miejsce jego niedzielnego wypoczynku, w czasie letnich skwarów, pod cieniem kilku brzoz lub klonów rozpościerających tam najczęściej stare i gęste konary; to miękkie posłanie po którem koczują i tarzają się swawolne chłopięta, albo też spadają na nie bezpiecznie z przepłotu lub strzechy, gdy po wróble gniazda pną się tam nieostróżnie. Otwarta obok i zielonem sianem napełniona odryna, rozlewa w powietrzu miły aromatyczny zapach, komuż nieznajomy! Ileż razy myśliwy po dziennych trudach; albo podróżny unikający niewygody karczemnej, znalazł w wiejskiej odrynie rozkoszny nocleg i miękkie posłanie, a oddychając wonnym aromatem, poił się snem błogim i spokojnym, w którym ciało nowej czerstwości i siły, umysł swobody, wesołości i nowej miłości życia nabrały! Osobno zagrodzony ogródek zajmuje część gumniska; kilkanaście jabłoni, grusz i wiśni, kilka krzaków pięknej kaliny i kilka grządek na niedzielne kapturów i namiotek ozdoby, rozkwita razem, buja, i karmi tam liczne familie pszczołek, w kilkudziesięciu a często i w kilku kopach ulów pomieszczonych. Brzęczą one swobodnie po ogródku, po drzewach, po nagietkach i po osielicy *), tuż za gumniskiem gęstą trawą i polnem kwieciem zarosłej, a rozciągającej się pospolicie aż do granicy posiadłości chłopka; szczęśliwego, jeżeli natura dała mu poczciwość i pracowitość, a los szlachetnego pana w udziale.

Z takich gospodarzy składała się wioseczka, niegdyś do młodego dziedzica, a po upadku jego do kilku różnych właścicieli należna. Bystry strumień w głębokim parowie przerzynał ją; na nim most, a przy moście na wzgórzu, jakby opasły ekonom wśród czeladzi, lub jakby strażnik doglądający przeprawy, wznosił się ogromny eksdywizorski kopiec, na którym, jak Marjusz na ruinach Kartaginy, siadywał często i odpoczywał stary Michał, gdy przychodził do wsi, przynosząc kumom i swatom starym jak on, i jak on przywiązanym do familii dawnego dziedzica, nowiny obwieszczające bliski jego powrót, a zatem odmiany pomyślne dla wszystkich.

Dwór, który znamy już cokolwiek, bośmy go w smutnej godzinie eksdywizyi przeglądali, przybierał teraz postać i szatę nową. Kilkunastu rzemieślników pracowało tam od niejakiego czasu. Stolarze układali posadzki, odmieniali drzwi i okna; mularze przestawiali piece; malarz sufity i ściany w piękne stroił arabeski; słowem razem wszyscy pracując, ożywili pusty niedawno i zruj-

*) *Osielica*, łąka ogrodowa tuż za chatą gospodarza leżąca.

nowany dom ten. Pomiędzy nimi, z poważną miną, niekiedy paląc wspaniale fajkę, niekiedy pogwizdując lub rozmawiając poufale, przechadzał się znajomy nam figlarz pan Józef, pochwalając jednych, zachęcając drugich, a wszystkim dając do zrozumienia, że i zaleta i nagana od niego najwięcej zawisła.

Kiedy niekiedy, pan Baltazar Sularski, widząc ruch taki w budynku, i chcąc się dowiedzieć przyczyny, a wyciągnąć konsekwencye, przychodził tam z folwarku niby nawiasem: ale rzemieślnicy nic nie wiedzieli, a z Józefem trudna sprawa! Gdy wchodził Sularski, on zadzierał nos w górę, przechadzał się wspaniale i gwizdał. Dzień dobry panie Józefie! zagabnął raz Sularski. —Aha! odpowiedział Józef patrząc na malarza siędzącego na rusztowaniu, to piękny ptak co pan teraz malujesz panie Adamie! rychtyk takiego widziałem żywego w Warszawie!—Wątpię, panie Józefie, czy mogłeś widzieć takiego ptaka, rzekł malarz, bo to fenix.—Ach! czy jednego i czy raz? może z dziesięciu! jak dziś pamiętam!—Malarz pokręcił głową, a tymczasem ciekawy Sularski przerwał: „wielka fabryka panie Józefie! .. Znowu Józef: aha! i ani pół słowa więcej —Zapewnie pan podkomorzyc powróci: słyszałem że się ma żenić! Daj Boże szczęśliwie! czy to prawda kochany panie Józefie?—Nie! to ja mam się ożenić, odpowiedział nakoniec Józef, i będę tu sobie mieszkał jak pan!—Doprawdy? to co inszego! z kimże takim myśli pan dobrodziej ożenić się? zapytał szydersko uśmiechając się Sularski? — A może i z pańską najmłódszą córeczką Helenką, bo panna Salomea nie umie herbaty nalewać. Sularski na taką niespodzianą deklaracyę, zatrzasnął drzwiami, a wychodząc z przyciskiem wymówił: „Oszust!“ Józef patrząc złośliwie za odchodzącym, wymówił także: „Oszust“! Obadwaj powiedzieli prawdę, odezwał się na końcu malarz na rusztowaniu; rozśmieli się rzemieślnicy.

Mniej skryty i łatwiej komunikujący się stary Michał, jeżeli gdzie się spotkał z panem Baltazarem, i gdy ten go zapytał o przyczynę rozruchu w budynku, bez ogródki odpowiadał: wybieraj się waćpan w drogę, pan nasz ożenił się: wziął wielki posag i wszystkich waćpanów wypędzi, fort! fort! mospanie fort!

Złowróżbne te przepowiednie, którym nie zupełną wszakże dawał wiarę pan Baltazar, nabierały wszelakoż coraz większej pewności. W sąsiedztwie i w plebanii w niedzielę z tąż samą powszechną spotykał się wieścią; we własnym nawet domu, podsłuchał nieraz jak w piekarni czeladź, opatrzywszy czy nie ma której panienki, opowiadała nowinki, o hucznem weselu pana, o pięknej, młodej i bogatej pani, którą Dagocki widział na swoje oczy, bo jeździł na wesele, choć to ztąd o mil pięćdziesiąt; a nakoniec Józef odebrawszy przez tegoż samego Dagockiego rozkazy, wyjechał niespodzianie dnia jednego w drogę, i zapowiedział że powróci z państwem.

Zbliżała się wiosna; wcześniejszym dogrzany promieniem śnieg stopniał, i w szumne rozlał się potoki; gdzieniegdzie pod

płotem leżał on jeszcze zczerniałym kosmem, jak stary łazarz w łachmanach, oczekujący chwili gdy go ziemia pochłonie; lecz natura czuła już popęd do życia! Chwila jeszcze sennego odrętwienia..... przejdzie natychmiast! a wszystko razem jedną ożywczą popchnięte siłą, rozwinie się, zazieleni, zakwitnie. Skowronek w powietrzu, wierzba na ziemi, obwieszcza tę chwilę i uprzedza; a niedziela Wierzbna, jest jakby dniem ostatniej między zimą a wiosną walki.

W wigilię tej pięknej niedzieli, stary Michał z życzliwością Kaleba *) dla swoich panów, i z równąż troskliwością, rozmyślał w spiżarni o materyałach na przyszłe święcone. Z czegoż pani pierogi i babki piec będzie? pytał on w myśli sam siebie, i szukał napróżno odpowiedzi w jaszczykach i faskach; wiedział on dobrze że tam nic nie znajdzie, ale poczciwy staruszek chciał cudu rozmnożenia chleba w pustyni! Nakoniec zmęczywszy sam siebie, stanął na środku spiżarni, zażył mocno po kilkakrotnie tabaki, pokiwał głową i wyszedł ocierając z łez oczy: po czem namyśliwszy się trochę szedł prosto do wioski. Przez drogę uspokoił się zupełnie, owszem wesołą twarz przybrawszy, usiadł jak zwyczajnie na kopcu, co było hasłem zebrania się około niego prawie całej ludności

„*Za tydzień, wielki dzień!* he? co wasze myślicie? zagadnął Michał.—Prawda! chwała Bogu! odpowiedział stary Marcin; jeszcze raz z waszecią kumie zjemy wielkanocne jajko, a to podobno już z kopę zjedliśmy razem, od tego czasu jak waszeci do kuchni, a mnie do pokoju wziął nieboszczyk pan stary, wieczny jemu odpoczynek!— „Bracie Marcinie, rzekł Michał, o młodym pogadamy. Ożenił się wiem pewnie, ożenił się; przyjadą oboje na święta, a zatem jutro podług dawnego zwyczaju przynoście włoczebne!— „Ależ kumie, rzekł znowu Marcin, zapomniałeś, że my do panicza już nie należym, że mamy nowych panów, że na czyim wózku jedziesz, temu i pieśni śpiewaj!“— „A ty zapomniałeś? przerwał podnosząc się Michał, zapomniałeś czyj chleb jadłeś przez lat pięćdziesiąt? Zapomniałeś jak dobrymi dla ciebie byli dziad i ojciec teraźniejszego pana? zapomniałeś że cię nieboszczka pani ożeniła, i jaki posag dała twojej żonce, a swojej wiernej Marysi? zapomniałeś że z ich łaski twoje synki i całej wioski na książkach Pana Boga chwalą? a czy jeden dawnoby z was na mogilniku ziemię gryzł, gdyby w chorobach waszych pan sam was nie doglądał i nie miał gotowego zawsze lekarstwa? zapomnieliście wszyscy, że od dziadów i pradziadów my ich dzieci?“...— „Da to prawda! święta prawda! zawołali wszyscy i starzy i młodzi, a babki szczególniej rozczulone powtarzały: to prawda! ale na cóż on nas w cudze ręce oddał?“ Michał usiadł znowu na kopcu, bo mu nogi z mocnego wzruszenia drżały, i rzekł: „oddał! oddał! to i odbierze! Stary Michał nie kłamie nigdy i stary Michał modli się

*) Narzeczona z Lamermooru, romans Waltera Skota.

codzień i prosi Boga, aby kiedy umrze, garść piasku nie cudzy jaki człowiek, ale własny mój rodowity pan na oczy rzucił: i doczekam tego za Boską pomocą, doczekam!!!“— „Tak cóż robić teraz? i jakże będzie? pytano zewsząd.“— „Oto tak, prowadził dalej rzecz swoję Michał, jutro bratki odnieście włoczebne prosto do budynku, ja was tam przyjmę chędogo po dawnemu.“ — „A jak Sularski zajdzie nam drogę? bo już nakazywał o włoczebne.“ —„On swoją drogą, a wy swoją! cóż on wam zrobi kiedy jego wraz dyabli..... tfu, Boże odpuść! kiedy jego wraz nie stanie, a ja panu waszę życzliwość opowiem; wiecie stare przysłowie: „*Rzuć za siebie, znajdziesz przed sobą!*“—Także i będzie jak mówisz kumie! odezwał się Marcin, jutro ja sam ich poprowadzę z włoczebnem do dworu.“ Wstał Michał pożegnał zgromadzenie, lecz odszedłszy kroków kilkanaście zwrócił się jeszcze i do odchodzących zawołał: „Słuchajcie gospodynie! Krysio! Katryno! Elżbieto! jeżeli która z was ma kurę tłustą albo kapłuna to przynieście, potem policzym się z każdą: bo chociaż u nas chwała Bogu spiżarnia nie pusta, wszelakoż zda się to na pieczyste.“ Baby kiwnęły głową na znak zgody, a stary powędrował spokojnie, mrucząc wieczorną modlitewkę swoją „*Pod twoją obronę uciekamy się* etc.“

Niech co chcą mówią gabinetowi teoretycy, *pseudo-filantropi*, znający kraj swój z mapy, gospodarstwo z ogrodów, a włościan i panów z potwarczych i fałszywych wyobrażeń, naśladowczem powtarzaniem okrzykiwanych: którzy zaprzeczają i ujmują ludzkości panom, a chłopkom życzliwości i przywiązania ku panom, a raczej pierwszym ucisk, drugim nienawiść przyznają. Nie tak jest jednak w istocie! nie tak jest w ogólności! Długiemi laty spojone, z pokoleń na pokolenia przelane związki włościan z ich dziedzicami, są najczęściej obu stronom miłe i drogie. Włościanin przywykły do opieki, dobroci i łagodności swoich panów, tłómaczy dzieciom i rozpowiada dzieje ich domu i dworu, łaski sobie świadczone, przygody wspólnie wycierpiane, i przyzwyczaja przyszłych gospodarzy do szanowania i starych panów i panicza, przyszłego ich pana. Panicz od mamki i niańki naprzód zabiera znajomość, wiadomość stanu, potrzeb i zwyczajów włościan; od niemowlęctwa prawie przywyka do nich, uczy się codziennym przykładem z obejścia się rodziców z poddanymi, owej opiekuńczej, rodzicielskiej że tak powiem ku nim skłonności; nakoniec wpaja w siebie głęboko przekonanie, że od dobrego bytu jego włościan, własny jego byt dobry zależy, i odziedzicza razem z fortuną wzajemne poddanych i ku poddanym przywiązanie. Wieleż to razy na Litwie się zdarzało, że pamiętni cnoty i dobroci ojców i dziadów, a wierząc w równeż uczucia ku sobie młodych, często marnotrawnych panów, włościanie składali dobrowolne im ofiary i pieniądze na opłacenie długów; byle tylko w obce nie być przedanymi ręce. Wieleż razy stan zamożny włości znikał widocznie przez to tylko, że nowy nabywca nie miał i nie mógł wzbudzić

zaufania ku sobie poddanych, którzy nie dowierzając mu, tracili ochotę do pracy, gdy jej owocu nie byli pewnymi! — Fałszywem jest mniemanie, że włościanin chce częstej zmiany pana; nie! do dobrych, do kochających go szczerze, do sprawiedliwych, do sumiennych, pobożnych, (bo i włościanie nasi są pobożnymi) panów, przywyka on serdecznie. A jeżeli bogacze nasi, dziedzice coraz rzadsi dawnych świetnych imion i dostatków, zaniechawszy patryarchalnego ojców ich z włościanami swymi obejścia się, nieznający ich i sami im nieznajomi i obcy, zdają wszelkie z nimi stosunki, na swych komisarzy; jeżeli tem samem lekceważą i dozwalają więdnieć i rozrywać się wieńcowi z kłosów, który panów i kmieci w jedną wzajem sobie życzliwą rodzinę, jak ule pszczół pracowitych z ich matką ogarniał: to ujmują sami sobie najmilszych, najczystszych i codziennych rozkoszy, a może trwalszych nawet niżeli mniemać mogą, korzyści!

Nazajutrz, zielone bukiety z rozpękłej wierzby i jałowcu, zakwitły we wszystkich rękach; z niemi włościanie z rana przed nabożeństwem szli do dworu postrojeni świątecznie, niosąc w białych chustkach po dziesiątku jaj. Mężczyzni w białych siermięgach, w wysokich z siwych baranów czapkach, pasami czarnymi przepasani; w granatowych sukiennych czuhajach, w litych kapturach na głowach matrony; a w raźnych i obciśle ściętych gorsetach, w różnokolorowych spodniczkach dziewczęta. Warkocze światłych włosów, w długich, wstążkami przewijanych kosach, spadały im na ramiona, szyje i piersi w śnieżnych koszulkach zatajone i kilkunastu sznurkami korali, bursztynów, lub błyszczących paciórek jaśniejące; rumianych jagod, czerstwości cery, i pięknych błękitnych lub czarnych oczu, nie jedna z moich czytelniczek mogłaby im pozazdrościć! Szły one jedną gromadą, niosąc w rękach trzewiki i pończochy, które dopiero pod kościołem przywdziać miały. Chłopcy w podobnej co i starsi gospodarze odzieży, wpadali często swawolnie między tę gromadę, a natenczas śmiechy i hałasy rozlegały się do koła. Na przodzie wszystkich szedł stary Marcin w piasczystej, na duże stalowe guziki zapiętej, kapocie i z jedwabną chustką na szyi; niósł on pięknego koguta, a niektóre z kobiet niosły kury, podług wczorajszej odezwy Michała. Nakoniec przed Marcinem jeszcze, sypało się liczne grono dzieci obojej płci i różnego wieku, chędogo i strojno ubranych, które biegąc i przeganiając się wzajem, smagały się bez uwagi i miłosierdzia po oczach, uszach, nosach i twarzach rózgami wierzbowemi i krzyczały zapamiętale: „Nie ja biję, wierzba bije, za tydzień wielki-dzień“ *).

Jak tylko gromada ta wyszła z wioski i ukazała się na drodze wiodącej do dworu, a przez dwór do parafialnego kościoła, wnet pani Sularska wyniosła z córkami stolik przed folwark, zasłała go białą serwetą, położyła bułkę chleba, kilka serów, i po-

*) Słowa obrzędowe wierzbnej niedzieli.

stawiła dwie wielkie cynowe misy na skład włoczebnego; sam zaś jegomość stanął przy stoliku piastując w ręku sporą flaszę miedzianą z czarką z tegoż metalu; i tak wszyscy czekali gromady. Zdziwili się jednak mocno, że przed budynkiem Michał podobniuteńkie zrobił przygotowanie,- z różnicą że zamiast mis cynowych, postawił fajansowe półmiski, a zamiast miedzianej flaszy, jakiś staroświecki hlaczek, zawierający podobno ostatnie zapasy równowiecznej z nim samym staruszki.

„Co on myśli ten stary Barabasz? mówił Sularski do żony i córek; co on myśli?“ Tymczasem zbliżali się włościanie i weszli do bramy; z której postrzegłszy podwójne przygotowania na swoje przyjęcie, Marcin zatrzymał się chwilę w wątpliwości odnawiającej się po wczorajszemu; ale dziatwa kochająca i przywykła do Michała, a bojąca się Sularskiego jak niedźwiedzia, zwróciła się ku budynkowi i rozbiegła się po obszernym dziedzińcu. Michał widząc niepewność swojego kuma Marcina, machnął nań ręką, czem i jego i całą gromadę zdeterminował, że się do niego zwróciła.— „Dokąd wy idziecie? dokąd chamy? krzyknął Sularski! ja zaraz was po swojemu zawrócę!“.... W tem pędząc kłusem konny wpadł na dziedziniec, i zsiadłszy z konia: „Czy tu mieszka pan Sularski, zapytał?— „Ja to jestem, odpowiedział samże pan Baltazar.—„Oto pięknie! tylko co nie minąłem; a teraz masz pan list pilny, proszę czytać, i mnie trzy ruble zapłacić, bo tak mnie zgodził pan regent.“ — Posłaniec ten w kubraku ciemnym bajowym, dobrze wytartym i kusym, mógł mieć lat pięćdziesiąt; czerwone policzki, wąs rudy i rzadki, włosy wysoko podcięte, składały się w czuprynkę w kształcie jakby peruki srebrno rusej i zlekka podfryzowanej; oko na przekor włosom, czarne i żywe, a w całym ruchu i w całej postaci, nadzwyczajna rzeźwość i rubaszność, wydawały w przybyszu światowego bywalca, i wstępnego bez ceremonii towarzysza. Jakoż rozgościł się poufale od razu. „Za pozwoleniem mego dobrodzieja, rzekł, ja i mój konik odpoczniemy sobie, i przekąsim cokolwiek z łaski pańskiej. bo dyabelnie obadwa zhasaliśmy się! A to pięknie! mil siedm dziś, i to bez popasu!“— Zaprowadził zatem konia do stajni, rozsiodłał go, postawił u żłobu, zarzucił siana, a sam przyszedł na śniadanie do jejmości

Gdy pan Baltazar włożywszy na nos okulary, sylabizował z cicha list do siebie pana mecenasa Grzegorza, od eksdywizyi nam znajomego, włościanie tymczasem złożywszy włoczebne na stoliku u Michała, a kury wpuściwszy do kuchni, poczęstowali się skromnie i ruszyli tąż samą gromadą do kościoła, przechodząc około okna Sularskiego: ale już on ich zawracać po swojemu nie myślał, bo nowiny które odebrał z Wilna wcale niepomyślne były.

„Bodajeś szyję złamał tu jadąc“— rzekł pan Baltazar przeczytawszy list pana Grzegorza, do posłańca czekającego spokojnie śniadania, i poglądającego na miedzianą flaszę stojącą na kominku: miałeś poco tu lecieć!“— „A to pięknie! mój dobrodzieju!

posłańca nie ścinają ni wieszają; za co mój dobrodziej na mnie się gniewa? Oto pięknie! ja z konia żyję i z konia służę; szlachcic jestem Bogu dzięki, Jan Bonawentura Babiłło, do usług mego dobrodzieja; mam kondycyę moją właściwą pod Żupranami, ale mieszkam w Wilnie na Sawicz ulicy w domku pana Koczyńskiego, co gra na fagocie w teatrze. Oto pięknie! kto mnie każe temu jadę." — „Nu dak co? przerwała ten potok rekomendacyi pani Sularska." — „Oto pięknie! jeżeli moja dobrodzika." — „A niech cię kaci porwą! czy pięknie czy nie pięknie, krzyknął zniecierpliwiony pan Baltazar; czego tu chcesz u licha?" — „Wódki naprzód i zakąski mój dobrodzieju; dziś jeszcze ani rosy w gębie nie miałem, oto pięknie! a potem trzech rubli i kwita; — Wódki? na, masz, pij! rzekł nalewając z flaszy Sularski, ale co do pieniędzy zjesz dyabła!" — „A to pięknie! toż to mój dobrodziej jak plebejuszowi jakiemu wtyka czarkę w rękę! przecież do Jana Bonawentury Babiłły i przepić można; oto pięknie! — „No więc do waćpana, przepraszam! — „A to co innego!" — wychylił czarę pan Bonawentura i nie stawiając na stole, podniósł ją do flaszki: „*alterum tantum* po drodze mój dobrodzieju!" — „Niech i tak będzie, rzekł nalewając Sularski, pij!" — „Wychylił znowu do dna i stawiając czarkę: oto pięknie! *Deo gratias!* wyśmienita!" zawołał ocierając wąsy. „Co do pieniędzy, mój dobrodzieju to mniejsza o to! pan regent zapłaci mnie we dwoje, a od mego dobrodzieja odbierze we czworo, a może i w dziesięcioro, oto pięknie! zhasałem mil dwadzieścia, powrót drugie tyle, to mamy ośmdziesiąt, i mam powrócić z kwitkiem, o to pięknie! Sularski tymczasem chodził wielkiemi krokami po izbie, dąsał się, przeklinał, nareszcie wykrzyknął do żony: „Duszko! wszystko dyabli wzięli!" — „Oto pięknie! gryząc ser podchwycił pan Bonawentura, dla czego? i za co? czy to mój list takiego nawarzył piwa memu dobrodziejowi? — „A nie już co innego! — „Nu dak cóż ten list? zapytała pani Sularska, patrząc w oczy mężowi, nu dak cóż!" — „Masz! czytaj! rzekł on rzucając list na stół. — „Ale gdzież tam! tak długo? na życiu mojem tyle nie przeczytałam pisanego? Niechaj przyjdzie Salomea!" — „Ja przeczytam kiedy moja dobrodzika każe, odezwał się Babiłło, może nie ma sekretu?" — „A jaki u licha sekret, czytaj rzekł Sularski, i ten zaczął:

„Kochany panie rotmistrzu! — A to pięknie! mój dobrodziej rotmistrz, a ja o tem nie wiedziałem! to mój dobrodziej wojskowo traktował? oto pięknie! Niegdyś to i ja wywijałem szabelką na sejmiczkach, ale jak przyszło do żołnierki, pomyśliłem sobie, oto pięknie!" .... „Czytajże wasan dalej, przerwała Sularska. — „Aha, otoż dalej. „Kochany panie rotmistrzu! przegrałeś sprawę w Departamencie zupełnie .... A to pięknie! to mój dobrodziej miałeś sprawę! Ach! czemuż ja o tem nie wiedziałem? otożbym podforsował, ja sam mam pięć spraw w tymże samym Departamencie, które attentuję teraz siedząc w Wilnie; i mam nie chwaląc się przyjaciół! Pierwszy aktorat, to z moją żonulą dobrodziką

oto pięknie! która mnie wypędziła z mojego folwarku, *alias* z kondycyi, na mocy jakoby reformacyjnego dokumentu. Prawdę mówiąc, ja sam od niej uciekłem, ale że dokument nieprzyznany, więc ja pozew jejmości dobrodzice o rehabicyę! ona mnie pozew o przechwałki! Oho! Szwed baba, mój dobrodzieju! umiemy jeszcze oboje Bogu dzięki poprowadzić interes! *Tandem*, po tych pozwach zapadł dekret *copiarum spraw*, oto pięknie! a gdzież sprawiedliwość? Apeluję więc mój dobrodzieju do Departamentu, i wędruję piechotą około Bożego Narodzenia do Wilna. Przeziąbłem kaducznie, zachorowałem na gorączkę, i leżę u Miłosiernych mój dobrodzieju; tymczasem baba dopilnowała sprawy, i ja powróciłem sześciórką: to się znaczy, wziąłem sześć niedziel wieży, kiedy ichmość nie rozumiecie: oto pięknie! Ale to nic jeszcze." — Sularska niemogąc doczekać się końca, wyrwała list z rąk gaduły, i oddając wchodzącej córce: „przeczytaj Salomejo, rzekła, ten list, od końca do końca." — A czemuż nie ja moja dobrodziko? — „Wasan byś do jutra nie skończył ze swojemi pozwami i sprawami; czytaj!" Po wyrazach wprzód już odczytanych następowało:

„Ostrzegałem waćpana nieraz, że trzeba się było pilnować! Padliśmy wszyscy, lecz waćpan najgorzej; bo kazano abyś zdał kalkulacyę *de asse et grano*, tak *ex officio* służby niegdyś ekonomskiej u pana podkomorzyca odbywanej, jako też *ex possesso* schedy." — „Co to znaczy mosanie? wasan widzę prawnik, zapytał Sularski pana Bonawentury; *de asse?* jak tam?" — *De asse et grano*, powtórzyła panna Salomea. — „Oto pięknie! *asse et grano*, cóż ma znaczyć innego? znaczy *wszystko przegrano*, mój dobrodzieju! — „Taki widzę i z wasana łacinnik jak i ze mnie; ale zawsze to wyraz jakiś fatalny, bom go już raz słyszał z ust pana Grzegorza gdy przeciw podkomorzyca na eksdywizyi perorował. — „Życzyłbym więc waćpanu, kochany rotmistrzu, były dalej słowa listu, abyś nie czekając dalszych konsekwencyj wyniósł się spokojnie ze swojej schedy. Podkomorzyc ożenił się, wziął piękny posag gotówką i układa się z kredytorami; zapewne nie skrzywdzi i waćpana, bo ja zawsze tak trzymałem i trzymam, że to zacny i poczciwy pan! — „Oho, innym tonem już śpiewa ptaszek! przerwał kręcąc głową Sularski. — „Bądź zdrów kochany rotmistrzu i zapłać posłańcowi rubli trzy." — „A widzi mój dobrodziej; trzy rubelki dać trzeba! zła wprawdzie nowina, ale czyż głową o ścianę uderzyć? oto pięknie!!!" Wszyscy jednakże stali w zamyśleniu.... — „Nu dak cóż robić? przerwała pani Sularska: nie już utopić się?... — To więc trzeba nam będzie ustąpić? zapytała panna Salomea, a papa wszak mówił... — „Milcz! przerwał Sularski; znowu więc milczano!!! — „W mojej drugiej sprawie mój dobrodzieju, którą mam ze szwagrem moim w Lidzie o sto złotych posagu nieboszczki, z ciotecznych cioteczno rodzonej siostry mojej," prawił znowu pan Babiłło korzystając z powszechnego milczenia, „od ziemstwa, poszliśmy obadwa do Departamentu i obadwaj przegraliśmy. Oto pięknie! prawujemy się teraz na nowo, co Pan Bóg da,

to da!“ Pan Bonawentura należał do tego rodzaju szlachciców okolicznych, jakich przed kilkunastu laty, wielu jeszcze naliczyć można było, a teraz może i żadnego nie ma; nie przeto żeby wszyscy poumierali, lecz że z pola zeszli, a nowe pokolenie nie idzie w ich ślady, których całem zatrudnieniem, całem upodobaniem i nauką było pieniactwo; którzy za najważniejszy dowód swego szlachectwa liczyli pozwy dane lub odebrane, a im więcej ich mieli lub dali, tem godniejszemi być się mniemali szlacheckiego klejnotu.

„Oj! co trzecia sprawa mój dobrodzieju, to djabelnie kręta! Idzie rzecz o granicę; ale niech mię djabli porwą, jeżeli ktokolwiek z nas prawujących się rozumie o co nam idzie! Oto pięknie! posłuchaj tylko mój dobrodzieju: był kiedyś podobno kopiec na mchu....— „Ani myślę słuchać! krzyknął tupając nogą pan Baltazar, i obracając się do żony rzekł: „Duszko! co ty myślisz?“ W trudnych okolicznościach najczęściej udawał się Sularski po radę, do poczciwego a prostego rozsądku swojej połowicy, i nigdy się na nim nie zawiódł, skoro posłuchał — Ot ja myślę, odpowiedziała ona, że pojedziemy naprzód na mszę świętą do kościoła, dziś wielka uroczystość; pomodlim się Panu Bogu na tę intencyę, poradzimy się w plebanii rozumniejszych od nas ludzi, i potem postanowim cokolwiek. Wszak ja nieraz waszeci mówiłam, że to w końcu na złe wynijdzie, że Pan Bóg nie dopomoże; a wieleż to razy śniło się mnie!...—„Dość, dość duszko! dobrze mówiłaś i dobrze mówisz, pojedziemy do kościoła, a wasan panie jurysto odpocznij do obiadu nim powrócimy“.— Zaszła bryczka Sularscy oboje z córkami umieścili się w niej i pojechali, a pan Bonawentura rozciągnął się jak długi na kanapie, i wnet zachrapał głęboko.

Około południa powrócili z nabożeństwa Sularscy, nakryto do stołu, a spokojniejszy i weselszy gospodarz obudził swego gościa na obiad. Porwał się on nagle, a zajęty nawet i we śnie swymi procesami, wrzasnął bez przygotowania: „Co! kondemnata? oto pięknie! —„Nie kondemnata ale obiad, rzekł Sularski, wstawaj!— „A to co innego, poziewając szeroko i przecierając oczy“ odezwał się prawnik— oto pięknie! tak się rozespałem!

Po obiedzie, skutkiem rady ogólnej i dobrze rozważonej w plebanii, pan Baltazar siadł do bryczki i pojechał starać się possesyjki, a pan Babiłło odebrawszy swoje trzy rubelki, które mu z bojaźni nowego procesu oddano, dosiadł rzeźwo swojego szłapaka i ruszył śpiesznym kłusem nazad do Wilna attentować swoją sprawę w sądzie granicznym.

Jeszcze parę tygodni upłynęło tu bez odmiany: tylko w ogrodzie dwór ten otaczającym, w którym maj rozwinął wszelkie bogactwa wiosny, po długich lipowych ulicach od trzech dni co wieczór słyszeć się dawał głos cienki i fałszywy, wyśpiewujący wyraźnie od początku do końca rozmaite światowe pieśni jak np.

„Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,
„I ktoś tam klaszcze za borem?

«Pewnie mnie czeka mój Filon miły,
«Pad umówionym jaworem *).

to znowu:

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory,
Tam ja z moją Justyną
Słodkie pędził wieczory! i t. d. **).

albo także:

Śliczna Elżuniu! już to podobno
Kończą się nasze lube wieczory!
Dziś jeszcze razem, jutro osobno
Dzikie nas będą przedzielać bory!
Choć mnie nie będzie, ty wspomnij przecie
Żem cię ukochał! jedną na świecie! ***)

Śpiewaczka nie darowała ani jednej strofki, ani jednego wyrazu; głuche echo jej tylko odpowiadało, bo nikogo nie było w ogrodzie do wtóru lub oklasków. A jednakże ona podobała sobie widocznie w swym śpiewie, nawet całą aryę lub niektóre ulubieńsze strofki pokilkakroć powtarzała. Śpiewy te kończyła pospolicie pobożną pieśnią: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“ i t. d. i potem ciche mruczenie pacierza zwiastowało ukazanie się samejże syreny. Jakoż z altany wychodziła powolnym krokiem staruszka, miernego wzrostu i czerstwej jeszcze cery. Twarz trochę podróżowana i czepeczek starannie na głowie opięty, dowodem być mogły, że wydać się staruszką wcale nie chciała. Biały szlafroczek wieczorny i chustka pięknego wzoru okrywały jej figurkę suchą, którą wiek schylał a miłość własna prostowała; wreszcie łagodność w oku i na całej twarzy, od razu zjednać jej mogły przychylność krórej rzeczywiście warta była. Ciocia to była podkomorzyca, wdowa bezdzietna: listem jego wezwana, przybyła ona tutaj dla przyjęcia młodej gospodyni, żony kochanego jej Teófila, którego jak syna kochała i dla przygotowania zapasów dla nowego gospodarstwa. Jakoż dwie pakowne bryki przyszły za kolaską ciotuni, a Michał ujrzał od razu napełnioną całą swoją spiżarnię i apteczkę.

„Dobry wieczór kochany Michale, mówiła staruszka: — „Dobry wieczór mościa dobrodziko.—„A cóż nie słychać czego o naszych?—„Nie mościa dobrodziko: ale ja myślę, że dziś w nocy przyjadą:—„Pan Bóg z nimi Michale! a któż ich w nocy z chlebem i z solą przyjmie? Przecież przykazywałam i prosiłam Józefa, którego pan Teofil do mnie z listem przysłał, aby tak kierował w podróży, żeby tu przed śniadaniem o samej jedenastej wjeżdżali i dla tego codzień jak sam widzisz ubieram zrana wszystko jak należy, i czekam tych miłych gości. Ale w nocy! co za myśl? Nie! Józef nie zapomni mojej prośby, a jeszcze dałam mu i chusteczkę tarlatanową na szyję . . — „Ej, mości dobrodziko, Józef bałamut! a potem czy to pan nasz Józefa słuchać będzie? Jak wypadnie tak przyjadą, a imość dobrodzika śpij dla tego smaczno,

*) Karpińskiego. **) Karpińskiego. ***) Nagórskiego.

bo to w starości przebudzać się w nocy bardzo niezdrowo!...
— „Zgłupiałeś mój kochany Michale! cóż to w starości? w jakiej starości?“ — „A jakże mościa dobrodziko, rzekł Michał, zażywając powoli tabakę i zadarłszy szeroką łysinę do góry dla łatwiejszego rzeczy przypomnienia, a jakże? Ja prawda byłem już kuchcikiem kiedy imość dobrodzika rodziła się; nieboszczyk podstoli ojciec imości dobrodziki, a dziad naszego teraźniejszego pana, wyjeżdżał jak dziś pamiętam do Nieświża, do księcia Radziwiłła panie kochanku, na jakiś fest. Ależ ja mam lat siedmdziesiąt: no to imości dobrodzice lat pięćdziesiąt dobrze minęło, daj Boże i drugie tyle... Ale ciocia i początku nawet tego rachunku nie dotrzymała, i gdy Michał spuścił łysinę na dół, nie obaczył już swojej imości dobrodziki; pokiwał głową, zażył jeszcze raz tabaki i poszedł spokojnie, nie domyślając się bynajmniej, że ją obraził.

Po dniach jeszcze kilku, stary Michał stał na środku dziedzińca i poglądał na drogę z góry ku dworowi schodzącą, gdy nagle pies wielki wskoczył mu na piersi. Przelękniony starzec odepchnął psa, lecz razem z zadziwieniem postrzegł, że pies przypadł mu do nóg, lizał mu ręce i łasił się z oznakami najżywszej radości. Spójrzał wtenczas rozważniej Michał i poznał wyżła *Waleta* faworyta pańskiego, który sam jeden prawie w dniach smutku został mu niezaprzeczoną własnością. Po latach pięciu oddalenia, Walet o milę poczuł rodzinne powietrze, i poleciał naprzód, jakby posłaniec oznajmujący przybycie pana, i poznał na dziedzińcu swego starego karmiciela. „Walet! Walet! poczciwy Walet! wołał Michał, a pies mu znowu na piersiach. Nie odpychał go tą razą, ale przyciskał i głaskał starzec. Gdzieszjest siedlisko instynktu psów? tych wiernych naszych przyjaciół i towarzyszów? w ich głowach czy sercach? Nie wiem! ten raz jednak instynkt był w sercu Waleta!

„Jadą, mościa dobrodziko! jadą! rzekł Michał wchodząc z pośpiechem do pokoju, w którym ciocia siedząc w codziennem oczekiwaniu, ubrana wytwornie w galowe materye i gęste koruny, wiązała siatkę z nici złotych i jedwabiu na podarunek dla swej synowcowej: — Gdzież są? czy już ich widać? zapytała z radością: — „Nie, mościa dobrodziko; ale oto przybiegł posłaniec, rzekł wskazując na Waleta, i tłumacząc przyczynę ukazania się jego i odnowienia dawnej znajomości. Ciocia pogładziła psa i wyszła, aby zrobić ostateczne swe przygotowania.

Jakoż po niedługiej chwili, ukazało się z góry kilka powozów... spotkajmy ich pierwej niżeli przybędą. — „Oto jest dom nasz, moja droga Maryo! rzekł znajomy nam młodzieniec niegdyś, a dziś mąż pięknej, młodej, siedzącej obok niego w powozie żony. „W tem miejscu odtąd będą upływać dni nasze, oby Bóg dał dla obojgu szczęśliwe! Pięć lat mija! jak ze ściśnionem sercem, wyjechałem ztąd bez nadziei powrotu; mogłemże wtenczas przewidzieć, że nie tylko sam wrócę, ale jeszcze przywiodę pod dach mój ojczysty, odzyskany na nowo, zakład mojego stałego na całe

życie szczęścia, ciebie! moja droga Maryo! Młoda małżonka spójrzała na dom bielejący zdaleka, powlekła ciekawym wzrokiem po całej okolicy, i potem oczy łzą zwilżone, zwróciła tkliwie na męża! to było jej całą odpowiedzią, zrozumiałą wszelakoż jego sercu, do którego ją czule przycisnął.

Trzasnął trzykrotnie z bicza furman, i zajechał rzeźwo przed ganek, na który wystąpiła ciocia do powitania. Trzymała ona w ręku srebrną tacę, a na niej kilka szczypt soli, kilka porcyjek chleba i związka rozmaitych kluczyków, na złocistym kruku poczepionych, leżało. Obok dwie małe dziewczynki, chędogo w białych sukienkach ubrane, trzymały wazony miesięcznych róż, kwiatami i pączkami osypanych. Gdy wysiedli państwo młodzi, nie dając czasu do bliższego powitania przystąpiła ciotka, i oddając tacę w ręce nowej pani, rzekła poważnie: „Witam cię młoda gospodyni w domu męża twojego, przyjmuję cię darem Bożym, chlebem i solą, i życzę z całego serca, aby u was chleba i soli było zawsze dostatkiem i dla was samych i dla ludzi!“ Potem wzięła klucze i zasuwając za wstęgę opasującą Maryę: „Szafuj skromnie a poczciwie, kończyła dalej, darami od Boga wam udzielonemi! Rządź jak matka czeladką i domem waszym, a Bóg wam szczęścić i błogosławić będzie, tak, jak ja wam błogosławię, a jak te róże w pączkach zakwitniecie w potomkach waszych!“ —Moja najdroższa ciotko, moja droga matko! wykrzyknął Teofil płacząc rzewnie, i rzucił się jej do nóg. Tąż samą myślą, temże samem uczuciem przejęta, czuła i również zapłakana żona jego, widząc także jakby matkę swoją, w ciotce swojego ukochanego, upadła razem z mężem ku ziemi, i obejmując kolana zacnej matrony, szlochającej i przyciskającej ich obojgu do serca, „ach! mówiła, ty i moją matką będziesz, bo i ja własnej już nie mam!“ Nakoniec znowu ciocia podała tacę swej synowicy i zmusiła, aby trzymając ją w ręku weszła na przodzie do pokoju. Tam nowe uściśnienia, nowe wynurzenia radości i przywiązania! Stary Michał stał z boku, żegnał on i błogosławił swych panów, powtarzając z cicha: „Niechaj was Pan Bóg błogosławi! Niechaj Pan Bóg błogosławi! Dosłyszał słów tych pan jego, obrócił się nagle i spostrzegłszy twarz starca we łzach, a rękę czyniącą krzyż na powietrzu: „Przyjmujemy oboje, mój poczciwy Michale! mój wierny przyjacielu! mój stary sługo! twoje błogosławieństwo, rzekł uściskając go serdecznie“; a gdy starzec całować mu chciał ręce, których mu on nie dawał, podniósł natomiast mu do ust rękę żony i rzekł: „ona cię kochać i szanować będzie, tak, jak ja cię kocham! Maryo! to jest stary sługa dziada mojego i ojca, mnie on wypiastował na ręku. — Niech go Bóg jak najdłużej nam zachowa, odezwała się Marya. — Nie, mościa dobrodziko! nie! już mnie nie długo na tym świecie, ale niechaj sobie dzieje się wola Boża! pan do nas wrócił, jest teraz komu rzucić mnie garść piasku na oczy!“ Wyszedł rozrzewniony starzec, bo się wstydził swojego płaczu.

„Czas się posilać, dzieci, rzekła ciotka, podając rękę Maryi i przeprowadzając ją do drugiego pokoju, gdzie obfite i pełne smacznych łakoci przygotowała śniadanie, chcąc dać od razu młodej mężatce naukę i dowód swych wiadomości w sztuce smażenia agrestu, róży i berberysu, oraz pieczenia pierników i zaprawiania likworów. Tymczasem z przybyłych za koczem bryk, wysiadał pan Józef z ładną, młodą i wesołą garderobianą, dla której przez całą drogę był nadzwyczajnie grzecznym, wszystko jednak na próżno, bo trzpiot dziewczyna żartowała z niego i gardziła wszelką jego zalecanką. Wnoszono kufry, króby i tłomoki z dostatnią panny młodej wyprawą, jedne do domu mieszkalnego, inne na folwark, gdzie już nie było pana Baltazara, bo się od miesiąca wyniósł na posesyjkę. Wszystko to w zamieszaniu i nieładzie czekało rozporządzenia, którem się ciocia bez zwłoki zajęła, a Teofil wziąwszy żonę pod rękę, oprowadzał ją po domie, po ogrodzie i po całym dworze, pragnąc przyswoić, że tak powiem, nową ptaszynę do starego gniazda.

Miła jest młodemu małżeństwu chwila wspólnego objęcia nowego domu i gospodarstwa; miłość ich, w pierwszym jeszcze zapale, nadzieją i wzajemnem zaufaniem szczęśliwa, roi za każdym krokiem i z każdego szczegółu wytwarza obrazy przyszłego ich rajskiego życia; sami są i dla siebie, własnym zostawieni siłom, wszystko co ich otacza do nich i od nich zależy; każde miejsce znajduje swe przeznaczenie i udział w rozkoszach, które sobie wróżą, i których urokiem się poją. Doświadczał tego zarówno bogacz oprowadzający pierwszy raz swoją oblubienicę po ozdobnych komnatach i składach swoich dostatków, jak i ubogi kmiotek, gdy pierwszy raz swoje domóstwo i chudobę żonie w opiekę poleca; doświadczał go tem bardziej Teofil, bo w sercu jego razem z rozkoszą obecnej chwili i nadzieją równej przyszłości, łączyły się drogie dlań wspomnienia dziecinnego wieku, i radość z odzyskania dziedzictwa, które straconem dla siebie na zawsze być sądził. „To moja Maryo, nasz pokój jadalny, i ztąd wyjście do ogrodu.—„Ach! jakaż piękna i tak blizka altana! Proszę cię Teofilu dziś tam na herbatę! mówiła Marya, a szczęście błyszczało w jej źrenicy!—„To nasz pokój sypialny; a ten obok gabinet, był dawniej pokojem matki mojej;—niech więc teraz będzie twoim, aby zawsze służył najdroższym dla mnie osobom. — „A gdzież twoja kancellarja mój miły? Pozwolisz, że ja ją sama tobie uporządkuję i ubiorę!—„Dobrze, lecz oto twoja apteczka!—„A tutaj mościa dobrodziko śpiżarnia, rzekł Michał, otwierając drzwi przy których czekał na panią, pragnąc podobno pochlubić się przed nią ze swoich zapasów. — „Co za obfitość wszystkiego! rzekła Marya. — „U nas zawsze tak bywało mościa dobrodziko, odzywa się Michał. — „Oj! nie zawsze, mój dobry Michale, chociaż nigdy głodni nie byliśmy. Ale domyślam się, musiała to ciocia kochana wspomódz nasze nowe gospodarstwo! — „Tak jest mości dobrodzieju! Ale co ten zapas, rzekł Michał odkrywając

naczynie duże pełne jajek, to jeszcze przed wielkanocą, włościanie ze wsi pańskich przynieśli na włoczebne. — „Poczciwi ludzie! z jakąż radością ich ujrzę!—W tej chwili weszła i ciocia. Możemy jej przebaczyć, że chciała za swe dobre i przywiązane serce, mieć nagrodę w zadziwieniu i wdzięczności odbierających jej dary; jakoż rzucili się oni na nowo w jej objęcia, i tak w pieszczotach i radości upłynał dzień cały. Wieczór piękny majowy, do odleglejszej wabił przechadzki i Teofil pragnąc jak najrychlej powitać swych włościan, zaproponował odwiedziny bliskiej a nam znajomej wioseczki. Zasłyszał o projekcie Michał, pobiegł więc natychmiast, ile mu wiek biedz dozwalał i uprzedził panów. Od rana czekano tam bliższych ze dworu wiadomości; gdy więc Michał ukazał się na ulicy, hurmem otoczyli go wszyscy; lecz on nieodpowiadając na żadne pytania: „rydlówek bracia! zawołał; rydlówek!—A na co? „Ale co wam do tego? rydlówek tylko dawajcie, co najprędzej i co najwięcej.“ — Rozbiegli się więc chłopaki i w mgnieniu oka kilkanaście naniesiono rydlówek. Porwał starzec pierwszą i zatapiając ją jak mógł najgłębiej we wnętrzności kopca eksdywizorskiego, rozstrzygnął tajemnicę wołając: „Kumie! swacie! bracie, za mną do roboty! rozrzućcie kopiec nim państwo nadejdą, aby się nie *zalterowali*, bo zaraz tu będą u was w gościnie. Dzieci! bierzcie neculki, i roznoście piasek! A co Marcinie, nie wierzyłeś staremu Michałowi! — „Chwała Bogu! odpowiedział z równąż gorliwością pracujący Marcin: a tymczasem zmniejszał się coraz i rozsypywał na wszystkie strony kopiec eksdywizorski, jakby nazad oddając dziedzicowi ziemię z której urosł. W połowie roboty nadszedł Teofil z żoną i ciotką; przyśpieszyli bowiem kroku, postrzegłszy z daleka jakiś szczególniejszy ruch w wiosce. Za ich nadejściem, ustała praca, i pozdrowił dziedzic życzliwych swoich poddanych!!! Powitania wzajemne, łzy starych gospodarzy, uściskanych czule przez ich pana, przypominania mu cnoty i dobroci jego ojca i dziada! a nawet wyrzuty życzliwe błędów jego młodości, jako przyczyn wspólnej ich biedy, upewnienia wzajemne dziedzica, że wrócił z prawdziwą i niezmienną chęcią zajęcia się szczerze swoim, i swoich poddanych losem; ciekawe przypatrywanie się kobiet zblizka, a dziewcząt i dziatwy z za płotów młodej pani, i proste ich ale dobitne jej postaci pochwały; a nakoniec wizyta do starego Marcina, zakończona zaproszeniem wszystkich włościan z tej i z drugich wiosek na jutro do dworu na wieczorynkę, a kobiet i dziatwy po gościńce: wszystko to razem do całodziennych dodane przyjemności, tworzyło potok czystego szczęścia, zalewający serce młodego człowieka i gojący w niem rany przeszłości.

Spóźniony już był wieczór i w noc zachodziło, gdy ze wsi powracano do dworu. Lękając się wilgoci wieczornej i kataru, ciocia pożegnała wnet młode małżeństwo, i poszła do spoczynku; lecz małżeństwo nie chciało jeszcze kończyć godzin tak błogo im ubiegających; weszli więc oboje do ogrodu. Noc była piękna

księżyc w połowie pełni toczący się po najpogodniejszem, i miryadami gwiazd osypanem niebie, przełamywał się w promieniach po gałązkach brzoz, młodym osypanych liściem; szmer potoku brzeżącego ogród, i rozlegający się śpiew słowika, niewymowną a miłą harmonję rozlewały w czystem i ożywiającą wonią napełnionem powietrzu! Komuż się nie zdarzyło napawać rozkosznem odetchnieniem pogodnej i ciepłej majowej nocy? Czyjaż dusza nie unosiła się natenczas tkliwem rozrzewnieniem, miłością ku Twórcy, miłością ku naturze, miłością nakoniec ku ulubionej sobie istocie! a zawsze miłością, bo wszelkie uniesienia człowieka, szczęśliwością wzbudzone, są zawsze jednem i temże samem uczuciem. . . miłością!

W takiem upojeniu uczuć i myśli przechodzili oni po kilkakrotnie ogród, aż nakoniec dusze ich przenikające się nawzajem, połączyły się w jednej, wspólnej, pokornej, a z głębi serc wdzięcznych ku otwartym niebiosom wznoszącej się modlitwie! Była ona wstępem mającym zająć pierwszą kartę drugiego rozdziału życia młodego małżonka, a którego ozdobą, rozkoszą i nadzieją miał być Anioł stróż, wcielony w piękną niewiastę.

Ach, cóż to jest dobroć w kobiecie? Cóż doskonalszego wyjść mogło z rąk Stwórcy, nad kobietę? Z postacią Anioła i z dobrocią Anioła? z dobrocią, malującą na jej obliczu, tonącą w jej łagodnem oku, uśmiechającą się wdzięcznie na ustach i wypływającą z czułego serca harmonijnym głosem i słowami pieszczoty, miłości, pociechy, lub prośby; objawiającą się nakoniec w każdodziennej czynności i w uszczęśliwieniu wszystkiego co ją otacza!!!

«Stokroć szczęśliwy! któremu się zdarzysz! *).

Jeżeli opowiadanie autora znajduje echo w sercach czytelników, autor napisał książkę pożyteczną, bo prawdziwą, bo wzbudził myśli i uczucia często uśpione, tak jak się stosowną uprawą, obudza życie w zamarłem ziarnie, które potem pożyteczne przynieść może owoce.—Oby obrazy moje, tego szczęśliwego dosięgły celu!

---

*) Krasicki.

PODDANY.

Piotr był synem stolarza, i równie jak jego ojciec i całe rodzeństwo, poddanym bogatego wojewody T. . , Matka jego była mamką jedynego syna wojewody; skutkiem tej zasługi mały Piotruś został chłopcem pokojowym małego wojewodzica. Przyjęto metrów i guwernerów do pana, a słudze uczyć się czytać nawpół pozwolono, a nawpół kazano: gniewał się i nadymał często panicz, gdy nauczyciele na zawstydzenie go i dla wzbudzenia w nim większej do nauk ochoty, chwalili pojętnego i pilnego Piotrusia, który nauczywszy się w krótkim czasie czytać, z przysłuchiwania się tylko pojmował dobrze nauki i pisał ukradkiem prawie, ale daleko foremniejsze litery, niżeli jego pan, który przez kilka godzin na dzień, męczył się, płakał, gryzł pióra i nauczycieli.— Nakoniec wojewoda, dawny jezuickich konwiktów wychowaniec, z własnego przykładu wróżąc dla syna w publicznej szkole ochotniejszą naukę, i niemało ważąc przysposobienie mu ze szkolnych kolegów przyszłych w publicznym obywatelskim zawodzie przyjaciół, postanowił go do niej wyprawić. — Piotruś dość się poduczył jak na poddanego, lecz Władysław potrzebował starszego sługi, a zatem Piotruś miał pozostać w domu. — Natura nie rozdzielała swych darów podług względów tego świata; Piotr miał w sobie wrodzoną do nauk zdolność, słuchał do tego codziennych napomnień, w których nauczyciele przekładali Władysławowi konieczną onych potrzebę i nieskończone z nich pożytki; i gdy Władyś przypominając zdania swych w dzieciństwie piastunek, nie bardzo wierzył tym uczonym wywodom, i bliżej mniemał, że panu wielkiemu na nic, albo na bardzo mało uczoność się przyda; Piotr trafił zawsze po lekcyach na słowa matki „ucz się Piotrze: ucz, się; Bóg cię pobłogosławi, gdy mię słuchać będziesz!“— Dowiedziawszy się więc że jego nadzieje wkrótce się już miały zakończyć, pobiegł z tą smutną nowiną do matki, która wnet ze łzami stanęła przed wojewodą. „Czegoż chcesz? rzekł do wchodzącej, kochana Maryno!“ — „Jaśnie wielmożny Panie! mój Pietruś. . .“— „Bądź spokojna, przerwał omylony wojewoda, twój Piotr od ciebie się nie oddali, nie pojedzie do szkół z moim synem, ale wezmę go do mojego dworu, bo mi powiadają, że będzie zeń dobry chłopak.“—„Ale bo ja przyszłam rzekła rzucając się do nóg zdziwionego wojewody, prosić JW. pana, aby Piotr jechał do szkół z paniczem.“ — „Jak to? albo on chce tego?“— Ach! i bardzo!“—A tobież moja kochana, na co się przyda syn rozumny?—„Ja chcę JW. panie, rzekła szczerze prosta kobieta,

aby lepiej umiał Boga chwalić i paniczowi służyć.—Wytrzymywał dotąd niecierpliwie tę scenę pan Władysław, lecz dłużej niemogąc dotrwać: „ja nie chcę takiego sługi, odezwał się mrukliwie; —nowe i nie bardzo przyjemne zdziwienie dla wojewody;—spójrzał na syna i po krótkim namyśle: „ty nie chcesz rzekł, a dla czegoż nie chcesz.“—Władyś milczał, wstyd mu było wyznać, że się lękał w szkołach pierwszeństwa Piotra nad sobą, i że już go w domu za to nie lubił. Ojciec po kilkakrotnie i surowszym tonem zapytanie powtarzał, aż nakoniec pan Władysław się rozpłakał. Wojewoda wziął pod rękę księdza Jana, który i w domu i w szkołach miał przewodniczyć wychowaniu Władysława, odprowadził go do odległego okna, i rzekł dobitnie i z cicha: „Księże Janie! uważałeś wszystko?—Ksiądz Jan się skłonił:—„Bardziej serce niż głowę syna mego tobie poruczam;—ksiądz Jan skłonił się znowu:—„a ty, odezwał się do syna, ponieważ Piotra sługę swoim mieć niechcesz, więc go na służącego w szkołach dla księdza Jana przeznaczam. Zostawi on mu, jak się spodziewam, dość czasu i do nauki.“—Jeszcze raz ksiądz Jan się ukłonił: wojewoda pożegnał chcącą mu do nóg upaść Marynę, a Piotruś przejąwszy matkę w sieni, dowiedział się z radością o wszystkiem i poszli razem układać się do jutrzejszej wyprawy.

Nazajutrz, gdy już wszystko do wyjazdu pana Władysława było gotowe, i gdy wojewoda pożegnał na ganku do pojazdu z księdzem Janem wsiadającego syna, rzekł jeszcze do kłaniającego się mu Piotra: „no, pamiętaj, abym nie żałował, żem ci się uczyć pozwolił.“—„Byłby z niego wyborny kredensarz, odezwał się stojący wśród innych dworskich pan Michał Bałbasewicz, marszałek dworu wojewody, ale kiedy się ptaszek poduczy, to kto wie co z niego będzie?—„Być może marszałkiem mego dworu, odpowiedział wojewoda poglądając surowo na pana Michała. Brunatny pons wystąpił na rumiane policzki pana marszałka, poznał że niewcześnie wyjechał z uwagą, pokręcił czarnego wąsa i milczał, ale postanowił w duchu za najpierwszą zręcznością wypłacić się za tę, jak powiadał, konfuzyę, komuż?—niewinnemu Piotrowi.

Pilnością i pojęciem przewyższył Piotr w szkołach nadzieje nauczycieli; ale ani jego łagodny układ, ani staranie i przestrogi księdza Jana, ani kary nawet, nie ochraniały go od codziennego prześladowania, do którego urodzenie jego stawało się powodem. Każdy z jego kolegów, będąc w domu rodziców paniczem, mniemał się być poniżonym, siedząc w jednej ławce z synem stolarza. —Pan Władysław bowiem każdemu to zaraz objawił.— A że jeszcze stolarczyk (tak go po studencku przezwano) jak na złość lepiej od wszystkich paniczów się uczył, musiał więc znosić to od kilkudziesięciu, co w domu znosił od jednego. Nieraz chciał wyrzec się wszystkiego i wrócić do rodziców; dobrotliwe jednak napominania księdza Jana, i częste widywanie się z matką pragnącą koniecznie jego nauki, utrzymywały go w szkołach. Ale gdy po latach kilku utracił matkę, a ojciec więcej o własnem rze-

miośle, z którego liczne rodzeństwo żywił, niżeli o naukach syna myślał; gdy z wiekiem rozwijające się pojęcie dotkliwiej mu czuć dawało codzienne upokorzenie; gdy poznał, że w nieszczęśliwym swym stanie, przy największem swem ukształceniu, nigdy nie będzie mógł użyć najsłodszych praw człowieka, postanowił je sam sobie zapewnić, prościej mówiąc, uciec ze szkół. Dokąd? sam nie wiedział, lecz w upatrzonej chwili ruszył w drogę.

Lat blisko dwadzieścia minęło. Na dworze wojewody zapomniano, że był Piotr na świecie, nawet pan Bałbasewicz, zawsze z honorem piastujący laskę, najzasłużeńszy z dworskich wojewody, przestał już przypominać, że trafnie niegdyś przepowiedział zły skutek z nauk Piotra. Czas przyniósł już czerstwą starość wojewodzie, pochylił ku ziemi księdza Jana, uwieńczył mirtem skronie jego wychowańca, osypał szronem niegdyś kruczy wąs marszałka dworu, a nawet w tym przeciągu czasu urodziła się, wzrosła i za mąż wyszła, córka wojewody. Zięciem jego został podkanclerzy litewski, z obowiązku swego większą część roku przemieszkujący w stolicy. Ten, gdy raz z jednym z najpierwszych prawników warszawskich, szambelanem Koniuszyńskim, radził w gabinecie o ważnym procesie swojego teścia, niespodzianie w tej chwili z powodu tegoż procesu od wojewody przysłany wszedł pan Bałbasewicz, i po pierwszem przywitaniu oddał podkanclerzemu listy od swego pana. Pan szambelan natychmiast wyjść pragnął, lecz zatrzymał go podkanclerzy, zapewniając, że listy teścia właśnie zawierać muszą rzecz, o której radzili, i wnet czytać je zaczął. Tymczasem ukłoniwszy się wzajemnie, rzucili na siebie okiem dwaj obecni goście; wzrok marszałka pokilkakrotnie padał na pana szambelana i zatrzymywać się zdawał; pan szambelan odszedł do okna i czytał gazetę. Przebieglszy tymczasem podane sobie pisma podkanclerzy rzekł obracając się do szambelana: „zgadłem mój kochany panie Piotrze!.... Na to nazwanie, jakby wypchnięty z kąta porwał się raptem i zawołał Bałbasewicz: „a niech mię szatan porwie! Jaśnie wielmożny!!!— i nagle zamilkł, jakby wątpiąc czy się nie mylił.—„A toż co się znaczy? zapytał zdziwiony podkanclerzy. Marszałek stał jak wryty, pokręcał wąsa i utopił wzrok w szambelana. Był to wzrok sokoli, wzrok marszałkowski; wzrok, który lękliwą dworską młodzież do wyznania figlów przymuszał, winowajcę i winę poznawał; wzrok niestety! samemu niegdyś szambelanowi znajomy — nie dziw więc że go w tej chwili aż do głębi serca przenikał. Nie cofając go pan Bałbasewicz, odpowiadał niedbale podkanclerzemu: „nic to JW panie; rozumiałem, zdawało mi się.... i nawet jest podobieństwo...." Pan szambelan tymczasem przebąknąwszy z wyraźnem pomięszaniem niezręczną jakąś przyczynę pośpiechu, pożegnał krótko podkanclerzego i śpiesznie się oddalił. „Co to wszystko ma znaczyć? zapytał się powtórnie zdziwiony podkanclerzy, wytłómacz się Bałbasewicz!— „Powtarzam JW panie, że niech mię szatan porwie, jeżeli z tym panem szambelanem dawno się nie znamy.—„Co ci się roi! szam-

belan Koniuszyński jest podobno z Podola, a ty z Litwy; on młody, a ty...—„Koniuszyński! patrz jego! przerwał kręcąc głową Bałbasewicz, Koniuszyński! jak się przepolszczył! Koniuszonek panie! Piotr Koniuszonek, poddany nasz, chcę mówić wojewody mojego pana poddany, który przed laty 20-tą *ni falor*, uciekł ze szkół, dokąd go i wywozić nie radziłem, a za to pamiętam co mi wojewoda powiedział; Koniuszonek panie! którego ojciec stolarz i bracia żyją jeszcze, który...— „Podkanclerzy z tego nieskładnego opowiadania marszałka nie mogąc nic zrozumieć, przerwał je i porządniej o wszystkiem rozpytywać się zaczął. Częstokroć najmniejsze podejrzenie długo tajoną od razu odkrywa prawdę; Bałbasewicz najmocniej już był przekonany że jej doszedł i że poznał w szambelanie Piotra Koniuszonka. Podkanclerzy po ścisłem wypytaniu się, i najbardziej przypomniawszy sobie pomięszanie jego, śpieszne wyjście i podobieństwo nazwiska, wyraźnie w zakończeniu tylko zmienionego, skłonnym był także uwierzyć marszałkowi, a gdy nad tem dumał: — „nie masz czasu do stracenia, ten się odezwał, taki ptaszek widząc się poznanym, długo tu nie posiedzi. JW pan powagą swoją, niech mi wyjedna sposób pojmania jegomości, choćby *cum brachio militari*, a niech go tylko raz porwę w moje ręce. . . ręczę że dostawię aż na miejsce. Proszę, co to za odwaga tego plebejusza, podejść nawet majestat króla i zostać szambelanem! Hm! mruczał dalej on, szambelanem!... „a ja dotąd marszałkiem, musiał zapewne pomyślić, gdyż zaczerwienił się nagle, i postąpiwszy krok naprzód z heroiczną odwagą zawołał: „Pozwól tylko JW panie, stanę sam jeżeli tego potrzeba będzie, przed Jego królewską mością, przecieżem za jego przywilejem strażnik inflantski. . . — Uspokoj się mości strażniku inflantski, rzekł podkanclerzy, i zostaw tę całą okoliczność mojej uwadze. Odpocznij raczej po drodze, ja tymczasem do jutra i prawdy dójdę, i postanowię co mam dalej czynić.—„Ale JW panie! czyby nie lepiej było abym ja poznawszy zbiega, jako sługa wojewody . —„W. pan zapominasz żem ja jego zięciem, i że tu bez mojej woli nic działać nie powinieneś. Do jutra panie marszałku, i ani słowa przed nikim! rozumiesz mię W. pan? – Ukłonił się i musiał odejść Bałbasewicz, oburzony, że zawsze jego odrzucano plany. Byłby on sam niezawodnie oddał wizytę panu szambelanowi, ale ostatnie słowa podkanclerza i tej mu zabroniły wolności; rezygnował się więc z cierpliwością zapowiedzianego oczekiwać jutra.—Aby jednak darmo czasu nie tracić, odwiedził jakie miał w stolicy znajomości, zaszedł nawet do sądownictw, a gdziekolwiek niby nawiasem o szambelanie Koniuszyńskim zapytał, wszędzie jednozgodne i jego charakteru i jego biegłości w prawie i jego powszechnej wziętości słyszał pochwały. Za każdym razem, wychodząc pokręcał głową i pomrukiwał: „trudno będzie jak widzę! oprzemy się podobno o króla! proszę uniżenie! ktoby się spodziewał? Miał być podemną kredensarzem, a teraz.... do stu katów! musi być znowu; albo nie! zrobię go szafarzem na pamia-

tkę szambelańskiego klucza; he! he! he!— i w tych słodkich marzeniach, urodzony strażnik inflantski, zabrał się do spoczynku po drodze.

Podkanclerzy tymczasem z innego wcale punktu rzecz tę rozważał.—Znał od lat kilku szambelana, i szacował go jako człowieka pełnego rozsądku, honoru i cnoty; wszystko co otaczało tron Stanisława Augusta, tchnęło ludzkością i oświeceniem, które ze stolicy, jakby od ogniska, rozchodziło się powoli po całym kraju; w tych uczuciach podkanclerzy postanowił użyć wszelkich sposobów, aby ochronić i oswobodzić człowieka, którego przymioty tak daleko nad urodzenie wyniosły. Nim jednak cokolwiek przedsięwziął, pojechał pierwej do niego, aby i przekonać się o prawdzie domniemań marszałka, i zapobiedz bez zwłoki gwałtownej rozpaczy, w którejby odkrycie to pogrążyć moglo szambelana.

Siedział oparty na ręku, głęboko zadumany Piotr, (on to bowiem był rzeczywiście) pióro trzymając w drugiej ręce, gdy wszedł doń podkanclerzy. Wewnętrzne udręczenie, tak rychło i tak dobitnie wyraziło się na twarzy pierwszego, że podkanclerzy nie mógł ukryć swego zadziwienia, i pierwszy rzut oka bez dalszych pytań, przekonał go o prawdzie domysłów marszałka, i o potrzebie uspokojenia nieszczęśliwego. Inaczej sobie wytłómaczył Piotr przybycie niespodziewanego gościa; wymuszając jednak na sobie spokojność, dręczył się podobny choremu, który się nie chce poddawać chorobie, wprzód nim ta gwałtem nie rzuci go o łóżko. Jedno postanowienie uczynił stałe, nie przeżyć swego zhańbienia; zdało mu się że wejście podkanclerzego było pierwszą onego chwilą, że zięć przychodził rozciągnąć nad nim prawo teścia swego.—„Cóż jest powodem niespodzianych odwiedzin pana? przychodzisz pan mię wybadać? – nie myślę taić, zwłaszcza przed panem, którego szczerze szacuję prawdy, o której w tej chwili, cała może dowiaduje się publiczność. Tak jest, marszałek mię poznał, jestem poddany wojewody T..... zbiegłem niegdyś ze szkół, a nie czas opowiadać przez jakie stopnie doszedłem stanu, w którym teraz żyłem. Mogłem, od czasu gdym od pana wyszedł do teraźniejszej chwili, być już ztąd daleko, i pod innym niebem nieznany, dożyć spokojnie, choć w tęsknocie, krótkiego zapewne życia; ale zostawiłbym tu hańbę za sobą, a najbardziej, zawiódłbym zaufanie wielu osób, którzy mi swój los i interesa powierzyli. Potrzebuję zatem jakiegokolwiek czasu, abym w tym względzie zostawił konieczne objaśnienia i rozporządzenia; poczem.... To zaś co dotąd mojem nazywać mogłem, wiem, dodał z widocznem wzruszeniem rozpaczy, wiem, że choć cnotliwie zapracowane.... łzy mu się potokiem rzuciły, i drżąc kończył— wiem że mego rozrządzenia nie wymaga, bo równie jak i ja sam nie jest moją własnością... „Tu mu się głos stłumił, i padł prawie omdlały na sofę.— „Uspokój się i posłuchaj mię, rzekł podkanclerzy; mylisz się co do powodu, który mię tu sprowadza; łatwo pojąłem stan

gwałtownego cierpienia, w który cię spotkanie się z Bałbasewiczem pogrążyło, spieszyłem więc przynieść ci uspokojenie i pociechę, na jaką tylko przyjaźń moja dla cię zdobyć się może. Znajduję com przewidział i lituję się nad tobą; jakiekolwiek są twe postanowienia, nie mam potrzeby ich zgłębiać, gdy powód do nich usunąć przedsiębiorę. Znamy się blisko od lat kilku, mam więc prawo mniemać, że znasz wartość mojego słowa i mojej dla siebie przyjaźni; a zatem że los swój powierzysz mi z zaufaniem." — „Ach! z zupełnem, odpowiedział Piotr." — „Więc zabraniam ci wszelkich w tej okoliczności kroków, do czasu nim albo ci moich nie ziszczę uręczeń, albo gdybym tego dokazać nie mógł, nie zostawię cię własnej twej woli. Przyrzekasz mi to?—Piotr milczał.— Milczysz? mówił dalej podkanclerzy: pamiętaj, że Bóg cię srogo zapyta, dla czegoś obrał dobrowolnie rozpacz, gdy ci ofiarowano nadzieję? Z rozrzewnieniem i pokorą rzucił się Piotr do rąk swego dobroczyńcy i przyrzekł wszystko czego ten po nim żądał. „Wreszcie, rzekł odchodząc podkanclerzy, ja tylko i ty, posiadamy twą tajemnicę; Bałbasewicza biorę na siebie.

Pan strażnik inflantski całą noc oka nie zmrużył, już to układając perorę do króla, już to sposoby obchodzenia się w drodze z pojmańcem, już to wróżąc dary wojewody za tak wielką przysługę. Doczekał wreszcie świtu, i wnet sprowadzony podżyły weteran brzytewnej kontubernii, przystąpił do odświeżenia czupryny pana marszałka Jakby się przeląkł dzisiejszej mody panicz do podobnejże usposobiony professyi, gdyby mu przyszło mieć do czynienia z szerokim łbem marszałka, na którego wierzchołku tylko kilkadziesiąt rozwiewało się włosów; tak też wzajemnie pan marszałek nigdyby się nie odważył powierzyć swej starej i pokresowanej głowy, ręce młodego elegancika, młodszego od dobrego infimisty tamtych czasów. Ale gdy równowieczny prawie z nim professyonat, zachylił z powagą rękawa od żupana i usiadł z zaufaniem do operacyi, marszałek litaniję poranną odmawiać zaczął. Z pociechą usłyszał *ora pro nobis* odpowiadane z ust golącego siebie, i niemniej przeto nieprzerywającego roboty, tak, że nim ukończyli modlitwę, już wolny został Bałbasewicz do kontynowania swego dalszego stroju. Nagrodziwszy tynfem i skosztowawszy razem z nabożnym felczerem z podróżnego zapasu przybrał się pan strażnik w mundur swojego województwa, żupan bogatą na szyi ozdobił spinką i pasem litym się opasał, przy którym na taśmach, ze złota i jedwabiu utkanych, w jaszczur oprawną zawiesił demeszkę. Garderobę tę uroczystą zawsze od przypadku miał z sobą, równie jak przywilej swój na strażnikowstwo inflantskie i podobnyż ojca swego na łowiectwo ziemi Nurskiej, ażeby w każdym przypadku mógł dowieść, że był *bene natus*. Oba te dokumenta małym rogiem wysuwały się mu teraz z zanadry, dla okazania w zdarzeniu; but żółty i czapka wysoko wyszyta, uzupełniały stroju, w którym się z oficyny udał na pokoje podkanclerzego. Wszyscy jeszcze tam spali, bo już i w tamtym czasie, w sto-

licy, godzina świtania nie była chwilą przebudzenia się; doszedł wszelakoż do sali, po której przechadzając się, skrzypieniem butów budził koleją wszystkich. Jak tylko wstał podkanclerzy i dowiedział się, że Bałbasewicz już nań czeka, wejść mu do siebie pozwolił. „A! jakżeś mi strojny, mój kochany strażniku, rzekł z zadziwieniem, czyś nie postanowił jaką ciepłą wdówkę wziąść ztąd pod straż swą do Litwy?—„Wolne żarty JW pana! przez należyty respekt senatorskim JW pana pokojom, i rozumiejąc nadto, że wczorajsza nasza sprawka może być powodem do stawienia się i skargi, nawet *ad Majestatem*, przywdziałem mundur mojego województwa i czekam rozkazów JW pana!—„Czy tylko to? No! bądź spokojny, obejdziemy się bez tak wielkich zachodów. Bo dajmy żeś rzeczywiście poznał Koniuszyńskiego, czyż teść tak mało ma poddanych, aby mu wiele zależało na przybytku jednego, i takiego jeszcze z którego by jak z poddanego, żadnej nie miał korzyści?—„Ale JW. panie, zbieg tak ważny! ręczę panu, że wojewoda zdarzenia tego małem nie nazwie, że ja będę w odpowiedzialności, jeżeli to lekko puszczę a Koniuszonek tymczasem ucieczе. — „W listach moich do wojewody dałem świadectwo gorliwości W pana; zresztą, sam uważasz okoliczność tę za ważną, więc obrazilibyśmy wojewodę, gdybyśmy cóś bez jego wiadomości i woli uczynili; że zaś szambelan na miejscu zostanie, za to ja ręczę. W. pan zaś, mój kochany strażniku, niemasz ani chwili do stracenia; proces teścia mojego wymaga rychłego W. pana powrotu, listy moje oto są, a wczoraj jeszcze kazałem memu marszałkowi, aby przygotował dla W. pana zapas na drogę i ranne śniadanie; wszystko już dotąd gotowe, żegnam więc W. pana. Znając jego roztropność nie potrzebuję powtarzać ostrzeżenia, abyś ani komukolwiek z mojego dworu, ani nawet przybywszy do domu, nie rozpowiadał tego co tu zaszło bez wyraźnego dozwolenia wojewody."— Bałbasewicz nie w ciemię bity, poznał, że go chciano jak najrychlej z Warszawy wyprawić, ukłonił się więc nizko i wyszedł nieukontentowany. Wnet miejsce atłasowego zajął sukienny żupan, miejsce kontusza podróżna kurtka, miejsce demeszki furdament na rzemiennych paskach; i posiliwszy się należycie zrazem huzarskiej pieczeni u kolegi swego, pan marszałek wyruszył w podróż.

Lubo Bałbasewicz nie mógł rozgmatwać w swej głowie powodów postępowania podkanclerzego, nie posądzał go wcale, aby mógł zaniedbywać interesu teścia, a tem bardziej aby go zdradzał; dla tego też przybywszy do domu, zachował jego przestrogę, i oddawszy listy wojewodzie czekał, nikomu nic nie powiadając, co pan postanowi. Przywołany wkrótce, opowiedział na zapytanie wojewody, wszystkie szczegóły swego zdarzenia w Warszawie, nie opuszczając, że był gotów wszelkimi sposobami dochodzić własności pańskiej. „Dziękuję ci, odpowiedział wojewoda, za twą gorliwość, a jeszcze bardziej żeś posłuchał we wszystkiem woli mojego zięcia. Nikomu tu nic o tem nie powiadaj, a ja wy-

syłam jutro do Warszawy z mojem postanowieniem, które spełnić się musi koniecznie.—„Widzi pan, rzekł Bałbasewicz, że moje proroctwo, jeżeli je pan przypomni, gdy Piotra do szkół wywożono, ziściło się — „Gdybym z tak poczciwym, jak ty mój strażniku sługą, nie chciał żyć aż do śmierci, odpowiedział wojewoda, i mojeby teraz ziścić się mogło, jeżeli je także przypomnisz.

„Szczególna rzecz! mruczał sobie wychodząc Bałbasewicz, każą mnie milczeć jak gdybym miał co rozgłaszać?— Nie w tem rzecz, żem poznał Koniuszonka, ale to sęk, co się z nim stanie, i co to za postanowienie wojewody, które musi się spełnić koniecznie.

Przez cały wieczór wojewoda zamknięty był w gabinecie z księdzem Janem, nakoniec przywołano marszałka, i oddano mu pakiet z rozkazem wysłania przed świtem gońca do Warszawy. Tu rzecz, pomyślił sobie Bałbasewicz, ale jakże jej dostać?— Ksiądz Jan wie wszystko; ale ksiądz Jan wielomówny tylko w pacierzach. Pan marszałek był z natury ciekawy, a trochę i obrażony, że na dworze którego był głową, w okoliczności której sam był sprawcą, nie wiedział przecie jaki nastąpi koniec.

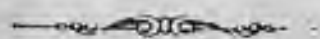
We dni powszednie, ksiądz Jan bardzo ranną mszę miewał w kaplicy, długim szpalerem lip starożytnych od zamku oddzielonej; nie opuszczał jej nigdy marszałek; wracali potem razem, kapelan na kawę, marszałek na anyżówkę. Idąc powoli i rozmawiając, często nie zgadzali się w zdaniach, ale zwykle ksiądz Jan kończył sprzeczkę, lub ustępując marszałkowi, lub mówiąc tylko: mój mości strażniku, szanuję opiniję Wpana, wszakże zostanę przy własnej. Po wysłaniu gońca, nie uchybił marszałek swemu zwyczajowi, poszedł na mszę i wracał znowu z księdzem Janem. „No *reverendissime!* już godzin kilka jakem wysłał do Warszawy.— Ksiądz Jan uchylił głowy, jakby miał powiedzieć, dobrześ uczynił. Zarwę go znienacka, pomyślał Bałbasewicz. „Zapewneż wojewoda kazał go pojmać? — „Kogo?— Koniuszonka któregom poznał! Ksiądz Jan milczał, pokręcił tylko głową, jakby mówiąc nie. A bodajbyś zupełnie oniemiał! ledwo nie powiedział zniecierpliwiony marszałek. „Ależ *reverendissime*, o tej całej awanturze nikt prócz nas trzech we dworze nie wie i wiedzieć nie będzie, bo jegomość mię znasz, wiem ja cnotę nad cnotami... — „Jeszcze jedna jest cnota arcy-pożyteczna, mój mości strażniku, przemówił przecie ksiądz Jan. — „A to jaka *reverendissime?* — „Wstrzemięźliwość w ciekawości, mój mości strażniku. Pokręcił wąsa Bałbasewicz, poznał sens moralny tej odpowiedzi księdza Jana, i już ani słówka więcej na ten raz z sobą nie przemówili. „Albo wojewoda zaniechał zupełnie tej sprawy, albo podkanclerzy zaprzeczył memu odkryciu, myślał niekiedy Bałbasewicz, nie widząc rozwiązania; lecz wkrótce, postrzegł jednego wieczora, że wojewoda odebrawszy listy od zięcia, zawołał do siebie starego stolarza — Przywlokł się staruszek o kiju, i więcej niż pół godziny rozmawiając sam na sam z panem, wyszedł ocierając z łez oczy. Przywołano potem syna

jego Andrzeja kredensarza, gdyż pan Bałbasewicz w całym rodzie Koniuszonków, upatrując szczególniejsze do kredensarstwa zdolności, po wyprawieniu Piotra do szkół, Andrzeja brata jego, do tej funkcyi przeznaczył. Opanował go natychmiast po wyjściu od pana, marszałek; mimo zakazu wojewody, nie mógł oprzeć się Andrzej swemu bezpośredniemu naczelnikowi, któremu podlegać codziennie nawykł, odkrył mu wolę wojewody, a marszałek opowiedziawszy wzajemnie całe swe zdarzenie w Warszawie, dodał cokolwiek swoich instrukcyj do rozporządzeń wojewody.

Nazajutrz wojewoda wstał raniej nad zwyczaj, zdawał się być niespokojnym i oczekującym, wychodził na ganek, patrzył na drogę, posyłał do miasteczka obaczyć czy kto nie zajechał do której austeryi; lecz wszystko napróżno. — Nakoniec około południa, ujrzano czterokonny pojazd w lipowym szpalerze, a ponieważ od rana już wszyscy dworscy i goście cichą nowinkę o przybyciu Piotra dostali, wszyscy więc to w otwartych oknach, to na gankach poumieszczali. Pan Bałbasewicz stanął we drzwiach oficyny; sami tylko wojewoda, ksiądz Jan i pan Władysław, przez zamknięte szyby zważali na wszystko. Pojazd zbliżywszy się do bramy, stanął. Wyszedł zeń mężczyzna. (czytelnik zgaduje kto taki) przystojnie ubrany, odpasał i oddał pałasz swemu służącemu, a sam szedł do pałacu. Wtem naprzeciwko niego zbliża się staruszek o kiju; zastanowił się Piotr i wpatrując się w niego: — „O Boże! to mój ojciec! zawołał, i już był u nóg jego. — „Piotrze! synu mój! synu mój! powtarzał rozrzewniony staruszek. — „Ojcze! daruj, daruj żem cię opuścił! o jakże dziękuję Bogu że cię jeszcze oglądam! Cóżkolwiek mię czeka, kończył całując z uniesieniem wynędzniałe ręce starca, będę żył i będę szczęśliwy, byłem ciebie ojcze w starości mógł opatrywać i żywić." — „Boże błogosław jemu, wołał starzec uradowany!!! — „Boże błogosław go! powtarzał do łez wzruszony stary wojewoda, żegnając Piotra przez okno. O jakże szczęśliwym ten ojciec! jakżem ja szczęśliwy, że taką cnotę nagrodzić mogę! Patrz! patrz księże Janie! o jakże szczęśliwy ten starzec! — „Mój ojcze! przerwał Władysław przyciskając do ust rękę wojewody, dla czegoż mu zazdrościsz? czyż także nie masz syna który cię kocha i szanuje? Wojewoda bardziej jeszcze rozpłakany uściskał Władysława. Tymczasem szła kolej na Andrzeja kredensarza. Podług instrukcii marszałka, miał on z zuchwałą miną zbliżyć się do brata, uścisnąć go i pocałować, a jeżeliby się ten wzbraniał, grzecznie z nim się rozmówić, prowadzić do wojewody, i tam oskarzyć że się brata zaparł. Wypełniłby wszystko co do joty Andrzej, ale i zuchwałość i rozkazy Bałbasewicza wypadły mu z pamięci skoro ujrzał brata upadającego do nóg ojcowskich; i Andrzej miał serce. . . zbliżył się wprawdzie do szambelana, bo taka była i wojewody wola, ale zamiast poufałego przywitania, milcząc wziął go nieśmiało za rękę i ucałował ją ze łzami „To brat twój Andrzej, rzekł wspólny ich ojciec. — „Nie poznałbym go wcale, odpowiedział Piotr, zostawiłem go bardzo

małym, pójdź bracie! uściskamy się i idźmy do pana."—Wojewoda odszedł od okna, podpisał sam i Władysławowi podpisać rozkazał przygotowany papier, i z nim w ręku wyszedł na ich spotkanie. „Piotrze! i postrzegając się wnet, szambelanie! rzekł, niech ci Bóg nagrodzi radość którą mi dziś sprawiłeś! niech ci Bóg nagrodzi szczęście ojca twojego, twoją cnotę i synowskie przywiązanie. Nie zawstydziłeś się ojcowskiej siermięgi, ja cię też równym sobie uznać się nie powstydzę. — „Panie przybyłem na twe rozkazy, oddać los mój na twą wspaniałość!!! — „Dość tego, oto masz! oddając papier, przerwał wojewoda, com dla ciebie, znając cię tylko z listów zięcia mego, przygotował, a co w chwili gdyś ojca twego poznał i uczcił, uzupełniłem. Nikt ci tego, ja sam nawet odebrać już nie zdołam, — (był to zapis przyznający wolność całej rodziny Koniuszyńskich, oddawna wprawdzie, jak wyrażał, w dobrach wojewody zamieszkałej, ale nigdy jakoby poddanej)—bądź tylko moim i po mojej śmierci syna mego przyjacielem na zawsze.—Władysław przyjął mile kolegę szkolnego; ksiądz Jan oblał go łzami i błogosławieństwy; a pan strażnik inflantski, niewiedząc sam co miał myśleć i mówić, pokręcał tylko, jak zawsze gdy był nieco zaambarasowany, wąsa. Lecz gdy do zebranej przed obiadem kompanii wojewoda rzekł: „prezentuję państwu pana Koniuszyńskiego, szambelana Jego królewskiej mości, przyjaciela domowego mojego zięcia i mego; a co najgorsza, gdy go obok siebie u obiadu posadził, Bałbasewicz chciał natychmiast złożyć tak długo piastowaną laskę, z którą chodząc około stołu uważać porządku był powinien, i ledwo go od tego ksiądz Jan odwieść potrafił.

Nazajutrz rano udał się ksiądz Jan w towarzystwie zwyczajnem marszałka na mszę: nie chcąc przed nią rozrywać myśli kapłana, gotował marszałek na powrót z nim dysputę uporczywą o wczorajszym postępku wojewody, szczególniej względem posadzenia u stołu Piotra; lecz zbliżając się postrzegają klęczącą na cmentarzu osobę. był to Koniuszyński modlący się na grobie matki swojej To już nawet i marszałka zmiękczyło. Idąc nazad do pałacu zamiast sprzeczki, słuchali oba z księdzem Janem opowiadania Koniuszyńskiego o jego losie po ucieczce ze szkół, którego tu nie powtarzam, bo może nie byłoby tak prawdziwe, jak cała treść tej powiastki.—Cnotliwy Koniuszyński wrócił do Warszawy nieświadomej jego urodzenia, upewniwszy byt pomyślny starego ojca i braci, którzy nie chcieli opuszczać swoich stron rodzinnych.



BRZEGI WILJI.

Poświęcone cieniom i pamięci Adama Strawińskiego.

I z ojczystych dolin kwiatów,
Do obrazów zbieram farby!—
* * *

I.

Piękną jest szeroka Litwa nasza! Nie upośledził ją Bóg od innych krajów. Natura i tu równie, jak gdzieindziej, bogatą jest w ozdoby i wdzięki, zdolne zachwycić oko, zająć wyobraźnię, podnieść i upoić rozkoszą duszę!

W przerwach głębokich lasów naszych, nad brzegami czystych rzek i strumieni, nad nieścigłemi wzrokiem szybami licznych jezior naszych, na samotnych wzgórzach, lub na powabnych dolinach, ileż to najpiękniejszych okolic w kraju naszym, nietkniętych stopą żadnego wędrowca, nieznanych, i przypadkiem chyba kiedyniekiedy natrafionych, oczekuje w ukryciu pędzla malarza, pienia poety, lub świetnego pióra i dowcipu autora, któryby je opisał, zaludnił, zwiastował ich bytność ziomkom i prowadził czytelnika od miejsca do miejsca, jak w pięknej galerji od obrazu do obrazu, na którychby rzeczy i okolice rodzinnej ziemi w żywym, naturalnym jaśniały wdzięku.

Przebieżmy małą tej ziemi cząstkę, a nie pokuszając się o palmę i zalety wielkim talentom właściwe, przejdźmy po brzegach rzeki naszej ojczystej *Wilji!*... tej odwiecznej przyjaciółki naszej, w której wodach dziki niegdyś Litwin poił swego rumaka; nad którą monarcha kraju tego, mocarza lasów litewskich obaliwszy na ziemię *), dzielną prawicę swoją, krwią dumnego zwierza zbroczoną, w czystych jej wodach obmył; która przyjęła w swe łono, i przechowuje na dnie, świętym krzyżem obalone i zepchnięte w jej łoże stare bogi litewskie: która w późniejszych czasach tylu zdarzeń publicznych, tylu domowych rozkoszy była świadkiem!... nad którą upłynął nasz wiek młodzieńczy, dojrzały upływa, nad którą nakoniec stare nasze kości zagrzebią!

Połączmy jej nurtem, jak wstęga miłej pamięci, kilka wspomnień i podań dawnych z nad jej brzegów, i kilka obrazów z wiosny życia naszego, także nad jej brzegami spędzonej, nam i współczesnym czytelnikom naszym wspólnej i jednoczesnej. Młodości szczęśliwej! pogodnej! żywej! obfitej w uczucia, z uczuć w troski,

*) Gedymin—Tura.

z trosk w rozkosze! . spędzonej w czasie nieodległym jeszcze, gdy ostatki prostoty domowej i towarzyskiej szczeroty naszej stykały się w dobiegających już pasmach z nową teraźniejszą, z egoizmu, chciwości i zbytków szczególniejszą tkaniną, mieniącą się obłudnie jak mora, i błyszczący jak szych fałszywy, w którąś-my się oblekli.—A gdy w takiej obyczajów i życia naszego przemianie szczęście i wesołość ojców naszych nam znikły, niechże przynajmniej zostaną w pamięci sposoby, któremi oni to szczęście i tę wesołość obudzali; jak w starych kalendarzach znajdziesz niekiedy przepisy doskonałych kordyałów, któremi niegdyś z apteczek domowych babulki nasze orzeźwiały naddziadów.

II.

Wilja, poczynając bieg swój na granicy Borysowskiego powiatu *), płaskim i wązkim przez mil kilkanaście ku południowi posuwa się korytem; lecz wkrótce rzeczki mniejsze, jak drużki jej młode, podbiegają z boków; bierze ona je pod ręce i prowadzi się z niemi do Niemna, z którym w małżeńską jedność zlewa się pod Kownem.

Jedną z takich dorodniejszych kompanek Wilji, przypadających szczególniej do wiejskich okolic naszych, jest rzeka *Narocz*. Z jeziora tegoż samego nazwania, najobszerniejszego w tych stronach, wypływa ona, i również ku południowi bieg swój obracając o mil dziesiątek napotyka *Wilję*.—Czysta, po dnie piasczystem i płytkiem tocząca swe wody, w krótkim lecz bystrym i krętym swym biegu, wiele ona siół obrzeża, wiele łąk tworzy i użyźnia, i nieraz w ciemne lasy zachodząc, nie jedną ponurą knieję rozwesela i ożywia.

Gdy na wiosnę prysną lody, szumi i szeroko rozlewa się *Narocz*. Potężne natenczas szczupaki wypadają z jeziora, igrają w pieniących się jej nurtach, i daleko od ojczystych oddalają się toni, do których gdy wracać przyjdzie im ochota, czatujący na tę chwilę ich wesołości chłopek nieraz powitał w buczu ogromnego gościa, którego ledwo na ramionach mógł dźwignąć.

Wązki i długi półwysep wsuwa się między dwie rzeki w miejscu ich połączenia się, i ciśnięty niecierpliwie przez dwa wodne ramiona, wzajemnie gwałtem je rozdziera. Wzgórek na półwyspie, ogromnymi dębami porosły, panuje nad tą okolicą, trzema szlakami rzek przerzniętą, z których dwie z dwóch stron przeciwnych ku niemu dążą, a trzecia, z obudwóch zlana, szerszym i wspanialszym nurtem odeń upływa.

Nieraz podczas letniej, ciepłej a ciemnej nocy, przedzielony rzeką od wzgórka, zdziwiony postrzegłbyś zdaleka rozniecający się tam płomień; nagle powiększa się on i rozszerza, odznaczają

*) W gubernji Mińskiej.

się w blasku, lub nikną w ciemnocie dęby, jak olbrzymy nieruchome; między nimi snują się dziwaczne ludzkie postacie, to kłębami dymu otoczone, to czerwieniejące się około ogniska. . . fantastyczne jakieś widma w szczególniejszem i nieodgadnionem zatrudnieniu i ruchu. . . Nakoniec cała ta zgraja szatanów rozbija się na troje, dzieli się po rzekach . ogniska oddalają się powoli, błyskają coraz słabiej po wodzie, wkrótce wszystko niknie. . . przepada! ! !

Widowisko to, któregoby się uląkł przesądny chłopek, gdyby nie wiedział doskonale jego przyczyny, któremu nieraz z upodobaniem sam się przypatrywałem, jest tylko prostą nocną na szczupaki wyprawą; te, zwiedzone blaskiem ognia, zbliżają się do czółen, lub się z łatwością upatrzyć dają rybakowi, i giną pod jego ością.

Lecz gdy księżyc w pełnej tarczy rzuci na ziemię jasny promień odbity i drżący w rzekach, a czystem i łagodnem światłem oblekający ziemię, natenczas okolica ta nabiera niewymównego powabu, równie z piękności swojej, jako i z miejscowych pamiątek, uderzających w owej chwili razem i wyraźniej oko i wyobraźnię.

Jeżeli podaniu, nazwaniem miejsca i historycznem podobieństwem wspartemu zawierzyć mamy, oto na prawo nad spadzistym brzegiem *Wilji* obozowisko i okop Szwedzki, widoczny jeszcze, i osłaniający wałem *zaścianek* z kilku włościańskich chatek złożony, *Szwedem* na pamiątkę nazwany *). Na lewo siedlisko i pałac, przez połowę w ruinach, jednego z dawnych i możnych książęcych imion kraju tego; a tuż przy nim mały kościołek wiejski z dwiema drewnianemi wieżyczkami, na których krzyżyki żelazne zaledwo widnieją w oddaleniu. Wzrok, na jedną lub na drugą stronę rzucony, spotyka jedno lub drugie miejsce, i na każdem zadumaną źrenicę na długo zawiesza!

Ileż razy młoda a żywa wyobraźnia moja unosiła mnie tu w przeszłość daleką? Ile razy rozwijała zwoje fantastycznych, a jednak prawdopodobnych obrazów, z których się każda przeszłość składa, i które do nieskończoności rozwijać lubimy? . . Ileż razy pałac ten brzmiał mi okrzykami wesołej uczty, rozlegał się echem hucznej *kapeli* lub odgłosem trąby, bijącej na trwogę, w dniach tak dawniej częstych zamieszań naszych, w których rodzina tu zamieszkała, czynny miewała udział? Ileż razy przez długie a wązkie szyby i okna zdawał mi się jaśnieć gmach cały rzęsistem światłem, jak niegdyś w dniach uroczystych świąt religijnych lub wspaniałych familijnych obchodów? Ileż razy znowu po ogrodzie, otaczającym pałac ten, a podobniuteńkim do *Sapieżyńskiego* w Wilnie, przeprowadzałem po długich i ciemnych lipowych szpalerach, poważne figury naddziadów, sprowadziwszy je wprzód moją

*) Miejsce to znajduje się w gubernji Mińskiej, w powiecie Wilejskim, w dobrach p. Łubańskiego.

wyobraźnią ze ścian pałacowych, lub przedstawiałem sobie całe grono pańskie, z matron i mężów, z młodzieńców, dziewic i dzieci złożone, otoczone świetnym orszakiem sług i dworzan, wychodzące z pałacu w niedzielę do skromnego kościołka, i tam razem z ciżbą włościan swoich modlące się pokornie przed ołtarzem, przy którym kapelan domowy mszę świętą odprawiał; i powracające potem do pałacu z pogodą i powagą na twarzach?

A na okopie Szwedzkim, którego dziejów dowiedzieć się chciałem, nie roiłem-że niekiedy rycerzy zdobywających i broniących okopu?... Któż zwyciężył? Śpiący w nim snem wiecznym nie odpowiadali na pytanie, lecz się nakoniec od żyjącego, kto i kogo tam zwyciężył dowiedziałem.

Do takich i tym podobnych myśli i marzeń pobudzał mię za dni mych młodzieńczych, i w nich wspomagał, poczciwy staruszek, przyjaciel mój, chociaż wiek różnił nas daleko, ostatni sługa i dworzanin tej świetnej niegdyś rodziny, której siedlisko opisuję, dokonywający wieku i dożywotniego chleba w małym zakątku zrujnowanego domu panów swoich, dla których dochował on wiernie do zgonu, serdeczne przywiązanie i z któremi dawno się już połączył na wieki. — Z opowiadań jego, którem mię za dwie lub trzy pule, w marjasza cierpliwie z nim rozegrane, nagradzał, wiadomość o okopie Szwedzkim powtórzę tutaj. Będzie to epizodem do przedsięwziętej treści, jakby zatoką Wilji, z której wyjmujemy to podanie, jak skarb z dawnych zamieszek krajowych pozostały, a dotąd ukryty i zatopiony na dnie.

III.

Ogromna, od fundamentów do szczytu wysoka, dwóma piętrami okien, oczepionych jaskólczemi gniazdami, oświecona, a jednak ciemna, długa na przestrzał całego domu sala, w tej niegdyś książęcej rezydencyi, podobną jest do opustoszałego kościoła, tem bardziej, że szeroki chór w górze nad wejściem i ołtarz na chórze dają poznać, że rzeczywiście naprzemian i do zabawy, i jako domowa kaplica, do modlitwy służyła. — Wielkie portrety antenatów, w długich ferezjach, z laskami, buzdyganami i buławami w rękach, przyparte do ściany, przedstawiać tu mogły fundatorów, stojących w tej samej powadze, postaciach i milczeniu, w jakich żywi niegdyś, w tem miejscu, odrzuciwszy tylko godła dostojeństw swoich w czasie nabożeństwa stać mogli.

W małej z boku komnatce, jak w zakrystyi tego kościołka, mieszkał i żył jeszcze przed laty dwudziestu z okładem pan Jędrzej Rombuld, niegdyś sekretarz księcia wojewody Trockiego. Komnatka ta, dawniej zwyczajna kancelarja wojewody i razem kwatera sekretarza, dziś mu była kątkiem ciepłym na starość, a sala przybytkiem wspomnień i modłów za dusze tych, których postacie widział na ścianach, i których dzieje umiał na pamięć.

Gdy suchy, wysoki i blady staruszek, stojąc przed którymkolwiek z portretów zaczynał opowiadanie swoje, przybierał z początku postawę, ton i styl nawet poważny, wymuszony, dawny dworsko-sekretarski, łaciną przetykany, wymagający jakoby *respektu* dla opowiadanej treści i dla *erudycyi* opowiadającego; lecz wkrótce interes serdeczny, jaki się w nim natenczas obudzał, ożywiał razem twarz i oko staruszka, nikła pedancka powaga i postawa, *elokwencya* wymuszona i powolna zamieniała się w mowę płynną, żywą, zajmującą, a kończącą się niekiedy rozrzewnieniem, wzbudzonem długiemi legendami o dawnych dobrych czasach i ludziach, o dawnych wspaniałych panach i dworach, lub o zwyczajach i obyczajach współczesnych młodości pana Jędrzeja i dawniejszych jeszcze od niego.

«Wszystko to, o czem mnie pytasz, zacny kawalerze, mówił mi zatem pan Rombuld, opisano jest *per extensum, de data et actis* w djaryuszu wszelkich faktów i ewentów, spisywanym tu *in ordine* lat od dawnych czasów, a który ja z rozkazu nieboszczyka pana mojego ś. p. Wojewody Trockiego *) *requiescat in pace!*.. za jego życia kontynuowałem, i teraz, choć to już *summatim* kontynuję; mógłbym więc wynaleść i przeczytać jegomości historyę tego okopu nad *Wilją*, o którym ciekawy jesteś, i innych w tymże czasie rozruchów i *exorbitancyi* w naszym kraju; zwłaszcza że i chwalebną jest rzeczą w wieku młodzieńczym zacnego kawalera ciekawość taka,.. która prowadzi do nauki i wiadomości... *Discat qui nescit. Nam sic sapientia crescit!* Lecz że na to foljały wertować trzeba, więc opowiem wolej jegomości, ile wiem i pamiętam.

„Okop ten jest z czasów, gdy po tym kraju grasował szwed—Karol XII **), wielki wojownik, o którym wiesz i czytałeś zapewne jegomość, a który zginął, *jak szwed pod Połtawą*. Przyciągnął on z wojskiem swojem aż tu w województwo Mińskie, i stanął w miasteczku Radoszkowiczach, ztąd o mil ośm: a że natenczas szlachta i panowie nasi, na dwie partje rozdzieleni, jedni trzymając się szweda, a drudzy sasa, na wyraźne skaranie Boskie między sobą wojowali, więc każdy, zebrawszy czy to wojsko, czy to gromadkę swoich *adherentów*, tańcował po kraju, sekundując podług swej woli i *inklinacyi* jednemu lub drugiemu *potentatowi*, a niszcząc i prześladując *adwersarzów*.

„Taki szatański taniec trwał tu przez lat kilka.

„Ten mąż dzielny, mówił dalej, zbliżając się do figury z buławą hetmańską w ręku, z piersią w pancerzu, poglądającej na nas marsem z portretu, ten mąż dzielny, *tam in toga quam in sago*, starosta Żmudzki i Hetman Polny, a potem Wielki Litewski, Hrehory na imię ***), nie darmo piastował buławę, nie uląkł

*) Tadeusz Ogiński, Wojewoda Trocki.

**) Historyczne—z pamiętników ówczesnych.

***) Hrehory Ogiński.

się on szweda, i nieraz dał mu się we znaki!—Był on natenczas panem tych dóbr i wielu innych po Litwie i Żmudzi, które *szwed funditus* zniszczył: a gdy ten ostatni zalokował się w Radoszkowiczach, tem wygodniej mu było, że na tamtej stronie Wilji miał obszerne królewskie *dominia*, jako to: Markowskie Starostwo, do którego drogę nawet własną z Radoszkowicz, dotychczas znaczną *) i drogą Szwedzką nazywającą się, wyprowadził — a z obu stron również bogate dobra swego nieprzyjaciela starosty Żmudzkiego.

„Pilnował się wszakże ostróżny szwed ściśle, i kilka tygodni, owszem w parę miesięcy pono tu stojąc, rozciągnął kordony swoje szczególniej po nad Wilję, bo się obawiał, aby którykolwiek z partyzantów Augustowskich, nieuległych jego *potencyi, per stratagemma belli*, nie zaszedł mu z tyłu, gdy on wgłąb Rossyi, jak się potem pokazało, na bankiet pod Półtawę wybierał się; porozstawiał więc swoje *praesidia* po brzegach rzeki, a najmocniejsze tu przy zbiegu Naroczy z Wilją, gdzie z półtorasta ciężkich rajtarów szwedzkich zasiadło i okopało się.

„Tymczasem Starosta Żmudzki *citissimis passibus* dążąc do Wiłkomierza, niespodziany i najmniej oczekiwany, zjawił się tu jednej nocy na popielisku dóbr i włości swoich. Chociaż Hetman Polny, małą on jednak miał garstkę wojska przy sobie; bo Hetman Wielki Litewski Wiszniowiecki z główną komendą przeszedł już był na stronę szweda; ale świadomy sam miejsc tutejszych, a do tego mając przewodników z włościan swoich, ucieszonych przybyciem pana i nadzieją, że ich od srogich rabunków i zbytków szwedzkich uwolni, wynalazł bród w rzece, i tejże nocy przeprawił się na drugą stronę.

„Szwedzi, ośmieleni kilkotygodniową spokojnością, spali za okopem w najlepsze; postawiony nawet żołnierz na straży zasnął . . Gdy *summo mane* równo z brzaskiem Hetman wpada na nich jak piorun! Przerażone rajtary nie mogą przyjść do sprawy ani do koni, a już im na karkach szabla hetmańska! wszelakoż chwytają za broń kto żywy, kupią się, walczą pieszo. Zajadły ich komendant rzuca się na Hetmana! Ciął go Hetman z konia pałaszem, a dokończył drugim ciosem Zaranek, buńczuczny hetmański, potem Porucznik Husarski i Miecznik Żmudzki.

„Po upadku wodza swego, reszta rajtarów, wiele ich zostało, sparci nad spadziste brzegi rzeki, salwować się chcieli wpław, rzucali się do Wilji, i jedni potonęli, a drudzy, którym się udało przepłynąć, znaleźli na drugiej stronie w lasach, kupy chłopstwa, czekającego na *ewent* bitwy, którzy ich pobrali, powiązali jak baranów, i przyprowadzili do pana; pobitych zaś we własnym ich okopie pogrzebiono.

„Powiadają . . *relata refero*. . . (bom tego sam nie widział), że w każdą rocznicę tej porażki szwedów, a stała się takowa

*) Miejscowe.

mediis Junii—millesimo—septingentesimo—nono — widują ogromnego szweda z rusznicą na ramieniu, przechadzającego się w nocy po okopie, i odprawującego czaty nad mogiłą swoich poległych braci, podobno za pokutę za to, że zasnął i nie dopilnował ich za życia.

Skończył starzec opowiadanie, oba mieliśmy wzrok podniesiony na bohatera jego powieści . . Znikły wady malowidła, tak rażące wprzód oko; portret jaśniał mi teraz urokiem chwały, oblicze wesołością i męztwem.

„Umarł w Lublinie Hetmanem Wielkim Litewskim, dodał po chwili milczenia, smutnie ruszając głową pan Rombuld, bo po upadku Karola i powrócie *iterum* Sasa na tron, odjętą buławę wielką Wiszniowieckiemu, oddano jemu, którą on wszakże rok tylko niespełna piastował, a której tak dla zacności rodu swojego, jako też i dla wspaniałości animuszu godnym był prawdziwie.

„Otoż, zacny kawalerze, wiadomość o tutejszym okopie Szwedzkim; zachowaj ją w twojej młodej pamięci; będziesz to kiedyś rozpowiadać wnukom swoim, gdy tak jak ja dzisiaj starym będziesz.—Zmów natenczas *requiem aeternam* za duszę Jędrzeja Rombulda, który cię tego nauczył.“

IV.

«Poranku, wiosno człowieka!
Młodości! piękna młodości!
Ledwie się ciebie doczeka,
A już ubiegłej zazdrości!
Ty silniej piersi zagrzejesz,
Więcej cnoty w duszę lejesz,
Prędszym skutkiem wieńczysz dzieła.
Twa prawica dzielniej trzyma,
Dalszymi widzisz oczyma...
Lecz tyś dla mnie przeminęła!!! *).

Wyborneż to były czasy młodości mojej!!! Któż ze mną nie powtórzy dla siebie tego wykrzyknienia? kiedy się wcale nie myślało o jutrze! bo była pewność, że jutro tak będzie szczęśliwe, jak wczoraj i dzisiaj! kiedy się nie przewidywało, że po ubiegłej pewnej liczbie jutrów czeka nas smutne pojutrze, za którem wejdziemy w szereg dni pochmurnych; a wśród tych dawniejsze szczęście, dawniejsza radość i pociecha, ledwo kiedyniekiedy zajrzy do serca, jak promień słońca z za chmury! . . . Serce to kamienieje natenczas u jednych, rozmiękcza się u drugich; i promień ten u pierwszych iskrę pobudzi, u drugich miłą łezkę wytoczy . . lecz wkrótce jedna zgaśnie, druga oschnie, a człowiek wzniesione na chwilę ku niebu czoło, znowu schyla ku ziemi,

---

*) Adama Strawińskiego.

jakby wracając do zwyczajnego, a na krótko przerwanego zatrudnienia szukania sobie miejsca na mogiłę!...

Autor jest tłumaczem życia, tłumaczem uczuć własnego i drugich serca; pióro więc jego w okresie popołudniowym dni jego, chwytać będzie tę iskrę zapału lub łzę rozrzewnienia z ostatków młodzieńczych uczuć, kiedy niekiedy odzywających się w duszy; ale ta chwila prawdziwego natchnienia rychło przemija i niknie; myśl natenczas traci swą żywość i polot, zasuwa się mgłą i pomrokiem, gmatwa się w ciemnych i rozsnuć się niemogących wyobrażeniach, a pióro, idące za myślą, z nieudolnej wypada ręki.

Uczucie, które po dawnem przejściu i wygaśnieniu, najmilszem echem odzywa się nam w duszy, jest Miłość, złączona ze wszystkiemi dziejami młodości naszej, i będąca częstokroć całą ich treścią. W przypomnieniu rozwija ona razem z sobą wszystkie rozkosze i powaby młodości! Młodość i Miłość, jak dwie rodzone z sobą i nierozdzielne siostry, jak dwie piękne, niewinne a czułe dziewice, kochające się nawzajem, razem zaczynają swe życie, razem trwają i razem nikną, a więc i razem obudzają się w pamięci!

Tu przebyłem wiek mój młody,
Tu była niegdyś Lucyna! *)

Oto proste a tkliwe wyrażenie uczuć przenikających duszę, a wzbudzonych w niej, widokiem miejsc, w których się młodość i miłość przebyło!!! Przejdzie jedna i druga, przeznaczenie rozdzieli kochanków, śluby powiążą z kim innym i połączy ich losy... ale zostanie miejsce, gdzie się kochali, gdzie ten pierwsze nieśmiałe wyjąknął wyznanie... gdzie ta pierwszy raz i wyraz ten: miłość do siebie wymówiony usłyszała, i pierwszy raz sama ją w sobie niespodzianie odgadła!... gdzie nowe źródło nieznanych dotąd wrażeń, uczuć, skłonności, żądań i nadziei wybiło się w sercach obójga, i zalało te serca zupełnie! Na to miejsce gdy jedno lub drugie trafi, ujrzy tam, jakby we śnie miłym, przedmiot dawnych swych zapałów w tej samej młodzieńczej krasie, wdziękach i urodzie, w jakiej się go niegdyś ukochało; własne nawet, jak w zwierciadle czarnoksiężkiem, ujrzy odmłodzenie... Jakaż chwila rozkoszy i rozrzewnienia!

Takich miejsc uroczych, dla mnie i dla towarzyszów młodości mojej, wiele nad Wilją, w blizkich jej okolicach i w domach szlacheckich, porozmieszczanych nad jej brzegami, znajduje się; tam to i w nich, że pożyczę jeszcze raz wyrażenia poety.

«Wpół w marzeniu, wpół przytomnie,
«Przetańczyły ach! koło mnie,
«Śmiejące się me godziny!... **)

Peryodycznie w każdą niedzielę i przypadkowo w dniach świąt familijnych, lub uroczystości kościelnych, cała okolica nasza

*) Piosnka Kropińskiego «*Te brzóz kilka*». **) Odyniec.

zgromadzała się zwyczajnie do któregokolwiek po kolei domu w sąsiedztwie, i dzień ten wesoły, a częstokroć i dni kilka razem, przepędzano. Latem szczególniej, gdy pora roku pogodna i miła, żyta i jarzyny piękne, murogów zbiory obfite, wróżąc intratę i dostatek, ożywiały dobry humor w gospodarzach; gdy po dziesięcio-miesięcznej nauce młodź udatna, żywa, pięknie ukształcona, chluba i nadzieja rodziców, wracała z miasta do domu, z zapasem świeżych zalecanek, tańców, mód i nowinek; gdy dziewczęta po nudnej zimie, rozwijając się razem z kwiatami w dojrzalsze coraz i coraz ponętniejsze wdzięki, tęskniły do zabaw i wesołości; natenczas wszystkie familje, połączone i pomięszane razem i codziennie, grały jakby w grę jaką bieganą, w której żywa i swawolna młodzież ciągnęła starszych do koła.

Zdaleka przewidziane i niecierpliwie oczekiwane imieniny, skromnie i pod sekretem zapowiadane chrzciny, zazdroszczone częstokroć, lecz niemniej przeto huczne, wesela, zażynki, dożynki, wiejskie podwieczorki, oto coraz nowe podniety i powody do prostej, szczerej, niewymuszonej a serdecznej wesołości, na której skrzydłach czas leciał, i wśród której zawiązywały się nieraz między młodzieżą tkliwe skłonności, kończące się nowem znowu weselem, tak, że częstokroć—*gdzie jeden kończył, tam drugi zaczynał.*

Święty Jan był patronem jednego z naszych sąsiadów w parafii; dzień więc dwudziesty czwarty czerwca obchodzony u nas bywał i rzęsisto i wspaniale —Pan prezydent, solenizant, był ojcem licznej rodziny: kilku synów, młodzieńców z dzieciństwa wychodzących, i kilka córeczek, z których najstarsza siedemnastą już liczyła wiosnę, tworzyło domową gromadkę jego, coraz to bardziej interesującą, i co rok coraz bardziej wabiącą ku sobie. Co rok zatem weselej było na imieninach pana prezydenta; gdy raz piękna Helenka zajaśniała nieporównaną urodą, wrota domu ojca jej nigdy się prawie nie zamykały, ale uprzejmość i gościnność była natenczas u wszystkich drugą naturą . . Szkoda że natura według powszechnego mniemania co lat siedm się odmienia! .

Z okien domu prezydenta i ganku, na ogród wychodzących, widać było długi nurt Wilji promem przecięty, i na szerokiej z obu stron łące kilkakrotnie zwężowany; z okien więc tych i z ganku liczyli gospodarze w jednym z tych dni solennych i wcześnie poznawali przybywających i przewożących się na promie gości swoich z za Wilji; a w tymże czasie z ganku zajezdnego i z okien frontowych, zdaleka w ulicy brzozowej, rozpoznawano przybywających bliższych sąsiadów, w których liczbie ja, i przyjaciel mój akademicki pan Hipolit, niedawno w moje sąsiedztwo, w nadwilejskie okolice, do spadłego nań po śmierci ojca folwarku, przybyły, w jednym pojeździe przyjeżdzaliśmy.

— Hipolicie! rzekłem gdyśmy się zbliżyli, przybywasz tu z wolnem podobno sercem; któż wie jak wrócisz?

— Albo co?

— A cóż innego, jak to, że będzie wiele pięknych dziewcząt, i że możesz zakochać się?

— Ej! co tam prawisz! Kto w Wilnie lat kilka najpierwszej młodości przeżył i nie z jednemi pięknemi oczami bezkarnie się spotykał, kto obojętnie patrzał na piękności warszawskie, po całej Europie sławne, (ach! bo też i piękne Warszawianki!), takiemu wieśniaczki nie zawrócą głowy.

— Za nic, bracie, ręczyć nie można.—

«Komu się zdarzyło morze przepłynąć,
«Może na Dunajcu zginąć!...

Wtem podjechawszy pod ganek, i po zarekomendowaniu przeze mnie pana podkomorzyca (taki bowiem miał tytuł Hipolit) gospodarzowi i solenizantowi razem, złożyliśmy nasze powinszowania.—Trudno mu było wystarczyć na powitanie tłumnie ze wszystkich stron napływających gości; trudniej jeszcze zdobywać się na podziękowania za rozmaite różnej długości i sensów oracje, a najtrudniej może mnie, mającemu w dobitnej pamięci całą tę scenę, opisać ją dokładnie i wyobrazić Bo z wyrazów by najżywszych i najtrafniejszych nie złożysz podobnego obrazu pierwszych chwil naszych zjazdów i zgromadzeń przyjacielskich, owych hurmów i tłumów, bezładnych a hucznych, w których jedna myśl, jedno uczucie radośnego spotkania się i powitania, obejmuje wszystkich, jaśnieje na wszystkich twarzach, rozpromienia wszystkie źrenice, i w wesołych śmiechach i odgłosach wszystkiemi ustami wykrzyka!!! Liter chybaby na to żywych potrzeba, któreby czarnoksięską ręką sypnięte, mięszały się najprzód bezładnie, cisnęły się w rozmaite coraz to odmienne grupy i kształty, brzęczały jak pszczoły w ulu, i nakoniec, porządkując się w wyrazy i peryody, przedstawiły razem dla oka i myśli pełne ruchu i życia chwil tych wyobrażenia! . . Jest to pierwsze, mimowolne, naturalne, niezgaszone obłudną etykietą, objawienie się i wylanie naszego szczerego, uprzejmego i kochającego charakteru, niezatartego dotąd czasem, ani naśladownictwem; jest to gałązka jedna, żyjąca jeszcze, więdniejącego, obyczajów naszych drzewa, z której poznać i przypomnieć można gatunek wybornej całości.

W przeciągu półgodziny kilkadziesiąt osób różnego stanu, wieku i płci obojej, napełniło pokoje obszernego wiejskiego domu pana prezydenta, i od półgodziny zgiełk ochoczy nie ustawał najmniej; nowe coraz zajeżdżały pojazdy, a prawie przed każdym cwałujący na przodzie mały forysiek cieńką i przeraźliwą nótkę od bramy aż do ganku przeciągał. Znalazł się przecież na kozłach pojazdu podkomorzego, w długiej kierei, z wysokim lakierowanym kapeluszem na głowie, z wąsem siwym nagumowanym, stary furman, weteran furmańskiej rzeszy; kierował on poważnym w mosiężną staroświecką uprząż ubranym cugiem i trzaskiem z bicza wrzaskliwą tę dziatwę do stajni, jak szczurów do nory, popędził.

Na ganku i w pokojach odzywały się gęsto w tłumie między

mężczyznami serdeczne i dobitne busiaki, którebyś, jak godziny na repetyerach kieszonkowych, mógł zliczyć; kilkaset także lat na kopy rachowanych zebrałoby się z powitań niewidzących się od dawna przyjaciół. — Kopa lat! kopa lat! Mościa Dobrodziko! wykrzykiwał pan Skarbnik do mojej sąsiadki, pani Rejentowej, niechętnie słuchającej komplementów, do których kopa lat się mięszała. . . Kopa lat! kopa lat! wołał na wszystkie strony pan Tadeusz, tytułem Koniuszyc, marcowy kawaler, ale jeszcze rzeźwy, żywy i wesoły, wielbiciel płci pięknej, a faworyt wszystkich o mil pięć w około ciepłych wdówek i podstarzałych ciotulek, poufały każdego i w każdym domu przyjaciel, wyborny nakoniec towarzysz każdej kompanii. Kopa lat, panie Józefe! kopa lat, panie Władysławie! wołał on; a przecież pan Józef i pan Władysław razem swoje lata dodawszy, kopy jeszczeby nie złożyli! Nie czekając odpowiedzi, Pan Tadeusz wciskał się już w drugą gromadę, i znowu lata na kopy rozliczał.

Powoli wszystko się szykuje i ucisza. . . po chwilach serdecznych następują chwile grzeczne; tłumy się rozwinęły. . . formują się i osiadają grona dam. . . łączą się w bukiety piękne dziewczęta . . chłopcy naprzeciw gęstym je otoczyli wieńcem, a bystrym i ciekawym wzrokiem nawskróś je aż do serca przeniknąćby radzi. — Upowszechniła się zabawa. . . a gdy do ogrodu podwoje otworzono, całe towarzystwo ze wszystkich pokojów, jak rzeka przepływając przez salę, w ogrodzie po ulicach i ścieżkach na liczne rozlało się strumienie, i tam każdy, jak za pędem wody, szedł za skłonnością, interesem lub zabawą.— Do mnie zbliżył się gospodarz i z cicha półgłosem zapytał, wskazując wzrokiem na mojego przyjaciela.— Czy to jest syn nieboszczyka podkomorzego Trockiego.

— Tak jest!

— Wiele ma rodzieństwa?

— Jedynak!

— Oho! to musi być panicz bogaty?

— Sto chat w Trockiem, prócz folwarku w naszem sąsiedztwie.

Po małej pauzie ozwał się głośno prezydent, podchodząc ze mną do Hipolita.

— Jakże ci dziękuję, kochany panie Ignacy, za pamięć na starego przyjaciela, i za twoję łaskawą attencyę, a jeszcze bardziej, że nam przywiozłeś szanownego podkomorzyca, którego ojciec zaszczycał mnie swoją przyjaźnią!

— Cieszę się odpowiedział grzecznie Hipolit, że tym sposobem mam dziedziczne prawo do względów pańskich.

Po wzajemnem uściśnieniu się odszedł prezydent, a Hipolit zapytał się także z cicha i półgłosem.

— Kto jest ta ładna dziewczyna, wyższa od całej gromady dziewcząt ku nam idącej?

— Właśnie mam cię jej prezentować. Jest to córka starsza gospodarstwa—panna Helena, a raczej piękna Helusia.

Hipolit patrzał na Helusię i pokręcał głową.

— A co? zapytałem z uśmiechem — To sobie wieśniaczka; gdzież tam do twoich Warszawianek?

Hipolit zamiast odpowiedzi zapytał mnie znowu:—Kto jest ten gruby, nizki, podsiwiały jegomość, w światłym szaraczkowym fraku, wlekący się obok panienek, i wyglądający przy nich jak pień przy kląbie?

— Jest to pan szambelan, sąsiad tutejszy, wdowiec bezdzietny, bogacz, skąpiec i rywal każdego, kto się zakocha w Helusi.—

— Alboż on pretendent do jej ręki?

— Bodaj!. . .

— A bodaj go djabli wzięli!. . . bodaj on nigdy nie doczekał!

— Jakto? jużeś zakochany? tak prędko! nie przemówiwszy ani słowa do dziewczyny. Miałżebym wieszczego ducha, gdym cię ostrzegał?

— Nie. . . nie. . . ale bo patrz jaki mi adonis! traktuje panienki tabaczką!

— Dla pokazania złotej tabakiery; i oto widzisz poszła po rękach; a piękne oczki przypatrują się pięknemu złotku.

Zbliżyła się tymczasem ta kompania do nas. Przedstawiłem Hipolita Helence. Pan szambelan rzucił nań okiem z ukosa. . . zmarszczył brew. . . przeczuł rywala!

— Możecie moje śliczne panieneczki, ozwał się szambelan, zażyć z tabakierki, bo tabaczka ledziutka, i różą pachnie. — Odemknął tabakierkę, traktował; żadna nie wzięła, wszystkie się ukłoniły.

— Ale któraż to godzina?—rzekł zatem szambelan, chowając tabakierkę, a wyciągając z zanadra zegarek staroświecki złoty, perłami kameryzowany.—Sama pierwsza!—Pocisnął, zadzwonił nad uchem małej Zosi, ta chwyciła mu z rąk piękne cacko, i od niej znowu zegarek z ręki do ręki przechodził.

— Piękne antyki, - rzekłem patrząc na zegarek i tabakierę.

— Tak, tak, ja bardzo lubię antyki, odpowiedział głośno z miną zarozumiałą pan szambelan, i mam ich zbiorek niemały! Ten pierścień także jest antykiem; proszę się przypatrzyć.

Z większą jeszcze ciekawością przyjęty, błysnął w rączkach panienek, brylantowy w staroświeckiej osadzie pierścień.

— Niechże pani pomierzy go, rzekł właściciel do Helusi; pięknie się wyda na pięknej rączce.

— Za wielkim jest na nasze palce, — odpowiedziała panna Helena, i nie probując pierściena, oddała go szambelanowi.

Gryzł usta, czerwienił się i niecierpliwił się widocznie Hipolit, nie wytrzymał nakoniec.

— Pan lubisz antyki?—rzekł.

— A tak, lubię! lubię! już mówiłem!

— To zapewne przez sympatję!

— Jak to?

— Oto bo z wiekiem przyzwyczajamy się pospolicie do rzeczy, które nam długo służą; ale to nieszczęście; że antyk złoty czy kamienny, im dłużej trwa, tem droższy, a człowiek im bardziej antyk, tem tańszy!

Zaczerwienił się teraz pan szambelan, zwarł usta, powlokł wzrokiem po kompanii, a spotkawszy się z uśmiechem moim, a nawet z malutkim uśmieszkiem Helusi i niektórych dojrzalszych jej towarzyszek, poznał, że przycinek Hipolita zrozumiano: zwrócił zatem zuchwale nań oko, ale wzajemnem dumnem spójrzeniem odbity, poznał że trudna będzie potyczka z tak śmiałym adwersarzem, i że mądrze uczyni, gdy na ten raz powtórnej zaczepki uniknie. Jakby więc słów Hipolita nie słyszał, podniósł wzrok do góry i rzekł.

— Piękną mamy pogodę na imieniny kochanego prezydenta; . . — a postrzegłszy z daleka solenizanta, poszedł szybko naprzeciw, i zaczęły się między niemi serdeczne uściski, z widocznemi od prezydenta względami dla szambelana, a które pan szambelan z przesadą przyjmował, i kilkakrotnie a oczywiście pobudzał. . . Teraz z kolei czerwieniła się i zwarła usteczka Helunia, a ja szepnąłem Hipolitowi do ucha.

— Mój kochany! zacząłeś wojnę, ale patrz, nieprzyjaciel nie-głupi, wie gdzie ma szukać sukursu

— Decydujący punkt do zdobycia jest serce Helenki, rzekł Hipolit; jakżeby tego dokazał taki? . .

— Ha! może go zdobyć przez kapitulacyę komendanta, którym jest ojciec, wprzód nim ty atak rozpoczniesz; zresztą ty podobno fałszywem tylko myślisz straszyć oblężeniem, pan szambelan nie żartem szturmuje.

Hipolit szedł powoli, milczał i dumał . .

Tymczasem w altanie środkowej, do której zbliżaliśmy się, pan Tadeusz zebranym tam mamuniom, ciotuniom, wujenkom, pomięszanym z wujaszkami i stryjaszkami, rozmaite anegdoty i koncepta rozpowiadał, które lubo im oddawna i niepojednokrotnie już powtarzał, lecz zawsze tak interesująco, dowcipnie i energicznie perorował, że mu nigdy słuchaczów nie zabrakło, i że wesołość i śmiechy krok w krok za panem Tadeuszem biegły.

Gdyśmy mijali altanę, opowiadał on jakieś polowanie na sarny, i z postacią celującego do źwierzyny, z ręką prawą na odlew przy skroni, a lewą wyciągniętą naprzód, kręcił się na wszystkie strony, i coraz do innej cioci wymierzał.

— Tuf! pudło! tuf! pudło! tuf! tuf! pudło! z dubeltówki -- a ja mojego rogala, który prosto na mnie wysadził, prowadzę po maleńku. . . prowadzę . prowadzę. . . on daje susy, a ja prowadzę cierpliwie. . . przypuszczam do kroków trzydzieści i. . . — W tem ja, podszedłszy cicho za pana Tadeusza gdy on rogala

prowadził, — tuf! — krzyknąłem mu nad uchem; — leży, — rzekł on opuszczając ręce i—kto strzelił?— zapytał żywo i z zadziwieniem, zajęty aż do zapomnienia się tą myśliwską sceną—kto strzelił?—

— Ja, odpowiedziałem, ja! widząc że tak gęsto strzelasz a nie nabijasz, i że dla tego pudłujesz; żal mi było wypuścić z kniei źwierzynę, i palnąłem z pańskiego ramienia.—

— Wybornie, wyśmienicie! — wołał śmiejąc się ze wszystkimi i zacierając ręce pan Tadeusz.— Ale koniec końcem, moje państwo, mówił on dalej, że kiedy wszyscy i najlepsi strzelcy, śpiesząc się za strzałem, pudłowali haniebnie, ja wytrzymawszy cierpliwie a długo prowadząc, pomaleńku osadziłem ogromnego rogala, to jest, kozła.—

— I cóż ztąd?—zapytała jedna z dam nieukontentowana, bo oczekująca jakiegoś dziwacznego zakończenia.

— Cóż ztąd? cóż ztąd? odpowiedział pan Tadeusz po chwili milczenia, poglądając na pytającą się nieszpetną panią; oto ztąd wniosek i dowód, że każdego rogala osadzić można, byle go zręcznie, cierpliwie, pomaleńku i kategorycznie (to było przysłowie pana Tadeusza) prowadzić. —

— Szczególniejsze aspana dykteryjki,— odezwał się podstarzały . . Któż ?

— O bodajbyś się nie odzywał; śmianoby się jak dotąd serdecznie, ale nie byłoby uśmiechów złośliwych! . . .

W innym końcu ogrodu usiadłszy w chłodzie kilku staruszków, a między nimi i ksiądz przeor bliskiego Dominikańskiego klasztoru, ze wszystkich stron zbierane polityczne wiadomości wzajemnie sobie udzielali. Dwóm z nich to jest, księdzu przeorowi i panu skarbnikowi Oszmiańskiemu, wiek słuchu przytępił a ciekawości przysporzył. Krzyknął więc pan skarbnik nad uchem księdzu przeorowi, aż się echo po ogrodzie rozległo.—

— Czy wiesz *Reverendissime,* że szwed wojnę wypowiedział? ale w tem sekret! -

— Ja nikomu nie powiem skarbniku dobrodzieju!—odkrzyknął przeor.— Komuż on wojnę wypowiedział? - zapytał siedzący obok publicysta.

— Tego z pewnością nie wiem! krzyknął znowu pan skarbnik; ale to wiosna pokaże.—

— A któraż wiosna?— wrzasnął przeor.

— A jużciż rozumie się że nie ta co minęła, ale ta co przyjdzie, - odpowiedział zniecierpliwiony staruszek.

— No, to jeszcze daleki termin—zkonkludowali wszyscy razem; i stanęło na tem, że nowina potrzebuje potwierdzenia, a każda gazeta tej kompanii była równie autentyczna i pewna, jak wojna szwedzka, i równie pod sekretem powierzana.

Rozlegające się tak po wszystkich stronach ogrodu, śmiechy i krzyki między starszymi, swawole i zabawy między młodzieżą, przerwał odgłos muzyki, usłyszany niespodzianie na dziedzińcu. Na jej dźwięk kroki wszystkich zwróciły się razem ku budynko-

wi; wszystkie strumienie w jedną rzekę się zbiegły, a ta w odwrótnym kierunku i szybciej przepływając salę i sieni na dziedziniec wylała.

Szedł od bramy ku budynkowi tryumfalnym marszem, kulawy majster kapelista na czele swojej orkiestry. Rznął on zawiesisto na wildamorze *), wtórował mu towarzysz na klarynecie a mały chłopczyk, wywijając zręcznie bębenkiem, zataczał po nim palcem, bębnił w takt, brzmiał i dzwonił razem.

— Pan Brzeziński! okrzyknięto. Brawo! brawo! pan Brzeziński! brawo!

W żupanie niegdyś granatowym, na którym zielona, gęsto taśmami szamerowana kurtka niedbale narzucona, a pod szyją sutemi i długo na sznurach wiszącemi kutasami związana, zachylonemi połami na wiatr się rozwiewała, z miną straszliwą i zawziętą z jaką niedawno jeszcze rozpędzał sejmikową szlachtę, i jaką go naprzód natura obdarzyć raczyła, a potem kieliszek i klarynet, na którym równie jak i na wildamorze był wirtuozem, i nałóg wiecznych poswarek, srożej przekrzywiły, spotkał pan Brzeziński solenizanta, zebrał w lewą rękę smyk i wildamor, a gdy orkiestra umilkła, prawą rękę wyciągnął do kolan prezydenta i rzekł:—

— „Jakem karrrmazyn! **) (litera *r* drgała mu na języku, jak bas na teorbanie), Jaśnie Wielmożny Prezydencie dobrodzieju!!! w dniu twojej solenizacii! jakem karrmazyn!!!—Nie kończąc dalej oracyi, zwrócił głowę do klarnecisty, i. . . *rwi!* zawołał. Sam także ciął smykiem po strunach; zabrzmiała znowu muzyka, znowu huczne odezwało się brawo! a pan Brzeziński, postacią, krokiem i humorem przypominający dokładnie mistrza Twardowskiego, szedł poważnie na przodzie całej kompanii, pochylając coraz i podnosząc głowę, i rznąc z całego serca na wildamorze.

Tak weszliśmy hurmem do sali. Tam Brzeziński, postrzegłszy że nakrywano na obiad, zmienił marsza na nótę hucznej sejmikowej pieśni, i wrzasnął ogromnym basem:—

Wódki! wódki! w przyjacielskim domu!
Wódki! wódki! w przyjacielskim domu!
Wypijemy! wypijemy! w przyjacielskim domu!
Wypijemy! wypijemy! w przyjacielskim domu!

Drugiej półwierszówki nie przypomniał, a podobno i nie wiedział pan Brzeziński, była więc w śpiewie w dwóch drugich wierszach niejaka pauza na średniówce, ale że i nikt takoż jej nie wiedział, chociaż każdy często mógł słyszeć, a treść rzeczy jasną i bez tego była, przeto i jam się jej nie dowiadywał, ani nauczył.

Sejmikowe to wezwanie wnet spełnionem zostało; młodzież, która natenczas zaczynała epokę trzeźwości, trwającą szczęśliwie

---

*) Wildamor — skrzypce o siedmiu strunach, większego rozmiaru od zwyczajnych.

**) W sejmikowym języku znaczyło to— *jakem prawdziwy szlachcic!*—

aż dotychczas, usunęła się od kieliszków; starsi powtarzali kilkakrotnie kolej, aż nakoniec ruch i mięszanina powszechna dały hasło zasiadania do obiadu, które od ceremonii między damami u wyższego końca stołu zaczęte, a na poufałem u przeciwnego pomieszczeniu się skończyły.—Komu ciasno, ten ustąpił.

V.

Jam nie dziejopis bankietów!. . . a nadto bankiet pana prezydenta nie różnił się wcale od dzisiejszych. Znikły już natenczas dawne troiste dania, dawne gęste wykładanie stołów sutemi półmiski, i prawie cały obyczaj staroświeckiej biesiady; został tylko jeszcze i trwał król uczt i bankietów. . . *Kielich!* Spędziła go potem z naszych solennych stołów, jak młodzież szanownego weterana, tłuszcza szumnych a wysmukłych szampańskich fletów, i zawlekła w kąt do apteczek, w których między staremi i wysłużonemi graty bezczynnie spoczywa.— O gdyby choć raz jeszcze, wiodąc za sobą dawną szczerą wesołość i ochotę, zjawił się on między tym szklannym lasem, którym się lśnią stoły nasze; zwaliłby zapewne za jednym zamachem i pokruszył to mnóstwo cieńkich i delikatnych smoczków, które go zastąpiły, i wszystkich słabych tegoczesnych pijaków, którym by od razu dogodził!!! potem depcząc tryumfalnie po trupach, pokazawszy co umiał, niechby już sobie wrócił na wieczny odpoczynek— na wysoką półkę w apteczce.

Ten kielich ukazał się między nami pod koniec obiadu.— Jakem Karrrmazyn! wykrzyknął na widok jego pan Brzeziński, to nasz dawny przyjaciel! Powitajmy go! Zdrowie solenizanta! i *Ewi!*...—

Zatrąbił klarnecista, zabrzmiał bębenek, a kielich podano na tacy srebrnej w ręce podkomorzego, wiekiem i urzędem najpoważniejszego między gośćmi.

— Zdrowie solenizanta!—powtórzył głośno powstawszy z miejsca staruszek —Wiwat!—zawołaliśmy chórem; a podkomorzy spełna nalany kielich do kropli wychylił. Los dał mi usiąść obok pana podkomorzego; kielich więc z rąk jego prosto do mnie trafił. Trudno było odmówić, a trudno i spełnić! Widząc moją niepewność, rzekł do mnie z cicha podkomorzy—„*vinum purum*“— nie zaszkodzi; nie lękaj się jednego kielicha, od drugich umykaj, bo nie wytrzymasz.—

Ośmielony zatem powtórzyłem śmiało wzniesione hasło wiwatu, i zamrużywszy oczy, duszkiem spełniłem do dna!. . . Applauz powszechny pokrył moję nadspodzianą ochotę, i kielich szedł w kolej z rąk do rąk, i od ust do ust podchodził, jakby świadek, zbierający wyznania szczerych affektów gości; odniósł je potem wszystkie do rąk gospodarza, a ten z nich wzajemnym dziękczynnym toastem odpowiedział życzliwym przyjaciołom.

Damy połączyły się do obrzędu pozdrawiania solenizanta przytykając do ust kieliszki i wzajemne zatem ich zdrowie, zawsze i wszędzie jak z programu idące, wniesione przez gospodarza, zabrzmiało na klarynecie i bębenku, a kielich zaczął nową processyę, szczęściem dla mnie przerwaną wstawaniem od stołu; przy czem powszechny ruch i zamięszanie dozwoliło nam z Hipolitem umknąć do ogrodu, i ochłodzić czoła ściskiem i winem rozgrzane, bo i mój przyjaciel, idąc za moim przykładem, butelkę prawie całą od razu z kielicha wypiwszy, uznał potrzebę ucieczki od dalszych wiwatów, a jeszcze większą zwierzenia się z uczuciem, które go mocniej niż trunek upajać zaczynało.

— Ach! mój kochany! to anioł nie dziewczyna!—

— Która? —

— A któraż inna? Helenka! —

— Gdzież tam! Ty, którego wileńskie i warszawskie piękności nie zajęły, miałżebyś?... —

— Daj pokój! Daj pokój! żarty niewczesne! Co to za oko mój drogi! A jakież spójrzenie tego oka!... Jaka niewinność, łagodność i skromność na twarzy!... —

— Więc alboś się zakochał, alboś się upił, albo jedno i drugie razem.—

— Idź do licha z twemi żartami! Ja nie pojmuję, dla czego ty sam dotąd nie szalejesz za taką dziewczyną, a którą codzień widywać możesz.—

— Dla czego? dla czego. . .

«Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego,
«Poczęła się najskromniej od tych słów -
dla czego?—*).

— Wieleż to w życiu ludzkiem jest *dla czego?* na które odpowiedzieć trudno... a jednak wszystkiemu jest przyczyna.—

Hipolit patrzał na mnie przenikliwie; szliśmy w milczeniu... Ja spuściłem oczy, otarłem sobie gorące czoło i podobno westchnąłem...

— Cóżby to znaczyło? ozwał się Hippolit; jaka tajemnica? czy nie mam twego zaufania?—

— Słyszysz? przerwałem; w sali polonez, szambelan w pierwszej parze z Helenką.—

Jakby niespodzianie w bok raniony, podskoczył Hipolit— odbijem! — krzyknął, i w mgnieniu oka już byliśmy w sali.

Zgadłem! jakbym tam był, zgadłem! Pan szambelan rozpoczął *assamble*, i rześwo zakręcał się z Helusią, liczne za sobą prowadząc pary; mijał właśnie posuwistym krokiem drzwi od ogrodu, gdyśmy przez nie wchodzili, a postrzegłszy Hipolita wrzasnął głośno — *Nieodbijany!*—

— Na to nigdy nie pozwolę!— rzekł Hipolit posuwając się do odbicia. . .

---

*) * * *

— Stój! rzekłem mu cicho nad uchem; czy oszalałeś? Chcesz przy pierwszym wstępie do tego domu zakłócić przyjacielskie zebranie! nie *odbijany* musi być przecież skończony; a wtenczas na ciebie kolej!—

— Masz racyę, dziękuję ci za radę, odpowiedział Hipolit ściskając mnie za rękę; bądź dziś moim aniołem-stróżem, bo ja zupełnie straciłem głowę —

Przeszedłszy jeszcze razy kilka, wyraźnie na złość przed nami pan szambelan, zakończył przecię.

Czatujący pilnie na tę chwilę, wnet podskoczył Hipolit,— i *służę pani!*...— Drugie pary nie miały nawet czasu rozłączyć się; ruszył więc dalej taniec, zmieniwszy tylko przewodnictwo.

Pan szambelan nie miał także jeszcze czasu odejść, gdy okręcając się około niego, rzekł Hipolit ciszej, ale z przyciskiem— *Nieodbijany!*—Twarz Helenki pałała ogniem, skry sypały się z oczu Hipolita, pan szambelan potniał kroplami!...

Tymczasem w drugim obok pokoju, pili na zabój.

Ksiądz przeor, obaczywszy wprzód szambelana w pierwszej parze poloneza, i z drugiego pokoju nie postrzegłszy przemiany, a znając i zamiary szambelana względem Helenki, i niesprzeczne dlań życzenia jej rodziców, wziął pełny kielich w rękę, i za mną—zawołał do towarzyszów;—za mną!—Nie wiedząc o co idzie, ale gotowi do przyjęcia wszelkiego hasła, ruszyli się za nim wszyscy; on, stanąwszy we drzwiach sali, i nie zważając na ściśnięte właśnie natenczas koło poloneza,— zdrowie pierwszej pary!— zawołał, a wypróżniwszy kielich, odchylając głowę, dodał przeciągle—i po bło-go-sła-wię!—

Właśnie w tę porę Hipolit, wywinąwszy się ze ściśniętego koła, chciał wprowadzić polonez do drugiego pokoju, stanął więc naprzeciw przeora pod sam wyraz—po-bło go-sła-wię!...—

— A to co?— zawołał zdziwiony przeor, trzymając próżny kielich w ręku;—a to co; szambelanie! gdzieżeś?—

— *Camerarius! ubi es?*—

— Ja jestem w pierwszej parze,—rzekł Hipolit i skłonił się grzecznie; co za podziękowanie za toast, lub prośbę o uwolnienie przejścia uważać się mogło.

— Brawo! krzyknąłem. Zdrowie pierwszej pary!—Szturchnąłem obok stojącego pana Tadeusza, i szepnąłem.— Kiedy mnie kochasz!!!—

— Ach! omyłka w druku! wykrzyknął on! Cha! cha! cha! rozumiemy! ..Brawo! zdrowie pierwszej pary!—Wyrwał kielich z rąk przeora;— nalewaj!— rzekł, podstawiając go pod butelkę.— W ręce pana szambelana!—

— Nadto piłem, mój panie! Nie mogę więcej —

— Nie przyjmuje pan? I owszem! W twoje więc szanowne ręce, Jaśnie Wielmożny Podkomorzy Dobrodzieju nasz protoplasto i przewodniku! Nie odmówisz z rąk twojego sługi?—

— A dla czegożbym odmówił? rzekł zacny starzec; z ochotą

wypiję zdrowie mojej córki chrzestnej, kochanej i pięknej Helusi, i podkomorzyca, naszego nowego sąsiada, z którego ojcem (niech w Bogu spoczywa) na kilku kondescencyach kolegowałem. Dostojny był to mąż! prawy urzędnik! Zdrowie zatem pierwszej pary! —

Wśród perory pana Tadeusza i odpowiedzi pana podkomorzego, ja, postrzegając że przedłużony taniec zmordował muzykę, podemknąłem się do pana Brzezińskiego i szepnąłem mu zcicha.—

— Panie Janie! hucznego! a jutro koń tęgi gniadosz tobie służy.—

Jakby nie słyszał pan Brzeziński, nie odwracając najmniej głowy, a wtórując tylko zlekka klarynetowi.—

— Doprawdy?— zapytał przez zęby.

— Jakem karmazyn!—odpowiedziałem.

Tupnął nogą Brzeziński, właśnie w chwili, gdy podkomorzy kielich do ust podnosił, smyk dał *szpryngla* na strunach, zabrzmiał wesoło wildamor,— *Rwij* . . choćbyś pękł!— rzekł on surowo do klarynecisty. Temu się policzki zaczerwieniły i rozdęły; nabrzmiałemi wargami żuł gwałtownie stroik od klarynetu... we dwoje głośniej ozwała się muzyka dęta; chłopczyk wyrzucił w górę bębenek złowił go na powietrzu, i we wszystkie razem dzwonki, uderzył. Skoczny i huczny polonez rozległ się i biegł z podskokiem po pokojach a za nim krążył kielich, podniecany powszechną wesołością, ożywioną w jednych muzyką, w drugich przekorą szambelanowi i omyłką przeora, we wszystkich winem. Nie nadużywając jednak swego powodzenia i niespokojności swojej motyi, wzbudzonej w niej tak szczególnym obrótem rzeczy, Hipolit zakończył wkrótce taniec, a przejąwszy tańcujący za nim kielich,— za zdrowie, rzekł, moich łaskawych sąsiadów, którzy ojca mego nie zapominają!...—Zbliżył się to mówiąc, i z uszanowaniem uścisnął rękę podkomorzego, z kolei gospodarza, ukłonił się wszystkim i wychylił kielich.

— Poczciwego ojca, poczciwy syn! rzekł rozrzewniony podkomorzy.

— Wiwat nasz podkomorzyc! — krzyknęli wszyscy, nawet ksiądz Przeor; i tak Hipolit od razu przypadł do serca wszystkim, a podobno i Helence.

Po tym polonezie, który się tak niespodzianie zakończył, przerwały się tańce. Pan Brzeziński nagradzał sobie popuszczane kielichy, pan szambelan po kilka razy dobywał zegarek i patrzał godziny, wrzekomo sposobiąc się do wyjazdu; uspakajał go i zatrzymywał pan prezydent, szeptał mu do ucha i uprzejmie ściskał. Przeciwnie pan Tadeusz nie zważając na mrugania Prezydenta, niecierpliwił szambelana uprzykrzonemi żartami.

— Kuso koło naszej miłości, szambelanie! Trafiła kosa na

kamień, szambelanie! Stary klucz szambelański nie przypada, panie dobrodzieju, do zameczków z sercem!—

Marszczył się szambelan, gryzł usta; nie odpowiadał wszakże, i starał się nie dać poznać, że go dotykają dwuznaczniki pana Tadeusza; zdawał się owszem ustępować prośbom gospodarza i uśmiechać się po trochu. Przechodząc jednak koło przeora, drzemiącego w kącie na sofie, nie dotrzymał w gniewie i przecedził mu nad głową dobitnie—i po-bło-go-sła-wię!

— A kat cię wiedział! wrzasnął przebudzony przeor; krzyknąłeś z całego gardła, tak, że ja głuchy a posłyszałem:—Nieodbijany!—Rozumiałem więc, że do wieczora będziesz szlifował.—

Znowu się rozległy śmiechy, lecz ja nie słyszałem co dalej było; bo matka Helenki, przechodząc koło mnie, dała mi znak lekkiem skinieniem głowy, abym poszedł za nią; idąc zatem nieznacznie i zdaleka, zaszedłem aż do apteczki.

Skorom tam wszedł—Teklusiu! rzekła prezydentowa do panny, nakładającej ze słojów konfitury na spodki od filiżanek, idź wasanna i przygotuj w kawiarni poziómki i śmietankę, ja sama ponakładam konfitury.—

Gdyśmy sami zostali,—kochany panie Ignacy! mówiła matka Helusi, jesteś od dzieciństwa naszym domowym przyjacielem, kocham cię jak własne dziecko, wyhodowałam cię, mogę powiedzieć, bo z matką nieboszczką żyłyśmy jak siostry; więc jeżeli mnie kochasz, powiedz, zmiłuj się, co to ma znaczyć taka nagła konkurencja tego pana podkomorzyca do naszej Helusi? Pierwszy raz ją zobaczył, już odbija szambelana, który szczerze o niej myśli; przywiozłeś go tutaj, uważam, że jesteś z nim poufały, czyż mógłbyś dozwolić mu, aby pierwszą z nami znajomość zaczynał od tak złego żartu?—

— Nigdy! nigdybym na to nie zezwolił! odpowiedziałem żywo. Jesteś pani dla mnie drugą matką, bo dobrocią twoją i sercem własną mi przypominasz. Jestem sam jeden na świecie! Dom wasz stał mi się jakby drugiem rodzeństwem, mógłżebym ścierpieć jakiekolwiek uchybienia dla was, lub dla Helusi, którą kocham jak siostrę? Mógłżebym wprowadzić w wasz dom człowieka zdolnego wam uchybić? Nie, moja droga pani! Mój przyjaciel jest młodzieńcem dobrym, cnotliwym, szlachetnym; znam go i śmiało zań ręczę. Upodobał on wprawdzie od pierwszego wejrzenia Helusię, lecz czy to pierwsze wrażenie trwać będzie, i czy w stałą zamieni się skłonność, zgadnąć teraz trudno. Lecz w każdym razie bądź pani pewną, że Hipolit albo bynajmniej panu szambelanowi przeszkadzać nie będzie, i w domu państwa na długo się nie pokaże, albo pana szambelana zastąpi. Może też, pani dobrodziko, taka wola Boska! może przyjaciel mój wyrwie piękną naszą Helusię z rąk tego starego skąpca, który z całem swem bogactwem i pieniędzmi nie wart takiego skarbu. —

— Ach mój kochany panie Ignacy! ja i sama często toż samo o szambelanie myślę; często nocy moje bezsenne, często ze

łzami błagam Boga, aby odwrócił od niej te bogactwa, kiedy przy nich szczęścia nie będzie! a za jej szczęście jabym chętnie ostatki mojego życia oddała!...— Łzy jej płynęły potokiem... a wtem wbiegła córka.

Żywy rumieniec oblewał twarz Helusi, niespokojność była w oczach, i zgadywać można było, że szuka matki, aby się przed nią wylać, powierzyć, utulić się do niej, jak spłoszony ptaszek do gniazda. Zgadła ona, że konferencya nasza o niej się toczyła; a spostrzegłszy łzy matki, rzuciła się jej na szyję i sama płakać zaczęła... Serca się ich zrozumiały, i myśli przeniknęły się...

— Moje dziecko! ufaj w Bogu; On nas nie opuści!... rzekła prezydentowa. Mówiliśmy tu o tobie. Pan Ignacy mnie uspokoił... Nie pora teraz więcej o tem z tobą gadać . . a tymczasem nie płacz, moje dziecię! Oczy będą czerwone. i kto wie co ludzie pomyślą... Bądź spokojną, wesołą, i tak, jakby to nic nie było jakby to nic!... a staraj się, dodała ocierając łzy i sobie i córce, staraj się... aby ten pan podkomorzyc... bo widzisz, kto wie co będzie?... i co on myśli?...—Zrozumiałem. Matka chciała przestrzedz córkę, aby ten pan podkomorzyc przed czasem jej serca nie zajął; ale nigdy dotąd słowa tego zaklętego miłość przed nią nie wymówiwszy, i teraz wyrzec go nie odważyła się. Była ona jak lekarz, który w niepewnym stanie chorego lęka się i nie wie, czy lekarstwo, które ma podać, zapobieży chorobie, czy ją pobudzi?

— Droga mamo!—przerwała Helenka zgadując matkę;—bądź spokojna! żadnej myśli, żadnego uczucia nie zataję przed tobą, i nigdy bez pozwolenia twojego...—

— Ach siostrzyczko! — rzekłem; (tak bowiem nawykłem zwać Helusię), zdarza się niekiedy zakochać się i bez pozwolenia mamy.—

— Bałamut jesteś, panie Ignacy!— odpowiedziała za córkę uśmiechająca się prezydentowa, uwolniona tym sposobem od trudnej przestrogi;—ot pomóż wolej Helence nakładać konfitury, a ja wyjdę do kompanii, jakby to nic nie było.— I pocałowawszy jeszcze raz córkę, odeszła.

Nakładaliśmy więc konfitury. . . Ręka Helusi drżała i łzy jeszcze kręciły się na oczach. Powtórzyłem więc wszystko com matce powiedział. Ufała mi jak bratu, więc uspokoiła się dziewczyna. Przeniknąłem wstręt jej do szambelana, zaśmieliśmy się razem nad omyłką przeora, i wyszedłem do pokojów spokojny, jakby to nic nie było!

Wkrótce wyniesiono tace z konfiturami i jagodami; za niemi ukazała się Helusia. Spokojność i skromna wesołość jaśniała na jej twarzy; źrenica tylko zwilżona żywszym błyszczała ogniem, a uśmieszek igrał na ustkach, jakby to nic nie było! jakby to nic!

~~~~~~~~
~~~~~~~~

VI.

Gdyśmy wrócili do towarzystwa, wielka część tłumu, zebrana na ganku ogrodowym, przypatrywała się nowo przybywającym gościom, przewożącym się na promie. Pan Tadeusz, znający wszystkich okolicznie na mil dziesiątek, nietylko obywateli, ale nawet ich czeladź, konie i pojazdy tłumaczył rozpoznawającym kto przybywa.

Tego baryłę, który oto dla mocyi zapewne pompuje wodę z promu, i frak nowy, na wesele sprawiony, oblewa, poznajecie zapewne,— to nasz kochany pan sędzia grodzki; a w tym pięknym pomarańczowym koczyku *bombe* siedzi jego młodziutka żona, *et quidem* ładna! Nie znacie jej, bo nie miała jeszcze czasu we dwa miesiące po ślubie rewizytować sąsiedztwo; ale prezydentowstwu i mnie znajoma od dzieciństwa, a podobno ich krewna. Może zresztą i pamiętacie piękną Rózię, która tu często u prezydentowej z małą natenczas Helusią, a dziś chwała Bogu piękną panną Heleną, przebywała, i której rodzice, sprzedawszy folwark w Oszmiańskiem, przenieśli się gdzieś aż w Grodzieńskie. Pan sędzia, jeżdżąc po eksdywizyach, natrafił na dawną znajomość, i ot macie panią sędzinę, którą wnet zobaczycie, i którą . . panowie kawalerowie! wara od mężatek, bo to prochem pachnie!—

— A ta druga arka Noego, koczysko ogromne, którą nie wiem czy pięć tych szkap wciągnie na górę, to i tłumaczyć nie trzeba— poznajecie panią chorążynę z czterma córeczkami, jak Urszula z towarzyszkami, i piąta guwernantka, panna Dryling czy Dyftong, bo dobrze nie pamiętam, *Niemkinia francuzka*. Śmiejecie się? a darmo! Musi być przecież gdziekolwiek taki kraj, gdzie w jednej osobie razem niemiec i francuz rodzi się, kiedy pani chorążyna tak ją zawsze nazywa i rekomenduje. Sam jegomość z tyłu na bryczce,— to naturalnie. A co! czy nie mówiłem? ot i wysiadają; znają niedołężność swej uprzęży... Oho! dziewczęta, jak sarny, wbiegły na górę. Z imością będzie trudniej .. No! no! mężulo wziął połowicę pod rękę; sprawiedliwie! pomaleńku wpełzną oboje, pomagając jedno drugiemu.—

— Ale któż jest ta tyczka w zielonym surducie, podpierająca pannę Dryling?— zapytał ktoś z boku.

— Tego sampana i ja nie znam; niedawno widać przybyły; może znowu jaki *Niemiec francuzki* lub *vice versa*, do edukacyi i układania panienek przyjęty.—

— Jaka szkoda, znowu się odezwano z tłumu, że moda dzisiejsza poczciwe i piękne litwinki nasze na zagraniczne maski gwałtem przerabia.—

— Przejdzie to, da Bóg, przejdzie! odpowiedział podkomorzy; bo widzicie...—i chciał rozprawę o edukacyi dziewcząt rozpocząć, ale przerwał znowu pan Tadeusz.—

— Masz tobie! Zaryła się landara, i zagrodziła drogę koczykowi pomarańczowemu.—Szwarcowemi Marcinie! krzyknął z całe-

go gardła pan Tadeusz, szwarcowemi namagaj!... A pijaku przeklęty! zacinaj! zacinaj! wiu! no! pomaleńku...—Nie! Nie! nie pomaleńku! razem! razem!— śmieli się wszyscy z furmańskiego zapału pana Tadeusza, głosem i energicznemi giestami usiłującego dopomódz Marcinowi który go pewnie nie słyszał.— A przecież ruszyli, kończył on. Chwałaż Bogu! już na górze; zaraz będą pod gankiem.

Cały ten monolog pana Tadeusza, który mi się dziś przypomina, od chwili gdy on objawił, kto w pomarańczowym koczyku przybywa, zaledwo natenczas był przezemnie słyszanym. Młoda mężatka!... ach! była to Rózia! pieszczota lat moich dziecinnych *), przedmiot potem pierwszej, najczystszej i najtkliwszej młodzieńczej miłości, a której niewinne jej serce współczuciem odpowiadało, której rękę, jako dawno mi przeznaczoną, nieraz w słodkiem omamieniu ściskałem!... Rok tylko przerwy... ale nie zapomnienia, i już ona dla mnie obcą, i już kobierzec, który złączyć nas miał na zawsze, na zawsze rozdzielił!—

Wiadomość o zamążpójściu Rózi doszła już mnie była; przebyłem męczarnie ginącej nagle najdroższej nadziei, przebyłem paroksyzmy podżeganej płomienistą wyobraźnią zazdrości.... przyszła nadspodzianie jeszcze próba najcięższa do przebycia, bo obudzająca razem i przeszłe cierpienia,—pierwsze wejrzenie kochanki —żoną innego.

Stałem nieporuszony, ze wzrokiem w koczyk wlepionym; krew żywiej mi krążyć zaczęła, zadrżałem kilkakrotnie i mimowolnie, a wzruszona razem moc trunku pomknęła się raptem do głowy! Czułem to, lecz razem miałem jeszcze dość rozsądku, aby przypomnieć sobie, że wśród tak licznego zebrania najkonieczniej potrzeba było tłumić w sobie tę gorączkę i nie zdradzić się jakiemkolwiek szaleństwem. Myśl mi przebiegała, że udać słabość czy upojenie i pod tym pozorem oddalić się z kompanii, byłoby najzręczniej, ale nie mogłem wymódz na sobie, abym jej nie widział.

W takiej niepewności i trwodze, tłum wychodzący na spotkanie gości zagarnął i mnie razem; a tak znalazłem się na ganku, przed który zajechała naprzód chorążyna z córkami, i sam pan chorąży z socyuszem. Zabierał się on do długiego powinszowania, gdy pan Tadeusz przerwał mu:

— Nie! nie! panie chorąży dobrodzieju! pomaleńku i kategorycznie. Kto się późni, powinien czas stracony nagrodzić, powinien dopędzić tych, co go poprzedzili. A zatem musisz pan teraz winszować kochanemu solenizantowi, i razem wypić jego zdrowie.

To mówiąc, nalewał kielich, który z butelką wyniosł z sobą na ganek.

— Sprawiedliwie! krzyknęli wszyscy, sprawiedliwie!—Zgoda!—

*) Boruny—Majówka.

zawołał chorąży przyjmując kielich; obrócił się zatem ku prezydentowi, i zamilkł na chwilę, chcąc widać przypomnieć namyślaną wprzódy oracyę; ale, gdy ta wypadła mu zupełnie z pamięci, z przytomnością więc umysłu, godną uwielbienia, wykrzyknął podnosząc kielich do góry - wołam z psalmistą? *I lat sędziwych! i mej życzliwości!* —i wypił. Serdecznie potem gospodarz z gościem uścisnęli się.

Tymczasem pani chorążyna, pomruczawszy trochę przed prezydentem i dygnąwszy mu uprzejmie, weszła ze swoją gromadą do pokojów, a przed ganek zajechał koczyk pomarańczowy. Wytoczył się zeń pan sędzia, a za nim wysiadła Rózia. — Na jej spotkanie wyszła prezydentowa; przyjęła ona z czułością krewną, którą od dzieciństwa kochała i w części wychowywała, rozrzewniona siostrzenica całowała ręce ciotki i rzuciła się w objęcie Helenki, która także naprzeciw niej wybiegła, pan sędzia musiał tymczasem przejść przez obrządek pana Tadeusza; po czem tłum cały, i ja z nim, wrócił do sali.

W pokojach przy Helence usiadła młoda mężatka; obok siebie więc dwie najpiękniejsze umieściły się kobiety. — Helena wyższa, najraźniejszej kibici, najforemniejszych rysów twarzy, oczu i włosów ciemnych, której powaby tak harmonijną, a razem tak ujmującą i miłą składały całość i doskonałość, że w każdym przynajmniej podziwienie, jeżeli nie tkliwsze uczucia wzbudzać musiała; Rózia, której ubiegły rok wdzięków dodał, a małżeństwo jeszcze bynajmniej nie ujęło, była blondynką;—*była!* bo niestety! powiedzieć nie można—*jest* o tej, która i na świecie już tylko *była!* Drobniejsza jej postać i formy oblicza, osobno rozważane, nie miałyby może zalet doskonałości; a jednak bialutka ta i delikatna twarzyczka tak była ponętną, takie na niej życie igrało! W oku jej błękitnem i rzewnie przyćmionem tak głęboko tonęło serce, a całą lekką i uroczą figurkę taka świeżość dziewicza i wdzięk krasiły, że ja, zapomniawszy mej biedy i udręczenia, wpatrywałem się w obie z rozkoszą, jakby w jakie wyborne malowidło życiem oczarowane.

Wtem ona postrzegła mnie w tłumie, i oczy nasze się spotkały. . . Nagły rumieniec oblał jej twarz. . . Ujrzałem mocne wzruszenie w całej postawie . . lecz to wkrótce przeszło; twarz się zupełnie uspokoiła, i z uśmiechem uprzejmym powitała mię.

O kobiety! jakże potężną macie zdolność ukrywania uczuć waszych, panowania nad niemi, a nawet nad każdem wzruszeniem waszego oblicza! Słabe na pozór stworzenia! Ale niechże je kto odgadnie, gdy swą myśl, gdy swe uczucia, gdy swe słabości ukryć usiłują! . . O kobiety! wasza cała obrona i zbawienie — w obłudzie!

Nie wiem jaki był mój wzrok przy wzajemnem ukłonie, i potem, nieoderwany od niej; znieść go jednak ona dłużej nie mogąc, wzięła Helusię pod rękę i wyszły razem do dalszych pokojów.

— Kogoż to nam przywiozłeś? Chorąży dobrodzieju!—zapytał pan Tadeusz wskazując na owego w długim zielonym surducie, jegomościa, który wszedłszy za chorążym, stał zaambarasowany niedaleko ode drzwi i krok naprzód, to znowu krok w tył postępując, nie wiedział co z sobą począć.

— A!. . . zapomniałem rekomendować! Rekomenduję całej kompanii—jest to pan. . .co u djabła! znowu zapomniałem! wszystkiego dziś zapominam! Jak wasan nazywasz się?

— Kleofas Moczydłowski do usług.

— Aha! jest to pan Kleofas—muzykant.

— Metr muzyki, z Wilna dla naszych córek sprowadzony — poprawiła męża pani chorążyna.

— Muzykant! obaczemyż czy doprawdy muzykant? odezwał się pan Tadeusz. No, mości Kleofasie! haust za zdrowie solenizanta!

— I owszem mości dobrodzieju! i owszem!—przyjąwszy kielich pan Kleofas ukłonił się nizko całej kompanii, a jeszcze niżej prezydentowi.

— Za zdrowie jegomości dobrodzieja!—wychylił.

— No! teraz za zdrowie imości dobrodziki!

— A czy nie będzie za wiele?—odpowiedział pan Kleofas ocierając usta i podstawując kielich.

— No! no! poprobuj! pomaleńku! — mówił nalewając Tadeusz.

— Więc za zdrowie imości dobrodziki—i znowu, ukłoniwszy się nizko całej kompanii, wypił.

— A! muzykant! muzykant!—krzyknął pan Tadeusz, a za nim śmiejąc się powtórzyli wszyscy—muzykant! muzykant!

Pan Kleofas zawsze kłaniał się nizko, nie mówiąc ani słowa, pociągając kiedy niekiedy wysoki kołnierz, sterczący z za chustki i szerokie drobniutko karbowane bryże na piersiach.

— Kolego! łykasz wyśmienicie, musisz zatem i grać dobrze, —rzekł Brzeziński, uderzając pana Kleofasa po ramieniu, — więc mnie zastąpisz, bo, jakem karrmazyn, zmordowałem rękę i smykiem i łykiem.

Niezadowolona ani rekomendacją swojego metra, ani powszechnym applauzem jego zdolności do kielicha, pani chorążyna, przymrużywszy oczy, i zawracając głowę trochę w górę i trochę na bok, uprzedziła odpowiedź pana Kleofasa.

— Nasz metr gra tylko tańce solowe i kontredanse, których panna Dryling wyuczyła moje córki, i które teraz bardzo są w modzie.

Zgadła łatwo prezydentowa, że sąsiadka chce popisać się z córeczkami w nowych i nieznanych jeszcze na wsi tańcach; może dla tego jedynie i na imieniny przybyła; aby więc jej macierzyńską zaspokoić próżność, rzekła?

— Pani może pozwoli córeczkom przetańcować te nowe tańce; będziemy mieli satysfakcyę patrząc na ich talenta.

— Z ochotą! tylko nie wiem czy się znajdą partye? W domu, zbieramy z sąsiedztwa choć małych chłopczyków, ale tu...

— Będziemy służyć!—odezwało się kilku z młodzieży; bo już w Wilnie pan *Dziewoni* na miejsce klasycznych *matlotów, matredurów* i *anglezów* wprowadził *Gawota* wiodącego za sobą romantyczną *gruppę* kontredansów.

Sformowały się więc cztery pary i wystąpiły na środek. Nienajchętniej pan Władysław, uprzedzony przez kolegów u trzech panien chorążanek, stanął czwartym obok maleńkiej, szpetnej i trochę krzywej panny *Dryling*, a tymczasem pan Kleofas przyniósł skrzypce, i nastrajać je począł. Jakoś mu się to nie udawało;—kwinta pękła. Szczęściem u pana Brzezińskiego były w zapasie struny; naciągnął więc drugą, ale trudno było dostroić do skrzypiec strunę od *wildamoru:* pokręcał więc, to odkręcał kółka, niecierpliwił się, i tem gorzej szło strojenie, że niecierpliwiły się pary które wystąpiły do tańca, że uśmiechała się cała kompania, która ścisłem kołem otoczyła tancerzy, i że stojąca za córkami chorążyna zżymała się okropnie i powtarzała dobitnie, choć zcicha:—Otoż to zdrowie jegomości! zdrowie imości!...—co jeszcze bardziej mięszało pana Kleofasa, bo wpadło mu do ucha razem z brzękiem fałszywej strunki. Nakoniec *praeter propter*, nastroił on skrzypce i nastroił minę; prawą nogę odstawił naprzód, śmiało podniósł wzrok i głowę do góry, a zamiast pokory prostego muzykanta, jaką przy kielichu okazywał, wystąpiła mu na lica z rumieńcem od wina, zarozumiałość prawdziwego *wirtuoza*; przerzucił lekko smykiem po strunach, i rozpuścił świetne *praeludium* .. Natenczas dziewczęta ujęły delikatnie za sukienki, ukazały drobne swe stopki, i kołysały się na nich jak zefirki do podlotu. Panna *Dryling* na każdą z nich niespokojnym rzucała wzrokiem. Nakoniec pan Kleofas podniósł smyk w górę—*La rose!* *)—wykrzyknął. Smyk padł na struny, pomknęły pary, zaczął się kontredans.

Pilnie wszyscy przypatrywali się obrótom i wyskokom tancujących, bo pierwszy raz w naszej okolicy zjawił się kontredans; pilniej jeszcze tańcujący starali się zwrócić na siebie uwagę i podziwienie widzów. Nie szło im o to aby się zabawić, rozweselić i rozlać wesołość na wszystkich, bo nie było wesołego wzruszenia ani w muzyce, obcej naszym uszom i sercom, ani w tańczących, którzy myśleli tylko i pracowali usilnie, aby wyrobić w takt wszystkie figury i kroki, i wydać *pensę* ze swej doskonałości. Dziewczęta dobiegały do mety, haftując jakby nóżkami zamierzone i konieczne ściegi; chłopcy w podskokach z trudnością wykręcali nogi, nienawykłe do sztucznych łamańców, i nie mieli czasu łączyć się ze swemi motyami tem upajającem uczuciem rozkoszy, i wzajemnej choćby chwilowej tylko skłonności, którem

---

*) Nazwanie kontredansa.

się czaruje młodzież tańcem i połączeniem się w pary, szczęśliwa.

Panna *Dryling* troskliwa, aby się nie pomylono, komenderowała zcicha. — *En avant deux! Chassé de chassé, chaine* i tym podobnie.

Wkrótce pan Kleofas podniósł znowu smyk w górę—pauza w muzyce i tańcu. — *La Flore* *) — wykrzyknął. Padł smyk na struny, pomknęły pary, zaczął się drugi *kontredans*.

Nazwanie tańca zapowiadało więcej w nim swobody i lekkości; ale omyliła nadzieja. Jak wprzód róża była sztucznym kwiatem bez woni i koloru, tak bogini była bez wdzięków. Tańcujący znowu, jak maryonetki na drutach, ruszali się w tył, w bok i naprzód bez życia i czucia; minki nawet dziewcząt uskromnione z przesadą, oczki na dół spuszczone, wyrażały przymus a nie ochotę.

Dziś *kontredans*, upowszechniony po naszych salonach, przeistoczył się w jakąś nieudolną promenadę; dziś nie żyje, bo mdleje; wtenczas nie żył, choć drgał i skakał.

— Jakem karrmazyn! to jakieś sztuki niemieckie — rzekł kręcąc głową pan Brzeziński.

— Mój Boże! rzekł wzdychając podkomorzy, czyż to nasza młodzież rodowitemi naszemi tańcami rozweselić się nie może? O bodajby przepadła ta modna francuzczyzna.

Pani chorążyna marszczyła się na te uwagi; a w tem pan Kleofas podniósł smyk w górę. Pauza w muzyce i w tańcu, ale razem zadziwienie na twarzach. —*La poule* **) — wykrzyknął Moczydłowski. Smyk padł na struny, ale pary nie pomknęły.

— *Non! non! Monsieur Moszydloka!* nie *la Poule—La Flore* nie skończona! *à présent demi queue de chat* ***).

— Nie! nie *demikasza!* nie *demikasza!* ale *la poule!* Czy ja nie wiem co ja gram?—odpowiedział uparty i już wpół-pijany muzyk; a grał bez ustanku. Panny stały nieporuszone

— *Qui faire Messieurs? dansons la poule*—odezwała się nie tracąc przytomności panna *Dryling*.

— *Mademoiselle Emilie!. . . Chassé de chassé!*

Pomknęła się Emilka, ale wnet krzyknęła guwernantka—*Ou allez vous? á gauche! à gauche!* — A siostry dodały. — Nie w tę stronę!—nie w tę stronę!

Emilka umiała tańce z kolei, ale wyrwanego nie potrafiła; stanęła więc zmięszana na środku, a pan Kleofas grał dalej i dalej. . .

— A niech milion krocset! . . .—wrzasnął Brzeziński, wyrywając skrzypce z rąk muzykanta.—Ja wiem w którą stronę wszyscy pójdą! . .

*) Nazwa kontredansa.
**) Również.
***) Nazwa figury.

— Jakem karrmazyn! . . —I w tym momencie rozległ się huczny mazurek.—Rwij!—krzyknął on po za siebie; na to hasło podbiegł klarynet i zlał wtór swój ze skrzypcami.

Iskra elektryczna targnęła wszystkich, sypnęły się oklaski Brzezińskiemu:—Błysły od ziemi skromne źrenice, radość i wesołość jaśniały w oczach tancerzy i w oczach całej młodzieży; każdy chłopak chwytał najbliższą sobie dziewczynę, i biegł z uśmiechem do koła. Hipolit nie dał się uprzedzić do Helenki.

Ten powszechny zapał mnie także wzruszył i ogarnął; lecz myśl, że wnet zobaczyć mogę Rózię, tańcującą z kimkolwiek, a może i z mężem, jak żądłem przeszyła me serce. Gdy więc, rzucając okiem po sali, upatruję ją w tłumie, głos jej miły trwożliwie i z cicha odzywa się nad uchem:—Czy nie potańcujemy z sobą mazurka?—Ach! w tym głosie tyle było uczucia!. . . tyle miłości!. . . nie—nie—tyle przypomnienia!. . . tyle tkliwej skruchy i skargi, że ja, przeniknięty do głębi, porwałem podaną mi rękę, całuję ją z zapałem. . . i już jesteśmy w kole.

Kilkanaście par runęło razem do koła; zabrzmiała sala echem żwawym i silnie wybijanych kroków i hołubców; dziewczęta unosiły się lekko i wesoło około chłopców, którym serca i źrenice pałały: starsi nawet za kołem tupali w takt nogami, lub klaskali w dłonie: szczęśliwość oblała wszystkich!. . .

Dzień się schylał ku zachodowi, najpiękniejszy wieczór letni następował po dniu pogodnym; miły chłodek, wpadając przez otwarte drzwi i okna ogrodowe, rzeźwił tańcujących, i do powszechnej wesołości nowej nawiewał rozkoszy. Mazurek przedłużał się ochoczo, i trwałby jeszcze dłużej; lecz gospodyni szepnęła kilka słów na ucho panu Władysławowi, będącemu w pierwszej parze, ale nie z panną *Dryling*, bo on przy rozpoczęciu mazura bez ceremonii podziękował jej za kompanję; ten zawołał—*koło!*—Szepnęła także na ucho Brzezińskiemu, a ten z ostatnim taktem mazura—Marsz nad Wilję—wrzasnął, i stosowną do tego wezwania zacząwszy muzykę, wymaszerował po swojemu do ogrodu.

Za nim sypnęła się cała kompanja; i postępowaliśmy przez ogród na piękną łąkę murawą i kwieciem usłaną, szeroko nad brzegami Wilji rozpostartą.

Zgiełk wesoły i ochoczy tego pochodu, zagłuszał muzykę Brzezińskiego, lecz dozwalał toczyć się w pośrodku cichym a serdeczniejszym rozmówkom, do których między młodzieżą unoszący serca mazur, nie jednej parze dał pochop.

Jam od tańca nie rozłączył się z Rózią. Szliśmy obok, ja z pomieszaniem i wzburzeniem myśli i uczuć trudnem do rozwikłania i uspokojenia; ona w spokojnem zadumaniu, chcąc niekiedy odjąć mi swoją rękę, gdy drżenie mojej zdradzało stan mojej duszy; a że ja zatrzymywałem ją z uporem, więc niekiedy łagodnem i dobrotliwem spójrzeniem zdawała się błagać mojej litości. . Wejrzenie to anielskie koiło na chwilę moją wewnętrzną burzą, łza ćmiła mi oczy, i natenczas pragnąłem tylko jej szczęścia,

chociaż własne traciłem na zawsze. Jestże ona szczęśliwą? pomyślałem, i wnet—

— Jestżeś szczęśliwą? — zapytałem cicho i nieśmiało.

Milczała. Ponowiłem dobitniej zapytanie, i drżenie mej ręki ostrzegało ją, że chwilowa spokojność moja znikła Znowu więc, podnosząc na mnie rzewne, jak mi się zdawało, spójrzenie, Rózia zamiast odpowiedzi na moje, rzuciła mi własne pytanie.

— Chciałżebyś, abym była nieszczęśliwą?

Pytanie to, czy z namysłu czy z uczucia uczynione, trudnem mi było do odpowiedzi. Jakżebym jej szczęścia nie miał życzyć? A przecież ona nie inaczej to szczęście osiągnąć mogła, jak zapominając o mnie na zawsze! Mógłżem znowu życzyć sobie tego zapomnienia? Miałżem na to w tym momencie dosyć rozwagi i siły?

— Milczałem; lecz wkrótce serce podało mi odpowiedź.

— Ja, rzekłem, ja całe moje życie dla twego szczęścia poświęcić chciałem!

— Bóg chciał inaczej! odpowiedziała. Cóż począć naprzeciw przeznaczeniu? a zatem . .

— Cóż zatem? — przerwałem.

— A zatem dla szczęścia, dla spokojności mojej, a nawet swej własnej, gdy nie możesz całego, poświęć mi część twego życia! poświęć mi całą przeszłość! . . to jest, zapomnij o niej! . . . Był to sen . . Ach rozmawiać nawet o tem nie powinnam! . . . Moje nowe obowiązki! Mój ślub! . . Puść mnie. . .

— Twój ślub! rzekłem . . ujmując mocniej wymykającą się jej rękę, twój ślub! On ciebie zmienił od razu; on zgasił w tobie w jednej chwili uczucia od dzieciństwa nam drogie i nas łączące! Ale to tylko w tobie! . . Ja ślubu nie brałem! ach! i nigdy już brać nie będę. . . Twój ślub rozkrwawił mi serce, ale jeszcze głębiej ciebie w niem wypiętnował! . . Zabiłaś - całą mą przyszłość, jeszcze chcesz mi przeszłość odebrać! Jakiem prawem chcesz mi wydrzeć z serca twój obraz, który razem z tem sercem rósł, rozwijał się i zajął je całe?. . . Nie! nigdy! nigdy! . .

Wtem trącił mnie mocno Hipolit, i mijając szepnął nad uchem: — Zapominasz się; — a z drugiej strony Helenka porwała Rózię za rękę, i ciągnąc ją za sobą, — chodź prędzej, rzekła pomożesz mi gospodarzyć na łące.

Czas też był bardzo przerwać moje uniesienie, bo pan sędzia szukał żony w tłumie, a ciekawi zwracać na nas uwagę zaczynali. Hipolit powrócił do mnie.

— Teraz wiem twoje *dla czego?* rzekł: ależ, mój kochany! jakiż czas i miejsce wybrałeś na twoje skargi? i jeszcze tak żywo je tłumaczyłeś! Dziękuj Bogu, żem ja, idąc za tobą, dostrzegł niebezpieczeństwo. Zdaje się, że Helenka, przebiegająca w tej chwili, coś dosłyszała, i dla tego oderwała od ciebie heroinę. — Ha! stało się! rzekłem; dziękuję ci za ratunek w samą porę. Lżej mi

jednak po tej spowiedzi. Sam nie wiem zkąd mi taka wymowa? Odnowionej gwałtownej miłości, wino podobno rozwiązało usta! Idźmy do kompanii.

VII.

Jasny promień zachodzącego słońca przejmował i złocił cały nurt Wilji, ku zachodowi w tem miejscu zwrócony, i ukośnie padając na rzekę, łamał się w niezliczone pryzmy, drżał i błyszczał na powierzchni lekko falującej wody. Gęsty bór ciemno-zielonym szpalerem ocieniał drugi brzeg Wilji, daleko się przedłużał za jej biegiem, i nad nim właśnie zawisłe słońce miało wkrótce zapaść między drzewa, gdy cała nasza kompanja rozsypała się po łące: dzieci za motylami, dziewczęta za kwiatami, chłopcy za dziewczętami.

Starsze towarzystwo obojej płci usiadło na przygotowanych z darna kanapach, otaczających szeroką plitę z granitu, która, rzucona tu jakby umyślnie, corocznie kościom za stół obiadowy służyła, a dziś ich panom do bankietu się przydała. Na niej z dwóch waz Helenka i Rózia dla dam limonadę, dla mężczyzn kaliszan rozlewały. Brzeziński, zachęcony echem, które od boru na rzekę odbite, daleko roznosiło odgłos jego muzyki, stanął nad brzegiem, i chórem z towarzyszami swymi zaśpiewał dawną hajdamacko-sejmikową piosenkę, przygrywając na nutkę jej po każdej strofie:

To mi życie do zazdrości,
Gdy po chacie wicher gości!
Piec bez kafel, w oknach dziury,
Drzwi bez zamków, puste mury!
Oto to ja pan! Oto to ja pan.
Oto to ja pan, pan, i o nic nie dbam.

— Oho! zawołał podkomorzy, Brzeziński przypomniał pieśń staroświecką z czasów jeszcze saskich w kraju naszym pijatyk. Brawo! dalej bracie! dalej! huczno a wesoło! Zakończmy dzień dzisiejszy tak, aby on nam starym młodość przypomniał, a kiedyś dzieci nasze swą pamiątką odmładzał! Dalej, Brzeziński! Pomagać tobie będziemy.

Zaochocony tem wezwaniem Brzeziński nie oszczędzał głosu, ni siły, śpiewał i grał dalej.

Czy wiosna runi zaszkodzi,
Czy zboże dobrze urodzi,
Czy w Królewcu płacą siła,
Byle fląszka pełną była!
Oto to ja pan! Oto to ja pan!
Oto to ja pan, pan, i o nic nie dbam!

Takiej treści i zalety kilkanaście strofek prześpiewał Brzeziński—coraz to żywsze odbierając applauzy; i po każdej chór się powiększał, i gromada słuchaczów pomnażała się tak, że gdy

ostatnią ze szczególniejszym zapałem, jakby proroctwo dla siebie odśpiewał:

Choć łzy często w oczach błyszczą,
One litość Niebios zyszczą!
Choć źli sidła na mnie przędą,
Wesół umrę, gdzie pić będą!
Oto to ja pan! Oto to ja pan!
Oto to ja pan, pan, i o nic nie dbam!

skupiliśmy się wszyscy około niego, i wszyscy go serdecznie uściskali.

— A gdyby też moja kochana Helunia, odezwał się prezydent, przytulając córkę do serca, na imieniny moje zaśpiewała dla mnie i dla miłych naszych gości moją ulubionę piosenkę?

— Prosimy! prosimy! —krzyknęli wszyscy, a najgłośniej młodzierz.

— Z ochotą, kochany ojcze! rzekła Helusia, całując mu rękę; ależ ja śpiewam przy fortepianie, więc chyba gdy wrócimy do pokoju.

— Ha! moja kochana! rzekł po krótkiem zostanowieniu się prezydent, albož to tak daleko do budynku? albož to tak ciężki twój klawikord?

— Przyniesiemy go natychmiast,—odezwaliśmy się jednogłośnie, zgadując myśl jego, i pobiegliśmy pędem do pokoju.

W rzeczy samej klawikord Helenki, nie był to ciężki, teraźniejszy z długim jak kometa, ogonem pantalion; mały, nakształt stolika składanego, łatwo się dał wynieść nad Wilję.—Postawiliśmy go nad brzegiem, i zasiadła Helenka, pełnym naszym otoczona gronem.

Daje się wnet szyszeć cichy i łagodny dźwięk muzyki, potrącają sią i plączą w akordach jakieś echa obudzające się w duszy. . . powoli, jak myśl czysta z pomięszanych wyobrażeń, jak pasmo złote z pogmatwanej tkaniny, wywija się i wydziela znajoma natenczas i miła każdemu, a zapomniana dzisiaj nuta. . . łączy z nią wdzięczny głos swój dziewica, i tkliwą piosenkę rozlewa w powietrze!!!

Nie mam srebra ani złota;
Nie dam wam żadnych prezentów.
Uboga moja prostota;
Nie zna też żadnych wykrętów.

Prostak jestem z urodzenia,
Po prostu mówię i czuję;
Prosty sposób mam myślenia,
Po prostu też was przyjmuję!

— Tak! tak! moi mili sąsiedzi! przerwał prezydent, rozjąwszy szeroko ręce, jakby nas wszystkich razem uścisnąć razem pragnął, po prostu, ale szczerem sercem was przyjmuję!—Czem chata bogata, tem i rada!

Wykrzyknienie to prezydenta przerwało śpiew. Wszyscy natenczas na niego i na siebie nawzajem podnieśliśmy oczy. . . Pio-

senka uderzyła już w serca; nuta łagodnie i błogo wpłynęła w dusze... a tłumiąc głośną przed chwilą wesołość, tkliwemi uśmiechy i zwilżoną u wszystkich źrenicą, wewnętrzną rozkosz, objawiła na twarzach. Zaczęto uściskać wzruszonego prezydenta; a tymczasem piosnka szła dalej.

Dziś się tu wszyscy bawiemy;
Rozkosz sercem naszem władnie·
Któż wie gdzie za rok będziemy?
Może ten domek upadnie!

— A niechże Bóg tego strzeże! odezwał się podkomorzy. Dom poczciwy szlachecki za cóż miałby upadać? W Bogu nadzieja! za rok będziemy tu na weselu kochanej naszej śpiewaczki.

— Za rok na weselu Heluni!—okrzyknęła cała kompania.

— *I po-bło-go-sła-wię!*—dodał ksiądz przeor.

Śmiech na te słowa ożywił się znowu; oczy się zwróciły na szambelana, który z miną uprzejmą stał obok starszej panny chorążanki, na przekorę może Helence. Prezydent tymczasem szepnął półgłosem do pana Tadeusza.

— Obrałem cię dzisiaj za gospodarza! rozumiesz?

— Pomaleńku ... — i skinął głową pan Tadeusz .. Helenka kończyła:

Oto mój domek nikczemny,
I wszystko, co w nim widzicie,
Niech wam tak będzie przyjemny,
Jak nam tu wasze przybycie!
Wyryjmy tu na kamieniu
Rzędem nas wszystkich imiona,
Na znak, że była w tym cieniu
Cnota z przyjaźnią złączona!—
—Na znak, że była w tym cieniu
Cnota z przyjaźnią złączona!—

wrzasnął z całych piersi pan Tadeusz, wtórując Helence, powtarzającej zawsze drugą część każdej zwrótki, i podając pełny kielich podkomorzemu.

Zdziwiony podkomorzy spójrzał mu w oczy, a zrozumiawszy wezwanie, przyjął kelich, wzniosł go do góry, i drżącym od starości i wzruszenia głosem ozwał się także—

—Na znak, że była w tym cieniu
Cnota z przyjaźnią złączona!

Natenczas uniesienie niewymówne objęło wszystkich. Szklanki od kaliszanu i limonady w mgnianiu oka napełniono winem. Wszyscy otoczyliśmy kołem śpiewaczkę, zebrane przy niej damy w pośród nich podkomorzego, chorążego, przeora i dalszą starszyznę; wszyscy, podniosłszy pełne szklanki w górę, huknęliśmy niedobranym wprawdzie i nieskładnym, ale serdecznym i brzmiącym na wszystkie strony chórem, ożywionym łączącemi się razem głosami kobiet i klarynetem Brzezińskiego:

—Na znak, że była w tym cieniu
Cnota z przyjaźnią złączona.—

Wszyscy piliśmy z radością; wszyscy powtarzali toasta za zdrowie Helenki; wszyscy śpiewaliśmy z uniesieniem, i wszyscy weseli, a jednak do łez rozrzewnieni, z uniesieniem ściskaliśmy się jak bracia! Echa niosły po Wilji i odbijały po brzegach odgłosy wesołości naszej, i nutę ulubioną, słabiejącą coraz i ginącą w oddaleniu. . . tak, jako i sama piosnka, odbijając się niegdyś w sercach naszych, niknęła powoli w niepamięci, i nakoniec umilkła w poniewierce!

Jakiż miły obraz, gdy mam dać spoczynek zmordowanej ręce, jawi mi się w wyobraźni? Opiszmy go jeszcze! Będzie on łączył przeszłość z przyszłością! starość i wspomnienie z miłością i nadzieją! usiłowanie z nagrodą! autora z czytelnikami!—Oto widzi mi się młoda i nadobna dziewica, w ozdobnym salonie doczytująca tę książkę poważnej matronie, matce swej; matka składa robotę, zbliża się do fortepianu, na którym brzmią codzień niewłaściwie z wysilonej piersi dziewicy *recitativa* i *trele* włoskie; zaczyna próbować i przypominać tkliwą nutę i piosnkę, którą śpiewała, gdy niegdyś młoda i ładna jak dziś jej córka, panienka, poufałą gromadkę rodzicielskiego domku rozweselała swym głosem; przemykają jej po myśli dnie jej wiosny, której miły obraz przed sobą w ukochanem swem widzi dziecku. — Córka pomaga mamie, bo przypomniała kołyskę, która ją niegdyś w takt piosenek unosiła, i kochaną niańkę swoją, kojącą dawniej tą lub ową nutką dziecięce jej troski.—Dosłyszał zdziwiony ojczunio w drugim pokoju niezwyczajnych tonów . . zbliża się do małżonki, i drugą strofkę basem wtóruje . Stare małżeństwo spójrzy na siebie okiem przeszłości!. . . łza zaleje ich źrenicę! łza słodka i czuła, z serca na oko wypływająca! . . Nie dokończą wprawdzie piosenki, ale uścisną się, rozrzewnią serdecznie, pobłogosławią dziewicę. . . i z przychylnością może wymówią imię autora, który im tę chwilę nadarzył.

VIII.

We dni dziesiątek po ochocie u pana prezydenta, polując z Hipolitem przez cały ranek po kniejach i lasach, od ujścia Naroczy do Wilji, aż do miejsca, gdzie droga z Wilna ku Borysowowi idąca oną przestępuje i w ciemne potem zasuwa się bory, odłączeni od całego myśliwstwa, zeszliśmy się nad brzegami tej rzeki; a znużeni skwarem i zmordowani pracą, obraliśmy dąb ogromny, w przerwie nadbrzeżnej lasu szeroko rozpościerający konary: w cieniu jego chroniąc się od południowej spieki, usiedliśmy, a raczej położyliśmy się na odpoczynek.

Niebo było oblane światłem dnia pogodnego; gdzieniegdzie tylko poskupiane obłoki, lekkiem pędzone wiatrem, płynęły po jasnym błękicie. Dziwne i rozmaite ich formy coraz to w nowe

zmieniały się widma. Tam cóś nakształt ogromnego sfinksa, przechodzącego powoli i nieznacznie w straszliwą figurę czarownicy, z miotłą w ręku i z zawojem na głowie, ówdzie kawalerzysta na wielbłądzie, którego długa szyja, rozciągając się coraz dłużej, zamienia się razem z jeźdzcem w smoka ze skrzydłami; tam znowu jakby z wysp ruchomych, skupiających się jedna na drugą, wznosi się góra ogromna, w szczerbate połamana krawędzie, której wszystkie brzegi, słońce za nią ukryte, złotem oblamowało; po tych szczerbach i krawędziach wspina się, czepia i przewija coraz wyżej i wyżej mały obłoczek, jak z trudem na szczyt *Montblanu* pnący się wędrownik... Nagle obłoczek zanurza się i ginie w olbrzymich zwojach chmury, jak nieraz zginął i wędrownik w niezgłębionych rozpadlinach lodów i zamieci .. Po chwili słońce wzbija się nad chmurę, osiada na jej szczycie, zapala tam ognisko wulkana, i gorejącym promieniem rozszczepia górę na dwoje... chwieje się ona całym ogromem, i nakoniec kłębami lawy rozpływa się po niebiosach. Tak na tym niezmiernym przestworze, jak w wyobraźni śpiącego człowieka, snuły się coraz to nowe, ruchome, bezładne, fantastyczne jakieś złudzenia, na które my półsennem w milczeniu poglądając okiem, snuliśmy także i roili obrazy życia i szczęścia równie fantastyczne i niestałe, jak łudzące wzrok nasz obłoki, i jak obłoki wątłe i marne... Ach! czegoż nie roją głowy młode i zakochane?...

Długie milczenie i obłąkane myśli nasze przerwał nakoniec i zwrócił ku ziemi Hipolit.

— Gdzieżeś? rzekł on uderzając mię po ramieniu, gdzieżeś? Ignacy!

— Co za pytanie? Wiesz, mój kochany, że gdy archanioł wypędzający grzesznego ojca naszego Adama z raju, zawołał: „gdzieżeś Adamie?“ Adam nie śmiał mu odpowiedzieć...

— Bo się wstydził, bo czuł grzech na sercu! .. Rozumiem, i ty się wstydzisz, i ty czujesz grzech na sercu; a co gorsza, grzech śmiertelny! Nie prawdaż?

— Tak, jeżeli rozpacz jest grzechem.

— Rozpacz? Nie, to nie rozpacz, mój bracie! to wcale nie rozpacz.

— Cóżby innego być mogło?

— Słuchaj! mówił dalej Hipolit; czy wyobrażasz sobie niekiedy twoją lubę w objęciach szczęśliwego jej małżonka?

— Człowieku! wykrzyknąłem, zrywając się z ziemi, cóż ci po mojem udręczeniu? Ach! to to właśnie wyobrażenie drażni mię i męczy bez ustanku!!!

— A widzisz! czyż to rozpacz? to zazdrość; mój kochany! to zazdrość zapalona, zapamiętała zazdrość! Grzech śmiertelny, jakem ci powiedział, nie rozpacz, nie!

— Cóż mi po tej różnicy? Tak lub owak, zawszem nieszczęśliwy!

— Prawda, ale należy wszystko dokładnie definjować i de-

terminować, a tembardziej uczucia i namiętności; bo widzisz, znając chorobę...

— Dość tego, przerwałem; nie chcesz zapewne urągać się z cierpień przyjaciela. Przestańmy definjować grzechy; determinujmy wolej cnoty. W twojem sercu trzy kardynalne założą podobno mieszkanie: jest już miłość, wciska się powoli nadzieja, a obie wprowadzą zapewne trzecią swą towarzyszkę, wiarę, a wiarę małżeńską.

— Dziękuję za proroctwo, pomóż do skutku.

— Z całego serca; ale ..

— Żadnego ale mój kochany, żadnego ale! Przenikam co masz powiedzieć; kocham Helenę miłością ..

— *Parisa*—przerwałem.

— Dla Boga! co wyrzekłeś? Kocham ją miłością czystą, stałą, spokojną, i, dajmy na to, rozważną nawet...

— Chcesz widzę determinować ściśle i własne uczucia.

— Tak, bo chcę twoje ale, twoją wątpliwość pokonać, twoje niedowiarstwo zniszczyć bez powrotu. Kocham jak dotąd nie kochałem. Dni kilka któreśmy oba po imieninach prezydenta tak przyjemnie w domu jego spędzili, dały mi poznać tę duszę niewinną, niepokalaną, dziecięcą jeszcze, ale w której zarody wszystkich cnót niewieścich dojrzałem. Ach! mój drogi! z nią tylko szczęśliwym być mogę!.. . Tak! ona mi jest od Boga przeznaczona!!!

— I od ludzi narajona!—dokończyłem starym swatowskim konceptem,- bo gdy taki jest stan twojego serca, mówiłem dalej i twoich zamiarów, to jam swatem! Dziękuj Bogu, że ci drogę twojego szczęścia we własnem twojem objawił sercu. Niech tylko Helenka będzie ci wzajemną .. w czem także mam niejakie nadzieje, reszta pójdzie jak z płatka.

— A szambelan?

— Cóż znowu szambelan? Helenka jego nie kocha. Może prezydent dawniejszych w postanowieniu córek trzymający się zasad, będzie rozliczał wasze dochody; ale i on kocha prawdziwie swe dzieci; i ty wszakże do półpanków sprawiedliwie liczyć się możesz. Jednakże nie traćmy czasu, bo jak powiadał mój dziadulek *quis scit*, co za górą? i nie dziwiłbym się wcale, gdyby *tertius interveniens*, zwabiony słynącemi wszędzie wdziękami Helusi, pomięszał nam szyki.

— Więc wracajmy do domu, odpowiedział zatrwożony Hipolit i jedźmy jutro ..

— Zgoda, rzekłem, jedźmy. Uderz w trąbkę, zbierzmy myśliwstwo.

Raz i drugi pojezdne odbiło się po lesie, lecz żadnej nie słychać było odpowiedzi, natomiast silne uderzenie po wodzie rozprysło się i rozległo po nadbrzeżnym borze, i długi ciąg płytów, w jedno złączonych, jakby odgłosem trąbki naszej zbudzony wąż ogromny, którego pod biegunami widywano, wysunął się na za-

cienionym nurcie Wilji, i wyginając się podług jej zakrętów, powoli ku nam się zbliżał. Na czele stał człowiek z wytkniętem naprzód długiem żądłem potworu, drugi z tyłu potężnym jego ogonem rozbijał i zapieniał wodę, a kilku ludzi, przebiegając po wierzchu, przypominali bajkę o rozbitkach na grzbiet wieloryba schronionych. Rzeka niosła go wspaniale i przechylała na falach, ku czemu wolne spojenie członków z łatwością się podawało.

Na ten widok jednostajna myśl przebiegła nam po głowie.— Płyńmy! wykrzyknęliśmy obadwa, płyńmy aż do prezydentów!— powtórzyliśmy żywo i wesoło, i natychmiast zaczęliśmy wołać i dawać znaki sternikowi, aby przybił do brzegu.

Podjął głowę, a raczej zwrócił w naszą stronę szeroką łysinę staruszek; spójrzał na nas ciekawie, i po krótkiem zastanowieniu się—*staubuj*! *) -wykrzyknął przeciągle i donośnie—*stau-buj!!!* Skinął potem wiosłem ku naszemu brzegowi, a za chwilę wąż ten ruchomy i potężny rozciągnął się i zaległ u nóg naszych.

Wyszedł rzeźwo na brzeg staruszek czerstwy i rumiany, łysy, jak już to z daleka postrzegliśmy; reszta włosów siwych spadała mu z tyłu głowy na kołnierz białej i schludnej płóciennej kapoty, w którą był ubrany. Za szerokim pasem skórzanym, ściągającym go w stanie, sterczała mała drewniana luleczka; pod pasem, na cieńkim rzemyku, nóż składany i kalitka z krzesiwkiem, hubką i skałkami. Prosta ale cnotliwa dusza malowała się w rysach jego twarzy, i prosta gospodarska, że tak powiem, roztropność z oczu mu wyglądała.

— Czego chcecie panicze? — zapytał on kłaniając się nam uprzejmie.

— Płynąć z wami—odpowiedzieliśmy, oddając również uprzejme ukłony.

-- W imię Ojca i Syna! dokąd? do Królewca?

— Nie, staruszku! tylko mil kilka popłyniemy z tobą; wysiądziemy na brzeg pod Niestaniszkami.

— To mil sześć ztąd gościńcem, a krętą rzeką daleko więcej.

— Jak tobie imię?—mój kochany!—zapytał Hipolit.

— Bartłomiej—do usług.

— No, panie Bartłomieju! mil sześć czy dziesięć, to wszystko jedno; popłyniemy, rzekł Hipolit. Rozumie się, że tobie i twojej czeladzi wynagrodzimy za to, że nas weźmiecie z sobą. Oto masz, staruszku, na zadatek. — Hipolit wyjął rubla i podał Bartłomiejowi.

Starzec nie sięgnął po rubla, ale oglądając nas z nóg do głowy, pokręcał własną i powtarzał z cicha i wątpliwie—stąd mil ze sześć. . . nie wiem. . . nie wiem. . . mospanie!. . .

Projekt nasz tak dlań niezwyczajny i rubel Hipolita, obudzał w starcu niejakieś podejrzenie, które z naszą postacią, u-

*) Wyraz techniczny w żegludze po rzekach; znaczy—przybijaj do brzegu.

biorem i niebojaźliwą szczerością pogodzić nie mogąc, wąchał się czy miał przyjąć czy odmówić wstępu na swoje płyty ludziom nieznajomym, do paniczów wprawdzie podobnym, ale uzbrojonym i w lesie . . .

W tym momencie z daleka rozległa się trąbka, na którą Hipolit własną odpowiedział.

— A to co?—zapytał zdziwiony Bartłomiej.

— To znak, że strzelce nasi ciągną w tę stronę, i wnet tu na moją trąbkę przybędą.

Bartłomiej milczał, lecz nieznacznie ku płytom się rejterował. Trąbka do reszty go zmitrężyła. Przyszła mu bowiem na myśl, jak się nam potem przyznał, bajka o dwunastu rozbójnikach na trąbkę się zwołujących; bo każda bajka gminna w przekonaniu starca i jemu podobnych, jest prawdą, tylko dawno i daleko przytrafioną.

Lecz te wszystkie niedowierzania i strachy znikły za ukazaniem się *Hałasa, Lutni, Tertesa* i *Kompanii*,—gończych psów naszych. Wybiegły one zmordowane z lasu, a dopadłszy rzeki i ugasiwszy pragnienie, łaszczyć się około nas zaczęły. To przekonało pana Bartłomieja, żeśmy myśliwi i żeśmy panicze; a tymczasem wymykali się z boru strzelce, i także około nas się gromadzili. Zwrócił się więc ku nam staruszek.

— No, rzekliśmy doń, zjedzmy tu, panie Bartłomieju, z myśliwskiej torby obiadek, a potem dalej na wodę.

— Nie, mospanie, to na długie zachodzi marudztwo, my już dawno po obiedzie, a miejsce do południowania jeszcze stąd o pół mili; woda codzień spada, w Wilejce pac dawno już łysinę pokazał, a zatem niema czasu do baraszkowania; i panicze wolej drogą, gościńcem, po sprawiedliwej ziemi, jedźcie, gdzie Pan Bóg ma prowadzić.

— Nie, kochany Bartłomieju, nie zamarudzimy długo, a ty daj się uprosić; wszakże ci to nic kosztować nie będzie, owszem. . .

— A kiedy już tak paniczom koniecznie tej rekreacyi zachciało się, to cóż robić?

— Więc do waspana—rzekł Hipolit, biorąc z torby flaszkę wybornej gdańskiej wódki i srebrną czareczkę, którą do połowy spełniwszy, dolał pełno dla pana Bartłomieja.

— Po obiedzie, mospanie, nie piję.

— Ale przed południem!

Starzec spójrzał z pod ręki na słońce.

— Jeszcze to za rano, rzekł; ale kiedy już ma być tak, to tak!—

Przyjął zatem ofiarowaną czarkę, i wychyliwszy, dodał pokręcając głową:

— Oho! w Królewcu tylko z taką się spotkasz! Dziękuję mospanie!—Obrócił się potem do swej czeladzi, i odezwał się głośno—Południeń, dzieci, południeń! — Natychmiast drużyna że-

glarska w jedną gromadkę na płytach, a drużyna myśliwska w drugą gromadkę na brzegu się skupiły, i każda po swoje sięgnęła zapasy.

Na widok naszych półgęsków, szynek i serów, zaproszony Bartłomiej,—nie, Mospanie, odpowiedział; nie; dziś suchednia. Młodym zdarzy się czasami i zapomnieć o postach; ale staremu nie daj Boże! A zatem ja pójdę do swej kompanii na suszone płotki i wędzone szczupaczki.—

— To i nam, jako już do twojej drużyny należącym, dasz zakosztować?—

Wyborne i czysto sporządzone rybki Bartłomieja smakowały nam lepiej, niżeli własne wędliny, które wszakże gwarliwa myśliwska rzesza, bez względu na suchedni, z apetytem pożerała.

Krótko trwał południeń staruszka; nie dał on i nam skończyć obiadu.—No, panoczki! Jeżeli wola i ochota....

— Jak widzisz, ojcze Bartłomieju!—odpowiedziałem. Rozkazaliśmy więc myśliwstwu wracać do domu, i służącym naszym wybrać się stamtąd bez zwłoki z pojazdem i garderobą do Niestaniszek, i czekać nas tam we wsi nad przewozem.

— A panowie?—odezwało się kilku myśliwych.

— My tam przypłyniemy.

Na ten niespodziany projekt wszyscy się z zadziwieniem przeżegnali. My tymczasem, zebrawszy nasze myśliwskie rynsztunki, jednym skokiem byliśmy na płytach. Stary Bartłomiej stał już u steru, kilku młodych chłopaków przy rudlu, a kilku innych opierając silnie długie prysy o brzegi, odpychało uwięzłe na piasku płyty... Zbliżała się chwila odbicia.... Wesołość natenczas i radość jakaś nadzwyczajna objęła nas i uniosła; krew młoda żywiej i swobodniej igrała w sercach; z niecierpliwem drżeniem czekaliśmy pierwszego targnienia się statków pod nami.... Porwałem fuzję, odłożyłem kurek.... zrozumiał mię Hipolit, i toż samo uczynił.... Płyt się wzrusza.... Palim!... płyniemy!... Huczna *salva* myśliwska odpowiada nam z brzegu!... — *U-laż! u-laż!!!* *) — wykrzyknął Bartłomiej.

IX

Gdy w rozpięty żagiel wiatr uderza i odbija od ojczystego brzegu nawę, pędząc ją na głębie oceanu, stojący natenczas na pokładzie wędrownik pogląda rzewnem okiem raz ostatni na rodzinną ziemię, i z głębi serca woła: —

„*Bywaj mi zdrowy, kraju kochany*“ **).

Ale z pogodną duszą, bez tęsknoty i trwogi, w pięknych

*) *Ulaż*, wyraz techniczny, pobudzający do silnego robienia rudlem albo wiosłem.

**) Pożegnanie Child Harolda.

dniach wiosny roku i wiosny życia, puścić się i płynąć bezpiecznie rzeką ojczystą, po której brzegach coraz to nowe, coraz to rozmaite, coraz piękniejsze, a wszystko swojskie, domowe i kochane spotykasz widoki; oddychać pełną i rozszerzoną piersią, powietrzem napojonem wonią kwiatów i łąk, które się pomija, chłodzić się i pieścić niejako z falą kołyszącą cię mile i pieniącą u nóg twoich . . . ach! to jest rozkosz czysta, niewinna, prawdziwa nadewszystko, której użyć.... spróbój młodzieńcze!.... a uznasz, że ja ani obrazów fałszywych kraju mojego nie maluję, ani uczuć serca nie kłamię.... i rzeźwy, swobodny, szczęśliwy, zawołasz z uczucia, com ja z przypomnienia napisał:—piękną jest szeroka Litwa nasza!!!—

Na wesołość naszą i uniesienie patrzał oparty na wiośle Bartłomiej, uśmiechając się i kiedy niekiedy kiwając głową.

— Miarkuję, mospanie, rzekł on, że paniczom nowa to rzecz płynąć rzeką, i dla tego tak weselicie się i biegacie po płytach. Ja zestarzałem się przy rudlu, więc to mnie nie nowina; a jednak każdej wiosny, gdy wchodzę na statek i ruszam od brzegu, lżej mi jakoś i weselej robi się na sercu, żona stara zmarszczy się trochę, niby to płacząc, ale wkrótce ja ją z płytów, a ona mnie z brzegu pożegna, i przestaje baba marszczyć się, a czeka potem spokojnie gościńca z Królewca.

A cóż to, mospanie, teraz znaczy do tego, co dawniej bywało? Czy to spław teraz? Kilkanaście tych pławużek, które spuściwszy na rzekę, możeby bez sternika i czeladzi do Kowna dopłynęły. Oto, mospanie, kiedy z dziesiątek albo i więcej strugów, wielkich jak domy, każdy z masztem jak z wieżą i z żaglem jak z chorągwią, a naładowanych pieńką, siemieniem albo i zbożem, wychodziło z naszych przystani i puszczało się wiosną po rzece na pół mili rozlanej, a niosło się bystro, że burczał statek! oto wtenczas trzeba było widzieć ochotę i radość naszą! oto wtenczas trzeba było być sternikiem! Czasami strug, jak kaczka, wywijał się po rozlewie między wierzchołkami dębów i sosen, sterczącymi z pod wody. Trudno to było natenczas, mospanie! ależ za to kiedy człek wykierował się gładko, to aż podskoczył z radości. No, i gdyby tyle dał Bóg aniołów przy skonaniu, ile strugów szczęśliwie do Królewca doprowadziło się. Oho, Mospanie! bywało jeszcze Pac z łysiną pod wodą, a już my w Kownie... Inne czasy mospanie, inne czasy!...

— Już dwa razy, ojcze Bartłomieju, rzekłem, wspominasz jakiegoś Paca, czego my nie rozumiemy. Gdzie jest, czy gdzie był ten Pac? zdaje się bowiem, że teraz o żadnym Pacu w tych stronach nie słychać.—

Ej to Mospanie nasz znak żeglarski pod Wilejką *).

— Przecież musi być temu nazwaniu przyczyna?—

— Naturalnie że jest.—

---

*) Wilejka—miasteczko powiatowe nad Wilją, w gubernii Wileńskiej.

— Więc nam ją opowiedz, kochany Bartłomieju!—

— Nic w tem ciekawego, ale zapalim luleczki, bo i panicze, jak uważam nie od tego.—

— Wyborny projekt; prosimy na nasz tytunik.—

— Dziękuję pokornie, mospanie! Człek do swojego przywykł. W tem miejscu można sobie odpocząć; rzeka czysta i spokojna, trzeba się tylko na prawo trzymać, bo przy lewym brzegu miałczyzna. — *Na stos! na stos,* *) — zawołał głośno Bartłomiej. Na tę komendę rudel mocniej uderzył i płyty na prawo się wychyliły, a on spokojnie nakładał swoją okopconą na krótkim drewnianym cybuszku lułkę; my też swoje nałożyliśmy. Bartłomiej tymczasem dobył z kalitki krzesiwo, hubkę i skałkę.

— Bodaj, mospanie, ciężko będzie z ogniem; gąbka wilgotnieje, wisząc nad wodą.—

Uderzył starzec krzesiwem po razy kilka, skry sypnęły się stem ogniskiem, ale hubka się nie zajęła.—Mówiłem...—i powtarzał cięcia w skałkę, a zawsze napróżno.

— Poczekaj, rzekł Hipolit; poprobujemy naszego sposobu.

— A.... z fuzji, naturalnie że lepiej.—

— Nie, mój kochany! Mamy inne krzesiwo. — To mówiąc wyjął Hipolit z myśliwskiego pasa małą, węższą od ładunku, mosiężną rureczkę z tłoczkiem wewnątrz, założył odrobinkę hubki na kruczek pod tłoczkiem, uderzył nim mocno i szybko w rurkę, i w mgnieniu oka dobył na tłoczku zapaloną hubkę i podawał ją zdziwionemu Bartłomiejowi.

— W imię Ojca i Syna! a to co? czary? Mospanie!—

— Nie, ojcze Bartłomieju, nie czary, rzekliśmy śmiejąc się z jego zadziwienia; jest to nowo wymyślony sposób dostawania ognia bez skałki i stali.—

— A co tam na dnie w rurce? zapytał znowu staruszek. Czy nie djabeł tam siedzi zaklęty, z piekielną iskrą? Mospanie! Jak go pan przybił po łbie, tak on gąbkę zapalił.—

— Prostsza daleko teorya, rzekłem do Hipolita, niżeli wyciśnienie się cieplika ze zgęszczonego powietrza. Nie, Bartłomieju, nie umiemy zaklinać djabłów, i nie chcemy mieć z nimi do czynienia. Śmiało zapalaj fajkę przy tym ogniu, bo nie piekielny; obejrzyj owszem nasze krzesiwo, a nawet włóż go na pamiątkę od nas do swojej kalitki; będziesz miał wygodę i zabawkę w drodze. — Wysłuchał potem staruszek wytłumaczonej mu przez nas i zastosowanej do jego pojęcia teoryi naszej tego dowcipnego krzesiwka; wypróbował go po kilkakrotnie z widocznem ukontentowaniem, i przyjął podarunek z wdzięcznością.

— Powiozę to wnukom na gościniec, rzekł chowając rurkę do kalitki. Świat rozumnieje, mospanie! ale cóż z tego, kiedy i holeje? Mospanie!.. Ot i dowód na to, że holeje.—Widzicie Panowie te spichrze nad brzegiem? To niegdyś przystań. Dawniej

*) Na stos—w języku żeglarskim po rzekach, znaczy na prawo.

tu, jak kiermasz, bywało kupców, żydów, furmanek, trzepaczy, linników niezliczona moc; towaru aż nie mieściło się w spichrzach, który wszystek my potem na strugi zabierali, a teraz puste, ani żywego ducha! Pozawalały się niektóre, a teraz i wszystkie zapadną. Wieleż takich miniemy jeszcze!—

— Ależ Pac! zawołaliśmy, ojcze Bartłomieju, Pac!—

— Słuchajcież panicze, to i opowiem.—

Tak mówiąc, podał nam nizkie samorodne trójnóżki, i sam na podobnym na przodzie płytu usiadłszy, — *U-laż! U-laż!*—wykrzyknął. Długi i równy prąd Wilji srebrzył się przed nami; kłęby dymu wszystkim nam trzem z ust buchały, i Bartłomiej opowiadać począł.—

— Panicze wiecie zapewne Wilejkę?

— Jakże nie? odpowiedziałem; o kilka mil od niej mieszkamy.—

— Teraz Wilejka już na miasteczko pochodzi; ale dawniej był to tylko dwór starościński i wioska, a starostą Wilejskim było wielkie panisko, Pac *).—

— Tatulu! przerwał głos z tyłu, na żywcu hruba sztuka!—

— Oho! zawsze na tej głębini ze szczupakiem spotkać się można — rzekł zrywając się Bartłomiej. My obróciliśmy się także i postrzegliśmy dorodnego chłopaka, przywołującego Bartłomieja; podbiegliśmy z nim razem.

— Sztuka! prawda hruba sztuka!—rzekł Bartłomiej, pokręcając głową i ukazując nam piórko, które, jak błyskawica w różne strony miotając się po wodzie, szarpało jej powierzchnię, pryskającą wtenczas w górę kryształowym grzebieniem.

— To na szczęście paniczów, mospanie, rzekł Bartłomiej.

— To na moje szczęście, tatulu, odezwał się chłopak, bo ja puszczał wędę —

— Głupiś!—

— Aha!—

— Czy to wasz syn? Bartłomieju!—

— Nie, nie, mospanie! mam ja czterech synów ale żadnego takiego, Bogu dzięki!... To syn mojego sąsiada najmłodszy, Jakóbek. Ma on ich trzech; dwaj starsi rozumni, siedzą w domu i gospodarzą, a trzeci ten .. to podług bajki, mospanie!... więc go ojciec na wodę puszcza.—

Tak rozmawiając, Bartłomiej nachylony nad wodą, ściągał powoli i ostrożnie długą, cieńką ale mocną, z białych końskich włosów skręconą nitkę. Kiedy niekiedy drgnął pod wodą oddalony jeszcze od płytów, a uwięzły na haku szczupak. Woda natenczas w tem miejscu w szersze coraz roztaczała się kręgi, w środku których była zdobycz nasza. Czeladź cała zebrała się około Bartłomieja, i ciekawie razem z nami czekała końca nitki. Coraz bliżej i bliżej powtarzały się drgania i kręgi; aż nakoniec

*) Wiadomość miejscowa.

o kilka sążni od nas ukazała się nad wodą paszcza roztwarta i zakrwawiona ogromnego szczupaka, wewnątrz której targała się jeszcze płotka, z którą razem chciwy ten żarłok i hak śmiertelny połknął.

Okrzyk powszechny powitał gościa, a niecierpliwy Jakóbek wskoczył do wody, i płynąc obok podchwycił go i na płyt wyrzucił. Padł nam, jak kawał kłody pod nogi szczupak, miotał się i rozbijał po drzewie, a nad nim skakał z radości cały zmokły Jakóbek.

— Brawo ojcze Bartłomieju! brawo! rzekliśmy do uradowanego staruszka; dziękujemy ci za tę rozrywkę.—

— Niema za co, mospanie; to Bóg dał. Ale suplikuję panów przyjąć tę rybkę od pokornego sługi.—

— Dziękujemy szczerze; jednak cóż z nią zrobimy? wszakże nie płyniemy do domu. —

— A gdziekolwiek zapłyniecie panoczki, choćby, mospanie, nie miarkując i nie przymierzając, aż do pana prezydenta, mojego dawnego łaskawcy, i tam, zgotowawszy na szaro lub po żydowsku, będzie około czego zabawić się; a dowieziem żywego. Jakóbku! podaj bucz podróżny.—

Jakóbek podał sak z rozpiętej na obręczach siatki; wsadzono weń więźnia, wyjąwszy mu wprzód z paszczęki płotkę z hakiem, i przywiązany sak do płytu puszczono na wodę.

Na wspomnienie prezydenta i odgadnienie celu naszej podróży spójrzeliśmy na siebie z Hipolitem. Zkądżeby się stary domyślił? bo wiedzieć nie mógł o projekcie nagle wynikłym.

Gdyśmy więc znowu na naszych stołeczkach usiedli,—zkąd wnosić możesz, panie Bartłomieju, zapytałem, że my płyniemy do prezydenta?

Staruszek się uśmiechnął.—Czy zgadłem? albo co?—

— Dajmy że zgadłeś, ale jakim sposobem?—

— Któryż z panów, mospanie, do panny Heleny?

— Czy znasz i pannę Helenę? — wykrzyknął Hippolit, zrywając się ze stołka.

— A... to pan!!! — Starzec poglądał na Hipolita uważnie, jakby go raz pierwszy postrzegł, a potem rzekł uprzejmie.—

— No! daj Boże szczęśliwie... niema co powiedzieć, mospanie!...

— Bartłomieju! rzekłem, kładąc fajkę, przestań tych zagadek; powiedz wolej jak odgadłeś cel naszej podróży, i zkąd znasz dom państwa prezydentów? —

Znowu się stary rozśmiał.

— Zkąd ja znam prezydentowstwo? Ja, który znam, mospanie, od Wilejki aż do Kowna po brzegach Wilji wszystkie dwory, wioski i zaścianki, wszystkich panów i paniąt, chłopów i chłopiąt, jabym nie znał dworu i państwa, pod których ogrodem zawsze *staubuję* się na południeń, i którzy mię witają co rok, jak swego domownika, u których daj im Boże wiek długi i panowa-

nie, przeleżałem zaprzeszłego roku sześć tygodni, gdy powracając z Kowna lądem i piechotą na promie, pod ich dworem rozchorowałem się na gorączkę. Przenieśli mnie zaraz z wioski do oficyny, i imość, jak matka, nademną staranie miała. A panna Helena! to anioł w ludzkiem ciele! to, mospanie, i wymówić trudno... Kto ma lat siedmdziesiąt, temu z gorączką niełatwa sprawa; to cud, że jeszcze żyję, to jej niewinne paciorki mnie uzdrowiły... Wieleż to razy na dzień przybiegała do mojej stancyi, a zawsze mnie pocieszyła. — Nie bój się, staruszku, nie umrzesz, mówiła głosikiem, jakim podobno aniołkowie w niebie gadają, nie bój się; będę pięć piątków pościć i mówić koronkę do Opatrzności Boskiej za twoje zdrowie...—A rosołki, a owsianki, a ziółeczka, kto, kiedy nie ona mnie przynosiła? O nagrodź jej Boże! Błogosław ją Boże! Ja jej tego dobrodziejstwa aż do grobowej deski nie zapomnę—mówił wzruszony starzec, ocierając z łez oczy.

— A jakiejże to radości było, kiedy moja baba z dziećmi po mnie przyjechała, kiedy mnie zdrowego jej oddawali!!! Nie, nie, niema takich drugich na świecie, jak ta matka i córka... Błogosław im wszystkim Panie Boże! — powtórzył Bartłomiej, wznosząc ręce ku niebu jak do pacierza złożone.

Gdy starzec to bezładne, ale szczere i z głębi serca wymawiał błogosławieństwo, gdy imię ulubionej Hipolita z najżywszą wdzięcznością powtarzał, a cnotę jej i dobroć z anielską równał, Hipolit stał niewzruszony, oddychał głęboko i ciężko, obie dłonie na sercu złożył, jakby przytłumiając mocne i gwałtowne jego bicia. Jakiś niewymówny wyraz cierpienia czy zapału, smutku czy rozkoszy płonął mu w oczach...

— Ale jakżeś zgadł, że my tam płyniemy?—zapytałem znowu Bartłomieja.

— Nie wiele na to trzeba było rozumu, Mospanie, a przez lat siedmdziesiąt zebrało się trochę jego w tej łysej głowie. Mil ośm płynąć mają... pomyślałem sobie, to nie darmo! Ale dokąd i po co? w tem sęk?... a tu panicze każecie sługom i koniom iść do Niestaniszek; no, to już trochę wiemy, pomyśliłem znowu, ale jeszcze nie wszystko, mospanie! Każecie, i to najpilniej i po kilka razy, zabierać co najpiękniejsze swoje odzienie. Oho! ot człek i w domu! Panicze płyną w konkury. A dokąd naprzykład? Najbliższy stamtąd dom łaskawców moich prezydentów, a tam panna Helena, więc i po zagadce; bo gdzież dalej drugiej szukać? i gdzie taką drugą znaleźć...—

— Prawda, ojcze Bartłomieju, przerwałem, prawda! zgadłeś; trudnoby przed tobą coś utaić, gdyś taki mądry i przenikliwy.—

— A na co i taić, kiedy w poczciwych a bogobojnych myślach—śmierć a żona, od Boga przeznaczona?—Do śmierci jeszcze panom zdaje się daleko... a więc w imię Boskie, mospanie!... — Tu patrząc w oczy Hipolitowi, kiwnął głową stary i zamilkł.

Hipolit rzucił mu się na szyję, uściskał go serdecznie, i znowu wesołość była z nami.

— Otoż kończąc panom moim o Pacu, rzekł Bartłomiej gdyśmy usiedli na swoich stołkach i przygaszone rozniecili fajki, był on łysy, tak, jak ja teraz.

— Czy go znałeś?—

— Gdzie mnie znać było tak wielkiego pana? Ale pamiętam, że jego łysą głowę, przez okno na Wilję wyglądającą, widywałem za młodu! bo dwór pana Paca stoi jeszcze i teraz w Wilejce nad samą Wilją *), a naprzeciw tego dworu na środku rzeki jest wielki kamień; siedzi on sobie, mospanie, jak drugi starosta po szyję w wodzie, a tylko łeb ogromny, łysy i twardy, pianą wodną jak szlafmycą pokryty, trzyma na wierzchu, jakby się nim do rozbijania statków gotował.

Póki na wiosnę woda wysoka i rozlana, to ani kamienia nad wodą, ani Paca w oknie nie było, a strugi, krobki i płyty, śmiało mijały Wilejkę; ale jak słońce przygrzało, pan Pac otwierał zaraz okno, i cały dzień, nie mając bodaj czego lepszego robić, palił fajkę oparłszy się na oknie, popijał winkiem, mospanie, i poglądał na rzekę, na prom, i na ciemne za rzeką Mołodeczańskie lasy; a wtenczas i kamień łeb z wody wysuwał. Więc podpływając pod Wilejkę, zdaleka obaczyć można było i łeb kamienia, i łeb Paca starosty; a to był znak, mospanie, bo woda już była nizka, a choćby jeszcze i udało się strugom ominąć tego zawalidrogę, to już rappy na Wilji i na Niemnie, które w czasie wiosennej powodzi głęboko pod wodą siedzą, teraz, kiedy rzeka w korycie, sterczą na wierzchu, i strugom przebyć ich niepodobna, nawet i płyt musi jak wjun się wywijać, aby potem poodzieranych brusów na czółenku nie łapać. I tak rok w rok bywało: kogo Pac w Wilejce nie powitał, ten szczęśliwie do Królewca dopłynął, a kto spóźnił się i jego zdaleka dojrzał, ten musiał len i pieńkę z wielką biedą ze strugów na króbki *) przeładowywać, a ze zbożem drugiej wiosny poczekać. A tak czy kto wtenczas starostę, czy kamień obaczył, wszystko to jedno; zawsze krzyczał— Pac łysinę pokazał!—i klął jego bezbożnie. Nakoniec kiedy już Pac łysinę swoją i do ziemi schował, to kamień został Pacem, a przysłowie dla tego nie zmieniło się; i póki po Wilji ludzie pływać będą, przysłowie razem z kamieniem na wieki zostanie.

X.

Dzień się skłaniał ku schyłkowi, i ten sam promień zachodzącego słońca, który nam w dniu imienin pana prezydenta nad Wilją przyświecał, spadł i teraz na rzekę, łamiąc się rozmaicie podług jej biegu: raz nam ćmił w oczy jaskrawym blaskiem, od-

*) Miejscowe.

**) Króbką zowie się płyt naładowany pieńką.

bitym na wodzie jak na palącem źwierciadle; i płynęliśmy natenczas ogarnieni światłością, która nas zewsząd, i z pod wody nawet oblewała; to znowu, gdy rzeka inny brała kierunek, a zapadające słońce borem się zasłoniło, wypływaliśmy na ciemne głębinie i przesuwaliśmy się przez szerokie cienie, zalegające nurt rzeki i jej brzegi, a ustępujące powoli i nieznacznie bledemu wieczornemu światłu . Zewsząd dochodziły nas głosy i echa owych krzykliwych a smutnych pieśni włościanek naszych, któremi się one, wracając z pola do domów, pocieszają; zalatywała woń miła i ożywiająca świeżych pokosów kwitnących jeszcze zrana, podciętych w południe, więdniejących wieczorem . . Kilka stad krówek przybiegało z paszy do rzeki, i brodząc po miałkich jej brzegach, gasiło pragnienie i kąpało się rzeźwo. Obrazy te wiejskie, sceny te zwyczajne i codzienne, chociaż pospolite i proste, bawiły nas jednak, bo powlekały się urokiem wesołości i rozkoszą, w jakiej dzień cały upływał.

— Cóż będzie z noclegiem? Panoczki! odezwał się Bartłomiej; nasz zwyczajnie pod gołem niebem, i już niedaleko miejsce gdzie ja zwykle nocleguję; ale ten raz przyjdzie pono dopłynąć milę dalej, do Żodziszek. Tam czy w klasztorze, który już teraz dworem nazywają, czy w plebanji panicze przenocujecie.

— Wcale nie zgadzamy się na to, ojcze Bartłomieju! owszem pod gołem niebem razem z wami. Cóż to? masz nas za piecuchów, którym koniecznie łóżek i piernatów potrzeba? Nieraz zdarzało się niechcąc takie przepędzać noclegi, a czemużbyśmy teraz z ochoty nie przenocowali z tobą.

— A miłyż Boże! zawołał uradowany Bartłomiej, to żyć i umierać z takimi panami. Człek, dalibóg, młodnieje mospanie! Dobrze, wyśmienicie! Będziemy zatem nocować razem. Rybki wędzonej na wieczerzę wystarczy, i jeszcze cokolwiek innego dla paniczów się najdzie . głodni nie będziemy, a to grunt mospanie! Przytem miejsce na nocleg upodobacie zapewne panicze, bo ja, choć prostak, lubię jednak wybierać takie stanowiska, gdzie rzuciwszy okiem około siebie, weselej jakoś człowiekowi.

Tymczasem gwar nadbrzeżny ucichał powoli; echa i głosy milkły i wszystko umilkło . . szum tylko wody uderzanej naszym rudlem rozlegał się za nami i tłumił w powszechnej ciszy, która z zapadającym zmrokiem objęła ziemię.

Brzegi Wilji płaskie dotąd i równe, zbliżając się ku Żodziszkom *), coraz się podnoszą i piętrzą; podrywane wiosenną powodzią, poformowały się w rozpadliny, szczerby i urwiska, które nakształt skał wydatnych długą i wysoką ścianą sterczą z obu stron. Ścianę tę rozdzierają w niektórych miejscach głębokie i daleko

*) Żodziszki, miasteczko niegdyś Jezuickie, nad Wilją w powiecie Wilejskim położone.

w brzegi zachodzące parowy; po dnie ich biegną szumne i bystre potoki z nadbrzeżnych krynic wynikłe, i spienione swe nurty do Wilji wlewają. Wąwozy te na wzniosłych swych i nierównych bokach, nawisłemi jodły, karłowatą brzozą i krzakami gęstej leszczyny porosłe, świeżą zawsze i różnie cieniowaną pokryte zielonością, w rozmaitych swych zakrętach, przepaściach, wzgórzach i kątkach, zachowują tysiące miejsc powabnych, tysiące niespodziewanych, a tak prawdziwie pięknych widoków, że od nich oka i serca oderwać niepodobna, że ich obcym byśmy zazdrościli krajom. . . czemuż we własnym nie znamy?

— *Na stos! na stos! Staubuj!* wykrzyknął Bartłomiej. *Staubuj!*—powtórzył, i wkrótce przybiliśmy do prawego brzegu Wilji, pod jeden z takich parowów.

— No, panoczki, proszę za mną, rzekł on wychodząc na brzeg. Przywiązujcie płyty! – zawołał na swoich; a nas prowadził przez małą nadbrzeżną płaszczyznę do parowu, i po stromych jego bokach krętą i wąziutką, ale dobrze ubitą ścieżką piął się na górę.

— Dokąd nas prowadzisz? ojcze Bartłomieju! — zapytaliśmy gramoląc się za nim.

— Na nocleg i na wieczerzę, odpowiedział; tylko ostróżnie iść trzeba. Ta ścieżka jeszcze pono przez jezuitów wydeptana: bo to miejsce niegdyś do Żodziszek, a Żodziszki do Jezuitów należały. . . Tu ślizko, trzymajcie się panicze za leszczynę, bo zjedziecie na dół po piasku . . Nie daje jej zarastać dziatwa z okolicznych wiosek, czepiając się za orzechami lub zbierając poziomki, których tu mnóstwo w swojej porze wysypuje się; ja też co rok ją odnawiam . . Tu po tej kłodzie przejść trzeba, bo to krynica pod trawą; byle w bok krokiem, to po szyję . . A! otoż jesteśmy na miejscu.

Na te słowa Bartłomieja obejrzeliśmy się na wszystkie strony, i poglądając to około siebie, to na siebie, to na naszego przewodnika, staliśmy w zachwyceniu. On z uśmiechem zadowolenia popatrzywszy na nas przez chwilę, zbierał potem suche gałęzie, i przyszłe z nich układał ognisko.

Byliśmy natenczas o sążni kilkanaście wyżej nad Wilją i o tyleż może od jej brzegów odlegli, na małej równinie na wierzchołku góry, na którąśmy się wdrapali, a u podnoża wyższej, nad nami się podnoszącej *). Góra ta wyższa, wyraźnie ręką ludzką szeroko aż do dna wydrążona, z wysokich boków swoich zlewa kilka czystych strumieni. Z nich utworzyła się u spodu okrągła i obszerna sadzawka, która, jak źwierciadło optyczne na dnie kalejdoskopu, zbiera w jeden obraz rozpierzchłe po bokach przedmioty. Teraz w głębi jej, na tle błękitnem, jaśniała twarz księżyca, a z pomiędzy dokładnie odbitych i zrysowanych nadbrzeż-

---

*) Miejsce to piękne znajduje się nad Wilją w powiecie Wilejskim, o pół mili od Żodziszek.

nych drzew i krzewin, błyszczały gwiazdy, jak topazy zdobiące malowidło jakiegoś świętego oblicza.

Woda z sadzawki rozwartym przekopem toczy się obfitą strugą przez równinę, na której staliśmy; przebiega ją szumną kaskadą spadając na dół, rozbija się i rozpryska w miljonowe krople o stare mchem okryte belki i pale, jakby naumyślną tam zawadę rzucone i wbite; a na dole, znowu w rzeczkę zebrana wbiega do Wilji, która cały ten uroczy krajobraz szerokim na prawo i na lewo obwodzi szlakiem, lecz go nie ogranicza wcale; bo wzrok rzucony za jej biegiem długo jeszcze i daleko łamie się po parowach, zawisa na drzewach, przekrada się drożynami wijącemi się po brzegach, uderza gdzie-niegdzie o rzekę aż nakoniec gmatwa się i tonie w odległej i zamglonej mieszaninie.

Noc jasna, miesięczna, nie kryła tych wszystkich piękności, rozwiniętych przed nami; bladą je tylko oblewając światłością, łagodziła ostre kształty załomów, i łagodnem także zadowoleniem napawała zmysły.

— Zkąd te tu belki, pale i rozkopy? kochany Bartłomieju;—

— To, mospanie, jezuickie jeszcze zabytki. Stał tu niegdyś młyn, jak gniazdo jaskółcze do tej góry przyczepiony, a woda spadająca z sadzawki umyślnie rozkopanej, obracała w nim koła. Widziałem za młodu na moje oczy i młyn i tego mądrego jezuitę, który go tak sztucznie wymyślił i zbudował; bo to, mospanie, wszyscy jezuici byli podobno bardzo rozumni, i nie wiem za co na nich taka przyszła plaga, że ich zewsząd wypędzili . Widać że nadto na rozum brali . ale nie nam było wiedzieć i rozmyślać o tem; dość że jak ich nie stało, opustoszały i Żodziszki, a młyn, powiadają, mospanie, że tego samego dnia, którego jezuici z Żodziszek wychodzili, spadł na dół, jakbyś go ręką zepchnął *). Woda potem i ludzie rozebrali drzewo, a czego wyrwać nie mogli, zostało się na pamiątkę.

Wkrótce stos przez Bartłomieja ułożony buchnął płomieniem, a drugi takiż zajaśniał na dole nad Wilją, przez czeladź pilnującą płytów zapalony, i oba szeroką i jasną na rzece odbijały się łuną. Bartłomiej huknął na Jakóba, a ten przyniósł nam bez zwłoki potężny jaszcz z zapasami podróżnymi i nadto kilka jaziów, które podczas naszej rozmowy z Bartłomiejem, nie oznajmując że się na wędę brały, ułowił.

— A to zkąd wziąłeś? Jakóbku!

— Stamtąd zkąd i szczupaka—odpowiedział śmiejąc się głupowato.

Nie zapomniał Bartłomiej o wygodach, na długie a często powtarzane żeglugi potrzebnych: znalazł się w jaszczu czysto wybielony kociołek, znalazły się również czyste łyżki cynowe królewieckie, znalazły się kuchenne niejakie przyprawy: sól, pieprz,

*) Miejscowe podanie.

cebula; słowem wszystko, co do ugotowania ryby, która najczęstszą na wodzie była mu strawą, nieodbicie potrzebną.

Z dokładną więc znajomością sztuki kucharskiej przystąpił on do gotowania jaziów, i gdy wrzały na płomieniu, my usiedliśmy około ogniska, zapaliliśmy lulki, i dalszą ze staruszkiem przedłużaliśmy rozmowę.

— Daruj co powiem, kochany Bartłomieju, rzekłem, ale dziwi nas mocno twój rozsądek! zdajesz się nam być daleko nad twój stan rozumniejszy.

— Chwała Bogu, mospanie, że mój stan nie rozumniejszy ode mnie; wtenczas byłoby gorzej... Ale może to i prawda po trochu, w teraźniejszych osobliwie czasach; bo dawniej za mojej młodości nie jeden ze sterników był takim jak ja, a może i co lepszego odemnie; nie jeden na strugu, który do Królewca prowadził, przy kupieckim czy pańskim towarze miewał własny ładuneczek, a z czasem i przemysłem, nieraz pięknego uzbierał grosza; ocierając się zaś nieustannie między ludźmi, i sam wychodził na człowieka: poznawał, mospanie, świat szeroki, poznawał wszystkie kupieckie obróty, a nauczywszy się jeszcze i pięknej polityki, kiedy był wolnym człowiekiem, tak jak ja z łaski Boga jestem, zostawał często i szafarzem spławnym u jakiego wielkiego pana; a to się znaczyło, że całą handlową substancyę pańską miewał na swoim ręku. Tak było i z nieboszczykiem moim ojcem, Panie świeć nad jego duszą... Zagawędziłem się z panami, a tu ogień gaśnie...

Cały sekret, mospanie, gotowania ryby po żydowsku na tem zależy, aby na żywym płomieniu ją warzyć i często szumować, a że ja i ogień spuściłem i szumować zapomniałem, więc sami panicze winni będziecie, że jazie nie będą wyśmienite.

— Mniejsza o to, ojcze Bartłomieju! zjemy jakie będą; ale kończ swoją historyę.

— Ze mną, mospanie, mówił więc dalej staruszek, pilnie szumując rybę, ze mną... to inaczej być miało. Ja nie mogę powiedzieć—w szkole nie bywałem rózgi nie widziałem,—bo to niby liznąłem trochę abecadła. Mój ojciec, będąc już szafarzem na strugach księcia Ogińskiego z Mołodeczna, i poczuwając się do grosza, chciał mnie starszego swego syna na cóś lepszego kierować, to jest na organistę. Zawiózł mnie zatem, gdym już był dobrym wyrostkiem, do Krzywicz, do klasztoru księży Trynitarzów, i oddał tamtejszemu księdzu prezydentowi, znajomemu sobie oddawna na opiekę i posługę w celi, księdzu zakrystyanowi na opiekę i posługę w kościele, a organiście na posługę i naukę na chórach. Ciężka to więc byłaby służba trzem panom, prócz innych księży, których także słuchać należało; ale że takich malców było z dziesiątek, a czasami i więcej w klasztorze, bo to było *per modum* szkółki, więc było czasu dosyć nietylko na służbę, ale i na naukę. Wyuczyłem się więc tam dobrze czytać na Złotym Ołtarzyku, na którym i teraz Pana Boga chwalę; służyć do mszy po

łacinie, czego i pod starość przy zręczności nie opuszczam, i już nieźle gryzmoliłem—„*Najświętsza Panno! formuj moją rękę, bym mógł opisać syna twego mękę.*“—Szło zatem wszystko dobrze i po myśli mego ojca; pojmowałem i uczyłem się ochoczo, usługiwałem w klasztorze pilno i rzeźwo, a w kościele zastępowałem czasami i księdza zakrystyana, zwłaszcza na nieszporach, gdy w czasie jakiego festu, po długiem nabożeństwie i sutej po obiedzie konsolacyi, zasnął nieboraczek.

Mój ojciec co rok, wróciwszy z Królewca, odwiedzał nas, a nigdy z próżnemi rękami. Księdzu prezydentowi przywoził na gościniec cały obwarzanek holenderski, księdzu zakrystyanowi i panu Tomaszowi organiście, po tabakierce pięknej, albo po kilka sinych chustek, albo po wyśmienitym nożu niemieckim, nakoniec pani Tomaszowej i jej córeczkom pięknych wstążek, a czasem i kartuniku na sukienki; a tak miałem łaskę u wszystkich, i było mi jak w raju.

Ale nadszedł czas biedny, kiedy mnie pan Tomasz do klawiszów zapędzać i głosu mego próbować zaczął; ot na tem wszystko pękło. Żadną miarą nie lazły mi do głowy te kruczki i petelki, które nutami nazywają; a jeszcze gorzej, że palce moje, jak grable, nie mogły się wyłamać do grania; i nakoniec po długiej męce, gdy na pierwszej próbie przyszło odpowiedzieć — *et cum spiritu tuo*,—nie mogłem złapać ani na klawiszach, ani w mojem gardle zgodnego z celebrującym tonu; zabeczałem Bóg wie po jakiemu, że aż wszyscy w kościele oczy na chór obrócili. Na nieszczęście moje tym celebrującym był nowy prezydent; bo krótko przedtem rozkazano księdzu Błażejowi, dawnemu prezydentowi, a memu szczególniejszemu dobrodziejowi i opiekunowi przenieść się na prezydenta do klasztoru Wileńskiego na Antokol, a księdzu zakrystyanowi gdzieś na Białoruś. A tak nowy prezydent, zdziwiony mojem — *et cum spiritu tuo*, — a do tego skrzętny jakiś i niecierpliwy księżyna, tego wieczoru zaczął nas wszystkich brać na ścisłą konfessatę. Mnie szczególniej, jako przeznaczonemu na organistę, rozkazał przed sobą grać na organie i śpiewać, a posłuchawszy krótko, pokiwał głową i rzekł:— Na niedźwiedzie tobie w Smorgoniach trąbić, nie na chwałę Boską grać tu i śpiewać. A to chyba na *turbatora chorum* trzymać go tutaj, ale w naszej regule zakonnej niema *turbatorów*; my zgodnym głosem chwalimy Pana Boga. A zatem panie dławidudo, rzekł obracając się do organisty, staraj się sobie waszeć innego śpiewaka, a ty człowieku z niedźwiedzim basem *fora z klasztora!* bo darmozjadów nie potrzebuję.

Po takiem szpetnem pożegnaniu poszliśmy z panem organistą, nosy na kwintę spuściwszy, do pani Tomaszowej na radę. Rozchodziła się imość szalenie; gdyśmy jej powiedzieli co się stało. Na przezwisko dławidudy odpowiedziała plechem, i wraz wyprawiała nas obu, albo sama nawet wybierała się ze skargą do księdza prowincyała; mężowi śmiertelnie zabraniała, aby i nogą

na chórze nie powstał; zaklinała się że i do rąk nie przyjmie dla wyprania bielizny klasztornej, jeżeli mnie wypędzą. Oj! bo pani Tomaszowej nie tak mnie, jak królewieckich wstążek i kartuników żal było.

Pan Tomasz wysłuchał cierpliwie, pokręcając głową, furyi imościnej; nareszcie dał taką rezolucyę—*Tace ladaco!* to jest, milcz moje serce! - Takim zawsze wyrazem kończył on dysputy z swoją imością, podobno dla kadencyi mając w nich upodobanie. — Żadnej dobrej rady nie dałaś, a nakrzyczałaś aż głowa pęka. Oto tak będzie: Bartłomieju! wracaj do domu; jesteś chłopak zdrów, poduczony, pobożny, więc cię Bóg pobłogosławi! Sam cię jutro odwiozę i opowiem wszystko panu Jakóbowi,, ojcu twemu; boby mógł rozumieć, że cię stąd dla jakiego złego uczynku wypędzono, albo że sam sobie dałeś pozwolenie na drogę; a twoja cała wina, że beczysz jak koza. Organistą nie będziesz; no! szkoda . . ale cóż robić? - rzekł zażywając tabakę i napuszywszy się jak indyk.—Ale przecież chleba ci nie zabraknie, bo i pan tatulo twój chwała Bogu porósł w pierze; więc dziś mi jeszcze raz ostatni na nieszporach pokalikuj, a jutro po nabożeństwie, (była to bowiem sobota przed kwietną), ruszym w drogę: . Waspani zaś trzymaj język za zębami, bo jak ksiądz prezydent dowie się o twoich furyach, gotów i nas jak jego wypędzić; a chociaż przy talencie nie umarłbym przecie z głodu, jednakże szukać kąta nowego, kiedy jest gotowy i ciepły, nie chciałoby się na starość. A zatem. . . *tace ladaco!* to jest, milcz moje serce! i kwita.

Po tej perorze poszliśmy spokojnie na nieszpory, pokalikowałem ostatni raz panu Tomaszowi, a nazajutrz, odbywszy spowiedź wielkanocną i pomodliwszy się z płaczem przed Panem Jezusem Krzywickim, zupełnie takim samym, jak Antokolski w Wilnie, odjechałem z moim opiekunem do ojca, którego znaleźliśmy ładującego strugi i wybierającego się z pierwszą wiosenną wodą do Królewca.

Gdyby nie obecność pana organisty, byłoby źle ze mną; ale on wszystko wytłumaczył i zaręczył, żem niewinny; kazał mi przed ojcem czytać Ewangeliczkę i Złoty Ołtarzyk na dowód, żem darmo kaszy nie jadł. Koniec końcem stanęło na tem, że mnie ojciec postanowił zabrać z sobą na strug, a płynąc tuż około klasztoru XX. Trynitarzów Antokolskich, oddać mnie znowu księdzu Błażejowi, byłemu prezydentowi Krzywickiemu, na dalszą naukę, choćby już nie na organistę, to przynajmniej na mądrego człowieka.

W kilka dni potem wyruszyły strugi, a na najpierwszym ja z moim ojcem, który był razem sternikiem i szafarzem sławnym księcia kuchmistrza Ogińskiego, bardzo wielkiego pana, który pięć strugów co rok własnem zbożem i pieńką naładowanych do Królewca wyprawiał.

Takie nowe, wesołe, jak rekreacya, życie, przypadło mi od razu do serca; ale też i tatulo mój kontent był ze mnie, bom mu

służył ochotniej i pilniej jeszcze, jak księżom w klasztorze, a w wielu rzeczach mógł się na mnie i spuścić Sternictwo pojmowałem należycie, a co się najbardziej ojcu podobało, to żem z nim regularnie każdego ranku litanję i godzinki odmawiał, a w każdą niedzielę, zebrawszy całą żeglarską drużynę, głośno i pięknie Ewangelję świętą odczytywałem. To też gdy do Wilna podpływaliśmy nie chciało mnie się bardzo porzucić ojca i powracać znowu do książki, ale powiedzieć mu tego nie śmiałem, gdy on sam podszedłszy do mnie:—Bartku, rzekł, popłyniesz waszeć ten raz ze mną aż do Królewca, i kiedy aż do końca tak sprawować się będziesz, kupię ci tam piękną kapotę, a wróciwszy pomyślimy, gdzie się obrócić.—Pocałowałem ojca w rękę, on mnie przeżegnał, a ja podskoczyłem z radości

Po tej pierwszej szczęśliwie odbytej żegludze, ojciec mój nie mógł już obejść się beze mnie; byłem mu wiernym pomocnikiem we wszystkiem, a w niektórych okolicznościach i zastępowałem go nawet. Miałem lat ośmnaście, nie czas było wracać się do książki; a po ochocie i zdolności ojciec i ja sam poznaliśmy, że mnie Bóg nie na organistę, ale na żeglarza stworzył.

Jak potem każdą wiosnę i lato na wodzie, a prawie każdą zimę to po dworach, to po klasztorach, poduczając się to tego, to owego, przepędzałem, i nie z jednego pieca jadałem chleb; jak potem wszystkie zapasy i dostatki ojcowskie w rewolucyi przepadły; jak doczekałem się, że ostatni strug zgnił na brzegu Wilji, a ja z potrzeby i z nawyknienia nie mogąc porzucić mojej kochanej rzeki, przeszedłem na króbki i na płyty; jak ożeniłem się z córką tegoż samego organisty z Krzywickiego, to wszystko inna materya; i nie czas ją opowiadać panom, kiedy ryba gotowa—rzekł zdejmując warzący się kociołek z ognia . —Otoż to tak nauczyłem się tego niby to rozumu, który, jak panicze mówicie, wyższym jest nad mój stan. Proszę, rzekł znowu podając miski i łyżki Rybę zaś gotować po żydowsku nauczyłem się od Abrama, starego żyda, kupca z Kurzeńca, z którym często płynęliśmy na jednym statku, i z którym na tem samem miejscu gotowaliśmy nieraz szczupaki. A co, mospanie, jak smakuje?

— Wyśmienicie, kochany Bartłomieju!

— To i na zdrowie!

I w rzeczy samej wieczerza ta, w której rybę suszoną zastąpiła świeża dobrze ugotowana; w której chleb razowy, ale smaczny i ser z kminem z podróżnego wydobyty jaszcza, były deserem, a woda z najczystszej krynicy napojem, posiliła nas i zabawiła razem O jakże rzadko to oboje na wykwintnych jednoczy się balach!

Nie myśleliśmy jeszcze o śnie, do którego wyrozumiały nad spodziewanie Jakóbek przygotował rohożowe posłanie; ale staruszek nasz, pykając lulkę drzemać powoli zaczynał. . . Nagle jakby się ocknął, przetarł sobie oczy i powstał;—a pacierze?—zawołał,— a modlitwa wieczorna? Tożbym ja stary pierwszy raz w życiu

spać się położył bez pacierzy? O! co nie, to nie! paniczom wolno jak chcąc. . . choć to, mospanie, kto z Bogiem z tym Bóg! . .ale ja swojej modlitewki nie opuszczę. Od ojca mego, gdym był jeszcze dzieckiem, jej się wyuczyłem: śpiewałem ją potem za procesyą w Krzywiczach, potem znowu z ojcem każdego wieczora na strugach ją odmawiałem, więc i do grobowej deski odmawiać będę.

Przeżegnał się starzec, złożył ręce, podniósł je w górę i mówić zaczął:

—«Kto się w opiekę poda Panu swemu,
«A całem sercem szczerze ufa Jemu,

Przerwałem mu złożywszy także ręce

«Śmiele rzec może—mam obrońcę Boga,
«Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.

— Jak to? rzekł zdziwiony Bartłomiej, i pan ją umiesz?

— Od matki mojej, gdym był jeszcze dzieckiem, jej się wyuczyłem; śpiewałem ją potem za procesyą w Borunach, potem znowu z matką odmawiałem ją codzień wieczorem w domu, więc i do grobowej deski odmawiać będę.

«Ciebie on z łowczych obierzy *) wyzuje
«I w zaraźliwem powietrzu ratuje;
«W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
«Pod jego pióry uleżysz bezpiecznie!

Starzec powtarzał za mną, lecz coraz bardziej i coraz stalej wzrok swój we mnie zatapiał . .

Przypomnienie dni moich dziecinnych, matki i jej gorącej wiary, z którą mi w pamięć i w serce modlitwę tę przelewała: niebo błyszczące mirjadami świateł; cichość powszechna, której jednotonny szum tylko Wilji uroczystym był wtórem, wszystko to z modlitwą razem uniosło duszę moją do Boga, i dało dobitność i życie każdemu słowu, głosowi—potęgę i siłę, której się sam oprzeć nie mogłem, i która osłupiła starca, słyszącego raz pierwszy w życiu swoim skromną modlitewkę wymawianą z zapałem, który aż jego dosięgnął, i który objawił mnie samemu nieznaną dotąd jej szczytność! Mówiłem ją bowiem jak przenikniony do głębi serca chrześcijanin, jak pełen miłości, nadziei i wiary świętej wyznawca! mamże dodać, jak religijnie natchniony poeta? . . . jak ją czuł i śpiewał król prorok i wieszcz razem, który ją na cześć Boga ułożył? jak ją czuł nieśmiertelny tłumacz jego? i jak ją . . bodajby każdy mój czytelnik czuł i powtarzał!. . . gdym rzekł:

«Słuchaj co mówi Pan - Kto mnie miłuje,
«A sobie ze mną szczerze postępuje,
«Ja go też także w jego każdą trwogę
«Nie zapamiętam, i owszem wspomogę;
«Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony;
«Ja z nim w przygodzie!. . .»

Głos mój na tej szczytnej półwierszówce sam się zawiesił . .

*) Obierzy—sieci.

Zamilkłem. Starzec upadł na kolana, łzy mu ciekły po obliczu... oczy jego, na mnie zwrócone, wyzywały mię niecierpliwie do dalszej modlitwy... Jam ust otworzyć nie mógł.. Serce mi drżało! Zdawało się, że echo święte z niebios mi odpowiada!..

Nie! nigdy w nikim sławne w literaturze świeckiej i górnemi uznane wyrażenia, nie sprawiły i nie sprawią takiego uczucia, nie uniosą tak wysoko duszy!...Tam człek nad swą nieudolność wzleciał na chwilę, i wnet w nią odpadł; tu Bóg!... Bóg w całej swej wszechmocności się objawia i bezpieczeństwo sprawiedliwego jednem JA! zarecza!... Gdym modlitwę dokończył, czoło starca było na ziemi; Hipolit stał zadumany o drzewo oparty.. nakoniec postąpił ku mnie, i ściskając moją rękę:—Przyjacielu, rzekł, w tym jednym momencie ożywiłeś w duszy mojej dawno zaniedbane, złym przykładem czy powszechnem dziś zepsuciem stłumione uczucia; głos matki mojej, równie jak twoja bogobojnej, i zapewne równie jak twoja w niebiosach, odezwał się w mem sercu, i powtarzał za tobą pamiętną mi i ulubioną jej modlitewkę. Głos ten odtąd nie umilknie ani w mej duszy, ani w mych ustach!

—«Głos twój przez NIEGO nie będzie wzgardzony!» przerwałem z nieostygłym jeszcze ogniem.

— Dzięki ci, mój drogi! rzekł wzruszony Hipolit, rzucając się w moje objęcia; dzięki ci serdeczne! O jakże mi słodko po twojej modlitwie!...

Hipolit młodą głową (szczęście że nie sercem) był wychowańcem wyobrażeń XVIII wieku, tego to bezbożnego niedowiarka, starca skonałego w zgryzotach i obłąkaniu, którego następca XIX, jak Archanioł czarta, zwyciężył, obalił, i nogą w piekło potrącił; Bóg też z nim nie był w przygodzie.

Nakoniec wszyscy trzej zalegliśmy rohoże, a wolne i spokojne zadumanie wszystkim trzem skleiło powieki.

XI.

Nazajutrz Bartłomiej, wstawszy raniej i przygotowawszy płyty do odbicia, powrócił na górę i obudził nas słowami: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków—odpowiedzieliśmy przecierając oczy.

— Komu pora, temu i czas, mospanie! ruszajmy. Chcę panów na śniadanie do Żodziszek dostawić; tam się znajdzie piwo i śmietana; a tymczasem kubkiem czystej wody musicie panicze kontentować się. Powiadają że to zdrowo.

Rzeźwo powstaliśmy z ziemi, i spełniwszy radę Bartłomieja, wnet byliśmy na płytach.—Odbijaj—*Ulaż!* wykrzyknął starzec.

Gęsta mgła ranna rozwlekła się nad ziemią i nad rzeką, przejmowała pierwsze promienie wschodzącego słońca, które wpa-

dały w nią z góry i tonęły, lecz przebić jej i rozproszyć nie mogły. A tak my jak w obłoku utajeni posuwaliśmy się po wodzie spokojnie i cicho, szepcząc każdy poranną modlitwę, i nie widząc ani rzeki, która nas nosiła, ani jej brzegów. Kiedy niekiedy tylko rybołów szerokiem, białem i błyszczącem skrzydłem rozciął horyzontalnie jak mieczem mgłę, plusnął piersią po rzece i wyrwał z wody płotkę, z którą znowu we mgle utonął.

Powoli jednak ćmy te wilgotne, mocniejszem słońcem dogrzane i lekkim wietrzykiem falowane, rozrzedzać się i niknąć zaczynały. Mogliśmy już spostrzegać i rozróżniać brzegi, gdy Jakóbek podbiegł do mnie, i pociągnąwszy za połę, — *a wo!* — rzekł, pokazując palcem na zarosłą trzciną i ajerem zatokę, z której małe stadko kaczek wypływało na czyścinę. Dwoje starych płynęło na przodzie, młode zaś i bojaźliwe potomstwo wychylało się z sitowia, i przelęknione płytami, nazad w gąszcz się chowały. Stare, nigdy dotąd wystrzałem z płytów nie płoszone, śmiało za sobą wyzywały dziatwę... Zmierzyliśmy oba z Hipolitem, i obu przyszło na myśl zapytanie, jakim sposobem dostaniemy ubitą źwierzynę? Nie odpowiadając ustnie, dał na to odpowiedź postacią swoją Jakóbek Po tej krotofilnej figurze, stojącej za nami na jednej nodze, w krótkiej kurtce i pochylonej na wodą, niecierpliwie oczekującej wystrzału, zgadliśmy, że wyżła potrzebować nie będziemy.

Strzeliliśmy oba, i buchnął do wody Jakóbek; po chwili zaszeleścił w trzcinie, a po drugiej był już na płycie i pięć kaczek rzucił przed nami, śmiejąc się i skacząc około nich, jak wczoraj około szczupaka.

— No, mamy rybę i źwierzynę—odezwał się Bartłomiej.

— Ryby, tatulu, niema—odpowiedział Jakóbek.

— A szczupak?

— Ehe, szczupak! Szczupak dawno już gdzieś tam hula po rzece, a w buczu tylko dziurę zostawił.

— Ach! głupiś Jakóbku! głupiś! Czemużeś nie pilnował?

— Aha! głupiś; nie ja głupiś, ale bucz, bo stary.

— Patrzcie panowie, rzekł śmiejąc się staruszek; my go mamy za głupca, a on przytem frant. I w bajce jak trzeci brat, miany przez dwóch starszych za głupca, jest z głupia-frant, i dla tego zawsze lepiej od obudwóch wychodzi.

Tymczasem mgła się w górę unosiła i wzbijała się w powietrze; ranek letni z całą pięknością, z całą świeżością i wdziękiem zajaśniał; z wdziękiem tylekroć opisywanym, tylekroć malowanym, a zawsze w istocie milszym nad wszystkie opisy i malowidła. Któż bowiem odtworzyć potrafi tę wesołość i świeżość orzeźwionej spoczynkiem natury? Kto opisze to mnóstwo i bogactwo jej powabów, blasku i cieniów, farb i woni, łagodnego szumu drzew, otrząsających rosę z gęstych gałęzi, i głosów ptasząt w nich ukrytych, brzęku pszczółek, pluskania rybek, mknień motyli?... Któż to wszystko razem i w jednym odtworzy obrazie, tak,

jak wszystko razem, w jedno zlane harmonijnem uczuciem, chórem czy zdrojem, napływa do serca, ożywia krew naszą, krąży z nią, i też samą wesołość i świeżość przenosząc do głębi naszego jestestwa, szczęściem, roskoszą i uniesieniem nas poi?. . .

Radośnie więc powitaliśmy odkrywające się słońce, i z dobrą myślą usiadłszy na trójnożkach obok Bartłomieja, i zapaliwszy fajki, płynęliśmy weseli, do nowej z nim zabierając się gawędki.

— Przybliżamy się, rzekł Bartłomiej, do dworku; a był to niegdyś cały dwór pana koniuszyca, mojego starego przyjaciela, kuma i łaskawcy.

— Pana Tadeusza! wykrzyknąłem; gdyż lubo świadomy okolic, zapomniałem że nam przed Żodziszkami płynąć około niego wypadnie.

— Jakto? naszego wesołego sprzymierzeńca na imieninach? wykrzyknął także Hipolit. Ach! trzeba go przeciż odwiedzić. Radbym przy tej zręczności bliżej się z nim poznać.

— Pamiętajcie panowie o Pacu, rzekł na to Bartłomiej. Zajeżdżając po retentach, naprowadzicie mnie na biedę.

W tem donośny głos przerwał mu z brzegu: sery! mleko! słonina! groch! groch! — i echo odbiło — groch! groch! — *Staubuj!* i echo powtórzyło — *Staubuj!*. . . Otoż i sam pan koniuszyc zaprasza nas na śniadanie.

Jakoż postrzegliśmy pana Tadeusza przechadzającego się po wysokim brzegu, na którym jego domek się wznosił, i wykrzykującego bez ustanku — groch! słonina! *Staubuj!*

— A to co? zawołał on postrzegłszy nas także; czy mi śni się! a dalibóg to podkomorzyc i pan Ignacy. Czy doprawdy tu jesteście?

— My sami, jak nas widzisz, kochany panie Tadeuszu!

— Cóż to? czyście się nie wytrzeźwili jeszcze od onegdajszego? czy poszalawszy z miłości, płyniecie do Królewca, a stamtąd za morze?

— Cóś nakształt tego, zacny nasz przyjacielu! odkrzyknął Hipolit; lecz przy zręczności chcielibyśmy i pana odwiedzić, tylko że należąc do czeladzi Bartłomieja, znajomego panu, bez jego dozwolenia nie wysiądziemy na ląd.

Na te słowa Hipolita — *Staubuj* — wykrzyknął Bartłomiej, a razem wrzasnął i pan Tadeusz: — Stary kumie! łysy djable! czy to mnie chcesz minąć?

Wnet zatem przybiliśmy do brzegu i uścisnęliśmy się z panem Tadeuszem, który zszedł na dół na przyjęcie nasze.

— No, powiedźcie mi, zapytał on, co znaczy ta wasza nawigacya?

— A najpierwej, przerwał Bartłomiej, prowadź pan ichmościów na kawę, bo na śniadanie tylko po kubku wody wypili. Ranek był mglisty i chłodny, więc i mnie szklanka piwa grzanego nie zaszkodzi z łaski pańskiej, a czeladzi po kieliszku wódki, o którą rozliczymy się, mospanie, przy targu o groch i słoninę.

— Obejdzie się bez tych rozliczek, panie organisto krzywicki! odpowiedział pan Tadeusz, znający widać dokładnie żywot Bartłomieja. Chodźmy na górę, dodał; ja będę przewodnikiem.

— Ale darujcie mojemu rannemu ubraniu. Do nowomodnych szlafroków przywykać nie chcę bo to hultajska sukienka; wolę moją starą kapotę, choć w niej, jak widzicie, — łata na łacie, sługa panie bracie!—Uważam ja, mówił znowu po krótkiem milczeniu, postępując przed nami, uważam ja, że teraz łaty i kapoty wychodzą z mody, i rzadko gdzie, ledwo czasem u okolicznej naszej braci dostrzeżesz kapotę, siostrę mojej. Żal mi tego, czy wiecie wasanowie; i może to przyczyna, że moją kapotę lubię. . . —Łatano ale nie chwytano!—odpowiedział dawniej śmiało, każdemu patrząc w oczy, poczciwy szlachcic na zagrodzie, i choć u niego łata na łacie, pan go wszelakoż witał — panie bracie!—Tym sposobem, jak mnie teraz wierszyk niespodziany, złożyło się i przysłowie. Muszę ten wierszyk zanotować, bo gładko się udał.—I licząc na palcach sylaby; składał pan Tadeusz:—a-choć-u-niego, ła-ta-na-ła-cie, (to dziesięć); pan go wsze-la-koż witał pa-nie bra-cie! (to jedenaście). A co wasanowie na to? Wiersz nierówny, ale jest i kadencja i essencja; bo sens moralny zawiera się w tem, że łaty, ani poczciwości, ani klejnotu szlacheckiego dawniej nie ćmiły. Więc tedy proszę panów mojej tabaczkowej wytartej i łatanej kapoty nie posponować, i mnie w niej, dobrego waszego przyjaciela i sługi, a oraz koniuszyca z antenatów. Bo chociaż mogłem, jak wielu z bractwa skarbnikowiczów, rotmistrzowiczów, podstoliców i tym podobnych moich mościwych konfratrów, przedziergnąć się po maleńku na sędziego, wolałem jednak jak przy starej kapocie zostać tak i przy starym honorze. — *Honores mutant mores, sed raro in meliores!*—jak niegdyś powiadał mój rodzic.

— Przy starym tytule, chcesz powiedzieć, panie koniuszycu!—poprawiłem.

— Com powiedział, tom powiedział, *dixi!* rzekł uśmiechając się; przy starym honorze, powtarzam! Przycisk w wymówieniu wytłumaczył myśl dwuznacznika. —Nic po tytule, gdy pusto w szkatule! a właśnie tak jest u mnie, i u wielu dzisiejszych panów sędziów. . , a nadto gdy rotmistrzowicze, skarbnikowicze stolnikowicze i wszyscy tacy panicze, wymykając się powoli ze sceny świata, wynieśli na swoich grzbietach i łokciach staroświeckie łaty: ja więc na zbytek i na złość tym renegatom, poczciwej szlacheckiej chudoby, zostaję się i zostanę do śmierci koniuszycem z łatami. Co wasanowie na to? Walnie i oryginalnie! nie prawdaż?

Nie mieliśmy czasu do odpowiedzi, bo z tym wesołym monologiem doprowadził nas za sobą pan Tadeusz krętą w górę ścieżką, aż do swojego domku; stanął tam na ganku, obrócił się ku nam i rzekł:

«Oto mój domek nikczemny,
«I wszystko, co w nim ujrzycie
«Niech wam tak będzie przyjemny,
«Jak mnie tu wasze przybycie.»

Uściskaliśmy nanowo kochanego gospodarza, który tem przypomnieniem tak mile trącił nam serce.

— Kumie! rzekł pan Tadeusz obracając się do Bartłomieja, zastąp mnie, idź do twojej starej przyjaciółki Stalewskiej, niech prędzej zgotuje kawy dla gości, bo ja moją porcję wypiłem o pól do szóstej *praecise*. O swojem też piwie grzanem i wódeczce dla czeladzi nie zapomnij.

Weszliśmy do środka. Para tylko małych ale wesołych pokoików składała mieszkanie starego kawalera, kochającego się, jak to od razu za wejściem poznać można było, w najściślejszym porządku, w nałogowem nawyknieniu do jednostajnego trybu życia, do spokojności nienaruszanej, a miłującego statecznem, familijnem przywiązaniem, wszelki sprzęt swój, wszelki swój fant, który każdy jak stały przyjaciel przeżył z nim długo i służył mu wiernie do rozmaitych wygódek i zabawek codziennych. Każdy też miał naznaczoną sobie symetryczną i właściwą raz na zawsze kwaterę i pewny rodzaj względu i poszanowania od swojego pana. Kanapki, stoliki, krzesła ojcowskie jeszcze, a bodaj i dziadowskie prawie codziennie myte, czyszczone, glansowane, nabrały politury i lustru, jakby nowo z fabryki i lakieru wyszłe. Pyłku byś na nich, równie jak na białych ścianach ani na podłodze, nie wypatrzył. W pokoiku drugim sypialnym pana Tadeusza stał przy łóżku na stoliku niewielki krzyżyk srebrny i zegar dawny czworograniasty z małemi na bokach szybkami, pozłacany niegdyś, bijący w rozgłośny dzwonek godziny i kwadranse, z ekscytarzem, zdolnym obudzić najgłębszego śpiocha. Naprzeciw łóżka wisiała gitara angielska, z zatkniętym za gryfem seksterniczkiem kantyczkowej formy, z tytułem na okładce: Teksty Światowe; a pod nią na papierowem sercu zegarek maleńki złoty, perełkami kameryzowany z wielkim herbowym krwawnikiem i kilką jeszcze rozmaitej formy pieczątkami i dewizkami.

Nad łóżkiem na przeciwnej ścianie, na rozpiętym dywanie, wisiał rycerski i myśliwski rynsztunek pana koniuszyca, to jest: między pasem z ładunkami a torbą włóczkową, dwie pary pistoletów; staroświecki także ojcowski czy dziadowski pałasz z furdymentem i kilka fuzyi, których miano i zalety rad każdemu tłumaczył pan Tadeusz, a tem bardziej nam, których z fuzjami w ręku na płytach widział.

— Myśliwi, jak uważałem jesteście, rzekł on; proszę więc pomaleńku i kategorycznie obejrzeć mój maleńki arsenał.

To ptaszynka od słomki i bekasa do cietrzewia i głuszcza; zameczek mości dobrodzieju traf! traf! jak orzechy łuszcze.

To kasselka na zające i lisy, a pomaleńku i wilczka głotka-

mi naszpikować można; bije kupą i bez pudła; *nota bene* kto umie strzelać.

A co panowie powiecie o tym sztuccu? *Kuchenreyter*, prawdziwy *Kuchenreyter!* Z nim w ręku i z niedźwiedziem spotkać się śmiało można, i. . . spotykało się nieraz. Nie trzeba nawet bestyi przypuszczać blizko. Sto kroków. . . pal! ręczę—przeżegna się łapą pomaleńku, i Amen!

— Tylko trzeba, rzekłem, cierpliwie prowadzić, jak pan owego rogala.

— A! . . tak, tak, rzekł śmiejący się koniuszyc; czyli jak pani rejentowa swojego męża.—A co? przyciąłem jej nieźle?

— Prawdę mówiąc, koniuszycu, nie tak dowcipnie, jak uszczypliwie.

— Oho! mam ja z języczkiem tej pani dawny rozrachunek. Ona jedna nie łaskawa na mnie z całego sąsiedztwa.

W tym pokoiku, w kącie przy kominie, stała liczna kollekcya kijów, z rozmaitego drzewa, własną ręką pana koniuszyca na brzegach Wilji wycinanych, gustownemi główkami i skówkami ozdobionych, i lubo samemu właścicielowi nader upodobanych, wszakże przeznaczonych szczególniej na podarunki dla przyjaciół. Sławne też były w okolicy laseczki koniuszyca, przy oglądaniu których, ja gibką dębinkę, Hipolit gęsto sękowaną gruszkę dostaliśmy w prezencie.

Między temi nieżywotnemi ruchomościami a ich panem, jak między dwóma królestwami natury, środkującą, półżywotną istotą był stary czarny pudel, Azor, leżący przy piecu na skórzanej poduszce. Gdyśmy weszli, podjął on głowę i wyszczerzył zęby, lecz grymas ten równie za uśmiech powitalny, jak za złośliwą grozę wziąść było można Powstał potem leniwie, strząsł kudły, wyciągnął się, spójrzał na próżną miskę w kominie, okręcił się razy kilka, i znowu legł na poduszce.

Ta wszelakoż regularność, to nałogowe zamiłowanie się w porządku, w symetryi i niezależności, nie zrobiły z pana Tadeusza, jak to często ze staremi kawalerami się zdarza, nudnego i opryskliwego zrzędy, pedanta, samoluba, lub gnuśnego sknerę. Owszem wyborny towarzysz każdej kompanii, zapomniawszy że piąty krzyżyk przyczepił mu się na barkach, swawolił on, polował, i umizgał się jak młody, huczną piosenką lub pustym konceptem ożywił nieraz zastygłą wesołość, a jako doświadczony lis, wyrozumialej przy kobietach prowadząc interesa, często przed nieuważnym młokosem szczęśliwą wygrywał stawkę.

W sąsiedztwie kochano pana Tadeusza i potrzebowano go w każdym domu. Żadna ważniejsza gospodarska lub przedsejmikowa sesya: czy iść, czy nie iść do Sęstwa? u jegomości; żadna sekretna w alkierzyku namowa, czy prosić, czy nie prosić u jegomościa pieniędzy na sprawunki? u imości; żadna cicha w bokówkach szeptaninka, czy pojedzie, czy nie pojedzie mama na fest lub na imieniny? u panienek; nie obeszła się bez porady i pomo-

cy pana Tadeusza. Jegomościa ośmielił, dodał nadziei i męztwa do kresek, a zręczną radą i pomocą do ich rozmnożenia dopomógł. Dla imości upatrzył godzinę dobrego humoru jegomościa, lub ją obudził i ku zamierzonym celom skierował. Imości mamie wmówił odpusty, i na fest z córeczkami wyprawił; i tak lub tym podobnie wszystkich ukontentował, zobowiązał, i wszystkich był powiernikiem.

W trudniejszych nawet i zawilszych sprawach, gdy szło o wybór zięcia lub synowej on najzręczniej ilość chatek pretendenta, lub posagu panienki, wyszpiegować umiał, on na przyrzeczenie lub na rekuzę zdeterminował, i on nakoniec weselił się z zaręczonymi, lub pocieszał strapionych kochanków.

— Jakże tu wesoło i czysto!—odezwał się Hipolit, oglądając w około miłe te pokoiki.

— Choć ubogo, ale chędogo! panie dobrodzieju. Ten pan zdaniem mojem, co przystał na swojem. Zbytku ani na lekarstwo! broń mię Boże od tej pokusy; porządeczek zaś, jaki tu widzicie, zaprowadziłem już dawno, gdy wichry młodości, które wam szumią teraz po głowie, z mojej wywiały.

— Któż u pana gospodynią?—zapytał znowu Hipolit.

— Rozumiem do czego zmierza pytanie. Oto odpowiedź kawa nam przynosi.—Jakoż w tym momencie weszła do pokoju czerstwa, sucha i wysoka, czysto i schludnie ubrana staruszka, w czepeczku na głowie, w materjalnej półsalopce na ramionach, i dygnąwszy nam każdemu z osobna, błękitną wzorzystą serwetą nakrywała stolik.

— Rekomenduję panom moją gospodynię, opiekunkę i przyjaciółkę—pani Stalewska.

Pani Stalewska dygnęła nam znowu: my ukłoniliśmy się grzecznie.

— Ranek piękny, odezwała się ona; może panowie będziecie woleli pić kawę na ganku.

— Wyborny projekt, Stalesiu! rzekł gospodarz! więc tamże i zrób przygotowanie To są moi bardzo mili goście, więc proszę cię, aby gospodarstwu i uprzejmości naszej nie dali hańby.

Wyszliśmy więc na ganek, za nami mały chłopczyk wyniósł nakryty stolik, wkrótce pani Stalewska ukazała się z tacą, na której imbryczki z kawą i garnuszeczki, smakowitemi zaciągnięte kożuszkami, przy sporym koszu sucharków, wyborne nam zapowiadały śniadanie. Gdyśmy zatem nalewając kawę do małych z błękitnej saskiej, staroświeckiej porcelany filiżanek, zachwalili jej smak i aromat, oczekująca bodaj na te pochwały Stalewska dygnęła nam pokilkakrotnie, i uśmiechając się z ukontentowania i chluby, rzekła:

— Teraz nie umieją już gotować dobrej kawy; ja nauczyłam się tego od nieboszczki pani koniuszynej, matki panicza, która choć z łaski Boga miała sług dosyć, zawsze jednak sama naglądała kawy i śmietanki; aż kiedy już mnie dobrze wyuczyła, więc

na mnie zdała kominek w kawiarni. Nie wiedzą już teraz wielu sekretów do tego potrzebnych, bo to, mości dobrodzieju, trzeba koniecznie jeleniego rogu do klarowania kawy, do śmietanki nieszkodzi trochę migdałów dla zapachu i pozłoty kożuszka; cykoryi broń Boże więcej jak czwarta część; taka proporcya daje kolor piękniejszy i smakowi nie szkodzi. Teraz już i połowę sypią, ale pożal się Boże, jaka to kawa!... Trzeba jeszcze wiedzieć jak palić, bo przepaliwszy...

— Że kawa twoja wyborna, kochana Stalesiu, dowodzą nasi goście, przerwał pan Tadeusz; bo widzę i rad jestem, że po drugiej filiżance sobie nalewają; a odkrywać im twoich sekretów i uczyć nie warto, bo pewnie nigdy gotować kawy nie będą, a jak im się zechce smacznej napić, to do nas przyjadą.

— Niezawodnie nigdzie tak wyśmienitej nie piliśmy.

Dygnęła znowu ukontentowana staruszka, dobyła z kieszonki pod półsalopką wiszącej, tabakiereczkę srebrną, zażyła tabaczki i nas potraktowała; zebrała potem na tacę imbryczki, filiżanki i garnuszeczki, jeszcze raz i drugi dygnęła i odeszła w najlepszym humorze.

— Pochwaliliście jej kawę, teraz ona wasza przyjaciółka. Jest to, mówił dalej pan Tadeusz, wychowanica mojej matki, starsza ode mnie, jakim dziesiątkiem lat. Gdym był małym jeszcze chłopcem, wyszła za mąż, owdowiała, gdym i ja stracił rodziców, a nie mając dzieci powróciła tu, gdzie się wychowała, i w nowej mojej gospodarce zaprowadziła staroświecki matczyny ład domowy, zmodyfikowany naturalnie do zmodyfikowanej dyabelnie substancyi mojej. Odtąd razem biedę klepimy. Ona z przywiązaniem do mnie prawie macierzyńskiem, nazywając mnie po dawnemu paniczem; codzień od lat dwudziestu coraz z bogatszą żeni mnie dziewczyną. Tymczasem dziewczęta rodzą się, rosną i za mąż wychodzą a ze mną i tak się zdarza, że jedną i też samą do chrztu trzymałem, dzieckiem bawiłem, w dorosłej kochałem się, i cierpliwie podniosłszy grochowy wianek, wydałem za mąż, i znowu jej córkę do chrztu trzymałem, nanowo tenże sam marsz rozpoczynając. Co wasaństwo na to?

— Widać, odpowiedziałem, że zaloty swoje prowadzisz pomaleńku i kategorycznie.

— A tak, tak, pomaleńku, i lubo takim idąc procederem wysłużyłem sobie pomaleńku patent na marcowika, ale mniejsza o to.—Ten młody, kto zdrów; a ten szczęśliwy, kto spokojny! Otóż ja i zdrów i spokojny, nie urzekając, a któż wie czy tak byłoby, gdybym się ożenił? Któż wie czy ustałby na miejscu mój porządek? Czy usiedziałaby w swojej bokówce Stalewska? Dla tego też i ona zaprzestała już swojej codziennej swadźby, Czasami tylko, gdy sen jaki szczególniejszy, dający się wyraźnie na wesele tłómaczyć, podochoci babulą, to mi przez dwa dni pokoju nie da.

— No, ale dajmy temu pokój; wróćmy raczej do pytania

na któreście mnie nie odpowiedzieli: dokąd i po co płyniecie? Zkąd ta ochota do żeglugi? Tylko szczerze, bo mam w tem rzecz.

Spójrzeliśmy po sobie, i nie wiedząc czy mamy się wyspowiadać z naszych zamiarów, odpowiedziałem lękając się:

— Ot widzisz pan, niedawno w te strony przybyły, Hipolit chce poznać okolice tutejsze. Przypadkiem, polując około Wilji, napadliśmy na płyty; przyszedł projekt żeglugi, jako najdogodniejszy w takim razie. Bartłomiej dał się uprosić, przyjął nas na płyty i cała historya.

— Oho! ho, rzekł kręcąc palcem pan Tadeusz, chcesz mi zamydlić oczy! Sekret... pomaleńku! pomaleńku!.. Rozumiem co się święci!.. No, to i ja mam sekret, z którym nawet miałem dziś jechać do wasana, panie Ignacy!.. Ale to nie nagli.. pomówimy o tem potem... Sprawa domowa—cedzi przez zęby pan Tadeusz—tycze się twojej siostrzyczki, jak ją nazywasz... naszej kochanej.. Helusi.

— Cóż takiego? zapytał zrywając się z miejsca Hipolit; czyliżby zaszły tam jakie odmiany? Na miłość Boga, koniuszycu mów!..

— A, ptaszku! złapałem cię! Pomaleńku.. pomaleńku i kategorycznie! Tak zawsze rozbieram wszelkie interesa i okoliczności, i dla tego wszystko idzie ładem, chwała Bogu. Nic tam nowego nie zaszło.. zajść jednak może. ale poczekajcie tylko.

Hipolit stał przed nim jak na szpilkach.

— Siadaj, podkomorzycu! Mój projekt taki: zostańcie u mnie na szlacheckim obiadku, pogadamy o wszystkiem otwarcie a nie półgębkiem, zrozumiemy się wzajemnie, i postąpimy jak każdemu wypadnie. Płynąć?—płynąć; jechać?--jechać. A może ani płynąć, ani jechać; któż wie?

— Na projekt pański uprzejmy i przyjacielski przystajemy chętnie, odpowiedział zainteresowany Hipolit; ale pierwsza kategorya, mówiąc przysłowiem pańskiem, z naszym Bartłomiejem. Na jego wozku jedziemy, a on się śpieszy bardzo; wątpię więc, czy się zgodzi na nową zwłokę.

— Ja sam z nim pogadam, rzekł koniuszyc, i za chwilę wrócę.

— Co myślisz? rzekł do mnie niespokojny Hipolit. Koniuszyc ma jakieś nowinki, które się pewnie naszych tyczą projektów Czy nielepiej, nie tracąc czasu, ruszać natychmiast. Może tam kto inny?..

— Kto inny w tak prędkim czasie... wątpię; ale być może, że szambelan, zastraszony twoją konkurencyą, stanowczo rzeczy posunął. W takim razie nie obeszło się bez rady koniuszyca; więc od niego choć pomaleńku i kategorycznie, dowiemy się o wszystkiem. Dla tego wypada zostać na obiedzie u koniuszyca, a tem samem utwierdzić w nim sobie sprzymierzeńca.

— Dziękuję ci, dziękuję, stary kumie! odezwał się za drzwiami pan Tadeusz. Widzisz bo, że jest w tem rzecz!. . .

— Niechże i tak będzie, rzekł wychodząc razem z gospodarzem na ganek Bartłomiej; zostańmy tu na obiad, ponieważ tak chce pan koniuszyc dobrodziej, i powiada, że jest w tem rzecz.

— No, teraz wiem o wszystklem, rzekł pan Tadeusz po odejściu Bartłomieja; bo czemuście nie uprosili jego, aby kłamał razem z wami? On mi przecież całą prawdę o celu waszej podróży wyśpiewał; którą bodaj odgadł lepiej odemnie.

Hipolit powstał, wziął uprzejmie za rękę pana Tadeusza, i rzekł.

— Przepraszam pana, z całego serca przepraszam; nie powinienem byłem panu uchylać mego zaufania po onegdajszych dowodach jego życzliwości dla mnie. Nie zasłużywszy na przyjaźń pańską ani na czyjąkolwiek w tych stronach, nie dziw, że w okoliczności najważniejszej bodaj w mem życiu, lękam się być nadto otwartym, lecz gdy pan interesować się zdajesz losem czy to moim, czy to raczej osoby zajmującej mię prawdziwie, gdy z rodzicami jej i domem stałą i dawną przyjaźnią złączonym jesteś, przeto śmiało odkrywam panu serce i zamiary moje . . —Kocham piękną Helenę i pragnę, aby ona była moją na zawsze.

A!. . . w to mi graj, paniczu!

— Mamy nadzieję, kochany koniuszycu, rzekłem, że nam twą radą i wpływem u prezydentowstwa skutecznie pomożesz.

— Trudna to rzecz dla mnie, odpowiedział, bo ja sam kocham się w Helusi.

— Cóż znowu? czy i ją do chrztu trzymałeś?

— Żarty na stronę, przerwał Hipolit; chciej nam raczej powiedzieć co wiesz w tym względzie, i czego się mam spodziewać? Nie zwlekaj, szanowny panie, i nie dręcz mnie!

— Pomaleńku! pomaleńku i kategorycznie o wszystkiem się dowiecie; a ponieważ porozumieliśmy się szczerze, więc wszystko da Bóg pójdzie jak z płatka; a tymczasem najpierwsza kategorya — obiadek dla moich gości . . —i powstawszy, perorował:

Mały obiadek, lecz smaczny,
Niewytworny, lecz obfity;
Nie zbytek da gó dziwaczny
Ale kucharz wyśmienity!

A co wasanowie na to? Tym kucharzem jestem ja sam, bo trzeba wiedzieć asaństwu . .

— Kochany koniuszycu! przerwał Hipolit, czy nie mógłbyś staranie o obiedzie zdać na swoją Stalewskę, a z nami pomówić . .

— Bądź spokojny, bądź spokojny! Pomaleńku, powiadam panu, dalej staniemy; wszystko w swoim czasie. Otoż tedy dam panom obiadek gospodarski, naprzykład taki.

Szlachecki nasz barszczyk z rurą,
Potem krucha sztuka mięska,
A potem potrawka z kurą
Do smacznego wabi kęska;
Ależ nie starą i twardą.
Kiedyż z kurą—to z pulardą.
Potem kapłon tłusty, gładki,
Do ogórka lub sałatki.
Precz biszkopty! precz mejspezy;
Piąta babka albo pezy;
Na szóste. . . .

— A czy nie będzie za wiele? Koniuszycu!—zawołałem.

— Nie lękaj się, odpowiedział; szóstym frykasem nie obciążysz żołądka.

Na szóste potrawka prędka. . . .
Z dobrym humorem gawędka.

A co wasanowie na to?

— Wyśmienicie! - zawołał rozweselony Hipolit, wyśmienicie, kochany gospodarzu, kuchmistrzu i poeto! Gdy jednak ubiliśmy dziś pięć cyranek, może więc odmienisz cokolwiek dyspozycyę, i ich użyjesz.

I owszem, i owszem—*Varietas delectat* a właśnie pulardy i kapłon jedno po drugiem . . Brakłoby *varietatis* i tej *delektacyi*, która przy smacznym obiadku dobrej myśli pomaga. Ale jakże to zrobić? Kapłona nie odstąpię bo poznacie co to jest kapłon litewski, a po szlachecku ukarmiony!. . . Najbardziej, że trudno te wasze kaczki do wiersza złożyć . . zaraz . . aha! niech sobie tak będzie, choć nie bardzo gładko—

Za półmisek z pulardami,
Potrawka z kaczek. . . .

— Z truflami—dokończył Hipolit.

— Oho! znać panicza! A zkąd u szlachcica trufle? Raz czy dwa tylko na mojem życiu ich kosztowałem, i nic osobliwego: więc będzie.

Potrawka z kaczek z grzybkami!

A cóż wasanowie na to? czy zgoda? - zapytał śmiejący się razem z nami pan Tadeusz.

— Zgoda, zgoda!—wykrzyknęliśmy, uściskając go wesoło.

— No, to i dobrze; pójdę więc wszystko rozporządzić! Na ten raz zdam kuchnię Stalewskiej, z należytą wszelakoż informacyą; a panowie abyście się tymczasem nie nudzili, i ponieważ, podkomorzycu, chcesz poznać nasze pozycye, idźcie więc ścieżką po brzegu Wilji, do tego co widzicie borku Ja wkrótce nadejdę i wytłumaczę wam ciekawe rzeczy, które tam znajdziecie.

XII.

Borek, do którego nam ścieżkę ukazał pan Tadeusz, przedzielał pola jego od Wilji, i na wyniosłym a płaskim jej brzegu się rozciągał. Czysty, suchy i wesoły, obdarzał pana Tadeusza mnóstwem rydzów i borowików, na zbieranie których zapraszając czasami sąsiedztwo, miewał zręczność, miłą zabawką i smacznym podwieczórkiem zalecać się płci pięknej. We środku, na niezarosłym odłogu, okazywać zdają się niejakie ślady mogiły *). Z pod suchej darni sterczą gdzieniegdzie głęboko w ziemię wrosłe kamienie, a między tymi głaz z granitu, w kształcie okrągłej kolumny, na stóp dziesiątek wysokiej, i tyleż w obwodzie mieć mogącej; wyciosany, nie rodzimy, jak się nam zdawało, w tem miejscu, gdzie trudno mniemać ażeby siła ludzka przenieść go tu mogła, zastanowił naszą uwagę.

Wilja, na którąśmy także zwrócili oko, wre tu, pieni się i szumi po kamieniach i odłamach skalnych, którymi łoże jej gęsto narzucone; a na drugim jej brzegu szerokie, nizkie i piasczyste pole, również gęsto i podobnież kamieniami zasiane, podawało domysł, że niegdyś być mogło jej łożem. Podrywała ona teraz brzeg, na którym staliśmy, usiłując ominąć zapory, których rozerwać nie zdołała. Czekaliśmy więc pana Tadeusza, mającego nam wytłumaczyć ród i przeznaczenie tego kamiennego olbrzyma i jego dziatwy z pod ziemi i z pod wody sterczącej. Jakoż nadszedł on wkrótce.

Przemieniwszy swoją ulubioną kapotę na piękny, czysty, zgrabny bez przesady granatowy tużurek, ułożywszy przystojnie gęste swe i mało jeszcze srebrzące się włosy, z okiem czarnem i żywem z twarzą, którą wesołość, dobry humor i uprzejmość opromieniały, pan Tadeusz odmłodniał o lat dziesięć przynajmniej; szedł krokiem lekkim, jeszcze o lat dziesięć młodszym; a nie mogący podobnegoż z sobą dokazać odmłodnienia, stary Azor wlokł się za nim zdaleka, niosąc w zębach laseczkę swojego pana.

— Cóż wasanowie tu upatrzyliście?—zapytał koniuszyc.

— Właśnie czekamy pana, abyś nam powiedział, co szczególnego o tym głazie wiedzieć możesz?—

— A o tych gromadach kamieni na drugiej stronie nic wiedzieć nie chcecie?—

— Cóżbyś miał o nich powiedzieć? Leżą tu zapewne od stworzenia czy od potopu świata.—

— Otoż to że nie; bo wszystkie, które na tamtej stronie i w rzece widzicie, leżały niegdyś przy tym wielkim, a i ten tylko co się tam nie dostał.—

— Więc Wilja w tem miejscu zmieniła koryto?—

— I to nie; płynie jak płynęła, tylko że niegdyś spokojnie a teraz z podskokiem.—

---

*) Miejscowe.

— Któż więc, rzekłem, na tamtą stronę je poprzerzucał? chyba dyabeł.—

— Zgadłeś jakbyś tam był; dyabeł *).—

— A to już rzecz bardzo ciekawa. Może i tę bryłę granitu, odezwał się Hipolit, urwał on od podpory jakiego gmachu i tu przyniósł.—

— Nie, to inna kategorya.—

— Słuchajmy więc tych dziwów i sztuk szatańskich—rzekliśmy siadając na murawie i krzesząc ognia do fajek.

— Kamień ten, mówił zatem pan Tadeusz, jak powszechne niesie mniemanie, jest zabytkiem z pogańskich jeszcze czasów *). Czyli on tu na miejscu się znalazł, czyli skąd sprowadzony? tego nikt nie wie. Palono na nim, jak powiadają, bogom litewskim ofiary, albo zwłoki wodzów i rycerzy; co podobniejsza do prawdy, bo oprócz wielu innych rzeczy, ja sam wygrzebałem tu nieraz kamienne siekierki, które wasanom pokażę, a któremi niegdyś litwini wojowali; bo niemi tak dobrze jak żelaznemi berdyszami łby rozszczepiać mogli. Słowem, było to jakieś poświęcone grobowisko. Siedzimy na kościach i czaszkach ludzkich; pełna tu ich jest ziemia. Po mogile pogańskiej, powstała tu mogiła chrześcijańska. Stare krzyże jeszcze ja tu pamiętam; lubo już daleko dawniej przedtem, po dyabelskiej sztuce, i żywi i umarli wyrzekli się i boją się tego miejsca. Z czego, prawdę mówiąc, rad jestem, bo moich rydzów i borowików nikt nie kradnie.

— Jakaż to sztuka szatańska, która tak zaklęła to miejsce?—

— To druga historya, którą wolałbym żeby wam opowiedziała moja Stalewska, bo to bardzo podobne do bajek o dyabłach, upiorach i strachach, których ona umie bez liku i opowiadać lubi, byle kto słuchał. Ale że jesteśmy tu *in loco delicti*, więc opowiem te figle dyable, choć nie tak dokładnie, jakby to baba jaka lub stary dziad opowiedział.

Kiedy jezuici, objąwszy Żodziszki i inne blizkie dobra, darowane im od niejakiegoś Minkiewicza, przybyli tutaj, wybrawszy najpierwej dogodne i wesołe miejsce na kościół i klasztor, wzięli się do murowania. Na fundamenta tak ogromnych budowli potrzeba było wiele kamieni Okolica ta nie kamienista; bardzo więc suszyli głowy, zkądby ich dostać mogli. Postrzeżono nakoniec ten mogilnik, mnóstwem wielkich kamieni nasiany. Po długiem zatem teologów *consilium*, postanowiono odprawić po wszystkich w Litwie kościołach egzekwie za dusze pochowanych tu umarłych, i śmiało potem użyć kamieni grobowych na fundamenta.

Nie w smak zapewne to było dyabłom, że jezuici, najsła-

*) Miejscowe podanie.

*) Miejsce to znajduje się nad Wilją w powiecie Wilejskim.

wniejsi wtenczas egzorcyści, coraz to gęściej gnieździli się po Litwie. Złożyli więc, jak widać, własną *konsultę*, z której wypadło wszelkimi sposobami przeszkadzać fabryce jezuickiej. Nie mając przystępu do samych *Patrów*, wyszpiegowali, przez jakąś babę czarownicę, (bo jak wiadomo, gdzie dyabeł nie może, tam babę podsadzi) projekt przewożenia stąd kamieni do Żodziszek. Więc po swojemu do figlów.

Jednego wieczora, jakiś pobożny braciszek jezuicki chodził sobie z pacierzami po nad Wilją i zaszedł aż tutaj. Tymczasem zachmurzyło się niebo, i sciemniało zupełnie, tak, że on nie mogąc widzieć ścieżki wijącej się dołem i górą po lesie i parowach, postanowił posiedzieć czas niejaki pod tym kamieniem i doczekać wejścia księżyca. W pociemku, dla uspokojenia serca i niejakiej drżączki, która go przejmowała, tem gorliwiej trzepał pacierze.... a w tem księżyc między chmurami pokazywać się zaczął; — więc miał już wstać i wędrować do domu. . . , gdy nagle posłyszał blizko siebie jakieś śmiechy szalone, i wnet postrzegł dwóch dyabłów. Poznał odrazu, że to dyabli, po kozich nogach, po wielkich rogach, po kurtkach niemieckich i po słowach zdradzieckich. . .

A co wasanowie na to? Same wiersze składają się; ale mniejsza oto. Miarkować sobie możecie, że strach objął jezuitę; poznał nieborak, że okoliczność złego jest gatunku; przyczaił się więc jak mógł najściślej do kamienia, i tając oddech nawet słyszał taki szatański rozhowor. Naprzód jeden dyabeł, pociągnąwszy długim i czerwonym nosem powietrze—„Jakaś tu źwierzyna w nos bije— rzekł.

Drugi, wodząc i wietrząc nosem na wszystkie strony—„Ej, to zapach trupi, z mogiły—odpowiedział.

— „Oj nie! rzekł znowu pierwszy, pociągając powtórnie jak miechem kowalskim powietrze; to zapach niedobry, cóś nakształt święconej wody!—

Wietrzył znowu drugi wokoło, jak wyżeł bekasa.,. a u jezuity dusza była w piętach.

— Ej to nic! znowu odpowiedział towarzysz. Wiatr wieje od Żodziszek, to nam jezuickiego napędza swędu. Dalej, bracie, do roboty; nie traćmy na darmo czasu! Jutro mają jezuici przewozić te kamienie na fundamenta klasztoru, niechże je wprzód przepławią kiedy tak mądrzy. Domyślą się oni, że to nasza sprawka, ale jej tak rychło nie odrobią.—

— „Praca jednak nie lada, rzekł drugi, przerzucić wszystkie te kamienie za rzekę!... Wiesz co? Poweselmy się w tej biedzie. Będziemy grać w metę po studencku: kamienie będą nasze piłki, przeskocz na tamtą stronę, i do północy stawać będziesz na mecie a ja w ciebie trafiać; zaś od północy do kura, *vice versa* ja stanę na twojem miejscu.—

— „Zgoda; ale cóż po grze bez stawki? Na pacierze grać nie nasza rzecz! Więc tak: za każde trafienie sto dusz z kotła do kotła!

— I owszem, stawaj więc, a potem dam ci rewanż.—

Wnet zaczęła się kanonada. Dyabeł porywał kamienie i ciskał na skaczącego po drugim brzegu kolegę; kamień burczał lecąc jak z procy; a za każdym razem, szatan na mecie podskoczył, krzyknął „pudło“ i, cha—cha—cha—cha.—

Tak przez kilka godzin dyabeł pudlarz ciskał kamienie, a drugi skakał· wykrzykiwał „pudło!“ i śmiał się. Często większe bryły nie dolatywały celu i padały w rzekę! wtenczas śmiech dyabelski łączył się z pluskiem wody. Nakoniec, kiedy już mnóstwo poprzerzucał przez rzekę i ponarzucał do rzeki kamieni, tam-to brzegowy szatan krzyknął: „Stój! dwunasta bije na wieżach wileńskich.“ —To mi ucho, mospanie, co o dwanaście mil słyszy!

— „Jeszcze nie dobiła,—wrzasnął zniecierpliwiony pudlarz— „ale ja cię skałą dobiję“...—I wyciągnąwszy jak mógł łapę i szpony, porwał oburącz ten ogromny kamień, a końcami pazurów łap za jezuitę!

*A co wasanowie na to? — Jezuita, który, jak już mówiłem, siedział cicho przy kamieniu jak kamień, albo jak skowronek w jesieni; czując się tak pochwyconym za żywota, zawołał niemym głosem: „Jezus, Marya, Józef!“ a ten niespodziewany wykrzyknik, nie mniejszym nawzajem strachem przeraził zdziwionego szatana. —Opuścił więc co prędzej nieco już w górę podniesiony kamień, i chciał odeń łapy oderwać. Jakoż oderwał jedną;—ale drugą! Paznogieć, albo raczej ostry krzywy, krogulczy pazur drugiej, zahaczył się za suknię braciszka;—ba! i gdybyż tylko za suknię! Ale co wasanowie na to? zahaczył się za poświęconą *katenę;* to jest, za pas druciany, który pobożny braciszek nosił zamiast włosiennicy na ciele. Ciasne jego i mocne ogniwka djabli pazur trzymały jak w sidle, a świętość jego paliła go gorzej od ognia — bo do ognia w piekle już nawykł: „Puszczaj mię, puszczaj ty klechu!“ wrzeszczał na całe gardło chcąc oderwać się dyabeł, —„Duchu nieczysty! odczep się ode mnie!“ wołał niemniej głośno jezuita, zasłaniając się brewiarzem i trzymając się mocno drugą ręką za kamień, aby go szamocący się dyabeł nie pociągnął ku sobie. — „Puść mię, a zrobię co każesz!“ powtarzał coraz bardziej przerażony dyabeł, nie wiedząc już w końcu co począć.—Bo wasanowie wiecie, że dyabeł nie ma mocy nad rzeczą święconą; nie mógł więc rozerwać kateny, a tem samem, wydobyć pazura. Jezuita, nie w ciemię bity, poznał że się dyabeł go boi; nabrał więc świątobliwej odwagi, i nuż do egzorcyzmów! Wielkie szczęście że to uczynił; bo właśnie dyabeł z za rzeki, słysząc wołanie *gwałtu* towarzysza, śpieszył mu lotem nietoperza na pomoc; ale usłyszawszy egzorcyzm, furknął nazad prędzej jeszcze niż przybył, i tylko odlatując zawołał: „A co? czy nos mój nie dobry? Terazże wiedz się z nim bratku! Do zobaczenia! cha, cha, cha“—i poleciał śmiejąc się dalej. Ale co temu drugiemu; to wcale była rzecz nie do śmiechu. Jezuita co chwila wpadał w większy entuzyazm i zapał, jak się to często po zbyt wielkim przestrachu wydarza, i zamiast

już, jak pierwej, trzymać się kamienia, sam owszem wielkim krokiem następował na dyabła, żegnając go brewiarzem, a w lewej ręce podnosząc do góry różaniec, i przytem nie przestając formuł egzorcyzmu.— „Każ co chcesz, a wszystko uczynię" — powtarzał cofając się dyabeł.—„Znieś mi zaraz te wszystkie kamienie do Żodziszek na kościół".— „Nie mogę, tego nie mogę; a wreszcie, cóżby na to świat mówił, że dyabeł jezuitom pomaga, jakby to już ludzie nie chcieli".—„Dowcipnyś dyable!" odrzekł jezuita:—„i prawda! Żadnemu świętemu dziełu nie potrzeba pomocy szatańskiej, byleby mu szatan nie szkodził. Przysiąż mi więc tylko, że nie będziesz już więcej przerzucał kamieni na rzekę, ani dopuścisz towarzyszom twoim."—„Przysięgam" odpowiedział dyabeł.—„Przysięgnij na Imię Boskie!"—„Nie, tego nie wymówię;—ale przysięgam na honor"—(bo to widzicie wasanowie, jest to czysta przysięga dyabelska, zaklinać się na dumę własną). — Niech i tak będzie, rzekł w końcu braciszek, bylebyś przysięgi dotrzymał, do czego cię w Imię Boga przymuszę."—„Puśćże już, puszczaj mię panie!" wołał upokorzony dyabeł.—„Odczep się sam jakeś się przyczepił!" —„Nie mogę",—piszczał dyabeł,—to rzecz kropiona; dopomóż mi sam swoją ręką"—Jezuita przeżegnał siebie i dyabła, który aż jęknął, znać z bólu, jak zbójca gdy go piętnują; potem obwinąwszy rękę różańcem, szturchnął nią nagle z dołu w uwięzioną łapę, i wybił ją tym sposobem z kateny. Dyabeł, nie zaśmiawszy się nawet jak zwykle, czmychnął jak oparzony i plusnął do rzeki, a kamienie tutaj zostały. A co wasanowie na to? *).

Jezuita stał jeszcze chwilę jakby skamieniały; ukląkł potem, zmówił gorliwie „*Sub tuum praesidium;*" chmury się rozrzedziły, księżyc zaświecił, i ośmielony frater powlókł się do Żodziszek.

Lud widząc w przerzuconych kamieniach oczywisty dowód opowiadania jezuity, nie śmiał odtąd, i dotąd nie śmie nogą tu stąpić, a tem bardziej grzebać swych umarłych. Z pokolenia do pokolenia przechodzi bajka, czy podanie, jak wasaństwo chcecie, które każdy chłopek, każde nawet małe dziecko mniej więcej dokładnie powtarza i od mojego borku ludzi odstrasza. I ja tam byłem, miód, wino piłem.—

XIII.

Gdyśmy rozmaite czynili domysły nad tem podaniem, i śmieli się z pudlarstwa i przygody szatana, przybiegł chłopczyk pokojowy pana Tadeusza z doniesieniem, że przyjechał posłaniec z listem od pani prezydentowej, ale nie ma czasu długo czekać, a list chce koniecznie oddać w ręce samemu panu.

*) *Suum cuique.* Słowa od pierwszej gwiazdki, aż dotąd, i cała zawarta w nich scena, są układu i pióra przyjaciela mego, A. E. Odyńca, który ją żartem, w tem miejscu rękopismu mego dopisał, a którą ja zatrzymałem.

— Oho! to cóś nowego, rzekł koniuszyc. Nie bez nagłej potrzeby prezydentowa umyślnego wysłała, zwłaszcza wiedząc, że w tych dniach przybyć do nich miałem.—

Obudziła się więc nanowo ciekawość i niespokojność Hipolita.

— Proszę cię, rzekł on, kochany koniuszycu, racz mię zaspokoić; tak długo już czekam...—

— Dobrze, odrzekł pan Tadeusz, dobrze; nie będę cię dłużej dręczył; wszakże z tem i do borku przyszedłem. Otoż pamiętacie, że po odjeździe waszym od prezydentowstwa ja zostałem jeszcze...— Albo wiesz co? zacny podkomorzycu!.. — (zamyślił się pan Tadeusz). Tak! zaczekaj jeszcze chwilkę. Pomaleńku... i kategorycznie:.. Przeczytamy pierwej list od prezydentowej. Któż wie, czy potem wzajemne nasze komunikacye potrzebnemi będą? Daruj, podkomorzycu! ale człek nie jest panem, ani woli swojej, ani języka, kiedy idzie rzecz o trzeciego, a tem bardziej o trzecią. Niedługo czekać będziesz; wraz będziemy w domu.—Jakoż wkrótce tam stanęliśmy.

— Jak się masz? Janie! co u was słychać? czy wszyscy zdrowi? — zapytał pan Tadeusz sługę państwa prezydentowstwa, spotykającego nas z listem w ręku.

— Zdrowi, mospanie, wszyscy i kłaniają panu. Mnie tu imość wysłała — mówił Jan zcicha, nachylając się do ucha panu Tadeuszowi;—Jegomość o tem nie wie; i kazała wracać co najrychlej, aby się i niespostrzegł.

— Dobrze; nie zabawię cię długo. — Przebiegł potem list i rzekł: — Krótko, Janie, nie ma odpowiedzi na piśmie. Jedź i powiedz pani, że jutro będę na obiedzie; możesz nawet dodać, że będę z gośćmi, których tu widzisz, to jest, z panem Ignacym i panem podkomorzycem, rozumiesz?—

Jan skinął głową, raz na znak zrozumienia, a drugi raz niżej na znak pożegnania; siadł na konia i pojechał kłusem.

— Teraz—rzekł pan Tadeusz, zapraszając nas siedzieć na ganku—teraz mam rozwiązane, to jest, nie zawiązane usta; zaczynam więc pomaleńku od tego, na czem stanąłem.—

— Tegoż samego dnia, kiedyście wyjechali, a ja zostałem, pan szambelan przysłał posłańca z listem do prezydenta. Czytaj głośno ten list, panie Ignacy! Wziąłem go z sobą dla pewnych przyczyn, do których kategorycznie przyjdziemy.—Czytałem więc jak następuje:—

„Prezydencie Dobrodzieju! Akkomodując się obligacyom pańskim, uczyniłem przed dwóma laty dogodność panu, pożyczając mu wiadomą sumkę, od której dwuletni nawet procent zalega. Nie uprzykrzałem się WPanu dobrodziejowi dopominkiem, ceniąc sąsiedzką przyjaźń WWPaństwa Dobrodziejów, i w nadziei, że względy państwa skłonnymi będą w dopełnieniu zamiarów moich,

mogących powiększyć obowiązki, mojej dla ich domu życzliwości. Lecz gdy widoki te, jak uważać mogłem, omylonymi zostają, przeto przyciśnięty nagłą potrzebą, upraszam pana dobrodzieja, o zapłacenie mi summy kapitalnej z zaległymi procentami. W przeciwnym razie będę zmuszony udać się do środków prawnych; coby nie było dla mnie przyjemnem, jako dla zostającego z wysoką weneracyą" etc.

— Niegodny! — krzyknąłem, rzucając list z pogardą;—niegodny! Chce więc kupić Helenkę.—

— A tak, tak, mimo filigranowy układ tego listu, odezwał się pan Tadeusz, zawsze jednak sens moralny jego taki:

Mieniąc o to:
Oddaj córkę albo złoto.—

— Cóż na to prezydent? co na to panna Helena? — zapytał Hipolit.

— Z początku panna Helena nic o tem nie wiedziała. Prezydent cisnął list na ziemię, chodził po pokoju, gryzł palce, łajał i przeklinał szambelana. Prezydentowa weszła, i spostrzegłszy gniew męża, podjęła list, przeczytała i z płaczem zawołała: „Do czegoż doszliśmy, gdy tak poniżającym sposobem o córki nasze starać się mają?"—To jeszcze bardziej rozdąsało prezydenta. Weszła nakoniec i Helusia, a widząc gniew ojca i łzy matki, zapytała o przyczynę.—„Na, masz, czytaj rzekł ojciec, podając jej ten list fatalny; patrz jakiego mądrego dostałaś konkurenta!". . . — Przebiegła pismo Helenka; oczy jej zaszły łzami, i wyszła z pokoju.

— Każdą jej łezkę, rzekł z zapamiętałym przyciskiem Hipolit, krwią mi on swoją zapłaci.—

— Pomaleńku, pomaleńku, nie dokażesz tego.

— Jak to?

A tak, bo on nie głupi: wyzwij go sto razy, ani razu nie wyjdzie; i cóż zrobisz? Ale nie przyjdzie do tego, jak mi się zdaje.

Otóż gdy wyszła Helenka, ja, rozważywszy wszystko pomaleńku i kategorycznie. . . — Uspokójcie się, rzekłem do prezydentowstwa, i posłuchajcie. Pierwsza kategorya, czy myślicie wydać córkę za szambelana?

— A czemu nie? odpowiedział prezydent, gdyby nie tak głupio zaczynał swoje konkury; gdyby Helence zapisał darem sto tysięcy i dożywocie przynajmniej na połowie swojej fortuny...—

— I gdybym była pewną, że z nim będzie szczęśliwą—dodała matka.

— A jużciż przy stu tysiącach i jakich półtorastu chatach, (bo szambelan ma ich ze trzysta), niedaleko i do szczęścia.—

— Najważniejsze gdyby opuściłeś, prezydencie!—rzekłem.

— A to jakie?

— Oto, gdyby się on pannie Helenie podobał.—

— Rozumie się. . . rozumie się. . . któż córkę zmuszać będzie? Wszelakoż perswazya rodziców. . .—

— Otoż najlepiej zawołać pannę Helenę, rzekłem, i łagodnem rodzicielskiem słowem zapytać, co ona myśli o szambelanie i jego projektach.

— Sprawiedliwie mówi nasz kochany koniuszyc, powiedziała prezydentowa; niech ona podług swojego serca i woli Boga, powie nam, co mamy czynić i jak sobie postąpić.

Posłano po Helenkę.

— A choćby nawet Helusia i zgodziła się wyjść za szambelana, mówił dalej prezydent, to jednak trzeba mu dać *ad intende*, że niedorzecznie bardzo poradził sobie, łącząc razem propozycye o pieniądze i o córkę; nie daruję ja tego ani panu zięciowi potem.

— Ach! potem będzie po czasie — rzekła żona, której łzy nie osychały.

Nadeszła i Helenka, także płacząca; uścisnęli ją czule oboje rodzice; matka sobie i jej łzy ocierała, a ojciec tak mówił:

— Moje kochane dziecię! z listu szambelana wyrozumiałaś zapewne o co mu idzie; jakoż i nieraz dawał on mi poznać, że chce ożenić się z tobą. Bogiem świadczymy się, że nie myślimy zmuszać cię do postanowienia przeciwnego twemu sercu i woli. Dla tego nim odpiszę do szambelana, chcemy abyś nam szczerze wyznała, jakie twe są o nim myśli, i czy byłabyś zdeterminowaną oddać mu twoją rękę. Ale nie myśl także, broń Boże! abym dla tego nędznego długu miał cię poświęcać. Znajdę jeszcze przyjaciół, którzy mnie pomogą i zaufają. Owszem takie nieprzystojne dopominanie się byłoby przyczyną zerwania zupełnego z panem szambelanem. . . Ale on jest bogatym; widać że cię kocha, bo wie, że posagu stosownego do jego fortuny dać ci nie możemy, a przecież stara się o ciebie. On ci może los tak piękny zapewnić, że cieszylibyśmy się na starość, widząc ciebie szczęśliwą, a nawet mogącą dopomódz losowi sióstr twoich. To wszystko jest przyczyną, że nie odrzucamy jego konkurencyi, lecz oddajemy to do twojej woli.

Podczas tej ojcowskiej perory, Helenka uspokoiła się cokolwiek.—Kochani rodzice! odpowiedziała ona, macie zupełne prawo rozrządzenia moją ręką i osobą; a choćbym, broń Boże i nieszczęśliwą była, pocieszać mnie będzie przez całe życie to, żem wam była posłuszną.

— Bądź szczerą moje dziecię, tak, jak my szczerze chcemy twojego szczęścia i szczerego twojego wyznania—mówiła matka.

— Czyż rozumiecie, że nieszczerze mówię, oddając się zupełnie waszej woli i waszemu błogosławieństwu? Ach! nigdybym ja nie chciała ani was, ani domku naszego porzucać. . .—To mówiąc, rzuciła się znowu ku matce, i znowu nastąpiły łzy i pieszczoty, że ledwom się sam nie rozbeczał.

— Ale cóż nam powiesz o szambelanie? — zapytał znowu prezydent.

— Szczerze wyznaję, że żadnej doń nie mam i nie miałem nigdy skłonności... Teraz list ten jego...

— Rozumiem, przerwał ojciec. W piekle będzie, kto mu go poradził. Mówiłem ci, że list ten nas prawdziwie obraził, choć zawsze jest on dowodem, że cię szambelan kocha...

— Słowem, moi najdrożsi rodzice, mówiła Helenka znowu płacząc rzewnie, jeżeli w tem upatrujecie moje i własne dobro, jeżeli dla waszej spokojności o mój los, a nawet dla pomocy memu kochanemu rodzeństwu, potrzeba abym się poświęciła... — zgadzam się...

— O ja nieszczęśliwy!—wykrzyknął Hipolit.

— Pomaleńku! pomaleńku! czekaj końca; bo Helenka dodała jeszcze:—ale proszę was, aby szambelan nie wiedział jeszcze o tem; abym przynajmniej miała czas, kiedy nie do namyślenia się, to do wybłagania u Boga łaski i miłosierdzia nademną! —Nie dokończyła biedna dziewczyna, i wyszła z matką, zachodząc się od płaczu.

— Cóż tu robić? panie Tadeuszu!—zapytał mię prezydent, ocierając także z łez oczy.

— Potrzeba odpisać szambelanowi.

— Ale jak i co? w tem sęk!... Widzisz, dodał on po krótkiem zastanowieniu się, że ja nie jestem teraz w stanie rozmyślać nad tem. U wasana głowa nie dla proporcyi; znasz wszystkie okoliczności. Nie trzeba mu przyrzekać, kiedy ta biedna nie może się jeszcze na to zdeterminować; ale nie trzeba mu i odmawiać, bo może ją Bóg natchnie. Przytem trzeba mu, jakem to mówił, dać *ad intende*, że głupio sobie poradził. Pomyśl, kochany panie Tadeuszu, i napisz terminkę, a ja przepiszę.

— Zgoda—rzekłem; poszedłem do drugiego pokoju i poprosiłem, aby mi nie przeszkadzano.

No, panie szambelanie! myślałem sobie gryząc pióro, zażyłeś nas z mańki; ale i nas nie w ciemię bito... nie pocieszysz się z naszego responsu. Pomaleńku więc i kategorycznie odpisałem tak:—terminkę zachowałem, a będę ją wam czytał *punctatim* i *commatim*, bo przez to właśnie zalałem mu gorącego bigosu za skórę.

„Szambelanie dobrodzieju! Odebrałem list pański i dziwię się. (*punctum*) gdyż konjunkcya w nim interesu i sentymentu: (*duopunctum*) o pieniądze i tam dalej. (*punctum*) sprzeczna! (*exclamationis nota*) suplikuję, (*comma*) o prolongatę czasu. (*punctum*) który tak dla mnie, jako też i; (*media nota*) dla wszelkich zamiarów ludzkich. (*punctum*) pomyślną influencyę miewa? (*signum interrogationis* i *finis*). Mam honor zostawać...“ to już jak zwyczajnie.

Pan Tadeusz przeczytawszy, patrzał nam w oczy, oczekując naszego zdania, a raczej pochwały.

Śmieliśmy się serdecznie.—I na cóż na końcu ten znak zapytania?—odezwałem się.

— A jakże! to właśnie jakbym po przeczytaniu zapytał kochanego szambelana—a co wasan na to?—tak, jak was pytam—co wasanowie na to?

— Wyśmienicie! wybornie!

— Nię prawdaż? mówił ukontentowany autor, i jest tu coś, i niema tu nic. Puściłem i kapitał jego, i konkury na prolongatę *ad tempus bene visum*. Prezydent upodobał także moją terminkę, przepisał ją *manu propria*, i posłaliśmy.

— A teraźniejszy list od prezydentowej możnaż wiedzieć co zawiera? – zapytał Hipolit. Może nanowo szambelan nagli o pieniądze? Odpowiedz, koniuszycu, że masz gotowe, bez żadnych szczególniejszych obowiązków.

— O! znowu niecierpliwość. Kategorycznie przyjdziemy i do tego, bo nie koniec jeszcze na moim responsie, po wysłaniu którego byliśmy w dobrym humorze. Prezydentowa przyprawiła nam wybornego ponczyku na zimno z syropem i malinowym soczkiem; popijaliśmy więc sobie szczęśliwie aż do wieczora siedząc na ganku. Nadszedł w końcu ekonom. Prezydent zaczął z nim gospodarską sesyę, a mnie imość zawołała z sobą do apteczki na radę.

Usiedliśmy tam, prezydentowa mówiła do mnie:—Co z tego będzie panie Tadeuszu? zgubimy naszą Helenkę, wydając za szambelana. Wszakże pójdzie ona za niego, kiedy tego zechcemy, ale ona jego nienawidzi. Przed ojcem nie śmiała nieboraczka wyspowiadać się zupełnie, ale przedemną, gdyście z moim jegomościem na ganku siedzieli, powiedziała wszystko najszczerzej. Ofiarowałam się do Borun; pójdziemy tam piechotą. Może cudowna Matka Boska odmieni jej serce. Inaczej nieszczęśliwa i ona i ja; bo ani te bogactwa, ani te spodziewane zapisy, nie pocieszą jej przy takim mężu. . .

Jeszcze licho nadało tego podkomorzyca! przystojny, młody, grzeczny; i czy bałamucił, (co niech mu Pan Bóg odpuści), czy i doprawdy zakochał się w Helusi? bo przysiadał się do niej nieodstępnie, i przy pierwszej wizycie dni ze cztery tu gościł. Może i ona jego upodobała, więc tem bardziej brzydzi się starym szambelanem. Pan Ignacy powiadał mi, że to godny i zacny kawaler, że i nie ubogi nawet, choć nie ma tyle co ten sknera; ale mniejsza o to, jeżeliby on szczerze o niej myślał. . . Ale jak się tego dowiedzieć? Gdyby to zobaczyć się z panem Ignacym. . . — Widziałem i ja wasana koperczaki, panie podkomorzycu! więc skonkludowałem, że prezydentowa w takich okolicznościach ma racyę, chcąc coś o wasanu dowiedzieć się; i dla tego postanowiłem i odpowiedziałem jej, że wnet odjeżdżam do domu, i nie zwlekając długo, pojadę do wasana, panie Ignacy! Uradziliśmy nic o tem ani prezydentowi, ani Helence nie mówić, a po powrocie moim złożyć znowu ciche *consilium* w apteczce, i postępować jak wypadnie z wiadomości, które zasięgnę u wasana. . . Zabrałem więc list szambelana i naszą odpowiedź, i dziś miałem już ruszać, gdy

szczęśliwe *fata* was tu przyniosły. Otoż wiecie teraz całą historyę, dodając na zakończenie, co znaczy list dzisiejszy. Szanowny ksiądz przeor dobrodziej, który tobie, podkomorzycu, tak niespodzianie przyrzekł onegdaj błogosławieństwo małżeńskie, a który jednak chce stale to błogosławieństwo dla szambelana zachować, zaprasza się na jutro, jako na piątek, na szczupaka z Wilji do prezydentowstwa na obiad, ale nie sam jeden. Widać że po moim listku zakręciło panu szambelanowi w nosie, i zaczyna gorętsze już ataki, a ksiądz przeor na swata się kieruje. Biedna więc prezydentowa wzywa mnie do rady wojennej, a nie wiedzą, że przyprowadzę sukurs, który, za pomocą Bożą, uwolni ich od tej napaści.

Hipolit uściskając pana Tadeusza,—dziękuję, rzekł, dziękuję panu za udzielenie tych wiadomości; wzywam pomocy pańskiej, a wzywam śmiało, bo zamiary moje, jakem to panu oświadczył, są czyste i prawe; miłość moja dla drogiej Heleny, dla tego anioła, najprawdziwsza; a jeżeli nie jestem tak bogatym jak szambelan, mam jednak tyle, że mi wystarczy na utrzymanie mojej żony stosowne do mojego i jej urodzenia i stopnia. Ponieważ zaś pan szambelan jutro, jak widać, stanowczo ma się oświadczyć, nie mamy więc ani chwili do stracenia.

— Pomaleńku! pomaleńku! Możemy śmiało zjeść kawalerski obiadek, i potem rozważymy wszystko kategorycznie. . a wola Pana Boga! . . Ja ci z duszy pomogę, bo nie lubię tego dusigrosza i kutwy. Co on lepszego ode mnie? Starszy pewnie o jakich lat kilka, a myśli o ożenieniu z młodą dziewczyną! . . Waryat! . . Kilkaset chat? wielka fanaberya! Nakoniec mam jakąś sympatyę do wasana, panie podkomorzycu!—Poczciwego ojca poczciwy syn!—powiedział onegdaj podkomorzy — i tak z oczu patrzy.

W tem ekscytarz zadzwonił mocno.

— Pół do dwunastej, zawołał pan Tadeusz, zegar na wódeczkę dzwoni. — Jakoż nie ściągając ani minuty, dygnęła we drzwiach pani Stalewska, niosąc w ręku tacę, na której stało z półtuzina flaszeczek rozmaitym likworem napełnionych.

— Z której skosztujemy dla konkokcyi?

— To ajerówka, mości dobrodzieje, to pomarańczówka, a to kminkówka, mości dobrodzieje—recytowała Stalewska.

— A wszystkie mojej własnej fabryki i dystylacyi—przerwał pan Tadeusz.

— Prócz anyżówki, mości dobrodzieju, odrzekła ona; bo choć teraz anyż zupełnie wyszedł z mody, wszelakoż ja zawsze zasiewam i proszę skosztować.

— A może wola będzie na wódeczkę najsławniejszego na świecie fabrykanta?—rzekł znowu pan Tadeusz.

— Któż on taki?

— Czas! moi‧mościpanowie, czas! Ta wódka, mówił koniuszyc, wskazując na flaszeczkę udzielnej formy, jest moją rówienniczką. Postawił ją mój ojciec w roku mojego urodzenia, wypaliwszy datę na beczce, na beczce więc tej, moja najpierwsza metryka. W czasach rewolucyjnych, najpierwej on myslał o przechowaniu Tadeuszówki, bo powiadał: — „*Omnia si perdas, famam servare memento*“ — to jest! gdy wszystko stracisz, dobry trunek zachowaj na frasunek. Tłumaczenie choć nie tak bardzo dosłowne, ale w praktyce lepsze od oryginału; bo przyznacie wasaństwo sami, że w nieszczęściu lepsza pociecha niż sława. Jakoż idąc za taką mądrą maksymą, stracił wprawdzie dwie trzecie szlacheckiej fortunki, ale udało mu się zawsze ochronić nietylko kufkę moję rówienniczkę, ale i dobry zapas z sukcesyi po żodziskich jezuitach, z ich sklepów zaczerpnięty. Ale o tem potem i w swoim czasie.

Zakosztowaliśmy więc anyżówki pani Stalewskiej, i za sprawiedliwe pochwały odebraliśmy kilka uprzejmych dygów.

— Właśnie w czas przybywasz, Bartłomieju, rzekł pan Tadeusz do podnoszącego się ku nam z pod góry starca. Do waszeci z moją staruszką, którą znasz podobno.

— Jakże nie znam? odpowiedział; nieraz ją z rąk pańskich przyjmowałem, jako i teraz przyjmuję.

— Ale gdzież tak długo siedziałeś? — zapytaliśmy.

— Przyznam się panom, że zasnąłem na zapas; bo czas, który tu bawimy, potrzeba będzie nocami nagradzać. Ale cóż robić kiedy, jak my z panem koniuszycem wiemy, dodał mrugając na pana Tadeusza, jest w tem rzecz?

— Tak, tak, jest w tem rzecz, i teraz odkryta rzecz! odpowiedział pan Tadeusz. Dowiesz się o wszystkiem.

— Niech Bóg daje jak najszczęśiiwiej! byle z dobrem panny Heleny... i panicza rozumie się.

Stalewska odeszła, a wkrótce zegar bić zaczął.

Dwunasta *praecise*, rzekł pan Tadeusz, waza na stole, proszę. — Weszliśmy.

— Dla czego na trzy tylko osoby nakryto? Zapewne nie pogniewacie się, że starego Bartłomieja i moją Stalewskę posadzimy z sobą?

I owszem gniewalibyśmy się, gdybyś ich dla nas usuwał.

Lecz dosłyszawszy nas, ukazała się we drzwiach Stalewska, i dygając za każdem słowem — przez *respekt* i *estymę* powinną... my z Bartłomiejem w moim alkierzu obiadować będziemy. Proszę bardzo panicza zezwolić na to.

Ponowiliśmy nasze prośby do staruszki, ale napróżno; bo obok upartej a dygającej Stalewskiej, ukazał łysinę Bartłomiej i odezwał się. — Niechże panowie siadają; barszcz stygnie i nam jeść chce się.

— Cóż mamy robić z upartymi? siadajmy — rzekł gospodarz.

Gdyśmy ruszyli z krzeseł, Azor powstał na swem legowisku,

na którem po przechadzce do borku z trudu odpoczywał, i usiadł poważnie na przednich łapach, zaspałym wzrokiem patrząc na swego pana.

— Azor! pomaleńku, pomaleńku! wiesz swój czas.

Azor podkurczył nogi, położył i wyciągnął ku nam głowę... Niegdyś warować umiał.

Odkrył gospodarz wazę i zawołał:

— Szlachecki nasz barszczyk z rurą!

Szły dalej zadysponowane wierszem potrawy. Wybornego kapłona sama pani Stalewska wniosła Dygnąwszy on nam w jej ręku, stanął na stole; a dzięki znajomości sztuki kucharskiej i dobremu humorowi gospodarza, smaczno i wesoło uchodziły dania.

Krotofilne anegdoty, wierszyki i koncepta dowcipne i dworskie, jakich teraz w płaczliwej i wzdychającej poezyi naszej modnej, nikt nie składa, i których razem z dawną wesołością zaniechano i zapomniano; kłamstwa myśliwskie śmieszne a niewinne, które przy potrawce z kaczek, jako przy źwierzynie, posypały się u pana Tadeusza jak z rękawa; nakoniec własne historyjki miłośne: wszystko to przemięszane informacyami sosów, przypraw rozmaitych i sekretów kucharskich, szło jedno po drugiem i bez ustanku. A lubo rozwlekła i nieprzerwana taka legenda wyznawawała piąty krzyżyk pana Tadeusza i nieprzymuszoną jego bezżeńską swobodę, darować mu jednak to trzeba było, równie jak nudną trochę, metodyczną we wszystkiem regularność, pomnąc, że największa liczba jego wieku i stanu ludzi, nie tylko nudzą, ale jeszcze naprzykrzają się i zrzędzą; kiedy poczciwy koniuszyc, rozwesalać tylko zawsze starał się, i najczęściej dokazał swego.

— Po babce, godnej wielkanocnego stołu, rzekł pan Tadeusz.

— A teraz potrawka prędka,
Z dobrym humorem gawędka.

— Trwa ona i przez cały obiad—odezwał się Hipolit.

— Tak, lecz by żywszą była,

Przy niej winka flaszek parę;
Mało! ale winko stare!
Czwartego pamięta przodka,
Niektar w ustach, w woni myszka
Oliwą płynie z kieliszka,
Kolor topionego złotka.

A co wasanowie na to?

— Znowu poezya! a dalibóg jesteś poetą, panie Tadeuszu!

— Poetą? gdzież znowu! ale tak *ad casum*, czasem coś się uda; to się i zatrzymuje w pamięci dla cytacyi w potrzebie.

Podaj co znajdziesz w drugim pokoju na kominku, rzekł on do chłopca. Stalewska musiała tam nagotować com rozkazał.

Jakoż wyniósł chłopiec z drugiego pokoiku dwie butelki i hlaczek.

— A hlaczek co znaczy?—zapytałem.

— To, rzekł pan Tadeusz, z zapałem podnosząc hlaczek w w górę.

To wypróbowanej cnoty
Medycyna staroświecka!
To na febrę i na poty.
Jakby dryakiew wenecka!

Bo trzeba abyście wiedzieli

Że czasami dla odmiany,
Gdy gość miły i kochany,

a takimi wy u mnie jesteście

Dobywam słodki trojniaczek:
Mało! tylko jeden hlaczek!
Lecz trojniaczek nie od Icki;
Stary miodek jezuicki,
Który z okowanych beczek,
I ze złoconych lampeczek,
Niegdyś synowie Lojoli.
Na fest swojego patrona,
Odśpiewawszy huczne *chorum;*
Ciągnęli skromnie, powoli,
I tylko najmędrsi z grona,
Patres quatuor votorum *).

A co wasanowie na to?—i nie dając nam czasu do odpowiedzi,—bo trzeba wiedzieć, że jezuici, jak farmazony, na różne dzielili się stopnie, i nie każdy bywał dopuszczonym do tajemnic zakonu i do najstarszego trojniaczku, którego taka historya . . Ale wprzód nalejmy. Na co wola!

— Ha! kiedy tak, odpowiedzieliśmy zgodnie, więc po kieliszku miodu.

— Nie po kieliszku, byłoby to *contra bonos mores;* po lampeczce, i to po jednej tylko. Na młodą krew niebezpiecznie więcej; a to – rzekł, odsuwając butelki z winem:

Za zdrowie tej, której imię
Przy kielichu powiem w rymie!

A co wasanowie na to; to *ex promptu!* Trzeba będzie zanotować.

— My na to odpowiemy, rzekłem, wzajemnem zapytaniem, czy nie będzie za wiele? i czy dobrze mięszać trunki?

— A ja powiadam kategorycznie: *Primo.* Znam miarę, do jakiej sobie pozwolić możemy, bo znam cnotę moich trunków; *experto credite. Secundo.* Mięszać złe z dobrem, źle, bo się dobre popsuje; mięszać złe ze złem, będzie najgorsze; ale pomięszać dobre z dobrem, nigdy nie szkodziło, bo się robi najlepsze. „*Addimus aurum auro*“ powiedział jakiemuś niemcowi nasz Skarbek; więc i my śmiało mięszajmy dary Boskie, ale pomaleńku i kategorycznie, to jest: ponieważ trojniaczku, który wybornym jest na potuszenie obiadku, duszkiem pić nie godzi się, więc go jak jezuici, skromnie i powoli, rozlewając po podniebieniu, ciągnąć

*) Był to najwyższy stopień zakonu u jezuitów.

będziemy; a w drugiej kategoryi: ponieważ zdrowie kochanki duszkiem aż do kropelki pić należy, więc na to mamy osobny zapas.

Nalewając zatem miód do pięknych staroświeckich, nizkich a szerokich lampek, zawołał pan Tadeusz Bartłomieja, i wchodzącemu czwartą podając: „to, rzekł szczególniej dla waści, żyjącego na wodzie, posłuży; to miodek jezuicki; na febrę, kto ją ma, i przeciw febry, kto jej nie ma, lekarstwo.“

— Oh! oh! znać po zapachu—mówił kręcąc głową i usiadłszy przy osobnym stoliku Bartłomiej.

— Historya zaś tego miodu, rzekł pan Tadeusz, jest taka *). Kiedy fundował się gdziekolwiek w Litwie zakon *Societatis*, i gdy już wymurowano kościół i klasztor, naznaczony bywał dzień na poświęcenie i wprowadzenie nabożeństwa do kościoła, oraz na poświęcenie także i zaludnienie celek klasztornych Na ten dzień uroczysty przybywała z Połocka beczka *Batorynu*, to jest miodu syconego w roku założenia tam przez króla Batorego bogatego *Collegium* jezuickiego; którego miodu ogromna pipa, wisiała na łańcuchach w sklepach tego klasztoru. Przybyła beczka była kamieniem węgielnym dalszych zapasów sklepowych, i przyjęta z należytą rewerencyą, udzielała się raz pierwszy w dniu tym uroczystym; potem na każdej onego rocznicy, a także na imieniny zakonu, to jest, w dniu S. Ignacego Lojoli, i nakoniec dla chorych na febrę fundatorów, ich potomków, i szczególnych przyjaciół klasztoru. Rozumie się, że co się wybrało, to się wnet dolewało najstarszym z kolei trojniakiem, i takim sposobem Batoryn trwałby w klasztorach litewskich *in saecula saeculorum* gdyby same klasztory dotrwały

Gdy przyszło do kassaty, żywili się sąsiedzi z rozmaitych zapasów klasztornych. Mój ojciec nieboszczyk, który jako dyscypuł szkoły żodziskiej i najbliższy sąsiad, a zatem codzienny gość w klasztorze, kochanym był od wszystkich, wyższego i niższego chóru *patrów* i *fratrów*, dobrał się łatwo do Batorynu, i samą oryginalną beczkę, prawie pełną, otoczoną butelkami wybornego wina, jakby harmatę ostawioną moździerzami, do swojego sklepu szczęśliwie przeprowadził.

Pamiętam dobrze, jak siedząc niekiedy na ganku domu, którego już niema, a sklepy tylko z niejakim zapasem pozostały, ojciec mój pociągał z dobrymi kilku przyjaciółmi jezuicki miodek, a rozmyślając nad upadkiem tak potężnego zakonu, którego był wielbicielem, kiwał głową smutnie, i wypróżniwszy hlaczek z westchnieniem wołał: „*Vanitas vanitatis, et omnia vanitas!*“ Próżności, próżności i wszystko próżność!

— Ojcze Bartłomieju! jeszcze jedną!

— Smaczny! wyśmienity! ale, mospanie, to nie lampeczka wody z jeziora Batorynu; więc lękam się.

---

*) Wiadomość miejscowa prawdziwa.

— Jak to z jeziora?—ktoś z nas zapytał.

— A tak, bo o kilka mil ztąd jest jezioro zwane Batoryno.

— Jakaż przyczyna takiego nazwania?

— Oto dla tego . .

— Odłóż na potem, stary gaduło, twoją legendę o wodzie, a nie lękaj się, i na moje słowo pij śmiało miodek — rzekł pan Tadeusz.

Kiedyśmy się uśmiechali, mrugnął na nas pan Tadeusz, i nalał staruszkowi drugą lampeczkę; a że i my swoje skończyliśmy, więc odkorkował butelkę wina, z której zapowiedziana woń myszki rozeszła się po pokoju Nie dając nam czasu do wymówek, nalawszy kieliszki, podniósł własny w górę i rzekł wesoło i dobitnie.

No, panowie!
Za jej zdrowie,
Z którą w parze
Przed ołtarze
Stań Hipolicie!...
I bądź szczęśliwy na całe życie!
Haust najszczerszy do kropelki
Za zdrowie...

— Aj! Helenki nie rymuje do kropelki! . . to ten miód przeklęty! . . Zaraz. . .

— Owszem, podchwycił Hipolit:

Za zdrowie nadobnej Helki!

— Wiwat! Brawo! Za zdrowie nadobnej Helki!—
I dodał znowu –

Niech będzie zdrowa
Podkomorzycowa!

Tem *ex promptu* podreperowałem się; i co wasanowie na to?
Spełniony toast był odpowiedzią.

— A ty, stary przyjacielu, mówił koniuszyc do Bartłomieja, nie wypijesz tego zdrowia? Tylko ci doleję trojniaczku, abyś z pełnej zaczął, a pij sobie pomaleńku.

Posłuszny Bartłomiej rozpoczął dolaną lampeczkę zdrowiem panny Heleny.

Za zdrowie gospodarza spełniliśmy po drugim kieliszku, gospodarz za zdrowie nasze; i gdyśmy wstali od stołu, pan koniuszyc, idąc za powszechnym wtenczas zwyczajem: „Przepraszam, rzekł, panów za obiadek; lecz zresztą, jeżeliście nie dojedli, to i lepiej —„*Pinguis venter non studet libenter*“—powiadał mój ojciec wyprawiając mnie do szkół; a ja powiadam, że i *non gaudet libenter,* bo człek jak wóz obładowany, ciężko i powoli toczyć się musi

Ach! już po waszej dzisiejszej żegludze! rzekł znowu pan Tadeusz, spójrzawszy na Bartłomieja; sternika do łóżka sterować trzeba.—Jakoż drzemał w krześle starzec, postawiwszy niedopitą szklankę na stoliku; ocknął się wszakże na głos pana Tadeusza, chciał powstać, lecz nogi mu nie służyły i język się splątał. Wzię-

liśmy go więc pod ręce. . .—*Ulaż! Ulaż!* kochany Bartłomieju!—rzekłem prowadząc go do alkierzyka na łóżko pani Stalewskiej. I szedł bez oporu, wymawiając tylko niewyraźnie:

— Pa-nie ko-niu-szy-cu! je-zu-ic-ka sztu-ka!

— Udał mi się wyśmienicie figiel, rzekł pan Tadeusz, gdyśmy Bartłomieja położyli; wiedziałem, że po dwóch lampeczkach stary zaśnie, a za to jutro rzeźwiejszym będzie, jakbyś mu lat z dziesiątek ujął.

— Aleś pomięszał nasze plany. Chyba że zaraz każesz zakładać konie i ruszamy lądem; bo jutro szambelan nas uprzedzić może—rzekł niespokojny Hipolit.

— Owszem naprostowałem plany, odpowiedział koniuszyc Uparty starzec gwałtem by się dziś wyrwał, nie dając nam się naradzić. Teraz zaś przenocujecie tutaj. Pomaleńku i kategorycznie ułożymy plan regularny, i popłyniemy lub pojedziemy razem, czy osobno, jak wypadnie.

Wkrótce rozmarzenie jakieś i nas obejmować zaczynało. Skarżyliśmy się na pana Tadeusza, że nas napoił. . .

— Nie lękajcie się, rzekł on, nie jesteście pijani, lecz tylko, równie jako i ja sam, senni. Przewidziałem dobrze co z nami po jezuickim trojniaczku nastąpić musi. Chodźcie na mój stary lamus; tam stary miodek wytrawim. Stalewska przygotowała już tam łóżka; bo i ona wie dobrze, co się zwykle z gośćmi mymi po Batorynie, dzieje.

Nakarmiony po naszym obiedzie Azor, znając powinność wiernego strażnika, powlókł się za nami, i ociężałym swoim korpusem drzwi lamusu zawalił.

XIV.

Dzwonek z wieży żodziskiego kościoła zabrzmiał nam nazajutrz w uszach, gdyśmy odbijali na płytach od gościnnego domku Pana Tadeusza. Stanęło na tem, że popłyniemy razem do Niestaniszek, i stamtąd razem pojedziemy do państwa prezydentowstwa. Dla rozweselenia, jak powiadał, żeglugi, pan Tadeusz, z gitarą angielską pod pachą, wszedł z nami na płyty.—*Ulaż! Ulaż!* krzyknął Bartłomiej; pośpieszajmy na mszę do Zodziszek.

— Będzie późno—rzekł Hipolit—niecierpliwy—do celu naszej podróży.

— „*Msza nie opóźni, jałmużna nie zuboży*“—mówił ksiądz Błażej, trynitarz krzywicki, o którym wczoraj panom wspominałem, a doświadczyłem tej prawdy nieraz w moim życiu i w moich włóczęgach. Wczoraj straciliśmy wiele czasu na bankiecie, a przespaliśmy jeszcze więcej, bo aż do białego dnia po bankiecie. Jest za co przeprosić Pana Boga, a zatem trzeba mszy wysłuchać, to i wszystko pójdzie pomyślnie. . .Niegdyś, mospanie, Żodziszki były naszą konieczną stacyą żeglarską, mówił dalej Bartłomiej.

Tu przypływaliśmy wszyscy i *staubowaliśmy* się pod kościołem. Najlepiej i najczęściej się zdarzało, bo miarkowaliśmy z miejsca, żeby tu stanąć w sobotę w wieczór, lub w niedzielę przed nabożeństwem. Każdy zatem sternik, ze swoją czeladzią szedł naprzód do kościoła na mszę śpiewaną, z suplikacyą i litanią do Wszystkich Świętych; każdy pomodliwszy się i odśpiewawszy gorliwie „Święty Boże! Święty Mocny! Święty nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami! pewny był, że mu Bóg podróż poszczęści. Potem celebrujący, włożywszy na siebie bogatą kapę i zaintonowawszy po łacinie, szedł z procesyą i z krzyżem w ręku, otoczony asystencyą księży i bractwem z chorągwiami, na strugi. Sypał się lud z kościoła, a nawet panowie i panie szli aż do brzegu, albo i na strugi; bo każdy tak pięknie deskami przymoszczony był do brzegu, że procesya bezpiecznie wejść nań mogła. Na pokładach przygotowano stoliki, białemi serwetami chędogo pokryte, a na nich chleb, sól i woda do poświęcenia *). Koleją wchodziła procesya na każdy strug, cisnęło się pospólstwo, statek kołysał się na wezbranej i głębokiej wodzie. Kapłan, odmówiwszy modlitwy, poświęcał naprzód wodę, potem tąż samą wodą poświęcał strugi, zładowane na nich zboże, i sternika, klęczącego z czeladzią, poświęcił także i pobłogosławił. Tak przeszedłszy wszystkie strugi, wychodził na brzeg, i jeszcze stamtąd krzyżem świętym nas żegnał. Natenczas odbijano od brzegu; razem na wszystkich statkach zaśpiewano pobożne pieśni, które sternik zaczynał, a czeladź chórem dopomagała.

Jeżeli wiosna była wczesna, a Wielkanoc późną, wtenczas każdy śpiewał co mu Bóg na myśl dał. Jedni „*Boże w dobroci nigdy nieprzebrany!*“ drudzy „*Zawitaj ranna jutrzeńko!*“ inni znowu pieśń do którego świętego patrona, jak naprzykład: „*Książe Niebieski Święty Michale! Co ludzkie sprawy ważysz na szale*“ i tym podobne. Lecz gdy zaraz po Wielkiejnocy spław się zaczynał, natenczas po poświęceniu strugów, na wszystkich razem zaśpiewano: „*Wesoły nam dziś dzień nastał!*“ i *Alleluja! Alleluja! Alleluja!* rozlegało się na wszystkie strony. . . Aż miło było patrzeć i słuchać, aż dusza rosła mospanie, jak po szerokiej i bystrej wodzie szły statki z rozpuszczonymi żaglami na wyprzódki, a wesoła pieśń Zmartwychwstania Pańskiego brzmiała wszędy; bo lud wracający z kościoła ciągnął obu brzegami rzeki i śpiewał razem z nami A tak cała Wilja, na obu brzegach i środkiem, huczno i radośnie aż do wieczora śpiewała *Alleluja*; a nawet w nocy, na strugach i po okolicznych siołach, odzywało się jeszcze *Alleluja! Alleluja!*

— Oj . . tak, tak było dawniej! . . dodał staruszek, smutnie kiwając głową; było dobrze i wesoło na świecie! . . . a teraz! . . . pożal się Boże! . . pożal się Boże! . . . Otoż i Żodziszki.

Otoczony ciemnym jodłowym lasem, na wyniosłym brzegu

---

*) Miejscowa wiadomość.

Wilji, wznosi się frontem głównym ku niej zwrócony, obszerny i wysoki klasztor, niegdyś jezuicki, w kształt potrójnego krzyża wymurowany. Po skasowaniu zakonu *), przeszedł on razem z dobrami doń należącemi w dziedzictwo hrabiów Laskarysów, ostatnich podobno potomków niegdyś panującej greckiej rodziny. Dwór ich liczny zajął jezuickie celki i komnaty; pękły klauzury, i po ciemnych korytarzach, niedawno cichemi księży rozmierzanych stopami, przebiegały gładkie i młode dziewice, lub wesołych i swarliwych dworzan cisnęły się hurmy. Na rozłożystej kuchni trwał gęsty i nieustanny płomień po dawnemu; ale w obszernym refektarzu zamiast skromnego zakonnego przy pożywaniu darów Bożych milczenia, przerywanego tylko uroczystym i poważnym głosem czytelnika ksiąg świętych, brzmiały ochocze gwary, śmiechy i wiwaty wesołych rzeszy, zgromadzających się prawie codziennie do gościnnego domu Laskarysów. Po brzegach nawet Wilji, gdzie niedawno między ponuremi jodłami snuli się, jak cienie, ascetycznie i głęboko zadumani synowie Lojoli, teraz powiewały pióra i wstęgi, lub błyskały drogie ozdoby pięknych głów i łabędzich szyi kobiet, świetnemi gronami falujących się nad rzeką i w rzece.

Lecz i to przeszło!... Gmach klasztorny, przetrwawszy te dwie ostateczności, stał się własnością mniej dostatnich dziedziców. Pustki i ruina obejmowały go powoli; opuszczał się on i chylił do upadku, jak starzec, który przeżył swoje potomstwo, i nie miał już troskliwej ręki, czuwającej około siebie. Zapadała jedna po drugiej celka; wiatr przez pokruszone okna i kominy wciskał się wewnątrz gmachu, i pogrzebowym tonem wył po pustych korytarzach. Nocnice i nietoperze zajęły na siedliska sklepy i poddasza; a nakoniec runął środek dachu, i rozbiwszy sklepienia, zasypał gruzami wielką okrągłą salę, niegdyś bibliotekę klasztorną, zaczynając zupełne zniszczenie od najszlachetniejszej części budowy.

W takim stanie półruiny, ujrzeliśmy ten klasztor wpływając do boru, który go otaczał, a na przeciwnym brzegu, długą i głęboką ścianą przegradzał niegdyś i hamował wzrok jezuitów, jeżeliby przeciw powołaniu swemu w świat odleglejszy zajrzeć chcieli. Ciekawość następnych po nich dziedziców, nie ścierpiała tej zasłony, i długim, prostym a szerokim przerębem, naprzeciw klasztornego nad Wilją ganku, przedarła ją na połowę. Oko przezeń sięgając daleko, o milę dostrzega podróżnego z Wilna; i wzajemnie podróżny z Wilna, o milę powitać może białe mury klasztoru. Teraz, też — same białe mury, odbijając się od ciemnych jodeł, między któremi się wznoszą, żałobną oblekały się barwą, a przez kilkanaście spustoszałych okien i przez szerokie szczeliny w murze, zdawało się, że smutne jakieś widma po starych zwykle włóczące się gmachach, urzekającym wzrokiem zajrzały nam w oczy, onie-

*) Historyczne.

miły nas i przykuły do płytów, na których przesuwając się u spodu klasztoru, staliśmy niewzruszeni.

Stary Bartłomiej kiwał zawsze głową, powtarzając swoje — „Pożal się Boże!... Pożal się Boże!“... Pan Tadeusz, po długim namyśle, naśladując Bartłomieja, kiwał także głową i niepomyślne mówił proroctwo — „pomaleńku, pomaleńku i kategorycznie... wszystko zapadnie!“... — Czeladź nawet cała, odjąwszy ręce od rudla, obróciła się ku klasztorowi i osłupiały weń wzrok wlepiła, a płyty niesterowane same się po spokojnej rzece niosły... Przerwał nakoniec powszechne milczenie nasze pan Tadeusz, i rzekł:

— Mówiłem wam, że ojciec mój był uczniem i serdecznym przyjacielem jezuitów! nie mógł on zapomnieć ich upadku.

— Na pamiątkę to zapewne, przerwałem, i beczkę Batorynu z ich sklepu dostał.

— A co wasan rozumiesz? Przy każdem też zakosztowaniu z niej rozpamiętywał dzieje jezuickie, rozpowiadał rozmaite o nich zdarzenia, a przy końcu hiaczka płakał nawet niekiedy.

— Jakąż przyczynę upadku ich naznaczał?

— Ot zwyczajnie złość i zazdrość ludzką, i nic więcej, jak mój tatulo dowodził; nie wdając się w dalekie rozważanie innych przyczyn, a których i ja po dziś dzień nie wiem Czy nie pamiętacie nazwiska papieża, który ich skasował?

— Klemens XIV, po nazwisku Ganganelli.

A tak; tak go i mój ojciec nazywał. Otoż gdy Ganganelli myślał, rozważał i radził się ze swymi kardynałami, jak ma z jezuitami postąpić, gdy modlił się nieborak, błagając Boga, aby go w tym trudnym razie natchnąć i oświecić raczył, przyszło mu na myśl postanowienie, nie skasowania zupełnego, lecz zreformowania zakonu. Napisał więc projekt reformy, i z tym projektem posłał kardynała jakiegoś do jenerała jezuickiego, przemieszkującego zawsze w Rzymie, aby go do przyjęcia bez szemrania woli papieskiej skłonił. Ale jenerał przeczytać nawet nie chciał pisma tego! odsunął dumnie rękę kardynała, podającą mu projekt, i rzekł: „*Sint quasi sunt!.., aut non sint!*“*) — Zasmucony kardynał odniósł papier i te słowa Ganganellemu, a ten powtórzył tylko ostatnie: „*non sint!*“. To „*non sint!*“ padło piorunem na jezuitów i odbiło się po całym świecie.

— Ha! więc własna ich duma zgubiła; i tego uporu chrześcijańskiego zakonnika nie mógł zapewne i ojciec pański pochwalić — rzekł Hipolit.

— Tak jest w rzeczy samej: nie ma co tu chwalić; ale prostoduszny tatulek mój nazywał to wspaniałością animuszu, a Ganganellemu nigdy darować nie mógł, że taki *luminarz* w chrześcijaństwie zagasił... Teraz gdy obaczę gdzie dawniejszy klasztor jezuicki, zdaje mi się zawsze, że widzę na facyacie *grandibus lite-*

---

*) Historyczne.—Życie Klemensa XIV przez *Carracioli.*

ris napisane fatalne: „*non sint!*“ i przypatrzmy się dobrze, czy i tu ich nie ma?

— Są, rzekłem, są, jako i nad każdą ruiną! jako i nad każdą mogiłą! jako i nad każdem dziełem ludzkiem, które czas, lub sami ludzie, podniósłszy wprzód, obalili potem! jako nakoniec i nad nami samymi niezawodnie się wypiszą!...

— I dla tego — rzekł przerywając moją filozofię pan Tadeusz, — trzeba mszy wysłuchać. Staubuj pod kościół, panie Bartłomieju!

— Właśnie w czas świece gasić, gdy ludzie z kościoła wychodzą.

— To jednak, rzekłem, zmówimy choć na progu naszą modlitewkę, panie Bartłomieju! „Kto się w opiekę poda Panu swemu“...

— Całem sercem, panoczku, zmówimy! Oh! wczorajszego wieczoru póki życia nie zapomnę! —

Zgadł Bartłomiej. Wyszedłszy na brzeg, znaleźliśmy kościół zamknięty. W dniu powszednim nie przedłużało się nabożeństwo; lud jednak z miasteczka zachował nałóg codziennego mszy słuchania, za jezuitów jeszcze wkorzeniony, i dla tego widzieliśmy zdaleka, jakby w uroczystość, lub w niedzielę, tłum płci obojej wychodzący z kościoła. A więc zmówiliśmy u progu nasze modlitwy, i na sam kościół rzuciliśmy okiem.

Różnica czasu i ręki budowniczej klasztoru i kościoła uderza tu wyraźnie. Pierwszy, jednocząc w sobie klasztorne razem i pałacowe formy, wykazywał epokę francuskiego po całej Europie, a u nas saskiego budownictwa. Są to, a raczej były, trzy kształtne z podwójnymi wysokimi dachami pałacyki, niższymi korytarzami połączone. Budowniczy myślał i wiedział, że pomieścić ma mężów, pobożnością i powołaniem z życiem zakonnem, a nauką, dostatkami i znaczeniem, ze światem połączonych; dał więc razem klasztor i pałace, spoił *utile dulci*. Pobożny zaś murarz kościoła, który pierwszego przynajmniej o wiek cały poprzedził, samą tylko trwałość domu Bożego mając na względzie, zmurował grube, fundamentalne, bez najmniejszej ozdoby czworoboczne ściany, na nich z tyłu osadził i wzniósł kwadratową basztę raczej, niż wieżę. W strzelnicach pozawieszał dzwony; prostym jedno i drugie nakrył dachem, i żelazne na szczytach utkwiwszy krzyże, otworzył wiernym dom modlitwy, którego poczernione mury zapowiadać zdają się, że pod tym znakiem świętej naszej wiary w późne przetrwają wieki. „*In hoc signo vinces.*“

Domysły nasze utwierdził pan Tadeusz, On bowiem od ojca swego wiedział, że Żodziszki były jedną z najpóźniejszych w Litwie dla jezuitów fundacyą: że kościół i plebanja świecka, dawno przedtem już tu istniały; że jezuici, mając w klasztorze kaplicę do codziennego nabożeństwa, a uroczystości odprawiając w parafialnym kościele, nie śpieszyli się z murowaniem własnego, którego budowa im dłużej się ściągała, tem wspanialszą być miała; że nakoniec już materyały przygotowywać poczęto, gdy owe nieszczęśliwe, „*non sint!*“ położyło koniec wszystkiemu.

XV.

Niedługą już miała być żegluga nasza. Gdyśmy zeszli na płyty i odbili od brzegu, Hipolit dobywał zegarka, patrzał pokilkakrotnie na godzinę, ukazywał mnie ją w milczeniu, a panu Tadeuszowi powtarzał: „Spóźnimy się, koniuszycu, spóźnimy się. Szambelan nas uprzedzi.

— A choćby i uprzedził, odpowiadał koniuszyc, to nic nie szkodzi: prezydentowa wie, że przybędziemy na obiad. —

Niecierpliwy jednak Hipolit nieustannie prosił Bartłomieja, aby pośpieszał.—*Ulaż! ulaż!*—krzyczał staruszek; lecz nakoniec zniecierpliwiony także: „Proś pan, rzekł, Wilji, aby szybciej płynęła; bo ja jej nie popędzę. — Skonwinkowany tym argumentem zakochany, usiadł spokojnie na trójnożku i zapalił fajkę. Siedział już podobnie koniuszyc i stroił gitarę; usiadłem i ja obok Hipolita, i także zapaliłem fajkę; a rzeka w tem miejscu zachylając się ku południowi i okrążając las, za którym zostają i nikną Żodziszki, na szczere wypływa pola. Przejmuje tu ją druga jej druchna, czysta i piękna Oszmiana, którą Wilja przyjąwszy w siebie, nową wspomożona siłą, żywszym nas, gwoli życzeniom zakochanego Hipolita, unosiła nurtem.

— Wczoraj, ojcze Bartłomieju, rzekłem przerywając milczenie Hipolita i brząkanie na gitarze pana Tadeusza, wspomniałeś nam przy trojniaku Batorynie o jeziorze Batoryno; powiedziałeś nam historyę o Pacu; powiedźże jeszcze i o Batorym. To nazwanie jeziora od niego musi pochodzić; gdzież ono się znajduje?

— Czy co o tem wspomniałem? Nie pamiętam. Ale musiałem wspomnieć, gdy dziś pan mi przypominasz.

— Jezioro to może być stąd odległe o mil sześć. Bywam ja na niem niekiedy, kupując sielawki i stynki na post wielki. Okoliczni tam starzy ludzie powiadają, że niegdyś, a bardzo dawno, panowie może lepiej wiecie kiedy, król Batory był tu na Litwie z wielkiem wojskiem; a było to zimą. Noc miesięczna, księżyc świecił jasno, i rybacy na jeziorze, dociągając tonie pod wieczór zarzucone, zebrali się w jedno miejsce, gdzie niewód z pod lodu wychodził. Nagle od strony Miadzioła postrzegli oni migające zdala błyski, które coraz się przybliżały i szykowały rzędem, jakby pochodnie przy kondukcie. Nie długo rozpoznali, że to pancerni maszerują przez jezioro, że to ich zbroje błyskają, i że zbłąkani lub ośmieleni tęgimi mrozami i grubością lodu, chcą dla skrócenia drogi przejść w poprzek jeziora.—Święty Justynie Miadziolski! ratuj ich!—krzyknęli rybacy przelęknieni; bo wiedzieli, że właśnie w tamtej stronie, jezioro głębokie i oparzyste nigdy mocno nie zamarza. Najmłodsi i najżwawsi pobiegli naprzeciw pancernych, ale jedni od drugich bardzo byli daleko. Na zamarzłem jeziorze o pół mili widać jak na dłoni. Krzyczeli także z całej siły,

machali rękoma; ale chociaż noc była światluteńka, nic to wszystko nie pomagało; pancerni w szeregu posuwali się naprzód... Nagle jeden ogromny przeraźliwy wrzask, przerwany, jakbyś uciął rozległ się po jeziorze... Pancernych już nie było! Z hukiem piorunowym pękał lód potem, i po całem jeziorze rysowały się szczeliny, a osłupieni rybacy stanęli jak wryci... Krzyknęli znowu, lecz postępować musieli powolniej i ostrożniej, bo szczeliny lodu coraz szersze aż do nich dobiegały. Nakoniec nadeszli do miejsca, gdzie obszerny przestwór wody, pływającemi bryłami lodu pokryty, jakby staw wielki, burzył się i szumiał wpośród zamarzłego jeziora.. Była to głębia, gdzie kilkadziesiąt konnych króla Batorego pancernych załamało się... i w mgnieniu oka utonęło.

Rankiem mróz się wzmógł, obłam zaciągnął się lodem, i gdyby nie naoczni świadkowie rybacy, niktby nie wiedział, gdzie się podzieli żołnierze, których wieczorem przez Miadzioł przechodzących widziano *). Odtąd jezioro zowie się Batoryno; a długo potem nikt na niem ryb nie łapał, bo powiadano; że karmiły się ciałem topielców; co mogło być i prawdą, bo na wiosnę ani jeden trup nie wypłynął na wierzch, jak to pospolicie bywa; każdego bowiem żelazna zbroja z koniem do ziemi przyciskała.

Z czasem jednak zapomniano o wszystkiem. Nazwisko tylko jeziora przypominało to zdarzenie. Aż przed laty kilkunastu, jakby dla utwierdzenia, mospanie, tej wiadomości, wyciągnięto w niewodzie wielki miecz zardzewiały, czarny jak rożen i kawał zbroi podobny do żelaznego garnka; a jakiś pan z sąsiedztwa, zbierający staroświeckie rzeczy, dobrze rybakom za te graty zapłacił...

Na stos! na stos! Zagawędziłem się, mospanie, i tylkom-co płytów na mieliznę nie osadził. *Na stos! Ulaż!*

— Niemało na Litwie jest pamiątek Batorego, odezwał się pan Tadeusz. Mój ojciec wziął był dziedzictwem po stryju zastaw na dwóch majątkach w powiecie Borysowskim sytuowanych... Jeden zowie się *Stańkról*, a drugi *Milcz!* a oba winne swoje te szczególniejsze nazwiska Batoremu.

— Słuchajmy tej nowej historyi—rzekłem.

— A oto tak było. Król ciągnął z wojskiem i szerokie drogi roztrzebiał przez lasy, w które i teraz Borysowski powiat obfity, a którymi natenczas prawie cały był zarosły. Groble kraglakami wyściełane po rojstach i trzęsawiskach, i studnie po lasach, Batorowskiemi zwane, i teraz jeszcze tam okazują. Raz więc wojska stanęły noclegiem blizko folwarku jakiegoś szlachcica, i zatoczono obozy na polach i łąkach biednego chudopachołka. Swawolne, a może i głodne żołnierstwo, nie miało uwagi na krzyki, skargi i płacze jego; wyrznęło krówki i barany, dobrało się do spiżarni i

*) Miejscowa wiadomość i podanie prawdziwe.

spichrzów i oczyściło je należycie, słowem, nazajutrz szlachcic mógł śmiało iść za wojskiem, bo w domu pustym nie było co robić. Wziąwszy więc żonę i drobne dziatki pod ręce, poszedł na gościniec przejąć króla, którego przy wojsku natenczas nie było. Jakoż go i doczekał się *).

Jechał konno Batory, otoczony świetnym orszakiem rycerstwa. . . Szlachcic powstał, zaszedł mu drogę i zatrzymując konia— stań królu!—zawołał.

Król zdziwiony zapytał, czegoby chciał? Natenczas szlachcic przełożył swoją krzywdę i zniszczenie. Żona i dzieci szlochały; szlachcic z płaczem powtarzał skargi i obliczał straty . .

— Czemże cię mam nagrodzić i uspokoić?—zapytał Batory.

Szlachcic pomyślał trochę i rzekł: „Ziemię na której stoisz, Królu! boć twoja; to starostwo . . —

— Bierz i milcz!—rzekł wspaniały Monarcha, zakreślając ręką w powietrzu jakby granicę darowizny.

— *Vivat Rex!*—wykrzyknął szlachcic uszczęśliwiony.—*Vivat Rex!*—powtórzyło rycerstwo.

Szlachcic zatem na darowanej mu ziemi założył w miejscu, gdzie króla zatrzymał, jeden folwark, i nazwał go: *Stańkról:* drugi zaś główniejszy, w dogodnej gospodarskiej pozycyi, nazwał wyrazem królewskim: *Milcz.* Obadwa trwają aż dotąd.

Nie powtórzyłby zapewne treści tych historyi Hipolit, chociaż mu je nad uchem rozpowiadano, tak był zadumany i smutny. Kiedyniekiedy tylko dobywał zegarka, i spójrzawszy nań, kiwał głową i wzdychał. Niespokojna wyobraźnia przedstawiała mu szambelana przybyłego już do rodziców Heleny, oświadczającego się im. . . Helenę z płaczem i udręczeniem zgadzającą się na wszystko. . . Nakoniec ksiądz przeor stał mu w oczach jak mara.

Widząc stan ten jego, skinąłem na pana Tadeusza i rzekłem: No, kochany koniuszycu, dajże nam dowód twego talentu, i przerwij dumanie Hipolita jaką wesołą piosenką.

— Dobrze. Na tom przecie wziął gitarę. Ale porzuć, podkomorzycu, tę minę utrapioną. Ożenię cię z Helenką. Daję ci na to *verbum nobile.* Szambelanowi, jeżeliby był uparty, pokażemy nasze *Kuchenrejtery.*

— Wszakżeś sam mówił, że szambelan nie wyjdzie, choćby sto razy wyzwany.

— A po dyableż temu pokazywać, który wyjdzie? Tego wyzywaj, który uciecze, to rostropnie! Bądź jednak spokojny. Pomaleńku i kategorycznie dojdziemy swego. „*Amor probatur in adversis,* to jest: *pieczone gołąbki nie lecą do gąbki.* A tymczasem zaśpiewam wam piosenkę na pochwałę stanu małżeńskiego. To jednego utwierdzi, drugiego zachęci.

*) Historyczne miejscowe.

— A pana samego?

— *Praeteritum plus quam perfectum;* jakem to już wam powiedział—rzekł marszcząc brwi pan koniuszyc; i nakoniec przepróbowawszy w kilku akordach gitarę, mocnym, czystym i męskim tenorem zaczął piosenkę:

«Póki myśli w pustem sercu
«Świszczą jak wiatr w pustym domu,
«Póty słowa o kobiercu
«Człowiek wspomnieć nie da komu;
«Póty śpiewa *vivat* ja!
«*Vivat* główka ty moja!
«Lecz gdy rozum doświadczony
«Siądzie jak gospodarz w głowie,
«Trzeba żony! trzeba żony!
«Trzeba żony! on ci powie,
«I zaśpiewa *vivat* ja!
«*Vivat* żonka ty moja *).

Nuta tej piosnki jest prawdziwie rodowitą litewską: tony długie, pełne, mało z początku rozmaite, oktawami tylko odpowiadające sobie nawzajem, wzmagają się coraz i zlewają dobitnie ku końcowi, a cała moc głosu, cała siła męzkich piersi, jednoczy się na ostatnie dwa wiersze składane, jak widać, do chóru swobodnej drużyny. Wesoły kompozytor miał na myśli „hukniem razem“ gdy nutę do tego „Vivat ja“ układał. . . i dla tego ono wypadało z ust koniuszyca jak wystrzał rakiety, ognistym szlakiem wylatującej w górę, tam na drobniejsze rozpierzchało się tony, i spadało potem echem na rzekę i brzeżące ją lasy i jary. . . Dla tego gdy drugą strofkę zaczął pan Tadeusz, to „hukniem razem“ warzyło się już nam w piersiach, i na drugiem „Vivat ja“ wybuchnęło z zapałem i przyłączyło się do chóru. Tak za jednym wesołym wykrzykiem znikł smutek Hipolita; Bartłomiej na każdy *vivat* uderzał rudlem po wodzie i szumem Wilji nam wtórował; Jakóbek nawet, stojąc za nami na jednej nodze, śmiał się sam nie wiedząc czego, ale jednak serdecznie.

Taką wesołą i głośną kawalkatą posuwaliśmy się między malowniczemi brzegami Wilji, w któreśmy znowu minąwszy pola wpłynęli. Pan Tadeusz w coraz lepszy wpadając humor, i skończywszy apologię małżeńskiego stanu, teraz, rzekł, zaśpiewam wam pochwałę wieśniaczek naszych.

Puszczając zatem niedbale wszystkie razem palce po strunach gitary, hucznym akordem wtórował skocznej piosence—

«Jeśli rajem jest Warszawa,
«Ja wieś nazwę niebem:
«Tam nie dają darmo wody,
«Tu częstują chlebem.
«Tam serwatkę drożej płacą,
«Niżli tu śmietana».
Tu Helunia gdyby róża
Nie dla szambelana!

---

*) Dawny tekst.

A co wasanowie na to? *Ad casum* i *ex promptu!*—

— Prawda; bo w oryginale jest, jak mi się zdaje —„Tu dziewczyna gdyby róża, a tam malowana.“

— A tak, tak; ale wierszyk jak proroctwo wymknął się dla podkomorzyca.

Dalej rozochociwszy się pan Tadeusz i podsadzając się do podskoku, a tupając nogą, śpiewał—

«Odrzuciwszy, wszystkie względy
«Światowe na stronę,
«Wolę z młodu w mieście bujać,
«A na wsi brać żonę».

Gitara brzęczała głośno, a Jakóbek skakał za panem Tadeuszem, bijąc rękoma po piętach.

— Otoż i Niestaniszki! zawołał Bartłomiej, przerywając muzykę śpiewy, śmiechy i skoki. Aż mi żal, że się z kochanymi panoczkami mymi rozstać muszę .. A któż wie czy już się zobaczymy? Ja stary... Gdy posłyszycie, że umarłem, to przynajmniej pamiętajcie o duszy Bartłomieja sternika. — Uścisnęliśmy serdecznie poczciwego starca.

— Co tam pleciesz o śmierci? To mi w czas, kiedy my o weselu zamyślamy! Owszem powracaj zdrów z Królewca, nie opóźniaj się, abyś trafił przed weselem, na które cię zapraszamy.

— Przed niewodem rybę łowisz, panie koniuszycu dobrodzieju! Wszelakoż i ja mam dobrą nadzieję... Niech wam Bóg szczęści i błogosławi... *Staubuj! Staubuj!*

Jeszcze więc raz podbiliśmy się pod parów przerzynający gaj dorodnych sosen, z których jedna najstarsza, siedząc na najwyższym i największym cyklu parowu, jak stara stuletnia babka otaczającej ją dziatwy, podrywana ze spodu, dawnoby zeschła i runęła, gdyby poplątane familijnemi ogniwami liczne jej potomstwo, i uczepione za jej nogi, nie utrzymywało ją na brzegu i nie karmiło ją na starość z własnych alimentów.

Pod tą weteranką lasów nadwilijskich wysiedliśmy na brzeg, i pięknemi ścieżkami, któremi właściciel parów ten ozdobił, przeprowadzani przez Bartłomieja i Jakóbka postępującego na czele całej żeglarskiej drużyny, doszliśmy do miejsca, gdzie nas pojazd Hipolita i służba oczekiwały. Jakóbek i towarzysze odeszli z pół drogi, uradowani naszym gościńcem. Bartłomiej szedł dalej, i na samą wzmiankę podarunku, jaki mu uczynić chcieliśmy, odstąpił w tył i rzekł wzruszony — Jakto? Panicze i na moją starą głowę nie pamiętacie?... Chcecie mię kilku rublami z waszej łaski i waszej pamięci skwitować! Nic z tego nie będzie, kiedym ja na to już nie zasłużył... — Nie daliśmy dokończyć staremu, ponowiliśmy nasze uściśnienia. Starzec się rozrzewnił.

— Zapewne jeszcze się dziś zobaczymy, rzekł pan Tadeusz. Nie możesz minąć domu prezydenta.

Owszem, muszę minąć; bo raz tam zaszedłszy, nie mógłbym prędko porzucić. Nazad idąc, nie minę moich dobrodziejów. Teraz przepływając przeżegnam ich tylko, i westchnę do Boga na waszą intencyę.

XVI.

Już była godzina dwunasta; nie mieliśmy więc czasu do stracenia. Co najrychlej zatem zmieniliśmy toaletę, i wnet lecieliśmy po gościńcu, wiodącym do celu naszej podróży. Milczeliśmy wszyscy. Pan Tadeusz szczególniej był zadumanym.

— O czem?—zapytałem.

— Widzisz wasan, odpowiedział, przemyśliwam, jakby nam pomaleńku a gładko pozbyć się kochanego szambelana, i zostać panami placu.

— To będzie za trudno, zwłaszcza w rychłym czasie.

— Pomaleńku. . . i kategorycznie.

— Jakimże sposobem? zmiłuj się, kochany koniuszycu!— zapytał Hipolit.

— Zbliżamy się, nie czas więc rozpowiadać. Na swojem miejscu zobaczymy.

Pół mili w krótkim czasie przebyto: cztery dzielne kasztany niosły nas pędem wiatru;. . . lecz wjeżdżając w brzozową ulicę, postrzegliśmy sześć siwych z tamtej strony Wilji, którymi pan szambelan z księdzem przeorem do brzegu dojeżdżali. My tymczasem stanęliśmy pod gankiem.

Wysiadając rzekł z cicha pan Tadeusz do Hipolita—Podkomorzycu! pamiętaj, że „*Audaces fortuna juvat:*“ toż samo po polsku: dobra mina to grunt!

Spotkał nas w sieniach pan prezydent, wychodzący bodaj na spotkanie szambelana, bo zdziwiony, gdy nas ujrzał,—niespodziani goście!—zawołał. Z czego poznaliśmy także, że prezydentowa nie powiedziała o przybyciu naszem.

Weszliśmy do pokojów i nie znaleźliśmy ani prezydentowej ani Helusi.

— Wjeżdżając w ulicę, widzieliśmy, odezwał się pan Tadeusz, dojeżdżający do promu jakiś piękny ekwipaż: sześć siwych koni i kocz.

— To pewnie szambelan, odpowiedział prezydent; bo ma tu dziś być na obiedzie z księdzem przeorem.

— Czy znowu względem interesu? . .

— Nie, nie, przerwał prezydent z niejakim przymusem; owszem . . to się jakoś ułoży. . . Niema co o tem wspominać.

— A jednakowoż miałbym słów kilka pomyślnych powiedzieć panu w tym interesie—mówił koniuszyc, spójrzawszy na nas z ukosa. Zrozumiano.

— A więc panowie, rzekłem, gadajcie sobie o interesie, a my, nie przeszkadzając, pójdziemy dam poszukać.

— Nie, koniuszycu, to i potem... proszę panów... —jąkał się niespokojny prezydent; ale my już byliśmy w ogrodzie.

— Cóż tam za pomyślność mnie przywozisz? panie Tadeuszu! — zapytał prezydent.

— Nic nadto osobliwego; tylko chcę uwolnić pana od natrętnego kredytora. W każdym czasie możesz mieć pieniądze na zaspokojenie szambelana; a zatem... w dalszych jego projektach... —

— Obaczymy... obaczymy... mówił prezydent, patrząc ciągle w okno. A zkądże te pieniądze? Może wpadnę z deszczu pod rynę?

— Nie lękaj się. Wydasz oblig na moje czy na pana Ignacego imię. Zda się, że obu nas masz za prawdziwych swoich przyjaciół. —

— Cóż znowu? Obadwaście goli. Zkądże te kapitały? Domyślam się... Nie wiem.. nie wiem... Słuchaj koniuszycu, powiedz mi, tylko szczerze, zkąd wam przyszła dzisiejsza tu wizyta? —

Patrzał w oczy panu Tadeuszowi prezydent, oczekując odpowiedzi. Pan Tadeusz spuścił oczy.

— Pomaleńku... pomaleńku i kategorycznie... A gdybym zapytał pana wzajemnie: zkąd dziś przyszła wizyta szambelana? A co wasan na to?

Teraz pan Tadeusz patrzał w oczy prezydentowi, a prezydent spuścił oczy.

Oba milczeli. Prezydent znowu zwrócił się do okna, a pan Tadeusz wyszedł.

My weszliśmy do ogrodu. — Cóś nas bardzo zimno przyjął gospodarz—rzekł Hipolit.

— Nic dziwnego. Obaczył niespodziewanych i niewczesnych gości.

W tem na zawrócie ulicy spostrzegliśmy Helenę z małemi siostrzyczkami. Hipolit wstrząsł się, jak iskrą elektryczną uderzony. Podeszliśmy prędzej. Dziewczyna miała oczy podbrzękłe i spłakane, lica blade, które za zbliżeniem się naszem żywym oblały się rumieńcem. Hipolit z uniesieniem całował jej rękę; siostrzyczki skakały i czepiały się koło mnie; szliśmy tak szeroką ulicą ku furtce ogrodowej, otwierającej się na łąkę, którą czytelnik przypomni.

Byliśmy o dziesiątek kroków od furtki. Hipolit z Heleną poprzedzali nas, i on, ujęwszy rękę kochanki i podnosząc ją do serca.—dziś, rzekł, droga Heleno, ma się los mój...

W tem nagle furtka się otworzyła i pan szambelan z księdzem przeorem zjawili się przed nami.

Helena usunęła rękę swą z rąk Hipolita. Dzieci krzyknęły, a wszyscy stanęliśmy nieporuszeni.

— *Malum signum!* rzekł ksiądz przeor, zdawało mu się, że z cicha, i pokręcił głową; pan szambelan dobył złotej tabakiery, a ja poszedłem do przywitania gości.

— A! witamy panów. Nie spodziewałem się prawdziwie. . .

— I ja nie spodziewałem się prawdziwie. . . — przerwał pan szambelan, pociągając kilkakrotnie tabakę, i patrząc na Helenę i Hipolita. . . W tem żywo postąpił naprzód; więc obejrzałem się, i postrzegłem prezydentowstwo oboje z koniuszycem, zbliżających się ku nam. Wszyscyśmy się więc obrócili i zaszli im drogę.

Prezydent powitał najuprzejmiej szambelana i księdza przeora; o Hipolicie i o nas jakby zapomniał. Natomiast prezydentowa uścisnęła mnie jak syna, a Hipolitowi kilka słów przychylnych powiedziała. A tak wszyscyśmy się poprawili na humorach. Nawet szambelan zapominać zdawał się o *malum signum*.

— Wyglądałem kochanego szambelana od godziny, rzekł prezydent, tembardziej, że ci panowie, którzy tu niespodziewani tylko co przybyli.

— I nieproszeni — szepnął mi na ucho koniuszyc.

— Powiedzieli mnie, że widzieli jakiś piękny ekwipaż, zbliżający się do promu. Rozumiałem więc, że to pan przybywasz, i dziwiłem się, że się tak późnisz. Aż tu nam pan przyjacielską siurpryzę uczyniłeś.

— Ale jako żywo. Właśnie to mój ekwipaż ichmość widzieli: sześć koni siwych, które z własnego stada wybrałem i ujeżdżać kazałem do karety, a dziś pierwszy raz poszły w regularnym zaprzęgu, w koczu.

— A więc zapewne rozswawoliły się na promie.

— Jako żywo? Imajnujcie sobie państwo, to awantura! Kiedy podjechaliśmy do rzeki, ukazały się na niej zdaleka płyty. Nim prom nam podano nim konie i kocz na nim umieszczono, płyty tak się zbliżyły, że trzeba było koniecznie pozwolić im przejść pierwej. Nie kontent byłem z tej mitręgi i krzyczałem na sternika, stojącego na przodzie, aby pośpieszał. Podjął on łysą swoją głowę i przypatrywał się nam ciekawie; po tem krzyknął po razy kilka — *Na stos! na stos!* — i sam silnie rudlem robić począł. Płyty, na prawo się zwracając, szybczej popłynęły. Pomyśleliśmy więc, że sternik rychło i zdaleka chciał nas obminąć, ale wnet przewoźnik krzyknął nań z promu: — Panie Bartłomieju! nie bierz tak *na stos*, bo zbijesz przypromek i sam siądziesz na piasku; — a ledwo to wymówił, już się tak i stało. Niezgrabiasz ten uderzył swoim płytem w całym pędzie o przypromek, zbił go i przewrócił, a sam zarył się na mieliźnie; ja ledwie nie pękłem ze złości. . .

Spójrzeliśmy po sobie z Hipolitem i panem Tadeuszem; bo poznaliśmy przysługę Bartłomieja. On pamiętał, że Hipolit lękał się być uprzedzonym przez szambelana. . .

— Łajałem od czci i od wiary niegodnego starca; a tymczasem przewoźnik nasz przepłynął na czółnie. Rozumiałem, że

się pobiją; ale gdzież tam? Jak na złość nam ściskać się zaczęli, a przewoźnik ani myśląc o prędkiej reperacyi przypromku, odwrócił się do nas i oświadczył, że narządzenie przewozu aż do wieczora potrwać musi, i że radzi nam zwrócić się na Niestaniszki, gdzie także jest prom wyśmienity. Rady sobie dać nie mogłem, bo i niecierpliwość i złość, i mitręga. Przecie ksiądz przeor poradził, abyśmy czółnem sami przejechali, a kocz i konie odesłali na Niestaniszki Zgodziłem się tem chętniej, że chciało mi się rozmówić z panem Bartłomiejem i nauczyć go sternikowstwa. Ale widać domyślił się stary, że to nie przelewki; bo nim my zwrócili konie i do czółna weszli, on łatwiuteńko zepchnął swój płyt z piasku, krzyknął — *Ulaż!* — obrócił się potem ku domowi państwa, nie wiem dla czego przeżegnał go, i usiadłszy na stołeczku, zapalił fajkę i popłynął sobie szczęśliwie; a gdym mu choć zdaleka trzciną groził, jakiś drągal kłaniał nam się niezgrabnie, a razem skakał i śmiał się

Znowu spójrzeliśmy na siebie, bo odgadliśmy Jakóbka.

— Imajnujcie sobie państwó taką awanturę! Jak namówieni. Chyba ja ich nigdy nie złapię!

Weszliśmy do sali, gdzie nas już waza czekała.

Zasiedliśmy więc do obiadu: stół był podłużny. Gospodyni zajęła pierwsze miejsce. Prezydent posadził przy niej szambelana, a tak główny bok stołu został zajętym. Posuwając i pociągając nieznacznie Helenkę, prezydent umieścił ją na początku linii drugiej od strony szambelana, to jest, przy nim, przedzieloną tylko rogiem stołu; przy niej z kolei księdza przeora, sam usiadł obok, a dalej dziatwa. Naprzeciw tego manewru zręcznie także wybraliśmy pozycye; bo z drugiej strony przy prezydentowej, koniuszyc zrozumiawszy taktykę prezydenta, umieścił Hipolita; przy nim sam usiadł, ja obok koniuszyca, za mną druga partya dziatwy. Hipolit więc był naprzeciw Heleny, i żadne jej wejrzenie nie było dlań straconem; wzrok jego owszem mógł razem pieścić kochankę i drażnić ukosem rywala. Rozkosz równa podobno, choć z przeciwnych źródeł płynąca. Koniuszyc przeorowi patrzał w oczy. Ja miałem na baczności wzrok gospodarza.

— Dziwna to jednak rzecz; odezwał się prezydent, że Bartłomiej, który od lat kilkudziesięciu sternikiem, i który niegdyś strugi bez przypadku aż do Królewca przeprowadzał, dziś z prostemi płytami tak niezgrabnie się znalazł; i wątpię nawet czy to on był? bo to stara nasza znajomość. On nas nigdy nie mija.

— Że on rzeczywiście, odpowiedziałem, my najlepszymi świadkami, bośmy cały dzień zawczorajszy z nim razem płynęli, z nim nocowali, z nim wczoraj do pana koniuszyca przybyli, a dziś i koniuszyc, dotrzymując nam kompanii, płynął razem aż do Niestaniszek, gdzieśmy Bartłomieja pożegnali. Możemy też za-

świadczyć o jego prawdziwej wdzięczności i przywiązaniu dla państwa, za dobrodziejstwa, w jego chorobie mu wyświadczone.

— Nie może on zapomnieć i ze łzami nam opowiadał, rzekł Hipolit do prezydentowej, z jaką troskliwością zajmowałaś się pani leczeniem jego, i z jaką anielską dobrocią pani (zwracając słowa do Heleny) pocieszałaś go.

Wejrzenie Helusi zapłaciło Hipolitowi.

— Co to było? i dla czegoście panowie płynęli z Bartłomiejem?—zapytał znowu prezydent

— Polując nad brzegami Wilji, ujrzeliśmy go na płytach. Chęć Hipolita obejrzenia pięknych brzegów Wilji, podały nam projekt wproszenia się doń i płynięcia razem, a konie wysłaliśmy do Niestaniszek.

— To wielka determinacya ichmościów, odezwał się szambelan, płynąc z takim niezgrabnym sternikiem. Chybaście ichmość ufali w przysłowie: „co ma . ."

— Co?—przerwał Hipolit I tem jednem—co?—przeciął mowę i przeciął usta szambelanowi. Oh! wieleż to w tych dwóch literach było nienawiści, grozy, pogardy i zapału?

— Pomaleńku, rzekł zcicha pan Tadeusz do Hipolita, pomaleńku!

— A wiesz, szambelanie, mówił on, że przysłowie, któreś miał na ustach, nie tak tych młodych paniczów, jak bliżej nas z panem się tyczy?

— A to jak?—zapytał zaambarasowany szambelan.

— Oto tak. Chciałeś powiedzieć: „co ma wisieć nie utonie." Ale może nie wiesz, że to jest pierwszy wierszyk piosnki takiej:

«Co ma wisieć nie utonie,
«Los się z ostróżności śmieje.
«Nie dodawaj stróżów żonie,
«Bo i stróże są złodzieje!»

— A któż stróżów dodaje żonom?—naturalnie stare marcowiki, tacy jak ja i pan, gdy ich napadnie chętka żenienia się z młodemi dziewczętami. Druga strofka jeszcze gorzej nam przymawia:

«Z szklanką nie trzeba żartować,
«Bo się stłucze gdy upadnie.
«Młodej żony nie próbować,
«Bo któż przyszłe skutki zgadnie? *)

— Może to panu zaśpiewać po obiedzie, bo mam z sobą i moją gitarę.

Tu wzroki krzyżujące się, jak strzały: prezydenta i szambelana, podwójnym a ciężkiem grotem uderzyły w koniuszyca, ale odbiły się od jego czoła, jak od stalowej tarczy; Hipolita ostry i szyderczy utopił się w szambelanie; pana Tadeusza rozstrzelił się na wszystkie strony, jak śrót z rozsypującej broni; mój uderzył w sufit, a księdza przeora, który mało dosłyszał, a mniej

*) Dawna piosnka.

podobno zrozumiał, padł na ogromnego szczupaka, którego właśnie wniesiono.

— *Magnificus! magnificus!* — wykrzyknął przeor.

— Zaczynajże go, *Reverendissime!* — rzekł prezydent, zwracając blat ku niemu, ukontentowany sam, że niechętne domówki wzięły koniec.

— „*Lucionem a cauda, carpionem a capite lauda!* — rzekł na to przeor, zatapiając nóż w szczupaku i krając sobie porcyę podług przysłowia.

— Tak, tak, mówił gospodarz; i po tem przysłowiu idzie wraz drugie, które wypełniać należy.

«Post pisces, vinum misces.
«Si nos misces, ingemisces.»

— Wczoraj i jednego i drugiego przysłowia, rzekł znowu przeor, próbowaliśmy na karpiu i na węgrzynie u szambelana, a dziś tu wypróbujemy na szczupaku.

— I na francuskiem wprawdzie, ale niemłodem winku, rzekł nalewając prezydent; a tak doświadczenie będzie zupełne.

— W moich kanałach mam mnóstwo karpiów; nietrudne więc obiady na piątki, i soboty, odezwał się szambelan. Jeżeli prezydentowa dobrodzika pozwoli, to rad będę żywemi karpiami przed każdym postem przysłużyć się.

Prezydentowa skinęła grzecznie głową. Tą gospodarską przysługą, szambelana nagle zaskoczony koniuszyc, nie mógł się od razu złożyć, ale niedługo wszakże bił na odwrót; uśmiechnął się wnet, złapawszy plan odporny, i rzekł—podkomorzyc kochany zimą zasypie nas sławną trocką sielawą, której zapewne we własnych jeziorach ma dostatek.

Szczęściem Hipolit mógł bez kłamstwa potwierdzić wezwanie koniuszyca.

— W Trockiem, rzekł on, tak wielka jest liczba jezior, że przysługa moja państwu byłaby zbyt dla mnie łatwą.

— At, dla wszystkiego zapytam się, pomyślał prezydent, i zapytał — Pan ma własne jezioro?

— Mam ich kilka—odpowiedział Hipolit.

— To pan musisz mieć wielkie dobra w Trockiem?— dodał szambelan z niejaką ironią

— Mniejsze daleko od pańskich tutaj.

Na tem się utarczka przerwała, i do końca obiadu obojętną rozmowę przeciągali jakkolwiek przeor z panem Tadeuszem. Wprawdzie szambelan odezwał się razy kilka do Helusi, ale odebrał parę tak, tak, niewartych ani jednego rzutu jej oka, które przypadkiem zapewne padały na Hipolita.

Nakoniec dał się słyszeć turkot pojazdu na dziedzińcu, i my wstaliśmy od stołu.

— To zapewne moje konie nadeszły—mówił szambelan.

— Każże szanowny panie, odejść im do stajni.

— Z ochotą. Lecz może państwo dobrodzieje raczycie obejrzeć moją sześciórkę? Każę objechać po dziedzińcu.

— Dobrze, rzekł prezydent, pójdziemy.—Ale sam tylko on wyszedł z szambelanem i z przeorem na ganek. Damy poszły do pokojów. Hipolit za niemi, a koniuszyc skinął na mnie, i wyszliśmy do ogrodu.

— No! rzekł on, nie daliśmy się pokonać w małych potyczkach.

— Owszem, rzekłem, wyszliśmy zwycięzko; stawałeś dzielnie, i dałeś odrazę nieprzyjacielowi.

— Tak, ale to jeszcze nie przykłada się do zupełnej wygranej. Nieprzyjaciel stoi jak za murem, za ojcem, i ten do ostatka bronić będzie. Czas nagli; pomaleńku więc i kategorycznie opowiem ci moje plany, które wraz wykonywać potrzeba, bo na palcu szambelana niedarmo błyska dyament. On, nie zważając wcale na nas, i ośmielony tak widoczną preferencyą dlań prezydenta, lada chwila oświadczy się.

— Musielibyśmy więc i my wystąpić.

— Miałem ja, gdyście wyszli do ogrodu, konferencyę z prezydentową. Ona jest całem sercem za podkomorzycem, i powiedziała mi nadto, że Helusia wyznała jej dlań swoją skłonność. Jednak biedna dziewczyna gotowa pójść za wolą rodziców; i starać się będzie zapomnieć jego, kiedy taka będzie wola Boża. Jeżeli więc podwójne nastąpią oświadczenia, wszyscy będą w kłopocie, a w największym Helusia. Ten głupiec jak zacznie sypać zapisami, brylantami, folwarkami, może aż do inwentarzów przyjdzie; bo jak ja z gitarą, tak on wozi się zawsze z tabelką swojej intraty, i pewny jestem, że i teraz ma ją zanadrą; a prezydent, zakładając szczęście córki na bogactwie, gdy tylko odkryje swe życzenie w obecności szambelana, to on na nic nie zważając, potraktuje pannę pierścieniem. Matka będzie płakać, ale naprzeciw mężowi nie wystąpi; i kiedy najlepiej wykierujemy się, to wyjdą obie strony na odkład, a z odkładu nie ma ładu! A co wasan na to?—

— Nie, koniuszycu! znam Hipolita. Prędzejby odszedł w milczeniu i wyzwał potem szambelana, niżeliby narażał Helenę i jej rodziców na takie przykre koleje.

— No, to znowu awantura, i nic potem. Więc w tem cała nasza nadzieja, aby szambelana nie dopuścić do oświadczenia się, i aby on sam wyrzekłszy się wszystkiego, *proprio motu* zrejterował się sobie szczęśliwie; a wtenczas nikt spodziewam się, nie popędzi za nim. Otoż cała *sapientia* mojego planu, do którego wypełnienia masz należeć natychmiast.

Tu mi wytłómaczył dokładnie wszystko, co miałem czynić i mówić, ukazując topograficznie po ogrodzie ścieżki, po których postępować byłem powinien.

— A pan sam?—zapytałem.

— Co wasanu do tego? Dość ci wiedzieć, że fałszu wmoim

planie ani trochę nie ma. Zresztą liczę na głuchotę szanownego przeora. Wracajmy. Szepnij podkomorzycowi, aby był cierpliwym, i zajął przez jakie półgodziny prezydenta opowiadaniem o swojem gospodarstwie w Trockiem.

Gdyśmy weszli do sali, znaleźliśmy w niej szambelana, odbywającego tajemną konferencyę z przeorem. Szambelan szeptał mu na ucho.

— Dożywocie! krzyknął przeor; rozumiem!. . .

— Cicho, *Reverendissime*, cicho!

— A jaż cicho i mówię.

— Słyszysz? szepnął na mnie koniuszyc. Ani chwili do stracenia, bo wypali . . Bierz go na konfessatę.

Weszliśmy jednak razem do pokojów. Tam matce i córce, siedzącym razem, łzy się w oczach zwijały. Prezydent milczał, a Hipolit roztargniony rzucał słowa bez związku i bez myśli. . . Chwila stanowcza widocznie się zbliżała . . Wstał on, gdyśmy weszli, i na skinienie moje poszedł za mną do drugiego pokoju.

— Na miłość Boga! co będzie? dla czego mnie opuszczacie?— rzekł cały wzruszony.

— Gdy ja i koniuszyc wyjdziemy z pokojów, zajmij na półgodziny prezydenta jakąkolwiek zajmującą dlań rozmową, naprzykład o gospodarstwie; bądź cierpliwy, a reszta. . . jak Bóg da.

Wyrwałem rękę zatrzymującemu mnie Hipolitowi, zwłaszcza, że koniuszyc rzucił na mnie bystrem okiem, i wyszedłem do sali, a zabrawszy całą myśl na instrukcye pana Tadeusza, przystąpiłem do szambelana.

— Pozwoli szambelanie dobrodziej o kilka chwil czasu. Mam do pana trochę interesu.

— Prawdziwie czy nie możnaby odłożyć. Właśnie potrzebujemy wejść do pokojów i . . zabawić damy.

— Wszakże nie są same jedne, a mój interes jest razem i pańskim. Wreszcie długo pana nie zatrudnię.

— Cóż mam robić kiedy tak koniecznie? Wraz powrócę;— głośniej dodał—*Reverendissime!* zaczekaj tu na mnie.

Wyszliśmy więc do ogrodu z panem szambelanem.

Ogród staroświecki państwa prezydentów zarosły był kilku długimi i gęstymi szpalerami z lip starożytnych, około których po obu stronach szły drożki, i kilka ławek drewnianych do odpoczynku. Na prawą stronę jednego z tych szpalerów zwróciłem pana szambelana, tak, że nam zakrył szpalerem dom i wejście z sali do ogrodu.

— Cóż tedy masz mi pan powiedzieć?—zapytał niecierpliwie szambelan.

— Usiądźmy, rzekłem na ławce.—Usiedliśmy.

— Proszę nie zwlekać—rzekł on znowu.

— Bynajmniej.

Myślałem jednak, że mi czas przedłużać trzeba jak najuważniej, nim koniuszyc nie da jakiego hasła, bo nie wiedziałem jego roli.

— Pan masz kilka tysięcy rubli u pana prezydenta.

— A panu co do tego?

— Niech się pan nie gniewa. Czy pan się zgadza na przelew tego kapitału?

— Dziwna propozycya!

— Nie tak bardzo, mości szambelanie! pan przed kilku dniami upominałeś się o ten kapitał u prezydenta. On szukał przyjaciół, którzyby go wspomogli. Ja mam honor liczyć się w ich rzędzie, a zatem . .

— Ależ ja nie myślę handlować obligami, mości dobrodzieju, i otwarcie mówiąc, wolę mieć oblig prezydenta niż pański.

— Ja też nie myślę takiego handlu panu proponować; a przypomnienie pańskie, żem niebogaty, przypisuję niewyrozumieniu się naszemu. Nie papierem za papier, ale gotowymi pieniędzmi zapłacę panu oblig prezydenta.

— A dobrodzieju! zkądże flota zawinęła?

— Tak, tak, przypłynęliśmy aż do Niestaniszek— ozwał się z drugiej strony szpaleru głos koniuszyca. Odetchnąłem wolniej, posłyszawszy sukurs.

— Ale mniejsza o to. Siadajmy tu na ławeczce, *Reverendissime*, bo ja mam z jegomościem trochę pod sekretem pomówić.

— Jakaż jest pańska determinacya? Panie szambelanie dobrodzieju!

— *Reverendissime* tu w swaty przyjechałeś?

— To jest tak. . . niby!—krzyknął przeor.

— Moja determinacya?. . . pan pytasz?

Szambelan ambarasował się i cicho ku szpalerowi nachylał.

— A wiesz, *Reverendissime*, że godząc na wesele. . .

Tu cicho szeptał pan Tadeusz, a dosłyszeliśmy tylko — pogrzebu!

— Mów głośniej, wrzasnął przeor, bo właśnie na prawe ucho gorzej głuchy jestem.

— Podobno są i zaległe procenta?

— Tak. . . tak. . . są.

— Powiadam, *Reverendissime*, że godząc na wesele, mówił głośniej i dobitniej pan Tadeusz, możesz stać się przyczyną nie jednego pogrzebu.

— Jakiego pogrzebu? Co pleciesz?

— Matki, córki, szambelana; a może i podkomorzyca; bo któż to zgadnie?

— Nie rozumiem. Ale mów prędzej. Chyba żartujesz!

— Wcale nie żartuję, i w tem właśnie miałem przestrzedz jegomościa pod sekretem.

— Ja nikomu nie powiem.

— Pod sekretem, to się znaczy, aby nas tu kto nie podsłuchał; bo owszem będziesz mógł pan, a nawet i powinieneś, przestrzedz kogo należy.

Zrozumiałem teraz wyraźniej moją powinność. Potrzeba mi było wrzucać słowa interesu o kapitał między rozhowor za szpalerem, aby utrzymywać na miejscu szambelana, tak jednak, aby mię przeor nie posłyszał. Trudnoby mi to przyszło, gdyby sam szambelan nie zainteresował się tym rozhoworem, pobudzany nadto z ciekawości umyślnem zniżaniem niekiedy głosu koniuszyca.

— Podkomorzyc jest tu w nieodmiennem postanowieniu... szambelana . .

— Co szambelana?

— Wyzwać na pojedynek, powiadam.

Szambelan się wzruszył, ale piiniej natężył uwagę.

— A za co?

— Cóż myślisz? panie szambelanie! o kapitale?—rzekłem.

— Potem o tem, potem o tem. Pozwól pan dosłuchać tej szczególniejszej rozmowy. Wszakże powiedział pan koniuszyc, że dla mnie nie ma sekretu.

— Jak wola pańska.

— Dziwna kwestya, za co? Czyż *Reverendissime* nie poznałeś tego, że obadwa... z panną Heleną...

— Co z panną Heleną? niedosłyszałem.

— Obadwa chcą się żenić z panną Heleną, która nienawidzi szambelana a kocha podkomorzyca.

Szambelan zerwał się z ławki... i posunął się iść.

— A zkądże ta wiadomość, wrzasnął przeor, że ona nienawidzi szambelana?

Szambelan usiadł znowu, ciekawy także zkąd ta wiadomość?

— Z ust własnej jej matki, mówił tu znowu głośno, dobitnie pan Tadeusz, która poleciła mi, aby tobie, *Reverendissime*, pomaleńku i kategorycznie oświadczył: *Primo*. Że będziesz miał na sumieniu, jako kapłan, jeżeli przyłożysz się do nieszczęścia dziewczyny, która przez posłuszeństwo dla ojca może wprawdzie oddać rękę szambelanowi, ale przymus ten zrobi ją na całe życie nieszczęśliwą, a może i o śmierć przyprawić. Otoż masz po weselu jeden pogrzeb, *Reverendissime! Secundo!*...

Szambelan spuścił głowę i zamyślił się.

— *Secundo*. A pamiętaj, *Reverendissime*: że to nie moje słowa, ale matki, która i dotąd napłakała się dosyć, a resztę zdrowia zrujnuje patrząc na niefortunne życie córki. Broń Boże zaś na nią śmierć, to przy podeszłym wieku prezydentowej pewny drugi pogrzeb; a obadwa padną na głowę i sumienie jegomościa dobrodzieja...

— Jezus! Marya! Józef! zawołał przeor. *Averte Domine oculus meos!* Umywam ręce...

— Dziękuję, księże przeorze! miałem po co przywozić?— mruknął szambelan.

— Tak wypada i tak należy, *Reverendissime!* A to jeszcze nie koniec. Może być i trzeci pogrzeb, bo jak to panu mówiłem. . . proszony jest przez podkomorzyca. . . piśnie . . na pistolety.—

— Ha! co? kto piśnie na pistolety? Mów z łaski swojej głośniej i wyraźniej, bo *periculum grave*, trzeba rychło zaradzać.

— Otoż powtarzam, że pan Ignacy, mówił głośno koniuszyc, uproszonym jest przez podkomorzyca, aby szambelana, jak tylko on piśnie słówko z oświadczeniem się o rękę panny Heleny, wyzwał na pistolety. Ot masz i trzeci pogrzeb, *Reverendissime!*

— Ach! ty nic dobrego—pomyślałem.

-- Ja to? krzyknął szambelan odskakując ode mnie; pan mnie masz wyzywać, i na toś mnie tu wyprowadził?

— Wcale nie na to, panie szambelanie! Prawdziwy mój interes powiedziałem panu, i czekam jego determinacyi; lecz. . .— mówiłem dalej biorąc go za rękę.

A otoż oni obadwa za szpalerem odzywają się. . .

— Cicho, *Reverendissime!* Czekajmy na czem się skończy.

— Lecz jeżelibyś pan, nadużywając przewagi, jaką bogactwem swojem zjednałeś u prezydenta, chciał żądać w małżeństwo niechętnej dla pana, a przychylnej przyjacielowi memu panny Heleny, to jest: jeżelibyś chciał uczynić nieszczęśliwą ją samą, jej matkę i przywiązanego do niej młodzieńca, w takim razie miłość, rozpacz i sprawiedliwa zemsta. . . powodując podkomorzycem, sprawić może . . że przy oświadczeniu pańskiem . będę musiał . . Ale się pan upamiętaj! Czyż postępek pański, mogący być przyczyną takich nieszczęść, będzie szlachetnym, honorowym i sumiennym?

Szambelan patrzał w ziemię, stał milczący; nakoniec wyrwał ode mnie rękę, i rzekł odwracając się nagle:

— Pojedynku waćpanów nie lękam się, bo na to jest prawo. . .

— Prawo honoru, przerwałem.

— A gwałtem nikogo na kobierzec ciągnąć nie myślę. . .— I poszedł śpiesznym krokiem do pokoju.

Szedłem za nim, ale pot mi wystąpił na czoło; bo tak ciężką odegrałem rolę, chociaż i słowa jednego niesprawiedliwego nie powiedziałem. Wyszedłszy z za szpaleru, postrzegłem przeora i koniuszyca, postępujących drugim bokiem szpaleru także ku budynkowi.

— Czy widzisz, *Reverendissime!* jak zmyka szambelan? mówił koniuszyc. Zapewnie ten paliwoda, (wskazując na mnie), nie wytrzymał i wyzwał go przed czasem; a całego tego kłopotu jegomość przyczyną.

— Jak? za co? Czy mogłem przewidzić, że starania moje *circa connubium* prezydentówny za takiego bogacza, jak szam-

belan, skończyć się mogą na takiej katastrofie? Dla tego do niczego już się nie wmieszam.

— I najlepiej zrobisz, *Reverendissime!* Więc radziłbym jegomości nie wchodzić nawet teraz do pokoju i przejść się nieco po ogrodzie, nim się tam rzeczy ukartują.

— Dobrze mówisz. Róbcie tam święty pokój. Ja tymczasem odmówię nieszpory i na cały wieczór wolnym będę.

Tymczasem szambelan przebiegł salę, wpadł do sieni, i znalazłszy tam swego lokaja — zakładać konie natychmiast! — rzekł. Lokaj poleciał do stajni, a szambelan [illegible]ł do sali i spotkał się ze mną wychodzącym do ogrodu.

— Piękna intryga, panie dobrodzieju!

Wszedł pan Tadeusz i przerwał rozmowę. Wszyscy trzej weszliśmy do pokojów.

— A gdzieżeście tak długo bawili? odezwał się prezydent. Już miałem iść szukać kochanego szambelana. Tu mnie ten pan, (ukazując na Hipolita) przekonywał, że bardzo pożytecznym jest dla gospodarza trzymać owczarnie merynosów, jak on nazywa, o czem u nas ani słychać. Jak pan o tem sądzisz? Panie szambelanie! Jesteś gospodarzem zawołanym Młodość zwyczajnie chwyta się nowości, ale my starzy... doświadczeni chcę mówić...

— Tak, tak, panie dobrodzieju!—odpowiadał na to siadając, to wstając, to podchodząc do okna, a kręcąc w ręku tabakierę szambelan.

— Jak to? i pan jest za merynosami?

— I owszem... nie, nie, panie dobrodzieju, to jest podług tego jak wypada... panie dobrodzieju!...

Prezydent, zdziwiony bezzwiązkowemi odpowiedziami szambelana, spójrzał nań uważniej i łatwo dostrzegł zmiany jego na twarzy i niespokojności w oczach

— Co to jest panu? zapytał. Może nie domagasz?

— Owszem, nie, wcale nie, panie dobrodzieju!

Prezydent więc, ściskając go za rękę—szambelanie kochany! rzekł, bądźmy dobrej myśli. Żono! każ podać wina. Pokropimy jeszcze tego szczupaka. Gdzież nasz ojciec duchowny?

— Mówi pacierze w ogrodzie, odpowiedział koniuszyc. Powiadał mi, że jak odmówi teraz nieszpory, to będzie wolny na cały wieczór.

Prezydentowa wyszła aby spełnić polecenia męża; a twarz Helusi dotąd pogodna zachmurzyła się na nowo.

— A cóż to znaczy? szambelanie — odezwał się prezydent, przechodząc około okna, w które bez ustanku zaglądał szambelan.—Zdaje mi się, że pańskie konie zakładają?

— Tak... tak panie dobrodzieju!

— Zkąd ta nagła odmiana? i co za niespodziany pośpiech?

Proszę kochany szambelanie, każ odłożyć konie, i jeżeli to jest tylko prosta ceremonia, to między przyjaciółmi niepotrzebna.

— Nie, nie, panie dobrodzieju! muszę . . muszę, panie dobrodzieju! . .

— Dziwi mnie to bardzo. Czyby ktokolwiek w moim domu panu ubliżył? patrząc na nas dodał prezydent. Proszę pana wytłómaczyć się raczej otwarcie, niżeli ubliżać mnie takim odjazdem bez przyczyny.

Helenka wyszła, rzucając na mnie wzywającem okiem.

— Nie. . . nie . . i owszem, prezydencie dobrodzieju, i owszem . . Wszelakoż, mimo łaskawych względów pańskich, intryga . —

— Już pan drugi powtarza to słowo, i nie życzyłbym sobie usłyszeć go raz trzeci, przerwałem, bo ono jest niesprawiedliwem, i tem bardziej obraża, że pan sam wiesz o tem dobrze.

— Co to wszystko znaczy? mości panowie? jakie to zagadki? Nikogo z panów nie wypuszczę nim nie będę wiedział o wszystkiem.

— Pomaleńku i kategorycznie. . .

W tem szambelan, spostrzegłszy swoje konie pod gankiem, chwycił za czapkę, i—do nóg się unižam prezydenta dobrodzieja rzekł, do nóg się uniżam.

— Sfiksował czy co u licha? panie szambelanie!—wołał prezydent, idąc za nim; a za prezydentem my wszyscy postępowaliśmy.—Panie szambelanie! zaczekaj! chwilkę tylko zaczekaj!

— Tak, tak, panie dobrodzieju, żadną miarą, żadną miarą; do nóg się uniżam, prezydencie dobrodzieju! . . .—Siadł do kocza i ruszył.

Gdy już był pod bramą, pan Tadeusz; jakby przypomniawszy, zawołał, niebardzo jednak głośno—Czekaj, szambelanie! zapomniałeś socyusza! Ale gdzież tam? Widać gniewa się i na niego; rwie z kopyta! Z Panem Bogiem.

«A jeśli odjeżdżasz, bądźże zdrów!»

Wtem ukazał się i ksiądz przeor.

— Cóż to znaczy? *Quid significat? Camerarius ubi?*

— *Ibi*, odpowiedział pan Tadeusz, wskazując na kocz w ulicy brzozowej; ale bądź spokojny, szanowny przeorze; odwiozę cię sam mojemi karemi aż do klasztoru.

— Dla czegoż uciekł?

— Zrozumieć nie mogę, rzekł prezydent zachmurzony. Domyślać się muszę, że jest przyczyna, przede mną dotąd ukryta, którą gdybym wiedział.

— To cóż? przerwał koniuszyc; tobyś się pan popędził za uciekającym z pańskiego domu, w którym najuprzejmiejszych doznał względów, a większych jeszcze mógł się spodziewać?. . . Prawdziwie byłoby to prosić go jak o największą łaskę, aby się. . .

— Dość tego, panie koniuszycu! przerwał niecierpliwie prezydent.

I ja tak mówię; że dość. Idźmy skosztować wina, którego szambelan pić nie chciał; a pomaleńku i kategorycznie dowiesz się, prezydencie, o wszystkiem. —

Wracając do pokojów Hipolit ściskał mnie za rękę; wskazałem mu nieznacznie koniuszyca, który z tryumfalną miną patrzał na nas i uśmiechał się wesoło.

Nie zapominając skinienia Helusi, poszedłem jej szukać, i znalazłem matkę i córkę w apteczce, rozmyślające nad tem, co się stało, i co się stać mogło. Wytłómaczyłem więc im przeszłość i przygotowałem do zbliżającej się tuż przyszłości. Jakoż słońce nim zaszło, szczęśliwy Hipolit obrączkę ślubną swej matki, którą zawsze na ręku nosił, ujrzał na palcu Helenki; a ksiądz przeor, wypróżniwszy kielich za zdrowie zaręczonej pary, odchylając głowę, — i po-bło-go-sła-wię — powiedział.

RANEK PRZED ŚLUBEM.

„.......... a gdy jest ten zwyczaj.....
„Że się posag naznacza, intercyza pisze,
„I gdy o formalnościach tych od pana słyszę,
„Najprzód więc proszę wyznać otwartemi słowy:
„Jak wielki będzie posag i czyli gotowy?

Komedya P. P.

I.

— Marysiu! czy jeszcze wszyscy śpią?—zapytało młode i ładne dziewczę, leżąc w łóżku, u wchodzącej na palcach sługi.

— Śpią wszyscy, odpowiedziała Marysia; ale czemu panienka nie zaśnie? Tak późno wczoraj poszli spać: Dziewiczy wieczór panienki długo wszyscy pamiętać będziemy. Na folwarku nawet wyskakaliśmy się, że aż nogi bolą. Ja weszłam, bo posłyszałam, że panienka nie śpi. Czy nie chora broń Boże panienka?—

— Nie, moja kochana, zdrowa jestem.—

— A czegoż panienka płacze? — Marysia bowiem spostrzegła u swojej panienki pełne łez oczy.

— Płaczę? Czyż ja płaczę? — I w rzeczy samej dziewczyna nie czuła, że łzy płynęły jej po jagodach! lecz otarłszy ręką oczy, poznała, że prawdę mówiła Marysia.

— Ej, moja kochano panienko, po co płakać, smucić się i zdrowie psuć? Pan Hipolit taki dobry, taki piękny, młody panicz, tak panienkę kocha!—

— Ale czy zawsze tak będzie?—pomyślała dziewica, która dziś wianek mirtowy na czepek zamienić miała.

— Obróć się panienka na drugą stronę i zaśnij jeszcze. Co się przyśni, to przyciśnij. Raz—dwa—trzy—cztery—ach! wszak to czwarta biła, jeszcze bardzo rano! . . — Odeszła więc Marysia, chcąc sama spełnić swą radę, której końca nie słyszała nawet narzeczona.

Uderzona godzina ponawiała w jej duszy myśl smętną, kilkakrotnie już tej nocy dźwiękiem zegaru obudzaną, że oto godzinę bliżej do stanowczej w jej losie chwili . . do ślubu! Nim ta chwila jest daleka, dziewczyna żąda jej usilnie, roi sobie życie szczęśliwe mężatki, gospodyni domu, pani uwolnionej z pod uległości, do jakiej ją stan dziewiczy nachyla. Rozrywa ją, zajmuje i cieszy zatrudnienie ol ło wyprawy; w jej żywej wyobraźni tysiąc powabnych maluje się obrazów, na których ona samą siebie wieńcem z kwiatów otoczoną w perspektywie spostrzega. Ale gdy już nadchodzi zblizka moment porzucenia rodzinnej strzechy, serce bierze górę nad wyobraźnią; w sercu skład miłych jej wspomnień; one się obudzają wszystkie, i serce tkliwie się z niemi na rozstaniu żegna. . Żal dziewczynie swego pokoiku, żal małego kątka, w którym się tak spokojnie i mile zasypiało; żal ogródka, w którym tyle kwiatów jej ręką zasianych rozkwita; żal pieszczot codziennych tak ukochanej i tak kochającej matki; żal dobrotliwych utuleń ojca; żal nawet sług faworytek, z któremi wieczorami przy kominku poufała prowadziła się pogadanka, tak, że w dniu tym, w którym zakochany młodzieniec, spragniony celu najgoretszych swych życzeń, leci doń gwałtownie, jak podróżny na ostatniej mili, to narzeczona dziewica, ten cel jego życzeń, nie zbliża się doń wzajemnie; owszem w nieokreślonych jakichś uczuciach niepewności, trwogi, tęsknoty, gniewu nawet, podaje zapaleńcowi drżącą i niechętną rękę, z postacią, z jaką podług Miltona, pierwsza na świecie narzeczona przyjęła pierwszego na świecie kochanka, ojca naszego Adama.

Z powolnością się łączy jakaś skromna pycha,
Co tem bardziej pociąga, że trochę odpycha.

Czyż serce czułe moich czytelniczek, cofnięte ku takim chwilom, lub jej oczekujące, nie przyświadczy moim wyrazom?. . .

W takiem rozrzewnieniu i obłędzie, piękna Helenka przebyła bezsennie noc całą; nakoniec po odejściu Marysi natura przemogła troskę, i usnęła dziewica na kilka godzin.

Już słońce dobrze się w górę wzniosło i z okna do okna przechodząc, budziło rozespanych gości gdy, przepędziwszy noc równie bezsenną, poczciwa a przywiązana do córki matka, weszła do jej pokoju. Spostrzegłszy ją śpiącą jeszcze, zbliżyła się cicho i stanęła nad łóżkiem.

Sen uspokoił wzburzoną krew dziewicy, i ta krążąc swobodnie, miłym rumieńcem krasiła jej lica; pierś oddychała wolno, a cała postać spoczywała w niewymownym wdzięku, jakim Bóg młodość i niewinność ozdobić raczył.

Przez kilka chwil matka patrzała z upojeniem na tę najdroż-

szą sobie istotę! Oh! jakże głęboką jest miłość matki ku swemu dziecięciu! .. Ona jest cząstką jej własnego życia! Związek ich jestestw po urodzeniu nawet nie osłabia się; owszem trwa mocniejszy jeszcze, bo zwiększony wolą i miłością, gdy przed urodzeniem jest tylko mimowolnem wypełnieniem praw natury. Miłość ta przenika w najskrytsze tajniki serca matki, zalewa je rozkoszą, lub targa okrutnie stosownie do szczęścia, lub niedoli jej dziecka! I czegożby za to szczęście dziecka swego nie dała ona, i jakiejże poręki, jakich cnót, doskonałości, dostatków, wymaga ona i życzy od tego, od którego to szczęście ma zależeć? i jakże drogo ocenia ona skarb, który mu powierza! – Moje kochane dziecię! – wyrzekła nareszcie pocichu najtkliwszym głosem matka, stojąc nad łóżkiem uśpionej dziewicy. Przebudza się ona; dosłyszała ją bardziej uczuciem niż słuchem, i rzuca się w objęcia matki. .. Długi czas upłynął, zanim ta spójnia ustami, sercem i łzami sklejona, rozdzieliła się nakoniec! . . .

— Moja droga Heluniu! rzekła matka, od Boga zaczynajmy dzień, dla ciebie i dla mnie najważniejszy w życiu. Uklęknijmy przed tym obrazem Matki Boskiej. Jam go w dniu swego ślubu od mojej matki dostała! zawiesiłam go potem, gdyś się urodziła, nad twoją kołyską, przed nim nauczyłam cię pacierza i teraz więc zmówmy modlitwę, prosząc o Jej świętą nad tobą opiekę —

Zarzuciła na się szlafroczek dziewczyna, uklękła obok matki i obie rozpoczęły litanję do Najświętszej Panny. „Ucieczko grzesznych! Nadziejo strapionych!“ z jakiemże głębokiem błaganiem i uczuciem przez obie wymawianem i po kilkakrotnie powtarzanem było! Nakoniec matce i córce łzy polały się potokiem, gdy modlitwę ofiarowania: „Pod Twoję obronę uciekamy się“ mówić zaczęły! Modlitwa ta domowa i codzienna do opiekunki i orędowniczki wszelkich próśb, potrzeb i nadziei, przerwała się łzami i zakończyła się nowemi uściski i nowem wzajemnem wylaniem się miłości macierzyńskiej i dziecinnej.

Wtem gromada młodziutkich i ładnych rówiennic panny młodej, drużek na dzień jej ślubu zebranych, wpadła z głośną wesołością do pokoiku, niosąc kosze pełne kwiatów, bujnemi perłami rannej rosy odświeżonych. Pokoik napełnił się wonią róż, bzów i jaźminów, i zaczęła się toaleta panny młodej, której my assystować nie będziemy.

II.

Tymczasem w jednym z pokojów bawialnych siedział od rana za stolikiem jeden z gości, podżyły i łysy jegomość. Gryzł on pióro, gryzmolił, mazał; znowu gryzmolił i znowu mazał; nakoniec zapisany cały arkusz schował zanadrę, wstał i przechadzał się po pokoju, jakby oczekując na kogoś.

Jakoż drzwi się otworzyły nie bawiąc, i wszedł gospodarz domu, ojciec panny młodej, prowadząc za sobą przystojnego mło-

dzieńca, ubranego wytwornie, jak przystało na dzień weselny, a postępującego niedbale i niechętnie, nucącego wesołą jakąś piosenkę.

Pan prezydent, (czytelnikom nie obce są już niektóre osoby tego obrazu) postawił, przyprowadzonego i czekającego ichmościów, jednego przed drugim i rzekł: — To pan podstoli, mój dawny i dobry przyjaciel—rekomenduję! To pan rejent, kuzyn i przyjaciel mojego przyszłego zięcia—rekomenduję!. . . —

— No, pogadajcież tu asańswo z sobą rozumnie, ułatwijcie wszystko jak należy finalnie; rozumie się czarno na białem. Wiecie o co rzecz idzie i kwita. Nie bałamućcie tylko długo, bo za godzinę ślub.

Po tej krótkiej, ale zwięzłej, przemowie, wyszedł pan prezydent i zostawił obu ichmościów, stojących naprzeciw siebie tak, jak do rekomendacji postawił. . . Obaj więc zmierzyli siebie oczyma . . Wzrok pana podstolego, starego jurysty, był jakby kota przemierzającego z pogardą szczura, który się ośmielał z nim mierzyć . . Wzrok młodego pana rejenta pół-szyderczy, pół-przenikliwy, mógłby się porównać do wzroku lisa, poglądającego z nad jamy na charta, którego się nie boi . . Spotkawszy się tak oko w oko, obadwa spuścili oczy . . Nastąpiło kilka chwil milczenia! Nakoniec pan podstoli, nie doczekawszy się zaczepki, wyjął z zanadry srebrną tabakierę, postukał nią w dłoń, otworzył poważnie, pociągnął długą szczyptę do nosa, i podniósł ją przeciwnikowi. — Holenderka . iż tak rzekę! . . —Ten wziął delikatną szczypteczkę i ukłonił się grzecznie. Znowu milczenie . . więc przerwał je nakoniec pan podstoli i klaskając w dłoń rębem tabakiery, rozpoczął konferencyę miodopłynnie, z uśmiechem i pomaluteńku.

— Jesteśmy tedy użyci, mości rejencie dobrodzieju, jako wspólni łączącej się pary, iż tak rzekę . . (tu zażycie znowu holenderki) przyjaciele, abyśmy ułożyli, jak to zwyczajnie bywa i koniecznie być musi w takich okolicznościach, pewne, iż tak rzekę, przedślubne zabezpieczenie funduszu dla panny, która los swój powierza zacnemu ze wszech miar i godnemu podkomorzycowi, kuzynowi i przyjacielowi pańskiemu, a którego ja prawdziwie kocham, i, iż tak rzekę . weneruję . . Uproszonym ja będąc przez pana prezydenta, to jest, przez ojca rodzonego panny młodej, abym napisał formalne, jak to panu nader wiadomem być musi. . . iż tak rzekę . . tranzakta ku temu celowi służyć mające . . (tu znowu nastąpiło długie wygładzanie tabakiery, stukanie po niej palcami i zażycie holenderki) a na myśli: —młody paniczu, im bardziej cię znudzę i zniecierpliwię, tem prędzej zgodzisz się na wszystko, nie czytając nawet do końca dokumentu. —

— Otoż tedy ułożyłem, mości rejencie dobrodzieju, dokumencik, iż tak rzekę . . *ad casum* stosowny . . . jak mi się zdaje, i jak mi się to nie raz już wydarzyło, który asyndziejowi zakomunikuję . . Nie jest to *reforma*, mówił dalej wyciągając z zanadrza papier; bo widzi pan *reforma*, jak to sprawiedliwie powia-

dają, jest tylko iż tak rzekę. . . *forma*. . . ale ja widząc i pojmując afekt podkomorzyca prawdziwy i gorący. . . iż tak rzekę. . . dla prezydentówny, podaję mu zręczność okazania tego w dowodzie. . . równie jako też zjednania dla siebie zaraz na wstępie przychylności rodziców przez uległość i zupełne, iż tak rzekę . . wypełnienie ich troskliwości, z czego wróżyć naturalnie będą . . .

— *Ad rem*, panie podstoli dobrodzieju, *ad rem*, przerwał rejent,—słucham samego dokumentu.—

— Aha! nie dotrzymałeś! pomyślał stary. A właśnie *ad rem* oto i zaczynam.—

„Hipolit *etc*.. pod wszystkie niżej wyrażone *vadia*, warunki i *ligamenta*, *libere ac benevole* submittujący się. . "—

— Oh! oh! tak, panie podstoli dobrodzieju, przerwał znowu rejent, jest to ciężkie *ligamentum* ten stan małżeński; i sam jegomość możebyś *libere ac benevole* . . —

Zarwany nagle w najdotkliwszym punkcie, zapomniał się podstoli, opuścił papier, ręce i oczy podniósł w górę i wykrzyknął:— Oh! oh! oh! tak, tak, szalone *ligamentum!* Niech jej Bóg nie pamięta!. . . iż tak rzekę . . Daj Boże rozum przed szkodą!

Rozśmiał się pusto rejent, a postrzegł się stary jurysta, że wcale niewczesną przed nieznajomym rozpoczął małżeńską skargę: zmieszał się więc i zamilkł; przetarł potem tabakierę, postukał w dłoń . . - No, to co innego, rejencie dobrodzieju, rzekł nakoniec, to co innego.—

— Tak, aktualnie co innego, odpowiedział rejent; ale ja też chciałem tylko napomknąć, że ktokolwiek ma coś *libere ac benevole* postanowić, powinien wprzód dobrze się namyślić; co gdybyś i pan był uczynił, ta fatalność małżeńska, na którą się pan uskarżać zdajesz. . . może i niesłusznie. . . —

Ale stary lis dwa razy złapać się nie dał; pociągnął mocno tabaki, i patrząc przenikliwie w oczy rejentowi — oho! myślał, młody, ale szpak! Jak mnie zręcznie z drogi sprowadził! Trzeba się mieć na ostróżności.

— No, po co tam, zacny panie rejencie dobrodzieju, te obce *circumstantiae! Ad rem*, jak sam powiadasz, przystąpić potrzeba; bo i czas nagli, i, iż tak rzekę. . A zatem czytam dalej dokument - „*libere ac benevole* submittujący się, czynię wiadomo niniejszym donacyjno-assekuracyjno-obligacyjno-inekwitacyjno-dożywotnio-zastawnym prawa zapisem *tenoris ut sequitur*." „Iż ja, pojmując w stan święty małżeński jaśnie wielmożną Helenę. . . . prezydentównę, i konsyderując w tem szczególniejsze dla mnie względy jej rodziców, oraz w rekompensę afektu ku mnie samej mojej przyszłej żony i osobliwszej dobrodziki, postanowiłem *mea ex parte* dać jej i darować summę złotych polskich sto tysięcy!"

— Sto tysięcy w rekompensę afektu! — pomruknął regent i zagryzł usta; a pan podstoli, spójrzawszy nań z podełba, zażył holenderki.

„Którą to summę, jako dług rękodajny, sposobem i prawem

zastawy na majątku moim. . . *etc.*—Szło dalej dożywocie, ewikcya, poręki, i żelazne jak obuchem zaklinowanie końca dokumentu.

— A więc mości rejencie dobrodzieju, rzekł doczytawszy podstoli; nie pozostaje teraz, jak przepisać na papier stosownej waluty, który mam oto przygotowany. . .—

— *A de quibus?* przerwał żywo pan regent; wiele *de quibus?*

— Co to ma znaczyć *de quibus?* —

— Jak to? Pan nie wie co to znaczy? Przecież od tego zacząć należało. —

— Mości rejencie? nie rozumiem. Znam aryngę wszelkich tranzaktów i spodziewam się . . iż tak rzekę . . —

— Nie idzie o aryngę, mości podstoli! Na tem owszem treść rzeczy! *De quibus* wyraz techniczny, znaczy toż samo co dawniej pod poduszką, a pod poduszką wiesz pan co znaczy? oto. . . — Tu pokazał wyrazisty i nader znajomy gest liczenia pieniędzy, i zatrzymawszy palce nad dłonią, czekał odpowiedzi.

— Rozumiem, a raczej, iż tak rzekę, dorozumiewam się, pan chcesz wiedzieć o posagu panny młodej? —

Rejent kiwnął głową, powtórzył pantominę na ręku i znowu czekał . .

— Prawdziwie, mój szanowny panie, nie spodziewałem się, iż tak rzekę, kwestyi; zwłaszcza przy takiem skoligaceniu się, szczęściu, którego tak bardzo pragnął podkomorzyc, nie wypadałoby. . . iż tak rzekę . . wprowadzać materyi mogącej wszystko zepsuć . . Wszelakoż mogę *praeter propter* opowiedzieć mému dobrodziejowi *status rei* co do posagu prezydentówny. Oprócz bogatej wyprawy *w pretiozach, mobiliach* i rozmaitych kobiecych ochędóstwach, oszacowanych przeze mnie samego jak najtaniej, (że nie wspomnę. . . iż tak rzekę . . wiana), wiedzieć nadto potrzeba, że babka dzisiejszej panny młodej, przez głowę matki, z domu Kosieleckich, *primo voto* Baranowska, *secundo* Kozłowska a *tertio* Sarnicka, wniosła znakomitą summę w posagu; lecz przechodząc przez trzy, iż tak rzekę, gniazda, w każdem zostawiła *progeniturę;* stąd *post fata* tej pani wyniknął proces pomiędzy konsukcessorami, w którym przy sprawiedliwości, iż tak rzekę . . i staraniu. . . teść przyszły podkomorzyca, w stopniu żony swojej a matki dzisiejszej panny młodej, uzyskał już rozmaite *judicata,* z których *eventa* pomyślne dla naturalnej sukcessorki . wróżyć mogą z macierzystości . . i wróżą, iż tak rzekę . . w swoim czasie. . . —

— Ależ mój panie podstoli, przerwał rejent, nie mówmy o ewentach, wróżbach, nadziejach i procesach. Znowu muszę panu powtórzyć *de quibus, in paratis* co?. . . — (i znowu znajoma pantomima na ręku).

— Dziwi mnie mocno, odpowiedział sam już zniecierpliwiony jurysta, dziwi mię to, iż tak rzekę, że w rzeczy tak ważnej używasz pan żartu, zwłaszcza ze starszym towarzyszem jednej broni.—

— A więc bez żartu, mości podstoli, odpowiem panu, rzekł

młodzieniec, zmieniwszy ton i postawę, bez żartu! Tak panie! Jesteśmy wprawdzie, jak pan powiadasz, towarzyszami jednej broni, i to prawda; ale broń pańska stara, zardzewiała, poszczerbiona; piłuje a nie przecina, nie służy na zaczepkę; bo starym wykrętem jak starym rapierem, twardej zbroi zdrowego rozsądku nie przebijesz; nic nie warta do odporu, bo nie dotrzyma pierwszego ciosu ostrego rozumu i zdruzgocze się na cząstki. A tak widzisz, mości podstoli dobrodzieju, że choć jedną bronią wojujemy, ale gatunek jej odmienił się zupełnie. —

— Komparacye te, mości rejencie, do czego iż tak rzekę, mają zmierzać? —

— Czyż mię pan nie rozumie? Oto znaczą one, że wyobrażenia zdrowsze, prostsze i sprawiedliwsze wynikły z czasem i w zatargach procesowych i we wszystkich umowach i układach; że wyszło z mody łapanie fortuny fartuszkiem; że małżeństwa łączyć się powinny wzajemną skłonnością, wzajemnym szacunkiem, i taką jest właśnie para łącząca się dzisiaj; a zatem, panie podstoli dobrodzieju, projekt pański jako dawnego *autoramentu*. . . —

— W młodej dziecinie nauka słynie! przerwał kręcąc głową i pociągając holenderkę pan podstoli. — Wszelakoż, mości rejencie, ostrzegam pana, że gdy niema zgody na ten projekt dawnego *autoramentu*, konkluzja może być taka że z tego piwa nie będzie i kwasu, i że od kobierca nawet się wracają częstokroć, jeżeli *pignus sufficiens*, iż tak rzekę, dla zapewnienia losu panny nie jest dostateczny, lub gdy go zupełnie pan młody odmawia, jak oto właśnie tu się zdarza. —

— Zepewnienie losu i spokojności ukochanej od nas i nam się zupełnie powierzającej osoby jest bezwątpienia sumienną powinnością dla każdego, kto związkiem małżeńskim życie swe podwoić pragnie; i tego miłego dlań obowiązku krewny mój, pewny jestem, że nie uchybi; ale żona nie powinna brać z góry od przyszłego swego męża pieniędzy, jakby na zastawę i ewikcyę przyszłego szczęścia ani też kupować to szczęście u obojętnego sobie i dla siebie mężczyzny, bogatą gotówką, także z góry przed ślubem upewnioną. Uszczęśliwiający jest zwykle uszczęśliwianym nawzajem; ale kupiony tak lub owak jest zawsze niewolnikiem.

— Remonstracye te moralne, mości rejencie dobrodzieju, które prawisz mnie jegomość jak z partesu, iż tak rzekę mogą być poniekąd i słuszne, ale się nie kwadrują z postanowieniem prezydentowstwa względem ich córki. Suplikuję więc jegomościa, aby się nad tem zastanowił, póki jeszcze choć trochę mamy czasu; abyś skomunikował się z zacnym podkomorzycem: niechby on się dowiedział o co idzie, od czego zależeć może tak pożądany dlań sukces? *Tandem*, mości rejencie dobrodzieju, pewnym być mogę i zapewniam mego dobrodzieja, dodał po krótkiej pauzie z cicha i pociągając mocno holenderki, że, gdy układ proponowany przeze mnie dojdzie szczęśliwie. . . zwykłe, iż tak rzekę. . . *hono-*

rarium. . . od prezydenta, *cum duplice* nawet, dla nas obu traktujących ten interes. . . —

— Zrzekam się, przerwał z gniewem rejent, na pana i *honorariów* i *honoru* z traktacyi. —

Wtem trzaski wielokrotne z' biczów i turkot licznych pojazdów, zajeżdżających przed ganek, rozległy się na dziedzińcu Ruch nadzwyczajny dał się słyszeć i spostrzegać w całym domu. — Na miłość Boga mości rejencie; krzyknął podstoli, upamiętaj się! Oto zachodzą pojazdy do ślubu, a my nic jeszcze nie zrobiliśmy! Czy zwarjowałeś?—*Respice finem!!!* Możnaby zresztą uczynić niektóre; iż tak rzekę, modyfikacye w dokumencie. . . Wiesz co? Odstępuję tytułu zastawy! . —

Uśmiechnął się rejent, lecz uprzedził odpowiedź jego wchodzący żwawym krokiem ojciec panny młodej.

— A cóż? zapytał on, skończyliście tu swoje?

— Nic dotąd . . iż tak rzekę

— Jakto nic? Przecież przyrzekłeś mi, stary ciemięgo, że dokument gotowym będzie!

— Gotowy! Gotowiuteńki! Idzie tylko o przepisanie na czysto i podpis; coby także już dotąd dopełnionem było, gdyby ze strony pana młodego nie zaszła . . iż tak rzekę, protestacya!

— Jaka protestacya! o co protestacya?

— Co to ma znaczyć? panie rejenciel -- rzekł obracając się doń prezydent.—Czy kuzyn pański, a mój przyszły zięć, nie chce zapewnić funduszu dla mojej córki?

— Zapewnienie funduszu dla córki należy, zda mi się, panie dobrodzieju, do jej rodziców.

— Filozofia! rzekł z gniewem prezydent.—Krótko a węzłowato: czy pan Hipolit nie zapisuje stu tysięcy Helusi?

— Nie.

— Nie?

— Nie!

— Przyczyna?

— Powiedziałem ją panu podstolemu. —

Ukłonił się pan rejent i wyszedł.

— Cóż on wasanu powiedział?—odezwał się prezydent.

— Co powiedział? A dyabeł nam tu nadał tego fraczkowego sensata! Prawił on mnie tu perory i kazania, iż tak rzekę, moralne o wzajemnych skłonnościach, o szablach, o rapierach!

— Co? wyzywał wasana na pojodynek?

— Na pojedynek? a broń Boże! Lubo, gdym mu remonstrował konsekwencye z uporu pana młodego, czy jego własnego, przeciw woli pańskiej, a nawet gdym mu dał *ad intende*, że przy dopełnieniu żądanych układów czeka nas z munificencyi pańskiej *certum quantum* . . iż tak rzekę lubo, mówię, zamiast wdzięczności, młodzik ten okazał pewny rodzaj pospozycyi dla mnie, i mogło by zajść na kłótnię, wszelakoż ja dla świętego pokoju wolałem znieść wszystko z temperamentem, abym tylko doprowadził

rzecz do końca. Naprożno jednak! naprożno!

— Otoż nie naprożno!—krzyknął rozgniewany prezydent.— Cóż to? chce mnie panicz na dudka wystrychnąć? Bierze dziewczynę jak malinę, której szambelan krocieby zapisał, a on nic nie chce? Hola, hola, panie młody, jeszcze nie po ślubie!

— Ależ konie zaszły do ślubu, mości prezydencie.

- Konie zaszły, to i odejdą! Nic z tego nie będzie, powiadam wasanu, nic! nic!. . . —

Mówiąc to prezydent, szerokim i szybkim krokiem rozmierzał pokój, gryzł palce, tupał nogami, niecierpliwił się i gniewał. Za nim chodził podstoli i uspokajał rozgniewanego.—*Temperament*, mości prezydencie, *temperament*!. . . iż tak rzekę . .

— Idź do stu dyabłów ze swoim *temperamentem!* Nie masz zapisów, nie masz i wesela! Na tem stoję i na tem koniec! Niech konie odchodzą!—

Zbliżającemu się do drzwi z porywczym tym rozkazem prezydentowi zastępował zawsze drogę podstoli traktując holenderką i powtarzając — *Temperament*, mości prezydencie; *temperament!* Poradzić się wypadałoby imości. . .

— Po co tu babskie rady? Moja imość, to nie twoja imość, która ciebie sławnego jurystę wodzi za nos jak . . jak . . małe dziecko! A nareszcie moja żona równie kocha córkę i dba o jej los, jako i ja; a zatem. . .

Odsunął prezydent stającego naprzeciw siebie jurystę i zbliżał się znowu do drzwi w zamiarze wydania rozkazów stosownych do powziętego postanowienia; ode drzwi jednak zwrócił się raz jeszcze. Nie szło mu o zdanie żony, bo w rzeczy samej umiał on być panem, może i zanadto samowładnym w swoim domu, a takowemu panowaniu łagodna i dobra żona jego ulegała bez szemrania; lecz kochał on szczerze i matkę i córkę, a znając, że wybrany młodzieniec na zięcia, posiada i serce córki, i wszelkie przymioty, rokujące dla niej szczęście, niełatwo się odważał na krok porywczy, mający zachwiać, a może i zniszczyć tak dobrze upewnione nadzieje obydwóch i własne nawet, zasadzane równie na przymiotach osobistych, jak i na stu chatach pana młodego. Chciał on rady mądrej, któraby pogodziła dwa przeciwne sobie interesa i widoki; czuł potrzebę prędkiej determinacyi, bo coraz głośniejsze i tłumne zebrania się w przyległych pokojach nagliły stanowczą chwilę. Dałby wiele za to, gdyby ktokolwiek mocnym argumentem na tę lub ową stronę go nakłonił i skończył niecierpliwą jego niepewność! . .

III.

Tymczasem weselna a wesoła kompania, zebrana od niejakiego czasu w pokojach, czekała na ukazanie się panny młodej. Uprzedziło ją dwoje aniołków, zwiastujących jakoby szczęście i

wesołość dnia tego, to jest: dwie małe i milutkie jej siostrzyczki wbiegły i wyniosły na tacy mnóstwo związek z mirtu i rozmarynu, a przypinając je wszystkim nieżonatym, życzyły każdemu rychłego ożenienia. Nie jeden, odbierając z ich pięknych i drobnych rączek weselny ten podarunek, na życzenia odpowiedział lub pomyślał: poczekam aż ty wyrośniesz. Z próżną tacą wróciły się one za drzwi zawarte, które za chwilę otworzyły się znowu na oścież, i wyszła ubrana do ślubu panna młoda. . . Prowadził ją brat starszy i pan Tadeusz, jako swat i kawaler, a szły za nią też same dwie siostrzyczki, które wprzód bukiety, a teraz wianeczek mirtowy na tacy niosły.

Szmer uwielbienia, podziwiania wdzięków i powszechnej życzliwości, przyjął ją w zgromadzeniu!. . . —Ach! jakże ładna! Jakżeś szczęśliwy!— powtarzano nad uchem panu młodemu Rzucił on okiem najżywszej miłości na swoją ulubioną i spotkał jej źrenice, w których łzy błyszczące oczekiwały, zda się, pobudzającego wzroku kochanka. Potoczyły się więc jak brylantowe ziarna po jagodach dziewicy, a uniesiony Hipolit rzekł żywo do stojącego obok swego krewnego, pana rejenta, którego już znamy:—Władysławie! zgubiłeś mnie! Nie mogłem zgadnąć twego postanowienia ani uporu. . . Idź zapisz mój cały majątek. Niech ojciec nie truje spokojności tego anioła, dziecka swojego, i mojego szczęścia!. . . Ach! mój drogi! mógłżebym ją utracić? Idź, zaklinam cię, idź, nie zwlekaj ani chwili!. . .

— Bądź spokojny, mój kochany, odpowiedział Władysław — za godzinę będziesz jej mężem. Wyprawiłem ja kogoś, który lepiej odemnie i bez zapisów przemówi do chciwego na nasze sto tysięcy tatulka.—

Pan Władysław bowiem opuściwszy, jakośmy to widzieli, prezydenta i swojego kolegę jednej broni, podstolego, wyprowadził koniuszyca z kompanii, i oba razem udali się do matki, wywołali ją z pokoju, w którym ona córkę ubierała, i po krótkiej z nią konferencyi, w której niespokojność na twarzy matki, a łagodne i szlachetne przekładania w poruszeniach i wyrazach pana Władysława, wspomagane kategoryczną perswazyą koniuszyca, postrzegać i słyszeć można było, wrócili oba do kompanii. Matka wróciła także do córki, kończącej się ubierać, i przyzwawszy syna i pana Tadeusza, poleciła im prowadzić Helenę po błogosławieństwo rodzicielskie; sama zaś osobnem przejściem udała się do męża. A tak w jednej i tejże samej chwili panna młoda do zgromadzenia weselnego, a matka jej do pokoju, gdzie się jej mąż znajdował, wchodziły.

W najgorętszym właśnie paroksyzmie był prezydent.

— Moja duszo! gdzie jesteś? i razem, gdzie wasani siedzisz?

— Gdzież miałam być? Ubierałam córkę naszą kochaną do ślubu.

— Nie będzie ślubu, moja pani, nie będzie! Nasz pan zięć mianowany, nie kocha naszej córki, a zatem i mężem jej być nie

może! Nie chce zapewnić jej losu nie chce zapisać jej nędznych tam stu tysięcy. A jakaż to miłość? jakież to przywiązanie? czego tu czekać? i czego się spodziewać? Młody chłopiec, jak mu wierzyć? Sprzykrzy się mu żona, ot i po wszystkiem! wypędzi ją, i powróci do nas bez kawałka chleba, a może jeszcze i z dziatkami . . Nie mogę więc zezwolić na ślub, póki nie będę miał podpisu kawalera na tym papierze (trzymał bowiem w ręku ów fatalny pana podstolego dokument) Ty sama kochasz twoje dziecko, a zatem powiedz jej . . .

— Nie, mój mężu! ja jej tego nie powiem! . . ja jej tego nie powiem . . Wychowałam ją w bojaźni Boskiej, w miłości cnoty, w uległości dziecięcej, w skromności i dobroci anielskiej; ufam Bogu, że ją pobłogosławi, że będzie ona dobrą, łagodną, przywiązaną; a dobrej, łagodnej, przywiązanej, bogobojnej żony żaden mąż jeszcze nie wypędził z domu swego. . . Ja jej tego nie powiem! kończyła płacząc rzewnie. Ty sam idź, powiedz jej twoją wolę. Nie sprzeciwi się ona biedna tobie; ale pamiętaj, że odbierając jej kobierzec i małżeńskie łoże, gotuj dla twojego dziecka całun i trumnę! . . bo nie przeżyje ona rozłączenia się z tym, którego za naszem zezwoleniem ukochała, i wstydu, jaki na nas i na nią spadnie z tak gorszącego twego postępku! . . . A ja nieszczęśliwa matka! ja nieszczęśliwa cóż pocznę? cóż poradzę? Rozpacz mojej Helusi zabije i mnie bez czasu!— Załamała ręce i zachodziła się z płaczu strapiona niewiasta . . Stanął jak wryty ojciec, uderzony taką niespodzianą a energiczną i czułą apostrofą żony swojej; wzruszyła ona go do głębi, bledniał i czerwienił się na przemiany . . a w tej chwili drzwi się otworzyły, i weszła córka... za nią pan młody między mną i panem Władysławem, a za nami wszyscy.

Na okazanie się w całej ozdobie wdzięków, niewinności i czułego rozrzewnienia ukochanego dziecięcia, serce ojca gwałtownie bić poczęło, uparte osłupienie jego mimowolnie we łzach topniało! Nagle wyobrażenie szybkie, jak błyskawica, powtórzyło mu przed oczyma świeżą przepowiednię żony, i tęż samą postać anielską dziecięcia jego na całunach i w trumnie przed nim złożyło . . . Wstrząsł się przerażony! Znikła, przepadła, jakby jej nigdy nie było, myśl o zyskach i o zapisach. Upuścił z rąk papier. Miłość rodzicielska najczystsza, najżywsza zalała serce jego, owładnęła duszą! . . Moje najmilsze dziecię! moja Helusiu! . pociecha moja droga! – wykrzyknął on, lejąc łez potoki . . Matka, upadającą do nóg swoich córkę zwróciła ku ojcu; a tak razem u nóg obojga rodziców znalazła się ona i gdy całowała je najgorętszemi oblewając łzami, ojciec podniósł ręce swoje ku niebu i rzekł: Boże! błogosław jej, błogosław drogiemu dziecięciu mojemu! Daj mu szczęście! zdrowie! . . — Ojcze! przerwał klękając obok swej ulubionej młodzieniec, niech błogosławieństwo twoje spłynie razem i na twojego przybranego syna, który przysięga ci najuroczyściej,

że córka twoja wtenczas chyba dozna złej doli, gdy mi Bóg nie tylko mienie, ale zdrowie i życie odbierze. . . —

Nie mógł już nic wymówić prezydent; płakał tylko, całował i żegnał córkę i zięcia. Tymczasem matka, również płacząc rzewnie, całując i błogosławiąc, wzięła wianek mirtowy z tacy, i klęczącej z nachylonem czołem dziewicy na głowie przypięła, a dukat z obrazem Bogarodzicy za sukienkę na pierś zasunęła.

Natenczas podnieśli, a raczej oderwali od nóg rodzicielskich Helenę. Powstał młodzieniec. . . Całe zgromadzenie jednym głosem „*Niech was Bóg błogosławi!*“ zabrzmiało; i tak serdeczną życzliwością wszystkich przeprowadzeni, siedli państwo młodzi do pojazdów i pojechali do kościoła.

Gdy nowe małżeństwo wśród powszechnej radości wróciło z kościoła, wszedł za niem ksiądz przeor, i kłaniając się uprzejmie całej kompanii, — i *po-bło-go-sła-wi-łem!* — rzekł. Jam się zbliżył do Hipolita, i dobitnie mu nad uchem wymówiłem: „*Głos twój przez Niego nie został wzgardzonym!*“ *) — Tak! rzekł on, z zapałem ściskając mi rękę, tak, „*głos mój przez Niego nie został wzgardzonym!* . .“ Wiara i miłość na zawsze! — Nakoniec pan rejent zbliżył się do pana podstolego. — Oto, mości podstoli dobrodzieju, rzekł on, w dniu dzisiejszym natura nad interesem odniosła zwycięztwo! Bodajby tak zawsze bywało!!!

Stało się, — odpowiedział podstoli zażywając holenderkę; stało się! *Si finis bonus, laudabile*. . . iż tak rzekę, *totum*!

Na dziedzińcu ozwał się wildamor.

---

*) Nocleg nad Wilją, patrz wyżej.

Pamiętniki Kwestarza.

Przedmowa wydawcy.

Między Biłgorajem a Tarnogrodem, w lichej karczemce, nieśmiertelnej pamięci ks. Biskup Warmiński znalazł skarb nieoszacowany: *Pamiętniki Grumdrypa* *), człowieka nieumierającego nigdy, a który i teraz zapewne włóczy się gdzieś po świecie. Ja

«W mieście, którego nazwiska nie powiem,
«Nic to albowiem do rzeczy nie przyda **).»

w opuszczonym i opustoszałym klasztorze, niegdyś księży Bernardynów, znalazłem to *opus oprawne w skórę* ***), któremu nadawszy niejaki porządek, stosowny do treści tytuł, i przyswoiwszy je do mojej ubożuchnej galeryi obrazów, puszczam na widok publiczny. Wartość zaś dziełka tego w stosunku do *Historyi na dwie księgi podzielonej*, będzie zapewne, jak *Kwestarz* do *Biskupa*.

WSTĘP AUTORA.

Dnia wczorajszego zawołał mię z rana pan wojewoda do swojej kancelaryi, i wchodzącego zapytał:

— A czy traktowałeś waść, ojcze święty! (takie jest przysłowie pana wojewody) szkoły?—

Zdziwiłem się mocno na taką kwestyę, i odpowiedziałem:— Aż do *Poezymy inclusive*, JW. panie!

— A dla czegoż waść nie słuchałes i *Retoryki?*

— Przewidywałem, JW. panie, że się nasłucham *retoryki* na służbie u wielkich panów.

— Oho! znać dworaka. No, ale choć waść nie retor, potrafisz jednak pisać *currente calamo* pod dyktacyą.

— A wszakże by to i dobry *infimista* potrafił — odpowiedziałem, i pokręciłem wąsa.

Pan wojewoda poznał, że wcale nieobyczajnie zadawał mi kwestye.

*) Historya, na dwie księgi podzielona, Krasickiego.
**) Monachomachia.
***) Przedmowa do Baki—Borowskiego.

— Nie gniewaj się, ojcze święty! — rzekł on — ksiądz kapelan, który jak wiesz, spełnia u mnie razem i sekretarską funkcyę, zachorował dzisiaj; musisz więc jego zastąpić, chociaż to do ciebie, jako do marszałka mojego dworu, wcale nie należy; ale, ojcze święty, pomiarkujemy się o fatygę, a tymczasem siadaj i pisz list, który ci dyktować będę. Masz tu wszystko gotowe: papier, pióra etc.

Usiadłem zatem przy stoliku, i przyłożywszy się regularnie — jestem gotów—rzekłem.

Pan wojewoda zapalił fajkę u komina, przeszedł kilka razy po pokoju i zaczął:

„Wielmożny mości . . a dobrodzieju! - z figielkiem."

— Jest — z figielkiem.

— Jak-to? co to waść napisałeś? — zapytał wojewoda, spójrzawszy przez moje ramię na papier.

— To, co JW. pan dyktowałeś.

— Porzuć waść, ojcze święty, te ze mną facecye. Na co masz głupca udawać, kiedy nim nie jesteś?

— A zkądże JW. pan tak prędko poznał mój rozum, kiedy tylko co wątpił, czy ja traktowałem *infimę?*

— No, no, dość tego. Weź drugą ćwiartkę papieru i pisz znowu.

— To więc JW. pan chcesz, abym dobrodzieju! napisał *per abbreviationem?*

— A tak, tak właśnie. Widzisz, żeś się domyślił, co znaczy z figielkiem.

— Tak domyśliłem się wprawdzie, ale zawsze należało panu, któryś zapewne i retorykę przeszedł i na akademię frekwentował, dyktować wolej *per abbreviationem,* jak to często zdarzało mi się słyszeć w szkołach, gdzie żadne figielki nie uchodziły, i gdzie ciężki z nich bywał w sobotę rachunek.

Uśmiechnął się wojewoda, puścił kilka gęstych kłębów dymu, i po niejakim namyśle:

— Wiesz co? - rzekł — czy nie lepiejby, dawnym obyczajem, zacząć od „Mnie wielce miłościwy mości panie bracie!"

— I mnie się zdaje, że lepiej.

— Ale bo widzisz, ojcze święty, ta staroświecka fałszywa *parentela* wychodzi już z mody; i prawdę mówiąc, szlachcic nie bardzo lubi bratania się z sobą pana, kiedy mu go wzajemnie bratem nazwać nie godzi się; bodaj więc lepsze, Wielmożny Mości Dobrodzieju, każdemu jednostajnie przypadające. Addytament jasności przyczepia się dziś do urzędów, które i brat szlachcic nieraz posięga; a tak wszyscy kontenci. Pisz więc, ojcze święty jakem wprzód dyktował . . tylko że . . czekaj! Idzie mi o rzecz. Ten pan podstoli *potens* w swoim powiecie, a niebardzo mnie życzliwy. . . jak się urazi za figielka, i weźmie to za postpozycyę, gotów i wzajemnie figielka wypłatać, i nasze imprezy sejmikowe, do których plany i insynuacye aż z Warszawy odebra-

łem, pomięsza; a właśnie go tym listem zapraszam dla porozumienia się . . Pisz więc dobrodzieju! wyraźnie.

Zadyktował potem cały list wojewoda dość gładko i grzecznie, pod końcem jednak znowu namyślać się zaczął, i biorąc pióro do podpisu—Jak rozumiesz? ojcze święty!—zapytał—uniżonym czy najniższym sługą?

— A jakbyś JW. pan napisał, gdyby nie sejmiki?

— Naturalnie, że tylko uniżonym, a możeby się i bez tego obeszło.

— No, to ja radzę JW. panu pisać teraz uniżonym: bo podstoli pozna, że tylko przed sejmikami pan wojewoda jest jego najniższym sługą, a potem i uniżonym nie będzie.

Mądrze mówisz, ojcze święty! Stary sejmikowy Judasz nie da sobie zamydlić oczu . . . a zatem *non tam libenter quam reverenter* . . . — I wymawiając powoli tę jakoby protestacyę, podpisał się wojewoda uniżonym sługą.

— No, teraz, ojcze święty, wpisz ten list choćby tylko treścią *ad continuationem* mego dyaryusza, to jest, do tej księgi, pod datą dzisiejszą; a potem go zapieczętujesz, zapiszesz kopertę i wyślesz umyślnym.

To rzekłszy, wyszedł wojewoda, a ja otworzyłem wskazaną mi wielką, do połowy już zapisaną księgę. Charakter w niej był rozmaitej ręki i samego wojewody, i księdza kapelana, i różnych innych; rzecz też rozmaita była. Wpisywano tam razem publiczne i prywatne interesa i *cyrkumstancye*, codzienne prawie *eventa* dworu naszego, rozporządzenia ekonomiczne komisarzom, instrukcye plenipotentom do spraw w subseliach i w trybunale; a obok tego i w większej części, opisanie publik i sejmików, przez pana wojewodę traktowanych, podróży odbytych, listów i odpowiedzi, niektórych ważniejszych *per extensum*, a niektórych w treści. Także rozmaite nowiny i zdarzenia krajowe, oracye i głosy, tak *in publico* przez samego pana wojewodę, jako też i przez innych sławnych oratorów miewane, a nawet rozmaite historye, wesołe dykteryjki i wiersze przez przybyszów i bywalców światowych opowiadane, a które wojewodzie się podobały; nakoniec niektóre ciekawe prognostyki, oraz sekreta i *arkana* doktorskie, na różne defekta tak ludzkie jako i końskie, które ja sobie najpierwej skopjować postanowiłem, słowem, bardzo to ciekawa i pożyteczna księga.

Na pierwszej karcie, nasz kochany mądry ks Maciej kapelan wymalował, choć to atramentem, ale pięknie, w doskonałym *konterfekcie*, herb pana wojewody, jakoby nad bramą odarnowany, a pod nim takie napisał wiersze:

Otwarta brama, z świętej Niebios rady,
Dla Tadeusza cnót ślicznej parady;
Za którą i sam postępując w tropy,
Wolny odprawi wjazd do Nieba z Europy.

Podobno za ten koncept ks. Maciej dostał srebrną tabakierkę od wojewody.

Lecz odkładając na wolniejszy czas czytanie onej i kopjowanie, wziąłem się teraz do wpisania tam, podług rozkazu JW. pryncypała, mojego listu do pana podstolego.

Na stronicy, gdzie mi przypadało pisać, było już nieco napisanego z góry, a na marginesie, zanotowana jakąś nieznajomą ręką sentencya łacińska, wiadoma każdemu dworsko traktującemu: „*Dum subera suberant, subera suberare memento*“ *). — A toć — pomyślałem — wyraźnie daje mi Pan Bóg przestrogę. Wojewoda tylko co powiedział, że o fatygę sekretarską ze mną pomiarkuje się; otoż zręczność i *momentum suberare subera:* dodawszy do tego wątpliwość pańską, czylim ja traktował szkoły. . . *summa facit* —atłasowy żupan. Wziąłem więc demestykę papieru i napisałem:

„W rekompensę funkcyi sekretarskiej oraz uznając przykładną aplikacyę w szkołach marszałka dworu mojego, JP. Michała Ławrynowicza, assygnuję mu ze sklepu kupca Abrahama w Połocku, atłasu paliowego w echcie na żupan łokci dziewięć. Datur „178. . . “

Właśnie gdym ukończył pisać i list pieczętowałem, nadszedł wojewoda.

— A co? ojcze święty! gotowe?—zapytał.

— Jeszcze tu potrzeba jednego podpisu JW. pana. — I podałem assygnacyę

Przeczytał, pokręcił głową, ale roześmiał się, z czego wraz sobie dobrze tuszyłem.

Niech i tak będzie - rzekł. Zręcznie się domawiasz. Ale na cóż tak wiele atłasu? czy nie możnaby *per abbreviationem?* naprzykład łokci pięć?

— Nie można, JW. panie, bo byłby żupan z fałszem; a ja prawdą chcę żyć na świecie.

— Trudno odmówić; na wszystko masz gotową racyę. — I podpisał.

Powróciłem zatem do mojej oficyny w wyśmienitym humorze, a zapaliwszy także fajkę i popijając piwko, dumałem sobie to to, to owo; więc przyszło mi na myśl, że to wyśmienita książka pana wojewody, i gdybym to ja taką pisać zaczął? Uważałem rzecz tę *pro et contra*.

— Na co mi ta praca liszna przyda się? Gdybym to jeszcze był żonaty . . to dla pamiątki dzieciom. . .

— A kto wie? może i ożenię się? panna Rachela, respektowa wojewodzinej, nie źle na mnie spogląda. . .

— Tfu do licha!—myślałem znowu—oto byłaby praca liszna . . Teraz głowa wolna. . . Czy szatan kusi? No, ale zresztą,

---

*) Drzyj łyka, kiedy się drą,

pędzę życie światowe, dworskie; nie z jednego pieca chleb jadłem, i nie z jednego jeszcze zdarzy się jeść. Cóż to złego byłoby, mieć sobie na starość kiedyś w ciepłej chacie nad czem rozpamiętywać?... Głowy sobie łamać nie będę, bom nie teolog, ani jezuita; a Zoila nie boję się, bo nie na *publicum*, ale *sibi soli* pisać będę. A zatem—

Adsis inceptis Benigna Virgo meis! *).



SEJMIKI POŁOCKIE W USZACZU **).



I.

Anno 178... odbyliśmy z panem wojewodą sejmiki poselskie Połockie. *Laus tibi Christe*, że przecie żywi wróciliśmy!

Jest co wpisać do tej księgi, ale początek niefortunny.

Przybyliśmy do Uszacza w licznej asystencyi dworu naszego i przyjaciół; za nami nazajutrz napłynęła bracia szlachta naszej wojewodzińskiej partyi, i zajęła całą ulicę. Żydów z ich domów wyrugowałem, uczyniwszy jednak każdemu niejaką gratyfikacyę, choć oniby sami się przed nami wynieśli.

Przyciągnęła także nazajutrz i nasza milicya, to jest, dwieście ludzi piechoty, która siedziała w chatach swoich po dobrach pana wojewody, a na rozkaz jego stawała w potrzebie. Mundury gotowe na cały komplet, leżały na lamusach, i każdy przybywający żołnierz zrzucał siermięgę, a ubierał się w zieloną kurtkę, w takież szarawary, kładł nowe buty, kaszkiecik lakierowany z kitką na głowie, patrontasz przez ramię, brał flintę w rękę i stawał do szeregu.

Pan Piekarski porucznik, który jest razem i koniuszym u pana wojewody, komenderuje tą piechotą, i tygodniem przed wyjściem na publikę, najczęściej sejmikową (bo pan wojewoda z nikim, chwała Bogu, nie wojuje), wyprowadza ją codzień na zmianę poparną za dworem, na musztrę.

Pan Piekarski traktował za młodu żołnierkę w pruskim wojsku; zaczął więc z początku komenderować po niemiecku, ale że chłopi nie zrozumieli i nie mogli przyzwyczaić się do jego *Rychteyt*, więc musiał potem po polsku ich musztrować, i pięknie to prostactwo wymoderował; nie mógł jednak żadnym sposobem nauczyć ich pruskich tempów do nabijania broni. Jak więc zakomenderował: nabijaj! to czekał potem, aż każdy po swojemu na-

---

*) Przybądź początkom moim w pomoc, Miłościwa Panno!

**) *Uszacz*, miasteczko dziś w powiecie Dziśnieńskim, w gubernii Wileńskiej, w którem odbywały się sejmiki województwa Połockiego.

bił, i z cicha pytał: czy już? jak odpowiedzieli także z cicha: już! wtenczas krzyczał: *tou! tuy!* O Bożym świecie nie wiem co znaczy takowe *tou! tuy!* Musi to być komenda niemiecka, ale po niej kurki traf, traf, nakoniec cel! pal! i zawsze jakbyś orzech zgryzł.

Pan Piekarski rozłożył się z kompanią swoją za miastem na polu. Przeciwna nam partya Sielickich i Nornickich, z gromadą swojej szlachty, zajęła także kilka ulic i krzyczała, że pan wojewoda chce być *opressorem* województwa, bo na walny sejmik przyprowadził żołnierzy; ale my odpowiadaliśmy, że to nie dla *oppressyi* lub jakiej gwałtownej *preponderencyi*, ale dla powagi i asystencyi jego senatorskiej godności: bo i po prawdzie mówiąc, ładunki prawie wszystkie naszych żołnierzy były puste, jak do salwy przy wiwatach, i tylko dla przypadku mieli oni po kilka z grubym wilczym szrotem w zapasie. Wielką miałem biedę z dostarczeniem, i rozporządzeniem *sumptu* dla takiego tłumu, musząc nadto i *quam maxime* myśleć, aby obiady wojewodzińskie były sute i wspaniałe, i asystować jeszcze jako marszałek dworu, to jest, pierwszy dworski, samemu panu. Dobrawszy jednak sobie do pomocy kilku trzeźwych i rzeźwych szlachty, wydoływałem wszystkiemu za pomocą Bożą.

Szło wojewodzie o ważną rzecz, bo o utrzymanie na poselstwie z naszego województwa pana Sulistrowskiego i pana Brzostowskiego, żądanych z góry; a przeciwnicy forytowali pana Sielickiego i pana Reuta, dobrą mając po sobie potencyę szlachty, a nawet niektórych urzędników ziemskich. Rzecz więc była wątpliwa; zwłaszcza, że pan Sulistrowski, oczekiwany codzień z Warszawy, nie przybywał, a sejmik rozpoczynać koniecznie trzeba było, bo wszyscy tego domagali się.

Dopisali wprawdzie i nam przyjaciele. Pan rotmistrz Rudomina przyprowadził sto szabel, wszedł on do miasteczka takowym szykiem: - Na przedzie sam konno, w mundurze wojewódzkim, z buzdyganem rotmistrzowskim w ręku, jakich już i niewidać teraz. Personat! niema co powiedzieć. A wąs! mój dobrodzieju! wąs! mój nawet marszałkowski przed nim ustąpićby musiał z placu. Za nim sześć pięknych, młodych, wysokich a opiekłych dziewek, w czerwonych aksamitnych gęsto galonowanych gorsetach i błękitnych grodeturowych spodnicach. Wszystkie sześć grzmiały na waltorniach hucznego marsza; a za niemi szła szlachta, krzesząc w takt pałaszami iskry z kamieni.

Tak przeciągnąwszy przez wszystkie ulice i zgromadziwszy około siebie tłum ludu dziwiącego się takiej paradzie, pan Rudomina przyszedł do kwatery wojewody, i rejestr swej partyi złożył mu w ręce.

— Ojcze święty! — zawołał wojewoda, patrząc na waltornie — miałbym tego za trzy litery, ktoby się do takiej partyi nie łączył.

Pan Stanisław Swieboda, mój dobry przyjaciel, przyprowadził także z pięćdziesiąt rębaczów, takich jak sam: a faworyt to pana wojewody i filar nasz sejmikowy, bo trudno znaleźć takiego jak on gracza do korda.

WIZYTA PO PRZYJACIOŁACH *).

II.

W wigilję *reassumpcyi* sejmiku, pan wojewoda rano po śniadaniu rzekł do zebranej drużyny: — Ojcowie święci! kto łaskaw ze mną do obejścia prześwietnych urzędników województwa naszego, poczynając od pana podkomorzego Sielickiego?

— Dla czegoż pan podkomorzy pierwej nie złoży *submissyi* panu wojewodzie? — odezwał się pan Rudomina.

— Mniejsza o to, ojcze święty! Nie idzie tu o *preeminencyę*, ale o sprawę publiczną. Owszem, dajmy z siebie przykład umiarkowania naszym przeciwnikom, i dajmy pierwszy krok *ad unanimitatem* w sejmiku. Pójdźmy.

Więc ruszyliśmy wszyscy, i zabrawszy jeszcze po drodze pana podwojewodziego Korsaka, naszego także *adherenta*, szliśmy w kilkunastu za panem wojewodą.

Pan Sielicki, uprzedzony widać o tej naszej wizycie, spotkał nas w bramie swojego dworku, w którym kwaterował. Kordyalne na pozór między nim i wojewodą zaczęły się *exwisceracye*, i wszyscy w najlepszej komitywie weszliśmy do pokojów.

Pan podkomorzy kazał podać węgrzyna, i spełnił pierwszy kielich za zdrowie wojewody; zaczęliśmy więc pić regularnie.

W naszej kompanii za wojewodą, przyszedł i pan Stanisław Swieboda, wlokąc przy boku swego *Harasima*. Tak on ochrzcił swój zasłużony pałasz z furdymentem, jak kocia głowa, szeroki, prosty i ciężki jak sztaba żelaza. Pan Stanisław nie jak na galę był ubrany, bo będąc chudym pacholkiem, może i nie miał w co lepszego się ustroić; ale przecież po szlachecku i chędogo. Miał on na sobie żupan sajetowy werdragonowy, dobrze wprawdzie podszarzany, ale przecież jeszcze nie dziurawy, ani łatany; po nim pas choć jedwabny, ale słucki i nowy, a na wierzchu kurtkę z takiegoż sukna na opaszce, spiętą na guzik srebrny pod szyją.

Niepodobał się taki ubiór krewnemu pana podkomorzego, panu szambelanicowi, młodemu szaławile, podpiłemu już dobrze i szukającemu zatem guza. Obchodził on po kilka razy pana Stanisława, i domawiając wrzekomo do jego zielonej kurtki — strzel-

*) Tytuły nad rozdziałami są dodane przez wydawcę.

czyk!—powiadał—dalibóg strzelczyk!—Pan Stanisław pokręcał głową i nic nie odpowiadał. Tem ośmielony panicz, coraz to głośniej strzelczykiem go nazywał, z różnych stron aspektując jego figurę; uśmiechali się i drudzy, a zatem nie wytrzymał nakoniec i pan Stanisław.

— Panie bracie! panie szambelanicu! — rzekł on — waspan mnie znasz dobrze; ale że teraz nie poznałeś, i nazywasz mnie szlachcica strzelczykiem, otóż, panie bracie, strzelczyk waszeci nastrelaje! - Pan Stanisław niekiedy z ruska zarywał.

Szambelanic chwycił się do szabli. Natenczas spostrzeżono zwadę, której w tłumie dotąd nie słyszano. Pan podkomorzy zgromił swego krewniaka; pan wojewoda uspakajał pana Stanisława; ale ten ukłoniwszy się grzecznie, nasunął czapkę na uszy i wyszedł.

Nie bawiąc długo, ruszył się i pan wojewoda; już bowiem przerwała się harmonia, której gdy na gorącym razie nie sklejono, można było łatwo zgadnąć na czem się to skończy. Zaszedłszy potem jeszcze do pana chorążego Nornickiego i do kilku innych, wróciliśmy tandem na obiad do domu.

WYZWANIE.

III.

Pan wojewoda zapytał o pana Stanisława, ale go nie było, i we własnej jego kwaterze nie znaleziono; widać że się gdzieś zaszył, aby nie być molestowanym przez wojewodę o zaniechanie dalszych kroków z panem szambelanicem; aż oto pod wieczór wszedł on *insperate* do mojej stancyi.

— Panie bracie! Panie Michale! - rzekł—pofatyguj się z łaski swojej do tego huczka, co mię strzelczykiem nominował. Nowe panicz *stallum* dla szlachcica wymyślił! Poproś więc jego, aby jutro rano, ze wschodem słońca, obaczył się ze mną przy krzyżu na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili; czekać go tam będziemy z tobą, panie bracie! A kiedy nie raczy wyjść, to wiesz bratku co przydeklarować!. . . Plac ostrzelam i uszy za pierwszem spotkaniem się obetnę.

— Czy nie możnaby, panie Stanisławie, zmodyfikować się? pan wojewoda . .

— A gdyby i dziesięć wojewodów! — przerwał żywo pan Stanisław.—Znaj to, panie bracie, panie Michale, że gdyby rzecz była ze szlachcicem, to mniejsza o to; nie fatygowałbym ani siebie ani mojego Harasima; ale pan szambelanic pan, a przynajmniej siada między pany; to trzeba go nauczyć *mores*, aby szlachcie po nosach nie jeździł. Więc jeżeli lękasz się narazić woje-

wodzie lub siebie eksponować, to, panie bracie, powiedz mi otwarcie, a ja poszukam innego przyjaciela.

— Na to nie pozwalam—rzekłem.—Funkcya moja marszałkowska u pana wojewody nie może mi negować posługi honorowej przyjacielowi: idę więc, a zaczekaj tu na rezolucyę.

Jakoż i poszedłem do panów Sielickich, którzy całą rodziną mieszkali razem; znalazłem podkomorzego i starszych wszystkich śpiących, a młodzież w przeciwkowej izbie podpiłą i dziwne na nas wykrzykującą przechwałki. Już oni nas i przekreskowali, i wypędzili, i posłów wybrali.

Gdym wszedł, porwał się z za stołu, na którym pełno było butelek i dzbanów, szambelanic, i krzyknął:

— A ty, chłystku wojewodziński, po co tu?—na szpiegi? na praktyki?

— Nie jestem szpiegiem—odpowiedziałem — ale posłem; a posła ani ścinają, ani wieszają.

Siedział między nimi pan Podwiński, pisarz ziemski połocki; głowacz to wielki, ale filigranowej roboty! . . Więc go oni na swoją stronę chcąc przeciągnąć, poili i ujmowali. On pił mało, a mówił jeszcze mniej, tak, że go oni ani skorumpować, ani wyrozumieć nie mogli. Najczęściej występuje on jako medyator, i dla tego od wszystkich jest konsyderowany. Zna on mnie dobrze, bo bywał u wojewody; więc powstał, i wstrzymując zapędy szambelanica rzekł:

— Mości panowie! to jest uczciwy szlachcic, pan Michał Ławrynowicz, mostowniczyc derpski.—(Bogiem a prawdą, chyba mój jaki prapradziad był tym panem derpskim: bo ja jak zawsze, Ławrynowicz, i nie wiem jak i kiedy przyszło mi zostać razem i mostowniczym i derpskim).—Mój to dawny znajomy i przyjaciel; proszę więc go nie aggrawować i wysłuchać.

— Mów więc swoje poselstwo!--krzyknęli.

Poselstwo moje—rzekłem—tycze się jednego pana szambelanica; możebyś więc pan raczył wysłuchać mnie *semotis arbitris*.

— Nie ma żadnego sekretu pomiędzy nami. Mów jak stoisz.

— A kiedy tak, to i powiem. Otóż przysłany tu jestem przez pana Stanisława Swiebodę, podczaszego oszmiańskiego, abym prosił waćpana, panie szambelanicu, o honorową satysfakcyę za krzywdę, którąś pan jemu dzisiaj wypełnił, nazywając go strzelczykiem, z wyraźną dlań postpozycyą. Czekać więc on pana będzie jutro rano ze wschodem słońca, na rozstajnych drogach pod krzyżem, na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili, aby *in circuitu* juryzdykcyów sądowych nie mieć akcyi. Przytem ostrzegam pana, że jeżelibyś odmówił satysfakcyi i nie stawił się na wyzwanie, (czego się nie spodziewamy), pan podczaszy plac ostrzela, a z panem do spotkania.

— Nie doczekasz—krzyknął szambelanic — abyś dla mnie plac ostrzelał! Potrafię ja podczesać pana podczaszego.

— A tymczasem—rzekł, chwytając za szablę, Junosza, szlach-

cic z traktu zapońskiego *), zawołany sejmikowy zawadyaka—oporządzim pana posła.

— Mości panowie!—rzekłem, odstępując w tył kilka kroków—protestuję się i biorę na świadectwo obecnego tu wielmożnego pisarza, żem nikogo z ichmościów nie obraził; więc jeżeli poniosę jaki grawamen, zaraz manifestuję niesłuszny atak, i od tego momentu *nego activitatem* ichmościom na sejmiku.

Porwał pan Podwiński za kark zapończyka. — Idź spać, opoju!—rzekł, pochylając go do alkierza.—Panie szambelanicu! obudzę podkomorzego, jeżeli niedasz pokoju tym burdom.—A do mnie:—panie marszałku! zrobiłeś swoje, więc nie masz tu po co dłużej czekać.

Wyszedłem zatem; dopędził mnie wraz na ulicy pan pisarz. —Panie Michale! rzekł on—wybawiłem cię z kłopotu: bo czy cię dyabli nadali przychodzić z taką propozycyą, gdym ja ku pojednaniu i ku wygranej naszej (rozumie się wojewodzińskiej) rzeczy nachylał? dla tego jedynie i byłem między nimi.

Poznałem lisa, ale podziękowałem pokornie i za siebie, i za wojewodę.

— Może się dadzą rzeczy utraktować i między panem Stanisławem a szambelanicem, gdy przez noc szum z głowy im wynijdzie. Waść zaś perswaduj podczaszemu.

— Trudno to będzie, odpowiedziałem.

— No, to jak sobie chce zresztą. Nieźle to czasem, kiedy młodzika zuchwałego trochę przyuczą. Ale powiedź wojewodzie, że pracuję szczerze w jego zamiarach.

— Bodaj tyle pies płakał! — pomyślałem, i uścisnąwszy się kordyalnie, rozeszliśmy się.

Pan Stanisław uradowany z odbytego poselstwa, podziękował mnie z płaczem prawie.—Panie bracie! panie Michale!—rzekł potem,—pójdę teraz do Dominikanów na nieszpory, i zaraz spać; bo przede dniem trzeba nam być na koniach; i ty, panie bracie, staraj się wywczasować się, bo cię jutro *summo mane* obudzę. — Ale mnie nie było czasu myśleć o odpoczynku: bo wnet pan wojewoda przysłał po mnie, i kazał asystować sobie do pana Rudominy, który go na wieczorną hulankę zaprosił.

---

*) Trakt Zapoński, dziś w powiecie Borysowskim, w gubernii Mińskiej, nasiedlony był dawniej gęsto drobną szlachtą, sławną niegdyś w sejmikowych bójkach.

u. w.

WIECZORYNKA.

IV.

Idąc my gromadnie i hucznie przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie szynkach brzmiała muzyka rozmaita: bo i ja rozdzieliłem dwudziestu czterech naszej kapeli na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich, i pan podkomorzy Sielicki miał swoich muzykantów, i z dziesiątek żydków z cymbałami przywlokło się na sejmiki. Z doświadczenia wiedzieli oni, że bród i pejsów całych nie wyniosą; ale też znali i to, że w kieszenie napakują koróńczyków sowito.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła; gdyśmy więc około swoich przechodzili, wypadała z domów, krzyczała: „Wiwat pan wojewoda połocki! wiwat!" Chwytała przytem na ręce wojewodę i podrzucała w górę. Nie opponował się tej subjekcyi wojewoda, owszem wypijał za każdym razem po szklance miodu za zdrowie braci szlachty i przyjaciół.

Ale gdyśmy mijali domy nabite partyą przeciwną, to i wetowano nas niepomału; jednak wszystko mimo uszu puścić trzeba było. I tak: wyskoczył z jednego dziedzińca, na którym pili zapończyki, jakiś urwis; a poprawiwszy czapkę na bakier, stanął przed wojewodą i tak perorował:

Panie Wojewoda!
Co to za moda?
Na to nie zgoda!
Żołnierzy zbierasz,
Szlachtę pożerasz!

Ryknęła za nim cała chałastra:—Szlachtę pożerasz! Szlachtę pożerasz!—Pan wojewoda nie odpowiadając, wszedł między nich na dziedziniec. Patrzali wszyscy co z tego będzie? Zaczerpnął miedzianym kubkiem miodu z cebra, i ukłoniwszy w około—ojcowie święci!—rzekł—piję za zdrowie przezacnych braci szlachty traktu zapońskiego. Wiwat

Wiwat!—wrzasnęła szlachta wiwat! wojewoda połocki! wiwat!—I zapomniawszy wierszów, porwała także wojewodę na ręce i podrzucała w górę, nie przestając wykrzykiwać:—Wiwat!

Jak to u nas nigdy w sercach zawziętości nie ma! Ale domyśliliśmy się, że wiersze te składał pan Reut: bo to ptaszek *Scholarum Piarum*, do niego z całego województwa, jak do doktora po recepty, udają się po oracye i kadencye, a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przebywszy zatem szczęśliwie wszystkie przeszkody, doszliśmy przecie do dworku pana Rudominy, który nas ze swemi sześcią waltorniami w licznej komitywie przyjaciół, spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieczerzę nie z marcy-

panów, ale *honeste* zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosołu kilka waz, a pieczonej źwierzyny *quantitas*, że aż stół się uginał. P. Rudomina jest myśliwym; przed sejmikami poluje on ze sześć tygodni. Pieczenie więc łosie i sarnie, głowy i szynki dzikowe, łapy niedźwiedzie, zajmowały środek ogromnego stołu; a z zajęcy i różnego ptastwa na szerokich cynowych blatach góry poukładane; prócz tego na osobnych misach rantowych oładki do zrazów i do rosołu. Odbywszy więc kolejkę starej wódeczki, zaczęliśmy repetować wyśmienicie zapijając tłuste kęsy wybornym trojniakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce opróżnionych mis i półmisków, stawały nowe, również sowite; te znowu się opróżniały, bo ścisk był około stołu, i coraz to więcej przybywało kompanii. Ale kuchnia pana Rudominy przemogła nakoniec nasz wilczy apetyt Za trzecią i czwartą odmianą, nietknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina, i zaczęły się wiwaty.

Pan wojewoda *in casu necessitatis* nie odbiega od kielicha, i rzadko komu udało się go spoić. W domu własnym gdy traktował gości, miałem zawsze kilka butelek wody zafarbowanej winem i zręcznie z nich nalewałem wojewodzie; ale gdy raz złapał nas na uczynku pan podwojewodzi Korsak, musieliśmy porzucić tę sztukę, bo się rozgłosiła wszędzie; teraz więc, *volens nolens* szczery ciągnie trunek; a jeżeli już tak się spije, że go do łóżka prowadzić trzeba, to mam w pogotowiu kilka serwet i misę zimnej wody; okładamy zatem całą głowę umoczonemi w wodzie serwetami. Wnet gorąca czupryna pana wojewody parować zaczyna, ale razem i chmiel wychodzi. *Probatum*, że takim sposobem trzy razy od pory do pory upić się i wytrzeźwić można; a zapisuję to dla pamięci własnej i *propter utilitatem publicam*.

Więc tedy po wieczerzy piliśmy u pana Rudominy *lautissime;* za każdym wiwatem do dna duszkiem spełnionym, brzmiały waltornie i dziewki przyśpiewywały chórem wesoło:

Wypił, wypił nie zostawił—
Hu! ha! nie zostawił!
Bodaj go Bóg błogosławił –
Hu! ha! błogosławił! etc

a potem huknęły kurdesza i czumadrychę. Wytrzymać już nie można było! Czumadrycha, to skoczna nuta: więc poły za pas zawinąwszy, wyrywali nasi bracia dziewki od waltorniów i dalej w obertasy.

Ja tego uczynić nie mogłem z racyi prezencyi wojewody, ależ jednakowo choć na miejscu podskakiwałem: bo i w głowie szumiało, i powiadam, że dalipan trudno było ustać. Sam pan wojewoda ukonsolowany nader, całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów i złotówek posypało się, trudnoby zliczyć. Garściami dziewki zbierały pieniądze; ależ bo i warte tego! Niech ich tam . . Pan Bóg sekunduje!

Razem tak wszystko; i śpiewanie, i skoki, i wiwaty, i krzy-

ki, hu, ha! wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko; i dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki. Przelęknione dziewki wrzasnęły okrutnie; my także krzyknęliśmy: Jezus! Marya! i osłupieli jak wryci. . . Wnet ktoś zawołał:—Łapać *excessantów!*— a zatem hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wychodziło i rozbiegliśmy się tam na wszystkie strony. Ale cóż? noc ciemna, choć oko wykol, i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne; więc po ślizkiej ziemi, każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędy i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkwasił, wstawał jednak i latał jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli. Łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wiąż!—nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał, i znowu obadwa polowali. Zamieszanie i zgiełk niewypowiedziany—istna wieża babilońska.

Nakoniec zapalono kilka pochodni, ale i to nic nie pomogło; posmalili tylko drzewa, i gdyby nie deszcz, możeby dworek zapalili. Ogródek dość obszerny, obity jest ostrokołem; widać więc że pijanice jakowiś, strzeliwszy do okien naszych, jak w ul, w tenże moment przeskoczyli ostrokoł i już byli daleko gdyśmy ich szukali; znaleźliśmy tylko pod płotem rożek z tabaką, i to cały sukces wyprawy.

Zmokli po próżnej bieganinie, zebraliśmy się przecież do izby. P. Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwaterze taki traf spotkał wojewodę; przepraszał go pokornie, choć najmniej nie winien; raniutko nazajutrz miał manifestować, sam nie wiedząc kogo; a nakoniec, po wzajemnych najserdeczniejszych *expostulacyach,* wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!
A my jego słudzy,
Pijmy, jak i drudzy.
To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz! *)

I rozpaliwszy pochodnie, poszliśmy do własnej kwatery.

POJEDYNEK.

V.

Nazajutrz przed wschodem słońca, wszedł do mnie pan Stanisław.—Panie bracie! panie Michale!—rzekł on, budząc mnie rozespanego—wstawaj! konie gotowe.

— Ależ mnie prędko powrócić trzeba: bo jak się obudzi

*) Dawna piosenka hulacka.

wojewoda, pewny jestem, że zaraz zawoła; tem bardziej, że dziś reassumpcya sejmiku.

— No to, bratku, za kwadrans będziemy na miejscu. Wiem przez moich szpiegów, że jeśpan szambelanic bez zawodu stanie na placu z kilku swymi adherentami, nie będziemy więc długo czekali. Sama zaś sprawa . . nie pociągnie. . . nadzieja w Bogu i w Harasimie.

Przypasałem więc i ja moją Elżutkę — szablę augustówkę, którą mam w prezencie od pana Burzyńskiego, starosty brasławskiego, zięcia pana wojewody, i ruszyliśmy konno kłusem gościńcem wileńskim.

Przybywszy na wyznaczone miejsce, oddaliśmy konie kozakowi, który je o staję odprowadził. Pan Stanisław dobył Harasima i wbił go w ziemię, a z kieszeni dobył małą paczkę i położył na kamieniu.

— A to co? panie Stanisławie!—zapytałem.

— To, panie bracie, chleb razowy i pajęczyna: doświadczone szlacheckie *vulnerarium*. Każdy prawie szlachcic, wybierając się na sejmiki, ten raz przynajmniej obiera chatę z pajęczyny, i ma ją z sobą w zapasie na pogotowiu: bo w przypadku niespodzianym — (tu poprowadził palcem przez nos i gębę) — zaraz w kieszeni *remedium*, które i krew zatrzymuje, i w krótkim czasie tak leczy, że tylko kreska zostaje. — Waść młody, panie bracie, więc słuchaj mnie starego i bez pajęczyny nie jedź nigdy na sejmiki. A teraz, nim nadjadą, zmówmy tymczasem pod krzyżem poranne modlitewki.

Uklękliśmy więc przed figurą Pana Jezusa, i zaczęliśmy się modlić.—*Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!*—wymawiał ze skruchą bijąc się w piersi pan Stanisław — ale niechże mnie strzelczykiem nie nazywa. Amen.

Powstał potem i przechadzał się, pokręcając wąsa i poglądając po drodze od Uszacza.

Wtenczas pierwszy raz przypatrzyłem się dobrze figurze pana Swiebody. - Miłyż Boże! pomyślałem - nie znał człowieka szambelanic, i zaczął z nim sprawę, pewnie fatalną dla siebie. — Pan Swieboda urody nie wysokiej i przychromywa trochę na prawą nogę: bo na którymś sejmiku w piętę go podstrzelono Na twarzy jego, dyabeł (jak to mówią) grał w tryszaka: poszrotowana ospą i pokiereszowana kilku szramami od pałasza. Kiedy jeszcze, podjąwszy Harasima, nastroił marsa, uciekała odeń szlachta, jak od bazyliszka. Klębów pan Stanisław zupełnie niema, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czem się trzymać, i musi je aż na pas zakładać, a pas znowu na ciemne haftki po żupanie zawieszać! ależ za to plecy! jak ława! a ręka, jak łopata! kiedy to ściśnie z całego afektu!. . . W pojedynku bije się z podjazdką i przysiadkiem, do czego noga troszkę podkrzywiona posługuje mu wyśmienicie. O swoich kresach na łbie i na twarzy rozpowiadać nie lubi; krótko zbywa, mówiąc:—Płażyłem ja, płażyli i mnie.

Niezadługo ujrzeliśmy sześciu konnych, sadzących do nas, nie gościńcem, ale przez pola i łąki, a przeskakujących rowy i płoty.

Źle, panie bracie! — rzekł pan Stanisław—już podobno nie trzeźwi, lecą na manowce, jakby ich, Panie odpuść, szatan prowadził, i może wszyscy razem na mnie napadną. W takim razie ja oprę się o krzyż, i krzyżem ich przeżegnam; a ty panie bracie, pilnuj tyłu.

Nie tak wszakże się stało. O kroków kilkanaście zsiedli z koni wszyscy, a sam jeden tylko szambelanic dobył szabli i bez pamięci leciał na pana Stanisława. Ten wyrwał z ziemi Harasima, podjechał z przysiadkiem; a kiedy to podjął się razem i dźwignął potężnie!. . . furknęła w powietrzu i odleciała precz szabla szambelanica, a sam z impetu padł jak długi na ziemię.

— A co? panie bracie!—rzekł pan Stanisław, — ustawaj! na pleczach krzyża rabić nie budu.

— Pogodzimy się, panie podczaszy!—rzekł powstając szambelanic.—Zgoda! zgoda! — krzyknęli jego sekundanci—masz satysfakcyę, panie podczaszy!—Zgoda! panie Stanisławie!—rzekłem i ja.— No, to niechaj sobie i zgoda - powtórzył pan Stanisław, chowając Harasima do pochew. A druhi raz, panie bracie, nie zaczepiaj strelczyka, bo waszeci nastrelaje.

Znowu krzyknęliśmy:—Zgoda! — Uścisnęli się adwersarze, i wszyscy w najlepszej komitywie, dziękując Bogu, że obeszło się bez szwanku, wróciliśmy do miasteczka.

SESSYA SEJMIKOWA.

VI.

Pan wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony; lecz gdym stanął przed nim i opowiedział racyę mojej nieobecności, gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uścisnął nas obu i winszował wiktoryi.

Trafiliśmy na samo *consilium bellicum*. Był już pan podwojewodzi Korsak, pan Rudomina, pan Szyryn, pan Podwiński i kilku innych wojewódzińskich. Po wczorajszym zwłaszcza *excessie*, gdy podobne *periculum* powtórzyć się mogło, zdanie było wojewody i niektórych panów zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicję na cmentarzu około kościoła, i postawić szyldwachy przy drzwiach.

Już nawet rzekł do mnie wojewoda: — Ojcze święty! biegaj do Piekarskiego, niech w pięknym moderunku wprowadza wojsko do miasta . . kapela na przedzie.

— A któż będzie sejmikować?—odezwał się pan Podwiński —bo, mości wojewodo, ani pan podkomorzy, ani ktokolwiek ze

szlachty jego partyi, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie. Choćbyś więc JW pan zagaił sejmik i obrał posłów, to nie będzie ani legalnie, ani z honorem pańskim; a humor nieżyczliwy, który już i tak się szerzy pomiędzy szlachtą, że JW pan chcesz *opressive* działać, zweryfikuje się *plenissime,* i już potem nie naprawić tego.

— Więc cóż robić? ojcze święty!

— Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zacnego senatora i przewodnika województwa przystoi, a razem nie zaniedbać i ostróżności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale jednakże wczorajszy strzał nie jest bynajmniej z ich *insynuacyi,* bo obywatele zacni i uczciwi do takiej akcyi wcale niezdolni, i krzywdę im czyni, kto taką suppozycyę na nich chowa; a w ogólności, u naszej poczciwej szlachty i u panów chrześcijańskich więcej wrzasku niż złości . .

— Cóż w konkluzyi? ojcze święty!

— W konkluzyi, idź pan śmiało do kościoła, i zasiądź swoje senatorskie *stallum;* przywołaj do boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pana pisarza, a zatem rzekł do nas z panem Stanisławem wojewoda: — Ojcowie święci! wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych, i zasadźcie od wielkiego ołtarza; a gdy rozporządzicie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść, ojcze święty, powracaj tu do mojej asystencyi.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora Dominikanów, w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik, i udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy stamtąd z należytą adoracyą *Sanctissimum* do klasztornej kaplicy; potem *in ordine* braci klasztornych stuknąwszy na śniadanie *crematum,* szliśmy wybierać gwardyę dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.

— Panie bracie! panie Michale! — rzekł do mnie pan Stanisław — po co darmo mamy włóczyć się? Mam pod moją manudukcyą pięćdziesięciu Porczyńskich, cała okolica; chłopy jak dęby; zajmę z nimi prezbiteryum; uręczam, że dotrzymają zapończykom, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie potknie.

Dictum — *factum.* Zaczekałem z pół godziny na cmentarzu, i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich gracyalistów. Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli, i miód grzany, którym sowicie zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy; idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworków, wołali:—Swiebodczyki! a dokąd? Swiebodczyki!—Porczyńscy poglądali z podełba, jak niedźwiedzie, i ciągnęli spokojnie; ale wara do nich podstąpić! . . lub dać zaczepkę! . . bo jakby płatnął który! . .

Zasadziwszy więc ich, podług instrukcyi pana wojewody, od

wielkiego ołtarza, otworzyłem na oścież drzwi kościoła, a zamknąłem furtkę od zakrystyi i schowałem klucz za nadrę, aby na wszelki przypadek mieć wolną drogę do rejterady. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatem ruszyliśmy do kościoła.

Pan wojewoda *magnificenter* wystąpił, i dalipan po pańsku. Kontusz granatowy z sajety jak atłas, ze sznurami i kutasami złotymi; żupan materyalny, spięty karbunkułem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie; pas bogaty w karpią łuskę, a złoto ciekło z frenzlów; nakoniec wstęga błękitna orła białego, a gwiazda na piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny. Wszystko to do pięknej figury pana wojewody raźnie przypadało. Pan to szczupły, ale nie suchy, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, ale mu brzytwa koło łba nie chodzi: bo i fryzury i łby golone wychodzą już z mody; oko błękitne, wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak oblany. A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze, podsunie się gracko do jakiej kobietki, to rośnie jak na drożdżach dobrodzika, a pani wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewodą szli nasi przyjaciele i urzędnicy ziemscy; ja tuż za nimi prowadziłem *circiter* trzysta szlachty, którym, jako i Swiebodczykom, po bigosie i palonym krupniczku z łysin się kurzyło. Uspakajałem jak mogłem ich hałasy, gromiłem przechwałki; i słuchali mnie, bo znając prawie każdego *de nomine et cognomine*, i sustentując ich hojnie, zjednałem sobie między nimi wielką konsyderacyę.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam wrzawę; a nakoniec gdyśmy wchodzić mieli, Junosza, znajomy nam zapończyk, wrzasnął na całe gardło:

— Kiedy nas wasz Twardowski (tak oni przezwali pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za kratki, to my was do kościoła nie wpuścimy, i zamkniemy drzwi przed nosem.

Jakoż zatrzasnął drzwi kościelne i drągiem zewnątrz zawalił.

W kościele do większej jeszcze przychodziło wrzawy. Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie domyślali się panowie zapończyki, że ja mam w kieszeni sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski; podałem więc klucz od zakrystyi wojewodzie.

Ojcze święty! masz rozum—rzekł on.—Chciałem mu przypomnieć infimę, alem właśnie spostrzegł, że byłem w paliowym atłasowym żupanie.

Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą Swiebodzińską gromadką. Zapończyki *obstupuerunt*, ujrzawszy nas jak

z nieba spadłych. — Zdrada! zdrada!—krzyczał pijany Junosza— Twardowskiemu dyabeł sekunduje!

— A ty, heretyku przeklęty!—krzyknąłem przystępując doń impetycznie—w domu Bożym o dyable tobie wspominać! Czekaj! idę wraz do dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa. Oni ciebie wyklną, a my upieczemy na stosie, jak raka. A toż, mości panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego niedowiarka. Precz z domu Bożego! precz!—I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy; ale on od swoich nawet łajany, opuścił uszy i schował się gdzieś pod ambonę; a tymczasem przez otwarte drzwi wwalili się hurmem nasi, i wśród nich wetowani bez miłosierdzia panowie Sieliccy, Norniccy i ich adherenci, którzy trafili pod kościół wtenczas, gdy przed drzwiami stała rozgniewana nasza szlachta, obwiniająca ich o promotorstwo w uczynku Junoszy, lubo ich i nie było obecnych.

Otóż to zaczął się hałas i rwetes, kiedy się kościół już napełnił. Boże zlituj się! Myślałem, że nie trafimy już do końca.

Nie czekając reasumpcyi sejmiku, podkomorscy krzyczeli:— Prosimy na posłów pana Sielickiego i pana Reuta! Wiwat pan Sielicki i pan Reut!—Nasi wrzeszczeli:—Wiwat pan Sulistrowski i pan Brzostowski posłowie województwa połockiego!

— A gdzież on? ten pan Sulistrowski?—zapytywali jedni.

— W antypodach!—z przygryzkiem odpowiadali inni.

Wtem pan Stanisław ukazał się znagła na kratkach i wrzasnął okrutnie: — Prosimy naprzód spalić heretyka Junoszę! kto w Boga wierzy, pal! bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiemy.

Więc wszyscy Porczyńscy krzyknęli:—Palić heretyka! palić!

Spójrzałem w oczy panu Stanisławowi.—*Stemus simul!*—rzekł on do mnie—popieraj moją propozycyę, panie bracie!

I znowu zaczął perorować: - Kto z kim przestaje, takim się sam staje; więc i my mości panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, sami nie ujdziemy herezyi. Do niczego zatem nie przystępuję, nim ta materya skonkludowaną nie będzie. To materya *status*, gdzie idzie o zbawienie duszy!

Znowu więc wrzask:—Spalić Junoszę!

Zrozumiałem ja o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem:—Nie pozwalam! Junosza nie tylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tęgiego trojniaku, i nie upił się. To nie w swój duch! to czary! to nie żarty! Ale po sprawiedliwości, trzeba aby był wprzód *jure victus;* a zatem spławić go należy. Ja znam cały *proceder* tej operacyi, bo już cztery baby pławiłem; proszę o ekshibicyę osoby czarownika, a ja go *ex nunc solita praxi* spławię na...

— Jeżeli utonie, to i wyciągać nie trzeba, bo heretyk; a

jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik. I na to *spectaculum* wszystkich panów braci szlachtę i dobrodziejów zapraszam.

Niema zgody!—krzyczał Swieboda i Swiebodzińscy.—Na co te ceremonie z heretykami? Pal! kto w Boga wierzy, pal!

— Pławić! — krzyczałem ja i dawałem znak moim wojewodzińskim, którzy ryknęli, że aż kościół zatrząsł się.—Pławić czarownika Junoszę! po świętej sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzyli na nas z podziwieniem.—Ojcowie święci!—rzekł wojewoda—czyście poszaleli?

— Nie bój się pan—szepnął mu pan Stanisław—nie spalimy, tylko wykurzymy tego burdę i opoja. A krzyczał głośno:—Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o ekstradycyę Junoszy... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

A ja krzyczałem:—Zapraszam panów braci na pławienie!

Junosza coś wrzeszczał i dąsał się pod amboną, ale nikt go nie słyszał; a gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów Zapończyków krzyknął:

— To ciekawe *spectaculum*, pławienie czarownika! w życiu mojem tego nie widziałem. Wiecie co? mości panowie! dajmy Junoszę na próbę.

Widząc on zatem, że gotowi dla samej ciekawości wydać go na stracenie, chyłkiem po za filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

Tymczasem pan Podwiński pisał a pisał. Pan wojewoda chociaż po kilka razy wstawał i zaczynał swoje: ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wrzaskiem, usiadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda dla reasumpcyi sejmiku; a że jezuici nie wykończyli oracyi, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a elokwencya pana wojewody *ex abrupto* niezawołana, przeto powtórzywszy znowu:—Ojcowie święci! panowie bracia i dobrodzieje! —dodał tylko—pokornie suplikuję wysłuchać reasumpcyi naszego poselskiego sejmiku, zapisanej przez godnego urzędnika ziemskiego wielmożnego pisarza Podwińskiego, *cum laudo circa securitatem publicam*, na które mam nadzieję, iż zajdzie zgoda całego prześwietnego województwa.

— Co za *laudum*? jakie *laudum*?—odezwali się Sieliccy.— Na żadne niema zgody.

— Otóż wysłuchajcie naprzód jakie *laudum*—rzekł powstając pan pisarz—bo teraz krzyczycie nie wiedząc o co.

Promotor ich wszystkich podkomorzy, konsyderując pisarza, równie jako i wojewoda, a rozumiejąc go być swoim, tak jak my rozumieliśmy go być naszym, skinął ręką na swoich, by ucichli.

Odczytał zatem spokojnie pan pisarz swoją *reassumpcyę* i *laudum*, w którem wyrażał: aby każdy, ktoby *in tractu* obrad w

kościele dobył szabli, uznanym był *tanquam contumax* i jako taki wnet z koła sejmujących był wyłączonym.

— Jakto? wrzasnęli Zapończyki — a na cóż u licha szabla, gdy jej wyjmować nie można? Panie pisarzu! przyczep sobie łuczywkę do boku. Panie wojewodo! każ kurki poodkręcać od muszkietów u swoich żołnierzy, to my wtenczas szable odpaszemy. Pan Podwiński skorumpowany! niema zgody!

A więc znowu sprzeczki między starszyzną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele. . . gdy nagle odgłos trąbki pocztowej rozległ się pod kościołem . . Umilkła wrzawa, wszyscy zdumieni obrócili oczy na drzwi, w których wnet ukazał się pan Aloizy Sulistrowski, pisarz wielki litewski.

Szlachta nasza połocka jego nie znała: bo on *de radice* oszmiańczyk; ma tam swoje dobra Szemetowszczyznę, Wiszniew, Czurlonie, do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych intencyj, aby z Oszmiańskiego posłami byli pan Kociełł i pan Bieńkuński, więc pan pisarz wielki litewski, mający w połockiem województwie jakiś folwark, postanowił stąd posłować i napisał wcześnie o tem do wojewody.

Wielki rumor się zrobił na jego widok. Zostawiono mu szeroką lukę aż do kratek, wśród której postępując, kłaniał się on na wszystkie strony. A wiadomość kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie, że przybywa prosto z Warszawy.

Nie wysoka to kreatura pan Sulistrowski, ależ głowa! mądra, że na bok i nasz pan Podwiński. Niema on i nie stara się o popularność między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak pokaże się na sejmikach, to już i po sejmikach. Bez oracyów, bez argumentów i traktamentów, to wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem konferencyach ukartuje, że ani się spostrzegą jak zawziętość zniknie, pokój święty następuje, a *stalla* i urzęda biorą jednomyślnie ambijenci, o których przed sejmikami sam tylko pan Sulistrowski wiedział, a szlachcie ani się śniło! Powracają więc potem spuściwszy nosy na kwintę do domów, przeklinają Sulistrowskiego, że ten intrygant i farmazon skończył *insperate* sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody odprawił. Przyszedłszy do stołu pan Sulistrowski, uścisnął poufale pana wojewodę, przywitał się grzecznie ze wszystkimi, i wyjął z zanadrza list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, oddał go panu wojewodzie mówiąc: *„od króla Jego Mości.“*

Pan wojewoda, dostawszy listu z koperty i przebiegłszy go— ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł— ponieważ pismo miłościwego pana bardziej się tycze całego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je głośno.

Ciekawie wszyscy nadstawili uszy, i z owego krzykliwego zgiełku nastało milczenie, jakby anioł przeleciał. Czytał zatem gło-

śno pan wojewoda *ut sequitur*, bom zaraz sobie ten list *copiatim* przepisał. To nie żart! list od koronata!

„Wielmożny uprzejmie nam miły!

„Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przyszły, prawem oznaczony. Prześwietne województwo połockie posiada zapewne w gronie swem mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskliwości Naszej królewskiej; lecz dogodziłoby się życzeniom naszym, aby z tego województwa W. Aloizy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, i urodzony Michał Brzostowski, posłami obranymi byli. Oświadcz uprzejmość wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu połockiemu, na sejmik zgromadzonemu, i razem łaskę królewską. Dobrego przytem zdrowia uprzejmości waszej od Boga życzymy."

Po odczytaniu, znowu było milczenie, aż ktoś z ławek odezwał się:—Łaska pańska na pstrym koniu jeździ!—A tem jakby pobudzony powstał pan podkomorzy Sielicki, zabrał głos i rzekł:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego pana; uważam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszej szlacheckiej, obierania urzędników po naszej woli. Gdy ja z ojców, dziadów i pradziadów moich, odwieczny *civis et servus* tego prześwietnego województwa i każdego z braci szlachty *ausus sum* funkcyę poselską na przyszły da Bóg sejm piastować, i o takową dopraszam się; przeto pokładając nadzieję w waszych braterskich afektach, (tu kłaniał się na wszystkie strony), nie odstępuję ambijencyi, i godnego ze wszech miar JW. pisarza litewskiego, acz przez majestat promowowanego, na wota proszę. - - -

Pan Sulistrowski stał spokojnie, nic nie odpowiadał, tylko pokręcał wąsika; a szlachta krzyczała:—prosimy pana Sielickiego!

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy: — Oto *Reverendissimus Reut* z kazaniem! — Bo też zjawił się na ambonie pan Reut. Obrócili się wszyscy do ambony, a pan Reut tak perorował:

Bracia szlachta! ja wasz brat szlachcic! a szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie! to wszystkim wiadomo; a co do króla Jegomości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanic senatorowicz, a ja łowczyc z Amtorowicz, (tak się nazywa folwareczek pana Reuta), i kto z nas nie będzie posłem, to niech p... zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi*.

Brawo!—krzyknęła szlachta—brawo! Wiwat pan Reut! wiwat pan łowczyc poseł nasz! wiwat!

— Prosimy pana wojewodę o wota, kandydaci wiadomi.— odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny: bo nasi także przebąkiwali, szczególniej przeciw panu Sulistrowskiemu:—Na co nam oszmiańczyk, kiedy mamy własnych?

Poznał on na co się zanosi; szepnął więc na ucho panu wojewodzie, a ten się odezwał: — Ojcowie święci! spóźniona pora, sejmik jest reassumowanym; odwołuję więc sesyę na jutro.

— Nie ma zgody! — krzyknęli *ex opposito*—nie ma zgody! *Pluralitas* widoczna—dodał pan Sielicki; więc albo niech panowie współambijenci nasi dobrowolnie odstąpią, albo, mości wojewodo, prosimy przystąpić do wotowania.

Zawrzało wtenczas jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sesya odwołana do jutra. Głuszyli nas przeciwnicy, wrzeszcząc: — Panie wojewodo dawaj kałkuły. Wiwat pan Sielicki i pan Reut!

Rady już żadnej nie było. Znowu rzekł pan wojewoda:—Ojcowie święci! odwoławszy sesyę, nie mam tu nic do czynienia.— I zabierał się do wyjścia tędy, kędy i wszedł, to jest, przez zakrystyę.

Pan Sielicki oświadczył zatem, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam, jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— *Quo jure?* ojcze święty!. . .—Bliziuteńką już zwadę przerwał pan Sulistrowski; zbliżył się on do pana Sielickiego i rzekł po swojemu, to jest, zcicha i skromnie:

— Racz, mości podkomorzy, zgodzić się na odkład sesyi do jutra; dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego pana, który przeze mnie samego teraz przesyła panu dowód swej łaski pańskiej i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego?—zapytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłumaczenia rzeczy ważnej, wśród takiego tłumu; ale proszę mi ufać, a nie pożałujesz pan tego.

Sielicki zaczął mięknąć i konferować ze swoimi. Szlachta niewiedząca o niczem, wrzeszczała jednak. . . Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła:—Panie Mateuszu! a prowadź waszeć!—I wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz?—zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutku.

Jakoż zrobił się wnet ruch między szlachtą. Z pięciu czy więcej znalazło się Mateuszów, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano, i że tem samem uważany jest promotorem swojej gromady, chciał dotrzymać takowej preponderencyi; zwoływał więc, gromadził, popychał, gospodarzył, a nakoniec któryś z nich podjąwszy czapkę w górę, zawołał:— Na obiad! mości panowie! na krupnik i na pieczenie! mości panowie!

Podobała się propozycya.—Na pieczenie, na pieczenie!—huknęła ochotnie bracia szlachta, zapomniawszy sejmikowych kłótni; i Mateusze wraz większą połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci! - rzekł wojewoda—piszę się na ten projekt, i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwietnych urzędników na obiadek pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się po niejakiej molestacyi i podkomorzy; więc wszyscy hurmem wyszliśmy z kościoła i wnet cały Uszacz zajadał pieczenie.

OBIAD U PANA WOJEWODY.

VII.

Tłum się u nas zebrało gości. Ponieważ przyszedł i pan Sielicki podkomorzy, naczelnik naszych opozytorów, więc za nim przyszli i panowie Norniccy, Przesieccy, i pan Reut, i kilku niższego chóru braci szlachty i ich partyj. Wszystkich najuprzejmiej witał wojewoda, a każdy pytał się ciekawie o nowiny z Warszawy, szczególniej, jakie to fawory królewskie ma osiągnąć podkomorzy?

Dogadzając więc tej ciekawości okoliczników, pan Stanisław szepnął pod sekretem na ucho którémuś, że podobno król Jegomość wysyła pana podkomorzego posłem do Turcyi, a cały trakt zapoński wyznacza mu na assystencyę i *sumpt* własny ma spendować.

— Czy to aż za morze? mości dobrodzieju, zapytał cicho szlachcic.

— Naturalnie, panie bracie, że suchą nogą tam nie dojdziesz.

— To pani podkomorzyna nigdy na to nie pozwoli—rzekł szlachcic, widać domowy *famulus* pana Sielickiego. I pokręciwszy głową, wymknął się cichaczem za drzwi, z nowinką do braci.

Tymczasem uważałem, że pan Sulistrowski unikał podkomorzego, a z panem wojewodą w alkierzu długą miał konferencyę. Dobry sługa powinien zgadywać myśl pańską, więc i ja, aby nie zważano na to, kazałem roznosić wódeczkę.

Gdy wyszli z alkierza, szepnął mi wojewoda:—Ojcze święty! trąby do sieni, a Piekarski niech będzie gotów na dziedzińcu, gdy usłyszy trąby—*Apel!*

Nie zważając niby na polecenie, stuknąłem moją laską marszałkowską przed wojewodą, i rzekłem z tęgą miną: — Waza na stole!—Zasiadano więc do obiadu a ja się wymknąłem tymczasem za drzwi i zaordynowałem wszystko podług dyspozycyi pańskiej.

Obok pana wojewody usiadł z prawej ręki pan pisarz litewski, a z lewej, pan podkomorzy Sielicki. Pełniąc moją powinność, obchodziłem stół dokoła, pilnując porządku i zbliżając się często do wojewody, a nuż czego nie rozkaże?

Jakoż pod koniec obiadu, rzekł on do mnie:—Ojcze święty! *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*. Ja tylko jeden zrozumiałem co to znaczy. Jest w sklepie wojewody kapitalne stare francuskie wino, które pachnie chlebem razowym; dla zapachu więc tego nazwał on je chlebem powszednim, choć *a festis* tylko i na dobitkę podawać go każe. Miałem ja wprawdzie między moją prowizyą sejmikową kilkanaście gąsiorków i tego chleba powszednie-

go, ale schowałem je aż w kominie w alkierzu: bo rozumiałem, że sejmikowa sprawa obejdzie się i bez tego specyału. Poznałem zatem po zakroju, że coś ważnego nastąpi, gdy od tego zaczynamy na czem zazwyczaj kończyliśmy.

Wybrawszy więc kielich średniej miary, (bo największy połknąłby dwa razem gąsiorki), podniosłem go na tacy wojewodzie, a hajduki nieśli za mną chleb powszedni. Powstał pan wojewoda, i ująwszy nalany spełna—zdrowie!—rzekł—JW. Sielickiego. Przestał, a potem dobitnie zawołał:—kasztelana województwa połockiego;—Spójrzał zdziwiony pan Sielicki, obrócili się wszyscy ku wojewodzie; ten stał nie spełniając jeszcze kielicha; a wtem powstał pan Sulistrowski. i rzekł, dostając z zanadrza znowu wielki list, jeszcze z większą białą pieczęcią:—Król Jegomość, pragnąc dać tobie, mości podkomorzy, dowód swej łaski pańskiej, i nagrodzić *merita* twoje, powołuje cię do boku swego, i konferuje wakujące krzesło senatorskie kasztelanii, tego prześwietnego województwa. Przywilej Najjaśniejszego pana składam więc w ręce twoje, mości wojewodo połocki, abyś, jako *princeps nobilitatis* w województwie, oddał swemu od dziś dnia koledze, JW. kasztelanowi połockiemu.

Jakoż pan wojewoda przyjąwszy papier ten od pana Sulistrowskiego, odpieczętował, wyjął przywilej, i jedną ręką oddając go panu Sielickiemu, drugą podniósł w górę kielich i krzyknął:

— Wiwat kasztelan połocki! wiwat! Apel!. . . i wypił.

Zabrzmiały trąby i kotły, a razem Piekarski dał salwę na dziedzińcu.

Pan Sielicki jak osłupiały stał, trzymając przywilej w ręku, a łzy mu po twarzy grochem się sypnęły. . .

Kielich przyjął od wojewody pan Sulistrowski i też same powtórzył zdrowie, więc znowu trąby i salwa; szło tak dalej i dalej, gdy pan Sielicki ocierając z łez twarz i wąsy, do mnie:—panie marszałku! proszę o kielich.—Podałem nalany.

Jeszcze gęściej łzy mu się potoczyły, gdy chciał mówić oracyę na podziękowanie za tę niespodzianą godność. Proszę uniżenie! nie płakałby tak rzewnie, gdyby mu fortunę odebrano! Co to znaczy wdzięczność w poczciwem sercu! bo lubo był zawsze naszym przeciwnikiem, jednak *quod jure, juste,* powiedzieć trzeba, że pan Sielicki zacny człek i godny obywatel.

Ledwo więc wymówić mógł on, i nie dosłyszałem jego *kongratulacyi;* skończył głośniej i zrozumialej, bo wnosząc zdrowie JW. Sulistrowskiego, godnego dygnitarza, a przyszłego posła województwa połockiego.—Wiwat!—krzyknęliśmy wszyscy hucznie. Od trąb salwy aż okna drżały. Pan Sulistrowski podług zwyczaju swego nie mówił wiele, tylko się uprzejmie kłaniał, uśmiechał i wąsiki pokręcał.

Podałem więcej kielichów, każdy chwytał je, i szły gęste wiwaty, poplątane razem i dla nowego kasztelana, i dla przyszłego posła. Jeden pan Reut, siedzący pod końcem stołu, nie powstał i nie łączył się do naszej ochoty, a siedząc nad kulszą indyka,

pokręcał tylko głową; ale gdy ktoś z tłumu wykrzyknął:—Zdrowie pana Brzostowskiego, drugiego posła naszego! Pan Reut nie wytrzymał i zapytał:—Cóż to? mości panowie! czy już po sejmikach, że obwoływacie posłów?

Nie słyszano w tłumie tej *tanquam* protestacyi jego, ale pan Stanisław siedzący naprzeciw, spójrzał nań z pode łba, i z cicha ale dobitnie rzekł: Chapaj Reut miasa! — Coby z tych allokucyj między nimi wynikło? możeby przyszło znowu do Harasima, bo i pan Reut nie daje sobie grać po nosie; ale kłaniając się uprzejmie wszystkim, pan Sulistrowski nie spuszczał z oka nikogo; spostrzegł on już pierwej, że pan Reut nie przyjął podawanego przeze mnie kielicha, i poznał widać po mnie, co się święci. Nieznacznie więc przechodząc przez tłum, zbliżył się do pana Podwińskiego, szepnął mu coś na ucho; ten znowu zbliżył się do pana Reuta, szeptał mu długo i poprowadził go za sobą, do alkierza, do którego wszedł wprzód pan Sulistrowski.

Pan Stanisław mrugnął na mnie, ja na niego, i gdym się doń zbliżył, rzekł do mnie z cicha:—Oj! panie bracie! na ciężką konfessatę wzięty nasz *reverendissimus* kaznodzieja i poeta!

— Dotrzyma — odpowiedziałem. — Oho! to łeb *Scholarum Piarum!*

— A mnie się zdaje, panie bracie, że teraz właśnie jedzą kaszę, do której pan Sulistrowski p... wrzucił. Pamiętasz koniec Reutowskiego kazania?...

Nikt tych obrotów i manewrów prócz nas nie zaobserwował: więc zdziwienie było powszechne, gdy po krótkiej chwili ukazali się z alkierza pod ręce wziąwszy się ci *tandem* przeciwnicy; a pan Sulistrowski z uśmiechem na twarzy, i pokręcając zawsze wąsiki, prawdę mówiąc, jakby drwinki sobie robił z naszych sejmikowych zawziętości.

— Mości kasztelanicu!—rzekł do pana Brzostowskiego—podziękuj pan zacnemu swemi współambijentowi, który się zrzeka i odstępuje swoich zamiarów.

— A, to czarownik!—rzekłem do pana Stanisława - Czy inkluzę ma jaką przy sobie?

— O! ma, ma, panie bracie! ma inkluzę i nosi ją tu—odpowiedział stukając palcem do łba.

Jakoż ściskali się z jawnym afektem pan Brzostowski z panem koniuszycem; a wojewoda patrząc na to, rzekł:

Ojcowie święci! gdy tak przez szczęśliwą influencyę pana pisarza litewskiego wszystko nam się składa zgodnie, najstosowniejszy zatem będzie kielich—Kochajmy się! - Apel!—zawołał wychylając duszkiem.

Brzmiały trąby i kanonada; ale wtem zagłuszył wszystko okrzyk nagły i niespodziany na dziedzińcu i pod oknami; kilkaset razem szlachty wrzasnęło okrutnie:—Wiwat pan Sielicki poseł turecki! Wiwat!

Zdziwieni wszyscy, oprócz mnie i pana Stanisława, pytali się co

to ma znaczyć? Szlachta cisnęła się do okien i do sieni, i nie przestawała krzyczeć podrzucając czapki w górę: — Wiwat poseł turecki! Pojedziemy wszyscy za nim do Turcyi, choćby i na kraj świata!

Podstąpiłem do wojewody, i wytłumaczyłem mu cicho figiel pana Stanisława; zmarszczył się nieco, ale wnet, nie dając czasu do rozwagi—pójdźmy—rzekł—ojcowie święci, na ganek, ogłosimy zbałamuconym braciom szlachtom nowe dostojeństwo pana kasztelana połockiego, i z nimi razem powtórzymy: kochajmy się!—Więc wszyscy hurmem za panem wojewodą wychodzimy na ganek.

Dziedziniec dworku tego, w którym mieszkaliśmy, był dość obszerny. Na środku Piekarski stał w szyku frontem ku nam; flinty błyszczały rzędem jak dudy od organów. Podszedłem do niego.

— Prezentuj broń!—krzyknął on ujrzawszy na ganku wojewodę, i machnął pałaszem na dwa tępy—udało się; potem—do nogi broń! — to nie bardzo kupno poszło.—A teraz nabijać? ale zagniewany Piekarski, że nie raźno spuścili broń do nogi, dodał z cicha:

— No, poczekajcie tylko! . . Więc zaczęli poczekiwać. Piekarski znowu:—A nabijajcież! niech was piorun trzaśnie! — więc nabili.—Gotowo? Gotowo!—To znowu—na ramię broń!—i stoją czekając hasła.

Tymczasem pan wojewoda do którego i ja wróciłem, na ganku perorował, i ogłaszał przed szlachtą kasztelaństwo pana Sielickiego obok z nim stojącego. Więc na skinienie pańskie wytoczyć wnet kazałem między tłum kilka beczek miodu i sączyć do cebrów. Nie trzeba się było troszczyć czem pić będą, bo wszystkie z całego Uszacza półgarncówki, kwarty i kwaterki żydowskie były w kieszeniach u braci szlachty; a niektórzy nawet z domu cynowe kubki na sejmiki przywieźli. Zaczęli się więc hojnie raczyć naszym miodkiem.

Pan wojewoda kończąc oracyę, w której prawdę mówiąc, najczęściej było słychać „ojcowie święci" a której słuchała szlachta z otwartemi gębami.—Wypijmyż—rzekł—zdrowie nowego senatora JW. kasztelana połockiego! Apel! . . . — Piekarski komenderuje! *tou! tuy!* kurki *traf traf!* a szlachta posłyszawszy to, odbiegła od frontu i uczyniła próżne miejsce między żołnierzami a gankiem—Cel! pal! . . . jak orzech zgryźli.—Wiwat!—krzyknęła szlachta—kasztelan połocki, a razem i poseł turecki! tak i pojedziemy z nim do Tureczczyzny.— Znowu apel! i znowu *rrum!* Gracko! Dawszy czas do nabicia, rozochocony wojewoda zakomenderował raz trzeci Apel! . . Jeden strzał zaciągnął. . coś mi świsnęło koło ucha. . . coś brzęknęło obok. . . a wojewoda posłonił się aż na mnie. . . Wnet się odwrócił i rzekł do kompanii:—Proszę się bawić. . . —a do mnie: - Ojcze święty! za mną. Wszedł raptownie aż do drugiego pokoju i rozdarł żupan. . . krew polała się poto-

kiem... aż mi się w oczach zaćmiło i nogi mi odjęło, tak się przeląkłem.

— Ojcze święty ratuj! widzisz zabić mnie chciano!—Ja drżałem jak osina i krzyknąłem bez przytomności:—Gwałtu! ratujcie! —Cicho!—przerwał mi wojewoda—czy sfiksowałeś? Wołaj natychmiast Pawła felczera, a sam jedź co najprędzej do Połocka po księdza Grubera, doktora zgromadzenia księży Jezuitów.

Wyleciałem jak szalony, szczęściem znalazłem felczera w kuchni, posłałem go, a sam w kilka minut już byłem na wozie, rozkazawszy rozstawić konie na pół drogi.

Wyjechałem trzema tęgimi końmi; ale, że tu właśnie było *periculum in mora*, więc parłem jak opętany. Pod Połockiem o milę koń padł; odciąłem postronki i dalej poleciałem. Ksiądz doktor, zabrawszy natychmiast swoją podróżną apteczkę, siadł ze mną na brykę, którą mi już ojcowie jezuici dali; w pół drogi znaleźliśmy gotowe czekające na nas konie, i tak dostawiłem jeszcze przed północą doktora tego sławnego do Uszacza.

Bo też sławny to doktor na cały świat; alchemik, astrolog, fizykus; a gdyby nie był jezuitą i bardzo pobożnym kapłanem, toby go pewnie za czarownika miano. On zrobił (i teraz można widzieć u nich w refektarzu) głowę staruszka gadającego. Powiadają, że z tyłu za murem siedzi Jezuita, i odpowiada na wszelkie pytania, które staruszkowi zadają; ale i staruszek gębą i oczami rusza, tak że przysiągłbyś, że on sam gada.

Cały Połock zawsze pełen chorych, a szczególniej podstarzałych dewotek, które razem i peregrynacyę do ś. Bobolego, i kuracye u księdza doktora odbywają.

Gdyśmy przybyli, znaleźliśmy już pięć grankulek na stole, które felczer wyjął z ramienia wojewody; siedm odbiło się od gwiazdy orderowej, na szczęście lanej ze srebra, siedm, dołków na niej zostawiając. Gdyby nie ta gwiazda na piersiach, grankulki byłyby w sercu, i panu wojewodzie amen.

Wojewoda cierpiał bardzo; krew z ran się dobywała, choć pan Stanisław zalepił je chlebem razowym i pajęczyną. Ksiądz doktor odrzucił to wszystko, a jak zalał jakimś olejkiem, wnet i ból ulżył, i krew się zatamowała zupełnie, a zatem i wesołość na twarz ranionemu wróciła. Jednak zabronił *pater* wojewodzie sejmikować. Zrozumieliśmy, że pod allegoryą zabraniał wiwatów: bo chory chciał zaraz spełnić jeden za zdrowie doktora, gdy mu on zaręczał, że za parę tygodni zdrowiuteńki będzie; choć pan Stanisław dowodził mi, że gdyby ten niemiec nie odrzucił jego pajęczyny, byłby wojewoda zdrów za parę dni, i mógłby śmiało ciągnąć chleb powszedni.

Winowajcę wnet odkrył Piekarski; bo jako tęgi oficer, dostrzegł on, który z gemejnów zaciągnął w strzale. Schwycił go więc na gorącym uczynku i zrewidował ładownicę; a ponieważ dał był każdemu dla wszystkiego po jednym ładunku z grubym śrótem, a u niego nie znalazł tego ładunku, więc czysta konklu-

zya, że on był winowajcą; do czego i przyznał się bez męki, dodając, że grankulki przyniósł już z domu. Ale go rozum odstąpił; bo gdyby osobny sobie zrobił ładunek, trudno byłoby dójść prawdy.

Zatem wszyscy się uspokajali, że to nie szlachcic żaden, ale własny poddany wojewodziński takowego ekscessu się dopuścił! a tak żadnych już suspicyi na sejmikową zawziętość nie było; owszem wczorajsze nawet po waltorniach strzały, na żołnierzy składano.

Sejmiki nazajutrz zakończyły się cichuteńko. Pan Sulistrowski pewny już swojego, raniuteńko już pożegnał wojewodę i wszystkich panów urzędników, obchodząc ich od kwatery do kwatery, a gdyśmy się zebrali do kościoła pod laską nowego już senatora pana kasztelana Sielickiego, który jako *locum tenens* wojewody, zagaiwszy sesyę, zapytał trzykrotnie o zgodę na panów Sulistrowskiego i Brzostowskiego, jako posłów województwa połockiego na sejm, szlachta krzyknęła za każdym razem: – Zgoda—i na końcu: —Wiwat!

Ichmość *electi* wziąwszy się pod ręce, przechodzili po kościele, kłaniając się pięknie na wszystkie strony W tem odezwała się znowu trąbka pocztowa przed kościołem. Pan Sulistrowski uścisnął kolegę w babińcu, poprosił go aby przywiózł z sobą do Warszawy instrukcye województwa, pokręcił wąsików, uśmiechnął się wesoło, ukłonił się jeszcze raz wszystkim grzecznie, siadł do kocza, i tyle my jego widzieli.

Ale co dziwne było wszystkim, że z nim siadł i pan Reutt, niedawno tak zawzięty przeciwnik. Teraz dowiadujemy się, że pan pisarz litewski zawiózł go do dóbr swoich w Oszmiańskie, i tam ożenił z panną Czechowiczówną, krewną swoją, bogatą i piękną jedynaczką, sam nawet spendując koszt na huczne w Szemetowszczyznie wesele. Dajże Boże, aby pan łowczyc, nie zostawszy posłem, podług własnego kazania, nie stracił p. *in connubio* i nie został tym co zostanie.

PO SEJMIKACH.

Otóż to takie odbyliśmy sejmiki. Siedzimy teraz w domu. Pan wojewoda zdrów; nosi w kiesce zamiast sporyszów grankulki, które mu z ramienia wydobyto; a gwiazdę srebrną, która go ocaliła, odesłał do Wilna na wotum do Ostrej Bramy.

W codziennym zwyczajnym trybie naszego życia, niema co do zapisywania w tym moim raptularzu, który jakoś polubiłem sobie. Już mnie coś do niego ciągnie, i co wieczór prawie, gdy powrócę z pokojów wojewody do mojej oficynki, a zapalę sobie luleczkę, to i wyjmuję z kuferka mój sekstern, kładę go na stole, zaglądam, przewracam karty, liczę wiele zapisanych, a wiele jeszcze białych? ot tak sobie. . . to nie przeszkadza ani Litanii, ani

wieczornym modlitwom; a zakończywszy paciorki, seksternik szust do kuferka, i dobranoc.

Ksiądz Maciej, nasz kapelan, który wie o mojej robocie, widząc że się biorę do przepisywania to tego, to owego, z dyaryuszu wojewodzińskiego, zaleca mnie, abym zeń przekopjował naprzód dwa jego własne kazania, które z pół książki zajmują, a potem *maxymy* i *sentencye* łacińskie, które podobno sam on na polski dyalekt wierszami przewertował, i do księgi wojewodzińskiej w obu dyalektach wpisał.

Sentencye te i akumina jezuickiej bodaj jeszcze po większej części fabryki, często gęsto posłyszysz w poważnych dyskursach naszych starych, wysoko golonych sensatów; bo u młodych, łysina i łacina wyszły dziś z mody. Wszelakoż zdaje mi się, że *cytacya ad rem* jakiego mądrego zdania, a zwłaszcza po łacinie, nie szkodzi; dowodzi owszem, że się darmo w szkole kaszy nie jadło, a w dyspucie, to jak klin żelazny, który zgryść trudno, a który wbija się i łamie dowody przeciwnika. Nieraz mi się słyszeć zdarzyło, jak jednym takim argumentem skonwinkowano wszystkich i zakończono żwawą dysputę. W życiu więc dworskiem, gdzie często językiem szermować przychodzi, nie zawadzi mieć na pogotowiu w pamięci ładunek takich klinów: a więc to i przepisać warto. Co do kazań, mam nadzieję, że ksiądz Maciej zmodyfikuje się przy lampeczce trojniaku.

SENTENCYE
z książki pana wojewody.

1.

Dum recte vivis, non curas verba malorum.
Gdy życie twoje cnotliwe, nie dbaj na mowy złośliwe.

2.

Omnia si perdas, famam servare memento!
Jeśli postradasz wszystkiego, broń sławy honoru twego!

3.

Fac bene dum vivis, post mortem vivere si vis.
Czyń dobrze za życia twego, dojdziesz spoczynku wiecznego.

4.

Est labor ingratus, quem praemia nulla sequuntur.
Niemiła jest taka praca, za którą nie bywa płaca.

Co to, to wielka prawda: ja sam bardzo nie lubię, kiedy mnie za jaką dworską usługę, pięknym pańskim ukłonem, a nie pasem słuckim płacą. Przy zręczności nie zaniedbam użyć tej mądrej sentencyi.

5.

Crescit amor nummi, quantum ipsa pecunia crescit.
Komu pieniędzy przybywa, więcej starania miewa.

Zdaje mi się, że tu ksiądz Maciej chybił kadencyi.

6.

Nobilitas morum, plus valet quam genitorum.
Kto ma piękne obyczaje, taki się szlachcicem staje.

7.

Inutilis quaestio solvitur silentio.
Kto bredzi, niema odpowiedzi.

Już to przysłowie dawno znajome, i póki świat światem, nie wyjdzie pono z mody.

8.

Non agnoscitur bonum, nisi omissum.
Kiedy czego pozbędziemy, wtenczas tego żałujemy.

9.

Cum fortuna perit, nullus amicus erit.
Gdy złe przypadki, to przyjaciel rzadki.

10.

Verba ligant homines, caetera animalia funes.
Ludzi słowa dewinkują, zwierzę powrozy krępują.

Często pan wojewoda konwinkując upartych przy kielichu, powtarza sentencyę podobną do tej w sonancyi, ale innego moralnego sensu: — *Vinum bibunt homines, caetera animalia fontes.* Tak dobrze jak i ksiądz Maciej mogę ja to wytłumaczyć, naprzykład:—Wino napoj dla człowieka, a dla nie człowieka, rzeka— *supponitur*, że kto nie człowiek to, *animal est.*

11.

Audi carnificem, spernens audire parentes.
Kto nie słucha rodziców, ten słucha katowskich biczów.

I tu ks. Maciej nie trafił na kadencyę, choć maksyma bardzo pożyteczna i prawdziwa, bo z czwartem przykazaniem zgodna.

12.

Nondum sunt visi, qui caruere nisi.
Nikt bez ale, panie Michale.

Jakby do mnie napisał; ale nie mam pretensyi do ks. Macieja, bo on tu dawne przysłowie podsztukował; a tymczasem, sam to sobie za obrok duchowny powtarzać mogę: — Oj! tak, tak, nikt bez ale, panie Michale.

13.

Non omnes sancti, qui calcant limina templi.
Nie wszyscy święci bywają, co kościoły nawiedzają.

Figurycznie toż samo znaczy. — Wszyscy my ludzie, i ks. pleban człowiek.

14.

Hospes non invitatus recedi saepe ingratus.
Gość na bankiet nieproszony, nie bardzo bywa uczczony.

15.

Exeat ex aula, qui cupit esse pius.
O pobożność przy pokorze, trudno bywa w każdym dworze.

To fałsz. Mówią wprawdzie, że teraz na wielkim świecie niedowiarki i farmazony coraz się mnożą, a za to nawiedzanych i czarowników ubywa; ale ja nie widziałem jeszcze nigdzie takiego zgorszenia, i daj Boże nie zobaczyć. Tu u nas ks. kapelan codzień mszę w kaplicy ogrodowej miewa; pani wojewodzina z córkami i wszystkiemi rezydentkami respektowemi jej słucha; pan wojewoda chyba bardzo zajęty, to ją w dniu powszednim opuści, lecz w niedzielę nigdy. Niechżeby który z nas dworskich spóźnił się lub nie przyszedł! pięknejby oracyi posłuchał od wojewody, nie licząc jeszcze ks. Macieja, który *strictissime* pilnuje, aby wszyscy we dworze rano i w wieczór mówili pacierze, i leniwych ku służbie Bożej gorąco napomina W każdym dworze pańskim, tenże sam *praeter propter* znajduję porządek. Zdarza się wprawdzie czasami u jakiego młodego panicza widzieć i posłyszeć jakie bałamuctwo; ale zwykle gdy młode piwko uchodzi się, to i ojcowskie obyczaje wracają do ścian ojcowskich.

16.

Cum bone, bonus eris; cum perversis, perverteris.
Z jakim kto przystaje, takim się sam staje.

17.

Qui confidit in Domino, nunquam confusus est.
Bóg takiego nie opuści, który się na Niego spuści.

Proszę uniżenie! a kiedy jaki zbolały chudeusz, spuściwszy się na Pana Boga, woła, że go Bóg opuścił, to nieraz mu odpowiadają: — A na coś na Niego spuścił? — Jakże tu pogodzić te *contraria?* pono najlepiej wierszem nieboszczyka kasztelana Tryzny.

Ufaj! Bóg ci dopomoże;
Ale pracuj sam, nieboże!

18.

Felix quem faciunt aliena pericula cautum.
Rozumnym się nazwij wtedy, gdy się uczysz z cudzej biedy.

19.

Gaudia principium nostri saepe sunt doloris.
Często nasze radośći, są przyczyną żałości.

20.

Quod cito fit, cito perit.
Co się prędko wznieci, nie długo się świeci.

21.

Dormit nocte parum possessor divitiarum.
Nie zasypia w nocy śmiele, kto ma pieniędzy wiele.

22.

Virtus promotore carens, non surgit in altum.
Cnota, praca i pokora upada bez promotora.

23.

Ex duobus malis, unum minus eligendum sit.
Z dwojga złego, imaj się mniejszego.

Pan Stanisław powiadał mnie, że wybierając sobie żonę z dwóch sióstr rodzonych, poszedł za tem przysłowiem; wybrał mniejszą, i wyszedł jak Zabłocki na mydle, bo teraz inne przysłowie stosować musi do swej żoneczki: — Mała jak palec, a zła jak padalec.—Ale on sobie dworuje, bo ja, bywając często jako przyjaciel w jego domu, znam dobrze panią podczaszynę; maleńka to, prawda, figurka, zacna jednak dama i pięknych ma synków.

24.

Ex meritis vitae, dependent ite venite.
Jako na tym świecie żyjesz, tak i na tamtym użyjesz.

25.

Cantabit vacuus coram latrone viator.
Będzie śpiewał próżny, przed zbójcą podróżny.

26.

Mors nescit legem, tollit cum paupere regem.
Smierć nie zna prawa żadnego: bierze z panem ubogiego.

27.

Ex libro doctus quolibet esse potest.
Mędrzec to nie tęgi, co ma rozum z księgi.

W szkołach jeszcze nasłuchałem się tej sentencyi; tylko tam mówiono:—*Ex libro doctus, ex capite stultus.*—Bodaj to i do mnie przypadnie, gdy tą cudzą łaciną sztukować się będę.

28.

Quae feceris parentibus, eadem a liberis expecta.
Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

29.

Vilius argentum auro, virtutibus aurum.
Podlejsze srebro od złota, nad złoto zaś droższa cnota.

A toby złotemi literami wypisać trzeba na bramach bogaczów naszych.

30.

Feriunt summos fulmina montes
W najwyższe góry bije piorun z chmury.

I o temby im pamiętać nie wadziło.

31.

Dum veneris Romam, romano vivite more.
Kiedy siądziesz między wrony, tak też krakaj jak i ony.

Jakby to Rzymianie wronami byli. Komparacya wcale nie piękna; i należało ks. Maciejowi połamać sobie głowy, a zamiast podkładania tego starego przysłowia, ułożyć sprawiedliwy sens tej sentencyi.

32.

Si fuit hic asinus, non ibi fiet equus.
Choćby kto świat obszedł kołem, nie będzie z sowy sokołem.

33.

Otia quisquis amat, vae! vae! postea clamat.
Komu praca jest kłopotem, oj! oj! będzie wołać potem.

34.

Frangenti fidem, fides frangat eidem.
Kto sam wiarę łamie, temu wiara skłamie.

35.

In vili veste, nemo tractat honeste.
Jak cię widzą, tak cię piszą.

36.

In vestimentis non est sapientia mentis.
Niewiele mądrości mają, którzy się w strojach kochają.

Otóż znowu dwa przeciwne zdania, które pogodzić można szlacheckiem naszem przysłowiem: — Choć ubogo, ale chędogo.

37.

Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum.
To mi podarek prawdziwy, kiedy dający nie krzywy.

38.

Honores mutant mores, sed raro in meliores.
Z honoru większego, rzadko co lepszego.

39.

Contra vim mortis, non est medicamentum in hortis.
Przeciw srogiej Libitynie, nie ma rady w medycynie.

40.

Cur multum peccas, si multum vivere curas.
Nie używaj nadto świata, gdy chcesz żyć Matuzalowe lata.

41.

Lingua est indicium animi.
Poznać zaraz z mowy, jakiej kto jest głowy.

42.

Scripturarum autor, scribenti sis fautor.
Kiedy sam pracujesz stylem, nie bądź dla drugich Zoilem.

43.

Verbis, ut nummis utendum est.
Ostróżnie i wedle miary, szafuj słowa i talary.

A to mądrze uciął ks. Maciej; lepiej niżeli w łacińskiem, nie ma co powiedzieć; *acuminose!* Bo i prawda: czy kto nadto talarami sypie, czy bez miary językiem szermuje, zawsze na końcu poznają, że pusta głowa i pusta będzie kieszeń.

44.

Ex magna coena, stomacho fit maxima poena.
Za smaczne w wieczór frykasy, w nocy z brzuchem obertasy.

45.

Jejunus stomachus raro vulgaria temnit.
Gdy dobrze brzuch przepości, nie wybiera z chleba ości.

46.

Post mensam stabis, vel passus mile meabis.
Po obiedzie nie przylegaj, ale tysiąc kroków biegaj.

47.

Post tres saepe dies vilescit pisces et hospes.
Ryba i gość dnia trzeciego nie wiele mają smacznego.

48.

Longa solent sperni, gaudent brevitate moderni.
Długa mowa, próżne słowa, a na krótką chęć gotowa.

49.

Absint offensae, cum sit celebratio mensae.
Kiedy siedzisz przy biesiadzie, nie myślże o żadnej zwadzie.

50.

Sine labore, non erit panis in ore.
Kto nie chce pracy znieść, ten niema czego jeść.

Mając taki zapas sentencyów, nie tylko w dyskursach sensatem, ale nawet w potrzebie i oratorem zostać można. Przepiszę jeszcze dalsze niektóre *pro memoria* z księgi pana wojewody. . .

Tu kilkanaście kart wydartych w manuskrypcie, a na pierwszej z pozostałych następuje:

UCIECZKA.

IX.

......Pan wojewoda tak fulminował, że Bóg wie coby się ze mną stało; możeby w zapamiętałości zapomniał nawet, żem ja szlachcic równy jemu i *bene natus!* gdyby Opatrzność nie nadesłała rychłego sukursu. Przybył pan podwojewodzi połocki Korsak, przyjaciel i admirator wojewody, i przerwał jego zapędy. Jeszcze oni z sobą nie skończyli powitania, gdy ja, wymknąwszy się z pałacu przez kredens, zabiegłem tylko do swojej stancyi, chwyciłem z kołka Elżutkę, z kuferka kieskę z kilku talarami i jednym dukatem węgierskim z wizerunkiem Matki Boskiej; a że z wierzchu leżał i ten mój raptularz, więc i onego porzucić nie chciałem, i nie mogłem, bo gdyby wpadło w ręce wojewody, com powyżej o nim zapisał sobie *), lubo to szczera prawda, nigdyby mi tego nie darował. Wziąwszy więc jedno i drugie zanadrę, i resztę chudoby zostawiwszy na wolę Boską, pobiegłem co żywo do stajni. Tam dopadłszy konia osiodłanego, (bo zawsze jeden

*) To właśnie wydarto.

gotowy stał na posyłki), i powiedziawszy stajennym, że za pilnym a ważnym pańskim interesem muszę lecieć do miasteczka, (a miasteczko nasze tuż za groblą), ruszyłem z kopyta za bramę. Tam skręciłem na prawo drogą do Głębokiego *); to sześć mil dyabelnych; i lubo już zmrok dobry padał, a wkrótce i noc dość ciemna nasunęła się, ale mnie skry sypały się z oczu, a strach pogoni dodawał śmiałości. Koń sieczony kańczukiem leciał po gościńcu ile miał sił, ale do końca nie dotrzymał nieborak! jeszcze było z pół mili drogi, gdy on padł bez duchu, a ja kulkiem z góry oparłem się aż na ziemi; że nie skręciłem karku, był to cud miłosierdzia Bożego nade mną. Zawędrowałem już tedy piechotą do klasztoru ojców karmelitów; szarzało się na dzień, gdym do kościoła się dostał; księża śpiewali jutrznię, i ksiądz przeor dla powszechnego zbudowania był z nimi.

Gdy się ukończyły pacierze, na szczęście moje ksiądz przeor sam jeden i najpierwszy wyszedł z chóru; na korytarzu dopadłem go i przytrzymałem za habit.

— Co tu robisz tak rano? panie Michale!—bo mnie zna dobrze, i mamy niejakąś choć daleką koligacyę.

Wytłumaczyłem mu więc niespodziany powód mojego przybycia, prosząc o radę i schronienie przed pierwszym impetem wojewody.

Wysłuchawszy mnie cierpliwie,—to inna *facies rerum*—rzekł, i dał znak ręką, abym szedł za nim. Korytarze puste jeszcze były; niewidziani więc od nikogo dostaliśmy się do jego mieszkania. Wprowadził mnie zatem przez alkierz do osobnej komnatki, i rzekł: — Nawarzyłeś piwa, panie Michale, i naraziłeś nasz klasztor na gniew wojewody, który jeżeli się dowie, co łatwo stać się może, żem cię przechował, jako pan przemożny, potrafi nam nieraz dopiec do żywego. Przecież opuścić ciebie, ani miłość chrześcijańska, ani nasza koneksya nie dozwala. Musisz więc tu zostać przez dzień cały w zamknięciu; a skoro noc nastąpi, *post silentium* dalej cię wyprawię.

— Masz tu na pólkach posiłek potrzebny: szynka, pieczeń, wódeczki i zakąski. Spodziewam się, że z głodu nie umrzesz.

To rzekłszy, wyszedł, zamknął drzwi i klucz wyjął z zamku.

Zostawszy sam jeden, poznałem, że to prawda: „Kiedy trwoga, to do Boga!“ Coś mi tak ni to żałośnie, ni to smutno zrobiło się. . . Ukląkłem więc, obróciwszy się ku kościołowi, a spostrzegłszy jeszcze przez zakratowane okno i krzyż wieżowy, tem gorliwiej modlić się począłem; skończyłem na *sub tuum praesidium;* wstałem, a rzeźwiej mi jakoś i weselej już było.—Wolaż Pana Boga!—pomyślałem, pokręciłem wąsa, (ach! ktoby to zgadł, że osta-

*) Głębokie — miasteczko teraz w powiecie Dziśnieńskim, w gubernii Wileńskiej.

tni raz go pokręcałem?) i zacząłem rozpatrywać się w zapasach księdza przeora.

Łaska Boska! ani w Kanie Galilejskiej lepiej nie było! Rozmaite wódeczki, wina i miodu flasze pełne; a jakie zakąski! pierniki, pieprzniki, tłuczeńce, oraz smaczna wędlinka; niczego nie brakło. Posiliwszy się zatem porządnie, przypomniałem sobie sentencyę:—*Vinum laetificat cor hominum!* Wypróżniłem więc flaszkę tej recepty, i rozciągnąwszy się na ławie, choć z kułakiem pod głowę, zasnąłem jakby na poduszce.

Ledwo pod wieczór mógł mnie dobudzić się przeor; fatyga i flaszka jak w letarg mnie wrzuciły.—Wstawaj, panie Michale!—zawołał on—czas myśleć o podróży. Szukają waszmości, a rozparty biegun wojewody na gościńcu dał poszlakę, żeś wpadł w nocy do miasteczka, i naturalna suppozycya, żeś tu za furtą. *Tandem* nie trać serca. Pomyślałem o bezpieczeństwie twej peregrynacyi. Ale dokąd myślisz się udać?

— Sam nie wiem — odpowiedziałem—zdaje mi się, że najbezpieczniej będzie do najbliższego wojewódzkiego miasta, gdzie mnie, jako szlachcica, ani ująć, ani prześladować nie będzie mógł wojewoda.

— Więc do Mińska—rzekł przeor.

— A chociażby.

— To i dobrze; ale cóż tam sobie poczniesz?

— Co Bóg da. Na chlebie, zda mi się, nie zbędzie człowiekowi, który pracy się nie lęka, dworów i panów jeszcze chwała Bogu mamy.

— A gdyby kaptur?...

— A to dla czego?

— Dla zbawienia duszy, dla pokuty za grzechy i dla spokojnego kąta na starość.

— Ha! gdybym to był pewnym, że będę przeorem Głębockim: bo tu ichmość podobno kilkaset chat macie!...

— Nie święci garnki lepią. Ale na co te myśli o mamonie? Młody wprawdzie jesteś człowiek, aleź w tym wieku większe jeszcze do grzechu pokusy, a na świecie trudno się ustrzedz... Ja wstąpiłem do zakonu mając lat trzydzieści, teraz mam, chwała Bogu, pięćdziesiąt... no... i to jakoś... pracując na chwałę Boską i na zbawienie duszy .. Ot tylko namyśl się dobrze, a jak poczujesz w sobie wokacyę... Tymczasem do waszmości!

Wypiliśmy po lampeczce jednej i drugiej.—No, wybieraj się teraz—rzekł przeor ocierając usta—a to takim sposobem (otworzył skrzynię w kącie stojącą): weź stąd stary zakonny habit; za obszerny być może dla ciebie, temu łatwo poradzić; znajdziesz tu razem i pościel, poduszka więc uzupełni cyrkumferencyę twoją, potem zda się ci ona pod głowę, nim ja twoje manatki od wojewody wydobędę i tobie odeszlę. Nic mu nie zawiniłeś, więc grabić cię nie może. Ogol wąsy—przyniosłem ci i brzytwę w kieszeni.

— Jak to? mam ogolić wąsy?

— A naturalnie, żaden przecie zakonnik z wąsami nie chodzi.

— Ależ ja nie mam jeszcze wokacyi.

— Nie o to idzie, mój bracie! ale transfiguracya twoja potrzebną jest *pro hac sola vice*, abyś bezpiecznie do Mińska dojechał; a w habicie z wąsami gdy kto cię postrzeże .. Toć i odrosną potem, niech ich tam kaci wezmą!... Ja innego środka nie mam, a w klasztorze trzymać cię nie mogę.

Nie było co odpowiedzieć. On wyszedł a ja wziąłem się do brzytwy. Trudno opowiedzieć, z jakim to żalem przyszło mi się rozstawać z wąsami; ale bo to były wąsy, które prym trzymały na dworze pana wojewody, a nawet i niedawno na sejmiku; przed rudominowskiemi tylko ustąpić musiały. A jakże ja ich pielęgnowałem! jak układałem i gumowałem! jak niemi wszystkie afekta oblicza wyrazić umiałem! ale cóż robić! *Sic fata tulerunt!* Więc wypiłem duszkiem szklankę wina i .. ogoliłem wąsy. Aż sam siebie przeląkłem gdym się obaczył w lusterku: goluteńki jak baba! nos mój wyrósł we dwoje, warga długa jak u starego niemca, słowem, straszydło weneckie! Łzy mi w oczach stanęły, i właśnie na fantazyę chciałem pokręcić wąsa... Reszta przyborów nie zabrało wiele czasu. Habitem we dwoje okręcić się mogłem; ale podłożywszy poduszkę, zacisnąwszy się rzemiennym pasem i zawiesiwszy pod nim koronkę, byłem podobniejszy do wypukłej beczki, niż do stworzenia Bożego; nakoniec księżowską czapeczką pokryłem głowę; jeszcze raz spojrzałem w źwierciadełko, i pewny byłem, że nie tylko drudzy, ale i ja sam niełatwobym siebie poznał. Siedziałem więc już tylko spokojnie na zedlu, ani się poruszyłem, rozważałem moją biedę teraźniejszą; różnicę między kontuszem i habitem, między pasem litym słuckim a pasem czarnym skórzanym zakonnym, między karabelą a koronką; spójrzałem na moją Elżutkę w kącie stojącą, rozpamiętywałem i rejestrowałem w myśli moją chudobę szlachecką w kuferku zostawioną, gdy posłyszałem dzwonek *silentium*, i wszedł ksiądz przeor.

— No, ojcze Michale!—rzekł on,—oglądając mnie ze świecą z nóg do głowy.—Cóż to waszmości? łzy na oczach? Wstydź się! Powrócisz znowu do tak ukochanego przez ciebie świata, kiedy za nim tak tęsknisz; w Mińsku zrobisz z sobą co zechcesz; nie płacz więc jak dziecko. Oto masz obedientię *in scriptis*, którą okażesz, jeżeliby kto cię zaturbował na drodze; pamiętaj, że się nazywasz ksiądz Bonawentura Bobakowski, kaznodzieja posyłający się z naszego głębockiego klasztoru do klasztoru mińskiego: tak stoi w obedientii. A to list ode mnie do naszego tam przeora, który zaszyjesz w szkaplerz, a oddasz mu *in occluso*. Nakoniec oto masz na drogę—rzekł, sunąc mi w rękę kilka talarów bitych.

— Dziękuję pokornie *Reverendissime!* ale mam swój maleńki zapasik.

— Z przybytku głowa nie boli, a zatem przyjm śmiało.

Wszakże ja tam twój jakiś wujaszek, a klasztoru tem nie zubożę.
—Więc już i przyjąłem.

— A teraz idźmy. . . — Więc ja z kąta za Elżutkę. . . a on mię za rękę.

— A cóż to znowu? czy myślisz przypasać ją do habitu?

— Nie, ale darujesz jegomość dobrodziej, szabelki mojej nie zostawię; ukryję ją w wozie, z mantelzakiem, w którym moje świeckie odzienie. Noc ciemna, i furman nawet nie zobaczy.

— Oj! bo to szabelka odwodzić cię będzie od pobożniejszych myśli, a ja życzyłbym Zresztą *homo proponit, Deus disponit, et Deus te benedicat!* Nie tracę nadziei. . . Jedź z Bogiem, a ja jutro odprawię mszę na twoją intencyę.

W NIEŚWIŻU.

X.

Miłyż Boże! czym się mógł spodziewać albo pomyśleć przed kilku tygodniami na dworze wojewody, że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie *Fratrum minorum*, a po prostu mówiąc, bernardyńskim? bo jeszcze nie bardzo się przyzwyczaiłem do tego nazwania. Prawdę powiedział wyprawując mię z Głębockiego tamtejszy ksiądz przeor, a mój wujaszek:—*Homo proponit. Deus disponit*—i prawdziwie była w tem wszystkiem wola Boska, *digitus Dei!* Zapisawszy zaś w Mińsku powyżej moją ucieczkę i transfiguracyę na karmelitę, opiszę tu jeszcze w moim kochanym raptularzu i progress ten przejścia na formalnego zakonnika. Odstąpiła mię szabelka moja, nie powróciły raz ogolone wąsy, jedna mi tylko została pociecha, ta moja książka; a kto wie? może i jej wkrótce będzie *finis*? bo cóż pisać, gdy nie będzie treści, a zkąd znowu treść w klasztornej celi?

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zajechałem prościuteńko do karmelitów. Klasztorek to nędzny i drewniany; ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Zobaczywszy mnie przełożony, krzyknął: - Czy poszaleli? przysyłać mnie do ubogiej rezydencyi taką pipę! Waść i mnie samego zjeść gotów!

Podałem mu obedientię, ani czytać jej nie chciał; więc wsunąłem list. Ujrzawszy on na kopercie *soli*, spojrzał na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — ot tobie masz!—rzekł—co ja z wasanem pocznę? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo...

— Nie alteruj się, *Reverendissime!*—przerwałem—proszę tylko o lokacyę na parę dni, a już ja sobie poradzę

Wszedł do alkierza pater, wyniósł stamtąd flaszkę z wódką

i dzwono marynaty ze szczupaka.—Posil się wasan po drodze, a ja tymczasem pomyślę.—Jakoż ja i posiliłem się, i siedziałem już z pół godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi nic nie mówiąc; odczytywał tylko list pokilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem na czemby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru bernardyńskiego.

— *Salve! Reverendissime! salve!* — rzekł on; a spostrzegłszy mnie: — Cóż to? masz nowego przybysza? i mierząc mnie okiem z nóg do głowy—postura *tanquam* kufa! ot co jest.—Ale tem lepiej. Przyszedłem prosić wielebność waszą na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem, a po służbie Bożej na uczciwą pieczeń baranią i na konsolacyę, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszą celebrę; a kiedyś tak mądra pałka, dodał, obracając się do mnie—to proszę na ambonę, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycyę księdza kustosza dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj, *Reverendissime*, ten list, wyrozumiesz może lepiej odemnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy—cóż tu niezrozumiałego—rzekł.—Ks. przeor głębocki prosi cię, ojcze, abyś oddawcy tego listu, kolligatowi jego, panu Michałowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody . dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowem kapłańskiem, że ucieczka i przebranie się jegomości nie z jego, broń Boże przyczyny, lub jakiego ekscessu, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu* zagniewanego wejewody pochodzi, ot co jest? Więc nad czemże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie: *verte*.

— Aha! *verte*, nie spostrzegłem—i czytał: „Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. Waść więc, ojcze, *per viam persuasionis* . *Una salus servire Deo, caetera fraudes!* . . *intelligis?* . . *Prudenter age!* . . *et fiat voluntas Dei* *).

— *Est res, et nulla res est!* jest rzecz i niema rzeczy!' ot co jest! - rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole—a cóż jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiem, i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

— Prawda! najprawdziwsza prawda: *bene dixisti*. Ot co jest.

---

*) Jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność! rozumiesz!... Czyń mądrze!... i niech się dzieje wola Boża.

Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio* zostań naszym bratem bernardynem; bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży karmelitów. Ot co jest!

— A to dla czego?—zapytał poruszony przeor.

— A to dla tego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennej mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, pokorę, która, jak wiecie, niebiosa przebija! Ot co jest!

— No, ale, *computatis computandis*, na czemże staje?—i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej:—ja dam radę najlepszą. W twoim, księże przeorze, klasztorku może być panu eks-marszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatem *peto mecum*, mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum*, nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto pomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem do podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą do zakrystyi. *Vale!*

Ponieważ mnie ksiądz przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał się być kontent z pozbycia się, i pożegnał wdzięczniej niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z Elżutką przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się od razu podobała; uprowidował ją we wszystkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wyśmienitem piwem na stole postawił.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata kanaparza; jakoż wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtem bywało. A zatem po tej pierwszej próbie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakiego *ad interim* przełożeństwa, nad zamożną klasztorną dyspensą i piwnicą; czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza żeśmy się z sobą wielce jakoś pobratali i polubili; a nawet od dnia do dnia, coraz bardziej przypadało mi do smaku to spokojne, poufałe i pobożne między braćmi życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga; bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora głębockiego często mi po głowie przemykało, i co najbardziej, że gdy rano wstawszy poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej pierwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mię razem do siebie na kawę.

Posłużywszy Bogu—powiadał on—możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

Potem każdy do swojego, a ja na *consilium* z bratem kanaparzem względem obiadu, który, że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był smaczniejszym niż dawniej, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies* prawie w każdej celi, *post requiem* albo odwiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano* dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszek na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłej i poufałej komitywie aż do *silentium*, które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojej celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po korytarzach, *stricte* pilnując reguły zakonnej. O tem ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele, w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi, ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu.

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moją, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kontusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie: jeden bogaty złoty w karpią łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole *et id genus* wszystko, co się w kuferku znalazło, gdy wszedł do mnie ksiądz kustosz.

— A jaką to zakrystyę ubrałeś? panie Michale—zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ks. przeor głębocki. A w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie zobaczyć, żem nie z pod płota wylazł.

— Ot to byłaby piękna kapa na *asperges* — mówił on, gładząc pas mój lity—z żupanów gredyturowych i atłasowych, ornaty; z kontuszów, *antepedia*, a z właściciela—obracając się do mnie—bernardyn. Ot co jest!

— Nie raz mi to, *Reverendissime*, po głowie przechodzi, ale. .

— Co za ale?—przerwał.—Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę Bożą, nie ma żadnego ale! Cóż w tem złego? Dyabeł na świecie tańcuje koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze, ale co innego być między wami gościem, a co innego. . .

— Być pod obedientią! prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatem musi także być pod obedientią! Ot co jest!

— Widzisz, *Reverendissime*, na kapłana trzeba osobnej nauki! gdzież mi już rozpoczynać na nowo szkoły?

— W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tęgo, a dla ochoty do teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątków, przez *miserere* i dyscyplinę, mógłbyś od razu zostać jubilatem, zwłaszcza że i po łacinie umiesz. Ot co jest! Ale twój animusz nie do tego: więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób professję na braciszka *sine missa*, zostań z nami bernardynami; Boga chwal, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała; ale po krótkiem milczeniu ksiądz kustosz dodał:

— Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek, z tymi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojnem zakonnem życiu pewnie będzie ci lepiej. Pokochałem cię szczerze i dla tego samego nie będę cię długo apostołował, bo mógłbyś myśleć, i jabym sam podejrzewał siebie, że nie chcąc z tobą się rozstawać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli jednak nie masz jakich szczególnych obligacyj na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo, to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swej woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoją intencyę nieszpory; wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób co ci Bóg do serca poda. Ot co jest!

Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało. Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił obronić, i upor na upor; ale najgorsze w życiu ludzkiem te jak chcesz! I tak dobrze; albo i tak źle, i tak źle... A Bóg wie tylko co lepiej, a co gorzej. Więc czekałem już niecierpliwie nieszporów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc modliłem się gorliwie i wzywałem opieki Matki Boskiej, do której szczególniejszą mam modlitewkę;

Kto chce Pannie Maryi służyć,
A jej osobliwszym miłośnikiem być ..

i tak dalej. Jakoż po tej modlitwie, podniosłem z ziemi zapłakane oczy do obrazu tej Pani świata i niebieskiej Królowej, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niej mówił: — Będę Tobie i Twojemu najświętszemu synowi do śmierci służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski Bożej pełna! przyjm ofiarę moją; oddal ode mnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i ślubuję od tego momentu wielbić cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowej deski...

Długo jeszcze modliłem się; a gdym powstał z ziemi, nikogo już nie było w kościele i nie spostrzegłem jak się nieszpory skończyły. Ojcowie wyszli z chóru, i ja sam jeden się zostałem. Ciemno

już było, lampa tylko migała przed ołtarzem... gdy w tem usłyszałem stąpanie za mną... Zmora mię przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ksiądz kustosz, który siedział w konfesyonale i czekał na mnie.

— Zgaduję, bracie—rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niem utwierdza! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląkłem. Przeżegnał mię, uścisnął za głowę, ukląkł potem obok: zmówiliśmy *Te Deum laudamus*, i wyszliśmy przez zakrystyę na klasztorne korytarze.

Dopadłem śpiesznym krokiem mojej celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejakąś pociechą, moje suknie i pasy do kuferka—to, ojcze!—rzekłem, zanieś do siebie, oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie!—odpowiedział *pater* zaniesiemy obadwa kuferek ten do zakrystyi; bo już to nie moje ni twoje, ale ofiara twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Dictum, factum. Kuferek został w zakrystyi, a ja, pożegnawszy księdza kustosza, udałem się na spoczynek, i bez żadnych żalów lub molestacyj, najspokojniej zasnąłem.

NAZAJUTRZ.

XI.

Ledwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy serwitor —Ksiądz kustosz pozdrawia!—rzekł on, i habit położył mi przy łóżku; nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit.. wtem zastukał do celi ks. kustosz idący na mszę: bo zawsze mi ten znak dawał, i ja wnet śpieszyłem za nim słuchać jego mszy, albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozebrawszy się w zakrystyi, rzekł on do mnie:—A cóż? panie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa! — rzekłem, bo przy ofiarowaniu mszy świętej, znowu duch nowy, i jakby pragnienie habitu, weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud Boski i powołanie; więc aż dreszcz mię przeszedł na tę propozycyę odebrania nazad ofiary.

— Owszem, *reverendissime!*—odpowiedziałem—idźmy do celi, i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i jego Matce Przenajświętszej; determinacyi mojej nie zmienię.

Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że gdym się paskiem podpasywał, pas lity był na sercu... ale to krótko, bo poznałem w tej

pokusie sprawkę szatana; więc przeżegnałem się, i zło to z głowy znikło; a ksiądz kustosz obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi jego, i za jegoż rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny; zatem zeszli się wszyscy księża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale obedientia dzwoni.

Oto jest—rzekł kustosz—nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystej wokacyi, którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus* zatem bracia mili, i przyjmujmy go *apertis manibus*: bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś w czasie wotywy odprawi on swoją pierwszą professyę.

— A potem—odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor—przejść powinien na próbanta i serwitora.

— A czy waści—odpowiedział kustosz—uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze? Ja sam wiem najlepiej, że on z pokornem sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złoto-lite pasy, materjalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła: że się wyrzekł szczerze marności światowych. Serwitorów, definitorów mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych zamało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

— Bracie Michale!—mówił dalej kustosz—zdaję waszeci zupełnie naszą dyspensę, sklep i kuchnię; dodaję, jako i dotąd, w pomoc naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego codzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli, podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną benewolentię, i rzekłem; — Podobno, *reverendissime*, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik—i podałem kieskę z kilkunastu talarami—ekscypuję tylko sobie, *si licet*, dukata *cum effigie* Najświętszej Panny.

— *Iterum, iterumque gaudeo!*—rzekł, ściskając mię za głowę —z tak pobożnej twej intencyi: ale jeszcze tak ściśle regule zakonnej nie ulegasz i ulegać, jako *frater* a nie *pater*, nie będziesz, tem bardziej, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc, nie przestrzegamy jej *quo ad assem*. Bo i u któregoż bernardyna mogłoby się znaleźć wiele pieniędzy? a że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek, a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot co jest! A cóż zrobimy z szabelką?— zapytał jeszcze uśmiechając się.

— Odeszlę ją przy okazji memu przyjacielowi podczaszemu Swiebodzie; ma on Harasima, niechże go ożeni z moją Elżutką.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów jadących razem do Nieświża na kapitułę. Nie powstydziłem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed patrami, warte było ich gęby. Nie traktowałem ja ich żadnymi pańskimi frykasami; ale hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska; a w środy, piątki i soboty, kaletki postne, śliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smaczno ugotowane, tak, że nic do kontentacyi zupełnej nie brakowało.

— Kto u ciebie, bracie—zapytał ojciec prowincyał kustosza —tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a odtąd z jego starania i eksperiencyi, smaczniej jadamy. Ot co jest!

Gdym więc przed księdzem prowincyałem postawił przystawkę z kapłonem śledziami nadzianym—*gratias ago!*—rzekł on, spójrzawszy na mnie i zmierzywszy od stóp do głowy.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do którego przybywa prowincyał, stawa *ex ordine* pojedyńczo przed nim dla egzaminu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. Kwestya pierwsza: czy nie mam jakiej krzywdy lub skargi na kogo w klasztorze?—Nie.—Kwestya druga: czy nie widzę jakiego zgorszenia, które pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić?—Nie. Kwestya trzecia: Jaki był mój stan przeszły, i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to opowiedziałem *summatim* i pokrótce całe moje życie, a szczególniej jak z przygody wojewodzińskiej przedzierzgnąłem się *insperate* na karmelitę, i tandem za pomocą Bożą na bernardyna.

Upodobał jakoś nikczemną personę moją ojciec nasz.—Uważam ja—rzekł—że sprawiedliwie mi ksiądz kustosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcyi. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusza na kapitułę. Będziesz waszeć i tam w Nieświżu urządzał sumptem naszym, a potem obierzesz sobie rezydencyę gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałbym—rzekłem—rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w Nieświżu gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spasłymi końmi, a wyładowaną zapasami podróżnymi *omnis generis* i specyałami z klasztoru sióstr naszych bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanymi, oraz puzdrem pełnym, od którego klucze pod moją są kustodyą.

KAPITUŁA.

XII.

Wielki, bo największy pan w całej Litwie jest książę Karol Radziwiłł, ordynat Nieświżski, mieszkający w tutejszym zamku z licznym swoim dworem, koło którego żywi się szlachta, robi fortuny z jego dobrodziejstw, których i klasztorom Nieświżskim hojnie on udziela, a szczególniej naszemu bernardyńskiemu, którego jest syndykiem.

Najpierwej więc gdy się zebrała kapituła, ojciec prowincyał i wszyscy gwardyanie udali się do zamku dla złożenia *homagium* księciu jegomości, i z zaproszeniem na jutrzejsze solenne nabożeństwo.

Przyjął książę łaskawie patrów, i oświadczył wzajemnie, że, jako syndyk, a zatem gospodarz w Nieświżskim klasztorze, sam swoich gości wiktować będzie, i sumpt na kapitułę na siebie przyjmuje.

Jakoż wnet wieczorem przypędzono kilka wołów karmnych i wszelakich do śpiżarni nawieziono zapasów, toż siano i obrok do spichlerzów; a do sklepu wtoczyliśmy kufę trojniaku, dwa antały wina i piwa beczek kilkanaście; ryb zaś na dni postne, z ogromnych stawów Nieświżskich dostarczyć obiecano.

Nazajutrz, po solennem nabożeństwie, zebrali się ojcowie do refektarza i zasiedli na kapitułę. Wszedł tam i książę, otoczony liczną assystencyą swojego dworu, ale zdjął z siebie wszystkie swe pańskie dystynktorya, ordery i brylanty, a nawet zamiast bogatego pasa, bernardyńskim paskiem się podpasał.

Przypatrywałem się ciekawie temu sławnemu panu, bo o nim i na dworze pana wojewody, i na dworze pana Burzyńskiego starosty, gdziem wprzód zostawał, wiele się nasłuchałem. Persona to okazała, wieku już podeszłego, łeb golony, wąs zawiesisty, brwi i powieki nad oczami nawisłe, z pod których gdy poprowadzi wzrokiem, to aż dreszcz człeka przechodzi, głos jak tuba; a jednak mimo tej swojej powierzchowności, jest to najwspanialszy i najlepszego serca pan. Często tylko krotofilny i szumny, ma przysłowie panie kochanku! i gdy pytają: który Radziwiłł? odpowiadają zwyczajnie: książę panie kochanku, a to znaczy ordynat Nieświżski.

Otóż gdy wszedł książę do refektarza, powstali ojcowie i księcia na pierwsze zaprosili krzesło, a ksiądz prowincyał piękną go *ex abrupto* powitał oracyą, dziękując i za dobrodziejstwa jego dla zakonu świadczone, i za honor, który czyni kapitule swoją prezencyą, zapraszając go owszem do prezydencyi w tem *conclave*, (ale *subintelligitur*, że to tylko dla ceremonii mówił), a nakoniec polecając duszę jego Bogu, jako i świątobliwych przodków jego.

Książę odpowiedział:

— Przyjmuję wdzięcznie, panie kochanku, tę rekognicyę waszego afektu ku mnie, i świętym modlitwom waszym się polecam. A na kapitule, jako syndyk tutejszego klasztoru, mam prawo bywać, więc nie ubliżę memu obowiązkowi.

Po tej ceremonii wyszedł książę, a ojcowie *obstupuerunt* na to oświadczenie jego, że na sesyach kapituły bywać postanowił. Łamali sobie głowy, skąd jemu ta fantazya? wymawiali nawet prowincyałowi, że go zapraszał; zresztą zaprzeczyć temu nie mogąc, pocieszali się nadzieją, że po kilku sesyach przejdzie mu ochota, uwolni ich od subjekcyi ulegania jego preponderencyi.

I prawda . . uwolnił on nas pięknie od wszelkiej subjekcyi, bo zakończył kapitułę we dni kilka, któraby się może bez niego i kilka tygodni przeciągnęła. A to po swojemu, takim sposobem: gdy przyszło do wybierania gwardyanów i kustoszów do rozmaitych klasztorów, książę, nie czekając na *vota* i *consilia* definitorów i jubilatów, zaczął *ad velle sui* rozporządzać i wyznaczać.

— Waść, panie kochanku! — rzekł najprzód do mego księdza kustosza mińskiego — będziesz tu u mnie w Nieświżu gwardyanem: bo teraźniejszy ksiądz Humiljan już postarzał i ociężał, na nic mi nieprzydatny. Kilka razy zapraszałem go, panie kochanku, na obławę, ani razu nie poszedł; a waść kiedy tu przed kilku laty byłeś gwardyanem, to aż do Łachwy ze mną na polowanie jeździłeś i ogromnego niedźwiedzia zabiłeś.

— Ależ wasza książęcia mość mylisz się zapewne: bo lubo byłem tu gwardyanem i słuchałem ochotnie w czem mogłem rozkazów księcia, ale na obławie żadnej nie byłem, a nawet w mojem życiu nie wystrzeliłem bodaj ni razu. Ot co jest!

— Co? panie kochanku! nie wierzysz, że zabiłeś niedźwiedzia? A to całe moje myśliwstwo przyświadczy! Otóż waść będziesz znowu gwardyanem w Nieświżu, waść w Bucławiu, waść w Wilnie kustoszem, waść do Citowian, a waść do Bienicy . . i tak dalej, jak z rejestru.

Więc ojcowie zaczęli pomrukiwać i przymawiać księciu, że się tak literalnie do woli swojej stosować każe.

Książę na to powstał ze swojego krzesła, ukłonił się wszystkim niziutko. — *Mea culpa,* panie kochanku, *mea culpa!* — zawołał, i wyszedł pokorniuchno z refektarza, kropiąc się przy drzwiach święconą wodą. Ale jak tylko na korytarz się dostał, pokazał co umiał. Zabrał wszystkie klucze ode mnie i od kanaparza, pozamykał i postawił warty przy dyspensie, przy świrnach i sklepach, kazał wygasić ogień na kuchni, sagany i rądle powywracać, a sam powrócił do zamku, zabrawszy z sobą podsyndyczego.

Trudno opowiedzieć jaki to rozruch sprawiło w klasztorze. Pomięszały się sejmiki kapitulne; o obiedzie ani pomyśleć; słowem, nie było innej rady, jak co najrychlej przeprosić księcia, aby uniknąć głodnej śmierci. Prowincyał zatem z dwoma patrami udali się na zamek z demonstracyą, ja za nimi niby dla assystencyi, a

prawdę mówiąc z ciekawości. Ale gdzie tam? Książę rozdąsany nie dał im mówić, a sam zawołał:

— A tak to waszeć, panie kochanku, czynicie zadosyć swojej regule i przysiędze na ubóstwo? Tam stoi, że syndyk, panie kochanku, karmić was powinien, klucze od wszystkich składów klasztornych pod jego pasem mają zostawać, pieniądze w jego szkatule; a waszeć o tem wszystkiem ani dudu Za nic macie ustanowionego przeze mnie podsyndyczego, rządzicie sobie jak infułaty, panie kochanku, a on, mój namiestnik, z czapką pod pachą stać przed waszeciami musi. Ksiądz gwardyan sam szafuje ze skarbnicy klasztornej, a przecież, panie kochanku, bernardyn ani grosza mieć nie powinien ani znać nawet stępla pieniężnego, a waszeć w oblężeniu *tamquam* trzymacie mojego kassyera, gdy przyjdzie termin wypłaty prowizji. Odtąd panie kochanku, rzeczy do dawnych karbow zakonnych powrócić muszą! Ja sam, panie kochanku, wydawać będę codzień dla waszeciów ze śpiżarni klasztornej obiad i wieczerzę; do mnie waszeć na porcye i konsolacye przychodzić macie, a skarbnica zakonna pod moją syndykowską zostanie kustodyą. Ojciec gwardyan niech pilnuje chóru i dalszych zakonnych oficyów, a do rządów klasztornych ani nosa, panie kochanku!

— Ależ, mości książę dobrodzieju! — przemówił prowincyał — tymczasem dzień dzisiejszy cały głodni będziemy: ogień na kuchni zalany, jedzenie wyrzucone. . .

— Tak, tak, panie kochanku! słusznie i sprawiedliwie to się stało. Za pokutę, wszyscy waszeć, od prałata do brata, zjecie obiad u mnie na zamku, i jeszcze jedną penitencyę odbyć musicie. A potem, panie kochanku, zasiądziecie tu na *conclave*, a ja sam klasztorem zarządzać będę.

Powróciliśmy zatem do klasztoru. Tam *ex consilio* wypadło uledz woli księcia, aby mu co gorszego do głowy nie przyszło. Co do drugiej obiecanej penitencyi, pewni wszyscy byliśmy, że on nas w kaplicy zamkowej przez *miserere* przeprowadzi: bo to u niego nie nowina, i sam w wielkie piątki częstokroć się biczuje jak należy. Cały więc konwent stawić się musiał do zamku. Wszakże mieliśmy nadzieję, że po obiedzie, i dajmy to, już po drugiej penitencyi, pozwoli nam książę powrócić do klasztoru.

W ogromnej, tak nazwanej hetmańskiej sali, rozciągnięto stół od końca do końca, ale bez obrusa. Zamiast półmisków, przystawki klasztorne, na długiej desce rzędem ustawione, obnosili bracia serwitory. Na środku stołu wznosiły się dwa antały, wina i trojniaku. Książę sam zasiadł między ojcami i hojnie się częstował, a nas, marszałek jego dworu pan Fryczyński, i przypominał nam, tocząc z antałów do dzbanów, a z dzbanów nalewając do szklanek, że trzeba wspomagać ojców starszych, bo ich książę zapoi. Jakoż odzywał się on często, gdy który z nich pić wzbra-

niał się.—Znaj waszeć, że ja syndyk! mnie obedientia, panie kochanku! — Więc nie wstaliśmy od stołu, aż oba antały się wypróżniły.

— Otóż to druga pokuta, panie kochanku!—wstając od stołu, przemówił książę syndyk bełkocącym już nieco językiem, i zataczając się, wyszedł z sali. A tymczasem wozy i konie nasze wszystkie przeprowadzono do stajen zamkowych, nam obszerne i wygodne na dole w zamku wyznaczono kwatery, a bramę zamknięto, żołnierze zaciągnęli wartę, i póty do klasztoru wrócić nikomu nie dozwolono, aż póki sejmiki kapitulne nie ukończyły się. Poszły więc prędko i naturalnie po woli i dyspozycyi księcia.

Obiady szły, jako i pierwszy, aż na ostatnim, znowu dwa antały stanęły na stole. Znowu penitentia i obedientia. A nakoniec uraczywszy nas i siebie, rzekł książę powstając:

— Kapituła skończona! Salwuję sesyę na lat trzy, i na drugą do Nieświża zapraszam, a tymczasam módlcie się waszeć za moją duszę, jakoś mi to przyrzekł, księże prowincyale, panie kochanku!

INSTRUKCYA NA KWESTĘ I ODJAZD Z KLASZTORU.

XIII.

Gdy tak książę syndyk rozporządził się ładem z naszą kapitułą, ja z moim byłym kustoszem mińskim zostaliśmy w Nieświżu, on gwardyanem, a ja bratem do wszelkich oficyów klasztornych pod jego ręką. Wróżyłem więc sobie takie same życie i obowiązki, jako i w Mińsku, gdy w kilka dni po rozjechaniu się kapituły, zawołał mnie ks. gwardyan do siebie i rzekł:

— Oto masz, bracie Michale, obediencyę, dziś tu od księdza prowincyała przysłaną, na kwestarza tutejszego klasztoru. Wybieraj się więc, i jutro ruszaj w imię Boże! Ot co jest!

— A mnie to na co?

— Na to, abyś i sam, i my wszyscy mieli co jeść przez zimę. Wiesz, że z łaski dobrodziejów żyjemy. Ojciec prowincyał, poznawszy cię dobrze, i wiedząc, żeś dworak i bywalec, żyłeś na świecie i znasz mores, obrał cię do tej posługi, jako najzdatniejszego. Widać w tem życzliwość jego dla klasztoru; a lubo go wcale o to nie obligowałem, ani tegom sobie życzył, jednak na jego miejscu toż samobym zrobił. Nareszcie, krótka sprawa—obedientia! Ot co jest!

— Nie mam co na to odpowiedzieć; ojcze! ależ kiedy kwesta się nie uda i powrócę z niczem?

— To być nie może; żadnemu kwestarzowi jeszcze się to u nas nie zdarzyło. A lubo nie to już teraz co dawniej bywało, kiedy kwestarz ile baranów, tyle we dwoje jeszcze talarów przy-

woził, kiedy fury za nim i przed nim wlokły pszeniczkę do naszych śpichrzów, wszelakoż i teraz nikt jeszcze kwestarza nie wypędził z domu; jeszcze pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie. Ot co jest! a mówiąc prawdę, i teraz, jak dawniej, jest jakaś powszechna u wszystkich i wszędzie domowa przychylność dla bernardynów. Dla tego ruszaj waszeć, jak mówiłem, i powracaj przed porcyunkulą, ale ani mi się pokazuj bez kopy baranów, bo cię na miesiąc w ciupę zasadzę. Ot co jest!—dodał z uśmiechem.

A to mi *pater pericolosus!*—pomyślałem.

— Ależ *Reverendissime*, ja nie wilk, chwytać baranów nie będę; ile dadzą, tyle nazbieram.

— Racya! Nie jesteś wilkiem, ale nie trzeba być i osłem. Ot co jest! Wiedz, bracie, że pomyślność kwesty najwięcej od kwestarza zależy. *Est modus in rebus,* jak to ludzie powiadają. Są ludzie, i takich, chwała Bogu, więcej, którzy wyglądają i czekają corocznie kwestarza, jak bocianów na wiosnę; tacy, zobaczywszy cię zdaleka, dawno przeznaczonego barana sami naprzeciw twojej trzodki wypędzą; tacy przyjmą cię serdecznie, uczęstują suto i zatrzymają na noc, dla poczciwej i dobrodusznej gawędki, do której tęsknią przez cały rok; takim na podziękowanie szczere *Deo gratias* wystarczy, bo tacy wierzą we wdzięczność i dla tego rądzi na nią zasługują.

Są inni, zupełnie tamtym przeciwni, którzy spostrzegłszy cię w bramie, wnet myśleć będą, jakby cię gładko wyprawić; od takich i dobre słowo wiele warte, a prosić i naprzykrzać się nie należy; modlić się za nich owszem należy, aby ich Bóg natchnął łaską swoją świętą i większą chęcią wspomagania bliźnich. Ot co jest.

Ale są jeszcze inni, a to najczęściej wielcy panowie, u których, jak wiesz, hojność od humoru zależy; otoż w tem sztuka, aby ten humor pobudzić mądrym żarcikiem, wesołą dykteryjką, delikatnem przymówieniem się, jakiemu odmówić wstydby im było. Potrzeba, panie bracie, umieć zarzucić, iż tak rzekę, wędę do morza wspaniałości pańskiej, a na haczyku za przynętę koncept uczepić, i wyciągniesz barana, albo i dukata. Waść dworak, potrafisz więc sobie doradzić! ale i w tem miej uwagę, że inna jest dworszczyzna świecka, a inna bernardyńska; nasza rubaszniejsza wprawdzie, ale jak w tamtej trzeba czasami umieć zatrzymać język za zębami, tak w naszej za habitem. Ot co jest? *Intelligis?* Zresztą *usus te plura docebit.*

Wychodziłem zatem, gdy mię jeszcze zatrzymał ks. gwardyan.

— Ale! rzekł on, lubo figura twoja nabywa już cyrkumferencyi bernardyńskiej, lecz masz jeszcze ostatki ze światowych nałogów, których koniecznie odrzec się potrzeba. Porzuć waść naprzód ulubioną fajeczkę, bo to nie moda nawet i w klasztorze, a tembardziej na kweście. Nikt jeszcze kwestarza z fajką nie wi-

dział. Natomiast weź dobry zapas tabaki naszej bernardynki. Cały świat zażywa tabakę, i bernardynka sławna na cały świat. Będziesz więc mógł przysługiwać się tabacznikom i brać za nią barany, a sam łatwo przywykniesz, bo to trzeźwi i rzeźwi. Spróbuj waszeć.—Gdym zażył i kichnął — Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan—A co? *Vale!* Daruję ci i tę tabakierkę na początek. Powtóre, mówisz waść zawsze: panie dobrodzieju! mości dobrodzieju! a u nas niema ani mości, ani panów; wszyscy zarówno są nasi dobrodzieje tylko, i czysto bez dodatków dobrodzieje. Gdybyś z nowemi denominacyami i obyczajami wyjechał na świat, kwesta by ci się pewnie nie powiodła. Kwestarz bez mowy i głowy kwestarskiej, a co gorsza, z mową światową i modną, wyszedłby jak Zabłocki na mydle. Tak bracie, pokórnie i wesoło, choćby i mądrze nawet niekiedy, ale zawsze po prostu, po dawnemu, to grunt! Takim obyczajem poprzednicy nasi zasłużyli zakonowi łaskę Boską i miłość ludzką. Trzymajmy się tej drogi, bracie! a kiedy ona chybiać już zacznie, kiedy szczerość, prostota i pokora nie będą już trafiać do serc, zły to będzie znak, bracie, nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich, bo natenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii, który teraz po kropli spada między nas gdzieniegdzie, rozszerzy się jak plaga egipska między narodem!. . . Daj Boże tego nie dożyć!

— A zkądże te nieszczęśliwe wróżby? *Reverendissime!*

— Oho! bracie! nie taki ja głupi, jak waszeć myślisz. Ot co jest! Przechodziłem ja różne stopnie zakonne; jestem nie chwaląc się doktorem S. Teologii, której byłem lat kilka profesorem w Wilnie, i razem kaznodzieją tamże, a nakoniec lektorem przez czas niemały. Znam ja i rozważałem zkąd zło idzie; umiem ja, a przynajmniej rozumiem francuszczyznę, bodajby jej u nas nigdy nie było!. . . w niej arsenał szatana, i z niej on bierze truciznę, którą na nas biednych garściami rzuca. Ale w Bogu nadzieja! Ot co jest! Nie czas o tem myśleć. Smutno mi będzie bez ciebie, bracie, bom do ciebie serdecznie przywykł; zimę za to przepędzimy razem i nagramy się wieczorami w warcaby i w maryasza.

Masz starego klasztornego furmana, Marcina, który kilka już kwestarzy obwoził, masz dwa wozy, dwa stare konie, dwa barany prowodyry, i psa wiernego na stróża twojej przyszłej trzody, i wozów; ot cała twoja drużyna. A więc: *Deus te benedicat, ducat et reducat.* Ot co jest.

Poszedłem więc do stajni i poznałem się z moim towarzyszem podróży, Marcinem, który porządkował się do drogi. Nazajutrz zatem wysłuchawszy rano mszy świętej i wziąwszy benedykcyę kochanego mego ks. gwardyana, siadłem na wóz.

Na przodzie Eliasz i Barabasz, dwa piękne, rogate barany z dzwoneczkami na szyi, przy nich pies Pamfil, za nimi Marcin na kałamaszce, wielkim a chudym koniem dropiatym, i nako-

niec ja na drugiej, siwą i trochę chromą kobyłą. W bramie Marcin przeżegnał się i zaintonował „Zawitaj ranna jutrzenko!“ ja mu zawtorowałem, i tak pobożnie śpiewając, przebyliśmy z naszą kawalkatą miasteczko.

LEGENDY STAREGO MARCINA. PAN ROTMISTRZ.

XIV.

— Gdzież pojedziemy Marcinie! — zapytałem, przejechawszy miasteczko.

— Gdzie oczy poniosą, mój jegomość!

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź jak znasz lepiej.

— Już to, mój jegomość do blizkich tu dworów niema po co zajeżdżać: bo panowie z sąsiedztwa co niedziela bywają w kościele i u ks. gwardyana, to on i sam u nich najlepiej wykwestuje; nam więc potrzeba odsadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę jegomościa do mojego starego przyjaciela, pana Jana Bielewicza, strażnika lasów książęcych, stąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę; jego baran szczęśliwy, bo poczciwą ręką i nie żałując daje; a choć powiadają o nim, że umie strzelby zamawiać i źwierzynę na swój cel ściągać, ale to nieprawda, bodaj im takie zdrowie! Źwierzyny u niego huk, cóż to dziwnego? zna pole, i wie kiedy na jakiego źwierza czy na ptastwo najlepszy czas, a uczył się do tego rejestru u sławnego pana Wołodkowicza, którego zastrzelili w Mińsku. Potem książe przyjął go do siebie i dał mu porządne podłowiectwo! ożenił się zatem, już ma synów jak dębów i córeczkę jak jagódkę; owdowiał, prawda, ale cóż robić? taka była wola Boska, i siedzi sobie teraz spokojnie, jak daj Boże do wieku każdemu poczciwemu.

— Dobrze, jedźmy, rzekłem, do p. Bielewicza.

Wlekliśmy się więc noga za nogą, mówiąc pocichu paciorki Mój pan woźnica stawał niekiedy, dozwalając baranom poskubać trawki i potrzęsając tabakę z rożka, a oglądając się na mnie niekiedy z jakąś skrzywioną miną; ja wzajemnie rozważałem jego posturę. Stary ale czerstwy, wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos czerwony, oko żywe, jak u młodego; miał na sobie habit przekrojony na kapotę, na nim starą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia głowy, od deszczu na której teraz wysoka czapka z czarnego barana, sterczała, na płaszczu zawieszona koronka, a po kapocie spięty szerokim skórzanym pasem, z za którego rożek z tabaką wyglądał.

Po kilku takich popasach i poglądach na mnie, przerwał on nakoniec długie nasze, a widać uprzykrzone jemu *silentium*.

— Ależ jegomość milczysz jak pień.

— A cóż mam gadać? mój kochany Marcinie.

— A to jegomościu trzeba było zostać kapucynem, bo kapucyni podobno nic nie gadają. Może jegomościu zdaje się, że gadać z furmanem, to na godność jegomościną nie przystało; ale ja i prowincyałów woził, a brat za brat ze mną dyszkurowali.

— I owszem, panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszkurował, tylko że ja pierwszy raz w tych stronach, więc o niczem nie wiem; chyba ty mnie rozpowiadać będziesz, a do tego, jedziem pojedyńczo, więc trudny rozhowor.

— Na wszystko jest sposób. Ja wyuczyłem moje konie regularnie; można jak chcąc puszczać ich, i na przód i w tył, a kieruję głosem. Dropiaty jeszcze rozumniejszy, bo sam do dworów zawraca się, i nawet kiedy on zawróci się, to śmiało zajeżdżaj... z próżnemi rękoma nie odjedziesz. Więc ja usiądę z jegomościem, i będzie nam obadwóm weselej, a przesiadając, pośniadamy sobie. Dobądź tylko dobrodziej puzderko—rzekł złażąc z wozu.

— A czy jest i puzderko?

— Oho! znać, że jegomość pierwszy raz kwestujesz. A jakżeż? i nie próżne, bo nim kto nam naleje, swój zapas na początek mieć potrzeba.

Dostał więc Marcin z pode mnie puzderko, o którem nie wiedziałem, i chleba bułkę.—Czekam z rąk jegomości — rzekł do mnie; potem, wychyliwszy miarkę, która się także w puzderku znalazła, kroił zakąskę. Eliasz i Barabasz przyszli także po swoją porcyę; w długich wędrówkach przyswoił on ich do rąk; znali się z nim, jak towarzysze. Pamfil też zjadł śniadanie, a Marcin, usiadłszy ze mną—Hej! dropiaty! — krzyknął, i dropiaty powlekł się naprzód, a siwa za dropiatym.

— Czy wiesz jegomość, jakie to na prawo nieznajome miasteczko?

— To Mir zdaje mi się.

— A tak, Mir. A wiesz jegomość, jaki tam jest dzwon?

— Nie wiem.

— Otoż ja jegomościu powiem, bo o wszystkiem i wszędzie wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził się ciekawy, mówny, łowny i *gadativus*, więc lubię posłuchać i rozpowiadać, kiedy co warte. Otoż o tym dzwonie jest taka dykteryjka:

Nasz książe panie kochanku, jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami: sam to często opowiada; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpiecznie, że różne czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim ujść pewnej zguby. Otoż ślubował wtenczas kościołowi mirskiemu taki dzwon, aby, gdy w Mirze na rezure-

kcyę zadzwonią, w Nieświżu słychać było; a to cztery mile, mój jegomość!

Więc jak tylko powrócił do Nieświża, kazał zaraz lać dzwon w Mirze: wylali jeden, dzwonią na próbę — nie słychać w Nieświżu. Panie kochanku dodaje złota i srebra do materyału, każe wylewać drugi większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień— nie słychać! a trzeba koniecznie wypełnić *votum* co do joty; leją więc dzwon trzeci .

Tymczasem jednego wieczora, panie kochanku w dobrym będąc humorze, baraszkował sobie między swoimi i łgał na czem świat stoi: bo to już jego zwyczaj. At, zwyczajnie panu wielkiemu wszystko wolno. Prawi cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak przebrał miarkę, nie dotrzymał pan Michał Chodźko. który był pierwiej koniuszym u księcia, kiedy ja byłem masztalerzem, a potem on wyszedł na pana, a ja na furmana, i jest zawsze faworytem księcia; powiedział więc: — Mości książe! dzwon mirski słychać. Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyszał. Książe tylko potakiwał panu Chodźkowi i mówił—A widzicie waszeć, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem *votum* regularnie. — A jakże nie ma być głośnym, podchwycił Chodźko, kiedy książę pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?

Bo jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łgać różne nowiny, gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie.

Książe nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się powiedział do Chodźki — Wasan sam taki panie kochanku! — ale już dzwona nie przelewał; owszem, ochrzcili go Karolem, zawiesili na dzwonicy, i książę zawsze powiada—Słychać Karola w Nieświżu! —A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi—co ja winien, panie kochanku, że waść nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko?—a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo i sam ma imię Karol, a kiedy zacznie huczeć po swojemu, to słychać Karola w Nieświżu —i pokręcał głową Marcin.

A czy nie wiesz co, Marcinie, o tych sławnych złotych apostołach księcia?

— Oto, nie wiem! jakże nie wiem? pan Bukowski, szatny księcia, rozpowiada o nich każdemu, bo ich widział i woził. Szczerozłote były, mój jegomość! a wielkie jak chłopczyki od lat sześciu.

— Ej czy nie mniejsze?

— A kto ich tam mierzył? dość, że książę wybierając się na wojnę z poganami do cudzych krajów, wziął z sobą i apostołów; zawiózł ich najpierwej do Gdańska, a potem gdzieś dalej. A jak nie stało pieniędzy. . . A hej dropiaty! na prawo! a hej!

Wjechaliśmy krętą drożką w ciemne lasy. Marcin przestał mówić o apostołach, bodaj z gniewu, że ich już nie ma, czy namyślając nową legendę, gdy turkot pojazdu i koni dał się nam słyszeć zdaleka.

Kogoś spotykamy, rzekł Marcin. Może da Bóg dobry początek.—Dropiaty usłyszał także tentent, a przywykły widać do zakonnej pokory, zszedł z drogi, ile gęstwina dozwalała, a Pamfil pobiegł naprzód i ujadać zaczął.

Pokazał się wnet na przodzie konny jegomość suto i bunczucznie ubrany, w tatarce gęsto taśmami złotemi szamerowanej, z zawiesistą szlifą na jednem ramieniu, z ładownicą na szerokiej taśmie złotej, z pałaszem na pendencie i kołpakiem pikowanym na głowie. Poznałem więc po ubiorze, że żołnierkę traktuje.

Za nim jechał lozak po ułańsku ubrany z chorągiewką, a za ułanem wóz czterma tęgimi końmi, na którym jeszcze jeden sługus i przy furmanie kozaczek z bandurą; za wozem nakoniec szły przywiązane dwa konie powodne.

Sam czupurny, ale wesołego oblicza, z pięknym wąsikiem, którego pogładziwszy wdzięcznie, spójrzał na mnie wspaniale, i założył za pendent książeczkę, którą w ręku trzymał.

— *Laudetur* Jezus Chrystus!

— *In saecula saeculorum!*—odpowiedziałem.

— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi?

— Z Nieświża, Jaśnie Wielmożny. . . Dobrodzieju — przypomniałem w samem zacięciu naukę ks. gwardyana.

— Stój!—krzyknął on na swój obóz, z którym nam trudno się było rozminąć, więc i ja się zatrzymałem.

— A czy jest książe w zamku?

— Niema, odpowiedziałem; wyjechał niedawno do Białej *).

— To źle. Chciałem po drodze złożyć mu moje *homagium*. Zapewne dziś jeszcze z klasztoru, bo nie masz baranów.

— Tak jest, dobrodzieju!

— Aleś młody na kwestarza. Tojakaś zapewne awantura wpędziła cię w kaptur.

— Wcale nie. Taka była wola Boska i prawdziwa *wokacya*.

— Może i to być; w twoim jednakże wieku i zdrowiu, jak uważam, lepiejbyś wyglądał na koniu i w szeregu, jak w habicie i na kałamaszce. Wiesz co? porzuć to wszystko, siadaj ze mną. Przebiorę cię wnet, i, jeżeliś szlachcic, zrobię cię towarzyszem w Pińskiej brygadzie, w mojej chorągwi, której jestem rotmistrzem. Co waść na to?

Rozgniewany na ten niespodziany werbunek, Jestem szlachcic, rzekłem, równy każdemu. A cóżby pan rotmistrz powiedział na to, gdybym zaproponował wzajemnie, abyś zrzucił swoje bogate rycerskie ozdoby, bo to wszystko *vanitas*, i przypomniawszy na pieśń świętego Łazarza a na koniec nędzny bogacza, który „Pychę w sercu swem chował“, oblekł się w nasz ubogi bernardyński habit, który ja panu dostarczę? bo gotów jestem w takim razie wnet powrócić do Nieświża.

---

*) Hrabstwo bielskie, dobra książąt Radziwiłłów, w obwodzie Białostockim.

Una salus servire Deo, caetera fraudes!

Bardzo *ad casum* przypomniałem sentencyę z mojego raptularza.

— Oho! odpowiedział rotmistrz, to za mądre na kwestarza. Zgadłem, że musiałeś wprzód żyć na większym świecie.

— A jużciż kwestarzem nie urodziłem się, ale kiedy na wzajemne propozycye nasze nie zgadzamy się, to niech Bóg szczęśliwie dobrodzieja prowadzi, a ja ruszam w moją drogę.

— Poczekaj, rzekł pan rotmistrz zsiadając z konia, nie rozstawajmy się tak w złych dyspozycyach, bo ani mnie dziś w podróży, ani waści w kweście się nie powiedzie. Nie chciałem cię wcale obrazić, dla tego i nie gniewam się za twą odpowiedź. Komu innemu możeby to na sucho nie uszło, lecz z tobą, bracie zapijemy tę sprawę. Dobyć z wozu zapasy!

— Niech i tak będzie, jak twoja łaska—rzekłem.

Dobyto więc nie żołnierskie, ale pańskie specyały: wódeczka gdańska, z którą odnowiłem dawną marszałkowską znajomość, potem wyborne szynki i pieczenie, tak, że się posiliło na cały dzień.

— Pan rotmistrz ochoczo i wesoło częstował.—Daj dowód, mówił on, apetytem, żeś z prawdziwej wokacyi wstąpił do Bernardynów.—A gdy Marcin z innej flaszki skosztowawszy staruszki, pokręcił głową i rzekł do mnie—to nie nasza podróżna, mój jegomość!

— A macież puzderko?—zapytał panisko.

— Mamy, JW. panie!—odpowiedział Marcin, który bodaj i umyślnie się domówił.

— Nalać, rzekł rotmistrz flasz parę starej, a flaszkę gdańskiej kwestarzowi i dać mu szynkę na zakąskę.

— To dla ciebie, a to dla klasztoru — dodał, kładąc mi w rękę trzy dukaty ze złocistej i pękatej kieski wydobyte—weź na pamiątkę rotmistrza pińskiej brygady, który kwestarzy do żołnierki werbuje.

— Bóg ci zapłać — rzekłem, uściskając pokornie kolana tak wspaniałego dobrodzieja. On siadł na konia i ruszył swoim obozem.

Gdym ja na swoją siadał kałamaszkę, spostrzegłem na ziemi książeczkę, wypadłą zapewne z za pendanta rotmistrza; podjąłem; o jakże się zdziwiłem, przeczytawszy tytuł: *„Żołnierskie nabożeństwo.“* *).

O zacny! o poczciwy! o bogobojny rycerzu! pomyślałem sobie, niechajże cię wszystkie kule mijają! a twoja ręka, jak Dawida, niech wali Goliatów! Powiadają, że w żołnierce ludzie się psują, że tam niema ni Boga, ni wiary; otoż dowód oczywisty że to fałsz i kalumnia. Pan widać z panów, od złota świeci jak słońce,

*) Książeczka ta do nabożeństwa, dawniej dość pospolita, teraz nader rzadka.

a przecież w drodze pobożnie z książeczki modli się, urazy po chrześcijańsku przebacza i jeszcze hojnie obdarza tego, który go obraził. Ksiądz gwardyan choć powiadał, że doktor i teolog, bodaj więcej sobie roi złego na świecie, niżeli jest w rzeczy samej.

Wtem ułan pana rotmistrza dognał nas, pytając czy nie znaleźliśmy pańskiej książeczki do nabożeństwa? Oddałem więc oną, wprzód pocałowawszy pobożnie, i rzekłem:—Powiedz twemu panu, że oto tak całuje nogi jego ubogi bernardyn kwestarz, nietylko za to, że go hojnie obdarzył, ale i za to, że w pańskiem jego ciele pobożna i chrześcijańska dusza. A jak się nazywa twój pan?

— Jaśnie Wielmożny rotmistrz Chomiński!—i odjechał.

— No, no! godny pan! niema co powiedzieć. Mówiłem, że Bóg da nam początek dobry; choć mógłby dać śmiało i jeszcze z parę czerwieńców, bo worek dyabelnie pękaty; ale teraz ludzie skępieją.

— A milczże do licha, rzekłem; czyż jeszcze mało? wszakże nawet o tobie nie zapomniał, i upodobanej wódki starej parę flasz nalać kazał.

— Oj bo ja nie głupi; ja za jedną gdańskiej, wyprosiłem jeszcze dwie starej u tego, który szafuje dobrem pańskiem; a zatem mamy nie dwie, ale cztery flaszki staruszki.

— To źle, panie Marcinie, bo nie pamiętałeś na mnie; ja wolę jeden kieliszek, a dobrej wódki, niżeli dwa, a lada jakiej, bo upijać się nie lubię.

— To nie po bernardyńsku, mój jegomość! Mniejsza o smak, byle wiele i zdrowo; to grunt! a stara wódeczka do głowy nie idzie, tylko żołądek ogrzewa. Cały świat wie o tem, i cały świat mnie za ten handel pochwali. Jegomość pij i nie dbaj. A hej! dropiąty!

Nie było co odpowiadać mrukliwemu Marcinowi, a wtem wyjechaliśmy na pole, na którem domowstwo pana Bielewicza ujrzeliśmy.

U PANA BIELEWICZA. WOŁODKOWICZ.

XV.

W wielkich puszczach Radziwiłłowskich żyją podłowczowie jak w folwarkach. Książęta osadzają tam najczęściej swoich zasłużonych sług ze szlachty, i byle sprawowali się poczciwie, a stawali sprawnie i ochoczo na polowanie i obławy, mają tam kawał chleba od ojca na syna. Leśnicy włościanie wyrabiają ich ziemie i koszą siano po lasach; mają prócz tego pensyjkę ze skarbu ksią-

żęcego; ze źwierzyny nie zdają ścisłego rachunku, i niczego im nie braknie.

Tak sobie siedzi i pan Bielewicz, staruszek czerstwy jeszcze i jary; sam odemknął nam wrota i wyprzedził mnie nawet w pobożnem powitaniu, bo ja na dziedzińcu lub w izbie chciałem powiedzieć: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! a on we wrotach toż samo powiedział; Marcin odpowiedział mu: na wieki wieków! ot ja i zostałem się z niczem.

Podwórko małe ale czyste; na środku krzyż z męką Pańską, okratkowany i daszkiem pokryty; domek z przyźbami dla siedzenia i grzania się na słońcu, z większemi okienkami po jednej stronie w świetlicy, z mniejszemi przykurzonemi po drugiej w piekarni; naprzeciw domu świronek z oknami u strychu, za któremi tłuste połcie, polędwice i kiełbasy wędzone dyndały na powietrzu; dalej inne gospodarskie, małe ale opatrzone stajenki, odryny i chlewki. Około nóg starego myśliwca dwoje psów gończych plątało się, a tłusty wyżeł leżał spokojnie na przyźbie.

— Bóg zapłać jegomościu dobrodziejowi, żeś do mnie zawitał—rzekł pan Bielewicz.

— To ja przywiozłem dobrodzieja, bo to nowicyusz, nie wiedział gdzie zawrócić; a zawsze zaczynam kwestę od jegomościa —odezwał się Marcin.

— Dziękuję więc i waszeci, panie Marcinie! rozgość się po staroświecku w stajni z siwą i dropiatym; Eliasza i Barabasza puść na osielicę, a jegomościa dobrodzieja do izby proszę.

W izbie znaleźliśmy młodą gosposię za krośnami; jest to córka pana Bielewicza.—No, Hanulku, rzekł do niej staruszek, dodaj do obiadu zabitego wczoraj szaraka, bo Bóg dał miłego gościa. A jegomość dobrodziej dziś odpocznij u nas, bo choć nie wiele jeszcze ujechałeś, ale wiele jeszcze masz przed sobą. Na obiad powrócą i moi synkowie, to i oni do nóg jegomości dobrodziejowi uniżą się.

— Dziękuję, rzekłem, memu kochanemu dobrodziejowi za takie kordyalne mnie przyjęcie; na odpoczynek nawet do jutra chętnie przystaję, zwłaszcza, że dzień dzisiejszy, za łaską Boską, dobre nam nadarzył spotkanie, które opowiedziałem panu Bielewiczowi.

— Jeździłem i ja niegdyś—rzekł on—po całej Litwie, a szczególniej po województwie Mińskiem, gdym był dworzaninem u pana Wołodkowicza, niech Bóg świeci nad jego duszą, gwałtem z tego świata na tamten wypchniętą.

— Czy nie o tym Wołodkowiczu mówisz, który w Mińsku na trybunał napadł, i który strzelał baby jak kukawki?

— A o tym samym; tylko że fałsz to strzelanie bab na drzewach, jakby tam innej źwierzyny mało było. Hajdamaka byłci to wprawdzie, ale też były czasy kaducznie hajdamackie; kto był zuchwalszy, kto większy, ten i lepszy, ten miał i większą konsyderacyę, i szanowano go więcej, bo się lękano. Owszem, takiego

gracza możniejsi panowie, potentaci nasi używali do sprawek i zuchwałości, na które sami odważać się nie chcieli; dla tego nie było dnia, gdybyś nie posłyszał o zabojach, zajazdach i wioleńcyach wszelkiego rodzaju.

Wołodkowicz był adherentem, a podobno i kolligatem naszego JO. pana i dobrodzieja, księcia Karola panie kochanku, który za życia swego ojca, księcia Michała rybeńku *) hetmana, był natenczas jeszcze miecznikiem litewskim. Szalona to za młodu była głowa, nim się piwko uchodziło. Kiedy zacznie bywało szumieć, a sprawiedliwiej mówiąc, szaleć po Nieświżu, to rybeńku każe zwodzić mosty, aby do zamku nie wpadł. Więc, gdy czy z jakiego partykularnego rankoru, czy z imprezy ułożonej, książę chciał komu dopiec, Wołodkowicz wnet stawał gotowy, i spełnił co do joty zamiary i wolę księcia, dodawszy jeszcze i swojego.

Ale co najgorszego było, że w młodym wieku, bo wszystkiego nie miał lat trzydziestu gdy zginął, polubił on sobie często w pałkę zalewać. Wtenczas taki z niego bywał waryat, że albo jemu pomagać, albo uciekać trzeba było. Samemu dyabłuby nie ustąpił! Jakoż nie raz latał w nocy jak szalony z gołą szablą po polach, i po błotach i po cmentarzach, a wyzywał upiorów i dyabłów na pojedynek; tylko że żaden nigdy nie stanął na placu. Natenczas skarżył się Wołodkowicz;—Co to za nieszczęście moje! książę Karol ile razy zechce, to bije się z dyabłami, a ja nigdy żadnego doprosić się nie mogę.

Zły duchże jemu i podszepnął postanowienie zostania deputatem na trybunał na kadencyę ruską, która się w Mińsku odbywała, do czego także go książę prowadził i przyjaciołami Radziwiłłowskimi na sejmiku wspomagał; a nakoniec gdy został, do sumptu hojnie się dołożył, bo i kamienicę nam swoją w Mińsku na kwaterę oddał, i z dóbr blizkich wszystkiego na kuchnię dostarczać kazał; a jeszcze przysłal assygnacyę do kupców na wino, ileby tylko nam potrzeba było.

Z początku szło wszystko wyśmienicie! Pan statkował; wprawdzie bankietował i traktował po pańsku, ale nie szalał i nie hajdamaczył; obrano go nawet podskarbim trybunalskim.

Marszałkiem trybunalskim był natenczas Sapieha *), a wicemarszałkiem Morykoni. Ale Sapieha nie przyjechał na początek sądów, a Wołodkowicz nie rad był, że niżej siedział od Morykoniego, którego włochem i cudzoziemcem nazywał Lecz i toby jeszcze uszło, bo pan Morykoni uważny i pomiarkowany pan, puszczał słowa Wołodkowicza mimo uszu; ale przypadła jakaś

*) Przysłowie księcia Michała Radziwiłła, wielkiego hetmana W. X. L.— *N. w.*

**) Michał hrabia Sapieha, starosta puński, krajczy litewski, 1759—1760 r. Wice marszałkiem Michał Morykoni, starosta poniński.
Widzieć przypisy.—N. w.

sprawa naszego familjanta, czy Radziwiłłowska, bo tego nie pamiętam, w której Wołodkowicz chciał na swojem postawić, a to nie udało się; powrócił więc z sądów jak lew rozjuszony i zaczął pić po dawnemu, przeklinając śmiertelnie cały świat, a wzywając i wyzywając wszystkich dyabłów z całego piekła. Poznaliśmy, że będzie źle! Nuż my reflektować, nuż prosić, nic nie pomaga; zebrał chałastrę, która mu pić i wrzeszczeć pomagała, i nas pić przymusza. Całą noc, potem cały ranek jednostajna pijatyka i odkazanki, nakoniec pod wieczór wybiera się na trybunał.

Wszyscy przytrzymywaliśmy go jak mogli, i za poły, i za ręce, i za pas; ja upadłem mu do nóg, prosząc, aby nie szedł.— *Kirrye lejson!* — krzyknął odpychając nas, bo to było jego przysłowie, gdy bywał w największej po pijanemu zajadłości.—Pójdę, choćby mię tam dyabli wziąść mieli! pójdę i nauczę tego włocha, kto ja i kto za mną! — Widocznie ufał nieborak w Radziwiłła, a Radziwiłł był daleko!

Szliśmy więc za nim; a że to było w wigilię festu Najświętszej Panny Maryi Gromnicznej, ofiarowałem się więc, leżąc krzyżem w czasie nabożeństwa, całej mszy tak wysłuchać, na intencyę, aby nam ten wieczór na sucho uszedł; ale nie było mi potem czasu dopełnić tego wotum.

Gdy przyszedł na ratusz, gdzie sądził się trybunał, warta puściła go jako deputata, choć sąd był w namowie; my zostaliśmy w izbie przeciwkowej, w tłumie palestry i panów aplikantów.

Ledwo drzwi za sobą zamknął Wołodkowicz, wszczął się tam zgiełk szalony, potem szczęk szabli, a nakoniec otworzyły się nagle drzwi i krzyknięto—warta! warta!

Wtenczas ujrzeliśmy naszego pana przypartego do ściany, któremu odbierano szablę, a on tuzał się ze wszystkimi i starał się dostać do drzwi

W ten moment przypadł Krajewski, rotmistrz i komendant żołnierzy trybunalskich, a za nim kilkunastu gemejnów. – Kryminał! — krzyczano ze wszystkich stron; krew ciekła z ręki pana Dłuskiego, deputata lidzkiego, a co najgorsza, kawałek krucyfiksu, z rączką od figury Pana Jezusa srebrnej odcięty, leżał na stole. Poznałem, widząc to, że wyzywany po tyle razy szatan kierować natenczas musiał ręką mego nieszczęśliwego pana, bo on, chcąc przez stół dostać pałaszem Morykoniego; gdy ten się uchylił, ciął po krucyfiksie.

Porwał więc Krajewski ze swoimi Wołodkowicza, ale z wielką męką, bo to był człowiek, silny i *determinativus!* porąbałby i żołnierzy, gdyby Szwykowski, także deputat a sławny osiłek, nie wyrwał mu z rąk szabli. Kiedy już go tak wzięli obławą i prowadzili, to jest nieśli gwałtem, to jak się razem uparł we drzwiach rękami, aż zawiasy wzruszał, a ze złości pienił się i ryczał, od czci i wiary weksując cały trybunał, a szafując dyabłami, że aż uszy więdły. O, nigdy ja nie zapomnę tego tertesu i samego Wołodkowicza, bo on natenczas był czystym potępieńcem.

Do turmy! do kordegardy! i okuć ekscessanta, kryminalistę! —zawołał Moryconi do Krajewskiego,—i wartować z ostrą bronią!

Poznałem, że nieprzelewki! Poleciałem więc do kwatery, porwałem garść dukatów ze szkatuły pańskiej, która zawsze była pod moim kluczem, dopadłem konia i ruszyłem ile on mógł wyskoczyć do Nieświża, szukając księcia Karola, bo on jeden mógł nas uratować!

O mil ośm koń padł, szczęściem blizko karczemki; kupiłem u żyda drugiego, płacąc ile chciał, i leciałem dalej. Stanąłem w Nieświżu w nocy; dostukałem się do dworku znajomego mnie doktora, i dowiedziałem się, że księcia miecznika niema, że polował aż w Białej *) na niedźwiedzie. Odmieniwszy więc znowu konia, puściłem się dalej. Noc ciemna choć oko wykol, i zawierucha powstała okrutna. Zbiłem się z drogi i musiałem czekać dnia w blizkim od Nieświża zaścianku, a nazajutrz, dostawszy już saneczki jechałem, prawda, wygodniej, ale nie tak pośpiesznie, jak rzecz wymagała.

Szóstego aż dnia pod wieczór dopadłem księcia, i to w głębokich tutejszych ostępach, Gdym opowiedział co się w Mińsku stało, książę jak oniemiał.—Panie kochanku!—krzyknął potem— pan Michał sfiksował się!

— Ratuj, książę panie, bo zginie!

— Ja go z turmy wyratuję, choćby przyszło odbić, ale od biedy nie wyratuję, Niema on po co popasywać w kraju. To ekscess niesłychany!

Książę wnet zebrał myśliwstwo, i w nocy przyciągnęliśmy do Białej.

Wielu godnych panów z sąsiedztwa przybyłych z księciem, polowało razem, którym gdy książę opowiedział z czem przyjechałem i zapytał o radę, każdy inną podawał: jedni zupełnie zaniechać i nie wtrącać się do niczego; drudzy pisać do Sapiehy, do Morykoniego i deputatów; inni, a między tymi pan Sołohub, nieodstępujący nigdy księcia, i bodaj przez ojca mu do konfidencyi akkomodowany, radził jechać do Nieświża i spuścić się na księcia hetmana. — Radzicie mi wszyscy, odezwał się książę, jak tchórze i partacze! a waść milczałbyś, rzekł do Sołohuba. Mam opuścić przyjaciela w nieszczęściu? Nic z tego nie będzie. Nie jedź sobie, kiedy nie chcesz, panie kochanku! obejdę się i bez konsyliarzów, a dyrektorów moich dawno dyabli pobrali. Mam zajechać do księcia ojca? a toć rybeńku nie puści mię i za próg z zamku; każe Mazzaniemu *) zamknąć bramy, mosty pozwodzić, i księcia miecznika bez ceremonii do kozy zapakuje. Czy to już raz tak bywało! Czy waść sam, panie kochanku, nie instancyowałeś za mną w takich terminach? I prawdę mówiąc, za to tylko i cierpię twoją filozofię i morały, któremi mię codzień napastujesz, a z któremi schowaj się teraz.

---

*) Hrabstwo bielskie w obwodzie Białostockim.

**) Mazzani, komendant ówczesny zamku i fortecy Nieświżskiej.

— Jednakowoż, mówiono księciu, Wołodkowicz po takim *excessie* sądu i kary ujść nie może, a spokojna i łagodną influencyą więcej książe dokażesz, niżeli gwałtownym raptem na miasto i na trybunał, a zatem gorszym jeszcze *excessem*, który splami na zawsze honor i imię księcia, a zmartwi najmocniej księcia hetmana, ojca waszej książęcej mości.

I nakoniec . .--zaczął znowu Sołohub.

— Cóż nakoniec?—przerwał mu rozgniewany książę.

— Nakoniec możeby przyszło, cedził lękliwie jak przez zęby Sołohub, możeby przyszło waszej książęcej mości zmykać razem z Wołodkowiczem z kraju przed powszechną akklamacyą, a potem starać się żelaznego listu, czego jeszcze z żadnym Radziwiłłem nie było.

Książe milczał, tylko głową kręcił; poznałem, że już mięk-czał w zapędzie; odezwał się jednakże, — Kossowski! a waść co na to?

Kossowski ten żyje i teraz przy księciu; książę go lubi i z nim najczęściej baraszkuje, bo to wielki koncepcista, wydrwiwacz i śmiesznie bardzo komedye udaje. Jak tylko książę siedzi smutny, spuściwszy głowę i kułakami w kolana swoje tłucze, to znaczy że w złym humorze, albo że się gniewa na kogo, wnet posyłają po Kossowskiego; już on potrafi i rozweselić pana, i wyprosić *pardon* dla winnego, i w humor dobry wprowadzić *).

*) Kossowski był aktorem teatru nieświżskiego, a lubo teatr ten bywał tylko w czasie karnawałów i nie trwał stale, Kossowski jednak ciągle rezydował na dworze księcia, bez żadnego innego obowiązku, jak księcia i licznych zawsze gości dowcipem swym bawić i rozrywać. Nie był to trefniś z profesyi, ale niejako *locum tenus* tej funkcyi. Nie odstępował on nigdy dworu i wszędzie bywał z księciem. Zdarzyło się, że raz w Warszawie król dowiedział się o nim; ciekawy jego dowcipu i porównania z własnym podobnymże egzemplarzem, zaprosił księcia na obiad, obowiązując aby w assystencyi swej miał i Kossowskiego. Stało się jak król żądał. Gdy usiedli do obiadu, królewski chodził koło stołu i jak mógł zdobywał się na koncepta. Kossowski stał spokojnie i milczał; zagabany nawet przez kolegę, zbywał go niczem. Po obiedzie. król nie kontent z milczenia Kossowskiego.

— Mówiono mi rzekł doń, żeś dowcipny i wesoły; dla czegożeś dziś tak milczący? powiedz przynajmniej, co myślisz o moim faceciście, któregoś tak spokojnie słuchał?

— Nie śmiem, Najjaśniejszy panie!—odpowiedział kłaniając się najpokorniej Kossowski.

— Mów śmiało, proszę.

— Bez ogródek? Najjaśniejszy panie!

— Bez ogródek.

A wszyscy zbliżyli się i słuchali.

— On, rzekł Kossowski, większy głupiec, niż błazen.

Kossowski więc znał różnicę prawdziwego dowcipu od śmiałego tylko głupstwa.

Innym razem jakiś możny pan, gość w Nieświżu, spotkawszy Kossowskiego, rzekł doń:

— Kossowski! bądź u mnie.

— Jakto? z wizytą?

— Nie, na rezydencyi.

— A jakże nas dwóch pomieści się?

Czasami nawet przytknie księciu; ale i to jemu uchodzi, bo książę go lubi i zna przywiązanie do siebie. Kossowski tedy na zapytanie księcia odpowiedział.

— Mnie się zdaje, mości książę, że jak zaczniemy klin klinem wybijać, gdyby nas kliny nie rozparły.

— Mówcie co chcecie, rzekł nakoniec książę, ja pana Michała nie odstąpię. On duszą i ciałem mój! on mój przyjaciel *a corde!* a ja mam spokojnie czekać aż zginie? Nie moi panowie! nie!

— Kulesza! (to był łowczy księcia), ruszaj panie kochanku, z całem myśliwstwem dniem i nocą do Kojdanowa; omijaj Nieświż; w Kojdanowie *) roztasuj się w miasteczku i czekaj na mnie kupno; a rozpuść głos, że za przybyciem mojem, pociągniemy w Nalibockie lasy na dziki.

Myśliwstwo nasze, mój dobrodzieju, to nie żart; każdy strzelec ma barwę i porządny rynsztunek; kurtka i szarowary zielone, pas skórzany szeroki, z tyłu na sprzążki mosiężne spięty, z dwóma tuzinami ładunków, a przy nich flaszka oplatana z wódeczką, i w osobnej kieszonce nóż, krzesiwa, skałki i inne myśliwskie sprzęciki; fuzya także na zielonej taśmie przez ramie, a przez drugie na takimże sznurze trąbka, przytem koń z całym modelunkiem i para pistoletów w olstrach, a przy siodle trok na źwierzynę, oto cały porządek, bez którego gdyby książę którego złapał, dałby sworami ze służby odprawę. A takich ludzi było i zawsze jest na polowaniu około księcia ze stu, nie licząc łowczych i podłowczych, bo my, jak oficerowie tego wojska, uwijamy się i komenderujemy na obławach.

Nazajutrz, a to już był dzień siódmy od mojego wyjazdu z Mińska, puściliśmy się w podróż. Na jednych wielkich saniach łubem obitych, na jakich pospolicie w ostępy na obławy się jeździ, jechał książę z panem Sołohubem i z hajdukiem, na drugich ja z Kossowskim i z jednym książęcym pokojowym, po cztery konie gęsiorem w zaprzęgu.

Książę nie folgował ani sobie, ani ludziom, ani koniom; ale cóż, kiedy nocami jechać nie mogliśmy, bo taka ciemność, a zawieruchy tak strasznie mroźne i nieustanne, że koniecznie noclegi odbywać przychodziło. Nałożyliśmy jeszcze drogi manowcami, mijając Nieświż; a tak, aż piątego dnia w wieczór stanęliśmy w Kojdanowie. Znaleźliśmy już tam i Kuleszę z myśliwstwem, który tegoż dnia rano tam się przybił, lubo wielu w drodze poprzystawało, i przez cały dzień ściągali się pojedyńczo. A to już był dzień dwunasty od mego z Mińska wyjazdu...

Córka przerwała dyskurs pana Bielewicza, donosząc, że obiad gotowy.

Zebrała się więc drużyna; chłopcy dwa dorodne, synkowie

*) Kojdanów, miasteczko Radziwiłłowskie, o mil pięć od Mińska.

gospodarza, wrócili z lasów, i zasiedliśmy stół, odwiedziwszy wprzód puzderko. Panna Anna uwijała się jako gospodyni, przysiadała z nami, ale często wybiegała do piekarni; pomagał jej Marcin i przynosił potrawy, ale *per modum* jak przyjaciel, nie jak sługa, bo razem z nami nakładał sobie na miskę. Jedliśmy na talerzach z pięknej słuckiej gliny, białej jak farfura.

Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie jadłem, zając i bekasy pieczone, a sielanka na trzecie; a nakoniec przyniosła panna Anna dzban poliwany jabłeczniku, któryby nam wszystkim wystarczył, gdyby się we drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten, ujmując niby fatygi panience a ciężaru dzbanowi, z połowę duszkiem wychylił, i stawiając resztę na stole. — To rzekł, lepsze bodaj, jak nasze klasztorne piwo, które jeszcze ks. kanaparz chrzci wodą dla czeladzi, niech mu Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przynajmniej lat dwa. Oj, znam się na tem!

— Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi dzban.

— Lżej mi teraz, widzisz jegomość, gospodarzyć, gdy się dochowałem własnej gospodyni i tych chłopców. Lat ośm jak odumarła mi żona. Napłakałem się! Bogu o tem wiedzieć; a co się zmarnowało i potraciło w chudobie przez cudze ręce, a tego już nie spędzić.

— Zdaje się, rzekłem, że i tej gosposi wkrótce możesz się pozbyć, choć chwała Bogu innym sposobem.

— Prawda, rozumiem; już miałem kilku swatów, ależ za to mogę nabyć na jej miejsce dwie synowe.

— Niech Bóg błogosławi — rzekłem. A tymczasem panna Anna drugi dzban jabłeczniku przyniosła.

Podziękowawszy Bogu, a potem gospodarzowi za tak wyśmienite uraczenie, poprosiłem o koniec historyi Wołodkowicza.

— Pójdźmy, mój dobrodzieju, rzekł gospodarz, do odryny na świeże sianko; odpoczniemy trochę, a potem dopowiem jegomości wszystkiego.

Gdyśmy się razem prawie ocknęli, przypomniałem obietnicę.

— A na czemże stanąłem?—zapytał Bielewicz.

— Stanęliście w Kojdanowie z księciem.

— A tak. W Kojdanowie znaleźliśmy pełną karczmę ichmościów to do Mińska, to z Mińska jadących; niektórzy nawet oczekiwali na księcia, dowiedziawszy się od Kuleszy, że wkrótce tu przybędzie.

Pierwsza nowina nieszczęśliwa, którą nam jadący z Mińska hurmem wykrzyknęli, to:—Wołodkowicz dziś rano osądzony na śmierć, *in triduo* będzie rozstrzelany.

— Nie doczekają! krzyknął książę, ja ich samych. . . Kulesza! na koń z ludźmi i mnie wybierz konia najlepszego z pod którego strzelca. A Piłaty te! a Herody nie sędziowie! Drżał cały

ze złości i tupał nogami. Otoż to twoje mądre *consilia!* panie Sołohubie! Bodaj cię wszyscy dyabli wzięli, panie kochanku!

— A cóż ja winien? wszakże nie opóźniłem podróży waszej książęcej mości.

— Tak, ale przez całą drogę bębniłeś mi nad głową, że Sapieha przez wzgląd na mnie modyfikować będzie rygor prawa, i skończy się na wieży fundowej, z której Wołodkowicz uciecze.

— Sapiehy-bo niema w Mińsku, odezwał się jakiś jegomość. Wice-marszałek Morykoni trzyma laskę. Wprawdzie zaraz po akcyi kilku posłańców poleciało do Bychowa, bo i Morykoni wysłał od siebie, i plenipotent księcia krajczego pchnął od siebie tatara. Powrócili wczoraj obadwa i odwieźli rezolucye. Jaka do Morykoniego? nie wiadomo. Do plenipotenta swego zaś odpisał, że wnet się sam wybiera do Mińska, i bez niego Wołodkowicza sądzić nie będą. Tymczasem, widać że trybunał pomiarkował coś z listu swego marszałka, więc zaraz Dłuski, deputat lidzki, któremu Wołodkowicz rękę podciął, zrobił wniesienie; poczem nie schodząc z sądów, i przez całą noc siedząc w namowie, zrana ogłosili dekret *poenam colli*, to znaczy na gardło, i Wołodkowiczowi w kordygardzie przeczytali.

— Więc ani minuty niema do stracenia! zawołał książę. *Periculum in mora!* panie kochanku! to znaczy się niebezpieczeństwo . .

— Nie tłumacz mi jegomość łaciny, przerwałem, bo ja umiem po łacinie.

— Doprawdy? To ja pierwszego takiego kwestarza widzę, który umie po łacinie.

— A ja pierwszego podłowczego.

— I to prawda. No, to niechaj sobie . . kwita.

— Dziwi mnie także, rzekłem, jak wszystko tak wiernie pamiętać możesz, że słowa nawet powtarzasz.

— O! mój dobrodzieju! nie tak że to dawno było; trzydziestu pono lat niema; a ja przegadując całą historyę nie sto razy i dzieciom swoim, i różnym tak jak jegomość ciekawym, wyuczyłem się jej na pamięć.

Już tedy książe miał ruszać, choć noc była ciemna, jako i przeszłe.

— My za tobą, książę!—Krzyknęli wszyscy zebrani w karczmie.

— Dziękuję, pokornie dziękuję, rzekł książę, że biednego Radziwiłła nie opuszczacie. Kto ze mną, panie kochanku, i ja z tym. A te tam Filistyny, na złość mnie, chcą zabić mojego przyjaciela.

Wtem mocno zastukano do karczmy, a że pełna była, więc żyd i czeladź nie wpuszczała Zastukał zatem w okno i zawołał ktoś--A jest tu książę miecznik litewski?

— Jest, panie kochanku? A kto waść taki?

— Rupejko, dobry sługa waszej książęcej mości. Jadę z Nieświża i pilno mi do księcia pana.

— A puścić pana podstolego—zawołał książę.

Podstoli Rupejko, sławny głowacz, mecenas trybunalski, żyje i dotąd podobno, ale zebrawszy znaczną substancyę, wyniósł się na Żmudź i kupił tam fortunę. Był on sługą i plenipotentem księcia hetmana, a miał i u księcia miecznika wielkie zachowanie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł on wchodząc. Chwałaż Bogu, że księcia złapałem.

— Na wieki wieków, panie kochanku! A na co mnie łapiesz? i skąd wiedziałeś, żem ja tutaj?

— Książę hetman, ojciec waszej książęcej mości, wie dokładnie *quo ad horam* obroty księcia; wiedział raptowny wyjazd księcia z Białej, wiedział cały marsz armii myśliwskiéj i wszystkie noclegi a popasy samego księcia; dla tego wysłał mnie tu, wiedząc, że tu w. ks. m. myśliwstwu czekać na siebie kazałeś.

— Dobry hetman, panie kochanku, z mego pana ojca, gdy takich ma szpiegów. To wiecie zapewne już, że Wołodkowicz na śmierć osądzony?

— Nie, tego jeszcze nie wiedziałem, i książę hetman, gdym z zamku wyjeżdżał, nie wiedział; ale jam to przewidywał, bo podług prawa stać się inaczej nie mogło.

— Nie mogło! nie mogło! otoż ja w tem, panie kochanku, że inaczej się stanie. No, o cóż więc idzie? panie podstoli! mów prędko, bo wnet siadam na konia.

— Czy nie mógłbym na osobności pomówić z księciem.

— Niema czego się wstydzić, panie podstoli! wszyscy tu są przyjaciele domu naszego, mów co masz.

A zatem zaczął perorować pan Rupejko przed księciem, jak przed trybunałem. Już jego oracyi spamiętać nie mogłem, choć pilnie i ja i wszyscy słuchaliśmy. Ale treść rzeczy była taka: że książę, jako hetman, zakazuje księciu miecznikowi mieszać się w tę sprawę, a jako ojciec, zaklina, aby pamiętał na swoje imię; że Radziwiłłowie wiernie zawsze i poczciwie służyli krajowi, że salwowali często niewinność i sprawiedliwość, ale nigdy nie bronili takiej swawoli i występku, na który *horret animus*! że gdy książę hetman odmówił powiększenia warty trybunalskiej, a wasza książęca mość odbijesz teraz delikwenta, który napadł na trybunał i któregoś sam na deputata wykierował, cała zatem wina tej akcyi padnie jak na syna, tak i na ojca, a cały świat suspikować będzie zmowę obudwóch z Wołodkowiczem na rozpędzenie trybunału, w którym zwłaszcza kilka spraw Radziwiłłowskich wątpliwego znaczenia indukować mamy. Słowem, Rupejko tak ze wszystkich stron dojeżdżał księcia, tak konwinkował, tak kruszył, że nakoniec książę impetycznie zawołał:

— Dość, panie kochanku, dość! Dajże radę! na miłość Boga, dajże radę!

— Rada krótka i gotowa, mości książę! Zaniechać Mińska, wrócić do Nieświża, uspokoić ojca.

— To niepodobna! panie podstoli, to niepodobna! Prawda zgrzeszył Wołodkowicz i ciężko zgrzeszył, ale czyż dla tego ma umierać? Nikogo nie zabił, pokrzywdzonym czyni deprekacyę. Ja Dłuskiemu złotą rękę odleję. Występek, jak nazywacie, *status*, niech w wieży fundowej odpokutuje. . . Ale śmierć, panie kochanku, śmierć! Nieszczęśliwy człowiek! jego cała nadzieja we mnie! on mój od dzieciństwa przyjaciel! Panie podstoli! radź inaczej, ja ci odwdzięczę! dalibóg odwdzięczę! panie kochanku.

— To poczciwe serce naszego księcia, mówili między sobą ichmość tam obecni; nie żal dla takiego zdrowie i życie ryzykować!

— Trudno inną radę, mości książę! rzekł pan podstoli, zwłaszcza po dekrecie.

— Czy nie możnaby dopaść do Sapiehy!

— *In triduo* do Bychowa i nazad, rzecz niepodobna; a nakoniec cóż to pomoże, on dekretu trybunalskiego nie odmieni, i tem spokojniejszym będzie, że pisał do księcia hetmana, przez umyślnego, który dziś z rana odjechał z Nieświża z rezolucyą; a w niej książę hetman zaręcza, że najmniej ochraniać Wołodkowicza nie myśli, że każdego gwałciciela spokojności krajowej ma za swego nieprzyjaciela. Toż samo odpisał i do pana wice-marszałka Morykoniego, który także odzywał się do księcia hetmana.

— A więc nie masz sposobu?—zapytał książę patrząc w oczy Rupejce, który wzrok ku ziemi spuścił i dumał. Wszyscyśmy milczeli. . .

— Trybunał, mości książę! zaczął znowu pan podstoli, odmienić swego dekretu nie może. Ale! . . ale!. . .

— Cóż? panie kochanku! cóż? dla Boga! mów!

— Ale mógłby suspendować egzekucyę dekretu do jakiegoś terminu, a natenczas starania u majestatu. . .

Nie dał mu dokończyć książę, rzucił się Rupejce na szyję, ściskał go, całował.

— Panie kochanku! bierz co chcesz, byle tej *suspensyi* dopiąć. Potem wszystko łatwiej pójdzie. Jedź natychmiast do Mińska.

— Widzisz bo książę, że jest jeszcze *cyrkumstancya*, nad którą mnie szczególniej zastanowić się trzeba. Książę hetman *publice* oświadczył, że ktokolwiek *directe* lub *indirecte* robić będzie jakiekolwiek *influencye* w tej sprawie, używając imienia Radziwiłłowskiego, już więcej progów nieświżskich nie przestąpi.

— Bądź spokojny, panie kochanku! ja ojca łatwo przebłagam, zwłaszcza, gdy się rzecz bez raptu obejdzie. A i moja przyjaźń, panie podstoli, warta wszelakoż jakiejkolwiek *animadwersyi*.

Pan Rupejko znał dobrze, że lepsze słońce wchodzące, niżeli zachodzące, rzekł więc:

— Cóż mam robić? skarbiąc sobie względy waszej książęcej mości, zaraz jadę, dobiję się choć w nocy albo równo ze dniem

do Mińska, i będę pracował; a jeżeli mnie się uda skłonić Morykoniego...

— A jeżeli się nie uda?—odezwał się ktoś z kompanii.

Na to zawołanie, jakbyś *insperate* z pistoletu nad uchem palnął, książę stanął jak wryty, Rupejko spuścił głowę i wszyscy oniemieli.

— I pewnie się nie uda, dodał tenże jegomość, kiedy będzie rzecz z panem starostą Morykonim. Ja go znam dobrze, to człek twardy jak stal, czyli, co na jedno wychodzi, uparty jak kozioł.

Wszystkie więc nadzieje i księcia i nasze w łeb wzięły razem, patrząc zwłaszcza na minę pana Rupejki.

— Jednakowoż, mości książę! odezwał się nakoniec i pan Sołohub; niech pan podstoli probuje szczęścia; projekt jego jest mądrym, bo tym jedynie sposobem możnaby salwować Wołodkowicza. Niech jedzie i operuje; my tymczasem zostańmy tu i czekajmy.

—Nim Wołodkowicza rozstrzelają, panie kochanku, albo nim książę hetman przyszle tu husaryę, aby nas do Nieświża odprowadziła. Rozumna rada! nie ma co powiedzieć! Nie, panie kochanku! niech pan podstoli jedzie i operuje, ale niech przytem wiedzą panowie sędziowie trybunalscy, że ja tuż! i że, gdy operacye nie pomogą, ja moje rozpocznę, i bodaj skuteczniejsze.

Po długich jeszcze certamentach i radach, stanęło na tem, że pan podstoli wyjechał zaraz do Mińska, a my równo ze świtem wyruszyliśmy na obławy w lasy Smolewickie, które do samego prawie Mińska dotykają, a tam co godzina miał książę mieć wiadomości z miasta.

Potem każdy drzemał jak mógł. Książę siadł za stołem, położył na krzyż ręce na stole, a głowę na rękach, i zaczął chrapać na całą izbę. Ja poszedłem do plebanii, bo znałem tam mieszkającego księdza kalwińskiego Kina, który i teraz żyje jeszcze; człowiek to bardzo zacny. Rozbudziłem go, oznajmiłem o bytności księcia, i o tem, że równo z dniem wyjeżdżamy. To on wnet się zawinął koło śniadania, jakoż jak tylko na brzask, przysłał do karczmy kilka dzbanów grzanego piwa i wyśmienitych dwie misy zrazów, które zajadając książę odezwał się.—Otoż nam dogodził poczciwy Kin! gdyby nie kalwin, zrobiłbym go, panie kochanku, infułatem ołyckim.

Raniuteńko, książę i myśliwstwo całe i nowi przybysze przyjaciele, jedni z ciekawości, drudzy z życzliwości siedliśmy na konie; a tak z półtorasta konnicy ciągnęło za księciem traktem mińskim, wszyscy gotowi na jedno słowo księcia, choć w ogień. Książę puścił się kłusem, i już mil z parę ubiegliśmy, a dzień piękny się zrobił, gdy ostrzeżono księcia, że konie słabieją i że wytchnąćby należało.

— Nic to, rzekł książę, kto ustanie, to ustanie; pod Mińskiem popas, i tam dosłyszymy Rupejki, a potem...

Ledwo to wymówił książę, ujrzeliśmy lecącego ku nam od Mińska konnego; ja poznałem zdaleka naprzód konia naszego, a potem Surwinta, kolegę mojego w służbie Wołodkowicza; spostrzegłszy on nas, przypuścił konia, i doskoczywszy przed księcia—Już po wszystkiem! rzekł, nie żyje!

— Kto? Wołodkowicz? Zwaryowałeś?

— Wołodkowicz! Rozstrzelali!

— Jezus! Marya! Józef! Kłamstwo!

— Nie kłamstwo, mości książę! Na własne oczy widziałem trupa; leży w kordygardzie i krew gorąca jeszcze ciekła z piersi i z uszu, gdym z Mińska wyleciał.

— Kiedy rozstrzelali?

— Dziś o w pół do trzeciej po północy.

— Gwałt! gwałt! krzyknął książę. A niechże mię ziemia pozrze, kiedy ja im to daruję. Wygubię tych rozbójników! Za mną! kto w Boga wierzy!

I chciał puścić się pędem, ale wstrzymał konia za cugle Sołohub.

— Po co teraz? mości książę! Umarłego nie wskrzesimy.

— Ja nie Szczepanowski, wskrzeszać nie umiem, ale zemścić się potrafię, ale Piotrowinów narobię! Niech ich potem kto chce wskrzesza. Ha! Barabbasze! Puszczaj mnie, bo tobie samemu łeb rozpłatam—I rwał się do pałasza.

A Sołohub zeskoczył z konia i stanął naprzeciw trzymając zawsze książęcego konia za cugle.

— Płataj! jeżeli chcesz, książę! lepiej zrób ze mnie Piotrowina, czy Szczepanowskiego, niżelibyś miał w Mińsku męczenników robić.

— Ale darmo do Mińska, rzekł Surwint, nie ma tam już ani pana Szczepanowskiego, ani pana Piotrowina, ani żadnego deputata, (trzeba jegomości wiedzieć, że Surwint poczciwy żmudzin, ledwo podpisać się umiał i nie wiedział nic o cudach ś. Stanisława), bo zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza rozjechali się wszyscy, a po prostu mówiąc, pouciekali, i sam nawet pan Morykoni pojechał do Bychowa do księcia Sapiehy, a deputaci każdy w swoją stronę; ale nikt w tę stronę, bo wczoraj wieczorem rozszedł się po mieście rumor, że książę z wielkiem wojskiem lecisz na odbicie Wołodkowicza i dla tego, co mieli za trzy dni rozstrzelać, to nie czekając dekretowego terminu, rozstrzelali w nocy.

Książę więc zlazł z konia, spuścił głowę, *Requiem aeternam dona ei Domine!* po kilka razy powtarzał i ocierał z łez oczy.

Ja płakałem jak bóbr, a Surwint chlipał jak dziecko.

Książę siadł znowu na konia, zawrócił nazad i kazał Surwintowi jechać obok.

— Opowiedz mi waść całą tę tragedyę—rzekł do niego.

Niema co i mówić, JO. książę panie! zastrzelili i po wszystkiem—rzekł Surwint chlipając.

— Zgłupiałeś z wielkiego żalu, panie kochanku!

— A cóż? JO. książę! jak on napadł na trybunał..

— To wszystko wiem od Bielewicza; mów tylko co było po dekrecie.

— Po dekrecie? Jak jemu przeczytali w kordygardzie dekret, tak zaraz pan rotmistrz Krajewski rozkazał przynieść kajdanki. Wołodkowicz żadną miarą okuć siebie nie dozwalał.—Jestem szlachcic, mówił; kiedy potrzeba umrzeć, to dziej się wola Boża! Nie jestem nawet *jure victus*, bo nie dano mi ani czasu, ani patrona do obrony, a zatem wara z kajdanami! wara! Krajewski perswadował i przepraszał nawet, że musi spełnić dekret trybunalski. Jakoż choć się dąsał, przy pomocy jednak kilku gemejnów włożono mu łańcużki na nogi.

Wołodkowicz, zobaczywszy się okutym gorzko płakać zaczął; załamywał ręce, że aż wszystkim żal się jego zrobiło. Opowiadał mnie to wszystko przy trupie, porucznik warty trybunalskiej pan Sielanko *)

Poprosił potem nieboszczyk Krajewskiego, aby mu pozwolił widzieć się z którymkolwiek swoim dworskim. Zgodził się rotmistrz. Posłano do kamienicy, i ja wnet przybiegłem. Oj! Bogu znać, a nie opowiedzieć ja mogę księciu, co się ze mną działo, gdym spostrzegł okutego mojego pana. Hrymnąłem mu do nóg, i oba zaryczeliśmy z płaczu. Warta, choć to żołnierze, a płakali także, bo serce krajało się, i teraz się kraje, JO. książę panie!

— Czy jest mój brat pan Józef?

— Niema, odpowiedziałem; dostał maligny jak się dowiedział o nieszczęściu pańskiem, i zostawiłem go leżącego bez nadziei, bom był u niego.

— Gdzie Bielewicz?—zapytał.

— Zaraz po wzięciu pana poleciał do księcia Karola Radziwiłła.

— To dobrze! i zcicha dodał: książę Karol mnie nie opuści. A nie masz żadnej stamtąd wiadomości?

— Nie ma żadnej szczególnej, ale po mieście jak w bęben biją, że książę lada godzina wpadnie z wojskiem i odbije pana.

— Więc w Bogu nadzieja! rzekł on rzeźwiejąc trochę.

Rzucił potem na stół parę dukatów.—Krajewski! każ przynieść wina. Na frasunek napiję się z moim poczciwym żmudzinem.

— Życzyłbym panu, odpowiedział Krajewski, upamiętać się; ostrzegam, że tu nie ma żartów. To nie taki frasunek, który w winie utopić można. Kiedy żelaza na nogach, o Bogu nie

---

*) Krajewski rotmistrz, a Sielanko porucznik warty trybunalskiej, ostatni umarł jeszcze w 1812, w powiecie oszmiańskim. *N. w.*

o ludziach myśleć trzeba; i dla tego ja życzę panu wezwać kapłana i wyspowiadać się.

— Wyspowiadam się, odpowiedział hardo mój pan, na Wielkanoc. Waść mi kajdanki włożyłeś, ale będzie taki, co zdejmie, i może kogoś niemi opatrzy. Każ przynieść wina!

— Nie tylko nie mogę wypełnić tego rozkazu, ale nie mogę dłużej zostawić tu sługi pańskiego. Panie Surwint! pożegnaj się ze swoim panem i wychodź.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju! rzekłem wtenczas ściskając jego kolana, pofolguj. Czy to nie dość za takie błazeństwo, że pana mego, który jest pan z panów, w kordygardzie trzymacie, żeście mu łańcużki włożyli, że go śmiercią straszycie, gdyby jeszcze i dłużej tak go dręczyć? Wszak zresztą panu Dłuskiemu palce się pogoiły, a z Panem Bogiem łatwiej jak z ludźmi. Za przypadkowe przecięcie krucyfiksu zmuruje kościół pan mój; chwała Bogu ma z czego. Dalibóg, panie rotmistrzu, puszczaj nas już jegomość wolno, i sam nie pożałujesz tego.

— Jesteś poczciwy szlachcic, panie Surwint, odpowiedział mi Krajewski, ale wybaczaj, głowa nie do rady. Wiedz o tem, rzekł jeszcze, biorąc mnie za rękę, że ani ja sądzę, ani ja kuję; ani ja strzelam. Trybunał osądził, trybunał zakuł, trybunał i...— Zamilkł Krajewski, a Wołodkowicz dokończył— rozstrzela!

Usiadł potem na zedlu za stołem, głowę oparł na rękach i zamyślił się. Krajewski także milczał, a ja płakałem stojąc jak wryty. Nakoniec rotmistrz powtórzył mnie znowu rozkaz pożegnania się z panem i odejścia; zbliżyłem się więc do biednego zamyślonego, a on, nie podejmując głowy — Bądź zdrów! powiedział, zobaczymy się może na Józafatowej dolinie! a ciszej dodał:— Kiedy do jutra rana nie będzie tu Radziwiłła, leć do Nieświża, bo zginę!

Nie wiem czy Krajewski to słyszał, ale ja ucałowałem kolana pańskie, i wyszedłem, niosąc kamień na sercu.

W mieście był ruch szalony. Trybunał jeszcze ściślej się zaparł; warty wszędzie i w bramie i na wschodach srogie porozstawiano: po ulicach i rynku panowie palestranty, aplikanty, ajenty i rejenty, kompanjami chodzili, rezonując i wróżąc i tak i owak.

Jedni mówili —Już po nim! Dekret trybunalski! appelacya do pana Boga! spadnie gałka! —Drudzy mówili—Trybunał z dekretem, a Radziwiłł z muszkietem! Zobaczymy zaraz gościa, mówili... On go z tej kozy wydobędzie, a od Radziwiłła, to już go i sam dyabeł nie wydobędzie.

Inni znowu mówili, że za porąbanie krucifiksu będzie musiał po *absolucyę* piechotą do Rzymu wędrować, a drudzy, że będzie musiał dyscyplinować się u bernardynów, pod lampą. Mówili też: dyscyplinował on nie jednego, niechże poprobuje tegoż samego specyału!—Ale wszyscy ciekawi byli końca, a nikt bodaj nie wierzył, że stanie się podług dekretu.

Gdym wyszedł z kordygardy, otoczyła mnie tłuszcza wielka, sypiąc pytania bez końca, ale mnie jakby mowę zajęło i w głowie się pomięszało; rozpychałem tłum nic nie odpowiadając, i wpadłem do kościoła OO. Bernardynów otwartego przed nieszporami, dałem talara na litanję i na *Sequeris*, i krzyżem leżąc, słuchałem tego...

— Mniejsza, rzekł książę, o twoje własne *particularitates;* mów co się działo z Wołodkowiczem?

— On, jak mnie powiadano, po mojem wyjściu doprosił się u Krajewskiego butelki wina, wypił ją duszkiem, rozciągnął się na swojem łóżku, bo mu pierwej już dali łóżko i pościel, i zasnął w najlepsze.

Tymczasem nadszedł wieczór; Krajewskiego wezwano do trybunału; bawił się tam godzin z parę czy więcej; wróciwszy, obudził Wołodkowicza, wyjął z zanadra papier, i rzekł doń — Czytaj!

A był to rozkaz na piśmie dany od trybunału Krajewskiemu, rozstrzelania delikwenta we trzy godziny.

— Jakto?—zrywając się z łóżka krzyknął Wołodkowicz. Dekret dał mi czasu trzy dni. Ciż sami podpisali ten rozkaz, którzy podpisali i dekret.

Dobył potem Krajewski zegarek—wpół do dwunastej, rzekł: masz czasu do wpół do trzeciej. Za każdą minutę odpowiedzialny jestem. Polecaj Bogu twą duszę. Niema żadnego ratunku. Posłałem po księdza.

— To być nie może! to być nie może, gdybym miał tak marnie zginąć! wołał Wołodkowicz, suwając prędko spętanemi nogami a wlokąc łańcuchy po cegłach. Szwykowski! mój brat cioteczny! Boże mój! i on mnie potępił! Panie Krajewski! Bogu i ludziom odpowiesz.

Wtem wszedł i ksiądz; Krajewski, postawiwszy czterech żołnierzy z nabitą bronią we środku przy drzwiach, rzekł do nich—Baczność na delikwenta! głową odpowiadacie. Sam wyszedł.

Trzeba wiedzieć JO. książę panie, że ja z kościoła poszedłem do celi księdza brata mego stryjecznego, także Surwinta, spowiednika w klasztorze mińskim. Siedziałem tam jak zabity, bo spać nie mogłem, a równo z dniem myślałem ruszyć do Nieświża, szukając księcia. Otoż właśnie wszedł do mojego brata ksiądz gwardyan, a za nim żołnierz.

— Idź, ojcze, za tym żołnierzem, rzekł gwardyan, wyspowiadasz i przygotujesz na śmierć Wołodkowicza.

— Pan rotmistrz kazał mi prosić, odezwał się żołnierz, ażeby ksiądz spowiednik wziął z sobą święty wijatyk, lecz aby szedł bez dzwoneczka.

— Jakto? rzekłem, wszakże jeszcze dwa dni z dekretu mu się należy.

— Ja tego nie wiem, odpowiedział żołnierz, a robię co mi kazano.

Szedłem z księdzem spowiednikiem, ale Krajewski rozstawił naokoło kordygardy, na rynku na kroków jakich pięćdziesiąt szyldwachy, i kazał strzelać, jeżeliby kto za tę linję przestąpić ważył się; i kiedy kto się przybliżał, to szyldwach krzyczał—Nie następuj, bo strzelę!

Księdza spowiednika więc przeprowadzono, a ja musiałem zostać Ludu też było pełno na rynku, a z sądowej trybunalskiej świeciły się okna, jak z kościoła podczas roratów.

Lecz wreszcie tłum rozchodzić się począł.—Już dziś nic nie będzie, mówili. Zwyczajnie Wołodkowicz zapotrzebował księdza, to mu go i przyprowadzili, ale kiedy i rozstrzelają, to chyba na trzecim dniu. Ale ja oczekiwałem powrotu księdza brata i oka z kordygardy nie spuszczałem W oknach tam światła biegały jakby przenoszone z miejsca na miejsce, ale nie mogłem zmiarkować coby to było.

Nagle i raptem błyskawica tam i piorun!. . . szyldwachy stanęli jak wryte; wnet strzał, drugi mniejszy, a potem cicho, i jedna już tylko świeczka migała przez szybkę w kordygardzie. Mnie mrówki przeszły po skórze. Lud z domów wysypywać się zaczął; a ja ujrzałem księdza brata umykającego śpiesznym krokiem przez rynek; zabiegłem mu drogę, schwyciłem za rękę—Stój! księże!

— Wołodkowicz już przed Bogiem. Chodź za mną.

— Nie, rzekłem trzęsąc się jak osina, pójdę, zobaczę nieszczęśliwego pana mojego.

— Próżno, nie wpuszczą cię. Chodź, mówię, ze mną.—I pociągnął mnie za rękę. Otoż, JO. książę w celi, gdy mnie trochę drżączka odeszła, rozpowiedział mnie ksiądz brat ostatni termin Wołodkowicza.

Gdy przybył ksiądz, on jeszcze włóczył się po kordygardzie, dąsał się i złorzeczył; ale jak postawił krucyfiks na stole, a przed krucyfiksem złożył święty wijatyk, Wołodkowicz spojrzał na Ukrzyżowanego, i przyszedł mu widać na pamięć jego eksces i rozcięcie krzyża sądowego; upadł więc na kolana—O Chryste Jezu! zawołał płacząc, zgrzeszyłem! ale żałuję z całego serca, z całej duszy żałuję! Przepuść winę moją, i kiedy już mam śmiercią zapieczętować grzechy, dajże mi przynajmniej stanąć przed Tobą z czystem sumieniem. Ojcze! spowiadaj mnie! Odeszliśmy więc, powiadał mi ksiądz brat, w koniec drugi izby; usiadłem na zedlu, on ukląkł, i z całego życia najszczerszą spowiedź uczynił.

Daj Boże każdemu dobremu taką skruchę i żal mieć szczery, jako ten nieszczęśliwy. Uznał w zgonie swoim wolę Boską i skrócenie czasu, któregoby pewnie użył na dalszy grzeszny jako i dotąd żywot, przebaczył swoim sędziom, słowem, ze lwa srogiego stał się łagodnym barankiem.

Rozgrzeszyłem go więc, i mam nadzieję w Bogu dobrotliwym, że co rozwiązałem na ziemi, rozwiązanem będzie i w niebie. Zaczęliśmy potem mówić psalmy pokutne, a potem modlitwy nad konającym. Aj! ciężki to obowiązek, mój bracie, kapłana, powiadał mi ksiądz brat, kiedy rozmawiać musi z tym, który za chwilę z Bogiem rozmawiać będzie. . . Serce mi się krajało z żalu, i własnem życiem odkupiłbym młode jego lata. Wszedł Krajewski. Ja coraz to dłuższe wynajdywałem modlitwy. . . a nuż cud Boski. . . i zkądkolwiek salwa!!!

Krajewski spojrzał na zegarek na stole leżący, na który ja oczy obrócić nie śmiałem, powiadał ksiądz brat, przeszedł się jeszcze razy z kilkanaście, nareszcie rzekł do mnie:

— Ojcze! uczyniłeś twoją powinność gorliwie, ja muszę moją wypełnić!

— Panie rotmistrzu! rzekł powstając z klęczek Wołodkowicz, na dowód żem szczerze z Bogiem się pojednał i żadnego w sercu na nikogo nie zachowuję gniewu, proszę podaj mi rękę. Krajewski podał mu rękę, a drugą łzy sobie ocierał.—Panie! rzekł mu przytem, mówiłem, że nie ja sądzę, nie ja rozstrzelam, a przeklinam, moją nieszczęśliwą teraźniejszą godzinę. Księże! wracaj już do siebie.. . .

— Nie, rzekł Wołodkowicz, nie opuszczaj mnie, ojcze! Patrząc na tego, który mię z Bogiem pogodził, lżej mi będzie umierać.

Nie mogłem odmówić już jakby konającemu tej prawdziwie kapłańskiej posługi, ale Bogu wiedzieć, jak mi to ciężko było.

— Panie! rzekł znowu Krajewski, czas jest. . . Skinął na unter-oficera, a ten wprowadził sześciu żołnierzy z bronią na ramieniu. Stanęli obok czterech wartujących.

Przeraziło to mocno Wołodkowicza; załamał nieborak ręce —O Boże! Boże! wykrzyknął, o bracie mój Józefie! o Włodzimierzu biskupie, stryju mój! krewni! przyjaciele moi! gdzież jesteście? Książę Karolu! gdzieś ty!

— Nie gadaj waść, nie gadaj, przerwał książę, becząc w głos jak dziecko, nie gadaj, bo wytrzymać mi trudno. . . Darował on nieprzyjaciołom swoim, ale ja im dalibóg nie daruję. . gdyby zginąć przyszło!!!

— Jakże dalej?

— Dalej mówił znowu Krajewski do Wołodkowicza—Nie zechcesz zapewne, panie, abym gwałtem...

Wołodkowicz nic już nie odpowiedział, stał oniemiały jakby bez przytomności.

Dwóch żołnierzy wzięło go pod ręce, i podprowadzili, a raczej pociągnęli go do muru, Krajewski zawiązał mu oczy; ale że ustać na nogach nie mógł, opuścili go więc na klęczki.

— Ja przybliżyłem się natenczas, powiadał ksiądz brat, i przykładając krucyfiks do ust jego, rzekłem głośno—Polecaj się Bogu, Michale, i ufaj w Jego miłosierdziu!

Cud boski! cud! na te moje słowa odzyskał siły i przytomność, ucałował krzyż. Krajewski dał mi znak... oddaliłem się, a Wołodkowicz zaczął mówić— W ręce Twoje, o Boże, polecam... Kule przecięły mowę i modlitwę; upadł, ale padając krzyknął—Jezus! Marya! Józef!...

Podskoczył Krajewski; Wołodkowicz żył jeszcze i rzucał się na ziemi, lubo krew rynsztokiem płynęła; skinął więc na unter oficera, a ten z pistoletu wystrzelił mu w ucho i dobił.

— Wyszedłem ja zaraz, JO. książę, od księdza brata... mówił dalej Surwint.

— Mniejsza tam zresztą, panie kochanku! ..

— Nie, JO książę, bo wyszedłszy, sam widziałem jak deputaci w nocy wyjeżdżali z miasta, i doprosiłem się do trupa; obaczyłem więc kochanego mojego pana! pomodliłem się przy nim za jego duszę, i dowiedziałem się, że dla tego od razu nie zabito, że on, jako pobożny katolik, (ktoby to się spodziewał, patrząc na jego hajdamactwa i swawole), nosił na piersiach obraz Najświętszej Panny na srebrnej blasze, to Ona trzy kule odbiła od jego serca i za żupanem je znaleziono.

— A czemużeś waść tych kul nie przywiózł?—rzekł książę.

— Pan rotmistrz zabrał je sobie; prosiłem choć jednej i mówiłem, że zawiozę JO. księciu panu.—Oho! odpowiedział Krajewski, żeby potem niemi mnie potraktował? Nie dam żadnej... i wyprawił mnie z kordygardy. Więc ja wnet na konia, i spotkałem waszą książęcą mość.

Potem rozpowiadaniu Surwinta, jechaliśmy cicho, książę milczał, ani słowa do nikogo nie rzekł; i tak w kilka godzin dojechaliśmy do Swierżnia. Książę zawrócił przed kościół, zawołał plebana, dał mu kilka dukatów, kazał dzwonić za duszę Wołodkowicza, a ponieważ jeszcze nie po mszy był ksiądz, więc mu żałobną mieć zalecił. Wszyscy słuchaliśmy jej nabożnie, a po ukończeniu, książę zaintonował: Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie! a zatem w półtorasta przynajmniej głosów prześpiewaliśmy to polecenie duszy Wołodkowicza Bogu. Książę odprawił myśliwstwo, a poglądając na nas z Surwintem, zapytał Czy waść szlachta?

— Szlachcic jestem, mości książę, z pod Oszmiany.

— A, to waść szlachcic oszmiański! a czemuż to panie kochanku, obie nogi masz w butach?— (Bo musiałeś to jegomość słyszeć, że nie wiedzieć zkąd jest ta pogłoska, że okoliczna szlachta oszmiańska jedną nogę w bucie, a drugą w łapciu nosi).

— A ja, odezwał się Surwint, szlachcic z pod Rosień.

— A, to waść żmudzin, panie kochanku! No! obadwa z poczciwych gniazd i poczciwi ludzie widać jesteście, bo przywiązani do waszego pana, macie więc u mnie służbę; jeżeli zgoda, to za mną do Nieświeża; potem zobaczymy kto do czego zdatny.

Uścisnęliśmy kolana księcia i za nim ruszyliśmy w tropy.

Otoż masz jegomość dobrodziej całą historyę śmierci Wołodkowicza, jakbyś na nią patrzał, a na ostatni koniec Hanulka moja zaśpiewa jegomości pieśń o nim, którą on sam przed śmiercią ułożył. Anulku! Hanulku!

Przybiegła dziewczyna do wrót odryny.

— Zaśpiewaj jegomości pieśń o Wołodkowiczu.

— Zapomniałam, tatuleńku!

— Nie kłam, moje dziecię! onegdaj jeszcze prześpiewałaś ją od deski do deski przed panem Żabczycem, twoim *per modum* kawalerem, więc śpiewaj mnie zaraz.

Panna Anna zaczerwieniła się, i spuściwszy oczy, zaczęła śpiewać. Niema co mówić, głos bardzo piękny i cieńki.

Obacz, ojczyzno, jaka twoja strata!
Gdzie twa nadzieja? kędy moje lata?
Ledwie ze światem zabieram przymierze,
Jeden mi życie cudzoziemiec bierze.
Wiadomy Bogu, przyjaciołom miły,
W śmiertelne od was dziś idę mogiły.
Nie ekseces żaden, ani krwi wylanie (???)
Lecz zazdrość pisze z światem mi rozstanie.
Dom starożytny, senatorskie progi,
Stargał to wszystko jeden tyran srogi!
Jak niegdyś tracki Buzyrys dla koni
Krew ludzką miotał, zjadł mnie Morykoni.
Sądowa izba, spraw wszelkich świątnica,
Istotna dla mnie stała się rzeźnica.
Przebóg! wszak prawo powzięte z ryczałtu
Nie każe czynić pod sądami gwałtu;
Mnie z sądów wziąwszy sędziego elekta,
W równości kreślą, formują dekreta.
Omijam innych, ty ciotecznym bratem
Szwykowski będąc, stałeś mi się katem;
Z mych ręku przez cię odebrana szabla,
Krew niewinnego wzlewa na cię Abla.
Sądzą mnie zatem nie dawszy patrona—
Wszak i zabójcom wolna jest obrona—
Kują i biorą do ścisłej katuszy
Trzy ledwo wolne godziny dla duszy.
Najświętsze, proszę, dajcie sakramenta—
Zegarek na stół — tak liczą momenta!
Wtem i ta Matka, co cały świat broni,
Wtenczas mnie swoim puklerzem zasłoni,
Gdy blizko do mnie wystrzelono kule
Od Jej obrazu spadły jak pakule.
Czynię poprawę, srogości dość ze mną,
Jam rzekł: Maryo! zmiłuj się nade mną!
Zatem gdy acz, co wszystkich nas nie minie,
Nim się w Józefatowej zobaczym dolinie,
Żegnam cne domy, gdy mi czas domierza.
Stryja pasterza żegnam Włodzimierza,
Byłeś mi ojcem i nie skąpym w darach,
W najświętszych pamięć miej o mnie ofiarach *).

---

*) Pieśń tę czyli lament jeszcze i teraz posłyszeć niekiedy można śpiewaną przez szlachcianki okoliczne na Litwie.—*N. w.*

— To widzi jegomość, jak to on składnie skoncypował, i jeszcze kilku godzinami przed śmiercią; to także cud, dodał Bielewicz, bo on przez całe życie ani książki, ani pióra w ręku nie trzymał.

— Chyba po śmierci tę pieśń ułożył—rzekłem.

— Jakto? — zapytał zdziwiony Bielewicz.

— A naturalnie, że chyba po śmierci, bo jakżeby mógł pisać o tych kulach, które od obrazu Matki Boskiej odbiły się?

— Ach! poczekaj tylko jegomość...—pomyślał pan Bielewicz.— A dalibógże prawda! To nie on, to ktoś inny widać napisał. Proszę uniżenie! Oto mi mądra jegomościna głowa! od razu spenetrował prawdę; a ja kilkanaście lat wierzyłem, że to mój kochany pan na pożegnanie złożył.

Wieczór nadszedł. Poszliśmy z gospodarzem na łąkę, gdzie już trzeci stóg siana wyrastał, a na nim harcował mój Marcin, mając przy sobie flaszę z naszego podróżnego puzderka. Poznałem więc, że zapasy nasze będą zawsze pod jego kustodyą. Wkrótce stóg się zawierszył. Zasiedliśmy do chłodniku i kurcząt, a po wieczerzy każdy w swoją stronę na paciorki, i potem każdy na swoje miejsce na odpoczynek. Moja kwatera w świronku, do którego wprowadzając mnie pan Bielewicz, rzekł—jegomość dobrodziej jutro po śniadaniu ruszysz w drogę. Już to moja Anulka częstować będzie, bo ja z synami przede dniem wybiorę się na młodzież i na zajączki w dalsze knieje od domu. A tak dziś żegnam jegomości dobrodzieja: Dziękuję najpokorniej za odwiedziny, i proszę nadal nie mijać ubogiego mojego domku. Baran mój uż przy prowodyrach.

— Nie, nie, odezwał się słysząc to Marcin; spać długo nie dam mojemu jegomości. *Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje.* I my przede dniem razem wyruszymy.

Znowu poznałem, że nie tylko moje puzderko, ale i ja jestem kustodyą pana Marcina.

Tak się i stało. Jeszcze się niebo czerwieniło tylko na wschodzie, kiedy wypiwszy po kufelku grzanego mleka, wyruszyliśmy za wrota, my z Marcinem na naszych kałamaszkach, a pan Bielewicz przy nas piechotą z dwóma gończymi i wyżłem. Ojciec z synami w uniformach wyżej opisanych myśliwstwa Radziwiłłowskiego.

Postępowaliśmy cicho, bo każdy modlitewki poranne odmawiał, pieski tylko ciągając się na sforach, odzywały się niekiedy i po rannej rosie znaczyły swoje ślady obok drogi.

Nakoniec i słonko się pokazało. Pan Bielewicz, skończywszy paciorki — No, synki! na dobry humor i na szczęśliwe polowanie, zająca."

Więc huknęli synkowie, a z nimi ojciec basem:

„Siedzi sobie zając pod miedzą, pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą;

Siedzi sobie lamentuje.
Testament życia spisuje.
Śmiertelny! śmiertelny! *).

Aż echo rozległo się po kniejach, ja zwróciłem się na lewo ku gościńcowi, a myśliwcy zapuścili się drożką w las. Długo jeszcze słyszeliśmy ich pieśń wesołą; nakoniec pieski doławiać się zaczęły; więc odezwała się trąbka i razem ho! ho! był tu kot!!! kot! kot! tu! tu! tu! że aż nam w uszach zadzwoniło. Pieski zagrały, i na sercu mnie tak grało, tak wesoło stało się, że aż miło!

POPAS I UWAGI MARCINA.

XVI

Czwarty to już czy piąty dzień był po naszym wyjeździe z klasztoru, i przy Barabaszu i Eliaszu trzodka się powiększyła. Żaden dwór lub dworek nie chybił nam jeszcze z baranem; w kaltce nawet mojej do czerwieńców pana rotmistrza przybyło kilka talarów bitych i złotówek. Wszędzie mnie przyjmowano łaskawie, a obdarzano chętnie i skwapliwie, wszędzie poczciwie i po chrześcijańsku żyjące znajdowałem państwo i chudopocholstwo, wszędzie traktament i gościnę i serdeczność zawsze, tak, że wyjeżdżać czasami nie chciało się, a nigdzie jeszcze nie spotkałem się z owem niedowiarstwem i zgorszeniem, o którem ksiądz gwardyan nadmieniał.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy się gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołem niebem, jeżeli nie we dworze jakim.—Po co nam do karczmy? mówił Marcin, mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróżny, i baranów napasimy, i sami posilimy się, i nic nie, zapłacimy.

Mieliśmy więc, podług zwyczaju, mijać karczmę, do której dojeżdzaliśmy, ale spostrzegłszy przed nią stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatem pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moją odbyć żebraninę, na co i Marcin się zgodził; a zatem stanęliśmy z naszemi kałamaszkami obok pańskiej karocy. Ujrzały mnie piękne panięta, to jest, chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek; wybiegli z karczmy, a za nimi ichmość rodzice wyszli. Weterańswo poważne, nie ma co powiedzieć!

—*Laudetur* Jezus Chrystus! — rzekłem kłaniając się *humillime*.

—*In saecula saeculorum*—odpowiedział *Magnificus*! jak się potem dowiedziałem, starosta.—Zajęliśmy karczmę, rzekł on, nie

---

*) Dawna piosnka myśliwska.—*N. w.*

masz gdzie popasać księże kwestarzu!

—Nic to, dobrodzieju! ja też nie na popas tu zajechałem, odpoczną tylko moje szkapy, i powlekę się dalej.

—Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między moimi i mój obrok zjedzą: samego zaś waści na nasz podróżny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, kwestarzu!

—Chętnie spełnię rozkaz JW pana, bylem nie przyczynił subiekcyi.

—Żadnej, żadnej—odpowiedziała pani; a zatem i zostałem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzęgania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu, i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i koni i jego dobrze nakarmiono, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów, udobruchał się przecie i wnet pobratał się ze wszystkimi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim podano, starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? zadawał rozmaite inne, wyzywając mnie zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymywałem placu, i uśmiechał się pan, a nawet sama imość, bo ja, pamiętając na instrukcyę księdza gwardyana, umiałem trzymać język za habitem; nakoniec przystawiono piąty talerz, i zasiedliśmy do stołu.

—Będziesz głodny, księże kwestarzu! rzekł starosta: obiad podróżny, krótki, porcyi bernardyńskich nie będzie, bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratias*, dobrodzieju! a na cóż więcej?

Jakoż uczciwy był rosół z indora. Pani staróścina po dwa razy mnie nalewała, posiliłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwojga rodziców i dwojga dziatek po jednym.

—Oto sęk, księże kwestarzu! jarząbków cztery, a nas pięcioro!

—Posiliwszy się z łaski państwa tak wyśmienitym rosołem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

—Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Charissime*! Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nie lada kwestarz; musiałeś więc i szkoły traktować?

—Oho! pomyślałem, coś z wojewodzińska zakrawa,—a jakże? JWpanie! aż od *Poezymy inclusive*: a alwar gryzłem na pamięć jak rzepę.

—Zapewne uczyłeś się i arytmetyki?

—Uczyłem się i arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najwięcej praktykuję *addycyę* i *multiplikacyę*, dalsze zaś działania dla mnie niewielce potrzebne; a o frakcyach i słuchać nie chcę, nigdy ich cierpieć nie mogłem, tem bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

—Otoż, pomyślałem sobie znowu, i wędę za konceptem zarzu-

ciłem do wspaniałości pańskiej. Punktualnie wypełniam instrukcyę ks. gwardyana. Zobaczymy co wyciągnę.

—A więc daj eksperyment, rzekł starosta, ze swojej nauki, podziel te cztery jarząbki na nas pięć osób, ale bez frakcyów, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest, bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równej porcyi się dostało; kiedy tego dokażesz, powiem, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine*.

—Nic łatwiejszego, dobrodzieju! byleście się na moją *dywidendę* zgodzić raczyli.

—Przyrzekam solennie, rzekł znowu starosta, za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księże kwestarzu!

—Ani się dotknę nożem.—Podsunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

—Jegomość dobrodziej, jejmość dobrodzika i jarząbek, to troje panicz, panienka i jarząbek, to troje; kwestarz i dwa jarząbki, to znowu troje.

Brawo! krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie, toż samo i pani starościna. Zgadzamy się na podział! wyśmienicie!

—Ale ja się nie zgadzam, rzekłem. Jarząbki zostaną przy państwu i przy paniętach, a w indemnizacyi, jeżeli JWpani pozwoli wezmę tę bułkę pieroga dla mnie, a dla klasztoru, co wola iłaska,

—Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujemy ci, *Charissime*, z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój stąd mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

—Zgoda, JWpanie! Dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę to jadę, bylem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo, i my też powlekliśmy się za niemi.

A cóż? mój jegomość! rzekł do mnie Marcin, baranów z sobą nie miał starosta, więc musiało przybyć kompanistów do czerwieńców rotmistrzowskich?

—Nie, nic nie przybyło, ale zaprosił mnie starosta do siebie i obiecał sutą jałmużnę. Furmani musieli tobie drogę rozpowiedzieć.

—A rozpowiedzieli. Ale to widzisz mój jegomość, obiecanka cacanka! Jegomość wiesz jak tam dalej. Coś mnie wszystko zdaje się, mówił Marcin trzęsąc tabakę z rożka, że jegomość nie samowity na kwestarza. Powiedz mnie naprzykład jegomość, jak domawiasz się do baranów?

— A na cóż mam się domawiać. Już skoro kwestarz wchodzi do domu, to poczciwy gospodarz wie, że zbiera jałmużnę, a zwyczajnie barany dla swego klasztoru.

— E! czy tak? mój jegomość! Nie pocieszy się ks. gwardyan z naszej kwesty, a jegomość pójdziesz znowu na kanaparza.

—Czegoż chcesz? Kilka dni jeździmy, a już z dziesiątek mamy baranów.

—Da co to znaczy? co to znaczy? Nieboszczyk ksiądz Jacek,

z którym lat cztery jeździłem, dotądby już kopę nazbierał. Czy raz to bywało, że my po dziesięć baranów z jednego dworu wypędzamy, które on albo konceptami swemi wyłabudził, albo w elbecwelba czy w maryasza wygrał? bo u niego zawsze bywało ze czterdziestu i tuz kozerny. Miał on na to, jak sam mówił, jakąś inkluzę. A dla jegomościa po jednym baranku cedzą, aż żal patrzeć. A o puzderku i wiktuałach podróżnych gdybym ja nie pamiętał, to przyszłoby i zęby na policy położyć.

Czy jegomość zawsze zakąsujesz po wódce?

— A jakże? naturalnie, że zjem kawałek chleba. Wszyscy tak robią.

— O toż widzisz jegomość, że ksiądz Jacek tak nie robił; on bywało powiadał—Napijemy się gorzałeczki, a całym baranem zakąsimy. — Ot jest już i baran.

Albo bywało prosi u jakiego pana rozmienić talara na drobne; no, to pan łatwo zgadza się, dobywa kieskę i odlicza za talara drobne; a on znowu—Dajże dobrodzieju i talara twardego, abym miał czem za monetę zapłacić.—Ot jest i talar. Kiedy we dworze którym był młyn, to prosił o pozwolenie zmlecia beczki żyta bez miarki. No, któż takiej małej rzeczy odmówi? — Miel, księże kwestarzu, choć dwie. — Da choćby jedną, kiedy mnie ją dasz, dobrodziej! —Ot znowu chcąc nie chcąc, musiał pan gospodarz dać żyta.

A raz przyjechaliśmy do okolicy szlacheckiej około Pińska. —Szlachta, rzekł do mnie ksiądz Jacek podjeżdżając, niewiele chowają owiec i sami kożuchów potrzebują, ale za to wiele i tłustych wieprzów żołędziami ukarmiają, bo lubią kiełbasy i słoninkę, muszą więc mieć jej zapasy dobre. Zobaczysz waszeć, jak ich zażyję.

W okolicy, tak jak u Bielewicza, wszyscy my brat za brat, razem w jednej chacie, więc słyszałem jak on ich zażył.

Po pochwalonym i rozgoszczeniu się nazbierało się do tego domostwa, gdzieśmy założyli nasz obóz, wiele sąsiadów i zapalono krupniczek w kilku miskach, posilaliśmy się sobie skutecznie. Prawdę mówiąc, ksiądz Jacek lubił pociągnąć; wypróżniają więc drugi czy trzeci kubek;—Dobrze mnie tu między wami, panowie bracia szlachta! rzekł on, używam w zdrowiu z łaski waszej darów Bożych, a tam w klasztorze biada! bardzo źle!

— Cóż takiego? — odezwał się.

— Choroba, śmiertelna choroba!

Jaka? gorączka? zaraza?

— Oj nie to licho, gorzej. Oto, wszyscy z mocnego śpiewania w chórze pozrywali sobie piersi, i teraz wszyscy kachu, kachu—ani sposobu. Pan doktor Eme, nadworny księcia; całemu konwentowi zadeklarował suchoty, kiedy rychłego nie będzie ratunku.

— A niechże Pan Bóg broni! Niech doktor daje lekarstwa. Na toż on doktor.

— Otoż to bieda, że ani on, ani żadna apteka takiego lekarstwa nie ma, a proste, ale dyabelnie, jak on mówi skuteczne.

— A jakież to lekarstwo?

— Trzeba nosić na piersiach szrot tłustej słoniny, taki aby całe piersi pokrywał.

— Ależ to ciężko—powiedział któryś.

— Ciężko, ciężko, ale zdrowo!

To tedy zawołał mnie ksiądz gwardyan i rzekł: -Jedź waszeć, księże Jacku, do braci szlachty pińskiej. Cały świat wie, że to ludzie pobożni i poczciwi, a przyjaciele bernardynów, niechże nas ratują.—A gdym już był na wozie powiedział jeszcze—Pamiętaj waszeć biorąc słoninę, mierzyć połcie na całe piersi, bo tak pan doktor kazał, i dostarczaj prędko, bo poumieramy.—Ratujcież więc, panowie bracia! szczególniej imoście, jako siostrzyczki różnych bractw pobożnych. Za to cały nasz konwent, i niegodny wasz sługa ksiądz Jacek, ubogi kwestarz, o żadnej w modlitwach nie zapomnimy, a zatem po najdłuższem życiu, wszystkie jak z rejestru do nieba iść będziecie.

Niektórzy panowie szlachta pokręcali głową, niebardzo wierząc tej naszej chorobie! ale jednakże nazajutrz, siostrzyczki jak zaczęły nam znosić lekarstwo, tak całą furę połciów wyprawiliśmy do klasztoru.

Dla poprawienia mojej opinii w głowie Marcina, opowiedziałem mu moją *diwidendę* jarząbków, - No, cóż na to? Marcinie!

— Niema co powiedzieć, rzekł on pokręcając głową, masz jegomość oleju; ale komparacya jegomościnego rozumu do Jackowego jest tak rychtyk, jak tego pieroga kasztelańskiego do pińskiej słoniny. A pomiarkuj jegomość, czego bardziej bernardynom potrzeba?

Wtem dropiaty zawrócił się do dworku blizko gościńca.

U WDOWY.

XVII.

Na dziedzińcu ledwo przejechać mogliśmy przez roje gęsi kur, kaczek i indyków.—Nie byłem tu ani razu, rzekł Marcin, ależ widać, że tu dobra gospodyni mieszka; pół roku by cały klasztor wykarmił się tem ptastwem. No dajże Boże jegomościu szczęśliwie, a ja rozgoszczę się na popas.

Podjechaliśmy pod ganek.

Wchodząc do sieni, posłyszałem cieńkie, ale chrapliwe trochę śpiewanie:

Ciesząc swoją biedę,
Za mąż sobie idę.

Zatrzymałem się więc trochę dla pomiarkowania okoliczności. Śpiewano dalej:

Ja sobie wdoweńka, ja sobie pani,
Choć sobie podpiję, nikt mnie nie zgani.

I znowu:

Ciesząc moją biedę,
Za mąż sobie idę.

Poznałem wraz co się święci i wszedłem do izby. Na środku stał długi stół nakryty dywanem, a za nim siedziała imość, której pieśń przerwałem, otyła i czerwona dobrodzika, w czepku na bakier, z oczkami trochę zachmurzonemi i noskiem zaczerwienionym.

— A! ksiądz kwestarz dobrodziej! A! na wieki wieków!—I przytrzymując się za stół, chciała powstać; lecz gdy posłoniła się trochę, podbiegła córka, która przy drugim stoliku szyła i podtrzymała mamunię.

— Precz wasanna! ofuknęła ona odpychając córkę; czy to ja sama nie wstanę? ksiądz kwestarz gotów pomyśleć kto wie co! Widzi jegomość dobrodziej, kołtun tłucze mi się po kościach, więc czasami odbiera nogi. Siadajże jegomość dobrodziej, siadaj. Mam barana dla jegomościa, mam, a może i dwóch, zobaczymy tylko, zobaczymy! Bieda, powiem jegomościu, bez gospodarza chata płacze. Zażyjemy tabaczki.—Podałem mojej.—Dziękuję. A wasanna każ przynieść podwieczorek: wędlinki, ratafii i starej gorzałeczki —na co pozwoli jegomość dobrodziej. Bieda, bieda mojej biednej głowie. Już to trzeci raz owdowiałam. Folwareczek niczego, substancya jest, dzięki Bogu, jest. I to nie na dożywocie, nie, ale moja własna właściwość, bo nieboszczyczek mój pierwszy mąż zapisał mnie samej jednej, a tej klępie dam co, czy nie dam, to jak moja łaska.

Wszystko to jednym tchem wygadała dobrodzika, że nie mogłem ani słowa jednego przemówić. Zmordowała się jednak, czy też języczek się splątał, bo trochę zamilkła.

— To córeczka dobrodzika?—zapytałem w niepewności, słysząc, że ją klępą zwała.

— A tak, córeczka, córeczka; a cóż z tego, że córeczka? o niczem innym nie myśli, jak tylko, żeby za mąż pójść. Ale poczeka mościa panna, poczeka! Jużbym to zawsze wolała mieć syna. Pojechałby w świat i nie przeszkadzałby w niczem matce. A to czy kto przyjedzie do domu, czy gdzie sama wyjadę, to panienka na swoje kółko niteczkę mota, a o matulce ani pomyśli.

Wtem i podwieczorek przyniesiono. Przyszła i córeczka, stanęła za matką zbiedzona nieboraczka, ale jednak *formosa puella* i nie dziw, że przemyśliwa *circa connubium*.

—Niema gospodarza, dobrodzieju, to przyjmiesz z rąk gospodyni. Ja ratafii trochę zażywam. W ręce!—Spory kieliszek

machnęła baba i zaczęła zajadać wędlinę, poszedłem za jej przykładem, choć nie tak skwapliwie.

— Proszę, supplikuję, niewytwornie, ale pokornie.—Znowu powstać chciała, ale znowu kołtun nogi poplątał.

— Otoż mój mości dobrodzieju, miałam już trzech mężów. Proszę teraz na moją tabaczkę. Jegomościa dobrodzieja z tomką, a ja dodaję potrochu wiszniowego liścia. Miałam trzech mężów... Sto lat jegomości dobrodziejowi!

Jakiejś ciemięrzycy baba mnie podała, bo paliłem z nosa jak z pistoleta, i z pięćset lat mi nażyczyła.

— A wszystkich trzech najlepszych. Co ja napłakałam się po każdym! bo każdy mnie kochał i respektował.

Za pierwszego poszłam młodziuteńka, jeszcze dziecko byłam, powiadam jegomościu dobrodziejowi; ale i on był jak dziecko, symplaczek sobie, lecz że z godnej familii i miał ten folwareczek, a ja posagu pasz! więc mnie rodzice za niego wydali! a on wraz całą swoją substancyę mnie zapisał. Potem stał sobie zawsze przy piecu; a słuchał co ja rozkażę; a ja sobie bonowałam jak pani. Dziesięć lat aniołeczek stał tak przy piecu; a choć go bywało i szturchnę, jak mnie uprzykrzy się ta jego niemota, albo gdy zechce mieszać się do czego w domu, to pokłoni się mnie, pocałuje w rękę i wyjdzie do kwatery swojej na folwarku. Rozpił się potem nieboraczek—ale nie z mojej przyczyny! cóż ja temu winna? tak jemu Pan Bóg dał—i umarł, zostawiwszy mnie na głowie córkę, tę mościapannę. Oj! co ja napłakałam się po nim! co ja napłakałam się. Skosztujemy ratafii, księże kwestarzu dobrodzieju, po wędlinie.

Zaraz sobie pomyślałam, że dla ludzkich języków, mnie młodej wdowieć długo nie wypada. A zdarzył się tu w sąsiedztwie tenutorem półwieczny jegomość, ale moderat wielki, sensat a gospodarz zawołany, i jak zaczął do mnie podjeżdżać, a radzić serdecznie w mojej gospodarce, a obiecywać złote góry z tego folwarku, i nakoniec pożyczać mi po trochu pieniędzy, a molestować o deklaracyę, tak ja, zmówiwszy modlitewkę do świętego Eliasza, patrona wdów pragnących tego sakramentu, poszłam z nim na kobierzec. Oj! gdybym nogę wtenczas złamała! Bo ten pan moderat i sensat, był, prawda gospodarz, ale hypokondryk, śledziennik, liczykrupa, sknera, tak, że musiałam ja teraz, jak niegdyś biedny mój symplaczek, stać przy piecu z założonemi rękami, a jegomość rządził i dysponował jak chciał w mojej fortunie, i jeszcze przymuszał mnie, abym zapisała. Oto wpadłam, mój mości dobrodzieju! Ale nie wytrzymałam tak długo, zaczęłam mu wetować. Dopiekał on mnie do żywego, do żywego dopiekałam i ja jemu; on chce tak, a ja na złość inaczej; on chowa pieniądze, a ja wykradam i zabieram; on mówi: moja praca, a ja mówię moja fortuna on do kija, a ją do wałka. I tak sądny dzień w domu. A nakoniec jednego dnia z wielkiej złości paraliż jegomościa naruszył i umarł nieboraczek. Oj, co ja napłakałam się!

— Zdaje się, dobrodziko, że nie było czego.

— Oto! jakto w małżeństwie bywa i tak i owak, a dla tego potem żal.

Sześć latek z sobą przeżyliśmy, i sama nie wiedziałam co począć po jego śmierci? Różnie głowę moją łamałam. Aż tu, jakby z przeznaczenia Bożego, przechodzi tędy pułk husarski i staje u mnie na kwaterze porucznik. Młody, mój dobrodzieju! hohol na trzy łokcie! koroniarz, wersat! bywalec, mój dobrodzieju! Kiedy ubierze się bywało, a siądzie na konia, mój dobrodzieju, złoto z niego kapie! A jaki zuch! Czego on nie dokazywał? Najtrudniej zaś bywało wytrzymać, że jak zacznie sadzić strzeliste koperczaki, to aż dreszcz idzie po skórze. Pułk stał stąd gdzieś o mil dwadzieścia, on tu sobie zapisał zimowe leże i rozlokował się. To długimi wieczorami na dobitkę, jak zawiesi bywało teorban a zagra i zaśpiewa albo wesołego kuranta, albo jaką dumkę ukraińską żałośliwą, to już ani sposobu wyperswadować sercu swemu nie mogłam, rozamorowałam się zupełnie. A do tego — moja duszko! mój aniołeczku! mówił on, będę cię na ręku nosił, będę cię zwierzynką karmił, a jak pojedziemy do moich fortun w Korocie, to będziesz tam jak pączek w maśle opływała.—Tak już, mości dobrodzieju, poszłam za sercem! poszłam za sercem. . . i trafiłam jak kulą w płot.

Na drugi dzień po ślubie szatan go opętał. Jak wrzaśnie nademną—Babo dawaj pieniędzy!—Rozumiałam, że żartuje; ale on nie żartem wrzeszczał—Babo dawaj pieniędzy! Czy to ja darmo młodość moją takiej szkulepie zaprzedałem?—I niedługo czekając, wyrwał mi z rąk kluczyki, odemknął kantorek, (a wiedział, że tam jest gotówka, bo ja głupia z wielkiej miłości wyspowiadałam się mu przed ślubem ze wszystkiego), zabrał więc cały zapas po nieboszczyku zaklęty i ruszył do pułku.

Myślałam że i niepowróci. Żal mnie zrobiło się nie tak moich pieniędzy, jak jego samego, bo to, myślałam sobie, młode piwko, uchodzi się; wybierałam się więc za nim do komendy, aż wraca przecie, wraca! ależ za nim koni, psów, bez liku; a co najgorsza hajdamaków z pułku takich jak sam, kilkunastu. Myślałam, że dom przewrócą. Hulanka dzień i noc. Znalazła się i skrzypeczka, pozapraszał sąsiadeczki, więc i tany, i bale, i pijatyka; a wszyscy krzyczą jak na złość—U wdowy chleb gotowy!

Poszło wszystko świdrem, i pieniążki, i wędlinka, i gorzałeczka, a mój pan porucznik ani słuchać nie chce moich żalów; a co najgorsza, że jak czasami wyjechała od nas ta żołnierska chałastra, to on znowu śpiewał dumki piękne, ale nie dla mnie, a dla panny Teresy, mojej kochanej córeczki. Czy tak? Ot ja panienkę do klasztoru, do panien Benedyktynek nieświżskich *insperate* zapakowałam. Niechaj już ja jedna, myślałam sobie, ten krzyż Pański znoszę. A do tego jeszcze taką cierpiał *żelozię*, że kiedy raz powróciwszy z polowania znalazł pana wice-rejenta gościem u mnie i grającego ze mną w paszyka, to porwał go za drzwi i rzucił

z ganku, tak, że ten nieboraczek ledwo powstał, a do mnie wpadłszy krzyknął— Babo! kiedy kochasz! kochaj stale, a nie kochasz, w łeb zapalę! — A święta Urszulo z towarzyszkami! Aż mnie strach teraz, jak to przypomnę.—Skosztujemy po kropelce.

— Dziękuję, dobrodziko! lepiej zażyjemy jeszcze tabaczki, ale mojej, bo imościna kaducznie mocna.

— Dobrze. Mój nieboszczyczek drugi mąż zażywał tabaczkę, a od niego i ja nauczyłam się; a ten trzeci bisurmanin, to palił fajkę. Nie mogłam z nim dać rady. Wypustoszył mnie dom, zrabował gospodarkę, rozhajdamaczył i rozpoił mnie dwór cały, a ja pijaństwa cierpieć nie mogę. Przecież niedźwiedź przyszedł mnie na ratunek. Na obławie strzelił on do niedźwiedzia i spudłował, a niedźwiedź na niego; nim dobiegli ratować, zdarł mu skórę od głowy do pięt, pogruchotał mu kości, i tak umierającego do mnie przywieźli, ot temu jak raz piąty miesiąc. Ach! co ja napłakałam się! Nie było czasu i doktora sprowadzić. Umarł, ale po swojemu, bo choć i wyspowiadał się i za grzechy żałował, a jednak przywoławszy mnie do łóżka i postawiwszy na mnie oczy słupem, krzyknął — Słuchaj babo! (choć jegomość dobrodziej widzisz sam, żem ja jeszcze nie baba) słuchaj, babo! ty pójdziesz zaraz za mąż za tego jura, któremu, że do reszty kości nie połamałem, wielce żałuję, i pokrzywdzisz biedną Teresię, (co to do niego należało?)—ale pamiętaj, że na pierwszym nowiu po ślubie ja zostanę upiorem, przyjdę do was o północy i obojgu głowy poskręcam.— Czy to może być, mości dobrodzieju, gdyby on został upiorem? jegomość taki lepiej o tem wiedzieć możesz. Czy upiory chodzą po świecie? Czy nie widział jegomość dobrodziej choć raz upiora?

— Nie widziałem, dobrodziko! ale przecież ludzie powiadają, że to zdarza się. Jednak bez woli Boskiej nic się nie stanie. Są sposoby w modlitwach za duszę.

— A są sposoby, przerwała mi imość mowę: wiem i ja o tem mój dobrodzieju! i pan wice rejent powiada, że trzeba tak zrobić, żeby kochaniński leżał sobie spokojnie w ziemi, i nie hajdamaczył tak po śmierci, jak za życia. Trzeba odkopać trupa, uciąć jemu głowę rydlem i położyć w nogach, żeby i rękami nie mógł dostać. To będzie mocował się, mocował się, silił się, ale jak nie dostanie rękami głowy, to i nie wstanie. A jeżeliby dostał, to weźmie głowę i pomaszeruje Już ja raz tak jego i śniłam z oczami wytrzeszczonemi z pod pachy. Mogiła wiadoma. Więc jak jegomość dobrodziej radzisz.?

— Ja dobrodzice zupełnie inny poradzę sposób, i pewnie skuteczniejszy.

— Słucham, mój dobrodzieju, słucham.

—Oto, daj naprzód dobrodziko na msze święte, na egzekwie, i na ubogich za jego duszę; a ponieważ przed śmiercią on sam powiedział, że wtenczas zostanie upiorem, gdy imość przez nowe z jurystą poślubienie się ukrzywdzisz córkę, to radzę jak najprędzej ją za mąż wydać i regularnie wyposażyć.

— A co to księdzu kwestarzowi do tego? Waspan dobrodziej, jako osoba duchowna - nie powinieneś w to mięszać się, co do niego nie należy.

Otoż i po moich baranach, pomyślałem.

— Ja bo tylko chciałbym ochronić dobrodzikę, aby pan porucznik na pierwszym nowiu z pod pachy na nią nie spójrzał.

— Już my sobie damy rady bez jegomościa; a egzorcystów nie potrzebujemy.

Rozsierdziła się babula, i uciekłaby ode mnie, gdyby mogła powstać, ale zapróbowawszy razy kilka, usiadła znowu.

— Wiesz co? dobrodziko! rzekłem, zapijemy tę sprawę.

— Niechaj sobie i tak. — Udobruchała się wnet i wychyliła do kropli kieliszek. Niechaj sobie i tak! A do tego widzisz waszan dobrodziej, że pan wice-rejent, to mądra głowa, on wszystkie statuta na palcach liczy, a powiada, że niedawno postanowiła Rzeczpospolita takie prawo, że kiedy gdzie jest matka i córka, a obiedwie chcą iść zamąż, to córka nie może wyjść pierwiej od matki, i musi czekać aż póki matka nie wyjdzie.

Stojąca córeczka za krzesłem matuli mikneła zcicha — Oho! ho!

— Co to waspanna mikasz? krzyknęła imość, co to waspanna mikasz? Mikaj waspanna nie mikaj, tak będzie, jak Rzeczpospolita przykazała. Co to? bunty?

— No, dobrodziko, ja nie prawnik; ze mną rzecz o barany; do tego więc przystąpmy. Za trzech mężów, trzech baranów, a na sukces z czwartym, czwartego.

— Na sukces z czwartym! . . . at niechaj sobie! Coś mnie trochę słabo . kołtun ten przeklęty . .

Ostatni kieliszek dogodził widać dobrodzice, bo drzemać zaczęła.

— Kołtun ten przeklęty . . . i głowę i nogi odbiera, i tak coś morzy . . . morzy. . . . Na sukces z czwartym . . . czwartego panna Teresa. . . i Rzeczpospolita. . . Upiorem zostanie. . .

Bredząc tak i mrucząc baba, założyła ręce na stole, opuściła głowę na ręce i zachrapała w trąbę. A panna Teresa podziękowawszy mnie za dobre serce i prosząc o modlitewkę na jej intencyę, czterech baranów wydać kazała.

— No, rzekł stary Marcin, gdyśmy za bramę wyjechali, daj Boże po wiek mieć do czynienia ze staremi wdowami. — A gdym mu rozpowiadać zaczął całą historyę tej kwesty — Wiem o wszystkiem, przerwał mi, i więcej wiem niżli jegomość i niżeli sama pani, bo ona tego nie wie, że palestrancik, którego ona dla siebie kaptuje, jutro gdy ona zaśnie po obiedzie, wywiezie panienkę i ślub z nią weźmie. Już ma indult gotowy, i wszyscy we dworze wiedzą o tem, ale nikt jej tego niepowie, bo nienawidzą baby. Góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem zejdzie się; otóż i ja znalazłem tu ochmistrzynię, dawną moją kumę, która wszystko mnie to powiedziała i króbkę naszą podróżną napakowała wędlinką.

U PANA STAROSTY.

XVIII.

W późny wieczór przywlekliśmy się do dworu pana starosty, i lubo z pałacowych okien świeciło się jeszcze jak z kościoła, wolałem jednak zajechać na noc do ekonomii, a nazajutrz rano pokłonić się panu.

Zobaczymy jutro, pomyślałem sobie, jaka to komparacya między państwem pana starosty, a państwem pana wojewody. Jakoż przenocowałem wygodnie u pana dyspozytora, który mnie przyjął poczciwie, a nawet i kordyalnie, gdym mu powiedział jeszcze, że przybywam na rozkaz starosty.

Nazajutrz rano, nim jeszcze w pałacu okienice otworzono, już ja ze dwie godziny kwerendowałem po całym dworze, przypatrując się wszystkiemu, nie w celu, broń Boże jakiejkolwiek cenzury, ale że to odezwało się w człowieku życie niedawne dworskie. Bo to nie tak łatwo, jak się komu zdawać może, wyrugować z głowy dawne nałogi i obyczaje. Za każdą okazyą odnawia się pokusa, jak recydywa po chorobie, przeciw której jedyna *salwa* w łasce Boskiej, utwierdzającej człowieka w dobrem postanowieniu. To też, Bogu dzięki, nie na długo mnie zachwyciła ta chętka, a ciekawość bez złych myśli i zamiarów nie jest, zdaje mi się, grzechem, tem bardziej, że we dworze tym zbudować się, i za każdym krokiem za dobry przykład Bogu dziękować trzeba było.

Ludzi tu jak mrowia, ale wszędzie ład, dostatek, wygoda. U pana wojewody szumno, huczno, bunczuczno, po pańsku nawet, bo hojnie i wspaniale, ale we dworze rygor i nie zawsze ład i spokojność. Tu wszystko jak w zegarku, każdy swego pilnuje z ochoty nie z bojaźni, u każdego na twarzy wesołość, zgoda między wszystkimi; a u nas bywało na dworze pana wojewody, ja marszałek musiałem codzień rano rozsądzać nocne sprawki liberyi, i boćkowskim hamować procedera.

To, pomyślałem sobie, dom staropolskiej cnoty i poczciwości.—A tu kto mieszka?—pytałem się stojąc przy stajni u masztalerza, wszkazując na jedną oficynę.

— Tu sami gracyaliści pańscy, starzy słudzy, albo i nie słudzy; ot byle biedny a poczciwy, to i ma chleb.

— A w tej drugiej oficynie?

— Oho! tam panowie rezydenci godnej kondycyi; oni zaw-

sze na pokojach pańskich, i do pańskiego stołu siadają, i konie swoje pańskim obrokiem karmią, Są tam jeszcze pokoje gościnne, nigdy chwała Bogu, nie próżne.

— A w tej trzeciej, najdłuższej?

— A w tej trzeciej, to grunt. Widzisz jegomość, że już z komina się kurzy. Tam mieszka nasz pan marszałek i nasz chlebodawca pan szafarz; tam kuchnia i służba wszelka pokojowa, tam i kapella. My stajenni mamy masztarnię. A w czwartej oficynie, tej najbliższej od pałacu, bo już pewnie jegomość zapytasz, same babstwo, Panie odpuść ciężkie grzechy, faworyty imościne, stare szkulepy. Jak zaczniemy w niedzielę wozić je do kościoła, to i koni nie staje. Nic nie robią, tylko z księdzem kapelanem, który mieszka w pałacu, do różańca i godzinek stają codzień w kaplicy, regularnie z okularami na nosach. Są tam i młode; uczą się czegoś, kto ich tam wie?

— A może jegomość dobrodziej naszą stajnię zwiedzi? Ale oto i pan na ganku.

— *Hospes venit*, Chrystus *venit!* wykrzyknął pan starosta, spostrzegłszy mnie podchodzącego do ganku. Dziękuję waści, księże kwestarzu, żeś moją obligacyę tak rychło i ochoczo spełnił.

Sentencyę na sentencyę odkładając, rzekłem:

— *Hospes non invitatus, recedit saepe ingratus;* lecz ja, stawając tu na rozkazy JW. pana, mam nadzieję i łaskawego przyjęcia.

— Brawo! erudyt! Marszałka do mnie! a gdy ten wnet się ukazał, mamy gościa, rzekł doń starosta, którego sam wczoraj zaprosiłem. Do południa jestem zatrudniony, proszę więc tymczasem księdza kwestarza ugościć i zabawić; a na obiady zapraszam go do siebie.

Co dwór to marszałek, a wszyscy jednego kroju; każdy powinien mieć głowę nie dla proporcyi, nosić się nietylko chędogo, ale i z pańska,dla honoru pryncypała swojego, być rezolutnym, ale razem poważnym i statystą, a nie fircykiem, ani świszczypałą, nie dać się skonfundować nikomu, mieć animusz i figurę, ale też znać się dobrze *cui quod debet* na *preminencyach*, *stallach* i urzędach, aby, gdy u obiadu pańskiego z laską chodzisz koło stołu, hajduk nie podał półmiska pierwej panu skarbnikowi, niżeli panu stolnikowi lub wojskiemu, bo za taki feler i miejsce i miejsca konsyderacyę utracić można na zawsze. Umiałem ja to wszystko. . . ale cóż? *Sic fata tulerunt* to jest dziej się wola Boska!

Pan marszałek dworu pana starosty, ma zdaje się wszystkie takowe kwalifikacye i jest *peritus rei* w swoich officyach; posłał zaraz do pałacu po kawę dla mnie, dla siebie i dla panów rezydentów, których dwóch przyszło doń na śniadanie.

Jeden młodzieniaszek, widać niedawno z pod feruły pre-

ceptorskiej, bo nieśmiały i nie nabrał jeszcze dworskiego szyrmu ani lustru; ale drugi całą gębą *homo*, bo i persona i *eloquentia* i i krotofilność subtelna, właśnie jak potrzeba do ozdoby dworu wielkiego pana. Z panem marszałkiem w dobrej widać żyją komitywie. Żartowali z siebie wzajemnie, jeden drugiemu czyniąc allużyę do dworskich panien, a obadwa biednemu podstolicowi o inklinacye jego do panny horodniczanki, faworyty i wychowanki pani starościnej.

Czerwienił się biedny chłopak, ale widać trafili mu w sedno, bo nie umiał im odciąć się.

—Dziecko-bo jesteś, mój kochany podstolicu, mówił starszy pan rezydent, chorąży z tytułu; męczysz się codzień i suszysz sobie głowę, smażąc do niej wierszami jakieś fabuły, jakieś dyalogi, w których wszystkich bożków pogańskich wzywasz na sukurs, w których co słowo, to Cerery i Wenery i wszystkie olimpijskie dziardyny stawiasz w paradę. To bardzo pięknie i rozumnie; widać, żeś niedawno poezymę przeszedł, ale cóż kiedy piękna Franusia o Bożym świecie tego nie rozumie? A kiedy jesteś razem z nią na pokojach, to stoisz zdaleka, jakbyś trzech zliczyć nie umiał; w tańcu z nią, to jakby ci kto ołowiu do kieszeni nakładł. Idziemy całym dworem na spacer, znowu toż samo: panienki śpiewają, biegają, swawolą, ja starszy a pomagam im i śpiewać i biegać, a wasan, Jezu mój Panie! idziesz wyprostowany i zamyślony, jak pan dyrektor za żakami, a zachmurzony i krzywy spoglądasz na Franusię, jak na kwaśne jabłko; a to słodziutka gruszeczka, mój podstolicu! Przecieżeś chłopiec jak malina. Kiedy cię widzę na polowaniu rzeźwym i ochoczym, harcującego na koniu, a wesołość i swoboda z oczu ci tryska, to aż miło drugiemu! Czemuż tak nie polujesz i na serduszko horodniczanki? Wyskocz! doskocz! raptem do niej! i twoja będzie. Nie prawdaż? panie Sebastyanie! rzekł do marszałka. Tak po naszemu!

— Bywało—odpowiedział kłaniając się marszałek.—Wiele masz lat? panie chorąży!

— *Inutilis quaestio solvitur silentio*—odpowiedział ten kłaniając się wzajemnie, i obadwaj roześmieli się, a ja z nimi trzeci. Pan podstolic tylko spokojnie popijał kawkę.

— Cóż? szanowny nasz gościu! odezwał się znowu do mnie pan chorąży, wieleż już nazbierałeś baranów?

— Będzie z tuzin, licząc z tym, którego dobrodziej darujesz.

— Brawo! po kwestarsku! Ale ja gospodarki nie mam; wszakże baran a talar, to na jedno wychodzi, tego więc chętnie ci ofiaruję. Za moim przykładem ręczę, że wszyscy nasi dworscy pójdą, nie licząc kontrybucyi, którą ci nasz babski regiment z tamtej oficyny złoży. Nie mówię o JW. staroście. Opowiadał on nam wczoraj twoją dowcipną *dividendę* jarząbków, i hojnie cię zapewne obdarzy. Zabawisz tu z nami, księże kwestarzu, dni kilka, bo cię starosta nie wypuści. Chwała Bogu u nas jak w raju; nie

zatęsknisz ani po swojej celi, ani po nabożeństwie; kaplica w ogrodzie, codzień msza święta, na którą oto i dzwonią.

— A więc pójdziemy, rzekłem; może jeszcze trafię posłużyć księdzu kapelanowi—i trafiliśmy wcześnie.

Na podziękowanie Bogu za szczęśliwie odbytą podróż państwa, msza śpiewana odprawiać się miała, więc i kapela była na chórze: bo to nie kaplica, ale kościołek prawdziwy, murowany, piękny, ozdobny, a ludu jak w niedzielę w jakiej parafii. Prawdę mówił masztalerz; kilka babulek okularowych, każda własnym dyszkantem ciągnęła Zdrowaś Marya. Kiedy to ja huknę *insperate* za niemi basem po bernardyńsku, aż przechyliły się babulki w ławkach i obróciły na mnie zdziwione okulary, a wszyscy uśmiechali się potrosze.

Skończyliśmy różaniec, zadzwoniono raz drugi; weszli państwo z dziatkami do kościoła i zasiedli w prezbiteryum. Ubrałem w zakrystyi księdza kapelana, który mnie na zaznajomienie się pobłogosławił, i wyszedł ze mszą, a ja z jednym gracyalistą za serwitorów.

Daj Boże najdłuższy wiek pobożnym państwu, a na zasługę u pana Boga wszystkim, jako się pięknie i przykładnie odbyło nabożeństwo. Po supplikacyi, do patyny przystąpili naprzód JWW. starostwo oboje, przy nich dziatki, a potem cały dwór, jak kto docisnął się. Natenczas spostrzegłem jakąś figurę *generis masculini*, stojącą przy ławkach pańskich, po niemiecku ubraną, twarzy chudej i żółtej, z głową pudrowaną, włosami w tył zebranymi z harcapikiem na patylicy, w trzewikach i pończochach, a z kapeluszykiem składanym pod pachą. Z oczu biegających na wszystkie strony, coś mu kociego czy szatańskiego wyglądało, do czego i ubiór jego wielce się akkomodował. Pomyślałem, że to musi być doktor niemiecki, a jak zwyczajnie niemiec, widać że luter, dla tego i ks celebrant nie dał mu patyny, i on sam nie cisnął się do niej. Pokręciłem głową, myśląc, po co on tutaj?

Po nabożeństwie starościna powitała mnie łaskawie, i panięta miło się ukłoniły, a niemiec zmarszczył się; ale i ja na niego spojrzałem tak, że mu aż w pięty pójść musiało, i poszedłem za księdzem kapelanem, który mię do siebie zaprosił.

U księdza kapelana także jak w kaplicy; relikwiarzami całe ściany zawieszone,a przy każdym kwiaty bardzo misternej roboty, rąk, jak mi powiedział ksiądz kapelan, fraucymeru pani starościnej. Pokoiki dwa maleńkie na skrzydle pałacowem, a w nich czysto i cicho, jak w celi.

Gdy on się posilał śniadaniem, ja rozpatrywałem się w tych wszystkich świętościach; ale, że mnie ten niemiec wbił się w głowę, więc zapytałem:

— Dla czego, *reverendissime*, nie dałeś patyny temu niemcowi, który stał przy ławce starościńskiej? Musi on być jakiś szołdra dysydent, a zapewne doktor nadworny tutejszy?

— Oj ani luter, ani kalwin, ale gorszy od nich wszystkich, odpowiedział ksiądz Joachim, bo to przeklęty heretyk, bezbożnik,

ateusz, farmazon bodaj, a chrzci siebie filozofem i bardzo mądrym człowiekiem. To nie niemiec, ale francuz, i nie doktor wcale; mamy tu doktora poczciwego węgra; a ten bezbożnik nie leczy, ale truje i to nie ciało, ale duszę; a co najgorzej, młode i niewinne dusze, dzieci pańskie! bo to jest *per modum* nauczyciel ich języka francuskiego. — A dla czegoż, reverendissime, nie ostrzeżesz tych zacnych i pobożnych państwa o takich bezbożnych jego i, szkaradnych naukach? Nacóż go wpuszczacie do domu Bożego?

— Czyż rozumiesz, kochany księże kwestarzu, że ja obojętnie patrzę na to zgorszenie? Fulminuję, upominam, błagam oboje państwo i zaklinam na zbawienie duszy, aby tego niegodnego człowieka oddalili od dziatek swoich; ale na nieszczęście, bies ma swoich na tym świecie apostołów, a tymi są ludzie zgorszenie czyniący, pełni szatańskiej przewrotności i światowego rozumu, przez który bałamucą poczciwe i łatwowierne głowy. Oh! takich już wiele jest w naszym kraju. Wyrzutki z własnego, znajdują u nas, szczególniej w domach pańskich, nietylko przytułek i wygodę, ale nawet i konsyderacyę wyższą od naszych własnych, mądrych, uczonych a bogobojnych mężów, na których, chwała Bogu, krajowi naszemu nie zbywa.

Bóg gdy chce kogo ukarać, to rozum odbierze—powiada dawne przysłowie, otoż i my spodziewamy się kary Bożej, bo nam Bóg własny staroświecki poczciwy rozum odebrał, a przypuścił na nas wiarę w mowę i rozum francuski teraźniejszy, bo dawniejszy rozum i francuski nie był takim. Teraźniejszy bezbożny, niecnotliwy, niechrześcijański, pragnący wywrócić wiarę świętą, obyczaje, zwyczaje i wszystko, co dotąd ludzie czcili i szanowali. I to jest dzisiejsza filozofia z piekła rodem, która się u nas z językiem francuskim, z ludźmi francuskimi, a najbardziej z książkami francuskiemi rozszerzać poczyna, między panami naszymi najpierwej, a przejdzie potem i do małpującej ich szlachty.

Na wielkim świecie, w Warszawie naprzykład, ani stąpić bez francuszczyzny; sam tego byłem świadkiem, gdyśmy tam przeszłego roku byli. Stamtąd właśnie przywieźliśmy i tego filozofa; ale zażyłem go tu nieźle!

Po długich jegomościa rozmowach, po sprzeczkach ze starostą i z samą panią, którzy umieją po francusku, którzy, jako pobożni katolicy, nie mogli słuchać spokojnie jego bluźnierstwa, a przez delikatność i respekt dla takiego mędrca zawiązać mu gęby nie śmieli, po nieuważnem jego znajdowaniu się w kościele i innych okolicznościach, wiedząc zwłaszcza o powszechnym duchu jego braci, poznałem co się święci. A więc wezwawszy ducha św. na pomoc, który od razu nauczył apostołów wszystkich języków, wziąłem się, nic nikomu nie mówiąc i owszem tając się z mojem postanowieniem, do francuszczyzny.

Umiejąc dobrze po łacinie, nie tak bardzo i trudno mi przychodziło. Znalazłem dykcyonarze i książki w bibliotece tutejszej

pańskiej, przysłuchiwałem się niby to od niechcenia lekcyom jego samego dzieciom dawanym, a nocami i rankami pracowałem bez ustanku; tak za trzy miesiące rozumiałem cały skład języka tego, i mowę filozofa: milczałem jednak, czekając pory, a doskonaląc się codzień, i rozmawiając nawet sam z sobą.

Jednego razu u obiadu, przy wielu gościach, rozperorował się francuzisko w swojej ulubionej materyi, jak on nazywa, filozoficznej Wielu było panów umiejących po francusku, a przysłuchujących się pilnie jego zuchwałym eksklamacyom. Dowodził, że duchowieństwo jest ciężarem niepotrzebnym dla kraju, bo wszyscy księża próżniacy.

—Kłamiesz! bezczelnie kłamiesz! odezwałem się. Ciężarem dla naszego kraju są włóczęgi, którzy we własnym nie umiejąc na chleb zarobić, nasz zjadać przychodzą, i za ten chleb nasz przynoszą nam zepsucie i potępienie!

Nie umiem opowiedzieć jegomościu zdumienia powszechnego, samegoż francuza, moich państwa i całej kompanii. Francuz oniemiał, patrzał na mnie osłupiałym wzrokiem, jak złodziej na uczynku złapany; nakoniec pan starosta rzekł—Księże Joachimie! czy cię Duch święty darem języków nawiedził? Co to się ma znaczyć? Od lat pięciu mieszkamy razem. Czyś swoją naukę ukrywał? i dla czego? — Nie taiłem się z nauką JWpanie, odpowiedziałem, bom jej nie miał, ale w rzeczy samej wezwałem pomocy Ducha świętego, abym się mógł nauczyć języka, w którym ten fałszywy filozof rozpowiada bluźnierstwa.

Trzy miesiące temu, jakem i słowa nie rozumiał po francusku; dziś oto rozumiem, i mogę śledzić tego węża kusiciela, starć mu głowę jego własnym orężem, a zasłonić przynajmniej dziatki pańskie od zarazy i zepsucia.

Powszechny dano mi applauz. Starosta wstał od stołu i uścisnął mnie. Konfuzya francuza była wielka, i tem większa, gdym mu opowiedział, jakim sposobem i w jakim celu nauczyłem się po francusku, a oraz gdy pan starosta dodał — odtąd ksiądz Joachim będzie obecnym każdej lekcyi, bo nie chcę moich dzieci na niedowiarków sposobić.

Skromniejszym więc jest teraz, i w obecności mojej cyt! książki tylko swoje przede mną zamyka, ale i do tych dobiorę się kiedyś.

Przy tem rozpowiadaniu przypomniałem sobie słowa mojego księdza gwardyana, które mi na wyjeździe w tej materyi powiedział.

—Tak, tak, rzekł on, miał racyę twój ksiądz gwardyan; widać, że to jest mądry i przenikliwy kapłan Jest zło między nami. iest! Waszeć tu jedną tylko małą widzisz próbkę, ale *non derogando* twemu rozumowi, nie kwestarskim rozmysłem ani kwestarzowi zdarzyć się może zręczność dojść tego i pojąć, jak ono obejmuje najpierwsze w kraju naszym głowy, jak ostudza gorliwość kapłanów nawet, jak z chciwością chwytają dziś książki francuskie, napojone jadem niedowiarstwa, i naczytawszy się ich, żartują ze

wszystkiego, co dotąd jest u nas świętem i nietykalnem. O biada, biada krajowi, w którym tak się dzieje, jak w naszym! upadnie on, niezawodnie upadnie, bo go odstąpi opieka Boska, gdy bojaźń Boska odstępuje; mamy jeszcze zapas cnót domowych, ale i te wygasają powoli, a natomiast szerzy się bezwstydna rozwiązłość i samolubstwo; lecimy więc na oślep do upadku doczesnego i do zguby wiecznej.

—Dla Boga! rzekłem, ratujcież ichmość teologowie, ratujcie!

—A cóż mogą nasze poziome rozumy i sposoby przeciw woli Boskiej? Za nasze to grzechy karze nas Bóg i przypuszcza obłąkanie. Ależ czyż rozumiesz, że dla tego wiara nasza święta chrześcijańska upadnie? O, nie, wcale nie! bramy piekielne nie poruszą jej! gdy się zdaje chwiać, to się tylko mocuje!. ,.

Ksiądz kapelan porzucił śniadanie i szerokim krokiem przechadzał się po pokoju, a oczy mu ogniem pałały; wiele jeszcze w tym sensie napowiadał mi sentencyów; któż je spamięta? słuchałem go, jakby kaznodzieję na ambonie, i tak przeszedł nam czas aż do obiadu, przed którym wyszliśmy trochę do ogrodu, a potem na ganek. Odjeżdżał właśnie do stajni wózek saski zielony, paru końmi zaprzężony, a gość na nim przybyły już był w pokoju. Poznał ks. kapelan powóz, i powiedział mi, że to przyjechał pan Kwetko, mecenas trybunalski, a plenipotent starosty w jego procedurach, którychby nie było, gdyby on starosty nie podwodził do kłótni.

Weszliśmy więc do sali, gdzie już pan marszałek około nakrytego stołu uwijał się, do którego za wejściem państwa, z dziećmi i panem filozofem za niemi, po benedykcyi, zasiedliśmy

— To tedy jesteśmy *jure victi*, panie budowniczy!—odezwał się starosta do pana Kwetki.

— Niezupełnie, odpowiedział on, niezupełnie, bo *remissa* nie znaczy przegraną. Rozumiałem ja wprawdzie, że od razu w trybunale pokonamy szlachcica; ale co się przewlecze, to nie uciecze, a tymczasem *beatus qui tenet*! więc niech szlachcic prawuje się, a wioseczka przy nas!

— Nie *beatus*, ale *maledictus qui tenet injuste!*—odezwał się ksiądz kapelan.

— Nie wdawaj się w nieswoje, księże teologu, odezwał się pan Kwetko. Teologia i jurisprudencya, to dwie osobne sciencye, które trudno czasem pogodzić.

— A wszelako, odezwał się starosta, ja jestem zdania księdza Joachima, i dla tego niżeli nanowo w subseliach prawować się rozpoczniemy, poradzić się muszę przyjaciół, i prosić o prawdę, choćby nie po mojej stronie, a potem wolę oddać wioskę memu adwersarzowi, jeżeli ona mu słusznie należy. Ale o tem potem, a teraz, księże kwestarzu, ponieważ twej dywidendy tu potrzebować nie będziemy przy obfitości darów Bożych, więc twojego dowcipu i wesołości pragniemy, którą, panie marszałku, podbudź lampeczką.

Sadzając mnie jeszcze do obiadu pan marszałek, pokazał

miejsce samo jedne na samym końcu stołu długiego naprzeciw pani starościnej, która także sama jedna najpierwsze miejsce zasiadała.

— Tu, rzekł, miejsce kwestarza, a to twoja porcya—dodał wskazując na sporą lampeczkę.

— *Deo gratias!* - odpowiedziałem, i rozsiadłem się wygodnie, a poznałem, że marszałek zna swoje rzemiosło, bo gdyby mnie gdzie indziej posadził, chybiłby zwyczajnej reguły.

Nalał mi więc wina, które z zapachu i smaku na wojewodziński chleb powszedni zakrawało; smakując zatem powoli, odpowiedziałem staroście:

— Na dworze JWpana tak wszyscy z łaski pańskiej weseli i szczęśliwi, że obejdzie się bez mojego mizernego dowcipu, którego nie miałem jeszcze zręczności i wyegzercytować, bo pierwszy raz jestem kwestarzem, a bardzo niedawno w zakonie.

— To źle, odezwał się pan Kwetko. Kwestarz powinien być jowialista i koncepista; takimi są *praeter propter* wszyscy koczujący *fratres* jegomościa; a jeżeli jegomościu na tem brak, to przyjeżdżaj do nas na trybunał, ale miej z sobą kalitę talarów; bo u nas w ustępie, kiedy najjaśniejszy trybunał w namowie, to prześwietną palestra odbywa wojnę na języki, a za każdy dobry koncept lub żart z kolegi, płaci przegrany po dwa złote do puli, za którą potem śniadanie dla wszystkich *). Otóż małym kosztem nauczysz się u nas rozumu.

— Taniż to rozum, rzekłem, którego za dwa złote można się nauczyć; gdyby tylko nie był on tyle wart, co i tanie mięso?

— A czy nie warta i ta odpowiedź dwa złote panie budowniczy! rzekł starosta. I ostrzegam nie zaczepiaj skromnego na pozór kwestarza, bo przegrać możesz sowiciej jak w ustępnej.

Ale zaufany w swojej mądrości pan budowniczy kiwnął głową, i po chwili milczenia, zapytał mnie:

— Jak to, mój dobrodzieju, nazywają po klasztorach braci młodych niemszalnych; posługaczów *et id genus*, którym jednakowo głowy już wygolono?

Nie mogłem domyślić się, o co idzie panu budowniczemu.

—Nie wiem, rzekłem, żadnego osobnego nazwania. Pospolicie zowią nas podług officyów, do jakich kto przeznaczóny: brat kwestarz, brat serwitor, brat zakrystyan i tym podobnie.

— Nie, nie; jeszcze osobna a ogólna denominacya dla wszystkich takich braci.

— Nie wiem, dobrodzieju!—rzekłem, a już przewidywałem, że mnie zatnie, tylko nie wiedziałem jak.

— Oj, wiesz, tylko powiedzieć nie chcesz, bo niepodobna, abyś w klasztorze ze zwyczajnem swojem imieniem nie spotkał się.

---

*) Zwyczaj to był dawnej palestry trybunalskiej, i wiele stąd zostało anegdot krążących dziś pomiędzy nami, a przyswojonych częstokroć niesłusznie.

— Nie rozumiem jegomościa, a kłamać nie umiem.

— No to więc powiem już, kiedyś tak uparty. Każdy taki brat zowie się pałkuć, od głowy wygolonej jak pałka. A co nie prawdaż?

— Prawda, rzekłem, tylko, że to nazwanie nie w klasztorze, ale za klasztorem częstokroć słyszeć się daje. Ale kiedy jegomość tak biegły w denominacyach, to powiedz nam z łaski swojej, jak to w prześwietnej palestrze nazywają patrona, który sprawy przegrywa, tak, jak naprzykład dobrodziej sprawę JW. starosty? Jest i dla takich osobna a ogólna denominacya, z którą się nieraż pewnie zdarzyło jagomości spotkać.

— Zdarza się wygrywać i przegrywać sprawy—rzekł zbity od razu z humoru pan budowniczy, na którego teraz wszyscy oczy obrócili, przewidując, że mu oddam za swoje; ale to wcale opinii nie dotyka i żadnego przezwiska nie nadaje

— Oj! nadaje, dobrodzieju, nadaje, tylko jegomość nie chcesz wymówić bo trochę za twarde.

— Więc już sam, ks. kwestarzu, powiedz nam to zaklęte słowo, którego pan budowniczy wymówić niechce—rzekł śmiejąc się pan starosta.

— E, da się uprosić, rzekłem; mój przydomek pamiętał, jakżeby własnego zapomniał? Pomyśl tylko, dobrodzieju!

— Ale powiadam, że nie wiem.

— No, to cóż już robić? to ja muszę jegomości przypomnieć. Takiego tedy jurystę, który sprawy przegrywa, nazywają kauzyperdą, mości dobrodzieju! To z łacińskiego, jak pewnie dobrodziej rozumiesz, *perdere causam*. I tej wielmożności kauzyperdy jegomości winszuję—dodałem powstawszy i kłaniając się mu uniżenie.

Śmiech powszechny skonfudował do reszty pana budowniczego.—Płać dwa złote, płać!—wołał nań starosta.

— To więcej warto, odezwał się pan chorąży, bo ja w tem, że przydomek ten zostanie panu Kwetce do śmierci. A za zuchwałość, z jaką wyzywał księdza kwestarza, *cum duplici* powinien zapłacić.

— Nie mam drobnych—odezwał się budowniczy, zdobywając się na humor.

— Dawaj całego talara, dobrodzieju! rzekłem: poznawszy teraz *subjectum* pańskie, wola Pana Boga! zdam resztę tąż samą monetą.

— Brawo! brawo! krzyknęli wszyscy. Już kwita! Musi po obiedzie zapłacić.—A starosta dodał—Mówiłem ci: nie zaczepiaj kwestarza.

Po obiedzie chciałem pożegnać starostę, ale nie pozwolił mnie mówić o odjeździe. Pan Kwetko *volens nolens* zapłacił mi talara, bo go chorąży obsedował bez ustanku; i poszliśmy z ks. kapelanem do jego kwatery na zwyczajny *requies*.

Requies tedy trwał aż do nieszpornej godziny, a potem pod manudukcyą kochanego chorążego, poszedłem na kwestę po dworze. U babulek napodziw nam się udało; wprawdzie obdzieliłem je sowito bernardynką, ale jak zaczął pan Atanazy prawić do każdej dykteryjki i przypominać różne intencye, tak wszystkie, to ze skrzyneczek, to z pod poduszek, to z jakichciś węzełków, dobywały złotówki i korończyki a mnie do rąk kładły. Żaden też z dworskich nie puścił mnie bez jałmużny, tak, że spory mieszek się napełnił, który chorąży talarem bitym przypieczętował.

Nazajutrz rano przywołał mnie starosta i rzekł, dając mi papier w rękę -- Jeśli ci pilno, kochany ks. kwestarzu, to cię i niezatrzymuję. Trzodkę twoją kazałem podwoić, a zatem idź do ekonomii. *Vale, Frater!* i póki będziesz kwestarzem, nie mijaj nas nigdy.

— A tobym, JWpanie krzywdził nasz klasztor, gdybym minął tak dobroczynnego i wspaniałego dygnitarza. *Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum*, (sentencya mi się dobrze przydała), a właśnie JWpan i hojną dajesz jałmużnę, i łaskawie przyjmujesz kwestarza. Niechże Bóg wszechmogący nagradza cnoty i hojność pańską, a błogosławi panu w dziatkach, wnukach i prawnukach.

Poszedłem zatem pożegnać księdza kapelana; tam przy kawie rozwinąłem papier przez pana starostę dany; znalazłem w nim assygnacyę do ekonomii, aby odesłano do klasztoru Nieświzkiego: „Żyta beczek pięć, słodu jęczmiennego na piwo beczek trzy, i wołów karmnych dwa, a to na jałmużnę ks. Ławrynowiczowi, kwestarzowi klasztoru Nieświzkiego."

Chciałem biedz znowu do starosty a pokornie dziękować mu za takie dobrodziejstwa, ale zatrzymał mnie ks. Joachim.

Nie idź, *charissime!* rzekł on, to nie cud, że pan tak możny, jak starosta, jest hojnym i wspaniałym; powiadam waści, że to nie cud: bo niemasz u nas panów skąpych na chwałę Bożą, i tem przynajmniej okupują oni swe grzechy marnotrawstwa i zbytków. Starosta zwłaszcza jest nad innych dobroczynny i wspaniały, i nie dla próżności tylko lub chluby, ale z prawdziwej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Cnoty te jego i sentymenta rozpościerają się na cały jego dwór, jak o tem przekonać się mogłeś.

Sama też pani pobożna i dobroczynna matrona, prawdziwa matka biednych, jak przystało na wielką panię. Wieleż to przez moje ręce przechodzi jej darów do kościołów i do szpitalów! a do tego wieleż to u nas jest i panien i dziatwy, staruszków i staruszek, i tu i po folwarkach, których ona karmi, hoduje, młode zamąż wydaje i wyposaża, a starym do śmierci chleb i kąt ciepły zapewnia! Miło, prawdziwie miło patrzeć na takie użycie dostatków, na takie nasze starodawne cnoty, które bodajby się w potomkach odrodziły. Ale, niestety! i tu nam francuszczyzna broi. Widziałem w Warszawie przykłady, że pan z dawnego imienia i możny z dostatków, powróciwszy z wojażu, przywiózł z sobą

kamerdynera francuza, odprawił cały swój dwór i braci szlachtę, którzy u jego ojca i dziada chleb mieli, a służyli im wiernie; a samotny z nowym sługą i konsyljarzem nowej mody, oddawał się cichemu próżnowaniu, lub skrytej rozpuście.

— Musiałeś, dobrodzieju, przerwałem, być kaznodzieją.

Uśmiechnął się ks. Joachim, rad widać memu domysłowi.—

—No, rzekł, dość tego. Musisz, *charissime*, jeszcze jedną odbyć kwestę. Chodź ze mną do paniąt. Starościna kazała, abym cię do nich zaprowadził, bo prosiły u matki pozwolenia obdarzenia cię także, niewinne i anielskie serca, kiedy ich ten zły duch nie zepsuje.

Jakoż poszliśmy do pokoju panicza, gdzie znajdował się i pan filozof, a nawet przybiegła i panienka, a za nią dziewczyna z węzełkiem.

— Mama, mówił ten aniołek, ofiaruje ks. kwestarzowi do kościoła Nieświzkiego całe ubranie na mszę świętą, a ja od siebie ten relikwiarzyk, proszę modlić się za zdrowie mamy i papy.

— I ja na tęż samą intencyę ofiaruję wiele mam—rzekł chłopczyk i podał mi dukata.

Odbierając to wszystko i dziękując dziatkom, aż łzy mi w oczach stanęły, i księdzu kapelanowi także. A wtem francuz, uśmiechając się ironicznie, dobył ze stolika kilka złotówek i niedbale mi podawał.

Patrząc na jego faryzeuszowską minę i postać judaszową, krew we mnie zawrzała; umknąłem rękę, i jakby mi kto podszepnął, palnąłem mu z Wirgiliusza:

— *Timeo Danaos, et dona ferentes.*

— Kes? kes? kes?—zaszwargotał on, obracając się do księdza kapelana.

— On po łacinie nie umie—rzekł ten śmiejąc się.

— A więc wytłumacz mu, *reverendissime*, naprzód moje podziwienie, że taki mędrzec po łacinie nie umie, a potem powiedz mu, że to, com powiedział, znaczy:

Boję się darów z ręki nieczystej!

Francuz za to, uśmiechając się znowu, pokazał mi swoje rączki wychuchane i białe, jak z wosku jarzącego.

A ja na to rzekłem, obligując zawsze ks. kapelana, aby mu wytłumaczył peryodami, że ręka nieczysta znaczy taką, która się nigdy krzyżem świętym nie żegna, ręka niedowiarka i ateusza, ręka której poczciwy chrześcijanin dotykać nie powinien, aby się bezbożnością, jak krostą, nie zaraził.

Wytłumaczywszy mu moją *allokucyę verbum de verbo* ks. Joachim—brawo!—rzekł i uścisnął mnie w jego oczach. Francuz się uśmiechał wprawdzie, jednak poczerwieniał i wyszedł do drugiego pokoju, dziatki nań z bojaźnią i podziwieniem obróciły oczki.

Pożegnałem ich nakoniec; uścisnąłem i pożegnałem ks. kapelana i wszystkich a wszystkich, których napotykałem mieszkańców

tego bogobojnego domu. Na dziedzińcu czatował na mnie marszałek i gwałtem zaciągnął do siebie. Tam znalazłem panów rezydentów i wielu innych dworskich, i uraczywszy się nie tylko wybornem śniadaniem, ale i trojniaczkiem wyśmienitym, po kordyalnem pożegnaniu, przyrzekłszy, że za drugim wyjazdem na kwestę znowu tu zawitam, poszedłem na ekonomię, niosąc pod pachą węzełek starościnej, a relikwiarzyk starościanki na piersiach.

— No, jedźmy, Marcinie!—rzekłem ujrzawszy go przed folwarkiem.

— A w jakież to ordery jegomość się ubrał? Podobno trochę zapruszył się jegomość? No, to nic nie szkodzi. Nieboszczyk ks. Jacek to i często bywało sobie podpije, ale wtenczas jeszcze gładziej do baranów domawia się. A to jakiś relikwiarz, nie order, chwała Bogu

Wytłumaczyłem mu wszystko, rozwinąłem zawiniątko, i znalazłem piękny apparat na mszę, a jednak Marcin kiwał głową i nie cieszył się ze mną.

— A cóż u licha! rzekłem, czy i to jeszcze tobie zamało?

— A cóż to do jegomościa należy zbierać ornaty i relikwiarze? Nie po to nas wysłali. Zakrystya nasza, chwała Bogu, nie uboga, a dyspensa, jak baranów nie zbierzemy, będzie pusta.

— Alboż ci baranów nie wydano jeszcze?

— Ani jednego jagnięcia.

— No to pójdźmy do ekonomii.

Tam dopiero rozmarszczył łeb stary mruk, gdy posłyszał treść assygnaty i zapytanie pana dyspozytora, wiele mamy baranów? gdyż pan mu kazał dodać tyle drugie

— Mamy dwadzieścia cztery sztuki—odpowiedział on.

— I dziesięciu jeszcze nie mamy—rzekłem.

— Ja mówiłem, że jegomość zapruszył się, bo i lik stracił.

Uśmiechnął się pan podstarości.

— Niechże sobie będzie jakbyście mieli dziesięć, bo i sam widziałem, że więcej niema, drugi więc dziesiątek złączy się wraz z waszymi, a zboże i woły jutro do Nieświża wyprawię. Pan Marcin przypomniał mnie o waszych zapasach podróżnych, napełniłem więc puzderko i krobę, a to, księże kwestarzu, przyjm za jałmużnę ode mnie.

Napisałem listek do mojego księdza gwardyana, oddałem apparata i relikwiarz dla odesłania razem ze zbożem, i nakoniec wyjechałem z tego raju ziemskiego, żałując, żem zeń węża kusiciela nie wypędził.



CASUS FATALIS.

XIX

Już ze trzy tygodnie włóczyłem się po świecie, i trzodka moja do kopy dochodziła, a chociaż nie zdarzyło mi się nic do zapisywania w moim raptularzu, jednak nie nudziła mię moja włóczęga.

Jadę po kraju żyznym i wesołym. Chłopki na polach koszą sianko, albo żną żytko czy pszeniczkę, bo coś tego roku roboty gospodarskie zbiegły się. Jak odezwę się: Boże dopomóż! to odpowiadają mi rzeźwo i wdzięczną twarzą: Na zdrowie jegomości! Czasami Marcin stanie na popaskę przy gromadzie żniwiarzy lub kośców; natenczas radzi oni z tego bardzo, i my radzi! częstujemy się co Bóg dał nawzajem; a że z łaski gorliwości Marcina zapasy moje podróżne, a szczególniej puzderko zawsze pełne, więc za traktament podrzucają i sianka świeżego i snopków owsa moim baranom i koniom. A potem idzie rozmowa prosta i nie mądra, ale szczera i życzliwa. Czasami staniemy i przy dwornem polu, to już tam pan ekonom rej wodzi Chłopki natenczas nie tak śmiałe, ale przecież nie widziałem, chwała bądź Bogu, ani wielkiego rygoru, ani kańczukowania, ani przypędzanek Ekonomowie po większej części staruszkowie, a przynajmniej podżyli; nie jednego z koronką na szyi, trzepiącego różaniec spostrzegłem, a szkaplerze na wszystkich piersiach, i nieraz sobie pomyślałem, że choćby zepsucie i niedowiarstwo objęło wszystkich wielkich panów, a nawet i mniejszych półpanków, nie dojdzie jednak do poczciwych chłopków i do drobnej braci szlachty, bo oni czytać nie umieją, a z ambony niedowiarstwa ogłaszać nikt nie będzie, a tak chwała Boska nie ustanie.

Otoż tak wlekąc się zawczoraj spokojnie i powoli, wypatrywaliśmy z Marcinem sposobnego miejsca na popas, i upatrzywszy przy drodze piękny gaik brzozowy, a za nim rzeczkę; zwłaszcza że słońce dopiekało, roztasowaliśmy się z naszym obozem, nie przewidując, że tu miał nas spotkać *casus fatalis*, który mnie omal wszystkich baranów nie pozbawił. Rozbiegły się one po gaiku i zaczęły skubać trawkę. Ja z Marcinem odprzęgliśmy konie i nasypaliśmy im owsa na derkach; przekąsiwszy potem nieco i zdawszy wartę owiec na Marcina, rozciągnąłem się pod drzewem i zasnąłem.

Marcin łyknął bodaj zanadto z flaszy i zdawszy wartę na Pamfila, toż samo co i ja uczynił, a trzodka tymczasem przebiegła lasek, napiła się w rzeczułce, a zobaczywszy za nią piękną osieliczkę i nie mogąc oprzeć się pokusie, przebrnęła rzeczkę.

Wielkie hałasy i krzyki przebudziły mnie. Zerwałem się z

ziemi, a nie widząc baranów, krzyknąłem —Marcinie! a ty śpiochu przeklęty! gdzie barany?

Porwał się Marcin, i oglądając się na wszystkie strony— Pamfil! krzyknął, Pamfil! a ty śpiochu przeklęty! gdzie barany?

Pamfil pobiegł tropem czy wiatrem i zaczął ujadać nad rzeczką, a Eliiasz i Barabasz odezwali się do nas żałośne. Więc przebiegliśmy także brzezinkę i ujrzeliśmy na drugiej stronie rzeczki nasze owce i jakiegoś jegomościa w białej płóciennej kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu, z wielkim kijem w ręku; komenderował on kilku chłopami, zapędzającymi naszą trzodę z łąki na drogę do blizkiego dworku którego za brzezinką nie dostrzegłem.

— A to ty! popie! proszę uniżenie! wrzasnął ujrzawszy mnie ten jegomość. A to ty? popie! przywędrowałeś tu spasać moje łąki! proszę uniżenie!

— Przepraszam dobrodzieja, przepraszam stokrotnie i pokornie; winien jestem! *mea culpa*, dobrodzieju! Zasnąłem trochę, widzi jegomość; toż samo uczynił mój stary furman i mój stary pies, i nie pilnowali baranów.

— Piękna komparacya!—pomruknął Marcin.

— Ale jegomość nie każ tak pędzać owiec, bo jeszcze bardziej łąkę podepczą, a czasami wbiegną i do zboża; my zawołamy prowodyrów, to i powrócą na tę stronę.

— A cóż to myślisz? proszę uniżenie, że cię na sucho wypuszczę po takiej szkodzie? Grabię twoje owieczki i kwita!

Jakoż chłopcy jego pędzili nasze stadko ku dworowi.

— Jakto? mój dobrodzieju! Jegomość chyba żartujesz, albo chcesz mnie takim konceptem do siebie zawokować. Byłbym i sam zajechał, ale nie zobaczyłem dworu pańskiego za brzezinką.

Tymczasem Marcin krzyknął razy kilka po swojemu: Eliasz i Barabasz, usłyszawszy głos jego, rzucili się ku nam, trzoda za nimi; chłopcy zabiegli im drogę, ale dostawszy tęgie bukisz, wywrócili koziołka. Jegomość stanął naprzeciw z kijem, a Marcin przebrnął rzeczkę w sukurs naszym walecznym prowodyrom. Pamfil wył i ujadał, barany beczały myśmy krzyczeli, wcale jakby sprawa na dyferencyi, lub zajazd.

— A to jeszcze, popie, wodzisz z sobą dwóch rozbójników! pokaleczyli mnie chłopców! Wara! proszę uniżenie, stary grzybie — wrzasnął na Marcina, który z biczem około chłopców zawijał się— wara! bo cię oplażę na wszystkie boki, Sto bizunów! proszę uniżenie.

Odwołałem Marcina; za nim Eliasz i Barabasz z kilku baranami przeskoczyli do nas, a resztę popędzono do dworu

— Kiedy tak, to wolaż Pana Boga! Ten mnie nagrodzi, rzekłem podnosząc z piersi i całując krzyż. Pojadę nazad po moich dobrodziejach; opowiem im moją krzywdę; wspomogą mnie znowu, a klasztor z głodu nie umrze. Marcinie zaprzęgaj i zawracaj. A jegomość zabieraj moje owce, ale pamiętaj, że pożałujesz tego, bo krzywda każda o pomstę do Boga woła, i sumienie własne spać ci nie da. Zechcesz może potem odpędzać własnemi no-

gami aż do klasztoru, ale już to będzie po czasie .. Bo Bóg widzi—czas ucieka—śmierć goni—a wieczność czeka.

— Cóż to? proszę uniżenie, przeklinasz mnie?

—A broń Boże! owszem, niech jegomości Pan Bóg niepamięta! ja tylko ostrzegam.

—A z jakiego waszeć konwentu!

— A na co dobrodziejowi wiadomość ta potrzebna?

—Na co potrzebna? proszę uniżenie! musi być potrzebna kiedy się pytam

— Daj mi już jegomość pokój, i bądź zdrów. Marcinie! dobądź puzderko; napijemy się na ten frasunek i powleczemy się do łaskawszych, czy litościwszych ludzi.

Marcin podniósł flaszeczkę. — Do ciebie — rzekłem nalewając.

— A czemuż waszeć do mnie nie przepijesz? proszę uniżenie. Interes interesem, a przyjąźń przyjaźnią.

—Jakto? zabrałeś mi barany i jeszcze mam cię częstować?... Ale, prawda, Bóg kazał przebaczać nieprzyjaciołom. W ręce więc pańskie.

— Dziękuję. Jakże to będzie przez rzeczkę? proszę uniżenie.

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i pobrnął w wodę.

A w tem ujrzałem wracające ze dworu moje barany; pędzili je też same chłopaki, a za nimi spostrzegłem imość, i nawet po minie jegomościnej poznałem, że to żona jego, bo zupełnie opuścił uszy, a wychyliwszy kieliszek.— Pogodzimy się, księże kwestarzu! proszę uniżenie.

— I ja widzę, że się pogodzimy, bo barany moje wracają z przybytkiem. Nie było czarnego, a teraz jest.

— Co waspanu stało się? mój jegomosteczek! odezwała się seryo nadchodząca pani.

— Moje serce.. proszę uniżenie...

— Da daj waspan pokój, wiem o wszystkiem. Proszę darować tę mitręgę, księże kwestarzu dobrodzieju! Mój jegomostek często sam nie wie co robi. Cośby miał zaprosić do domu i obdarzyć, to grabisz i krzywdzisz. Zły duch waspana opętał, czy co?

— Widzisz, moje serce, szkoda znaczna, i chłopcy, proszę, uniżenie, pokaleczeni.

— Da co waspan bałamucisz? gdzie tam pokaleczeni? gdzie ta szkoda?

— Szkodę, rzekłem, Pan Bóg nagrodzi, trawa odrośnie, a dobrodzice także Bóg pobłogosławi za dobry uczynek.

—Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! ksiądz kwestarz rozumniejszy od waspana. Jegomosteczek głupi jesteś, więc zawsze głupstwa i robisz. Ja wątpiąc, czy po takim certamencie jegomość dobrodziej zechcesz do nas zawitać, dołączyłam i mego czarnego barana, a to, aby on, jako inny od wszystkich, przypomniał jegomości, że co gospodarz nabroił, to gospodyni naprawiła.

— Mybyśmy już i tak, moje serce, proszę uniżenie, pogodzili się z księdzem kwestarzem.

— Da milcz jegomosteczek, zmiłuj się milcz! Ja taki waspanu tego nie daruję; we środę pójdziesz do spowiedzi, a ja sama z księdzem proboszczem o pokucie pogadam. Czy to pięknie? czy to po chrześcijańsku? Aż mnie wstyd za waspana! Jeżeli jegomość nie masz rankoru, to proszę do nas na filiżankę kawy.

— Proszę uniżenie... po staremu...

— A milczże waspan! już mówiłam, milcz! ot lepiej pomóż księdzu kwestarzowi przeprawić się do dworu przez mostek; bo choć tyle razy i kazałam i krzyczałam, dotąd nie naprawiony

— Widzisz, moje serce... ekonom proszę uniżenie...

— A znowu gadasz. Leniuch jesteś, na ekonoma zdajesz co potrzeba, a co nie potrzeba, sam robisz. Spowiadaj się waspan i po wszystkiem

— Mamże oczekiwać księdza kwestarza dobrodzieja? — zapytała imość, a jegomostek stojąc za nią z tylu, kłaniał mi się pokornie i na migi zapraszał do dworu.

— Dziękuję dobrodzice za łaskawe serce Czarnego baranka nie dam zarznąć i hodować będę na prowodyra, aby mnie drugim razem zaprowadził do tak bogobojnej pani, a teraz żegnam moich dobrodziejów, bo mi pilno przed porcyunkułą wracać do klasztoru i sukurs na fest przypędzić.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! To niechże Bóg szczęśliwie prowadzi, a proszę nas nie mijać Mój jegomosteczek drugi raz takiego głupstwa nie zrobi.

— Moje serce! nie alteruj się, proszę uniżenie; dalibóg wyspowiadam się w środę.

— Da milcz waspan! — Odeszli.

Patrząc za nimi i pokręcając głową — *Hic mulier* — rzekłem, A Marcin obok mnie kręcąc także głową — szwed baba! — rzekł. Wytłumaczył więc regularnie moją łacinę i ruszyliśmy dalej.

U KSIĘDZA PLEBANA.

XX.

Przebyłem już napowrót Niemen, zwracając się ku Nieświżowi *(Tu kart kilka wydartych, a potem jak następuje)*... Przed plebanią na ławeczce pod starą brzozą, a przed nami stolik i na nim dzban cieńkuszu, do jakiego ani ja w klasztorze, ani widać ksiądz prałat w swojej bogatej plebanii nie przywykł. Marszczył się więc *reverendissimus* popijając, ale pił jednak, bo nie było lepszego, a upał choć po zachodzie słońca, dokuczał jeszcze.

— Jesteś bez wątpienia, rzekł ksiądz prałat, prowadząc dalej zaczętą w plebanii rozmowę i napomnienia których pleban, staruszek cierpliwy. w milczeniu słuchał dotąd, jesteś kapłan gorliwy i pobożny. Służba Boża w kościołku twoim idzie przykładnie, ależ sprawa sprawy nie tamuje. *Et haec facienda, et illa non omittenda.* Mógłbyś przytem pomyśleć staranniej i o doczesnym żywocie. Plebanijka, to wprawdzie maleńka, ale ziemia dobra, chłopki ciepłe, a gospodarstwo pożal się Boże! Wstydź się! U mnie inaczej. Przyjdź tylko do mnie, nauczę cię rozumu. Pochodzimy po polach; zobaczysz jak u mnie wyorano, jak wybronowano, jak zasiano, i jak chwała Bogu, rodzi. Nauczę cię i pieniążki zbierać, i lepsze piwo robić, bo tą lurą i gardło i humor skwasimy

Staruszek uchylił osiwiałą głowę, jakby dziękował za ofiarowaną naukę, a potem zcicha, powoli i nieśmiało, modląc się raczej, niżeli odpowiadając księdzu prałatowi, mówił:

„Albowiem królestwo Boże nie jest ci pokarm ani picie, ale „sprawiedliwość i pokój i wesele w Duchu świętym! Przetoż tedy „starajmy się o rzeczy, które pokojowi należą, i tego, co jest ku „zbudowaniu, społecznie strzeżmy."

— A toż znowu co? rzekł ksiądz prałat kręcąc palcem nad łbem, a toż znowu co?

— Słowa świętego Pawła do rzymian, *reverendissime*, odpowiedział staruszek.

— Prawda, ale cóż to ma wspólnego z twojem gospodarstwem i podpiwkiem?

— „Dla pokarmu nie psuj sprawy Bożej!" *ibidem, reverendissime.*

— Porzuć waść te cytacye. Kto cię nawraca do obżarstwa? chybaby kwestarz, jako nawykły do bernardyńskich porcyi.

— Pomierzmy brzuchy, dobrodzieju, odezwałem się na tę zaczepkę, bo widziałem, że peryferya księdza prałata dwa raza większa od mojej. Bodaj pasek mój nie zejdzie się na jegomościa.

— Pleciesz, rzekł ksiądz prałat. A waść, księżulu, nie w czas wyjechałeś z świętym Pawłem; bo co się mówi o gospodarstwie, to się nie tycze obowiązków naszego stanu; jedno drugiemu nie przeszkadza.

Ksiądz pleban pokręcił głową.

— Pięknie, gdybym ja, mając porządne *beneficium*, gospodarzył jak ty, bracie! A toćbym marnował dar Boży!

— „Są różnice darów, lecz tenże sam duch być ma!" mówi święty Paweł do Koryntyan, *reverendissime.*

— Znowu wyzywasz mnie na teologiczną dysputę, a ja po prostu chcę ci dowieść, że opuszczenie się w twoich domowych sprawach doprowadzi cię do ubóstwa, tak, że nie będziesz mógł potem ani łaknącego nakarmić, ani pragnącego napoić.

— Dam łaknącemu kawałek suchego chleba, który sam pożywać będę, odpowiedział starzec tym samym pobożnym i dobrotliwym głosem, a pragnącemu kubek wody, albo i tego podpiw-

ka, w którym bogaty prałat nie smakuje, a który ochłodzi pragnącego. „Azaż Bóg nie obrał ubogich na tym świecie, aby byli bogatymi w wierze, i dziedzicami królestwa, które Bóg obiecał tym, którzy go miłują?“ Tak pisze święty Jakób w Liście powszechnym.

Prostota i łagodność, z jaką te słowa wymawiał ksiądz pleban, a bodaj i same słowa, dotknęły prałata. Zaciął usta, zmarszczył brew, i rzekł. — Prawda to, ojcze, prawda! Umiesz ojców kościoła na pamięć, a naśladujesz ich twojem świątobliwem życiem; lecz też pamiętać należy, że mamy obowiązki na świecie nietylko duchowne, ale niejako i doczesne. Jesteśmy szafarzami darów kościoła, powinniśmy się więc starać, aby ich nie zabrakło dla biednych w ogólności, a wolno też pomyśleć i w szczególności o potrzebujących częstokroć powinowatych naszych i krewnych, którym wsparcie za życia, a pamiątka po śmierci od nas się godzi.

—„Bez ojca, matki, bez rodu; nie mający ani początku dniów, ani końca żywota; ale przypodobany synowi Bożemu, trwa kapłanem na wieki!“ Tak pisze święty Paweł.

— Róbże sobie jak chcesz, rzekł powstając zniecierpliwiony prałat. Jakbyś nie miał słów własnych, konfundować mnie chcesz słowami Apostołów.

— Nie gniewaj się, *reverendissime*! rzekł ksiądz pleban. Nie miałem zamiaru ubliżać wyższemu ode mnie w kościele Bożym; ale w różności naszego przekonania, słowa moje własne naprzeciw słów i powagi twojej, *reverendissime*, nie obroniłyby mnie. „Nie śpieraj się słowy, bo się to na nic nie przygodzi, jedno na skazę słuchających, a świeckich rzeczy i próżnomówności strzeż się!“ naucza także święty Paweł. Wolałem więc nieudolność moją wesprzeć tem, na czem i codzienne moje życie, i niedostatki, i kłopoty opieram; to jest, słowami, które codzień czytając, rozważając i przepisując wraziłem sobie w pamięć i w serce. W nich, mości księże prałacie dobrodzieju, moja obrona naprzeciw światu i jego pokusom; w nich moja pociecha w samotności i utrapieniach, od których któż wolny na tym padole płaczu? z nich moc ducha niewątlącego się wiekiem moim zgrzybiałym. „A owoc ducha (jako powiada Paweł święty) jest miłość, wesele, pokój, cierpliwość, dobrotliwość, cichość, wiara, mierność, sprawiedliwość, czystość.“ Nie przeto, abym tu wszystkie dary i cnoty posiadał, uchowaj mnie Boże od takiej pychy; ale myśl moja tak nawykła w każdem zastanowieniu zwracać się na tę drogę, że wprzód, nim własne wynajdę zdanie, natrafiam na gotowe święte prawidło, za którem idę bez namysłu, i nigdy nie zbłądziłem; dla tego dusza moja i sumienie wolne, chwała Bogu, od wszelkiego ciężaru. Nie zapędzam się w gospodarstwie, ani kłopotam się o pomnożenie dostatków lub zbieranie pieniędzy. „Obyczaje twoje niech będą bez łakomstwa, przestawając na tem, co teraz jest. Boć Sam

powiedział: „nie zaniecham cię ani cię opuszczę.“ Słowa świętego Pawła, *reverendissime*. Starania około zbawienia duszy własnej, około dobra a zbudowania trzodki mojej, utrzymania ubogiego tego domku Bożego i w nim chwały Boskiej, oto, *reverendissime*, wszystko, nad czem codziennie myślę i pracuję. Resztę i całą przyszłość oddaję woli i opiece Boskiej: bo „Nie waszać rzecz, nie waszać, znać czasy i chwile, które ojciec w swej władzy położył“ powiedział Chrystus. A jednak Boże uchowaj, abym sądził innych podług siebie, mniemał, żem doskonalszy od braci moich. „Każdy z nas za się zda liczbę Bogu — mówi święty Paweł. Gotując się więc do ciężkiego rachunku, na który przyjść wkrótce mi wypadnie, do tego miłosierdzia Boskiego, nie do zasług i wartości mojej uciekam się. Zatem przebacz mi *reverendissime*, jeżelim cię nie chcąc obraził — i tu chciał staruszek ucałować rękę prałatowi. Umknął ten ją z pośpiechem i zamyślił się głęboko. Ksiądz pleban milczał, ja także, rozważając świątobliwość i pokorę jego. A w tem zadzwoniono na nieszpory.

POWRÓT.

XXI.

Już nam zdaleka orzeł Radziwiłłowski ukazał się na wieży zamkowej i kręcił się od wiatru na wszystkie strony, gdy Marcin rzekł do mnie — Wiele jegomość zebrałeś gotówki?

Nie liczyłem. Oddam cały worek księdzu gwardyanowi; niech sobie sam i policzy.

— Daj mnie jegomość talara.

— A to na co?

— Już to taki obyczaj. Ja od każdego kwestarza biorę po talarze, niby na buty; ale, prawdę mówiąc, idzie on na konsolacyę ze stajennymi zamkowymi, moimi wielkimi przyjaciółmi. Na buty zbiorę, przyprawiając tabakę dla całego klasztoru, bo mam na to sekret nieboszczyka księdza Rafała, trzeciego kwestarza przed jegomościem. I nikt tak definitorskim nosom nie dogodzi jak ja.

Dobyłem więc kieskę i dałem mu talara.

— Chwałaż Bogu nie z próżnemi rękami wracamy, rzekł on, spostrzegłszy pieniądze; jest co i do skarbony oddać, i sobie zostawić. A wieleż jegomość sobie schowasz?

— Bałamucisz! Jak ci do głowy przyjść mogło, że choć grosz dla siebie ukryję? Jeżeli tobie daję talara, to dla tego, że zasłużyłeś, jak mi się zdaje, na to, pilnując przez kilka tygodni koni,— wozów i baranów.

— To tylko dla tego? jegomość bałamucisz, ale nie ja, odpowiedział z gniewem Marcin. To jegomość płacisz mnie tylko jak furmanowi i pastuchowi! Kłaniam uniżenie! Weźże jegomość sobie nazad swego talara i kwita z przyjaźnią! To jegomość rozumiesz, że byle jaki furman, to i kwestauda się? Przepraszam jegomościa. A ja mówię, że byle jaki kwestarz, aby tylko furman dobry i wiedział gdzie zawracać to i kwesta pójdzie wyśmienicie. A nawet gdyby puścić dropiatego naprzódi dać jemu prowodyrów naszych, a Pamfila za stróża od wilków, to i tak bez kwestarzów, urmanów, jak on zna wszystkie drogi, nazbierałby baranów. Onegdaj, pamiętasz jegomość, ja nie chciałem zawracać do tego sknery, co się schował przed nami za dziurawy parawan, a chłopcowi kazał powiedzieć, że wyjechali. Prawda, że jegomość, spostrzegłszy łysinę za parawanem, po kwestarsku jemu dociąłeś, odpowiadając chłopcowi, że pokłoń się panu jak powróci, i powiedz żeby drugi raz wyjeżdżając z domu, łysiny swojej nie zostawiał za parawanami. No, gdybym ja był w pokoju, tobym ja jego stamtąd wyciągnął, ale jegomość nadto wielki polityk. I wszędzie, gdzie ja zajeżdżać nie chciałem, skończyło się na z Panem Bogiem! a gdzie dropiaty zwrócił się, to i baran przybył. To nic nie znaczy u jegomościa? a że kroba i puzderko zawsze pełne były, to także nic? Oj, ludzie! pożal się Boże!

Głową kiwał Marcin, trząsł z różka tabakę i wzdychał, ale talara schował do kieszeni.

— Zgoda, panie Marcinie! rzekłem. Prawda, żeś ty stary ćwik i doświadczony na kwestę. Pojedziemy znowu z sobą, kiedy Bóg pozwoli.

— A zwyczajnie, że pojedziemy, bo i ja przed całym klasztorem inaczej nie powiem, jak tylko, że jegomość całą gębą kwestarz; umiesz sobie i u panów i u chudopachołków poradzić. Co do pieniędzy, któż jegomości radzi schować? *Per modum* . . —Zamilkł Marcin, szukał grzecznego wyrazu.

— *Per modum* ukraść—dopomogłem mu

— Nie. . . tego. . . ale . . bo jegomość nowicyusz; nie wiesz tego, że kwestarz powinien sam starać się o wszystko do drogi i w drodze: wozy naprawiać, konie kuć, odziać furmana i siebie, bo prócz habitu, jegomości, jako kwestarzowi, nic więcej z klasztoru nie dadzą, a za to rachunku z nazbieranych pieniędzy żaden kwestarz nie zdaje. Już to na jego sumieniu. Nieboszczyk ks. Jacek umierając, sto talarów bitych oddał do skarbony bractwa różańcowego. Za toż codzień dziady i baby śpiewają za jego duszę *Anioł Pański*.

Pod wieczór wyjechaliśmy tryumfalnie na dziedziniec klasztorny. Dropiaty zarżał, zwiastując nasze przybycie a poznając swoją stajnię.

— *Salve Frater amantissime!* Ot co jest!—wykrzyknął ks. gwardyan, witając mnie na ganku; a i uściskając po przyjacielsku. I wszyscy ojcowie pozdrowili mnie chórem.

— Czekałem cię jak kania deszczu, rzekł ksiądz gwardyan; rozumiałem, żeś gdzie znowu za marszałka przystał, zwłaszcza, żeś się z panami pobratał. Odebraliśmy z wielką pociechą dary z *munificencyi* starosty, przez ciebie wyjednane. Niech mu dobroczynność jego idzie na pożytek duchowny, tak, jak nas cielesnym zasilił. Baranów jak gwiazd! Ot co jest! widzisz, mówiłem ci na wyjeździe, że jeszcze ludzkość, pobożność i dobroczynność żyje na Litwie! Ot co jest?

— Prawda, *reverendissime,* prawda! wszystko prawda! nawet i coś nadmieniał o niedowiarstwie i zgorszeniu gdzieniegdzie wytykającem głowę, i na tom napadł; nawet na samego apostoła złośliwości....

— *Caetera ad coram,* przerwał mi ks. gwardyan, bracie Michale, a teraz idź wypocznij po drodze.

Post silentium zawołał mnie ksiądz gwardyan do siebie; widać nie chciał mieć świadków naszej poufałej rozmowy. Przyniosłem mu pieniądze. Odliczyliśmy złotych dwieście kilkadziesiąt w różnej monecie.

— Bóg zapłać, rzekł on, i waści, bracie Michale, i dobrodziejom naszym. Ot co jest! Cóż tam powiesz mi o swych obserwacyach światowych, o których nadmieniłeś?

Więc mu opowiedziałem cały progres bytności naszej u starosty i moją poniewierkę dla francuza i jego pieniędzy.

— *Bene!* Ot co jest! *Bene! valde bene!* Znalazłeś się, jakbym sam lepiej niepotrafił, a powracasz do klasztoru rozumniejszym, jak wyjechałeś, bo nauczyłeś się wojować z nieprzyjacielem, z niedowiarstwem, które z obowiązku twojego stanu gromić zawsze powinieneś.

Gdym mu zaś powiadał o pobożności ludu pospolitego, chłopków i drobniejszej szlachty.—I to prawda, odpowiedział mi; do tych zaraza nie dochodzi i nie dójdzie nigdy, choćby się między panami chrześcijańskimi najszerzej rozlała. Prostaczkowie przyjęli przychodzącego Jezusa na ten świat, prostaczkowie i zachowają go w sercach, gdy bezbożni zawziętość swą wywierać nań będą. Ot co jest! Ale Bóg, w czasie koniec złemu położy, zaślepienie przejdzie! A natenczas monarchowie i mędrcy świata tego, jak owi trzej niegdyś ze wschodu, przyjdą za gwiazdą prawdziwej chrześcijańskiej mądrości, a z pokorą i skruchą uderzą Mu czołem na nowo. Ot co jest! i co daj Boże! Amen.

Rok 1812-ty

XXXII.

Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas Panie! śpiewamy codzień w suplikacyi. Pierwszych dwóch plag Boskich za moich czasów Bóg na nas nie dopuścił; ogień—co bez czego? ale ostatniej doznaliśmy już pierwej, i doznajemy teraz, ze wszystkiemi jej okropnościami, rabunkiem, zniszczeniem i gwałtami wszelkiego rodzaju.

Co potem nastąpi, Bogu wiedzieć. Nie obejdzie się zapewne i bez dalszych nieszczęśliwych konsekwencyj; to jest, moru i głodu. Co zaś najbardziej trwoży nas i boleścią przeszywa, to profanacya świątyń Pańskich i ostatnia pogarda dla sług Bożych, a poniewierka dla świętej naszej wiary O Boże! czegoż doczekaliśmy. Widać blizkie skończenie świata!!!

Mieszkałem już od lat dwóch w klasztorze naszym w Wilnie, gdy zaraz z wiosny rozchodzić się poczęły wieści o wojnie, o zbliżaniu się francuzów, i nareszcie, że stoją nad Niemnem, a rychło i do nas zawitają.

W Wilnie publika wielka, jakiej to miasto dawno nie widziało i widzieć pono nie będzie. Cesarz bowiem Aleksander, którego wszyscy czczą i aniołem dobroci nazywają, założył tu swoją rezydencyę.

Kiedy on konno wjeżdżał do miasta przez Antokol, to od huku harmat i wszystkich dzwonów aż miasto się trzęsło.

Kto tylko potem chciał—a któż nie chciał?—mógł go codziennie widywać, czy to przejeżdżającego się także konno po pięknych okolicach Wilna, czy to musztrującego wojsko, którego było w mieście i za miastem moc nieprzeliczona. Sama gwardya cesarska kiedy wystąpiła na rewię za Wileńską bramą, to okryła całe pole i bory od miasta aż pod Zakret.

A jakaż to assystencya! jaka parada przy cesarzu! wiele to tam jenerałów! książąt! orderowych panów! a wszystko precz od złota! Było nawet kilku posłów od zagranicznych nacyj. Sam widziałem na tej rewii posła szwedzkiego. Znaczny był zdaleka, bo w granatowym bogato szamerowanym mundurze, z żółtem piórem na kapeluszu i złotą szarfą, kiedy wszyscy mieli szarfy srebrne. Tłumy ludu wysypały się za miasto; a między tłumem i nas kilku ciekawszych dla przypatrzenia się tej niby to wojnie, a za górą była już i prawdziwa.

Do klasztoru do nas hurmem szły nowiny; bo z miasta znajomi i przyjaciele przychodzili codzień wieczorem na wyśmienite nasze piwko do ogrodu, i pod cieniem drzew gwarzyli o wszystkiem, co słychać było. W mieście zaś był ruch nadzwyczajny. Nakoniec jednego ranka, gdym był u księdza kustosza dla klasztornych dyspozycyj, wpadł nagle do celi pan budowniczy Orzechowski, nasz tercyarz i sąsiad klasztoru, i krzyknął: — Tatuleńku! już przeszli Niemen!

— Co wasan mówisz? czy pewnie?

— A najpewniej! Wczoraj moje chłopcy, to jest, akademicy mieszkający w mojej kamienicy, byli na balu w Zakrecie, i na swoje oczy widzieli kuryera, który wpadł tam na bal nawet, z doniesieniem tej nowiny. Dziś już całe miasto wie o tem, i niema sekretu.

— Więc tu będzie wojna?

— Jakie to *futurum?* kiedy to już *tempus praesens*. Jest już wojna, tatuleńku! jest! tylko nie tu, nie koło Wilna, i u nas, jak powiadają, jej i nie będzie. Bo widzisz, *ut fert fama*, rossyanie mają się rejterować w głąb kraju i wprowadzić za sobą francuzów w łyka. Każ dać wódki, tatuleńku! bo to jest *materia gravis*, podług mojej *ekwanimii*.

Napiliśmy się po razie. —Cóż teraz robić?—zapytał ks. kustosz.

— A cóż robić? jedno z drugiem nic. Podług mojej *ekwanimii*, siedzieć cicho w klasztorze, modlić się Panu Bogu! i przychować dla wszystkiego ważniejsze *preciosa* kościelne. Ja nawet mój kuferek przyniosę dziś w nocy do ichmościów.

— A to dla czego!

— Dla czego? .. dla czego? ot mówiłem jegomości, dla wszystkiego.., a kiedy mam otwarcie powiedzieć—dodał ciszej i jąkając się—bo powiadają, tatuleńku... że francuzi rabują, a nawet .. kościoły odzierają! ..

— Jak to być może? Fałsz! To naród chrześcijański, mospanie!

— Już to, podług mojej *ekwanimii*, chrześcijaństwo u nich wątpliwe, tatuleńku! Wiesz, że Napoleon Bonaparte papieża z Rzymu wypędził, a syna królem rzymskim ogłosił; więc *signum pro re signata*. Zresztą, rób jak chcesz, tatuleńku. Ja wieczorem podejdę, a teraz biegnę na miasto. Nie usiedzieć w domu, gdy co godzina to nowina.

Gdy wyszedł pan budowniczy, ksiądz kustosz zebrał ojców na *consilium*. Przyszedł, opierając się na kiju, staruszek ksiądz definitor, mój najpierwszy gwardyan miński i dobrodziej, z którym po większej części wiek mój zakonny strawiłem, i którego kocham i szanuję jak ojca. Szanują go też i słuchają we wszystkiem i w tutejszym klasztorze, bo znają jego wielkie *merita* w zakonie, i mądrą głowę, a która i wiekiem się nie osłabiła; w ważniejszych

więc sprawach do niego idą po radę. Był on razy kilka już prowincyałem, i wtenczas naszą wspólną peregrynacyę po klasztorach opisałem akuratnie w moich raptularzach; na starość obrał sobie rezydencyę w Wilnie, jako *emeritus*. Za jego to naleganiem, po kilkoletniem rozłączeniu naszem, które ja za niewolę babilońską uważałem, przeniesiono i mnie do Wilna. Nazywają nas *inseparabiles*. Oh! śmierć nakoniec zadała fałsz temu nazwaniu!... Rozdzieliła nas swoją kosą okrutna *Libitina!*. . . Com ucierpiał i cierpię, Bogu tylko wiadomo!. . . do którego codzień modlę się za jego duszę. Ale o tem potem.

Zebranym patrom opowiedział ks. kustosz nowinę, i podał *konkluzyi* kwestyę: cóż robić?

Wszyscy milczeli, i takby się rada skończyła; ale ksiądz kustosz obrócił się do ks. definitora i rzekł: —*Reverendissime!* czekamy twojego mądrego zdania.

— Francuzi, powiadacie, rabują kościoły? — odpowiedział on — być to może, bo dożyliśmy wieku rozuzdania wszelakich zapędów ludzkich. Ot co jest! Wątpię jednak, aby w mieście, pod okiem wodzów, a może i samego cesarza, do rabunków i swawoli żołnierskiej przyjść miało. A gdyby i przyszło, nie zrabują nas tak, aby choć drewniany krzyż w kościele nie został; to i przed nim Pana Boga chwalić będziemy. Ot co jest! Dajcie więc pokój wszystkim zabiegom lub trwogom. Ufajmy w Bogu, a Jego woli i miłosierdziu oddając się, módlmy się raczej za pokój i zgodę panów chrześcijańskich. Ot co jest!

Słowa te ojca definitora uspokoiły wszystkich i rozweseliły twarze. — *Fiat voluntas Dei!* Bóg przez ciebie przemówił, ojcze! — zawołali, i rada się rozeszła.

To było we środę dnia 12 czerwca.

We czwartek ruch wielki! pułki coraz nowe przechodziły przez miasto, za Zielony most niektóre, a drugie i najwięcej przez Antokol na Niemenczyn za Wilję. Wieść o zbliżaniu się francuzów coraz to głośniej szerzyła się. Do klasztoru naznoszono kuferków i na luftach lokowano.

W piątek, to jest, 14 czerwca cesarz Aleksander opuścił miasto... kochany i błogosławiony od wszystkich... niech go anioł stróż ma w swojej opiece!

Mianował on pana Lachnickiego prezydentem miasta, a ochraniając ono od ruiny i zguby, rozkazał poddać bez oporu nieprzyjacielowi. To znowu wielkie jego dobrodziejstwo dla Wilna.

W sobotę rozkazano, aby wszystkie bramy w kamienicach zatarasowano, okienice w oknach od ulicy zamknięto, a nikt się po ulicach nie szastał. Jakoż wszyscy siedzieli jak szczury w norach. Kiedy niekiedy ktoś wylazł na szpiegi; ale daleko nie uszedł, bo miasto zawalone wojskiem i harmatami; a żołnierz, zwyczajnie jak w rejteradzie, samem spójrzeniem przestraszał.

Mnie ks. kustosz wypchnął na zwiady. Podobno habit mój jednał mi łatwiejsze przejści. Dobrałem się więc aż na koniec

Skopówki, pod pałac Szoazelowski *), w którym mieszkał generalissimus jenerał Barklay de Tolli, i dowiedziałem się, że on jeszcze na miejscu. Konkludowaliśmy więc w klasztorze, że nie tak blizko nieprzyjaciel, gdy sam wódz nie opuszcza miasta. Ale konkluzya nasza była prawdziwie bernardyńska. Ojciec definitor znowu dowiódł, że rozumniejszy od nas wszystkich.

— Gdzież miejsce wodza w czasie wojny? — zapytał on.

—A jużcić nie z tyłu armii, jeżeli nie na czele – odpowiedział ks. kustosz.

— A gdzież czoło armii, kiedy się armia rejteruje?

— Nie rozumiem — rzekł ks. kustosz.

— Ot co jest! gdzie najbliżej nieprzyjaciel, tam czoło armii, tam wódz. *Subintelligitur* więc, dla czego pan Barklay de Tolli jeszcze w Wilnie, choć za górą francuzi. Ot co jest.

Wieczorem tego dnia kazano, aby straż nie jako zajęła wszędzie warty. Piękneż to berdyszowe rycerstwo! w kapotach, w kurtkach, sami z siebie śmieli sie, a wszyscy z nich. Stanęli po bramach, przy kordygardach i turmach. Noc całą wojsko płynęło, jak woda.

Nadeszła nakoniec niedziela św. Trójcy *v. s.*, dzień 16/28 czerwca, którego nigdy nie zapomnę, ... w którym ujrzałem razem z całem Wilnem potentata Napoleona Bonapartego, na czele wojska z rozmaitych nacyj złożonego, wchodzącego do naszego miasta. Ale poczynam od początku.

XXIII.

Mój ksiądz definitor miał sobie wygodne dwie cele; więc i ja z nim mieściłem się, abym mógł w starości jego służyć mu i doglądać. Całe życie czytał on prawie codzień gazety, i tłumaczył mi bywało wszystko, co tam stało, choć ja, nie wielki polítykus, słuchałem tego piąte przez dziesiąte. Jedno a jedno w nich pisalo: zawsze o wielkich zwycięstwach, o wielkich czynach, o wielkiej mądrości Bonapartego. Na całej Litwie, bal owszem i po całym świecie, o nim tylko gadano i pisano. Kwestując po dobrodziejach, około różnych naszych klasztorów, w których przemieszkiwałem, w każdym szlacheckim czy pańskim domu o niczem innem nie posłyszysz bywało, i śniło się podobno wszystkim o Bonaparcie; to i nie dziw, że nieboszczyk ks. defintor, przez całe życie myśląc tylko o nim, ciekawy był wielce oglądania go nakoniec. — Nie umrę, bracie Michale — mówił on — nim go nie zobaczę Ot co jest! I zgadł, jak prorok: zobaczył go i umarł.

Wysłali oni z księdzem kustoszem mnie jakem to wyżej napisał, na szpiegi do miasta; i tego więc ranka, ledwo jeszcze

---

*) Później Pomarnackich, dziś Żagiella.

szarzało na dzień, wyszedłem za fórtę. Zdziwiła mnie cichość i spokojność w mieście. Kozacy tylko przeszmygiwali po ulicach; a na placu pod ratuszem, stał złożywszy broń w kozły, pułk grenadyerski *), co to mają kaszkiety w kształcie głów cukru i szerokie na nich blachy mosiężne. Żołnierze gotowali sobie kaszę w kociołkach; inni drzemali, leżąc na ziemi. Oficerowie siedzieli na ławkach, lub przechadzali się po placu, rozmawiając cicho i ostrożnie. Liczniejsza ich kupka otaczała pułkownika, którego po sutych szlifach poznałem. Od tej kupki odłączył się oficer, i przejął mię pod Imbarami. — Dokąd, księże? i po co tak rano? — spytał mię po polsku.

— Do chorego, panie kapitanie! — rzekłem zakłopotany.

— Podwójnie kłamiesz, — odpowiedział on uśmiechając się —i ty nie spowiednik, boś bez kaptura, i ja nie kapitan; a może trzecie kłamstwo, i najgorsze, jest w twoim habicie? Gadaj! — dodał surowiej. Mam rozkaz cię wybadać.

Ale ja przyszedłem już do siebie, i pomyślałem w duchu: skłamałem, ot i bieda! Mówmy prawdę.... cóż mi się stanie?

— Dobrodzieju! odpowiedziałem zatem — że jestem bernardynem z tutejszego klasztoru, to tak mi Panie Jezu dopomóż! *Mea culpa,* żem skłamał. Stchórzyłem, a strach najgorszy konsyliarz.

— Więc mów, po co tak rano się włóczysz?

— Ciekawość, dobrodzieju! prosta, szczera ciekawość, i nic więcej; a nie tak moja własna, jak moich starszych, którzy, chcąc wiedzieć co się dzieje w mieście, wysłali mnie na zwiady.

— Więc jesteś szpiegiem? bracie! A wiesz, czem to pachnie? No, ale nie lękaj się; szpieg od armii bernardyńskiej nie straszny; wracaj wszelako wnet do klasztoru, i ciekawym ojcom zanieś nowinę, że przed południem będziecie mieli gości. — Odchodził potem, lecz się zwrócił. — Czekaj księże! — rzekł — masz oto ubogą moją ofiarę, — a dawał mi rubla — oddaj to na mszę na intencyę ojca błagającego Boga, aby kula żony i dziatek nie osierociła...— Westchnął głęboko poczciwiec...

— Dziś zaraz będzie msza na twoją intencyę—rzekłem, ścisnął mię więc za rękę, i wbiegł na plac; a ja korzystając z przestrogi, *retro* do klasztoru. Tam opowiedziałem moją przygodę, oddałem ofiarę oficera, i wnet sam ksiądz kustosz wyszedł ze mszą, po której a znowu za fórtę,

---

Na ulicach więcej cokolwiek było ludzi, ale bojaźliwie przemykających się zaułkami, czających się po bramach. Dniało już. Zwróciłem pod pałac biskupi, do którego po wyjeździe cesarza przeniósł się pan Barklay de Tolli. Na dziedzińcu stała kareta w ośmiu koni zaprzężona; około niej kilkadziesiąt kozaków siedziało na koniach.

*) Pawłowski

Pędem lecący konno oficer od Pohulanki, biały od kurzu, padł do bramy.

— Czy jest feldmarszał? — zapytał.

— Jest — odpowiedziano mu.

Wleciał na dziedziniec, zsiadł z konia i pobiegł na wschody.

— A więc to kareta pana Barklay de Tolli, — pomyślałem sobie. — Niema co mówić, dotrzymuje do końca! Zobaczymy, co z tego będzie? postoję tu w bramie Święto - Jańskiej.

Po jednemu, po jednemu zebrała się koło mnie kupka ciekawych, i znalazł się między nimi pan budowniczy Orzechowski Ranny to ptaszek, gdy idzie o nowinki. Opowiedziałem mu, co się święci.

— A więc podług mojej ekwanimii — rzekł on — tu jest przyzwoite *locum standi*; jeżeli nas nie rozpędzą, dopilnujemy wszystkiego.

Już też i dzień zajaśniał. Wleciał drugi kuryer. Ludu się na ulicach pomnażało. Ten to, ten owo plótł; ten straszył, ten cieszył, a każdy pytał się razem: co słychać? Gwar jakiś powiększał się coraz. My cierpliwie staliśmy na miejscu, a wkrótce i trzeci takiż latawiec wpadł na spienionym koniu

Wnet wyleciał oficer z pałacu i pobiegł pędem ku placowi. Ja i kilku ze mną, bocznemi uliczkami za nim. Ledwo dopadł placu, zagrzmiały bębny, żołnierze porzucili niedojedzoną kaszę, w mgnieniu oka już w szyku, i marsz krokiem podwójnym za Zamkową bramę, na Antokol.

Ja znowu do bramy Święto-Jańskiej, a raczej, prawdę mówiąc, do fórty; bo to te podwoje, które się otwierają z murów Što-Jańskich naprzeciw bramy biskupiego pałacu, tak, że z nich widać część dziedzińca i wschody. Tam pan budowniczy stał jak wryty.

—Ostatni pułk—rzekłem mu—wyruszył nagle na Niemenczyn.

— A zatem podług mojej *ekwanimii*. . . —Nie dokończył, bo ruch wielki zrobił się na dziedzińcu: kilku konnych wyleciało w różne strony, i okazał się na ganku pan feldmarszałek, za nim pan Ławiński, nasz były dotąd gubernator wileński, i kilku adjutantów. Widać nam było, jak rozmawiali wesoło. Pan Barklay de Tolli uśmiechał się.

— A to mi gracz! proszę uniżenie! —rzekł pan budowniczy— Bonaparte za górą, a on ani dba, -obejrzał się on jeszcze na wszystkie strony, jakby na waletę miastu, dobył zegarka, spojrzał nań i siadł do karety, z nim pan Ławiński tylko; reszta wszyscy na koń, których kilka powodnych a osiodłanych tuż przy karecie biegło; i ruszył powóz tęgim kłusem na Antokol, otoczony strażą z kozaków i dragonów.

— No, teraz podług mojej *ekwanimii*, u nas *interregnum*— rzekł budowniczy.

Jeszcze kareta nie była za miastem, gdy huk ogromny rozległ

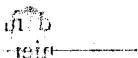
się, że aż okna się zatrzęsły; gromady ludu na ulicach *obstupuerunt;* w kilka minut drugi jeszcze mocniejszy!

Serce mnie jakoś mocniej kołatać zaczęło, i uważałem, że tłum przerażony miał się ku rejteradzie, gdy doszedł głos i rozleciał się wszędzie:—Most Zielony wysadzono w powietrze! magazyny na Łukiszkach wyleciały w górę i osypały mąką całe przedmieście.—Ochłonęło się więc z trwogi, ale nie na długo, bo znowu trzy uderzenia z harmat zagrzmiały w krótkich pauzach jedno po drugiem i ogłuszyły wszystkich.—Strzelają do miasta!—krzyknął jakiś tchórz. Boże! cóż to za zamieszanie powstało między tłuszczą! Ulica na ulicę się pchnęła. Uciekali i wrzeszczeli:—Gwałtu.

— Stójmy!—rzekł znowu do mnie pan budowniczy—to bałamuctwo. Za co mają strzelać do spokojnego miasta? Głupia tłuszcza pozaciska się tylko. Podług mojej *ekwanimii*, strzały te z harmat, są to ostatnie sygnały, aby się wszystko, co wojskowe, rejterowało z miasta, i że nieprzyjaciel blizko.

I nie zawiodła *ekwanimia* pana budowniczego: przeszedł popłóch, lud się ustatkował; tylko ciekawość przeganiała gromady, jak fale, z jednego końca miasta na drugi. Ja znowu poszedłem uspokoić klasztor i objawić ojcom to kilko-godzinne, jak pan budowniczy mówił, bezkrólewie.

Niecierpliwie tam mię oczekiwano. Opowiedziawszy więc wszystko *summatim* i posiliwszy się nieco, wybiegłem znowu za fórtę, maiąc już kilku socyuszów z ciekawszych i śmielszych patrów i fratrów.



Nawał pospólstwa i wszelkiego stanu ludzi znaleźliśmy na ulicach. Jedni biegli na górę Zamkową i Bekieszową, w nadziei, że zobaczą co się dzieje około miasta; inni leźli na wieże i dzwonice, w takiejże samej *sperandzie;* inni znowu biegli na Pohulankę, bo stamtąd od Kowna przybywali francuzi; a wszyscy latali i krzyczeli, jak w odmęcie.

Pan Lachnicki, jako prezydent miasta, siedział spokojnie na ratuszu, a przed nim na pięknej srebrnej tacy leżały złote, a może i pozłacane tylko dwa klucze; jakoby to od bram miasta, których dawno już w Wilnie niema; bo chociaż Ostra i Zamkowa zostały, lecz obie stoją otworem i wrót nie mają. Pierwsza najlepszą ma tarczę, bo Przenajświętszą Bogarodzicę, Przeczystą Maryę Pannę, która Wilno od szwedów obroniła, jak to wszystkim dobrze wiadomo.

W takim gwarze i zamięszaniu przeszło godzin z parę. Byłem przy Kardynalii i posuwałem się z tłumem ku ratuszowi, gdy nagle krzyk potężny rozległ się około ratusza, i pospólstwo hurmem uciekające przejęło naszą partyę.—Kolą! . . kolą!. . . —wrzeszczeli.

— Kto i kogo kole?—pytałem. Nikt mi nie odpowiedział, a tylko jedno:—Kolą!. . —Głupia gawiedź, pomyślałem, znowu tchórz ich obleciał. Jakoż inne huczne odgłosy doszły nas . .

Więc w mgnieniu oka byliśmy pod ratuszem Aż tu wszystkiemi uliczkami prowadzącemi na plac, Rudnicką, Zmudzką, Suboczem, sypią się pędem ułani z dzidami naprzód, jak do boju (stąd przestrach w pospólstwie) i objęli odwach.

Pan Lachnicki zszedł natychmiast na ganek ratuszowy, rozmówił się z oficerem, i wnet ze swoją tacą i kluczami, w assystencyi kilku miejskich obywateli pojechał na Pohulankę złożyć je cesarzowi Napoleonowi. A tymczasem konnica płynąć do miasta poczęła; naprzód ułani, a potem strzelcy konni, z huzarska ubrani, na czele których jechał na pysznym karym rumaku rycerz w węgierce gęsto złotem szamerowanej, w kołpaku aksamitnym, *per modum* tureckiego zawoju na głowie, na którym strusie pióra się rozwiewały, wywijając szablą i krzycząc:—Wiwat Napoleon!—a był to szwagier cesarza, król Neapolitański Murat *).

Przypatrywaliśmy się ciekawie temu wojsku a wszyscy upatrywali samego Bonapartego . . Wtem rozbiegła się o południu wieść, a wieści natenczas jak błyskawice latały, że cesarz przy Zielonym moście nad Wilją.

Dalejże ja w tamtą stronę podchyliwszy habitu, aby nie dać się uprzedzić ludowi tam lecącemu, i wyprzedziłem prawie wszystkich; ale cóż, kiedy tam już była ciżba! Jednak przebiłem się na front, tak, że o kroków dziesiątek napatrzyć się mogłem na tego najsławniejszego mocarza! Nigdy nie zapomnę tej chwili!. . .

Nad rzeką, po lewej stronie mostu, siedział na prostym stołku ten człowiek, na którego skinienie miliony ludów drżą, a krocie brną na koniec świata! Figura dalibóg niepoczesna; jubilata dobrego nie odstoi; ależ za to *caput* znakomite! a oko czarne, pełne, i spójrzenie nie wiem jak opisać?. . . Kiedy poprowadził po nas . aż dreszcz przeszedł.

Most był rozdarty na środku, ale cała rzeka pokrytą była płytami, więc je wkrótce linami spięto, i stanął most pływający Nim się jednak ta fabryka ukończyła, Bonaparte siedział nad brzegiem i rozmawiał z księdzem Głogowskim pijarem, któremu kazał podejść do siebie, gdy go w tłumie zobaczył. I trafił wyśmienicie, bo ksiądz Głogowski mądry człek i po francusku *expedite* umie. Dziwiło się pospólstwo, że tak śmiało z cesarzem rozmawia, ale jam się nie dziwił, i gdyby mnie był zawołał, takbym mu się po łacinie pięknie eksplikował, jak nie lepiej pijar po francusku. Lazłem też wcale naprzód—a nuż!. . . ale wkrótce most ukończono. Bonaparte siadł na konia mierzyna, (co za komparacya konika tego do rumaka Muratowego!) i przejechawszy rzekę, otoczony liczną wojskową kawalkatą, pojechał brzegiem ku Antokolowi. Stanął naprzeciw góry Zamkowej i po razy kilka wskazywał na nią ręką. Uważaliśmy i liczyliśmy wszystkie jego skinienia, biegąc drugą stroną rzeki, póki go dojrzeć mogliśmy; na-

---

*) Naoczni żyjący świadkowie znaleźli opisanie to ks. kwestarza wejścia francuzów do Wilna, zupełnie prawdziwem.

koniec wróciliśmy się do mostu, gdzie go nazad wracającego ujrzeć mieliśmy nadzieję Jakoż i ujrzeliśmy, bo wkrótce wrócił i pojechał na pałac biskupi. Tłumy biegły obok, krzycząc, wrzeszcząc; -Wiwat—a on kłaniał się poważnie lekkiem skinieniem ręki lub głowy, witającemu go ludowi.

XXIV.

—Bracie Michale!—rzekł do mnie ojciec definitor, gdym zmordowany i jak uduszony wrócił do klasztoru, a opowiadał mu wszystko, com widział—Bracie Michale! musisz mię tam zaprowadzić, abym go zobaczył. Powiadałem ci, i teraz powtarzam: nie umrę, nim go nie ujrzę. Ot co jest! Ale śpiesz się, śpiesz się bracie!—dodał—bo codzień słabieję . . a nie umrę . —mruczał dalej jakby sam sobie starzec — nim go nie zobaczę. — Przyrzekłem więc memu ukochanemu ojcu dopilnować momentu, kiedy cesarz wyjeżdżać będzie z pałacu, i zaprowadzić go do fórty Ś-to Jańskiej.

Co to za przewrócenie raptowne rzeczy! co to za nieład! natłok! zamięszanie! zawrót! . . Jakieś wytrącenie wszystkich z codziennych kolei i porządków. Każdy w obłąkaniu. . . W klasztorze nawet zeszliśmy z codziennego trybu, jakbyś regułę zakonną od roku zwolnił, fórtę odemknął, i obedyencyę zniósł. Ledwo stare definitory i jubilaty siedzą po celach, nie opuszczając klasztoru i służby Bożej. Młodzi włóczą się po ulicach, sami nie wiedząc czego. Na obiedzie nawet często połowa przystawek próżna. Na noc tylko zbierają się wszyscy, i gwarzą nowiny i cudactwa, jakich się przez cały dzień napatrzyli.

Bo i jest na co patrzeć, prawdę mówiąc! Jak woda płynie codzień wojsko z rozmaitych narodów i rozmaitego moderunku. Pancerni, których kirysy błyszczą od słońca jakby złote, na ogromnych koniach, chłopy jak olbrzymy, a jeszcze sute ogony końskie spadające im od szyszaków po ramionach straszniejszymi ich wydają; kupy jakichściś brodaczów z szerokimi berdyszami na ramionach, i z fartuchami skórzanymi jak kowale; nakoniec cały konny regiment dyabłów. Panie odpuść ciężkie grzechy, czy turków, bo to na jedno bodaj wychodzi, w zawojach; u każdego kindżał za pasem, a krzywy jak duha pałasz u boku. Powiadają, że to mameluki od Czerwonego morza, w którem niegdyś król Faraon utonął.

W mieście wszelakoż *horrendum!* Ulice pozawalane zdechłymi końmi, bo te secinami giną od zielonego żyta, które żołnierstwo w okolicach kosi, i w niedostatku siana nawozi do miasta. Stada bydła rogatego i baranów wchodzą często za pułkami, i wnet na rynku albo na ulicy, gdzie pułk stanął, jatki i kuchnia; więc stąd przy upałach zgnilizna i zaraza.

Po traktach i wsiach toż samo. *Ut fert fama,* rabują z kretesem; a nawet i tu w mieście niedowiarki i niegodziwcy niektórzy wpadli do kościołka Pana Jezusa księży trynitarzów na Antokolu, i zaczęli przybierać wota srebrne i złote z ołtarza, i zdzierać szaty z obrazów. Takie jednak świętokradztwo i swawola nie uszły im na sucho! bo we dwadzieścia cztery godzin sądzeni, jak to dawniej powiadano, *kryzrechtem*, tamże na Antokolu kulą w łeb dostali. Dwóch ich było hersztów, ale zakamieniali heretycy!... ani księdza, ani spowiedzi, ani jakiegokolwiek przygotowania *in extremis* przyjąć nie chcieli. Idąc na plac śmierci, jeden jadł obwarzanki, drugi fajeczkę palił; a oba wesoło rozmawiali z tymi, którzy do nich za chwilę wypalić mieli. O Boże, Boże! okropnie to było widzieć taką obojętność około zbawienia duszy! a toć to dwóch potępieńców szło prosto do piekła... Nie wierzyłbym, gdybym własnemi oczami na to nie patrzał.

Patrząc na to wszystko co się działo, pan budowniczy Orzechowski kiwał głową i mówił:—Podług mojej *ekwanimii*, z takim niezliczonym ludem Bonaparte świat przejdzie, ale z takim niełademe kto wie, czy się wróci? Bogu to wiedzieć!

Codzień mi przypominał mój ks. definitor obietnicę upatrzenia mu sposobności widzenia Napoleona. Nie było to i trudno, bo codzień wyjeżdżał on z pałacu konno na lustrowanie wojsk przechodzących przez miasto; lecz że na to nie było godziny stałej, więc tłumy ludu chcącego widzieć go, zalegały od rana Biskupią ulicę, oczekując po kilka godzin na ukazanie się cesarza. —Choćby mnie przyszło cały dzień przesiedzieć na bruku—odpowiedział pater, gdym mu tę trudność objawił—prowadź mię, bracie! bo nie umrę nim go nie zobaczę, ot co jest!—Poprowadziłem go więc dnia jednego. Zdawało sił, że mu się przybyło na tę chwilę. W klasztorze ledwo przez kurytarz do kościoła mógł się przewlekać, i to za pomocą mojego ramienia; teraz przez ulicę po nierównym bruku szedł rzeźwo i żwawo. Posadziłem go na wschodach naprzeciw samej bramy Biskupiej.

— Jakże go poznam? *charissime!* zapytał on.

— Oto tak, *reverendissime!* Naprzód wyskoczy kilku, jak oni nazywają przewodników *), z których jeden tylko na przedzie, a wszyscy w szafirowych ze srebrnym haftem mundurach; potem dwie pary strzelców konnych gwardyi, z nabitą i podniesioną bronią; potem na siwym lub myszatym koniu, w ciemnym werdedragonowym mundurze z ponsowym kołnierzem **), bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową ***) na piersiach, w kapeluszu nie-

---

*) *Guides N. w.*

**) Mundur pułkownika strzelców konnych gwardyi. Długie jego poły na końcu wyłogów ozdobione były dwiema trąbkami, złotem wyszytemi, jako symbolem sławy. *N. w.*

***) Wielka gwiazda orderu Legii honorowej. *N. w.*

mieckim dwu -różnym *On*; potem generałów i rożnych assystentów, całych we złocie i srebrze, tłuszcza; nakoniec znowu kilkadziesiąt strzelców konnych gwardyi, i tyluż ułanów, którzy zwyczajnie zamykają kawalkatę.

Jak na szczęście nasze, ledwom dokończył mówić, huknęły bębny; a to był znak, że cesarz siada na konia, tłumy skupiać się poczęły. Ledwom mógł zrobić *rum* na przedzie starcowi. Wysypał się orszak z za bramy .. Chwycił on mię za rękę .. trzęsąc się jak osina, rzekł z przyciskiem; — To *On!* Ot co jest! *On!!!*

Przed nami o kilka kroków stał żołnierz z niedźwiedzim wysokim kołpakiem na głowie. Nie mogliśmy zgadnąć, dla czego on tu stoi? Wszyscy zadecydowali, że musi być tak potrzeba. Ale gdy Bonaparte go mijał, on postąpił krok naprzód i sprezentował broń. Cesarz się zatrzymał .. co już zupełnie poszło na rękę mojemu patrowi, bo prawie oko w oko mógł nań się napatrzyć. Przemówił *on* do żołnierza, zapewne pytając się: jaki ma interes? Żołnierz podał mu papier jakiś zatknięty na bagnecie—zapewne suplikę. Bonaparte przeczytał; we środku było jeszcze kilka innych papierów, te przeglądał; mówił znowu z żołnierzem; nakoniec skinął na jednego ze swoich generałów, ten się przybliżył, wziął odeń krzyż z piersi a nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem.

Kiedyż to krzyknie na całe gardło ów żołnierz: — *Wiwlamperer!* —a to znaczy: wiwat cesarz! jak mi ksiądz definitor wytłumaczył; i uczyłem się tej eksklamacyi, bo codzień o uszy obijała się. Ujrzeliśmy tego wąsala z kresą przez łeb i twarz, który nie przestawał wrzeszczać jak waryat, całował krzyż swój, a łzy przecież ocierał, i śmiał się, ściskał zgromadzonych około niego kamratów, i nareszcie kogo napadł,

— No, idźmy nazad, *reverendissime*! rzekłem. Ale on stał jak osłupiały, aż się przeląkłem. — Widziałem go więc! widziałem szeptał sobie pod nosem, ani zważając na mnie—widziałem go! Ot co jest! *Nunc dimittis Domine nuc dimittis*... — Idźmy— powtórzyłem. - Ha! idźmy—odezwał się nakoniec, opamiętywując się; ale ledwo nogami mógł sunąć, i z półgodziny wlekliśmy się do klasztoru.

— Cóż myślisz? *reverendissime!*—zapytałem, dawszy mu nieco odpocząć i widząc go zadumanego.

— Co ja myślę? bracie mój! co ja myślę?... oh! tego i nie wymówić!!! Przeżyłem lat tyle! patrzałem na tyle rzeczy i spraw ludzkich! w ostatniej mojej godzinie ujrzałem potęgę ludzką w najwyższym stopniu i w jednym człowieku!!! Ot co jest! Dość więc życia dla świata!

— Ależ ojcze! prośmy Boga—rzekłem— aby nam życia przedłużył, abyśmy zobaczyli przynajmniej, jak się to wszystko zakończy?

— Jak się zakończy?.. jak się zakończy?.. — mówił dalej rozmyślając ojciec definitor — rzeczy nadzwyczajne, nadzwyczajnie i kończyć się muszą... Swiat się oczyszcza przez ogień, jak żelazo w hucie... Ludzkość wre, kipi, topi się, mussuje.... Ot co jest!... Żużle rewolucyjne niedowiarstwa, bezbożności i błędów, spływają na wierzech, w brudnych, czarnych, nieczystych fuzach... Szumują one, wyrzucają precz i do reszty wyrzucą... Tak przewarzona różnorodna massa myśli i wyobrażeń ludzkich wyklaruje się, zleje się w jeden czysty metal.... i spływać będzie w formę Chrystusowego krzyża. Ot co jest

— Niewiele ja z tego rozumiem, ojcze! — rzekłem — ale cóż to ma wspólnego z Bonapartem?

— O ty głowo do pozłoty! co wspólnego? co wspólnego?... Toż wielki hutnik, który warzy tę rudę, miesza ją, szumuje... wichrami poddyma i podżega płomień.... i chcąc, czy nie chcąc, ulepia materyały na krzyżową formę, w której czysty metal ma zastygnąć... Ot co jest! Zresztą *digitus Dei hic est*, a więc wszystko może się zakończyć jawnym dowodem.., że Bóg tylko jest Wszechmocnym i Wszechwiedzącym.. a człowiek choćby najpotężniejszy... Ale w głowie mi się plącze... Ot co jest! Daj mi bracie pokój z pytaniami... *Fiat voluntas Tua Domine!* — rzekł, podnosząc oczy w górę, i modlić się zaczął. Przerywać mu nie śmiałem, choć ciekawy końca tego proroctwa.

TESTAMENT KS. DEFINITORA.

XXV.

Oh! przyszedł nakoniec bolesny dla mnie moment, gdy się rozstać musiałem na zawsze z kochanym moim i czcigodnym ojcem w zakonie, w którym kilkadziesiąt lat wieku mego przeżyłem, i któremu winienem wytrwanie w powołaniu mojem. Mądry człek, a przecież *re et nomine* zakonnik! nie tak, jak niektórzy, Boże im odpuść! lizną tam nieco łaciny i teologii, i już jubilaty, już doktory, na biednych braci kwestarzy ani patrzą, choć z ich łaski i tłustą baraninę jedzą, i piją *de puro grano*. Niech w Bogu spoczywa! Ale ja, po jego śmierci, sierota.

Na trzeci dzień po owem naszem oglądaniu cesarza Bonapartego rzekł staruszek do mnie: — Bracie Michale! codzień słabieję, i bodaj dziś umrę. Ot co jest! Schodź wasze i poproś do mnie ojca spowiednika.

Stałem jak wryty i patrzałem mu w oczy, nakoniec łzy mi popłynęły potokiem

— Ot co jest, bieda mi z tobą! — rzekł on, ocierając także powieki. — Prawda, wyznaję, żal mi cię, bracie Michale! przyjacielu mój wierny! Pójdź, uściśniemy się raz ostatni. Ot co jest!

Rzuciłem się w otwarte ręce jego, a wnet upadłem na kolana i nogi jego całowałem..

— Błogosławię cię, synu mój! — rzekł on, — Mnie to niegdyś niegodnego sługę swego, obrał Bóg za narzędzie ku powołaniu cię na drogę zakonnego żywota, który potem razem przebywaliśmy. Jeżeli mi Bóg dozwoli widzieć Najświętsze Oblicze swoje, błagać Go będę, aby ci dał w pokoju i cnocie, jak dotąd, dotrwać do końca. A tymczasem znieś mężnie i z pokorą ten nasz rozdział do czasu... Ufam w Jego miłosierdziu: On nas połączy. . Ot! co jest! Idź bracie po spowiednika.

Dzień cały przebywszy na modlitwach i opatrzywszy się w Sakramentach zapasem podróżnym, jak sam powiadał, na drogę do wieczności, wieczorem zaprosił do siebie księdza kustosza, i za jego dozwoleniem rozdysponował swoją ruchomostkę, dając i w tem przykład uległości zakonnej. Bo choć sam nie raz był prowincyałem, i chudoba jego najwięcej z podarunków przyjaciół była złożoną, a zatem bynajmniej do klasztoru nie należała, wszelako i tą rozrządzać bez woli zakonnej zwierzchności nie chciał.

— Rób co chcesz: *reverendissime* — rzekł ks. kustosz. Ja i słuchać tego nie chcę, żebyś miał tak rychło umrzeć.

— Stanie się jak Bóg chce, kochany ks. kustoszu! ot co jest! a tymczasem, za twojem dozwoleniem, niech tak będzie.

-- Krzyż mój z koronką, który noszę na piersiach, odkazuję bratu Michałowi. Niech on po mojej śmierci zdejmie go z moich, a włoży na swoje piersi, a własny niech mi w zamian da do trumny.

— Ależ, *reverendissime*, to krzyż zloty — ozwał się ks. kustosz — ziarna koronki ze słoniowej kości. Warto, aby ozdabiał pierś zasłużeńszego w zakonie, równego naprzykład w powadze tobie samemu, ojcze!

— Prawda -- odpowiedział starzec — krzyż to złoty, a zawiera w sobie rzecz droższą nad złoto i klejnoty, bo partykułę drzewa Krzyża świętego. Ot co jest! Darował mi go razem z koronką ś. p. książę Karol Radziwiłł, ordynat nieświzki, na pamiątkę, żem był jego spowiednikiem lat sześć, za mego gwardyaństwa w Nieświżu.

— Panie kochanku! — rzekł on, wkładając na mnie tę koronkę — daję waszeci ten krzyż z mojego skarbcu na to, abyś został kardynałem, bo to krzyż kardynała Radziwiłła, który zostałby pewnie i papieżem, ale w czasie sejmików tam w Rzymie, jakiś włoch kondemnatę jemu zarzucił.

— Ojcze! — rzekłem — ksiądz kustosz słusznie mówi, że krzyż tak drogi, i ze świętości i z pamiątki i z wartości, nie może być na moich piersiach. Zawieśmy go na ołtarzu, jako wotum za zdrowie twoje, ojcze, i za przedłużenie życia twego.

— Ot co jest! księże kustoszu!... Ot co jest! — rzekł starzec, a ks. kustosz spuścił oczy.

— Zresztą — dodałem — zapomniałeś może ojcze, że i ten

krzyż, który noszę jest darem twoim?

— Nie, nie zapomniałem. Jam włożył na ciebie ten prosty bernardyński, jam teraz chciał go z tobą zamienić na złoty. Ot co jest! Ale, twój projekt jeszcze lepszy. Nie prawdaż ks. kustoszu!

Ksiądz kustosz zarumienił się mocno... co spostrzegłszy definitor — *mea culpa*! zawołał — *mea culpa*! zgrzeszyłem! daruj konającemu dla miłości Boga! Czyliż mi to czas teraz urągać ze słabości ludzkich, gdy z własnych grzechów mam zdać rachunek? — Chciał starzec ucałować rękę kustosza; ale skrucha ta jego i pokora tak wzruszyła kustosza, że wyrywając rękę, sam upadł do nóg starca, i — ojcze świątobliwy! — zawołał rzewnym głosem — mnie błogosław, mnie odpuść i rozgrzesz z winy i zgorszenia, które pożądaniem krzyża tego, dla złota nie dla świętości jego, popełniłem. *Mea culpa! mea maxima culpa*! Naznacz pokutę, dyscyplinę, a daruj! to i Bóg miłosierny darować raczy.

Popłakali się ojcowie, ja z nimi trzeci; poklękaliśmy potem i zmówili *Sub Tuum praesidium*

— Oto jeszcze mój pektoralik, także w podarunku mnie dany od księcia Macieja Radziwiłła kasztelana, za assystencyę i mowę przy ślubie jego z Chodkiewiczówną Zacny to i bogobojny pan. On także poszedł już za księciem Karolem... Oh! wkrótce się z nimi zobaczę. Regularny bardzo zegarek, oddaję go tobie, ks. kustoszu!

Ks. kustosz aż odskoczył.

— Nie lękaj sie, *reverendissime*! — oddaję ci go jako depozyt, i w obecności oto brata Michała obowiązuję cię, albo żebyś go sprzedał, albo zatrzymując dla własnej wygody, wartość onego rozdał na ubogich za moją duszę. — Nauczyłem cię, bracie Michale, zażywać tabaki, tobie więc *bona fide* należą się moje dwie tabakierki i puszka z tabaką. Ot co jest! A także ten kałamarzyk podróżny wygodnym dla ciebie będzie w twoich kwestarskich peregrynacyach, na skład twych raptularzów i dyaryuszów, szafę z książkami odnieście do biblioteki klasztornej. Jest ich ze dwieście. Niech służą na pożytek duchowny braciom. Reszta ubogich rupieci jest *secundum regulam nostram* własnością klasztorną. Ot co jest! i po wszystkiem.

ŚMIERĆ KS. DEFINITORA.

XXVI.

Wieczorem zasłabł mocno nieborak; w nocy wszakże zdawał się zasypiać. Siedziałem w pierwszej celi, pilnując go. O północy wstał i wyszedł nagle ku mnie, aż się przeląkłem.

— A cóż to? bracie! rozumiesz, żem upior? — rzekł, widząc

moje zdziwienie. — Chodź ze mną do kościoła. Zebrałem ostatki sił, aby ostatni raz polecić duszę Bogu w Jego przybytku. Zaprowadź mnie, bo sam nie dojdę. Ot co jest!

— Prawda; ale po drodze zastukamy do brata zakrystyana, obudzimy go. Pójdzie z nami i otworzy nam kościół przez chór.

— Ależ mój ojcze! kościół zamknięty o tej porze. — Myślałem, że się zapomniał.

Więc prowadziłem starca przez ciemne kurytarze; ale że dobrze wiadome, a mieszkaliśmy na dole, więc stało się, jak żądał.

Brat Hilary, choć zdziwiony i nieco kwaśny z przebudzenia, otworzył nam jednak kościół.

Zostaliśmy sami jedni, lampa tylko na środku wisząca migała bladem światełkiem, a cały kościół był ciemny.

Starzec zdjął z siebie krzyż swój złoty z koronką, ucałował go, mnie dał do ucałowania, i złożył na ołtarzu. — Dzięki tobie, bracie! — rzekł do mnie — za myśl zbawienną ofiarowania Bogu tego votum. Pamiętasz tę chwilę w Mińsku, gdym w nocy w kościele modlił się z tobą, prosząc Boga, aby duszę twą odjąwszy marnościom światowym, skłonił ku służbie swojej; a toż ta sama chwila północna, chwila po kilkudziesięciu latach!... Módl się teraz za mną, prosząc Boga, aby moją duszę, wyzwalając ze świata, przyjął do służby swej wiekuistej. Ot co jest..

Ukląkł starzec na stopniach wielkiego ołtarza; ale nie mogąc się utrzymać na kolanach, krzyżem się położył.... Nie słyszałem modlitw jego, sam leżąc za nim krzyżem na podłodze kościelnej i modląc się serdecznie, słyszałem tylko westchnienia i łkania...

Tymczasem brat zakrystyan oznajmił o nas ks. kustoszowi. Nadszedł on cicho i ukląkł za nami tak, żeśmy go nieposłyszeli. Powoli i więcej ojców zbierać się poczęło, bo wszyscy kochali i i wielbili starego swego definitora, i poklękali obok ks. kustosza. Posłyszawszy szmer niejaki, obróciłem głowę, i spostrzegłem ich w cieniu jak mary klęczące, które lampa kiedy niekiedy migając oświeciła... Mrowie mię jakieś przebiegło.... Po dość długim czasie, gdym nie słyszał ani westchnień, ani modłów starca, bojąc się, aby mu tak długie leżenie krzyżem nie zaszkodziło, i biorąc go pod ręce, rzekłem — Wstań, ojcze!...

O Boże! już on nie żył! Przerażony krzyknąłem.

Ks. kustosz i wszyscy bracia przypadli do mnie, zdjęto lampę, oglądaliśmy zmarłego. Oczy zawarte.. zimny... ale twarz spokojna, blada, jakby uśpiona, a nie zamarła. Bo też i usnął on w Bogu przed jego ołtarzem. Płakałem, oh! płakałem, jak nigdym w życiu nie płakał! położyliśmy trupa na ziemi, zakryliśmy go całunem, i wszyscy znowu poklękali. *Requiem aeternam dona ei Domine!* rozległo się trzykrotnie po ciemnym kościele. Bracia się wysuwali potem w milczeniu i nikli za filarami... ja tylko klęczący przy zwłokach mojego dobroczyńcy, modliłem się za jego duszę, i dogorywająca lampa migała po całunie.

XXVII.

Tylko z nałogu już, mój dyaryusz kontynować zaczynam. Cóż mi po nim? Poszarpany, podarty, poszedł w największej części na ogień, pod garnuszki francuskie. Ledwo tylko kilka seksterników najpierwszych, i ten ostatni potrafiłem wymknąć z rąk tych ludożerców. Wprawdzie niema czego żałować, jednakowoż miło mnie czasami odczytywać moje własne dzieje. Przez tyle latek zebrało się różnych historyj, różnych ciekawych ewentów, na które *suis oculis* patrzałem; różnych perskrypcyj doktorskich, za które nieraz baranów dostawałem; a dziś tego wszystkiego pasz! i nawet kałamarzyk piękny nieboszczyka ks. definitora, *fiat pax* duszy jego, skórką obity, zamykany na wnętrzny zameczek, potrzaskany i rozłupiony, wala się za piecem. Podobno Bóg za to na mnie to spustoszenie dopuścił, żem sercem mojem nadto był przylgnął do tej mojej pracy, żem często mędrszym się sądził od braci moich, dla tego, że pisałem te raptularze. *Vanitas* to była. Dziękuję więc Bogu i za to zmartwienie, bo ono mię w grzechu poprawia. Odtąd więc choć pisać będę, lecz nie rojąc stąd żadnej sobie chluby lub zasługi, i tyle tylko, ile mi czasu zbędzie od klasztornych posług i obowiązków, których, Bogiem a prawdą mówiąc, nieraz się dla raptularzów zaniedbało.

Po śmierci mego benefaktora, jeszcze kilka tygodni przebyłem w Wilnie, ale samotny i chory, bo spać i jeść nie mogłem z wielkiego po nim żalu. Ksiądz kustosz pocieszał mnie łaskawie i nie obarczał mię żadnymi prawie obowiązkami, aż dnia jednego wszedł on do mnie i rzekł:

— Bracie Michale! grzech jest tak srodze poddawać się żalowi, jest to sarkać przeciw wyrokom Boskim. Nie mówię, ja abyś zapomniał o swoim ojcu duchownym i serdecznym przyjacielu. Módl się za jego duszę. Tak mu najlepiej odwdzięczysz jego miłość dla ciebie. Ale ponieważ w Wilnie trudnoby ci było uspokoić się, gdy cela twoja własna przypomina ci w każdym momencie twoją stratę, a zatem postanowiłem wyprawić cię stąd dla twego własnego dobra. W klasztorze naszym Bienickim *) potrzebują kwestarza. Ks. prowincyał (a właśnie przybył on przed dwóma dniami) naznacza tam ciebie. Oto masz i obediencię. Obowiązek znajomy i upodobany tobie, do którego przez tyle lat nawykłeś, rozerwie cię, a doskonałość w tem twoja wesprze tamtejszą niebogatą naszą kongregacyę. Sęk tylko w tem jak się tam dostaniesz? Dać ci konia klasztornego, to na pewną stratę; bobyś i miasta nie przejechał, a miałbyś już towarzyszów na kałamaszce, a raczej nie miałbyś i kałamaszki.

---

*) Bienica — miasteczko i klasztor księży bernardynów w powiecie Oszmiańskim.

— Nie ma nad czem myśleć, *reverendissime!*— odpowiedziałem.— Nieraz, jako i powinienem, wyprawiałem się piechotą z klasztoru do klasztoru, a przecież, za łaską Bożą a dobrodziejstwem poczciwych ludzi, na porządnych brykach odjeżdżałem na miejsce. Więc jutro wyjdę, *reverendissime!* Dziś dozwól mi jeszcze pomodlić się na grobie ojca definitora.

— Nic nie nagli, *charissime!* Wybieraj sobie dzień najdogodniejszy. Prócz tego, pomówię z ks. prowincyałem przełożę mu trudność dostania się do Bienicy, bo i piechotą niełatwo tam dojdziesz, gdy po wszystkich drogach wleką się marodery za armią i rabują a odzierają.

— Nie, ojcze!—odpowiedziałem.—Słusznie osądziłeś, że mi Wilno porzucić trzeba, bo tu darmobym chleb klasztorny zjadał a na żadne zatrudnienie zdobyćbym się nie mógł; a w oddaleniu od tego feralnego dla mnie miejsca, lżej mi będzie na sercu, w wypełnieniu zaś obowiązków moich znajdę może pociechę. A tak jutro rano, przyjąwszy na drogę twoje, *reverendissime*, błogosławieństwo, wyjadę. Maroderów nie lękam się, bo cóż u mnie zrabują? habitu przecież nie zdejmą, bo i ten łatany.

Nazajutrz więc wybrałem się w podróż. Po mszy świętej dał mi benedykcyę ks. kustosz, który od owego krzyżowego wieczora łaskawszym był na mnie widocznie; dawał mi nawet francuskiego talara na drogę, ale ja podziękowałem, bo nie byłem bez zapasu, z którego wziąłem tylko jednego dukata, i tego wkopałem głęboko aż na same dno do tabaki; resztę zdałem w kustodyę, poczciwego brata zakrystyana, jemu także zostawując w depozycie do spokojniejszych czasów puszkę piękną cynową z tabaką nieboszczyka ks. definitora, i jedną jego tabakierkę *per modum* srebrną; a drugą prostą drewnianą, ale którą jakby ze złota ulaną szacuję, bo i to jego pamiątka, wziąłem z sobą. Oh! czemużem i moich raptularzów nie zostawił? ale nie mogłem jakoś z nimi się rozstać. Spakowałem więc do kałamarzyka, kałamarzyk zawiązałem na plecach, kij w rękę, i w Imię Boże, pomaluczku, *per pedes Apostolorum!* marsz!

WĘDRÓWKA DO BIENICY.

XXVIII.

Cesarz Napoleon Bonaparte już wyjechał z Wilna, wyruszywszy za swojem wojskiem, które jak powódź popłynęło ku Dźwinie; ale po wszystkich traktach wlekło się żołdactwo, i pomimo srogich zakazów, rabowało bez miłosierdzia, tak, że wszystkie dwory około traktów, a nawet i o kilka mil wgłąb kraju, splądrowa-

ne pustkami stoją. Bóg dał tego roku nadzwyczajnie obfity urodzaj. Aż miło patrzeć na pola zbożami okryte! Koszą to wprawdzie zielone zamiast siana, ale gdy i skoszone odrasta, więc zostanie dosyć!

Ledwom wyszedł za miasto, napędziło mnie czterech francuzów. Idą obok mnie. Spoglądamy na siebie. Idziemy aż pod Niemieżę. Nakoniec zaszwargotał jeden do mnie.

Myślę sobie, że to naród oświecony, jak powiadają; między czterma, choć jeden może umie po łacinie? rzekłem więc:

— *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio.* Spójrzeli po sobie, i znowu do mnie po francusku.

Odpowiadam na los szczęścia:— *Ego sum ex conventu Vilnensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum; Bienitiam proficiscor.*

— B o n, b o n, s e b o n —odezwali się; a potem bez ceremonii, dwóch mnie za ręce przytrzymało, a dwóch odwiązali mój kałamarzyk, usiedli na ziemi, i pałaszem około zamku majstrować poczęli.

— Stójcie!—krzyknąłem po polsku już— pieniędzy tu nie ma—i podałem kluczyk.

— B o n, b o n, s e b o n—poklaskali mię po ramieniu, odemknęli, przebrali papiery, a nic więcej nie znalazłszy, rzucili skrzynkę na ziemię, i poszli dalej. Pozbierałem więc papiery, uwiązałem znowu kałamarzyk na plecach, i rozumiałem, że już między nami kwita.

Ale o kilkanaście kroków znowu mię zatrzymali, zdjęli z siebie dwie cielęcinki, to jest, tłomoki swoje wojenne, i na mnie je gwałtem włożyli. Szamotałem się wprawdzie, krzyczałem i po polsku i po łacinie:—*Non possum, senex et debilis sum!*—A oni swoje! -B o n, b o n, s e b o n! M a s z y r k a m r a t, m a s z y r!—I przy tej perswazyi, pokazując mi argument *ad hominem,* to jest, bagnet, skonwinkowali mnie zupełnie tak, że dźwigając dwie cielęcinki, szedłem spokojnie pod ich konwojem.

Co mila luzowali na moim grzbiecie swoje tłomoki, aby każdy z nich równą miał ulgę, i za każdym takim popasem traktowali mnie wódeczką ze swoich manierek. Dobrej gdzieś judasze dopadli staruszki. Łyknąłem z biedy, choć od gorąca i ciężaru pot ze mnie lał się kroplami; a oni śmieli się jeszcze, szwargocąc między sobą, i znowu:—M a s z y r k a m r a t!

Tak wędrowaliśmy aż do Miednik. Nieraz zatrzymałem się, aby odpocząć. No, to niebronno było. Usiadłem sobie na kamieniu i oni koło mnie; dobyłem tabakierki, potraktuję ich tabaczką, zażyją; a jak poczną czchać, to ja krzyczę: — *Vivat!*—a oni w śmiech, i—B o n k a m r a t! — I ja też sobie drwię z nich w duchu,— Oho! mądrzy wy jesteście—myślę - ale zgadnijcież! oto dukat wam pod nosem, a nie zwąchacie! nie! Więc i ja się śmieję. Słowem, w dobrej maszerujemy komitywie, ale cóż, kiedy cielęcinek nie zdejmują.

W Miednikach pustki. Dwór, wieś, karczma, plebania, bez okien; kościół stoi otworem i spustoszony; sklepy nawet otwarte i trumny powywracane. Ani żywego ducha nigdzie, prócz kilkunastu kamratów, podobnych moim, a gospodarujących po tej ruinie. Kilka psów wyło na śmietniskach, i kilka kogutów, przelatując ze strzechy na strzechę, piało, jakby urągając rabusiom.

Nie długi jednak był ich tryumf. Cel, pal, i kogut na ziemi. Pobili wszystkich. Prosię jakieś wybrnęło na ulicę, i temu w łeb. Garnków po chatach się znalazło, a zatem postanowiono gotować obiad.

Jam się położył na ziemi. Wszyscy pozdejmowali tłomoki, więc i ja odpiąłem moje. Ale też oni i skrzynkę moją odpięli i złożyli razem. Poznałem, że to dla tego, abym nie uciekał.—Trudno—pomyślałem—uciekać od takich ichmościów, którzy kulą cię dopędzić mogą.

Rozłożono więc ogień w ogródku wiśniowym jakiegoś chłopka, a do mnie odwrócili się i wrzeszczą:—K l e b a! k l e b a!

— A zkąd ja wezmę?—krzyknąłem wzajemnie —Nie ma kleba!

— N i e ma k l e b a! — powtórzyli żałośnie, i pokazali na dwór, do którego iść z nimi musiałem.

Cóż z tego? Próżno tam szukać, gdzie tysiące podobnych mistrzów przed nami szukało. Kręcili tylko głowami, rozbijając i niszcząc wszystko do reszty, a za całą zdobycz, wynieśli tylko szczypce złamane i pół talerza. Każdy podchodził do mnie i powtarzał:—N i e ma K l e b a—Aha nie ma kleba!—odpowiadałem.

Powróciliśmy. Ale jakaż moja była rozpacz, gdym spostrzegł, że kałamarzyk mój rozłupiony, a jeden z tych herodów drze moje raptularze i pod drewka podkłada, aby się lepiej paliły! Wyrwałem mu ten, który w ręku trzymał, i porwałem skrzynkę, w której jeszcze z parę się zostało.

Patrzał mi on w oczy z zadziwieniem i złością, nareszcie porwał się do mnie z pałaszem, ale moi kamraci podróżni stanęli w mojej obronie. Zaczęła się zwada. Moi także dobyli pałaszów, inni chwycili za karabiny. Więc ja widząc, że przyjdzie do krwi rozlania za moje szpargały, wpadłem między nich i machnąłem ręką, aby się uspokoili. Stanęli zadziwieni.... a ja moją skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

Spójrzał on znowu na mnie, postawił skrzynkę na ziemi, a mrucząc, odszedł spokojnie i usiadł przy ogniu.

Wszyscy inni rzucili się do mnie, zaczęli mnie ściskać, całować, ledwo mię nie udusili; klaskali po ramieniu.— B o n, b o n, s e b o n! V i v a t k a m r a t!—Ha!— pomyślałem sobie—ci ludzie rozumieją jednak i znają szlachetność; jakże to dziwne, że rabują i palą! jaka dziwna mieszanina złego i dobrego!

Zato smacznyż był nasz rosół, a jak oni nazywali s u p, znaczy się zupa, którą zgotowali; mieli jednak w swoich blaszan-

kach ryż i sól; a że jeść się chciało bardzo, więc uszła i mnie nawet za najwyśmienitszą. Szanowali już mię teraz, posadzili na pierwszem miejscu, i dali srebrną łyżkę z herbem Kościesza, widać u jakiegoś szlachcica zrabowaną.

Gdyśmy po posiłku zabierali się w dalszą podróż, spostrzegłem, że każdy z moich pierwszych towarzyszy kładł na siebie swoje tłomoki, a moją pobitą skrzyneczkę, którą ja paskiem moim związałem, podpalacz wziął na siebie. Rozumiałem, że ma ją przywłaszczyć, i już nie chciałem się upominać, aby znowu do batalii nie dać powodu. Poznawszy moją wątpliwość, obrócił się on do kamratów i perorował coś do nich. Wysłuchawszy, uścisnęli go, a mnie na migi dali poznać, że on przez wdzięczność chce mi tę ulgę uczynić. A więc także ścisnąłem go za rękę, i nie chciałem na to przyzwolić; ale on nie uważał na moje protestacye, i poniósł kałamarzyk na sobie.

Pod wieczór weszliśmy do Oszmiany, w której nie można było rabować, bo był komendant placu i niejaki porządek.

Dano żołnierzom kwatery, a ja przed rozejściem się naszem zebrałem ich wszystkich około siebie w kupę, dobyłem tabakierkę i potraktowałem wszystkich, a potem w ich oczach wykopałem z pod tabaki dukata, i okazałem każdemu w oczy. . . Spójrzeli po sobie, pokręcili głowami i rozśmieli się do rozpuku. Rozmieniłem i za całego pół rubla kupiłem obwarzanków i rozdzieliłem między kamratów.—B o n ! b o n k a m r a t !— krzyczeli! a ja, odebrawszy mój kałamarzyk, udałem się do ojców dominikanów, którzy mię przyjęli *benevole*; a nazajutrz z blizkim sąsiadem z Bienicy, panem Szczepanowiczem pisarzem, bezpiecznie i wygodnie tu zdążyłem.

NIEBOSZCZYK KOCIEŁŁ.

XXIX.

Pan pisarz, wielki *gadativus*, prawił mi w drodze rozmaite historye; ale między niemi rozpowiedział ciekawą rzecz o samejże Bienicy, do której dążyłem; co, wedle mego zwyczaju zapisuję tutaj.

— Czy już mieszkałeś kiedy w tej rezydencyi? —zapytał on mnie.

— Nie. Pierwszy raz tam będę.

— To nie wiesz zapewne, z jakiej pamiątki założony tam wasz kościół.

— Nie wiem, dobrodzieju!

— To ja ci powiem.

— Proszę najuniżeniej i słucham.

— Oto tak było *). Dobra te należą oddawna do możnej i bogatej na Litwie rodziny Kociełłów. Jeden tedy z ich antenatów powracał z jakiejś podróży do domu, a mieszkał pono w Mołodecznie, bo i Mołodeczno *quondam* do Kociełłów należało, i niedawno jeszcze *per exdotationem* przeszło do imienia Ogińskich. Przelęknione czegoś tam w drodze konie jego uniosły, wzięły na kieł i leciały jak szalone, cugle pękły, stangret spadł z kozieł, a pan Kociełł bez żadnej salwy, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu. Nagle przyszła jemu myśl, od Boga widać natchniona, uczynić jakie pobożne wotum. Postanawia więc wymurować kościół i uczynić fundusz na tem miejscu, gdzieby konie stanęły.

Ledwo myśl ta jak błyskawica mknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką w tył targnięte, zaryły się i stanęły.

Pan Kociełł wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, czy jakąś tam *pitumannę* modlitewkę swoją, ponowił wotum, i we dwa lata na tem samem miejscu gdzie mu Bóg życie zachował, słuchał mszy świętej.

Mało na tem, mości dobrodzieju! — pod kościołem zmurował on dla siebie w ziemi sklepik osobny, i przeżywszy matuzalowe lata, tam się i położył. Lecz gdy czuł się słabym, kazał odmalować swój portret w całej postaci, przy nim stolik, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pieniędzmi jakoby; nawet na każdym worku ponaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami summę, którą on podyktował; i portret obok swego łóżka na ścianie zawiesił.**

Dziwili się wszyscy i odgadywali, coby to miało znaczyć? aż gdy wkrótce pan Kociełł oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne pod głowami, że obraz ten przenieść on rozkazuje do kościoła, i umieścić na ścianie nad jego sklepikiem; że summy na workach oznaczone, są zakopane w jego grobie i przeznaczone na podźwignienie kościoła Bienickiego, jeżeliby kiedy uległ zupełnej *konflagracie;* lecz aby bez takiej tylko ostatecznej potrzeby dobytemi nie były, sam zatem ich strzedz postanowił i dla tego w grobie własnym one zakopał, i świętokradzkim lub chciwym rękom nie da.

Otoż tedy przed laty kilkadziesiąt spalił się dach na klasztorze Bienickim; a był natenczas gwardyanem świątobliwy i przykładny kapłan, którego sam dobrze pamiętam, bom był potem na jego powtórnej prymicyi, ksiądz Czapkowski, i umarł on w Bienicy, przeżywszy lat sto z górą. On tedy osądził, że właśnie stał się *casus* naznaczony przez fundatora, i że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

---

*) Podanie. — *N. w.* **) autentyczne.

A więc po solennych egzekwiach za duszę jego, przystąpiono do odwalenia wielkiej i ciężkiej płyty marmurowej, pokrywającej grób pana Kociełła. A że nie chciano publikacyi tej roboty, więc wzięto się do niej w nocy, przy lampach, i w zamkniętym kościele, a kilku tylko patrów i przy nich kilku zaprzysięgłych braciszków pracować zaczęło.

Mrowie wszystkim po skórze przechodziło, i robota szła niesporo. Ks. Czapkowski modlił się bez przestanku i kropił pracujących, ośmielając ich i tłumacząc, że pieniądze te pójdą właśnie podług woli pana Kociełła, i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podważono kamień i podjęto na drągi. . . . Grób otwarty . . Pokropił go i schylił się doń ks. gwardyan chcąc zajrzeć w głąb. . . Wtem lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i porysował się na kilka części. . . a na dobitkę, w tym samym momencie, ogromny a okropny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich, i wszystkie lampy pogasły . .

Ojcowie i bracia padli na ziemię jak nieżywi, a każdy posłyszał jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: *Requiescat in pace!*

— Więc pan Kociełł nie dał pieniędzy?

— A oczywiście nie dał, i miał racyę, bo klasztor, to nie kościół, mospanie! a nawet zawarował sobie pokój przez to *requiescat in pace!* Otoż jak przyjdziesz do Bienicy, możesz zobaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swojem miejscu; kamień nad grobem porysowany na kilka części i szczelinę wielką na ścianie kościelnej, którą nazajutrz spostrzeżono, i którą chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.

Jakoż, przybywszy tu, wszystko własnemi oczami obejrzałem.

PRZED KWESTĄ.

XXX.

„I komuż przyszło kiedy na myśl pytać się kwestarza o je-„go przeszłość i rodzinę? Zapytują ich tylko, gdzie nocowali prze-„szłej nocy? i czy już po śniadaniu? Po czem nie czekając ani „twierdzącej, ani odmównej odpowiedzi, (bo też na to zimne py-„tanie porywa jakaś taka złość człowieka, że nawet po gwar-„dyańskiem śniadaniu gotówby był odpowiedzieć, że nie szkodziłaby

„jaka taka przekąska, rozkazują służącemu przynieść wódeczki dla „jegomości dobrodzieja, dają naprędce znak ekonomowi, aby wy„brał tam jakiegokolwiek półżywego barana, i zostawują cię przy „stoliku nad darem Bożym, nie pytając się już o nic więcej. Tym „świeckim ludziom zdaje się niemal, że kwestarz bernardyn mu„siał się urodzić bernardynem. I jak, pytam, po takiej czułości ze „strony ludzi, zakonnik nie ma nabrać wstrętu do świata, i nie „zamiłować swojego konwentu? *)" Tak mi się skarżył brat Placyd, mój poprzednik, kwestarz w tejże Bienicy, a który, zniechęcony tą *recepcyą* ludzką, nie chciał już więcej kontynować swej peregrynacyi, i przyjął kanaparstwo po zmarłym bracie. Dla tego mię i sprowadzono z Wilna.

Niestety! prawdę on powiadał. Sam nie raz bywam tak przyjęty; i tem bardziej mnie to martwi, że przypominam czasy, gdy wcale inaczej było; gdy wyprawując mię raz pierwszy na kwestę nieboszczyk ksiądz *Ot co jest,* upewniał mię, „że jest jakaś po„wszechna domowa skłonność do bernardynów; że pobożność, „dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie; że kwestarzy z goto„wym baranem oczekują jak bocianów na wiosnę"; i przepowiadał, „że źle będzie na świecie, gdy cnoty te wygasać będą; gdy szcze„rość, prostota i pokora nie będą już trafiały do serca, bo wten„czas jad niedowiarstwa i pogardy naszej religii rozszerzy się, jak „plaga egipska między narodem **)."

Otoż i zgadł. Patrzał on nawet na to zgorszenie, martwił się, *dulminował* z ambony, i przypominał mi swoje proroctwo. A jednakowoż przed śmiercią nie raz mi powiadał: „Nie bójcie się, „kupcie się tylko około krzyża z gorliwą wiarą i nadzieją. *Et „crux triumphabit super aspidem et basiliscum!* Bo Bóg, nie opu„ści sług swoich, i nie poda na poniewierkę niezbożnym swojej świętej nauki!" Dajże Boże, aby i to drugie proroctwo jego sprawdziło się czem prędzej. Oziębłość więc ta dla nas biednych kwestarzy, na którą tak się zawziął ksiądz Placyd, jest to mała gadzinka, biorąca jad swój z wielkiej kałuży niedowiarstwa po świecie rozlanej, bo to mało na tem, że nawpół żywego dadzą barana, że poczęstują wódeczką, od której człowiek trzy dni kotłem swędzi, ale jeszcze w domu szlachcica, którego ojciec poczciwie Boga chwalił i ludzi szanował, posłyszysz nie raz wyrazy i zdania, o których ani mu się śniło nawet. Religia, to fanatyzm; zakonnicy, to popi; artykuły wiary, to zabobon. W piekło jegomość nie wierzy, czyśca nie lubi, na niebo nie zasługuje, i sam nie wie, gdzie podzieje się po śmierci. Filozofia! filozofia! to u niego grunt, której że ja nie znam i znać nie chcę, to rzecz naturalna; ale że i oni nie znają, to tak mi Panie Boże dopomóż!

Nie raz, a co mówię nie raz? nie sto razy uszy mi więdły, słuchając takich bredni; a zawsze wolałem się odrzec barana, jak

*) Ob. d. c. **) Patrz wyżej, Wyjazd na kwestę.

potakiwać bluźnierstwu. Opisywałem ja takie wszystkie zdarzenia w moich raptularzach, i jak mi udało się nie raz i nie jednego niedowiarka *skonfundować* po kwestarsku, jak niegdyś owego francuza u starosty; ale to wszystko z dymem poszło pod francuską zupą w Miednikach.

Gwardyan nasz w Bienicy, *simplex Dei amicus*, był niegdyś profesorem *Infimy* w Cytowianach, na co niewiele potrzeba *sapientiae*. Ledwom wysiadł z wozu, ucieszył się mocno, i mówił szybko, cieńko, jakby lekcye recytując:

— *Salve* bracie! bratuniu! bratunieczku! *salve!* Jedź, jedź, jedź, zaraz, kwestuj, zbieraj, proś, bracie! bratuniu! bratunieczku! bo z głodu poumieramy. Objedli nas francuzi. Na trakcie żyjemy Gwałtu! Kiedym był profesorem *Infimy* w Cytowianach, zjadałem pierogi i łakocie od mamuniek mnie nasyłane, a teraz *panem nostrum quotidianum careo.* Jedź, bierz co dawać będą. Ziarnko do ziarnka, zrobi się miarka. Ratuj, bracie! bratuniu! bratunieczku! Konie wszystkie pozabierali. Jedź.

— A na czemże pojadę, kiedy wszystkie pozabierali?

— Zostawili jednego swego harharę. Osedniony i chudy, ale pod wierzchem dobrze chodzi. Smaruj go łojem i jedź, bracie! bratuniu! bratunieczku!

— Jest jeszcze jedno *impedimentum grave*—rzekłem.

— *Impedimentum*—przerwał mi staruszek—*est generis neutrius. Gravis, gravum, vel grave,* dobrze zgodziłeś. *Latine, scis bene et valde bene:* bo teraz łaciny nie usłyszysz ani na grosz, *amantissime fratercule!* to jest bracie! bratunieczku! Kiedym był profesorem *Infimy* w Cytowianach, to żaki mojej pilnując *notalinguae* lepiej gadali po łacinie, jak dzisiejszy pan jaki marszałek lub podkomorzy. A co do zgodzenia *generis masculini cum feminino*. . .

— Ale *reverendissime!* nie o to idzie—przerwałem mu niecierpliwie.— *Impedimentum grave* jest w tem, że jak kwestować, gdy marodery wszędzie się włóczą? Gdybym i dostał baranów, lub jakichkolwiek wiktuałów, to odbiorą pewnie. Daj Boże, abym sam przynajmniej na sucho uszedł.

- Manowcami, bracie! bratuniu, bratunieczku! lasami, błotami, jedź, dojeżdżaj, gdzie można. . . Prowodyra schowałem w lesie, zajedziesz po niego. Ratuj! jedź.

Widziałem, że nic nie pocznę z moim głodnym gwardyanem, poszedłem więc przygotować jakkolwiek wyprawę, choć źle bardzo o niej tuszyłem.

Nazajutrz urządziwszy jak mogąc kałamaszkę, i założywszy owego wielkiego kusego konia, zajechałem przed klasztor.

— Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku!—wołał na mnie z okna poczciwy profesor Infimy.

— Właśnie przyszedłem po benedykcyę twoją, *reverendissime*, na drogę.

— *Adde reverendissime pater!* bracie! bratuniu! bratunieczku! bo kiedy byłem profesorem *Infimy* w Cytowianach, inaczej mnie nie nazywano. A zresztą benedykuję, benedykuję; ale spraw tylko, abyśmy mieli co benedykować na stole.

— Przynajmniej-że daj mi innego woźnicę. Cóż pocznę z tym małym chłopczykiem? Jemu do mszy służyć, ale nie kwestarza wozić. Któż dopilnuje wozu, konia i baranów, jeśli ich Bóg zdarzy?

— A zkądże wziąść innego? Ten co był i woził brata Placyda, za młodu traktował żołnierkę. Postrzelany jak sito i pokiereszowany, przywlókł się tu nie wiem zkąd, i ufundował się w klasztorze, jak mówił, przy ołtarzu, do śmierci —Bóg tam z nim·— pomyślałem sobie –*restat:* bo prócz tego, od razu przydał się do woskowni i wyśmienicie stoczki ciągał. Ale potem zachciało się. mu jeździć po kweście, a nie chciał włożyć habitu; więc na to powiedziałem: –*Nego*. Bo kiedym był profesorem *Infimy*. .

— Ależ *reverendissime!* czas nagli.

— To nic, bracie! bratuniu! bratunieczku! Słuchaj tylko Otoż uparli się oba z bratem Placydem. Ja swoje, oni swoje· Skończyło się na tem, że on *semi*-socyusz, *semi*-woźnica, ofiarował się towarzyszyć kwestarzowi. Rzekłem tedy:— *Concedo*. I dobrze się powodziło; bo on *peregrynant* zawołany, prawiąc wszędzie *mirabilia* o swojem życiu, o krajach, gdzie bywał i wojował, o bataliach i szturmach, brał za to barany jak grzyby. My sami słuchamy, bywało, jego rozdziawiwszy gęby. Kiedy byłem profesorem Infimy w Cytowianach, to jeografię na klassę pierwszą sam umiałem na pamięć; a bywało nigdy nie mogę rozgatunkować, w której części świata on bywał i wojował. Otoż jak napłynęło wojsko, jednego dnia poznał on swoich dawnych towarzyszów; naprowadził tu ich do klasztoru. Nie rabowali to oni wprawdzie, ale objedli i opili nas do szczętu; a nasz *semiquestarius* chwycił w rekę karabin i pomaszerował znimi szczęśliwie. *Ad felix videndum!* bracie! bratuniu! bratunieczku! rzekłem i po wszystkiem. Bez niego, ani brat Placyd kwestować chce, ani furmana gdzie dostać. Jednakże to nic nie szkodzi, jedź! Chłopak twój choć mały. ale sprytny. Trzymaj go tylko w subordynacyi; bo kiedy byłem profesorem Infimy w Cytowianach, to to bywało *corona asinorum* na głowę i *flectat*, a wnet żaki *szarf!* razu jednego . .

— *Vale* —rzekłem—*reverendissime! vale! Ad felix videndum*— i siadłem na kałamaszkę.

— Jedź! jedź! bratunieczku! benedykuję i oczekuję! ratuj! oczekuję i benedykuję!

KWESTA.

XXXI.

Pan Bóg jednostajnie co rok obdarza nas darami swymi, ale tego roku nadzwyczaj nam błogosławi w urodzajach Jakie piękne zboża! jakie bujne kłosy! jaka obfitość daru Bożego! Ale wojna! wojna!. . . chociaż teraz przeszła jak wicher, i grzmi gdzieś tam od nas daleko, ale jeżeli powróci broń Boże, połknie wszystko, a może i nas samych. Bądź wola Twoja Panie!

Wyjechawszy z klasztoru, zawróciłem na manowce, bo ta jedna rada kochanego ojca profesora Infimy w Cytowianach, była dobrą. Już też i wypędzeni strachem i rabunkami mieszkańcy powracali do domów i krzątali się około gospodarki. Nie tak bardzo i ozięble mnie przyjmowano Wszyscy ze zwyczajnego toru zbici, o niczem nie myślą i nie mówią, jak o tem, na co patrzą; a niespokojni wyglądają, co będzie? W takiej niepewności niema czasu na filozofię. Kiedy trwoga to do Boga. Wprawdzie gdzie przeszedł rabunek, trudno żądać jałmużny; ale jednakże nie jeden gospodarz, widząc na polu i ciesząc się z pięknego żytka lub pszeniczki, a niepewny, czy one szczęśliwie zwiezie do gumna, na tę intencyę ofiarował mi assygnatę na jesień i do klasztoru odesłać obiecał; nie jedna mamunia, zaprowadziwszy mię w kątek, z płaczem wetknęła rubelka, na intencyę, aby synek szczęśliwie z wojny wrócił: a nikt przecie do świętej filozofii na mszę nie dawał Przyszło mi jednak spotkać się i z tą zarazą, a to jeszcze na tem miejscu, gdzie cnoty chrześcijańskie najozdobniej kwitły - jako o tem niżej.

Już o mil dziesiątek oddaliłem się od klasztoru ku Niemnu, i kilka baranów wlekło się za prowodyrem, gdym zdaleka dostrzegł dwór wielki, a we wsi dowiedziałem się nazwiska pana. Nazwisko to przypomniałem wnet: dwór to był bowiem starosty, ów, w którym przed laty tak hojnie obdarzony byłem. Dowiedziałem się także z żalem, że oboje to bogobojne państwo poumierało, że syn ich, to miłe wtenczas paniątko, sukcedował po rodzicach, i jest we dworze A więc choć pora była spóźniona i ciemno już, w Imię Boże zawróciłem do dworu.

Coś mi się w duszy smutno zrobiło, gdym wjeżdżał na dziedziniec . . czy to przypomnienie lat młodszych i lepszych? czy poczciwych ludzi, których tu poznałem, a niepewny byłem, że żyją jeszcze? Oj czas, czas! Dobrze mówił nieboszczyk mój ks. definitor: *Tempus edax rerum!* a w przysłowiach wojewodziń-

skich stoi: *Contra vim mortis non est medicamentum in hortis*— przeciw srogiej Libitynie nie masz rady w medycynie! Zawinie się ona bodaj wkrótce i koło mnie.

Tak dumając, kazałem chłopcowi poszukać stajni, i sam szedłem, gdzie się świeciło, a świeciło się tylko z okien jednego pałacowego skrzydła.

W sieniach ani żywego ducha. Dalej przeszedłem jeszcze kilka pokojów, kierując się na krzyki i śmiechy, które mi do uszu dochodziły.

Wszedłem nakoniec do wielkiego pokoju, i znalazłem siedzących za stołem kilku panów, jednych z żołnierska, innych z węgierska ubranych, hołdujących królowi egipskiemu i razem Bachusowi, bo przed każdym kupy złota, karty i kielichy z winem stały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— A to co za pop?—razem wymówili.

Nie było ani z jednej, ani z drugiej strony odpowiedzi.

Znowu powtórzyłem: —*Laudetur Jesus Christus!*

I znowu zamiast chrześcijańskiego responsu—Zkąd cię tu licho przyniosło?

— A—pomyślałem sobie—pięknie trafiłem!

— Jestem ubogi kwestarz—rzekłem nakoniec. Rozumiałem, że trafiłem do chrześcijańskiego dworu; ale, jak widzę, wpadłem do jakiegoś *Pandaemonium*, bo i na chrześcijańskie pozdrowienie nie odbieram zwyczajnej odpowiedzi

—Zresztą, na wieki wieków—odezwał się jeden z nich.— Kto cię tu wpuścił?

— Nikt nie wpuszczał, i nikt nie bronił wejścia; a niegdyś wejście do tego pańskiego pałacu niebyło bronionem dla poczciwych ludzi.

— No, no, popie, nie gniewaj się. Albożeś tu był kiedy.

— Byłem, i nie zapomnę tego dnia, w którym poznałem znacznego, wspaniałego i bogobojnego pana tutejszego, starostę .. Niech w chwale Boskiej świeci jego dusza Rozumiałem że znajdę teraz podobnego ojcu syna, z którego natenczas cieszyłem się, bo w maluczkiej dziecinie już pańskie i chrześcijańskie okazywały się cnoty; ale widać, że go tu niema; a zatem na pożegnanie jeszcze raz *Laudetur Jesus Christus!*

— Stój! księże!—rzekł powstając od stołu i rzucając karty mężczyzna w mundurze gęsto srebrem szytym.—Jam jest syn starosty . . . . i gospodarz tego domu . . . .

— Tak, tak—dodał jakiś podpiły sampan—to nasz pułkownik, hrabia . . Czołem, panie! bo cię skropię!

— Mógłbyś to i uczynić, dobrodzieju!—odpowiedziałem—bo trzymasz kielich pełny, a sam jużeś się tęgo, jak widzę zakropił.

— Brawo!—rzekł inny.—Masz za swoje! To po kwestarsku. Skropże go za to, to jest, oddaj mu swoją szklankę.

Odsunąłem podawaną szklankę, a w milczeniu patrzyłem na starościca. On także na mnie.

— Znałeś mię dzieckiem powiadasz?

— Znałem, znałem cię, gdyś miał obok siebie anioła i dyabła, to jest, księdza kapelana i francuza. Och! któryż zwyciężył?

Odwrócił się starościc, przechadzał się po pokoju, przecierał czoło . . . to patrzał na mnie, to się odwracał; odsunął także podawany mu kielich . . .

— Tak—rzekł potem—tak, miałem przy sobie jakiegoś fanatyka . . . . a może był i poczciwy człowiek. Umarł . . . .

— Przecież za sprawą tego fanatyka—rzekłem znowu—serce twe młodziuchne skłaniało się ku dobremu Ofiarowałeś mi natenczas dukata, który ja z płaczem i błogosławieństwem przyjmowałem, a teraz . . . .

— A teraz rozumiesz-że mię być nieludzkim? Masz oto pięć takichże samych dukatów—rzekł, biorąc je z kupy złota na stole.

— Dobrodzieju!—rzekłem—gdybyś mi i całe złoto, które widzę na stole, oddał, nie będzie ono tyle u mnie znaczyło, ile tamten dukat. Rozumiesz mię, panie, dla czego?

Starościc znowu przeszedł kilka razy salę zadumany. Goście nań spoglądali i na mnie z ukosa. Nakoniec, jakby gwałt sobie czyniąc, odwrócił się do mnie. —Kaprysisz się, księże!—rzekł.— Co było, to było. . . przeszło... a dukaty zawsze jednostajne. .

Wtem wszedł lokaj i zawołał:—Wieczerza!

— Proszę—rzekł starościc—do kompanii i ciebie, księże! Przypomnimy się lepiej przy półmisku i szklance.

Gdyśmy usiedli do stołu, (a było to w tejże samej sali, gdzie przed dwudziestą z górą laty obiadowałem), przypomniały mi się wszystkie osoby, z któremi wówczas zasiadałem; stanęły mi w oczach . . . i oczy zaszły mi łzami. Nie jadłem; bo i prócz tego, był to piątek, a mięso na stole. Milczałem; podobno nawet na kilka kwestyj nie dałem responsu; a tymczasem cała wrzaskliwa drużyna gładko zajadała, a jeszcze gładziej piła.

Nakoniec odezwał się ten sam jegomość, który mię chciał skropić: Cóż milczysz? popku! Zarwę cię z teologii. Powiedz mi, gdzie w człowieku dusza siedzi?

Obudziłem się jak ze snu.—A wspomożże mię Panie!—pomyślałem—skonfundować tego chłystka.

— U żołnierza—odpowiedziałem który nie broń, ale szklankę ma w ręku, dusza siedzi w piętach.

Przygryźli usta wszyscy, uśmiechnęli się niektórzy i spójrzeli po sobie, a *homo quaestionis*, krzyknął:

— Słuchaj popie! ostróżnie z żartami, bo ci własną duszę wycisnę.

Pomiarkowałem, że tu za kwestę guza tylko dostać mogę, więc wstałem od stołu i wynieść się chciałem.

— Dokąd? księże! — rzekł starościc, czy pułkownik, jak go nazywano.—Nie uciekaj, bo dowiedziesz, że u ciebie dusza w piętach. Przebaczam ci żart, bo nie wiesz dla czego jeszcze tu jesteśmy. Gdy czas przyjdzie, powinności naszych do munduru przywiązanych nie zaniedbamy. Zresztą nie lękaj się, w moim domu nikt cię nie skrzywdzi. A ty — dodał, obracając się do pytającego się sampana — siedź i pij. Nie umiesz teologii, i dla tego cię zjeździł, a przy tobie i nam się dostało. Nie idzie o to, gdzie dusza siedzi, ale czy jest dusza? w tem grunt.

— Dowiedź mi, kwestarzu, że jest dusza, to ci dziesięć baranów dać każę! albo lepiej dam ci dziesięć dukatów, bo baranów podobno w całej ekonomii nie ma.

— A co? zabrakło ci konceptów?

— Dobrodzieju? — rzekłem do starościca — dziś nam wszystkim nie do dysput, a tem bardziej w takiej ważnej materyi. Jutro odpowiem na kwestyę pańską, a dziś wszystkim dobrodziejom życzyłbym porzucić służbę Bachusa, bo to bożek pogański, a pójść zaraz spać, abyście z duszami przynajmniej wstali.

— No, to do jutra nasz zakład—rzekł starościc.

I nie mogłem inaczej zrobić, jak odłożyć, a obmyślić odpowiedź, bo pierwszą nastręczyło mi przysłowie zwyczajne, że u tchórza dusza w piętach; ale na drugą zarwany tak *insperate*, zdobyć się nie mogłem.

Wyszedłszy z sali, szukałem noclegu, bo nikt się o mnie nie frasował. Ujrzałem światełko w oficynie niegdyś marszałkowskiej, tam się zawróciłem.

STARY MARSZAŁEK DWORU I STARY REZYDENT.

XXXII.

— *Ave Maria gratia* . . .—posłyszałem jeden głos, wchodząc do izby, i drugi odpowiadający: — *Sancta Maria Mater Dei* . . .

A! pomyślałem sobie—tu przecież trafię po myśli. Może to i pan marszałek dawny trzepie różaniec.

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum!*—odpowiedziało dwóch razem staruszków, siedzących przy stoliku i niżących ziarnka koronki. Jeden z nich w białym dymkowym żupaniku, a drugi w tabaczkowej kapotce; przy jednym stała trzcina z srebrną gałką, przy drugim leżała klapka na muchy.

— Może dobrodzieje przyjmiecie mnie trzeciego —
—za socyusza do koronki, i trzeciego starca do kompanii?

— *Cum apertis manibus*—odezwał się staruszek biały.— Dawno już takiego gościa Bóg nam nadarzał.

— Niegdyś, a to bardzo dawno, sam byłem gościem w tych progach; i zdaje mi się—mówiłem, wpatrując się w witającego mię jegomościa—że oglądam, a oglądam z pociechą, marszałka dworu zeszłego starosty?

— Tak, tak, *quondam*—odpowiedział, pokręcając siwego wąsa—Radbym widzieć, kiedy to było?

Tymczasem tabaczkowy staruszek wpatrywał się we mnie. Poznaję, przypominam—odezwał się on.—*Anno millesimo septingentesimo*. . . był tu brat kwestarz, którego zapomnieć długo nie mogliśmy, którego nieboszczyk co rok wyglądał, który budowniczego Kwetkę i francuza skonfundował gracko . .

— Ten sam—przerwałem ten sam—i obaj starce rzucili się mi na szyję, i obaj całowali i ściskali najkordyalniej

Więc dobrodziej jesteś ów pan chorąży, rezydent na dworze starosty?

— Rezydent i teraz z łaski jego, bo zapewnił on mnie aż do śmierci *victum et amictum* w swym testamencie, jako i wszystkim, którzy się jego pańskiej klamki trzymali. Daj mu Boże niebo!

— Widziałem i jaśnie wielmożnego starościca, teraz, jak uważam, wojskowo traktującego, bo go pułkownikiem nazywają, i hrabią nawet. Widać że niedawno nim został, bo zeszły starosta się nie magnifikował.

Obaj starce kiwali smutnie głowami. Nakoniec rzekł marszałek:—W pałacu Sodoma i Gomora.

— Nie widziałem i ja tam nic dobrego. Ale zkądże to przyszło, że syn tak zacnego i bogobojnego ojca, jak uważam wcale inny?

— Oh! długoby gadać jegomości o naszych nieszczęściach i dniach opłakanych. Siadaj, *charissime!* Dość ci pokrótce powiedzieć że po śmierci obojga naszych państwa, która nastąpiła niespodzianie w lat kilka po twej tu bytności, bo starosta we trzy miesiące poszedł za swą żoną *ad patres*, opiekunowie, bodaj z piekła nie wyszli, wywieźli panicza i panienkę na edukacyę do Warszawy. Poczciwi my a życzliwi słudzy ich, błogosławiliśmy ich z płaczem, i oczekiwaliśmy potem powrotu paniąt naszych, jak wybawienia z niewoli babilońskiej; aż tu nam po długiem oczekiwaniu powiadają, że starościanka poszła zamąż, a pan starościc pojechał na wojaż do Paryża. Powrócił aż po latach pięciu. Pożal się Boże! wyjechał od nas miłem, pobożnem, ślicznem panięciem, a przyjechał . . Ale *non licet mihi* mówić źle o synu mojego pana i benefaktora . . Już to on, widać pod taką konstelacyą urodził się

— A u wasana wszystko konstelacye, same aspekta niebieskie i horoskopy w głowie—przerwał chorąży, i zwrócił do innego objektu ciekawe dla mnie opowiadanie marszałka o starościcu.

— A jużci też pewniejsze moje aspekta—odpowiedział z

gniewem marszałek—niż waspana apokalipsy. Teraźniejsza kometa nawet nic nie znaczy u waspana? Przecież jak tylko się pokazała, wnet przepowiedziałem, że będzie wojna; a jak wsiadł na wózek niebieski, czy nie mówiłem, że przywiezie biedę na cały świat? To jeszcze będzie wielkie szczęście, kiedy nas ogonem nie muśnie, bo wtenczas zapadniemy. A tymczasem czy nie prawda? czy niema wojny i biedy?

— Tak; ale waspan mówiłeś, że taka sami kometa świeciła, gdy Jan III szedł na turka pod Wiedeń, i pokazywałeś ją namalowaną w Janinie; to prorokowałeś, że i teraz turcy tu przyjdą. . . .

— Nie prawda. Mówiłem tylko, że i turki będą w robocie. A czy nie są? Proszę tylko spójrzeć na kometę, a najbardziej na jej ogon; w którą stronę . . .

Gdy pan marszałek zwrócił się do okna, pan chorąży, pokazując nań wzrokiem, kręcił palcem po łbie i zcicha mi powiadał:—Ma . . . ma. . . .

Marszałek wpatrywał się w kometę, a rezydent rzekł do mnie: - Co innego zupełnie, gdy ja jak na dłoni tłumaczę, że wszystko, co się dziś dzieje, stoi wyraźnie w Apokalipsie.

— Winszuję - przerwał śmiejąc się marszałek.

— Wolno śmiać się—mówił także obrażony chorąży—wolno śmiać się; ale czy nie mówiłem waspanu dawniej, że *Apolion*, anioł przepaści, *exterminans*, jest to *Napoleon*. Różnica o literę nic nie znaczy.

— A przecież—przerwał marszałek—*litera nocet, litera docet.*

— I uważasz jegomość—mówił dalej rezydent, nie zważając na przekąsy kolegi—jak tu wszystko kwadruje się:

— Baranek otworzył jedną z siedmiu pieczęci (bo już to pewnie otworzył). „I oto ukazał się koń biały, a ten, co na nim siedział, miał (łuk czy pałasz, wszystko jedno, byle broń), i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając, aby zwyciężył *)." Aż dowiaduję się teraz, że i Napoleon na białym koniu jeździ.

— Prawda—rzekłem—sam go na białym koniu widziałem; a ma go, jak mi powiadano, aż z Egiptu.

— O to, to, to, to—rzekł żwawo uradowany staruszek, tupając aż nogami—o to, to, to, widzisz waspan, z Egiptu z pod Babilonii, „i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając." Jak nie wstyd niewierzyć? — A w drugiem miejscu znowu co pisze? „I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały (znowu koń biały, widzisz waspan), a siedzący na nim sądzi i walczy, a oczy jego jako płomień ogniowy." Wszyscy mówią, że oczy Napoleona przeraźliwe.

— Prawda—odezwałem się—sam to widziałem także i doświadczyłem: czarne, a świecą jak karbunkuły.

---

*) *Apocalipsis*, Rozdział VI.

— O to, to, to, to, to. A mójże ty dobrodzieju! O to, to, to, masz waspan żywego świadka.

Marszałek kiwnął głową.

— Nie wierzy, dalibóg nie wierzy! niechże cię bestya o siedmiu głowach połknie! Dalej tak stoi „A na głowie jego wiele koron, a obleczony był szatą krwią zmoczoną.“ Chybaż waspana jaka gwiazda oślepiła! To już jak łopatą w głowę. Na dobitkę jakież to wojsko tego Apoliona. Oto szarańcza: „a podobieństwo warzszarańczy, koniom zgotowanym wojnę, a twarze ich jako twarze człowiecze, a miały pancerze jako żelazne, a ogony podobne niedźwiadkom.“ Albo znowu: „I także widział konie, a siedzący na nich mieli pancerze ogniste!“ Cóż to mospanie i wątpić? Francuzów jak szarańczy; chmurami idą i niszczą wszystko; a sami widzieliśmy, jak onegdaj przyjeżdżał do naszego pana *ad praesens* pułkownika, zbrojny rycerz w pancerzu ognistym, i z włosistym ogonem na głowie....

— I pewnie z twarzą człowieczą—przerwał znowu marszałek. W tem tylko sęk, że, jakeś wasan wczoraj czytał, tej szarańczy zakazano, aby nie psowała trawy, ani wszelkiej zieloności; a wasana szarańcza żyto kosi.

— No to cóż?—odpowiedział zakłopotany nieco chorąży—kosi, ale wszystko odrasta, i trawa i żyto. Sądźże sam księże kwestarzu, czy to nie widoczne? czy to nie jak na dłoni? Kometa! kometa! I cóż ta kometa? Przyszła swoją drogą i pójdzie swoją drogą. Niema z nią biedy Ale co będzie, kiedy druga pieczęć otworzy się? i trzecia, aż do siódmej? kiedy *Gog* i *Magog* *) nadejdą....

— Nie bredź! nie bredź!—przerwał z gniewem marszałek.—To mi głowa do tłumaczenia tych hyperbolów i tajemnic. Tu widoczny znak na niebie, tu wraz idzie i widoczny skutek: wojna, a on mnie tu baki świeci o *Gogach* i *Magogach*. Powiadają wszakże, że i Napoleon ma swoją gwiazdę, w którą wierzy; i w Apokalipsie nawet czytasz wasan, że będą znaki na niebie.

— O to, to, to, to, zaraz waspanu o tem się sprawię— rzekł biegąc staruszek do alkierzyka po Biblię.

A tymczasem marszałek pokazał palcem za odchodzącym, a potem kręcił nim na czole i mówił zcicha: Ma .. ma ... tu... ma!...

— Obu wam biednym klepki nie dostaje—pomyślałem.

Otoż to ci dwaj rzeźwi niegdyś, strojni i przystojni dworacy, fantazyą piękną i animuszem dodający lustru i powagi pańskiemu dworowi, a mogący iść o prym na każdym innym, teraz pokurczeni, podupadli, niedołężni, niepodobni do siebie, dysputują o skończeniu świata, a nie myślą, że sami wnet się skończą. O. starość! starość!

---

*) *Ibidem Apocalipsis.*

Wyskoczył z alkierza staruszek z Biblią; ale ja rzekłem:— Dobrodzieje, wiecie co? oto zamiast tych tajemnic apokaliptycznych i niebieskich, dokończmy tajemnic Koronki świętej. Ja pomogę, i pochwalimy Pana Boga, w którego mocy wszystkie komety i wszystkie bestye i smoki.

Spójrzeli oba na mnie. Chorąży położył spokojnie Biblię na stole. Obaj ucałowali krzyżyki wiszące przy koronkach, i obaj usiedli cichuteńko przy stoliku, jak dzieci zgromione w swawoli.

—Na którejże tajemnicy przestaliśmy? panie chorąży!—zapytał marszałek

— Na ósmem *Ave Maria*, tajemnicy trzeciej. Na pana marszałka kolej.

-- *Ave Maria gratia plena* . .—rozpoczął zatem nabożnie marszałek—*Sancta Maria Mater Dei* . . odpowiedzieliśmy, i dokończyliśmy koronki, po której posłałem sobie na tapczaniku, i poszliśmy spać. Marszałek jednak, nim się układł, spójrzał przez okno na kometę, a rezydent Biblię pod głowę podłożył.



S N Y.

XXXIII.

Obudziłem się. Moi gospodarze wstali raniej i obaj siedzieli już przed kominem. Jeden grzał piwo, drugi gotował sobie kawkę; i rozmawiali z sobą pocichu, wrzekomo aby mnie nie rozbudzić.

—Imaginuj sobie wasan—mówił marszałek—śniłem dziś, że kometa do mnie przemówiła. Zniżyła się jakoś, ogon po ziemi wlekl Głowa rychtyk jak w *Janinie* *) wymalowana. *Horret animus!* na sam ten widok pot zimny na mnie wystąpił! Kiedy to huknie:— Za-pa-dasz! za pa-dasz! Drgnąłem ze strachu i ocknąłem się aż patrzę—zapadłem i siedzę na ziemi, a głowa tylko na wierzchu, cały zaś korpus pod łóżkiem, bo płótno pękło do reszty, i ja z piernatem zapadłem. No proszę uniżenie, powiedz waspan, zkąd kometa wiedziała, że u mnie łóżko dziurawe?

—Ekstraordynaryjna rzecz! panie Sebastyanie! ekstraordynaryjna rzecz!—odpowiedział rezydent; a tem bardziej, że i mój sen także dziwny i straszny. Imaginuj sobie wasan, śni mi się, że wychodzi z morza bestya ogromna, o siedmiu głowach, a na każdej głowie po dwadzieścia cztery rogi, i w każdej paszczy po

*) Janina—opisanie wyprawy Jana III pod Wiedeń, gdzie jest i rysunek komety, która natenczas na niebie świeciła. Księgę tę piękną czytałem w klasztorze wileńskim. *Nota Autora.*

dwadzieścia cztery trąby. Jakże zatrąbi ze wszystkich trąb, aż ziemia zatrzęsła się!... Gwałt! Zatknąłem uszy — nic nie pomagał... Dreszcz mnie przeszedł, ocknąłem się. Aż to ksiądz kwestarz, ta bestya, chrapie na całą izbę. No proszę uniżenie, pytam waspana, jakim to sposobem z kwestarza zrobiła się bestya?

— Sen mara — rzekłem powstając — a dzień dobry dobrodziejom.

Niewspominając o snach, nieco zawstydzeni, oddali mi pozdrowienie, i—na co wola?—zapytali—na piwko? czy na kawę?

— *Et haec facienda, et illa non omittenda* — odpowiedziałem —można jedno drugiem zapić.

— Wyśmienicie! Obu nam zrobisz łaskę. Bo widzisz jegomość — mówił rezydent — obadwaj w rannym posiłku żywimy się *de propriis*. Niema kawiarni wspólnej, jak dawniej więc pan Sebastyan, większej odemnie substancyi, kupuje sobie kawkę, a ja *cerevisiam* popijam.

Po śniadaniu takowem podwójnem, wyszliśmy na przechadzkę po dworze.

O Boże! jakaż to ruina i pustki! jaka różnica od tego, co dawniej było!

— Musiała i tu być szarańcza francuska—rzekłem.

— Nie. My sami tak pięknie wszystko to urządzili, a zaczęli zacni jaśnie wielmożni opiekunowie. Poszły świdrem i dostatki i fortunki ojcowskie, a synek bogatego pana będzie mógł wkrótce powiedzieć:

Chodziłem niegdyś strojno, a teraz obdarty.
Trzy rzeczy mnie zgubiły: Venus, wino, karty *).

— Oh! niech go Bóg od ostatniej ruiny zachowa, bobym tego nie przeżył!

— I ja także—dodał rezydent, a obaj z łez oczy otarli.

— Teraz—mówił dalej marszałek—do towarzystwa Wenery, Bachusa i Faraona, przybył Mars Nie wiem, czy on nam pomoże, chyba że panicz nasz miał go w swoim horoskopie bo jeżeli rodził się pod tą planetą, a w zodyaku miał lwa . . .

— A dajże wasan temu pokój! – przerwał niecierpliwie chorąży – dajże wasan temu pokój! Nie może być inaczej, jak jest. Czy tam nie pisze, że gdy „smok wielki rydzy, pozrze dziecko niewiasty**), natenczas upadną wszyscy mocarze i bogacze tego świata.“ Więc i upadają bogacze, a między nimi i starościc. Bo mogę dowieść jak na dłoni, że smok rydzy znaczy . . . .

— A niech cię kaduk porwie i z twoim smokiem rydzym! —wrzasnął zniecierpliwiony marszałek.

---

*) Dawne wierszyki z przestrogą młodym mawiane.
**) *Ibidem Apocalipsis.*

—Niech ciebie porwie z twymi horoskopami—wrzasnął wzajemnie rezydent—bo to, prawdę mówiąc, magią pachnie.

— Dajcie pokój dobrodzieje temu wszystkiemu—rzekłem.— Ot lepiej powiedzcie mi i pokażcie czyli dawna kaplica piękna stoi jeszcze? i czy nie zrujnowana tak, jako i wszystko, co tu widzę?

— O nie, chwała Bogu, nie!—odpowiedział marszałek—obaj, my z kochanym chorążym jesteśmy zakrystyanami tej świątyni, Pańskiej, i z ostatniego ważymy na jej utrzymanie. Co niedziela moich parę kuców posyłam po księdza, i mamy mszę świętą, do której kolejką jeden z nas służy. Ludek prosty i kilku starych sług, którzy nam dotrzymują w tem życiu kroku, gromadzi się natenczas około nas, i razem chwalimy Boga, a modlimy się za dusze naszych panów i dobrodziejów.

— Tak, tak—dodał kolega—póki żyjemy z kochanym marszałkiem, nie damy upaść temu domowi Bożemu.

— Jaka przykładna jedność około chwały Bożej—rzekłem —a w innych materyach . . .

— Cóż robić?—przerwał marszałek—Jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy . . . . a drudzy—mówił, patrząc z ukosa na rezydenta—a drudzy, Boże odpuść ! ! !

— O to, to to, to, to—przerwał znowu rezydent—jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy—rzucając także z ukosa okiem na marszałka—a drudzy . . . . Jezu mój Panie ! ! !

Obejrzeliśmy kościołek, pomodliliśmy się; a tymczasem wstał pułkownik i wyszedł na ganek z fajką na sążniowym cybuchu i z bursztynem, którego gęba objąć nie mogła; a za nim kilku wczorajszych adherentów.

— Dzień dobry!—zawołał on, spostrzegłszy mnie.

— A chodź-no tu, księże kwestarzu!

Podszedłem do ganku, oddałem pokłon, i spostrzegłem, że starościc blady, smutny, jakby niewyspany, czy chory. Jakaś mię troskliwość o niego przejęła. Stanął mi on na pamięci w maluczkiej dziecinie. Pożałowałem go. Dlaczegoż biedny został wcześnie sierotą? Słowem, sam nie wiem dla czego zapytałem;—Czy nie chory JW. pan?

— Dla czego?

— Bo coś mi się bladym i zmienionym wydajesz, dobrodzieju.

— W rzeczy samej—rzekł on—jestem słabym.—Nie spałem, a raczej sen mię bardziej udręczył, niżby wzmocnił. Może wino, może twoje zjawienie się tutaj, było tego przyczyną, a może to oboje razem. Ledwom zmrużył oczy, wnet jakieś marzenia napastować mię zaczęły. Widziałem potem siebie w jakiejś przepaści. Węże koło mnie, straszydła jakieś, mary . . . . Zrywałem się, odzyskiwałem pamięć i znowu zasypiałem. Płynąłem potem po jakiemś morzu, łódź pękła—potonęłem ale się nie utopiłem. Żyłem na dnie morza jak w krysztale, widziałem daleko i szeroko . . . Tysiące, krocie,

miliony postaci rozmaitych, białych, szarych, przezroczystych, mętnych, ogarnęły mię, snuły się koło mnie, jawiły się tłumami jak pokusy i nikły w głębinach. Z niemi i ja unosiłem się miotany na falach; pogrążałem się i wybijałem na wierzch; chwytałem się rąk podawanych mi jakby dla ratunku, ale te ręce były z piany. Cały świat, cały Paryż, wszyscy i wszystko, co gdziekolwiek widziałem, zalewało mię, dusiło jak topielca, i niknąc znowu z odbiegającymi wałami, na chwilę wolniej oddychać mi dozwalało.... Ocknąłem się nakoniec; a chociaż przez sen byłem w wodzie, na jawie jednak (i jakaż to jawa?) głowa mi pałała, a piersi jakbyś kamieniem przycisnął. Oczu otworzyć nie mogłem, i lubo ocucić się zupełnie, wstać i otrząść się z tego dręczącego marzenia chciałem, napróżno jednak. Znowu marzyć zacząłem. Jakiś kościół ogromny a ciemny. Ja w nim sam jeden.... a jednak słyszałem około siebie jakieś szepty głuche, mrowiem mię przejmujące.... Dzwony potem się odezwały, kościół się blado oświecał... mogłem rozpoznawać co się działo.... organ zabrzmiał *Dies irae* czy *De profundis,* jak mi się przynajmniej natenczas wydawało i przy każdej kolumnie kościelnej ujrzałem białe marmurowe posągi, a przy dwóch mnie najbliższych, poznałem ojca i matkę moją. Chciałem biedz ku nim, ale jak przykuty, ruszyć się z miejsca nie mogłem; ręce tylko ku nim wyciągnąłem Przy innych kolumnach stały także posągi ; między nimi byłeś i ty, kwestarzu, jak *Pastor bonus*, trzymając baranka na ramionach! był i dawny mój nauczyciel ks. Joachim. Oczy wszystkich, a szczególniej rodziców moich, ogniem pałały... Okropny był stan mój!... Nakoniec w takiem martwem odrętwieniu zdawało mi się, że sam stygnę i na środku kościoła kamienieję.... Pod dzień spokojniej zasnąłem.

—Dziwny sen, panie!—rzekłem, sam nad nim rozmyślając— dziwny sen!... Kto wie, czy nie nauka?

Starościc stał zadumany.

— A nauka — odezwał się wczorajszy kropiący jegomość — nauka, że mieszać trunków nie należy. Szampańskie szumi, a węgierskie rzuca. Pan zaś wczoraj po odejściu kwestarza, piłeś jedno i drugie, jak gdybyś gwałtem rozum i pamięć utopić pragnął. Dla tego we śnie utopiłeś się w morzu szumiącem, a węgrzyn rzucał cię na falach. Cha! cha! cha! czy źle sny tlumaczę? Byłbym drugim Józefem, gdybym żył za Faraonów.

— A więc może dobrodziej i mój sen dzisiejszy wytłumaczysz, bo także dziwny.

— Jakto? i ty także śniłeś? — odezwał się starościc?

— Tak — rzekłem—a nawet sen mój ma niejakąś konjunkcyę z pańskim:

— Mów — odezwali się wszyscy. — Słuchamy!

— Oto, byłem w piekle. Jak tam się dostałem? nie wiem; i nie będę opisywał ichmościom wszystkiego, com tam widział, bo sami z czasem tam dostaniecie się i zlustrujecie wszystko należycie.

— A zkąd ta pewność, popie — przerwał tłumacz snów — że my tam będziemy?

— *Qualis vita, et mors ita.* Jaka zasługa, taka i nagroda. Ale mniejsza o to. Dość, że przeglądając kotły, w których smażą się potępieńcy w smole, jak pampuszki w oleju, posłyszałem; — Bracie Michale! ratuj mnie! — Obejrzę się, kto tu mój znajomy? aż spostrzegam mojego kochanego starostę, ojca pańskiego. Siedzi po szyję w smole; a francuz, dyrektor niegdyś pański, który w piekle funkcyę pieczurnika spełnia, poddmuchuje ogień; szumuje żelazną stągwią warzącą się smołę, jak kuchcik garnki na kuchni, i urąga się JW. staroście. — Ach dobrodzieju! — rzekłem — *ex inferno nulla est redemptio*! Cóż ja tu dopomogę? Ale za jakież grzechy tak cnotliwy pan poszedłeś na potępienie?

— Za syna mojego tak pokutuję — odpowiedział mi żałośliwie. — On mię tu wsadził, za to najbardziej, że zaniechawszy rad i przestrog poczciwych ludzi i kapłanów, dałem mu w młodych jego latach za *praeceptora* tego wcielonego szatana, który mię teraz dręczy, a który zepsuł jego serce i założył w niem fundamenta złego. A oto obok siedzą panowie opiekunowie, którym powierzyłem umierając dziecko moje, a którzy zawiedli moje zaufanie, z fortunki mojej skorzystali, a syna mego zaniedbując, dozwolili mu napawać się trucizną dzisiejszej na świecie panującej bezbożności. Oj, takich opiekunów jest tu moc nieprzeliczona, i codzień przybywają. Cokolwiek więc on teraz zbroi albo zbluźni, spada to wszystko na moją i na ich głowy; a tak zamiast kropel ochłody, któreby mnie z jego cnót spływały, dolewa on mnie codzień po garncu gorącej smoły....

— Łżesz! księże — przerwał mi pułkownik, rzucając fajkę — kłamiesz niedorzecznie! Ojciec mój tak poczciwy człowiek, że pewnie w niebie.

— Czy tak? w niebie? A więc miał duszę! . . . *Sequitur*, dobrodzieju! . . .

— Żeś wygrał zakład—przerwał uspakajając się starościc i uśmiechając się.—Chętnie ci zapłacę przegraną.

— Brawo kwestarz! —zawoli towarzysze—brawo!

— Ale to mało na tem dobrodzieje! Także kto ma duszę, a duszę dobrą i poczciwą, ten obdarzy kwestarza; a kto jej nie ma, niech nic nie daje, bo od bydląt nie biorę.

Spojrzeli po sobie wszyscy, rozśmieli się, i każdy do kieski, starościc dukatów dziesięć, a ci ichmość po kilka złożyli, i tak od razu zebrała się sumka, z którą bez dalszej kwesty do klasztoru wrócić mogłem.

Gdym żegnał starościca, rzekł on mi: — Bracie kwestarzu! nie zapomnę twej tu bytności. . . . z wielu przyczyn i względów . . . Jeżeli mnie kule oszczędzą (bo nie myśl, ażebym moją wojskowość tu przy kielichu odbywał), powróć kiedyś do mnie. Wszystko się jeszcze odmienić i . . poprawić może . . . Bóg nam natenczas inne sny . . . . pomyślniejsze zapewne zesłać ra-

czy.... Podniosłem oczy i ręce w niebiosa. On się odwrócił i śpiesznie odszedł.

Pożegnałem potem poczciwych, a po części zdziecinialych moich staruszków. Marszałek dał mi z dawnych swoich zapasów flaszkę wybornej gorzałki, a rezydent ze swej partykularnej śpiżarni, szczupaka wędzonego na zakąskę, i ruszyłem zawracając ku domowi.

ŁOSTAJE *).

XXXIV.

Zakopałem znowu moje złotko i ruble w tabace głęboko, nauczony niedawną *experiencyą*, że nosy maroderów na tabakę s e b o n! ale kruszcu pod nią zwietrzyć nie mogą; i wlokłem się, zbliżając się codzień do Bienicy. Baranów zebrało się kilkanaście i miałem nadzieję dostawić ich w całości księdzu profesorowi *Infimy*.

Jużem się pod Krewo podbierał, i wyjechałem w leśne i pagórkowate okolice, między któremi i samo Krewo sytuowane, gdy spostrzegłem po wzgórkach i dolinach narzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektórymi sadzawki, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowanie gospodarskie, mniejsze od pańskich, większe od okolicznej szlachty, z którą znam się oddawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wieżyczką cieńką. Zdziwiłem się jednak, i kapliczka i wieżyczka bez krzyża.

— Już blizko Bienica,—rzekł Jaś wiozący mnie—tylko półtory mili. To Łostaje.

— Tu na Łostai mieszkają tatarzy. Oto dworek pana rotmistrza Ułana, tamten pana porucznika Baranowskiego, tamten przy meczecie, to ich mołny, a ten przy naszej drodze, to największego ich murzy, majora Amurata Bielaka My tu często bywało z tatulą na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

— Ha!—pomyślałem sobie—więc niema po co do muzułmanów zajeżdżać. Mijaj—rzekłem do Jasia.

Mijaliśmy więc dworek pana Amurata, gdy on sam powracając z pola spotkał nas przed swojemi wrotami; i—stój! zawołał.

*) Nazwisko okolicy kraju w powiecie Oszmiańskim, zamieszkanej przez tatarów.

— Niech będzie... upadam do nóg!—zacząłem z nałogu, dokończyłem spostrzegłszy się.

— Na wieki wieków... kłaniam uniżenie!—odpowiedział uśmiechając się.— A dla czegoż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? boś pewnie z Bienicy.

— Śpieszę—rzekłem — do klasztoru.

— Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicyusz w tych stronach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do tatarów, bo myślisz, że muzułman zamknie ci wrota, albo powie; fora ze dwora! A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzimy się o wiarę a na tym żyjmy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej Witołdówki, a zobaczysz, że kołdun tatarski wart bernardyńskiego brzucha.

Hora canonica zbliżała się, wzmógł się apetyt, a jak na licho, lubię kołduny. Przyszło mi wprawdzie na myśl, że to tam u nich i młoda źrebięcinka uchodzi podobno; ale jednak nie bardzo temu wierząc, i szczeremu zaproszeniu odmówić nie mogąc, zawróciłem we wrota.

Sam pan Amurat, lat z górą pięćdziesiąt mieć mogący, łysy jest, ale wąs ma zawiesisty, i nie po dworsku zakręcony i gumowany a suty, i siwy i obwisły. że mu aż gębę zakrywa. *Facies* przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* za szeroka, wydaje jego *progeniturę*. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w ręku harap myśliwski.

— Hej Ajeszko!—zawołał wchodząc do sieni, a na to wybiegła w jubce tarletanowej młoda *et quidem* jak na tatarkę, ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, spostrzegłszy mnie.

— Oto moja jedynaczka—rzekł pan major.— Nie lękaj się, córko! Mamy widzisz gościa, więc drugą kopę kołdunów wsyp do rądla. A tymczasem napijemy się wódki. Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu! ale o wódeczce w Alkoranie cyt! A zatem my winu dajemy kwit, a wódeczkę i luleczkę ciągniemy sobie po troszeczkę. Proszę na tę stronę do mojej izby, bo tam pó waszemu klauzura, a po naszemu harem.

— Jakto?—zapytałem—więc jegomość utrzymujesz seraj?

— Oho! przeląkłeś się! A gdybym i utrzymywał, co waści do tego? Wszak gdybyś w moich oczach jadł szynkę, jabym nic na to nie powiedział. Ale uspokój się? my doświadczyliśmy, że z jedną kobietą często trudno dojść ładu, cóż dopiero gdyby ich mieć tuzin! Tam stancya mojej córki i nic więcej; a jam wdowiec.

Weszliśmy więc do izby pana Amurata. Pierwsza obszerna; stół dębowy na środku, zedle naokoło. Druga maleńka, tam łóżko i na ścianie wojenny rynsztunek pana majora. Między tem zdziwił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

— A co? kwestarzu! dziwisz się broni, z którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka, jest to łuk naszego przodka, Kara Mirzy, który długo wojując z Litwą, nakoniec gdy w bitwie jednej dowodził przeciw księciu Witołdowi, okryty ranami dostał się z wielką częścią swej ordy w niewolę. Poosadzał ich miłościwy ten książę a waleczny rycerz, w różnych miejscach swojego kraju: w Niemieży, w Wace, a Kara Mirza, nasz przodek, dostał tu na Łostai ziemię. I książę nazwał go Bielakiem naprzeciw imienia Kara, co znaczy w naszym języku czarny. *) Służył mu potem Bielak w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno to już było, panie bracie, bo przed laty czterysta, a może i więcej, plemię tatarskie rozmnożyło się na Litwie, i zawsze poczciwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku, dochowujemy razem z ziemią jemu nadaną i łuk ten jego. Z głowy na głowę dziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi, ani łuku żaden Bielak za miliony nie odda; a choć który zubożeje, to składamy z ostatniego na zapomogę brata, byle nie wpuścić cudzego intruza między nas. Gospodarstwo u nas nie wielkie; często na *Bejram* ostatnia idzie pod nóż krowa; ale za to do korda każdy gracz; do trzeciego tatarowi nie gadaj; każdy od młodości prochu powąchał, a tchórza i piecucha z tureckim abszytem wypędzilibyśmy z Łostaj; i żadna tatarka nie poszłaby do jego haremu, to się rozumie, nie wzięłaby go za męża.

Przy tym rozhoworze, pan major dostał flaszkę z policy, i — do wasana—rzekł, nalewając sobie spory kieliszek:; a wychyliwszy do dna i ocierając wąsy, rzekł: — *Tacto pectore* upewniam cię, że wyśmienita!

— *Tacto pectore*! a to co? — rzekłem zdziwiony — skąd ta łacina?

— Z ust szlacheckich, mospanie! bo chociaż w szkole nie bywałem, rózgi niewidziałem, ale przysłów poczciwych szlacheckich od dziadów i ojców uczymy się; a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy położywszy rękę na sercu powiedział tatar litewski: *tacto pectore*! to jakby na głowę Mahometa przysiągł. Nie chlubiąc się, krew ich we mnie płynie. Jestem synem jenerała Bielaka, którego znała cała Litwa... Dźgnij zatem bracie kwestarzu! bo przez ścianę słyszę, że wrą kołduny w ukropie.

Jakoż wnet weszła panna Ajesza z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosła runtową misę kołdunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiedliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego, rodzaj żeński osobno stołuje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panom swoim.

Wyśmienite! *magni saporis* kołduny! Odjeść się i odchwalić się ich nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał.

---

*) Podanie.

Jakoż misa się wypróżniła, i popiliśmy dla konkokcyi wódeczką.

Wstawszy od stołu podziękowałem Bogu po swojemu: pan major jakby tego nie widział, potem i jemu samemu; a po takim bankiecie nie długo czekając, poszliśmy obaj spać do odryny, i już słońce dobrze za południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

— No, teraz, księżulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.

— A więc tu na Łostajach nie widzieliście maroderów francuskich, kiedy jeszcze są barany?

— Oho! jakto? tak blizko traktu żyjemy, a więc zawitali oni do nas. Doczekałem się w Witołdówce dawnych znajomych, bo poznałem się z francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień, to jest, trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, pałasze i pistolety. Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście; codzień więc byliśmy gotowi na przyjęcie. Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze trzydziestu! w odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków; z czem kto miał: z fuzyą, z siekierą, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło wśród nich z narabowanemi rzeczami i z ich cielęcinkami. Gdy weszli w ulicę, spostrzegli nas na dziedzińcu — zastanowili się. Patrzyliśmy na siebie zdaleka. Oni się naradzali; a my nie ruszyliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę co widzisz wygrodzoną ulicę, i pominą moją zasadzkę w życie za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i kupno ruszyli ku nam.

— Wzajemnie zakomenderowałem: — Dubeltówki z ramienia! — i maszerowałem ku nim,

— Russ? — zawołali oni, podnosząc karabiny.

— Tatar! — odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a pałasze gołe wisiały u nas na temlakach na rękach.

— Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzye na plecy, pistolety z za pasa i hajże ku nim! Razem gwizdnąłem przeraźliwie, rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu. Nie było im czasu do karabinów, albo do nasadzenia bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc: — — *Pardon*! albo *caput*! — a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula mu byłaby w sercu.... Przerażeni, w mgnieniu oka pardonowali się, i batalia wygrana. Zabraliśmy cały obóz i broń, i samych rycerzy dostawiłem do Oszmiany. Rabowane rzeczy porozbierali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięzko wyszliśmy. W jednym z nich, moją damascenką ucią-

łem dwa bagnety, jakby świeczki łojowe, co niezmiernie zadziwiło francuzów, Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie i dla waści księżulu, bo ci barana dać mogę.

Jakoż i dał.

— A pokaż-no, dobrodzieju— rzekłem wróciwszy do izby, gdy nam panna Ajesza kawę podała — ową damascenkę, którą bagnety jak świeczki rozcinasz.

— Zkądże ta bernardynowi sympatya do pałasza?

— Aj, bo niegdyś, jako szlachcic, przy boku nosiłem.

— Oto go masz — rzekł zdejmując z kołka i obnażając z pochwy. — To moja sukcessya po ojcu jenerale Bielaku. Wart być obok łuku Kara Mirzy, bo był w ręku nieodrodnego odeń potomka.

— Prawda — rzekłem — klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdyment nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział *Amurat* — takie pałasze nosimy przy boku, i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?

Patrzałem mu w oczy, które się nagle zapłomieniły, i rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce — to klinga! Szlachecka mowa i głowa — to furdyment!

Wtem mołna zaryczał na meczecie; pan Amurat szedł na modlitwę; i pożegnaliśmy się *ad felix videndum!*

ELŻUTKA.

XXXV.

Szło pod zachód słońca, gdym się wybrał od tego zacnego muzułmana — Półtory mili przebędę łatwo — myślałam sobie —jedna tylko ciężka będzie rappa, to jest, kilka staj wielkiego gościńca. A nuż tam spotkam s e b o n k a m r a t ! ta jedna chwila całej kwesty, a szczególniej baranów, pozbawić mię może. Co do złotka — myślałem — zjedzą dyabła.

Powstając więc coraz na kałamaszce, rozpatrywałem pilnie na wszystkie strony, jak żóraw. Wjechałem na gościniec. Już mi widać kopułkę kościoła Bienickiego. Chwałaż Bogu! podjeżdżam pod jakąś pustą karczemkę.... aż tu z niej jak wysypie się kilkunastu kamratów — bądźcież zdrowe barany!

Jakoż wnet w moich oczach, prowodyr i kilka przy nim legło na placu, pod bagnetami tych rycerzy. Poczciwy baranisko! przyzwyczaiłem go do rąk, biegł na zawołanie, a nazywałem go Jonasz. Zabeczał biedny tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Gdziekolwiek byłem kwestarzem, zostawiałem zawsze moim następ-

com pięknie ułożonych prowodyrów i częstokroć to tylko jedyni przyjaciele, którzy się po mnie tam zostali i jedyni, których żałowałem.

Z wielkim hałasem zaprowadzono i mnie do pustej stodoły, a tam nastąpiła rewizya kałamaszki, a potem i mnie samego.

— *Latrones estis*! — krzyczałem; ale ci, zapalczywsi od pierwszych, tuzali mnie bez ceremonii. Pozbyłem kapelusza, paska, nawet i butów. — Dobrze mi tak — pomyślałem — a czemu podług reguły nie noszę trepków?

Inni łupili ze skóry barany, inni rozkładali ogień.

— Lecz jeden, wpatrując się we mnie czas niejaki, rozśmiał się i klapiąc po ramieniu, zawołał: — A kamrat! Vilna Osmana — słowem, pokazywał, że mnie zna.

— Ha! pomyślałem znowu — ponieważ to jeden z moich dawnych przyjaciół, więc mnie przecie zaproteguje. — Uscisnąłem go z affektem, i on mnie. Potem prawił im widać historyę naszej wędrówki i popasu w Miednikach. Słuchali, uśmiechali się, ruszali ramionami. Nakoniec jakby przypomniał rzecz ważną zacny *narrator*, odwrócił się nagle do mnie i krzyknął: — Kamrat tobak!

Zmieszałem się. Poznał francuzisko mój kłopot, szust rękę do mojej kieszeni i wyjął tabakierkę, odemknął, traktował wszystkich i mnie samego, a potem Herod postawił swój kaszkiet na ziemi, wytrząsł nań tabakę, a z nią i dukaciki, i kilka rubelków wysypało się.... *Obstupuerunt* łotry, a ja z biedną miną stałem jak *delinkwent*.

Wnet łapczywie rzucili się na złoto; ale wynalazca tej minery przystąpił do sprawiedliwego podziału: sobie wziął za piękne odkrycie dwa czerwone złote, a każdemu dał po jednym, gdy nie stało złota, dzielił rublami, mnie pytając na migach, wiele rubli za dukat należy. Po takiej dzielance, która spokojnie i przystojnie odbyła się, zebrał skrupulatnie tabakę do tabakierki i mnie oddał. — Bon! bon! se bon kamrat!

Ledwo się ta bolesna dla mnie operacya skończyła, i jeszcze nie naśmieli się dosyć i nie nacieszyli się szubrawcy z tego obłowu, gdy tentent koni dał się słyszeć na dworze i — stój! — zawołał głos mocny. Wybiegli francuzi i ja z nimi. Kilkadziesiąt koni ułanów i oficer na ich czele zatrzymał się przed karczmą.

Oficer zagadał do nich po francusku. Coś mu odpowiedzieli. A on do swoich: — To właśnie ptaszki, których zbierać i pędzić do Mińska mam ordynans — marodery i rabusie, otoczyć ich!

W mgnieniu oka rozkaz ten spełniony. Już nawet nie mogli wrócić do stodoły, gdzie gdyby broni dopadli, pewnieby wydali batalię, miarkując po ich złości dąsaniach się i przekleństwach.

— A co tu między maroderami robisz? księże bernardynie, czy rabujesz razem z nimi?

— Owszem, dobrodzieju! jestem zrabowany przez nich. Ubogi kwestarz z klasztoru Bienickiego, który oto spostrzegasz dobrodziej przed sobą. Jeździłem po świecie, aby coś zebrać na

ogłodzony nasz konwent; jakoż Pan Bóg pobłogosławił, i kilkanaście baranów, a najbardziej kilkanaście dukatów w gotówce wiozłem kościołowi na wsparcie, gdy oto przejęli mię ci waleczni rycerze i obrali ze wszystkiego. Goły i bosy, bo mi i buty zdjęli, powrócę teraz do głodnych braci moich.

Krzyknął jak lew rozjuszony na francuzów oficer, że aż ja zadrżałam; a gdy ci krnąbrnie coś mu odpowiadali, wyrwał pałasz z pochew, i kiedy nie zacznie okładać płazem bez różnicy którego napadł, jak huknie na ułanów, a ci w toż samo.... Widzą rabusie, że kuso koło nich.—Pardon! pardon!—zaczęli wołać i składali oficerowi moje dukaty.

— Czy wszystkie? zapytał on, oddając mi garść złota.

— Zapewne wszystkie—odpowiedziałem nie licząc—bo Bóg tam z nimi nareszcie.

— Nie wszystkie—rzekł on—bo oto masz jeszcze jednego—dając mi własnego czerwieńca *cum effigie* Bonapartego.

— *Deus te benedicat*! młodzieńcze!—zawołałem.—I tę twoją własną ofertę, i zebraną od ludzi dobroczynnych, już teraz mam z twojej łaski. Modlić się będziemy do Boga za twoją fortunę i zdrowie. A może też raczysz wstąpić na noc do naszego klasztoru, jeżeli w tamtą stronę Pan Bóg prowadzi. Właśnie byłoby w czas.

— Mam też w marszrucie—odpowiedział—nocleg zapisany w Bienicy, więc ochotnie twe zaproszenie przyjmuję, i ruszajmy. —Chłopcy! kilku z koni! poskładać porznięte barany na furgony. Odwieziemy je do klasztoru, a ojcowie i dla nas nie pożałują jednego na wieczerzę.

— Z całego serca, i na wieczerzę i na drogę. Ale ja mam i moją kałamaszkę w stodole, którą mnie także skonfiskowali ci dobrodzieje; więc teraz powracając do mojej własności, dowiozę na niej pobite moje barany do klasztoru, nie obciążając pańskich bagażów.

— I owszem —rzekł—oficer.—A teraz zabrać broń maroderów, ich wziąść we środek; a jeżeliby który się upierał, płazem choć nie szkodziłoby i rębem; tylko, że ja mojej Elżutki nie chcę poniewierać na szyjach tych podłych rabusiów, niegodnych imienia żołnierzy.—I schował szablę do pochew.

Elżutka! coś mi przebiegło po głowie jak błyskawica. Elżutka! Spojrzałem na tę szablę—osada storoświecka.... zdaje mi się znajoma. Spójrzałem na samego oficera — twarz młoda, przystojna, ale także jakbym go gdzieś widział, albo podobnego jemu.

Tymczasem francuzi mrucząc wkładali swoje cielęcinki, a ułani przypędzali ich grzecznie płazami.

— Dla czego się we mnie tak wpatrujesz? księże kwestarzu! — zapytał oficer.

— Daruj—rzekłem nieśmiało i drżącym od jakiegoś nieznanego mi dotąd wzruszenia głosem—daruj zacny wojowniku, że

się zapytam: czyli to twoją szablę nazywasz Elżutką? i jeżeli tak, od kogo ją masz?

— Tak—to moja żonka Elżutka, a wierniejsza i lepsza od wielu żonek, bo mi wierną będzie do śmierci, strzeże pilnie mego zdrowia, życia i nie raz mi już to oboje uratowała. A zaręczył mię z nią ojciec mój; bratu memu starszemu dał za przyjaciela i sekundanta Harasima, mnie za towarzyszkę Elżutkę.

— To więc ty jesteś—mówiłem nań łzą zabiegłem, a niepewnem jeszcze okiem—to więc ty jesteś Władyś Świeboda, syn Stanisława!!!

— Zkąd mię znasz? księże! co to znaczy?—I zsiadł z konia.

— Na ręku cię mojem nosiłem. Byłem najlepszym przyjacielem ojca twojego za jego życia, modlę się codzień za jego duszę po śmierci. Tę szablę jam mu odesłał na pamiątkę, sam wdziewając ubogą zakonną sukienkę ...

— A więc ty jesteś Michał Ławrynowicz!—zawołał on.— Tak przypominam cię jak przez sen.... Tyś towarzysz młodości ojca naszego...o którym tylekroć nam rozpowiadał, którego kochał aż do śmierci, do którego tęsknił zawsze .. a oddając mi nawet tę szablę i wyprawując na świat z błogosławieństwem rodzicielskiem i łzami jeszcze cię wspominał!... A więc to ty jesteś?

— Ja!—rzekłem—ja sam!...

Młodzieniec rzucił się w moje objęcia.

Koniec Rękopismu Kwestarza.

Przypisy do rozdziału XV. str. 338 i t. d. o Wołodkowiczu.

Dekret Trybunału Kadencyi Ruskiej w Mińsku na Michała Wołodkowicza. z rękopisu współczesnego.

Z Protokółu. Dnia 12 februaryi 1760 JW. Jpan Michał Wołodkowicz sędzia i podskarbi trybunału Gł. W. X. L. *convellendo* prawo statutowe W. X. L. *et correcturam jurium, quam strictissime auctoritatem et securitatem subselliorum, a praecipue supremi subselis* Trybunału Gł. W. X. L. ubezpieczające, *illicito ausu* na dniu pierwszym februaryi *anni praesentis,* w czasie agitujących się sądów, *ad occlusum conclave* na sądach poobiednich wszedłszy i tam wszystkich na namowie zostających znalazłszy, naprzód stoły w Izbie sądowej rąbać, *denique* świece w lichta-

rzach stojące ważył się, *insuper* jeszcze, krzyż na stole marszałkowskim rąbać *intendebat*. W czasie której tranzakcyi gdy JWW panowie sędziowie trybunału perswadować zaczęli, aby honestatem zachował, tedy JW. pan Wołodkowicz *vexando* wszystkich sędziów *laesivis verbis*, perswadującego JW. Dłuskiego deputata Lidzkiego szablą w rękę zaciął, a przez to *publicam tranquillitatem violavit*. Zaczem *Judicium*, *per eandem inconvenientiam* tegoż JW. pana Wołodkowicza od funkcyi deputackiej i od podskarbstwa Trybunału Gł. W. X. L. odsądza, a oraz *ne ulteriora scelera multiplicentur, perveniendo publice* tak JWW. sędziów trybunału, jako też wszystkich *sub securitate judiciorum* znajdujących się *tranquillitati*, *denique inhaerendo* W. X, L. Art. 9-go z rozdziału tego 1-go korrekturze *jurium* i dalszym prawom *de violatoribus*, opisującym tegoż JP. Wołodkowicza *in poenam colli decidendo*, ażeby tenże JW. Wołodkowicz przez żołnierzy trybunałowi assytujących *in spatio tridui* był rozstrzelanym, dekretuje. A *tantisper* niżeli egzekucya *praesentis decreti succedet* ażeby *quam strictissime* był opatrzony, JP. rotmistrzowi trybunalskiemu *praecommitit*.

Notacya w tym że rękopisie: Roku 1760 12 februaryi. Za laski JW. JP. Michała Sapiehy krajczego i marszałka trybunału W. X. L. a wicemarszałkowstwa JW. Morykoniego deputata wiłkomirskiego, za uderzenie w zawartem kole JP. wice-marszałka i cięcie JP. Józefa Dłuskiego deputata lidzkiego; WJP. Michała Wołodkowicza deputata mińskiego i podskarbiego trybunału W. X. L. w kilka dni po uczynionej akcyi będącego na sądach przez tegoż deputata lidzkiego do sądu wniesiono: najprzód dekret z przydaniem warty temuż JP. Wołodkowiczowi. który wraz został wzięty od warty trybunalskiej, potem w kilka godzin dekret *poenam colli*, aby był rozstrzelanym *in spatio tridui*: jakoż wziętego z wieczora przed szóstą godziną, w kordygardzie z północy o godzinie w pół do trzeciej tegoż dnia przez żołnierzy został rozstrzelanym, wieku swojego mając lat 24 lub 25, zostawiwszy brata rodzonego JP. Józefa Wołodkowicza wojskowicza mińskiego. Ta akcya niepraktykowana w W. X. L. stała się w Mińsku.

LISTY W TEJŻE MATERYI, Z INNEGO ÓWCZESNEGO RĘKOPISU.

Kopia listu JW. pana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do JO. księcia wileńskiego hetmana W. X. L. z Bychowa.

Namiestnicza Jego królewskiej mości władza, w nim pański honor jakową świeżą doznał obelgę, prowincya nasza zadziwić się musi kiedy ta ważna magistratura, przed którą najwyższych familij i domów drżeć musiały imiona zuchwały *ausus* JP. Wołodko-

wicza kolegi naszego zgwałcił i znieważył. Partykularniejsze dawniej zwady i nieuszanowania Izby sądowej przez tegoż jegomości czynione łagodnie umarzałem, i skombinowania *dabantur* sposoby. Ale sędziów na namowie siedzących zbrojną ręką nachodzić, deputatów porąbać, nie jest to partykularnej osoby, ale Jego królewskiej mości *despect*, *crimen status*, honoru mego *contempt*: Co wszystko iż egzemplarną wyciąga karę do Waszej książęcej mości, jako *ad custodem legum* prześwietny ucieka się trybunał, wraz ze mną prosząc, gdybyś W. X. Mość wynalazł środek i sposoby satysfakcyi trybunałowi, kiedyś na rekwizycyę J. K Mości wartę trybunalską nie wzmocnił. W czem oczekując W. X. Mści rezolucyi, najgłębszem uszanowaniem pisze się. Dnia 10 februaryi 1760.

Kopia listu JO. księcia hetmana W. X. Lit. do JW wice-marszałka trybunału Gł. W. X. L. dnia 12 februaryi 1760 r. z Nieświża.

Z wielkiem nieukontentowaniem odbieram od Wpana wiadomość niegodziwej akcyi Jpana Wołodkowicza, a z umartwieniem czytam wyrażenie sprawiedliwego żalu jego, z zaszłego i najwyższych tych sądów, i samego Wpana pokrzywdzenia, które jako *meretur* sąd i karę, tak *quid juris est*, *et justitia potest*, czynić przynależy. Ja się w to mięszać nie będę, ani ochraniać zechcę jako przyjaciela mego JP Wołodkowicza: bo każdego natenczas mam i wzajemną serca przychylnością *prosequor*, kiedy się zachowuje *in orbita* wszelkich moderacyj i chwalebnych postępków; każdego zaś sądzę być nieprzyjacielem moim, kiedy *temerarie* waży się gwałcić prawa i grzeszyć przeciwko słuszności, ani się może natenczas pomocy i ochrony mojej spodziewać. W tej rzetelności sentymentów zostawam *corde tenerrimo* etc.

Kopia listu JWpana marszałka trybunału do JW. Mniszcha marszałka nadwornego koronnego, dnia 10 februaryi 1760 r. z Bychowa.

Zważając rozpoczętego trybunału w Wilnie progressa, i dziejących się pod trybunałem *violencyj* i *excessów*, z ubliżeniem namiestniczej Jego Królewskiej Mości władzy, która dla małej i szczupłej warty, powagi nie miała, a obawiając się jeszcze gorszej sekwencyi na kadencyi ruskiej z przezornej myśli upraszałem Jego Królewskiej Mości pana miłościwego, gdyby wartę naszą trybunalską wzmocnić kazał i do JO. księcia jegomości wojewody wileńskiego, hetmana W. litewskiego, zalecając straż powagi sądowej, pisał. Co gdy się stało, ci, którzy dalsze *excessa* dopełniać byli w zamiarze reprezentowali JO. księciu hetmanowi, iż moje takiego ordynansu i najłaskawszego pana uproszenie na to tylko zmierzało, żeby podać w *inwidyę* władzę hetmańską, a przykrość uczynić przyjaciołom. Daremniem eksplikował się z tego i

przytaczał, że w Koronie gwardya assystuje trybunałom, coraz zawikłańsze wynajdowano eksplikacye, a tak wola pańska skutku nie wzięła, i trybunał *dolende* wzmocnienia nie otrzymał warty.

Porywczy do gwałtów Jmć pan Wołodkowicz deputat miński, gdy na ustępie byli koledzy jego, on zagrzawszy głowę, naszedł sądową izbę z dobytym pałaszem, sędziego lidzkiego Dłuskiego porąbał, a wice-marszałkowi Morykoniemu zelżywemi dostało się słowy.

Takowa niegodziwa obelga, pod żadnem nieznana słońcem, kary wziąść nie może, kiedy trybunał nie ma siły zuchwałego skarać człowieka, z przybraną tyranią na większe odważającego się ekscessa. Więc do Jego Królewskiej Mości, jako, *ad fontem suum*, ucieka się trybunał, prosząc, aby Jego Królewska Mość wynalazł sposob *brachio suo* otrzymania satysfakcyi z tak niebezpiecznego *kontemptu*, co jeśli pójdzie *impune*, pewnie i strony sędziów znieważać zaczną, z poniżeniem tak poważnej magistratury, którą dotąd *ob tremorem* obserwować najwyższej dystynkcyi ludzie musieli. Odezwałem się w tej mierze do JP księcia hetmana, i kopią aktu mego przyłączam. Będąc z dystyngowaną obserwancyą etc.

Kopia listu JWpana podkanclerzego W. księstwa litewskiego do JWpana Mniszcha marszałka nadwornego koronnego z Bychowa ejusdem pisanego.

Świątnica sprawiedliwości, najwyższa Jego Królewskiej Mości namiestnicza władza trybunału głównego W. X. L., który najmocniejszym w ojczyznie ludziom straszny, dla najzuchwalszych ogromny *et saeculis* poważany jakowy gwałt teraz ucierpiał, i w wielkiem dotąd jest niebezpieczeństwie. donosi JW pan marszałek tegoż trybuuału, i szuka u Jego królewskiej Mości, jako najwyższej głowy swojej, zdania i rady *Quo facto opus* zna każdy z nas *) i wie, że takiego trybunału *oppressora* sądzić i karać należałoby. Ale szczupłe trybunału siły ekscessanta zuchwałość i hajdamactwo, przy nim zgraja mięszająca się, czynić sprawiedliwość nie dozwala. Nie trzeba eksplikować JWpanu dobrodziejowi, jako w tem *laeditur* powaga Jego Królewskiej Mości, jaka dla przyszłych trybunałów konsekwencya, jaka dla postronnych ustawa pogorszająca rządów naszych, i jako *rigorose* to zgromić należy; wysokie sentymenta *i amor boni publici* zaszczepiony w JW panu ma to w umyśle i oczach co sumienność każe, a praw utrzymanie utorowało drogę. Jednak, bym się nie zdał porywczym, zdałoby mi się, gdyby Jego Królewska Mość listem swoim do księcia jegomości hetmana ordynował, zalecając, ażeby wraz wartę trybunalską stu ludźmi wzmocnił, a mrszałka trybunału zobowiązał *irremissibiliter* by JP Wołodkowiczaa sądził *ad instantiam Instiga-*

---

*) Może to być przymówka do Radziwiłłów.

toris. Lecz że *event* może być nieprzewidziany, więc Jego Królewska Mość mógłby listem swoim *intimować* instygantora W. X. L., jako w sprawie *laesi Regalis brachii*, i aby tę sprawę *ad ultimum juris gradum* tak w tym, jako i w przyszłych następujących trybunałach przeprowadził. Takowe wzięcie się za honor trybunału Jego Królewskiej Mości uczyni impressyę w narodzie poszanowania trybunałów, powściągnie od podobnych złych akcyi *pro futuro*, zagęszczone hajdamactwa powstrzyma, i *tranquillitatem* przyniesie ojczyznie naszej.

Kopia listu JWpana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do Imćpana Morykoniego wice-marszałka tegoż trybunału.

Niesłychanej odwagi akcya JP. Wołodkowicza jako jest kryminalnej importancyi, bo *laedit* powagę Jego Królewskieje Mości, znosi *Supremi Judicii* bezpieczeństwo. a przeto jest *crimen status*. Więc odezwałem się do Jego Królewskiej Mości, jako do najwyższej Trybunału głowy Pańskiej, *exquirendo sentimenta*. I nim nastąpi w tym punkcie rezolucya. i nim sam zjadę do Mińska, w całym tym interesie wstrzymać się proszę i nic *cunctanter* nie czynić w tej sprawie, póki udysponowania się *modus non datur*, bo nie partykularnej osobie stała się krzywda. ale honoru mego uszczerbek. Nie wątpię tedy, że W. pan całego trybunału piastując honor i powagę, *frivole* nie uczynisz kroku, któryby *vili passione* trybunału, a laski dyshonor przyniósł. O co W. pana *obtestando*, z wielką piszę się estymacyą etc.

— To, czegom się w opowiadaniach dziada mojego, naocznego świadka śmierci Wołodkowicza, nasłuchał, to, co się z powyższych aktów i listów wypisanych z ówczesnych pamiętników domowych, wyświeca, zgodnem jest zupełnie z opowiadaniem Bielewicza.

Wypadek ten, jakkolwiek tyczący się losu jednej tylko osoby, obojętnym jednak nie jest w dziejach kraju tego z ostatnich jego czasów, i za historyczny pod pewnym względem uważanym być może. Ileż tu bowiem razem objawia się okoliczności i rysów charakterystycznych ludzi i wieku tamtego.

Sapieha niepewny, czyli w powszechnym nieładzie i ścieraniu się możnowładnych partyj dopiastuje spokojnie laskę swoją trybunalską, którą naprzekor Radziwiłłom potrafił osiągnąć; „przezornej myśli,“ a może i z przekornej myśli, uprasza króla o rozkaz hetmanowi Radziwiłłowi powiększenia warty trybunalskiej.

Rozkaz ten dany od króla, ale go hetman nie spełnia. Bo jakżeby miał powiększać sam powagę współmagnata pragnącego zrównać mu w potędze, otaczając go świetną wojskową assystencyą, poniewoli odeń wymuszoną?

Niema tu względu na niebezpieczeństwo najwyższej w kraju magistratury i publiczne, bo też może nie było i bojaźni, by ono prawdziwie zakłóconem być mogło. Duma tylko, arystokratyczna zarozumiałość i chęć upokorzenia Sapiehy a przysporzenia mu kłopotu w sprawowaniu urzędu, powoduje Radziwiłła do nieposłuszeństwa królowi, a tem samem do podniesienia w oczach gminu potężnej swej władzy hetmańskiej, którą tak troskliwie piastuje i chroni, że się lęka poddać „w inwidyę powszechną,“ spełniając ordynans królewski. Przyczyna ta wszakże zręcznie wybraną i stosowną jest do panujących natenczas w narodzie wyobrażeń, łamać się z nią Sapieha bez wydania na szwank swej popularności nie mógłby.

Zatem rozpoczyna się kadencya ruska trybunału w Mińsku. W kole sędziów jest kreatura Radziwiłłowska: Michał Wołodkowicz, wybrany deputatem z Mińska, zuchwały, w swawoli, gwałtach, pijatykach i hajdamactwach trawiący swe lata młode, sam dawnego i możnego w Litwie rodu, a związkami pokrewieństwa z takimiż połączony, ale oddany całkiem domowi Radziwiłłowskiemu, gotowy na wszelkie skinienia książąt, zaufany w ich protekcyi, a zatem niepomyślny dla Sapiehy kolega.

Sapieha znowu zapewne z przezornej myśli zreassumowawszy trybunał, jedzie do domu. Zastępuje go w prezydencyi Morykoni wice-marszałek a deputat wiłkomirski. Nazwisko i cudzoziemski ród jego, lubo dawno w kraju zamieszkały, podnieca pychę rozhukanego śmiałka, niemogącego scierpieć, że siedzi niżej od cudzoziemca, a co gorsza, że ten rozumem, znajomością prawa i roztropną stałością dostojnego i mądrego urzędnika przeważnie wpływa na zdanie kolegów i utrzymuje powagę trybunału, a upokarza Wołodkowicza upomnieniem, przestrogą i samem nawet pobłażaniem jego swawoli.

W takim stanie rzeczy i rozdrażnienia, zdarza się sprawa jakiegoś koligata Wołodkowiczowskiego, w której wyrok, mimo próśb i gróźb jego, nie padł mu po myśli. Dotknięty do żywego, a podżegany w zawziętości i pijatyce przez dobraną hajdamaków drużynę, nachodzi on trybunał....

Wielkie i powszechne było wzruszenie umysłów, wzbudzone niesłychanym dotąd takim wypadkiem. Występek główny i nadzwyczajny wymagał rychłej i surowej kary, bo targnął się na spokojność i bezpieczeństwo urzędu, piastującego własność i losy wszystkich, a co najgorsza, przykładem ośmielić mógł bezprawia i gwałty w kraju, w którym prawa codzień w swej sile i powadze słabły. Lecz z drugiej strony, sama nadzwyczajność występku trudnem czyniła zastosowanie kary, zwłaszcza nad człowiekiem, którego szerokie związki familijne, stosunki popularne, nakoniec protekcya domu Radziwiłłowskiego osłaniały. Targnąć się więc na to wszystko niełatwo było, a zatem i trudny środek pogodzenia tych wszystkich względów z prawem i sprawiedliwością.

Na taką próbę wydana przezorna myśl marszałka trybunału, nie mogła na rychłą i stanowczą zdobyć się determinacyę. Sapieha nie wie co począć? Zna, że obecność jego w takim razie konieczną jest w trybunale, lecz zna także, że przybywszy do Mińska, wnet coś postanowić i działać potrzeba będzie. Nie jedzie więc, ale się wybiera; zapowiada swą bytność Morykoniemu; zastrzega, aby on żadnego w tej sprawie *frivole* nie czynił kroku, nim sam nie zjedzie do Mińska i nie wyekskwiruje sentymentu Jego królewskiej mości, do którego, jako *ad fontem* swej sądowniczej władzy, uczynił odezwę. Z kolei, wymowne napisawszy listy do Mniszcha marszałka nadwornego koronnego, do hetmana Radziwiłła, któremu przy zręczności odmówkę warty wymawiając, winą ekscessu dotyka, umyślił *tandem* spocząć sobie po tak ciężkiej listowania pracy i oczekiwać w Bychowie rezolucyów. A nuż zkądkolwiek przyjdzie sposób wywikłania się z tej biedy tak, aby i *kontempt* honoru jego, i prawo, i osobiście podległe okolicznościom czasu względy, zaspokojonemi być mogły.

Stary hetman Michał książę Radziwiłł dokonywał natenczas w Nieświżu wieku i niewojennego swego hetmaństwa. Wieść wypadku w Mińsku, o mil kilkanaście od Nieświża odległego, wnet go doszła. Bo i stronnicy Wołodkowicza przylecieli doń szukać wsparcia i ratunku, i Morykoni napisał list, pragnąc wiedzieć myśli i zamiary księcia. Cnotliwy ten pan, jakkolwiek w powszechnem odrętwieniu kraju nie był zdolnym do wzbudzenia w nim żywotnego ducha, słynął jednak ze sprawiedliwości i spokojnych cnót domowych, a nie nadużył nigdy na przemoc lub ucisk współbraci potężnej przewagi, jaką mu, najpierwsze w kraju hetmana wielkiego i wojewody wileńskiego dostojeństwa, oraz niezmierne bogactwa jednały; owszem, gromił często i surowo własnego syna Karola, natenczas miecznika litewskiego, nieunoszonej młodości zapędy. I jeżeli, jako głowa najmożniejszego w Litwie rodu, wpływał na wewnętrzny obrót stronnictw i możnowładczych uporów, nie cierpiał jednak wyuzdanej swawoli, ani ją kiedykolwiek ochraniał lub bronił. Występek więc Wołodkowicza, odezwy Sapiehy i Morykoniego, ucieczka nawet adherentów *ekscessanta* po jego opiekę, wszystko dało poznać hetmanowi, że powszechność i potomność imię Radziwiłła do wspomnienia o Wołodkowiczu połączy.

Zatrwożyła księcia ta myśl nienawistna. Prawe przekonanie, że w obu swoich urzędach jest stróżem bezpieczeństwa publicznego, wsparło to pierwsze wrażenie. Wyrzeka się więc wszelkich z winowajcą stosunków i odmawia stanowczo błaganego ratunku.

Nie wiemy czyli odpisał Sapiezie; Morykoniemu zaś odpowiada, że się mięszać w tę sprawę wcale nie będzie, i że *quod juris est justitia posset*, czynić przynależy. Uderzeni jak piorunem stronnicy Wołodkowicza tem postanowieniem ojca, pobiegli szukać skuteczniejszego wsparcia u syna, złączonego z ich pryncypałem osobistą skłonnością. Ale, na nieszczęście ich i Wołodkowicza,

książę miecznik był natenczas aż w Białej, hrabstwie o mil kilkadziesiąt od Nieświża odległem.

Trzecie i główne miejsce sceny tego dramatu, był Mińsk. Tam po ujęciu i osadzeniu Wołodkowicza, nie łatwem było położenie trybunału, a szczególniej prezydującego w nim Morykoniego. Nazwisko jego cudzoziemskie źle brzmiało w uszach szlachty komparującej one z Wołodkowiczami, dawną i popularną między nimi rodziną. — Włoch prześladuje szlachcica! wołano zewsząd; nie pamięta na „*Neminum captivabimus, nisi jure victum!*— Warta trybunalska ze trzydziestu ludzi i dwóch oficerów złożona, ani liczna, ani mężna, z trudnąściąby ustrzegła więźnia i ochroniła sam trybunał, gdyby zburzony gmin od przegróżek przeszedł do czynu. Ale strzegła go mocniejsza od siły zbrojnej tarcza, bo siła wiekami utwierdzonej w narodzie czci, i świętej, że tak powiem adoracyi, dla trybunałów, przed którymi, jak pisze Sapieha, najwyższej dystynkcyi ludzie drżeć musieli. Bo też i najwyższej dystynkcyi ludzie składali go pospolicie; a jeżeli czasami stronnictwa i emulacye możnych, kierując wyborem deputatów, pokalały poważne to sądownicze grono, rzadko się to jednak przydarzało, i zawsze w niem znaleźli się mężowie prawi, sumienni i mądrzy, którzy rej wodzili w kole, tak, że nieraz się zdarzało, iż gdy przyszło do sekretnego *turnum*, w wątpliwych i interesowanych namowach, zwykle przez któregokolwiek z bezstronnych sędziów wzywanego, a przez marszałka zaprzeczyć się niemogącego, Radziwiłłowski, Sapieżyński lub Czartoryskich deputat sam jeden przy swojem zostawał się wotum Oprócz tego, najzapaleńszym rębaczom i codziennym towarzyszom hajdamactw Wołodkowicza opadały ręce i opuszczał zapał, gdy przypomnieli na porąbany przezeń krucyfiks; już wtenczas uznawali go winnym sądu i kary, lecz duchowne mu tylko *penitentiae*, nie zaś kapitalny przeznaczając dekret.

Morykoni zdolnym był przewodniczyć trybunałowi i kierować zdaniem kolegów w tej trudnej okoliczności. Mądry i stały w postanowieniach, świadomy praw krajowych i stosunków tamtoczesnych obywatelskich, osądził on w swem sumieniu i w surowej lecz koniecznej sprawiedliwości występek i los Wołodkowicza; lecz niżeli stanowczym wyrokiem mógł sam go rozstrzygnąć, musiał wprzód wezwać Sapiehy, któremu obowiązek i przyzwoitość nakazywały nie opuszczać nigdy, a bardziej w takiem zdarzeniu, trybunału; zbadać też determinacyę Radziwiłła: gdyż jeżeliby on chciałz bronić Wołodkowicza, stając natenczas otwarcie i upornie napróeciw hetmanowi można byłoby do większego zgorszenia dać powd, i nie bronić się jednak słabą trybunalską komendą naprzeciw hetmańskiemu żołnierzowi.

Dnia 1 lutego 1760 roku stała się akcya, i ujęty Wołodkowicz, osadzony został i strzeżony w kordygardzie warty trybunal-

skiej. Morykoni wnet posłał do Bychowa, odległego mil więcej trzydziestu od Mińska, do Sapiehy, i zapewne nie długo zwlekając, i do Nieświża. Nie mamy w rękopisie naszym tych listów jego; że były pisane, z odpowiedzi hetmana i marszałka widno.

Czas oczekiwania na te odpowiedzi najtrudniejszym był dla Morykoniego i trybunału, bo czas niepewności i próby. Morykoni z jednostajną spokojnością oblicza przewodniczył nieprzerywającym się sądom; a lubo w namowach mniej o toczących się procesach niżeli o rzeczy Wołodkowiczowskiej, wszystkich zajmującej, rozprawiano, jednak po namowie nikt z tłumu, czepiającego się zwykle trybunałów, nie mógł przeniknąć ani zbadać myśli marszałka i deputatów.

Przyjaciele Wołodkowicza spodziewali się co chwila Radziwiłła, nie hetmana, ale syna jego księcia Karola, którego Wołodkowicz był ulubieńcem; wierzyli więc; i słusznie, że nie da mu zginąć, i czy to zgodnie z wolą ojca, czy to i mimo woli jego, przybędzie oswobodzić więźnia.

Miał Morykoni swoje przesłuchy; wiedział, że książę Karol aż w Białej, liczył więc niecierpliwie dni i układał plany na przypadek przyśpieszonego przybycia księcia, a zatem zagrozić się mogącej spokojności publicznej; błagał tylko trwożliwych kolegów, aby dotrwali przystojnie do końca i najmniej się nie wydawali ze swą bojaźnią lub wątpliwością. Nakoniec, prawie w jednej godzinie, zeszły się odpowiedzi Radziwiłła i Sapiehy, to jest, 12 lutego. List pierwszego uwalniał trybunał od wszelkiej niespokojności ze strony hetmana, i owszem ośmielał do wymierzenia kary na przestępcę; drugi majaczył, odkrywał niepewność zdania, puszczania się na zwłokę, a zatem w przyszłości bezkarność dla Wołodkowicza, któréjby on nie długo nawet oczekiwał, bo coraz gęściej krążyła wieść, że książe Karol ze swoim myśliwstwem, które rzeczywiście za siłę zbrojną uważać można było, tuż, tuż się zbliża.

Gdy więc tu już było prawdziwe *periculum in mora*, Morykoni, po odczytaniu tych listów w kole, odkrywa otwarcie swoje zdanie, wzywa Boga na świadectwo, że żadnej osobistej do Wołodkowicza niema na sercu urazy, że mu Morykoni przebacza... lecz że go sędzia potępia; wystawia niebezpieczne i gorszące skutki dla kraju, gdyby czyn tak zuchwały i występny poszedł bezkarnie, nakoniec odwołuje się do przysięgi sędziów, i konklúduje wyrokiem, że Wołodkowicz winien śmierci!—Jakież jest wasze zdanie? sędziowie! zapytał. Mamże otworzyć *turnum?*

— Nie potrzeba, zawołali wszyscy. *Poena colli!* Pisać wniesienie i dekret.

Porąbany przez Wołodkowicza lidzki deputat Dłuski daje natychmiat wniesienie—los winowajcy rozstrzygnięty.

W kilka godzin Morykoni odbiera nagle wiadomość, że książę miecznik przybywa; przyśpiesza więc egzekucyę dekretu, a

oszczędzając Radziwiłłowi gorszącego czynu, a sobie i swoim niebezpieczeństwa, zaraz po egzekucyi limituje na dwa tygodnie trybunał, i rozjeżdżają się wszyscy.

Dziad mój, towarzysz natenczas usarski znaku Buławy Wielkiej W. Ks. Litewskiego, a przebywający ciągle przy boku i dworze hetmana *), posłany był przezeń zaraz po ujęciu Wołodkowicza do Mińska dla uważania obrotów rzeczy i wypadków, i donaszania wszystkiego do Nieświża, z zaleceniem jednak najściślejszej tajemnicy o swojej misyi, i niewdawania się najmniej w żadne kroki, któreby tę misyę odkryć mogły.

Opowiadania jego szczegółowe o tym i o wielu innych wypadkach dworu Radziwiłła hetmana, a po jego zgonie księcia Karola Panie kochanku, przy którym także lat kilka przebywał, wyryło się dokładnie w mojej dziecinnej i młodzieńczej pamięci; w pamiętniku zaś jego domowym znalazł się dekret, listy i noty powyżej wydrukowane, a które on, znajdując się ówcześnie i umyślnie *in loco delicti*, miał łatwą zręczność zebrać.

A tak rys ten wypadku tego nadzwyczajnego, mniemam być prawdziwym. Sprzecznym on jest z opowiadaniem tejże samej okoliczności w Pamiętnikach starego szlachcica, w Wilnie wydrukowanych, naprzód głównie w tem, że dekret śmierci Wołodkowicza ogłasza być sądów kapturowych, a zatem w ciągu bezkrólewia po śmierci Augusta III, gdy wątpliwości niema, że go trybunał w 1760 za życia jeszcze tego króla osądził, z kolei we wszystkich okolicznościach towarzyszących akcyi, wyrokowi i egzekucyi wyroku na Wołodkowiczu. Błąd ten autora wysokich literackich zalet stąd zapewne poszedł, że wieść pomieszała, i dotąd miesza swawole i los dwóch Wołodkowiczów współczesnych sobie: Michała, rozstrzelanego w 1760, i Ignacego, brojącego po kraju właśnie w czasie bezkrólewia, okrytego i manifestami współbraci i wyrokiem sądów tamtoczesnych kapturowych i konfederackich, którym jednak nie stało się zadosyć, i które potem list żelazny pokonał.

Sporo czasu upłynęło po tym wypadku, wspomnienie Wołodkowicza trwa jednak do dziś dnia na Litwie, lecz codzień się już, wraz z innemi podaniami, zaciera i niknie. Gmin pospolity, szczególniej drobnej szlachty, gromadząc swawole obu Wołodkowiczów pod jedną osobą, i z przesadą one rozpowiadając, śmierć jego niesłusznem męczeństwem osądził i pamięć politowania swego nad nim pieśnią pozgonną uwiecznił... Rozważny zaś

---

*) Michał Borejko Chodźko, w roku 1760 towarzysz usarski znaku Buławy Wielkiej W. Ks. Lit.; potem w roku 1777 deputat z powiatu oszmiańskiego na trybunał główny W. Ks. Lit. na kadencyę ruską do Grodna; w roku 1785 deputat na trybunał na kadencyę litewską do Wilna; nakoniec po rozdziale powiatu oszmiańskiego, wojski zawilejski.

badacz przeszłości kraju tego widzi tu dowód, że w ówczesnem rozstrojeniu sprężyn rządu i wewnętrznego porządku, zepsucie jednak nie tak daleko zaszło, aby wyniszczyło zupełnie wzgląd na dobro publiczne. Bo i w możnowładnych głowach, jakim był hetman Radziwiłł, wzgląd osobisty ustępował bez namysłu i niknął jak mara przed interesem powszechnym i przed bojaźnią pogwałcenia praw i spokojności krajowej, a w szlacheckim zastępie nie wyplenił mężów cnoty i energii pełnych, bezwzględnie i śmiało postępujących na drodze obowiązków swoich, a godnych jak Morykoni zaufania ziomków i urzędów wysokiego dostojeństwa, na których dobro i bezpieczeństwo ogólne polegało.

JUBILEUSZ.

Janowi Chodźkowi, autorowi Jana ze Swisłoczy i pism rozmaitych, w dowód i na pamiątkę najszczerszego przywiązania poświęca najżyczliwszy synowiec, autor.

I.

Najwyższy Kapłan Rzymskiego Kościoła Leon XII ogłosił Miłościwe Lato; ogłosił rok 1825 jubileuszowym, i zawołał na cały świat chrześcijański: „Niech słucha ziemia wyrazów Naszych! Niech wesoła przyjmuje brzmienie trąby kapłańskiej,“ ogłaszającej Jubileusz Święty ludowi Boga! Wołamy wielkim głosem: przyszedł rok oczyszczenia, przejednania, odkupienia i łaski. . .“ *).

I czas też był wielki, aby ten rok oczyszczenia i przejednania zawitał dla chrześcijaństwa! czas był, aby nawę świętą wiary naszej, nadzwyczajnemi i gwałtownemi burzami skołataną, a tchem Bożym ku portowi już zawróconą, kotwicą nieśmiertelnych nadziei na skale Piotra utwierdzić.

Właśnie po ośmnastym wieku i po ćwierci dziewiętnastego, oczyszczenie to w czas było koniecznem. Należało oczyścić przybytek dla wszystkich cnót od Boga człowiekowi powierzony, serce na przyjęcie nanowo główniejszej ich przewodniczki religii, za którą i wszelkie inne powrócić doń były powinne.

*) Bulla Jubileuszowa 1824, dnia 23 Maja.

Należało skłonić zarozumiały obłąkany rozum do zrzeczenia się przewodniczenia rodzajowi ludzkiemu na drodze szczęścia i zbawienia, i do pokornego przejednania tej świętej pośredniczki między Bogiem i ludźmi, którą on znieważył, z serc i ze świątyń wyrzucił, siebie na jej miejscu nauczycielem i panem świata ogłaszając.

Ale przyszedł mu czas hań... i upadku, bo po krótkiem panowaniu przeląkł się on własnego dzieła. Rozumami, że tak powiem, pomięszał się rozum!!! Doprowadził on towarzystwo do krwawego Styksu, za którym tysiące ofiar jego samowładztwa stanęło mu widomie i ze zgrozą nań spoglądało... Wzdrygnął się więc, i cofnął... Dalej postępować niepodobna! Wracać mu się trzeba było... a wracać po tej samej drodze, na której wszystko obalał i niszczył w swym tryumfalnym do mniemanej doskonałości marszu... Potrzeba mu było własne nauki na inne sofizmata tłumaczyć, aby ich widocznego nie odkrywać fałszu i oszczędzić upokorzenia dumnej swej zarozumiałości. Potrzeba mu było wynajdywać nowe środki i sposoby uspokajania namiętności wzburzonych, i tem szaleńszych, że im celów i ofiar braknąć zaczynało.

Wszystko to jednak było naprożno. Lud stracił wiarę w jego wyroki. Czyny i skutki dobitniej niż księgi i racyonalne systemata biły mu w oczy. Opuścił więc rozum przywłaszczone berło, a los i przyszłość obłąkanego świata, oddał nakoniec na wolę Opatrzności.

Opatrzność też czuwała nad światem i ludźmi. Ona wzbudziła mocarza, który silną prawicą zatrzymał potok rewolucyjny, podniósł z ruin ołtarze Chrystusa, i w dniu jednym nowe dążenia i wyobrażenia rozpromienił po świecie!...

Lecz potężna wola jego, polityczne i ogólne na własny i obce narody wywierając wpływy, nie sięgała serc i duchowych usposobień ludzkich. Tam widoczne działanie łaski! tam duch Boży dokonywał dokonać się niemogącego przez człowieka dzieła!... Narzędzie woli Jego wskrzesiło materyalny byt religii jej świątynie; lecz Bóg sam cudownem natchnieniem uczył nowe pokolenia chrześcijańskich modłów i starego pacierza.

Rozum, złożywszy swe panowanie, nie wnet się poddał ogólnemu popędowi ludów; chciał on jeszcze być nieuległym, chodząc samopas, grać rolę rozmyślającego nad przeszłością filozofa, okrywając płaszczem mędrca swą niepewność, wątpliwość, a na dobitkę, i co gorsza, czczość i bezcelowość żywota...

—Pójdź! szaleńcze! pójdź do mnie!—rzekła mu religia. Widzisz, coś uczynił! gdzieś i do czego doprowadził omamioną tłuszczę!... Pójdź! ja cię zawiodę na drogę twoich poczciwych i bogobojnych praojców... Bezemnie tyś słaby! tyś nieudolny! przy mnie tyś promieniem łaski Stworzyciela, tyś najcelniejszą władzą i ozdobą stworzenia!...—

I rozum upadł na kolana przed krzyżem.

Ten szybki i ogólny rys duchowej treści początku dziewiętnastego wieku zwróćmy do szczególnego stanu naszego kraju.

Fałszywy odbłysk religijnej rewolucyi francuskiej doszedł aż do nas. Owszem, przygotowawcze do niej jady z ksiąg sekty tak nazwanej filozoficznej a godzącej na obalenie wiary chrześcijańskiej, czerpaliśmy pół wiekiem pierwej, wraz z całą Europą z Francyi. Resztę u nas dokonywało nieszczęśliwe naśladownictwo, które nam tyle i w tyle rozmaitych względach dało ciosów!

Jednak odbłysk ten oślepiającego ogniska, a pożerającego wszystko nad Sekwaną, u nas nie na cały naród, lecz na pojedyncze indywidua wywarł wpływ swój szkodliwy; wszakże tak liczne i mnogie że całe pokolenie młodsze klas wyższych towarzystwa, trądem tym bezbożności rażonem było. Co tam się w praktyce dokonywało, to u nas w teoryi fermentowało w głowach. Tam rujnowano świątynie Pańskie, tu wchodzono do nich dla wydania szyderczem niedowiarstwem wojny Bogu w Jego własnym domu, wyśmiania obrzędów i kapłanów, i płochego popisywania się z pogardą tego wszystkiego, co dla ojców, dziadów i pradziadów świętem i najczcigodniejszem było. A religia, jak budowa trzęsieniem ziemi w posadach wzruszona, nie runęła wprawdzie... może dla tego, że władza cywilna tamując napływ antysocyalnych z zachodu nauk, skuteczniej aniżeli ostygłe natenczas duchowieństwo, gromiła rewolucyjne dążenia; ale w sercach przedtem prawowiernych albo zupełnie wygasła, albo w powszechności zwątlona i zwiątpiała, łaską tylko szczególniejszą Boską do dawnego życia, czci i powagi przywróconą być mogła.

Nakoniec wielkie przesilenia polityczne dzieją się w Europie. Narody duszą i ramieniem skupione około wozu zwycięzcy, i za nim idące, gdy się ten rydwan roztrzaskał, zaczynają przez się i dla siebie myśleć i działać... Jak gladyator wychodzący ze śmiertelnej walki, opatrują swe rany okiem z oślepienia wojennej chwały i niechrześcijańskich rozprzężeń przetartem... Pojawiali się mędrcy i nowi nauczyciele ludów, których dzieła rozbierając bliską przeszłość, jej przyczyny i skutki, opaczne dotychczasowym, rozpromieniły ideje i sądy... Świat jakby ze zdumienia i podziwu nad tem co rozważał, przeżegnał się nanowo!

Znowu i do nas promień tej zorzy zwiastującej odrodzenie się w Bogu i cnotach zawitał. W rękach czytelników zamiast Voltera, Helvetiusa i innych, a szczególniej Wolneja, którego Rozwaliny za największe u nas *) miano dzieło Chateaubriand'a, Duch wiary chrześcijańskiej, Męczennicy i inne podobnego dążenia książki ukazały się i weszły w chwalebną modę. Ustawało uprzedzenie do-

*) Piszę o kraju, gdzie mieszkam.

tąd panujące, że aby być mądrym, potrzeba było być bezbożnym. I tak coraz a coraz obłąkane owce powracały na łono dobrego pasterza.

W takiej właśnie epoce i usposobieniu ducha doszedł nas głos z Rzymu wzywający wiernych do powszechnej modlitwy, do oczyszczenia, do przejednania! Jubileusz więc ten miał być, i stał się rzeczywiście, odnowieniem paktu przymierza z Bogiem dla świata wychodzącego z potopu niezbożności; i jak wprzód tęczą, tak teraz krzyżem cudownie jaśniejącym na niebie Bóg to przymierze zdał się utwierdzać*).



II.

Wezwani do pracy w winnicy Pańskiej kapłani nasi gorliwie wzięli się do tego świątobliwego dzieła. Liczne rozmaitych reguł duchowieństwo zakonne i świeckie z miasta Wilna rozeszło się po całej prowincyi pomagać plebanom w konfessyonałach, na ambonach i przy ołtarzach. Znaleźli się wymowni tłumacze słowa Bożego, kaznodzieje, o których apostolskiej wymowie nikt przedtem nie wiedział, i którzy oczekiwali, zda się, w celach klasztornych tej uroczystej zręczności, aby wyszedłszy na świat, gorącemi i przenikającemi słowy zadziwiać i wzruszać słuchaczów.

Każdy kościół miał oznaczony czas na jubileuszowy obchód; i gdy ten nadszedł, cały lud na mil kilka i kilkanaście naokoło wzruszał się jakby ze swojej posady, nieprzeliczonym tłumem garnął się do kościoła, dnie i noce jak mrowiskiem go oblegał; a niezaspokojny w jednym, przechodził do najbliższego, w którym z kolei również powtarzał nabożeństwo.

Panowie nie tylko nie ustępowali chłopkom swoim w gorliwości i modłach, lecz dając niejako przykład, wyręczali ich w posługach kościelnych zwykle przez włościan spełnianych, i w szczerem wyznaniu pokory a wyrzeczeniu się w obliczu Boga fałszywego na przyzwoitość względu, nieśli chorągwie za procesyą i w dniu ostatnim nabożeństwa na barkach swoich krzyż jubileuszowy, na pamiątkę przed każdym kościołem wkopany.

Jeden z najpierwszych kaznodziei czasu onego (chwała mu i uwielbienie! jeżeli żyje; a wieczny odpoczynek duszy! jeżeli się przeniósł do wieczności) Ks. Kuźnicki przybył z Wilna do na-

*) Mowa tu o krzyżu, który cudownie na niebie w czasie nabożeństwa jubileuszowego we Francyi się ukazał.

szego parafialnego kościoła, poprzedzony sławą swej apostolskiej wymowy i świątobliwości kapłańskiej. Człek ten Boży w sile jeszcze wieku i umysłu, wsparty był zapewne łaską i pomocą nieba, aby mógł podołać pracy jaką dzień i noc podejmował, przechodząc od kościoła do kościoła, a w każdym, tłumom doń cisnącym się udzielając cierpliwego ucha w spowiedziach i dwukrotnej codzień z ambony nauki..

O ileż to najskrytszych tajemnic ludzkich z serc skruszonych i opamiętałych doń się wylało! ileż z całego przeszłego życia spowiedzi uspokoiło na całe przyszłe! jaka pogoda i spokojność rozlała się po obliczach! jaka błoga swoboda w duszach!!!

Wśród takiego nabożnego uniesienia zbliżył się u nas dzień ostatni jubileuszu.—Czyliż doczekamy drugiego? .. —pytano się wzajemnie.—Daj Boże! daj Boże i źrenice nabiegały łzami!!!

Ach mój Boże! iluż pytających się natenczas, znalazło już odpowiedź w grobie! Ileż w tych zapytaniach nadziei i zamiarów osnutych na półwieku? a przerwanych w półroku .. lub do dziś dnia! O jakże mało było niepytających się wcale! czuli oni bowiem odpowiedź w sobie, a na osiwiałych głowach okazywali ją widoczną! Ależ natomiast starce ci, wznosząc oczy ku niebu, dziękowali Bogu, że to *daj Boże!* które się teraz w ustach wszystkich odzywało, życzone im na temże miejscu niegdyś w takąż samą uroczystą chwilę, sprawdziło się im szczęśliwie. Winszowali oni sobie wzajemnie, jakby doczekanych świąt corocznych! ... Pół wieku przeżyte czyż nie to samo, co rok jeden.

Na dziedzińcu przed kościołem, na którym zgromadzeni wszyscy czekaliśmy ostatnich nieszporów, obok starego, pochylonego i mchem okrytego krzyża, kopano na nowy, i tam czuła ta wzajemnych życzeń odbywała się scena, gdy jeden ze starców postąpił do kopiących, i biorąc rydel, rzekł:

— Kopałem przed pięćdziesięcią laty dół na ten krzyż co obok widzicie; niechże i na teraźniejszy pokopię. Trzeci nademną samym wkrótce zakopiecie!

— Jakto? —zapytaliśmy ciekawie—czyż i ten stary krzyż jest jubileuszowym?

— Tak jest—odpowiedział starzec, słabemi rękami wyrzucając ziemię z dołu.—Jam wczoraj księdzu plebanowi to powiedział; i obok wybraliśmy miejsce na ten nowy. Komu da Bóg dożyć trzeciego, niechże pamięta to miejsce; bo krzyże drewniane mogą poupadać choć krzyż niebieski nie upadnie nigdy!!!

Biskup Chomiński, którego brat rodzony stolnik oszmiański mieszkał w tutejszej parafii, (obadwaj już dawno przed Bogiem), przybył tu natenczas z Wilna dla celebrowania przez siedm dni jubileuszowych; i dnia pierwszego, po solennem nabożeństwie, prowadził sam processyę, ale z krzyżem tylko, bez *sanctissimum*, o milę stąd do dworu swojego brata; a tam, poświęciwszy w o-

grodzie miejsce, położył węgielny kamień na kaplicę, którą potem własnym kosztem dokończył i pięknie ozdobił. I ta więc kaplica do dziś dnia, chwała Bogu, w całości stojąca, jest również pamiątką jubileuszową, jako i krzyż ten, który pod celebrą świątobliwego tego pasterza po ostatnim nieszporze postawiliśmy. . . .

— O Boże! wieleż to potem krzyżów w życiu mojem zniosłem! . . Niech będzie na chwałę Twoję, Panie, a na zmazanie ciężkich grzechów moich. . . —Tu łzy potokiem popłynęły po sędziwej twarzy starca; oddał rydel i ocierając oczy, odszedł z gromady.

— Ciężkiż to, widzę, smutek gniecie go—rzekłem do stojącego przy mnie sąsiada mego i przyjaciela. Zna nasze okolice, a przecież ja go nie znam.

— Oddalił się on z tych stron o mil kilkanaście wprzód, aniželiś tu zamieszkał—odpowiedział mój sąsiad—sprzedawszy tu swój folwark i całe mienie. Odprawił już on w kilku kościołach nabożeństwo jubileuszowe; lecz za duchowieństwem przybył tutaj, chcąc, jak mi powiadał, dokończyć jubileuszową modlitwę, gdzie ją kiedyś zaczął. Wielkie smutki dopuścił nań Bóg. Pokilkakrotnie i najokrutniej serce jego udręczonem było. Rany jego zgon tylko zagoi. Znam najdokładniej jego cierpienia. Jest to mój dawny przyjaciel. Sąsiadowałem z nim w tej parafii, i najmilsze czasy młodości mojej odbyłem w jego domu i w jego towarzystwie, dojrzalszem ode mnie o całą młodość. Zapomniano tu prawie o nim i o nieszczęściach jego, jako o dawnej przeszłości do której i on sam wkrótce zapewne należeć będzie. Lecz jeżeliś tej wiadomości ciekawy, odejdźmy z tłumu; nim kościół na nieszpory otworzą, opowiem.—

Chętnie przystałem na propozycyę.

III.

Pan Romuald (jest to imię starca tego)—mówił mój przyjaciel—odziedziczył po rodzicach dwa folwarki, a zatem piękny szlachecki fundusz, i jakem powiedział, zamieszkał w tutejszym. Przebył pierwszą swą młodość bezżennym, i ledwo w połowie czwartego krzyżyka wybrał sobie żonę. Bodaj powątpiewał już on, aby mógł w swoim wieku podobać się kobietom; umyślił więc wdzięcznością przywiązać do siebie jaką młodą i niezepsutą dziewczynę, którąby nie znając jeszcze tkliwszych uczuć serca, od razu obowiązkom i przywiązaniu małżeńskiemu ulegając, przeskoczyła, że tak powiem, przez miłość.

Wybrał zatem i ożenił się z ubogą, ale młodą i nadzwyczaj ładną panienką, której wykształceniem moralnem nawet się za-

trudniał, skłaniając ono do swoich widoków; i codzień ją nowemi osypując dary, mniemał, że dopiął pożądanej i dobrze wprzód obmyślanej szczęśliwości.

Jakoż lat kilka upłynęło mu najpomyślniej. Córeczka, dziecko piękne i miłe, w pierwszym roku ich małżeństwa urodzone, hodowała się im wybornie. Później narodzony synek umarł nagle, i śmierć jego zaczęła niejako szereg cierpień Romualda.

Wkrótce potem w okolice tutejsze, a w najbliższe sąsiedztwo pana Romualda, przyjechał do domu hrabiego N. krewny jego, podolanin z urodzenia, ale cudzoziemiec z wychowania. Przybywał on z Francyi, gdzie od dzieciństwa prawie z matką mieszkał. Młody, przystojny, zalotny i bogaty, posiadał on przymioty zdolne zająć nieostróżne serce i głowę.

Pani Romualdowa, Zofia (bo tak ją po imieniu odtąd nazywać będę) jaśniała natenczas dojrzałą a nieporównaną pięknością.

Młodzieniec ten codziennie prawie widując ją, czy naprawdę w niej się rozkochał, czy oczarowany jej wdziękami, uwieść ją tylko postanowił.

Intryga ta i usiłowania jego trwały niejaki czas bezskutecznie. Uczucia macierzyńskie dla jedynego dziecka, religia, nieodmienna dobroć i przywiązanie męża, broniły Zofię od upadku.... Ale walka ta codzień trudniejszą dla niej była...

Romuald poznał rychło stan żony i własny; hamował się jednak, jak mógł w uniesieniach zazdrości i obrażonej miłości własnej, pobudzanej jeszcze codziennem urąganiem złośliwego sąsiedztwa.

Nie przeto przybrał on na się tę powierzchowną spokojność, żeby mu brakowało energii na przerwanie od razu tego nieszczęśliwego romansu i wygnanie z domu natrętnego gościa; lecz kochał żonę szczerze i tkliwie, nie chciał gorszącej sceny, któraby jej opinię na zawsze skalała i zostawiła wspomnienie na córkę nawet spłynąć mogące. Starszy od niej o lat dwadzieścia z górą, uważał siebie opiekunem niejako jej młodości i niedoświadczenia. Wiedział, że poślubiła mu wiarę z sercem zupełnie wolnem i na tem właśnie opierał był przyszłą szczęśliwość swego małżeńskiego pożycia, bo miał nadzieję, że przywiązanie jej wzajemne utworzy się po ślubie, zapełni tę próżnię w sercu i nie da miejsca obcym uczuciom. A lubo rachuba ta omyliła go widocznie, zwodził się on jeszcze, składając winę na zły los, nastręczający tak niebezpieczną pokusę.—Szał to młodej głowy i nic więcej—myślał i mówił nawet przed poufałymi i życzliwymi sobie przyjaciółmi, z których liczby byłem i ja.—Serce jej jest niezepsute i niezajęte. Przejdzie paroksyzm, i uleczona na zawsze, poznawszy znikomość bałamuctwa, wróci do poczciwych uczuć matki i do kochającego ją zawsze męża; i wówczas będzie pora pochwalić się jej z mo-

jem przywiązaniem i z moją łagodną a tkliwą litością nad jej opłakanem zaślepieniem —

Ale rozumowanie nie koi boleści żadnej, tembardziej boleści serca. Pobłażający dla żony, okrutnym on był dla siebie, bo za każdą, a prawie codzienną bytnością w domu jego Mieczysława (tak mu było na imię) musiał Romuald powtarzać sobie swoje perswazye, wbijać je gwałtem w głowę, i tym sposobem tłumić swe gniewy, gdyż na każde słowo, na każdy rzut oka kochanków krew mu kipiała.

Pan Romuald nie spuszczał jednak z uwagi żadnego kroku żony, ani nieproszonego przyjaciela domu; otoczył ich, że tak powiem niewidzialną dla nich siecią, w której więzły wszelkie projekta Mieczysława, wiadome wprzód zawsze Romualdowi, niżeli się uskutecznić mogły, i wszystkie myśli i wzajemne uczucia żony. Więc zapobiegł zawsze każdemu pokuszeniu się jednego, a słabości drugiej, i każdej zręczności, któraby narazić mogła Zofię na niebezpieczeństwo, a Romualda z pięknem rozumowaniem, na ostatnie nieszczęście i hańbę. Całą pociechą jego w utrapieniu, przez którą nawet i do serca żony kołatał, była malutka Marynia, ulubiona i piękna dziecina, w wieku, w którym małe dziatki są najmilszą pieszczotą rodziców. Brał on ją na ręce, nosił, całował, oblewał łzami; a gdy zadumana matka zwracała na nią oczy, oddawał on jej w ręce Marynię, siadał obok, zwracał myśl na przyszłość ukochanej córeczki, nadmieniał o nieszczęśliwym losie sierot, śmiercią lub z jakiej innej przyczyny opuszczonych od rodziców, a szczególniej od matek; słowem, starał się obudzić czułość Zofji, zwrócić ją ku najbliższej serca ich istocie, a odwieść od przedmiotu wciskającego się doń gwałtem.

Tym sposobem Romuald, idąc ślad w ślad za obłąkaną żoną i licząc jakby każde uderzenie jej serca, pomiarkował, że ono coraz gwałtowniej bije, że paroksyzm nie tylko się nie zmniejsza, ale owszem coraz silniejszego nabiera pędu. Nie uszła także oka zakochanych ciągła baczność nad nimi; a ten przymus i trudność nie tylko nie gasiły płomienia, lecz go tem mocniej podżegać się zdawały. Łagodność i milczenie Romualda nazywali obłudą; straż i ostróżność szpiegostwem i cichem prześladowaniem.

Nakoniec w przejmowanych listach (listy bowiem wzajemne dochodziły kochanków, ale szły pierwej przez ręce Romualda) doczytał się on z przerażeniem wyrazów: rozwód, ucieczka; na którą lubo żona jego nie zgadzała się jeszcze, ale coraz wolniejąc w oporze, samem rozbieraniem przeszkód, w których względu na męża najmniejszego nie było, a na córkę bardzo mały, dawała przeczuwać, że się nakoniec zgodzi, a honor męża i własny, oraz los córki, szalonej namiętności poświęci.

Wtenczas Romuald, widząc dotychczasowy swój takt, daremnym, a nawet fałszywym i żałując po niewczasie, stanął przed

żoną z listem w ręku, to jest, z odpowiedzią jej do Mieczysława. Rozumiał on i spodziewał się, że na sam widok tego listu Zofia osłupieje.... padnie mu do nóg i błagać będzie przebaczenia... a on tkliwem napomnieniem zakończy scenę, i zniewoli żonę do odpisania Mieczysławowi ostatecznej odpowiedzi, zrywającej tę intrygę na zawsze. Ale się wcale inaczej stało....

Trzęsący się jak winowajca oczekujący wyroku, wszedł Romuald do pokoju Zofii, i siedzącej spokojnie, podał, nic nie mówiąc, list w ręce...

Przyjęła... spójrzała... rzuciła obojętnem okiem na męża... i położywszy list na stole, w milczeniu dalej wiązała siatkę.

Romuald rozumiał, że zwaryowała, albo oniemiała, albo nakoniec, że sam stracił nagle rozum, i nie pojmuje, co się dzieje?.... bo nie mógł jeszcze przypuścić i wierzyć w taką zatwardziałość kobiety, którą niedawno aniołem dobroci nazywał.

Zdobył się wreszcie na głos, który mu był odbiegł.

— I cóż na to? Zofio!—zapytał.

— Ponieważ masz mój list w ręku, a zatem niepotrzebne pytanie.—I znowu milczenie.

— Jak to? Zofio!! nie masz mi nic do powiedzenia?

— Nie.—

— Ach! o Boże! upamiętaj się! Zofio! Ja ci przebaczam! Toż ty mnie najmniej już nie kochasz?—

—I nigdym nie kochała.—

— Więc mnie oszukiwałaś, łudziłaś przez lat tyle?—

— Nie oszukiwałam. Czyliżeś słyszał choć raz z ust moich to słowo: kocham, do siebie powiedziane?—

Romuald przebiegł myślą przeszłość i musiał w duchu przyznać, że prawda.

— Pocóżeś szła za mnie?—

— Czyż ja szłam? Mnie wydano!

— Więc mnie nienawidzisz?—

— Nie.—

— Dla czego więc odrzucasz kochającego cię męża, a oddajesz się w ręce młodzika, którego wiekowi nawet i ufać nie można? Nie gub siebie! nie gub mnie! nie gub najbardziej dziecięcia naszego! Cóż ci ono zawiniło? Zofio moja!..—

—Jużem nie twoja!!!—rzekła ona jakimś niezwyczajnym, ponurym głosem; wstała i wyszła z pokoju.

Romuald stał, jakby mu piorun u nóg uderzył... Te lakoniczne, wyraźne i otwarte odpowiedzi były znakiem upartego odważenia się na jedno; może przekorą mężowi spowiadającemu się żalu i zawstydzenia? może nakoniec hardem odbiciem upokarzającego a oczywistego dowodu ukrywanych zamiarów? Lecz to: jużem nie twoja! zdawało się Romualdowi jawnem wyznaniem przeniewier-

stwa, było zatem wyrokiem zrywającym bez powrotu ich związek, wyrokiem dlań nieszczęścia i rozpaczy.

Stał on długo osłupiały bez myśli, bez czucia, wyszedł nakoniec machinalnie jak automat z pokoju, nie wiedząc gdzie go nogi poniosą... i Bóg wie coby się z nim stało; ale spotkał na dziedzińcu biegającą Marynię. Ta podług zwyczaju, rzuciła mu się w ręce... Wziął ją... Ona go rączkami za szyję objęła, twarzyczkę swoją przytuliła do jego pałającego oblicza. Potok gorących łez rzucił mu się z oczu... i odzyskał przytomność i rozwagę; ucałował, przycisnął do serca ukochane dziecko, krzyż święty położył na jej czole, i odszedł zadumany.

Tysiące myśli i zamiarów cisnęło mu się do głowy, jedne drugim przeciwnych: gwałtowne, przeciwne i naturze nieszczęśliwego, i względom na przyszły los córki, jedynego pozostającego mu skarbu; łagodne, przeciwne widocznemu doświadczeniu i bezskuteczne. I odjęcie sobie życia, a ukaranie wieczną zgryzotą niewiernej, i wyzwanie Mieczysława, a odpędzenie wnet Zofii, przemykały mu po głowie jak błyskawice; a po każdej takiej myśli ślad głębokiej boleści, jak wyryte dno gwałtownego potoku, zostawał mu na sercu.

Ni komu się pożalić, ni się z kim poradzić! któż bowiem odważy się żebrzeć litości lub rady; wstyd swój i biedę domową jak kalectwo objawiając?.... Wszędzie rada ludzka przydać się może; ale jeszcze się ten nie narodził, ktoby złe małżeństwo zgodził. Wreszcie, los pana Romualda był wyjątkowym: bo i w obyczajach naszych tak namiętna, a razem tak mocnej woli i oporu kobieta była i jest, chwała Bogu, wyjątkiem.

Po długich namysłach, wrócił nieszczęśliwy do domu bez żadnego ostatniego postanowienia; ale jednak coś umyślił, oto myślał czekać przybycia Mieczysława, i z nim jak z człowiekiem honoru, rozmówić się otwarcie i spokojnie o losie Zofii i postąpić potem jak wypadnie. Mieczysław codzień na herbatę przyjeżdżał, i wieczorem wracał do domu, to jest, do hrabiego, u którego od kilku miesięcy mieszkał, przybywszy na parę tygodni

Dnia jednak tego i następnych napróżno czekał gościa Widać, że w sieci pajęczej, którą ich otoczył, była jakaś luka, niedostrzeżona przez Romualda, a przez którą komunikowali się kochankowie.

Między małżeństwem była zimna obojętność, odrętwiałość, gorsza stokroć od swarów lub kłótni, kończących się zwykle prędkiem pojednaniem, którego tu nie było nadziei, Marynia tylko biegała od papy do mamy, i skarżyła się smutnie:—Mama gniewa się na mnie, bo nic do mnie nie mówi; papa chory, bo płacze.—

Nie mogąc znieść długo takiego udręczenia i niepewności, Romuald, gdy pan Mieczysław nie przybywał, zbliżył się znowu

do żony, pragnąc przynajmiej dowiedzieć się, czego ma oczekiwać i czego trzymać?

Na mnóstwo pytań nie odpowiadała mu wcale. Na jedno tylko:—Czy pan Mieczysław chce nas rozwieść i z tobą się ożenić—odpowiedziała: Tak!—Dość jednak było i tego, bo to krótkie tak! rozwiązało wszelkie już wątpliwości Romualda. Któż wie bowiem, czyby jej jeszcze nie przebaczył? czy w odpowiedziach jej nie chciał znaleźć łagodniejszego odgadnienia na: jużem nie twoja!...

Po tej rozmowie nazajutrz weszła żona do jego pokoju, i z najspokojniejszą twarzą położyła mu list otwarty na stole i wyszła.

Był to list Mieczysława do niej, tegoż dnia napisany, pełny wyrazów najgorętszej miłości, dający poznać, że wie o jej smutnem domowem położeniu, i że wnet odjeżdża, aby rozporządził wszystko we własnym domu, a powrócił jak najrychlej dla rozpoczęcia i dokonania rozwodu i ofiarowania potem jej swojej ręki. Kończył, zaręczając sumieniem i honorem świętość swoich obietnic! dodając, że uważając się odtąd za opiekuna jej spokojności, odemści śmiertelnie każdemu, ktoby się jej uwłaczać odważył.

Z zimniejszą już rozwagą rozbierając list ten, i swoje położenie Romuald, na tymże liście szczere wyznanie napisał, że odtąd więc zrzeka się tytułu i obowiązków męża i opiekuna przyszłej żony Mieczysława; lecz ponieważ dotąd nim był, przeto za zniszczenie szczęścia i spokojności żony, dziecka i własnej, potrafiłby także śmiertelnie odemścić; lecz gdy w takim razie albo zupełne sieroctwo opuszczonego od matki dziecka, albo owdowienie samejże matki przedślubne nastąpićby musiało, przeto i miłość własna głęboko obrażona, chęć sprawiedliwej zemsty, ustępują uczuciom ojcowskim i religijnemu poddaniu się woli Boga, któremu los dziecka, niewdzięcznej żony i własny oddaje.

Odtąd całe to nieszczęście domowe Romualda wyszło zupełnie na jaw i wpadło na usta ludzkie; lecz złośliwe rozprawy i sądy rozbijały się tu o dwie przeciwne sobie, ale równie twarde tarcze: spokojną rezygnacyę męża, a dumną zarozumiałość żony.

Świat płochy przyznawał jej nawet słuszność—Cóż w tem złego?—mówiono—lepiej mieć chat trzysta, niż trzydzieści; lepiej mieć męża młodego, niż półwiecznika, którego się nie lubi. Rozumna i ładna kobieta!—

Poczciwi zaś, znający dobrze Romualda, przekonani, że rezygnacya jego nie z trwogi ani nikczemnego umysłu, ale ze szlachetnego serca pochodziła—zacny a nieszczęśliwy człowiek!—powtarzali. Wszyscy zaś ciekawie oczekiwali powrotu Mieczysława.

Już trzeci miesiąc upływał od jego odjazdu. Listy każdej poczty dochodziły odeń do Zofii, w każdym obietnice rychłego powrotu, który się jednak przewlekał, a coraz był dla obojga mał-

żonków pożądańszym, bo takie życie *ad interim* pod jednym dachem było im nieznośne. Rodzice Zofii pomarli, rodzeństwo rozpierzchło się w różne strony. Do klasztoru, bojąc się bodaj religijnych egzortacyj, przenieść się nie chciała; więc musiała zostać na miejscu; a lubo niezajmowała się już domem, wszelako co krok spotykała się z przeszłością jak z nieprzyjacielem wyrzucającym jej na oczy przeszłość i niewdzięczność. Całą jej pociechą były listy kochanka, całem zatrudnieniem odpowiedzi.

Listy te, gorejącem piórem pisane, tem mocniej zapalały wyobraźnię i tem niecierpliwiej drażniły jej uczucia; zwykle wychodziła naprzeciw posłańcowi przynoszącemu pocztę; szła aż póki go nie spotkała i powracała jaśniejąca radością, niosąc drogie pismo na bijącem gwałtownie sercu.

W połowie czwartego miesiąca ujrzał Romuald swoją żonę wracającą z tego spotkania nadzwyczaj śpiesznym krokiem; Posłaniec wlókł się zdaleka. Spostrzegłszy męża, zwróciła się na uboczną drożynę, prowadzącą do ogrodu; nie mogła jednak tak zdaleka go minąć, aby on nie dostrzegł zaczerwienienia jej twarzy, osłupienia oczu i nieładu w całej postaci. Domyślił się więc łatwo, że albo listu nie było, albo był fatalny.

Nadszedł wkrótce posłaniec, i dowiedział się odeń Romuald, że aktualnie listu nie było; wniósł zatem bardzo naturalnie, że wkrótce sam Mieczysław nadjeżdża i dla tego już nie pisze. Myśl ta uspakajająca nie pomknęła się w zapamiętałej głowie jego żony. Wbiegła ona przez ogród do swojego pokoju i tam upadła na sofę. Paroksyzm jakby febry objął ją; drżała najprzód, potem się głowa jej płomieniem paliła, myśli żadnych zebrać nie mogła, i szklankę po szklance chłonęła wody, tak, że przelękniona służąca pobiegła do pana i opowiedziała mu stan żony. Serce Romualda, to wyborne serce, z którego on nie mógł niewdzięcznej wyrzucić, a które go zawsze na litość naprowadzało, i teraz powiodło go do jej pokoju. Ujrzawszy wchodzącego, rozdarła ona załamane ręce, starała się uspokoić oblicze, ale gorączką pałające oczy, usta i czoło, ale rozrzucone włosy, zdradzały prawdę.

— Zofio! tyś chora — odezwał się Romuald, biorąc ją dobrotliwie za rękę.

Wyrwała mu ją gwałtownie.

— Po co tu pan? Kto panu powiedział, żem chora?

— Twoja twarz, twoje oczy, twoja cała postać.

— Proszę dać mi pokój!

— Zofio! nie jestem twym mężem w obliczu świata, i być nim nie mogę. . . ale w obliczu Boga przysiągłem ci opiekę, i tej się nie zrzekam, choć mię do tego gwałtem przymuszasz, nim kto inny tej ci przysięgi nie wykona. Natenczas moje obowiązki on przyjmie na siebie. Wreszcie jesteś matką mojego dziecka, dla tego zdrowie twoje obchodzi mnie. Przyczynę twej rozpaczy wiem: nie odebrałaś listu od Mieczysława; a im niecierpliwiej zawsze czekasz poczty, tem mocniej uczułaś zawód. Gdyby nie to, łatwo-

byś wpadła na domysł najpodobniejszy do prawdy! że twój kochanek już w drodze i dla tego zapewne nie pisze.—

Na te słowa Zofia zwróciła oczy na męża; patrzała nań, jakby rozwiązywała jego wyrazy .. nakoniec zrywa się z sofy, rzuca się przed nim na kolana... chwyta go za ręce, całuje z uniesieniem, wołając:—Ach! tak! tak! on jedzie! może dziś przybywa i dla tego nie pisze: Tyś zgadł! Bóg ciebie natchnął!... O jakżem szczęśliwa!... —

To już było nad siły i nad cierpliwość Romualda, znieść dowody przeniewierczej miłości w żywe oczy mu pałającej. Niewdzięczna!—rzekł on, wstrząsając zapamiętale jej ręce—okrutna kobieto! O Boże co za męczarnie!—Odrywa się nakoniec od nawpół omdlałej i ucieka z pokoju.

Przyszła druga poczta, i znowu nie było listu. Stan Zofii był nie do opisania. Znikła jej duma i uporne milczenie; a że mąż nie przyszedł już pocieszać ją, sama się doń przywlekła, żebrząc nadziei, którą tracić zaczynała.

Nie odpędził jej Romuald; zawarł on w sercu swem nieszczęśliwem żal swój gorzki, a jak przyjaciel dobrotliwy, jak ojciec schorzałe dziecko, uspokajał ją i koił. Każdy cień nadziei, każde prawdopodobieństwo, chciwie przyjmowała Zofia; często rzucała mu się do nóg; w objęcia bowiem rzucić się nie śmiała.—Niewdzięczna ja! niewdzięczna!—wołała natenczas. I kiedy Romuald, wzruszony i omylony tem wykrzyknieniem, chciał jej swą miłość i przebaczenie objawić . .—Czyż tylko przyjedzie?—mówiła ona, niepewne nań i oczekujące podnosząc źrenice....

Znowu więc mąż pogrążony był w dawnej toni; znowu w sercu żony, stawała przeciw głosowi sumienia, szalona namiętność, zwycięzka!

Pasowaniu się takiemu codziennemu zdrowie Zofii wydołać w końcu nie mogło. Jedne już tylko z ust męża słyszała słowa:—Nakoniec czegoś doczekać się musisz, bo—mimo najszczersze politowanie dla nieszczęśliwej, żadnych on pozornych nawet tak długiego milczenia Mieczysława wynaleźć nie mógł przyczyn. Lecz i w tem zwątpieniu w samem oczekiwaniu... było jeszcze trochę nadziei...

Tak upłynęło parę miesięcy. Zofia żadnej nie opuściła poczty, pisała list po liście. Aż dnia jednego przybył do nich hrabia, w którego domu mieszkał był Mieczysław.

Niespodziana ta wizyta zapowiadała jakąś wiadomość, może stanowczą... Drżała, witając go Zofia. Romualdowi nawet gwałtownie serce biło.

Po pierwszych przywitaniach, hrabia usiadł i wstawał, rozpoczynał rozmowy o urodzajach, o pogodzie, słowem, nie mógł ukryć złowróżbnej niespokojności. Zofia niecierpliwym wzrokiem śledziła wszystkie jego poruszenia....

— Winszuję państwu—rzekł on nakoniec! jąkając się, za każdem słowem—winszuję państwu i cieszę się, jako sąsiad i przyjaciel. . . że, jak uważam, znikły stąd . . niesnaski i niejakieś nieporozumienia małżeńskie . .

— Jakie nieporozumienia małżeńskie?—przerwała mu porywczo Zofia—Tu niema małżeństwa . . Mieszkam w jednym domu z tym najlepszym i najczcigodniejszym człowiekiem, a niegdyś przywiązanym do mnie mężem, nie wypędził on mnie dotąd; chociaż aż nadto na to zasłużyłam, ale nie jestem jego żoną, ani on moim mężem. Krewny pański Mieczysław jest moim narzeczonym... jego czekam. . . Pan się uśmiechasz? —(Zadrżała konwulsyjnie)—Więc on nie przybędzie?. . . Mów pan!. . . mów pan śmiało . . jam do wszystkiego przygotowana, nawet do śmierci, bo śmierć znośniejsza nad męczarnie, jakie dla niego i przez niego znoszę. . . Mów pan! mów!—

Hrabia, patrząc na Zofię, na jej oczy pałające i przenikające na wskróś, na twarz jej to bladą, to gorejącą, na śpiekłe usta i mowę gwałtowną, poznał niebezpieczeństwo swojego położenia, poznał, że jedno jego słowo uderzyć ją może zabójczym ciosem; przeklinał więc w duchu Mieczysława i swoje poselstwo. Gdy jednak Zofia nalegała zapamiętale, i gdy Romuald odezwał się:

— Albo panu nie trzeba było tu przyjeżdżać, albo potrzeba teraz powiedzieć, z czem przejechałeś: bo widzisz pan sam, że ta nieszczęśliwa takiego stanu dłużej nie przetrwa.

— A więc zmuszony jestem powiedzieć—rzekł hrabia—że okoliczności. .

— Na miłość Boga bez ogródek . —przerwała drżąca jak liść Zofia—Nie przyjedzie?

— Nie, nie przyjedzie.

— Pisał do pana?

— Pisał.

— Proszę mi list pokazać.

— Na cóżby się to pani przydało?

— Chcę wiedzieć przyczynę. W liście ona być musi.

— Mogę ją pani powiedzieć; ale proszę się uspokoić.

— Prosisz mię pan uspokoić się!. . . Zofia się roześmiała, ale jakimże śmiechem?—Więc przyczyna panie hrabio!

— Nie dręcz pan jej—odezwał się Romuald.

— Przyczyna . bo . . bo . . się ożenił!!!

Długie nastąpiło milczenie. Hrabia patrzał w ziemię. Romuald śledził wrażenie żony. Ona stała jak posąg. . . .

Nakoniec odsunęła gwałtownie będącego jej na drodze hrabiego, i śpiesznym krokiem wyszła. We drzwiach spotkała Marynię, porwała ją na ręce, przycisnęła konwulsyjnie do serca, ucałowała, przeżegnała, i znowu popędliwie biegła do swojego pokoju.

— Panie hrabio!—rzekł Romuald—krewny pański jest podły!!! Żegnam pana, bo muszę ratować zgubioną matkę mojego dziecka.—

Pobiegł za żoną, a hrabia wyjechał.

Okropny był stan Zofii! słowa pociechy najmniejszego jej nie przynosiły skutku; i abym skrócił panu opowiadanie, straszna i gwałtowna gorączka tegoż dnia ją objęła, i mimo wszelkie usiłowania lekarzy, w siedm dni nieprzytomną zabrała ze świata.

Romuald zebrał listy Mieczysława, dołączył metrykę śmierci Zofii, zszył jedno z drugiem i podpisawszy u spodu: Zabójcy na pamiątkę, odesłał mu przez umyślnego.

Wprawdzie po tem słowie: jużem nie twoja, które Romuald zanadto może ściśle sobie tłumaczył, a które (jak z listów przekonywał się później) było tylko dowodem niecofniętego Zofii postanowienia i słowa Mieczysławowi danego, Romuald uważał się na zawsze rozłączonym z żoną; jednak nie mogąc jej zupełnie wyrzucić z serca, bolał nad nią za życia, bolał po śmierci. Nakoniec spokojność sumienia, oddanie się zupełne na wolę Boską, i ukochane dziecię Maryla dźwignęły go ze smutku.

IV.

Zawiedziony jako małżonek, Romuald zapomnieć starał się, że nim był, oddając się zajęciom i obowiązkom ojca.

Marynia podobniuteńką była do matki. Ojciec, z podobieństwa oblicza biorąc wróżbę i podobieństwa charakteru, postanowił wychowaniem działać przeciw upartej naturze i twardemu sercu, któreby córka po matce odziedziczyć mogła, w które namiętność z trudnością się wpajała, lecz raz wpojona, trwała tam na zawsze, jak rzeźba w marmurze.

W takim celu czynił on wszystko, co mógł; dobierał jak najłagodniejsze bony i guwernantki; sam codzienną pieszczotą starał się rozmiękczać, roztkliwiać to dziecinne serce, rozlewając na nie najczulszą ojcowską miłość i dobrotliwość.

Gdy się jej pojęcie rozwijać poczynało, czuwał najtroskliwiej, aby przed wszystkiemi innemi naukami, choćby z ich zaniedbaniem nawet, poiła się ona najczystszą treścią cnót religijnych; tępiących niesforność młodych urojeń, a jednających pokój i swobodę duszy.

Starał się też o zupełne jej zaufanie, tembardziej, że kiedy niekiedy spostrzegał w niej zarody matczynej niezłomnej woli i przekornego umysłu; dla tego wolał się często zgadzać na jej choćby niewczesne chęci, niżeli sprzeczką podbudzać opór, któryby potem łamać musiał władzą ojcowską, a tem samem wątlić jej śmiałość i otwartość ku sobie.

— Na tem grunt!—myślał poczciwy ojciec—wyzna mi zawsze wszelkie swoje myśli i uczucia. W dobrych utwierdzę, złe zniszczę w samym zarodzie; w walce zaś złego z dobrem, miłość

moją ojcowską ku niej i jej dziecięcą ku mnie, naprzeciw złemu postawię . . zwyciężę, i szczęście najdroższej mi istoty ustaliwszy, spokojny, zejdę do grobu.—Tak sobie myślał poczciwy ojciec. O vana spes mortalium.

— Ale ja rozgadałem się na długo, a tymczasem nieszpory. . . — rzekł mój opowiadacz.

— Zadzwonią na nieszpory - odpowiedziałem. Bądź pan łaskaw kończyć.

— Dojrzała nakoniec i wyrosła—mówił on dalej, Marya, równie piękna i piękniejsza od matki. Romuald z niespokojnością widział zbliżający się czas, gdy najmilszą samotności jego pociechę przeznaczenie odebrać mu mogło.—

Czas to był właśnie owych pochopów ku błędowi, owych walk ze złem, w których ojciec miał być jej sekundantem. Jakoż stał on na straży, pilnując najtroskliwiej pierwszego czulszego uderzenia serca córki, pierwszej iskry, którąby gasić lub łagodzić należało . . Ale się ta iskra nie krzesiła.

Roje młodzieży otoczyły Maryę. Wdzięki, a przy nich ziemska fortuna i wiadome kapitaliki pana Romualda, nęciły coraz nowych pretendentów Było wielu i bezwzględnych na posag, bogatych z siebie, a tylko zakochanych w nadobnej dziewicy, ozdobionej jeszcze i nabytymi przymiotami starannego wychowania. Ale żaden nie zajął jej serca. Na niektórych pan Romuald chętnieby zwrócił życzliwsze oko córki; ale to obojętnie przechodziło po wszystkich, nie zatrzymując się na żadnym, i bez zarozumienia lub dumy wyznawała ona szczerze ojcu, że nie kochała żadnego; że do żadnego nie czuła nawet owej skłonnej sympatyi, z której jeżeli nie miłość przed ślubem, to najczęściej przywiązanie po ślubie się wyradza, i która może więcej i szczęśliwszych daje małżeństw, aniżeli zapamiętała namiętność.

W takim stanie obojętności i odrętwienia niejakiego doszła Marya lat dwudziestu. Rozum się jej ukształcił, wdzięki się najponętniej rozwinęły, przymioty wydoskonaliły; a Romuald mniej się zaczął lękać burzy, jaką pierwsza miłość wzbudza w młodych sercach, bo już widział w córce siły umysłu zdolne w potrzebie wesprzeć jej słabość, przytłumić płomień, i ustalić równowagę między namiętnością i rozumem; spoglądał więc z rozkoszą i chlubą na wypiastowaną dziewicę.

W tym właśnie czasie zjawił się w naszej okolicy, a raczej spadł jak z obłoków szczególniejszy człowiek, cudzoziemiec, francuz czy włoch trudno wiedzieć. Nie pamiętam już, z kim on tu przybył. A był to czas u nas, gdy cudzoziemiec, a szczególniej francuz każdy, za najdoskonalszego uchodził człowieka. Wszyscy więc ubiegali się o jego przyjaźń, kobiety o jego piękne słówka, a każdy dom miał za honor jego goscinę.

Ten wszelakoż człowiek różnił się od pospolitych swych współrodaków, i mógł prawdziwie celować w każdem towarzystwie. Jak się on rzeczywiście nazywał, niebardzo się dopytywano; zresztą i zapomniałem: *Monsieur le Colonel,* i nic więcej. Takim się on ogłosił; i tak go nazywano, nie dochodząc bynajmniej prawa jego do tego tytułu. Nosił on od niechcenia wstążeczkę czerwoną przy zapięciu fraka, a rozpowiadał dokładnie wszystkie prawie bitwy i zwycięztwa Napoleona; i lubo w tych narracyach nigdy o sobie nie mówił, tak jednak umiał zręcznie prowadzić opowiadanie i jednoczyć się z wypadkami, że mu wysokiego stopnia wojskowego, męztwa, i ścisłej znajomości z wielkimi ludźmi, których sława brzmiała natenczas w Europie, zaprzeczyć nie można było.

Nadto, dumne jakieś lekceważenie takiej świetnej przeszłości, o której jakby z przymusu wspominał, wpół-urywane słowa o swym losie i przeznaczeniu, dostatek pieniędzy, których nieskąpo, ale i niepłocho używał, rozmaitość talentów i nauk wyższem tylko wychowaniem nabyć się mogących; a przy tem wszystkiem jakiś niesmak i poniewierka życia, jakiś smutek i tęsknota w zadumaniach i głębokich niekiedy westchnieniach objawiająca się— wszystko to jednało tajemniczej tej figurze pewny urok zagadki, twarzą nawet jego i szczególniejszym jej wyrazem podniecany.

Kto go raz widział, już go nie zapomniał nigdy. Nie był to człek pierwszej młodości, mógł bowiem mieć lat trzydzieści z górą. Uroda spora, ale składna ku całej jego silnej, zwięzłej i szykownej postaci; czoło wysokie, otwarte, na którem głęboka myśl, czy głęboka troska, lekkie wyryła karby. Osłaniało się ono i chmurzyło gęstymi kruczymi włosami, które on niecierpliwem wstrząśnieniem głowy, jak lew grzywę, na skronie odrzucał. Oko czarne, pełne, a tak przenikliwe, takiego iskrzącego się żaru, że gdy je w ciebie utkwił, lękałeś się, aby cię nie urzekł lub nie oczarował. Sam tego na sobie doświadczyłem. W zwyczajnym stanie był to wzrok piękny, włoski, namiętny; ale w każdem żywszem wzruszeniu były to oczy bazyliszka.

Powiadają, że wąż grzechotnik gdy spójrzy na wiewiórkę, już zginiona, bo z pod wpływu jego zabójczego ona wydarć się nie może, i usiłując uciekać, sama wpada na żądło. Mniemam, że tenże sam wpływ miał wzrok i tego człowieka. Reszta rysów twarzy jego przystojna i męzka. Uśmiech zwykle ironiczny, którym na wątpliwość lub głębiej dojmujące pytania odpowiadał, strzegł wprawdzie jego tajemnic, nie tłumił jednak domysłów i podejrzeń nadwerężających niekiedy wiarę w jego znakomitość zresztą; ponieważ z władzą krajową był w zgodzie, zatem i najdostojniejsze domy bez bojaźni mu się otwierały.

Jednym z takich domów, w którym z upodobaniem gościł pan pułkownik, był zmarłej obecnie już dawno blizkiej krewnej Romualda, zacnej weteranki, wdowy po jenerale b. Wojsk Polskich, która

całą młodość w Warszawie i przy dworze Stanisława Augusta przepędziwszy, napoiła się uwielbieniem francusczyzny, tembardziej gdy sława narodu tego tak się wzniosła. Czciła ona Napoleona jak półboga, jakże więc rada była w swym domu uczęstnikowi jego zwycięztw! z jakiemże go zajęciem i rozkoszą słuchała! jak się oburzała na każde wątpliwe o nim słowo.

Jenerałowa przywiązaną była czule do Maryi, i Marya wzajemnie do babuni, u której niekiedy zostawiał ja ojciec na kilka tygodni, pewny dobrych przykładów i spokojnych godzin dla córki.

Marya od dzieciństwa okazywała zdolność do rysunku; Romuald więc starał się wspomódz ten piękny dar natury; i Marya tak ochotnie się przykładała, że wyborną była kopistką krajobrazów, którymi obwieszała ściany w pokojach jenerałowej.

— Czyjej to ręki rysunek?—zapytał raz pułkownik.

— Mojej wnuczki—odpowiedziała jenerałowa.

— Kobiety? - rzekł znowu z niejakiem zadziwieniem francuz

— Dziewczyny, niemającej spełna lat dwudziestu.

— Winszuję! Talent niepospolity! ale wart lepszych nauczycieli i dalszego doskonalenia się. To są kopie ze sztychów. Naśladowanie jest dokładne, pracowite, ale niewolnicze. Takim sposobem mnożą się tylko dublikaty; a wnuczka pani zdolną jest, jak uważam, mieć wzorem naturę, i z niej kopie na papier przenosić. Brak jej tylko wiadomości sposobów i praktyki.

— Alboż, pułkowniku, jesteś równie dobrym malarzem, jako i muzykiem?

— Nie wielkaby to była zaleta mojego malarstwa, gdyby się tylko równała muzyce.—(Pułkownik grał wyśmienicie na skrzypcach).—Niegdyś, mówił dalej pułkownik—przebiegając włoską krainę—(a wzdychał głęboko, ilekroć Włochy wspominał)— okolice i wspaniałe pamiątki Rzymu udawało mi się nieźle kopjować. Ochotę miałem niezmordowaną. Często całe dnie z ołówkiem w ręku błąkałem się po górach i rozwalinach, a przynosiłem do domu w szkicach i w pamięci pracę kolorowania na kilka tygodni.

— Na wieleś się odważał, pułkowniku!—rzekła jenerałowa.— Powiadają i piszą, że Włochy napełnione są rozbójnikami, a góry, wąwozy i dawne opustoszałe zamczyska są ich gniazdami.

Pułkownik zwrócił szybko wzrok na jenerałowę, utkwił go w niej przenikliwie; ale po chwili milczenia rzekł z uśmiechem:

— Pani czytałaś Rinaldiniego.

— Zgadłeś, pułkowniku, zgadłeś—odpowiedziała śmiejąc się jenerałowa;—To ulubiony mój romans i wnuczki mojej. Czytałyśmy go kilka razy. Czy rzeczywiście istniał Rinaldini?

— W imaginacyi autora. Wiele jednak jest tam wypadków i rysów charakterystycznych, wziętych z dziejów rozbójnictwa włoskiego, które dzisiaj bagnet francuski zniszczył i wyplenił.

— Prawdziwie szkoda. . . rzekła bez zastanowienia, zajęta Rinaldinim jenerałowa.

Rozśmiał się może raz pierwszy naprawdę pułkownik. — To mi prawdziwie romantyczny żal po bandytach — rzekł i spójrzał znowu po swojemu na jenerałową, śmiejącą się także.

— Czy widziałeś choc raz bandytę? pułkowniku! — zapytała ona znowu.

— Czemuż nie? i nie raz, na placu egzekucyi, przed wymierzonymi doń dwunastu karabinami...

— Ach mój Boże! jakże on...

— Ale wracając do mego malarstwa — przerwał pułkownik — potem, jako żołnierz, na koniu, nie miałem łatwych sposobności dogadzania mojej ochocie. Jednakże gdyśmy zajmowali Szwajcaryę, piękniejsze jej góry i jeziora do mojej teki zgromadziłem. Niektóre też nadmorskie widoki we Francyi zdjęte, pomnożyły zbiór mój, za który sztycharz w Moguncyi nieźle mi nawet chciał zapłacić. Jednakże możebym i lepiej zrobił boby moje pejzaże zostały przynajmniej własnością publiczną; a teraz w rozmaitych podróżach poginęły; ledwo mi kilka zostało, które pozwoli generałowa między tymi pięknymi rysunkami na pamiątkę zawiesić.

— Jaka ofiara! pułkowniku! Ale wdzięczną będąc nieskończenie, przyjąć jej nie mogę; naprzód, że nie chcę cię pozbawiać miłych wspomnień; powtóre, że rysunki mojej Marylki straciłyby całą wartość obok twoich.

— Miłych albo niemiłych wspomnień, to mnie wiedzieć — odrzekł pułkownik z niejaką goryczą — a oprócz tego wiem, że w błędnem mojem życiu potracą się, jako i pierwsze. Więc nie odmawiaj mi pani, proszę.

— Niech i tak będzie — rzekła jenerałowa — i wierz mi pułkowniku, że nigdy, nie spójrzę na jego pracę, abym nie życzyła wszelkiego dobra autorowi.

Pułkownik westchnął głęboko.

— Ale wiesz co? pułkowniku! ośmielasz mię do jednej prośby.

— Gotowym na rozkazy.

— Ponieważ znajdujesz ślady zdolności w rysunkach mojej wnuczki, czybyś nie raczył dać jej kilka lekcyj zdejmowania obrazów z natury? Prawdziwąbyś nam zrobił łaskę, jej tembardziej, bo upodobanie jej w rysownictwie rozmaitością i odkryciem nowego pola talentowi, stokrotnieby się podniosło.

— Uprzedzasz pani życzenia moje, których objawić nie śmiałem. Ale zobacz wprzód pani moje obrazki i osądź czy się zdam na nauczyciela wnuczki pani?

Rozkazał pułkownik podać swoją podróżną tekę, i z niej wyjął kilka krajobrazów tak doskonale i pięknie zrobionych, że rękę mistrza przyznać mu koniecznie trzeba było. Zachwycona jenerałowa posłała wnet umyślnego do Maryi, z wezwaniem, aby przybywała natychmiast z pędzlami i farbami dla brania lekcyi rysunków z natury od najdoskonalszego mistrza.

Romuald słyszał już rozmaite wieści o panu pułkowniku;

rozmyślał więc bardzo, czyli miał jechać i zgodzić się na te lekcye? Jednakowoż zaufanie nieograniczone w rozsądku jenerałowej (którego wszakże ani w wyborze Rinaldiniego na ulubioną lekturę, ani w wyborze nauczyciela rysunków, nie dała wielkiego dowodu), zaufanie nakoniec we własnej przenikliwości i prośby Maryi, zdeterminowały go — pojechał.

Byłem blizkim sąsiadem jenerałowej i bardzo częstym u niej gościem, obecny więc byłem i tej rozmowie jej z pułkownikiem, i tembardziej zostałem na dni kilka, oczekując Maryi, że gdyby moje uczucia ku niej i życzenia nawet babuni przyjętemi były. . . . Ale los chciał inaczej. . .

Po najczulszych przywitaniach babki z wnuczką, pierwsze spotkanie uczennicy z nauczycielem wprawiło w osłupienie tego ostatniego. Oczekiwał dziecka, a przynajmniej młodej dziewczynki, nieśmiałej wieśniaczki, a spotkał dziewicę dojrzałą, piękną nad wszelkie jego wyobrażenie, wybornie wychowaną, mówiącą dobrze po francusku. Wzrok jego utopił się w niej; a zważający troskliwie na francuza ojciec nie upodobał tego wzroku i od razu antypatyę doń poczuł; pułkownik odszedł zadumany w jedną stronę, Romuald w drugą. O jakże różne myśli w ich głowach! jak różne uczucia w duszach!

Wróciwszy, Romuald znalazł ciotkę i córkę unoszące się nad pięknością obrazów pułkownika; a ten opowiadał przy niektórych to legendy, to podania historyczne do miejsc zrysowanych przywiązane.

Romuald nie podzielał zajęcia się słuchaczów; czem innem miał on zajętą uwagę; przemyśliwał jakby zerwać zupełnie, lub przynajmniej skrócić tę naukę Maryi? Więc przerywając historyę pułkownika, rzucającego nań kiedyniekiedy inkwirującym wzrokiem, rzekł jąkając się (bo mu trudno mówić po francusku, chociaż rozumie ten język): — Jak wiele potrzeba lekcyj, aby córka moja nauczyła się tak pięknie rysować?

Pułkownik przeniknął myśl i niechęć ku sobie ojca Maryi; uśmiechnął się, a z tego uśmiechu Romuald odgadł, że jest przeniknionym. Dwie podejrzliwości wzięły się tu na próbę, ale walka nierówną była, bo pułkownik był mistrzem w szkole fałszu i przewrotności, Romualdowi zaś troskliwość i niespokojność ujmowały baczenia i zimnej rozwagi.

— Będzie to zależało — odpowiedział pułkownik zawsze z uśmiechem, i odwracając się nawpół do ojca, nawpół do córki — od ochoty pani, bo o zdolności najmniej nie wątpię, zresztą umiejętność moja nie tak dalece przewyższa usposobienie pani, abyśmy się wkrótce nie zrównali; i nakoniec, mimo najszczersze chęci moje, długo pięknej uczennicy służyć nie będę, bo wkrótce odjechać muszę do Petersburga, jakem to pani jenerałowej już mówił.

— Z Panem Bogiem — pomyślał Romuald, i ja także.

— Czekam listów. Od tych zależeć będzie moja determinacya. Aby zaś nie tracić czasu, czy się pani nie zgodzi dziś na pierwszą lekcyę? Zawsze, jeżeli podoba się pani, propozycya samychże lekcyi.

Marya podziękowała grzecznie; oświadczyła tylko ze zwyczajnej etykiety, że się boi, aby nie znudziła nauczyciela, i aby nie żałował czasu marnie użytego.

— Czas mój, pani, na nic się nie przydaje; upływa marnie i bez celu, jako i życie moje tułacze; ofiara więc zeń nie ma żadnej wartości; owszem, dobrodziejstwo mi czyni każdy, kto go sobie przywłaszczy, choćby na pamiątkę.

Piękne jest położenie wsi, natenczas do jenerałowej, dziś do jej licznych dziedziców należnej. Ogród za dworem po wzgórzach i dolinach szeroko rozległy, dochodzi do brzegu czystego i pięknego jeziora, za którem na drugiej stronie dojrzeć można murowany kościołek z klasztorem, także na wzgórzu wznoszący się i jodłowym lasem okolony. Na środku prawie jeziora, w bok od klasztoru i ogrodu, jest wysepka na której kilkanaście dębów ogromnych, mały z leszczyny zarostek i licha chałupka, letni przytułek rybaków, jakby umyślnie na prospekt rysunkowi rzucona.

Pułkownik wybrał nadbrzężny wzgórek, z którego ta okolica w najpiękniejszy rozwijała się widok, i chwilę nachylającego się ku zachodowi słońca, gdy jaskrawe jego promienie, padając ukośnie na wyspę i odbijając się około niej od wody, złoto-płomienną zalewały ją barwą Daleka łuna światła błyszcząca na falującem się lekko jeziorze, dochodziła cieniów pomykających się zwolna od klasztornego lasu, ustępowała im po wodnem źwierciadle i tonęła w głębinach. Gdzieniegdzie kilka łódek i kilka stad kaczek dobijało się na nocleg do brzegów. Szeroki ten i piękny plan, miał być w tej samej chwili swojego uroku schwycony na papier. Pułkownik ustawił stolik, oznaczył miejsce dla rysowniczki i podał jej w rękę ołówek. Nastąpiła chwila milczenia. Wszyscy wpatrywaliśmy się w ten cudny i zachwycający widok.

— O piękna naturo! — wykrzyknął nakoniec pułkownik — jakże cię kocham! O jakże dawno serce me biło dla ciebie! Jakże dawno taką mię rozkoszą, jako w tej chwili, poiłaś!

Obróciliśmy się ku niemu. Nigdy nie zapomnę jego postaci i twarzy. Stał on jak wryty z rękami na piersiach skrzyżowanemi. wzrok jego powleczony łzawą pomroką, tlał z pod niej, jak iskra z pod zarzewia; a na czole i całem obliczu wyraz takiej głębokiej boleści czy zgryzoty objawił się i zastygł, że nań bez trwogi patrzeć nie można było.

Marya rękę z ołówkiem na stoliku oparłszy, podniosła nań także zdziwione oczy; wpatrywała się ona w tę postać czy posąg, jakby ją pojąć, zrozumieć i zrysować chciała. . . . . .

Stopniowo opamiętywał się dziwny ten człowiek, uśmiechnął

się gorzko i wzrok swój posępny ale gorejący, na Maryę obrócił... Spotkał oczy Maryi... Niezdolną była wytrzymać długo dziewczyna tego przenikającego wejrzenia, ale i oderwać swojego oka odeń nie mogła; olśnione jakby, jej źrenice błąkały się w różne zboczenia, ale gwałtem zwracały się na te dwa ogniska, z których iskry padały jej na lica, a bodaj i na serce.

Mniemam, i dotąd wierzę, że ta jedna chwila zgubiła Maryę, że ten wzrok szatański jakąś piekielną siłą ją oczarował.

Spostrzegł baczny na wszystko ojciec ten stan wątpliwy córki. — Dla czegoż nie rysujesz? Maryo! — rzekł, spozierając ostro na nauczyciela. Ten uśmiechnął się znowu, twarz jego przybrała zwyczajny tajemniczy wyraz, oczy złagodniały.

— Prawda — rzekł — napawając się tym pięknym widokiem, zapominamy, że go wykraść mamy naturze... Zaczynajmy więc.

— Nie wiem jak i od czego? — odezwała się Marya głosem zdradzającym nieuspokojone jeszcze wzruszenie.

— Daruje więc pani, że jej powiem wprzód kilka ogólnych a koniecznych uwag.

Zawadą dla pani jest dotychczasowa jej nauka. Nawykłaś pani z małych obrazków niewolniczo kopiować rysy i farby. Jest to praca mechaniczna, nad którą ręka i oko, nie serce, nie myśl, nie imaginacya pracuje. Tu ręka iść powinna za natchnieniem obudzonem pięknością i wdziękami natury. Tem lepiej, gdy ręka ta posiada już niejaką wprawę. Ale wielu z najcelniejszych malarzy, bez żadnych poprzednich usposobień, nie mogąc oprzeć się wrodzonemu zapałowi i powołaniu, doszli mistrzowskiej doskonałości, a przynajmniej rozpoczęli świetny swój zawód bez innego nauczyciela, jak własne żywe uczucie i śmiała wyobraźnia. Pani chociaż tylko dla własnej przyjemności doskonalić chcesz swój talent, uważaj jednak naukę już nabytą jako sługę uległą woli wyższej woli uczuciem piękności i zapałem powodowanej. Z niej tylko wypłynąć może doskonałość i tysiące miłych wrażeń dla samej pani i jej serca.

Patrz pani! tło naszego obrazu jest piękne niebo zaczerwienione od zachodu mocnym ogniem zapadającego słońca, jakby łuną wulkanu; na wschodzie ciemno-błękitnieje, nocną już powlekając się barwą; na środku więc jest światło-cień, to jest, walka wieczoru ze dniem, która się odbija na wodzie, i to najtrudniejsza sztuka dla kolorytu.

Główne pole obrazu, jezioro. W niektórych liniach zlewa się z horyzontem kończącym widnokrąg; w niektórych węższe, dozwala widzieć las, klasztor, i inne przedmioty na drugim brzegu, tak jednak odległe, że jakby przejrzystą mgłą osłonione, tają w niej swe kształty; nakoniec wyspa blizko nas najwyraźniej daje się rozróżniać ze swą gorejącą strefą i najmocniej uderza w oko, a zatem najłatwiej wejdzie do obrazu. . .

Dalej pani! póki słońce na niebie, a żywe wrażenie w duszy. . . śmiało. . . zakreślajmy kontury. . . .

Jakby natchniona nowem pojęciem i uczuciem, Marya wnet rzucać zaczęła sztrychy ręką tak pewną i śmiałą . w oczach jej i na czole taki zapał i ochota jaśniały, że pułkownik, patrząc to na stolik i Maryę, to na krajobraz, cisnął na ziemię ołówek, który miał w ręku dla poprawiania rysunku, i zawołał:

— To być nie może! pani mnie zwiodłaś!

— Jakto?— zapytała Marya, zatrzymując się.

— Oczywiście pani nie pierwszy raz rysujesz z natury, i wcale nie potrzebowałaś moich lekcyj.

— Pan żartuje - rzekła Marya.

— Wierz mi pan—odezwał się Romuald—że córka moja nigdy nie rysowała inaczej, jak ze sztychowanych obrazów.

— A więc to cud—rzekł z uniesieniem pułkownik—cud obudzonego uczucia i ożywionej duszy, rozwijającej nagle nadzwyczajny talent.

—Kochana moja Marynia! — rzekła jenerałowa, całując ją w czoło.

— Nie ma tu żadnego cudu—odpowiedziała Marya. —Słowa pańskie dały mi nowe wyobrażenie o sztuce i niejakie zaufanie w sobie, dawna nauka wspiera mnie jakokolwiek, a więc dzięki za to panu. I na dowód, że nie ma cudu, proszę pana o pomoc, bo uwięznę na wyspie.

Pułkownik podjął ołówek, i pomagając Maryi, nadawał jej rysunkowi pewniejsze formy i wyspę oznaczył.

W pół godziny ukończył się zarys.

— Otoż mamy na papierze—rzekł pułkownik. Słońce, możesz teraz sobie zachodzić. Inaczej zawołałbym, jak Jozue: „Stój"

— Ale—mówił dalej, wpatrując się w rysunek—obraz nasz może być pięknym wprawdzie, jednakże trzebaby go jakoś zrobić interesującym. Oko widza może go upodobać; ale myśl, ale imaginacya nie znajdzie w nim do czego się przywiązać, nad czem się zastanowić i jednoczyć się z myślą malarza, lub ją zgadywać i śledzić. A przecież to najwięcej dodaje uroku obrazowi.

— Cóż więc tu dodać? —zapytała Marya.

— Jak się pani zdaje? jak się nareszcie państwu wszystkim zdaje? Proszę o projekt.—Sam też zamyślił się.

— Wyrysujcie—rzekła generałowa—rybaków wyciągających sieć na wyspę.

— Nieźle—odpowiedział pułkownik—ale scena ta nadto pospolita. Na wszystkich krajobrazach brzegów morza lub jezior, spotkasz się z rybołówstwem.

— Wyrysować—rzekłem—mnicha przechadzającego się niedaleko klasztoru po brzegach jeziora. Domyślać się można będzie, że o zachodzie słońca odmawia wieczorne modlitwy. Żywa imaginacya wieleż to myśli nad tym mnichem rozsnuje!

— Prawda—odpowiedział znowu pułkownik—pomysł wyśmienity. Tylko widzi pan, klasztor tak od nas odległy, że zaledwo go dojrzeć możemy, a jakże moglibyśmy widzieć przechadzającego się mnicha, i jeszcze w cieniu, jakim teraz przy zachodzie słońca ca-

— Daj pan — odezwał się Romuald — strzelca na łódce, polującego na kaczki, i przy nim pięknego wyżła.

— Rzecz także trochę pospolita, a zmieni całą treść obrazu na polowanie na kaczki.

— Jakiż własny pański projekt?—zapytała Marya.

— Widzisz pani ten obłoczek na niebie lekkim wietrzykiem za słońcem na zachód pędzony? Sam jeden, zbieg jakiś z drugiej części nieba, od wielkiej chmury oderwany, która nań ciążyła; goni za promieniem słońca. . . Niebaczny! zginie w jego ognisku! Teraz postawmy na wyspie jakiegoś nieznajomego samotnika, opartego o dąb starożytny; wygnańca, może uciekającego od prześladowania i przemocy, a wpatrującego się w ten obłok, który jest godłem jego losu i zabłąkania!. . .

— Brawo! pułkowniku!—przerwała jenerałowa.—Myśl piękna i oryginalna.

— Więc ją jutro dokonamy. Naszemu samotnikowi damy postać i ubiór bohatera pani ulubionego, Rinaldiniego—dodał uśmiechając się.

— Zgoda! i owszem!—rzekła śmiejąc się także jenerałowa.

— Pókiby samotnik pański był prześladowanym wygnańcem — odezwał się Romuald—mógłby wzbudzać zajęcie, ale gdy go pan masz wyobrazić bandytą uciekającym zapewne nie od przemocy, ale od miecza sprawiedliwości, to lepszy byłby mój poczciwy strzelec, a nawet wyżeł, jako wierny stróż i przywiązany przyjaciel.

— Jak się panu podobać będzie. Jutro weźmiemy się do kolorów; zrobimy więc, co najlepiej do obrazu przypadnie; byle słońce tak piękny, jak dziś, dało nam zachód. A nader niedługa nauka postawi panią niezawodnie wyżej od nauczyciela, o tyle, o ile świeżość i swoboda myśli wyższą jest nad wyczerpanie ducha lub odrętwiałość serca, a zatem i ręki, bo wierz mi pani, że źródłem wszelkich w sztukach pięknych doskonałości jest dusza; ręka jest tu tylko prostym rzemieślnikiem, duch jest mistrzem i twórcą.

Wieczór zszedł nam najprzyjemniej. Pułkownik biorąc za temat Rinaldiniego, opowiadał różne wydarzenia podróżnych z rozbójnikami włoskimi; opisywał piękne okolice krajów, które przebywał; to nakoniec wojenne napoleonowskie wypadki. Słuchaliśmy go z prawdziwem upodobaniem, bo opowiadał tak zajmującym sposobem, tyle życia, uczucia i prawdy było w jego powieściach, że znać w nim było razem i malarza, i człowieka wysokiego usposobienia i nauki.

Marya oko zeń swoje wtenczas tylko sprowadzała, gdy on swój wzrok na nią obrócił; co jednak, zwłaszcza w więcej zajmujących scenach, często się zdarzało. Sam tylko Romuald, więcej opowiadającym jak opowiadaniem zajęty, śledził wszystkie jego wzruszenia i myśli, które lubo zdawały się bynajmniej wątku po-

wieści nie odstępować, jednakże nie wszystkie na jaw wychodziły. Niektóre, czy to strzegąc się śledczej uwagi Romualda, czy to ze zwyczajnej temu człowiekowi skrytości, wymknięte z ust, zdawały się wnet mu nazad do głowy powracać i tam się zatajać, zostawując pole domysłom, chlubniejszym dlań może, niżeli niedomawiana rzeczywistość.

Muzyka zakończyła wieczór. Jenerałowa obowiązała wnuczkę, aby grała na fortepianie jej ulubione polonezy Ogińskiego.

— Jakże się panu podobają—zapytała pułkownika.

— Rzewne są i pełne tkliwego uczucia—odpowiedział; kazał potem przynieść swoje skrzypce, prosił Maryi o powtórzenie, i akkompaniował jej z serdecznem przejęciem się myślą autora, z taką harmonią i sztuką razem, że stokroć podniósł wartość kompozycyi i wykonania na fortepianie, tak iż wierzyć trudno było, że je grał raz pierwszy.

— Któż teraz rozstrzygnie—rzekła zachwycona jenerałowa—czyś lepszy malarz, czy muzyk! pułkowniku!

Nic nie odpowiedział on na tę pochwałę; pokiwał głową, uśmiechnął się po swojemu, ani chluby, ani fałszywej skromności nie udając.

Przy rozejściu się na noc rzekł do mnie Romuald, co i do mojego przekonania trafiało; — Szczególny człowiek! Co za rozmaitość talentów i nauki! Posiada on wszystko, czem sobie podziwienie... ale nie czemby sobie zaufanie mógł zjednywać. Cokolwiek bądź, mam jakąś doń odrazę, coś mię odeń odpycha. Byłżeby to instynkt, lub złe przeczucie? .. nie wiem. Ale przerwę naukę Maryi po jutrzejszej może lekcyi; nie chcę dla niej takiego nauczyciela.

V.

Nazajutrz odebrałem listy donoszące mi o zgonie mojego krewnego na Białej-Rusi. Ważne stąd dla mnie wywiązały się interesa, wymagające rychłego mojego tam przybycia, a nawet dłuższego zamieszkania. Bez zwłoki więc wyjechałem od jenerałowej, a nazajutrz i z domu. Nie oświadczałem się Romualdowi z mojemi uczuciami dla Maryi, bom wiedział, żem od niej samej nie miał wzajemności; zdawszy więc los mój na wolę Boską i na opiekę jenerałowej, obiecywałem sobie przyśpieszyć o ile można najrychlej mój powrót.

Inaczej jednak się stało: lat dwa z górą zamieszkałem na Białej Rusi. W kilka miesięcy po mojem tam przybyciu, nieszczęśliwe stąd nowiny uderzyły mnie jedna po drugiej jak pioruny. Naprzód doniesiono mi o śmierci jenerałowej; a wkrótce o okro-

pnej wiadomości, której spoczątku wierzyć nie chciałem, że Marya uciekła z domu ojca i wyjechała z pułkownikiem za granicę.

Trudno mi wyrazić panu, jak mię głęboko ta wiadomość dotknęła. Lecz nie moje własne, a nieszczęśliwego tego starca cierpienia mam panu opowiadać; a i w tem nawet dokładnym być nie mogę, bom nie był obecny. Donaszano mi wprawdzie o jego rozpaczy, o jego ciężkiej potem chorobie, nakoniec o odzyskaniu zdrowia, i o zupełnem odosobnieniu się od ludzi i towarzystwa, nakoniec o wyprzedaniu tutejszego folwarku, w którym wszystko mu podwójne jego nieszczęście przypominało, i o przeniesieniu się do drugiego, stąd o mil dziesiątek, w którym i dotąd mieszka. Powróciwszy więc w te strony, nie znalazłem już pana Romualda. Po niejakim czasie odważyłem się go odwiedzić. Przyjął mię czule. Rozpłakaliśmy się. Poznałem, że ten człowiek nieunikał serc szczerze mu życzliwych i prawdziwie jego nieszczęściem dotkniętych, ale chronił się od fałszywego politowania, tak podobnego urąganiu.

— Byłeś przy pierwszej lekcyi Maryi . . . to jest, przy pierwszym kroku jej zguby . . — rzekł mi on. — Kochałeś ją - wiem i o tem. Pamiętasz moją odrazę ku temu człowiekowi? Niestety, było to przeczucie ojcowskiego serca. . . Ale nie mówmy o tem! proszę cię i zaklinam — dodał, uprzedzając moje pytania. — Stało się i nie wróci! . . . Po matce wzięła ona rysy twarzy, piękność nadzwyczajną, i serce niełatwo zapalające się namiętnością, ale raz zapalone ugasić się niemogące. Wychowaniem chciałem zmienić tę naturę, której się domyślałem. . . O Boże! czegożbym nie poświęcił dla zabezpieczenia jej spokojnego szczęścia!...—Zamilkł. A ja, nie mogąc udręczać go moją ciekawością, nie dowiedziałem się szczegółów bezecnej intrygi, przez którą ten szatan wcielony potrafił uwieść Maryę; nie mogłem jednak nic zapytać: — Czy żadnych o niej niema wiadomości?

— Uciekli do Prus — rzekł. — Potem nic nie wiem i wiedzieć nie chcę. Przychodziły do mnie listy; ale, poznawszy rękę na kopercie, odsyłałem nazad, nie otworzywszy... Dość o tem, proszę. —

Dałem więc pokój pytaniom; zmartwiony do głębi widokiem tego wyzucia się zupełnego z rodzicielskich uczuć, ojcowskiego serca.

Oto już piętnaście lat upływa po tem nieszczęśliwem wydarzeniu. Zapomniano tu o Maryi i o jej uwodzicielu; zwłaszcza, że i Romuald podobno dziś raz pierwszy po swem stąd wydaleniu tu się okazał. Kto był ten uwodziciel? zagadka dotąd z zupełną pewnością nie rozwiązana. Mniemano go wprzód szpiegiem Napoleona, wysłanym dla zbadania kraju przed przewidywaną już wojną. Ale, gdy wkrótce po ucieczce jego z Maryą wyszukiwano tu ściśle, za odezwą rządu francuskiego, niejakiego włocha, Kallibotą zowiącego się, wodza bandytów włoskich, który był wprzód jezuitą, a przed ostatniem święceniem uciekłszy z klasztoru w góry,

niesłychane tam dokazywał ekscesa, aż nakoniec pojmany przez wojska francuskie, osadzony w więzieniu i skazany na śmierć, w wigilję egzekucyi potrafił umknąć, a nabytemi za młodu i w zakonie naukami, i szczególniejszą zręcznością torował sobie drogę w ucieczce. Gdy nadto rysopis tego człowieka odpowiadać zdawał się postaci pułkownika, wieść zatem pierwsza upadła, a ta druga zaczęła nabierać prawdopodobieństwa.

Wkrótce krążące nowiny o Maryi potwierdzać ją zdawały się.

Rozpowiadano bowiem, że ją widziano w Gdańsku; że tam wzięła ślub z pułkownikiem; że stamtąd udali się do Berlina, że tam nagle napadła policya na ich mieszkanie, i że gdy pułkownika ująć chciano, on strzelił i zabił policyanta, a potem sobie w łeb wypalił.

Co się stało z Maryą, długo nie było żadnej wieści.

Nakoniec przed laty kilka przybyłem ja do Wilna na czas dłuższy, i poznałem się tam z jednym z odległych ziomkow naszych, bo mieszkańcem Podola, Edmundem S. . . , który pierwszy raz był na Litwie i nigdy nie słyszał nawet o Maryi.

Powracał on właśnie z Karlsbadu; i opowiadając szczegóły swojej podróży, mniej zresztą interesujące, (bo wieluż to co rok odbywa tę podróż) dodał, że w Dreźnie poznał artystkę znakomitą, polkę, malarkę krajobrazów, a to szczególniejszym sposobem.

Instynktowa ciekawość objęła mię. Prosiłem, aby mi opowiedział to swe zdarzenie. —Mając—rzekł Edmund—zabawić kilka tygodni w Dreźnie, nie stanąłem w domu zajezdnym, ale wyszukałem sobie kwatery, która mi się zdarzyła w kamienicy staruszka, poczciwego jakiegoś niemczury. Gdy się on dowiedział, kto jestem, powiedział mi, że w domu jego mam ziomkę, mieszkającą od lat dwóch, która teraz jest w najbiedniejszym stanie, schorzała i w nędzy. Nim ją choroba paraliżu w nogach dotknęła, żyła ona, dając lekcye rysunku; bo jest doskonałą w tej sztuce; ale teraz żyje tylko z jałmużny od swych uczenic i z miłosierdzia mojego—mówił niemiec—bo nie mam serca wyrzucić ją z pokoiku na poddaszu, do którego z biedy się przeniosła nie mogąc zapłacić lepszego. Gdy jednak przyjdzie zima, nie będę mógł dać jej ciepłego mieszkania, i kto wie, co się natenczas z nią stanie? A żal mi tej kobiety, bo jest cnotliwą i dobrze wychowaną, i mniemam, że nieszczęście jakieś nadzwyczajne, o którem nie mówi nikomu, popchnęło ją do tego stanu.—

Zainteresowany tem opowiadaniem gospodarza swojego, Edmund postanowił odwiedzić nieszczęśliwą, jakoż wgramolił się do jej izdebki, i znalazł tam nędzę przechodzącą opisanie niemca i własne wyobrażenie.

Po krótkiej rozmowie poznał on łatwo, że ta kobieta, młoda jeszcze i piękna, była wybornie wychowaną; że taiła ród swój

i prawdziwe nazwisko; i zgodził się w duszy z gospodarzem, że ją nieszczęsne jakieś zdarzenie przywiodło do korzystania z umiejętności, której na uprzyjemnienie tylko życia kiedyś zapewne nabyła.

Zapłakała rzewnie, posłyszawszy mowę ojczystą; rozpytywała się o stronach tutejszych; ale mieszkaniec Podola nic jej o tem nie mógł powiedzieć.

Wrócił Edmund do gospodarza, zapewnił dla nieszczęśliwej mieszkanie i wygody, wezwał i zapłacił medyka; a na od jeździe, odwiedzając ją ujrzał nagrodę swego wybornego czynu, bo znalazł ją rysującą nad stolikiem. Podziękowawszy najczulej Edmundowi za jego dobroć i wsparcie, prosiła ona, aby na pamiątkę jej wdzięczności wybrać sobie raczył kilka krajobrazów jej ręki.

Edmund jest miłośnikiem i znawcą malowideł; obejrzawszy więc tekę uznał, że kilka sztuk bez wyboru nawet wziętych nagrodziłoby aż nadto jego wydatki; nie chciał więc przyjąć ofiary; ale rysowniczka tak usilnie nalegała, tak czule i ze łzami błagała, aby dozwolił pracy jej przynajmniej wrócić do ziemi ojczystej, gdy sama tam być nie może, że nakoniec Edmund wybrał trzy rysunki.

Jeden z nich zdawała się chcieć zatrzymać; był on wprawdzie najpiękniejszym. Edmund spostrzegłszy tę chęć, odłożył natychmiast obraz do teki, lecz po niejakiem wahaniu się rzekła artystka: —Nie, panie! weź go pan, weź, proszę. Jest to wizerunek miejsca niegdyś mi najmilszego!... jest to pamiątka... którą ja mam obecną w duszy. . . Łatwo mi będzie powtórzyć go . . . a jednak bodajbym go nigdy nie rysowała! Jest to kopia z pamięci zdejmowanego niegdyś przezemnie oryginału, którego nie ujrzy już nigdy moje oko . . .—Płacz przerwał jej mowę.

— Z łaski pana—mówiła potem—mam się daleko lepiej. Paraliż dozwala mi przynajmniej przechodzić się po pokoju; a mając ręce i głowę zdrową, będę mogła zapracować na kawałek chleba, dopóki. . . go potrzebować będę.—

Edmund zapytał: czy, wróciwszy do, kraju nie mógłby jej być użytecznym, oznajmując o jej losie rodzinie, którą ma bez wątpienia?

— Nie — odpowiedziała z głębokiem westchnieniem.—Dla mnie wszystko się tam zawarło ! . . . Niestety! zasłużyłam na to!... lecz mię pan o nic nie pytaj . . . . Jam z Litwy, a pan z Podola, nie spotkasz więc nigdy może nikogo z moich. Imię moje Marya, które już pan wiesz zapewne, na rysunkach masz pan podpisane. I Marya nie zapomni nigdy dobrodziejstw twoich, które jej biedne życie choć na krótko przedłużyły.—

Edmund pożegnał Maryę, polecił ją przed odjazdem zostającym w Dreźnie ziomkom, i złożył w ręku gospodarza kilkadziesiąt dukatów na jej potrzeby.

Słuchając opowiadania Edmunda, coraz dowodniej przekonywałem się, że to jest nieszczęśliwa córka Romualda.

— Oto są pejzaże—rzekł Edmund, otwierając tekę.—Ten sobie zatrzymać chciała.

Rzuciwszy okiem, odrazu poznałem dokładną kopię owej pierwszej lekcyi przedkilkonastoletniej nad jeziorem u jenerałowej. Zamiast obłoczka samotnika, był na jeziorze w łódce myśliwy na kaczki z wyżłem. Zrozumiałem więc zwrót uczuć Maryi, i łzą mi zaszły źrenice.

— Co to?—rzekł zdziwiony Edmund—pan płaczesz! znałżebyś Maryę.

— Znałem, i znam jej nieszczęścia — odpowiedziałem.—Dzięki panu, stokrotne dzięki za wszystko, coś dla niej uczynił; a dzięki Bogu, że mi zdarzył tę wiadomość o jej losie, Daruj pan, że szanując jej tajemnicę, nie opowiem dziś panu wszystkich okoliczności; lecz gdy mi się uda wydźwignąć tę ofiarę, doniosę i objawię panu wszystko, abyś cieszył się zmianą losu tej, której najpierwszy podałeś dobroczynną rękę.

— Jeżeli tak, to jeszcze przypominam—rzekł Edmund,—że pisano mi później z Drezna, że Marya nanowo paraliżem tknięta była, że miała odjętą mowę, lecz, że znowu wyratowana. Jąkania się tylko jej trochę pozostało, zwłaszcza w chwilach wzruszenia, i trudność paralityczna w nogach.

Porzuciwszy wszystkie interesa w Wilnie, leciałem do Romualda. Pierwszem mem doń słowem było:—Dziękujmy Bogu! córka twoja żyje! żyje Marya! Ratuj ją! Przywożę ci o niej najpewniejszą wiadomość.

Nie dał mi skończyć nieszczęśliwy ten, ale zakamieniały starzec.

— Ja nie mam córki—rzekł zimno i bez najmniejszego wzruszenia—nie mam, mieć nie chcę, i nie słucham żadnych twych wiadomości.

— Ale ona w nędzy! w chorobie! między obcymi! w Dreźnie. Uwodziciel jej dawno już nie żyje . . . Najnieszczęśliwsza! Miej Boga w sercu! . . . —

Starzec pobiegł do swego pokoju, zamknął się, i mnie do siebie nie dopuścił.

Czekałem cały dzień, a nazajutrz, nim wstałem, on już wyjechał nie mówiąc nikomu dokąd — a więc uciekał odemnie.

Wróciłem do siebie, rozmyślając nad sposobami skruszenia tego wyrodnego uporu, gdy nazajutrz odebrałem list od Romualda. Pamiętam go co do słowa. „Ponieważ pan wiesz, (pisał on), gdzie jest... ona (córką ją swoją nazwać, ani imienia wymienić nie chciał), i ponieważ jest w nędzy, przeto posyłam tu panu jej własność, to jest, zapis nieboszczki babki jej jenerałowej, zdwojony procentem. Lecz, jeżeli nie chcesz starej i nieszczęśliwej głowy przyjaciela wyprawić na tułactwo, jeżeli wolisz, abym krótkie to i nieszczęśliwe życie moje w spokojności dokończył, a

kości me, aby w rodzinnej spoczywały ziemi, to nie wspominaj mi nic więcej o tem... Nie wydziedziczam jej... nie przeklinam... Po mojej śmierci niech wszystko zabierze—wszystko—ale.. na grób mój nawet niech nie wchodzi."

Krew we mnie się ścięła na tak głęboką zatwardziałość serca ojca ku własnemu dziecku, serca tak niegdyś czułego i dobrego ku dziecku tak niegdyś ukochanemu!. Przysłane pięćset dukatów przesłałem wnet do Edmunda, prosząc, aby się postarał przesłać je jak narychlej Maryi, ukrywając najstaranniej przed nią, skąd pochodzą te pieniędze; uprzedziłem go tylko, że nie ode mnie; i prosząc go, aby mi wskazał drogę kommunikacyi z Maryą; miałem bowiem nadzieję, że prędzej czy później ojciec jej da się zmiękczyć i ubłagać.

Wkrótce odebrałem odpowiedź. Donosił mi Edmund, że sam znowu i na lat kilka wyjeżdża za granicę; że pieniądze dojdą Maryi, jeżeli ona żyje, i że w oddaniu ich zastosuje się zupełnie do mojej prośby, lub mi je nazad odeszle.

Z Dreźna znowu napisał do mnie, że znalazł Maryę w szpitalu; że zdrowie jej się tak pogorszyło było, że pracować nie mogąc, musiała uciec do miłosierdzia publicznego; że skutkiem wsparcia, jakie przywiózł, wydobył ją stamtąd, i umieścił na wsi w bliskości biegłego doktora, który, jeżeli nie zupełne uzdrowienie, to przynajmniej znaczną ulgę jej obiecuje; że znosi ona swoje nieszczęście najcierpliwiej; i że nakoniec w oddaniu pieniędzy postąpił podług danej sobie instrukcyi.

Odtąd już lat parę upłynęło, jak znowu nic nie wiemy o losie Maryi, bo Edmund dotąd bawi za granicą, a nie wiem dla czego, przez zapomnienie, czy uproszony od Maryi, nie przysłał mi żądanego adresu. Może już zakończyła śmiercią nędzne swe, zgryzotą i utęsknieniem zatrute życie. Jeżeli tak jest, złączą się oni zapewne wkrótce z ojcem, bo starzec wiekiem i smutkiem zgnębiony niedalekim jest także zgonu Oby przynajmniej w ostatniej swej godzinie żyjącej lub umarłej córce swej przebaczył! bo jakże mu i Bóg przebaczy.

VI.

Wróciliśmy pod kościół. Spojrzałem na starca, nie wiem, okiem politowania czy zgrozy..... Dziwiono się w tłumie, że tak się spóźniają nieszpory. Ktoś opowiadał, że ksiądz Kuźmicki od dwóch godzin spowiada przybyłą jakąś chorą kobietę, którą z budki ladajakiej ledwo wysadzili.

Wkrótce dzwony się odezwały, i otworzono kościół, tłum napełnił świątynie. Największa liczba spowiadając się po kilkakrotnie z całego życia przez wszystkie dni jubileuszowe, miała na ostatnich nieszporach przyjmować komunię.

Nabożeństwo rozpoczęło się od processyi, która, obszedłszy kościół, zatrzymała się nad krzyżem do wkopania przygotowanym. Poświęcił go celebrujący, a my własnemi rękami zakopaliśmy go w ziemię.

Powróciliśmy potem do kościoła, i wszedł na ambonę ksiądz Kuźmicki. Lubo słowa jego bez przygotowania, ze wzniesionego serca płynące, wrażały się głęboko w pamięć, lecz po tak długim czasie treść ich tylko przypomnieć mogę. „Pokój wam (mówił on). „Pokój mój zostawuję wam! Słowa, któremi Chrystus Pan pożegnał Apostołów, sługa Jego, odchodząc od was po tych uroczystych modłach do Boga, któreśmy z całem chrześcijaństwem w tej świątyni wznosili. Oby po nich pokój prawdziwy, pokój cnotą i bojaźnią Boską zjednany, a łaskę Bożą wzajem jednający, był w sercach waszych na zawsze, i całe życie wasze, i ostatnie godziny osładzał!

„Bracia moi! patrzcie jak liczne jest zgromadzenie nasze! Pół wieku minie .. któż z nas zostanie? Nowe pokolenia na grobach naszych odmawiać będą jubileuszowe modlitwy, tak, jak my dziś klęczymy nad sklepem, w którym, przed pięćdziesięcioletnie pokolenie spoczywa! . Kilku, albo najwięcej kilkunastu starców, przypomną dzień dzisiejszy, nas, i słowa może, moje, tak, jak ledwo kilku jest dziś między nami, którzy niepewną pamięcią przypominają przedpółwieczne Miłościwe Lato; a są wpośród nas jakby zostawieni dla przyniesienia rychlej świadectwa o dniu dzisiejszym i o nas ojcom naszym w wieczności.

„O bracia moi! jakież to będzie świadectwo? Możecie z czystem i spokojnem sumieniem wyrzec oto zaraz przed świętą komunią, przed tym niebieskim pokarmem duszy: Panie! otom już godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego! bo słowa zwyczajne: Panie nie jestem godzien, oznaczają tylko pokorę i skruchę grzesznika, przez które właśnie staje się on godnym pożywania ciała i krwi Pańskiej.

„Głos Najwyższego Pasterza, głos powszechnego Ojca w Chrystusie, otwierając nam skarby duchowne Kościoła, ogłosił rok przejednania, odkupienia i łaski. Obwieściłem wam na początku te słowa jego. na końcu chciałbym przeniknąć do głębi serc waszych, i widzieć najskrytsze myśli wasze. i przekonać się, czyli nadzieje nasze i prace szczęśliwy dały skutek? Czyli przejednanie obrażanej długo niedowiarstwem. . . co mówię niedowiarstwem! sromotną bezbożnością religii, nastąpiło nakoniec? a zatem czy łaska Boska ogarnęła was, i czy przeniknęła do skruszonych i odtąd już na zawsze prawowiernych i cnotliwych serc waszych? Czyliście się odnowili nakoniec w najgłówniejszej cnocie, z której wszystkie inne wypływają: w miłości Boga i bliźniego.

„O! jam nieudolny przeniknąć tak głęboko dusze wasze! ale widzi je i przenika Ten, przed którym nic skrytego w całem

stworzeni—Bóg, który z ołtarza tego patrzy na was; Bóg, który za chwilę ma złączyć się z wami; Bóg, który słabości daruje, upor i zatwardziałość potępi. W obliczu więc Jego i w Imię Jego Święte wzywam was do wzajemnego pojednania się i przebaczenia. Oto ostatnia chwila, w której półwieczne brzemię obrazy Boskiej, ciążące nad nami, zniknąć ma i stopnieć przed promieniem miłosierdzia Jego i łaski wybłaganej szczerą skruchą i pokorą, i nakoniec szczerą miłością ku Niemu i wzajemną ku sobie. *Venit hora! et nunc est!*...

„Ktokolwiek więc czujesz w sobie by najmniejszą kroplę gniewu, nienawiści, zażalenia, krzywdy odebranej, lub uczynionej bliźniemu twemu, kwap się do przejednania go lub do odpuszczenia mu, kwap się do jego serca i własne mu otwórz!... Nie masz tu, jako nie ma przed Bogiem, wyższych i niższych. Wszyscy jesteście bracia w Chrystusie! Braterską więc miłością, miłością jaką pałał ku nam Chrystus na krzyżu, niech się zapalą i goreją dusze wasze. I niech ta chwila powszechnego przejednania się będzie najdroższą pamiątką życia waszego i tego świętego jubileuszu.

„A ja, kapłan Boga żywego, podnoszę ku Niemu ręce i modły moje: O Boże! błogosław miłującemu Cię i jednoczącemu się w Tobie ludowi Twemu!... Niech miłosierdzie Twoje spłynie nań!... Rzeknij słowo, a będą zbawione dusze nasze!“....

Ruch powszechny w kościele przerwał modlitwę. Cały lud się poruszył. Zapał nadzwyczajny ogarnął wszystkich. Łzy potokami płynęły, łkania rozlegały się po kościele.... Przeciskano się w rozmaite strony. Każdy szukał i padał w objęcia niechętnych przed chwilą rąk. Słyszałeś tylko zewsząd:—Daruj dla miłości Boga!...—Przebaczam — niech mi tak Bóg przebaczy!... — I przebaczający cisnął się w drugą stronę, równegoż błagać przebaczenia. Zadawnione nieprzyjaźnie, zakamieniałe gniewy, mściwe nienawiści, skryte knowania, topniały we łzach. Panowie ściskali sług swych i poddanych; poddani, płacząc rzewnie, całowali ręce panów; małżeństwa zaprzysięgały sobie nanowo wieczną miłość i zgodę; dzieci pełzały u nóg rodziców, rodzice błogosławili dziatkom....

O doskonały obrazie chrześcijańskiej jedności! o święty zalewie nauki Zbawiciela; w którym w tej chwili tłumy wiernych tonęły!.... Takiem zapewne uczuciem, taką wiarą, takiemi łzami, żegnali się niegdyś męczennicy ginący tłumami w katakumbach rzymskich, lub idący w szpony dzikich źwierząt, albo na stosy ogniste za wiarę Chrystusa! Ach! jeżeliby był ktokolwiek wtenczas, (a wątpię, czy był taki, któryby zachował jeszcze w sercu choć odrobinę pychy, nienawiści lub niedowiarstwa, któryby dotrwał w uporze i nie uległ temu ogarnieniu wiary i miłości), biada mu! biada!

Wtem w ostatnich ławkach pod chórem ukazała się nagle, jakby z pod drzwi grobowych powstająca niewiasta, a raczej

trup niewieści i wysunęła się na środek kościoła. Postać jej wysoka, twarz zeschła i wybladła, włosy czarne w nieładzie spadające na ramiona, ręce wychudłe, które naprzód wyciągała, i oczy czarne niezwyczajnem płomieniem błyszczące, przeraziły wszystkich. . . Tłum zdziwiony się rozstąpił.—Do oj-ca! do oj-ca!— wymówiła ona przerywanym co sylaba głosem. Odrzuciła rękę sługi chcącej ją wspierać, i targanym konwulsyjnym krokiem, krokiem nóg sparaliżowanych, postępowała przez kościół. – Do oj-ca! do oj-ca!—wymawiała ciągle, i tłum rozwierał się przed nią. . . .

— Starzec stojący blizko wielkiego ołtarza obrócił na nią razem ze wszystkimi wzrok swój . . —To Marya! to córka moja!— wykrzyknął.—Oj-cze daruj! daruj! dla miłości Boga! Niech skonam przed ołtarzem Zbawiciela, u nóg twoich! —I posąg ten chodzący runął u stóp starca! . .

— Przebaczam! przebaczam! o córko moja jedyna!—rzekł starzec, zachodząc się od płaczu . . Wtem zabrzmiał dzwonek, kapłan u ołtarza uniósł świętą hostyę w górę . . „Oto baranek Boży, który gładzi grzechy świata!"



DUCH OPIEKUŃCZY.

I.

Nad jednym z głównych gościńców prowadzących z głębszej północnej Litwy do Wilna, sterczą rozwaliny starego zamku Jagiellonów.

Podróżni chętnie tam dociągają na noclegi i popasy, zwłaszcza latem, bo prócz wygodnej austeryi, nęci ich sposobność oglądania tych ruin, mieszkaniem Świętego Kazimierza, i innymi kraju tego wypadkami, dawno już w głębi przeszłości utopionymi, sławnych.

Obok nich zabudowany piękny dworek dziedzica; a wewnątrz obszernego zamku rozrasta się ogródek, którego drzewa, opierając gałęzie na obwodowym murze, zdobią starca wiankami z zieleni. Mur ten, poszczerbiony w niektórych miejscach, łatwe daje do środka przejście, a ciągnie się po wysokim wale z ziemi, na którym wydeptane z obu stron odwieczne ścieżki, do każdego tam wewnątrz zakątka łatwo doprowadzają.

Na jednym rogu rozwalin wznosi się, siłą czasu niespożyta, baszta wysoka. Podziwiać trzeba trwałość muru i doskonałość pionu ścian jej grubych, których okna zatrzymały jeszcze dawną wązką podłużną formę, i ślady żelaznego kratowania.

U spodu tej baszty wzgórze z gruzów zasypało wejście do podziemnych sklepów, które przed laty kilkudziesięciu jeszcze odkrytem było.

W chwilach wieczornych, gdy księżyc pełne swe oblicze po litewskiem tocząc niebie, wpatrywać się zdaje z wysoka w te dawnej potęgi zabytki, wspanialsze i uroczystsze przybierają one kształty od baszty.

Olbrzymim słupem łamie się cień bury.
Spadając w fossę, *)

która rzeczywiście kiedyś otaczała zamek; a której ślad widoczny, i teraz rozeznać się daje po świeższej i zieleńszej murawie, rosnącej bujniej na jej dnie wilgotnem, choć już zrównanem z całą powierzchnią.

Dziedzic tego miejsca, gdy raz po pamiętnym 1812 roku, wrócił do tego ojczystego swego siedliska. W czasie jego nieobecności rodzice mu pomarli, a pułkownik (taki był stopień jego) ujrzał się dojrzałym a nawet przejrzałym w pewnym względzie mężem, w pustym swym domu, który przed dziesiątkiem lat młodzieńcem opuścił.

Wejrzyjmy w stan duszy, myśli i serca jego.

Człek każdy jest zagadką, mniej więcej tajemną, mniej więcej zawikłaną, której słowo ukryte przed światem, a często i przed sobą samym, nosi on w najgłębszej tajni swojego serca. Słowo to zawiązuje się tam, jak płód w żywocie matki, w najpiękniejszych dniach wiosny życia jego. Karmi go młodzieniec, a potem dojrzały mąż, najczystszą treścią swojej krwi. Jest ono duszą jego duszy. Poświęca on dlań wszystkie usiłowania, zabiegi i prace. I czy to dojrzewając przybiera ponętne formy niewiasty, czy świetną marę sławy, czy z powszedniejszych pierwiastków wynikłe, rozwija się w żądze bogactw i światowego znaczenia, lub tym podobne, zawsze jest ono słowem życia spoczywającem w sercu każdego, przez które przepływając, krew odświeża się w niem, i żywiej potem płynąc, całe jestestwo nasze nowemi siłami, nowym zapałem orzeźwia.

Póki tego słowa w człowieku, póty i szczęścia człowieka!

Bo biada temu i stokroć biada, kto tę zagadkę swoją przedwcześnie rozwiązał! . . komu namiętności niebacznie i bez przerwy drażnione i podżegane, słowo jej żywym ogniem spaliły! lub komu zawody nadziei, gorzkie troski i niedole, czarna niewdzięczność, lub niesprawiedliwa poniewierka ludzka, zatrutym jadem rozpaczy wpłynęły do serca i zamórzyły tam troskliwie pielęgno-

*) Grażyna.

wany ten zawiązek życia i szczęścia! Wytrawia się on natenczas i ginie; a serce zostaje próżnem, zwyczajne tylko cielesne odbywając funkcye, bez żadnego na duchowe życie wpływu; a człowiek, nie znajdując wewnątrz siebie ożywczego źródła uczuć i wrażeń, żebrzeć ich musi zzewnątrz, tak, jak się żebrze chleba powszedniego w głodzie lub pieniędzy w niedostatku. . . Ale niestety! chleba i pieniędzy rzadko kto, uczuć i wrażeń nikt nie da, ani pożyczy.

W takim stanie wyczerpania ducha, słabnie umysł, niedołężnieje ciało. . . i nakoniec trup gotowy dowleka się do grobu.

W różnych czasach rozmaite choroby napadały ludzi; choroby wyłącznie pewnym okresom właściwe, zarażające tłumy i po pewnym czasie przeszłe. Na nasz wiek przypadła ta, której symptomatów dotykam. Jest to wyczerpanie moralne sił życia przed kresem onego fizycznym; jest to rozwiązanie wczesne zagadki życia, jakeśmy to powiedzieli, właściwej każdemu, i z właściwych przyczyn rozwiązanej.

Lecz choroba sama wynikła z jednej ogólnej przyczyny, tem niebezpieczniejszej, że zarażając towarzystwo, niszczyła razem i źródło jedynego lekarstwa.

Przyczyną tą był systematyczny zamach ośmnastego wieku na religię objawioną, i na każdą inną nawet, na wszelkie jej prawdy i zasady, pogrążający ludzi naprzód w wątpliwość, z wątpliwości w wyrzeczenie się i wyrzucenie z serca; a nakoniec w zupełną pogardę tego jedynego światła, od Boga danego na rozjaśnienie błędnej życia drogi, i jedynego uczucia, do którego wraca zmordowana dusza, i z którego czerpie pokój, swobodę i cierpliwość na doczesność, na wieczność, nadzieję.

Epidemicznie zarażały się nią towarzystwa i indywidua; i gdy tam wyczerpanie wszelkich duchowych hamujących środków obłąkało i w szaleństwo wprowadziło cały naród, Bóg, zachowując go od ostateczności, przez Jego samego tylko przewidzieć się mogących, rzucił weń nową zagadkę: chwałę, w osobie Napoleona. Jak nowe bóstwo, naród cały powitał ją i przyjął do serca... A jednakże, jeżeli odgadywać odważymy się cele Opatrzności, daną mu była ona może na przekonanie, że i chwała, jako znikomy meteor, nie zastąpi prawdziwego światła, którego Bóg sam tylko i źródłem i dawcą, a które jedynie szczęście ludziom zapewnić może.

Po dziwnych odmianach świata i wyobrażeń lubo powszechna ta przyczyna znikła w ogólności, chroniczne jednak do niej usposobienie zostało aż dotąd; i chociaż narody w cofniętej rotacyi wróciły zda się, na dawne swe pod krzyżem stanowisko, szczegółów jednak odskakujących z tego koła i chcących zmitrężyć wsteczny bieg jego, jest mnóstwo....

Cóż stąd? cóż znaczą niedołężne przeciwne powszechnemu

przekonaniu, przeciwne widocznej woli Opatrzności rojenia? Bezbożność i niedowiarstwo nie nauczą nanowo świata, a same próżnem usiłowaniem zmordowane, ulegną chorobie, (ba! i ulegają!), na którą lekarstwo w sobie i w drugich niszczą...

Są jeszcze inni, (a z tymi najczęściej się u nas spotykamy), którzy zmyślają tę chorobę, nie mając ani czasu, (bo są to zwykle młodzi ludzie), ani wypadków życia, ani namiętnych udręczeń, któreby im świat, ludzi i siebie obmierzić zdołały. Słowo ich życia jest w nich albo nierozwiniętem, albo zleniwiałem, a nie zmarłem. Budzić go dla tego tylko nie chcą, aby im codziennej pracy nie przyczyniło, aby nie przerwało gnuśnego próżnowania, w którem upodobali sobie. Leniwce to są, nie wyczerpańce, niechcący pojąć, że w stanie, który małpują, jest gorycz, nie chluba; że ich rozpacz, ich ponure zadumania, ich wierszem i prozą jęki i skargi; śmiechu, nie litości są warte. Biada więc pierwszym! biada prawdziwie nieszczęśliwym! wstyd kłamiącym nieszczęście!

Mając wejrzeć w stan wewnętrzny uczuć i myśli dziedzica opisanych na początku ruin, pokrótce dotknąłem rozbioru główniejszej dolegliwości czasów naszych, abym nie stosował za każdym razem ogólów do szczegółu, mówiąc o człowieku tem obłąkaniem właśnie dotkniętym i napróżno szukającym sposobu wybrnięcia.

Młodzieńcem, jakeśmy to powiedzieli, opuścił pułkownik dom ojczysty; młodzieńcem, z wychowaniem, jakie najlepsze w owym czasie posiąść w Wilnie można było; z sercem żywem, zdolnem do najpiękniejszych uczuć i do najszlachetniejszych uniesień, ale z głową mniej więcej zarozumiałą, zaprzeczającą częstokroć poczciwym uczuciom serca, i napełnioną zdaniami wątpliwości i niedowiarstwa, łączącemi się wówczas najściślej z wyższą edukacyą, wspieraną czytelnictwem albo czczych, ówcześnie modnych francuskich romansów, albo, co gorsza, dzieł tak nazwanej filozofii, utwierdzających w niedowiarstwie, których wymieniać, jako powszechnie z treści i celów znanych, nie będę.

W takiem usposobieniu wpadł on w tłumy wojskowe francuskie, i z zapałem się poświęcił nowemu ich natenczas a jedynemu bóstwu: chwale, jako świetnemu celowi wszystkich usiłowań i wszelkich nadziei, dla której krew i życie każdy ochotnie poświęcał.

Próby nieustraszonego męztwa i zdolności w wojnach włoskich i zamorskich posuwały go rychło na coraz wyższe stopnie, i nakoniec dały mu miejsce w owym wybranym zastępie, który strzegł boku cesarza francuzów. Tu na przemiany, albo w obozach i na krwawych placach niezliczonych bitew Napoleona, albo w rozkoszach najświetniejszego dworu jego i najrozpustniejszego miasta, pędził i wyczerpywał życie.

I cóż to życie znaczyć mogło u tych, którzy je dziesięć razy na dzień utracić sami i odbierać drugim mogli? Puhar wina przed bitwą więcej obchodził i zajmował, niżeli potok krwi po bitwach płynącej. A jeżeli kiedy przy ogniskach obozowych, naprzeciw takichże ognisk nieprzyjacielskich, nasunęła się myśl posępna, że ta noc może być dla każdego ostatnią, to zamiast czułego z nią i serdecznego rozmówienia się, zamiast pójścia z nią do Boga i westchnienia po Jego w niebezpieczeństwie opiekę, przepędzano ją jako niewczesną i straszącą marę, oblewano ją winem, okrywano szyderstwem, równie jak tego, który ją pierwszy objawił.

Nazajutrz znowu przy ogniskach nie doliczano się wielu wczorajszych towarzyszów; pozostali jednak, nie nauczeni przestrogą, po dawnemu tłumili w sobie i zagłuszali głos serca, rozumiejąc, że niemęzką bojaźń śmierci głuszą i zwyciężają.

Bo prawie bez wyjątku taki był duch całej armii Napoleona, dla której chwała była wszystkiem, a reszta niczem Taki był duch całego narodu, bo w stare ścięte drzewo wiary świeżo wszczepiona nowa gałązka, jeszcze się była nie przyjęła dobrze, a sam szczepiący tyle ją tylko pielęgnował, ile samoistnym dumnym widokom jego posługiwać mogła. Używając zaś ludzi jak narzędzi, nie dbał, z jakiego one były metalu, byle twardemi i hartownemi były. Dla tego główniejsi ministrowie jego niektórzy apostaci, a wszyscy dzieci wyobrażeń rewolucyjnych, dozwalali więdnąć ideom religijnym, ku uroczystym tylko wspaniałościom pychy ludzkiej wzywając jej obrzędów.

Co więc w sercu i w głowie pułkownika niweczyło się w wojsku, to się nie naprawiało w stolicy i w towarzystwach wyższych, do których i ze stopnia i z zasad osobistych należał.

Nadeszła z kolei wojna hiszpańska, wojna bardziej idei i zasad, niżeli zaborów krwawo bronionych przez jednych, przemożnie obalanych przez drugich. Fanatyzm i nadużycia tak się tam ściśle łączyły z prawdziwą religią, że lud i duchowieństwo nie rozróżniało w tym względzie zamachów francuskich; a francuzi, nie mogąc także rozróżnić i rozdzielić tego odwiecznego tam małżeństwa, oboje razem niszczyli. Mógłże naprzykład charakter kapłański osłonić tego, który zajadłym gerylasom dowodził, lub w Imię Boga zaklinał lud do rzezi nawet bezbronnych?

Tam więc pułkownik pozbył się do reszty ostatniego słowa dawnej wiary, które jak zaniedbane podanie z lat dziecinnych w nim spoczywając, kiedy niekiedy się odzywało, chociaż w kilku bitwach widocznemu prawie cudowi winien był ocalenie swoje, i chociaż krzyżykowi na piersiach mu niegdyś przez matkę zawieszonemu winien był znowu życie, gdy go wziętego w niewolę zamęczyć wraz z innymi miano

Jak duchowy stan jego uległ wpływowi powszechnego zepsucia, tak silna budowa ciała niszczyła się i więdła, nie tak bezustannym trudem i kilkakrotnemi ranami, jak bardziej rozwiązłym zbytkiem, zadawalniającym niebacznie codzienne pokusy i żądze.

W takim stanie rok 1812 wprowadził go po długiem oddaleniu na ziemię ojczystą. Trakt, którym z Wilna brnął Napoleon dalej, nie był ten, przy którym leżała majętność pułkownika, przez stryja w jego nieobecności rządzona. Dowiedział się tylko o jej zupełnym przez wojska zniszczeniu, i obojętny na to, szedł dalej przy boku cesarza, w którym, jak w słońcu promienie, jednoczyły się nadzieje milionów.

Ale się to słońce wraz zaćmiło, wracającym przemarzłym tłumom zaszła drogę Berezyna, i tam raniony nanowo pułkownik wlókł się nędznie, póki go ostatnie nie odbiegły siły; a gdy odbiegły, gdy gorączka trawiąca go od dni kilku i rozjątrzane rany żadnej mu nadziei życia nie zostawiały, obłąkanego prawie, porzucono w pierwszym, jaki się nadarzył przy drodze, domu..

Tym domem.. (widoczny znowu cud Opatrzności) był... dom jego własny, położony, jak to widzieliśmy, przy drodze, którą teraz główne wojsko francuskie do Wilna się wlekło — puste, dach tylko i ściany mające schronienie, zmarzłymi francuzami napełnione, wśród których zaległ w kącie dogorywający prawie dziedzic onego.

Jeden tylko przywiązany do swego pułkownika, a poczciwy, został przy nim wiarus, i pilnował ostatniej jego godziny. Powywlekał on trupy jakby kłody zgniłe i zmarzłe; oczyścił i opatrzył jedną izdebkę; wyszukał w wiosce opuszczonej od mieszkańców kryjącego się jednego włościanina, ośmielił go, kilku talarami nagrodził, i do wspólnej posługi około chorego zniewolił; odpędzał tłumy maroderów, chcących nieraz zapalić dom i ogrzać przy pożarze skostniałe ręce i nogi. A tymczasem dni kilka między życiem i śmiercią będący pułkownik, ostatnim wysileniem mocnego swego temperamentu pokonał chorobę, i w chwili odzyskania przytomności, na pierwsze zapytanie: gdzie jest? usłyszał nazwisko rodzinnego swego domu... i łzą mu zaszły źrenice!

Wiarus nie wiedział wcale, że był gościem swojego pułkownika; chłopek także nie wiedział, że posługiwał swojemu panu; gdy więc on im to powiedział, pierwszy krzyknął: — Vivat! — a drugi ucałował nogi chorego.

Na tę wieść przez włościanina rozniesioną, schodzić się zaczęli słudzy dworni Niektórzy łatwo poznali swego panicza, i cisnęli się około niego, pielęgnowali go, starali się o wygody, dobywali zachowane zapasy, i skrytemi ścieżkami z Wilna nawet sprowadzali do pierwszych potrzeb nieodbite rzeczy.

Nakoniec po dniach kilku zdołał pułkownik być przewiezionym do ustronnego swego folwarku, gdzie wygodny i ciepły znalazł pokoik, i gdzie otoczony życzliwą czeladką, sprowadziwszy z Wilna chirurga, kończył szczęśliwie przez naturę zaczętą kuracyę.

Był on naturalnie jeńcem wojennym; ale okryty powszechną łaską zwycięzcy, został spokojnym na miejscu, i ukończył od razu i bezpowrótnie zawód wojskowy, któremu kwiat życia swego

poświęcił, który pochłaniał dotąd wszystkie jego uczucia i myśli, po którym więc został bez uczucia i bez celu, jak wypróżniona szkatuła bez złota.

Tymczasem odmiany polityczne rychło jedne po drugich następowały; przeszedł rok 1813 i 1814 wśród krwawej w środku Europy wojny. Pułkownik duszą i sercem był we wszystkich bitwach, w których olbrzym walczących z nim upadkiem swym przywalał. Przebiegał on z nim potem znajome sobie pola Francyi, mordował się w ustawicznych walkach ostatnich jego usiłowań. i nakoniec upadł wraz z nim, jak grenadyer, który pod oknem byjego już cesarza w Fontainebleau w łeb, sobie wypalił.

II.

I takim już został pułkownik. Wiarus jego przeszedł na ogrodnika, i z wojskową akuratnością raportował mu codzień, wiele drzew w ruinach rozkwitło, a potem wiele jabłek w nocy ukradziono; a pułkownik przeszedł jakoby na gospodarza z różnicą, że pierwszy łatwo stan swój polubił, że codzień się doń mocniej przywiązywał, a drugi stanem swym nowym pogardzał.

Dni mu schodziły szaro; myśli tęskne, bez związku, raz mu kamieniem ciążyły na sercu, drugi raz tłumem cisnąc się do głowy, mdliły go lub utrudzały. Zatrudnienie każde, choćby dla rozrywki tylko, mordowało tego człowieka, któremu niedawno trudy wszelkiego rodzaju łatwemi były. Stronił on od towarzystwa ludzi, którzy go dumnym osądzili niewinnie, a na których on zimnem i martwem, bez nienawiści, bez wzgardy ale i bez miłości, spoglądał okiem.

Niekiedy, pragnąc się odurzyć niejakimś silniejszym ruchem szedł na polowanie, ale rychło wracał, porzuciwszy myśliwstwo, bo pierwszy strzał uderzający źwierzynę, uderzał go także bolesnem przypomnieniem całej jego wojskowej przeszłości . . . . . tak niedawnej, a tak niespodziewanie i raptownie przerwanej, że mu się zdawać mogło, iż obłąkanie jego gorączkowe, mogło być śmiertelnem przejściem do innego zupełnie życia i świata.

Wilno gorzej go jeszcze udręczało, ilekroć go tam nieodbita zaprowadziła konieczność. Kamienie bruku jakby go paliły i zmuszały do ucieczki z murów. Deptał on tam wprawdzie ścieżki swej młodości, ale miłe jej wspomnienia nie obudzały się w sercu, w którem się nic już obudzić nie mogło. Napotykanych dawnych kolegów mijał troskliwie, przypominających się zbywał zimno, bo znieść nie mógł swobodnego i spokojnego ich oblicza, i uśmiechu zadowolenia, nienawistnego mu, jakby urągliwe wykrzywienie się szatana. Napotykał kobiety — o! ładne i miłe kobiety! któreby może chętnie zgodziły się rozpędzić nudę napoleonowskiego pułkownika, okrytego chwałą i znakami męztwa, które-

by na tę męzką, dorodną i przystojną, ale martwą postać, czarodziejski swój urok życia narzucić chciały; ale twarz ta, kilkakrotnie tym urokiem, od piękności różnych krain obdarzana, i kilkakrotnie zeń boleśnie odarta, skrzepła i skamieniała nakoniec; a ognisko namiętnych uczuć i tkliwych płomieni, przesytem i nadużyciem zgaszone zostało do szczętu.

Pułkownik pojął stan swój, bo się mu on dotkliwiej codzień uczuć dawał; poznał, że to jest stan jakiejś umysłowej choroby, która go ogarnęła, lecz ani przyczyny jej śledzić, ani szukać dzielnych a skutecznych dźwignięcia się środków nie miał woli, a może i siły. Owszem, gdy z czasem zwolniały przykrzejsze jej symptomata i nieszczęśliwe z nią targania się, nastąpił stan chroniczny, stan niejakiego pojednania, w którym choroba zrzeka się codziennej kłótliwej władzy, a zapewnia sobie spokojne dożywocie. Chory wzajemnie ulega układowi; nawyka do nieprzerwanego, ale mniej trapiącego, jej obcowania, a z czasem podoba w niem sobie nawet; i tak pobłażając jedno drugiemu wzajemnie wloką się oboje przez świat bez skargi i zwady.

Dokonywając opisania stanu wewnętrznego pułkownika pozwolę sobie użyć wybornych wierszy znakomitego naszego poety, w których każde słowo jest charakterystyczną definicyą, w główniejszych przynajmniej rysach, podobnych mu ludzi.

„Jest czas, który przywodzą niedole lub lata,
Gdzie człowiek nic już w siebie nie naciąga z świata;
Tem żyje, co ma w duszy, już do swego łona
Nie przyjmie żadnej kropli; czara przepełniona.
Syty ludzi i życia, zamknął dni swych dzieje.
Sława mu bez uśmiechu, bez wdzięku nadzieje.
Wszystkie, wszystkie pogrzebał w wielkim serca grobie,
I żądzę nawet szczęścia już wygasił w sobie.
Jak ów robak, co w własnej sklepi się osnowie,
Tak i on nić tę ciągnie, co się życiem zowie;
Codzień ją snuje z duszy, z tylu wspomnień marnych,
Z tylu żalów, nadziei, trosk i marzeń czarnych!
I tak codzień i codzień, długich dumań skutkiem,
Coraz grubszym, ciemniejszym osuwa się smutkiem,
Nie sądź przecież, że chętnie swym się jadem truje:
Nie odpycha on pociech .. lecz ich marność czuje.
Miał on niegdyś dni swojej młodości i chwały,
Dni miłości, dni boskie—i gdzież się podziały?
Gdzież są te szczęścia jego bogate zasoby?
Kwiatami swojej wiosny pouwieńczał groby;
Inne zwiędły pod zimnym doświadczenia wzrokiem;
I wszystko już ochmurzył duszy swojej mrokiem.
Spokojnym jest, lecz czemże ta spokojność bywa?
Zimnem, gnuśnem i martwem morzem go opływa.
Morze to nie ma burzy, lecz i portu nie ma.
Świat przecież taki pokój nieraz szczęściem mniema.
Nie wyszydza on obcych zdań, uczuć lub marzeń,
Lecz inną wiarę uczuć z własnych powziął zdarzeń,
Pod barwą on innego żeglował okrętu,
Inną prawdę wyczerpnął z ludzkich działań mętu.

Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy,
Taki został, skamieniał; sama śmierć go skruszy.
Rycerz to jest, co ziemskie już zamknąwszy boje,
Bronzowym chwały płaszczem okrył postać swoją.
Stanął niemym posągiem w pośród świata wrzawy;
Niczem on już przybranej nie zmieni postawy.
Jeden tylko i jeden zawsze wyraz twarzy;
Jaką myśl dano czołu, taką stale marzy,
A gdzie raz zwróconemi wpatrzył się oczyma,
Tam je ciągle, niezmiennie, wiecznie wryte trzyma *)

III

Błąkał się więc człowiek ten po ruinach, sam za godło ruiny służyć mogący. Myśl jego wprzód niestała i rozerwana, osiadać niejako, uspokajać i wiązać się w ciąglejsze zaczęła ogniwa. Jedyna towarzyszka samotności jego stała się też jedyną treścią jego bytu, jedynym pokarmem znudzonej duszy. Z nią dni i tęskne przebywając wieczory, zapuszczał się w długie dumania, na swą przeszłość zwykle zwracane. Lecz gdy czas coraz odleglejszy zacierał codzień obrazy przeszłości, gdy żywe ich farby codzień bladły, gdy zgon bohatera jego na pustej skale dowiódł mu znikomość chwały i potęgi człowieczej, a zatem nawiódł myśl na porównanie i oszacowanie własnych niegdyś usiłowań i krwawych wawrzynów, natenczas i ta przeszłość jego świetna tracić dlań zaczęła swą wartość; i czyny swoje, rozkosze, dostatki, honory, rozpatrując pojedyńczo, przerzucał jak jubiler szacowane niegdyś drogo, a dziś za fałszywe przezeń uznane dyamenta.

—„Mój pułkowniku! czy pamiętasz o tem **)“—odzywał się niekiedy stary wiarus, gdy się pułkownik doń, kopiącego w ogrodzie zbliżył i zatrzymał. Wprzód słuchał on z niejakiem upodobaniem wspomnień żołnierza; lecz teraz na takie wspomnienia, uśmiechał się smutnie, kiwnął głową i odszedł; z rękami na rydle, opartemi, długo za nim patrząc, kiwnął także głową i dalej kopał swą grzędę, żołnierz od wodza swego szczęśliwszy!

Wkrótce więc wyczerpała się przeszłość; weszła teraźniejszość w kolej myśli i zadumań, lecz na krótko i bez powrotu, bo wszystko, jak widzieliśmy, obcem w niej, obojętnem, a nawet nienawistnem dlań było. Porzucając więc tę próżnię, myśl jego pomknęła nakoniec w krainę ideałów, i z ruin Jagiellońskich wzniosła się w przestwór nieograniczony swego panowania.

O, gdyby natenczas trafiła na drogę, którą myśl świętego

---

*) Morawski.

**) Piosnka żołnierza.

ich przed wiekami dziedzica trafiała do Boga! Po niej się unosząc za gwiazdą objawienia, zbierałaby kroplę po kropli owej czystej rosy niebieskiej, którą się karmi dusza chrześcijańska; i, jak pszczoła krople miodowe do ula, znosząc je do serca, uzbierała by treść na nowy zaród słowa życia; a słowo to stałoby się ciałem, to jest, dałoby nową siłę ciału jego, zapełniłoby serce, i mieszkało na wieki.

Lecz na tę błogosławioną drogę nie wpadł pułkownik, nie pomyślał nawet o niej, lubo codzienne dzwony kościoła, o kilkaset kroków od domu jego tuż przy gościńcu położonego, wzywać go na nią zdawały się... A tak bez kierunku i przewodnictwa błąkał się napotykając wszędzie tajemnice, jakby zawady, które usunąć, odgadnąć lub rozwiązać nie znajdywał środka.

O, i któż je odgadnąć się nie kusił?... a któż je odgadł?...

Wieczorem, gdy niebo miryadami gwiazd osypane, widokiem tym, nad wszelki wyraz wspaniałym, zalewa duszę nieporównanem upojeniem, któż śmiałym a uniesionym duchem, minąwszy ten firmament i światy, nie stanął aż przed Bogiem i nie zapytał go:

— Ktożeś ty?—

Odpowiedź pewna i gotowa:

— Jam twój i wszystkich tych cudów Twórca!—

Odpowiedź ta wystarcza prawdziwemu chrześcijaninowi.

Wystarcza prawdziwemu mędrcowi.

Nie wystarcza wątpiącemu mędrkowi, bo zarozumiały upór jego samej odpowiedzi zaprzeczy.

Nie wystarcza obumarłemu wyczerpańcowi, bo nie obudzi w sercu jego miłości ku Twórcy, która się tak ściśle ze czcią i podziwienim cudów Jego jednoczy.

I pułkownik całe nocy częstokroć takim dumaniom poświęcał. Widziałbyś go natenczas opartego, jak posąg, o basztę lub siedzącego nieruchomie u jej podnóża; a przenikając weń, widziałbyś żądzę wiadomości, zajmującą myśli jego i ścigającą niedocieczone tajemnice stworzenia, a po długiem błąkaniu się zwracającą nazad bez rezultatu.

Ktom jest? po co tu na tej ziemi? Cóż to życie? co śmierć? co po niej? i tym podobne.

Natenczas do zadumanego podchodziła wiara, jakoby dawna niańka jego dzieciństwa, pragnąca ulżyć po chorobie swojego piastuna; ale zimno i obojętnie zbywał ją pułkownik, jak zbyłby i samą niańkę, gdyby przyszła doń z radą zmówienia siedmiu pacierzy na odegnanie czarów.

IV.

Nachodziła uroczystość Zielonych świątek, jedna z najpiękniej obchodzonych w kościele.

W wigilię wieczorem staruszek pleban miejscowy przyszedł do pułkownika. Przyjmował on go zwykle uprzejmiej, niż kogokolwiek, bo poczciwość i prostota malująca się wyraziście na jego twarzy, a dowodzona codziennem jego życiem, nie mogły nie zjednać mu szacunku pułkownika. Obok uprzejmości jednak nie oszczędzał mu szyderczych żartów, do jakich nawykł w wojsku i w towarzystwach patrzących natenczas na duchowieństwo okiem, jeżeli nie wzgardy to przynajmniej obojętnej poniewierki, i przypisującej mu bez wyjątku prawie wady i zdrożności, jakiemi je wiek *XVIII* spotwarzył.

Niepobudzany jednak nigdy sprzeczką lub gniewem poczciwego kapłana, (bo ten pospolicie skromnem milczeniem zbywał jego pociski) pułkownik podawał mu rękę, przepraszał go nawet; a staruszek bez wymówek, pokorą i łagodnością zadawał fałsz przekonaniu i słowom pułkownika, miłem zaś towarzystwem rozchmurzał niekiedy ponure jego godziny.

Kilkakrotne takie próby oduczyły nakoniec pułkownika od owych opryskliwych docinków, tak, że pleban nie lękał się kollatora, kollator nie nudził się z plebanem; a że jedynie z nim się tylko nie nudził, więc i sam częstym w plebanii bywał gościem, i pleban najczęściej odprowadzał go do dworu.

Wpływ ten jednak księdza na niedowiarka nie zaszedł dalej, jak do zwyczajnego sąsiedzkiego pożycia. Czy to, że przedsięwzięcie apostolstwa na takiego twardego człowieka osądził starzec trudniejszem nad własne siły, czy to mniemając sprawiedliwie, że umarły moralnie, jak umarły fizycznie, na głos tylko Boga zmartwychwstać może, Bogu też i polecił jego sumienie, a sobie tylko przykłady; czy to nakoniec, że oba nie pomyśleli o szczerszem zgłębieniu się nawzajem.

— Przyszedłem — rzekł pleban — prosić pana, abyś dozwolił ubrać ołtarz przy baszcie zamkowej na jutrzejszą solenizacyę. Przyjdziemy tu z procesyą i weźwiemy intercessyi do Boga Świętego Kazimierza, którego te mury były niegdyś mieszkaniem.

— Mogłeś to zrobić i bez mojego dozwolenia, księże proboszczu! Owszem znajduję twój projekt arcypięknym. Dobrze! będziemy się modlili do Ś-go Kazimierza. Świadczą dzieje, że on tu mieszkał, że umarł, i został świętym dla tego, że się nie chciał ożenić. A więc i ja, księże plebanie, dziedzic jego zamku, myślę go naśladować. Nie będę się żenił, mam jego imię, dane mi podobno na jego pamiątkę, i zostanę świętym.

Pleban podług zwyczaju milczał.

— Mam jeszcze prosić pana — odezwał się potem — o

kilka kobierców dla okrycia muru za ołtarzem.

— Z ochotą każę ci odnieść wszystkie, jakie mam.

— A więc czekam pana, da Bóg jutro, na nabożeństwo.

— A ja cię na obiad po nabożeństwie.

Odszedł staruszek, ale wrócił z pół dziedzińca.

— No cóż jeszcze? księże!

— Jeszcze jedna propozycya, panie pułkowniku! Dawny zwyczaj, a nawet *jus patrocinii*, to jest, prawo i attrybucya kollatora jest, że on ma pierwszeństwo do prowadzenia celebrującego w procesyach. Może więc jutro zechcesz pan tej, po pobożnych przodkach pańskich odziedziczonej prerogatywy użyć? Nie dla mnie ja pragnę tego zaszczytu, bo zresztą piastując na ręku Boga żywego, jakież ziemskie honory obchodzić nas mogą? Ale ludek pański i okoliczny, widząc pana swego oddającego tę adoracyę kościołowi, utwierdzi się w wierze i nabożeństwie, i pana swego więcej czcić i kochać będzie. —

Pułkownik uśmiechał się, odjął od ust fajkę i patrzał w oczy księdzu.

— Nieraz — ozwał się starzec żywiej jak zwykle — nieraz, pułkowniku, na rozkaz człowieka szedłeś bez wahania na kule i miecze...

— Tak — przerwał pułkownik — ale tym człowiekiem był bohater! słowem, był Napoleon!

—Tak. . . a tu wzywającym cię do posługi jest. . . Bóg! —

Odszedł nie czekając odpowiedzi pleban, a pułkownik zamyślony, paląc niedbale fajkę, wszedł do ruin. Chodził długo samotny, podług zwyczaju po swoim ogrodzie pułkownik, wszedł nakoniec przez szczerbę w murze i usiadł przy baszcie na starym odłamie rozwalin.

Słońce już zapadło, ale najpiękniejszy wieczór młodego lata rozkoszą upajał zmysły. Ze wzgórza, na którym siedział pułkownik, widział on wzdłuż ulicę całej swej wioski obrzeżającej gościniec. Każda chatka, każde wrota gęsto osadzone brzózkami, każde okienko uwieńczone także splotką z zielonych gałązek, i każda ściana nawet niemi natknięta, miłą, świąteczną, weselną, że tak powiem, suknią odziały wioskę, balsamiczna woń świeżych liści napełniała powietrze, a cała okolica w uroczystej ciszy zdawała się oczekiwać jutrzejszego święta.

W życiu by najbardziej wyczerpanem, gdy serce zwiędłe jest, lecz nie zarażone występkiem, zdarzy się zawsze chwila, w której się ożywi czułość, i przemknie po czarnych myślach, jak perełka po całunie. Chwile takie najczęściej nadarza widok pięknej natury. Ona zbytkiem swojego życia, ocuca obumarłe życie, i jakby kroplami ożywczego napoju budzi człeka z letargu i łagodne ułatwia mu tchnienie.

Takiej właśnie chwili, oddawna mu nieznanej, doznał pułkownik dumający pod basztą. Sam dziwił się upodobaniu, z jakiem

przeglądał wieś i okolice dotąd mu obojętne, przychylności niejakiejś, skłaniającej ku nim serce jego, i wrażeniom przyjemnym, któremi się ono poiło. Myśli jego oderwały się raz pierwszy od ponurych, dociekań, i pierwszy raz mimowolnie dotknąwszy się natury, usnęły spokojnie na jej wdziękach. Wkrótce potrzeba spoczynku dała się uczuć i ciału — pułkownik poszedł do domu.

V.

Nazajutrz dzień piękny zajaśniał; wszystkie dzwony kościoła razem bijące oznajmiły święto. Raźniej niż kiedykolwiek powstał pułkownik z pościeli, czuł się jakoś rzeźwiejszym po śnie spokojnym, bez przerw nagłych i marzeń natrętnych.

— Zapraszał mnie wczoraj poczciwy plebanisko na nabożeństwo . . — pomyślał sobie — i jeszcze, abym go prowadził w procesyi . . Ha! cóż mi się zresztą i stanie?. . . Mogę mu tę przyjemność uczynić . . Nad swój zwyczaj jednak uniósł się wczoraj staruszek, Boga mi nad Napoleonem nagle okazawszy. . . Już też on i stanął przed Bogiem. . . —

Po tych krótkich uwagach pułkownik ubrał się w swój świetny mundur, we wszystkie nagrody i znaki swojego męztwa, i poszedł do kościoła.

Przed kościołem uwijał się pomiędzy ludem jego wiarus w swoim połatanym, ale także na przepych oczyszczonym mundurze; i ujrzawszy swego pułkownika także jak na paradę wystrojonego, szykował chłopaków w szeregi, i sam stanął do frontu. Uśmiechnął się pułkownik, oddał mu wzajemną wojskową salutacyę, i rozmawiał uprzejmie z włościanami, nim się nabożeństwo rozpoczęło.

Gdy się procesya otwierała, pułkownik postąpił do ołtarza, i zstępującego zeń celebrującego plebana wziął pod rękę, spoziera-jąc na twarz czcigodnego kapłana, niosącego *Sanctissimum* i błogosławiącego niem ludowi.

Twarz ta takiem uniesieniem pałała i taką razem wielmożnością zdobiła się, tak on czuł głęboko swą świętość i godność, piastując na swem ręku Zbawiciela świata, że pułkownik mimowolnie uderzony tem obliczem uchylił własne ku ziemi, i z dostojną skromnością prowadził go do ruin Ś. Kazimierza.

Odbyło się nabożeństwo, i przeszedł dzień jeden, mniej nudny dla pułkownika. Z zachodem słońca zabrzmiała skrzypka przed karczmą. Wesołe odgłosy i okrzyki dochodziły pułkownika siedzącego na swojem zwykłem na ruinach stanowisku, lub przechodzącego się po wałach.

Wśród tych hałasów wyróżniał się donośnie głos jego starego wiarusa, podochoconego zapewne miodkiem. W tańcach on nawet, nie zapominając swego wojennego animuszu, komenderował po wojskowemu, gdzie wesołość jedynie komendę mieć była po-

winna; z tą różnicą, że w takt skokom i mazurom śpiewał słowa komenderówki:

„Marsz! chłopcy! marsz!
„Plutonami marsz!
„Tara ta ta ta ta pal! . . . . .

Pod północ ochota wolnieć zaczęła i komenda wiarusa umilkła; coraz w jedną i drugą stronę po gościńcu skrzypiały kolasy; gwary coraz w szersze rozprzestrzeniały się koła i milkły w oddaleniu. . . aż nakoniec światełka wszędzie pogasły, nastąpiła cisza zupełna i głęboka; a pułkownik znowu samotny zaczął dumać po swojemu.

VI.

Istniejeż ten świat niewidomy, świat duchów, świat nieokreślony, mglisty, świat czarownych złudzeń lub strasznych objawień, którego domyślność zdaje się być wrodzoną człowiekowi? do którego albo nienasycona żądza wiadomości, albo nieukojona rozpacz, albo pogarda rzeczywistego świata, wdarć się usiłują? którego idea nie łączy się bynajmniej ani przeczy religijnym ideom, gdyż go jak wszystko, pod władzę Boską poddaje; lecz ten świat, pośredni jakiś między Bogiem i ludźmi, z którego niepojęte istoty wymykać niekiedy się, zdają jakby karty z księgi przeznaczeń naszych i nam na nie ukradkiem spójrzeć dozwalają? . . z którego roje snów wieszczych w nocnych ciszach osiada na zawartych powiekach ludzkich i pociesza nieszczęśliwych lub udręcza zbrodniarzy? z którym dusza nasza w harmonii obcuje niewidomie, z którego astrolog ciągnął swe często sprawdzane horoskopy, — wróżki—niechybne kabały; którego cudów pełne są dzieje;. . . z którego miał posłańca Brutus przed bitwą pod Filippinami? z którego rodem miał być czerwony człowiek Napoleona?. . . Świat nakoniec, w który zupełna wiara, życie w obłąkanie wprowadzić może, w który zupełna niewiara pozbawia życie najpiękniejszego uroku?. . .

W taki świat zapuścił myśli swoje pułkownik, w którego głowie wrażenia dzisiejsze religijne, snując się i mieszając, wpadły na jakąś mistyczną ścieżkę, wijącą się zawsze rozmaitym kierunkiem po cienistych i błędnych manowcach, obok wielkiego i prosto do prawdy prowadzącego, wiary naszej szlaku.

W Niemczech zasłyszał on kiedyś o jakiejś sekcie i pojedyńczych jej członkach, posiadających jakoby tajemnicę wywoływania duchów i zaklęcia ich do odpowiedzi. . . — Czemużem, pomyślał sobie, nie inicyował się do tych tajemnic? Czemużem się nie nauczył i nie nabył tej potęgi, zmuszającej, czy zniewalającej duchy niewidome do objawienia się ludziom? Wywołałbym je w tych ruinach. . . Miejsce i czas po temu . . . Czyliżbym się du-

cha przeląkł? . . (uśmiechnął się na samą myśl bojaźni).niechby mi odkrył tajnie które ścigam... niechby mi uchylił zasłonę, za którą wdarć się usiłuję. . . niechby mię ożywił i przywiązał do życia . . . niechby przerwał tę nudę nieszczęsną, która mię powolnie niszczy i truje. . . tę niepewność każdego kroku, każdego dnia, każdej nocy; niechby rozdmuchał ten popiół suchy, zimny i trupi, osypujące me serce i mózg mój niepojętny. . .

— Wzywam cię duchu! — zawołał nakoniec w uniesieniu powstając pułkownik i podnosząc wzrok w niebiosa. — Na szczęście swoje zaklina cię śmiertelny! . . Na nieszczęście choćby!. . . Wzywam cię . . Objaw się, jeżeli istniejesz! objaw mi przyszłość moją! zmień teraźniejszość!. . . zapal nanowo wygasły płomień życia w mem łonie! Niech żyję!. . . . Ach! niech umieram wnet! bo żyć tak dłużej niepodobna!. . .

Przez chwilę stał jeszcze pułkownik, jakby oczekując skutku swych zaklęć; w końcu opamiętał się. . . usiadł, zakrył sobie oczy rękami i westchnął.

— Szaleństwo! — rzekł nakoniec — urojenie próżne! Tyle mogą moje wezwania, ile i czarnoksięzkie słowa szarlatanów, kłamiących o swojej nad duchami potędze . . —

Znowu się zamyślił głęboko, i znowu obrzędy rannego nabożeństwa, i oblicze kapłana, i jaśniejące w jego ręku *Sanctissimum*, zasnuły mu się po wyobraźni . — Tyle cudów opisują nam księgi religii . . tyle objawień, które Bóg czynił Świętym... We wszystko to świat wierzy. . . I Święci tylekroć objawiali się ludziom i przyjmowali ich w opiekę. . . . —

Nagle, jakby nową myślą tknięty, upada na kolana.

— Boże! — zawołał — jeżeli Cię głos człowieka dochodzi!. . . I dalej w myślach czy modłach długo trwał zanurzony . . Powstał znowu nakoniec, i już miał niecierpliwe wyrzec bluźnierstwo .. gdy z drugiego końca wału i rozwalin spostrzegł zbliżającą się ku sobie postać jakąś.

Obłoki gęsto przesuwające się po niebie ćmiły światłość nocną, tak, że nie mógł pułkownik rozpoznać dokładnie kształtów tej postaci, i niespokojność jakaś przemknęła mu mimowolnym dreszczem po ciele . .

Lecz za zbliżeniem się osoby uznał on, że to być musi jakiś ciekawy podróżny, jakich już wielu oglądających te ruiny widywał.

— Dla czegoż w nocy? Ha — pomyślał sobie — bo zapewne w nocy w dalszą musi puścić się drogę. — Chciał zatem, nie przeszkadzając ciekawemu zawrócić się do domu, gdy ten, jakby zgadując myśl jego, podszedł śpiesznie i rzekł:

— Witam dziedzica pięknych ruin. —

— Witam pana wzajemnie — odpowiedział pułkownik. — A skąd pan wiesz żem dziedzic tego miejsca? —

— Wszakże tak jest! —

— Tak. A pan zapewne jesteś podróżnym pragnącym poznać te ruiny.—

— O, znam je oddawna, i wszystkie inne po Litwie rozrzucone.—

— Ja nie miałem zręczności widzieć żadnych prócz tych moich własnych. Czy są inne równie obszerne i wspaniałe? i do którychby tak ważna pamiątka, jak tu, mieszkania św. Kazimierza, przywiązaną była?

— Obszerniejszych i wspanialszych jest kilka, z równie piękną pamiątką żadnych. W Trokach naprzykład są ruiny zamków stołecznych, więc ściśle z dawnemi dziejami kraju tego połączonych. W blizkim stąd Krewie są większe i lepiej zachowane, lecz pamiątka ich jest niemiłą, bo śmierci okrutnej walecznego bohatera Litwy, księcia Kiejstuta. Podanie, a ja wiem skądinąd, że pewne, oznacza pod jedną basztą trwającą dotąd, okno więzienia Kiejstutowego.—

— Prawdziwie chciałbym odwiedzić Krewo, a jeszcze z tak interesującą wiadomością. Lecz skądżebyś pan mógł mieć tę pewność, gdzie tylko zda mi się, domysły mieć można? —

— Skoro prawdziwie żądasz, być tam i wiedzieć wszystko możesz.—

—Zapewne że chciałbym, ale nie rozumiem. —

Nieznajomy stanął obok pułkownika, przed oczami jego przemknął ręką, i ślad jej błyskawicą się opisał w powietrzu. . . pułkownik nie wiedział, co się z nim stało, ale w mgnieniu oka był w Krewie.

ŚMIERC KIEJSTUTA.

VII.

Przerażony pułkownik stał oniemiały wśród ruin krewskiego zamku.

— Opamiętaj się—rzekł nieznajomy, kładąc mu rękę na ramieniu.

I w rzeczy samej to dotknięcie, jakby magicznym jakimś wpływem, wnet go uspokoiło, uporządkowało wyobrażenia, i myślom jego wolny bieg dało. Zwrócił on wzrok zdziwiony na tę cudotwórczą postać. Nic w niej odmiennego, jak gdy ją na własnych ruinach spostrzegł, nie widział. Oczy jej tylko pałały światłem nadzwyczajnem, od którego tło jasne i czyste obejmo-

wać zdawało się krąg, jaki około głów świętych na obrazach widzimy.

— Któżeś ty?—zawołał pułkownik. — Cóż się to ze mną dzieje?

— Odłóż pytania. Patrz na to, coś chciał widzieć. Oto Krewo. A w tem, co się z tobą dzieje, miej dowód mojej, a raczej Boskiej potęgi.—

Pułkownik rzucił okiem na ruiny; lecz w takim stanie rzeczy nie szło mu o obejrzenie ich ciekawe, które w innym razie zająćby go mogło. Przy zachodniej stronie muru ujrzał on wejście do podziemnego sklepu, żelaznemi drzwiami zamknięte i grubym drągiem zawalone.

Przewodnik, zgadując myśl jego—To—rzekł—więzienie Kiejstuta. Zbliżmy się.—

Gdy z jednej strony podchodzili do lochu, z drugiej przełazili przez mur trzej ludzie, i po przystawionej z wewnątrz przez czwartego, a ułatwiającego wstęp tamtym, drabinie, spuścili się na dół.

— Oto zabójcy księcia wkradają się do zamku.

— Jak to?—zapytał pułkownik—czyliż cofnęliśmy się o kilka wieków?—

— Nie. Widzisz tylko karę złoczyńców. Co noc o tejże samej godzinie, w której oni zbrodnię tu spełnili, duchy ich przybywają do Krewa, przybierają własne ludzkie postacie, niewidome nikomu, bo kara ich dla nich samych tylko. Krewo przybiera dla nich postać dawną; i powtarzają czyn, za który wieczne pochłonęło ich potępienie. Przypatrz się im. . .

Tymczasem tamci cisnęli się koło muru, oglądali się niespokojnie na wszystkie strony. Na każdy szmer, na każdy powiew wiatru, trzej zatrzymywali się trwożliwie, czaili się do muru; czwarty, przodkujący im stawał tylko na miejscu.

— Zajdzmy im drogę śmiało. Jesteśmy dla nich niewidomi.—

Postępujący na czele był człek wysoki, długim czarnym płaszczem obwinięty, z pod którego, gdy wiatr rozwiewał szerokie fałdy, dawała się widzieć czarna zbroja, a na piersiach krzyż z błyszczącego metalu na pancerzu wykuty.

— To krzyżak Kniprode, brat wielkiego mistrza—tłumaczył pułkownikowi przewodnik—wysłany tu umyślnie dla dokonania tej zbrodni i zamordowanie bohatera stającego najdzielniej przeciw ich nieprawym na Litwę zamiarom. Wybrano go, jako znanego z twardszego od żelaznej zbroi jego serca, jako odważnego przytem i zręcznego w prowadzeniu wszelkich knowań, a nienawidzącego litwinów, którzy mu nieraz dali się we znaki. Posiada więc on wszystkie zdolności, któreby mu łatwem uczynić powinny wykonanie tej zbrodni, a jednakże patrz w jego serce—rzekł, kładąc znowu rękę na ramieniu pułkownika.

I widział jak na dłoni serce krzyżaka pułkownik, i z myś-

lami jego tak się zjednoczył, że najskrytsze czytał, rachował, przenikał...

Serce krzyżaka biło gwałtownie i drżało...

—Ręczę ci, że ani razu mu tak nie drgnęło, gdy na tysiąc śmierci biegł zapamiętały w bitwach; a tu tylko bezbronnego starca ma zamordować. Ale sumienie! wiara! wiara! którą im bardziej on zna i czuje, tem go więcej trwoży...

— Piąte nie zabijaj!—pomyślał krzyżak i stanął—To poganin!... nieprzyjaciel wiary naszej i naszego zakonu!—Piąte nie zabijaj!—powtarzało sumienie.

—Za krzyżakiem—mówił dalej przewodnik—postępuje Prora komendant tego zamku, któremu krzyżak przywiózł złota i fałszywy rozkaz Jagiełły pozbycia się Kiejstuta, a potem i Witolda, lecz go strzegła i uwolniła nakoniec cnotliwa żona jego. Ten drugi, to brat Prory Biłgen, duszą i ciałem oddany krzyżakom i Maryi żonie powieszonego przez Kiejstuta Wojdyłły. Mściwa ta kobieta za pośrednictwem właśnie Biłgena podała rękę krzyżakom pragnącym śmierci Kiejstuta, i wspólnie ułożyli morderstwo. Utrzymywała ona Jagiełłę w nienawiści ku stryjowi, i mimo wiedzy jego dała fałszywy rozkaz Prorze wydania nieszczęśliwego starca w ręce Kniprody.

— Dwaj jeszcze idący z nimi, ten Kuczuk a ten Zybentej. Pierwszy, nizki posługacz dworu Jagiełły, przybył z Biłgenem, a drugi krewianin, zwyczajny oprawca, pełni ślepo Prory rozkazy.—

Krzyżak stał jeszcze oparty na długim mieczu nade drzwiami lochu.

— Ja brat wielkiego mistrza!... ja rycerz pasowany!... i ja zabójca!... Piąte nie zabijaj!—odzywały się bez ustanku wiara i sumienie. Opuścił głowę, i raptem podniósł ją, bo krzyż własny na piersiach raził mu oczy!...

Prora podawał mu klucz od lochu.

— Sam odemknij—rzekł Kniprode—i sam spraw, co ci rozkazano...—

— Kazano mi oddać tobie w ręce Kiejstuta; ale sama sprawa... do ciebie należy.—

— Sprawa do nas wszystkich należy—odezwał się Biłgen.—Ty, Kniprode, masz rozkaz od twojego brata i od starszych twego zakonu; ty masz rozkaz Jagiełły, i złoto krzyżackie; ja moje rozkazy, a oni mają rozkaz od nas. Odmykaj więc...—

— Rozkaz od Jagiełły... rozkaz od Jagiełły...—mruczał Prora—któż to wie?... Ale tam jest z Kiejstutem sługa jego Ostafi Omulicz—dodał trwożliwie. Ja go znam. To silny i odważny chłop. On będzie bronił swojego pana.—

— A czem?—odpowiedział znowu Biłgen.—Broni żadnej obaj nie mają. Ale i jego żywić nie można, bo nas wyda; a trzeba, aby myślano, że książę sam się zadusił?... Wara koło niego z toporem lub mieczem.—

— A jakże?—zapytał Zybentej.

Bilgen chwycił się rękami za szyję, tak straszliwie się przekrzywił, naśladując skon duszonego, że krzyżak się wzdrygnął, a oprawca nawet odskoczył.—Odmykaj—rzekł potem do Prory, który gdy jeszcze się ociągał, wyrwał mu klucz i założył w zamek... lecz mu krzyżak mimowolnie zatrzymał rękę, bo niewidomy przewodnik pułkownika szepnął mu nad uchem wyrazy sumienia: Piąte nie zabijaj!

— Kto to jest?—zapytał on z przerażeniem, kto tu szepce mi nad uchem?...—

— E, nikt—rzekł Bilgen.—Tchórz widzę jesteś, choć rycerz, drżysz, jak osina.—

— Milcz! — rzekł z gniewem krzyżak—milcz! podły! Nie tobie sądzić mnie! Daj Kiejstutowi miecz w rękę i zbroję na piersi, a zobaczysz, czy rycerz Kniprode drżeć przed nim będzie. Ale . . .—

— Tak, rozumiem, rozumiem to ale... ale zakon twój tego żąda i wymaga, bo kiedy Kiejstut miecz w rękę dostanie, to i dziesięciu Kniprodów nie zasłoni was od jego ciosów. Kto wie, czy się osiedzicie wtenczas i w Maryenburgu?...—

—Więc odmykaj!...—zawołał z okropnem przekleństwem krzyżak—odmykaj!—A niewidomy przewodnik jeszcze raz wymówił nad nim wyraz mający go ścigać przez całą wieczność: Piąte nie zabijaj!

Otworzono drzwi ciężkie, i weszli zabójcy do więzienia, a z nimi niewidomi świadkowie zbrodni.

Kiejstut zasypiał na kamiennej ławie, owinięty ferezyą na srebrny sznur pod szyją zawiązaną. Ostafi Omulicz czuwał, siedząc u drzwi na osobnym kamieniu; a ciemna lampa żelazna, na sklepieniu zawieszona, słabem i wątpliwem płomieniem czarne i wilgotne oświecała mury.

— Po co tu?—zawołał powstając Omulicz.—Książę śpi.—

Wnet i książę się obudził, powstał i toż samo powtórzył pytanie; lecz spostrzegłszy krzyżaka—Ha! krzyżak! więc po życie moje przychodzicie!..—zawołał.

Tymczasem żaden postąpić ku niemu nie śmiał, a Omulicz zasłonił go sobą.

— Precz stąd!— rzekł ponuro krzyżak, odtrącając Omulicza,—mamy pomówić z księciem.

Ale ten wzajemnie tak silnie odepchnął krzyżaka, że aż się on posłonił. Zawzięty mnich ugodził Omulicza czekanem w głowę . . . skruszył czerep . . . a krew z mózgiem prysnęła gęsto na twarz, oczy i krzyż zabójcy . . . Upadł wierny Ostafi u nóg Kiejstuta.

— Niewinnego zabiłeś!—odezwał się książę, nie zmieniając spokojnego oblicza.—Czyż twój Bóg, twoja wiara, pozwala ci zbrodni?—

Słowa te i krew ciekąca po twarzy i po krzyżu zapamiętałą wściekłością zażegły go. Krwią kipiącą oczy mu zabiegły,

zgrzytnął zębami i rzucił się na starca, którego ciężarem własnym i zbroi swej przywalił . .

Synu mój Witoldzie! . . —zawołał Kiejstut, i to były ostatnie słowa jego. . .

Pułkownik rzucił się do krzyżaka.

Stój! — rzekł, wstrzymując go, towarzysz — zapominasz się. . . Potępieńcy pasują się z cieniem. . ich to męczarnia, nie Kiejstuta.—

Tymczasem Bilgen oderwał od ferezyi księcia sznur srebrny i na szyję mu zarzucił, oprawcy dopomogli, i zawrzało chrapanie śmiertelne. Krzyżak przerażony puścił księcia i odskoczył, i osłupiały wzrok wytrzeszczył na miotającego się księcia i duszących go oprawców . .

Lampa zagasła, chrapanie umilkło, i zabójcy hurmem rzucil się do drzwi, każdy z nich w lochu zostać lękał się. Krzyżak ocierał konwulsyjnie drgającą ręką krew z krzyża, i zetrć jej nie mógł. Obłąkany i drżący stał, przysłuchując się. . . — Słyszysz?—rzekł cicho do Bilgena—słyszysz? jeszcze chrapie! . . .—

— To szatan chrapie ci nad uchem — odpowiedział Bilgen — szatan, który i mnie opętał, i ot, jak kruk ścierwo, rozjada już moje serce i wnętrzności . . Do piekła! do piekła! rycerzu Kniprode! do piekła rycerz chrześcijański z poganami! . . . Cha! cha! cha! cha!

— Piąte nie zabijaj! — wymówił znowu nieznajomy nad uchem krzyżaka. .

— Kto tu? — krzyknął Kniprode — kto tu mi dziesięcioro powtarza. . . —

Nieznajomy przemknął ręką przed oczami pułkownika, ślad jej znowu się błyskawicą opisał w powietrzu, i obaj w mgnieniu oka byli już na wale dziedzicznych jego ruin pod basztą.

VIII.

— Ktożeś ty? — zapytał pułkownik. — Jestże to sen, com widział, i co się ze mną dzieje? Jakież to cuda. —

— Przypomnij sobie — rzekł stojący przed nim cudotwórca—ostatnie twoje myśli przed mem ukazaniem się na ruinach

— W myślach tych — odpowiedział pułkownik — błagałem Boga. . . —

— Aby ci zesłał ducha, któryby cię oświecił, twe wątpliwości rozproszył, wskazał ci drogę życia, słowem, wskrzesił cię i odrodził na nowo . Tyś syn marnotrawny, tyś zmarnował bogactwa obficie tobie i każdemu od Boga w serce wlane na zapas

szczęścia całego żywota, a na okupienie wiecznego, opłacając zań Bogu z tegoż samego skarbu cnotą i codziennym dobrym uczynkiem, jak ewangelicznym złotym talentem.

— Bóg głębokiego twego doń westchnienia wysłuchał... Otom jest twój duch opiekuńczy, twój anioł stróż, na twe wezwanie do ciebie niewidomie zesłany. Ja czuwałem nad twą kolebką, jam cię w niebezpieczeństwach zasłaniał, jam konającego pod dach ojczysty zaprowadził, i ja nakoniec stoję przed tobą, przybrawszy z woli Boga postać ludzką, a nawet pojęcia i wyobrażenia twoje i twoich przyswoiłem... Pytaj więc. Gotowym ci odpowiadać na to wszystko, cokolwiek ludziom wiedzieć i badać godzi się. Rozmyślaj, co najważniejszego wiedzieć ci potrzeba. Od tej chwili zależy twoja przyszłość, twoja spokojność, słowem, twe szczęście lub zguba.

— Po cóż jeszcze ta niepewność? —

Duch położył rękę na piersi pułkownika, a wnet serce mu wolniej bić zaczęło, trwoga odbiegła, a myśli zwyczajny, ziemski, że tak powiem, wzięły obrót. Stał jednak zadumany i milczący, bo sam siebie pojąć nie mógł, czego żądać? czego się pytać?...

— Wróciłem cię — rzekł duch — do stanu twego dawnego. Objawienie się moje będzie ci pamiątką miłosierdzia Boskiego nad człowiekiem, którego błąd ogarnął, a jedna chwila ucieczki do Boga tak jak i każdego zbawić może, bo każdy jest w stanie wywołać w niej ducha Bożego oświeciciela, który lubo się mu widomie nie okaże, ale przemówi do rozumu głosem sumienia, do serca słowami tkliwego i dobrotliwego ojca, przebaczającego dziecku swemu niewdzięczność i swawolę

— Widzę myśl twoją. Pracuje ona nad wyborem pytań, jakie masz uczynić. Ciekawość, niepewność, dawna żądza przeniknienia tajemnic życia, ustalenia własnego na pewnym celu i drodze, miotają tobą. Wszelkie dociekania i wiadomości ludzkie, nierozwiązane ostatnim rezultatem, cisną się do twej głowy i pragną korzystać ze sposobności.. Niebaczne! odkryłyby może, że we wszystkich ich poszukiwaniach i odkryciach niema i nigdy nie było prawdy. Wszystko, co was ludzi otacza, na co okiem rzucisz, jest tajemnicą, mamże ci wszystko objawić i rozwiązywać? Tobie idzie o szczęście własne; do tego więc stosuj i wybieraj pytania. —

Pułkownik więc nieśmiało, zcicha i z zająknieniem, jakby się jeszcze lękał ducha, czy jego odpowiedzi, zapytał:

— Jak długo żyć ja będę jeszcze? — i patrzał niespokojnie w oblicze objawiciela.

Oblicze to łagodnym się uśmiechem okrasiło.

— Zawsze w myślach ludzkich — mówił duch — z tem pytaniem spotkać się można. Lecz pomyśl nad twem żądaniem. Wiem, że się nie lękasz śmierci, nieraz gardziłeś nią w bitwach. Lecz ta wcale inna. Tam chwała, tam zapał, tam zawsze jest nadzieja, że cię kula minie; a nadziei tej, na własnem łożu dopiero

z życiem człowiek zwykle się pozbywa. Ale daleko trudniej wam widzieć śmierć zbliżającą się powoli a niecofnionym krokiem, długo twarz w twarz jej się przypatrywać, licząc chwile nim cię uderzy... Więc gdybym ci powiedział, że rok tylko żyć będziesz?.. —

Jakto? tak krótko! — zawołał pułkownik.

— A widzisz, jakeś się przeraził. Nie lękaj się, kres twój nie tak blizki. Dość ci będzie życia na poprawienie twych błędów. Lecz rok ten udręczający, którybyś wiedział, ostatnim, powtórzyłby ci się i na końcu najdłuższego twego życia. A tak, sądząc nawet rozumem ludzkim o dziełach Boga, widzisz w tym ukryciu człowiekowi chwili jego skonu, mądrość i dobroć Boską dla niego. —

— Na cóż-bo i ta... — pomruknął pułkownik, ni to pytanie ni skargę; lecz jej nieskończył, i spuścił oczy, bo się wstydził pytania ..

— Na cóż-bo i ta śmierć? — chciałeś powiedzieć, i nie dokończyłeś, boś uznał niedorzeczność skargi. My istniejemy, wy istniejecie, światy i słońca istnieją; ale Ten, którego istność jest bez początku i końca, a który dał w czasie nam i wam początek, zachował sobie wiadomość wszechmocnego stań się! przez które wszystko się stało i wszystko się kończy... —

Pułkownik milczał.

— Darmo ukrywasz — mówił duch — myśli twoje. Widzę je, jakeś ty widział myśli krzyżaka. Powiedziałbyś teraz — A więc i wy, równie jak i my, nic nie wiecie. — Lecz ja nie jestem tu abym ci objawiał tajemnice naszej istności, raczej, abym cię o twej własnej nauczył, która że się ze śmiercią nie kończy, widzenie krewskie przekonaćby cię było powinno. Gdybyś tego przekonania potrzebował nawet .. jestem tu, abym cię wprowadził na drogę prawdy, pokoju i szczęścia, którego szukając, westchnąłeś do nieba. —

— Ach! gdzież jest to szczęście? — odezwał się pułkownik.

— Słuchaj. Potrzebujesz źródła w twoim ogrodzie, bo nie masz czem skrapiać twych drzew i twoich kwiatów. Już od lat kilku namyślasz się, jakby zwrócić i sprowadzić doń odległy stąd strumień . . . Otóż bez tak wielkich kosztów i pracy odwróć ten głaz zarosły chwastem, który ci okazuję. Znajdziesz pod nim studnię z najczystszą wodą, dawno zapomnianą, z której czerpali przed wiekami mieszkańcy tego zamku, którą pił i ochładzał się niegdyś święty jego dziedzic. Będziesz więc miał w łonie własnej twojej ziemi to, czego szukasz na odległych polach. Zrób i z sobą samym to, co masz zrobić ze swoim ogrodem. Nie szukaj w urojeniach, w zaciekaniach odległych źródła szczęścia twojego, zejdź do ruin własnego serca, i odrzuć tam leżący ciężki głos bezbożności i niedowiarstwa, zarosły chwastem żądz niespokojnych, myśli wątpliwych i gnuśnego lenistwa, a wytryśnie ci źródło święte

wiary, które orzeźwi duszę twoją, ochłodzi serce i życiu twemu nowe, że tak powiem, da życie.

— To co mówisz—rzekł ośmielony pułkownik—jest nader proste i rozumowi pojętne; dla czegoż mi więc rozum mój nie natchnął tych myśli?—

—Rozum! oh! rozum ten wasz, z którego tak dumni i zarozumiali jesteście, czemże?... Posłuchaj jeszcze jednego zupełnie ziemskiego porównania. Zdarzało się ci widzieć kuglarza, który sztukami zręcznemi łudzi oczy pospólstwu. Daje ci on dukata w rękę, zwiera ją i każe mocno trzymać.—

— Czy masz dukata?—pyta cię.—

— O, mam!— odpowiada trzymający—mam!

— Trzymajże mocno!—

— Trzymam!—

— Pokaż.—Otwiera się dłoń—pusta, nie ma dukata.

— Masz ty rozum?—zapytaj każdego człowieka.

— O, mam! mam!—czuję go w mojej głowie.—

— Okaż-że go jak na dłoni, okaż go w czynie.—

— Rozwiera się głowa... i nie ma go; albo przynajmniej tak mało, że do codziennego użycia nie wystarcza. A cóż dopiero gdy nim oświecać drogę żywota, miarkować czyny, myśli, zamiary i postępki swoje usiłujecie!...—

— Na cóż więc on się przydał człowiekowi?—

— Na wszystko i we wszystkiem, gdy jest promieniem wielkiego ogniska mądrości Boskiej, objawionej nam wiarą, która wspierać go, kierować nim, i karcić go powinna. Bez niej znika rozum; jakby znikł promień słońca, gdybyś samo słońce zagasił.

Bóg nie napróżno wlał w duszę człowieka tę władzę rozmysłu, determinacyi, działania. Doradca to jest potężny, gdy cnotliwy i bogobojny... zdrajca to jest niebezpieczny, gdy odstępując od praw Boskich, ludziom własne narzucić pragnie, lub niepewne kroki człowieka za swem jedynie światłem uwodzić. Przodkowie wasi odlegli, nie dozwalali rozumowi przekraczać granic religii, mieli prostotę i pobożność godłem swojego żywota. Pierwsza zapewniała im pokój codzienny, swobodę umysłu chroniąc od żądz niesfornych i pragnień coraz nowych; druga w przygodach życia dawała im port ochrony i słodką pociechą napawała duszę.—

— Byliż oni szczęśliwi?—

— Byli szczęśliwi szczęściem mądrych i sprawiedliwych; szczęśliwi w duchu szczęściem niezależnem od wypadków świata, którymi prawica Boga podług swych wyroków rozrządza, a którego woli oni się z pokorą poddawali. Jedno szczęśliwe doń westchnienie zjednało ci wspomożenie i ratunek, ale głęboka i stała, szczera i gorąca wiara zjednać ci może świętą opiekę, i wybłagać dla serca twego kroplę nowego życia pięknego i świeżego, jak poranek odradzającej się na wiosnę natury, czystego i spokojnego, jak te nad nami niebiosa.

— Oto droga szczęścia naprożno dotąd przez ciebie szukana. Wejdź na nią od tej chwili duchem i modlitwą... z którą ja moją połączę...—

Pułkownik upadł na kolana..., i długo z czołem ku ziemi kornie schylonem, lub niekiedy ku niebu wznoszonem, modlił się.—

— Wstań!—rzekł po niejakim czasie duch —Przywróciłem był umysł twój do stanu zwyczajnego. Teraz zobacz się i poznaj, jakim cię modlitwa uczyniła.—

Powstał pułkownik. Oczy miał łzą zroszone; ale jakąż nieporównaną rozkosz, jakąż miłą rzeźwość, jakąż pogodę, tkliwość i lekkość uczuł on w sobie! Zdawało mu się, że tysiąc razem źródeł ulgi i pociechy wytrysnęło mu w sercu.—

— Ach! jakżem szczęśliwy!—zawołał on składając ręce na piersiach—jakżem szczęśliwy!... Wierzę! głęboko wierzę! z całej duszy wierzę! Dla czegoż cały naród ludzki podobną nie napawa się słodyczą?!—

— Oto pierwszy błogosławiony skutek tej wiary twojej: miłość powszechna dla ludzi, twych braci. Serce chrześcijańskie duchem Bożym napełnione, pała tą czystą miłością, która jest najmilszą ofiarą Bogu, najpierwszem Jego przykazaniem i najwyższym szczeblem mądrości i doskonałości ludzkiej.

— Ach! czyliż ten rodzaj ludzki powstanie kiedy ze swej nędzy? czyliż będzie szczęśliwym? Okaż mi jego przyszłość!

Lecz w tejże chwili znowu się spostrzegł pułkownik, że żądanie jego w upojeniu uczucia wyrzeczone, mogło być grzesznem wtajemniczaniem się w wyroki Opatrzności.— Nie! nie!—dodał z pośpiechem—niech się we wszystkiem dzieje wola Boga!—

— Nie lękaj się—odpowiedział duch—w żądaniu twem nie z pychy, ani z próżnej ciekawości, ale z serca uniesionego wynikłem, nie ma obrazy Boga.

— Chcesz wiedzieć przyszłość ludzkości ... Wieluż to mędrców waszych fałszywych i zarozumiałych pracuje nad jej oglądaniem, a nawet nad jej upewnieniem, podług swych teoryj i wyobrażeń!... Ale tylko pracujący szczerze nad wykorzenieniem wad i zdrożności ludzkich, nad udoskonaleniem przymiotów duszy jego, słowem, nad ulepszeniem moralnem człowieka, przykładają się skutecznie do szczęśliwszej przyszłości!—

— Inni wszyscy, którzy chcą albo chcieć będą (bo takich jest i będzie w każdym wieku) wmówić ludziom posłannictwo swoje na odnowienie objawionej wiary; wszyscy, którzy tę wiarę i jej tajemnice tłumaczyć będą pojęciem ludzkiem; wszyscy, którzy się męczą nad odgadnieniem mechanizmu duszy i praw jej zjednoczenia się ze zmysłami; wszyscy nakoniec, których Bóg stworzył, a w Boga nie wierzą; słowem, wszyscy mniemani mędrcy, mieniący się natchnionymi prorokami, zarozumiali mistrze i nauczyciele, których po ich uczynkach, mowach i pysze łatwo między tłumem, częstokroć przez nich uwiedzionym, poznasz; wszyscy, mówię, takowi uwodzą ludzi, i sprowadzają z drogi mającej ich do-

prowadzić do prawdziwego światła, a zatem i do szczęścia jakiego ty w tej chwili kosztować zaczynasz, i jakiego pojedyńczy człowiek łatwiej dosięga, bo. . . opowiem ci przypowieść.

— Pewnego czasu wielka karawana pielgrzymów pu ciła się przez pustynię do miasta świętego dla oczyszczenia się z grzechów i zamieszkania tam w pokoju i błogosławieństwie. Karawana zbłądziła na nieprzejrzanych i wrzących pod jej nogami piaskach. Natenczaś znaleźli się pomiędzy tłuszczą mędrcy wrzekomo, z których każdy podług swej nauki przewodniczyć jej pragnął. Jeden radził trzymać się kierunku wiatrów; inny zalecał kompasy swojego wynalazku; inny chciał się zdać na zmysł wielbłądów, czujących jakoby zdaleka źródła i oazy; lecz jeden z pobożniejszych pielgrzymów upadł sam na kolana, i radził wszystkim modlitwę i ucieczkę do ratunku . . Ozięble przyjęli radę i przykład pielgrzyma towarzysze; a lubo każdy jak z nałogu powtarzał, że trzeba wezwać opieki Nieba, wszyscy jednak widoczniejszych i pewniejszych jakby chwytając się środków i nadziei, poszli za głosem zwodzących siebie i drugich przewodników.

— Pielgrzym został na kolanach i modlił się gorliwie do Boga aż do wieczora; a gdy weszły gwiazdy, ujrzał jedną świetniejszą nad inne, niewidzianą przezeń dotąd na niebie, za którą głos wewnętrzny postępować mu radził.

— Uznawszy więc w niej znak widomy miłosierdzia Bożego, którego wzywał, powstał i szedł za gwiazdą poprzedzającą go zawsze. Wkrótce dochodził z kolei od źródeł do źródeł, z których pokrzepiał napojem utrudzone ciało, do drzew cienistych, pod któremi odpoczynkiem i pobożnem rozmyślaniem pokrzepiał ducha; i tak po niedługiej i bezpiecznej podróży przebył pustynię, doszedł do celu i cieszył się pokojem i błogosławieństwem w świętem owem mieście; a karawana, brodząc w różne strony po nieprzejrzanem morzu piasków, nie doszła nigdzie ich granicy i zginęła na pustyni. —

— Otoż od towarzystwa ludzkiego, uwodzonego przez fałszywych filozofów i własne namiętności, w dążeniu do przyszłej szczęśliwości powszechnej, odrywają się ludzie cnotliwi i gorącego ducha, wzywają od Boga prawdziwego światła i za tem światłem idąc, wyprzedzają ród ludzki do szczęścia, którego w pełności serca zażywając, czekają naprózno całych pokoleń, błądzących po nieograniczonej pustyni wyobrażeń ludzkich.

— Ty więc chcesz widzieć tę drogę błędu i próby, którą przebiegać mają teraźniejsze i przyszłe pokolenia. . . —

— Patrz! —

I znowu za ręką ducha błyskawica olśniła pułkownika, tworzyć się potem przed nim zaczęły obrazy, w które się on ciekawym i wytężonym wpatrywał wzrokiem. . .

Lecz po niejakim czasie, nagle dłonią zakrywając oczy:— Dość! — zawołał — dość! O! co za długie pasmo cierpień, błę-

dów i nieszczęść! Dość! Niechcę na nie patrzeć, gdy im zaradzić nie potrafię. . .

— Dozwól, niech przepowiem ludom ich przyszłość. —

— Ludy ci nie uwierzą. —

— Czyliż nigdy najdalsze pokolenia szczęśliwemi nie będą?—

— Nie grzesz wątpliwością w nieograniczonem miłosierdziu, dobroci i opiece Boskiej nad rodem ludzkim. Skrócić lub przedłużyć czas próby jest w mocy samychże ludzi. . . Co z jednym człowiekiem, to się z całem towarzystwem ludzkiem stać może i stać się nakoniec musi. . . Ale do takowego stanu ród ludzki przygotować się ma zmianą wszelkich swych błędnych idei, wyrzeczeniem się mnóstwa wad, fałszów i nałogów, nieuległych prawom Boskim, a które są dziś dlań drugą naturą. . . jak chory najłagodniejszą dyetą przygotowywa się do odmiany krwi i zepsutych soków żywotnych. . . a natenczas pojmie i używać będzie w pełności i zamiłowaniu szczęścia i stanu, któregoby teraz nie pojmując, znieść nie mógł.

— Tchnieniem Bożem w łonie ludów i narodów poczęty, jak płód w żywocie matki, żyje już, porusza i daje się czuć mający się kiedyś urodzić nowy, zwiastujący szczęście i pokój świata, duch czasu. Mędrcy chrześcijańscy przeczuwają go. . . karmią go, karmiąc matkę prawdą i nauką. Godłem jego będzie miłość powszechna chrześcijańska w duchu prawdy i prostota w czynie!—Egoizm w najpowszechniejszem znaczeniu zatruć go w samym zarodzie i zniszczyć usiłuje . . . Waży się więc szala przeznaczeń ludzkich. . . ale nad gwichtem . . . . Opatrzności oko!

Z upokorzonem czołem słuchał tych wyrazów pułkownik. Głos ustał, on podniósł oczy. . . ducha nie było.

Zorza już rumienić zaczynała niebiosa, i szczyt baszty po brzegach szczerb i krawędzi rozjaśniał się i złocił . . a nad nim z podziwieniem spostrzegł pułkownik lekką postać młodzieńca, z białą lilją w podniesionem ręku, nieporównanem światłem jaśniejącą.

Po chwili znikła ona w promieniach wschodzącego słońca.

Pułkownik upadł na twarz. . . modlił się. . . a w tem dzwon kościelny ozwał się na jutrznię. . . wstał więc i poszedł zakończyć modlitwę przed ołtarzem.



AUTOR SWATEM.

I.

Rozrządzenie niezawisłe wolą, sercem i ręką własną, jest szczęśliwym udziałem mężczyzn; w rodzaju zaś niewieścim, wdów tylko. Władza ta tem przyjemniejszą byćby im powinna, że jest przypadkową i że następuje po dwóch peryodach przymusu: panieństwa i małżeństwa, Rzadko jednak wdowy lubią się długo cieszyć tym na pozór miłym przywilejem, po dwakroć, trzykroć i czterykroć uwalnianą rękę zdarza się im chętnie w więzy małżeńskie plątać.

— Nie mogę znieść — mówiła mi jedna pięćdziesięcioletnia a sentymetalna wdówka, w wigilię czwartego swojego ślubu — nie mogę znieść smutnego a obecnego mi zawsze obrazu zgonu ukochanego ostatniego (bo o dwóch pierwszych nie było mowy) męża mego! Wolę — muszę zmienić go w mej duszy na obraz i przypomnienie wesela. Próbowałam już dwa razy tego środka..... Najskuteczniejszem jest na rozpacz lekarstwem.—

— Wyborna medycyna na wdowią chorobę! — pomyślałem.

Lecz nie masz prawidła bez wyjątków. Niejedna wdowa (może dla tego, że w przypomnieniach rozstania się na wieki z mężem niewiele czuje smutku) nie śpieszy też go osładzać weselem; nie jedna, zwłaszcza z młodych i ładnych, wraca do wspomnień i nałogów panieńskich; a łącząc do nich powagę utraconego i swobodę nowego stanu, podoba sobie, czując tkliwie, panując bezpodzielnie i wybierając dowolnie. Z takich liczby była podkomorzyna.

Trzeci krzyżyk mija, czwarty dobiega, a nieżonaty mężczyzna ozdabia się (chce czy nie chce) nazwą kawalera marcowego. O! bodajby tylko nazwą! Lecz jak owo fatalne nieśmiertelności znamię na czole Grumdrypa *), tak na policzkach letniego bezżeńca piętnuje się wybitnie albo obrzękłość próżniaka i samoluba, albo wychudłość skąpca, albo ponura bladość nieułagodzonego zrzędy.

Przymila się doń mężatka, aby pożyczył pieniędzy mężowi. Swata mu się wdowa, aby z potomstwem pierwszego i drugiego małżeństwa wprowadzić się do gotowego gniazda. Drwi zeń dziewczyna, jeżeli zmuszona jest wolą rodziców, układających w głowie przyszłe przedślubne zapisy, cierpieć go w liczbie adoratorów ubiegających się o jej rękę. Nakoniec, znudziwszy sam sobą, ustępuje pokusom — żeni się na złość sukcessorom z młodą... i znajduje nowego a najzawziętszego swemu szczęściu nieprzyjaciela... w sobie samym.

---

*) Historya na dwie księgi podzielona, Krasickiego.

Przez większą połowę życia zakorzenione nałogi, spokojny i miły nieład domowy, opryskliwa samowładność, wszystko nowemu rzeczy porządkowi gwałtem ustępując, jak szatan z nawiedzonego wyparty, muszą nadwerężyć którekolwiek ogniwo małżeńskiego związku. Do tych niesmaków łączy się nakoniec podejrzliwość — choroba niedołężnych, niemogących w swem przekonaniu pogodzić wierności i przywiązania młodej żony z własną małowartością; i ta najczęściej niszczy do reszty ostatki spokojności źle dobranego stadła.

Lecz znowu nie masz twierdzenia bez wyjątków. Major... ma wprawdzie lat czterdzieści; lecz umysł zdrowy w czerstwem ciele; znajomość świata i tonu lepszych towarzystw, wśród których całą młodość i wiek średni przepędził, i których nie przestał być rozkoszą i ozdobą; rozum wzbogacony nauką i doświadczeniem, umiejący żyć z ludźmi, a obejść się i bez nich; czynią majora wyjątkiem z tłumu opisanych kawalerów marcowych.

Major, niegdyś młody Adolf, miał lat dziewiętnaście. Podkomorzyna, natenczas piękna Zosia, szesnastą liczyła wiosnę. Kochał ją Adolf, a teraźniejszy major; i podobno najpierwsze w niej wzbudził i przejął westchnienia.

Dzisiaj po kilkonastoletniem rozłączeniu osiadł on w pięknej wsi, odziedziczonej po stryju, o dwie mile od rodzinnego domu podkomorzynej, do którego po zgonie swych rodziców i męża, miłą każdemu pociągnięta skłonnością, ładna i bezdzietna wdówka wróciła.

II.

— Podkomorzyna będzie majorową na końcu powieści — pomyślałeś czytelniku! I zgadłeś. Mógłbyś więc i porzucić książkę. Ale w którymże to, by najsławniejszym, szczególniej z dawniejszych nieco romansów, od pierwszego zaraz rozdziału rozwiązania i losu głównych osób zgadnąć nie można? I dla tego współbracia moi, autorowie, ale nowych i rozumniejszych ode mnie wyobrażeń, w dzisiejszych swych płodach, pragnąc zmylić przenikliwość czytelnika, gdy on spodziewa się na końcu wesela, raptem dają mu pogrzeb.

Moja też powieść jest trochę starszej daty i dawniejszego trybu. Świat porozumniał. Autorowie dziś mając inną jak dawniej kanwę, z obyczajów ludzkich utkaną, i inne wzory w towarzystwie, inne też na niej i z nich wytykają obrazy. Inaczej być nie może, aby było prawdopodobieństwo w dziele. Mógłżebym dobrą wiarą, odmalowawszy naprzykład młodego trzpiota, żywego, zakochanego w całym rodzaju niewieścim, lecącego za wesołością i zabawami, niemyślącego wcale o jutrze, a tem bardziej o posagach; mogącego śmiało w swobodzie myśli zaśpiewać:

„Każda piękność dla mnie równą,
„Kiedym żywy, hoży, młody,
„Czy szlachcianka, czy królewna,
„Czyli żona wojewody; *)

tracącego wprawdzie częstokroć fortunkę, ale pełnego życia i zapału, czułego, wybornego serca; dla miłości, dla przyjaźni, dla szlachetnego czynu, poświęcającego się ochoczo i bez namysłu—gdybym, mówię, taką odmalowawszy kopię, wmówić chciał, że podobną jest do oryginału z dzisiejszych czasów!—Ale gdzież tam?—powiedziałby każdy—gdzież tam! Oryginał twój dzisiejszy daleko mędrszy od twojego trzpiota. Patrz! oto salon pełny piękniutkich i milutkich dziewcząt, a twój oryginał ani zważa na nie; uciekł on od nich do czwartego pokoju, bo nie lubi subiekcyi, i tam pali cygaro i gra w preferansa, od którego wstanie po północy; a o dziewczętach chyba wtenczas pomyśli, gdy, z rozliczki na rozliczkę wpadając, posagi ich rozliczać zaczną. Biedne zaś dziewczęta wodzą się gęsiorem po pustych pokojach, a mamunie klną w duchu tegowieczną manierę młodzieży.—

Więc gdybym, dogadzając miłośnikom teraźniejszych szalonych romansów francuzkich, postanowił wśród nas wyobrazić podobne awantury; gdybym sobie stworzył z półtuzina zabójstw, i zakamieniałych zabójców i bandytów, szastających sztyletami na prawo i na lewo, i toczących krew rynsztokami; gdybym wmięszał pomiędzy nich parę zapamiętałych kochanków, a którzyby w dowód miłości podali sobie na końcu arszeniku, lub przywiązawszy wzajemnie kamienie do szyi, w czułem uściśnieniu poszli na dno; gdybym jeszcze dorzucił do tego z parę podłych intrygantów, bezwstydnego uwodziciela, i tym podobnych; a zmięszawszy to razem, zadał tego literackiego blekotu czytelnikom, i za każdą kartą targał ich nerwy i cały organizm; a choćbym i przydał tam, jak na próbkę trochę chrześcijańskiego ducha; czyżbym zdołał wmówić czytelnikom, że to jest obraz naszych obyczajów i naszych towarzystw?

— A mój dobrodzieju!—powiedziałby mi niejeden poczciwiec—poczekaj ze swojem piórem, aż dojrzejemy do tej doskonałości, że będziemy mieli oryginały własne tych krwawych i jaskrawych kopij. Przyrzekasz w godle swojem „służyć poczciwej sławie;" a toć wyraźnie niepoczciwej sławie służysz—i t. p.

Gdybym nawet (niestety! a to już może nie od nas samych tylko zawisło) chciał nasz dawny humor, ale nie humor angielski, ponury i mglisty jak ich niebo, ale nasz żartobliwy, *gadativus*, wąsaty, rubaszny, dworski wprowadzić na dzisiejszą scenę, zapytanoby mnie zapewne (i poniekąd słusznie):—Gdzież on jest? Dziś w żartach naszych bywamy złośliwi, ale nigdy prawie dowcipni; a przynajmniej nigdy dowcipni, gdy niezłośliwi. . . .

A tak, gdy trudno, w naszych czasach pisząc, zgodzić ano-

*) Zaleski Duma Mazepy.

malię z prawdopodobieństwem, cofam się o lat dwadzieścia z górą i kontynuję moją powieść.

III.

— *Doux souvenir vaut mieux que l'espérance*—powtarzał major, prowadząc pod rękę swoją niegdyś Zosię po długich lipowych ulicach starożytnego jej ogrodu, po których przed kilkunastu laty bystre i lekkie ich wyścigały się stopy. W jakimś romansie pani Genlis wyczytał on tę sentymentalną sentencyę, i dodawał jakby kontynuacyę: - Szczęśliwy, kto jedno i drugie posiadał — A gdy tak naturalną koleją, jakby po pochyłej dróżce, miał zejść major do oświadczeń uczuć swoich, które ona dawno w nim a bodaj i w sobie odgadła, gdy już się namyślił. . . miał zacząć. . . i zaczynał. . . jąkane i nieśmiałe wyrazy. . . przerywała mu je przenikliwa wdówka przypominaniem wypadków dla obojga tu niegdyś zdarzonych, już to zabawnych, już to tkliwych, w wesołe dziś przez nią zamienionych żarty. I tak zbity z toru kochanek odkładał znowu na jutro swoje oświadczenia i nadzieje.

Co z piękną wdówką, to nie z młodą dziewczyną! Ta słucha bez wstrętu oświadczeń, bo fałszywą niewinnością osłoniona, udaje, że ich nierozumie; pierwsza zaś wręcz im zachodzi, bo przenika, co powiedzieć mamy, i wylatujące, że tak powiem, wyrazy albo nazad do ust wraca, albo z wiatrem przepuszcza. Tamta zapłoniona nie śmie wznieść oczu i do woli rodziców odsyła; ta, nie mając do kogo odesłać, sama przygotować się musi do przyjęcia lub odrzucenia ofiary. Dziewicy tarczą malutka obłuda; wdowy, zalotność, częstokroć, niestety! w stanie małżeńskim, nabyta.

Dla czegoż podkomorzyna, kochając Adolfa, sama wzajemnie i prawdziwie odeń kochana, oddalała dobrowolnie moment wspólnego ich uszczęśliwienia? — ha! bo też, jako wyżej powiedzieliśmy, czując tkliwie, panując bezpodzielnie i wybierając dowolnie, nie śpieszyła się piękna wdówka z wyrzeczeniem słowa, które, to życie jej urocze na rzeczywiste zamienić miało; a lubo w związku z majorem daleko więcej obiecywała sobie szczęścia, niżeli z pierwszym swym mężem, którego ani przed ślubem, ani po ślubie nie kochała, i któremu z woli tylko rodziców, upatrujących wszelką przyzwoitość w tem jej zamążpójściu, znagloną oddała rękę; wszelako wiedziała ona, że małżeństwo, by najszczęśliwsze, jest zawsze, a przynajmniej byćby powinno, szczególniej dla kobiety, niejakim rodzajem uległości; i że, jak mi powiadał pewien mój przyjaciel, najszczęśliwszy na świecie małżonek: „małżeństwo jest jak stare wino reńskie: zdrowe, wyborne, wyśmienite; ale ma w sobie zawsze trochę kwasku, który niekażdemu podniebieniu się podoba, i niekażde podniebienie go zniesie, chociaż właśnie w tym kwasku jest moc jego sanitarna."

— Dla tego też zapewne w modzie dziś szampańskie: mussujące, jak młodość, upajające prędko, jak swawola. Nadto, gdy

mi przychodzi zgadywać uczucia, sprzeczności i tajemnice serca kobiety, mimowolnie, a to już po raz drugi w moich Obrazach, nawijają mi się dwa wiersze z Raju Utraconego, któremi Milton zalotne wstręty matki rodu ludzkiego doskonale maluje:

„Z powolnością się łączy jakaś skromna pycha,
„Co tem bardziej pociąga, że trochę odpycha."

Jako matka przyszłego niezliczonego pokolenia matek, jako pierwowzór niewiasty, musiała mieć ona wlane sobie zarody wszystkich doskonałości i słabości niewieścich, które spłynąć miały na całą płeć, rodowód swój od niej wiodącą,—jak ziarno zawiera w sobie zaród rośliny, kwiatu i owoców, rozplenić się zeń mających.

Przy najponętniejszych więc wdziękach ciała, musiała mieć inne jeszcze dary i zalety umysłu, które po niej, wraz z wdziękami, w rozmaitym podziale odziedziczywszy jej córy, panują nad nami, jak ona nad naszym Adamem; bez których wdzięki obejść się nie mogą, a które częstokroć bez wdzięków się obejdą, i przywiązują nas duszą i sercem do niepięknej ale miłej kobiety.

Te wszystkie dary, zdolności, przymioty, w których cała sztuka podobania się i panowania kobiet zawiera, a które one mają wrodzone, i chowają do użycia w głowie jak broń w arsenale, razem wzięte i nazwane stanowią rozum kobiecy, stokroć rozumniejszy od rozumu męzkiego....

Ale gdy tak ważna materya *gravis*... materya *status*, że tak powiem, i sprawiedliwie; bo idzie tu o *status* połowy rodzaju ludzkiego, od której druga połowa zupełnie zawisła, weszła na uwagę i pióro autorskie, poświęćmy więc jej jeszcze jeden epizod.

Sławny Stern cały jest w epizodach. Jego *Tristram* *) i inne wszystkie powieści są jak parawany tak gęsto landszafcikami zaklejone, że ledwo gdzieniegdzie dostrzeżesz między niemi materyi czy papieru pokrywających ramy; opatrujący zaś, przechodząc od obrazka do obrazka, bawi się i duma nad każdym, a o kolorze i gatunku głównego pokrycia ani pomyśli.

IV.

ROZUM KOBIECY.

O kobiety! dałbym wam tynfę szelągami, gdybyście mniej rozumnemi były! .. bo nasz rozum ogarniony waszym rozumem taje, topi się i niknie, jak lód wiosennem przejęty słońcem; i dlatego to właśnie najprawdziwszą jest prawdą, że zakochany głupieje.

---

*) *Tristram Schandy*—powieść Sterna.

Rozum kobiecy tak się ma do rozumu mezkiego, jak lśniący tysiącem ogniów brylant do ciężkiej bryły złota, która, choćby najświetniej polerowana nie da ani takiego blasku, ani się opromieni tak wdzięczną tęczą łagodnych i miłych kolorów, ani wyrzuci tysiąca iskier elektrycznych, zażegających serca nasze. . . Brylant ten, osadzony w czyste złoto, jest małżeństwem rozumne kobiety z roztropnym mężczyzną—najszczęśliwsze bezwątpienia.

Cechą i szczególną własnością rozumu kobiecego jest to, że w najskrytszym mężczyznie miłość ku sobie, a choćby i słabość tylko, odkryje, zgadnie, czy przeczuje ... Ach! głucho-niemego by przeniknęła! . . Wie ona kiedy się twe serce zajęło, wie nawet, dopóki goreć będzie, bo wie, jak je podniecać i utrzymać w zapale. . . słowem, wie wszystko lepiej od ciebie, co się w twej duszy dzieje, chociażeś jej tego nie wyznał, choć ci tego wyznać nie dozwala.

Lecz po tem nigdy nieomylnem, sympatycznem, mogę mówić, odkryciu, właśnie dopiero się rozwija w całej potędze jej rozum, i dobiera sposoby stosowne do egzemplarza, jaki się jej dostanie, jak snycerz dobiera dłuta stosowne do gatunku kloca, jaki się ma pod jego ręką kształcić.

Zuchwałego na wodzy trzyma, nieśmiałego do miary ośmiela, skrytemu rozwiązuje usta, a skąpemu worek; gadułę uczy trzymać język za zębami; słowem, otwiera szkołę obyczajową, w której studenci sami się nie spostrzegają, jak metodą wzajemnego uczenia kształcą się i doskonalą. A śmiało powiedzieć można, że nie poznał świata, kto przez tę szkołę nie przeszedł.

Śledząc tę doskonałą władzę duszy niewieściej od jej pierwszego zarodu aż do zupełnego dojrzenia i rozwinięcia, mniemamy, że się zaczyna instynktem, tak, jako i u płci męzkiej; lecz po tym peryodzie, gdy mężczyzna wchodzi w paragraf romansowej czułości i zaczyna pisać wiersze do swojej bogini, kobieta przebywa go owinięta, jak jedwabnik kokonem, powłoką dziewiczej panieńskiej skromności, w której dojrzewa piękny motyl, mający wraz z kobierca wziąść swój wysoki polot i świetne kolory.

Rozum ten bardzo składnie się łączy i kolligaci z dobrocią serca; a przynajmniej gdzie jego brak zupełny, tam i o dobroci wątpić należy.

Łagodność i pobłażanie jest jego główniejszym przymiotem. Pierwsza pociąga serca, drugie je zatrzymuje lub odlatujące zwraca. Zrzędnice, złośnice, kłótnice, zazdrośnice, nie mają go spełna, lub są zupełnie pozbawione tego niebieskiego daru; a choćby która najładniejszą była, wielbiciele, a co gorsza, wdzięki, nader rychło uciekną od tej znarowionej twarzy. Zrzęda i kłótnia wykrzywią jej usta, wykołaczą ząbki, i głos na fałszywą nutę przestroją; zazdrość pokosi śliczne oczki, a złość, paląc nieustannie lica, jaskrawym je na zawsze zaczerwieni rumieńcem; i nakoniec

na czole co chwila marszczonem, zastygną zmarszczki, z których sympatyczne, niewidome jej samej, lecz wszystkim bardzo czytelne, przedwcześnie wyformują się zygzaki, podobne do liter: s. t. a. r...

Dokończ, czytelniku, jeżeliś łaskaw; bo ja nie mam serca.

Liter tych w dojrzalszym nawet wieku nie ujrzysz na czole rozumnej kobiety; na czole zawsze pogodnem, zawsze wesołem, zawsze miłem; na którem myśli dowcipne, żywe, głębokie nawet, jaśnieją, migocą, przemykają się, nieujęte przymusem, nieobciążone nudą lub przekorą, snując czarowne sieci, w które wpadamy, i wyplątać się z nich nie możemy, a nawet nie chcemy.

Pragniesz-że widzieć ten rozum w praktyce? w pełnem rozwinięciu się jego potęgi i delikatności razem? to się staraj być świadkiem, gdy doświadczony, śmiały, rozumny po swojemu, znający, a przynajmniej mniemający, że zna sztukę podobania się kobietom mąż, stanie naprzeciw rozumnej także po swojemu kobiety, i gdy te dwa rozumy wezmą się na próbę, dopiero powtarza się umysłowa walka Peleja z Tetydą.

„Chce ją nieulękniony syn Eaka pożyć *),
„Chce Tetys złamanego pod swe stopy złożyć."

I szczęśliwsza, a raczej rozumniejsza kobieta śmiertelna od nieśmiertelnej wnuczki Oceanu złoży pewno przeciwnika pod swe stopy.

Uważaj ich wyrazy, odgaduj myśli, bo słowa ich wtenczas sprawdzają najdawniejsze owe zdanie starego dyplomaty, że mowa dana jest człowiekowi nie na objawienie, lecz właśnie na ukrycie myśli. Ukrycie to jednak, a raczej okrycie, jest z przezroczystej gazy. Rozumieją one dokładnie dykcyonarz synonimów, jakiego używają, zawiązując mowę w światło-ciemne peryody.

Śmielszym krokiem postępuje mężczyzna. Modyfikuje on wprawdzie wyznania; w łagodne i gładkie obwija jedwabie, aby nie raziły od razu; lecz postępując coraz naprzód, dojść chce, choć powoli, do rozpoznania dróg do serca i miejsc doń przystępniejszych; jak wódz dobry (a to porównanie, nieraz już użyte samo się nastręcza), stara się pod ogniem fortecy rozpoznawać jej wały, i ryć skryte podkopy, w których nagle potem zapala miny.

Ale zgaduje niebezpieczne zamiary jego przenikliwy rozum niewieści; plącze go jednem słowem we własnych jego sidłach, zrywa je potem, jak pajęczynę, i niszczy od razu skutek długich i pracowitych omówień i wysileń!... a razem nowem słówkiem nadziei nową wzbudzając żądzę, w nowe błędy i nowe usiłowania wprowadza. Szczęśliwy w powtórnem, trzeciem, czy czwartem natarciu, już ją tak ściśle okrążył, tak wszędzie zaszedł i zapobiegł wycieczkom, że musi nakoniec dać się przeniknąć i przyjąć wyznanie wymagające szczerszego wyrazu. Oh! próżna nadzieja!... Wie ona, że tym wyrazem musiałaby być albo litość, której on wzywa, a którą zjednawszy, nudziłby ją codziennemi skargami

*) Zofiówka.

jak żebrak codzień nowej proszący jałmużny; albo wzajemność której nie ma, i która daleko prowadzi, albo odprawa, której dać niechce. A tak wylatuje zręcznie z koła, którem on ją okrążył, musnąwszy mu tylko, jak liszka figlarna kitą po nosie—i bywaj zdrów, ścigajże ją teraz. Oto już na lekkich i świetnych piórach unosi się nad tobą.. Uklękniesz wraz przed tem bóstwem, któregoś na ziemi ująć i uwięzić nie umiał.

Chcesz-że widzieć ten rozum w dyplomacyi?—obierz cel trudny, a do osiągnięcia konieczny, i oddaj się ładnej a rozumnej kobiecie w opiekę. Jeżeli szczerze ci oną zaręczy, cel twój spełniony! W próżni choćby znajdzie ona punkt oparcia i mędrsza od Archimeda dźwignie cię w górę. Ludzie nieznajomi tobie, jak samoruchy skrytemi sprężynami nakręcane, chodzić i działać będą dla ciebie; najupartsze podwoje otworzą ci się naoścież, najdumniejsze czoła ugną się przed tobą. A tych wszystkich cudów, którychby tuzin najtęższych głów męzkich nie dokazało, jedna piękna i rozumna główka kobiety z łatwością trudną do pojęcia dopnie.

Sprawiedliwy jest więc wierszyk w przysłowie już zamieniony:

„My rządzimy światem, a nami kobiety!"

Lecz może poeta rozumiał, że kobiety siłą swych jedynie wdzięków rządzą nami. Otóż w tem omyłka... bo najpiękniejsza a głupia rządzić tylko będzie albo młodym gapiem, albo starym wyczerpanym ciemięgą; a tacy ichmość, chwała Bogu, światem nie rządzą.

Nie rozumiemy wszakże, aby rozum ten pozbawiał kobietę tkliwszych uniesień, lub gasił iskrę uczuć tlejącą bezustannie w sercu każdej niewiasty, a rozpłomieniającą się niekiedy mocniejszym ogniem w danej okoliczności i czasie. Nie! Rozumna kobieta zakochać się może, jako i każda inna, niższa od niej przymiotami umysłu. Podobać się jej i wzbudzić w niej miłość nie jest rzeczą niepodobną. I jakaż to chluba i szczęście... Lecz im droższy jest ten skarb, tem go trudniej posiąść, zaklęty on jest głęboko!.. głęboko!!! Nie prawdaż? piękna i rozumna czytelniczko moja! Wyrazów czarnoksięzkich, otwierających doń wejście, niestety! ja nie wiem, i w żadnych książkach nie wyczytałem.

Najwłaściwszym takiej książki autorem byłaby samaż kobieta, wydająca dzieło pod tytułem: O skutecznym sposobie wzbudzenia w nas wzajemności. Cóż tu byłoby czytelników... Lecz czyliż kobieta szczerą byćby tu mogła, gdy własny ich i dobrze zrozumiany interes radzi im ukrywać drogę do ich serca, a puszczać tłumy na błędne manowce, i tylko wybranemu dać nitkę Aryadny?

Praktyka więc w tej sztuce idzie dotąd uso, to jest, po omacku. Opisanie takowych praktyk w rozmaitych zdarzeniach ludzkich jest treścią romansów zalewających dziś świat. Z niektó-

rych, jeżeli nie teoryę, to przynajmniej po kilka aforyzmów wyciągnąćby można. Bodaj jednakże nikt z książki nie gospodarzył, z książki nie rządził krajem, i z książki się nie kochał.

Lecz aby pewniejszą nieco definicyą zakończyć już to opisanie przymiotów, własności i siły tego niewieściego umu, tej potęgi (boć rozum potęgą i mądrzy filozofowie nazywają), o ile z fenomenów, ze skutków, z komparacyj, z prób rozmaitych, sądzić mogę, do składu rozumu kobiecego supponuję, że wchodzą takie i w takiej mierze ingredyencye: weź trzy miarki rozumu męzkiego w najlepszym gatunku, dwie miarki czystej zalotności, trzy miarki dowcipu—*misce*—*fiat*....

Jeżeliby która z czytelniczek moich uznała niedostateczność preskrypcyj, niedocieczoną ingredyencyę raczy na marginesie zanotować.

Abym od razu był znowu na tropie mojej powieści, powiem, że podkomorzyna posiadała ten rozum w całej okazałości. Władzą to jego trzymała ona majora, i siebie nawet, w pewnej odległości i za pewną granicą, za którą gdyby krok tylko.... jużby on był u nóg jej, a ona odtrącićby go nie miała siły. Dotąd więc pan major był tylko przyjacielem pani podkomorzynej. Nudnaż to rola być przyjacielem ładnej kobiety! Jest to być zawsze drugim, jest to być naprzykład *vice*-marszałkiem; a wiadomo, że nikt nie cierpi tego *v.* malutkiego sterczącego przed swem dostojeństwem; z tą różnicą, że *vice*-urzędnik zastępuje niekiedy samego urzędnika; zaś *vice*-kochanek, czyli przyjaciel, nigdy nie zastąpi samego kochanka, chyba w codziennych posługach robienia dla pani sprawunków za swoje pieniądze.

Stronnik nowej agronomii, major wywierał wpływ swojego systematu na wszystkich swoich sąsiadów; a u podkomorzynej codzienne jego rady i przestrogi do tego doszły stopnia, że mu ona zupełny ster bezładnego swego gospodarstwa powierzyła; a że miłym jej prośbom odmówić nie mógł, widział się więc w konieczności przynajmniej dwa razy na tydzień dać osobiście instrukcye staremu podkomorzynej komisarzowi; których gdy ten, uparty przy dawniejszym trybie, nigdy należycie nie spełniał, musiał znowu major i wykonania onych także osobiście pilnować; a tak jedno z drugiem, dwie części czasu u podkomorzynej, a ledwo trzecią u siebie przepędzać. Było to źle i dobrze dla zamiarów jego: dobrze, bo w codziennem towarzystwie miłej osoby tysiączne znajdował przyjemności, bo co chwila mógł ją o swojem przekonywać przywiązaniu; źle, bo to częste przebywanie razem przyzwyczajało doń kochankę; a przywyknienie, jeżeli częstokroć zmienia się w miłość, częściej podobno odejmuje powab nowości, gasi ją niestety! Zsyłam się tu na dowód do wszystkich małżeństw na świecie.

Lecz wśród tych rozmaitych ustępów poznajmy się z jednym jeszcze aktorem tej powieści. Jest to o lat kilkanaście młodszy brat majora młody Leon; przystojny, dowcipny, pięknie wychowany, pusty i żywy jak dziecko zepsute, pojętny i przenikliwy jak stary jurysta, romantyczny i sentymentalny jak poeta. On sam jeden był pieszczotą i jabłkiem niezgody wszystkich naokoło dziewcząt; on połączonymi talentami rysunku, muzyki i poezyi zawracał im główki a ozdabiał imionniki. Major kochał go serdecznie. Leon kochał starszego brata i poważał; a ta *rara concordia fratrum* trwała między nimi w całej ścisłości, tem mocniejsza, że nawet przy kobietach wiek braci oddzielał stosowne dla obu działania sfery. Leon uważał podkomorzynę jako przyszłą bratowę, i prawie nieodstepnym bywał towarzyszem brata w jej domu; a w chwilach, kiedy zakochani, bardziej sobą zajęci, zdawali się zbliżać do wzajemnych zwierzeń, w chwilach, w których świadek jest niepotrzebnym i natrętnym; w których wyprawić go nie godzi się, a cierpieć go niemiło, wyrozumiały Leon siadał do fortepianu, brał na nim mocne akkordy, nucił piosnki, lub pędzał kule po bilardzie, najsztuczniejszych dokazując dubletów; w innych zaś godzinach bywał najprzyjemniejszym członkiem tego małego towarzystwa.



V.

Dysputa i Wyzwanie.

— Co pan myślisz robić z takiem mnóstwem kartofli, której się spodziewać możemy, patrząc na te długie jej sznury?— zpytał majora pan Mateusz, stary komisarz podkomorzynej, obchodzący z nim gospodarkę.—Za nieboszczyka pana zasiewaliśmy jej ledwo garncy kilkanaście, a najwięcej kilkadziesiąt; cała użyła się potem do sztuki mięsa; a teraz nowomodna gospodarka (niech to pana nie obraża) sprowadzi nas podobno z żyta, a karmić będzie kartoflanym chlebkiem. Dowodzą nawet, że smaczny i wyśmienity; ale niech pierwszym kęsem się udławię, jeżeli go kiedy ukąszę . . .—

— Nie przeklinaj się darmo, panie Mateuszu!—odpowiedział major, uśmiechając się z pobłażaniem wkorzenionym uprzedzeniom starego.—Nie przyjdzie do chleba z kartofli, gdy go tak nie lubisz. Przepędzimy kartoflę na gorzałkę.

— Wódka kartoflanka kwaśnieje!—zawołał stary.

— Tem rychlej wypić ją potrzeba będzie—rzekł znowu major; tu poznał po nagłym rumieńcu staruszka, że go niechcący obraził, bo pan Mateusz ostatni ten dowód wziął za przymówkę, nie mogąc w duchu zaprzeczyć że sam jeden we dworze najwięcej się przykładał do rozchodu *aquaevity*. Nie chciał się jednak zakląć co do wódeczki, jak się zaklinał względem kartoflanego chleba, bo myślał sobie:—nie będę mógł jej zakosztować?... a jeżeli

będzie dobra?.. a jeżeli bynajmniej od żytniej różnić się nie będzie?.. oszukam się czasem i duszę zgubię. .—Wszelakoż obrażony mruczał krnąbrnie, kiwał głową i szedł niechętnie za majorem.

„Jakby niewolnik za swym panem gniewnym" *)

Nastąpić mające przeproszenie ze strony powodowej, przerwała podkomorzyna idąca z Leonem na sąd majora w dyspucie ale zupełnie innej treści.

— Tak—mówiła ona, kontynując zaczętą rozmowę—lubię romanse, które starymi nazywacie, a które wyszły już z mody, bo prawdziwe uczucie, bo cześć, bo poświęcenie się rycerskie bez granic dla cnotliwej miłości, wyszło z serc i z obyczajów. Czytając romanse dawniejsze, żyjemy wprawdzie w świecie urojonym, w zachwyceniu sentymentalnem; lecz żyjemy z istotami doskonałymi, przenikamy się rozkoszą, jakiej doznają serca głęboko dotknięte i oderwane od tej nędznej ziemi, do której się tak niechętnie wraca!...

— Tak, tak—przerwał Leon—czytelnik uniesiony wtenczas romantycznie i sentymentalnie, a wracający potem niechętnie do ziemi, daruj pani, podobnym jest do szlachcica, który ze wspaniałego i zbytkownego pańskiego obiadu musi wrócić do swego codziennego barszczu, który, acz zdrowy i wyśmienity, nie smakuje mu po łakociach, choć mu jest zwyczajną strawą, na której przestać powinien.

— Liche porównanie, Leonie! jako i większa część waszych romansów, których ważniejsze sceny, częstokroć w karczmach lub na rozdrożach, między podłym motłochem się odbywają.

— Alboż tam w życiu pospolitem bywać częstokroć nie zmuszeni jesteśmy? alboż wszystkie wypadki onego nie zależą od osób rozmaitych klas towarzystwa nas otaczających? Powieść więc, romans, dramat, jest właśnie obrazem życia. Aby więc był prawdziwym, musi wszelkie osoby i kombinacye w rzetelnym i prawdziwym a przynajmniej prawdopodobnym oddawać stanie i świetle. Stąd wniosek...

— Cóż pan na to? majorze! - przerwała wzajemnie podkomorzyna, widząc, że Leon na długą dyssertacyę zakrawa. Przecież do twojego przychodzimy sądu.

— Nie jestem autorem, więc, zdaje mi się, nie jestem i sędzią właściwym.

— Owszem—rzekł Leon—sąd o autorach do czytelników należy, jak wyrok o aktorach do parteru.

— Idzie tu, jak uważam, państwu—mówił więc obrany na sędziego major—nie o autorów w szczególności, ale o wartość i różnicę dawnej i nowo rozwijającej się szkoły romansowego piśmiennictwa. Każdy tu i wszędzie sądzi podług wrażeń, jakich w

*) *A. M.*

czytaniu doznaje, a te znowu wrażenia wynikają nie tak z treści pisma, jak raczej i najczęściej z usposobienia czytelnika. Tkliwe serce pani. nawykłe do miłego jednoczenia się z osobami i wypadkami unoszącymi wyobraźnię, a rozrzewniającymi głęboko duszę, nie znajduje przyjemności w opisach i scenach wybitniejszych a pospolitszych, w których siła przemaga, w których więcej czynu niż uczucia, podobniejszych do praktycznego życia, a zatem przyjemniejszych dla nas, którzy właśnie tem życiem żyjemy.

— A więc do waszego praktycznego życia nie wchodzi ani uczucie, ani tkliwość serca?

— Ach! pani! wchodzi miłość, na szczęście czy na nieszczęście nasze; wchodzi najczynniej, i rozbudza wszystkie władze duszy, i czułość i tkliwość; słowem, robi nas sposobnymi ku najwyższym zapałom i zdolnymi na bohaterów romansowych, wszelakoż, pani, gdy mam bez żartu powiedzieć moje zdanie o romansach, i rozwiązywać spór państwa nie uczonymi wywodami, bo na nie się nie zdobędę, ale. prostem mniemaniem, za pierwsze więc twierdzenie i fundament zakładam to, że romans jest obrazem życia, jak mowa jest obrazem myśli. Życie zaś nasze, w całej swej szerokości brane, ani jest ciągle zalane łzami, ani ciągle uniesione, nadziemskie, duchowe. Autor więc kłamie dziełu boskiemu, gdy rozwodząc zeń dramat, obiera je z najpiękniejszych ozdób, to jest, z chwil szczęścia, radości, wesela i ukontentowania; lub z chswi spokojnych, cichych, błogich, jednoczących człowieka z sobą samym i z naturą; lub też z energicznych popędów, męzkim zapałem pchnących go na rozdroża; z chwil nakoniec błędu i śmieszności, tak właściwych słabemu rozumowi ludzkiemu, pnącemu się zawsze nad swoją sferę i siłę; słowem, z tego wszystkiego, co nię jest jękiem, wzdychaniem, płaczem lub tęsknotą. Szukać on powinien na świecie i między ludźmi prawdy w czynach ludzkich, w czynach mądrości lub głupstwa, zapędu lub umiarkowania i roztropności; charakterów wydatnych w jednym lub drugim względzie, i przyczyn całej plątaniny towarzystwa; słowem, prawdy duszy, serca i namiętności, złączonych w prawdzie codziennego życia, a służącej za dowód, (na coby autorowie najpierwszy wzgląd mieć powinni), że cnota jest także prawdą...

— Być może i prawdą, co mówisz, majorze!—rzekła podkomorzyna—ale mi się to zdaje zanadto zwięzłe, zawikłane, ogólne i dwuznaczne, a zatem nierozwiązujące naszej dysputy, bo twój wyrok do własnych wyobrażeń obie strony zastosować moglibyśmy; przecież to zeń tylko wnieść mogę, że w twojem mniemaniu każdy dzień życia naszego mógłby być treścią romansu, powieści, lub innego tytułu dzieła w takim rodzaju.

— Życie powszednie, pospolite, swobodne od burz miotających na świecie losami ludzkimi—odpowiedział major—mało wprawdzie podobnem jest do jakiegokolwiek opisu; ale życie wewnętrzne, z niem połączone, taki mu interes nadać może, takim przy-

wiązać urokiem, że najmilszą, a czystą i łagodną rozkoszą napełni czytelnika. Bo w tem życiu wewnętrznem, spokojnego choćby poczciwca, kopiącego szczupłą grzędę karmiącej go ziemi, ileż bywa codzień uczuć, walk, smutków, rozkoszy, uniesień, śmieszności niekiedy, które wynurzone na jaw, w skutkach z sekretu wydane, nie jedną zacną, treściwą, a przyjemną i pożyteczną wysnułyby książkę. Ale na to potrzeba talentu. . . .

— Na to potrzeba wszystko to z nóg do głowy przewrócić— odezwał się głos chrapowaty, przerywając perorę majora.

Obrócili się wszyscy z podziwieniem, i spostrzegli głowę pana Mateusza wytkniętą przez zadymione okienko z gorzelni, i powtarzającą też same słowa. Podczas bowiem nie interesującej go sprzeczki o romansach, pan Mateusz wszedł do gorzelni, do której groblą po nad stawem cała kompania się zbliżyła; i tam odbywszy jeszcze gorętszą dysputę o pędzeniu wódki z kartofli między sobą, jako komisarzem starej daty, i sobą, jako nowym agronomem, skonkludował na wniosku, który w uniesieniu przekonania wykrzyknął przez okienko.

Major wytłumaczył podkomorzynie powód swej z panem Mateuszem sprzeczki, i wszyscy razem weszli do gorzelni.

Znaleźli tam starego łażącego po naczyniach i rusztowaniach i rozrzucającego wszystko.

— A cóż tu dokazujesz? panie Mateuszu!—zapytał major.

— Stosuję wszystko do planów pańskich—odpowiedział on tonem oznaczającym niewygasłą jeszcze urazę.

— Czyż plany moje każą wszystko rujnować i niszczyć?— rzekł major, umykając od beczki, która zepchnięta nieuważnie z góry przez pana Mateusza, toczyła się doń z impetem.

— A jużciż na kartoflankę potrzeba innego przyboru, czy, jak pan zowiesz, apparatu, który widziałem we własnej pańskiej gorzelni. Kocioł ten nawet, w którym pan przed kilkunastu laty siedziałeś, na banię przerobić wypadnie.

— Jak to, ja w tym kotle siedziałem?—zawołał zdziwiony major.

— A siedziałeś. Przypomnij pan sobie. Nieboszczyk jegomość odkupił go wnet po awanturze pańskiej od stryjaszka pańskiego, także już nieboszczyka—niech w kotle. . . tfu! chciałem powiedzieć, w niebie—spoczywają obadwaj! Dno tylko kilka razy odnowiłem, a boki też same.

— Prawda, prawda—rzekła śmiejąc się podkomorzyna. Pamiętam ten twój kłopot, majorze!

— Z którego, nie chwaląc się—dodał pan Mateusz—ja, jak mogłem, wydobyłem pana natenczas; a za to teraz. . . ale gdzie wdzięczność na tym świecie?

— Pamiętam i ja—mówił także major.—Jeżeli to ten sam kocioł, powinienbym go od pani na pamiątkę odkupić. Śmieszne

zdarzenie!—mówił dalej major.—Nieraz, opowiadając je później kolegom, i niedawno Leonowi, sam się naśmiałem. A jednakże wpłynęło ono na los mój, i na kilkanaście lat późniejszych mego życia.

— Jak to być mogło?—zapytała zdziwiona podkomorzyna.—Dotąd tego nie wiedziałam.

— A przecież najważniejszą pobudką, mego natenczas postanowienia, było uczucie moje dla pani!

— Jeżeli tak jest—rzekła ona, nie zważając jakoby na ostatnie słowa majora—jeżeli to zdarzenie śmieszne wpłynęło na kilkanaście lat życia majora, więc Leonie, oto gotowa treść do romansu w waszym teraźniejszym rodzaju. Stwierdź przykładem swoje rozumowania; napisz przynajmniej powiastkę ze zdarzenia twojego brata, a może mnie nawrócisz do swojej szkoły. Inaczej, panie, nie mam przekonania, a zatem i trwam przy swojem. Choćbyście mnie upartą ogłosić mieli, nie będzie to nowe płci naszej oskarżenie. Cóż na to? Leonie! Milczysz, więc przyjmujesz wyzwanie!

— O, nie, wcale nie. Na ten raz nie bierz pani milczenia, za zgodę—odpowiedział Leon.—Nie mam ja talentu autorów których bronię; a z nich żaden podobno nie utworzyłby choćby tylko powiastki ze zdarzenia nader błahego i z rzeczy nic nieznaczącej.

— Jak to nic nie znaczącej? Alboż nie wpłynęło, jak sam wyznaje, na los majora? Więc z małej przyczyny wielki skutek. A w twoim ulubionym *Fieldyngu* *) w twoim *Lesażu* **), w twoim niewyczerpanym bałamucie *Piganult'cie* ***), (autora Wawerleja, który wszystkie zdania pogodził i zjednoczył, jeszcze widać nie było), nie znalazłażbym scen równie błahych i śmiesznych, a przecież, jak mówicie, malujących prawdziwe czasy i obyczaje? Z niczego o wszystkiem! to mi to sztuka! a podobno moda i godło dzisiejszych genjuszów. Wszakże tylko-co mi prawił major jak z katedry, że autor szukać powinien prawdy we wszelkich czynach ludzkich, w czynach mądrości lub głupstwa, i przyczyn całej plątaniny towarzystw. Owoż gotowa przyczyna, która zaplątała życie jego, przyczyna z życia pospolitego, które z życiem wewnętrznem połączyć łatwo możesz. Jednem słowem, nie ustępuję ani kroku, i oto masz moje wyzwanie.—

— To mówiąc, zdjęła rękawiczkę i rzuciła ją Leonowi. Korzystając ze zręczności i straciwszy z uwagi cel dysputy, major ujął piękną rączkę wdówki i całował serdecznie. Leon dumał, czy ma podjąć powinność autorską? Czuł on, że podkomorzyna walczyła z nimi własną ich bronią; a niebardzo mu się chciało okazać się niezdolnym do napisania choćby tylko powiastki.

---

*) Autor *Dom Dżona*.
**) Autor *Gilblasa*.
***) Autor wielu romansów francuskich.

Podkomorzyna zaś, przybrawszy ton i postać heroiczną, rzekła:—Obyczajem dawnego rycerstwa, którego dzieje i tkliwych dziejopisów uwielbiam, wyzywam cię Leonie, na stwierdzenie dowodem zarzutów, któreś głosem i słowy ważył się przeciw nim objawić. Zakład mój leży przed tobą. Ośmielże się go podjąć?

Leon jeszcze rozmyślał, i milczał na kilkakrotne:—No i cóż?—wyzywającej; gdy brat jego, od którego odjęto już długo pieszczoną rączkę, zawołał:—Damyż się zwyciężyć? Leonie! Czyż ani kropli nie znajdziesz w sobie dowcipu na obronę własnego zdania? To być nie może!

— Pani! mówił więc major—gdy niespodziane twoje natarcie tak ogłuszyło Leona, że stracił zaufanie we własnych siłach, i gotów wydać na sztych reputacyę własną i przesławniejszych wieku naszego autorów, przeto ja, wspomagając go w tej niebezpiecznej dlań chwili, w jego imieniu przyjmuję wyzwanie, podnoszę zakład, i wzajemnie ogłaszam, że placem popisu będzie salon pani, a czasem, godzina jutrzejsza dziewiąta zrana. Lecz gdy Leon spełni warunki zadania, sprawiedliwość każe dodać, że pani wyznać się będziesz musiała zwyciężoną, i uledz zupełnie zdaniu naszemu co do romansów; a nawet spełnić warunki honorowego wynagrodzenia, jakie zwycięzca przeznaczyć raczy.

— Amen!—rzekł z uśmiechem zamyślony dotąd Leon.

— Nie! o, nie! nie zgadzam się!—zawołała podkomorzyna—wolę zrzec się zakładu; albo raczej zgadzam się na honorowe wynagrodzenie, ale dla obrażonych przeze mnie autorów; kupię ich wszystkie dzieła podług katalogu przez Leona ułożonego, i przeczytam. To, zdaje mi się, dosyć!

— Jak będzie, to będzie—rzekł Leon.—Zobaczymy jutro, co się komu należy, i co się komu wynagrodzi.—

Spójrzała nań przenikliwie podkomorzyna, chcąc się domyślić jego projektu; zadawała kilka rozmaitych pytań; lecz gdy żadne się nie powiodło, więc odłożywszy rzecz całą na jutro, wesoło wszyscy do wieczerzy zasiedli.



VI.

Powieść Leona.



Nazajutrz rano zastawiono w sali kipiący samowar. Piękna gospodyni, od kwadransa oczekując swych gości, przyrządzała herbatę. Wszedł major, a po niejakim czasie i Leon. Z oczu i cery znać było niewyspanego; ale w ręku trzymał zwój papieru, dowodzący, co go przez noc zajmowało.

— Punkt dziewiąta! — rzekła podkomorzyna (bo właśnie wybiła na zegarze). To mi rycerska słówność. Zacznijmyż od śniadania—i podając mu szklankę herbaty—Jakiż tytuł pańskiego dzieła?—zapytała.

— Żadnego dotąd—odpowiedział nowy autor.—Ponieważ pani z bratem moim jesteście bohaterami tej powieści, więc własnym dziejom nadacie, jeżeli zechcecie, i jakie zechcecie imię.—

— To szczególniejsza! A dewiza? czy tam godło?—

— To na co?—

— Jakto na co? Czyż w każdym prawie nowym romansie nie znajdujemy nietylko na początku, ale i nad każdym rozdziałem, kilku i kilkanastu wierszy? Jest to zwyczaj wyborny; jest to jak uwertura przed zaczęciem melodramu, który duchem muzyki obwieszcza treść sztuki.—

— Jeżeli autor przedsięwziął jaką prawdę moralną dowodzić w czynach—odpowiedział Leon—natenczas dobrze robi i właściwie, gdy cel swojego dzieła kładzie widomie i oczywiście na początku; zwłaszcza jeżeli wątpi, że układem i rzeczą objawi go i wyjaśni należycie; lecz taka potrzeba wątpię, aby do każdego rozdziału nieodbitą była. Jest to więc próżny literacki zbytek; jest to jak pozłota na oprawie książki, niedodająca ani mocy oprawie, ani zalety dziełu; a jeszcze pospolitszem porównaniem, jest to jak kieliszek likieru przed obiadem. Smaczny bywa wprawdzie, zaostrza jakoby apetyt; lecz niepotrzebny jest, gdy obiad dobry, bo on sam go obudzi; niepotrzebny takoż, gdy obiad niesmaczny, bo go nie naprawi.

— A więc bez dalszych dysput i wstępów słuchamy pańskiego dzieła—rzekła podkomorzyna.

— Dobrze—mówił Leon, rozwijając rękopis—Zamawiam pobłażanie i cierpliwość słuchaczów do końca bez przerywania, bo jeżeli przerywać będziecie . . —

— Ach! nudzisz już, Leonie! — odezwał się major —Wątpliwie coś i nieśmiało występujesz w szranki. Zaczynaj!—

— Leon więc czytał co następuje:

„Nadchodziły przenosiny nowo-złączonej pary państwa hrabiów Z. . w Gwiazdowie. Dostatek młodego, zwiększony znacznym, a co najbardziej brzęczącym posagiem młodej; chęć jej świetnego okazania się raz pierwszy w sąsiedztwie, którego odtąd wzorem i celniejszą miała być ozdobą; wzajemne przygotowania wszystkich na mil kilka w około mieszkających sąsiadek do wystąpienia jak najwytworniej w toaletach, ekwipażach, liberjach etc.; wszystko to obiecywało taki obchód, jaki, niestety! coraz rzadziej się wydarza. Stanowi on zawsze pewną epokę w okręgu, w którym zaświeci; a mnóstwo pamiątek miłych i niemiłych doń się uwiązując, długotrwałą zapewnia mu sławę.

W Stawiszewie wszystko było gotowo, prócz sukni, którą

o mil kilka w miasteczku powiatowem biegła w strojeniu płci swojej dama, dawno już uszyć była powinna. Dwóch do niej za wiedzą jegomościa, trzech mimo wiedzy jego biegało posłańców, których, to skutkiem niecierpliwości swojej, coraz to z nowemi informacyami posyłała szambelanowa. Nakoniec trzeba było posłać ostatniego po odebranie już skończonej roboty i dostawienie jej w całości na miejsce przeznaczone, to jest, na nieszpetną figurkę młodej stryjenki Adolfa.

Lecz możnaż było skład tak drogi, tak delikatny, powierzyć prostemu z wioski pieszkowi?—niepodobna! Prosić męża o wysłanie którego z wyższych oficyalistów, licząc od lokaja do prowentowego pisarza, prosić męża... trochę ckliwo... On dziś w złym humorze... Jednakże trzeba się odważyć. Więc z minką wdzięczno-pokorną szła, jak pokusa, do męża szambelanowa.

Przy samych drzwiach zeszła się z zamyślonym Adolfem, w tęż samą stronę idącym.

— Dokąd? Adolfie!—

— Do stryjaszka.—

— A po co?

— Mam doń maleńką prośbę.

— Prośbę! Łatwiej się skutek na jedną, niżeli na dwie razem otrzymuje prośby—pomyślała szambelanowa.—Wiesz co *mon cher!* odłóż to... —

Wtem niespodzianie wyszedł szambelan, i spostrzegłszy niejakiś ambaras w postaciach i twarzach obojga, zapytał: o co idzie? a nim odpowiedzieli, zadzwonił na lokaja i kazał mu zawołać pisarza, dodając, że ma go wysłać właśnie do tegoż samego miasteczka, do którego żona i synowiec trafiać zamyślali; lecz jakże w odmiennym celu!

Słysząc to Adolf, zaproponował siebie na zastępcę mającego się wysłać sługi, i pytającemu się o przyczynę stryjowi, odpowiedział szczerze, że ma zrobić sprawunki i odebrać nowy frak na przyszłe w Gwiazdowie przenosiny.

— Ach! to wybornie się składa!—dodała z radością stryjenka—pojedziesz na miejscu pisarza, kupisz co ci potrzeba, i moją odwieziesz mi suknię, bo właśnie miałam prosić męża, o posłańca dla sprowadzenia już dawno gotowej; a teraz przynajmniej będę spokojna, że mi ją niepotartą odwieziesz.—

Ach! bo piękna stryjenka była pewna, że, zanadto może jak na synowca, przywiązany Adolf szanować będzie jak relikwie jej sukienkę.“

— Autorze! przesadzasz—przerwał major.

— Nie, — rzekła podkomorzyna. Wiedziałam ja dobrze, że pan Adolf, sypiąc mi dusery, jak karmelki, zawsze dobry ich zapas dla swej stryjenki chował. —

— Co też pani mówi? Mogłemże .. —

— Dość, majorze! nie przerywajmy. Dalej, Leonie! —

„Jak relikwie jej sukienkę (kontynuował Leon).

— Ale co wam w głowie? Jak się Adolf zabierze, a bardziej jak wróci, na furmance prostej, która przywieść koniecznie musi wielki kocioł do mojej gorzelni? Pisarz prowentowy pomieści się jak będzie mógł; ale Adolf . . —

Tę zrobiwszy uwagę, wyszedł na chwilę szambelan; Adolf zaś myślał, jakby wyglądał w kotle, gdyby go jacy znajomi, lub, co gorsza, znajome spotkały?

— Cóż Adolfie! to ty nie pojedziesz? — odezwała się stryjenka do zamyślonego.

— Jakże jechać? Mniejsza o niewygodę, ale miarkuj stryjenko powrót jaki? w kotle! (i rozśmieli się oboje). Gdyby mnie kto spotkał . . . —

— — Wiesz co? — rzekła po krótkim namyśle dowcipna stryjenka — oto tak; wybieraj się stąd powoli, zamarudź aż pod wieczór; na dobrej trójce równo ze dniem staniesz na miejscu; przez cały dzień tam zabaw się; prześpij czas który ci od sprawunków zbędzie; i znowu zmrokiem wyjechawszy z miasteczka będziesz z nami razem pił herbatę w Stawiszewie, którą ci sama w nagrodę fatygi naleję. Zresztą jeżeli i porzucisz na miejscu to przeklęte kotlisko, cóż tam wielkiego? Pogdera trochę stryjaszek, przeprosimy go, i koniec. — Do tych propozycyj dodała najważniejszy argument, to jest, tak piękne, tak urocze spójrzenie, że mu Adolf sprzeciwiać się nie zdołał . . Spójrzenie to błędne. . . przymglone. . . a jednakże długie i niebezpieczne . . leżało jeszcze na zarumienionem licu Adolfa, gdy wrócił nagle stryjaszek i. . . dostrzegł to spójrzenie."

Tu podkomorzyna zwróciła oczy na majora. . . Czyż były takie, jak niegdyś stryjenki?. . . Były równie piękne, ale patrzały weselej i szczerzej.

Dodała potem, uśmiechając się: — Autor zaczyna łączyć życie powszednie, pospolite, z wewnętrznem; sprawdza swoją teoryę. —

Major pokręcał głową.

Leon czytał dalej;

„Pan Adolf, dwudziestoletni panicz, skończywszy szkoły"...

— A to, widzę, zaczyna się moja biografia — przerwał znowu major — słucham. —

„Skończywszy szkoły i otarłszy się koło uniwersytetu."

— Co to znaczy: otarłszy się koło uniwersytetu? — wrzasnął major. — Autorze! niech cię miljon!. . . Przepraszam panią, ale poszarpię tę jego ramotę, jeżeli mię tak pod różnymi względami spotwarzać będzie. Przecież lat dwa słuchałem Śniadeckiego, Stubilewicza, Jundziłła, i innych; jeżeli przytem nie zaniedbywało się wesołych a przystojnych zabaw, teatru naprzykład, wieczorów, kasyna, to dla odświeżenia spracowanego umysłu. . . —

— Długoby o tem mówić, jak się za czasów twoich przykładała młodzież do nauk; jak się potem, za sprawą jednego, w pilną i przykładną przemieniła. Treść to kiedyś do poważniej-

szego dzieła. Nie przerywaj mi jednak. *Finis coronat opus*; to jest, pani dobrodziejko: koniec wieńczy dzieło; a zatem niech pani nakaże milczenie memu bratu do końca; potem zaś, choćbyście i spalili ramotę całą, ani ja ani potomność gniewać się nie będziemy. —

„Otarłszy się koło uniewersytetu, (major milczał już, ale się marszczył), pan Adolf przybył do rodziców na parę miesięcy wolnych od nauk. A gdzież je lepiej i weselej mógł przepędzić, jak u bezdzietnego stryjaszka, który go lubił? jak u młodej stryjenki, którą on lubił? jak o mil parę od pięknej Zosi, w której się kochał od dzieciństwa“. . .

— Autorze! — przerwała teraz podkomorzyna — bajki prawisz. —

— Owszem, prawda, i najprawdziwsza prawda! — zawołał z zapałem major.

— No, już mniejsza o to — rzekła śpiesznie podkomorzyna, uląkłszy się uniesienia majora — słuchamy.—

„W której się kochał od dzieciństwa. Jakoż wnet ruszył do Stawiszewa; i przybywszy, odesłał konie do domu: stajnia bowiem stryjaszka była na jego rozkazy, jezdny kasztanek do wystąpienia do Zosi, stępak do polowania, i drążki do spaceru ze stryjenką.

Nie odmówiłby i teraz stryjaszek porządniejszego ekwipażu; a wróciwszy do pokoju, właśnie gdy miał mu to powiedzieć, trafił i ukłół się, jak szydłem w worku ukrytem, owym wzrokiem żony zawisłym na Adolfie. . . a lubo ona wnet się spostrzegając, zwiodła zeń uroczą źrenicę, jednak obudziła się w nierównowiecznym małżonku maleńka podejrzliwość, którą nieuważnie znowu podrażniła żoneczka mówiąc:

— No, mężu! Adolf zdeterminował się choćby już i na niewygodną podróż, bo to jest koniecznym moim interesem; i tak być musi — dodała jeszcze z tajemniczym uśmiechem, który wpadł także do serca mężowskiego i trącił je niemile.

— Ha! jeżeli tak jest — odezwał się po krótkiem zastanowieniu szambelan — to i dobrze. Niebawem nadjedzie furmanka. — I wyszedł z zachmurzonem czołem, wzajemny podobnież naprzeciw projektom Adolfa i żony, których się domyślił, spisek uknować, a które nie inne były, jak porzucić kocioł na miejscu, a odwieźć niepotartą sukienkę stryjenki.

— Stryjaszek podobno się gniewa. —

— Bądź spokojny — odpowiedziała. — Poczciwa to dusza. Kocha ciebie i mnie trochę lubi, więc długo gniewać się nie będzie. Tymczasem chodź do ogrodu — dodała, uderzając go figlarnie po ramieniu. — Uzbieramy ci zapas na drogę, a prócz tego ja sama pomyślę o twej wygodzie tam na miejscu.—

Jak wirtuoz podoba sobie niekiedy, próbując biegłości swego talentu i na nieogranym instrumencie, tak młoda i ładna kobietka lubi niekiedy próbować mocy swych wdzięków na sercach młodzieńczych, nie mogących jeszcze rozróżnić pozoru od prawdy i ulegających z równą szczerością i pozorowi i prawdzie. Stryjenka

dopuszczała się małej tej igraszki z tkliwem sercem synowca. Jej maleńkie i jakby poniewolne względy, pokrewieństwem spowodowane i okryte, jej kaprysiki i pojednania, jej rozkazy i podzięki, łudziły Adolfa, wtrącały się w jego uczucia; i zwiewały z serca jakby nagłem zdmuchnięciem czysty płomień dla Zosi tam gorejący, tak dalece, że omamiony nie wiedział on w takich chwilach, w której się z nich kochał."

— Doznałeś sam bezwątpienia takich chwil Leonie! — rzekła podkomorzyna. — Ten mały rys twój zalotności naszej a słabości, i wiary waszych głów i serc młodych, słabości, która im tyle częstokroć udręczenia przynosi, tak mi się zdaje prawdziwym, żeś go nie inaczej jak z własnego doświadczenia napisał; bo inaczej byłby to rozum nad lata. —

Leon się uśmiechnął.

Rys ten jego — rzekł major — może być i prawdziwym w ogólności, ale w zastosowaniu do mojej biednej, w kwiecie wieku zgasłej stryjenki, nie jest takim. I doprawdy, Leonie, gniewać mnie zaczynają twoje uwagi, i ta licencya autorska, której nadużywasz. Skąd wiadomość o moich wątpliwych uczuciach? po co uszczypliwe wspomnienia osoby już dawno nieżyjącej? *De mortuis aut bene, aut nihil*, panie autorze! —

Ciągle mi przerywasz — odpowiedział Leon — i jeszcze wtrącasz zdania, którym z przekonania zaprzeczyć muszę. Nie wiem, kto pierwszy tę twoją sentencyę powiedział; gdyby w nią tak wierzono i spełniano jak powtarzają, historyi natenczas, alboby zupełnie nie było, alboby tylko była nieprzerwanym panegirykiem tak złych, jako i dobrych czynów i ludzi. Mówić przykrą prawdę o żyjących rozmaite częstokroć bronią względy; ale o umarłych potrzeba mówić jak zasłużyli, właśnie dla nauki żyjących—

— Ani twoja powieść jest historyą, ani moja stryjenka osobą historyczną — odpowiedział uśmiechając się major.

— Dla tego też właśnie nie stosuj do niej zdań wysokich, któremi mię tylko z drogi sprowadzasz. Czemu nie możesz słuchać mojej powieści jakby zupełnie dla ciebie obcej? —

— A to mi wyborna perswazya! Pisze o mnie, i chce mi wmówić, że to nie ja. Daruję to wszystko młodości twojej. Czytaj dalej.

„Już druga połowa pięknej sierpniowej nocy, upływała gdy Adolf mijał zdaleka mieszkanie swej ulubionej Zosi, wlekąc się po błotnistej grobli trzema nędznymi podjezdkami. Niecierpliwił się dotąd swą powolną podróżą, bo widocznem było, że nie w nocy jak stryjenka projektowała, ale ledwo około południa stanie w miasteczku. Przeklinał ekonoma, że mu tak słabych koni i nieobrotnego głuptasa dostarczył na furmana, którego i łajał, i dawał półzłotki i prosił, aby jakkolwiek pośpieszał. Ale gdy ujrzał dach, pod którym Zosia spoczywała, dozwolił wlec się najpowolniej wychudłym szkapom, a sam w romansowe uniósł się dumania.

Poezyo! serc czułych opiekunko, kochanków oratorko i utrapionych pociecho! tyś na promieniu rannej jutrzenki spłynęła na kałamaszkę Adolfa; tyś go natchnęła. Twoje on słowa godząc z własnem uczuciem, takie dla swej lubej układał dzień dobry:

„Spoczywaj, o bóstwo drogie!
Niech myśl jak motylek złoty,
W uśpionej igrając duszy,
Słodko serce twoje wzruszy
Obrazem rajskiej pieszczoty!

A gdy pierwszy promień zorzy
W pięknem oku twojem błyśnie.
Niech na pierwszą myśl się wciśnie
I pierwszy obraz utworzy
Wspomnienie!....

Albo raczej niech ot właśnie,
Niechaj piorun w dom ten trzaśnie!....

Płomień w jasne wionął kłęby,
Oblał dachy i ścian zręby,
W dymie światłość dnia zgaszona.
Przebóg! gdzież ma ulubiona?....
Nie masz jej!... W płomię się rzucam,
Znajduję martwą; ocucam;
Przez płomienia jasne kłęby,
Przez oblane ogniem zręby,
Przez duszący pożar srogi,
Dla jej życia gardząc swojem,
Na mem sercu, na mem łonie
W bezpieczne niosę ustronie,
I nad czystym składam zdrojem!!!
Jeszcze martwa — jeszcze blada...
Lecz pomału twarz dziewicy
Iskrę życia zapowiada.
Omdlałe cucą się zmysły...
Pierś obudza się westchnieniem...
Głos się tłumi rozrzewnieniem...
I w zroszonej łzą źrenicy
Wdzięczność... i... miłość zabłysły."

— Dla Boga! majorze! — rzekła śmiejąc się podkomorzyna — jaki niebezpieczny dowód miłości dać mi chciałeś! Życzyć mi nieszczęścia...

Major uśmiechał się także, pokręcił palcem na czole, i wskazał na brata.

— Nieszczęścia? — odezwał się ten. — O, nie! wcale nie! Ale życzył Adolf, a przynajmniej życzyć natenczas mógł sobie szczęścia stania się wybawicielem swej ulubionej. Jest to tak zwyczajna chęć młodych, tak ją sam często miewam, (jeżeli pani

chcesz szczerego wyznania), że i on ją mieć musiał. Przypuszczam więc to, co jeżeli nie było, to być było powinno. Jest to symptomat prawdziwej miłości, poświęcającej ochotnie i bez namysłu życie dla pozyskania choćby jednego tylko spójrzenia kochanki, miłości rycerskiej. Podkomorzyno! nie prawda? a nawet nieurojonej, bo prawdziwie mówi pani Stael w którymś ze swoich romansów, że w opisaniu miłości pierwszej a prawdziwej przesadzić nawet niepodobna. Nie prawdaż, Adolfie, że twoja była taką?... —

— Ach! prawda!... — wykrzyknął on znowu.

— A więc odkręć palcem na czole. —

— Tak! — mówił z zapałem major — poświęciłbym i wtenczas i teraz... —

— Cóż dalej? — przerwała znowu zakłopotana podkomorzyna. Ej bo ta twoja powiastka!... Czytajże już przynajmniej. —

„Przybył więc Adolf do miasteczka. Wraz na początku stała wielka karczma, otwarta jak paszcza smoka, mająca połknąć każdego przybywającego. Konie, spostrzegłszy ją zdaleka, ostatnich sił dobyły i rzeźwiej pomknęły; gdy nagle we wrotach zjawił się żyd, i rozkrzyżowawszy ręce, krzyczał: — Tu kamedye! tu kamedye! Nie można! nie można! — Ale trójka, upragniona odpoczynku, leciała pędem; żyd ledwo mógł umknąć z drogi, a zdziwiony Adolf wjechał kałamaszką na parter“...

— Koniec rozdziału pierwszego — rzekł Leon, składając rękopis.

Słuchacze zdawali się namyślać nad recenzją; ale Leon nie dał im czasu do wymówienia, co myśleli; bo ledwo major rzekł — panie autorze! twoja powieść ma coś niedojrzałego — gdy Leon zaczął rozdział drugi.

VII.

Trupa błędna.

„Serce, które prawdziwie swoje więzy czuje,
Tyle zna miłość ważną, że z niej nie żartuje;
Owszem, nią zaprzątnione, nią całe zajęte,
Czci ją tylko westchnieniem, jako bóstwo święte.“ —

„Deklamowała na scenie, to jest, na rusztowaniu z tarcic na łokieć od ziemi podjętem, młoda i ładna kobietka.

Posłyszawszy wiersze z komedyi Zabłockiego: Fircyk w zalotach, w której rolę Fircyka grywał po kilkakrotnie na amatorskim teatrze w Zaborzu, i zgadując, że trafił na próbę, Adolf w dwóch susach prosto z kałamaszki był już obok niej, i z żywem uczuciem, tak jak rola wymagała odpowiedział:

— Czy tak? Nic łatwiejszego! Wyroki twe cenię;
Kończę żarty, i czułe zaczynam wielbienie.

Masz mię pani dla siebie odtąd hołdowniczym;
Lecz gdy stracę wesołość, zostanę przy niczem.
Ten tylko miałem w resztkach majątek na zbycie.
Żądasz więcej? mam jeszcze krew w żyłach, mam życie.
Lać ją będę do kropli, ważę się na wszystkie
Razy śmierci, harmaty, spisy, kordy płytkie,
Niech będę postrzelany, skłóty, ztratowany,
Dość szczęśliwy, jeżeli od ciebie kochany...
Na co żebym zasłużył, niechaj moją panią
Zniewoli to najżywsze rąk ucałowanie!...
Niech mi wolno ssać słodycz z tej śliczniuchnej dłoni.—

I stosownie, jak mówił, całował piękną rękę podstolinej (będę ją bowiem nazywał imieniem jej roli).

Umykając powolnie rękę, i wpatrując się w nowego aktora, a przystojnego chłopca — Cóż to jest?... — rzekła ona z zadziwieniem.

Adolf znowu:

— Uważam? pani wstydem płonie?
Cóż w tem złego? Uczciwe godzą się zaloty! —
—Nie godzą się! Tak tylko postępują trzpioty!—

rzekł, rozsuwając z gniewem Fircyka z podstoliną mężczyzna w szaraczkowym fraku, podżyły, porządnej tuszy, nizki, łysy, i w jednej ręce trzymający perukę, a w drugiej egzemplarz próbowanej sztuki.

— Przepraszam — odpowiedział Adolf. — to nie pan mówić powinieneś, ale piękna podstolina. Pan może grasz Arysta? —

— A tak, Arysta. —

— To pan jesteś mężem Klaryssy; a cóż do pana należy podstolina? —

— Tak, na scenie; ale proszę wiedzieć, że indziej, i zawsze, i wszędzie, jestem mężem tej pani, która już piękne oczki do pana robi, nie wiedząc, kto i co jesteś? A więc na pierwszą znajomość powiadam ci jak Aryst:

— A wiesz ty, mospanie Fircyku,
Że ja wyprawiam takich gości na patyku.
Do innych arwan-katu ni bronię, ni radzę,
Ale od żony wara! bo przez kij przesadzę.

Adolf na to:

— No, no, nie byłbyś dzieckiem i bajów nie prawił.
Zostaw nas tu na chwilę... —

Kilku aktorów i aktorek, stojących na scenie, zaczęło się śmiać ze swego zazdrosnego antreprenera.

— Głupiś ze swoją zazdrością — ozwała się podstolina do

męża. — Przypadek zapewne, szczęśliwy, zsyła nam tu wybornego, jak widzę, aktora; a ty, cobyś miał przyjąć go z otwartemi rękami, zrażasz wraz swoją niedorzecznością. Niech pan nie uważa na tego ciemięgę... Zacznijmy na nowo próbę, a potem się bliżej poznamy. —

— Ależ wraz zapewne przybędzie pan Anzgary. Wiadomo, że to jego rola. Trupa moja jest pełna. Nowy aktor, nowy koszt.—

— Jako pierwszy raz występujący na dzisiejszą reprezentacyę, żadnej nie żądam nagrody. Dość mi będzie szczęścia — dodał ciszej do podstoliny — że z panią grać będę. —

— A ja oświadczam tobie — rzekła ona stanowczym tonem do męża — że z tym panem wraz po reprezentacyi umowę uczynić muszę; bo ja z twoim pijakiem Anzgarym odtąd żadnej roli grać nie będę, w której go ten pan zastąpi. —

— Byle tylko mojej nie zastąpił — odrzekł z przekąsem Aryst. Lecz nie uważając nań Adolf, kontynuował próbę od pierwszej sceny, z niejakimi jednak warjantami, stosownymi do okoliczności.

— Żyjąc w wielkim świecie.
Wiem, jak czcić piękność, jak się podobać kobiecie.—

I znowu ciszej dodał: — O bodajby mi się to dziś powiodło! —

— Czy tak rzeczywiście było? — zapytała podkomorzyna majora, nie przerywając czytania.

Major się uśmiechnął. Podkomorzyna pogroziła nań wdzięcznie paluszkiem.

Leon czytał:

„Gdy pani stąd wyjedzie, ja za nią w też tropy,
Drugi wierny Ulisses dla swej Penelopy.
Z tą jedynie różnicą, że tamtego nawy,
Mnie mój wóz.... nie!.. los przy tobie nieść będzie łaskawy*)
W drodze bawić cię będę. Szemrzące strumyki,
Drzewa liściem szumiące, kwilące słowiki,
Będą to wielbiącej cię natury odgłosy!
Komuż, jeśli nie tobie, ukłonią się kłosy?
Komu kwiaty i ziółka lubej natchną woni?
Komu zefir chłód sprawi? powieje fawoni?
Dla kogo wierne echa zejdą na doliny?
Odgadnę ja ich celu — hołd to podstoliny!..
Mając humor tak słodki, grzeczny, żartobliwy,
Żebym cię nudził, byłbym bardzo nieszczęśliwy! —

— Trzpiot jakiś! — przerwał zniecierpliwiony antreprener. — Dla czego pan zawsze zastępujesz śliczną podstolinę? To

---

*) W oryginale: „Mnie mój Hektor angielczyk unosił cisawy.”

nie Aryst mówi — rzekł, udając również zniecierpliwionego, Adolf.

— A tak — rzekła ona — ja powinnam odpowiedzieć. — I odpowiedziała z przymileniem:

— Co za bałamut z niego! co za trzpiot! lecz luby... —

— Niechże was zresztą i kaci porwą! — wrzasnął Aryst, ciskając o ziemię perukę i seksternik. — Przynajmniejże powiedz: kto jesteś? i skąd przybywasz? *Unde venis? quo tendis?* —

— Jestem uczniem szkoły dramatycznej warszawskiej. Odwiedzałem familię moją w tych stronach, i dowiedziawszy się, że sławna trupa artystów mojej professyi przybyła do tego miasteczka, stawię się tu, ofiarując mój słaby talent na usługi. —

— A to co innego! — Wnet stanął w kroku pan antreprener, i ukłoniwszy się manierą kawalerów dworu Ludwika XIV — Honor mnie tedy — rzekł — równie jak i artystów, którym przewodniczę, spotyka, gdy w gronie naszem... —

— Porzuć — przerwała żona — porzuć te androny. Wiesz kto jest ten pan, to i dosyć. Ponieważ będziemy razem, to i poznamy się. —

— Nie przeszkadzaj wasani — rzekł orator, wstrząsając głową i zamrużywszy małe swe oczki, głęboko pod kulistem czołem wklęsłe — nie przeszkadzaj wasani uroczystemu powitaniu dostojnego gościa, którego akceptując .. akceptując którego... (znowu zamrużył oczy i wstrząsł głową; widać, była to ulubiona akcya jego przy teatralnych perorach), mam honor wzajemnie rekomendować się. Jestem Euzebijusz Kwetko — — notabene i z głową i z kredką — antreprener ..

— W kłopotach *) — dokończyła podstolina. — A ja, mówiła dalej, dygając z miłym uśmieszkiem — jestem Emilja .... Emilja Pięknicka: bo nie chcę być panią Kwetkową. Śliczne mi nazwisko! —

— Nazwisko pani doskonale odpowiada osobie — rzekł Adolf.

— Tak, jak Kwetko doskonale odpowiada tej figurze księżycowego oblicza i żółwiego kształtu. Więc mimo fatalnego małżeństwa, zostaliśmy każdy przy swojem. —

— Moja pani! — perorował pan Kwetko — pracuję, aby nazwisko to (wstrząsnął głową, i z zamrużonemi oczami, a ze wspaniałym gestem wykrzyknął): w potomności słynęło!... —

Śmieszna postać jego stokroć śmieszniejszą była w takiem uniesieniu.

— Dalsza prezentacya! — wołał on, nie zmieniając głosu ni postawy. — Zbliżajcie się po jednemu. —

A gdy wszyscy śmieli się i stali na miejscu, porwał pierwszego bliższego za rękę i ciągnął przed Adolfa.

— To jest Kaim! prezentuję, to Aksur, Król Ormus. Bas,

---

*) Jstnieje komedyo-opera pod tytułem: Antreprener w kłopotach.

tenor, kontralt, wszystko w jednem gardle! To, chwytając z rzędu, nasza primadonna—nie! nie! Secundadonna, bo moja żona, to prima-donna—to, chciałem powiedzieć, Aspazja. — A gdy ta, wyrwawszy rękę, uciekała za kulisy, wrzasnął: Aspazjo! gdzie się kryjesz?... —

— Słuchaj ty *Buffo Carricato!* — przerwała mu żona — czy ty chcesz grać komedyę bez publiczności? —

— Niechże przynajmniej afisze — mówił, nie spuszczając z tonu antreprener — niech afisze ogłoszą publiczności nową, świetną akwizycyę naszą, że uczeń szkoły dramatycznej warszawskiej wystąpi dziś po raz pierwszy w roli Fircyka w zalotach, sławnej komedyi (zamrużył oczy i trząsł głową) nieśmiertelnego Franciszka Zabłockiego! Gdzież sufler? Niech pisze! Gdzież podział się sufler?

— A ja tu, krótko mówiąc, ja tu — odezwał się głos chropowaty i nosowy z budy, ale nie suflerskiej, lecz z budy kupieckiej, wielkiej, długiej i szerokiej, stojącej na parterze obok kałamaszki Adolfa, i całej nakrytej płótnem malowanem w fale.

— Morze, krótko mówiąc, przeciekło w drodze — krzyczał sufler — Tezeusz zmokł do nitki, sułtan Wampun pękł, Tankred rozkleił się, a Ksymenę i Alzyrę, krótko mówiąc, przesuszać trzeba; z ogniów zaś bengalskich i błyskawic, kasza.—

— Gwałt ja nieszczęśliwy! — zawołał Kwetko — zgubiony jestem! Dziś imieniny pana horodniczego, wspaniałego protektora naszego w tem mieście. Po reprezentacyi miałem cyfrę jego w transparencie oświecić ogniem bengalskim, dotąd tu niewidzianym; a teraz cóż ja poczne! Zniskąd nie mam pomocy! Dawno mówiłem; i sami jadąc widzieliście, że morze dziurawe. —

— Do nas należy pływać po niem — odpowiedział Kaim — a do pana, łatać je. —

— Koncept z pierza! Chodźcie waspanowie lepiej ratować garderobę! —

Przerwał ratunek garderoby i dalszą próbę posłaniec od pana horodniczego z oznajmieniem, że za pół godziny czeka on z obiadem, na który wczoraj jeszcze całą trupę zaprosił.

— Będziemy służyć — odpowiedział pan Euzebijusz — i proszę powiedzieć szanownemu protektorowi naszemu, że zaprezentujemy mu nowego kolegę, przybyłego do nas prosto z Warszawy.—

Odszedł posłaniec.

— Daruje pan — rzekł Adolf — że nie będę towarzyszył do pana horodniczego. Jechałem całą noc, potrzebuję więc, zwłaszcza przed reprezentacyą wypoczynku. —

— Co tam! Wyśpisz się jutro — odpowiedział antreprener. Dobry obiad, bratku, to nie bagatela w naszej kondycyi. A będzie wyśmienity, bo to imieniny, i gości jest wiele. A że dzisiej-

sza reprezentacya na benefis mojej żony, więc po obiedzie pan horodniczy z benefisantką biletami traktować będą. Idź, kolego. idź, proszę cię! — i uściskał kordyalnie Adolfa.

— Ponieważ to benefis pani, tem usilniej przygotować się muszę; odczytam rolę, bo na próbę, jak uważam, nie będzie czasu; a zatem na obiad nie pójdę, mój panie Euzebijuszu! —

— I w rzeczy samej — rzekła podstolina — bez próby będzie trudno Mnie także odechciało się tego obiadu. Idź ty sam, mężu i wyekskuzuj nas. —

— A, co z tego, to nic nie będzie. Oto pięknie! wczoraj przyrzekłaś, a dziś inaczej. Zresztą kiedy dziś benefis nie uda się, co jutro jeść będziemy? a bez kwesty obiadowej pewnie się nie uda.—

Spójrzała wzrokiem nielitościwym na męża piękna podstolina, niekontenta zapewne z objawienia takiego niedostatku przed obcym.

— Prawisz jak na mękach. Nakoniec ponieważ przyrzekliśmy, więc pójdziemy. Trzeba się zatem ubrać. Do widzenia się. Jakże mam pana nazywać? — zapytała Adolfa.

Usłyszawszy to imię, powtórzyła je kilka razy i odbiegła za kulisy. Za nią kilka jeszcze aktorek, którym przypatrzyć się Adolf nie miał czasu.

— A suflera, krótko mówiąc czy prosił pan horodniczy? — wrzasnęła ruda głowa, z morza wytknięta.

— Nie — odpowiedział antreprener.

— A cóż ja tu będę jeść? krótko mówiąc. —

— Masz tu w karczmie śledzie i obwarzanki. —

— Piękne przysmaki! krótko mówiąc. —

— Rozwieś wasan tymczasem garderobę, i na miłość Boga przesusz ognie bengalskie, których koniecznie dziś użyć potrzeba.—

— Oj! oj! wszystko na mojej głowie, krótko mówiąc. —

Gdy się wszyscy postroili, Adolf podał rękę ładniejszej jeszcze w świeżej toalecie podstolinie. Pan Euzebijusz, zakrywszy peruką łysinę, we fraku czarnym, opierając się trzciną ze złoconą gałką, jakby godłem swego dostojeństwa, szedł poważnym krokiem na czele kawalkaty z dziesiątka osób obojej płci złożonej przez miasteczko.

— Z tą właśnie trzciną w ręku grywam niektóre poważne role, i dziś Arysta grać będę. To trzcina historyczna, mój panie! — mówił on, odwracając się do Adolfa, i szedł dalej.

— Czy pani ubrana już jak na scenę? Jakżeś ładna! — rzekł zcicha Adolf do swojej towarzyszki

— O, nie! wcale nie! Najprzód znikłaby illuzya, gdyby podstolina była tąż samą zupełnie figurą, która obiad z widzami jadła; a powtóre, dla pana chcę się ubrać tak, abyś się naprawdę we mnie zakochał — rzekła, uśmiechając się ponętnie. — Czulej grać będziesz role kochanków.

— Na to już mię pani dostatecznie usposobiłaś.“

— Autorze! — przerwał major — kto sam taki, ten po drugim daje znaki. —

Nie zważając na to ofuknienie brata, pokryte uśmiechem podkomorzynej, Leon czytał dalej:

„Pan Euzebijusz, oglądając się po kilkakrotnie niespodzianie i niespokojnie, przerywał tę maroderję romansową. Nakoniec doszli do bramy pana horodniczego, u której Adolf pożegnał swą piękną towarzyszkę i powrócił do teatru.“

VIII.

Nowy aktor.

„Gdy wchodził Adolf do karczmy, spostrzegł jeszcze jedną kałamaszkę na parterze, a suflera rozwieszającego po żłobach przemokłą garderobę, i rozmawiającego z niejakimś sampanem, wyciekłym a chudym, w krótkim po kolana, granatowym niegdyś, wązko go opinającym surduciku, i w ceratowym kaszkiecie na głowie; a ponieważ Adolf sam niepostrzeżony z profilu nań patrzał, ujrzał więc na twarzy jego nos niepospolitego kalibru i znaczenia; tylko, że zdrajca ten zastosował się kolorem do surduta, a tak rodził zwyczajne w takim razie podejrzenie i tłumił wrażenia lawaterskich spostrzeżeń, któreby bez tej jego barwy chlubnie na stronę właściciela tak znakomitego nosa uprzedzały.

— Jak to? — mówił ten jegomość, kontynuując zaczętą przed przyjściem Adolfa rozmowę — uczeń szkoły dramatycznej warszawskiej? a czy go tu djabli przynieśli? —

Adolf, słysząc, że o niego rzecz się toczy, przechylił się za drzwi.

— A tak — odpowiedział sufler — i krótko mówiąc, panie Anzgary, oświadczyła ona, że żadnej roli grać nie będzie z wasanem, w którejby wasana ten fryc mógł zastąpić. —

— Tak! bo widać będzie on miał inne jeszcze role. . . Ale niechaj sobie! Publiczność nas rozsądzi . . Jednakże wiesz co? Mosanie Samuelu! żyjemy jak bracia od tylu lat. Ten golec, wiercipięta, może mnie zasłużonego sługę Melpomeny skonfundować. Niemiło na starość z pierwszego aktora zostać figurantem. O, znam ja warszawczyków! Trzeba go więc na pierwszym wstępie podstrzelić. Dopomóż przyjacielowi, jak to już nieraz ci się udało: daj bąka w suflowaniu razy ze trzy w pierwszym akcie. Zmięsza się panicz, i zmięsza scenę, rozśmieszy publiczność. Krzykną, że nie umie roli, i musi potem z nami spuścić z tonu. —

— A pięknież to na kolegę robić takie spiski i zasadzki! — odezwał się Adolf, wychodząc z za drzwi.

— Oho! masz tobie!. . . . i on tu!. . . . — jąkał zakłopotany pan Anzgary. — No. . . *mea culpa*! Cóż robić? Bo też i pan przybywasz nieproszony i nastajesz na moje stare zasługi.

— Bądź spokojny, panie Anzgary! rzekł, podając mu rękę, Adolf — pogodzimy się łatwo. A tymczasem, dla lepszego zaznajomienia się, proszę obu ichmościów z sobą do izby. Zjemy podróżne śniadanie, podczas gdy nasza trupa u pana horodniczego się częstuje. —

— Krótko mówiąc, zgoda. —

— Gdy pan tak wspaniale zapominając urazy, ofiarujesz jeszcze posiłek, którego łaknie dusza a raczej ciało moje, to i owszem. Zmachałem dziś więcej pieszo, niż jazdą — mil ze trzy. Licho mi dało wczoraj na popasie zasnąć tak twardo, że obudziłem się aż w wieczór . —

— Podaj wódki jaką masz najlepszą! — zawołał Adolf na usłużnego żydka, który się kręcił wszędzie i zaglądał we wszystkie kąty.

— Ale flaszę pełną — dodał pan Anzgary — i kieliszek nieskąpy. Taniej panu przyjdzie, gdy cały sztof weźmiesz. Na kieliszki, to drożej, i mniejsze dają. *Experto crede*, panie dobrodzieju! —

— Niech i tak będzie — rzekł Adolf; a poznał, że zdrajca nos pana Anzgarego niezawodne dawał *testimonium*.

— Dubelt-cynamonówka! — wykrzyknął on, biorąc flaszę z rąk żyda — a właśnie mam szczególniejszą słabość do cynamonówki! Trafiłeś więc w słabość moją, perło synów Izraela! Zaczynajże panie w Imię Boże! —

— Nie pijam nigdy wódki — odpowiedział Adolf — robię pana gospodarzem. —

— A więc za zdrowie fundatora! do wasana, panie. . . . . —

Przerwał toast wchodzący młody człowiek, którego wprowadzając żydek — oto ten pan rzekł, wskazując na Adolfa.

— Jak to? pan Adolf — zawołał ten, stawając zdziwiony na środku izby.

— Ach to ty! mój Jasiu! — wykrzyknął wzajemnie Adolf. — Cóż cię tak dziwi? —

Pan Jan, był to sekretarz horodniczego, a syn zasłużonego ekonoma u rodziców Adolfa. Nagradzając poczciwość sługi, oddali oni syna jego, wraz z własnym, to jest z Adolfem, do szkół; i gdy po ukończeniu nauk szkolnych Adolf pojechał do Wilna na Akademję, Jaś poszedł szukać losu na świecie, i przyjął *ad interim* pierwsze, jakie się nadarzyło, miejsce, ufając w Bogu, że praca i cierpliwość doprowadzą go do godniejszego placu i do kawałka chleba.

— A cóż tak stoisz jakbyś skamieniał? — rzekł Adolf. — Chodź, uściśnijmy się po tak długiem niewidzeniu się. —

Młody człowiek rzucił się w ręce Adolfa, z przystojnem jednakże uszanowaniem: od dzieciństwa bowiem i w szkołach nawykł go uważać jako swego panicza i jako syna swoich dobroczyńców. Lat dwa rozdziału nie wymazało w sercu jego poczciwem uczuć dziecinnych, dla tego łzą odpowiedział na uściski Adolfa.

Po tem czułem przywitaniu — Cóż to ma znaczyć? — zapytał sekretarz. — Panu horodniczemu powiedział antreprener, że tu przybył nowy i młody aktor szkoły dramatycznej warszawskiej, który na obiad doń razem z całą trupą iść nie chciał; a lubo żona ekskuzowała go, że zmęczony podróżą i potrzebuje odpoczynku, jednak tem bardziej pan horodniczy ciekawy i uparty, posłał mię, abym tego przybysza zapytał o pasport, i jeżeli go ma, zaprosił na obiad, jeżeli nie ma, zaprosił do kozy.

— Powiedzże, mój Jasiu, grzecznemu panu horodniczemu, że ani tam, ani tam nie pójdę.

— Dobrze. Ale jakże się stało, że pan uchodzisz za aktora przybyłego z Warszawy? —

Adolf opowiedział, śmiejąc się, panu Janowi historyę swego przybycia do karczmy, i niewinnego podstępu, przez który uchodzi za ucznia szkoły dramatycznej warszawskiej, gdy rzeczywiście był tylko uczniem amotorskiej Zaborskiej trupy.

— A więc wasan — rzekł sekretarz, obracając się do pana Anzgarego — może zastąpisz pana Adolfa na obiedzie u pana horodniczego? —

— Co nie, to nie. Wolę tu zostać z zacnym amatorem i protektorem, jak uważam, dramaturgii, i przy tej cynamonówce, z którą gdy rozprawa do mnie należy, przeto w ręce pana sekretarza dobrodzieja! —

— Dziękuję. Nie pijam. —

— Sekretarz horodniczego wódki nie pija! — ozwał się, wzruszając ramiona, pan Samuel. — krótko mówiąc: fenomen.

— Żegnam więc pana — rzekł pan Jan do Adolfa. — Czekają mnie. Po obiedzie wraz wyjechać muszę do Mińska w interesie pana horodniczego. Niech Bóg stokrotnie odda panu dobrodziejstwa, jakie od rodziców pańskich odebrałem. —

Czułe uściski zakończyły pożegnanie młodzieńców.

Adolf rozkazał żydowi podać króbę przez stryjenkę w pieczyste, pierogi i inne podróżne łakocie sowicie uprowidowaną.

Pan Samuel, spostrzegłszy wszystko na stole, i jakby na zakąskę pierniki ze smażonemi gruszkami pożenione — specyały! krótko mówiąc, specyały! — zawołał.

— Przystąpmyż do nich — rzekł, dając przykład Adolf.

— Wprzód jednak, za pozwoleniem pańskiem, łykniem jeszcze z panem Samuelem. — Wśród smakowitego posiłku bliższa zawiązała się komitywa. Pan Anzgary coraz był weselszym i wymowniejszym; coraz to nowe anekdoty teatralne płynęły mu jak z rejestru.

— Co tam prawisz ciągle o innych? — rzekł zapalając fajkę

Adolf, gdy żydek zbierał nakrycie. — Mów o sobie: kiedy naprzykład, i jaką koleją, zacząłeś służyć Melpomenie?

— Ach! panie długoby o tem mówić. . . . Judaszu Iskaryoto! co chcesz czynić? — nagle wykrzyknął, wyrywając flaszę z rąk żyda, który, rozumiejąc że wódka nie potrzebną po obiedzie, chciał ją przyjąć.

Najpierwszy warunek, panie dobrodzieju — mówił pan Anzgary — aby ta cynamonówka ze stołu nie ustępowała. — *Si plus bibissem melius dixissem* — powiedział tam jakiś orator. Otoż i ja upewniam mego pana, że i po tym oto hauście, który za zdrowie pańskie *iterum* spełniam . . Gdzież pierniczki? Zakąsić zawsze należy . . Ach! to ty, Samuelu, ty, żarłoku, pozbawiłeś mnie słodyczy, którąm umyślnie na rozkosze dla podniebienia mego zostawił. Samuelu! bodajbyś się piernikiem udawił! —

Apostrofę tę i następne, jakie się wymykały panu Anzgaremu, deklamowane przezeń patetycznie, jakby na scenie, dowodziły nałogu w nim aktorskiego, a rozśmieszały Adolfa.

— Otoż i po tym hauście jeszcze wymowniej — kontynuował pan Anzgary — dzieje mojego błędnego żywota opowiem panu. A jeżeli zaschnie w gardle, to wypadnie uczynić toż samo... co i teraz czynię . .

— Ale nim w gardle, tymczasem zaschnie we flaszy.

— No, panie dobrodzieju, ledwo w połowie jeszcze, a zatem pociągnie, pociągnie. —

— Trzeba, abyś pan wiedział, żem sługa, a raczej ulubieniec dwóch bóstw razem: Melpomeny i Apollina

— Bodaj i trzeciego: Bachusa — przerwał Adolf.

— Krótko mówiąc — dodał pan Samuel — pijak!

— Samuelu! — najpatetyczniej wznosząc ręce w górę, zawołał Anzgary — Samuelu! gubisz mię na reputacyi! . . . —

— I że, gdy pociągnę z butelki, (bo bez tego i trzech przeliczyć nie umiem, co właśnie i teraz czynię), wzlatuję na parnas. Mam już zaczętych z piętnaście tragedyj, z tyleż dramatów, a komedyj bez liku; tylko że dokończyć jakoś nie dają się. Ale z czasem, i gdybym znalazł jakiego mecenasa dobrodzieja, któryby mi chleb powszedni bez pracy, i tej kochaneczki (pstrykając po flaszy), w miarę wszakże udzielał, możebym, jak drugi Feliński, w którego Barbarze ja, jak mię pan widzisz, ja, grałem Augusta w Lidzie, a Bonę w Wiłkomierzu . . —

Ależ do rzeczy, mości ulubieńcze Feba i Melpomeny! do rzeczy — ozwał się Adolf.

— A prawda, do rzeczy. Masz pan dobrodziej racyę. A ponieważ rzecz sama i essencya jest tu, więc raz jeszcze stuknąć na zaczęcie nie zawadzi. No, teraz dobrze! O czemże to mam mówić? Aha! mam tedy zacząć moją historyę. Krótka, panie dobrodzieju, krótka, ale węzłowata. Wszelakoż aby godna była dostojnego słuchacza, wezwijmy natchnienia moich bóstw opiekuńczych.—

Stanął w kroku pan Anzgary, wzniósł znowu oczy i ręce w górę, i z zapałem zawołał:

O Febie! któryś w niebie! i ty Melpomeno!
(Brawo! owoż zacząłem oratorską weną).

— Ten ostatni wiersz coś mi przypomina.... zaraz.. zaraz...

— Ukradłeś go — rzekł Adolf — z Amfitryona, z roli Sozyi *),

— A prawda! prawda! Jak pan wszystko pamięta! To mi amator! — Tu wpadając w entuzyazm, porwał flaszkę ze stołu, i stawiając na podłodze, jak Sozyo latarkę, deklamował:

To pokój, gdzie mam wpadać gońcem,
Ta flaszka niech będzie Alkmeną.
Pani! twój Amfitryo przysłał mię tym końcem,
(Brawo, owoż zacząłem oratorską weną),
Tym końcem przysłał mię tu, abym ci wesoły
Zwiastował tryumf jego nad nieprzyjacioły! i t. d.

Zapomniawszy się pan Anzgary zupełnie, przedeklamował cały monolog Sozyi; a że zabawną rolę oddawał z prawdziwym talentem, nie tylko mu więc zdziwiony Adolf nie przeszkadzał, lecz owszem, umiejąc na pamięć całą tę sztukę, służył za suflera, gdy pamięć aktorowi chybiała; a gdy ukończył, dał mu huczne oklaski.

W omamieniu pan Anzgary kłaniał się układnie na wszystkie strony, jakby całemu parterowi, i z ukontentowaniem nakoniec wykrzyknął: — A co? panie dobrodzieju! czy źle? —

— Wybornie!

— Nie chwalimy się, ale nie powstydzilibyśmy się i w jakiej stolicy. Kochany Zabłocki; niezrównany! jedyny Zabłocki! Nie okradłem ja go wszelakoż, jak to pan powiedziałeś, nie! Sam mi ten wiersz drugi wpadł na pochwałę pierwszego; a cokolwiek samo w naszą przechodzi własność, złodziejstwem nie jest. Maksyma to, panie dobrodzieju, za którą idą nie tylko autory i aktory, ale, i ważniejsi praktykanci na scenie świata

— Panu Anzgaremu nie zbywa widzę na dowcipie. —

— Nie chwalę się, panie dobrodzieju, nie chwalę się ale możebym i na co lepszego zdał się niż na towarzysza cygańskiej naszej włóczęgi. Cóż jednak robić? *Sic fata tulerunt!?* Dla czegoż wreszcie mam poniżać sam siebie, i stan, który dobrowolnie obrałem? Czyż i w nim nie można być sławnym i wielbionym? Czyż nie słyną Garryki, Talmy? a u nas czyż zapomną kiedy Bogusławskiego, Werowskiego, Żółkowskiego, Skibińskiego, i innych? A nakoniec nim sobie na wielkie imię zapracuję, tymczasem do-

*) Komedya Zabłockiego.

brze mi w moim zawodzie. Bez troski, choć często bez chleba. Dziś tu, jutro tam. Z rana prosty pan Anzgary, wieczorem król, hrabia, wódz, czuły kochanek .. a nawet częstokroć i w istocie bywam tym ostatnim, kiedy jaką piękną zawerbujemy aktoreczkę; nie na długo wszakże, nie na długo, bo stałość nie liczy się do moich przymiotów. Słowem, do stanu mego przywiązany szczerze; nadzieją biedę słodzę. . .

Tu zatrzymał się w opowiadaniu, jakby szukał czegoś w pamięci. . . na raz potem zaśpiewał:

I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez butów chodzę!

Znowu mię o złodziejstwo oskarżysz. A wiesz pan co? oto, przychodzi mi często projekt ułożyć jaką sztukę z wybieranych wierszy z rozmaitych sztuk i splecionych razem. Tak naprzykład: w ogromnym salonie, rozłożywszy, ileby tylko nazbierać można, tragedyj, komedyj, oper, dramatów, czułych poezyj, złych czy dobrych, byle wierszem, jak się dobierają i układają rozmaitego koloru kamienie do mozaiki; tak wybierać po jednym wierszu, i spajać w jeden ciąg, zapełniając osnowę sztuki. Byłoby to wcale nowe *potpourri*, i nigdy upaśćby nie mogło, bo naprzód wybierałoby się co najlepszego; a gdyby nareszcie jaki wierszyk i ze Złotej Wolności chwycić przyszło to tuż obok zastosowany drugi z Barbary, Ludgardy, albo też innej podobnej, naprawiłyby wszystko; i widz, nimby syknął Kiszce, musiałby klasnąć Felińskiemu. Cóż pan na to? Samuelu! Samuelu! — zawołał dalej, nie czekając odpowiedzi Adolfa — ty śpisz! (bo w rzeczy samej sufler siedzący na kanapie spał w najlepsze), ty nic nie czujesz! ty nie przyjmiesz z rąk przyjaciela tego nektaru niebieskiego, tej ambrozji, którą śpiekłe me usta ożywić pragnę! Spoczywajże! spoczywaj! niech ci bogowie najrozkoszniejsze suflują marzenia! a ja sam jeden za ciebie i za siebie . . . szarpnę z Alkmeny.—I szarpnął bez kieliszka tak, że już we flaszy mało się zostało . . Stał potem niejaki czas w milczeniu.

— Panie dobrodzieju! — rzekł potem niepewnym już językiem — odłożmy na jutro akt drugi komedyi mojego żywota. Teraz trudno mi zaprawdę. . . trudno. . . Samuelu — wykrzyknął znowu:

— Samuelu! używaj Morfeja opieki,
Z tobą piłem . . . przy tobie niech zawrę powieki . . . —

Jakoż usiadł obok pana Samuela i drzemiącym językiem ledwo wymówił: — Kurtyna zapada. —

Adolf rozśmiał się, i poszedł ułatwić swoje interesa u krawca, a stryjenki u szwaczki.

IX.

Przed Reprezentacyą.

Gdy wrócił Adolf, znalazł już całe grono dramatyczne z powrotem od horodniczego.

Pan antreprener był właśnie na drabinie i przybijał na belce ramy naciągnięte białym papierem, na którym, wielka cyfra, z sinego cukrowego papieru naszyta, jaśnieć miała w przezroczu na cześć solenizanta.

— A otoż i nasz artysta i uczeń szkoły dramatycznej warszawskiej. —

— Witam pana dobrodzieja! — zawołał on.

— Oho! poznałem ja wnet lisa! A czy będzie pan dziś występował? he! he! —

— Dla czegoż nie? tembardziej, że pański nominowany Fircyk, pan Anzgary, nie wiem czy się ocknie do jutra? —

— Pan go spoiłeś, i suflera razem. Piękny figiel! ale koszt daremny! Już my znamy naszego Anzgarego. Pijany nawet grałby wyśmienicie; a tu jeszcze do reprezentacyi kilka godzin. Suflera zastąpimy łatwo. A tak pójdzie wszystko jak z płatka. Pan zaś kupuj bilet bez ceremonii, bo gratysówek dla nikogo, tem bardziej dla pana, niema. Przestrzegam także prześwietną publiczność, że za kulisy się nie wchodzi. . . . Rozumiesz mię pan?. . . Panie Feliksie! podaj mi jeszcze dwa ćwieki, i windujcie rusztowanie dla Marsa i dla Minerwy, bo widzi pan, tak ułożyłem *tablo*: Mars i Minerwa trzymać będą cyfrę pana horodniczego, jakoby to alluzya do jego męztwa i do jego sapiencyi; a genjusz sławny w górze trochę a *latere*, to jest, z boku, z trąbą, ogłasza niby to światu te jego przymioty. Piętnaście biletów dziś rozdał na obiedzie. A jakiż obiad! na trzy dni jestem syt. . .. Sam dwa dukaty, dając przykład gościom, benefisantce na talerzu położył. To mi człek! mospanie! Nie żal dlań głowy nad siurpryzą połamać! . . Czegoż stoisz? mazgaju! — rzekł dalej do żyda, kontynując swoją mieszaninę rozkazów i uwag. — Przynoś i zawieszaj na belkach w stodole swoje świeczniki; po dwadzieścia świeczek w każdym. Jakie oświecenie! . . Żyrandole, mospanie, żyrandole! . . . A pan każ swojej kałamaszce ustąpić z parteru, bo wraz zedle dla publiczności wnosić będą. Moja buda, to co innego. Onaby i za lożę służyć mogła. —

— W takim razie przerwał Adolf — żłoby w pańskim teatrze ujść mogą za paradyz. —

— I zgadłeś pan, bo ulicznicy miasteczkowi, płacąc po pięciórce od nosa, stać będą w żłobach, a zatem osły zajmą właś-

ciwe sobie miejsce. A pan dokąd — zapytał nakoniec odchodzącego Adolfa.

— Pozwolisz, że się twojej pozalecam żonie —

odpowiedział ten słowami Fircyka.

— Oho! jest tam załoga: pan horodniczy. Rozprawcie się zatem. On dukatami za bilety sypie. Zobaczymy, kto z panów wspanialszy. To szlachetna emulacya. —

— He! he! he! zaintrygowałem sztuczkę! — mruczał za odchodzącym. — Rywale kłócą się, romans przerwany, heroina w kłopocie. Rozwiązanie: koniec konkurów i dukaty w kieszeni. —

Wszedł Adolf do izby, w której zostawił był i znalazł znowu śpiących aktora i suflera. Dwa jeszcze były pokoje, a w nich cała trupa odpoczywała i bawiła się wesoło po obiedzie pana horodniczego, który siedział przy Emilii, to głośno, to na ucho, słodkie jej prawiąc zalecanki.

Skoczyła ona z kanapy naprzeciw Adolfa, śmiejąc się —A witamy — rzekła — zacnego ucznia szkoły dramatycznej warszawskiej! Pięknież to tak mię oszukiwać? — dodała, grożąc figlarnie.

Na te ponętne fochy Adolf znowu uciekł się do Zabłockiego i odpowiedział słowami Fircyka.

— Jak Parys dla Wenery porzucił niebianki,
Tak ja wszystkie dla ciebie rzucam warszawianki. —

— Dobrze to i dowcipnie, ale powiedz mi pan tylko szczerze — mówiła, patrząc niespokojnie w oczy Adolfowi — gdyby ten pijak nie przywędrował, cobyś pan zrobił? —

— Grałbym z panią Fircyka — odpowiedział tonem i twarzą niedopuszczającą żadnego powątpiewania.

— Na honor? —

— Na honor. —

A wszakżeby pana poznano.

I cóż stąd? Lubię teatr, szanuję talenta; a jeżeliby głupcy wzięli mi to za złe, toć o ich zdanie nie dbam, gdy we własnem mem przekonaniu znajduję pewność, żem nic uwłaczającego sobie nie uczynił, a ujął kłopotu poczciwym ludziom. —

— I zjednał ich wdzięczność i prawdziwe uwielbienie — dokończyła Emilja, ściskając z rozrzewnieniem rękę Adolfa. — Wierz mi pan, dodała obracając się do horodniczego — kto z pozoru ludzi nie sądzi, ten sam jest pewnie zacnym człowiekiem. Pan się zaś dwa razy okrutnie omyliłeś: wziąłeś tego pana za włóczęgę i chciałeś go do kozy zaprosić, a mnie. . . —

— Mam nadzieję. . . — przerwał horodniczy.

— Może pan mieć nadzieję — wzajemnie przerwała mu pod-

stolina — bo nadzieja ma liczne potomstwo. —

Horodniczy przygryzł usta, spójrzał z ukosa na Adolfa i brał się za kapelusz, gdy wszedł pan Kwetko z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

— Wybornie! wyśmienicie! Nic nie powiem, ale siurpryzka na czyjeś imieniny będzie taka, jakiej ta imościna nie widziała.—

Pan horodniczy uśmiechnął się kwaśno i wyszedł. Resztę czasu do reprezentacyi zabrało przygotowanie i toaleta.“

X.

Za kulisami.

„Jest jedno wyrażenie w języku francuskim nader trafne i właściwe, które na polski język równie dobitnie i szczęśliwie wytłumaczyć się nie daje.“

— Jakież to? — przerwała czytającemu podkomorzyna.

— *Arrière pensée.* —

— Nic łatwiejszego: myśl najskrytsza. —

— To każdemu przychodzi; a jednak nie jest toż samo, bo *arrière pensée* jest myśl, która od najskrytszej głębiej jeszcze przedzielona zasiekiem siedzi w kątku, jak zaklęty ostatni dukat w naigłębszym i nieodgadnionym potajemniku szkatułki. Bywa ona niekiedy w niespodzianej wycieczce na czole, na licu, w oczach, ale nigdy na ustach. Kochanek radby ją zgadnąć w sercu swej lubej; dyplomata, ukrywając własną, wykradłby ją z głowy przeciwników; wie on bowiem, że ona tam jest, jest koniecznie; chory upatruje jej w wyrazie twarzy doktora, za puls go trzymającego, i radby uwierzył, że jest nią pocieszające: Będziesz pan zdrów; handlarz koni szuka jej napróżno w przysięgach podobnego sobie cygana etc. etc.: bo w takich poszlakach nieskończonym być można. Rozumiecie mię szanowni słuchacze! więc dość mi na tem; a biegłym słowo-twórcom na próbę ich dowcipu zostawuję ten twardy orzech do zgryzienia.

Otoż „za kulisami“ jest *arrière pensée* korporacyi aktorów, całej reprezentacyi sztuki, a nawet pomysłów nie jednego z widza. Tam wszystkie pożyczone dostojeństwa i splendory, błyszczące na scenie, tracą fałszywą wartość; tam brylant — szkiełkiem, złoto — folgą i szychem; wszelkie namiętności wielkiego rozmiaru, znaczenia i wielkich skutków, wzburzone i rozpłomienione na scenie, tam o dwa kroki, za kulisami, nagle drobnieją, i sparodyowane powszednieın użyciem w błahe mienią się poswarki, samym kontrastem śmieszne, tak, że najczęściej gdy tragedya na scenie, komedya za kulisami.

Tam też strzelał okiem i pan Adolf, oczekując okazania się

na scenie podstolinej. Ujrzał ją wkrótce, lecz z nią razem ukazał się i Fircyk, to jest, nawpół wytrzeźwiony pan Anzgary, we fraku Adolfa tylko co przyniesionym przez krawca.

— Ha! nic dobrego! — pomyślał Adolf. — Zedrę mu bez ceremonji po pierwszym akcie mój frak. Co za poufałość! Gra wyśmienicie, ale jakże nieuważnie szasta. Splami go lub rozedrze. Poczekaj, zacny ulubieńcze Apollina i Melpomeny! Widzę, że i Merkurego rzemiosło nie jest ci obce; ale ja z ciebie zrobię Maryusza. —

Jakoż wnet po zapadnięciu zasłony poszedł za kulisy. Przeciskającemu się przez zakamarki tam wiodące, zawaliło progę szubrawstwo, malcy rozmaitego kalibru, uciekający od płoszącego ich trzciną antreprenera.

— Co to jest? mości Aryście! — zapytał Adolf.

— *Castigo mores,* panie dobrodzieju! i tym sposobem, a najskuteczniejszym bez wątpienia, uczę *mores* tych łotrzyków, którzy, nie chcąc płacić pięciórek, przez strzechę tu się spuścili. A do żłobów szersznie! — szeptał z przyciskiem *castigando mores* nieobyczajnej trzody. Założył potem przed Adolfem kij we drzwiach jak rogatkę i — *non licet!* — rzekł.

— Właśnie też będę uważał na twe zagrody — odpowiedział Adolf, odrzucając trzcinę. — Zapłaciłem dukata za bilet, takiego, jak i pan horodniczy; a do tego, mogę całą reprezentacyę w niwecz obrócić, odbierając bez ceremonji frak mój od Fircyka, w który się bez dozwolenia ustroił. . . —

— No, no, to wielbiciel pański. Dozwól mu pan dokończyć roli; a za to ja dozwalam panu. . . —

— Umizgnąć do pięknej podstoliny — przerwał Adolf.

— Hola! hola! — Zamrużył oczy, i trzęsąc głową — to swawola, to swawola! — wymawiał tonem napominającego sensata. — Nie; wcale nie. Dozwalam panu wejść i . . wyjść. Zresztą rozpatrz się pan tylko w nas. Emilka grająca Klaryssę daleko piękniejsza od mojej żony.

— Kłamiesz, ladaco! — odezwała się podstolina, odpychając męża. — Jam ładniejsza; i ten pan dowiódł tego swym gustem. Precz! —

— Jegomość! sznur pękł i obłoki spadną — zawołał wtem zcicha maszynista.

— Bodajbyś sam pękł — rzekł z gniewem Kwetko, odchodząc śpiesznie, a oglądając się z ukosa na pozostałą parę. —

Tymczasem na scenie zakrytej przed publicznością każdy swoje robił interesa: ten się przeglądał w kieszonkowem źwierciadełku, mizgał się i podmalowywał palonym korkiem wąsiki i hiszpankę; tamten czytał rolę naprędce, której się niedouczył; Klaryssa podróżowywała się i podkręcała loki, a pan Anzgary wyniósł z zakulisy flaszkę i częstował kolegów; co spostrzegłszy sufler w budzie, — krótko mówiąc — odezwał się — jestem już na swojem miejscu. —

Gdy pan antreprener, jak drugi Atlas, podpierał obłoki, na parterze niecierpliwe zaczęło się stukanie—publiczność miasteczkowa tak dobrze zna swoje prawa, jakby i stołeczna; więc wpadł on na scenę i rozpędził czeredę. Maszynista stanął przy sznurze od zasłony. . .

Adolf znając zwyczaj teatralny, i nie dając czasu panu Euzebijuszowi do rozprawienia się z sobą, klasnął trzy razy w dłoń. Maszynista pociągnął sznur - kurtyna w górę—scena otwarta. Antreprener został za kulisami na drugiej stronie.

Reprezentacya podwójna.

Świstak i Pustak, *) antreprener, Adolf i podstolina za kulisami. Reprezentacya na scenie głośna, za kulisami na migi.

Adolf trzyma za rękę podstolinę i coś do niej mówi z przymileniem, cicho i bardzo cicho (nie wolno odezwać się!)

Pan Euzebijusz z drugiej strony grozi palcem, trzęsie głową.

Adolf całuje rękę podstolinej.

Pan Euzebijusz ścisnął zapamiętale kułaki, rozkrzyżował się i boksuje niemi w powietrzu. Adolf i podstolina śmieją się. Parter sypie brawo Pustakowi.

Podstolina, nie odejmując jednej ręki z rąk Adolfa, drugą opiera mu na ramieniu i cała się doń jakby mdlejąca pochyla.

Euzebijusz wścieka się; stoi na jednej nodze i kułak swój kąsa, a drugą ręką chwycił trzcinę i wywija nią jak szablą. . .

— Aryst na scenę—szepnął wtem sufler.

Akcya się odmienia.

Aryst gra rolę zazdrośnika na dwie żony; deklamuje z zapałem; oczy i głowę do pierwszej za kulisy, figurę do drugiej na scenie obracając; nie psuje to jednak gry, bo mu nadaje postać przywiedzionego do rozpaczy męża, nie chcącego nawet spojrzeć na przeniewierczą żonę.

A r y s t.

No, dalej! nie przeszkadzam, dokończ panie młody. . .
O Boże! co ja widzę? co widzę? Także to
Uczciwie postępujesz ty niecna kobieto!

F i r c y k.

. . . . . . Nic złego nie spostrzegłeś po niej.

A r y s t.

Nic złego nie spostrzegłem? albo to jest mało,
Że się z takim, jako ty, bawi świszczypałą?

*) Dwaj lokaje.

Alboż to jej nie prawisz andronów tysiące,
Czem, jeśli nie największem bałamuctwem tchnące?
I ja na te z krwią zimną patrzałbym swawole?
Cóż na to? Mościa pani! Prawda w oczy kole!...

Klaryssa.

Mój mężu! żal mi ciebie. Szanuję twe błędy;
I jeśli ci wybaczam, przez te tylko względy,
Wiedz jednak: gdybym nasze chciała plamić łoże,
Lepiejbym cię oszukać potrafiła może.

Żona z za kulis pokazuje na migi, że się zupełnie zgadza na tę odpowiedź. Adolf przyłożył dwa palce do czoła i ukłonił się Arystowi.

Aryst (z największą passją).

Oszukujże do licha, kiedy o to idzie,
Ale niech mąż o twoim nic nie wie bezwstydzie!
Co też to za świat teraz! Nie rozumiem, jeźli
Można sobie wystawić, jacy to ludzie źli!
O fatalne romanse! romanse niestety!
Wyście nam pokaziły młodzież i kobiety!
Lecz kiedy gust już taki, kiedy tej morowej
Zarazy parą wszystkie zawrócone głowy,
Niechże do licha mają na te szkodne jady
Czterech złodziejów ocet — Augustyna rady.
Niech żyją jak chcą sami, niech żyją bezbożnie,
Lecz niech będzie uczciwość, niech będzie ostrożnie...
Chyba że się z plebanem moim nie zobaczę.
Czego on co niedziela na kazaniu płacze?
Uroił sobie w głowie ten fantastyk czysty
Jakowychś libertynów? jakoweś deisty!
Po co to? Niech się raczej tem ozwą ambony;
Mężowie bądźcie lepsi! poprawcie się żony!
Z uczciwością nasz honor nierozdzielnie spięty,
Kto jest człowiek poczciwy, już za życia święty.

Musiał to czuć głęboko, co mówił, i oddał wyśmienicie; a może znalazł sympatję w parterze, bo mu huczne sypnęły się oklaski. Adolf zaś i Emilja, śmiejąc się serdecznie na migach dawali mu brawo.

— Podstolina na scenę — szepnął sufler.

Adolf więc, unikając czekających go od zazdrośnika wymówek, i na los szczęścia porzucając frak swój, poszedł na parter. Reprezentacya sztuki zakończyła się wyśmienicie; ale gdy po niej oczekiwane zajaśniało przezrocze, i gdy za niem pan Euzebijusz

zapalił ognie bengalskie, mocny od nich dym siarczysty rozszedł się po stodole Więc kaszel i kichanie sypnęły się zamiast oklasków, a przekleństwa zamiast powinszowań solenizantowi.

Na dobitkę ktoś z tłumu odezwał się. — Ten warjat karczmę zapali! — Przestraszona zatem publiczność wzruszyła się razem i hurmem wycisnęła się przez wrota."

XI.

Katastrofa i powrót.

„Nie potrzeba nigdy wymawiać złych proroctw, bo można trafić na feralną godzinę, która je ziści. Na taką bodaj trafił ten, kto dusząc się dymem ogniów bengalskich, krzyknął. — Ten warjat karczmę zapali! —

Adolf, po reprezentacyi zabawiwszy jeszcze czas niejaki w towarzystwie aktorów, nie mógł się oprzeć potrzebie choć krótkiego spoczynku; a że, podług instrukcyi stryjenki, postanowił porzucić kocioł na miejscu, niewiele więc frasował się o czas, w w którym mijać miał rezydencyę Zosi.

Oddawszy zatem grzeczne dobranoc Emilji, a nawet związawszy się słowem, że nie odjedzie bez pożegnania, o co nawet i udobruchany mąż jej upraszał, na odstąpionem mu uprzejmie, jedynem w pokoju męzkim, łóżku, które dobrem prawem do antreprenera by należało, przysposobił sobie jakiekolwiek posłanie, i z głową na węzełku, w który zebrał swą od pana Anzgarego odebraną i podróżną z siebie zdjętą garderobę, owinięty szlafrokiem, zasnął głęboko.

— Pożar! pożar! pali się! Gwałtu! Ratujcie! ratujcie! . . . —

Wrzask taki rozbudził Adolfa; ale rozmarzonemu się zdawało, że mu śni pożar; i gdy odurzony krzykiem, olśnięty łuną i duszony dymem poznaje niebezpieczeństwo, a nie wie, gdzie się rzucić. . . . porywa go silna ręka wpół, pcha nagle i prawie wynosi na ulicę. —

Tam przy świetle od pożaru, prawie dziennem, poznał Adolf ratującego siebie pana Anzgarego. I w sam czas przypadł ten ratunek, bo karczma stara i słomą kryta cała była w płomieniach; a przepalone belki jedna po drugiej zapadały.

— Otoż to ognie bengalskie i siurpryzy pana Euzebijusza! Ot i morze spali się. . . — mówił Anzgary.

Zgiełk był okropny z powodu pożaru.

— Ach panie Anzgary! — rzekł Adolf—czyż to pora do żartów? Czy nie możnaby raczej coś uratować? —

— Trzeba umieć, panie dobrodzieju, żartować z biedy, kie-

dy jej zaradzić nie podobna. Masz pan tu jakąś króbeczkę, którą uważałem żeś bardzo troskliwie pielęgnował, a zatem ją razem z panem schwyciłem. Ratując ją, rozumiałem, że tu pańskie pieniądze, ale cóś dyabelnie lekka. O reszcie ani myśleć. Patrz pan, po oknach płomień lata. —

— Tracę garderobę... — rzekł z niejakąś niespokojnością patrząc na siebie Adolf.

— Tu sułtan Wampun, Cyd Rodryg, i tylu bohaterów i heroinek, tracą swoją garderobę, a pan swego fraka żałujesz! Ja nic nie tracę. *Omnia mea mecum porto.* Jakem się położył, tak się i porwałem na odgłos pożaru. Ale pan jesteś panicz, wygodniś! więc rozebrałes się sobie szczęśliwie. To jeszcze dobrze, żeś butów nie zrzucił.

— Cóż się dzieje z Emilją? — zapytał Adolf przerywając to paplanie. — Gdzież ona? —

A!... przecieżeś pan o niej przypomniał! Zdrowa! Powyskakiwały wszystkie oknem jak kozy. Nawet miały czas powiązać i powyrzucać tłomoki, a przeniosły się z nimi do karczmy na drugim końcu miasta, gdzie pan Euzebijusz układa już zapewne plan do reprezentacyi na zysk pogorzelców. Emilja zapytała mnie o pana, tak, jak pan teraz o nią, tylko trochę wcześniej, i, prawdę mówiąc, troskliwiej. — Ach! Jezus! — krzyknąłem ja — on śpi! — i skoczyłem w ogień. —

Adolf uścisnął mu rękę; a to było wymowniejsze podziękowanie nad wszelkie słówne; i czując się jeszcze bardziej obowiązanym Emilii, pociągnął za sobą Anzgarego, aby ją koniecznie wynaleźć. Ale gdy się wcisnęli w tłumy; nie byli panami swej woli i kroków. Pożar stał się okropnym i coraz nowe zajmował domy. Cała ludność wszelkiej wiary, wieku, stanu i płci, wypłoszona z domów wrzeszczała, uciekała, niosła tłomoki, lub uwoziła ruchomości na bryczkach i kałamaszkach Pan horodniczy stracił głowę, bo szło mu razem o ratunek i całego miasteczka, i własnego domu; wciskał się więc w tłuszczę, roztrącał, tratował, łajał, dawał rozkazy jedne drugim przeciwne, których nikt nie słuchał... Żydowstwo wyło, chrześcijaństwo klęło, a gęsto wzywani dyabli na ognistych wiechach słomy i iskrzących się ożogach przelatywali, zda się, z dachu na dach i tańczyli w płomieniach.

Trudno więc było przebrnąć ciasne, gorejące i zaduszone tłumem uliczki, a nawet utrzymać się razem Adolfowi ze swoim towarzyszem. Jakoż oderwany odeń pan Anzgary zginął w tłumie, a Adolf z króbeczką w ręku został, nie wiedząc co począć i gdzie się podziać... gdy wtem pociągnięto go za szlafrok. Obrócił się i spostrzegł swego woźnicę.

— Paniczu! jedźmy — rzekł on.

— Ach! to ty! Gdzież nasz wóz? —

— Stoi caluteńki na końcu miasteczka. —

Nie było czego namyślać się. Westchnął jednak, wspomniaw-

szy na biednych aktorów, a szczególniej na Emilję, i przeciskając się, szedł za furmanem.

Doszli nakoniec do wozu... Kocioł nieszczęśliwy był na nim i z kałamaszki zwyczajnej, rozczepionej teraz do dna, zrobiła się budá z ogromnem pudłem.

Projekta więc Adolfa znalazły się zniweczonymi, bo włościanin wiozący go, mając surowy przykaz od komisarza zabrania koniecznie kotła i zapłacenia kotlarzowi, z wieczora jeszcze spełnił to oboje; a po tej gorliwości jego poznał Adolf, że propozycyi nawet powrócenia do palącego się miasteczka i zostawienia kotła w pożarze, robić mu naprożno nie należało.

Pomyślawszy więc nieco, zapytał: — Czy nie ma jakiej dróżki przez manowce do domu? —

— Ja o żadnej nie wiem — odpowiedział woźnica — a choćby i była jaka, któż po lasach i błotach jeździć będzie w nocy? Chybaby nas, paniczeńku, dyabeł wodził! —

— Czy miniemy dwór podstolego jeszcze w nocy? —

— I tego nie wiem, paniczeńku! To półtora mili, a dziesięć pudów i funtów szesnaście przybyło ciężaru. Ale chwała Bogu deszcz zaczyna, ugasi może pożar. Leź panicz do budy.

Słuchaj — rzekł mu nakoniec Adolf — jeżeli miniesz w nocy dom pana podstolego, dam ci rubla. —

— Powiedz paniczu dla czego? Czy to zaklęty dwór? A kiedy zaklęty, to lepiej omijać go w Boży dzień. Ale kiedy panicz chcesz go prędzej minąć, to i siadaj prędzej.

Adolf jeszcze raz zwrócił wzrok na miasteczko.

Wrzaski tam coraz przeraźliwsze rozlegały się.

Deszczyk kropił wprawdzie rzęsisto, nie tak jednak, aby mógł zalać płomień po suchych i starych dachach i domach latający błyskawicą. A zatem ulokował się nakoniec w kotle dobrze ochroniony od deszczu, nie mogąc na zupełną niewygodę narzekać.

— Co to za futro?—zapytał siadając Adolf i znajdując je przy sobie.

— To kurtka lisia pana komisarza, którą mi od krawca odebrać kazał.—

Ruszyli. Furman, podochocony obietnicą, nie żałował bicza, podróż więc z początku szła sporo; ale wkrótce groble błotniste opóźniać ją poczęły; a coraz chłodniejszy wietrzyk zwiastował blizką zorzę i zimny poranek.

Adolf uciekał się natenczas do lisiej kurtki pana Mateusza i włożył ją na szlafrok. Wnet dobroczynny wpływ ciepła objął go i powieki się ociężać zaczynały! nakoniec znużenie dwóch nocy i zwyczajna przedporanna senność skleiły je zupełnie... Co mu się śniło? nie dochowało podanie, a raczej pamięć bohatera tej powieści. Co by mu się śnić mogło? tego domyślićbyśmy się potrafili, i ozdobić, a przynajmniej przedłużyć powieść naszą fantastycznem, mglistem, dziwacznem, łudzącem a razem wieszczem marzeniem, w którem zwykle bardziej i głębiej bredzi na jawie

myśl autora, niżeli wyobraźnia śpiącego. Ja jednak niedoświadczone pióro trzymając na wodzy, opuszczam domysły, i dozwalam spać spokojnie nie tylko Adolfowi, ale i jego furmanowi, bo i ten rozpoczął także poranną drzemkę, przerywaną tylko kiedyniekiedy machinalnem smagnięciem koni, które.

Niosąc, karki, i uszy, i głowy spuszczone.
Zdawały się szanować te ciała uśpione *)
W tem nagle huk okropny zdala się odzywa...

Lecz nie uprzedzajmy kolei wypadków.

Wlokły się więc szkapy po błocie, i przywlokły się do dróg rozstajnych...

O dobry genjuszu zakochanych! zawróć konie na prawo!... zawróć! a uchronisz młodzieńca od konfuzji, która zwróci także drogę życia jego w niespodzianą stronę... Od tej chwili przyszłość jego zawisła... Niestety! instynkt koński los jego w tym momencie determinuje... W prawo minie dwór podstolego zdaleka; w lewo!... Konie stanęły — wzięły bodaj na rozwagę ważny krok, który postąpić miały.

O dobry genjuszu! rozbudź przynajmniej woźnicę... jeszcze pora... Ach! fatum się spełnia... Woźnica, nie otwierając oczu, smagnął po koniach... poszły na lewo!

Wloką się jeszcze czas niejaki...

Wtem nagle huk okropny zdala się odzywa
I głosem przeraźliwym powietrze rozrywa,
A kocioł z swej czeluści odpowiedniem echem
Brzmi jak trąba, i śpiących obudza z pośpiechem.
Im w głąb, serca samego krew zbiegła przez żyły;
Grzywy się osrożonym koniom najeżyły;
A zły los, srożąc bardziej ich czoła ponure,
Tuż przed wozem straszliwą wytacza figurę... **)
Podstoli —

Ach! tak! był to podstoli, ojciec Zosi; a ukazanie się jego okropniejszem było dla Adolfa, niż morskiej poczwary, dla Hipolita i jego rumaków.

— Stój! chłopie! — krzyczał on — stój! Co to wieziesz! Kocioł jakiś. Skąd? dla kogo?.. A tu co we środku? Coś kosmatego się rusza! coś żyjącego! Tfu! człowiek czy bies? —

— Na cóżby ja biesa woził? tfu! — odpowiedział furman. — To nasz panicz. pan Adolf. —

— A dalibógże to pan Adolf! — rzekł zdziwiony podstoli, poznając odwracającego się ku sobie. — Cóż to jest? co tu ro-

---

*) Naśladowanie narracyi *Terancena* o śmierci Hipolita w tragedji Fedra Rassyna, tłumaczenie Chomińskiego.

**) Ibidem Fedra.

bisz w kotle? Cha! cha! cha! (rozśmiał się do rozpuku) cha! cha cha! cha! to jakaś awantura! —

— Żadnej — odpowiedział opryskliwie Adolf. — Miasteczko B . . . w którem nocowałem dziś, spaliło się, i w pożarze straciłem garderobę, a z palącej się karczmy ledwo w szlafroku wyratować się mogłem. Niech mię więc pan nie zatrzymuje.

— Jedź! —

— Stój! chłopie! — krzyknął znowu podstoli — stój! Cha! cha! cha! Kto cię weń wsadził?. . . Zosiu! Zosiu!

A Zosia, używając świeżego ranku, sama świeża i ładna jak poranek, chodziła po ogródku pod oknem domu, przez nią pielęgnowanym."

— Dziękuję za piękny komplement — przerwała podkomorzyna.

„Zosiu! — wołał podstoli — chodź, chodź tu! zobacz swego kochanka w kotle. —

Podstoli, najpoczciwszy i najlepszy na świecie, ale rubaszny i krotofilny człowiek, ani domyślając się nawet, jakie udręczenie sprawia Adolfowi, wołał córki, aby się naśmiać razem.

Nie przyszło mu do głowy, że miłość młodzieńca dla Zosi o stokroć podnosiła w jej obecności jego miłość własną; że kochany chciałby wszelkimi sposoby swą powierzchowność ozdobić, we wszelkie doskonałości się ubrać przed wejrzeniem swej lube, że Adolf, lubo dojrzalszej głowy od innej młodzieży, lecz tem samem delikatniejszego taktu i drażliwszej wyobraźni, dotkliwiej i boleśniej odczuć musiał ten nieprzystojny sposób okazania się oczom kochanki".

Uszlachetniasz, autorze — przerwała podkomorzyna — błahe zdarzenie życia pospolitego, wiążąc je z życiem i wrażeniem wewnętrznem; wypełniasz swój program. Złapałam cię na uczynku. —

— Tak, pani! — odrzekł Leon — wypełniam mój program, tylko nie tak mechanicznie, jak pani sądzić zdajesz się, ale wypełniam, „szukając prawdy duszy, serca i namiętności, złączonych w prawdzie codziennego życia, a służyć mającej za dowód, że miłość cnotliwa jest także „prawdą."

Zręczne to było i dowcipne przerwanie lektury Leona przez podkomorzynę, bo miało na celu dać jemu i Adolfowi poznać, że rozbiór sentymentalny uczuć Adolfa pojmowanym jest przez nią jako sposób autorskiego kunsztu, uszlachetnienia i zainteresowania powieści, nie zaś jak rzeczywiste opisanie stanu jego serca. Stąd naturalnie miała się zwrócić podkomorzyna do źródła, z którego projekt powieści wyniknął, i z zimną rozwagą układając recenzję onej, dysputować znowu o romansach, a zejść z niebezpiecznej drogi, po której ich autor prowadził.

Odpowiedź Leona zniweczyła ten plan piękny, bo dała poznać podkomorzynej, że jest zrozumianą. Sama więc rzeczywiście

złapana na uczynku, zamilkła; a widząc blizki koniec rękopisu, postanowiła już dosłuchać cierpliwie.

„A więc krew zbiegła (czytał Leon) w głąb serca Adolfowi, gdy posłyszał głos Zosi: — Idę, papo! biegnę! —

Podbiegła ona do ojca, nie wiedząc, o co idzie. Dobiegłszy, spojrzała, zarumieniła się, jakbyś jej mleczne lica karminem oblał, i odeszła powolnym krokiem; Adolfowi zaś zdało się, że zabrała w oczy swoje, w serce i w głowę obraz teraźniejszy jego, który zostanie tam już na zawsze i dawny rys jego postaci zastąpi; że odtąd wspomnienie jego, śmiesznością okryte, nigdy szlachetniejszych i czulszych nie wskrzesi pamiątek; że pokazywać się przed nią byłoby obudzać jej wzgardę, a przynajmniej poniewierkę... Młodzieniec kochał prawdziwie, myśl więc taka była dlań męczarnią; ale razem zabijając w nim nadzieję, obojętnym go już uczyniła na stan jego teraźniejszy.

Odrzuciwszy więc futro, a biorąc tylko króbeczkę — Ponieważ pan mię zatrzymujesz — rzekł do podstolego — dla własnej, jak uważam, satysfakcyi, przeto muszę pieszo kończyć moją podróż.—

— O! o! gniewa się! gniewa się. Cóż tam takiego? Naturalnie przypadek jakiś, i nic więcej. Chodź do mego pokoju; dam ci mój żupan, albo kapotę; przebierz się; albo zresztą siedź i w szlafroku; a tymczasem poślemy po twą garderobę do szambelaństwa, zaprosimy ich tu i razem śmiać się będziemy. Poczekaj, powiadam ci. —

Adolf, gwałtem wyrwawszy się z rąk jego, śpiesznie przeszedł dziedziniec.

Zapalona głowa — mruczał, wracając do budynku, podstoli. — Powiadał podobno, że miasteczko spaliło się. Szkoda, że nie rozpytałem się, czy akta ziemskie ocalały?... —

Tymczasem Adolf, gnany fatalną swą wyobraźnią, szedł tak śpiesznie, że go furmanka dopędzić nie mogła. W parę godzin stanął w domu. Nie czuł się nawet zmordowanym, bo nadzwyczajne wzruszenie umysłu podniosło gorączkowo siłę i rzeźwość ciała. Zaszedł do komisarza i posłał do swego pokoju po odzież. Nie odpowiadał na zapytania pana Mateusza, który, gdy całego zdarzenia od przybyłego wkrótce włościanina się dowiedział, odniósł je stryjowi Adolfa. Obaj więc razem, patrząc na ponurą twarz młodzieńca, pocieszać go usiłowali; stryjaszek tembardziej, że zamiast niewygody podróżnej, jakiej chciał tylko Adolfa nabawić, stał się przyczyną jego zmartwienia, chociaż nie pojmował, jak ono głębokiem było; i dla tego, gdy Adolf wkrótce poprosił koni dla powrotu do rodziców, zatrzymać go usilnie pragnął; nakoniec się i pogniewał, biorąc za kaprys i upór tak rychłą i niespodzianą ochotę do odjazdu.

Kobieta, tylko kobieta zdolną była zrozumieć i pojąć stan serca i głowy Adolfa. Spróbowała ona, jak biegły chirurg delikatną sondą, jedno i drugie, i uznała, że rany są głębokie; że

jątrzyłyby się coraz bardziej w tych okolicach, gdzie widzenia się z przedmiotem drażniącym je uniknąćby nie mógł. Stryjenka więc, tłumacząc mężowi cały stan rzeczy, konkludowała, że jedynie czas i oddalenie, niwecząc i zacierając powoli w pamięci Adolfo niemiły obraz spotkania się z Zosią, prześladujący go, zagoi rany, a może zwyczajną koleją zgasi i samą przyczynę onych, ła jest, miłość Adolfa. W tym jednak ostatnim wniosku omyliła się stryjenka; a stryjaszek, na tę perswazyę pokiwawszy głową, wpół wierząc, wpół niedowierzając i wpół litując się, uwolnił nakoniec wyrywającego się synowca."

— Nie ma końca powieści — rzekł Leon, składając rękopis.

— Jak to? — zapytali obaj słuchacze.

— Powieść, której miłość jest treścią, zwykle kończy się weselem. I mojej takiż sam koniec byćby powinien. —

Podjął znowu rękopis i czytał dalej: „I w rzeczy samej, ten, który od lat młodzieńczych aż do dojrzałego wieku zachował w sercu jedno, nieodmienne, niezachwiane, jednostajnie tkliwe uczucie dla jednej osoby; ten, którego samo wyobrażenie jej wzgardy i poniewierki pognało w świat daleki, w stan inny, i w nadziei zatarcia pamięci błahego zdarzenia i rażącego nieprzyzwoitością ubioru oblekło w świetną wprawdzie, ale niebezpieczną wojskową suknię; ten, który w niej, dawnego rycerza przykładem (tak, pani! dawnego rycerza sercem, uczuciem i męztwem) nieraz się na śmierć narażał, w nadziei, że wieść o jego czynach dojdzie ulubionej i wartość jego w jej duszy podniesie; ten nakoniec, którego miłość oparła się najsroższej próbie, to jest, posiadaniu ręki kochanki przez innego. . . . ten gdy wraca nakoniec (a tu czytający rzucił wyrazisty wzrok na brata) z tąż samą żywą, młodzieńczą miłością przechowaną w wiernej nieskalanej duszy, na kolanach błaga o nagrodę". . .

Adolf w tej chwili był już u nóg Zofji, porwał jej rękę i całował z zapałem. Zofja wstała w pomieszaniu i rzewnem na klęczącego patrzała okiem, — „i na kolanach błaga o nagrodę . . . czyliż ta nagroda odjętą mu będzie, a z nią i szczęście drugiej połowy życia, gdy przez całą pierwszą za niem jedynie wzdychał?"..

— Zofjo! — odezwał się klęczący zawsze Adolf głosem drżącym, czułym a niepewnym — czyliż ta ręka i teraz nie będzie moją? — A przycisnął rękę jej do swych piersi.

Podkomorzyna stała czas niejaki w milczeniu, wzniosła nakoniec piękne swe oczy w górę, jakby wzywając niebios natchnienia i opieki . . a opuszczając je potem na majora — niech będzie twoją! — rzekła — i oby ci szczęście przyniosła —

Patrząc z radością na przyszłą parę, autor rzekł: — Otoż mojej powieści

KONIEC.

PANNA RESPEKTOWA.

Rozmowa z moją ciocią.

W oddzielnym, małym i ciepłym pokoiku przy kawiarni mieszkała moja kochana ciocia, wdowa od lat kilkudziesięciu, bezdzietna, poczciwa, spokojna babulka. Od rannego mego dzień-dobry aż do wieczornego dobra-noc modliła się tylko za mnie żyjącego, za męża zmarłego, i za dusze wszystkich zmarłych, a w szczególności krewnych od trzeciego przynajmniej pokolenia. Kiedyniekiedy pokłóciła się trochę, między modlitewkami, z dziewczętami o śmietankę; ale zawsze dziewczęta ją przekonały i pokonały; i dla tego najlepszą jej przyjaciółką i faworytką była koteczka ryska, ładnie centkowana, leżąca zawsze na poduszkach, bo i za napomnienie mruczała tylko, ale się nie kłóciła.

Na stoliku, za którym ciągle siedziała ciocia, stał krzyżyk srebrny z figurą Zbawiciela, leżało kilka książek do nabożeństwa, na nich okulary, stało lusterko w ramkach filigranowych, pultynek z natkanemi szpilkami i z wiszącą odeń siateczką; w szufladce zaś zapas bieli, igielniczki, naparstki, nożyczki, wiórka, gęsie garelka i tym podobne malutkie sprzęciki, do których babulka nawykła. Ale najgłówniejszym jej skarbem w szufladce, starannie, zwiniętym i obwiązanym, był stary wielki dokument, podklejany na schyleniach i jak relikwie szanowany. Był to, a raczej jest to (bo go chowam na pamiątkę) zapis wyposażenia jej przez księżnę Ogińską wojewodzinę, na której dworze wychowała się, była potem przez lat kilkunaście panną respektową, i nakoniec wyszła zamąż hojnie obdarzona i wyposażona przez swoją panią i prawdziwą dobrodziejkę.

Ileż razy odczytała mi ten papier! Umiałbym go na pamięć, gdyby zbiór słów szumnych, bez ładu nagromadzonych, mógł się zatrzymać w pamięci, umieliby go sąsiedzi moi, którzy przy każdych odwiedzinach staruszki wysłuchać go musieli; umiałyby nawet dziewczęta, które jedne z ochotą go słuchały, bo to na długo przerywało natenczas uprzykrzony im kołowrótek, tembardziej, że po lekturze następowało opowiadanie — ciąg dalszy, przynajmniej na godzinę.

— Jaki to sens wysoki! — mówiła moja ciotunia. — Kto teraz tak napisze?... — A kończyła na ucałowaniu podpisu wojewodzinej, i ocierając łzy z oczu składała dokument do stolika. Sens zaś ten wysoki jest takim:

„Anna z książąt Ogińskich Ogińska wojewodzina, czynię

wiadomo etc., iż gdy przedwieczna Mądrość, w rozmiarze i rozporządzeniu dzieł swoich hojnym szafunkiem naturze ludzkiej, udzielając wszelkiej doskonałości, przeznaczyła żądze człowieka pozyskując *subsidialiter* podobnychże pomocy, i zarazem wtenczas w skłonnościach rodzaju żyjących udysponowała moc sympatyi, której doskonałość i dzielność tak skutecznem utwierdzone są natchnieniem, że wybadane serca ludzkie przenikając swoją własnością w najtęższe, i żadną miarą nieroztargane tak dobrze łączą związki, że cnota i przyjaźń w zobopólnej konsekrowane ofierze, najpłytszym przeciwności ostrzem przecięte i rozdzielone być nie mogą. A stąd nieśmiertelnej sławy rodzaj chwały dzieł i zasług swoich, doskonałe *in aevum procreat* pożytki: że tedy sprawiedliwe doskonałej sympatyi dzieło, utwierdzając prawo mocy swojej żywe w osobach pana Józefa Rokickiego kapitana i wielmożnej jmć panny Katarzyny Borejkówny rejentówny, przepisała regułę. Zaczem JO. księżna pani i najosobliwsza dobrodziejka *patris materisque gerens* (to się podobno znaczy, tłumaczyła wtem miejscu moja ciotunia, że mój ojciec był vice-rejent) w niewysławionej dobroci widząc, iż wzajemne serc inklinowanych skłonności, sposobem *simpatico impulsu*, skryte wyroki do determinowanego końca swego doprowadzić usiłują, natenczas takowemu *non derogando* i godnym szacunkiem estymowane zasługi przez niemały czas respektowej swojej panny rejentówny u dworu swojego praktykowane, rekognoskując, niemniej dobrowolną a nieprzymuszoną *utriusque partis* przenikając wzajemność, powagą i konsensem *haec vota coronando*, czas ślubu na dzień 26 ty Julii teraźniejszego 1777 roku determinuję, i wnosząc nadzieję w przyszłym czasie i należytej wdzięczności, *pro exdotatione in sortem* panny Katarzyny Borejkówny rejentówny, piętnaście tysięcy złotych ja wojewodzina Ogińska ze skarbu mojego *parata pecunia* wyliczyć i dać deklaruję“ i t. d. *).

— Więc, moja ciociu! — rzekłem przy jednej takiej lekturze — panna respektowa była to panna służąca? —

— A co wasan gadasz? Ani służąca ani jurgieltowa, —

—Ależ przynajmniej, moja ciociu, zdaje mi się, że była zawsze starą panną? —

— Ach! ja nieszczęśliwa kobieta, co wasan gadasz? Owszem, każda prawie respektowa wychodziła zamąż, bo pan konkurent był pewny, że będzie i posag, i wyprawa, i dalsze pańskie fawory. Ja sama, toż widzisz wasan z dokumentu, byłam respektową u księżnej wojewodzinej, Panie! świeć nad jej duszą! i z jej dworu zamąż wyszłam za nieboszczyka mego Józia, Panie! świeć nad jego duszą!

— Ależ i ciotunia dobrodziejka miała z półkopy latek, gdy pan kapitan... —

— A co wasan gadasz? miałam lat dwadzieścia z górą... —

---

*) Z oryginału prawdziwego i tamtowiecznego.

— Mniejsza o to, moja ciociu! Jednakże jakież były obowiązki panny respektowej? —

— Obowiązki? Żadne obowiązki. Widzisz wasan, dawniej na każdym wielkim dworze było kilka godnych panienek, które składały fraucymer samej pani. Czy wasan rozumiesz, co to znaczy fraucymer? —

— Rozumiem, moja ciociu, rozumiem. —

— Bo choć to słowo niemieckie, ale u nas nie po niemiecku było. wszystko bogobojnie, chędogo i pięknie. Na dworze wojewodzinej było nas ze sześć. Podczaszanka Milkowska, która potem wyszła zamąż za plenipotenta pańskiego pana Snopkowskiego. Za zasługi dali mu państwo folwark w dożywocie i posag z wyprawą pannie podczaszance. Własną także miał on substancyę. Dziatki coś im nie hodowały się. Z pierwszego połogu pani Snopkowska miała bliźnięta, synaczka i córeczkę. Na chrzcie świętym dano im imiona: Adaś i Ewka; a do chrztu synka trzymał pan wojewoda ze mną, a córeczkę pani wojewodzina z niemal chrzcibłoszczykim moim potem mężem, który właśnie na tych chrzcinach powziął myśl konkurować do mnie, już to widać taka była wola Boża, bo i ja. . . —

— Ale, moja ciociu, nie o tem mowa! —

— A o czemże ja chciałam mówić? —

— O pannach respektowych. Może ciocia teraz zatrudniona, to innym czasem . —

— O, nie! wcale nie! tylko mnie nie przerywaj, bo zbijesz z drogi. Otóż mówiłam, było nas sześć. Czasami mniej, czasami więcej Najstarsza jednak rej wodziła; i jeżeli się pani podobać umiała, to zostawała respektową, aż póki Bóg jej losu nie dał, a młodsze to rezydentki, choć także były na respekcie pani: to jest, że wszelkie miałyśmy od pani opatrzenie, i do stołu pańskiego siadałyśmy codziennie, choćby i przy gościach. Już to jednak trzeba było na respektową być w stałym wieku, i mieć rozum doskonały, aby umieć zrobić sobie rum w każdej kompanii, i aby się pani nie powstydziła za swą respektowę, która zawsze była przy jej boku

— Po pani Snopkowskiej, ja zajęłam jej miejsce przy pani wojewodzinej; i chwała Bogu, panie! świeć nad jej duszą! polubiła mnie bardzo.

— Bywało siedzę sobie wygalowana w pokoju paradnym; szyję cokolwiek albo tamburuję dla pani (ale w ręku, bez krosienek, bo w krosienkach, to robota rezydentek); zawsze jednak muszę być ubrana pięknie (co mi łatwo bywało, bo pani wojewodzina z własnej garderoby udzielała mi hojnie) i gotowa jestem do przyjęcia gości, zwłaszcza dam; a choćby i ichmościów, zastępując państwo. nim się ukażą na pokojach. To potrzeba było umieć i dyskurs poprowadzić, i grzecznie zabawić. Ale kiedy się zebrała wielka kompanja i na dni kilka, to był osobny

obowiązek dla panny respektowej, nastręczany jej umyślnie dla pewnych gratyfikacyi i obrywek.

— Bywało raniej od wszystkich wstawszy i wysznurowawszy się raźnie, ubieram się w suknię materyalną, i w pięknej chusteczce bławatnej, zapiętej na piersiach, w trzewiczkach atłasowych na korkach, narzucam na wierzch, kiedy zimą, demisalopek kitajkowy, popieliczkami oszyty, a kiedy latem, rańtuszek jedwabny, i idę do gości, a za mną niosą hajduki wielkie srebrne tace z kawą, z garnuszeczkami wybornej śmietanki, i z koszami także srebrnymi cwejbaczków, takich smacznych, jak ja wasanu piekę. Wchodzę, znajduję czasami ichmość w łóżkach; ale to nic nie szkodzi, bo taki honor robił się tylko osobom wysokiej godności i weterańshvu. Dygam tedy pięknie przy drzwiach,— pani moja przesyła JWW. państwu dzień dobry—powiadam. Tu mnie witają sole n-nie; przepraszają, że zaspali; a ja tymczasam rozkazuję nakryć stolik holenderską jak atłas serwetą i ustawuję kawę. Pytam się o zdrowie — czy jejmość dobrodziejka nie potrzebuje ziółeczek, albo herbaty? — którą teraz wasaństwo szklankami pić zaczynacie, a której u nas bywało tylko dla zdrowia, kilka szczyptek w w całym domu, na *rarytas*, i to w aptece kupionej. Podyskuruję trochę, i idę dalej do drugich pokojów gościnnych. I tak każdej godnej parze dogodzę. Powracam potem do pani donoszę, jak się mają goście, i czekam ciekawie w moim pokoiku powrotu tac, które hajduki prościuteńko do mnie, nic nie ruszając, odnoszą.

— Rezydentki wszystkie zbiegają się do mnie, a czasem i pani w pudermanie przyjdzie z ciekawości, jak wystąpią gościnne panie z swoją hojnością? Żadna taca próżna nie wróci, jedna będzie nakryta piękną chustką od kilkunastu czerwonych złotych; na drugiej materyalna suknia, na innej piękny rańtuszek; już to najmniej, kiedy pudełko wstążek, albo koronka brabancka. Pieniędzy nigdy, bo to się nie godzi; ale kilka razy znalazł się i piękny pierścioneczek, i para kolczyków, i rozmaite inne cacka znacznej ceny. A że znakomici goście często bardzo odwiedzali dom państwa wojewodów, więc szlachciance przybywało wyprawy bez pracy i kosztu. Gdzież teraz tak? . . gdzie teraz takie respekta?... gdzie takie panie dobroczynne i bogobojne? gdzie? . . Panie! świeć nad ich duszami! — rzekła, podnosząc wyschłe ręce w górę. . . — A psik! a psik! kotka skoczyła na gieranium. . . —

A ja, profitując z tego roztargnienia, wyszedłem i uniknąłem dalszych dziejów młodości mojej ciotuni. Niestety! wkrótce na mogile ostatniej respektowej w Litwie zmówiłem: — Panie! świeć nad jej duszą! —

DWORKI NA ANTOKOLU.

I.

Znikły już z ulic i nazw miejscowych dworki, którymi niedawno przedmieścia miast większych, i niektóre mniejsze miasteczka gęsto były zabudowane. Były to zwykle mierniejszej szlachty na starość schronienia, i jej cnót i obyczajów przybytki.

Stare małżeństwa zdawszy gospodarkę dzieciom, kupowały sobie dworki w mieście, i spokojnie przy chwale Boskiej pędziły wiek podeszły; karmiąc najczęściej jeszcze, i opatrując wnuków chodzących tamże do szkoły.

Nie jedna ciepła i podstarzała wdówka, dostawszy od nieboszczyk męża dworek na Antokolu, czy pod Zielonym mostem na dożywocie, uciekała doń z gotówką od pasierzbów, wychowując także przy sobie ze dwie siostrzeniczki lub synowiczki z któremi nie opuszczała festów w każdym kościele, i dla których gdy podrosły i wyładniały, sprawując wieczorynki i wabiąc mościpanów, sama różójąc się trochę, młodsze swoje przypominała latka.

Niekiedy osiadł we dworku marcowy podsiwiały kawaler, bywalec na świecie, wędżega spekulant, z niewielkim zapasikiem grosza i mały przekupny, drzewem, zbożem, miodkiem, i wszelkimi wiktuałami prowadząc handelek, nie pracowity, ale swobodny wiódł żywot.

W miasteczkach pańskich, przyległych zwykle do wspaniałych zamków i pałaców, dworki zamieszkane bywały przez wysłużonych gracyalistów, żyjących z ordynaryów dożywotnich i modlących się do Boga za swych benefaktorów i chlebodawców.

W miasteczkach zaś sądowniczych, prześwietna palestra budowała sobie dworki, i w nich bywał kantor jurystowskich konsyljów i statutowych sentencyj, z tą różnicą w ich położeniu: że gdy tu, obok dworku pana wicerejenta lub adwokata, stał często brudny szynkowy dom żydowski, w miastach większych dworek szlachecki, nie zniósłby tego uwłaczającego sobie sąsiedztwa, i takim lub owakim sposobem wykurzony żyd, uciekaćby musiał między swych jednowierców.

Dworki miejskie i ich gospodarze, mieli swoje jakby attynencye i spiżarnie na wsi; krewny, przyjaciel, sąsiad, dawny ksiądz proboszcz parafii, w której się pierwiej mieszkało, lub jego komendarz, przyjeżdżając do miasta za interesami, nie frasował się bynajmniej o wikt i kwaterę. Zajeżdzał śmiało do dworku swych życzliwych, jak do własnego; a oddawszy do spiżarni imości ba-

ryłeczkę staruszki, i inne zapasy przywiezione, pewnym był smacznego barszczu, pieczeni, i jakiegokolwiek jeszcze miejskiego specyału, którym miłego gościa uprzejma gosposia częstowała. Mieścił się zaś jak mógł, bo względ na wygodę, nie był jako dziś, na szczególniejszej uwadze, a poczciwa drużba i uprzejmość wzajemna, nagradzała niedogodność lokaty.

Wśród miastowego zgiełku, dworki wiązały się w osobne towarzystwa: jednostajność wieku i trybu życia mieszkańców, konfraternia w bractwach, wspólne obchodzenie festów i uroczystości; a nadewszystko wzajemny szacunek szlachectwa, a stąd wzajemny afekt i respekt, spokrewniały ich mieszkańców, i rozlewały spokój i zgodę na tę maleńką rzeczpospolitę, złożoną z panów skarbników, podczaszych, derewniczych, mostowniczych, a w rodzaju żeńskim podczaszaneczek, skarbnikówien, i t. p. piastujących te honory *per viam haereditatis* od trzeciego częstokroć pokolenia...! Jeżeli zaś i wmięszał się między nich jaki woźny emeryt; jako szlachcic, miał wprawdzie uczęstnictwo w tem poważnem gronie, lecz przybierał tytuł generała, nie ubliżający ich dostojnemu koleżeństwu.

Ktoby chciał widzieć razem wszystkich tych zacnych jegomościów, niechby się udał do najbliższego ich rezydencyi kościoła, na pierwszą mszę ranną, znalazłby całą ławkę, przed którymkolwiek uprzywilejowanym ołtarzem przez nich zajętą, mógłby z nimi razem zmówić różaniec, i przypatrzyć się tym poczciwym obliczom, których czerstwość i gracki rumieniec, czynił na przekor czuprynie siwych włosów, na wierzchu wygolonej głowy, jakby na datę ich wieku zostawionej; i na których prosta i prawdziwa pobożność, w serdecznych modłach, i w oczach ku świętej ofierze wzniesionych pałała

Ktoby zaś chciał widzieć same imoście, ciotulki i babulki z assystencyą siostrzeniczek i wnuczek, miałby się wybrać na wotywę, i opuściwszy pierwsze, zlustrować drugie i trzecie ławki; spójrzeć jak zajmując robrontami szerokie w nich miejsca, i wrzekomo modląc się gorliwie z książek, poważne matrony nie spuszczały jednak z oka swych drobniejszych krewniaczek, a śledząc za ich oczkami, często nieostrożnie ukradkiem, na bok rzucanemi, przerywały swoje módlmy się, gorzką panienkom przymówką: — „gdzie waspanna zerkasz, czy to obrazek w tej węgierce?"

Zachowajmy tu jeszcze i topograficzne opisanie dworków. W Wilnie kamienice wzrosły na ich miejscu, albo jeżeli gdzie został który w zakątku, to przystrojony firankami w nizkich swych okienkach, a upstrzony wewnątrz, z poczciwego jakby szlachcica, został ladajakim paniczem. Stara zaś generacya mieszkańców jego wywlekając się powoli na cmentarze, nowym ścianom i nowym dziedzicom, pozazdrościła bodaj dawnej swej prostoty obyczajów i przymiotów i do grobu je z sobą zaniosła.

Dworek więc zwykle w głębi dziedzińca zbudowany, miał najprzód sień wielką; w niej magle, pod wschodami prowadzącemi na porządne i zamczyste poddasze. Od sieni na jedną stronę mieszkanie ichmościów; to jest: wielki pokój, drugi mniejszy za przepierzeniem, trzeci jeszcze mniejszy, graniczące przez ścianę z poważną w sieniach pieczurą, i równejże z nią obszerności; kącik to panienek lub chłopców uczepionych do rodziny.

Gdybym chciał wewnętrzne ozdoby tych izb opisywać, musiałbym powtórzyć z małą odmianą opisanie domku mojego dziadka bo w każdem szlacheckiem domostwie, obraz Zbawiciela, lub Matki Boskiej, stanowił główną ozdobę izby i orędownictwo rodziny. U możniejszych, szafa królewiecka dębowa, w filigranowe floresy wysadzana, rzeźbą sztuczną ukoronowana, i mosiężnemi antabami ozdobnie okuta, szerokiemi plecy swemi podpierając ścianę, chlubą była gospodyni, a solą w oku sąsiadkom. Zresztą, kanapa nieco wygodniejsza i kształtniejszej formy, kilka przy niej raźniejszych krzeseł, miejską we dworkach objawiało politykę, przy piecu jednak, od kominka, stał ukochany zedelek, na którym częściej i chętniej niżeli na kanapie, zwłaszcza w zimie, domowa sadowiła się gromadka. Za przepierzeniem, łóżka ichmościów, nad niemi obrazków w ramkach i bez ramek cała litania; a między łóżkami pod oknem, stoliczek imości, białemi falbanami aż do dołu opięty, na którym lusterko z szufladką i kilka a czasami i kilkanaście książek do nabożeństwa leżało.

W ciasnym nakoniec alkierzyku, łóżeczka panieńskie, za krótkie trochę na ich wysmukłe figurki; a w kątach kuferki, na których nie tylko same ich właścicielki, ale niekiedy i estymowany a akceptowany konkurent:

„U nóżek swojej kochanki
„Trawił wieczory i ranki.“ *)

Na przeciwku jedna obszerna izba czeladna i kuchnia razem uzupełniała rezydencyę sług i panów.

Rozporządzenie dalszego zabudowania: stajen, spichrzów, i rozmaitych składów, zależało od substancyi i sposobów wybranych do utrzymania się w mieście właściciela, lecz zawsze w głównym planie jednostajne, otaczało dziedziniec, szczelną bramą zamykany, w środku którego studnia dachem pokryta, częstokroć sama jedna kilka dworków poiła.

Ogródek rozlegał się za dworkiem; w nim kilka lip starych, kilka grusz i jabłoni, pod których cieniem, ujrzałbyś jegomościa siedzącego na ławce z dobrym sąsiadem, i popijających razem balbierzyskie piwko, sławne niegdyś na całe Wilno; a w kordyal-

*) Dawna piosnka.

nem wynurzeniu wzajemnych afektów, i w spokojnem zadowoleniu ze swojego bytu i stanu, dyskurujących poufale, a kończących dyskurs składaną sentencyą:

„Ten pan zdaniem mojem!“ mospanie!

„Kto przestał na swojem!“ mości dobrodzieju!—i oba siwego pokręcali wąsa.

II.

RODZINA DOWIATÓW.

W drugiej połowie panowania Stanisława Augusta, rodzina szlachecka Dowiatów, mająca w rozległym natenczas Oszmiańskim powiecie swoje dziedzictwo i ziemię nadaną jej, jak twierdziła, *ante unionem* jeszcze, przeniosła się prawie cała do Wilna; a tylko najmłodszy z czterech braci został na ojcowiznie.

Najstarszy ks. Ambroży, niegdyś za młodu sławny trybunalski mecenas, teraz trynitarz, i *Procurator Causarum* klasztoru antokolskiego *Fratrum de redemptione captivorum,* mieszkał w tymże klasztorze.

Z kolei pan Kazimierz, podczaszy smoleński, *sterilis* w kilkodziesięcioletniem małżeństwie, po długich naradach z ukochaną swą połowicą, i z księdzem bratem Ambrożym, mającym tak ze starszeństwa, jako i ze stanu swego najważniejszą preponderencyę w konsyliach familijnych, dał waletę gospodarce, z rozmaitem powodzeniem na possesyach prowadzonej; a oddawszy kapitalik na prowizyę, kupił dworek na Antokolu, w którym się na resztę żywota swego oboje podczaszostwo zalokowało, wchodząc ochotnie w zwyczaje i obyczaje pobożnego i podeszłego jak i oni sąsiedztwa.

Pan Franciszek, trzeci z rodzeństwa, od młodości przykładem najstarszego, u którego się aplikował, ująwszy się trybunalskiej kratki, długo dependent, dłużej ajent; nakoniec patron najjaśniejszej magistratury; bezżenny skarbnik *re et nomine*, bo chodząc około interesów jednego z panów litewskich, wymówił sobie oprócz zwykłego *honorarium*, *per modum* gratyfikacyi *stallum* powiatowe. Jakoż pan wojewoda przywiózł mu z Warszawy skarbnikowstwo oszmiańskie, *munus* i tytuł, wcale do natury pana Franciszka stosowne. Lubił on bowiem pieniążki, zbierał je skrzętnie, chował pilnie, wydawał jak najmniej, więc miał rzeczywiście piękny skarbek i na obligach i w szkatule, która dla bezpieczeństwa w klasztorze u księdza brata pod łóżkiem spoczywała. Kupił zaś sobie za kilkaset talarów dworek także na Antokolu, i w nim klientelę swą założył. Tym sposobem trzech braci znalazło się osiedlonych obok; a przy nich, i najmłodszy brat gospodarujący na wsi, ojciec jednego syna i kilku córeczek, pouczepiał starsze

swoje dziatki, bo podczaszyna wzięła do siebie Helusię, ładną kilkanastoletnią jego córeczkę, którą jakby własną ukochała, a pan skarbnik wziął pod swoją manudukcyę i do palestry sposobił syna ich pana Ludwika. Chłopak ten pięknymi przymiotami, obiecywał ozdobę zacnemu imieniowi Dowiatów; lecz pan skarbnik nie upatrywał w nim, jak powiadał, ani potrzebnej aplikacyi do pracy, ani ochoty i animadwersyi do patrocynii.

III.

Pan skarbnik jako mecenas trybunalski.

Pan Franciszek Dowiat, któremu osobny jeszcze rozdział poświęcić musimy, był w rzeczy samej jednym z pierwszych patronów na Litwie.

Lecz potrzeba nam tu objaśnić wprzód i wytłumaczyć, charakterystykę owoczesnych, a nawet bliższego nam wieku prawników i prawniczych talentów; w jednostajnym zawodzie rozmaitych wszakże, nie tak nauką prawa, bo statut i konstytucye wszyscy na pamięć umieli, jak raczej szczególnem usposobieniem i zdolnościami ku różnym odnogom prawnictwa i procesów.

Jak w wojennem rzemiośle, nie każdy wódz równie jest zdolnym do komendy wszelką bronią, ani równie biegłym w układaniu strategicznych planów, jako i w ich wykonaniu pod ogniem nieprzyjaciela; a takoż do głównego dowództwa, jako i do mniejszych potyczek; tak i w mnogiej liczbie palestry, otaczającej niegdyś wszelkie sądownicze juryzdykcye, nie każdy z ichmościów patronów był razem *executivus* i tęgi do planów. Były głowy i języki zdolne szczególniej do akcessoryjnych utarczek, jak kozacy do podjazdowej wojny. Dwadzieścia razy zaatakował on z różnych stron przeciwnika, odparł go do głównej rozprawy, zmęczył, zbił z planu, zmitrężył, i tak go zaplątał, że musiał się cofnąć koniecznie i odłożyć kampanję naprowadzoną na wątpliwą drogę; a nadto z urywkowych tych dekrecików, jak ze wstępnych potyczek, wygranych czy przegranych, wyrozumiał on *praeter propter* animusze sędziów, siłę adwersarza, i stosowne potem układał plany, lub wróżył ewenta. Inny mniej zręczny w takich obrótach *ex promptu*, do stateczniejszej procedury, do oczywistej rozprawy umiał długie sposobić indukty; które, jako niegdyś poważne znaki pancerne, przemożnie łamały nieprzyjaciela; a szeroko i umiejętnie rozwiniętym szykiem dowodów, artykułami statutu jakby ciężkiemi działami po. lukach wspartym, parzyły go natarczywie.

Byli znowu tacy, którym ściany izby sądowej przygniatały jakby głowę, i wątliły dowcip: taki, trzech tam zliczyć nie umiał. Ale za to na polu otwartem, pod gołem niebem, usta mu się rozwiązywały, geniusz się w nim ożywiał i rozpłomieniał! To

natus plenipotent sądów granicznych i podkomorskich. On z dokumentem *juris haereditatis et graniciorum* stanąwszy na polu, oprowadzał naokoło wzrok szeroki.... a zadartym nosem, przenikliwą źrenicą, i jakimś jasnowidzącym zmysłem, śledził i zda się wietrzył flasze trojniaków w kopcach dawnych, wraz z niemi w ziemię zapadłe, zaorane miedze, wyschłe wodociecze, i klejmy w rdzeniach stuletnich dębów ukryte .. słowem, tłumaczył i stosował stary i zbutwiały mantyk tak ściśle i doskonale, jak gdyby sam go przed wiekami pisał, a teraz zmartwychwstał jak Piotrowin, dla dania świadectwa prawdzie.

Inni nakoniec szczególniejszym słynęli talentem, gdy *Causam facti*, przez inkwizycye i indagacye prowadzić trzeba było; i albo się obronić od zadawanej wiolencyi, albo ją na przeciwnika wrzucić.

Opinia publiczna, tak dalece te działy upowszechniała, tak one wszystkim wiadome były; że ktokolwiek z ważną sprawą i z możną szkatułą przychodził do sądu; musiał stosownie do nich rozdzielać powód, czy obronę swoją, aby być pewnym, że interes z reguł prowadzonym będzie, i że nic się w nim *contra gradum juris* nie stanie.

Pan Franciszek samą swą postacią i obliczem, łatwoby da odgadnąć, do jakiego działu jurystów należał, gdyby powszechnie nie wiedziano jego przymiotów.

Miał on lat około pięćdziesięciu, lecz wiek nie czynił żadnej prawie różnicy, ani na jego postaci, ani na jego twarzy, w czwartym już krzyżyku tak zawiędłej, że piąty pomarszczyć jej nie mógł. Twarz tę, z natury ściągłą i bladą, ospa poszczepała, i piegi pokropiły. Oczy szare, spuszczone zawsze ku ziemi i martwe na pozór, gdy się jednak podniosły, i stale na kogoś wlepiły, pochłaniały w sobie nie tylko wszystkie wyrazy, ale i wszystkie myśli napróżno za wyrazami kryć się usiłujące. Włosy nad brwiami równo jakby pod linię ostrzyżone, zakrywały mu czoło, a z tyłu głowy szerokim wachlarzem na kołnierz spadając, odróżniały pana skarbnika, od starych, z mody już natenczas wychodzących łbów golonych, i młodych wchodzących w modę werżetów, a uzupełniały regularną swą składnością, postać sensata i statysty, za jakiego między kolegami uchodził, i jakim on był nie tylko z natury, lecz i z przekonania, że takim być powinien mecenas trybunalski, i urzędnik ziemskie zasiadający *stallum*.

To też gdy w swojej cynamonowej, długiej po pięty, szeroko i ściśle fałdowanej u stanu taratatce, pasem pół-litym gładko po połowie rozgraniczony, z krwawą spinką na szyi, z krwawemi dewizkami u pektoralika i krwawym herbowym na ręku pierścieniem, przesuwał się poważnym krokiem pan skarbnik między szumną i zarozumiałą palestrą trybunalską, ustawały wnet żarciki i docinki, witające każdego, rozsuwała się młodzież, a starsi uprzej-

mą podawali mu rękę, bo chociaż go znali twardym skąpcem, i zimnym a przebiegłym pedantem, nie mogli mu wszakże odmówić pewnego respektu, wymuszającego się zwykle w towarzystwie dla podobnych rygorystów. Od razu więc jakem to powiedział, poznać można było, że pan Franciszek mniej zdolny do akcessoryjnej urywkowej wojny. należał do działu znakomitszych mecenasów, ciężkie tylko i stałe podejmujących prace. Nie przyjmował nawet małych szlacheckich sprawek, na których czas marnując, małych też i oczekiwać mógł korzyści. Ale główne plenipotencye najpierwszych panów litewskich i ich stuletnie procesa, kreował lub godził, bo częstokroć półarkuszowy na jednaniu dokumencik, obustronne przynosząc sufragia, ważniej się mu opłacił, niż wolumina induktów i replik.

Mówiąc mało, słuchając cierpliwie, z powinną dla każdego rewerencyą, z ręką lewą skromnie za pas założoną, a prawą do gestykulacyi także skromnej gotową; szepcąc tu i ówdzie po słówku, ale trafnie, ale *ad rem* i *ad hominem*, pan skarbnik więcej sobie jednał zaufania, niżeli nieuważny krzykacz, tłumiący bardziej, niżeli przekonywający stronę i sędziów.

Praca i oszczędność były natenczas godłem ludzi poświęcających się prawniczemu powołaniu, z tym podwójnym przymiotem dochodzili oni z czasem do znakomitego mienia, i do znakomitego znaczenia. Celował w obu tych przymiotach pan skarbnik, a w drugim szczególniej był arcy-mistrzem, korzystającym z każdej zręczności przytrzymania grosza w kieszeni. I dla tego nie miał on własnej kuchni; izba przeciwkowa we dworkach zwykle na ten cel przeznaczona, u pana skarbnika była kancelaryą, w której aplikanci, poczciwa hołota, karmiła się tylko nadzieją, że z pod ręki takiego mecenasa powychodzą na ludzi; do strawy zaś codziennej nie mieli pretensyi nawet, gdyż sam dostojny mecenas cudzą się posilał.

We środy, piątki i soboty, aby się nie narazić przypadkiem na uchybienie trzeciemu przykazaniu kościelnemu, szedł pan skarbnik nieodmiennie na obiady do klasztoru do księdza brata; a za to modyfikował się w regalizacyi, często mu należnej za attentowanie interesów klasztornych. A gdy czasami odezwał się ze skargą, na skępstwo prokuratora *causarum*, to ten nie uważając na braterstwo, wręcz i bez ceremonii zamykał mu usta: „Oho! dość będzie waspanu! Co tydzień zjadasz nasze szczupaki, nie licząc niedzielnej pieczeni, na którą z kościoła niby przypadkiem zachodzisz; porachowawszy się więc, jeszczebyś nam zdać resztę powinien. Do czego to przyszło! Miły Boże! Dawniej palestrant za ośminę bobu *prolixo sermone* dwie godziny gadał *coram judicio*, a teraz waspanom czy od bogatego, czy od ubogiego, a nawet od duchowieństwa, ostatni grosz radzibyście z kaeity wyciągnąć.“

Pożywał cierpliwie, ten duchowny obrok pan Franciszek, bo chciał zawsze pożywać i obiady, a prócz tego miał jeszcze inne powody respektowania starszego brata, o których niżej się dowiemy.

Po przeniesieniu się pana podczaszego do dworku, tam był jeszcze dlań talerz codzień gotowy na obiady i wieczerze, ale nie koniecznie go potrzebował pan skarbnik, liczni bowiem lityganci których on procesa kreował, przemieszkujący w Wilnie, częstowali go tem ochotniej, że skromny w napoju, wbrew powszechnemu natenczas jeszcze zwyczajowi, zaspokoiwszy głód, lekkim podpiwkiem gasił pragnienie, a wina, nawet cudzego, nie pijał.

Nakoniec kilka dziedziczek sąsiednich dworków, babulek na dewocyi w mieście osiadłych, wywdzięczając się mu za opiekę, protekcyę i porady, modliły się zań codziennie, i miały pilne staranie o małych wygódkach pana skarbnika dobrodzieja, jako to: o wyśmienitej kawie zrana z wyborną śmietanką, o ziółeczkach i essencyach przy niestrawności żołądka, i o wszelkich innych, w których troskliwość ich pożyteczną mu być mogła.

Takim sposobem pan Franciszek uwolniwszy się od kłopotliwych zatrudnień względem swego wiktu i najgłówniejszych potrzeb, mógł cały czas swój poświęcać obowiązkom swego powołania.

IV.

A p l i k a n c i.

Około drugiego stołu, w przeciwnej izbie pana skarbnika, siedziało czterech młodych golców, w wyszarzanych kapotkach, i pisało pod dyktacyą jednego z nich, najstarszego, jednostajne pozwy: „mieniąc oto“ *), zawołał on dobitniej.

— A czy nie przyniosą nam dziś piwa i pierogów z makiem z klasztoru?—przerwał jeden rzucając pióro. Co myślicie, ciemno już—odpoczniemy—a ja pobiegnę do szafarza i powiem, że pan skarbnik prosi o dzban piwa i półkopy pierogów. Dziś środa, suszymy jak Bóg przykazał, a skarbnik suszy nas jeszcze gorzej nad piórem—dobrzeby się posilić! głodny jestem jak kapucyn.

— *Patientia omnia vincit* **) — rzekł dyktujący. Wasan chciałbyś nie popracowawszy odrazu zostać mecenasem, choć jeszcze mleko pod nosem.

— A u wasana wąsy pod nosem, i zaraz posiwieją, a jeszcze *pizus* w kieszeni: nie wiem czy pomoże i oracya, którą skoncypowałeś i napisałeś nad naszemi drzwiami.

---

*) Termin zwyczajny w dawnych pozwach, przed wypisaniem treści kładnący się.

**) Cierpliwość wszystko zwycięża.

— Jak to nie pomoże? zobaczysz jak się nam z niej posypią talary.

— Które wasan od nas w *elbecwelba* wygrasz, pociągnąwszy po swojemu—rzekł drugi chłopak kręcąc głową.

— A gdybyśmy i spróbowali, he?—odezwał się pan Rafał dyktujący, dobywając karty z kieszeni.

— A jak nadejdzie *insperate* skarbnik i wsunie się z cicha—wiesz z onegdajszego, jak on kosterstwa passyami nie cierpi, kiedy wasana chciał wypędzić.

— A prawda—rzekł chowając nazad karty.—Nie da on nam próżnować, ręczę, że wraz przyniesie świeczki i każdemu pod nosem zatknie.

— I nie da wieczerzy—odezwał się drugi;—jabym miał wyśmienitą, ale daleka wędrówka do cioci.

— Łatwiej wasanu—rzekł znowu najstarszy,—hodujesz się jak pączek w maśle, będąc na sumpcie cioci, i jakiejże jeszcze cioci! Panny matki Ś-Michalskiej. Ot mnie biednemu chudeuszowi byłoby trudno, ale powiada Pismo: „Nie troszczcie się co będziecie jeść, albo co będziecie pić!“ Ja też żyję jak *Alcyon* nadpowietrzny, nie lubię i nie pilnuję jednego miejsca, ani jednej kuchni, i nie troszczę się, co będę jeść, pić a nawet czem się odziewać; a widzicie przecież żem nie głodny, ani chłodny; taka to łaska Pana Boga nade mną.

— Widzimy—odpowiedział kolega, widzimy, że często koło waspana suto i butno, a często gołyś jak święty turecki. Gdzież ta delia popielicowa, w której onegdaj jak tuz żołędny nadymałeś się.

— Zgadłeś bratuniu, zgadłeś nie chcący. Tuz żołędny dał, a tuz dzwonkowy kanalia zdjął. Zgadzam się z wolą Pana Boga!.. wiosna co dzień bliższa, na co to futro?—

Rozśmieli się wszyscy.

— No co wasanu ta aplikacya?—odezwał się inny. Wasan szuler i śpiewak, nigdy jurystą nie będziesz.

— A kto wasanu to wyprorokował? —przerwał zagniewany pan Rafał.—Otoż będę, a tymczasem nie mając ani ciotulek jak wasan, ani stryjenek jak nasz pan Ludwik, który teraz pewnie u swojej zajada przysmaki, muszę żyć z moich talentów. Bóg mi dał taką ochotę do wokału, że żadnym sposobem wytrzymać nie mogę, kiedy posłyszę jakie śpiewanie, i wnet mój dyszkant przyłączyć muszę do chóru. Organista dominikański zacny bardzo człek, i szlachcic co się nazywa; to nasz prymier i prowodytor; ma on całą kantyczkę pieśni światowych, bardzo pięknych; on dobiera głosy, a nad mój dyszkant nigdzie znaleźć niemoże. Więc i wyprawujemy się często pod ciemny wieczór, w sześciu albo siedmiu po ulicach: a kiedy hukniemy pod oknami jakiego pana*):

„Mości książe co to masz za huzary?“

---

*) Starsi pamiętają jeszcze śpiewaków miastowych.

—A nie wrzeszcz, na miłość Boga!— przerwali mu koledzy. Wszak my nie śpiewacy, nie dopomożemy wasanu.

— Prawda, wybaczcie, zapomniałem, wszystko to moja ochota do wokału . . . Otoż jak hukniemy tę lub ową pieśń, albo i nowoskoncypowaną na honor jakiego solenizanta, lub na powinszowanie jakiej narzeczonej parze; to i leci z góry drugiego czy trzeciego piętra, jak gwiazdeczka w pociemku, zapalony kawałek papieru, a w nim zawinięty już to najmniej kiedy talar, a czasami i złoto w ogniu się znajdzie. . .

— Przy takich zdolnościach i związkach, czemu się lepiej nie sposobisz na dławidudę, pewny chleb przy chwale Bożej.

— Tak! ale co widzisz wasan, najprzód stan ten zgodny z moim talentem, ale nie z temperamentem; a potem, nie każdy wprawdzie organista plebejusz, ale nie każdy i szlachcic. Jest zawsze w tym jakaś mitręga, której ja na mój prawdziwy karmazyn nawlekać nie chcę, bo by mnie moja parentela, szeroko w okolicy Onoszkowszczyznie bodaj od króla Łokietka osadzona, przepędziła gdzie pieprz rośnie. A teraz czeka cała na moje wyświęcenie się na adwokata, i wnet rozpoczniemy proces graniczny, ze wszystkimi sumiężnikami, a pół powiatu wyrugujemy.

— Długo jednakże czekać będą, bo z taką aplikacyą jak wasana, nie łatwo dojdziesz do kratki.

— Żartuj zdrów zacny kawalerze, pierwej tam stanę jak wasan! Umiem ja robić moje interesa; mam już *testimonium* przez wszystkich ichmościów mecenasów trybunalskich podpisane. Braknie mi tylko ręki pana skarbnika, i dla tego moja dłań, jak widzicie, *gratis* od dwóch miesięcy pracuje, jako i każdemu z nich *captando benevolentiam* pracowała. Byle się więc tylko oporządzić trochę, ten przeklęty drużbart mię zgubił, byle się zdobyć na pasik i kontusik; szabelki dostarczą bracia szlachta z Onoszkowszczyzny, natychmiast uprowidowany w instancye wysokich protektorów, staję u kratki subseliów prześwietnego województwa wileńskiego — Wtem skrzypnęła furtka od bramy i przerwała perorę przyszłego patrona; wszyscy chwycili za pióra, lecz je wnet założyli za uszy, na znak, że są gotowi do pracy, i czekają tylko na świece.

Pan skarbnik wszedł do swojej izby na przeciwek, rozbudził śpiącego za piecem starego sługę, wygderał go za ospalstwo, kazał wykrzesać ognia i zapalić świecę; a wziąwszy jeszcze kilka świeczek w rękę, szedł do panów aplikantów, lecz w sieniach przed ich drzwiami zastanowił się, bo spostrzegł przyklejony arkusz papieru z pismem jakiemś. Dobył zatem z zanadry, przetarł i na nos włożył okulary, potem wodząc świecą za literami, od czytywał powoli.

„*Hic... vivitur* . . z grosza—*frustra*. . . *non dantur... labores*...
„Kto nie płaci za pracę. . . nie zna. . . *bonos mores!*“..,

Przesylabizowawszy pokręcił głową, i wszedł do izby. Aplikanci milczeli.

— A cóż to u waćpanów? *silentium* klasztorne!

— Czekamy na świece—odezwał się któryś.

— Otoż je i przynoszę— rzekł skarbnik, zatykając przed każdym po jednej do mosiężnych lichtarzyków.—Proszę, dodał, *diligenter* przysiedzieć fałdów, bo jutro *summo mane* czterdzieści kopij rozesłać potrzeba; woźni czekają. . . ale co to za *ludibria* wypisaliście waćpaństwo *grandibus litteris* na drzwiach swoich?

— At zwyczajnie mości dobrodzieju, to żarcik aplikantski, z którego gdyby jaki talarek i wpadł w naszą pustą kieszeń, byłoby przynajmniej za co kupić zraz pieczeni.

— Waćpaństwo tylko o brzuchu myślicie. „*Pinguis venter, non studet libenter!*“ *).

— A łatwiej jegomości dobrodziejowi perorować *sententiae,*—odrzekł pan Rafał—po wybornym jako we środę stokfiszu, po szczupaku w szafranie, i po zawiesistych kluskach w oliwie pływających; ale nam biednym po śledziach i krupniku. . .

— A skąd waćpan wiesz o moim obiedzie?

— Oj, mości dobrodzieju, gdyby nie kluski, których i mnie się dostało, dalipan pióra w ręku utrzymaćbym nie mógł, ale jakoś człowiek ma wszędzie przyjaciół.

— A najwięcej jak uważam, w kuchniach klasztornych—rozumiem.

— Jednakże mimo tych pożytków *a latere*, głodny jestem i ja, i moi koledzy. Dla tego chciej jegomość dobrodziej, uraczyć nas po onegdajszemu, piwem i pierogami z klasztoru; ja sam ofiaruję moją fatygę, byle za assygnacyą pańską.

— No, no, proszę się nieodrywać od pióra, a poślę Macieja po suchary i piwo.

— *Vivat noster mecenas*!—wykrzyknął pan Rafał, i zaczął znowu swoje: „Mieniąc oto.“

— Ale gdzież pan Ludwik?—zapytał znowu skarbnik, zajrzawszy za przepierzenie, gdzie był pokój synowca, i nie widząc go tam przy stoliku.

— Poszedł zapewne na wieczerzę do stryjenki swojej i jeszcze nie wrócił.

— O! ten ptaszek nie dostanie defektu z *sedenteryi*,—rzekł skarbnik kręcąc głową i wchodząc za przepierzenie.

—Musiał jednak, mruczał sobie, napisać manifest, do którego, w sprawie rodziców jego, a zatem tak dobrze jak jego własnej, zostawiłem należytą informacyę. . . A! gryzmolił tu coś przecie. . . zobaczymy. . . *Coram actis*. . *). Aha—*Coram actis*. . . do cudnej Elżuni. . . Co u licha? czy sfiksował. . . .

---

*) Brzuch tłusty, nie chętnie pracuje.

**) Przed aktami—zwyczajne zaczęcie manifestów.

Ciekawiej zatem biorąc się do czytania, rozmaicie glozowanego arkusza, przetarł na nowo okulary i sylabizował.

Do cudnej Elżuni Starościanki Kapinowskiej.

Oczy twe—nie są oczy ale słońce właśnie*)
Świecące—w których blasku każdy ogień gaśnie!
Usta twe—nie są usta—lecz koral rumiany,
Którego farbą zmysł nasz zostaje związany!
Piersi twe—nie są piersi— lecz niebo surowe,
Których kształt, wolę naszą zabiera w okowę.
Tak oczy, usta, piersi, rozumem i wolą,
Blaskiem, farbą i kształtem — serce me niewolą."

— No! niema co powiedzieć, symetrycznie wszystko przebrał... manifest regularny .. *Coram actis* panny starościanki zanoszący się... — W czas konkury, kiedy proces na stole trybunalskim. Kara Boska! usadzili się na krew naszą, ojciec, a raczej mamunia, pani starościna dobrodzika, chce zabrać zaścianek, a córka samego dziedzica! .. Otóż to dla czego niema panicz ochoty do patrocynii .. amory mu w głowie . a niechby się zresztą i żenił wilkiem nie orać .. *utimis Mai*: lat dwadzieścia cztery podobno kończy. Jeżeli jest wzajemna sympatya..

Taki przerywany prowadząc monolog, gmerał bez ustanku skarbnik w papierach synowca, i na każdym prawie szpargale znajdował to cyfry Elżuni, to dwa serca strzałą przebite z podpisem:

„Serce moje i twoje —
„Złącz Boże oboje.

To dwie ręce ściśnięte w parolu z podpisem:

„Parol dany
„Bez odmiany."

to jakieś pozawijane kwiatki zeschłe, wstążeczki.—Pomedytowawszy nad każdą rzeczą, kręcił głową, kładł każdą na swojem miejscu, i dalszą kontynuował kwerendę. Odsunął nakoniec szufladkę z pod lusterka i napadł na bilecik szpilką, zamiast pieczątki zaszpilony i zapisany! „Do rąk wielmożnej Dulskiej stolnikowej, cioci dobrodziki."—A to co znowu? — rzekł. — Co tu robi listek do mojej klientki?... Ciocia! czyjaż ona ciocia? a tak jest — tak! starościnę i stolnikowę rodzą dwie siostry Kościeleckie z Korony, a więc pani Dulska jest ciocią progeniturze starosty . *Sequitur sine dubio*, że w tym bilecie jest *arcanum spei* mojego pana synowca.

Przewracał skarbnik bilet w ręku, jakby się lękając ukłócia szpilki. Z uczciwego względu szanowania cudzych listów, namyślał się czy ma go czytać.... ho! ho! jaka pieczęć! szeptał znowu sam do siebie, bo ten nałóg djalogowania z sobą, a nawet stosownej przy niem gestykulacyi, wraził mu się i został od pla-

*) Z dawnego rękopisu.

nowanych w samotności ważnych a wątpliwych indyktów i replik. Ani Niesiecki, ani Kuropatnicki, o takim herbie nie wspominają ... Starosta pieczętuje się Rawiczem, panna na niedźwiedziu, i przystoi *inter nos loquendo* nieborakowi, którego żona za nos wodzi, taki herbowny klejnot ... Ale zresztą cóż mam robić? powinienem strzedz jakby źrenicę w oku powierzonego mnie chłopca.... odszpilił więc bilet i czytał z cicha.

„Nie uwierzysz kochana ciociu, jakeś nas zmartwiła uwiadomieniem, że nas odwiedzić nie możesz; tak wiele miałam do pomówienia i do poradzenia się z ciocią"...

Poradzenia się — przekasowała, i znowu napisała... to już i wiem co się święci... a do tego rozpytam się u stolnikowej: „Miałaś ciocia dobrodzika zabrać z sobą, i przywieźć tu, Helusię Dowiatównę, a tak bardzobym wesoło ten czas przepędziła. Rodzice moi rozpoczęli jakiś proceder z państwem Dowiatami; nie bywają teraz u siebie, i w kościele nawet nie witają się, i z ukosa na siebie spoglądają. To obraza Boska ciociu dobrodziko, bardzo mnie to martwi; niech ciocia panu skarbnikowi Dowiatowi perswaduje, aby się starał pogodzić tę kłótnię. On mądry człowiek, to wynajdzie na to jakiś sposób" ..

— Dziękuję pannie starościance dobrodzice za tę o mnie opinię. —

„Mama osobno pisze do cioci, a ja osobno."

Rozumiem — to jest mama o tym listku nie wie. „A choć się gniewam na ciocię, jednak upiekłam sama, i oddałam mamie dla przesłania cioci, babkę do kawy, i proszę w zdrowiu jeść, i zaprosić na nią moją kochaną Helusię i całą jej rodzinę"...

— Jednakowoż mnie nie prosili — a pan Ludwik pewnie babkę konsumował.

„Rączki cioci dobrodziki całuję"

E. S.

NB. „Proszę cioci pomodlić się w piątek u Pana Jezusa Antokolskiego, na moją intencyę."

Intencya zdaje mi się zrozumiana i przykładna! Abyś panom chrześcijańskim pokój i zgodę dać raczył!

Uśmiechając się skarbnik, zaszpilił bilet i włożył do szufladki; potem zdjąwszy z nosa i przecierając okulary, mruczał któż wie? Może taka wola Pana Boga — trzeba wziąść panicza na konfesatę... Spójrzał na zegarek, mam jeszcze czas — poradźmy się w tem, a razem i w drugiej okoliczności księdza brata.... A więc lisim krokiem, aby nie przerywać piszącym, szedł pan skarbnik przez pierwszą izbę. Spostrzegłszy wymykającego się, dyktujący pan Rafał, i lękając się aby nie zapomniał obietnicy, krzyknął jakby w kontynuacyi pozwu: „w prośbach *ante omnia* komportacyi *in instanti sub poenis personali infamiae* pół kopy pierogów i dzban piwa, *solenniter* przyrzeczonych."

Skarbnik stanął, uśmiechnął się, i ręką dał znak zgody.

V.

Ksiądz Ambroży.

Nałóg i sumienie.

Tegoż samego wieczora szedł pan skarbnik przez ciemne korytarze antokolskiego klasztoru, a przed nim Maciej z latarką w jednej ręce, a z cynowym dzbanem w drugiej. Doszedłszy do celi brata, wziął latarkę, odprawił Macieja po pierogi do szafarza, a sam zapukał do drzwi.

— *Ingrede!* odezwał się głos nosowy wewnątrz. Wszedł zatem pan Franciszek do celi ks. Ambrożego.

— *Salve*, rzekł ten składając szybko i usuwając od siebie wielką księgę, którą czytał, a również szybko otwierając brewiarz i kładąc go przed sobą. —

Pan skarbnik poznał statut, lecz jakby tego nie dostrzegł, skrapiał się tymczasem pobożnie wodą święconą, z kropielniczki cynowej u drzwi zawieszonej.

— Czemuż tak późno? — zapytał zakłopotany nieco ks. Ambroży.

— Ósma *praecise* — odpowiedział skarbnik, wskazując na własny braterski zegar ścienny.

—Niechaj sobie, ale zawsze *quid vis*? bobyś bez interesu tak późno się nie włóczył; może nowy suplement do szkatuły swojej przynosisz?

— Nie, mości dobrodzieju, coraz to trudniej o te suplementa. Przychodzę jak zwyczajnie zasięgnąć mądrej rady brata dobrodzieja.

— Byle nie w procesach! bo z temi wara w mojej celi. . . już mi nieraz waćpan napędziłeś grzechu i pokuty, wzywając na jurystowskie porady, i kusząc dawnym nałogiem. Oznajmuję nawet waćpanu, że prokuratorstwa mego zrzekam się, i myślę udać się na peregrynacyę *ad terram infidelium*, dla wykupna podług naszej reguły chrześcijan z niewoli pogańskiej . .. Jedna tu jeszcze tylko sprawka mała klasztoru naszego, o plac nad Wilją... Ale wyrzekam się i tej . . wyrzekam się! O Chryste Jezu! — rzekł wznosząc oczy, ku figurze ukrzyżowanego nad łóżkiem rozpiętej, daj siły i stałość ku wytrwaniu, w dobrem na większą chwałę Twoją, a na zmazanie grzechów moich.—

W tem chwilowem uniesieniu, postać i oblicze ks. Ambrożego wyraziściej się objawiły, i przy bladem ognisku świecy, zaledwo rozświecającej ciemność celi, wysoki i wyschły mnich, białym habitem obleczony, z krwawym krzyżem na piersiach, ze wzrokiem gorejącym pod wysokiem, nagiem, a chmurnem czołem, z twarzą pergaminową, a jednak w swojej całości znakomitą, i upartej, a wiekiem niezłamanej energji noszącą piętno, łatwoby zastanowił każdego, ktoby nań w tej chwili spójrzał. Lecz stoją-

cy naprzeciw w zimnym kontraście jurysta, znał i nieraz był świadkiem tych uniesień brata, i wiedział, że burza nagła nagle i przechodzi; a lubo często się ponawia, w przerwach jednak zapomniana, nie powściąga odzywającego się również często i łatwo pochopu do prawnictwa za młodu weń wkorzenionego. Dla tego zapytał niespodzianie.

— Jak brat dobrodziej rozumie dawność ziemską względem obligów?

— Co to za pytanie aplikantskie?

— Ja też mości dobrodzieju,—odpowiadał pokornie pan skarbnik—uważam siebie aplikantem brata, i weneruję go nie tylko jako starszego wiekiem i powagą stanu, ale jako wyższego bez komparacyi, w nauce praw naszych, i mojego dawnego mecenasa. . . .

— Mirabilia prawisz panie Franciszku!—przerwał ksiądz—przestań! dość waćpan jesteś *peritus* i *perfectus*, w swojem rzemiośle, a bodaj *discipulus supra magistrum*. Co do twojego, nie wiem dla czego zadanego mnie pytania, bo zapewne nie bez celu, to dotąd chwała Bogu rzadkie u nas przykłady, aby prowadzono kontrawersye o obligi, gdy podpis nie wyparty, gdy dług lub pożyczka jest rzeczywistą. Poczciwość i rzetelność od form prawnych nie zależy; a chociaż jak wiesz dobrze, liczne konstytucye opisują walutę i termina oblaty obligów, ale któż na nie patrzy? Pożyczka na kalendarzu zapisana tak bywała u ojców naszych święta, jakby najwarowniejszym zapisem umocowana. A zatem krótko mówiąc, kto zaprzecza, choćby najdawniejszemu obligowi, nie tylko własnemu, ale choćby i przodka swojego, powodem dawności, czy jakim innym wykrętem, kręciel jest mospanie, i kwita. Mniemam, że takiej sprawy nie podjąłeś się bronić.

— Owszem przeciwnie—i cieszy mnie zdanie brata dobrodzieja, bo mam właśnie konwinkować za dług, na który karta przed półtorastą z górą laty wydana, dotąd *sine ullo fructu* leżała.

— Przed półtorastą laty; od kogo i komu!—zapytał porywczo mnich.

— Od Korsaka, *quondam* fundatora XX. Karmelitów Głębockich, niejakiej pannie Maryannie Sulistrowskiej, a zapisanemi na funkcyę dobrami ewinkowanej. *Qui possit bona, possit et opera**), to wiadomo **).

A czyż ta panna Maryanna Sulistrowska żyje matuzalowe lata, i teraz swoje kapitały zbierać postanowiła?

— Nie, *Reverendissime!* ale właścicielem *per viam haereditatis* tego obligu jest dziś JW. Aloizy Sulistrowski, pisarz wielki W. Ks. Lit. dziedzic Szemetowszczyzny *et alias*. Policzywszy zatem procenta i rekambia, wygramy na Karmelitach około miljona, a od każdego tysiąca czerwonych złotych, dekretem trybunalskim,

*) Kto posięga dobra, posięga i ciężary na nich.
**) Prawdziwe.

zrealizować się mających, mam sobie zaręczonych *inter nos loquendo,* takichże sto.

W miarę słów skarbnika, twarz księdza się czerwieniła. Milczał jeszcze chwil kilka, choć tamten przestał mówić, i odpowiedzi zdawał się oczekiwać. Nakoniec wybuchnął:—Przegrasz!—zawołał z zapałem—przegrasz! i powinieneś przegrać! albo przez całe życie przeklinać będziesz twoje od tysiąca sto dukatów. Kapturem głowę nakryjesz, pokutować będziesz, abyś na Sądzie Ostatecznym, duszy twojej w kontrawersyach z dyabłem nie przegrał!. . . a ze zbiorów twoich *tertius haeres non gaudebit* *).

— Nie rozumiem jegomości dobrodzieja. Tylko co mi dowodziłeś, że naprzeciw żadnemu długowi choćby przodków, dawnością bronić się uczciwość nie dozwala; a teraz w takiejże samej sprawie, wróżysz mi przegranę, nie tylko w trybunale litewskim, ale jeszcze i w trybunale mającym się kiedyś odbyć *post fata. Inter nos loquendo*, powtarzam, że nie rozumiem brata dobrodzieja. . . .

— Posłuchaj mnie panie Franciszku—rzekł uspokojony nieco ksiądz,—a poznasz, że nie darmo grożę ci przegraną, zwłaszcza w w tym ostatnim trybunale. Przypomnij sobie, jakeście się dziwili mojej nagłej imprezie, wstąpienia do zakonu. Aplikowałeś się waćpan, a raczej byłeś już dependentem przy mnie, i sam mię prosiłeś, abym został czem byłem, to jest czem waćpan teraz jesteś: mecenasem trybunalskim i plenipotentem najpierwszych naszych dygnitarzy i magnatów. Ale ani tobie, ani komukolwiek nie dałem się namówić, bo był głos inny tu (pokazał na serce), który mię gwałtem w kaptur ciągnął; a głos ten ustawnie mi nad uchem szeptał: zgrzeszyłeś! zgrzeszyłeś! pokutuj! pokutuj!. . . Nie było rady, sam to znałem, że zgrzeszyłem. Jedna minuta, jedna zła rada, i zgryzota gorzka, i pokuta na całe życie!. . Oj! panie Franciszku strzeż się! strzeż! na ślizkiej jesteś drodze.

— Ależ proszę brata dobrodzieja o jaśniejszą przestrogę. Czego mam się strzedz? jaka to chwila i rada tak fatalną była dla brata?—

— Ksiądz chodził szerokim krokiem i w milczeniu po celi.— Czy waść spowiednik?—odezwał się nakoniec.

— Jam nie spowiednik, prawda, i nie mam prawa do tajemnic brata, i nie teolog; ale przecież osądzić mogę, że brat nie będziesz wolny na sumieniu, jeżeli nieostrzeżesz mnie jako bliźniego choćby, a tem bardziej swego rodzonego, o grzechu, jak wnosić mogę ciężkim, za który sam pokutujesz, a w który mi, zakrywając przepaść, wpaść, dozwalasz. To *materia gravis*, mości dobrodzieju, *inter nos loquendo*.—

Słowa te zdawały się robić niejakie wrażenie na księdzu; bo często przenikliwie oczy zwracał na brata i wzdychał głębo-

*) Trzeci potomek cieszyć się nie będzie.

ko . . a tak wzruszony, przemierzywszy jeszcze w milczeniu razy kilkanaście celę, stanął i rzekł znowu.

— Ale przegrasz panie Franciszku! przegrasz, powtarzam! i narazisz na szwank swoją reputacyę. Bo najprzód pewny jestem, że oblig niema prawnej waluty, stosownej do konstytucyi, tysiąc. . . .

— Zapomniałeś *Reverendissime*, coś dopieruteńko w tej materyi powiedział,—przerwał skarbnik.—Oblig jest zwyczajny, na blankiecie zapisany, we środku pierwszy pieczętarz *totum tenorem rei* wypisał, dalsi tylko wzmiankę, a kilku latami od fundacyi karmelitańskiej dawniejszy.

— Nic to nie dowodzi, bo za cóżby pobożny fundator poświęcał na chwałę Bożą dobra onerowane? Dla czegożby właścicielka kapitału, żyjąca zapewne jeszcze, lub jej sukcessorowie, przy samem przejściu dóbr Korsakowskich do Karmelitów nie manifestowali się przynajmniej, lub później przez lat tyle milczeli? Dla czego? powiedziałbym, najjaśniejszy trybunale, (a tu w zapomnieniu się kaptur z głowy na plecy odrzucił,) dla czego JW. Sulistrowski nie dekuje swojej procedencyi od tejże Maryanny Sulistrowskiej, i nie udowodnia jakim sposobem ma *jus ad rem* której dochodzi? Od tak dalekiej daty, ileż to konflagrat w kraju naszym poniszczyło archiwów publicznych, a tem bardziej *privatorum?* Któż zaręczy, że licznie rozrodzona, a wielce szlachetna familja Korsaków, takowym nie uległa?. . . a w nich, że się nie patraciły dowody opłaty, lub układów jakichkolwiek eliberujących ich fortunę? Jakiż lumen w takich wątpliwościach oświeci ciebie najjaśniejszy trybunale? Jakąż racyą? jakim argumentem justyfikować będziecie wasz wyrok sędziowie, mający ująć chleb sługom Bożym a salwę duszy Korsaka w czyścu będącej?. . . .

Skarbnik pokręcił głową, poczuł bowiem, że ta ostatnia, trafiłaby sędziom w codzienne za dusze zmarłe modlitewki, a zatem najtrudniejszą byłaby do zwalczenia.

— To sędziowie, mówił bez zastanowienia się orator, to z waszem własnem zbawieniem sprawa! Tu na potępienie własnej waszej duszy napisać możecie dekret. Oto przed wami na stole waszym sądowym, w oczy wasze, woła na was, sam niesłusznie osądzony Chrystus: *O Judices! judicium vestrum judicavero!* *).

Skarbnik dopiął czego żądał i oczekiwał; ksiądz mu rozświecił interes z najważniejszego punktu widzenia, przerwał więc:— ale *Reverendissime* na co ta replika, kiedy produktu jeszcze nie ma. Odbędzie ją i plenipotent Karmelitów w swojem miejscu i czasie.—

Spostrzegł się ksiądz Ambroży; odstąpił nagle od stolika,przy którym jak przy trybunalskich kratkach perorował, narzucił kaptur na głowę, i jakby z podziwienia żegnając się, rzekł: „*Deus adjutor meus!*“ tak, tak, po co mi ta replika? a choć rzeczy słusznej dowodziłem, ale dla czegoż po adwokacku? Och bieda moja! bieda!

---

*) O sędziowie! wasze wyroki Ja sądzić będę.

Idź waćpan precz! Waćpan mnie zawsze na tę nieszczęśliwą procedurę naprowadzisz! Wasan jesteś tentator!. . z wasana łaski ja codzień odnawiając vota moje, codzień staję się relapsem!!! Wasan, wasan za to odpowiesz Panu Bogu,—mówił żywo i dotkliwie ksiądz.

— Ale bracie dobrodzieju, któż cię na te indukta nawodzi? Jeżeli szukam rady w eksperiencyi i mądrości brata dobrodzieja, zdaje mi się, że to nie jest grzechem. A właśnie chcąc grzechu uniknąć, prosiłem i proszę brata, abyś mię oświecił i z tej ślizkiej drogi, o którejś namienił, sprowadził. . . bo ja jej nie widzę. Cóż należy do sumienia mego, zła czy dobra sprawa pana Sulistrowskiego? Instancya jej na sumieniu aktora. Ewent na sumieniu sędziów: a patron broni każdej.—

Chodził znowu zamyślony ksiądz po celi; kilka razy stawał przed bratem, jakby miał coś powiedzieć, i znowu zmieniał zdanie. Wewnętrzna sprzeczka miotała nim. . . nakoniec zdeterminował się, usiadł na jednym stołku: —usiądź,—rzekł podsuwając drugi bratu—i posłuchaj krótkiej, ale najważniejszej życia mego historyi. Byłem, jak to wiesz dobrze, plenipotentem wielu panów litewskich; z jednym z nich odbywając peregrynacye po różnych stronach Litwy, zajechaliśmy w Słonimskie i trafiliśmy na fest do Żyrowic. Obraz tam słynący szczególniejszemi łaskami Matki Boskiej; assystowaliśmy więc nabożeństwu. Przy mszach śpiewają tam pieśń o cudach tej przeczystej Dziewicy.

— Ja umiem tę pieśń i mówię ją często na chwałę Bożą— rzekł skarbnik.

— No, to wiesz, że tam jest taki rym:

„Tu pan Tryzna
Cuda wyzna
Byteń na Zakon daje!“

Siedziałem ja w drugiej ławie za moim pryncypałem; Byteń! wielka fortuna! pomyślałem. Kiedyż to Tryzna tę fundacyę uczynił? Szepnąłem więc na ucho panu mojemu. (Och! bodajbym natenczas oniemiał): „wypadałoby zobaczyć w metrykach litewskich, kiedy Tryzna oddał Byteń do Żyrowic? a nuż po konstytucyi?. . .“ *). Mój JW. dygnitarz obejrzał się na mnie, kiwnął głową, i dalej się modlił. A mnie w ten moment targnęło za serce, i jakby także szepnęło na ucho: „grzeszniku! w domu własnym Boga-Rodzicy, myślisz o jej spoliacyi!!!“ Ale już było po czasie. Znałem mego pryncypała, że nie zaśpi gruszki w popiele; przyszedł żal i skrucha. Nuż ja modlić się, nuż płakać rzewnie. Obejrzał się znowu na mnie mój pryncypał, zrozumiał widać przyczynę łez moich i uśmiechnął się, co mi jeszcze gorzej dopiekło. Jakoż krótko mówiąc, zajrzał on do metryk litewskich, do których fundacya wpi-

*) W drugiej połowie siedemnastego wieku, stanęła konstytucya, zakazująca zapisywania dóbr ziemskich na fundusze duchowne przez testamenta.

saną była, i znalazłszy ją *de nova radice* erygowaną, zabrał Byteń kadukiem.

„Wkrótce sprzykrzył on sobie moje protestacye i molestacye, a zatem podziękował mi za attencyę w jego interesach; ofiarował mi nawet znaczną gratyfikacyę, do której jak do gorącego żelaza i ręki nie dotknąłem.

„Od tego fatalnego momentu, na żaden obraz Najświętszej Panny Maryi oczy podnieść nie mogłem, nie mogłem spokojnie mówić: *Sub tuum praesidium*. Szkaplerze moje nawet mię piekły na piersiach. Męczyłem się we dnie i w nocy . . . Myślałem o restytucyi klasztorowi, łatwiejszej memu pryncypałowi, bo antenaty jego nie jeden dom Boży bogato uposażyli. Ale ja cóż mogłem uczynić za kilkaset chat odebranych z mojej łaski? Naturalnie, spowiadałem się i ochotnie przyjmowałem ciężkie pokuty, posty, i peregrynacye dalekie; a lubo świątobliwi kapłani i spowiednicy, kazali mi ufać w miłosierdziu Bożem, wszelakoż od konfessyonału nawet, rozgrzeszony, ale nieuspokojony odchodziłem.

— Nakoniec Bóg mi zdarzył jednego mądrego teologa *Societatis Jesu*, którego w tych moich obsydjach poradziłem się; on mi rzekł: najprzód porzuć bez powrotu rzemiosło, które cię na tę fatalną radę naprowadziło. Pismo ś. mówi, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi do królestwa niebieskiego; otoż bodaj adwokatowi toż samo, a może i trudniej jeszcze. A za restytucyę, poświęć Bogu i dodaj na usługi samego siebie. Więcej uczynić nie możesz, zwłaszcza gdy to uczynisz sercem ochotnem i skruszonem. Nie miałem co odpowiedzieć na taką radę, bo już to było ostatnie *refugium* dla mojej biednej głowy.

— Pamiętasz wasan, jak nagle mimo wasze prośby, odrzekłem się *patrocinii* i wstąpiłem do zakonu. Nie mogłem wstąpić do ks. Bazylianów, choć to rzeczywiście moja posługa im się należała, bo już mi późno było uczyć się liturgii greckiej; więc Panu Jezusowi Antokolskiemu złożyłem moje *votum*, i w jego świętej opiece znalazłem nakoniec spokojność, a odżegnałem się *tandem* od tego nieszczęśliwego Bytenia, któryby mnie na świecie prześladował do ostatniej mojej godziny . . .

— Pierwszy raz przed tobą świeckim człowiekiem odkryłem tę moją tajemnicę, i przyczynę obleczenia się w habit, który jednakże za pomocą Bożą... nie jest mi ciężkim. Wszakże, bracie mój panie Franciszku,—mówił dalej wzruszonym głosem: *„Felix quem faciunt aliena pericula cautum!“* *) *sat sapienti!*—Skarbnik stał zamyślony.

— Zresztą, nie przychodź do mnie,—mówił ks. Ambroży—po *consilia* patrońskie, jakto często czynić zwykłeś, luboś sam zawołany prawnik, i rad żadnych nie potrzebujesz; bo ja każdą taką między nami konwersacyę, ciężkim zawsze *miserere* odku-

*) Szczęśliwy, kto z cudzego doświadczenia korzysta.

puję. Nie żałuję mojego ciała, ani oszczędzam sobie tego narzędzia, które pod krzyżem widzisz, (a wisiała tam dyscyplina); Chrystus Pan więcej cierpiał dla naszego zbawienia... ale na cóż mię naprowadzasz na myśli i mowy których się zarzekłem?

— Ale bracie dobrodzieju —odpowiedział skarbnik—*inter nos loquendo*, jesteś prokuratorem *Causarum* swego klasztoru, więc musisz często zobaczyć się z tą księgą—i wskazał na statut.

— To co innego mospanie! to co innego, to właśnei jest moja, choć wcale niedostateczna restytucya funduszom na chwałę Bożą poświęconym, że je bronię; ale do spraw świeckich, wara mi się mięszać; a przecież mię wasan wciągasz.

— Będę ostrożniejszym mości dobrodzieju, będę ostrożniejszym. Wszakże i teraz nawiasem tylko chciałem poradzić się brata, a tymczasem daleko zaszliśmy. Nie o to jednak rzecz idzie; przyszedłem ja pomówić z bratem dobrodziejem w interesie familijnym. Wiadomy bratu proces pana Stefana brata naszego ze starostą Kapinowskim, sąsiadem naszym od Dowiatowszczyzny, o zaścianek nad Wilją...

— Czy znów proces?—przerwał ksiądz—zatykam uszy!

— Ale bo widzi brat, że wyniknąć mogą cyrkumstancye, któreby ten proces na kombinacyi. . . a kombinacye. . . na kobiercu zakończyły.

— Cedzisz mi coś jak przez zęby, czy nie myślisz tylko żenić się panie Franciszku? w takim razie powiedziałbym, że kognicyjną sprawę kończysz, a rozwodową zaczynasz i przenosisz forum z trybunału do konsystorza. —

Skarbnik tak się zmarszczył, i machnął ręką, że ksiądz zgadł od razu, że nie trafił na tor. A wtem rozległ się po korytarzu dzwonek na *Silentium*. . . Ksiądz machnął podobnież ręką na brata i na drzwi razem, a sam odskoczył raczej niż odszedł ku obrazowi Zbawiciela, ukląkł przed nim, i rozkrzyżowawszy ręce modlić się począł.

Skarbnik stał w milczeniu, nie wiedząc co sobie poradzić? *Silentium* bowiem przerwało główny jego interes. Nakoniec odważył się powiedzieć: proszę brata dobrodzieja, przyjść jutro po obiedzie do braterstwa podczaszowstwa, dla narady w interesie ważnym familijnym. — „*Miserere mei domine, secundum magnam misericordiam tuam*“ *), mówił ksiądz, jakby nie słyszał skarbnika, i mówiąc to zdejmował dyscyplinę z kołka.—A on, pomyślał skarbnik, gotów i mnie na ten bankiet zaprosić,—zapalił więc cichuteńko świeczkę w latarce, i również cichutko wyniósł się za drzwi.

---

*) Zmiłuj się o Panie nademną, podług wielkiego miłosierdzia Twego.

VI.

Pan Ludwik Dowiat.

Zwrótka jedna szczęśliwa w piosnce wesołej Krasickiego, zadefiniowała nas lepiej, niżeli wiele rozpraw i zdań, o naszym narodowym charakterze.

„Czuli, cnotni a ochotni!"

Te trzy przymiotniki, składają grunt naszego serca, przyczynę naszych publicznych czynów i błędów, a nawet naszego losu. Gdyby można wskrzesić całą generacyę naszą, przed ostatnim okresem naszego zepsucia i klęsk politycznych żyjącą, zobaczylibyśmy towarzystwa i ludzi obyczajów czułych, cnotnych a ochotnych, to jest, prawdziwych naszych, nieskalanych rozmaitemi obczyznami, które nas po kolei zalewały.

Zobaczylibyśmy to w istocie i najawie, co dziś jak we śnie w dziejach, dokładniéj w nielicznych ówczesnych pamiętnikach, i nakoniec w pismach niektórych wybranych autorów odtwarza się nam i przedstawia. To co tak miłą w nas wzbudza harmonię! tak nam składnie w serce wpada! bo znajduje w niem niezatarte jeszcze zupełnie owe charaktery czułości, cnoty i ochoty; to jest łatwowiernego pochopu ku wszystkiemu, który Bóg na niem, jako piętna naszej natury, i naszego przeznaczenia wyrył.

W czasie o którym piszę, powszechna barwa narodowa, w łacińską dotąd, że tak powiem togę obleczona, ustępowała z placu, parta tak nazwaną Augustowską oświatą, której wartość dziś oszacować umiemy. Mocowała się ona jednak silnie, i nie łatwo dawała się wypędzać, zwłaszcza z serc i z zagród szlacheckich; gdzie religja jak poczciwa gospodyni, zapierała wrota przed cisnącą się gwałtem czeredą nowych nauk i nowych obyczajów. Ale wspaniałe bramy naszych magnatów stały już dla nich otworem; tam one wkrótce samowładnie panując, kształciły modnych filozofów, zaprzańców obyczajów, zwyczajów, języka i cnót naszych rodowitych. A tak, gdy wojewodzice, kasztelanice, starościce zaczynali swe nauki przy cudzoziemcach od: „*Au nom du Père, du Fils, et du Saint Esprit*" dla języka bardziej, niż dla pacierza paplane; to podczaszyce, podstolice, słowem, nie senatorskich krzeseł, ale powiatowych stallów dziedzice, trzepali jeszcze z poczciwymi ojcami swymi staroświeckie *Pater noster*, albo z matkami codzienne a serdeczne; „Błogosław Panie Boże, w komorze, w oborze na polu i w gumnie!" *) i błogosławił im Bóg wszędzie.

Nie tu miejsce długich w tej materyi wywodów, tylekroć już, i w rozmaity sposób powtarzanych, potrzebowałem tych ogólnych słów kilku, jakby na tło do obrazu, na którym wśród in-

*) Dawny Złoty Ołtarzyk; modlitwa w codziennych potrzebach.

nych, okazuje się przedniejsza figura mojej powieści, Ludwik Dowiat, młodzieniec właśnie czuły, cnotny a ochotny, któremu podobni bodajby i teraz się rodzili!

Ej bo *formosus* to był chłopiec! Miał lat dwadzieścia trzy. Wąsik mu się czarny wysypywał, płeć biała, rumieńczyk panieński, oko czarne, pełne i żywe; włos także kruczy, w lekkie pogięty kędziory, czoło gładkie, otwarte, a na całej twarzy dowcip, wesołość i swoboda młodzieńcza, ujmujące od razu serca.

Gdy wysmukłą i udatną swą kibić, w piękną opiętą i krótką po kolana, a złotemi na piersiach sznurami szamerowaną, ubrał węgierkę, litym pasikiem u stanu się ściągnął; krzywą, na takichże ze złota i jedwabiu tkanych paskach, zawiesił demeszkę; wdział jak ulany i skrzypiący trochę bucik na nogę, a głowę błękitną aksamitną czapeczką z karogańskim drobnym, jak ze srebrnych perełek, baraneczkiem, na bakier wrzuconą, ustroił, i szedł lekkim krokiem po ulicy; rozkosz nań było patrzeć. I nie jedno miluchne pięknych ocząt spójrzenie, przeprowadzało go długo i daleko; za wzrokiem zaś nie dosłyszalne mu, ale za nim rzucone powtarzały się wykrzykniki: chłopiec jak malina! szyk chłopiec!

Nie samą też jedną gładkością lica i figury jednał ten panicz afekta sobie powszechne, a szczególnie niewieście. Trzeba go było widzieć w tańcu, jak posuwistym i podskocznym krokiem paryerując swojej motyi, z wdziękiem i od serca podawał w przemienianiu rękę; z jakim uśmiechem i cudnym ukłonikiem uderzał w dłonie do odbijanego! Jakie milutkie słówka wrzucał w uszko idącej obok niego dziewicy, na które żywszy rumieniec bywał odpowiedzią; albo i ładnej mężatce, karcącej napominkiem śmiałość młodzieńca, a uściśnieniem rączki łagodzącej karę. Jako syn powszechnie znanej szlacheckiej rodziny, miał pan Ludwik otwarte sobie drzwi w każdym, by najznakomitszym domie. Wszelkie więc publiki trybunalskie, assamble, kompanie i zabawy, nie obeszły się bez niego. I tembardziej, że jakeśmy widzieli wyżej próbkę jego talentu, był on jeszcze i poetą, a zatem nie jedną wieczorynkę, nowo-skoncypowaną piosenką uraczył; która na dobraną ze sta innych nutę. wnet się kilkunastu głosami obojej płci odezwała, i rozweseliła towarzystwo, a chlubą, dziękami i uściskami osypały autora.

Wszystko to jednak nie do smaku było stryjaszkowi panu skarbnikowi, który, jak powiadał, radby mu był te wiatry z głowy wypędził, a zwrócił go na drogę pewniejszej krescytywy. Ale zamykała mu zawsze usta cała familijna płeć niewieścia. Mamunia słysząc sukcessa jedynaka, podsyłała mu talarków. Stryjenka skorrumpowana afektem i respektem, a często i koperczakiem synowczyka, broniła go stale i mężnie przeciw opresyi pana skarbnika. Siostrzyczka Helusia, kochająca braciszka i kochana nawzajem, patrzała nań jak na cudowny obrazek, chlubiła się nim jak drogim skarbem, i za każdą zaczepką, jak sroczka, starego kruka za-

głuszała i skubała. A nawet pani podstolina Dulska, obca familii ale jej stała przyjaciółka, a klientka i pupilla skarbnika, ujmowała się za swego syna chrzestnego: „bo nie fircyk, mój łaskawco, mówiła ona, bo nie burda, bo nie kostera; i choć młody, ale bogobojny. — Zna jak szanować starszych. A że lubi zabawić się wesoło, że umie dać sobie rum wszędzie, to i dobrze mój łaskawco; uchodzi się piwko i będzie zeń zacny obywatel; upewniam mego łaskawcę!"

— *Nec hercules contra plures*, a tem bardziej *mulieres* *), odpowiadał na to wszystko skarbnik, kiwał głową i ustępował.

Od niejakiego jednak czasu, wesołość i żywość pana Ludwika zmodyfikowały się bardzo; zakochał się nieborak! Sam nie spostrzegając, jak przywyknienie dziecinne do Elżuni starościanki Kapinowskiej, z którą w sąsiedztwie rósł i hodował się, dojrzało z wiekiem w miłość. Odmiana takażc sama, stała się bodaj i w sercu pięknej Elżuni. Ale cóż! kiedy rodzie obojga, jakby czekali ze swojemi rozterkami wzrostu i skłonności wzajemnych swych dzieci, właśnie teraz prawować się zacząwszy, dawną siąsiedzką i stałą między sobą przyjaźń, zupełnie zerwali. Stąd, zręczność nawet częstego widywania się coraz trudniejszą zakochanym była. A lubo pan Ludwik nie tracąc serca i nadrabiając rezonem, ilekroć z Wilna do rodziców przybył, jechał do państwa starościństwa, jakby ten proces najmniej doń nie należał, przecież zimne przyjęcie, szczególniej pani starościnej, i smutna twarz Elżuni, zbijały go od razu z toru.

Koń jego w ręku masztalerza stał przed gankiem, lub się przeprowadzał po dziedzińcu, nie zaproszony niestety, jako niegdyś do stajni. Skonfundowany i milczący pan jego strzelał tylko okiem po tych samych kątach i pokojach, po których niedawno wesoło i poufale z Elżunią się uwijał, lub spoglądał na nią, siedzącą ze spuszczoną głową nad krosienkami, i nie śmiejącą wznieść nań wzroku, w którym niedawno na przybycie jego radość i rozkosz igrały.

Pani starościna zapytywała go sucho, co słychać w Wilnie? pan starosta ciągnąc powoli dym z długiego cybucha, lubo mniej surowo z nim się obchodził, bo go lubił od dzieciństwa, ale akkomodując się humorowi żony, nie śmiał po dawnemu go traktować. Ledwo się odważał spojrzawszy na konia pana Ludwika, zapytać wiele on ma lat? bo jako zawołany amator stadniny, tej ciekawości oprzeć się już nie mógł. Ale oboje nie dawali młodzieńcowi żadnego powodu przedłużenia odwiedzin, a nawet na skrócenie onych, pani starościna znająca myśli i uczucia Ludwika, a podobno i córki, znalazła zawsze jakiś choć niezręczny, pretekst wyprawiania jej z pokoju.

Brał więc za czapkę gość natrętny... jeszcze chwilkę zwlekał, a nuż zaproszą. Ani pół słowa!... po krótkiem zatem

---

*) Ani Herkules przeciw wielu nie wydoła, a tembardziej kobietom.

pożegnaniu, dosiadał bieguna i wylatywał jak z procy z domu, do któregoby już i nie wrócił nigdy, gdyby Elżunia, odchodząca za rozkazem mamy, nie rzuciła mu spójrzenia, po które chłopiec o sto mil by pojechał, i na sto razy gorsze narażiłby się konfuzye. W takim to stanie serca i okoliczności, był pan Ludwik Dowiat, gdy zamiast manifestu, napisał wierszyk do cudnej Elżuni.

VII.

Rada familijna i gość.

Nazajutrz po rozmowie w klasztorze między dwoma braćmi, we dworku państwa podczaszowstwa, uprzedzona zrana przez skarbnika o mającej nastąpić wieczorem radzie familijnej i przybyciu na nią ks. Ambrożego, gospodyni przygotowała kawę, której wielki imbryk stał przed ogniem na kominku, rzędem maleńkich garnuszeczków ze śmietanką otoczony. Helusia krzątała się około stolika, u stawiając na nim małe z saskiej porcelany filiżanki. Podczaszy na kanapie dotrawiał obiad, potuszając go piwkiem, spoglądał na te przygotowania, i naprzykrzał się synowiczce zmyśloną swaćbą rozmaitych swoich rówieśników i kondyscypułów szkolnych.

Ze słów skarbnika zapowiadających to zebranie, razem ze wzmianką o panu Ludwiku, przenikliwe a interesowane kobiety zgadywały, że ta rada o nim toczyć się będzie. Świadome zaś były tajemnicy jego serca, której on przed ukochaną siostrzyczką nie tylko nie krył, ale owszem troski swe, cierpienia i uczucia, rad przed nią na osobności wylewając, ulgę niejaką i pociechę znajdował. Tembardziej że smutne te i tkliwe skargi jego przez usta Helusi trafiały zwykle do Elżuni, i wracały doń zawsze, przez to same powiernictwo, lecz miłą nadzieją owinięte. Stryjenka pod wielkim sekretem, wiedziała o wszystkiem od Helenki; a tak obie życzliwy a serdeczny biorąc udział w losie Ludwika, ciekawemi były, co też o nim stryjowie radzić mają?

—Pociągniemy kabałę na dzisiejsze. . . nim przyjdą. . . szepnęła na ucho Helusia stryjence.

Podczaszyna uśmiechając się skinęła głową i pogłaskała twarzyczkę synowicy.

Helusia więc wyjęła ze stolika małą książeczkę, przez częste widać użycie zestarzałą, odkryła pierwszą jej kartkę, i na kółko numerami napełnione rzucając ziarnko pszenicy: „oto na jego“ rzekła,

Podczaszyna stojąc obok, również ciekawie śledziła liczbę na której ziarnko się zatrzymało. . .

— Ośmdziesiąt siedm! — szepnęły obie. —

— No czytajcież głośno co tam wypadło z waszej kabały — odezwał się podczaszy, a zakłopotały się kobiety, bo im się zdawało, że jegomość drzemał i nic nie słyszał. — Przeczytały więc taką wróżbę:

W każdej życia konjunkturze,
Upadają tylko tchórze!"

— Wybornie! — wykrzyknęła nieuważna Helusia; bo Ludwiś nie tchórz! —

— A! to na konto Ludwika ciągnęłyście kabałę? — przerwał znowu podczaszy — to co innego. Ja rozumiałem, że Helusia dla siebie pszeniczkę sieje.—

— At, wasan sam niewiesz co gadasz — odrzekła żona. Teraz rzuć na nią Helusiu: —

Helusia więc rzuciła powtórnie też same ziarnko.

Trzydzieście ośm! liczba parzysta, to wypadnie kabała kobieca, mówiła szukając numeru — jest:

„O! ty podporo ludzkiego narodu! *)
Więcej dwudziestu będzie twego płodu"

— Ach! Jezus, Marya, Józef! obie krzyknęły. —

— No, mówił śmiejący się podczaszy, to się rozumie *circiter;* a może licząc i z wnukami; zawsze jednak winszuję błogosławieństwa Boskiego tej, na którą tę kabałę ciągniecie. —

— Jak to będzie, to będzie, rzekła podczaszyna, zawsze jednak kabała dobrze wypadła; bo Ludwikowi każe być stałym, a Helusi wróży małżeństwo. Jeszcze raz dla Elżuni! —

— Jakiej znowu Elżuni? — zapytał podczaszy. — Uprzedził odpowiedź na to pytanie, wchodzący zamaszysto i z szumem gość niespodziewany.

— A! pana porucznika dobrodzieja! — ozwali się wszyscy — jakże dawno widzianego? —

— Nogi weneruję podczaszowstwa dobrodziejów! Przed godziną przybyłem, i wnet pośpieszam do moich łaskawców — rzekł kłaniając się damom, a uściskając gospodarza, pan porucznik Stelnicki, gracki i czerstwy wdowczyk po trzech żonach; które, traktując wojskowo i peregrynując z komendą, w rozmaitych stronach kraju zaślubiał. —

Mógł on mieć lat ze sześćdziesiąt, ale daleko młodszym się wydawał. Nosił się z żołnierska, z węgierska i z polska, a zawsze

*) Z dawnej kabały.

pięknie i schludnie. W kontuszu czy w taratatce, zawsze suta szlifa błyszczała mu na ramieniu. A chociaż szarżę swą porucznikowską sprzedał jakiemuś paniczowi (boć to było prawnie i wolno), znak ten jednak, a razem całą energię, otwartą prawdomówność i wesołość, a nawet postać i minę gracką a mężną, do wysokiej figury jego wielce przypadającą, z dawnej swej profesyi zachował.

Nie gadaj mu do trzeciego, skoro szło o honor własny, lub krzywdę przyjaciela. Ale bez zaczepki, spokojny to był, poczciwy i wyborny towarzysz. Owszem po staroświecku i po szlachecku, każdego rad był zobowiązać, obdarować, pocieszyć i wspomódz nawet; byle nigdzie z twarzą zasępioną i zmarszczoną się nie spotkał, bo tego pasyami niecierpiał.

— Nogi weneruję podczaszowstwa dobrodziejów moich, powtórzył, i zwracając powitanie do Helenki — a. . . moja Helusieczko! Moja gołąbeczko! Jak długi do stopek twych się ścielę. A kiedyż nasze wesele? —

— Zdaje się panie poruczniku, odezwała się z uśmiechem podczaszyna, że powinienbyś być syt konkurów małżeńskich. —

— Mościa dobrodziko!

Noga się pląta
Będzie żona piąta!

powiada przysłowie. Ale ja z piątej na wieki kwituję. Czwartej zaś nie odstąpię; a tą, nie inna być musi, jak piękna Helusia! mój aniołek, mój buziaczek. . . i całował czule rączki śmiejącej się i wyrywającej się Helusi. —

—Gracz do fartuszka!—mówił kręcąc głową pan podczaszy.—

—Choć stary, ale jary!—mówiła kręcąc głową podczaszyna. —

— Cóż słychać na wsi? — zapytała jeszcze ona przerywając konkury gościa. —

— Wszystko dobrze mościa dobrodziko, wszystko dobrze. Braterstwo państwa, a rodzice mojego aniołka, zdrowi i przysyłają ukłony i pozdrowienia. Zawczoraj nocowałem w Dowiatowszczyźnie, a wczoraj jadłem obiad u staroścínstwa Kapinowskich. Włóczyłem się w Grodzieńskiem, opatrując to tam, to ówdzie stadniny i dobierając czwórki. Trudno, coraz trudniej u nas o koniki. Jednakowoż przyprowadziłem cztery kasztany brudne, ogony i grzywy konopiaste, co nie wstyd i wojewodzie jakiemu zaprządz by do karocy, i cztery kuce siwe, dla jakiego panicza na harcówkę. Ale och! nie mam i mieć nie będę takich, jak moja niegdyś czwórka porcenelo-srokatych . . Starosta chciał handlu. . . ale . . Krótko mówiąc. , nie miał przydatku, a moje konie narowiste bestye, na papier nie idą.—

— Gdzież stanąłeś kochany poruczniku; po staremu u nas kwatera.—

—Nie, mościa dobrodziko, *pro hac sola vice*, to jest ten raz proszę mi darować, stanąłem w mieście; przybywam na dłuższy termin; doczekam tu zapust, a może i włóczebnego. Gospodarkę

zdałem synowcowi, bo nie lubię siedzieć jak pustelnik, i kłócić się codzień z ekonomem, nie przywykłym do subordynacyi wojskowej. Zimę więc przebędę tu w miłem towarzystwie moich przyjaciół w mieście, a na wiosnę pojadę po przyjaciołach na wsi . . .—

Wtem wszedł pan skarbnik, a za nim wkrótce i ksiądz prokurator; tak, że pan Stelnicki z kolei jednego po drugim witał.

— No, rzekł ulokowawszy się na kanapie ks. Ambroży, i popijając smakowitą kawkę, gdy i wszyscy toż samo czynili.—No panie skarbniku, na jakież tu mnie familijne consilium zaprosiłeś. *Indukuj negotium!* mówiąc Boże odpuść, waszym patrońskim językiem. . . byle tylko nie proces, bo waćpan wiesz. . .—

— A jeżeli ichmość dobrodzieje zebraliście się na jakąś poradę, więc ja mogę tu być niepotrzebnym, mówił powstając i biorąc za czapkę porucznik.

— I owszem, odpowiedział, przytrzymując go skarbnik, w czas Bóg nam zdarzył tak szanownego gościa, którego doświadczenie *in his et similibus,* może nam być pożyteczne, a o przyjaźni którego dla domu naszego nie wątpimy.—

— A, jeżeli na cokolwiek przydać się mogę, to służę—rzekł siadając na nowo Stelnicki.

— *Inter nos loquendo* kochani bracia, mówił zatem poważnie pan skarbnik; *ultima spes, et haeres* *), naszego szlacheckiego domu, jest nasz pan Ludwik . —

— Ale. . . bratowo dobrodziko. . . zastanowił się tu i patrzał to na bratowę, to na siostrzenicę.—

Zrozumiała podczaszyna myśl jego podejrzliwą—Bądź brat dobrodziej spokojny.—rzekła, umiemy my, choć kobiety, być w potrzebie dyskretne —

— Otoż właśnie i potrzeba, a po przestrodze—ufam!—

— Miałem tedy nadzieję—mówił dalej skarbnik, że jako ja, po najstarszym luminarzu naszego rodzeństwa, który teraz świeci w kościele Bożym, (a tu wzajemnie między bracią nastąpiły ukłony) odziedziczyłem, gdy nie talenta i sciencię, to przynajmniej ochotę i pilną aplikacyę do patrocynii, a z czego za pomocą Bożą, coś się i na starość, lubo maluczko, bardzo maluczko uzbierało. . . i. . — (ks prokurator uśmiechnął się), i domowi naszemu nie ubyło reputacyi; tak i pan Ludwik po mnie nie odstąpi drogi tejże samej, dziedzicząc zaufanie powszechne, którego bez chluby, *inter nos loquendo,* nie skąpo używam, i którego dotąd chwała Bogu nie zawiodłem.. Ale *homo proponit, Deus disponit*; z pana Ludwika nie będzie ani jurysta, ani patron . . Szerokoby o tem podyskurować można, ale byłoby to napróżno, bo już nie czas panicza brać w rezę, tembardziej, że mu w głowie i w sercu inne imprezy i myśli brodzą.

---

*) Ostatnia nadzieja i dziedzic.

Dośledziłem ja wczoraj *insperate* intencye i inklinacye jego. . . .

Pani podczaszyna i Helenka, spójrzały na siebie przenikliwie.

— Jeżeli poczciwe i zacne, to panie Boże błogosław, odezwał się ks. prokurator. Niech się żeni! nie pożałujesz, mówią ludzie, żeniąc się młodo i rano wstając.—

— Poczciwe i zacne, ani słowa, ale poczęte w nader trudnych i niewczesnych konjunkturach lubo ile miarkować mogłem, nie są one bez wzajemnej rekognicyi. . . .—

— Mów otwarcie panie bracie—rzekł znowu ks. prokurator, po co te zagadki?—

— *Inter nos loquendo,* pan Ludwik, gorącym jak widać afektem miłuje pannę Elżbietę starościankę Kapinowską Miarkujcież teraz jak to pogodzić z zaciętym procesem, który rodzice jej a raczej mamunia, z ojcem jego rozpoczęła. Bez tego procesu nawet wątpiłbym o szczęśliwych w tej mierze sukcesach, a cóż dopiero?—

Wszyscy pokręcili głową, uznając trudność interesu.

— Może to tylko, at sobie amory, rzekł Stelnicki. Młodzi oboje, hodowali się prawie razem w sąsiedztwie, na jednem polu, to się jakoś i przyzwyczaiło. Ale teraz, gdy się rzadko widują, gdy ten proces graniczny, założył i między nimi ciężką granicę; mój kochany Ludwiś a zna się chłopak na koniach, moich porcenelo-srokatych odchwalić się nie mógł; otoż teraz, mieszkając w mieście, nie jedną piękniejszą zobaczy od panny starościanki, i klin klinem z serca wybije.—

— O tem wątpię—rzekła podczaszyna; to o czem brat *insperate* się dowiedział my z Helusią od dawna wiemy. Spostrzedz mogliśmy wszyscy, i brat dobrodziej zapewne, jak się ten biedny chłopiec odmienił, jak stracił humor i wesołość, jak wybladł. . . —

— Ja to tylko wiem—przerwał skarbnik, że stracił do reszty ochotę do pracy, a manifesta pisze tylko *Coram actis* panny starościanki.—

— Nie trudno nam było dojść przyczyny tej jego zmiany, mówiła dalej podczaszyna; a więc bardzo dobrze, że brat dobrodziej przedsięwziąłeś wynaleźć, jakąkolwiek w tem salwę, bo to zdrowie jego zniszczyć może; a zakładać na tem nadzieję, że czas, albo nowy przedmiot uleczy go, to próżno. Gdyby zaś jeszcze, broń Boże, starościankę za kogokolwiek wydać chciano, jużby było po nim. . . Helusia chlipała na te słowa stryjenki. —

— Prawdę mówiąc—rzekł porucznik—dziewczyna ładna, i posiada prawdziwie pięć p., jak to panowie wiecie w starym łacińskim wierszu, a którego ja wyuczyłem się na pamięć, przymierzając go zawsze do moich narzeczonych:

„Ducere quam vellis, habeat P. quinque puella—
Sit Pia, Pulchra, Pudica, Prudens et Pecuniosa!“ *).

O tym ostatnim przymiocie panny starościanki wątpi kościół Boży, ale gdy pierwsze cztery, które ja ledwo pojedyńczo w moich trzech nieboszczkach żoneczkach, i to dobrze szukając, znaleźć mogłem, Elżunia równie jako i mój oto aniołeczek, który darmo swoje oczki płaczem psuje, bez kwestyi posiada; toć nie żal i pomyśleć o niej. A choćby i upaść, to przynajmniej z dobrego konia, jak to ludzie powiadają.

— Ależ bracie, panie skarbniku, zbierając tu *Consilium* familijne, zapomniałeś najgłówniejszej figury, to jest samego Ludwisia. Jego trzeba wprzód wziąść na ścisłą konfessatę, a potem coś postanowić,—rzekł ks. Ambroży.

— Nie zapomniałem mości dobrodzieju, jest on tu w moim dworku, dałem mu tam umyślnie maleńką robotę drabowania starych mantyków; bo przewidywałem potrzebę jego tu obecności; lecz chciałem pierwiej oznajomić braci z rzeczą i przygotować ich animadwersyę; teraz możemy po niego posłać.—

Jakoż za chwil kilka wszedł pan Ludwik.

Zadziwiła go zaraz na progu uroczysta mina trzech stryjaszków, a smutna i płaczliwa siostry. Przemknęło mu przez myśl, że tu iść może o wydanie jej za pana Stelnickiego, którego tu niespodzianie znajdował; i postanowił wnet, jako brat starszy, stanąć w obronie Helusi, jeżeliby ją zmuszać chciano. Przywitawszy więc uniżenie wszystkich, zbliżył się do niej i zapytał z cicha:—Cóż ci jest siostro?—

Helenka milczała, a stryjaszkowie spoglądali na siebie zachęcając się wzajemnie oczami i rozmaitymi gestami do zaczęcia.

— *Inter nos loquendo,*—przemówił szeptem skarbnik do prokuratora,—jegomości dobrodziejowi wypada zacząć, jako głowie rodziny.

— Wszak go nie do zakonu namawiać mamy,—odpowiedział niecierpliwie i również z cicha ksiądz, dodając:—panie podczaszy, tyś żonaty, więc gadaj o stanie, w którym od tylu lat żyjesz.

— Hm!... tak... tak .. szepnął podczaszy; nareszcie tajemniczo na ucho skarbnikowi rzekł: A czy nie możnaby tego na jutro odłożyć?..

— Moi kochani stryjowie,—odezwał się nakoniec Ludwik,—

---

*) Na przetłumaczenie dosłówne tego łacińskiego dwuwiersza, potrzebaby dobrać pięć przymiotów niewieścich, od litery p. zaczynających się; ja cztery tylko w języku naszym znaleźć zdołałem: ale i tych zda mi się wystarczy do szczęścia zamierzającego żenić się czytelnika, jeżeli mu Bóg żonę z niemi zdarzy.

„Dziewczyna, którą ma pojąć niech ma pięć p.
Niech będzie pobożna, piękna, poczciwa, posażna, roztropna“.

widzę, że tu coś układacie, żeście się tu nie na darmo zebrali; przywołaliście i mnie, raczcie więc objawić o co idzie?

— Idzie, — odezwał się Stelnicki, przełamując pierwsze lody stryjowskich upominków, — idzie o ożenienie wasana.

— O moje ożenienie? — powtórzył zdziwiony młodzieniec,— komuż i skąd to przyszło do głowy?

— Skąd to przyszło, Bóg cię wie, panie synowcze — rzekł ks. prokurator, — ale przyszło samemu tobie; bo brat pan skarbnik dośledziwszy, jak powiada, twoich inklinacyi ku pannie starościance Kapinowskiej. .

— Ach! ja nieszczęśliwy! — przerwał nagle i zbladł pan Ludwik.

— Trafili w sedno — przebąknął porucznik.

— Bóg z tobą mój Ludwiku! — mówił powstawszy i zbliżając się doń ks. Ambroży; wszyscy niespokojni, toż samo uczynili. — Bóg z tobą! nie ma w tem żadnej winy, ani obrazy Boskiej. Stan małżeński jest także świętym sakramentem. Rodzice twoi już podeszli, radziby cię zapewne widzieć w postanowieniu; my wszyscy cieszylibyśmy się twym losem, i odrodzeniem się z ciebie szlacheckiego naszego imienia . . Jeżeli więc szczerze serce twe skłoniłeś ku tej zacnej pannie; probujmy! a o ile z nas będzie, wszyscy ci pomożemy

— Nie wyłączając i mnie od tego, — rzekł porucznik, i uścisnął Ludwika. Ale ten milczał, oczu łzą zaszłych podnieść nie mógł. Sam nie wiedział, co mu się w głowie dzieje, jakim sposobem skarbnik odkrył jego tajemnicę, co miał odpowiedzieć, co przedsięwziąść? . .

— Kochany mój Ludwiczku, — rzekła podczaszyna przerywając powszechne milczenie, i gładząc go dobrotliwie po twarzy; — porzuć te żale, ja wiem, że ty kochasz Elżunię, i że ona. . . ciebie kocha . .

— Ach! moja stryjenko, skąd ta pewność? i na co ją tu wspominać? . . — A patrzał w oczy stryjence pragnąc bodaj od niej powtórzenia tych wyrazów, i dowodu na nie.

— No, no, już my z Helusią wiemy to lepiej od ciebie. Wszakże to nie żadna *vexa* na pannę starościankę; i pewna jestem, że w takim zamiarze, nie okaże ona ressentymentu dla ciebie. Z rodzicami jej tylko, a najbardziej z matką będzie rzecz trudna, zwłaszcza przy teraźniejszej z niemi twoich rodziców scyssyi. Już w tem moja kobieca głowa nie da wam rady.

— Ale moja bywała głowa doradzi — rzekł porucznik, — jeżeli jej posłuchacie. Oho! nie takie rzeczy opierały się o nią! —

Wszyscy go więc otoczyli ciekawie, prócz Ludwika, który stał smutny i zadumany przy ścianie.

— Oto tak. Oj! nie masz moich porcenelo-srokatych. Szkoda i wielka szkoda!

— Mniejsza tam o waćpana porcenelo-srokate, — przerwał zniecierpliwiony ksiądz; — radź lepiej co masz radzić.

— A mój dobrodzieju, bez tego ferworu ja i na moich siwych kucach tegoż samego dokażę wprawdzie, ale łatwiej byłoby z tamtymi. Jedźmy natychmiast panie Ludwiku, przez noc do Dowiatowszczyzny; ja jutro rano niby mimojazdem, i dla handlu koni, pojadę do starościństwa; ty dasz mi do Elżuni strzelisty list, zaklinając, aby się na moje propozycye zgodziła. Jeżeli cię kocha prawdziwie, zgodzi się; natenczas powracam do Dowiatowszczyzny kujemy konie hakami naprzód, podjeżdżamy w nocy. . . i jegomość dobrodziej czekaj na nas po jutrze rano ze stułą i agendką w swojej zakrystyi. Pogoń za tropem naszym w piętę pogoni, a ja dostawię państwa młodych na kobierzec. Byle dobra wola Elżuni, za pomocą Boską ręczę, że się wszystko uda; bom ja w takich rzeczach *peritus et promptus*, trzecią moją żonę uwoziłem.

— A niechże nas Bóg broni od takiego żenienia naszego synowca! — rzekł żegnając się ks. prokurator.

— To rapt, *inter nos loquendo* — to wieża *in fundo* — dodał skarbnik.

— At prawisz! wieża *in fundo*! kogożby tam starostowie wsadzili? z zięciem i własną córkę. Wiadomo co nastąpi, pogniewają się i przebaczą. Ale jeżeli moja rada wam się nie podoba, to radźcie inaczej, byle skuteczniej, o czem wątpię.

— Kochani stryjowie, — odezwał się, jakby ocucony ze swego milczenia, sam Ludwik. — Napróżnobym zaprzeczał i taił przed wami, przywiązanie moje do starościanki. I gdyby moje uszczęśliwienie od niej tylko zależało, możebym . tak przynajmniej stryjenka mówi. . .

— Mówię, bo dobrze znam serce i sympatyę ku tobie Elżusi.

— Mógłbym i ja, — rzekł skarbnik — zacytować na to niektóre dowody *in scriptis* . .

— Dość tego kochani stryjaszkowie moi, — przerwał żywo młodzieniec; jakkolwiek to jest, dziś próżnemi byłyby moje wszelkie o jej rękę starania. Bóg jej inny, szczęśliwszy zapewne los przeznaczył, gdy widocznie coraz nowe między nami stawi zapory. Niech się dzieje Jego święta wola.

— Nieboraczek! . . biednieńki!. . . — smutnie odezwała się podczaszyna.

— Ponieważ zaś, — mówił dalej Ludwik — jako sprawiedliwie uważa stryj. nie mam żadnej ochoty, ani powołania do jurisprudencyi; więc postanowiłem zaciągnąć się do wojska. i oddalić się z tych stron, abym i siebie, i. . . drugich nie dręczył.

— Jedynak do wojska! piękna impreza! — zawołał milczący dotąd podczaszy; — a rodzice starzy przy kim zostaną? a my także starzy, którzy ciebie za syna mamy, co poczniemy?

— Dalibóg radźcie wasaństwo, — dodała wzruszona do łez podczaszyna, obracając się do mężczyzn. - Radźcie, bo chłopiec z rozpaczy gotów na wszystko.

Helenka także płakała.

— Cóż to złego wojskowość mościa dobrodziko? — rzekł

pan porucznik. Owszem, młodemu ten stan najbardziej przystoi. Stryjaszkowie i rodzice łatwo dadzą sposób panu Ludwikowi kupienia szarży, naprzykład porucznikowskiej; a przyczepiwszy szlifę, chłopiec jeszcze cudniejszym będzie, i nie tylko starościankę, ale i kasztelankę jaką do Dowiatowszczyzny przywiezie. Ja opowiem ichmościom, jak zaczynając moją służbę od towarzysza...—

— Zaczekaj poruczniku z narracyą swoją, przerwał skarbnik; skończmy pierwiej cośmy wzięli na rozwagę, a potem chętnie słuchać będziemy pańskiej ciekawej historyi. Mnie się zdaje mości księże bracie dobrodzieju, że nim pan Ludwik swoją żołnierkę wyszykuje...—

— Przepraszam stryjaszku, przerwał ten, ja najmniej nie myślę odwlekać mego postanowienia.

— Wszelkie postanowienia, odpowiedział skarbnik, uczynione bez namysłu, wątpliwe wróżą *ewenta*; a tembardziej postanowienie, jakoby z rozpaczy, do której *inter nos loquendo*, ja nie widzę powodu.—

— I w całem życiu ludzkiem, odezwał się ks. Ambroży, choć ten świat padołem płaczu nazywamy, ani momentu przeznaczonego na rozpacz dla człowieka nie ma; bo to byłby moment przeznaczony dla najcięższego grzechu, to jest wątpliwości o dobroci i miłosierdziu Boskiem. A więc tego grzesznego wyrazu, tu i wspominać nie należało waćpanu panie bracie; bo to ni w pięć, ni w dziewięć.—

— Dla tego też ja dodałem jakoby, nieuważałeś *Reverendissime*, a ten wyraz modyfikuje wszystko.—

— Masz tobie! prawdziwy adwokat. No, słuchajmy dalej twoich *Consiliów*.—

— Otóż życzyłbym popróbować szczęścia, i propozycyę naszą względem ręki panny srarościanki dla pana Ludwika, oświadczyć jej rodzicom.—

Na ten niespodziany projekt, twarz Ludwika błysnęła promieniem wnet znowu się zasępiła —Nie, kochany, stryju, mówił on, nie, to byłoby napróżno. Jeżeli niedawno jeszcze mogłem sobie roić jakie nadzieje, to ten nieszczęśliwy proces, zniweczył je zupełnie. —

— Proces! prawda; ale wszakże nie my go zaczęliśmy. Upodobał się panu staroście...—

— Mów starościnej, przerwał Stelnicki. —

— Mniejsza oto, może i obojgu. Zaścianek od wieków nasz w pięknej bardzo pozycyi nad Wiliją, i tuż przy wiosce starosty a intratny; bo przy corocznej defluitacyi drzewa i zboża po rzece, znaczny dochód jest tam ze sprzedaży gorzałki i rozmaitych wiktuałów, więc sobie chcą przywłaszczyć, imaginujcie sobie państwo...—

— Zaczekaj skarbniku dobrodzieju, przerwał mu porucznik, z narracyą swoją, wetując temiż samemi wyrazami, za przerwanie

własnej, skończmy pierwiej cośmy wzięli na rozwagę, a potem chętnie słuchać będziemy, pańskiej ciekawej historyi.

Uśmiechnęli się obaj, bez gniewu.

— Prawdę mówisz poruczniku, chciałem powiedzieć, że czyniąc tę propozycyę starościnie, postawimy ją jakoby na rozstanych drogach do wybrania.—

— Jakoby—powtórzył ks. Ambroży.—

— A tak *Reverendissime*, jakoby na rozstajnych drogach i *inter nos loquendo*, w krytycznej z własnem sumieniem kontrawersyi. Wybieraj mościa starościno albo niesłuszny proceder albo słuszne, poczciwe, i podług jej własnego wyboru postanowienie córeczki, których *notandum* jest kilka, a posagów *pasz*. Idzie więc tylko, aby im to w dobitnej konkluzyi na oczy postawić. Starosta, wiemy, że kocha po rodzicielsku swoją pierworodną, i gdyby nie wysoki animusz pani starościnej, siłą którego *inter nos loquendo* kredensuje mężowi; a przytem jakaś ochota do procesów, za którymi imość po subseliach i trybunałach uwija się, wmawiając każdemu szerokie swe wpływy w Warszawie, skąd kiedy niekiedy, przywozi z okienkami przywileje na *stalla* powiatowe, ale nigdy przecież obiecane starostwa: nakoniec gdyby nie nadzieja jej, że wysoką parentelą zastąpi córce posag, lub że ten posag, wygranymi procesami zwiększy, z samym panem starostą byłaby rzecz łatwiejsza. Uczciwie urodzonemu szlachcicowi, sąsiadowi, dziedzicowi dobrej substancyi, a ekspektantowi sukcessyi *post fata, inter nos loquendo*, daj Boże nie rychłe, stryjaszków, nie odmówiłby on ręki panny Elżbiety; przekonawszy się zwłaszcza o wzajemnej serc inklinacyi, dowodzącej przeznaczenia Boskiego... Możnaby jeszcze jakoby *a latere* rzucić myśl, że posagiem *ad interim*, będzie kassata tylko procesu o zaścianek. Nic, na tem pan Ludwik nie straci, bo *nullus dat qui non habet* *), a właśnie staroścіństwo są w takiej kategoryi.—

—*Sapientissime argumentatum!*—rzekł ks. Ambroży, nie pozostaje więc nic więcej, jak abyś sam się udał do starosty i wszystko to im obojgu z należytym rozbiorem przełożył.

— Wertowałem to ja w głowie, przez całą noc, *Reverendissime*, odpowiedział skarbnik, rozważając wszystko *pro et contra*, i skonkludowałem? że mnie tam jechać nie wypada. Ja bronię u sądu sprawy brata, przeszliśmy przez *subsellie*, gdzie się nie dałem pokonać. Przychodzimy teraz do trybunału; starościna wie że i tu najtężej oponować będę, i przy sprawiedliwości mam w Bogu nadzieję, że jej szyki połamię. Więc przybycie moje nie będzie jej miłe, i propozycya z ust moich, tem trudniej akceptowaną być może.—

— A zatem wypada użyć obcej osoby—odezwał się podczaszy.—

*) Nikt nie daje, kto nie ma.

— I to nie, przed obcą osobą imość zadrze nosa, i skonfundować gotowa i swata, i swatanego. —

— Dajcie temu pokój kochani stryjowie, odezwał się przysłuchujący się w milczeniu Ludwik; po co się samym bezskutecznie narażać, i po co zasmucać i udręczać, tę, dla której. . . lękam się bowiem. . . .

— Czego się lękać? – przerwała żywo stryjenka; najgorzej będzie, kiedy się będziesz lękać. Czytaj, co dziś nam z Helusią wypadło z kabały o tobie—i to mówiąc, znalazła wnet w książeczce wierszyk wyżej przepisany, i pokazała Ludwikowi.—

— „W każdej życia konjunkturze, czytał on uśmiechając się: „Upadają tylko tchórze.“—

— A widzisz, i na Elżunię ciągnęłyśmy . . —

— A moja mościa bratowo, rzekł ks. Ambroży; cóż to za zgorszenie sama czynisz, i synowicy wmawiasz! Kabały, czary i wszelkie takie gusła, są wyklęte od Kościoła Bożego; to sidła, to pastki, które szatan na łatwowierne dusze zastawia; wstydź się waćpani, i nie mieszaj do poczciwych zamiarów i rad naszych, takich nieczystych influencyi, od których abym was ochronił—dawaj imość. Wyrwał książeczkę z rąk bratowej i cisnął na kominek. Płomień chwycił papier, i buchnął słupem w górę – Patrz waćpani, rzekł porywczo, doprowadzając ją do kominka: .oto tak dusze w czyścu gorą za czary i gusła. A tu koło kominka pewnie szatan tańczy teraz, chcąc wyrwać z ognia ulubioną waćpani książeczkę, ale nie dokaże tego, bo ją ręka kapłańska tam potępiła. —

Podczaszyna z przestrachem cofnęła się, i lubo mężczyźni rozśmieli się na ten gorący napominek ks. Ambrożego, u podczaszyny jednak oczy łzami zaszły, a Helusia drżąca za brata się schowała.

— Proszę imości i obowiązuję, pójść w niedzielę z panną Heleną do spowiedzi, i być na kazaniu; bo tam, gdzie idzie o zbawienie duszy, żartów nie ma. A teraz panie skarbniku, twoje *conclusum* słuchamy.—

— Moje *conclusum Reverendissime*, jest takie: abyś jegomość dobrodziej, podjął się tego poselstwa, i albo połączył tam dwie propozycye w jedno, lub je *separatim* traktował, jak będzie wypadało. Przed zbliżeniem się ostatecznej decyzyi w procesie, właśnie jest czas zagajenia kombinacyi: a jeżeli pierwsza odrzucona zostanie, abyś wsparł ją drugą, z której pierwsza *se ipso* wypłynie, i w niej się zawrze. Słowa pokoju w ustach brata dobrodzieja jako kapłana, najprzyzwoitszemi będą; a jeżeliby starościna na argumenta prawne wpadła, znajdzie *inter nos loquendo* adwersarza. . . .

— Czy znowu chcesz mnie na drogę potępienia prowadzić?— przerwał porywczo ksiądz—zapomniałeś! . .

— A mości dobrodzieju, odpowiedział z powagą skarbnik; pogodzić zawziętą kłótnię między dwiema rodzinami, i jeszcze ro-

dziny te skojarzyć sakramentem; spełniwszy taki uczynek, powiedzieć śmiało można *Laus tibi Christe!* a sposoby ku temu, ja zostawuję zupełnie wysokiej mądrości i eksperyencyi brata dobrodzieja. *Licet* zatem *sperare*, że dla tak prawdziwej zasługi przed Bogiem i ludźmi, i dla dobra własnej krwi, brat swej fatygi i łaski nie pożałujesz.—

Ks. Ambroży uspokoił się, i rozpogodził zmarszczone czoło, a po niejakim rozmyśle, obrócił się do Ludwika i zapytał:

— Powiedźże waćpan, czy inklinacye waćpana do panny starościanki są prawdziwe? i czy żądasz, abyśmy o jej rękę dla ciebie krok niejąki uczynili?

— Kochany stryjaszku, rzekł rumieniący się młodzieniec; taić nie będę przed wami, którzy tak szczerze moim losem zatrudnić się chcecie, że podług mojego serca, byłbym najszczęśliwszym w posiadaniu ręki nadobnej tej i najlepszej dziewczyny. Ze ona sama . . namyślającemu się, jak się dalej wyrazić dopomógł porucznik.—

— Kocha ciebie. Co?—

Ludwik na ten wyraz spłonął na nowo.

—Gdyby i tak było, mówił dalej, smutnem poruszeniem głowy wydając boleść wewnętrzną, cóż po tem, gdy widocznie przeznaczenie naprzeciw nas, gdy pewny jestem, że rodzice jej na to się nie zgodzą; a nawet moi właśni, czyliż dozwolą kroku, w którymby przeciwnicy ich znaleźli zręczność poniewierki dla szlacheckiego naszego imienia.—

— Przeznaczenie—jest to nie co innego, tylko wola Boska, moje dziecię, rzekł ks. Ambroży; a poczciwym zamiarom Bóg dopomaga. Bez woli rodziców twoich, naturalnie, że nic rozpoczynać nie będziemy. Spernować zaś nami, starościństwo nie ma powodu i niemoże: a nie widzę żadnej konfuzyi w rekuzie, której częstokroć i najszlachetniejsi kawalerowie uniknąć nie mogą, zresztą będę wiedział jak te rzeczy poprowadzić.

— Posłuchajcie jeszcze raz mnie starego. . . tfu! co chciałem mówić—dobrze, że Helusia w alkierzu, dawnego a prawdziwego swego przyjaciela. Jam nie obcy obu rodzinom i chciałem z całego serca widzieć obie w pokoju i jedności jak dawniej bywało; a temu poczciwemu chłopcowi chciałbym także usłużyć. A zatem jeżeli wola, ofiaruję się w sekundy ks. prokuratorowi, dość będzie samej jednej kobiety na głowę jegomościa dobrodzieja, i gdy ją będziesz kruszyć, ja tymczasem ze starostą mocować się będę

— Prosimy, i owszem prosimy kochanego porucznika.—

— A ja, dodał ks. Ambroży, nadewszystko.

— Jutro zatem rano, czwórką moich siwych.—Oj! nie ma porcenelo-srokatych! zajeżdżam gdzie rozkażecie, i zabieram ciebie *Reverendissime*. Za godzin trzy będziemy w Dowiatowszczyźnie; a stamtąd po obiedzie z błogosławieństwem rodzicielskiem, ruszymy gdzie nas daj Boże fortunne fata poprowadzą; zaś w pro-

pozycyach mądrze sobie i ostrożnie poczynając, albo zajdziemy do bliższych ekswisceracyi, albo zrejterujemy się gładko. Oj! bo ja szczwany lis!—

— Cieszę się z towarzystwa i życzliwości porucznika dobrodzieja, rzekł ks. Ambroży, a zwłaszcza gdy wyrozumiewam, że rzecz tę ostrożną delikatnością ze swej strony prowadzić masz bo i ja takimże krokiem postępować będę.

Gdy więc tym sposobem skonkludowano radę, wszyscy zabierali się do odejścia; lecz że już zmierzch po krótkim dniu zimowym zapadał, przeto podczaszowstwo zatrzymali wszystkich na wieczerzę.—

VIII.

Bywalec—Śpiewacy.

— Imaginujcie sobie państwo, rzekł porucznik; trzecią moją żoneczkę wykradałem w Borysowskiem, gdym tam *lafę* na regiment mój wybierał. Ba! wszystko się ułożyło jak najlepiej; całą zimę polowałem z ojcem panienki na niedźwiedzie i łosie, bo to puszcze tam głębokie, i źwierza grubego gwałt. Wdowiec to był i przypadliśmy sobie do humoru; ale też i córeczka jego przypadła mi do humoru; bo to fertyczne, i impetyczne było dziecko, a nie miałem jeszcze takiej. Z powolnemi już mi się naprzykrzyło; młodać to jeszcze, myślałem; jak ją wezmę po swojemu, uchodzi się, a zostanie wrodzona wesołość, z którą milej żyć, jak ze zmokłą cieciorką, co wiecznie piszczy i głowę suszy.

— Więc ja, krótko mówiąc, w konkury! Tatunio poznał od razu interes. „Daj waść pokój, rzekł raz do mnie, tym załotom do mojej Ewusi; ja jej za ciebie nie wydam, bo ty już rycerz z regimentu Działyńskiego *), a ona kozak dziewczyna; jej trzeba rzeźwego młokosa, a ty wdowiec i jeszcze podwójny. Kiedy już chcesz żonki, weź jaką podżyłą kwokę, wdowę jak sam, to się łatwiej z sobą pogodzicie.“ Po kilku dniach, gdy widział, że perory jego nic nie pomagają, ani mnie, ani córce, więc znowu do mnie: „Jedź waść do stu dyabłów!—rzekł; lafę już wybrałeś, po co siedzisz? ja chleba nie żałuję, ale bałamucisz mi córkę, a prawdę mówiąc, ona ciebie bałamuci; i jej i ciebiebym żałował, gdybyście się pobrali. I to jeszcze masz wiedzieć, że posagu nie dam, bo pieniędzy nie mam, chyba kilka skór niedźwiedzich na małżeńskie łoże.“ Zacząłem więc wybierać się w drogę, ale pomyślałem, zaczekaj tatulenku, dowiodę ja to-

*) Była dawniej powszechna opinia, w przysłowie zamieniona, że w tym regimencie same byli niedołęgi.

bie, żem nie z komendy Działyńskiego! O posagu pogadamy później; zresztą przed każdym moim ślubem śpiewałem ja jedną piosnkę:

„Fraszka, fraszka, sto tysięcy!
Dobre dziewczę warte więcej.“ *)

choć po ślubie inaczej się pomyślało. Otoż, czy przez prawdziwy dla mnie afekt, czy chcąc wyrwać się z domu rodzica, bo jak to mówią, dziewczyna każda za okno patrzy, słowem, że Ewusia łatwiuteńko zgodziła się na propozycyę moją uwiezienia jej.

Urządziłem wszystko ładem, wyjechałem z domu tatunia pożegnawszy go solennie, a następnej nocy z dobranym przyjacielem podjeżdżamy tęgą czwórką karych, jak dziś pamiętam, i stajemy o kroków kilkaset od bramy, a sami piechotą, podchodzimy jak wilki po owieczkę, aż pod okna Ewusi . . .

Stuk! stuk! otwiera się okienko, i gołąbka w mojem ręku!... Drży jednak trochę, ale to nic—dobra nasza. Podprowadzamy ją —biegniemy.. już jesteśmy w pół dziedzińca.,. byle za bramę... już tylko kilkanaście kroków . . . . gdy nagle!...

Zamilkł porucznik, i wziął szczyptę tabaki od podczaszego, zażył ją od niechcenia, prowadząc z uśmiechem oczy po zaintesowanych słuchaczach.

— Cóż się stało dla Boga? —rzekła niespokojna podczaszyna —

— Ot jak imość dobrodzika ciekawa! zgadnijcież państwo.—

— Nagle zapewne psy wypadły—rzekł podczaszy i wasanu poły oberwały; ludzie się rozbudzili, zdrada się odkryła. Jaka potem konsekwencya, szczególniej dla córki, łatwo się domyśleć.—

— Trafiłeś jak kulą w płot, podczaszy dobrodzieju.—

— A więc cóż się stało?—odezwali się wszyscy.—

— Nagle... Stój!—

— Ach! Jezus Marya, Józef!—krzyknęły kobiety, gdy porucznik jak z pistoletu to słowo wypalił —

— Stójcie! powtórzył ten Herod. Stójcie! co tak śpieszno panie komendancie regimentu Działyńskiego? Tym mnie, przyznam się do żywego dojadł!— Wypijcie, kawę, niezdrowo na czczo wyjeżdżać, i ruszajcie potem z Panem Bogiem **). Ja tu pomyślę, abym pustelniczego życia nie pędził. Nie będzie córki, będzie żona, i nadzieja w Bogu będą dziatki, którym dom rodzicielski jak tobie Ewusiu swędzić nie będzie. Z Panem Bogiem zatem, z Panem Bogiem!—Ksiądz czeka w kaplicy po drodze, wiem o tem dobrze.—Aleź trzymaj się dobrze panie zięciu; ostrzegałem waści i teraz ostrzegam. Pilnuj żoneczki, jak lisa na przesmyku; bo *solito more*, złodzieja, lepszy złodziej okrada, a jeszcze oficera z regimentu Działyńskiego. Cha! cha! cha! Bywajcie zdrowi!

— Mało mnie dyabli ze złości nie wzięli; staliśmy wszyscy

*) Dawna piosnka.

**) Prawdziwe.

jak powarzeni. Pierwsza Ewusia odezwała się: Czegoż czekamy? Czy kawy, na którą nas zaprasza? Jedźmy! to i pojechaliśmy. Mimojazdem w kaplicy wzięliśmy ślub, i oparliśmy się aż na Ukrainie, bo tam stała moja pińska brygada. A tatulo jak powiedział, tak i zrobił; ożenił się i ma dzieci jak bobu; bo i dotąd z łaski Boga żyje. Ale co gorsza, że i moje *futurum* wyprorokował. Ewusia kochana, wypróbowawszy peregrynacyi *insperate* rozpoczynanych, w rok potem wymknęła się i odemnie z młodym doktorem, który jej wmówił i nauczył jakiejś nowomodnej choroby, nazywającej się spazmy *.) Chwała Bogu, że ona u nas szlachty nie grasuje, bo powiadają, że nasze wielkie panie, już na nie chorować zaczynają.

— Jakaż to choroba? widać kobieca—zapytała podczaszyna.

— Oj mościa dobrodziko, to szatan wstępuje w kobietę.

— W Imię Ojca i Syna! To nie choroba, to dopuszczenie Boże, to opętanie; a wszakże ja sama widziałam, nie tylko baby, ale dziadów nawiedzonych.

— Chciałem powiedzieć stylem pana skarbnika, jakoby wstępuje szatan w kobietę. Najprzód tedy zaczyna ona gniewać się, najmniej przez trzy dni i trzy noce; potem poziewać, potem śmiać się i płakać razem, a potem Boże odpuść, jak nawiedzona, różne dokazywać łamańce: kurczy się, wyciąga się, przewraca oczy . . .

— Jakież na to lekarstwo? przerwała niecierpliwie podczaszyna.

— Lekarstwo! lekarstwo! ja próbowałem jednego.

— Jakiegoż?

— Przypomniawszy, że nawiedzonych leczą paskiem Św. Antoniego, odpiąłem paski od mojej karabeli i chorej Ewusi . . . tu pokazał wyrazisty gest.

— *Inter nos loquendo, medicamentum grave*!—rzekł skarbnik kręcąc głową.

— I pomogło mości dobrodzieje; serdecznie pomogło! jak ręką ujął. Tylko, że moja pacyentka nieupodobawszy widać takiej medycyny, wolała kuracyę swego pana doktora, i dla tego z nim uciekła, wybrawszy sposobną porę mojej nieobecności przy komendzie. Wyrekuperowałem ja ją wprawdzie; a pan doktor musiał potem długo sam się leczyć, nim się nie wylizał z mojej od spazmów kuracyi, do której zamiast pasków od karabeli, użyłem boćkowskiego arkanum . . .

— *Medicamentum gravissime!* rzekł znowu uśmiechając się skarbnik, i za nim wszyscy.—Lecz już odtąd, mówił dalej Stelnicki, Bóg nam w pożyciu nieszczęścił, i wkrótce na wieki nas rozdzielił. Umarła, tylko nie ze spazmów, ale z gorączki, grasującej tam natenczas śmiertelnie. Wieczny jej pokój mospanie!—

Zamilkł porucznik, pokiwał głową, i urwał opowiadanie, bo wrzekomo ani siebie, ani słuchaczów, rozczulać nie chciał.

---

*) Właśnie czas tej powieści, przypada na peryod spazmowania kobiet w Polsce, była to modna choroba.

Tymczasem zmierzchło zupełnie; płomień zatem na kominie nowemi zażywiono drewkami, a cała kompania na stołkach i zedelkach, obok siebie przed ogniem usiadając, uformowała półkole, a raczej obraz na tle ciemnem izby, małym tylko jednej świeczki płomykiem wątpliwie z tyłu rozwidnionej, a z przodu jaskrawem od komina oblanej światłem. Na niem to grono rozmaitością twarzy, wieku i wyrazu wybitne, zajmujące dla malarza dałoby wzory.

Mnich surowego oblicza, z czerwonym krzyżem na białym habicie, zajmował środek obrazu. Obok matrona, jakby z wiejskich malowideł *Teniera* zdjęta; w strojnym bławatnym kapturku, i bławatnym półsalopkiem okryta, z licem łagodnej, prostodusznej a poczciwej niewiasty, takiej właśnie jakiemi babki i prababki nasze bywały. Z drugiej strony czerstwy, ze łbem wygolonym weteran, zawiesistego pokręcał wąsa, i żywe jeszcze oko, zwracał na opowiadacza, którego rycerska postawa znana już nam, a rzeźwa i dziarska, rozweselała posępny układ ogółu, upięknionego jeszcze dwiema ładnemi, młodemi twarzami, wyglądającemi z cienia z za starszych... Wnet jednak poważne te rozpłomieniły się oblicza, gdy Helusia z wdzięcznym uśmiechem podniosła każdemu tackę z pełnemi lampeczkami.

— Lipczyk moje dobrodzieje, dalibóg że kowieński stary lipczyk!—wykrzyknął porucznik, i smakując z rozkoszą, sam jeden dalszą prowadził konwersacyę.

— Dlaczego imość dobrodzika—mówił obracając się do gospodyni, tak mocno oponujesz zamiarowi Ludwisia, zaciągnienia się pod chorągiew Marsa?

— Jakiego to Marsa?—zapytała podczaszyna.

— Ej mościa dobrodziko, to był bożek pogański; ale to się rozumie przez allegoryę, a znaczy po prostu żołnierkę. Więc cóż to złego?—Pytałem już i teraz pytam? Dwadzieścia siedm lat traktowałem wojskowo, a cóż mi złego się stało? Służyłem ojczyźnie z honorem, i jeszcze za moją szarżę kilkanaście tysiączków schwyciłem. Zwiedziłem cały nasz kraj, jak szeroki i długi; a nawet trzy razy żeniłem się, nigdy od kobietek nie doznając ressentymentu; i jak mnie widzicie panowie, bynajmniej nie postarzałem, bo trud mościa dobrodziko i praca, hartują człowieka.

— A wojna broń Boże?—rzekła podczaszyna.

— Wojna! Ej gdzież tam ta wojna! Nie słychać dzięki Bogu o wojnie, a gdyby i zdarzyła się, to mościa dobrodziko, człek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Można i za piecem umrzeć bez wojny. Oddalenia zaś od krewnych i familii obawiać się nie należy, bo u nas po całym kraju zda się jedna rodzina; a gdziekolwiek godny i zacnej krwi szlachcic zajedzie, to go wszędzie *apertis manibus* przyjmą. W Koronie, czy na Litwie, na Ukrainie czy na Rusi, jak zaczną wyprowadzać antenatów; a liczyć kto z kogo rodził

się, kto gdzie bywał, kto gdzie i komu jaką salwę uczynił? Kto z kim do szkół chodził, albo u dworu służył, albo sejmikował, albo jaką wyprawę robił, to jak po nitce dojdzie się, że alboś w domu koligata, albo wnuka czy prawnuka przyjaciela naddziada twego. A stąd wraz i komitywa i przyjaźń, i człek jak u siebie, choć o sto mil od gniazda.

Imaginujcie sobie państwo moje, jedno zdarzenie. Po sukcessyę tam jakąś spadłą na moją drugą żonę *de domo* Zabłocką, musiałem niegdyś pojechać w Witebskie; pierwszy raz w życiu tam zawędrowałem. Wybrałem się zwyczajnie po żołniersku, bez wielkich bagażów i ekwipażów; trójka koni, bryczka z płóciennem pudłem; wyrostek rzeźwy, i trzeźwy, szabla, gwintówka, i parę pistoletów O. i wszystko - przy tem sakiewka z małym zapasem, bo ją sukcessyą naładować miałem, i patent oficerski zanadrą.

Mil z pięćdziesiąt i więcej tak odbywszy, zbliżałem się już do celu, i zajechałem na nocleg do miasteczka, jak dziś pamiętam, Czasznik; gdzie i. . . umarłem!

— Co to ma znaczyć? — zawołała cała kompania. —

— A cóż to tak dziwnego ichmościom, że umarłem? zwyczajnie jak człowiek! Dziwniejsza zda mi się, że zmartwychwstałem, i że żyję zdrów i wesół, do usług państwa dobrodziejów, i tego mojego aniołeczka, który nam tak smacznego lipczyku dolewa. —

— Któż cię wskrzesił? — zapytał ks. Ambroży.

— Kto mię wskrzesił? Dziadulek mego pradziadulka!—

— Co tam bałamucisz, kochany poruczniku? — odezwał się podczaszy; opowiedz nam lepiej całą historyę porządnie. —

— A jakże ichmość chcecie? Czy od końca idąc do początku? Czy od początku do końca? to jest: czy od śmierci do zmartwychwstania, czy od rezurekcyi cofając się do śmierci?

— Idź jaką chcesz drogą, byle zrozumiale — odpowiedział podczaszy. —

— No, a na czemże stanąłem? —

— Stanąłeś na noclegu w Czasznikach. —

— A tak; jak na nieszczęście trafiłem tam na szabas, i zjadłem szczupaka, którego bogaty żydzisko w karczmie, dla siebie i swoich gości przygotował. Odpędziłem i gości i gospodarza od misy; uciekli krzycząc: — A kanfederat! A kanfederat! — A ja nad nią zasiadłem i zrepetowałem całą. Nieoszczędzałem wprawdzie i flaszki, z wyborną szabasową wódeczką; której także izraelici odrzekli się; ale musieli niedowiarki urzec mnie, bo nieustannie szeptali coś spoglądając z daleka. To też w nocy, zaraz, rozchorowałem się okrutnie i wkrótce umarłem zapewne, bo nie wiem co się ze mną stało. . . —

— Zapewne wpadłeś w malignę, i straciłeś przytomność — rzekł znowu podczaszy. —

— Nie przeczę — pewnie jednak, że nie byłem na tym

świecie... A gdy zmartwychwstałem i otworzyłem oczy, to znowu rozumiałem żem w raju. Oto i macie krótki rozdział historyi mojej aż do rezurekcyi. —

Zobaczyłem się więc w komnacie bardzo pięknej, na miękich pierzynach, i otoczony kilku osobami, na których twarzach jakąś życzliwość ku mnie od razu poznałem.

— Bądź dobrej myśli panie poruczniku — rzekł jeden z nich — choroba się przesiliła, będziesz zdrów, i bądź spokojny o siebie, bo jesteś w domu przyjaciela. —

— Niechże wiem — rzekłem, komu życie winienem?

— Bogu najpierwej — odpowiedział tenże sam jegomość, i Jemu składaj dzięki; a gdy wyzdrowiejesz dowiesz się reszty. Teraz słuchaj pilnie tego pana, jest to doktor, który cię ratował i nieutrudzaj niczem myśli, ani głowy. —

Jakoż doktor ten dawał mi rozmaite kordyały, skutkiem których i za pomocą Bożą, we dni kilka mogłem już siedzieć na łóżku, i codzień mi sił przybywało.

Natenczas wszedł do mnie pan Józef Szczyt, w jego to bowiem domu w... się znajdowałem; człek jeszcze młody, ale pan zacny *de re, et nomine.* Z wielką księgą w ręku, i nie dozwalając mi fatygi na podziękowanie mu, albowiem warto mi było za jego dobrodziejstwa i do nóg mu się rzucić, zapytał mię, jakich jestem Stelnickich? i jakiego herbu?

— Ród nasz — rzekłem, z Korony, z województwa Sandomierskiego, herbu Róża. Ojciec mój przeniósł się do Litwy, ale mamy tam jeszcze familię.

— Tak właśnie, tak. Chwała Bogu! „*Ex palatinatu Sandomiriensi, Stemmatis Rosae*" powtarzał pan Szczyt rozpatrując się w księdze, i zapytał jeszcze. —

— Czy umiesz po łacinie panie poruczniku? —

— *Intelligo* — odpowiedziałem. —

— Więc słuchaj: „*Anno Domini millesimo.*" —

— A gadaj po polsku poruczniku dobrodzieju — przerwała podczaszyna. —

Kiedy imość dobrodzika każe, to i owszem, bo dla mnie wszystko jedno; ja po łacinie jak rzepę gryzę.

Uśmiechnęli się mężczyzni, że prośba podczaszynej w samą chwilę dogodną dla chluby porucznika przypadła.

— Czytał zatem pan Szczyt — rzekł dalej porucznik, w tej wielkiej księdze, sławnej pamięci przodka swego, Mikołaja Szczyta, wojskiego połockiego, i walecznego niegdyś obrońcy Połocka, do swych sukcesorów perorę, tak zapisaną, którą ja *praeter propter* pamiętam, i teraz przewertuję ichmościom po polsku:

„Ktokolwiek z następców, i choćby najodleglejszych potomków moich Szczytów, będziesz czytał to moje pismo; wiedz i pamiętaj, że gdy w roku 1563 *), nie folgując zdrowiu memu, ani

*) Historyczne.

krwi w obronie Połocka, zostałem wzięty w niewolę, i zaprowadzony na Moskwę do cara jegomości Iwana Groźnego, gdziem przez lat dziesięć *) zostawał, obok ze mną walczący namiestnik chorągwi mojej Justyn Stelnicki, również w niewolę był wzięty, i przez cały czas ze mną tam zostając wszelkiemi posługami i staraniem w chorobach i niedostatkach, nie raz mi zdrowie i życie ratował. A gdy po powrocie z Moskwy, miał dążyć do swej rodziny w województwo Sandomierskie, zginął tu na pojedynku, z racyi jaką poniżej-opiszę. Tak więc Bóg mi nie dozwolił wynagrodzić mu i wywdzięczyć jako chciałem, za jego dla mnie usługi i życzliwość. Nie zapominając zatem aż do zgonu mego, o jego duszy, i na pamiątkę w miejscu, gdzie był śmiertelnie ugodzony, wymurowawszy słup **), gdy widzę, że i sam wkrótce ten świat pożegnać muszę, zapisuję więc w tę księgę, w której całe życie moje, i wszelkie onego ewenta wiernie opisałem, i tę okoliczność; zaklinając wnuków, i potomków moich w najdalszej descendencyi, aby najprzód w ofiarach i modłach za moją duszę, (na co i legacyę czynię stałą), nie rozłączali nigdy mego imienia od imienia Justyna. A nadto, jeżeli zdarzy się któremu z nich spotkać się z jakimkolwiek Stelnickim z województwa Sandomierskiego rodem, herbu Róża! a tembardziej z potomkiem Justyna, niechże pamięta, że jest w obowiązku czynić mu wszelkie pomoce i salwy, jakichby jego stan i położenie wymagały. Owszem niech mu opowie tę historyę, aby dobro sobie świadczone, mógł uważać jakby sukcessyę po swym przodku Justynie. A każdego z moich potomków, którzyby w zdarzeniu nie spełnił ochotnie tej mojej woli, na sąd straszny zapozywam."

— Zacne panisko! — rzekli słuchacze, zacne panisko! —

— Tak, dodał skarbnik — zacne panisko! Lecz nie mniemajcie ichmość, aby to był u nas przykład jedyny. Ja, który z obowiązku profesyi mojej, drabuję często archiwa, rozmaitych i najznakomitszych imion w Litwie, nie rzadko spotykam się z podobnymi zapisami wdzięczności, i przekazami onej na potomki, oraz z takiemi zapozwy na sąd straszny. —

— Bo to trybunał nad trybunały mospanie! — rzekł ks. Ambroży; i tak jest jak powiada brat pan skarbnik. W niejednym domu znajdziesz podobne księgi familijnych pamiątek. Za młodu gdym służył patrocynii, Boże mi odpuść! równie jak dziś on naczytałem się takowych foliałów, i nie raz w nich widziałem oczywiste dowody poczciwości przodków naszych. A w każdym prawie testamencie, przeczytasz, to sumienne restytucye, to szczere wyznania prawdy, aż do ostatniej chwili życia tajonej, to przejednania pokorne a chrześcijańskie, które nie jedną krzywdę wynagrodziły, nie jednej kłótni położyły koniec, i nie jedną zasługę, jak twego przodka, poruczniku dobrodzieju wynagrodziły. Oj! bo

*) Z podania domowego.
**) Który i teraz się znajduje.

poczciwi byli przodkowie nasi! Daj Boże i nam być takimi.

Po tej dygressyi pana skarbnika i księdza Ambrożego, porucznik kończył opowiadanie.

„W domu jeszcze od rodziców słyszałem ja, co właśnie i panu Szczytowi powiedziałem, że jeden z naszych antenatów, poszedł kiedyś na wojnę moskiewską, i z niej nie wrócił.

— Otoż jesteś tuż przy jego grobie — odpowiedział mi pan Szczyt, i gdy wyzdrowiejesz, pomodlimy się razem za jego duszę. Co do ciebie panie poruczniku, przejeżdzając przez Czaszniki, znalazłem cię w malignie w karczmie, i dowiedziawszy się o nazwisku, poczułem, że Bóg mi nastręcza zręczność wypłacenia potomkowi długu naddziada mego, i wypełnienia woli jego, którą *sacro sancte* szanujemy. — Przywiozłem więc cię tutaj do mojego domu, który odtąd za własny uważaj, i rozkazuj mi służyć sobie w w czem zażądasz.

— Zacne panisko! - powtórzyli słuchacze dla prawnuka, co pierwej rzekli dla naddziada. Zacne panisko!

— A widzisz imość dobrodzika — mówił porucznik obracając się do podczaszynej; że gdyby mój antenata nie traktował wojskowo, i nie peregrynował po świecie, ja umarłbym u żyda za piecem. A gdybym ja nie szedł w jego tropy nie poznałbym pana Józefa Szczyta, który mię i z grobu dźwignął, i nie jedną potem wyświadczył łaskę. Konkluduję więc, że stan wojskowy, młodemu, jak nie może być lepiej, przypada, i że Ludwiś na szerokim świecie, nie długoby tęsknił po Elżuni. —

Wśrod tej długiej legendy pana porucznika, raz i drugi napełniały się lampeczki; zajęci słuchaniem, jakby nie spostrzegali rączki Helusi, kilkakrotnie przed każdym nachylającej gąsiorka. . . Gdy zdaleka słyszeć się dały na ulicy, jakieś huczne głosy.

— Co to takiego?- zapytano się wzajemnie.—

— Chwilę posłuchawszy, zerwał się porucznik i wykrzyknął:— Jak mi Bóg miły, to śpiewacy gdzieś tu blizko pod jakąś kamienicą. Brawo! Niechże nam pomogą weselić się przy lipczyku; i wyleciał za drzwi, nie uważając na mrukliwe protestacye ks. Ambrożego.—

Po chwili usłyszano gromadę na dziedzińcu, i głos porucznika:— No wiara! Bo kat-że was wie pociemku, kto wy jesteście? Cokolwiek wesołego i żołnierskiego, zobaczycie, że i we dworkach takież same talary, jak i po kamienicach. Potem uradowany wpadł do kompanii; a pod oknem dziesięciu przynajmniej głosami, zgodnie dobranymi, nutą skocznego marsza zabrzmiała piosnka.

*

„Mości Książe, co to masz za huzary *)
Że swe życie hazardują broniąc wiary?

---

*) Jaka to rozprawa pod Rzeszowem dała powód do tej piosenki, nie mam podania. W młodości mojej jednak, słyszałem śpiewaną przez tych, którzy się jej od wieczornych wiejskich śpiewaków kiedyś nauczyli.

Marsz huzary! brońcie wiary!
Marsz, marsz, pod Rzeszowo na Tatary.

*

Kiedy szli huzary z pod Rzeszowa
Spotkała ich zdrada murzynowa,
Zdrajca murzyn! Judaszów syn!
Już był na śmierć osądzony jako poganin.

*

I już go prowadzą na szubienicę,
Wtem zdrajca na głowę kładnie szlafmycę:
I znikł psubrat chybił go kat!
A wziął go czart—jako był wart!—

— Ależ dyszkant! Ależ dyszkant!—powtarzał porucznik, amator jak widać śpiewu, i wesoły towarzysz nie jednego chóru.—

Pan Ludwik uśmiechnął się, bo poznał, że to jego kolega pan Rafał, na te aplauzy zasługuje.

— No chłopcy, jeszcze cokolwiek takiegoż—zawołał znowu porucznik oddzierając przymarzłe okno, od którego pani podczaszyna, bojąca się reumatyzmu, odstąpiła nagle.

Więc nowa pieśń zabrzmiała.

„Powstań Czarnecki! przetrzyj swe powieki!
Bo gdy nie powstaniesz
Bo gdy nie powstaniesz
Zginiemy na wieki!

*

Tuż, tuż, nad nami los pełen ohydy!
Na nasze Tatry.
Bieży lew z wiatry,
Z za szumnej Baltydy!

*

Powstań Czarnecki i dobywaj szabli
A wnet minie bieda
Heretyka szweda
Wezmą wszyscy dyabli *)

— Fe! fe! fe!—krzyknął ks. Ambroży zrywając się od stolika; lipczykiem bodaj do surowszej gorliwości pobudzony—fe! fe! Imię wiecznego nieprzyjaciela naszego! *Scandalum!* I podskoczywszy do okienka, słuchajcie wy urwisy!—rzekł groźnie; kiedy ma-

*) Pieśń ta jest oczywiście z czasów plądrowania po tym kraju Karola XII, który zamiast Czarneckiego, znalazł pod Połtawą mściciela swoich tu zbytków. Do mojej pamięci równąż jako i pierwsza doszła drogą.

cie beczeć, to już lepiejby było, gdybyście cokolwiek ku zbawieniu naszemu zaśpiewali, niżeli wspominać szatana, który was ku swawoli, i takiej nocnej włóczędze kusi; a nie, to idźcie do stu dyabłów . . Aj! fe! fe! fe! cóżem powiedział?—wrzasnął uderzając się po gębie ksiądz, i wśród powszechnego śmiechu, usiadł skonfundowany przed kominem.—

Tymczasem na tę apostrofę, rumor jakby narada, wszczęła się między śpiewakami i wkrótce usłyszano:

„Któż to zważy, kto zmiarkuje?
Chytrość ludzką spenetruje?
Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
Oj biedaż niedola!

*

Być poczciwym—to obłuda?
Być wesołym—to prokuda. *)
Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
Oj biedaż niedola!

*

Być rozumnym i to szkodzi
A któż tam światu dogodzi?
Oj biedaż to, to. Oj biedaż to, to.
Oj biedaż niedola!

*

W Tobie Panie ufność moja
Niech się dzieje wola Twoja!"
Nadziejaż to, to. Nadziejaż to, to.
Nadzieja Bóg moja! **)

— O to, to co innego—rzekł ks. Ambroży, gdy śpiew ucichł, i dobył z pod szkaplerza woreczek, z którego wyjmował rozmaitą monetę, pilnie każdą oglądając przy świecy, i nazad do woreczka chował . . A tymczasem porucznik dobył z kieszeni długi ze złota i jedwabiu utkany, złotemi także obrączkami przedzielony tuitam ***) i przez omyłkę niby z jednego końca, z półtory kopy pięknych wysypawszy czerwieńców, na których czele wytoczył się sporysz, odsypał je nazad; a potem z drugiego, z mnóstwa monety, wybrawszy holenderskiego talara, uwinął go w szpargał papieru, zapalił i rzucił przez okno śpiewakom, dodając

*) Prokuda—pokusa.

**) Mogę najsumienniej oświadczyć, że wszystkie te trzy piosnki, są z kantyczek dawnych śpiewaków wileńskich.

***) Tak zwano kieskę długą, w której obu końcach sypano pieniądze, rozdzielając złoto od srebra.

uprzejmie:—Dobranoc mości panowie! Więc ks. Ambroży zobaczywszy hojność porucznika, wszystką przebrakowaną swoją monetę wsypał do woreczka, i utopił za szkaplerzem.—„*Gratias agimus, Vestrae dominationi!*“ *)—odezwał się głos basowy, zapewne promotora chóru, pana organisty dominikańskiego, i tenże zaintonował na podziękowanie jakby za talara, modną natenczas i nową, a powszechnie aż do bliższych nam czasów ulubioną piosnkę, studenta z Krakowiaków:

„Świat srogi! Świat przewrotny!
Wszystko na opak idzie!
Kto nie wart, pan stokrotny,
A człek poczciwy w biedzie!

Lecz rozum górę bierze,
Tym sobie życie słodzę,
I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez butów chodzę.“ etc.

— Nie prostej kondycyi ludzie—rzekł pan podczaszy—umieją po łacinie.—

— At, jakiś urwis uciekłszy z *infimy* zapisał się do cechu miastowych włóczęgów, i kilku słowami od notalingwy **) w głowie pozostałemi, przechwala się—rzekł ks. Ambroży.—

— Nie zawsze tak jest, księże bracie dobrodzieju—odpowiedział podczaszy; znam dziś kilku zacnych obywateli, znakomitej nawet substancyi, którzy z chudopacholskiej grządki, dostawszy się do Wilna, ledwo w paupery jezuickie wcisnąć się mogli. Ci dostając codzień z ich kuchni dwa garnuszki z porcyjką chleba, i kąt jakiś u któregokolwiek miłosiernego patra, zarabiali na kapotki i buty, śpiewając jak dzisiejsi wieczorem, pod oknami bogaczów, i święte i światowe piosnki; bez obrazy jednak Boskiej i bez zgorszenia ludzkiego, a z pożytkiem dla siebie. We dnie zaś, uczyli się jak najpilniej, wyprzedzali paniczów i wychodzili na ludzi.—

Bo gdy tak sobie wbił który gwałtem rozum do głowy, łatwo się potem znalazła dlań na świecie droga do fortuny: „*Disce puer latine, ego te faciam* mościpanie.“ ***) powiedział tam jakiś panisko do ubogiego studenta, i nie na jednym to się ziściło:—„*Discebat pauper latine*, i za pomocą Boską, wyszedł potem na mościpana. A któż wie? może i między dzisiejszymi śpiewakami jest który, dziś biedak, a kiedyś jaśnie wielmożny!—

— Oj bywa tak, bywa—rzekł porucznik; a po co daleko szukać? Jużcić bliżej zda się od *paupera* do mościpana, jak od mości-co ...giej. ...i po-

*) Dziękujemy waszej wielmożności
**) Notalingwa, znaczek studencki, który dawano takiemu, któ... po polsku, a nie po łacinie odezwał się.
***) Ucz się chłopcze po łacinie, a ja cię zrobię mości...

pana do najjaśniejszego pana; a przecież wiedzieć ichmość dobrodzieje musicie ten *akumen*.

„O! co za dziwne cuda Boskiej Opatrzności *)
Wnuk na tronie—ojciec w krześle—a dziad podstarości!"

Rozmowę tę poważny obrót brać zaczynającą, przerwała wieczerza, do której mimo usilne zapraszenia ks. Ambroży się nie dotknął.

— Posądziłem... posądziłem—mówił on z cicha jakby sam siebie reflektując; odsunął z niechęcią lampeczkę z lipcem i zachmurzył wieczerzę, co jednak nie ujęło apetytu, ni pragnienia panu porucznikowi, lubo jego jowialność przygasiło.

Po wieczerzy, Ludwik wziąwszy latarkę, prowadził stryjaszka do klasztoru; a porucznik dokończywszy z podczaszym drugiego gąsiorka, wyszedł w wybornym humorze, przyśpiewując na ulicy:

„Świat srogi! Świat przewrotny!
Wszystko na opak idzie!

Jakoż i sam, jeżeli nie zupełnie na opak, to przynajmniej nie prostej trzymał się drogi.

IX.

Podróż.

Nazajutrz rano, mrozik wygładził ulice w mieście, i szlaki za miastem. Z jednej kamienicy z za Ostrej Bramy wybiegła kłusem, czwórka tęgich siwych kuców, do sań po parze zaprzężonych. Mosiężne blachy na szyjach ich błyszczały przed słońcem i migały zajączkiem po oczach przechodzącym; także sprzążki, cyfry i guziki, gęsto po szorach osadzone, dawały poznać, że właściciel tego zaprzęgu był znawcą i amatorem stajennego moderunku. Jakoż takim był w rzeczy samej pan porucznik, który w sutej delii z siwych baranków, z czapką aksamitną karmazynową na głowie, której wierzch zwisły na bakier srebrnym kutasem powiewał, siedział na saniach z miną tęgą, buńczuczną i poważną razem, czując wrzekomo ważność poselstwa, na które się puszczał.

Na lewym dyszlowym siedział rzeźwo, i pędził siwaki zręczny chłopak, wywijając biczem i trzaskając zeń na cztery wiatry. ... on na sobie kurtkę zieloną, opuszystą wilczurą, okładaną, a

**) ...
kantyczek daw...

***) Tak... wierszyk podrzucony niegdyś Stanisławowi Augustowi—który przeczy... rozdzielając złoto ...ł „prawda."

po niej przez piersi i plecy, jak wąż się przewijał sznur jedwabny, na który mu boku pocztarska wisiała trąbka; przepasany zaś był szerokim rzemiennym pasem, w ładunki i różne kaletki uprowidowanym. Na głowie kaszkiecik lakierowany, z kitką piór różnofarbnych, nie ogrzewał mu wprawdzie uszu, lecz go krew młoda, i konna harcówka grzały.

Gdy przejechali Ostrą Bramę, nad którą właśnie msza św. odprawiała się.—Pietrze! Stój—zawołał porucznik—konie się wryły—wysiadł, zmówił kilka pacierzy i ruszył dalej. Mijając ratusz i rynek, dziś placem zwany—Pietrze! otrąb się—zawołał—otrąb się! Wnet chłopak zwinął bicz, wbił go, jak ułan lancę w przygotowaną petlę u strzemienia, a chwycił trąbkę i zabrzmiał na niej nutę pocztarską, w tonach z oktawy przeskakujących, a jakby echem tylko powiązanych, którą odegrawszy, prześpiewał ułożone do niej słowa w recytatywach na strój i głos dźwięczny trąbki naprowadzanych:

„Byli nasi panowie
Na kontraktach we Lwowie
I w Mińsku,
I w Pińsku;
I w Gdańsku,
I w Brańsku!
Wszędzie nas poznali
Pieniędzy nie dali!“ *).

— Wi ha hot!

Przechodzący zatrzymywali się, patrząc z upodobaniem na tę gracką szlichtadę, a mieszkańcy na piętrach, przez szybki wytykali głowy. Piotr biczem przedłużał huczno i kończył swoją piosnkę.

Przebiegłszy tak wzdłuż całe miasto, za Zamkową bramą, zawrócił się na Antokol, i zbliżając się do dworku pana podczaszego—Pietrze!—zawołał znowu porucznik—Pietrze—daj dymu!

Piotr wyrwał z pasa, rzeczywiście tylko dla dymu i huku, prochem nabity pistolet, i palnął po nad głowy końskie. . . Oswojona ze strzałem czwórka, zastrzygła tylko uszami; przechodzący stanęli w zadziwieniu, a porucznik pokręcił wąsa i poprawił czapkę—szalonego animuszu człowiek ten, mówili oni mijając go z pośpiechem.

Po krótkiem pożegnaniu się z podczaszowstwem, uścisnąwszy i ucałowawszy rączkę Helusi na szczęśliwą drogę, porucznik zajechał przed klasztor antokolskich ks. Trynitarzy,

Ks. Ambroży był w kosciele, tam więc udał się porucznik, i znalazł go przed ołtarzem ze mszą; zasiadł więc do ławki, i co pamiętał z łacińskich i polskich modlitewek, trzepał jedną po drugiej.

Ale innej gorliwości, innego zagłębienia się w duchu i po-

*) Zwyczajna z owych czasów pocztarska piosnka.

kornego wzywania opieki Chrystusa Nazareńskiego, przed którego wizerunkiem święta dopełniała się ofiara, były modlitwy młodzieńca, klęczącego u kratek. W sercu jego, to nadzieja, to bojaźń przeważały; ale jedną i drugą zdawał on na wolę Tego, który przeznaczeniem ludzkiem włada; błagając Go tylko, by w tych przedsięwziętych zamiarach, obronić raczył od smutków i zmartwień, drogie mu wszystkie osoby, a szczególniej tę . . Czytelnik zgadnie zapewne, kto był modlący się młodzieniec, i za kogo się modlił.

Po mszy, w celi ks. prokuratora czekało podróżnych śniadanie; przy którem obecny Ludwik, prosił i zaklinał naprzemian, to stryja, to porucznika, aby wyrozumiawszy naprzód wolę rodziców jego, jak najostrożniej u starościństwa, interes ten traktowali; i aby raczej zupełnie go zaniechali, niżeliby mieli narazić się na głośną rekuzę, a tem samem i na niepowrotne zerwanie wszystkich jego nadziei, opierać się jedynie mogących na pojednaniu kiedyś obu domów.

Prawdziwą także przyczyną tego czułego zaklęcia, było i to, że znając on wzajemność Elżuni dla siebie, drżał o jej spokojność i zdrowie, gdyby rzeczy ostatecznie niefortunny wzięły obrót. Wolał zatem, i bardzo naturalnie, dalszą dla obojga miłość i niepewność, przy której zawszeby się trzymała nadzieja, jako przy wszelkich usiłowaniach ludzkich; niżeli miłość i rozpacz. Posłowie zaręczali zatem, że mając niby na pierwszym celu pogodzenie procesu, wtenczas tylko napomną o dalszych projektach, gdy z pierwszej traktacyi wyrozumieją, skłonności i dobrą wolę rodziców Elżuni.

— Jednakże to sęk tylko mości dobrodzieju—rzekł pomyślawszy porucznik,—że któż wie co lepsze i skuteczniejsze? I co na przedzie? to jest czy za zgodą w procesie, poszłoby wesele? Czy za weselem poszłaby łatwo zgoda? Dwa mamy lekarstwa, ale niewiadomo którego wprzód użyć?

— Subtelnie rzeczy bierzesz kochany poruczniku—odpowiedział ksiądz,—i to mnie bardzo cieszy; bo przekonywam się, że z równąż mądrością i na miejscu certować będziesz. Tymczasem jedźmy, a Ludwisiu bądź dobrej myśli. Śmierć i żona od Boga przeznaczona; więc pierwszej nikt nieuniknie, i drugą każdemu *digitus Dei* *) ukaże, choć się każdemu zdaje, że sam wybiera.

— Zostawuję sobie mości księże prokuratorze dobrodzieju na sanie—rzekł porucznik—podanie pod wysoką animadwersyę i teologię pańską, dubia moje, co do predestynacyi stanu małżeńskiego; bo kto miał trzy żony . .

— Ten jest predestynowanym—przerwał uśmiechając się ksiądz,—aby na tym świecie czyściec odbył.—Siadajmy na sanie.

Pokręcił głową porucznik, i mówił do siebie: ha! od razu mnie skonwinkował. . . ale pogadajmy jednak—to koncept, ale nie dowód.—Ludwik pożegnał odjeżdżających.

---

*) Palec Boży.

Ruszają: — Pietrze! — otrąb się! Piotr zatem uciął powtórnie dętego i wokalnego kuranta, którego niecierpliwie dosłuchawszy ks. Ambroży, rzekł po ukończeniu.

— Wiesz co szanowny poruczniku, ponieważ wieziesz z sobą zakonnika, któremu *cum clangore* jeździć nie wolno, ani wypada, a zatem niech ten wrzask będzie już ostatnim.

— A ponieważ mój dobrodzieju — odrzekł porucznik, wiezie cię na swoim wozie żołnierz, któremu *clangor et rumor*, jest zawsze przyzwoitym i właściwym, więcbyś powinien uledz. Wszelako respektując wolę twoją, tylko we wrotach trąbić każę, i już od tego nie odstąpię.

Ledwo ta kombinacya na której *volens nolens* musiał ks. Ambroży poprzestać, nastąpiła, gdy furman spostrzegłszy długi ciąg fur ze zbożem naprzeciw idący, zaczął krzyczeć „z drogi!“ i klaskać z bicza. Obciążone wozy nie kwapiły się do zjazdu w głębokie śniegi! zniecierpliwiony więc porucznik krzyknął: — Pietrze daj dymu! Piotr palnął! —

— Jezus, Marya, Józef! — wrzasnął ksiądz; zerwał się i chciał z sań wyskoczyć. Co to ma znaczyć? kryminał! Czy zwarjowałeś? —

— Cha! cha! cha! — roześmiał się porucznik przytrzymując księdza, — Siedź spokojnie mój dobrodzieju, nie ma kryminału, to tylko doświadczony sposób uprzątnienia drogi.

Jakoż przelęknione i konie i chłopy, szybko z drogi spychać się poczęli, to wywracali się, to brnęli głęboko, a Piotr przypuściwszy czwórkę chyżego, w mgnieniu oka wyminął wszystkich. — Ksiądz złorzeczył w duchu swojej podróży, i zarzekał się drugiej z podobnym towarzyszem.

— No, a teraz mój dobrodzieju — mówił porucznik, rozwiąż mi jegomość moje dubia, względem małżeńskiej predestynacyi. —

— Ej porzućmy to kochany poruczniku, pogadajmy raczej o interesie, dla, którego jedziemy. —

— Nie, nie, mój dobrodzieju, chwała Bogu, że dopadłem zręczności, pomówienia z tak mądrą a duchowną osobą. —

— Naprzykład, gdyś jegomość powiedział, że *digitus Dei* wybiera nam żony; więc dubium pierwsze, dla czego tak mało dobrych, a tak wiele złych? *Experto credo* *) *Reverendissime!* Trzy razy żeniłem się. . . . Cóż na to jegomościa teologia? —

Ks. Ambroży nie był głębokim teologiem; do zakonu łatwy znalazł wstęp, jako człowiek już natenczas stałego wieku, umiejący dobrze po łacinie, i mający być pożytecznym zakonowi znajomością prawa krajowego. Co więc było nieodbitem dla duchownego i zakonnika, to on rychło i łatwo pojął; ale nie wymagano odeń nauki, nad którąby lat kilka jeszcze ślęczeć musiał.

---

*) Wierz doświadczonemu.

Możeby mu i łatwiej teraz było zbyć porucznika subtelnościami teologicznemi, któreby musiał on szanować, dla tego samego, że ichby nie rozumiał, ale nie mając w głowie, tej zarozumiałych szkolarzów w trudnych zagadnieniach, broni, musiał konwinkować adwersarza jak mógł; a zatem bardziej jak niegdyś adwokat, niżeli jak teolog argumentować. Rzekł więc surowym tonem: — A kto waćpana przymuszał dwa razy przynajmniej, nie licząc pierwszego ożenienia, głupstwa robić i brać żonkę po żonce, jak z pilnego interesu? —

— Kto przymuszał? Kto przymuszał? — predestynacya mój dobrodzieju. — Predestynacya! Wszystkie trzy, jedna po drugiej były dla mnie przeznaczone. —

— Oto mi pięknie waćpan tłumaczysz przeznaczenie Boskie! Bóg dał człowiekowi rozum i wolę. Jeżeli wola idzie za rozumem a rozum ulega św. religii, to i w każdem przedsięwzięciu wybór będzie dobry. Ale jeżeli wola samopas brodzi. . . —

— To tak jak błędna owieczka — przerwał porucznik, nie powinnaby trafić do celu mój dobrodzieju. A przecież ja trafiłem trzy razy, prawdę mówiąc jak kulą w płot; ale zawsze żeniłem się sakramentalnie, a zatem predestynacya mnie prowadziła, i i samopas nie brodziłem. Lubo tu drugie dubium zachodzi, dla czego mnie trzy żony przeznaczono, a drugiemu żadnej? Bo dajmy to, że jak jegomość dobrodziej powiedziałeś, dla mnie był czyściec na tym świecie za grzechy moje; to znowu dubium, czy w tej pokucie przy ladajakiem pożyciu małżeńskiem, więcej się nie nagrzeszyło, niż odpokutowało? a w takim razie predestynacya i *digitus Dei*. . .

— Co waćpan wymawiasz? Co waćpan pleciesz? — przerwał natarczywie ksiądz, bo poznawszy, że spokojnem rozbieraniem kwestyi coraz nowych porucznika, sam się zawikła w matnię i z konfuzyą wyjdzie z dysputy, postanowił nie przekonywać lecz gromić. —

— Zły duch cię opętał! — zawołał więc, obracając się twarzą w twarz do porucznika, twoje dubia o woli Boskiej względem przeznaczenia ludzkiego są *blasfema*; i w wielkie dubium podają sprawę twego zbawienia; kacerz jesteś! W żołnierce to zapewne i w towarzystwie niedowiarków. . . —

— Towarzystwo! — przerwał wzajemnie oburzony porucznik, towarzystwo księże prokuratorze, to poczciwa szlachta *), proszę ich nie szkalować. . . —

— Kacerz jesteś, powtarzam — krzyczał ksiądz! — Twoje dubia to duby smalone! jesteś heretyk! a może i farmazon! —

— Pietrze! otrąb się — wrzasnął wtem porucznik nagle i niespodzianie. —

— A to co? — zapytał zdziwiony ksiądz. —

— *Mitigans*, mój dobrodzieju — *Mitigans*. Koniec dysputy

*) Szlachta prawdziwa, służąca w kawaleryi, nazywała się towarzystwem.

Reverendissime! bywałem na jezuickich dysputach, i tam zwykle zapalczywość dysputatorów przygłuszają trąby. —

— Pietrze daj dymu!

Rozległ się strzał aż echo poszło po lesie, przez który czwórka biegła.

— A to, *Reverendissime*, rycerski aplauz, tryumfu jegomości, boś mię przekrzyczał.—

Ks. Ambroży nic nie odpowiedział, owinął się w niedźwiednię i siedział nieco obrażony; co spostrzegłszy porucznik starał się go udobruchać, i w dobrej już komitywie do Dowiatowszczyzny przybyli.

V.

Starościństwo Kapinowscy — Proces.

Pan starosta Kapinowski nie był to pan wielki, ale też nie był i prosty sobie szlachcic. Imię jego liczyło się do znakomitszych na Litwie; takich, z któremi i wysoka arystokracya koligacić się bez ubliżenia sobie mogła, koligaciła się nieraz, gdy inne względy majątku, lub osobistego znaczenia, zbliżały pół-panka do pana.

Koligacya ta następowała zwykle przez rękę senatorskiej córki, którą oddając szlachcicowi, pewni być mogli rodzice dostatniego jej mienia w domu mężowskim, i jeszcze nadto poszanowania od męża, a preponderencyi między jego rodziną, do której mitrę lub inny wysoki zaszczyt wniosła.

Takim sposobem i Sapieżanka została starościną Kapinowską; i lubo wychowana w Warszawie, na wielkim świecie, szła jednak śmiało za wieśniaka w głąb Litwy, bo poznała po spokojnym, a nawet w młodości już ociężałym przyszłym swym mężu, że będzie samowładną panią domu i jego samego; i że odwiedzinom by najczęstszym Warszawy, którą serdecznie lubiła, mąż nie tylko sprzeciwiać się nie będzie, ale i towarzyszyć nie zechce.

Małżeństwo to nawet nie przyszłoby nigdy nie tylko do skutku, ale ani do propozycyi, gdyby potrzeba było panu młodemu podróżować do Warszawy, i tam zalotne około panienki ponosić fatygi. Lecz blizkość dóbr na Litwie jednej i drugiej rodziny, ułatwiła znajomość i swaćbę, zwłaszcza, że osierocony niedawno, po śmierci ojca ze starościca starosta, zgadzał się zupełnie z wolą swej matki, pragnącej widzieć syna już trzydziestoletniego w postanowieniu. Nie ożeniłby się pewnie on sam bez jej rozkazu, lub po jej śmierci; a panna kasztelanka zgadzała się wrzekomo z wolą, a w rzeczy samej z radami rodziców, przedstawujących swobodną i szczęśliwą jej przyszłość, za bogatym łatwego charakteru mężem. Przy pomocy zatem wspólnych przyjaciół, rychło nastąpiło wesele.

Lecz młoda starościna nie mogła odrzec się Warszawy, ani zapomnieć świetnych balów i assamblów, młodego natenczas także dworu Stanisława Augusta, na którym urodą między najpiękniejszemi jaśniała. Tkwiły jej w pamięci słodkie słówka zalotnego króla, któremi ją i jej podobne dziewice, a tkliwsze jeszcze i słodsze, któremi ładne mężatki osypywał; a do których, bardziej zapewne z próżności niż z zepsucia, wysoką wartość przywiązywała.—Co rok zatem prawie odwiedzała ona stolicę, i po kilka miesięcy, szczególniej zimowych, tam przebywała; podobając sobie w hołdach powszechnych, składanych jej wdziękom i życiu wytwornem, naśladującem przepych i zbytki panów, otaczających natenczas dwór monarchy sybaryty.

Pan starosta zaś mieszkał w domu i przywykł łatwo do częstych odjazdów swej połowicy; przed każdą tylko podróżą, gdy przez okno patrzał na przeprowadzane przez dziedziniec konie swoje do pojenia, wzdychał głęboko, i kręcąc głową mruczał pod nosem:— Oj koniki moje, koniki! Oj karoszki moje, karoszki! Oj bieda wam, bieda! Oj Warszawa, Warszawa!"

Ponieważ każdy, by najograniczeńszych żądz człowiek, musi wszelako mieć w sobie niektóre panujące nad innemi, toć i pana starosta lubił konie, winko i fajkę. Dla tego ubolewał nad końmi przed każdą podróżą, a pocieszał się butelką, fajką i nadzieją, że z oddaleniem się żony, dom zostanie cichym i spokojnym; ustaną kompanie i bankiety, któremi imość rozweselała swój pobyt na wsi. On zaś obszedłszy zrana stajnie, będzie mógł wieczorem ciągnąć knaster, popijając węgrzyna, słuchać bajek o upiorach i strachach, rozpowiadanych i powtarzanych stokrotnie, przez dwóch starych ojcowskich hajduków, obowiązanych dotrzymywać mu kompanii, aż do uśnięcia w łóżku; albo przez jakiego zwokowanego z blizkiej okolicy szlachcica, z szecherezadowskim talentem, za który furę zboża nazajutrz wywoził.

W takim stanie animuszu obojga małżonków łatwo zgadnąć, że rządy fortuny acz znakomitej, szły najgorzej. Pani starościna zastawiała folwark po folwarku na koszta rezydencyi w stolicy, a pan starosta nie mięszał się do niczego. Na uwagi zaś swoich hajduków, przywiązanych jak zwykle dawniej sług starych, do rodziny swych panów, odpowiadał z równem westchnieniem jak po koniach, tak i po folwarkach: — „Stanie dość na nasz wiek!" — A co panoczku zostanie dla dzieci?—pytali jeszcze poczciwcy. Natenczas, patrząc na biegające około niego dziatki, przywiązany do krwi swojej starosta, ocierał rękawem oczy. . . ale dodając sobie i sługom humoru, nie bójcie się mówił—imość z Warszawy drugie większe od Kapinowskiego przywiezie starostwo . . . A tymczasem powiedzcie mi waszeć bajkę o tych trzech braciach, co to było ich dwóch rozumnych a trzeci dureń—albo o tym starym żołnierzu, co to z Panem Jezusem spotkał się. . . . Oj! gdyby mnie Pan Jezus dał taką torbę jak jemu, co to na zawo-

łanie:—„A do torby!“—wszystko musiało leźć do niej i mieścić się, tobym jak on wpakował tam ze sto dyabłów, i nie wypuścił dopóty, ażby mi każdy dał po tęgim koniu, i powiedział po jednej bajce.—Oho! dyabli najwięcej i najlepiej wiedzieć muszą o upiorach . . . i śmiał się dobroduszny panisko.—

— A ja będąc jegomościem—rzekł któryś hajduk, i mając taką torbę, wsadziłbym do niej imość, żeby do Warszawy nie jeździła.—

— Milcz wasze, co to do waszeci należy?—

Tak upłynęło lat kilkanaście, a trzeci miniony krzyżyk i kilkoro dziatek, zwyczajnym trybem ujęły wdzięków, a przyczyniły rozwagi starościnie. Miała ona nadzieję w ich edukacyi znaleźć jeszcze powód przeniesienia się zupełnego do Warszawy, ale obrachowawszy dochody, ze smutkiem spostrzegła, że pochłonięte krocie nie wrócą, a pozostałe tysiące, nie wystarczą na szerokie projekta. Natenczas nadzieje otrzymania bogatego starostwa, któremi tylko poczciwego męża łudziła, postanowiła ona rzeczywistem staraniem ziścić. Wybrała się więc znowu do stolicy, z chęcią przedsięwzięcia wszelkich środków, dla dopięcia zamiaru swego i podźwignięcia upadającej fortuny.—

Związki familijne i osobista przyjaźń z wysokimi urzędnikami państwa, dobrze jej wróżyć zdawały się. Brakło jej zapewne zasług, jakie się na dworze rozwiązłego monarchy niejednem bogatem starostwem opłaciły; ale takich mimo liczne pokusy, nigdy ona na swe sumienie nie wzięła, chroniąc piękne imię rodu swego od plamy, a serce zalotne, lecz niezepsute, od zgryzoty.

Nadszedł wszakże czas, gdy rozrzutnemu szafowaniu dóbr narodowych, nie jeden głos na sejmie, a bardziej jeszcze głos publiczny zawadzał. Pan podkanclerzy litewski, na którego protekcyi starościna najbardziej polegała, naglony przez nią kilkakrotnie, zapytał raz:—Czy pani się zdarzyło kiedy czytać przywileje na starostwa?“

— Nigdy—odpowiedziała z uśmiechem, oczekując z tego początku, jakiejś miłej niespodzianki.—

— Niechże pani przeczyta—rzekł podając jej jakiś przywilej, i wskazując na wyrazy: „Mając sobie zalecone przez panów rad naszych, wysokie meryta w ojczyźnie urodzonego, etc.—*).

Starościna zrozumiała łatwo, że do poczciwego jej męża, trudno było choćby pozornie nawet, zastosować te słowa, a gdy wzajemnie wspominała przykłady obdarzanych bez zasług, lub co gorsza za niegodne meryta, pan podkanclerzy odpowiedział zimno i poważnie:—„To bywało, źle bywało—i nadal być nie powinno . . . . bo taka jest wola najjaśniejszego pana.“

Nie jeden z wysokich dygnitarzy, sam podobne ze starościną mając widoki, nie kwapił się kompromitować własnych, po-

*) Zwykły początek przywilejów.

magając cudzym; a tak spełzły na niczem, lub na bardzo wątłych oparły się nadziejach, wszystkie jej projekta.

Powróciła więc do domu z goryczą w sercu i z niejaką odrazą do ulubionej dotąd Warszawy i jej wielkiego świata, który ją tak oszukał i zawiódł.

Lecz tając w sobie jak najskryciej uczucia i upokorzenie swoje, starościna jeszcze głośniej chlubę ze swych wpływów w w stolicy i związków rozwodziła. I w rzeczy samej, wpływy te, jeżeli nie były dość silne do osiągnięcia starostwa, nie zawodziły ją przecież, gdy szło o jakieś *instantiales* z góry, lub o otrzymanie czczych tytułów, których nieskąpem rozdawnictwem, jednano zwykle dworowi stronników po powiatach. Zaufana w taką przewagę swoją starościna, broniła się najprzód dzielnie i energicznie od napastujących ją kredytorów; a z kolei idąc za radą jakiegoś zagorzałego prawnika, obiecującego jej powrót folwarków przez procesa i pretensye do zastawników, a rozszerzenie onych przez graniczne spory, rozpoczęła ataki, w których nie raz list do urzędnika od senatora, wojewody, lub ministra, przechylił szalę, i uczynił zadość nie tylko interesowi, ale i miłości własnej lityganki.

Dochowuje się jeszcze pamięć nie jednej takiej pani na Litwie, która w swoim czasie, mówiąc ówczesnym wyrazem: „Trybunałami trzęsła.“ Synowica królewska, a żona jednego z magnatów litewskich, dawała tu przez czas niejaki, takiego możnowładztwa przykłady i wzory.

W takiej kolei starościna rozpoczęła j proces z sąsiedzkim oddawna z sobą przyjaznym domem Dowiatów. Musimy zatem jeszcze i treść tego procesu opisać.

Jurysta starościnej drabując dawne mantyki ich domu, i wyszukując w nich dowodów, to powodów do swych prawniczych planów, wynalazł przedwieczny inwentarz, w którym między wsiami tego majątku, zapisany był i zaścianek nad Wilią położony, Nadbrzeżem zwany, teraz do folwarku Dowiatów należący. Majątek starosty, później wprawdzie przez jego dziada nabyty, w opisaniu przy nabyciu sporządzonem nie pokazywał i nie zawierał Nadbrzeża; lecz w prawie sprzedażnem znalazły się wyrazy, zwyczajnej formy i rutyny takich dokumentów: „z wolnością rekuperowania awulsów“, do których pieniacz uczepiwszy swą pretensyę, zapytał Dowiatów jakiem prawem trzymają Nadbrzeże, *awuls* od majątku starosty. Na nieszczęście, Dowiatowie, których przodek pierwiej zapewne kupił zaścianek, niżeli dziad starosty same *fundum*, nie znaleźli u siebie żadnych na to dokumentów, i okazali tylko oświadczenie po inkursyi w tym kraju nieprzyjacielskiej, do akt ziemskich zaniesione, że Dowiatowszczyzna uległa zupełnej konflagracie i pożodze, i że dom mieszkalny, natenczas razem z całem archiwum spłonął. Kwerendy po księgach sądowych, żadnych

więcej nie przyniosły dowodów; może dla tego, że w nieustannych zamieszkach krajowych, i publiczne akta równemuż w części podpadły zatraceniu; czy też, że lubo prawa nasze dawne, każdą umowę wieczystą, mieć chciały przyznaną, lecz zwyczaj częstokroć nieuległy prawu i na powszechnej dobrej wierze oparty, dozwalał zwłaszcza w opisach na rzecz mniejszego znaczenia i wartości, kontentować się tylko listem na przyznanie, łatwo razem z samem prawem zaginąć mogącym.—Cokolwiek bądź jurysta, nie widząc u Dowiatów, żadnych innych dowodów na dziedzictwo Nadbrzeża prócz oświadczenia i dawności posesyi, którą oni także za dowód własności przedstawiali, ani na tem przestając, postanowił rekuperować awulś i pozwał Dowiatów o rehabicyą do Nadbrzeża *), i o kalkulacyę *de asse et grano* **). Naliczając tym sposobem znakomitą summę, z tyloletniego przychodu, choć kilkaset złotowej tylko rocznej intraty.

Zerwała się więc dawna wzajemna obu domów przyjaźń, a wytoczyła się rozprawa w ziemstwie wileńskiem nader niebezpieczna dla Dowiatów.

Obronę naturalnie wziął na siebie pan skarbnik, a stojąc przy wyżej wspomnianem oświadczeniu i przy dawności ziemskiej, podawał jeszcze w imieniu brata, jako teraźniejszego dziedzica Dowiatowszczyzny, przysięgę na to: że zaścianek Nadbrzeże przez antecessorów był prawnie kupiony i że papiery udowodniające to kupno, razem z domem spłonęły. Prosił więc sądu, o skasowanie pretensyi starosty i ukaranie go jeszcze powrotem ekspensów prawnych.

Każda tu strona brała się na sposoby forsowania interesu; całe Wilno z ciekawością oczekiwało wyroku. Zdawało się wszystkim i najdoświadczeńszym jurystom, że po wyroku komportacyi dokumentów ***), który już był uprzedził teraźniejszą rozprawę, nastąpić koniecznie musi oczywista decyzya, rozstrzygająca ostatecznie czyjem ma być Nadbrzeże.

Sala środkowa, ustępową zwana, między izbami sądowemi ziemstwa i grodu wileńskiego, w domu niedawno jeszcze zbitym za Zamkową bramą, napełniona więc była od kilku godzin palestrą i ciekawymi oczekującymi na woźnińskie: „po namowie!“ a żywo rozprawiającymi, każdy podług swego widzimi się o przyszłym wyroku.

---

*) Termina prawne dawnego procesu, nie wyszły zapewne jeszcze tak dalece z powszechnej pamięci, abym je miał tłumaczyć.

**) Z grosza i miary, to jest z pieniędzy i zboża.

***) Wyrok to bywał wstępny, obowiązujący prawujące się strony do złożenia na termin naznaczony pod przysięgą u sądu, wszelkich dowodów pisma i dokumentów, dla wzajemnego objaśnienia się stronom.

W tym tłumie dwie szczególniej osoby zajmowały wszystkich; to jest dwaj przeciwnicy w procesie. Nizki, opasły, i zaperzony plenipotent starościnej, wzbudzający samą figurą swoją ochotę do uprzykrzonych mu żartów i sprzeczek, jak niedźwiedź w czystem polu atakowany od zjadliwej zgrai kundlów, uwijał się potężnym krokiem między ogarniającą go tłuszczą, a grzmiącem słowem i groźnem dąsaniem się rozpędzał kupiącą się nieustannie na nowo.—Przeciwnie pan skarbnik, siedział spokojniuteńki na zedlu przy ścianie, i tylko gdy przeciwnik powtórzył kilkakrotnie główne słowa swej sprawy: „Awulsa rekuperować! Awulsa rekuperować!"—rzekł mu:

— To waćpan widzę chcesz być większym potentatem od naszych królów, bo z nich każdy przyrzeka w paktach konwentach, że awulsa od kraju oderwane, rekuperować będzie, a przecież żaden, *inter nos loquendo* tego nie dokazał.

Trzeci jeszcze, również spokojny i niewzruszony, siedział na stołku u drzwi sądowych, w wytartym kontuszu ze skrzyżowanemi na grzbiecie wylotami,i z szablą u boku woźny, nadstawiając ucha na dzwonek prezy-dencki, a surowym wyglądem odrażając zbliżających się doń nie-uważnie. . .

Dwie i trzy tak upłynęły godziny; znać było, że za drzwiami sądowemi trudno idą rzeczy. I nie dziw. Sędziowie byli jak w sieci, wątpliwością obustronnych dowodów, nie mogących sumieniu ich dać wsparcia, i silnymi wpływami obustronnych także protektorów ogmatwani. A i tam były głowy nie lada! . .

Otworzyła się nakoniec izba sądowa Tłum się wtłoczył, a rejent przy kratkach, czytał już przebiegając szybko, jak pędząca taratajka prolog wyroku, to jest treść procesu i wzajemne stron dowody; na co świadomi formy pisania dekretów nie dawali baczenia; lecz gdy wyraźniej i głośniej zawołał: „*Judicium*. . Słowo to oniemiło wszystkich, i natężyło słuch i uwagę każdego.—„*Judicium* czytał powolniej i dobitniej rejent: „jako w sprawie kognicyjnej, nie wchodząc teraz w oczywiste onej rozpoznanie, akta inkwizycyi *circa jure possessionis* *), przez Dowiatów zaścianku Nadbrzeża, z wolnością obu stronom wyniesienia nowych pozwów do takowych aktów, *ad rem procedenti* stosownych, determinuje."

Na taki nieoczekiwany wyrok, słuchacze chwil kilka z zadziwieniem patrzyli sobie w oczy, a potem wychodząc z izby, wesołe rozpoczęli sprzeczki, kto wygrał, a kto przegrał? a zatem jaki los zakładów o trojniak i piwo? . . Nakoniec opasły plenipotent powoda ocierając bujną rosę na licu, wykrzyknął:—„Apelluję do trybunału!"—A pan skarbnik ukłonił się skromnie sądowi i mrucząc pod nosem: „*Circa jure. . . circa . . inter nos loquendo circa . . circa* . . poszedł prosto do klasztoru antokolskiego.

---

*) O prawie posessyi.

I w takiej to właśnie przerwie procesu, przed blizko następującą kadencyą trybunału, do którego sprawa przez apellacyę się przeniosła, wynikł jakeśmy to widzieli projekt, za którym jechał ks. prokurator z rotmistrzem.

W Dowiatowszczyźnie poczciwi rodzice Ludwika, rozpłakawszy się serdecznie, wszystko na wolę Boga i księdza brata dobrodzieja oddali, a wkrótce głos trąbki porucznika, zabrzmiał na dziedzińcu starosty.



XI.

Swaćba.

— Pokój temu domowi! - rzekł ks. Ambroży, wchodząc do wielkiej środkowej sali, obszernego domu starosty, w której przy długim stole, kobiercem nakrytym, siedział sam gospodarz, w szlafroku lekkiem futerkiem podszytym, w suliatach manszestrowych na nogach, a w szlafmycy na głowie, i ciągnął długim cybuchem tytuń z wielkiej aż na ziemi opartej lulki. W kącie na wielkim kominie palił się ogień i rozweselał tę ogrzaną dwoma piecami salę; a służył jakby za zabawkę siedzącemu przy nim na nizkim stołku, jednemu z dwóch starych hajduków, koleją luzujących się przy staroście, z funkcyą podnaszania żaru do fajki i rozrywania pana nieustanną poufałą gawędką, lub usypiania go bajkami.

Sala obita była cała z dołu do góry staroświeckiem wypłowiałem już szpalerowem, z niemieckich jakichś fabryk, obiciem, kosztownem zapewne przed laty, wyrażającem polowanie na jelenia. Myśliwi to konni, to piesi, z rusznicami lub oszczepami w rękach, w długich czerwonych frakach lub surdutach, z fryzurami czy perukami na głowach, a harcapami na plecach, poustawiani byli sztywnie po gęstym lesie okrywającym wszystkie ściany sali, oczekując na jelenia, który gnany ogarami z za kredensu rączo wysadzał. A że hajducy starosty z Augustowskich czasów sami, saskiej też mody nigdy nieznoszoną nosili barwę; więc jednego siedzącego przed kominem, wysokiego, chudego, także w długim niemieckiego kroju a papuziego koloru, z wytartym na kołnierzu galonem, surducie, na wielkie, jak holenderskie talary, guziki zapiętym; można było wziąść wśród tych fantastycznych figur za myśliwego zeszłego z obicia i odpoczywającego przy ogniu.

Starosta powitał uprzejmie gości. O procesie z Dowiatami wiedział on jakby nawiasem i często tęsknił do towarzystwa najbliższego sąsiada, którego lubił. Hajducy nawet jego, pamiętni dawniej obu domów przyjaźni i nie raz uraczeni w Dowiatowszczyźnie, niecierpieli prawnika, który tę przyjaźń rozerwał. To ten poganin, mówili pomięszał wszystko! Za toż mu, gdy bawił po kilka

tygodni w domu starosty, po swojemu dokuczali: to omijając niby przez omyłkę z półmiskami, to stawiąc mu w kwaterze zamiast piwa, dzban lury z drożdżami. A to wszystko uchodziło bezkarnie, bo starosta niecierpiący także prawnika, skargi jego żartami zbywał.

— Niedomagam księże prokuratorze dobrodzieju - rzekł on, niedomagam, ale dodajecie mi zdrowia przybyciem waszem. I ty kochany poruczniku, wielce łaskaw jesteś na starego przyjaciela. Brałem wczora dryakiew wenecką, onegdaj kupiłem jej cały słoik od węgrzynów. Ale prawdziwa: „Sen z pod złotej bani, od księży jezuitów,“ jak oni mówili, choć nie mogli zainformować gdzie to ta złota bania? Mam nadzieję, że tym sposobem ataki mojej pedagry do majowej kuracyi zahamuję. Upewniał mię o tem i stary węgrzyn, zna się on, nie ma co mówić na medykamentach; ale łgarz wierutny we wszelkich innych materyach. Naprzykład: czy uwierzycie wasaństwo? Śmiał mnie dowodzić i zaklinał się jak szalony, że w Ołomuńcu wszystkie dachy z polewanej dachówki, jak u nas kafle na piecach? Nie prawdaż Łukaszu?

— Prawda—ale jegomość zagadawszy się zapomniał, że konie gości przed gankiem—rzekł hajduk powitawszy uprzejmym ukłonem przybyłych i jakby przepraszając za nieuwagę swego pana.

— Dobrześ powiedział—zawołał starosta, każ poruczniku odejść swoim siwcom, boś zapewne niemi przyjechał; tęgie kuce, a po trąbce miarkuję, że ekwipaż musi być twój a nie klasztorny; każ im dać owsa Łukaszu.—

— I warte tego starosto dobrodzieju—odezwał się porucznik, bo nas dziś z Wilna do domu pańskiego przywiozły; a jednakże gdzież one przyszły do moich porcenelo-srokatych, których starosto gdybyś widział. . .—

— Znajdujemyż JW. starościnę dobrodzikę?—przerwał ksiądz, lękając się aby stajenna ,przez obu upodobana rozmowa, na długo nie zaszła.

— Jest moja żona, jest, tam w pokojach,—

— Pozwoli tedy starosta dobrodziej, że pójdę złożyć jej moje uszanowanie.—

Odszedł ks. prokurator, rzucając wyraziste spojrzenie na porucznika, jakby hasło do dzieła, do którego i sam natężał wszystkie myśli i zbierał w głowie przyzwoite i stosowne wyrazy. Hasło to przypomniało wprawdzie cel podróży porucznikowi, lecz sposób zaczęcia rzeczy, zależał od zręczności, której albo oczekiwać albo oną rozumnie wywołać trzeba było.

— Nie także to od razu—pomyślał on sobie, usiadając przy stole naprzeciw starosty.—A my nie mogąc razem, musimy po kolei opowiadać dzieje tej podwójnej konferencyi.

— No, mój kochany poruczniku—rzekł starosta, tyś bywalec po świecie, i wieleś dziwów widywał; powiedz mi czy to być

może, co ten węgrzyn prawił, że w Ołomuńcu wszystkie dachy biało polewane? U nas piec jeden kilkadziesiąt talarów kosztuje, a wieleżby to kosztował dach? To już domy muszą być ze srebra i złota, jak w pałacu tej zaklętej księżniczki, o której Łukasz mnie bardzo ciekawą bajkę opowiadał. Kiedy chcesz poruczniku, to on nam ją opowie?

— Nie, nie, nie tego ja chcę starosto dobrodzieju; przejechawszy się po mrozie, lubośmy się chwil kilka ogrzewali w Dowiatowszczyźnie, ale jednak nie zaszkodziłaby korroboracya niejaka żołądka.

— Rozumiem—rzekł starosta —i lubo sam po dryakwi weneckiej nie mogę ci pomódz, bo i *Pedimontanus* *) w rozdziale o purgansach powiada . . . —

— Niech go wszyscy dyabli wezmą, przerwał porucznik—ja pana upewniam, ja! że ogrzanie żołądka, ani przed dryakwią, ani po dryakwi szkodzić nie może; tylko trzeba wiedzieć jak i czem? Ja sam przyprawię truneczek, którego wazeczkę gdy wypijemy, zobaczysz starosto, że odmłodniejesz, pedagra cię nie zaczepi, a swego Pedimontana, łgarza gorszego od węgrzynów spalisz.—Każ tylko pan przynieść czego mi potrzeba.

— A, jeżeli tak zaręczasz poruczniku, że mi twój trunek pójdzie na zdrowie, bo i Pedimontanus zaleca ogrzewać żołądek, to mów o co idzie. —

— A zatem Łukaszu przynieś mi głowę cukru. — Łukasz i starosta spójrzeli z zadziwieniem.

— Nie bójcie się, całej nie użyjemy; powiedz klucznicy, że tylko mój sposób przyprawy wymaga, aby głowa cukru była całą, a kawałki nie przydadzą się. Item cytryn dwie, choć to zima, ale zapas być musi. I tem muszkatową gałkę, item goździków dziesięć. Item butelkę syropu i butelkę wina starego, jakiegokolwiek gatunku, można i węgrzyna; a wody tu na kominie przygrzejesz. Miarkuję *quantitatem* na trzy osoby, bo i ksiądz prokurator szklaneczki nie odmówi jak mi się zdaje, a jednakże okroić się może i dla starego sługi. rozumiesz? . . Do tego waza, łyżka wazowa, nóż wielki i szklanki. —

Ostatnią obietnicą skorumpowany Łukasz, poszedł ochotnie po te ingredyencye, a przybrawszy swego kolegę Mateusza, podobniuteńkiego jemu w figurze i stroju, wkrótce wszystko akuratnie dostawił.

— Ten trunek jak uważam — rzekł starosta, będzie pącz! —

— He! pącz — co innego mój dobrodzieju! Syrop, woda, i cukier, zmięszaj — masz pącz, to nie sztuka! A po pierwszej szklaneczce mojego trunku, zobaczysz starosto, jakie ciepło i maceracya nastąpi w żołądku i w całym korpusie. —

Gdy wszystko stanęło na stole, porucznik musnął się po

---

*) Książka lekarska doktora Pedimontana, drukowana w roku 1754 w Supraślu, długo była domową. Zawiera ona nie tylko przepisy lekarstw szczególniejsze, ale i rozmaite sekreta.

czuprynie i pokręcił wąsa; to zwyczajny wstęp jego do ważnego dzieła. Rozwinął potem głowę cukru, rozkroił cytryny, i zaczął niemi nacierać cukier, krusząc nożem przesiękły sokiem do wazy.

— Tego kordyału, kochany starosto — mówił porucznik nieprzestając roboty, nauczył mnie kozak. —

— Jakto kozak? —

— A tak. W czasie konsystencyi naszej pińskiej brygady na Ukrainie, codzień prawie zdarzało się zjeżdzać z partyami kozackiemi, strzegącemi granicy z tamtej strony; więc bywało jedziemy z sobą z daleka, przywitamy się grzecznie, i tak dalej; a przeciągnąwszy każdy po swojej ziemi jak żórawie, zawracamy się do siebie. Czasami damy sobie wzajemny parol, zjeżdżamy się, handlujemy konie, pijemy borysza, i jak się zdarzy w dobrej komitywie.

Otoż raz w późnej jesieni, spadł pierwszy śnieżek, i wyborna nadarzyła się porosza. Wyjeżdzam tedy z półtora smyczem strzemiennych chartów, i z kilku pocztowymi na lisy; a miałem deresza, z którego bywało wilków harapuję . . .

— Wilków harapowałeś! A niechże cię kochany poruczniku! — przerwał starosta miłośnik koni, lubo żadnego na życiu nie dosiadł. Gdzież go podziałeś? —

— A wilcy go też i zjedli. — Ale to druga materya. — Cwałujem więc po polach tropiąc na upatrzonego, i zbliżamy się do granicy. . . . Patrzę, aż z tamtej strony jedzie na czarnej szkapie z chartami i kilkunastu swoimi, ataman jakiś, upatrując także źwierza. . . . Ciągniemy więc obok, patrząc na siebie z ukosa. . . . on z daleka nahajem kiwa . . . a ja jemu figą trzęsę: „Nie waźmiosz Lachu kota! nie waźmiosz!“ A ja jemu; Hola! hola! szeszku legawego pola! I palimy obadwaj z harapów. — Wtem wymknął lis . . . i śmiga kitą po samej granicy jakby demarkacyę prowadził. Weźha! z obustron . . . charty się złączyły i kupią za nim. My za nimi panie! Deresz mój utulił uszy, rozciągnął się jak sarna, i puścił się jak wicher w zawiei, aż mi w uszach zaszumiało. Przytuliłem się mu do szyi, i myślę: dyabła zjesz Atamanie, nim ty doskoczysz na swojej szkapie, lis będzie mój. Ale ta chuda szkapa jego, to był szatan mosanie, nie koń. Spójrzę, aż on leci obok, jak żmija, ogon odsadził na wiatr, uszy naprzód jak dwie strzały, pianą jak śniegiem sieje, a grzywą śnieg po ziemi zamiata. Kozak na nim schylony do łęku, już mnie przesadza! Dereszku moje serce! — krzyknąłem ściskając go kolanami, trzymaj się! bo padniemy na honorze. . . lecim . . .

Starosta zajęty tem opowiadaniem, wstał z krzesła, i opierając się na poręczy patrzał niecierpliwie i z niewymownem zajęciem na porucznika. Za nim dwaj starzy hajducy, wyciągnęli szyje, i wytrzeszczyli oczy, również jak ich pan ciekawi, i również na powieści łakomi.

— Tuż, tuż, charty za źwierzem — lis het w bok na jego

stronę, a mój Doskocz łap go za kark, i trzęsie jak kuśnierz irchą. . . .

— A harap! krzyczę — mój sobaka, mój lis!

— A harap! krzyczy kozak — moja ziemia, mój lis!

Osadziliśmy, konie ale ja za granicą, a on lisa już trzyma. Wnet jednak obracając się do mnie, — panie poruczniku — rzekł, na parol!

— Zgoda na parol, i podaliśmy sobie ręce przez granicę. Pojechałem więc na pogrzebne do kwatery poczciwego atamana, gdzie przez trzy dni handlując to psy, to konie, zapijaliśmy ten wyborny krempulsus, jak z niejednokrotnego potem doświadczenia poznałem *excitans confortans*, a razem po kilku zwłaszcza szklankach i mitygans — Dolej teraz waru Łukaszu i wsyp stłuczone aromata, to jest: goździki i muszkatową gałkę . . .

— No kochany starosto, racz że spełnić z przyjacielem szklaneczkę. Skosztujcie i wy stare grzyby — rzekł podawszy szklankę staroście, a czerpiąc hajdukom po łyżce wazowej.

— A co?

Hajducy pokręcili głowami smakując, i uniżenie uścisnęli kolana porucznika

Starosta pociągnąwszy raz zakrztusił się; otarłszy potem jagody, wąsy i łzawe oczy, pociągnął drugi raz i rzekł z przyciskiem. — A żeby nie zaszkodziło! . .

Wtem zajaśniała radością twarz porucznika, uderzył się po czole i pokręcił wąsa, bo wpadł na myśl, która go od razu i bardzo naturalnie do przedmiotu poselstwa zbliżała. Czerpiąc więc i dla siebie kufel, a wychyliwszy go duszkiem — Oj starosto dobrodzieju! — rzekł i zatrzymał się, bo przypomniał instrukcye prokuratora, aby ostrożnie postępował w traktacyi. — Oj kochany starosto! powtórzył więc raz jeszcze, podając mu znowu szklankę, i sobie drugą dostając z wazy. — Dajże Boże, abyśmy co najprędzej łyknęli gorąco a serdecznie na weselu starościaneczki godnej córki pańskiej, a tak pięknej, i miłej, że dalibóg! . . .

Przejdźmy teraz do pokojów starościnej, gdzie pertraktacye poważniejszym i delikatniejszym szły trybem.

Niespodziewane przybycie prokuratora, zdziwiło wprawdzie starościnę, ale wnet się domyśliła treści pierwszego, że tak powiem, rozdziału przyszłej z nim rozmowy; drugiego nie przeniknęła, a przynajmniej nie spodziewała się.

Po przywitaniu więc zimno a grzecznie, usiedli oboje na kanapie w pierwszym pokoju W drugim pod oknem Elżunia szyła w krosienkach; skromnym dygiem i rumieńcem odpowiedziawszy na pozdrowienie księdza, wyszła.

— Rada jestem bardzo powitać księdza prokuratora w naszym domu — rzekła starościna: — zapewne odwiedziny braterstwa jego w Dowiatowszczyźnie i nam zdarzają ten honor.

— Tak jest, mościa dobrodziko, zajeżdżaliśmy do Dowiatowszczyzny; aleśmy umyślnie z Wilna z panem porucznikiem Stelnickim do JWW. państwa wybrali się. Przybycie jednak ubogiego zakonnika nikomu honoru do domu wnieść nie może; ale wnieść może błogosławieństwo i pokój, dla którego i ja ufając w pomoc Boską, tu przybywam.

— Dziękuję bardzo za dobre intencye pańskie odpowiedziała sucho starościna.

Ks. Ambroży przykąsił sobie usta, bo musiał uczepiać się na nowo za słowa starościnej i ciągnać ją na swoją drogę, od której ona wyraźnie umknęła. A jednostajny sposób powtórzony, rzadko bywa zręcznym.—Intencye moje, rzekł więc, są jako i zawsze były najżyczliwsze dla domu JWW. państwa dobrodziejów; bo i jakże inaczej byćby mogło, gdy od niepamiętnych czasów, rodziny nasze w sąsiedztwie i nieprzerwanej aż dotąd były przyjaźni. Gdy mościa dobrodziko ojcowie i dziadowie nasi, na jednem polu żyli i umierali, a nigdy miedzy tego pola sobie nie przeorali; więc nie możesz JW. pani wątpić o moich intencyach.

— Jak też i nie wątpię—odpowiadała zawsze również sucho jakby z dystrakcyą starościna. O czem się wątpi, za to się nie dziękuje.

— Racz że JW. pani wierzyć, że powód przybycia tu mojego z również życzliwych intencyi wypływa; a zatem na również łaskawą animadwersyę JW. pani zasługuje ...

— Mój mości księże prokuratorze--przerwała starościna,— rozumiałam, że wizyta pańska, jest tylko w celu zrobienia nam przyjemności; gdy zaś uważam, że go powód jakiś inny, czy interes tu sprowadza, więc w takim razie z moim mężem mówić jegomości dobrodziejowi należy; ja kobieta....

— A ja zakonnik mościa dobrodziko! obojgu nam zatem interesa, a tem bardziej procesa nie przystoją. Dla tego nie porzuciłbym mojej celi—mówił coraz żywiej prokurator, powstając z kanapy,—gdyby szło o jakieś światowe okoliczności, lub broń Boże o pomoc dla mojej rodziny w kłótniach i sądach. Ale gdy przeciwnie, idzie tu o uczynienie zgody i pokoju, to JW. pani jako kobieta, ja jako duchowny, najwłaściwiej wziąść to przed się możemy; owszem powinniśmy, pamiętając na słowa Zbawiciela: „Błogosławieni pokój czyniący." Dla tego odsyłanie mnie do pana starosty, rozumiem jako wyraźną niechęć pani do osiągnienia tego błogosławieństwa... a niechęć .. daruj jaśnie wielmożna pani co powiem... na sumieniu się zapisze... .—

Tak ścisłe a niespodziane natarcie, dało poznać starościnie, że trudna będzie rozprawa z przeciwnikiem, który dostojnością kapłańską mógł karcić i upokorzyć wyniosłą dumę pańską, jeżeliby się nią zasłaniać chciała, a pokruszyć mdłe i pospolite wykręty, jako i na samym wstępie, pokruszył one bronią duchowną.

Wzajemnie ks. prokurator, po ciągłym rumieńcu starościnej spostrzegł, że za gorąco wystąpił.

To uchybienie taktu księdza, z właściwą kobietom przenikliwością pojęła wnet starościna; więc odzyskując stłumioną rzeźwość myśli, rzekła z szyderczym uśmiechem: —Prawdziwie księże prokuratorze nie wiem jeszcze z pewnością, o co tu idzie, ale słowa pańskie dają mi bodaj prawo do innego ewangelicznego błogosławieństwa: „błogosławieni cierpliwi w duchu.“

Ks. Ambroży wzajemnie stłumiony, ukłonił się pokornie starościnie, jakby na deprekacyę, a myśląc sobie—trafiłem kosą na kamień.—Niech wszelkie błogosławieństwa - rzekł więc, — spływają z nieba na dom JW. państwa dobrodziejów; i bodajby codziennie Bóg zdarzał JW. pani, takie sposobności jak dzisiejsza, uczynków zjednać mogących jej łaskę Boską i miłość ludzką. Przybywam tu bowiem, a raczej przybywamy, od brata mego i całej naszej rodziny, z pokorną prośbą o zgodę i kombinacyę w procesie; a przekonany jestem, i już JW. pani nie zaprzeczy temu powtórnie, że szczęśliwy skutek próśb naszych, od JW. pani zależy. Skłoń się więc do nich mościa starościno dobrodziko i dozwól szczerej z sobą rozmowy, która doprowadzić nas może, nie tylko do kombinacyi w procesie i do przywrócenia dawnej harmonji, ale jeszcze i do utwierdzenia jej, ściślejszym . za pomocą Bożą . . węzłem. . . .

Na te ostatnie słowa, wymawiane tak właśnie jak je napisałem, z niejakimi dyplomatycznymi przestankami; starościna spójrzała przenikliwie w oczy ks. Ambrożemu, zastanowiła na nim wzrok przez czas niejaki. . . może się mylę?—pomyślała nareszcie—zobaczemy dalej. . . .

— Po spójrzeniu tem starościnej, ks. Ambroży pomyślał: Aha! zaczepiłem. . . zobaczymy dalej . . .

Ks. prokurator, jak o tem wie już czytelnik, miał podwójną misyę: pierwszą otwartą, którą też otwarcie mógł wypowiedzieć, drugą tajemną, o której dyplomatycznie miał wyrozumiewać. Dla tego postanowił zręcznie napomykać tylko i uderzać lekko i jakby nieumyślnie w tę delikatną strunkę, a chwytać najmniejsze jej echo, i jeżeliby nieharmonijnie i nie do zgody brzmiała, zerwać ją tak, aby urywków jej nawet, nie zostawić w ręku starościnej.

— Zamiary pańskie—rzekła ona po niejakiej przerwie—zapewne są dobre i szczere; mniemam także, że działasz pan dobrodziej i mówisz, wyrozumiawszy pierwej, a może i skłoniwszy brata?

— Bezwątpienia mościa dobrodziko.

— A więc zgoda bardzo łatwa, niech się zaścianek zwraca do majątku, do którego jak widać kiedyś zapewne należeć musiał, a my odstępujemy dla świętego pokoju, i w dowód naszej. . . naszej . . , sąsiedzkiej. . . sąsiedzkiej . . , intencyi, kosztów prawnych dość już znacznych. . . .

Nie uszło uwagi księdza, to dobieranie wyrazów starościnej, i wybranie najobojętniejszego—to powtóre, pomyślał znowu— zobaczymy dalej.

— Propozycya ta, mościa dobrodziko, jakkolwiek ciężka, zawsze mię jednak cieszy, bo jest niejakim wstępem do traktacyi mogącej powoli doprowadzić nas do pożądanego celu. Zwykle tak bywa: *Omne principium grave*, to jest, każdy początek trudny. Nie wróżę wszakże mościa dobrodziko, aby propozycya ta przyjętą być mogła. Nie dla wartości zaścianku, bo chociaż intratny prawdę mówiąc i z tamtej defluitacyi nad Wilią, niemałą robi perceptę; wszakże synowiec nasz pan Ludwik, mając kiedyś Dowiatowszczyznę, folwark dostatni szlachecki, najmniej mościa dobrodziko ze sto tysięcy wartości a jako *ultimus haeres*, to jest jedyny dziedzic po wszystkich stryjach, upewniam JW. panią, że potroi tę wartość w gotowiznie . .

— Zapominasz się ks. prokuratorze przerwała znowu starościna,—bynajmniej nas nie interesuje sytuacya synowca pańskiego. . . . i w żadnym sposobie interesować nigdy nie będzie—dodała z przyciskiem.

Do trzech razy sztuka, pomyślał ksiądz—a więc basta.

— Przepraszam JW. panią, ale zdaje mi się przeciwnie, że JW. pani mylnie jakoś zdajesz się stosować słowa moje; bo ja nie zapomniałem się wcale namieniając o substancyi tego, który z prawa natury, będzie właścicielem fortuny, do której i ten dyfferencyjny zaścianek należy. Fortuna zaś acz szlachecka, jednak taka, że ofiarą z niej jednego zaścianka ochotnieby on odkupił spokojność i. . . i. . . dobre. . . dobre. . . sąsiedzkie intencye państwa dobrodziejów.—

Tu stary hajduk wniósł na tacy, wielką szklanicę kipiącego trunku; ksiądz zmarszczył się i odsunął, hajduk pomaszerował za drzwi, i nie możemy z pewnością zaręczyć, czy z pełną nazad wrócił?

— Inaczej mościa dobrodziko rzeczy się mają—mówił dalej ks. Ambroży—z moim bratem; on bez sumiennego przekonania, że cudzą własność trzyma, zaścianka tego nie odda, a to przekonanie jest bodaj niepodobnem. Zresztą szlachcic oddający dobrowolnie i bez wyroku sądowego, bogatszemu od siebie panu, swoją odwieczną ojcowiznę, nie mógłby oczu między braćmi pokazać. Poszukaćby zatem należało innych środków modyfikujących. . .

— Nie, mój księże prokuratorze, uwalniam pana od szukania innych jakichkolwiek środków . bo ja żadnych nie widzę, i pan to uznajesz, że bez wyroku sądowego obejść się tu nie może. Nareszcie mamy plenipotenta, z którym panowie w każdym czasie i prawować się i traktować możecie, nieudając się wcale do mnie; tembardziej, że ja mam postanowienie jeszcze tej zimy odwieźć moją starszą córkę do babki do Warszawy i tam ją zostawić. A tak nim wrócę, zapewne dekret trybunalski wszystkiemu koniec położy.

— Ha! pomyślał ksiądz—na dobitkę kłamstwo. . . Podniósłszy więc czoło, i patrząc w oczy starościnie:—Pani do Warszawy? rzekł z powagą, i po niejakiem zastanowieniu, pokręcił głową.

Spostrzegła starościna, że trzymając dotąd przeciwnika na wodzy usterknęła się na końcu, ujmując mu więc przewagi, jaką nieuważnie nad sobą nadała i kryjąc nagły rumieniec, który mimowolnie zadawał fałsz jej słowom, starościna wstała i szła do drugiego pokoju.

Lecz za nią szedł i ks. Ambroży, nie w celu jednak zawstydzenia kłamiącej, lub ponawiania subtelnie obleczonych lecz wzajemnie pojętych propozycyi; ale w nadziei, że traktując jeszcze otwarcie i bez ogródek o samym już tylko procesie, rozwinięciem niepewności wygranej na stronę starościnej, skłonić ją potrafi do upamiętania. Zbierając się więc na wszelkie argumenta prawne,— jeszcze słów kilka mościa dobrodziko,—rzekł on, idąc za starościną. Rozważyć należy. . . Na tych wyrazach, które zwróciły starościnę ku niemu, stanął na środku pokoju ks. prokurator i nagle zamilkł. . . .

Po niejakiej chwili milczenia, widząc starościna, że on jakby oniemiały, oczy zwrócone na ścianę przeciwną niewzruszone trzyma, rzuciła tamże spójrzenie. . . . i ujrzała przyczynę osłupienia księdza, dla której on, zapomniał argumentów prawnych i całej treści swego posłannictwa.

Na ścianie był obraz, wielkiego rozmiaru malowidło. Stare, zaniedbane i pyłem okryte, nietknięte po przodkach starosty dziedzictwo, starzejące się razem ze ścianami, na które kiedy weszło? i czyjej było ręki? właściciel nie wiedział, równie jak kto i kiedy same ściany budował? A jednak była to ręka znakomitego mistrza! Mimo pył i zaniedbanie, wyglądające zeń postacie i twarze tak wybitnym wyrazem oznaczały treść całkowitą obrazu i uczucia jakiemi każda, jakby natchnioną była, że obraz zastanawiał każdego, a ks. Ambrożego jakby silnem uderzeniem, od razu zbił z tropu i jurystę zapomnianym kapturem nakrył.

Treścią malowidła było świątobliwe podanie, nie jednemu może czytelnikowi memu znajome. Był to targ i cudowne kupno przez braci Trynitarskiego zakonu, statui Pana Jezusa Nazareńsiego, tej właśnie, która się w ołtarzu antokolskiego kościoła znajduje, od arabów czy turków, słowem od jakichś muzułmańskich barbarzyńców. Dla czegoby i jakim sposobem w ich ręku się znajdowała, chcąc wytłumaczyć, potrzebaby rozgmatwać dzieje któregokolwiek z miast na wschodzie, niejednokrotnie i naprzemian chrześcijańskim lub mahometańskim panom uległych, i w których nie raz kościoły w meczety i nawzajem meczety w kościoły się zamieniały.

— Rozważyć należy—rzekł, jakeśmy to wyżej powiedzieli, ksiądzAmbroży do starościnej—i w tejże chwili trafił wzrokiem na szalę, na której także ważyli i rozważali bracia jego duchowni, nie procesowe zatargi, ale grosz pokorą wyżebrany, dla odkupienia, nie intratnego kawałka ziemi, ale prostej figury Zbawiciela-

którego w ubóstwie i poświęceniu się naśladować zaprzysięgli. Klęczący nad deską szali z jednej strony trynitarz, sypał na nią pieniądze z worka, a oczy wzniesione i zwrócone na oblicze Chrystusa jaśniały najżywszą wdzięcznością, uniesieniem i modłą; bo jeden pieniądz na szalę rzucony, przechylił gwicht za sobą. Równemże uczuciem pałają oblicza kilku braci zakonnych wznoszących czoła i ręce ku niebu i gromady skrępowanych jeszcze więźniów, którzy z niespokojnością wyglądali, azali zostanie złota na ich okup z niewoli.

Cud wyraźny napełnia zdziwieniem i trwogą chciwego paszę i stojących za nim muzułmanów. Jeden z nich, różniący się rysem i kolorem twarzy, zgryzotą i żalem miotany, po chrześcijańsku składa ręce do modlitwy, posuwa się ku kapłanom... chciałby się do nich rzucić... wyznać cześć prawdziwemu Bogu,—lecz go bojaźń obecnych barbarzyńców wstrzymuje. Och! jakiż wyraz jego oblicza i oka!..

— To renegat! to renegat! poznał i wykrzyknął każdy, kto nań spojrzał. On z trynitarzami uciecze i powróci do swojej wiary... do swojej ojczyzny!... *)

Stał więc milczący i zadumany ksiądz przed obrazem.—Starościna niepojmując dokładnie tego milczenia, patrzała mu w oczy łzawą zachodzące pomroką, i na twarz wzorującą się stopniami na podobieństwo uniesień i uczuć braci jego z obrazu. A nakoniec jakby ich naśladując, wzniósł i on ręce w górę, a łzy mu potokiem toczyły się po licu...

Zdziwiona coraz bardziej starościna, i niepojmując wewnętrznych udręczeń księdza, do których obraz ten dał powód.—Co to znaczy księże prokuratorze?—zapytała—skąd takie wzruszenie?—

Jakby nie słysząc słów tych ksiądz Ambroży, zawołał głosem głębokiej modlitwy:—O Chryste Jezu, o Chryste Jezu!... i tu mi przestroga! i tu mi grzechu mojego przypomnienie! i tu mi wyrok pokuty! Panie! dajże mi siłę w postawieniu spełnienia jej i zaprzysiężonych obowiązków moich, na chwałę Twoją!...

— Nie rozumiem tego wszystkiego—przerwała starościna wzruszając ramionami Zdaje mi się księże prokuratorze, że mi coś jeszcze o interesie mówić chciałeś.

— Żadnego pani—żadnego już interesu .. wszystkie zakończyłem na tym obrazie, on mi przypomniał główny interes mego powołania i życia, o, którym niestety zapomniałem, gdym dziś celę moją opuszczał. A lubo Bogiem się świadczę, że czysty i sprawiedliwy zamiar mię tu sprowadził .. wszakże... nie tu miejsce zakonnika, mojej ruguły zwłaszcza... Ot tam ono właściwie, gdzie ci pobożni bracia moi świętego doznali cudu, i miłosierdzia Boskiego .. Niech Bóg ku dobremu serca wasze skłania; nie kłóćcie się, nie prawujcie się, aby każdy grosz wasz poczciwie

*) Obraz ten widziałem przed 1812 rokiem, potem jego szmaty.

nabyty, tak był ważnym, jak ten, co tę szalę cudownie przechylił.—O Boże! daj miljony takich groszy, i dozwól tak ich użyć!..

Po tych wykrzyknieniach i modłach, ks. Ambroży znowu wpadł w zadumanie, które obejmować zdawało się, wpatrującą się, może raz pierwszy w ten obraz, starościnę, już gdy odgłos jakiegoś wrzasku podobnego do chrapliwego śpiewu doszedł ich od sali, w której starostę z porucznikiem nad wazą ponczu zostawiliśmy.

— Cóż to ma znaczyć? rzekła starościna, i odrywając wzrok i uwagę od obrazu, odeszła śpiesznie.

Ksiądz wzruszony zrazu tym śpiewem, wrócił znowu do kontemplacyi... wkrótce uderzył się mocno w piersi, jakby kończąc gorliwą wewnętrzną modlitwę.—Trzeba jechać, pomruknął nakoniec, trzeba jechać, i wyszedł innemi drzwiami, aby rozkazać zajechać saniom.

Przypomni sobie czytelnik, żeśmy pozostawili porucznika, gdy czerpiąc dla siebie i dla starosty z wazy, schwytał myśl szczęśliwą, a wstępną do poselstwa swojego. Wprawdzie łatwo zawsze trafić od szklanki do wesela, jednakże przy pierwszych haustach, porucznik powoli i ostrożnie, wedle układu z ks. Ambrożym, pomykał się w interesie. A gdy widział, że wszystkie jego cyrkumlokucye, starosta wprawdzie dobrem sercem i dobrym humorem przyjmuje, ale do czego zmierzają, pojąć nie może, i gdy większa połowa wazy gorącego trunku zaszumiała mu w głowie, mięszając w niej porządek ciężko układanych traktacyi, a przydając odwagi i energii:—po dyable pomyślał on sobie, mam się męczyć? Czy ja jezuita? abym smażył te subtelne delikatesy. *Ad rem*, prosto i basta, rzekł zatem.

— Krótko mówiąc starosto, będę ci swatać dla pięknej Elżuni, chłopca wyśmienitego, zacnej familii, a nawet dobrze ci znajomego—pozwolisz? hę?—

— Proszę, proszę, odpowiedział niedbale starosta, któremu głowa coraz bardziej ciężyła, a oczy zmniejszały się i ćmiły.

— A więc staroświeckim zwyczajem, rozpoczynam swaćbę. To mówiąc porucznik, zawiązał serwetę białą na szyję i końce jej szeroko na piersiach rozpuścił, wziął w rękę pełną szklankę, odszedł do drzwi i huczno wrzasnął:

„Dobrodzieju nasz
Piękne córki masz!
Dobrodzieju nasz
Piękne córki masz!
Stanę sobie koło progu,
Pomodlę się Panu Bogu,
I nam jedną dasz
I nam jedną dasz! *)

---

*) Obrzęd i piosnka w dawnych szlacheckich swaćbach używane.

pociągnął ze szklanki na odpoczynek; a wtem drzwi się otworzyły i weszła starościna.

— Co to ma znaczyć mężu?—zapytała ona z uśmiechem spoglądając na trefną figurę porucznika.

Ten nie tracąc rezonu, i nie dając czasu staroście do odpowiedzi, jeszcze huczniej ryknął:

„Dobrodziko nasza
Piękna córka wasza!
Dobrodziko nasza
Piękna córka wasza!
Stanę sobie koło progu,
Pomodlę się Panu Bogu,
To i będzie nasza,
To i będzie nasza!

I dopijając rzekł:—Za zdrowie jaśnie wielmożnej starościnej dobrodziki. . . a przyszłej da Bóg teściowej pana Ludwika Dowiata, zacnego ze wszech miar kawalera, a pałającego gorącym afektem do godnej i ślicznej starościaneczki.

Starościna spojrzała na porucznika, wzrokiem, który czytelnik łatwo sobie wyobrazi, jeżeli kiedy widział ostro zagniewaną kobietę; a w którym złość i poniewierka tak wyraźnie się malowały, że gdyby oko porucznika nie było przyćmione i łzawe od gorącego ponczu, łatwoby go dojęła i rozgniewała. Lecz on niedostrzegając wzroku, pojął jednak zamiar starościnej, gdy się odwróciła i milcząc szła ku drzwiom, z których była wyszła.

— Dokąd mościa dobrodziko?—rzekł więc zachodząc jej drogę—dokąd i bez odpowiedzi nawet? Za co taka konfuzya i dla swata i dla swatanego?—

„Ożenił się równy z równą,
Pan Zamojski z Batorówną. *)

— Pan Zamojski szlachcic, ożenił się z królewną Batorówną, a czemużby pan Dowiat równyż szlachcic, nie mógł ożenić się mościa dobrodziko z panną starościanką Kapinowską? Kochają się oboje jak gołąbki, wiem to i ręczę imości dobrodzice. Młodzi—Pan Bóg pobłogosławi. Doczekasz się starościno pociechy z wnucząt.—Ej! dajże rączynę dawnemu przyjacielowi. . . i nieuważając na opór, wziął rękę starościnej i całował. A dalibógże pulchniutka i ładniutka jeszcze; choć ty ją łyżką jedz!. . .

Starościna nie mogła się nie uśmiechnąć na takie żołnierskie koperczaki; odjęła jednak rękę, a odsunąwszy tak gorliwego swata, weszła szybko do drugiego pokoju, i drzwi za sobą zamknęła. Pogoniłby pewnie za nią rozochocony porucznik; ale go wstrzy-

*) Wierszyk może i z czasów sławnego ożenienia się Zamojskiego.

miał wchodzący właśnie wśród tych zalecanek ks. Ambroży. — Jedźmy, rzekł on. —

— A jedźmy, bo sprawa po dyable; drzwi mnie imość dobrodzika przed nosem zamknęła .... Jakże starosto! czyliż dozwolisz. ... a — śpi nieboraczek: „*Vixit et rescit!*“ Chłysnął i zasnął! Słowa są zapisane na szpuncie „od beczki pełnej anyżowego kordyału. .. —Przerwał kazanie na ten temat ksiądz, bo wziął mówcę za rękę i wyprowadził do sieni. — A wkrótce zabrzmiała trąbka i po niej:

Byli nasi panowie
Na kontraktach we Lwowie,
I w Pińsku i w Mińsku,
I w Gdańsku i w Brańsku,
Wszędzie nas poznali....
A żonki nie dali!

dokończył porucznik! —

XII.

Okrzyczano, oczerniono nasze dawne prawnictwo. Wypadki pojedyńcze niesprawiedliwości, intrygi, błędu lub przemożnych niekiedy na wyroki wpływów, złożono na karb powszechnego zepsucia. Zapomniano czynów mądrości, sumiennej uczciwości urzędników. nieskalanej ich cnóty i prawości, bo te były codzienne i powszednie, a rozsiano przeszłe aż do naszych czasów anegdoty, któremi pamięć ojców i dziadów, w najszlachetniejszej ich ozdobie, nieuważny dowcip niweczył.

Szlachcic ubogi, powiadają, nigdy z panem sprawy nie doszedł ani wygrał. Chociaż możnaby łatwo wyszukać i przywieść mnóstwo przykładów na dowód, że było i przeciwnie, wszelakoż przychodzi na myśl uwaga, że przynajmniej dawniej pan, przechylając za sobą szalę sprawiedliwości, nigdy nie kładł na nią złota.

Wkorzeniona konsyderacya dla możniejszych, związki ich szerokie, nadzieje (że ówczesnego użyję wyrazu) krescytywy, sejmikowe stosunki i tym podobne względy, determinowały wprawdzie niekiedy zdania sędziów, ale nigdy pieniądze! I choćby mię o przesadzone przywiązanie do dawnych czasów posądzić miano, powtórzyć śmiało mogę na przekór, bodajby nie na wstyd dzisiejszym — nigdy pieniądze!

W ciągu dalszym tej powieści, zdarzy mi się zręczność opowiedzenia prawdziwych sądowniczych zdarzeń, związek z jej treścią mających. Posłuży to za dowód, że nawet wyżej wskazanym przemożności względom, nie łatwo było łamać się z sumieniem sędziów i zasłaniać im oblicze Zbawiciela, ze stołu sądowego na

nich patrzące; że w gronie mężów wybranych, zawsze się znalazły mądre głowy i cnotliwe serca, których intryga by najtęższa wzruszyć nie mogła, i którzy piastowali godnie opinję, zacność i dostojność całego sądownictwa i kolegów idących zwykle za ich zdaniem.

Świetnem było Wilno wkrótce po wypadkach, tu wyżej opowiedzianych. *Publicum* ze wszech stron zjeżdzało się do stolicy na rozpoczęcie nowego trybunału, i na ostatki karnawału, zwykle najżywsze i najweselsze. Zapusty! sam ten wyraz, po wsiach i w mieście, rozjaśniał stare i młode twarze nadzieją zabawy, ochoty, szału nawet. . . . postem i pokutą potem wytrawić się mającego.

Ze wszech stron całej prowincyi zbierali się lityganci, po rozstrzygnienie, często długoletnich procesów, ostateczne, bo jak przysłowie niosło: „od trybunału do Boga apelacya.“ Ze wszech stron także zjeżdżały się mamunie z córeczkami, po rozstrzygnienie, często długoletniego oczekiwania, ich losu!. . . a tak, napełniało się miasto rozmaitą ludnością, rojącą się tłumnie po ulicach, lub w ciężkich karocach i kolasach gęsto przewlekających się po nich. W ciemne szczególniej wieczory i noce, Wilno tak różne dziś od dawniejszego, mogłoby natenczas być wziętem za jakieś fantastyczne ruiny wielkiego grodu, w którym liczna a błędna w wędrówce karawana, stanęła noclegiem i wśród zgiełku i zamięszania, tłum jej różnobarwny, wybierał dogodniejsze dla siebie i zajmował lokaty.

Dziś ze stałych punktów rzucane długie światła na ulice, posępnie wprawdzie, lecz wyraźnie rysują miasto; natenczas w mieście pogrążonem w ciemnościach, każdy sam własne oświecał drogi, i dla tego smolne, ogniste, iskrzące się lonty, splatane w grube liny i na mocnych osadzone pałkach, przebiegały po ulicach jak meteory przed pojazdami panów, gęstym dymem i rozlatującem się na wszystkie strony zarzewiem, rozbijając nocną pomrokę.

Niekiedy kilka i kilkanaście takich ognisk postępowało na czele licznej, brnącej po kolana w rozbłoconym śniegu bandy i huczne wykrzykującej wiwaty. Biada natenczas każdemu, ktoby się znalazł na drodze! . . lub co gorsza, ktoby, jak naprzykład runt nocny, śmiał zaprzeczać drogi. Pochodnia natychmiast stawała się razem bronią palną i sieczną, iskrami parząc oczy, a pałkami łby i grzbiety, niebezpieczniejszą zaiste od dzisiejszych rac kongrewskich, lub dawnych greckich ogniów.

Na ciemnych i krętych pomniejszych uliczkach, uwijały się gęsto latarki, zachodzące aż na dalekie przedmieścia, i jak błędne ogniki snując się między dworkami. Nakoniec rozlewało się z szynków gwarliwe i pijane mrowisko pospólstwa, omackiem około murów szukające bram swoich; aż powoli ustawały wszystkie blaski i wrzaski, a głuchą cichość i ciemność obejmującą gród uśpiony, przerywały tylko, po każdem brzmiącem uderzeniu zegarów ko-

ścielnych, głosy stróżów nocnych, podobne do muzułmańskich muezzynów, przyśpiewujące każdej godzinie:

„Mości panowie gospodarze.
Już dwunasta na zegarze,
Strzeżcie ognia i złodzieja.
Macie Boga — dobrodzieja."



XIII.

Wielka Reduta — Turek.

Gdyby kto chciał, jak to po wielu już wielkich miastach uczyniono, pisać historyę ulic i niektórych domów Wilna, dzieje domu Müllerów na ulicy Niemieckiej, byłyby dziejami zabaw wyższego towarzystwa litewskiego, w rozmaitych czasach nader także rozmaitych. Byłby to ciąg obrazów interesujących bardzo, bo przedstawiających z kolei obyczaje nasze w najpowabniejszej a razem najciekawszej ich barwie, wesołości narodowej i w sposobie jakim jej używano. Jak dalece raz, była własną, prawdziwą, szczerą, powszechną; drugi raz, obcą, cudzoziemską, modną, obłudną; i jak naprzemian jedna drugą wypędzała z sali Müllerów. Ileż wizerunków pięknych kobiet, jaśniejących wdziękami w różnych epokach naszego miasta zdobiły tę galeryę; wieluż z nas samych dzisiaj starych, ujrzałoby tam siebie w kwiecie młodości naszej i przypomniało urocze jej godziny. Ileż nakoniec, historycznych nawet wspomnień, powiązałoby się ze szczególnymi wypadkami, objętymi nieraz ścianami tego domu!. . .

Reduta w sali Müllerów była jedyną zabawą publiczną w Wilnie w czasie aktu mojej powieści, i lubo świetne assamble i bale u panów zgromadzonych do miasta codzienne prawie nastręczały sposobności zabaw, tańców i wesołych wieczorów, wszelakoż najczęściej tak się zdarzało i zwyczajem niejako było, że cała kompania zebrana w domu któregoś z magnatów, po sutej wieczerzy, dobierała się i łączyła w pary i długim ciągiem sanek i karet oświeconych pochodniami, wlokła się na redutę. Tancerz natenczas był obowiązany nie odstępować swojej damy, której ochoczym czy niechętnym na ten wieczór był sługą, i po reducie odprowadzić ją do wschodów jej rezydencyi — szczęśliwy! jeżeli służba ta była mu według serca! Na ostatnią więc wtorkową redutę, całe się gotowało miasto.

Pani starościna z córką od dwóch tygodni była w Wilnie. Pan starosta leczył się w domu medykamentami doktora Pedymontanusa z recydywy podagry, której mu trunek rotmistrza na-

pędził. Kilka już świetnych wyprawiła starościna wieczorów, na których; niestety! Ludwik być nie mógł.

Straciwszy po fatalnej swaćbie, wszelką nadzieję, a nie mogąc na nieszczęście stracić i stłumić przywiązania i miłości, sechł młodzieniec i więdniał, jak kwiat śpieką spalony.

Siostrzyczka jego Helusia, wprawdzie odwiedzała pannę starościankę, nie uważając na fochy i kwaśne przyjęcia mamy. Serdeczne przyjaciółki od dzieciństwa, nie mające dla siebie wzajem żadnych tajemnic, powierzyłyby sobie zapewne swe myśli, uczucia i zmartwienia, i takiej chwili, za każdą swą wizytą szukała pilnie Helusia, chcąc przyjaciółce miłość i cierpienia brata przepowiedzieć, a choćby słówko pociechy mu odnieść, lecz baczne starościnej oko, nigdy osobnej im nie dozwalało rozmowy i powodem niby bawienia gości, których dom jej zawsze był pełny, nigdy córce od boku swego oddalić się nie dozwalała. Po radośnych więc tylko powitaniach, i po łzach, które przy każdem pożegnaniu zwilżały piękną źrenicę Elżusi, mogła ona sądzić, że serce jej przyjaciółki, ani w przyjaźni dla niej, ani w tkliwszych uczuciach dla brata, najmniej się nie zmieniło.

Raz jednak, gdy po czułem pożegnaniu, Helusia w przedpokoju ubierała się w futro, starościanka spostrzegłszy matkę w żywej rozmowie z jednym z jaśnie wielmożnych gości, wybiegła za nią i ściskając ją czule: — „Ach! jeszcze choć jedną chwilkę z tobą!“ rzekła. Korzystając z tego niespodziewanego sam na sam, Helena szybko i cicho mówiła jej: — „Moja ty droga! dziękuję ci; mama twoja pilnuje nas . . nieszczęśliwy Ludwik! ach jakże on cię kocha! on umrze z rozpaczy! . .

— Ludwik! Ludwik! o mój Boże! powiedz mu, rzekła z westchnieniem—powiedz. . . . łzy przecięły cichą mowę, doszepnięciem na ucho słów kilku kończoną, a przerwaną głosem starościnej wołającej córkę. Aby ukryć swe łzy i wzruszenie, Elżusia bocznemi drzwiami do głębszych wbiegła pokojów; a Helena odeszła niosąc bratu ulgę, pociechę. . . . ba! czemuż nie nadzieję?

Przygotowanie na ostatnią w mieście redutę, zależało najwięcej na tem, że towarzystwa przyjazne sobie, łączyły się w jedne grona i układały pary i maski, mężczyzni sporządzali stosowne, często znacznym kosztem ubiory, aby nie zawstydzić dam, które także strojnie i pięknie, wystąpić starały się.

W innym czasie i humorze, Ludwik nie ustąpiłby nikomu, ani w dowcipnych wynalazkach i projektach do maskarady, ani w gustownym układzie własnego stroju; i nie jedna matka pozazdrościłaby wybranej przezeń pannie. Ale ów niedawno wesoły, śmiały, ładny i gracki chłopiec, stracił wszystkie swoje zalety, i prócz poczciwego a cierpiącego serca i młodości, nic mu prawie z dawnych ozdób i wdzięków nie zostało.

Rodzice i stryjowie ubolewali i lękali się o zdrowie jego. Helusia, czasem z nim razem popłakała w alkierzyku, a częściej cichą pogadanką o kochance, tak miłą zakochanemu, rozpogodza-

ła pochmurne jego czoło; i cała ta poczciwa rodzina głęboko dotknięta i zasmucona była losem ukochanego ich wszystkich dziedzica. Pan skarbnik nawet, widząc co się święci, lubo zrzędził, i dowodził, że gdyby pan Ludwik pilnował statutu, nie przyszłoby do tych feralnych konsekwencyi, które złym swoim skutkiem, dziś mu głowę suszą .... jednak patrząc na stan bolesny młodzieńca, którego kochał, o tyle przynajmniej, ile jurysta kochać może, często sam do siebie mawiał: „*inter nos loquendo*“ źle z nim jest.... trzebaby coś poradzić.... szedł potem do pani Dulskiej i ją na zwiady do starościnej posyłał. Starościna przyjmując uprzejmie kuzynkę, po której kapitalik w spadku przewidywać mogła, najmniej się nie domyślała, że to był szpieg pana skarbnika, przez którego wiedział on o stałej skłonności staroścианki dla synowca i stałej niechęci starościnej dla nich obu.

Od czasu jednak ostatniej bytności siostry u Elżuni, humor Ludwika poprawił się nieco; bo ta przywiązana siostrzyczka, słówko wzięte do ucha z ust jej, prosto bratu do serca wrzuciła, a słówko to, było widać talizmanem rzeźwiącym go z odrętwienia i troski.

Cały więc karnawał nudno schodził w Dowiatowskich dworkach; ale gdy humor ukochanego Ludwisia uległ zmianie na lepsze, to rozpogodziły się twarze i całej doń przywiązanej rodziny. Stryjenka zaś, *in gratiam* tej pomyślnej okoliczności, i postanowiła zakończyć przynajmniej, weselej zapusty i ostatni wieczór obejść suto i huczno, podwójnie uraczając familję, przyjaciół i sąsiadów, to jest, dać smaczną wieczerzę przed północą, a po niej wyśmienity postny z ryb i pierogów podkurek, zakończyć się mający sowitem płókaniem zębów.

Ludwik wdzięczny stryjence za ten szczery wzgląd na stan jego. a nie myśląc wcale o publicznych zabawach, przyjął na siebie zaproszenie gości. Między tymi niepoślednie miał trzymać miejsce pan porucznik, i owszem na nim zakładano największą bachusowej ochoty i wesołości nadzieję. Do niego zatem naprzód to jest trzema dniami przed ucztą, wyprawił się za Ostrą-bramę Ludwik, aby wszelkie zaproszenia uprzedzić.

— A witajże mi! witaj! kochany mój! dwa razy kochany!... bo i odemnie i od kogoś jeszcze.... ale niech to będzie między nami. W czas przybywasz, dalibóg w czas! wołał, uściskając Ludwika porucznik.—Patrz w jakim jestem kłopocie.... trzech żydów mam na głowie, a oni mnie. Ja im rady dać nie mogę, a oni mnie. Otoż ty i mnie i im poradzisz. —

W rzeczy samej, na środku pokoju, około wielkiego stołu, na którym różne z jedwabnych materyi leżały żupany, kontusze, a nawet atłasy i grodetury w sztukach, stało rozmyślających z kredkami w rękach, trzech żydów.

— O cóż tu idzie?—zapytał Ludwik.

— He, widzisz,—rzekł porucznik—wszystko to ja twoje in-

teresa robię. Ty śpisz, a twoja dola rośnie! bo niech mię dyabli porwą, jeżelibym się wdał w tę biedę, gdyby nie moja życzliwość dla ciebie... a zatem, nadzieja pomyślniejszych ewentów ze starościną.

Ludwik zdziwionym i niedowierzającym wzrokiem nań spojrzawszy:—kochany poruczniku, rzekł, cóż to znowu za zagadka? i jak niewcześnie oną wprowadzasz?—dodał wskazując na żydów.

— Ha! prawda, tylko co nie podrwiłem głową. Do sieni łajdaki! i czekajcie. Otoż napomknąłem ci przyczynę, dla której po przybyciu do miasta starościnej, nie odmówiłem jej kilkakrotnej prośbie i odwiedziłem ją. Mityguje się widać baba, pomyślałem i pofolguje zamiarom naszym. Potem raz i drugi zaprosiła mię na obiad; poszedłem i upatrywałem zręczności i szczęśliwej godziny ku renowacyi *tandem* tego....

— Rozumiem, przerwał Ludwik z uśmiechem, bo poznał, że porucznik chce usprawiedliwić się z wizyt swoich u starościnej, na którą, po powrocie ze swaćby tak był obrażonym, że po razy kilka we dworku powtarzał: „noga moja w jej domu nie powstanie."

— Rozumiem, przerwał zatem Ludwik, i dziękuję za dobrą wolę pańską dla mnie, mam jednak, zda mi się prawo, prosić cię kochany poruczniku, abyś odtąd zaniechał wszelkich już w tym względzie insynuacyi. Zostawmy to woli Boskiej; a tymczasem, ot ja przychodzę w imieniu moich stryjowstwa i całej naszej rodziny zaprosić cię, abyś z nami, jako ze swymi prawdziwymi przyjaciółmi, ostatni wieczór zapustny przepędził. Kompanię będziemy mieć dobraną, przyjacielską, a poufałą, a zatem zabawimy się, da Bóg dobrze, mając zwłaszcza kochanego porucznika między nami.

— Otoż masz! a to jest półtora nieszczęścia! odpowiedział porucznik; nie tylko muszę spendować niemałego grosza na babskie bałamuctwa, ale jeszcze tracę najmilsze towarzystwo i szlacheckie poczciwe, a wesołe zapusty! Czemużeś mnie zawczoraj o tem nie powiedział!

— Wczoraj jeszcze stanął u nas projekt zabawy i mniemałem, że trzema dniami przychodząc uprzedzę wszelkie zaproszenia.

— Otoż to, że uprzedziła cię starościna, i skutkiem to jej woli, a danego przezemnie słowa, znalazłeś mię w kłopocie, w którym wzywam twej rady.

Na ostatnią wielką redutę, mam być turkiem i dla tego muszę oporządzić się po turecku; proszę więc tu znaleźć krawca, któryby cię na baszę wystroić potrafił? Nanieśli mi tu z tandetów i ze sklepów towarów szmat; a cóż, kiedy nie znają łajdaki tureckiego kroju.

— Zgaduję rzekł Ludwik, toć pani starościna będzie turczynką, a porucznika do assystencyi sobie obrała.

— He! he! nie zgadłeś braciszku, nie! Starościny assystentem będzie JW. deputat Lidzki, którego bodaj na króla egipskiego fortraguje, a sama ma być jakąś królową bodaj lampartyńską.

Mnie Ludwisiu pozazdrościsz. . . moją damą będzie Elżusia! tak! tak! Elżusia. Ha! uśmiechasz się Judaszu! a wiem co myślisz, że mnie powinna była przyswoić sobie mamunia. a ciebie dla córeczki! prawda, byłoby to właściwiej. Ale widzisz baba minister! oho! myślisz, że ona mię tak bardzo kocha, że aż z córką swata! nie, nie o tym Dawidzie, gra idzie. Ale trudny jej był wybór między młodzieżą, dobijającą się o honor służenia do pary pannie starościance; bo prawdę mówiąc braciszku, masz rywalów bez liku. Aby więc nikogo nie obrazić, mnie dla Elżuni wybrała i kazała oporządzić się po turecku, a łatwiejby mi przyszło mosanie konia w rzęd turecki ubrać, jak siebie samego w ich muzułmańskie szaty. Dajże więc mądrą radę, panie Ludwiku; a za to, co każesz, wszystko z pod maski wyszepcę na uszko Elżusi.

Wiesz co? możeby jeszcze lepiej było, gdybyś sam był na reducie w masce?. . . tylko, że cię mama wnet odgadnie, gdy się zbliżysz do córki.

— Idzie więc ci, kochany poruczniku, rzekł Ludwik nie zważając na jego propozycye, o krawca, któryby ci turecki ubior uszył.

— A. tak, właśnie tak.

— Posyłajże wnet na Subocz ulicę po Benjamina, on jest moim krawcem; a rocznym u pani Morawskiej, antreprenerki naszego teatru. Szyje on garderobę teatralną, więc nieraz i tureckie ubiory szył zapewne; a nareszcie wziąść łatwo może na blajer, ale śpiesz się, bo nie jednemu mnie, taż sama myśl przyjść może do głowy.

— A niechże cię uścisnę! wyśmienity projekt! to mi głowa! Masz za to, jeżeli chcesz, na cały dzień moje siwe kuce. Precz faryzeusze! wrzasnął otworzywszy drzwi do sieni; nie potrzebuję was. Towary zatrzymuję, jutro przyjdźcie po nie; co odkroję, zapłacę.

Posłano natychmiast po Benjamina, który przybywszy, najdoskonalszą okazał znajomość rzeczy. Porucznik ukontentowany, nie targował się o zapłatę podwyższoną bardzo, z powodu, że jak powiadał żyd, miał do ubrania sześciu samych turków, oprócz jasnego porucznika, dziesięciu hiszpanów, czterech murzynów i jednego dzikiego człowieka.

Wybrano zatem materye; porucznik zaklinał żyda, aby on ze wszystkich turków był najokazalszym, dodając na ostatnią konwikcyę: — słuchaj Barabaszu! albo ci zapłacę jak chcesz, albo cię zbiję na gorzkie jabłko.

Żyd zaklął się najuroczyściej, że jasny pan porucznik będzie kontent; a odchodząc i zabierając materye dodał: — „tylko turban do mnie nie należy, a powinien być bardzo bogaty, od złota i dyamentów.“

— No, no, rób swoje Zorobabelu, a nie frasuj się o resztę, rzekł porucznik do żyda. Lecz gdy ten wyszedł, obrócił się znowu do Ludwika: — Jednakowoż to sęk, ten turban; czy nie dasz znowu jakiej rady.

— I owszem mam gotową; daj tylko złota i dyamentów, jak

krawiec radził, a siostra moja upnie ci i ubierze ten turban, do którego potrzebny kadłub ja od kapelusznika dostarczę.

— Co? Helusia ubierze mi turban! A niechże mię szatan porwie, jeżeli jej za fatygę, rączek i nóżek nie ucałuję po tysiąc razy! Co do splendorów, znajdzie się u szlachcica; a do tego, zbiorę po moich kumkach i przyjaciółkach, których mam chwała Bogu prawie na każdej ulicy, starych brylancików i dostarczę Helusi.

— Nakoniec, rzekł Ludwik, trzeba mieć krzywą turecką karabelę u boku, i kindżał za pasem.

— No to już nie bieda, rzekł porucznik, sześciu turków mógłbym uzbroić bogatym orężem z mojej ściany, chodź i patrz! W drugim pokoju na całej scianie, szerokim kobiercem zawieszonej, był symetrycznie piękny, dobrany, a nawet kosztowny i liczny arsenał pana porucznika. Broni tureckiej zimnej i ognistej było niemało, równie jak wszelkiej innej, którą z upodobaniem przeglądając Ludwik, przysłuchiwał się opowiadaniom Stelnickiego, o zaletach i dziejach każdej sztuki. Nakoniec, zdejmując z kółka szablę damasceńską, z piękną wschodnią w jaszczur i srebro oprawą:—Mój kochany Ludwisiu, rzekł, może i tobie zdarzy kiedy po turecku się stroić, to miej na pamiątkę od przyjaciela.

Ludwik dziękował, ale przyjmować nie chciał daru, tak znakomitej wartości.

— Cóż to znowu u kata? zawołał Stelnicki; wy młodzi chcecie wyprowadzić z mody naszą staroświecką kordyalność i ochotę do wzajemnych dowodów przyjaźni i szlachetnego serca? Oj tak! tak! wychodzi to dziś z mody, co dawniej było zwykłą wspaniałością u panów, a cnotą popularną u szlachty. Podoba ci się koń mój dzielny? masz go bracie! i dłoń w dłoń; a potem w obie kielich na podziękowanie za łaskawe przyjęcie, i tym podobnie. Im więcej sposobności darów i zjednania przyjaciół, tem lepiej, i nikt się tym nie zubożył, bo odbierał często we dwójnasób za swoje; a miłość, a życzliwość wzajemna, a dobra myśl, a wesołość i ochota, kwitła wszędzie i między wszystkimi. Ba! dziś już inaczej jest! a kto wie co dalej będzie? . . Ale wola Boska we wszystkiem! a ty przyjm tę szabelkę, bo rekuzą zmartwisz mnie i zagniewasz bardzo. Uściskał potem młodzieńca, gdy ten spełnił jego życzenie, i pożegnali się czule.

Powracając do domu Ludwik rozmyślał nad tą wielką redutą, wśród której, gdyby poszedł za radą porucznika, mógłby choć kilka słów powiedzieć swojej ukochanej; a rozmowy z nią tak pragnął, tak potrzebował, a zwłaszcza po doniesieniach Heleny, odkupiłby ją połową życia. Lecz cóż z tego? słów kilka nie było dosyć, dłuższa zaś rozmowa, wydałaby go niezawodnie i przyczyniła zmartwienia córce, a ostrożności jeszcze większej matce. Nagle uśmiechnął się na jakąś myśl nową, i zawrócił się na Subocz ulicę.

Nadszedł nakoniec i dzień wtorkowy, zapustny, i dnia tego wieczór—dobitka karnawału. *In fine velocior motus*, powiada stare przysłowie, motus ten zatrząsł całem miastem i zabrzmiał po całem mieście wszystkimi tonami hucznej wesołości. Na ten raz światło było po ulicach, a nawet i po uliczkach, bo ze wszystkich, a gęstych szynków rozchodziło się ono szeroko, a szerzej jeszcze odgłos rozmaitych instrumentów rzniętych, dętych i brzęczących; tak bowiem nazwaćby trzeba cymbały, pod którymi pospolita rzesza rzeźwie wybijała hołubce. Wyższe piętra znaczniejszych kamienic i pałaców, rzęsistszymi także pałały ogniami, i dobrańszą harmonją muzyki, oznajmiały wewnętrzną tam wesołość. Odzywały się tam i ówdzie pieśni śpiewaków i błędne po ulicach szejnekatarynek kuranty; a około dziesiątej godziny ruszyły zewsząd kawalkaty na Niemiecką ulicę do pałacu Müllera na redutę.

Jedna z nich z kilkunastu karet i sań złożona pomykała się powoli od Zamkowej bramy. Na jej przedzie, jechała w karecie starościna z córką, a za nią tuż basza turecki i król egipski, w saniach parą siwców ciagnionych. Za nimi dalsza kompania, która na umówioną godziną zebrała się licznie do pani starościnej, i tam złączona w pary i zamaskowana, mieściła się do pojazdów tak, aby mężczyzni jadący w saniach, byli zaraz za swemi damami, dla podania im przy wysiadaniu ręki i wejścia razem na salę.

Na Niemieckiej ulicy, gdzie wszystkie zjeżdżały się i rozmijały się kawalkaty i pojedyńcze cugi, hałas, zgiełk, tłum i zamięszanie przechodziły wszelkie opisanie. Policya jak dziś, nie czuwała nad porządkiem i bezpieczeństwem; a tak, porządku nie było, a bezpieczeństwo zależało od zręczności stangretów, i otaczających każdy pojazd hajduków, którzy z pochodniami w rękach oświecali drogę, rozpychali tłumy święcąc je iskrami i wrzeszczeli z całego gardła, przeklinając się wzajemnie, jak potępieńcy wśród smoły i ognia.

— A to czyste piekło tu, panie Lidzki! odezwał się niecierpliwie porucznik.

— Nie najeżdżaj! Stój! ruszaj! do miliona kroćset.... Na prawo! na lewo! Gwałt! ratujcie! Bij go! trzymaj go! i tym podobne krzyki wśród trzasków nieustannych z biczów i gwaru pospólstwa pijańszego w tym dniu nad inne, w nocy i w błocie, nieprzesadzonem czyniły porównanie powyższe natenczas Niemieckiej ulicy, do piekła.

Dowlekła się przecie kawalkata starościnej do bramy Müllera, suto lampami oświeconej; kareta weszła, sanie za nią wchodziły... gdy nagle wrzasnął porucznik:—Co to jest? Gwałt! złodziej! dalibóg złodziej!... bo ktoś z tyłu porwał mu z głowy turban. Zerwał się z sań Stelnicki, dostrzegł złodzieja wyciskającego się między tłumem na ulicę z turbanem w ręku, skoczył więc za nim....

Król egipski, zwrócił się na ten krzyk ku towarzyszowi i nie ujrzał go obok siebie; ale w tejże chwili kareta stanęła przed wschodami. Starościna z córką wysiadły, pośpieszył więc podać rękę damie, i znalazł obok siebie baszę podającego rękę Elżusi.

— Co to było? zapytał więc jego.

— Nic, szepnął z cicha basza, omyłka—prowadź pan... Poszli więc; a za nimi kilkadziesiąt par weszło na salę, i wkroczyło w toczący się polonez.

Tymczasem porucznik pędził za złodziejem, który wyrwał pochodnię z rąk jakiegoś hajduka i biegł z nią zgniótłszy turban i schowawszy go pod płaszcz. Porucznik toż samo uczynił; schwycił pochodnię i z nią w jednej, a z dobytą szablą w drugiej ręce leciał za złodziejem wrzeszcząc co miał tchu:—Złodziej! trzymajcie! łapajcie!... ale ten rzeźwo zmykał, wywijał się zręcznie między pojazdami, w tłum zastępujący mu, suwał pochodnią w oczy i torował sobie drogę wrzeszcząc także:—Trzymajcie! Na miłość Boga! trzymajcie! Dyabeł wenecki! dyabeł wenecki pędzi mnie —zadusi mnie! trzymajcie na miłość Boga, trzymajcie!... Porucznik tym samym sposobem bronił się od tłumów, to jest pochodnią w oczy, i łatwiej nawet ustępowano mu z drogi, spostrzegając pałasz w ręku, twarz szkaradną i ubior dziwaczny. Dostrzegł on, że przestraszał spotykanych! zdarł więc sobie maskę z twarzy, a ta opadłszy na piersi, zrobiła drugą głowę; ktokolwiek więc spojrzał na biegnącego, krzyknął, Jezus, Marya, Józef! i odskakiwał przerażony, lub co gorsza powtarzał za złodziejem:—Dyabeł wenecki! Dyabeł wenecki!...

Tak przebiegli Niemiecką ulicę. Złodziej obiegł ratusz i puścił się w dół, ku Zamkowej bramie, pojazdy nie tak już gęste, dozwalały mu trzymać się środka ulicy, po której brnął w rozmięszanym i wilgotnym śniegu, oglądając się coraz na goniącego porucznika, a brnącego także po kolana bez względu na atłasy i materye, w które był oszyty, i które za każdym krokiem w niwecz się obracały. Niech dyabli biorą atłasy myślał on, lepiej szkodka niż szkoda.... na turbanie kilkaset dukatów!... a ta myśl podwajała mu siły i kroki.

Niekiedy złodziej jakby zmordowany zwalniał biegu, Stelnicki natenczas prawie go dościgając krzyczał—stój łotrze! oddaj turban, bo ci łeb rozpłatam!!!

— Nie doczekasz szatanie! niedoczekasz dyable wenecki! odpowiadał złodziej i unosił się żywiej.

Noc była cicha, wilgotna i ciemna, a im bardziej oddalili się obaj od środka miasta, tem mniej było świateł; za bramą Zamkową, własne im tylko świeciły pochodnie. Porucznik cieszył się w duchu, że złodziej stracił głowę, i sam mu wskazuje drogę pogoni; ten obiegł po dwakroć katedrę żałośnym głosem jęcząc: „Jezus, Marya! Święty Kazimierzu ratuj duszę moją! Zgiń przepadnij, dyable wenecki!

Porucznikowi tchu nie stawało, krzyczał jednak odpowiedź. — Nie! nie! zginiesz z duszą i z ciałem... Jaki taki podpiły, wlekący się z szynku, szlysząc to i widząc latające około kościoła widma, przeżegnał się i zmykał. Z pod katedry złodziej puścił

się na Antokol, krążąc między stosami drzewa, którymi cały brzeg Wilji był założony, minął kościół św. Piotra wzywając jak wprzód Patrona Litwy, tak teraz księcia Apostołów opieki, i nakoniec dobiegając do państwa Dowiatów, przewrócił pochodnię, wbił ją w śnieg, a sam wpadł na dziedziniec przez furtkę, którą za sobą zamknął z trzaskiem i zaryglował, i w którą wnet z całej siły zaczął bić porucznik, wołając:—odemknijcie! na miłość Boską odemknijcie! . . .

Poczciwa, tam zgromadzona drużyna, bawiła się wesoło i poufale, racząc się trojniakiem, lipczykiem, lub winem, jak czyja wola i łaska. Matrony w drugim pokoiku, traktowały się bakaliami i likierami, dzieląc się z panieństwem, które w alkierzyku, kilku chłopców mając między sobą swobodną, a skromną gruchały chichotkę.

Nakrywano już na wieczerzę i z niespokojnością wyglądano pana Ludwika, który miał wspólnie z siostrą gospodarzyć, panna Helena jednak, wystarczając za matkę i za brata, pięknie się krzątała, a z figlarnym uśmiechem zaręczala, że jeżeli nie na wieczerzę, to na podkurek brat pewnie wróci.

W takie to grono wpadł naprzód zadyszany i zbłocony z turbanem w ręku znajomy nam aplikant pan Łukasz, dyszkant chóru śpiewaków; położył on turban na stole, a cisnąc się w zdziwiony i zasypujący go pytaniami tłum, wyrwał od kogoś szklankę, wypił duszkiem, i posłyszawszy w tym momencie dobijanie się porucznika. — Mości panowie rzekł: miejcie się na ostrożności ostrzegam . . Dyabeł wenecki tu wpadnie. . . Może się stać jaki akt wiolencyi na mojej zwłaszcza osobie.

Wtem wpada raptem turek z pałaszem w ręku! . . Mężczyzni biorąc to za umówioną zapustną zabawkę, nie ulękli się bynajmniej, ale przerażone kobiety pocisnęły się w kąty i zasłaniały się mężami i swoimi i cudzymi. Nikt nie poznał porucznika.

— Nie lękajcie się — to maska, mówili mężczyzni, ujmując jednak trzciny w ręce.

— Ach! ja nieszczęśliwa! dwie głowy! krzyknęła któraś imość nieznająca się na maskach. Wszystko to działo się w jednem mgnieniu oka, co po kolei opowiadanem być musi, i to właśnie główna niedogodność powieścio-pisarstwa.

Porucznik wpadłszy do izby, wrzasnął — gdzie ten złodziej? ale spostrzegłszy swój turban świecący się na stole, porwał go z ukontentowaniem, obejrzał, i znalazłszy wszystkie splendory i kosztowności nietknięte i całe, poznał, że to nie złodziejstwo, ale jakiś figiel. Niemniej jednak obrażony krzyczał: — gdzie ten chłystek? który mój turban przyniósł. Czego u kroćset dyabłów patrzycie na mnie jak na jaką poczwarę? to ja — Stelnicki! nie bójcie się; ale wydajcie łotra, który mnie tego piekielnego figla wypłatał.

— A dalibóg, wszakci to nasz porucznik, rzekł podszedłszy i przypatrując mu się ze świecą gospodarz domu.

— Kto turban przyniósł?

— A czegoż tak się kokoszysz? czapkę tę turecką czy jak nazywasz turban, wniósł tu i postawił na stole zasapany i obłocony pan Łukasz, którego tu widzisz; a co to wszystko znaczy, nie wiem. Widać zmówiliście się na tę komedyę.

— A to ty szubrawcze, chłystku, łotrze przeklęty!...

— Biorę na świadectwo wszystkich tu obecnych zacnych panów i dobrodziejów, rzekł śmiało pan Łukasz, srogiej weksy, którą mię znieważa pan Stelnicki, poturczony niewiadomo *quali de causa*? a zatem jak widzę relapsus od naszej świętej wiary rzymsko-katolickiej.

— Schowaj miecz miłościwy baszo! rzekła przerywając te zapędy Helusia, a podchodząc do porucznika ze szklaneczką mile woniejącego pończyku, zacukrowaną powabnym uśmiechem i dygiem; schowaj miecz, a przyjm w tęż samą rękę z mojej ..

— Co! z twoich rączek Helusiu? z twoich pięknych miłych rączek? wykrzyknął udobruchany wnet porucznik, wypiłbym dalibóg i jaką kwaśną lurę, a stałaby mi za nektar niebiański; tembardziej, gdy to jest kordyał tak potrzebny do pokrzepienia mię po tej niezwyczajnej fatydze. Z Niemieckiej ulicy kłusem aż na Antokol! nie lada kurs. Więc mości Łukaszu czy Matyaszu, dowiodę ci, że żartować ze mną niebezpiecznie. I gdyby nie respekt na ten dom podczaszostwa dobrodziejów i tę szanowną kompanię...

— A! nie dozwalam gniewać się panie porucznikn, — przerwała znowu Helena — i mieszać nam miłą zabawę, ja wszak mam daleko większy powód do kłótni z panem, jednak odkładam to na czas dalszy.

— Jak to? za co? mój aniołku!

— Ale jak dobrze udają komedyę! — odezwało się zgromadzenie, w mniemaniu, że to bachusowa zabawka, dla rozweselenia wieczoru tego ułożona. Porucznik jak od razu i zagniewany i zakochany; a Helenka jaka trusia! Da już wiemy na czem skończy się! pójdzie do seraju baszy!

— Alboż to pięknie, mówiła ona, uśmiechając się na domysły kompanii, mości poruczniku? alboż to przystoi taka niestałość? postokrotnie oświadczać się mnie ze swymi afektami, a innej służyć do pary na redutę

— Aj! aj! cóżeś mi przypomniała Heluniu! gwałt! cóżeś mi przypomniała! Co tam na reducie pomyśli o mnie starościna? co pocznie bez pary starościanka?

— O to możesz być spokojnym panie poruczniku, — rzekł pan Łukasz; — jesteś pan tu, i jesteś pan na reducie, bo kiedy już mam prawdę powiedzieć, akurat taki sam basza, w tej samej chwili, gdyś pan z bramy na ulicę wyskoczył, podał rękę wysiadającej z karety starościance i poprowadził ją za matką do sali.

— A toż co znowu? jakim sposobem?

Helunia uśmiechała się figlarnie.

— Nawet, mówił dalej Łukasz, z damasceńskim kordem z arsenału pańskiego.

— A! .. wykrzyknął nakoniec porucznik, uderzając się po czole — jest tu Ludwik?

— Nie ma, odpowiedziano; właśnie z niespokojnością go wyglądamy.

— No, teraz jestem w domu; więc to spisek! a rozumiecież, że to się godzi? że wam młodzieniaszkom wolno ze starym żołnierzem i starym przyjacielem, takie psoty dokazywać? ..

— To spisek kochany poruczniku, do któregom i ja należała, rzekła Helusia, bo dwa zawoje uszyłam; więc ze mną najpierwszy pojedynek. a Ludwiś, to wszakże przyjaciel i faworyt pański.

— Hm! prawda, kocham tego chłopca, a bodaj może i dla tego, że ma pewną siostrzyczkę. . .

Helusia drugą szklanką i drugim zręcznym dygiem uraczyła zagniewanego.

— Niech mię dyabli porwą! oczaruje mię ta dziewczyna,— rzekł on, przyjmując lampkę.

Tymczasem całe towarzystwo, zrozumiawszy, że to nie komedya, to uwiadomione, to domyślające się całej awantury, odstąpiło rozmiłowanego porucznika, wypiło jego zdrowie, wyściskało go serdecznie, ciesząc się i dziękując, że cały wieczór zostanie w ich szlacheckiej kompanii, nie wyrywając się do pańskich assamblów. Kobiety i dziewczęta rozważały i dziwiły się jego wspaniałemu ubiorowi, upewniając, że mu w nim bardzo do twarzy a tak udobruchany, i rozbrojony rycerz:—Hej bracia mili! zawołał, przy kieliszku i fartuszku, najtwardsze serce topnieje jak wosk! a na dowód, że i mnie stopniało, przy tym strzelistym ogniu, błyskającym z oczek Heluni, wypijmyż jej zdrowie, ale z jej trzewiczka!

Na tę propozycyę Helusia wybiegła do drugiego pokoju, ale porucznik z pomocą młodzieży i tam zawinął się około jej stopek i wnet zdobył trzewiczek, do którego wstawiwszy szklankę, spełnił pożądany wiwat. powtórzony z kolei przez wszystkich. Harmonia zatem i wesołość nastąpiła zupełna, a porucznik był jej duszą.

Na reducie, basza po dwóch polonezach odprowadził damę swą do matki i zniknął w tłumie. Maska ukryła wzruszenia starościanki, które zapewne na twarzy się malowały; drżąca jednak stanęła obok niej Damy się wkrótce demaskowały, a zatem ubiegających się o rękę do tańców pięknej odaliski, było mnóstwo. Starościna rozumiała, że porucznik znalazłszy towarzyszów, pije w bufecie, i nie troszczyła się o to, bo wszakże była to para dla proporcyi tylko. Ale gdy równo z północą muzyka ucichła, tańce ustały i rozjeżdżać się zaczęto, starościna upatrywała go wszędzie; szukał go też napróżno pan Lidzki, aż nakoniec i niedoczekawszy

się i niedoszukawszy się assystenta córki, musiała się zastąpić jednym królem egipskim, a złorzecząc ochocie, którą sądziła być przyczyną niegrzecznego tego zaniedbania i gorzkie dlań gotując wymówki, odjechała do domu.

Po wieczerzy, a przed podkurkiem, okrzyk radośny całej kompanii we dworku, powitał wchodzącego pana Ludwika.

— A tuś mi panie kawalerze!... zawołał porucznik;—ale nie miał już ani czasu, ani humoru do gniewu. Uszczęśliwiony Ludwik dopiętą sposobnością przemówienia słów kilku do swej ulubionej i zawiązania z nią na nowo ogniw serdecznych i zwątpionej nadziei, uległby pokornie zrzędzie starego przyjaciela, którego teraz tembardziej pokochał, gdy porucznik śmiejąc się z innymi i klepiąc go po ramieniu, rzekł:—no, no, nie gniewam się już, prawdę mówiąc gracki figiel. A jednakże ten psubrat,—wskazując na pana Łukasza, na wiele się odważał dla twojej przyjaźni, bo gdybym go dopędził, rozpłatałbym jak szczupaka.

— Oho! gdybyś mię pan dopędził! to, bo, to było zatrudno...

— Podziękujcie zresztą obaj Helusi, ona to mię rozbroiła... i niech mię dyabli wezmą .. zapijmyż tę sprawę.

Podkurek zakończył wieczorynkę, po której Ludwik owinąwszy porucznika w futro gospodarza i włożywszy do sań jego własnych, któremi z reduty przyjechał, odwiózł do kwatery za Ostrą-bramą.

XIV.

Otwarcie trybunału.

Dwudziestu czterech wybranych z powiatów mężów, składało pod przewodnictwem marszałka, z ichże grona wybranego, najwyższy trybunał w Litwie, naprzemian, wprzód w Mińsku i w Wilnie, potem w Grodnie i w Wilnie mający swe sądy.

Jeszcze by się znalazło kilku przynajmniej sędziwych starców, pamiętających owe czasy i obyczaje, od których my ustne przyjąwszy opowiadania, pismem je dziś w trwalsze zamienić chcemy pamiątki.

O zaszczyt przewodniczenia tak wysokiej magistraturze najmożniejsze w kraju z dostatków i imienia ubiegały się domy. Wiadomo, że prezydujący raz w niej książe, blizki króla pokrewny, własnemu ojcu dał sześć niedziel wieży, za ukrzywdzenie zagrodowego szlachcica, a gdyby to nawet jak się domyślać można, był tylko umówiony dla przykładu dekret, zagładzony potem sowitem wynagrodzeniem szlachcica, zawsze jednak głos publiczny, rozsławiając czyn ten nadzwyczajny, wyborne wrażenie wywrzeć musiał na liczne w kraju sądownictwa, na krnąbrne prawom u-

mysły możnowładców, i na popularność i uwielbienie dla imienia urzędnika, poświęcającego najdroższe związki krwi, prawu i niepokalanej cnocie sędziego.

Mikołaj Łopaciński był obrany marszałkiem, mającego się otworzyć naonczas w Wilnie trybunału. Przybył on kilku tygodniami pierwiej i zajął dom swój na końcu Zamkowej ulicy, a rynkiem małym przedzielony od zbitej niedawno razem z Zamkową bramą, sali posiedzeń natenczas trybunalskich, a za naszej pamięci, izby cywilnej.

Folgując wiekowi swemu i zdrowiu podagrą nadwątlonemu, pan marszałek dla wygodniejszego z apartamentów swoich do izby sądowej przejścia, i korzystając z blizkiego, a przeciwległego położenia obu domów, złączył one wysokim na słupach i krytym kurytarzem, podobnym temu, jaki klasztor panien Zarzecznych z kościołem księży Bernardynów łączył *).

Lecz gdy tak się zabezpieczał od wiatrów i chłodów, nie miał równejże ostrożności z innego względu na swoje zdrowie. Przybywszy do Wilna pociągnął marszałkowskiego obrusa, i z pańską wytwornością, ochotą i zbytkiem, otworzył dom swój publiczności. Przybycie z kolei każdego deputata kolegi swego, sutym obchodził bankietem; tak, że nim doszło do otwarcia trybunału, prezydent onego, najcelniejsza dnia tego figura, leżał w łóżku i nóg podagrą zbolałych nie mógł poruszyć.

Zatem pan Marcin Zaranek pierwszy *ex urno* powiatów deputat, gotował się do zaszczytu zastępowania marszałka.

Nazajutrz więc po środzie popielcowej, wielka liczba karet przejeżdżając przez Zamkową bramę, szykowała się przed katedrą; pieszo brnął tłum już to nabożnych, już ciekawych, na wielką mszę celebrować się mającą przez biskupa, i kazanie najwymowniejszego kaznodziei, mające być nauką i zagrzaniem sędziów do wypełnienia wysokich ich obowiązków.

W kościele osobną, umyślną naprzeciw ambony ławkę, sutym kobiercem zasłaną, zajęli deputaci; otoczyła ich palestra, a publiczność napełniła świątynię.

Gdy wspaniały obrzęd mszy św., przedzielony kazaniem, zakończył się, zasiadł pasterz na swoim tronie, a powstali sędziowie, zrzucili futra, i poważnym krokiem przeszedłszy kratki, zbliżyli się do stołu, na środku prezbiteryum ubranego, na którym stał krzyż srebrny, i przy którym kapłan w komży, trzymał w ręku roztwartą księgę i z niej przeczytał przysięgę, uroczyście i dobitnie przez każdego powtórzoną.

Po jej wykonaniu wrócili nowi urzędnicy za kratkę i uklękli przy niej rzędem, a biskup zstąpiwszy z tronu, i oblekłszy litą kapę, ukląkł także na stopniach ołtarza, i hymn: „*Te Deum*

*) Prawdziwe.

laudamus" zaintonował. Liczny kler assystujący nabożeństwu, połączył dobrane głosy ze wspaniałem brzmieniem organu, i piękny ten obrzęd zakończył.

Wyruszono zatem z kościoła. Pan Zaranek, na czele kolegów, wyszedłszy na krużganek, wziął z rąk hajduka hebanową, złocistem okowaniem ozdobną laskę marszałkowską pana Łopacińskiego, obejrzał się na cisnącą się do zaszczytu niesienia jej młodzież i zdeterminowany zapewne piękną postawą i wytworniejszym ubiorem pana Ludwika Dowiata, jemu oną powierzył.

Pani starościna z córką, stały natenczas w tłumie wysypującej się publiczności, czekając na swój pojazd; obie więc widziały jak przyjąwszy z ukłonem laskę, pan Ludwik wzniósł ją i dumne swe czoło w górę i wystąpił przed marszałka. Za nim poważne grono deputatów, nie siadając do pojazdów, bo dzień piękny i krótkość przejścia tego nie wymagały, udało się ulicą, między gromadami ciekawego ludu przez cały plac sformowanego, do swej sądowniczej sali. Panna Helena przeprowadzała wzrokiem marszałkowską laskę, a matka życzliwych sobie deputatów liczyła. Tłum też rozpatrywał i podziwiał tę paradę. Świetność strojów, pasy lite, bogate karabele, spinki brylantowe i tym podobne sute ozdoby lśniły się na deputatach i na palestrze, która uważając siebie za członków wielkiego trybunalskiego korpusu, występowała zawsze z równąż świetnością w orszaku, w którym jeszcze żadnego nie ujrzałbyś fraka. Strój ten bowiem kusy i opięty, ujmował by natenczas dostojeństwu urzędników, a powagi i zaufania powszechnego kongregacyi prawników, na których mądrych głowach, interesa całej Litwy leżały.

Gdy się orszak zbliżał do arkad domu, pod niemi straż trybunalska uderzyła werbel i sprezentowała broń. Nakoniec na górze, woźny w mundur ubrany, z szablą u boku, na oścież otworzył podwoje sali sądowej i pan Zaranek krzesło marszałka, a deputaci własne, po kolei powiatów zajęli.

Pan Ludwik stanął z laską za marszałkiem; taki bowiem był zwyczaj, że na każdej sessyi którykolwiek z młodzieży oną piastował. Na skinienie marszałka, woźny tuż stojący, na całe gardło zawołał:

— „Sądy najjaśniejszego trybunału W. Ks Litewskiego przywołują się."

Natenczas zbliżyła się do kratek delegacya młodzi szkolnej, witającej zwykle każdy nowy trybunał. Prowadził ją ksiądz prorektor, a składała się z kilku studentów, paniąt, krewnych lub synów deputackich, i z kolei wstępując na adwokacką mównicę, jeden polską, drugi łacińską, wcześnie przez patrów najtęższych oratorów wysmażone, prawili oracye.

A tymczasem między palestrą wszczął się niejaki ruch i zamieszanie; hurmem napadali na siebie wzajemnie, pytając się kto wyznaczony? kto przygotowany do koniecznej od palestry powitalnej mowy? Nikt. Zapusty, jak na nieszczęście przed samem rozpoczęciem trybunału przypadłe, odjęły pamięć o tym nieodbitym obowiązku palestry: — „Wasan panie Janie! Wasan panie Wincenty! Wasan panie rejencie!“ od jednego do drugiego rzucali się wszyscy. „Wasan mości skarbniku!“ Skarbnik nasz machnął ręką, ani słuchać niechciał; to nie jego rzecz *ex abrupto* prawić, a jeszcze kompl-menta A toż konfuzya ostateczna dla palestry! wołano z cicha, a toż koncept dla trybunału! a to *Crimen lesae Majestatis!*. Nakoniec okrążono tłumem młodego, ale znanego *ex fluida eloquentia* adwokata, pana Mateusza Antonowicza.—Wasan panie Mateuszu!

— Nie mogę—nie przygotowany jestem, trzeba mnie było uprzedzić.

— A na miłość Boga! gadaj bo zgubisz wszystkich i siebie samego!...

Pan Mateusz spuścił oczy, namyślał się, a wtem go hurmem na mównicę wepchnięto, na której jeszcze miał chwil kilka do namysłu. Bo gdy studenci ukończyli oracye wprowadzono ich za kratki, deputaci ściskali ich, pieścili, a marszałek do końca sessyi całą delegacyę zatrzymał.

Pan Antonowicz zarzucił na ramiona wyloty karmazynowego kontusza i pokręcał kruczego wąsa. Cała palestra otoczyła go kołem, jako w jej imieniu perorować mającego i z niespokojnością trwożyła się, czyli się mu uda. *Publicum* nadstawiło słuch ciekawie; a gdy koło urzędu do porządku wróciło, on prosząc o głos marszałka, tak mówił:

„Najjaśniejszy trybunale!

„*Luceat lux vestra coram hominibus*! Niech świeci mądrość wasza przed całym światem! Niech świeci! Boście na to wybrani przez braci waszych, dostojni szafarze sprawiedliwości świętej, aby w wyrokach waszych, mądrość i cnota jaśniały jak słońce na niebie i oświecały nas, cisnących się *sub umbra alarum*, pod skrzydła opieki i wspaniałości waszej! Witam cię zatem najjaśniejszy areopagu litewski! a złożony z mężów godnych zasiadać te kurulskie, jak owe dawnego Rzymu, krzesła! Witam was w imieniu najuniżeńszych sług sądu waszego, „prześwietnej palestry trybunalskiej, uchylającej tu czoło swoje (i wszyscy się na te słowa ukłonili), nie tylko jako przed zwierzchniczą swą władzą, ale jeszcze i bardziej, jako przed mężami, których zasługi znakomite w kraju, nowem uczczone dostojeństwem, korroborują i dodają lustru nieporównanej dawności prozapii waszej. Bo któż zaprzeczy wyrazom pisma św. wskazującym jak na dłoni ród twój JW., a godny zastępco marszałka. Gdy bowiem Bóg wszechmocnością swoją świat ten stwarzał, rzekł dokonywając dzieła! *Et fiat lux*, i stał się... Zaranek!

„I ty pisarzu trybunalski, głosem kolegów twoich wybrany na to, abyś nieomylne zdania ich, w księgi nieśmiertelne wyroków waszych wpisywał, sprawiedliwie obok takiego prezydenta usiadłeś, bo gdy on stworzenia świata, ty rodem twoim epoki odnowienia tej ziemi sięgasz. Twój to protoplasta, propagator po potopie rodzaju ludzkiego, żeglował w arce; a gdy ta osiadła na wysokim Araracie, powiada pismo: *Et primus Noe adoravit Dominum Deum*! I pierwszy Noe był—Bohomolcem!“

Zdziwienie i zadowolenie powszechne z dowcipnego obrótu mowy, malowało się na twarzach wszystkich.

„Lecz czyliż może podołać moja słaba wymowa na wyjaśnienie tak z kolei i uwielbienie wszystkich zacnych imion obsiadających dzisiaj ten stół sądowniczy. Nie zaiste! Otwórz dzieje, kto chcesz nauki i przykładu; jedno i drugie znajdziesz w ich przodkach! Jedno i drugie widzisz w obecnych potomkach. A zatem powtórzę: Najjaśniejszy trybunale: *Luceat lux vestra coram hominibus*! Niech świeci mądrość wasza przed światem! a gdy wszelka mądrość od Boga jest; niech więc i wasza będzie bogobojną i sumienną; niech w rozsądzaniu praw ludzkich, tak was prowadzi i ubezpiecza, abyście waszą sprawę wygrali natenczas, gdy zażartym instygatorem na nas, będzie wieczny nieprzyjaciel zbawienia naszego; woźnym, Archanioł z trąbą; palestrą broniącą nas, patronowie święci. Krzyż laską marszałkowską, a marszałkiem trybunalskim, Jezus Chrystus Pan nasz i Odkupiciel! *dixi*.“

Powszechny aplauz okrył oratora, sądy odwołano na jutro, a pan Zaranek zastępujący i za stołem sądowym i za stołem biesiadniczym marszałka, kolegów, palestę całą i dzieci z ich przewodnikiem na obiad zaprosił.



XV.

Zabiegi.

Pierwszą z kolei sprawą, w trybunale przypaść mającą, była pana pisarza W. Ks. L. Aloizego Sulistrowskiego, którego przypomną sobie czytelnicy Obrazów litewskich, z pamiętników kwestarza, z karmelitami głębockimi. Drugą, wnet po niej następującą starościnej Kapinowskiej z Dowiatami. Treść obu już znajoma czytelnikom. Obie zaś tak z sobą składne, że wyrok w jednej miał być regułą do wyroku w drugiej. W jednej bowiem i w drugiej szło o dawność ziemską, która odrzucona w wsprawie pierwszej, dawała wygranę Sulistrowskiemu, ale nie mogła już tem samem być przyjętą i w drugiej, a zatem nie broniła zaścianku Dowiatów. Pan skarbnik zaś powinien był w pierwszej dawność ziemską zbijać, w drugiej utrzymywać. Trudna nader pozycya! . . .

Znał dobrze krytyczne swe położenie skarbnik, i niebezpieczeństwo procesu familijnego tak fatalnie połączonego. Wprawdzie, salaria spodziewane od pana Sulistrowskiego, po sto dukatów od wygranego tysiąca, przewyższyć we dwoje mogły wartość zaścianku; a skarbnik dostatki swoje zawsze w głębi duszy za własność familijną uważał, bo żenić się nie myślał. Lecz toż samo przywiązanie do imienia i rodziny swojej, nie dozwalało mu dać się pokonać w interesie, w którym nie tylko fortuna, ale i miłość własna, niewłaściwie wprawdzie, ale zwykle honorem szlacheckim ochrzczona, na szwank wydaną być mogła. Zrzekłby się on już nareszcie plenipotencyi pana pisarza litewskiego; zwłaszcza, że i skrupuły księdza prokuratora tkwiły mu w pamięci, ale cóż potem? utraciłby tylko jednego z najznakomitszych swoich klientów, a kto inny podjąłby się łatwo zastępstwa i skutek zawsze tenże sam, bo sprawy jedna po drugiej przypaśćby jednak musiały.

Wymknąwszy się zatem z obiadu od pana Zaranka, skarbnik powrócił śpiesznie do swego dworku, i tam jeszcze rozmyślając czas niejaki, a nic nie wymyśliwszy, szedł do klasztoru ks. trynitarzy do brata, do którego zawsze w twardych okolicznościach na ostateczne konsylium zwykł się udawać.

Na stuknięcie zwyczajne do celi, odpowiedział mu głos, który nie bratnim być poznał, *rogo*, gdy ksiądz Augustyn odpowiadał zawsze *intrare*, zastanowiła go ta zmiana i nieco zmięszała. Wszedłszy, zamiast brata, znalazł w celi księdza Honoryusza, którego znał dobrze, jako bogobojnego i poczciwego zakonnika; uspokoił się zatem względem swej szkatuły, która mu od pierwszego stuknięcia do drzwi na myśl wpadła.

— Nie znajduję księdza brata? zapytał.

— Nie, mości skarbniku, nie ma go już w klasztorze.

— Jak to mości dobrodzieju? gdzież? czyż broń Boże śmierć nagła? Onegdaj się z nim widziałem i nogi pod nim zadrżały.

— Uchowaj Boże! uspokój się jegomość. Ks Augustyn zdrów; tylko, że wyjechał od nas, a mnie poruczył oddać jegomości oto ten list i szkatułę, której po jego odjeździe strzegłem jak źrenicy w oku i teraz w całości oddaję. To mówiąc wysunął ciężką skrzynkę z pod łóżka.

Skarbnik skwapliwie oddarł pieczęć i przebiegał list taki:

„Kochani moi bracia, panie podczaszy i panie skarbniku!

„Unikając trybulacyów i dla siebie i dla was mili bracia, wyjeżdżam z Litwy bez pożegnania się z wami osobiście; udaję się na Ukrainę z groszem uzbieranym z klasztorów naszych tutejszej prowincyi, a stamtąd z socyuszem, który już jest praktyk takiej peregrynacyi, udamy się do Krymu, lub do samej stolicy barbarzyńców, do Konstantynopola, dla wykupienia z niewoli braci naszych chrześcijan. Lubo spodziewam się, że Bóg mię swoim miłosierdziem zachowa i dozwoli was jeszcze zobaczyć, dopełniwszy powinności i reguły zakonnej i votum mego, które na chwałę Jego świętą i na zgładzenie grzechów moich założyłem, wszakże w

niepewności woli Jego o przeznaczeniu mojem, żegnam was wszystkich trzech bracia mili, z waszem potomstwem całem; w codziennych modłach moich nigdy o was nie zapomnę i waszym wzajemnie się polecam — Ks. Augustyn Dowiat.

„*Post scriptum.* Jeżeli nie wrócę, testament mój znajdziecie u ks. prowincyała naszego zakonu. Waspanu panie skarbniku życzę być uważniejszym w swojej patrocynii, zwłaszcza w okoliczności, o której z sobą mówiliśmy. „Zważaj że i konstytucya“ te dwa wyrazy przekasowano — *respice finem!*

Przeczytawszy ten list, skarbnik *obstupuit.* Stał milczący, zamyślony i wzdychał głęboko!

— Zabierajże jegomość swoją szkatułę, rzekł ksiądz Honoryusz.

Skarbnik jakby go nie słyszał, mówił do siebie: będzie-że tam płaczu i szlochów — będzie .. *inter nos loquendo,* kto wie czy wróci?...

— Wola Pana Boga mój dobrodzieju! wola Pana Boga!

— Tak, tak, wola Pana Boga! ależ to nasz brat najstarszy!... głowa familii... i pokiwał smutnie głową: dziej się więc wola Pana Boga, rzekł nakoniec. Szkatułę przyjm *Reverendissime* w swoją opiekę, czy u brata mego, czy u jegomości dobrodzieja, wszystko to jedno; dozwól czas od czasu nawiedzić się może jakie nowiny przyjdą od niego do klasztoru?

Ks. Honoryusz nie życzył sobie depozytu, lecz nakoniec dał się ubłagać, niechcąc zapewne powiększać i tak już wielkiego zmartwienia pana skarbnika. Ten wracał śpiesznie do siebie. Mimo idąc zaszedł do brata podczaszego i oznajmił odjazd księdza Augustyna, a zostawując tam smutek i szlochy, zaleciwszy także na pociechę stosować się do woli Boskiej, ruszył nie tracąc czasu do pana pisarza litewskiego, który od dni kilku przebywał *incognito,* jako chory, w swoim pałacu na Trockiej ulicy, rzadko przyjmując, a wcale nie oddając wizyt nikomu

Ktoby uważał obroty tego pana przed taką ważną sprawą, zdziwiłby się, jak mało zadawał sobie fatygi, jak mało przykładał starania ku dopięciu pomyślnego wyroku, zwłaszcza w porównaniu ze starościną, której karetę od rana do wieczora na wszystkich ulicach widzieć można było, i której pokoje co wieczór napełniały się już to deputatami, już to osobami, tym lub owym sposobem wpływać mogącemi na deputatów.

Pan pisarz litewski przyjechał do Wilna tylko dla poratowania zdrowia. Lejboszyc i Szpitznagiel, doktorowie wówczas najsławniejsi, odwiedzali go często, zalecając dyetę spokojność i unikanie mroźnego powietrza. Affidowanych więc tylko przyjmował przyjaciół, w których liczbie było wprawdzie i kilku deputatów, lecz cóż dziwnego być mogło w tej troskliwości o zdrowie męża tak szerokich koligacyj i tak przeważnego znaczenia na Litwie i w Koronie?

Sam marszałek trybunalski, pan Łopaciński, póki był zdrów

jeszcze, nawiedził chorego, ale że, Sulistrowscy i Łopacińscy w blizkiej są konneksyi, to wszystkim wiadomo było. Wzajemnie, gdy pan Łopaciński się położył, za dozwoleniem Lejboszyca, nawiedził go pan pisarz litewski. Forsy więc żadnej ze strony pana Sulistrowskiego nie było widać; i gdy pan skarbnik, który się znał na tej chorobie pryncypała, wpuszczany zawsze do gabinetu jego, zachęcał go do starania, mówiąc: „*Inter nos loquendo* JW. panie dobrodzieju, trzebaby JW. panu widzieć się z panem Oszmiańskim, z panem Trockim, z panem Lidzkim i t. p." on pokręcał tylko wąsika, uśmiechał się, i „bądź spokojny panie skarbniku, odpowiedział: weźmiesz swoje kilkaset dukatów." Skarbnik się uspakajał, bo znał dobrze, że pan pisarz litewski ani próżno, ani nadto i jednego słowa nie powie.

Ten raz jednak, szedł skarbnik nadzwyczaj wzruszony do swego dygnitarza. Odjazd niespodziewany ks. Augustyna, jego *post scriptum* dojmowały go żywo, a jeszcze bardziej fatalne zbliżenie się procesów, w których *pro et contra* stawać musiał; i w których wygrana pierwszego, mimo wszelkich, by najzręczniejszych sofizmów prawnych, zapisywać zdawała się przegraną drugiemu. Nie ma dawności na dług. Nie ma dawności i na posesyę ziemi, niczem nieudowodnioną! przekładał już to nieraz panu Sulistrowskiemu, ale ten jak zawsze uśmiechał się tylko. Jednak teraz postanowił go Dowiat zmusić do otwartego odkrycia co myślał, i czy mógł znaleźć środek do pogodzenia trudności, dla których gotów był zrzec się nawet jego plenipotencyi.

— Nie ma pana w domu, rzekł mu otwierający apartamenta lokaj, ale wychodząc kazał abym panu oddał tę kartkę.

Na niej tylko było ołówkiem napisano: „Proszę na mnie zaczekać."

Pokręcił głową skarbnik; to mi człek! pomyslał: zgadł, że przyjdę.

— Do kogoż wyjechał pan pisarz?

— Nie, wyjechał, ale wyszedł z jednym tylko hajdukiem; a gdzie i do kogo? nie wiem.

Skarbnik znowu pomyślał—ha, nie chce aby widziano, gdzie jego kareta stoi. . .to mądrze, a chory to. . .więc usiadł do cierpliwego oczekiwania; wiedząc dobrze i z doświadczenia, że cierpliwość w interesach tyle częstokroć warta, co i czynna gorliwość, choć na pozór wzajem sobie przeciwne.

W mieszkaniu starościnej, tego wieczoru nie było światła w oknach od ulicy, i lokaj, w przedpokoju każdemu przybywającemu kłamał: „Nie ma pani w domu;" bo w oddzielnym gabinecie była ona na konferencyi; z kim? zgadnie zapewne czytelnik,—z panem pisarzem litewskim. Znajomość ich i przyjaźń od warszaw-

skich jeszcze czasów datowały. Oboje kiedyś młodzi, zdobili młody dwór Stanisława Augusta, i celowali między płcią swoją, urodą i dowcipem, z tą późniejąróżnicą, że pan Sulistrowski dojrzewając w lata, zalety młodzieńca wydoskonalił w rozum i powagę obywatelskiego męża, jednając stąd sobie codzień większy wpływ u dworu i coraz przeważniejsze znaczenie między ziomkami; starościna przeciwnie, jakeśmy o tem mówili, tracąc z czasem żywsze wdzięki i fortunę, ustąpić musiała świeższym kwiatom, wschodzącym na słonecznej niwie. Zaufana więc w dawne i nieprzerwane nigdy zupełnie stosunki swoje z panem pisarzem, wraz po przybyciu jego do Wilna, pragnęła ona widzieć się z nim, i użyć jego interwencyi do trybunału, tem skuteczniejszej, że jeden interes drugim się wśpierał, jeden drugiego wspomagał. Lecz na bilet zapraszający starościnej, pan Sulistrowski w grzecznym wzajemnym, słabością zdrowia się wymówił, dodając wszelako, że pierwszej chwili polepszenia się użyje na złożenie uszanowania swej dawnej i łaskawej przyjaciółce i kuzynce; było bowiem między nimi niejakieś, choć dalekie pokrewieństwo.

Jakoż uprzedził on w dniu tym starościnę, że ją odwiedzi wieczorem, jeżeli go przyjąć raczy, bez narażenia jako słabego jeszcze na liczne towarzystwo; co też było i po myśli jej samej.

Oboje zwrócili się myślą do warszawskich czasów; oboje przypomnieli się młodymi i oboje manierą układną i dworską, toaletą nawet, obudzić urok przypomnienia, i temi sposoby wartość swych postaci, z czasem nadwątloną, opromienić chcieli. Trochę zalotności w kobiecie, trochę dumy w mężczyznie łączyło się tu z widokami interesu, i oboje na jednostajne myśli nawiodło.

Wytworność i prostota pięknie ubierają i zdobią kobietę wyższego ukształcenia; zbytek i przesada szpecą pustą, choćby najpiękniejszą głowę. Dla tego starościna w skromną czarną aksamitną ubrała się suknię, cudnie kibić jej dawniej giętką, dziś wspaniałą, wydającą, ale na śnieżnej szyi kilka sznurów pięknych pereł z bogatem brylantowem spięciem jaśniało, a na ręku jednem, droga wartością i robotą złota bransoletka w kształcie węża, kilkakroć po czarnym tle się przewijała. W gabinecie srebrny, kilkoramienny świecznik, rzucał ze stołu promienie na wielkie źwierciadło, odbijające powabną jej postać, i był jedyną ozdobą samotnego tego ustronia, przeniesionego jakby ze stołecznych pałaców, na krótki popas ładnej kobiety. Pańskie więc tu ostatki. sprawdzały przysłowie, przemożnością nad szlacheckie dostatki.

Pan pisarz litewski także, który na sejmiki między szlachtę występował w kontuszach i bogatych perskich pasach, do ładnej kobiety, włożył tylko z najcieńszej ciemnej wigoni, bez żadnych ozdób taratatkę; śpiął ją soliterem pod szyją, którą cieńkim czarnym bławatem obwinął. Ale na piersiach jaśniała mu gwiazda orła białego, świeży dowód uwieńczonej zasługi i łaski monarszej.

Pan Sulistrowski miał lat około pięćdziesięciu, ale był pięknym mężczyzną Uroda spora, czoło otwarte i myślące, oko czar-

ne, na ustach uśmiech częsty, ale prawie zawsze trochę szyderczy i dwuznaczny; pojmujący innych, niedający się pojmować nikomu, a w całej postawie i obliczu rozum i powaga wyraźne i niezaprzeczone. Po uprzejmem wzajemnem powitaniu się, starościna z wdzięcznem spojrzeniem podała rękę gościowi i do gabinetu go wprowadziła, tam oboje naprzeciw siebie usiedli.

— Jakżem wdzięczna kochanemu panu pisarzowi za tę chwilę, którą mi poświęcać raczysz,—rzekła starościna;—jakże miło mi widzieć pana polepszonego na zdrowiu, bo tego twarz pańska dowodzi i nadto powinszować nowego dowodu zasługi w ojczyźnie, który na piersiach jaśnieje, a o którym ja nie wiedziałam jeszcze.

— Dziękuję starościno dobrodziko,—odrzekł Sulistrowski ze zwyczajnym sobie uśmiechem,—za dobroć pani, a najbardziej za wyraz „kochany,“ którym mię uszczęśliwiasz. To mię przekonywa, że nie wyszły z jej pamięci te chwile, gdy piękna kuzynka moja kasztelanka Trocka, po imieniu mię nazywała. . . o jakową łaskę i teraz prosiłbym,—dodał całując jej rękę.

— Ach! szczęśliwe i miłe wspominasz czasy, kochany panie Aloizy, gdy cię tak jak chcesz mam nazywać; ale trudno mi dziś użyć tej samej konfidencyi do wysokiego dygnitarza, która łatwo stosować się mogła niegdyś do młodego i wesołego kuzynka.

— Pani żartuje. Dygnitarz ten sam, i taki sam życzliwy krewny i przyjaciel pani, co i niegdyś pan Aloizy.

— Wierzę temu,—rzekła wzruszona starościna,—a jednakże jesteś pan szczęśliwą dla mnie zatem ekscepcyą, z tłumu warszawskich przyjaciół których czas i honory zmieniły dla mnie zupełnie, jak tego doświadczyłam niezbyt dawno. . .

— Wiem o tem nieco,—rzekł Sulistrowski,—i żałuję, żem nie był natenczas w Warszawie. Możeby to inaczej pójść mogło i ukontentowało kochaną kuzynkę. Przynajmniej szczerszą, aniżel zwykle przy dworach radą, pomógłbym pani.

— O i więcej jak radą, pewna jestem. Wiem ja, panie pisarzu, że cię wysoko konsyderuje dwór, bo zna twój rozum i twoje przymioty. Zna nadto, twoje związki ścisłej przyjaźni z domem Radziwiłłowskim i osobiste, a szczególniejsze zaufanie w tobie księcia Karola; nakoniec, szerokie twe stosunki na Litwie, a zatem cię potrzebuje i jedna sobie. Zresztą, jeżeli w tem jest interes, to przynajmniej można powiedzieć, ten raz dobrze zrozumiany i ku dobru powszechnemu zwrócony.

Sulistrowski patrzał z niejakiem zdziwieniem na to nie kobiece rozumowanie starościnej.

— Bo jakżeby to szczęśliwie było dla kraju,—mówiła ona dalej,—gdyby król polegał zawsze na zdaniach i radach takich mężów, jak ty panie; a nie dopuszczał przystępu do siebie chciwych pochlebców lub cudzoziemców szarlatanów, którymi się otaczać lubi.

— Przyznaj starościno,—przerwał uśmiechając się po swojemu Sulistrowski,—że w tych pochlebnych dla mnie wyrazach, jeżeli jest trochę prawdy, jest też trochę. . . i gniewu na Warszawę.

— Nie zaprzeczam temu, i wcale nie zaprzeczam! bo czyż nie mam prawdziwej przyczyny do skargi? Zawiedziono moje, na tylekrotnych przyrzeczeniach oparte nadzieje; upokorzono mię nawet.... Widzisz, kochany panie Aloizy, że cobym przed sobą samą ukryć chciała, przed panem objawiam. Wracając z niczem z Warszawy, tam za sobą zostawiłam radość z pozbycia się natrętnej; tu spotkało mię szyderstwo nieprzyjaciół.

Zapłoniła się starościna i źrenice jej zwilgotniały.

—Ale zobaczymy,—rzekła żywiej,—zobaczymy! może pożałują wkrótce tego. Może poznają, że coś przecie znaczymy między ziomkami; że zmiana z zamążpójściem imienia nie odebrała mi związków rodzinnych, może potrafię przekonać panów radnych, zwłaszcza litewskich, że przy zręczności jeszcze będę mogła odpłacić im... Dla tego też, chciałam koniecznie widzieć się i otwarcie pomówić z panem. Mamy oboje sprawę w trybunale. Pan swoją wygrasz zapewne; lecz pojmujesz panie pisarzu z tego, com ci powiedziała, jak wiele mi zależy na tem, abym i ja moją wygrała. Mniejsza o ten zaścianek, o który rzecz idzie; dałabym wiele za to, gdyby ten proces nie był zaczęty, może złych rad posłuchałam... może miałam jeszcze inny powód do zerwania wszelkich stosunków z Dowiatami...

Pan Sulistrowski uśmiechnął się znowu.

— Bądź co bądź, w stanie jak są rzeczy, muszę, powinnam mieć dekret pomyślny; bo echo tego dekretu odbije się daleko, bo zeń się gdzieś dowiedzą, że zamiary moje chociaż chybiają w Warszawie, ale nie chybiają na Litwie. Wiem, kochany pisarzu, że przeciwnik mój Dowiat, jest pańskim plenipotentem; wnosić zatem mogę, że obowiązywał pana...

— Jak to pani!—przerwał Sulistrowski,—do czego mię obowiązywał? do instancyi za sobą? O nie! tak ubliżającego mi słowa wyrzec on by nie śmiał i choćby śmiał nawet, jabym go nie zniósł. Cóż to? powiedzianoby, że instancyami płacę moich plenipotentów!

— Przypuszczając z jego strony tę śmiałość, kochany pisarzu, ja nie ulękłam się tego. Wszakże, niżelim wspomniała o Dowiatach, pierwiej odkryłam ci moje wszystkie najskrytsze myśli, dowód to przekonania mego, że mniebyś dla nich nie poświęcił i że dopiero moje stosunki i starania własnemi na pomoc dla mnie, pomnożysz i wesprzesz...

Pan Sulistrowski milczał.

Starościna niecierpliwie nań patrząc, dodała:—o tyle przynajmniej, aby procesa nasze.. przeciwnych jak mi powiadano... wymagające wyroków... wzajemnie sobie nie szkodziły.

— Kochana starościno,—rzekł nareszcie Snlistrowski,—z całego serca dziękuję ci za zaufanie we mnie, a na dowód mojej wdzięczności i jednostajnej zawsze przyjaźni, przyjm pani otwartość moją, z jaką zdanie moje i rady, w teraźniejszym jej kłopocie oświadczę.

— I owszem, o tę szczerość bardzo proszę i zupełnie na radach twoich polegać będę.

— Z zabiegów i starań pani około trybunału,—mówił uważnie pan Sulistrowski,—o których wiedziałem, łatwo zgadnąć mogłem, żeś ten interes wzięła do serca, i daruj starościno, myślałem, że kobieca zwykła żądza postawienia na swojem ...

— Która i was mężczyzn nie opuszcza nigdy,—dokończyła peryodu starościna.

Skłonił głowę pisarz i kończył—więcej niżeli wartość zaścianku, wiodła panią do tak upartego procesu. Bo któż zgadnąć mógł, że w nim ukrywa się tajemnica i nadzieja ważniejszych zamiarów, które pomyślnym wyrokiem sprawy tej wsparte być mają? Ale któż pani tak mylną drogę poradził? Jeżeliś sama ją wynalazła, daruj życzliwej otwartości przyjaciela, idąc nią nie trafisz do starostwa . . .

Starościna jak ogniem spłonęła na te słowa; słuchała jednak w milczeniu.

— Chcesz pani przekonać Warszawę o znakomitości swej przewagi na Litwie, tryumfem nad szlachcicem w trybunale? ależ kochana kuzynko, nie ten możny, komu laska trybunalska sprzyja, ale ten, kto laskę daje . . —Tu pan Sulistrowski zastanowił się i pokręcił wąsika, i lubo nie powiedział: „tak naprzykład jak ja," ale starościna odgadła, że to myślał.

— Na sejmikach, starościno, nie w trybunale objawia się wyraźnie przewaga obywatelska, a tam przeważni, ważnymi bywają i wyżej; bo ci wpływać mogą na wybór posłów, to jest sędziów potężniejszego trybunału, przesądzającego częstokroć spory rządzących z rządzonymi.

— Drugiej sprawy Tyzenhauzowskiej z królem nie będzie; nie wiele więc obchodzi Warszawę, kto w Wilnie wygrywa lub przegrywa procesa. Tu kochana kuzynko, skuteczniejsze byłyby interwencye z góry na dół, niżeli z dołu w górę. . . a dochodzące tam niekiedy skargi uciskanej szlachty przez panów, nie otwierają dziś im królewskich podwoi; owszem ściślej je przed nimi zaprą. A tak starościno, wierz prawdziwemu przyjacielowi, z tego względu mylnym jest plan pani; nie tylko nie ułatwi on drogi jej zamiarom, lecz może nawet wywinąć trudności w dobrych chęciach życzliwym pani . . dajmy to i mnie samemu. . . usłużenia jej . . w upatrzonej godzinie. . . .

Po tem ministeryalnem z przestankami zakończeniu, zamilkł Sulistrowski. Starościna spuściwszy oczy, milczała także.— Cóż mi więc radzisz panie Aloizy? rzekła nakoniec podnosząc wzrok.

— Rada moja, — mówił znowu, zwykłym, ważącym każdy wyraz zwyczajem, — rada moja, kochana starościno, zależeć będzie od stopnia zaufania, jakie we mnie położysz.

— Zaufanie to, — przerwała starościna, — powiedziałam już,

jest zupełnem i nieograniczonem, a wspartem na gruntownem przekonaniu o rozumie twoim i przyjaźni twej dla mnie.

— I nie pożałujesz tego, kuzynko. Proszę więc, napisz bilet do swego plenipotenta z rozkazem, aby przy zawołaniu twej sprawy, znalazł się zupełnie i bezwarunkowo podług instrukcyi, jaką mu dam natenczas.

— Jakaż to będzie instrukcya?

— To tylko pani o niej powiem, że nie zepsuje interesu i nie skompromituje pani.

— Jednakże kochany pisarzu, chciałabym wiedzieć...

— Więc mnie nie ufasz kuzynko?

Starościna zamiast odpowiedzi, zbliżyła się do stolika i usiadła do pisania; lecz wziąwszy pióro w rękę, zatrzymała się nagle, wstala i rzekła:

— Jest jeszcze jedna okoliczność między Dowiatami a mną, o której pan nie wiesz.

— Wiem, — rzekł uśmiechając się Sulistrowski — wiem!...

— Ach! czegoż pan nie wiesz?

— I ta okoliczność, zależąca zupełnie od wyroków Boskich a nie trybunalskich, nie przeszkadza najmniej pani do pisania biletu.

Starościna więc znowu usiadła, i w kilka minut, bilet niepieczętowany oddała Sulistrowskiemu, który rzucił nań okiem i schował w zanadrzu.

— Jeszcze jedną mam prośbę do pięknej kuzynki, — rzekł pan pisarz litewski, całując dwornie jej rękę. — Proszę o zwrót należnego mi długu, któremu, lubo dawność ziemska zaszła, ale gdy pani dawności za prawo uznawać nie chcesz w sprawie z Dowiatami, to pozwolisz, że i ja w mojej pretensyi, jej nie ulegnę.

— Cóż to jest? mów kochany pisarzu, bo prawdziwie czy nie pamiętam, czy się nie poczuwam do niczego.

—Jak to pani? zapomniałaś więc, że niegdyś, gdym w ich domu razem z moją żoną dni kilka gościł, odebraliśmy przyrzeczenie wzajemnych odwiedzin?

— A co to, to prawda, to dług nieulegający dawności; gotowam go wypłacić z lichwą i jak najrychlej.

— Jak najrychlej? a więc jutro kochana kuzynko; droga sanna jeszcze dobra, konie mam na pół drogi rozstawione.

— Intrygancie! zawołała starościna, uderzając go poufale po ramieniu, chcesz mnie oddalić z Wilna. Lękasz się gadatliwości lub niestałości kobiecej w raz powziętych postanowieniach.

— Cha! cha! cha! rozśmiał się teraz naprawdę Sulistrowski. Lękam się, zgadłaś pani, lękam się gadatliwości, ale męzkiej nie kobiecej, lękam się uprzykrzenia dla pani nie od pani; bo na ileż nudnych „dla czego?“ musiałabyś odpowiadać lub milczeć. Ale wierz mi, kuzynko, nie ten główny powód projektu mego i prośby; bo prócz przyjemności posiadania cię w naszym domu, potrzebujemy jeszcze chwil swobodniejszych, niżby w mieście znaleźć

się mogły, dla pomówienia o ważniejszych sprawach warszawskich, do których nas wiążą i miłe wspomnienia i.. nadzieje.

— Czy się one ziszczą? czy zaręczasz mi za to? zapytała z ponętnem spojrzeniem starościna.

— Zaręczam .. że wszystkich dołożymy usilności.

— Dość mi na tem, jutro rano jadę do Szemetowszczyzny.

— A ja, za trzy dni najdalej, ucałuję tam rączki kochanej kuzynki. Ale gdzież jest córeczka pani? Elżusia jeżeli się nie mylę, którąm na ręku kiedyś nosił, i którą głos powszechny porównywa w piękności z matką, radbym sam to porównanie uczynił.

— Nie straciłeś nałogu ślicznych słówek, panie Aloizy; dziękuję więc za komplement i za siebie i za córkę; ona dziś cały wieczór przebywa u krewnej mojej, podstoliny Dulskiej.

Sulistrowski znowu pokręcił wąsika i uśmiechając się rzekł: no, no, a jeżeli się tam znajdzie i pan Ludwik Dowiat .. wiem, że podstolina przyjaciółką jest całej ich rodziny, a Ludwika podobno matką chrzestną.

— Wiem o tem wszystkiem, odpowiedziała starościna; ale Dulska wie dobrze o mojem postanowieniu. Odmawiać zaś jej uwolnienia Elżusi nie mogłam, bo ona ją tak kocha.

— I jest wdową bezdzietną, kończył Sulistrowski, a ma kilkakroć do wolnego szafunku.

Starościna się roześmiała.

— Ale, kochana kuzynko, miej jeszcze wzgląd i na to, że skarbnik Dowiat jest jej najzaufańszym konsyliarzem i plenipotentem, i że pewnie nie kto inny jak on, testament jej pisać będzie, jeżeli już nie pisał.

Starościna zamyśliła się.

— Tak to, tak, mówił Sulistrowski, wikłają się częstokroć rzeczy na tym świecie. Jednakże, kochana kuzynko, splątane motki jedwabiu, wy kobiety łatwo rozwijacie; cierpliwości tylko trochę i rozwagi potrzeba.

— Której od kochanego kuzyna uczyć mi się przyjdzie, rzekła, opatrzywszy się z zamyślenia starościna.

— A więc do Szemetowszczyzny, do Szemetowszczyzny na wszelkie lekcye i wzajemne nauki, rzekł, całując na pożegnanie rękę jej pan pisarz, i również uprzejmie pożegnany, wyszedł.

Pan skarbnik spokojnie oczekiwał powrotu swego mecenasa. Znalazł na stole dyaryusz jakiegoś sejmu i odczytywał go, niekiedy kręcąc głową, a niekiedy kiwając oną; raz jakby podziwiając mądrość ustaw, a drugi raz użalając się nad ich próżnością.

Nakoniec doczekał się pana Sulistrowskiego — Ha! rzekł ten wchodząc i witając skarbnika, wysiedziałeś tu panie Franciszku wieżę, przepraszam. Cóż tam słychać? mówią, że otwarcie trybunału udało się, a szczególniej chwalą elokwencyę pana Antonowicza.

— Nie idzie tu o nowiny JW, panie dobrodzieju; przyszed-

łem opowiedzieć panu *synopsim* *) produktu i planu, jakim jutro będę prowadził obronę sprawy pańskiej; może zechcesz pan posłuchać, a nadto *inter nos loquendo*, jestem w krytycznej pozycyi. Jutro sprawa pańska, a po niej nasza . chodziłem na radę do brata mego ks. Augustyna, ale ten niespodzianie wyjechał do Turcyi *pro redemptione captivorum* **) stosownie do reguły swojego zakonu.

Pan Sulistrowski zdziwiony ścisnął ramionami.

— Onby mnie może dał jaką radę, bo przyznam się JW. panu, że żadnej znaleźć nie mogę. A tak, do pana już się udaję, niech przynajmniej kto inny produkt podług mojego planu, który bez chluby wyśmienitym być mniemam, w sprawie pańskiej przed trybunałem odbędzie, aby nie też same usta *pro et contra* mówiły w ciągu kilku godzin.

— O wszystkiem się pomyślało, rzekł pan pisarz klepiąc go poufale po ramieniu. Synopsy twej, i planu słuchać nie będę, zapewne go doskonale ułożyłeś. Ot lepiej, przeczytaj ten cyrografik. I podał mu bilet starościnej.

— Cud Boski! zawołał przeczytawszy skarbnik. Starościna więc zrzeka się procederu i zaścianku?

— Wcale nie, mości skarbniku.

— A więc jakąż instrukcyę dasz JW. pan jej plenipotentowi?

— Jutro rano pogadamy o tem; dziś idź do domu i śpij spokojnie.

— Wszakże JW. panie, *Inter nos loquendo*

— *Inter nos loquendo*, chce mi się także spać, wiesz, że nie domagam, więc, darujesz, że cię pożegnam. Do jutra, panie Franciszku, dobranoc! i wszedł do swojej sypialni.

Skarbnik postał jeszcze chwil kilka, ścisnął ramionami i nakoniec odszedł.

XVI.

Sprawa pana pisarza litewskiego.

Czytelnik wie już poczęści o treści procesu między panem Sulistrowskim a karmelitami głębockimi. Rozpoczął się on był w ziemstwie oszmiańskiem. Tam pan Sulistrowski wygrywając, przegrał, tak jak wzajemnie karmelici przegrywając wygrali ***). Urzędnicy bowiem, chcąc karmelitom dać sposoboość zaspokojenia małym kosztem pretensyi, do kilkakroć sta tysięcy procentami pocnie-

*) Treść krótka; techniczny wyraz w dawnem prawnictwie.
**) Dla wykupienia niewolników.
***) Cała treść tego procesu prawdziwa.

sionej, a odjąć panu pisarzowi powód apellacyi do trybunału, gdzie, jak łatwo przewidzieć można było, wpływ jego mógł wziąć górę nad bogatym bardzo klasztorem, zwłaszcza w czasach, gdy skargi na dostatki zakonów i duchowieństwa zaczynały być w modzie, i gdy świeży upadek jezuitów i rozbiór ich dóbr między szlachtą nie jeden dom zbogaciło. Nakoniec, korzystając z wątpliwości praw o dawności ziemskiej, którą się karmelici bronili, a która nigdy prawie od rzetelnych długów nie uwolniała, przysądzili panu Sulitrowskiemu kapitał i drugie tyle (*alterum tantum*) procentów, z małą kwotą ekspensów prawnych. Karmelici więc obowiązani byli wypłacić mu tylko, z parę tysięcy dukatów, co niestanowiło nawet ich rocznego dochodu. Ale po ogłoszeniu wyroku, którego mądrość i przezorność powszechnie uznawano, obie prawujące się strony, nie były kontente. Plenipotent pana Sulistrowskiego nie wygrawszy kroci, nie wiedział co począć, w nieobecności zwłaszcza swego mecenasa, który assystencyę osobistą powiatowym subseliom i procesowi wątpliwemu, nie widząc sobie przyzwoitą, odjechał do dóbr swoich w Pińskie. Z własnego zaś domysłu żadnym sposobem apelować nie mógł, bo znał roztropność i umiarkowanie pana pisarza, przeciw którym w imieniu jego wykroczyć byłoby gorzej, niż mu przegrać miliony.

Lecz uwolnił go z tego kłopotu ks. prokurator. Niewyrozumiały ten pełnomocnik swojego klasztoru, głośno się uskarżał na niesprawiedliwość sądu. Nieobrażeni tem urzędnicy, sprowadzili go owszem do siebie na konferencyę i jasnem wytłumaczeniem przyczyn dekretu, ochraniającego ile można było zakonne fundusze, wstrzymywali go od dalszego procesu. Zdał się on zrazu pojmować życzliwość i mądrość sędziów; ale czy to przewrotne rady, czy własny jego upór sprawił, że na trzeci dzień zaniósł apellacyę, a zatem dał powód plenipotentowi Sulistrowskiego do zaniesienia wzajemnej, (*motivo*) i na biedę klasztoru, przeniósł proces do trybunału.

Nazajutrz więc, po opisanych tu na przeszłych kartach konferencyach, wcześnie przed rozpoczęciem się sessyi trybunału, palestra wyższa i niższa, oraz liczna ciekawa publiczność, zgromadziła się do przestronnych izb, przyległych sądowej trybunalskiej sali i do samej sądowej; zajmując połowę jej aż do kratek, za które nikt, prócz zasiadujących tam deputatów i przysięgłych rejentów przestąpić nie mógł.

Ważna sprawa! ważna sprawa! mówiono w powszechnym gwarze, próba pierwsza trybunału!

Cóż tam bardzo ważnego? Sprawa prosta obligowa i nic więcej, odezwał się pan Antonowicz, który od wczorajszego powitania większej między kolegami nabył konsyderacyi. Kiedy chciałeś być obecnym ważnej sprawie, to trzeba było być na kadencyi grodzieńskiej i na sprawie podskarbiego Tyzenhauza z

królem! Chwalicie moją nieprzygotowaną wymowę; trzeba było słyszeć podskarbiego, gdy wzywał biskupa, oskarżyciela swego, do przysięgi na to, że nie korumpował sędziów! „Pioruny siarczyste! *) zawołał on, czemuż nie bijecie w tę infułę! Dwadzieścia lat blizko, jak tu się w Grodnie znajduję, a pierwszy raz stawię się w tej izbie, ażebym pokazał: *Ecce homo et opera ejus!* **). Ta to ręka, która pisze dla mnie *mane, tekel, fares* ***). Ja przysięgam, Boże mię ubij na duszy i na ciele, jeżeli kiedy korumpowałem świadków lub sędziów. Przysięgaj! klękaj! Mości księże biskupie!" Włosy na głowie powstały, kiedy piorunującym głosem to wykrzyknąwszy, porwał za rękę biskupa i ciągnął przed krucyfiks. Zdawało się, że powtórzy się akcya Bolesława ze Szczepanowskim.

— Oho! ho! ho! daleko temu biskupowi do tamtego, odpowiedziano; a cóż na to biskup?

— Biskup, nie tak impetycznie, mając wzgląd zapewne na powagę swego stanu; bronił się; a przysięgać musiał.

— Jakiż dekret?

— Daleko o tem rozprawiać, zwłaszcza, że cała Litwa wie o nim. Dziwno, że pytacie? ****)

Wtem zaczęli się zbierać deputaci; dla każdego z nich od drzwi do kratek szeroko rozstępowała się palestra. Wszedł i pan skarbnik; assystował mu jeden z młodych aplikantów, niosąc papiery pod pachą. Weszli także dwaj karmelici, to jest prokurator z socyuszem i skromnie w końcu sali stanęli. A nakoniec przybył i pan Zaranek. Zasiadł trybunał. Zawołano aktorat ks. karmelitów z pisarzem litewskim Sulistrowskim; bo tu już karmelici apelujący od dekretu ziemstwa oszmiańskiego byli stroną powodową.

Nie złamał sobie głowy obrońca klasztoru; bo głos jego opierający całą obronę na dawności ziemskiej, był tylko suchem powtórzeniem oszmiańskiej w ich sprawie repliki, tu produktem już przemianowanej. Słuchając go pan skarbnik pokiwał głową i pomyślał: „Nie był ten człowiek na aplikacyi u mego brata ks. Augustyna!"

Pan skarbnik, w każdej sprawie większego, a wątpliwego znaczenia sobie powierzonej, miał zwyczaj dobrze się wprzód namyślać, niżeli przystąpił do pisania głosu, rozważał on ją nie tylko pod względem prawnym, lecz i pod względem pozoru, pod jakimby sąd uprzedzić mogła. Nazywał on to *prima facies* *****) sprawy. I gdy ta *facies* była dlań pomyślna, zdobił ją i że tak powiem, ubierał w prawne dowody, a gdy przeciwnie nieżyczliwem nań patrzała okiem, rozdzierał ją natenczas i drapał ostrymi

*) Dosłównie prawdziwe.

**) Oto człowiek i czyny jego.

***) Słowa prorocze dla Baltazara.

****) Sprawa ta historyczne ma znaczenie w dziejach tego kraju; tu potoczne tylko znaleść mogła wspomnienie.

*****) Pierwsze oblicze.

argumentami, aby wdzięcznie dla przeciwnika się nie uśmiechała i nie uprzedzała sądu.

Tego trafnego rozważania rzeczy i tej wybornej metody, nauczył się od ks. Augustyna, jako wybornego arkanum prawniczego, gdy jeszcze się przy nim aplikował; a uczęszczał potem doń, jakeśmy to widzieli, nie dla poduczenia się procedury, bo w tej sam był mistrzem, ale dla rozpraw niby nawiasem rzucanych, za które chwytając się z nałogu dawny prawnik, rozświetlał ogólną postać procesu, i odkrywał z dziwną przenikliwością ową *facies* jego, o której dokładnem własnem rozpoznaniu, skarbnik niekiedy wątpił. Ale gdy ks. Augustyn, ta pochodnia mądrości, znikła skarbnikowi, sam więc dokładnie rozmyślając, skonkludował plany do obu rozpraw, które niefortunnym trafem obok u sądu stanęły.

„Sprawa pana pisarza, myślał on; *prima facie* nie zaleca się. Między zakonnikami i magnatem, to raz—a jeszcze magnatem tak mądrym i tak szerokie mającym wpływy na Litwie, a plecy w Warszawie. Cóż za dziw? powie publicum, że ich znękał. Oblig zanadto już dawny—to drugi raz. Wygram wprawdzie, jestem tego pewny. . . ale któż wie, czy dekret bez rozpisów się obejdzie? . . znajdą się skrupulaci. . . Sąd od pierwszej namowy rozdzieli się na partye. . . i z naszej przyczyny okrzyczą trybunał na pierwszym wstępie. . . źle. . . A więc tu nie tylko sąd, ale i publiczność przekonywać trzeba; potrzeba, aby dekret uznano powszechnie sprawiedliwym, ale nie skomentowanym intrygą.“

„Między nami a panią starościną rzecz się ma inaczej. Tu magnat prześladuje szlachcica i pragnie mu odebrać odwieczny kawałek ziemi. Publicum krzyknęłoby za nami i intrygi babskie nicby nie pomogły. Ale zawzięty plenipotent jej, ma zapewne nadzieję i cieszy się, jak słyszałem, bo nie umie trzymać języka za zębami, że moimi własnymi dowodami przeciw karmelitów użytymi, mnie konfundować będzie. Dawność mu w głowie, oszuka się . . dyabelnie oszuka się. Ani w jednej, ani w drugiej sprawie, o dawności nie wspomnę. . . Owszem, dekretem naszym utwierdzić się powinien dekret Sulistrowskiego. . . bo też między jedną a drugą, różnica wielka! Tam oczywista i ostateczna rozprawa, nasza akcessoryjna; a jeszcze większa, i którą najdobitniej dowieść należy między papierem i ziemią. Tu sprawa obligowa, tam wieczysta; nie idzie teraz o przyznanie tu jednej albo drugiej stronie własności zaścianku, ale tylko o utrzymanie dekretu ziemstwa wileńskiego, który akta inkwizycyi *circa juri possessionis* *) na miejscu spornem decydował.

Tak snuł plany swoje pan skarbnik i sam się cieszył z tak subtelnego rozważania rzeczy. Biegły sternik, zbliżający się do niebezpiecznego nurtu między Scyllą i Charybdą, doświadczony, wyrachował wszystkie uderzenia fali i wioseł, wszystkie chwi-

*) O prawie posiadania.

le trudnej żeglugi i ułożywszy nakoniec cały onej kierunek, śmiało się puszcza w szumiące prądy; a jednak wolałby on, aby Scyllę od Charybdy szersze rozdzielało morze. Tak i pan skarbnik, niech mi łaskawy czytelnik daruje to porównanie, mimo wyborne i mądre plany, z których się cieszył i na których się ubezpieczał, wolałby jednak, aby dwie te sprawy, przynajmniej dwie kadencye trybunalskie rozdzielały.

Po suchym zatem i na dawności szczególniej opierającym się głosie obrońcy karmelitów, wystąpił z własnym skarbnik, i stosując się do powyższych planów, dwa tylko główne punkta w nim założył i na nie jedynie uwagę sędziów i publiczności zwrócić i osadzić, że tak powiem, postanowił.

Najprzód, rzeczywistość pożyczki, porównaniem podpisów Korsaka na obligu i na zapisie funduszowym przez karmelitów złożonym, udowodniając, dołożył nadto pracowitą kwerendę wcześnie przysposobioną, o istnieniu w tamtym czasie w województwie Połockiem, podpisanych na nim pieczętarzy, i piastowaniu przez nich publicznych urzędow, których tytuły do swych nazwisk dołożyli.

Z nieoddanej pożyczki, wyprowadził potem naturalne następstwo procentów, i wyliczkę ich coroczną do kapitału dołączając, a od tak zwiększonego kapitału licząc znowu procenta, naliczył krocie. Erudycyjno ten arytmetyczny rozdział głosu pana skarbnika krótkim był, bo przewidywał on niepomyślne wrażenie, jakie *summa summarum* jego, na sędziach i na publiczności uczyni i rzeczywiście uczyniło. Przedłużył go więc tylko uwagami, niweczącemi, a przynajmniej modyfikującemi to wrażenie.

„Nie ja, najjaśniejszy trybunale! nie ja, wyliczyłem te procenta. Czas je wyliczył i nagromadził; czas, który grosz do grosza przykłada i z maluczkich początków, największe tworzy fortuny, najznakomitsze gromadzi kapitały; czas, który procenta, jako zysk sprawiedliwy, na nowe coraz oddając fruktyfikacye, w przeciągu swym długim, nie drugie tyle, ale za kilkanaście kilkaset, a przez kilka oszczędnych pokoleń i kilkakroć oddaje. A więc jak nie byłoby nic do podziwienia, żeby z summy w owym czasie oddanej, do dnia dzisiejszego mnogie urosły krocie, tak równie nic dziwnego, że się dziś o nie dopominamy."

Po takich uwagach, które oswajały i godziły niejako wszystkich z jego rachunkiem, skarbnik w drugiej części repliki swej, apologią rzetelności zręcznie do okoliczności zastosowaną napisał: „Rzetelność, owa najzacniejsza i najprzedniejsza cnota ojców, dziadów i pradziadów naszych, mówił on, wyższa nad wszelkie opisy na papierze, bo zapisywana zawsze na sumieniu poczciwych ludzi i temże sumieniem ewinkowaną była. Dług z taką ewikcyą przechodził z pokolenia na pokolenia; wypłacały go dzieci za rodziców, wnukowie i prawnukowie za dziadów i pradziadów; bo grosz pożyczany a nieoddany, nie tylko substancyę dłużnika, ale i duszę obciążał."

„I czyż natośmy dziś, najjaśniejszy trybunale, przyszli, żeby ta cnota i wiara miały szwank ponieść od nas potomków, spernucych przykładami przodków naszych? i jeszcze od tych szczególniej, których duchownej pieczy taż wiara, cnota i zbawienie nasze oddane? Któż z was sędziowie, kto z obecnych tu poczciwych ludzi nie kwapiłby się wykupić, naprzykład z niewoli tatarskiej, choćby ostatnim groszem, ojca lub dziada swojego? a przecież daleko gorszą, sroższą i dłuższą niewolą niewypłatnemu dłużnikowi i niewykupującym go niewdzięcznym dziedzicom jego, grozi dług tu na ziemi zaciągnięty, o który na tamtym świecie rozliczać się trzeba. Oblig wtenczas będzie cyrografem na duszę, za którym skondemnowana ultymarnie pójdzie w niewolę czyścową, jakby w tradycyę *ad extinuationem* *). I takimże to więc darem dla duszy swego fundatora i benefaktora, przysługują się ks. karmelici głęboccy?. . . "

Oczy sądu i wszystkich pod wrażeniem tych słów, zwróciły się na karmelitę stojącego w kącie. Ten spokojnie oczy w dół spuścił, ale w myśli przeklinał swoją apelacyę.

Skarbnik, z ukontentowaniem spostrzegłszy wpływ powszechny swego głosu, kilku jeszcze argumentami jednostajnej z powyższym treści i mocy, takowy zakończył.

Marszałek miał zawołać do namowy, gdy adwokat strony przeciwnej zbliżył się do kratek i poprosił głosu. Lecz ocknął się jakby z zamyślenia ks. karmelita, szybko podszedł do swego obrońcy i usuwając go — dość! rzekł, a sam wszedł za kratę. Wchodziły tam niekiedy strony w takiej stanowczej chwili, dla osobistego pokłonu urzędnikom i polecania się ich sprawiedliwości.

Toż samo zdał się chcieć uczynić i karmelita. Ukłonił się on pokornie całemu kołu deputatów, a przyszedłszy do marszałka i za kolana go uścisnąwszy, wprzód, nimby mu to zaprzeczonem być mogło, ujął w obie ręce srebrny krucyfiks na stole przed marszałkiem stojący, wzniósł go nad swe czoło, potem ucałowa gorliwie i znowu na stole postawił.

Obrót ten, z serca czy z namysłu pochodzący, zwrócił uwagę wszystkich i mógłby być antydotem przeciwko głosowi pana skarbnika, gdyby ten, uważając bacznie każdy krok księdza, i to wrażenie powszechne z pocałunku, nie zawołał żałośnym głosem: *Et per osculum traditavit Dominum!* *). Śmiech się rozległ po sali i zawołano do namowy.

---

*) Do wybrania długu z fortuny, wyraz techniczny.
**) I pocałunkiem wydał Pana.

XVII.

Namowa i dekret.

Kilkudziesięciu mężów zostawszy sami około sądowego stołu, pierwszy raz spojrzeli na siebie, a na wszystkich, prezydujący im pan Zaranek. Długa nastąpiła cichość i milczenie, nakoniec błędne źrenice przechodząc z twarzy na twarze, zjednoczyły się razem na obliczu marszałka i oczekiwały odeń pierwszego słowa. Ten znowu świadomy trybu zwyczajnego zbierania zdań sędziów w namowie, bo nie pierwszy to już raz zasiadał w trybunalskiem kole, spoglądał i oczekiwał na pana Bohomolca, piszącego w wielkiej księdze. I wszyscy więc do niego się zwrócili, rozumiejąc, i może niektórzy dziwiąc się w duchu, że się wyrok bez ich decyzyi pisze.

Księga ta, którą zapisywał Bohomolec, był to sentencyonaryusz, w który, w sprawach większego znaczenia, lub zawilszych wątpliwościach, na sformowane przez pisarza z treści procesu krótkie i zwięzłe zapytania, deputaci zdania swoje, w kilku także słowach z kolei podpisywali. Natenczas to zwykle zaczynały się rozprawy i sprzeczki, przeciągające się czasami tak długo, że gdy prawo nie dozwalało sędziom, ani przysięgłym rejentom, przed ogłoszeniem dekretu wyjść z izby sądowej, przynoszono więc tam obiady, wieczerze i pościele, a częstokroć kilka dni i nocy sąd bywał w zamknięciu. Nieraz, gdy rozróżnione zdania w stanowcze sentencye skupić się nie mogły, lub gdy silne wpływy tak ogmatwały sędziów, że nawet w zamkniętem kole sumiennego swego zdania wyznać nie chcieli; wzywano sekretnego *turnum*. To jest: na propozycyę w sentencyonaryuszu zapisaną, głosowano w zakryty wazon za parawanem, jak dziś na sejmikach, i próba taka nigdy nie chybiła, zawodząc zawsze nadzieje intrygantów.

Częstokroć najupartsza sprzeczka przy stole sądowym, z zadziwieniem wszystkich, kończyła się sprawiedliwą jednomyślnością w wazonie, na którym zwykle w takim razie i krucyfiks ze stołu sądowego przenoszono, bo usta za stołem wspierały uwiedzioną i lękliwą wolę, ręka zaś samotna za parawanem w obec tylko wizerunku Chrystusa, szła koniecznie za głosem sumienia.

Powstał zatem pan Bohomolec i rzekł:

— Trzy w sprawie tej, przezacni koledzy, wynikają zapytania, które, gdy rozwiążemy, dekret kilkanaście tylko zajmie wierszy: *primo*, czy skasować oblig i pretensyę pana Sulistrowskiego do ks. karmelitów, powodem dawności ziemskiej i ukarać go ekspensami prawnymi? *secundo*, czy utrzymać dekret ziemstwa oszmiańskiego i sądzić na karmelitach *cum altero tanto* *) procentów; a co zatem idzie, ukarać karmelitów za apellacyę sześcią nie-

---

*) Drugie tyle.

dzielami wieży na nawiązki, jako dla zakonników zamienionej, i ekspensami prawnymi? *tertio*, czy sądzić kapitał z wyliczeniem procentów i rekambiów podług tabeli pana Sulistrowskiego, z dodaniem także ekspensów prawnych.

Znowu milczenie niekrótkie... bo każdy miał tu wewnętrzny rozrachunek. Głos pana skarbnika i argumenta jego, odsłaniające, jakeśmy to wyżej czytali, powód wygranej Sulistrowskiemu tam właśnie, gdzie sędziowie skrupuły i wątpliwość znaleźć mogli, niemało przykładały się w tej walce sprzecznych myśli do łatwiejszego układu z sobą samymi, i ustalenia przekonania, że opinia dogadzająca żądaniom pana pisarza litewskiego będzie razem słuszną; że ujmując karmelitom dóbr świeckich, ujmie się im razem i grzechu zaparcia się cudzej własności; a zatem, że przegrana w interesie ziemskim, w interesie zbawienia ich i Korsaka, pożądaną byćby im powinna. Że kapitał mały, przez ciąg długiego czasu w krocie urasta... Słowem takie i tym podobne perswazye, wszystkie z głosu pana skarbnika czerpane, godziły większą część sędziów, z ich własnem sumieniem, a dowodziły głębokiej znajomości skarbnika, nie tylko dróg prawnych, ale i tych dróg ukrytych, któremi do serca, a zatem i do przekonania ludzkiego najłatwiej się trafia.

— Sądzić zatem,—odezwał się któryś śmielszy z deputatów, —summę z procentami, podług rachunku pana Sulistrowskiego.

— Sądzić! sądzić!—odezwało się kilku innych, i coraz więcej, i coraz gęściej to słowo powtarzało się:—sądzić! sądzić!

Pan Brasławski, na którego policzkach widać było, że zgwałcił konstytucyę obowiązującą sędziów, aby *sana mente* *) sprawiedliwość świętą szafowali, rzekł stanowczo, powstając i kręcąc zawiesistego wąsika: „Stanęło na tem i skończyło się, mosanie! popi głęboccy bogaci, stracą milion, drugi im zostanie; a i ten niepotrzebny; przysięgają na ubóstwo, a opływają w dostatkach. Doliczyć zatem ekspensa prawne, nawiązki za wieżę i zasądzić okrągło milion! stanęło na tem i skończyło się.“

— Ale miliona i strona nie żąda, odezwał się pan Zaranek.

— Nie żąda, ale przyjmie mosanie! stanęło na tem....

— Zastanówmy się nadto koledzy, że gdybyśmy odrzucając wzgląd na dawność, rzekł Bohomolec, uznali ważność obligu i doliczyli tylko zwyczajne od lat tak mnogich procenta, wzrosłaby znakomita już summa. Sądzić zaś od procentów procenta, byłoby to przychylać się do żądania nadto daleko posuniętego, przez obrońcę prawnego, a niewiadomego, jak mi się zdaje, samemu panu Sulistrowskiemu.

— A mnie się zdaje, odezwał się pan Trocki, że dość będzie utwierdzić mądry dekret ziemstwa oszmiańskiego.

---

*) Trzeźwym umysłem; konstytucya ta zakazywała dla tego poobiednich posiedzeń sądom.

— A, co na to, nie ma zgody, odezwało się kilku, a najgłośniej ów stronnik miliona.

— Milion powiadam mosanie: milion i kwita. Stanęło na tem i skończyło się.

— Proszę więc wpisać tu swoje zdanie, rzekł doń pan Bohomolec, podnosząc mu sentencyonarz.

— Na nic—na nic to niepotrzebne mosanie! pisz sam, a rejenci niech ci pomagają. Ja decyduję, stanęło na tem....

— Zacny kolego, rzekł przerywając ten swar Zaranek, uspokój się i zasiądź na swe miejsce. Z porządku i po kolei pytać każdego będziemy o sentencyę, tego wymaga prawo i *decorum* *) tej najwyższej magistratury.

— Stanęło na tem mosanie ..—mruczał pan Brasławski usiadając spokojnie i spoglądając z ukosa na Bohomolca.

Tymczasem niektórzy rozpatrywali papiery i dowody przez skarbnika złożone, inni w cichej między sobą rozmowie, wzajemnie się oświecić i przekonać starali.

Nakoniec rzekł pan Zaranek:—koledzy! przystępuję do zebrania głosów na zapytanie w sentencyonarzu.

Lecz tu gwar powstał daleko większy. Górował wprawdzie nad wszystkimi głos pana Brasławskiego: Milion! milion mosanie, stanęło na tem i skończyło się. Ale w powszechnym sporze i tem żwawszym, że kilku stale głosowało za utwierdzeniem dekretu oszmiańskiego, Zaranek uważający pilnie, i w milczeniu liczący zdania, ile je w zgiełku wyrozumieć można było, uznał, że większość zdaje się być za utrzymaniem rachunku Dowiata. Uderzając więc laską marszałkowską o stół, co zjednało chwilowe milczenie: —W rozróżnieniu, rzekł, tak niezgodnem i rozmaitem decyzyi waszych, mości panowie, proponuję z miejsca mojego *turnum*, na każde z osobna ogłaszane pytanie, a większość wotów za którymkolwiek, da nam *conclusum*; lubo smuci mię to i źle wróży, że pierwszy nasz wyrok od rozterek zaczynamy i ostatecznego tego środka, dowodzącego wzajemnej naszej nieufności użyć musimy.

Nowa ta propozycya wielką liczbę głosów zjednoczyła.— Prosimy o *turnum*, panie marszałku, prosimy! odezwało się kilkunastu.

Ale kilku przeciwnie i stanowczo odpowiedziało.—Nie! nie! mości marszałku; *turnum* sekretne, tylko jednomyślnie przyjętem być może, a my się na to nie zgadzamy i wotować nie będziemy. Stąd jeszcze większy wszczął się zgiełk i niezgoda; której nie mogąc uspokoić pan Zaranek, upatrzył chwilę powszechnego zamieszania i szepnął słów kilka jednemu z rejentów na ucho; ten niespostrzeżony wymknął się tylnemi drzwiami z sali....

---

*) Powaga.

Wśród trwającego i zwiększającego się nawet co chwilę gwaru i sprzeczek, otworzyły się niespodzianie na oścież drzwi od korytarza, zbudowanego, jakeśmy to wyżej opisali, przez pana Łopacińskiego, a łączącego mieszkanie jego z izbą sądową *), i dwuch hajduków wciągnęło do sali w krześle, na wpół leżącego marszałka.

Zdumieli się wszyscy i umilkli na ten nieoczekiwany widok. On skinął ręką na hajduków i ci usunęli się za drzwi. Podeszła wiekiem, a cierpieniem udręczona twarz jego, nie straciła jednak szlachetności i powagi, właściwej jego wysokiemu dostojeństwu. Włos biały spadał mu niedbale na wysokie i otwarte czoło, a oko czarne i pełne, wkrótce jednak wiecznie zawrzeć się mające, łzą się zaćmiło, gdy wyciągając rękę ku zdumionej gromadzie, rzekł łagodnym i spokojnym, a razem uroczystym głosem: „koledzy! *moriturus vos salutat!*“ **).

Wszyscy się razem do uściśnienia ręki tej rzucili. Radość z oglądania dostojnego swego przewodnika, miarkowała się wprawdzie tem jego smutnem powitaniem, i dla tego hucznym nie wybuchnęła okrzykiem. Wszakże tem czulsza i głębsza ogarnęła serca wszystkich i tkliwą a przychylną troskliwością okrasiła wszystkie oblicza.

— Bóg cię podźwignie, kochany nasz marszałku. Będziemy wszyscy modlić się za twoje zdrowie! Jeszcze ozdobisz nasz litewski trybunał! tak każdy swoje życzenia i nadzieje dokładał.

— Kochani koledzy! Kochani ziomkowie! dziękuję wam za życzliwość i przyjaźń waszą, rzekł Łopaciński, ale gotujcie raczej modły wasze wkrótce za moje zbawienie. . . bo na przywrócenie mi zdrowia cudu chyba potrzeba; a osłodźcie raczej ostatnie godziny moje, miłą w okrutnych boleściach pociechą i przekonaniem, że pod mojem imieniem, niestety! nie przewodnictwem, rozpoczynający się trybunał, sprawiedliwością bezstronną, nieuległą i jednomyślnością słynąć będzie. Dajcie mi tę przy zgonie pociechę, koledzy moi! Słaby i cierpiący srodze, kazałem się tu zawieźć, bo póki jeszcze żyję, ostatnią chwilę moją poświęcić powinienem obowiązkom moim. . . tak mi każe sumienie, tak wzgląd na sławę imienia mego, związanego na zawsze ze wspomnieniem tego trybunału.

— Pod laską Łopacińskiego, trybunał, powiedzą kiedyś potomni źle się zaczął:niezgodny w zdaniach, niesprawiedliwy w wyrokach! ach słusznie dodać będą mogli — i to Łopacińskiego dobiło!

Wszyscy w milczeniu z oczyma ku ziemi spuszczonemi słuchali tych wyrazów.

— Od pierwszego kroku waszego, koledzy, mówił on dalej,

---

*) Cała treść procederu tego i ta ostatnia scena jego, jest prawdziwa.

**) Umierający was pozdrawia.

od pierwszego waszego dekretu, dekret o was napiszą Bóg i ludzie; a mnie ten dekret najpierwiej dojmie przed Bogiem, najsrożej zhańbi przed ludźmi; bom ja pokrewny pisarza litewskiego. Powiedzą zatem, żeście mojemu wpływowi ulegli, żem na śmiertelnej pościeli był jeszcze intrygantem; a przecież jako krewny i przyjaciel jego, oświadczam wam i najmocniej zapewniam, że on od was niesprawiedliwości nie żąda, że on dobre swe imię nad miliony ceni . .

A więc koledzy!. . .

— A więc marszałku, sam decyduj w tej sprawie, odezwało się kilku, a za nimi wszyscy. Zgadzamy się na twoje zdanie! zgadzamy się! okrzyknięto.

Łopaciński zamilkł, zmęczony długą mową swoją, i żywszem uczuciem jakie w sobie obudził. Oparł czoło na dłoni; lecz wzniósłszy je po chwili łagodniejsze i tkliwsze, rzekł: — Dziękuję wam, koledzy! dziękuję z całego serca. Zaufanie to wasze, sił i zdrowia mi przedłuża; cieszy mnie, i ulży ostatnie moje godziny. Podawał on, to mówiąc, rękę każdemu, uściskaną przez każdego czule.

— Nie słuchałem tej sprawy, przedłużał potem, więc radzić wam tylko, nie decydować mogę, lubo wiem dokładnie treść onej. Powiedźcie mi zatem naprzód, czy sumiennie przekonani jesteście, że karta, za którą Sulistrowski żąda wskazu na karmelitach jest sprawiedliwą i niezaprzeczoną?

— Przynajmniej, odpowiedział Zaranek, karmelici nic takiego naprzeciw niej nie złożyli, ani okazali, coby ją w wątpliwość podać mogło, a niweczyć dowody Sulistrowskiego. Więc jako sędziowie na tychże dowodach mający opierać nasz wyrok, nie na domysłach wspierających dawność, którą się zasłaniają karmelici, a która raz uznana, dałaby pieniactwu nową tarczę naprzeciw wszelkim sprawiedliwym poszukiwaniom; możemy i musimy nawet uznać należność dla Sulistrowskiego, tak mi się przynajmniej zdaje; jakże, koledzy?

— Prawda! prawda! zgoda! odezwało się całe zgromadzenie, ale wieleż przysądzić?

— Gdy tak jest—decyzyę moją, a raczej radę moją łatwo zgadniecie. Z żądań i rachunków obrońcy Sulistrowskiego, odrzućcie to, co tam zapewne gorliwość jurysty, i nadzieja zysku w miarę wygranej wpisała. . . resztę wam rozum i sumienie niech dyktują. . . Siły mię opuszczają— darujcie—Żegnam was! . Niech Bóg błogosławi sądy wasze! . . Koledzy! przyjaciele! jeżeli kiedy niezgoda lub intryga wejdzie między was, zakłóci wasze namowy, pokazić zechce wasze wyroki, przypomnijcie mnie! Wspomnijcie na tę moją chwilę, między wami ostatnią. . . i pomyślcie, że duszą i po zgonie z wami obecny wasz marszałek, błaga was o jedność, staropolską poczciwość i cnotę!. . .

Łzy rzęsiste potoczyły się po licach dostojnego starca, przecięły coraz słabiejącą mowę jego, i równeż potoki rosiły twarze

prawie wszystkich obecnych. Na znak dany chorego, zawołano hajduków; ci zawrócili krzesło, za którem rzucili się wszyscy tłumem do uściśnienia raz jeszcze ręki oddalającego się swego marszałka. Ten na wpół zemdlony, gęstemi jeszcze łzami i smutnem skinieniem czoła, odbierał i oddawał te tkliwe, a jak sam przepowiedział, ostatnie niestety! pożegnanie wielbiących go kolegów, którzy w kilka dni potem szli smutni za jego pogrzebowym wozem.

Nie wiedziano za drzwiami sądowemi, co się działo wewnątrz, bo galerya którą przybył i oddalił się Łopaciński krytą i opierzoną była. Dziwiono się jednak i szukano przyczyny, dla czego wrzawa w namowie tak huczno słyszeć się dająca, ustała nagle, a wnioski stąd i wróżby, przerwało otwarcie wkrótce izby i odczytanie dekretu, którym zasądzono dla Sulistrowskiego kapitał z procentami, z odrzuceniem naliczeń pana skarbnika.

Wnet zawołano aktorat pana starosty Kapinowskiego z Dowiatami.

Wystąpił więc na czoło palestry znajomy już nam, opasły plenipotent starościnej, lecz go pociągnął z tyłu za wylot od kontusza pan skarbnik i odprowadziwszy z tłumu w kąt, dał w rękę bilet starościny, z nadpisem pana Sulistrowskiego.

— Jak to? zawołał on przebiegłszy pismo — zapisać aktorat na ugodzie?

— A tak na ugodzie, odpowiedział spokojnie skarbnik.

— Nie pozwolę na to, to intryga...

— *Inter nos loquendo,* daj Boże taką intrygę, która do ugody prowadzi; pod takim względem i wasanu dobrodziejowi intrygantem być życzę. Jakkolwiek to jest, nie możesz jegomość rozpoczynać sprawy, którą aktorowie sami wstrzymać pragną.

Biegnę do starościnej; proszę tymczasem nie kondemnować, bo stawamy—wnet wracam.

— Poczekaj, mój dobrodzieju, rzekł skarbnik wstrzymując go: *inter nos loquendo* za daleka wędrówka. Pani starościna dziś *summo mane* *) wyjechała do Szemetowszczyzny, do jaśnie wielmożnego pisarza litewskiego.

— Nie może być; wczoraj około zachodu słońca widziałem się z nią, nic mi o tem nie mówiła.

— Ale po zachodzie słońca inaczej się stało... a dziś o wschodzie, już była na Połockim trakcie, upewniam honorem jegomościa.

Pan plenipotent otarł z potu czoło, i spuścił je ku ziemi.

— Do kompartycyi **) zawołał znowu woźny.

Natenczas pan plenipotent szedł za skarbnikiem ze smutną miną i obaj sprawę na ugodzie zapisali.

---

*) Bardzo rano.
**) Do stawania u sądu. Wyraz techniczny sądowy.

XVIII.

Szemetowszczyzna.

Piękna jest szeroka Litwa nasza *)! zawołałem w serdecznem a głębokiem uczuciu przywiązania do ziemi ojczystej, i w rozważeniu piękności, jakiemi Bóg ją obdarzyć raczył!... Oh! któż bo nie kocha kraju, w którym się urodził? gdzie spoczywają prochy naddziadów i rodziców jego, gdzie każda stopa ziemi urocze mu i miłe przywodzi wspomnienia, w których zbłąkana myśl jego, przepływa cicho i spokojnie, kojąc natrętne troski życia, lub gorzkie serca cierpienia! . .

Lecz te tkliwe, pełne słodkiego rozrzewnienia uczucia, nie zależą bynajmniej ani się wzbudzają wspaniałymi ani pięknymi krajobrazami, zdobiącymi ziemię. Pod nizką strzechą, którą dla ciebie dziadek twój zbudował; w ogródku wiejskim, w którym cię niańka podnosiła do gałązki gronem rumianych wiszeń bogatej; na małej łączce, na którejś między kopami wonnego sianka biegał; na jakiejś samotnej drożynie, gdzie twe młodzieńcze snułeś ideały, miłość ta obudzi się w duszy twej, w duszy każdego poczciwego człowieka. Ogarnie go w czułe, że tak powiem objęcia, jak matka ukochane dzieci; utulać go będzie i pieścić, tkliwemi łzami obleje mu lica. Ach! oddalonemu, tęsknotą jak kamieniem, ciężyć będzie na sercu!. . .

Miejsca takie, są to miłe dziedziny rozkoszy, wydzielane cząstkami dla ludzi, do codziennej dla nich pociechy, do samotnego, a słodkiego pokarmu duszy. Ale dla jej wyższego wzniesienia, dla jej swobodnego polotu w niebiosa, Bóg sam zda się poznaczał miejsca na globie, na które wstąpiwszy człowiek, czuje się dostojniejszem dziełem rąk jego. Myśl wzniosłą ku niemu rozwija, poznaje go i wielbi w pięknościach i doskonałościach natury i oddycha piersią przepełnioną rzeźwem życiem oblewającem go dokoła. W takie wspaniałe miejsca, bogatą jest Litwa nasza. . .

Przed wieki, cała pokryta i zarosła lasami, w dzikiej swej i ponurej piękności, mocarzom swoim pasującym się dzielnie ze srogimi żubrami, odkrywała ona codzień nowe i coraz piękniejsze miejsca, na twierdze i grody, na gmachy dla nich samych, na bałwochwalcze świątynie ich bogom! . . Dziś otwarta i roztrzebiona kraina, w połączeniu pozostałych leśnych obszarów i niw żyznym urodzajem okrytych, i siół i dworów tu i ówdzie rozrzuconych, i rzek i jezior ruchomemi zwierciadłami wyściełających ziemię — przedstawia nader często widoki i krajobrazy, zachwycającej piękności, szczytnego rozmiaru, lub niewymownego wdzięku.

Zalecać je i wskazywać poszczególnie ziomkom, byłoby to wprawdzie ofiarować im obfite źródła i środki najprzyjemniejszych uczuć i wrażeń; byłoby to może zwracać pożytecznie, cele

*) Brzegi Wilji.

ich obcych wędrówek ku rodzinnym okolicom, lecz byłoby to puścić się na niezliczone ustępy i odnogi od głównego przedmiotu dzieła, a zawsze być przewodnikiem niedostatecznym po ścieżkach, na których miłość swej ziemi, dobra wola, i czułe serce, jedynie przewodniczyć powinny.

Tę więc tylko okolicę, do której scena mej powieści przenosi się, jedną z piękniejszych na Litwie, i należącą do takich, które mi powyższy ustęp natchnęły, wprowadzam na widok czytelnikom, z których nie jeden, albo ją przypomni, albo ją pozna kiedyś, jeżeli go szczęśliwe zdarzenie, zaprowadzi gościem w te strony.

Jest o mil kilkanaście na północ Wilna *) jezioro, zwane Świrskiem od starożytnego miasteczka Świru, nad jego brzegami położonego i od książęcego Świrskich rodu, tu swą dzielnicę mającego. Ma ono podobieństwo do wielkiej rzeki, bo milę szerokie, na dwie wzdłuż się rozlewa, i podróżny, złudzony jego formą, jakby po brzegu jakiej litewskiej Delawary postępuje. Wysokie wzgórza, to ciemnemi bory, to krzewistą leszczyną porosłe, to nagie i ogromnemi głazami granitu obrzucone, okrążają go, a z każdego całą okolicę, w coraz nowym obejmiesz obrazie,

Z jednego, dojrzysz w oddaleniu trzy krzyże na obu krańcach i nad średnicą jeziora, na wieżach trzech kościołów w borach ukrytych wznoszące się i błogosławić zdające się okolicom, nad któremi górują. Pod jednym z nich modlił się niegdyś w świrskim kościele Batory, gdy się na północną wojnę wyprawiał. Na innym gdy staniesz, znika z przed wzroku, jak teatralna dekoracya, zasłona wiecznej zieloności borowej, i same gmachy kościelne **) jaśnieją odbitym po białych murach i po długich oknach, słonecznym, promieniem, lub jeszcze milsze, gdy na nie w wieczór spoglądasz przy świetle księżyca. Zmień jeszcze pagórek, a ujrzysz okolone zielonemi ogrody, w ich cieniu i wdzięku bielejące się murowane gmachy, lub mieszczące się rozkosznie domy i budowy ***) dziedziców umiejących użyć dostatku na ozdobę swych siedlisk i kraju. Dalej rzędem poszykowane wsie długie, lub samotne zaścianki, wesołe obiegają trzody i pracowity oborywa chłopek, a u nóg twych rozległa szyba wodna, po której lekkiemi kołysane falami, lotne ślizgają się łodzie, niosąc każda rybaka i jego fortunę. Zbłąkane za niemi oko tonie natenczas w głębiach, lub się gubi w odległym horyzoncie, a myśl w nieograniczonej przestrzeni.

Czemże piękniejsze są jeziora szkockie? czem powabniejsze ich brzegi? A przecież nie jeden ziomek nasz, czytając Walter-Scotta, z zapałem i upragnieniem nad niemi się unosi, a oziębłe patrzy na własne. . . Ach! różnica nie w naturze, wszędzie uro-

---

*) Świr, Zaświrz, Wiszniew.
**) W powiecie Świrskim.
***) Wiszniew, Dobrowlany, Bolkow.

czej, ale w talencie autora i w poniewierce, chwała Bogu już codzień niknącej, wszystkiego co ojczyste, co swoje...

Wśród borów rozszerzających się od jeziora Świrskiego, leży Szemetowszczyzna, majętność od starożytnego litewskiego rodu Szemiotów przed wieki założona i nazwana, a w kolei lat do różnych znakomitych imion tutejszych przechodząca. Była ona niegdyś własnością Zenowiczów, potem Przezdzieckich, nakoniec przeszła do Sulistrowskich, i dziedzicem jej był właśnie pan Aloizy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, jak w czasie kadencyi trybunalskiej wyżej opisanej, tak i w pół roku po niej.

Pół roku te przeminęło martwo i dla procesu i dla romansu, będących treścią mojej powieści. Pierwszy zawieszony na ugodzie niby, drugi na rozwodzie niby; lecz i ugoda i rozwód, nie dały sobie jeszcze ostatniego słowa. Pierwsza, pajęczą tylko jakby nicią spojona, chwiała się też jak pajęczyna od każdego powiewu humoru starościnej, poddmuchiwanego namowami plenipotenta, i zerwałaby się może, gdyby nie wzgląd na pana Sulistrowskiego. Drugi, rozdzielił wprawdzie skłonne ku sobie serca; ale te jak dwa rozjęte magnesy, nieprzerwanie ku sobie się zwracając, stałą miłością, jak niewidomym płynem magnetycznym się łączyły..



XIX.

Znowu Książe Radziwiłł, Panie kochanku.

Podjęta z grobu i zapomnienia postać tego ukochanego niegdyś na Litwie męża, nader często wychodzi na jaw w dzisiejszem powieściopisarstwie naszem. Dla czego? nie dla anegdot jego pewnie, które lubo mają wszystkie cechę dowcipu i prawdziwie narodowego naszego humoru, lub prawie w każdej z nich jest ślad znajomości zwyczajów, podań i obyczajów ówczesnych; wszakże służyćby tylko one mogły na rozweselenie domowej jakiej gromadki, przypominającej dawne czasy, ale nie na treść do dzieł poważniejszych. Nie dla opisów wspaniałości dworu jego i pańskiej jego hojności, bo w tem mu, kilku przynajmniej bogaczów polskich wyrównywało, a wielu się doń zbliżało. Lecz, że wszystkie razem przymioty, skłonności, cnoty, wady, i śmieszności nawet w nim zjednoczone i uosobione, czyniły go, że tak powiem, symbolem już natenczas narodowego charakteru, i ostatnim prawdziwego polskiego możnowładcy, obrazem; w którego państwie było szlachectwo, to jest: zacność szlachecka, miłość braterska powszechna i głębokie do wiary przodków, a nawet do ich przesądów przywiązanie!—Dla tego w szerzącej się naówczas u nas obczyznie, gdy z nią razem wchodzący do kraju egoizm rozłączał panów od szlachty i zamykał przed nią bramy ich pałaców,

zamek nieświżski stał otworem dla braci, dając nietylko dla ich osób, ale i dla ich zwyczajów i dla ich starzejących się pojęć, przytułek.

Pod takim względem, nad którym rozszerzać się nie będziemy, uważany książe Karol Radziwiłł, prócz wypadków politycznych życia jego, będzie zawsze historyczną postacią, która nieraz się jeszcze powtórzy, jako i powtarza w powieściach i obrazach, mających treścią ówczesne dzieje i starcie się na głowach ojców naszych, dwóch przeciwnych sił moralnego ich ukształcenia.

Dowiódł tego z niezrównanym talentem autor Pamiętników starego szlachcica. Zna on najdokładniej, właśnie pod względem wyżej dotkniętym, wiek tamten i przedstawiciela w nim cnót staroświeckich Radziwiłła, i napisał nieśmiertelny pomnik nietylko jego pamięci, lecz i własnej między ziomkami sławy.

Po bytności króla Stanisława Augusta w Nieświżu gdy się cała rozjechała szlachta, gromadnie, jakby na wybór nowego pana, przez Radziwiłła zgromadzona i hojnie podejmowana *), pozostały ze znakomitszymi gośćmi Sulistrowski, pod którego wspólnem z Michałem Chodźką, wojskim, oszmiańskiem przewodnictwem, szedł powiat oszmiański do Nieświża; przyjaciel domu Radziwiłłów, a szacowany szczególniej dla swych przymiotów i rozumu przez księcia Karola, umyślił zaprosić go do Szemetowszczyzny i wyprawić mu przyjęcie wspaniałe, w któremby Radziwiłł króla, a Sulistrowski Radziwiłła mógł powtórzyć.

Jednego więc ranku, gdy książe otoczony przyjaciółmi, w najlepszym będąc humorze, prowadził rozmowę, niełatwo wyczerpać się mogącą, o festynach, oracyach, illuminacyach; o sławnym fejerwerku na stawach Nieświżskich, przedstawiającym atak Gibraltaru; o polowaniu, na którem nadzwyczajny osiłek pan jenerał Judycki stojąc blizko altany, na której był król, biegącego niedźwiedzia przebił oszczepem **) osadził na ziemi i krzyknął: „Strzelaj królu!“ Dowód takiej siły zadziwił monarchę i wszystkich; nie strzelał jednak król, bo się lękał niebezpiecznego strzału do źwierza pasującego się z Judyckim; dobił go więc w łeb z pistoletu obok stojący Czechowicz, a król ranił innego niedźwiedzia drugą linią napędzonego na altanę.

Każdy z obecnych przyrzucał to uwagi to anegdoty do powszechnej rozmowy. Lecz, gdy która z nich zakrawała wprost lub ubocznie na ubliżenie królowi, gdy się wymknął komu z ust pan stolnik ***) książe spozierał z podełba z nieukontentowaniem i nie-

---

*) Znajomym jest powszechnie opis nader suchy bytności tej króla w Nieświżu, podobno przez towarzyszącego mu tam ks. Naruszewicza.

**) Prawdziwe.

***) Tak tytułowali Stanisława Augusta, niechętni jemu, gdyż przed wstąpieniem na tron miał tytuł stolnika litewskiego.

wczesne żarty karcił, mówiąc niejako z nadzwyczajną powagą: „Panie kochanku! Radziwiłł przyjmował króla polskiego!... trzeba to wiedzieć i znać, panie kochanku!"

— Tak, mości książe, rzekł Sulistrowski, i przyjęcie to godnem było i gościa i gospodarza, i Radziwiłła i króla!... Lecz czy nie raczyłbyś w. ks. mość doświadczyć i widzieć, jak szlachcic przyjmuje ukochanego od wszystkich obywatela?

— Co to ma znaczyć, panie Aloizy?

— To ma znaczyć, mości książe, że umyśliłem prosić w. ks. mości, abyś mnie raczył uszczęśliwić bytnością swoją w Szemetowszczyznie, wybrawszy na to podług swej woli czas; ale jednak niedaleki, aby się nam na pańskiej obietnicy nie skończyło. Powiadam, mości książe nam, bo prośbę tę wnoszę nie tylko od siebie, ale i od całego powiatu oszmiańskiego, który w sowitym poczcie stawił się na rozkaz w. ks. mości w gościnę do Nieświża. Raczże w. ks. mość być u nich wzajemnie gościem, na dowód, że jak powiadasz książe, kochasz oszmiańczyków.

— Panie kochanku, rzekł pomyśliwszy nieco i pokręcając wąsa książe; radbym to z duszy uczynił i tobie, panie Aloizy i braciom oszmiańczykom złożył moje homagium... ale... ale jesień....

— I polowanie, mości książe, przerwał Sulistrowski. A długoż to będą niedźwiedzie i łosie w puszczy żupranskiej czekać na swego pana?

— A wielkaż to puszcza panie kochanku?

Sulistrowski pokiwał głową, myśląc w duchu: mój Boże! nie wie, czy wielka jego puszcza żupranska?—Włok kilkaset, odpowiedział, i właśnie jej to wychowańce dostarczają uczniów do sławnej akademii Smorgońskiej. Prócz tego, obejrzysz jeszcze książe, obszerne swoje dobra tamtejsze: Żuprany, Nowosiołki, Smorgonie, których nawet w tytułach w. ks. mości nie ma, a które niemniej warte są oblicza i oka pańskiego.

— Dobrze to bardzo i wdzięcznem sercem przyjmuję nareszcie obligacyę twoją, kochany panie Aloizy. Wiem, żeś mój i domu mojego przyjaciel; wiem, że i substancya twoja, chwała Bogu nie uboga. Ale pomiarkuj się: mnie przyjęcie króla, kosztowało więcej miliona i król podarował mi janczarkę; więc cóż ja ci dać mogę? chyba kasselkę *) jaką, panie kochanku **).

— Podarujesz mi w. ks. mość więcej aniżeli warte są wszystkie dary królewskie, odrzekł Sulistrowski łącząc w swej mowie i układność dworską i szczerą przychylność dla księcia, wdziękiem głosu i całego oblicza wydającą się: podarujesz mi w. ks. mość

*) Prawdziwe.

**) Stanisław August opatrując skarbiec i zbrojownię Nieświzką, bogatą natenczas w oręże starożytne, darował do tego zbioru janczarkę Jana III. Jaka szkoda, że dziejopis tej bytności króla w Nieświżu, nie opisał tego zbioru przedstawionego natenczas w całem swem bogactwie, a który potem roztyrał się marnie.

najdroższe i najchlubniejsze wspomnienie, które do najdalszych moich przejdzie potomków, wspomnienie bytności Radziwiłła w moim domu.

— Panie Aloizy, rzekł wzruszony książe, ściskając rękę Sulistorwskiego, będę, będę w Szemetowszczyznie i to nie dalej, jak za kilka tygodni. *Verbum nobile!* panie kochanku.

In gratiam tej solennej obietnicy, wesołość i księcia i całej kompanii się podwoiła. Uderzono zatem w kielichy i dzień zakończył się staroświeckiem „kochajmy się."

XX.

Podróż pańska.

Powiadają, że książe hiszpański *Medina di Celi*, mógł przejechać całą Hiszpanię, nie nocując nigdy ani na cudzej ziemi, ani w cudzym domu. Toż samo możnaby powiedzieć o Radziwille podróżującym po Litwie. Mnogie i obszerne dobra jego, w największej dziś części przeszły w różne szlacheckie imiona; a prawie na każdej takiej części, wzrósł dostatni pan i siedzi wygodnie, zbudowawszy sobie jakby dom porządny z ruin potężnego gmachu. Książe Karol, lubo pozbawiony już wielkiej części dóbr swoich, mógł jeszcze od Niemna ku Dźwinie i od Niemna ku Wiśle podróżując, nocować prawie zawsze jak ów grand hiszpański na swojej ziemi. Podróże jego, gdy jeszcze do nich i myśliwstwo się łączyło, szły obozowym taborem.

Najprzód z każdego noclegu, z kilkunastu konnymi wyprawiali się stanowniczy, marszałek i łowczy. Pierwszy znacząc za sobą wiązkami słomy drogę, gdy ta na manowce schodziła, obierał i zajmował kwatery. Miasteczka i wsie rade były gościom, po których zawsze znaczna gotówka zostawała. Marszałek przysposabiał żywność i wszelkie wygody dla księcia i całej jego kawalkaty. Łowczy nakoniec jechał do lasów i kniei, i jak tamten słomą, ten gałązkami jedliny znaczył za sobą kierunek.

I takim właśnie obyczajem wyprawił się książe do Szemetowszczyzny. Sulistrowski odjeżdżając z Nieświża zamówił w miasteczku żyda, który poleciał doń dniem i nocą dając znać o wyjeździe księcia z miejsca. A że podróż trzydziesto z górą milowa, polującemu i z licznem, a po drodze pomnażającem się codzień gronem przyjaciół, powoli posuwającego się taboru, dni z dziesiątek trwać mogła, przeto Sulistrowski miał czasu dosyć dla zaproszenia licznej kompanii i przygotowania się do przyjęcia tak dostojnego gościa.

Przybył nakoniec książe do Zupran i sam się zadziwił, że tak obszerna puszcza dotąd mu znaną nie była i myśliwską jego nie zabrzmiała trąbką, a w której ośmiu niedźwiedzi prócz innej grubej żwierzyny, na jego przyjazd osaczono.

—„Panie kochanku! rzekł on, każę aby niedźwiedzie Żupranskie, odtąd na zimowe leże do Albeńskiego żwierzyńca przychodziły, bo żadnej o sobie wiadomości memu panu generalnemu łowczemu nie dają.“

— A kto im da charcz na tak daleką wędrówkę? zapytał śmiejąc się pan Ważyński, podkomorzy oszmiański, zawołany myśliwy, który zajechał księciu drogę około Holszan w dobrach swoich, i jako zaproszony do Szemetowszczyzny, przyłączył się do książęcego orszaku.

—„A ci, panie kochanku, którzy dotąd skóry ich kradli i łapy ich jedli,“ odpowiedział książe prowadząc okiem z ukosa po swem zawstydzonem myśliwstwie.

Przez kilka więc dni huczne i wesołe polowanie trwało po głębokich lasach żuprańskich od rzeki Oszmiany, szeroko aż ku Wilii rozciągających się. Głuche dotąd ostępy, rozlegały się hałasem psów, myśliwych, dojeżdżaczów, ludu spędzonego na obławy, gęstemi strzałami i tryumfalnemi rogów i trąb rozgłosy, które echa okoliczne, daleko roznosząc, po suchem i pięknem jesiennem powietrzu, płoszyły strwożonego źwierza i napędzały go na siecie i strzały.

Tymczasem około zapadłych w lesie zaścianków, lub około folwarków i wsi bliższych kniejom, w których polowano, zakładano obozy. Szałasze i budy z gałęzi, okrywały rozległe pola, rozjaśnione płomieniem gęstych ognisk, przed któremi wieczerzę myśliwską dla ściągających się na nocleg tłumów gotowano.

Książe otoczony wesołą rzeszą, w najlepszym był humorze, bo dwóch ogromnych niedźwiedzi własną ręką, ubił, a dwóch drugich ranił mocno; tych rzucających się na strzał, stojący zawsze obok niego oszczepnicy, chłopi silni i doświadczeni, przebili.

Po dziennych zatem fatygach, używał książe ochoczo i traktował hojnie bracię szlachtę oszmiańską, nie rozróżniając prawie wielmożnych od okolicznych, których mnóstwo na obławy się zgromadziło. Ogromne misy hultajskich bigosów, pieczeni, zrazów, roznoszono po szałasach; a po nich na potuszenie, krążyły wszędzie cebry i rądle grzanego, a zaprawnego imbierem i gwoździkami miodu, dzielny przeciwko jesiennym nocnym wilgociom i przymrozkóm specyał, którego i książe, dając przykład gościom, nieskąpe wychylał kufle i którego skutkiem były najprzód szumne gwary i wrzaski, a potem twarde całego obozu chrapania.... Spoglądając natenczas na ten fantastyczny obraz pola zasłanego zbrojnym ludem, wśród dogorywających ognisk, wśród warczących psów i rżących koni, wśród wozów i szałasów, cofnąłbyś się myślą o kilka wieków i zdałoby ci się widzieć wpół barbarzyńskie hordy dawnych litwinów, w lasach niedostępnych, pod

wodzą jakiego Witenesa czy Olgierda, zebrane do niespodzianego napadu na jaką nieprzyjacielską krainę, i splądrowania jej ze szczętem.

Tak cały tydzień przebywszy pod gołem, niebem książe pożegnał nakoniec myśliwskie tłumy i w dobrańszem przyjaciół gronie wybrał się do Szemetowszczyzny.

Jechał on długim drabiastym wozem saskim. Nacisnąwszy bobrowy kołpak na głowę i obwinąwszy się burką, ani dbał o niepogody i słoty; krytych pojazdów, a szczególniej karety, znieść nie mógł. Wóz opakowany był bronią, a za wozem biegł uwiązany koń osiodłany i wyżeł faworyt. Tak zwykle najdłuższe po kraju odbywał podróże.

W kilku lub kilkunastu wygodniejszych pojazdach jechali za nim asystujący mu zwykle z interesu, lub dla przyjemności tylko przyjaciele; ale gdyby którykolwiek z dworskich tam się umieścił, straciłby wnet łaskę u księcia i służbę. Na wozach podobnych do książęcego starsi, z konia młodzi, służyć w podróżach byli powinni.

Taka zatem kawalkata od Żupran ku Smorgoniom, oszmiańskim jadąc traktem, mijała ostatni folwark żupranski, gdy wielka gromada włościan na drodze zebrana upadła przed zbliżającym się księciem na kolana, a najstarszy wiekiem papier jakiś nad głowę podniósł.

— Stój, panie kochanku! zawołał książe i wysiadł z wozu.

— Co to jest dziatki?

— Suplika książe panie do was, od biednych waszych poddanych, odpowiedział czysto po polsku staruszek, schludniej od wszystkich ubrany.

— A waść co za taki?

— I ja poddany w. ks. mości, służyłem pajukiem u ś. p. księcia hetmana ojca waszego, a teraz od jego śmierci, miałbym z jego dobrodziejstwa chleb spokojny na starość, ale tu nikomu zjeść spokojnie kawałka chleba nie dozwala tutejszy rządzca.

Książe czytał pilnie suplikę, a tymczasem podróżna kompania powysiadała także.

— A gdzież ten infamis? zapytał książe, zaczerwieniony od gniewu.

— Tu oto w tym folwarku, odpowiedział stary. Wskoczył na wóz książe, i—zawracaj do dworu! wrzasnął.

Wszyscy także ruszyli za nim; bo wiedząc o przyczynie i gwałtowności księcia, zwłaszcza dworzanie i blizcy domownicy nieświżcy, poznali po jego licu i oku, że się tam bez awantury nie obejdzie, i że go hamować trzeba będzie *).

Jakoż wpadł książe na ganek i spotkał tam właśnie ekono-

*) Prawdziwe.

ma, niejakiego pana Pryżmonta, jak na jego nieszczęście, z bizunem w ręku hałasującego na parobka i obiecującego mu sto takich własnoręcznych.

— A tyś to! wrzasnął książe, ekonom tutejszy Pryżmont?

— Ja, odpowiedział przelękniony i zdziwiony razem, bo się nie spodziewał tej wizyty, a że widział księcia na obławach, wnet go zatem poznał.

— A to ty, poganinie, obdzierasz, uciemiężasz i katujesz moich chłopków, krzyczał książe trzęsący się od złości. Nie miał czasu przemówić ani słowa Pryżmont, bo go książe wyrwanym odeń kilka razy przepasawszy harapem, porwał za piersi; a ponieważ był to człek wysoki i suchy, więc go podjął jak tykę, i rzucił z ganku, tak silnie i impetycznie, że ten o kilka kroków padł na ziemię jak długi.

— A poczęstuję ja cię, panie kochanku, złodzieju, tym samym traktamentem, jakim ty moich ludzi traktujesz—sto nahajów! hej wziąść go!...

— Ależ mości książe, on podobno szlachcic! odezwał się ktoś z boku.

— A niech go tam dyabli porwą i z jego szlachectwem, ale kiedy tak, dajcie kobierca! kobierca! nie odstąpię—sto huncwotowi, jego własnym nahajem, wołał rozdąsany... Tymczasem wybiegła pani Pryżmontowa z dziećmi i płacząca padła do nóg księcia... i nadjechała cała kompania.

Na widok licznych i dostojnych świadków swego ferworu, na jęk płaczącej niewiasty, książe się miarkować zaczął.—Sądźcie panowie sami, rzekł, co za łotr! i czego on wart? czytajcie. A gdzież on, panie kochanku?....

Ale Pryżmont nie czekał traktamentu książęcego, i nim się około niego zaprzątniono, uciekł chyłkiem koło płotów, i już go więcej nie ujrzano.

— Ale mości książe, rzekł Hutorowicz, pisarz ziemski oszmiański, czytając podaną sobie przez księcia suplikę—któż wie czy wszystkie skargi włościan są słuszne?

— Jak to, panie kochanku, stary pajuk mojego ojca niesłusznych by nie przynosił; a na co innego dowodu, jak ten kańczuk, który z rąk mu wyrwałem, i którym miał sto wyliczyć, jakiemuś tu chłopkowi. Właśnie na tę obiecankę trafiłem, i chciałbym jegomości samemu oddać tę kwotę. Mówicie, że on szlachcic, fałsz—bo tchórz, uciekł!

Rozśmieli się wszyscy na ten szczególniejszy w takiej okoliczności argument.

— Mikuć, zapytał książe, kto posesorem Żupran?

— Pan Kozieł, starosta oszmiański.

— A, zacny bardzo obywatel, zapewne nie wie o tym ekscesancie. Więc napisz waść do niego, że jego ekonoma zaraz stąd wypędzam, za to, że moich chłopków uciemiężał, że gdy chce nadal trzymać Żuprany, niech ma oficyalistów poczciwych i chrze-

ścijańskich, a bogobojnych ludzi, bo już sam zatem naglądać będę. Stanowniczy! rzekł potem do Bukowskiego, jużeś nam niepotrzebny, bo już dziś na noc będziemy w Szemetowszczyźnie; waść więc zostań tutaj. Wyprawisz mi wnet tego łotra precz; dopilnujesz, aby zaspokoił, co do joty krzywdy słuszne włości, a potem pośpieszysz za dworem.

To mości panowie nie żart! przed sądem boskim trzeba nam będzie wszystkim odpowiedzieć, za naszych chłopków. U mnie tak, panie kochanku, poczciwa szlachta to moi bracia, a chłopki to moje dzieci!

— Takim sposobem, mości książe, [odezwał się Kossowski, nieodstępujący nigdy dworu księcia i chcący wprowadzić go w dobry humor swym dowcipem, jak się mu to nieraz udawało: takim sposobem, każdy chłop w. ks. mości byłby naszym synowcem, na co jednak zgodzić się trudno, bo powiadają, że chłopi pochodzą od Chama, a my szlachta od Japheta.

— Od Chama pochodzą kpy, panie kochanku i waść do tej prozapii należysz *), odrzekł książe siadając zły i zasępiony na wóz swój; a śmiech powszechny skonfundował niewczesnego trefnisia.

Zbliżano się do Smorgoń, a książe nie ustawał w wewnętrznym gniewie i wzburzeniu. Dobre i chrześcijańskie jego serce prawdziwem ozwało się wyrazem, gdy powiedział, że chłopki są jego dziećmi, a stąd trapiła go myśl teraźniejszem zdarzeniem może raz pierwszy żywiej obudzona, że pan mnogich włości i poddanych, mnogie też i ciężkie ma obowiązki względem ludzi równych jemu, a powierzonych mu w pieczę od Boga. Że za ich pracę należy im się czuła opieka; że może równegoż uciemiężenia od nieludzkich rządców, doznają włościanie i innych wsi i dóbr jego.

Cóż tu począć? mruczał sobie, objeżdżać wszystkich sam nie mogę, a panowie plenipotenci i komisarze? niech ich tam kat piecze!!! Przerwał te obsydye i rozmysły księcia, spotykający karawanę konno pokojowiec.

— Pan marszałek Fryczyński, rzekł on zatrzymując konia, kazał mi spotkać w. ks mość, i raportować, że pan Przeciszewski, zastawnik Smorgońszczyzny, nie dozwolił mu rozłożyć się z kuchnią, i czeka na obiad w. ks. mości z całą kompanią.

— Niechże Fryczyński sam zje ten obiad pana Przeciszewskiego—mijać Smorgonie!

— Kahał, mości książe, czeka z dziesięcioro na wjeździe do miasteczka, a rabin ma mieć mowę po hebrajsku do w. ks. mości.

Książe spójrzał surowo na raportującego młodzieńca i powtórzył—mijać! jedź!

---

*) Ta odpowiedź prawdziwa księcia, dała materyał potem Kossowskiemu do wielu anegdot. Długo bowiem przyjmował on na dworze nieświżskim rozmaite figury do swojej prozapii, i wielką onej sformował listę motywowaną rozmaitemi przyczynami.

— Akademia smorgońska, mości książe,—mówił jeszcze pokojowiec, nie spostrzegłszy zapewne wzroku księcia,—przyprowadziła czterech niedźwiedzi na dziedziniec do dworu, i mają tańczyć balet przed w. ks. mością.

— Mianuję cię,—odpowiedział żwawo książę,—rektorem tej akademii, a Fryczyński przyłoży ci patent na kobiercu. Ja z niedźwiedziami w lesie tylko mam do czynienia. Jedź! krzyknął na stangreta,—i mijaj miasteczko i dwór.

Zbity z humoru godnością i obietnicą księcia, jechał za nim spuściwszy głowę młodzieniec, został się potem w tyle za całą kawalkatą, w nadziei, że nie nawijając się księciu na oczy, uniknie humoru i patentu.

Wszystkie zatem solenności przygotowane na przyjęcie księcia dziedzica w Smorgoniach, spełzły na niczem, bo on przejechał kłusem wzdłuż miasteczka, minął dwór i pędził drogą ku Wilii, którą o pół mili przebyć trzeba było. Lecz gdy się zbliżał do jej brzegów; dała się słyszeć muzyka i obudziła zadumanego. Spostrzegłszy książe namioty i liczne około towarzystwo, wysiadł też z wozu. To samo uczyniła cała drużyna. . . a naprzeciw szedł z liczniejszą daleko pan Sulistrowski, spotykający tu księcia na przeprawie. Muzyka brzmiała bez pauzy, okrzyki radosne i powitania nieustawały; więcej półtorastu znakomitszych obywateli litewskich, z różnych okolic zebranych, mieszało się wzajem w powitaniu miłego gościa.

Twarz tylko jednego młodzieńca w żałobie, skromna i spokojna, jeżeli nie ćmiła powszechnej radości, nie zwiększała jej także. A młodzieńcem tym był nasz pan Ludwik Dowiat, towarzyszący stryjowi swemu panu skarbnikowi, wezwanemu przez pana Sulistrowskiego do Szemetowszczyzny. Nie życzył sobie on tej podróży; lecz w liście pana pisarza znalazło się *postscriptum* własnoręczne jego, obligujące i pana Ludwika, aby ze stryjem przybył.

Świeżą a bolesną stratą ojca dotknięty Ludwik, jakby obcy przybysz, przypatrywał się temu wesołemu zbiorowi, aż go stryj wziął za rękę i zaprezentował księciu, sam mu oddawna znajomy.

Pod namiotami rozstawione stoły, okryte były rozmaitą, a obfitą przekąską, która zastąpiła dostatecznie stracony obiad u pana Przeciszewskiego; po której, gdy jedno tylko dostojnego gościa, spełniono zdrowie, muzyka odezwała się na promie wzywając do podróży, której pan Sulistrowski był przewodnikiem. Mil sześć jeszcze z tego miejsca do Szemetowszczyzny; w nocy więc ledwo przybyć tam można było Lecz pan Sulistrowski rozstawił po drodze przeprzęgi, manowce poreperował, a wjazd księcia w nocy, należał właśnie do program okazałego przyjęcia jego.

XXI.

Przyjęcie—Kompromis.

Rzadko dziś słyszymy o tych polubownych sądach, które dawniej nader częstymi i zwyczajnymi były, i które albo kończyły najupartsze spory, albo je w samym zarodzie przyduszały. Nie dla tego zapewne, abyśmy mniej mieli procesów; nie, wcale— juryzdykcye sądowe są nimi zawalone. Lecz wyznajmy szczerze, straciliśmy zaufanie do siebie samych? zaufanie, niechce mi się powiedzieć, w prawość i cnotę własną, a nikomu nie wierząc, nie możemy też nigdy dobrać sobie bezstronnych sędziów.

Póki w sercach było gruntowne przekonanie, że szlachectwo i szlachetność jest jedno i toż samo, że tytuł bez cnoty jest próżnym i nikczemnym; póki przekonanie to, ściśle złączone z wiarą, i z bojaźnią sądu Bożego, nie dopuszczało wątpliwości nawet o sumieniu i poczciwości szlachcica, póki nakoniec okrzyki i poniewierka tego tytułu, nie wzbudziły lekceważenia przymiotów jemu właściwych, a stąd nie osłabiły w duszach samejże szlachty, względów na godność i wartość osobistą - póty szlachcic obierał śmiało rodzonego brata swego przeciwnika na kompromisarza i był pewnym sprawiedliwości. Lecz gdy .. pocóż przeciwny temu, dzisiejszego towarzystwa kreślić tu porównawczy obraz? i prowadzić niewdzięczną morałkę, tytułem i treścią dalszą tego rozdziału na myśl nasuniętą? po co prawić nieskuteczne komunały? idźmy raczej za ciągiem powieści!

Późnym wieczorem przybył książe do miasteczka Szemetowszczyzny, i tam z podróżnego ubioru w oszmiański mundur się przestroił. Od miasteczka do dworu prowadzi grobla długa na ćwierć blizko mili, a po obu jej stronach ciągną się równejże długości szerokie i czyste kanały. Na sute jej oświecenie pan Sulistrowski zebrał lampy ze wszystkich prawie wileńskich i okolicznych kościołów, i na płytkach, rzędem na wodzie do dna przymocowanych, nieprzerwaną illuminacyę około grobli zapalił, którą w oddali zamykał front pałacu, rzęsiście światłem osypany i na szczycie cyfrą księcia jaśniejący.

Wspaniały ten i samą długością zachwycający widok światła rozlewającego się i podwajanego na kanałach, zadziwił i olśnił księcia i wszystkich jadących za nim. Krzyczano z pojazdów wiwat! brawo! podniecane nieustanną salwą kilkunastu moździerzów we dworze brzmiących, a książe kręcił głową i mruczał sobie: „Dalibóg! to lepiej i piękniej niż moje zdobycie Gibraltaru, na które tylko wiele prochu spalono, i nic osobliwego nie było.“

Ponure myśli i humory księcia, wybite z głowy nad prze-

wozem na Wilii, tu do reszty znikły, zwłaszcza, gdy zajechał przed pałac i ujrzał się spotkanym i otoczonym pięknem i świetnem gronem płci obojej, a na twarzach i ustach wszystkich, radość i ukontentowanie z przybycia jego.

Ludwik, będący w tłumie i obojętnem nań rzucający okiem, nagle wstrząsł się cały,.. niespodzianie bowiem spostrzegł na ganku obok gospodyni starościnę, a wnet tuż w licznej gromadzie dziewic i swoją ulubioną Elżbietę, wdziękiem i urodą jaśniejącą nad wszystkiemi. Serce mu gwałtownie bić zaczęło. Zachwiał się na nogach i musiał oprzeć się o kolumnę gankową, aby nie upaść... Wzrok w niej zatopiony pałał mu ogniem, lub mglił się łzami... Oh! wzrok taki jest magnetycznym, jest zaraźliwym... i dla tego oko Elżbiety spotkało się z tym wzrokiem... i padło na tę nieruchomą, smutną i żałobną postać, stojącą w cieniu o kilka kroków od niej.

Oddawna nie widzieli oni jedno drugiego. Starościna wkrótce po sprawie trybunalskiej, wyjechała z córką w odległe strony, na kolejne odwiedziny kilku domów swej familii; może w nadziei, że się znajdzie ktoś, co zastąpi w sercu dziewicy obraz dotąd ulubiony, i że ten rojony ktoś połączy w sobie warunki urodzenia i dostatków, w których ona jedynie szczęście dziecka i chlubę własną widziała. W urodzeniu i dostatkach szczęście dziecka!!! Zwyczajne, a jak mylne częstokroć nadzieje nieuważnych rodziców! .. Cała wiosna i część lata przeszła na takich peregrynacyach nieziszczających przecie widoków starościnej, bo chociaż piękność Elżusi gromadziła około niej mnóstwo wielbicieli, żaden jednak się nie znalazł taki, któryby zajął rzeczywiście głowę interesowanej matki, a serce zakochanej córki.

Gdy wrócili, dom Dowiatów zastali okryty żałobą; a cała osierocona rodzina, której Ludwik po śmierci ojca został głową, wyniosła się do Wilna, aby na łonie życzliwych krewnych, koić pierwsze bolesne rany po tej stracie. Starościna zaś odpoczywała w domu i cieszyła się tryumfem otrzymanym w Warszawie, bo za staraniem pana Sulistrowskiego, ujrzała nakoniec owoc swych usiłowań; większy wprawdzie pozorem niż rzeczywistością, bo tylko przedłużenie posessyi starostwa Kapinowieckiego *post fata* teraźniejszego starosty na starszego syna. Nie zwiększało to więc intraty pani starościnej, ale podniosło konsyderacyę, dla zwiększenia której ogłaszała ona i poczciwemu staroście wmawiała, sama nawet nie tracąc nadziei i nie zaniedbując usiłowań, że to było tylko wstępem do dalszych i bogatszych beneficyów.

Nie mogła zatem odmówić panu Sulistrowskiemu, gdy ten umyślnym listem zaprosił ją, jako kuzynkę, do współgospodarstwa żonie swojej w czasie bytności księcia; i lubo przemknęło jej po głowie, że tam z Dowiatami spotkać się będzie musiała, lecz wnet się uspokoiła myślą, że familia w żałobie nie będzie chciała dzielić szumnych zabaw w Szemetowszczyźnie, ani ją pan Sulistrowski zaprosi.

Wszakże inaczej się stało, bo pan pisarz litewski miał sobie przez ojca jeszcze czy dziada zostawiony proces z Radziwiłłami; przy zręczności więc, miał nadzieję łatwo teraz zakończyć. Karmelici też głęboccy odzywali się o kombinacyę; z czego znowu miał nadzieję dostać gotówki potrzebnej na pokrycie kosztów magnificencyi przyjęcia Radziwiłła. A ufając talentom i doświadczeniu skarbnika, sprowadził go także, jakeśmy, to widzieli, razem z synowcem, pragnąc może Ludwikowi dać zręczność rozerwania się w smutku i przedstawienia księciu, pożytecznie wpłynąć mogącemu na przyszłość młodego człowieka.

Właśnie gdy obaj Dowiatowie pojechali pod Smorgonie za panem Sulistrowskim na przyjęcie księcia, nadjechała do Szemetowszczyzny pani starościna, a stąd niespodziane spotkanie się obojga zakochanych na ganku.

Widokiem Ludwika, jak iskrą elektryczną uderzona dziewica, równegoż z nim doznała uczucia trwogi, pomięszania i żywszego w sercu krwi bicia; ale kobiety w takich nagłych wzruszeniach łatwiej je tłumić i panować nad sobą umieją. Jednakże lica jego wybladłe i smutek na nich rozlany, tak głęboko ją dotknął, że nie mogąc łez wstrzymać, któremi piękne jej oczy zaszły, aby je ukryć, wmięszała się do tłumu towarzyszek, weszła do pokoju i spokojną twarz przybrać starała się.

Ludwik został na miejscu. To niespodzanie zjawisko odnowiło wszystkie rany jego serca, całą moc młodzieńczego przywiązania, przygnębionego wprawdzie brakiem nadziei, ale niewygasłego nigdy i cichym płomieniem trawiącego zawsze jego duszę. Odszedł nakoniec, niewiedząc gdzie idzie; ale unikając odgłosów hucznej wesołości brzmiącej w pokojach przy wieczerzy, do której właśnie tam zasiadano, trafił aż za bramę i postanowił pójść do miasteczka, gdzie ze skarbnikiem mieli oznaczoną kwaterę, jako i większa część przybyłych gości; a nie wracając już do dworu opuścić jak najraniej Szemetowszczyznę, choćby zostawując stryjaszka na miejscu.

Gdy tak rozmarzony i pogrążony w smutniejszych jedne od drugich myślach, uszedł Ludwik z połowę grobli, oświeconej tak, że ją całą prawie z końca w koniec przejrzeć można było; spostrzegł biegącą naprzeciw siebie czwórkę i wnet usłyszał dźwięk trąbki, znajomą nutkę, i nakoniec:

„Byli nasi panowie,
Na kontraktach we Lwowie."

A to porucznik przybywa, pomyślał; i ledwo pomyślał, porucznik mijając rzucił nań okiem i krzyknął, stój!

— A dalibóg, jeżeli się nie mylę, to Ludwik!

— Tak—jak się masz kochany poruczniku?

Stelnicki wyskoczył z wozu, uściskał młodzieńca pokilkakrotnie, i nakoniec, cóż to jest? zapytał. Czy cię wypędzono z kompanii? Aż tu dochodzą wiwaty i huki, a ty samotnie wędrujesz wstecz. Prawda, tyś w ciężkiej żałobie. Strata bolesna, nie ma co mówić! ależ taka wola Pana Boga! Pochowałeś ojca uczciwie i bogobojnie, byłem świadkiem i oddałem ostatnią posługę przyjacielowi szkolnemu jeszcze, a poczciwemu człowiekowi, jakich coraz mniej na świecie .. ale cóż robić! Szanuj teraz zdrowie własne, bo w tobie jedyna podpora i pociecha matki twojej i rodziny. Fortuna chwała Bogu szlachecka dobra; i skarbnik nie komuż, tylko tobie zbiera.

Wszystkich tych potocznych i zwyczajnych perswazyj porucznika słuchał Ludwik jakby nie słysząc, na wspomnienie ojca, oczy mu łzami zaszły, i milczał.

Porucznik popatrzył nań uważnie i rzekł potem biorąc go za rękę—Ludwiku! wiesz i wierzysz zapewne, bobyś grzeszył śmiertelnie wątpiąc, żem twój i wasz prawdziwy przyjaciel. Mówiło się ci, co zwyczajnie mówić wypada w podobnych zdarzeniach, których ani cofnąć, ani poprawić nie można; i kto na szumne zdobywa się perory, których ja nie umiem, chcąc pocieszyć strapione serce syna po stracie rodzica, ten nie zna ludzi, a ja ich znam, bo nie z jednego pieca chleb jadłem mospanie! Boska to łaska czuwa nad sierotami i ich pociesza... dla tego i was nie opuści! a w niej ufając nie oddawaj się rozpaczy, która tak dalece na twojej twarzy znaczna, że mi się koniecznie zdaje, że jakaś nowa bieda do pierwszej ci przybyła, i tak dwie cię razem dręczą. Wyspowiadaj się szczerze mój Ludwisiu przed przyjacielem. Może kto cię skrzywdził na honorze? Ja z tobą mospanie i ten brat szlachcic!... tu uderzył po pałaszu, który nie dla proporcyi noszę przy boku, ale na obronę swego i przyjaciół honoru.

Tak szczera i życzliwa apostrofa porucznika ujęła do żywego Ludwika; uścisnął on go za rękę, i dziękuję, rzekł z wylaniem się; dziękuję za twą życzliwość i przyjaźń... nikt mię nie obraził.

— Dla czego uciekasz? wracaj więc— siadaj ze mną.

— Nie mogę kochany poruczniku, nie mogę!

— Oho! więc próżno ukrywasz się, jest w tem sęk! jest—i nie pojadę aż się dowiem, albo wrócę razem z tobą, bo cię w takim stanie opuścić nie mogę. Śmiało chłopcze! ja nie przez próżną ciekawość pytam, i muszę ci znowu, Boże odpuść, powtórzyć, żem twój przyjaciel; a wierz mi: *non sic tractantur amici!* *).

Ludwik sam nie wiedział co począć? pomyślał zresztą, że gdy Stelnicki dojedzie do pałacu, spostrzegłszy tam starościnę i Elżbietę, łatwo domyśli się przyczyny jego ucieczki; a ze wstę-

*) Nie tak się obchodzi z przyjciółmi.

pnym i śmiałym swoim humorem, gotów będzie jakiem gorliwem a niewczesnem słowem zakłopocić Elżusię. Wolał go już więc uprzedzić.

— Ot bo widzisz kochany poruczniku...mówił zatem przerywając się za każdem słowem, kiedy chcesz koniecznie wiedzieć dla czego odszedłem... i kiedy mnie dasz słowo, że ani wspomnisz tam o mnie przed nikim... porucznik kiwnął głową na znak zgody—to ci powiem... żem tam niespodzianie spostrzegł... starościnę.

— Starościnę!... Starościnę! wykrzyknął Stelnicki, a zatem i Elżusię!... jesteśmy w domu.. to inna materya!... może ta pani znowu mię na turka fortragować zechce!.. Ale, ale pocóż uciekać? Ach! mój Ludwisiu, tyś dyabelnie jeszcze zakochany! rozumiem— trudna rada z tobą—i z tą babą—przynajmniej gdybyż wiedzieć, czy Elżusia dla ciebie stała?... wracaj jednak—wracaj—a w tym hurmie i zamięszaniu łatwo się znajdzie zręczność zbliżenia się ku niej...

— Nie, kochany poruczniku – nie wrócę, nie jestem w stanie wrócić! owszem jutro rano postanowiłem odjechać. Żegnam więc cię, i śpiesz się, bo się spóźnisz na wieczerzę.

— A gdzie macie lokatę? zapytał porucznik, bo tu zapewne trudno o kąt przy takim zjeździe, uważałem, że miasteczko pełne.

— Właśnie mieszkamy ze stryjem w miasteczku; i jeżeli nie będziesz mógł lepiej się pomieścić, prosimy do nas; po mo-im zwłaszcza odjeździe będzie jeszcze wygodniej.

— Więc tu jest i skarbnik?

— Jest—jemu tylko powiesz kochany poruczniku, żeś mię spotkał i że ból głowy zmusił mię powrocić na kwaterę, aby mię darmo nie upatrywał i nie szukał w kompanii; więcej zaś nikomu... dałeś słowo poruczniku.

— Rozumiem—rozumiem. No więc do widzenia się—do widzenia się—z jutrzejszym twoim odjazdem... to *homo proponit —Deus disponit!*.. zobaczymy—wracam do was na noc. Nie trąb w bramie, bo nikt nie posłyszy dzisiaj, i ruszył.

Tymczasem książe zasiadł do wieczerzy, między gospodynią domu i panią starościną. Obie w grzecznościach i komplementach przesadzały się nawzajem: jedna z dworną i wyższą wielkiego świata delikatnością, jedwabne mu, że tak powiem i wonne sypała słówka: druga poczciwa, staroświeckich obyczajów matrona, za każdą potrawą do uprzykrzenia prosiła księcia o apetyt, i dokładała gwałtem na talerz jego wyborniejsze przysmaki.

Ale książe nie podobał sobie ani w komplementach, ani w delikatnych frykasach, na pierwsze prawie nie odpowiadał, i darmo je tracąc starościna myślała sobie: „Oj, słusznie cię zowią niedźwiedziem litewskim:“ a za drugie dziękując gospodyni jak mógł

najgrzeczniej, odsuwał jednak talerze, aż w trzecim daniu, które na stole rozstawiono, spostrzegłszy na przeciwnym końcu kapłona — za pozwoleniem pisarzowej dobrodziki rzekł, życzyłbym aby ten jak mi się zdaje, kapłon, który oto tam stoi na półmisku naprzeciw księdza kanonika Brzostowskiego, i na który jego przewielebność z pożądaniem spogląda, przeszedł tu ku mnie, a zachęcać mnie do smacznego apetytu nie będzie potrzeba.

Postawiono więc wnet przed księciem żądany półmisek.

— I parę jarząbków przy nim, dodała uprzejma gospodyni.

— Ptaszki, to fraszki, rzekł książe zatopiwszy się w kapłonie; a gdy go zmógł całego i dokończył nim wieczerzę, dano hasło z moździerza . . .

Wnet otworzyły się drzwi i okna przywarte dotąd okienicami od ogrodu, zabrzmiała muzyka w szpalerach, i okazał się cały ogród wspaniale oświecony, do którego kompania od wszystkich stołów powstawszy, zeszła. Na środkowej zaś szerokiej równinie zażegły się ognie sztuczne, i tysiące rakiet strzeliło razem w niebiosa, brylantowym deszczem napełniając horyzont i spadając na ziemię.

Vivat! tej samej chwili rozległo się w ogrodzie, i jakby echem stokrotnie powtórzone za ogrodem, gdzie tłumy ciekawego ludu, kilkanaście beczek miodu roztaczało. Vivat! książe, vivat! Liczne kielichy za przewodnictwem gospodarza podniosły się na to hasło w górę i spełniono zdrowie księcia z uniesieniem.

Książe rozczulony do łez, ściskając pana Sulistrowskiego: panie Aloizy, panie kochanku! rzekł — deklarowałeś mi w Nieświżu, że mnie po szlachecku przyjmować będziesz, a tu po królewsku przyjmujesz! — Panie kochanku! dajże kielicha!

Podano na srebrnej tacy, wielki kryształowy kielich i starym węgierskim maślaczem napełniony po brzegi; wziął go książe w rękę, a podniósłszy w górę, wykrzyknął z mało-rossyjska:

„Sztob w hetoj chaty,
Licha nie znaty!"

wychylił duszkiem — a szał objął zgromadzenie. Słowa księcia z ust do ust z kielichem tymże przechodziły; pijatyka zaczęła się zapamiętała.

Pan Oskierka kasztelan, gdy mu się on w ręce dostał, wycisnął się z tłumu przed księcia, i poważny wiekiem i zacnością urzędu staruszek, oparty na kilofie, wykrzyknął z dobitnym przyciskiem.

„Na pohybel temu,
Kto nie szczyry jemu!"

spełnił i siwego otarł wąsa — Kto nie szczyry jemu! kto nie szczyry jemu! wołali wszyscy i hurmem rzucili się w objęcia księcia.

Książe wzruszony i serdecznością braci i starym węgrzynem, płakał ściskając wszystkich i powtarzając bezustannie — panie

kochanku! Staroświecka poczciwość! Staropolska cnota! Szlachecka krew, panie kochanku! Gdybym trupem padł, to was nie odstąpię!

—Wszyscy jeden na drugim legniem trupem za ciebie książe! wszyscy!

Damy i dziewice przechadzały się tymczasem po ogrodzie; i te gromady białych i lekkich postaci, to w jasnem okazujące się świetle, to niknące w półcieniach gęstszych szpalerów, ogarniały czarownym urokiem ten fantastyczny obraz, ten tłum szalejącej zgrai... lecz gdy zwyczajny nasz, przy ochocie podniecónej puharem, symptomat żywszej czułości dla kobiet objawiać się i tu począł, gdy młodsi odrywając się od gromady i błąkając się z pełnemi kielichami, rozrywali ich grona, a u stóp pięknych na klęczkach spełniali toasty; gdy u nie jednej ledwo obroniony trzewiczek miał zastąpić miejsce kielicha — mimo pobłażliwe tych hołdów przyjęcie, osądziły poważniejsze mamy, że czas już był onych uniknąć. Zwróciły się zatem do pałacu, mijając zdaleka burzliwą rzeszę, na którą obok matki idąca Elżusia, nie po raz setny niespokojnem rzuciła okiem, śledząc zjawiska, które ją na ganku spotkało. Zawsze jednak omylona, straciłaby może pewność, że ono rzeczywistem było, gdyby nie dostrzegła na ustroniu stojącego i nienależącego wcale do powszechnej ochoty skarbnika, a rozmawiającego żywo z porucznikiem, którego także poznała; lubo obaj unikając jakby spotkania się z damami, do ciemniejszego szpaleru weszli.

Starościna spostrzegłszy także obudwuch — zdaje mi się, rzekła ona do córki, że oto tam poszli, jakby uciekali przed nami, skarbnik Dowiat i kochany nasz porucznik Stelnicki, niech go licho weźmie! bo mu nie mogła zapomnieć maskarady, czy nie uważałaś Elżuniu?

— Tak i mnie się zdało, odpowiedziała ona kryjąc swe wewnętrzne pomięszanie.

— Lampy już gasną, trudno rozpoznać twarze, dla tego obie się może mylimy, bo Dowiat tu być nie może i nie powinien, skorom ja zaproszona; a porucznik gdyby był, nie stroniłby od kielicha, ale piłby ze wszystkimi razem i lepiej od wszystkich.

Ta uwaga matki wznowiła znowu wątpliwość w sercu biednej dziewczyny, idącej dokończyć bezsennej dla niej nocy w niepewności i trwodze, a jednakowoż wzrok ich się nie mylił. Bo porucznik po spotkaniu się z Ludwikiem, przybywszy przed ganek, kiedy już wszyscy byli w ogrodzie, i spostrzegłszy, że nie mógł tak dostojnie i uroczyście, jakby sobie życzył zaprezentować się gospodarzowi i przypomnieć się księciu, umyślił na jutro odłożyć swój wjazd wspaniały, któregoby dziś nie słyszano ani widziano, a teraz wejść *incognito,* wyszukać tylko skarbnika i z nim wrócić na kwaterę.

Znalazł go łatwo zdaleka od tłumu, i powitawszy z cicha, rozpoczął konferencyę o Ludwiku, którego właśnie chciał szukać skarbnik. Konferencya ta przedłużała się już od niejakiego czasu

i wiele projektów przebrała, gdy się wzajemnie ze starościną spostrzegli, od której stroniąc, weszli do szpaleru, i wkrótce dostali się do wozu porucznika i odjechali do miasteczka.

Ochota przedłużała się jeszcze, nim węgrzyn nie zaczął ćmić oczu i trudzić języka wylewającym się serdecznym oświadczeniom przywiązania do księcia i między sobą wzajemnym. Jedni siedzieli na murawie i próżno się mocowali do powstania, inni stali wprawdzie jeszcze i bełkotali jakieś staroświeckie, a niewyrozumiane oracye; inni nieprzestając powtarzać hasła pana Oskierki, ściskali bez ustanku księcia siedzącego na krześle i odzywającego się także niewyraźnie! „Ja wasz brat! Ja wasz sługa! Staroświecka poczciwość! choćby trupem paść! dość panie Aloizy, dość, panie kochanku!...

Gospodarz tylko sam jeden się oszczędzał, i za danym przez niego znakiem, znowu mnóstwo rac wzniosło się w górę, muzyka zabrzmiała marsza. — Vivat! odezwało się na wszystkie strony... i tak się zakończyła owa noc, jakby z Tysiąca nocy naśladowana; może ostatnia na Litwie, łącząca potężnego magnata a duszą i sercem szlachcica, braterstwem uczuć i obyczajów, z ziomkami bracią jego.

Dzień następny poświęcony być musiał odpoczynkowi i spokojniejszym zabawom Kompania około południa ledwo zbierać się poczęła do dworu; skarbnik, niedozwoliwszy Ludwikowi zabierać się do powrotu, rano tam pojechał, i wpuszczony do gabinetu pana pisarza, długą odbył z nim konferencyę. Po niej powrócił do miasteczka, odsznurował swoją walizę, a w niej więcej było papierów niż manatków; wyjął z niej dekret ziemstwa wileńskiego w sprawie ze starościną, o którego treści z początku tej seryi czytelnicy świadomi, i dekret trybunalski w sprawie karmelitów z Sulistrowskim. Wiedział bowiem, że karmelita z Głębokiego siedzi od dni kilku w plebanii i czatuje na dogodną chwilę zagajenia za pośrednictwem księcia kombinacyi. Włożywszy oba dokumenta zanadrę, — no, rzekł, poruczniku dobrodzieju, czas jest i nam stawić się na pokoje; pojazdy jak widzicie jadą tam już a jadą, a waćpan panie Ludwiku, czemu dotąd nie ubrany?

— Ja bo, mój kochany stryju, jechać tam nie myślę; owszem zbieram się wnet do powrotu.

— A to *quo modo?* mówiłem, że to być nie może. Zarekomendowałem waćpana księciu, a więc mogą zapytać mnie gdzieś się podział? to raz, a powtóre *inter nos loquendo* odbyłem dziś *colloquium* z panem pisarzem; ponieważ tu jest i starościna więc może przyjść do jakichś ewentów .. i kombinacyi, za pośrednictwem takiem, któremu starościna odmówić nie będzie mogła, ani się oprzeć. A zatem prezencya waćpana jako aktora rzeczy, może być koniecznie potrzebną.

— Tfu Ludwisiu! odezwał się porucznik, gdy nie pojedziesz,

zdawać się będzie, że alboś starościny się ulakł, alboś Elżusię znienawidział, a biedaczka musi cię kochać zawsze!

— *Inter nos loquendo*, tak mnie upewnia pani Dulska; i namieniłem coś o tem i panu pisarzowi.

— A cóż on na to, zapytał Stelnicki? — Ludwik stał osłupiały.

— On na to... on na to, kiwnął głową — *sperandum* zatem...

— I cóż *sperandum*? zapytał niecierpliwy porucznik.

— *Inter nos loquendo* .. *sperandum*... że postąpi sobie roztropnie... tak jak waćpan panie Ludwiku postąpiłbyś nieroztropnie, gdybyś nie został i odjechał. Bóg wie jakieby stąd wnioski *publicum* wyprowadzało, a ja rozpocząwszy pertraktacyę interesu ważnego dla was, wstydzićbym się musiał Dla tego suplikuję *amantissime* *), abyś się nie dziwaczył, i *sine mora* **) ubrał się i z nami jechał.

Możeby te wszystkie egzorty stryja i porucznika, nie zrobiły żadnego skutku, a wzmianka napomknięcia przed panem Sulistrowskim, o uczuciach jego dla starościanki, możeby mu do reszty śmiałości ujęła, gdyby słuchającemu perory skarbnika, nie przyszła na myśl owa łezka, którą spostrzegł wczoraj w oku Elżuni i gdyby skarbnik nie dodał swej wiadomości od Dulskiej, że ona kocha go zawsze. Ta wiadomość i ta łezka, pokonała w nim trwogę, obudziła żywą chęć widzenia raz jeszcze ulubionej, i łatwiej skłoniła do woli stryja, niż jego *sperandum*.

Tymczasem bryka jadąca do dworu, mijała okienka ich kwatery. — Oho! spójrzawszy na oną wykrzyknął skarbnik, karmelita pojechał; nie mam więc ani minuty do stracenia. Ależ księżyna ma widać dobrych szpiegów we dworze! dowiedział się zapewne, że dziś książe i wszyscy odpoczywać będą, a zatem czas najsposobniejszy do pertraktacyj; jadę więc, a proszę porucznika dobrodzieja, abyś nie dopuścił panu Ludwikowi, spernować moją obligacyą i przywiózł go z sobą do dworu.

Zakładano już buńczuczny a znajomy nam ekwipaż porucznika; tylko zamiast siwych kuców, dawno przehandlowanych, czwórka ciemno-wiszniowych, roślejszych i figurniejszych była w zaprzęgu. Obejrzał on ją troskliwie, tarł sam blachy i guziki na chomątach, wbił chłopakowi woźnicy na głowę kaszkiecik z piórami na bakier, odstąpił kroków kilka dla przypatrzenia się jak to wszystko wygląda, i taką lakoniczną dawał mu instrukcyę:

„Słuchaj!... Cyt! nim nie powiem plaż! wtenczas trzy razy z bicza! potem trąbkę w pysk! potem piej! a potem aż do ganku plaż!“

— Ależ poruczniku, czy nie za huczno wjeżdżać będziemy? — rzekł Ludwik słyszący tę instrukcyę.

---

*) Najukochańszy

**) Bez zwłoki.

— Jak to? nie uwierzysz jak wiele zależy, na dobrym pierwszym wstępie. Wjeżdża mospanie oficer pińskiej brygady? *quondam* konfederat mospanie. Szumno i huczno! bo tak przystoi... Znam Radzwiłła, od razu mię polubi za taki wjazd, i u wszystkich inna konsyderacya mospanie, jak cię widzą tak cię piszą. No idźmy ubrać się Ludwisiu, konie gotowe, stać długo nie lubią.

Gdy wyszli wkrótce do wsiadania, sprzeczność obu nie tylko w wieku, lecz w ubraniach i obliczach uderzała widocznie. Porucznik ustroił się galowo, ale podług swego wyobrażenia i gustu; a przyznać trzeba było, że znał dobrze co mu do figury i twarzy przypadało. Ubiorem chciał on zda się wytłumaczyć widzom, że był żołnierzem, że nim już nie jest, lecz, że kocha swą wojskową przeszłość i od jej znaków odwyknąć zupełnie nie może. Na białym więc atłasowym żupanie, krótki granatowy kontusz, po wszystkich szwach i brzegach złotymi sznurkami oszyty, spiął on zamiast pasa takimże złotym szerokim pendentem, zapiętym srebrną blachą, na której cyfra królewska jaśniała i na nim krzywą turecką szablę zawiesił. Na lewem ramieniu suta mu szlifa, przez piersi zaś taśma z szerokiego galonu z ładownicą z blachy złotej, błyszczały; do tego ogniem świeciła brylantowa spinka na szyi i takiż pierścień na ręku.

— A cóż? rzekł on do wychodzącego z nim razem Ludwika, kładąc na głowę aksamitną karmazynową magierkę i spoglądając na siebie z zadowoleniem. A cóż? precz od złota mospanie! u nas tak! ..

Ludwikowi żałoba nie dozwalała żadnych świetnych odzieży; lecz wybierając się z Wilna na tak gromadny festyn, musiał on garderobę swoją o ile można przysposobić przyzwoicie. Zamiast więc grubej ratyny, z cienkiej i lśniącej się sajety czarnej, na czarnym pod spód atłasie, uszyty zgrabnie ubior polski, pasem czarnym materyalnym ze srebrną fręzlą przepasany, okrywał i odznaczał piękną kibić młodzieńca, na którego twarzy tak niegdyś żywej i wdzięcznej, podwójny dziś smutek w duszy mu tlejący, bladem czołem i przyćmioną źrenicą wyrażał się oczywiście; a jednak tem bardziej interesującym czynił go oczom dla niego życzliwym i sercom dlań skłonnym.

Gdy ruszyli, porucznik z ukosa spoglądając na Ludwika i niewiele dobrego wróżąc z jego miny: — bądź lepszej myśli, mój kochany Ludwisiu, rzekł: pokazać się młodemu pierwszy raz na takiej publice z twarzą męczennika, a z humorem ogranego szulera, jest to paść na opinii bez powstania; starościnej będzie i po duszy, żeś tak z tropu zbity.

Oburzona temi słowy miłość własna młodzieńca ożywiła mu oko.

— Wszakże cię nikt do tańca nie poprowadzi, mówił dalej porucznik, i wesołość w twojej pozycyi byłaby również szpetną

jak i ta twarz twoja do lamentów skrzywiona, a którą Elżunię bardziej przestraszysz niżeli za serduszko ujmiesz.

Ten argument nie był także bez skutku. Prawdę mówi, pomyślał Ludwik, trzeba nad sobą jakkolwiek panować i po wczorajszemu nie stracić głowy.

Wtem porucznik pomiarkowawszy pewną dostateczną dystancyę, i widząc już kompanię na ganku, zawołał: plaż!

Więc zaczęła się spełniać instrukcya od trzykrotnego hasła z bicza, i tak z kolei—aż po trąbce i śpiewie, z ostatnim onego trzaskiem, śpieniona czwórka stanęła wryta przed gankiem.

Nie omylił się porucznik, gdy wróżył pochlebne dla się wrażenie ze swego wjazdu; i nim jeszcze minął bramę, widząc go i słysząc książe, zapytał pana Sulistrowskiego, przerywając zagajaną kombinacyę z karmelitą stojącym podle.—A toć panie kochanku, jakiś gracz przybywa? Słyszycie trąbkę? wyśmienicie! Zda mi się, że to będzie porucznik Stelnicki, on niezawodnie—zgadłbym go po znajomej tu u nas wszędzie trąbce, ale i samego dostrzegam—któż to z nim drugi?

— To mój synowiec,—rzekł pan skarbnik:—wczoraj miałem honor prezentować go księciu panu.—A o którym ja dziś w. ks mości namieniłem,—rzekł pan Sulistrowski.

— Aha! wiem panie kochanku.

Tu wysiedli obaj przybyli z bryki; porucznik przywitawszy prędko spotykającego ich gospodarza i na później dalszy z nim odkładając rozhowor, stanął przed księciem, i rzekł wyciągając magierkę do kolan jego:

— „Biorę assumpt rekomendowania siebie w. ks. mości, od niedźwiedzia . . . to jest od przypomnienia, żem kiedyś miał honor konsystować z moją kompanią w Łachwie, i ubić go przypuściwszy na kroków pięć, a to w oczach w. ks. mości! Białoszyja bestya—wielka jak koń! Zjednałem natenczas applauz w. ks. mości, który mi odzywa się aż dotąd w sercu. . . a serce to składam dziś u stóp księcia pana i dobrodzieja! Tadeusz ze Stelni Stelnicki herbu Róża, porucznik pińskiej brygady.“

— Dziękuję panie kochanku, panie poruczniku, dziękuję uniżenie i serdecznie za tę jego rekognicyę, dla mnie,—odpowiedział książe ściskając go uprzejmie.—Dalibóg gracz! czy nie mówiłem? zapewne z panem pisarzem litewskim dawna znajomość!

— O i bardzo! dawny ja sługa tego pana, a dowiedziawszy się z powszechnego rumoru na litewskim świecie, że on będzie miał zaszczyt przyjmować w. ks. mość, w progach swoich, pośpieszyłem abym miał także szczęście oglądać oblicze pańskie, i cieszyć się powszechną radością, z tak wysokiego i ukochanego gościa.

— Wielce obowiązany ci jestem,—rzekł Sulistrowski,—dajesz dowód żeś mój przyjaciel; a do rekomendacyi porucznika, mówił obracając się do księcia, muszę dodać, że równie tęgi myśliwy, jak i znawca na konie.

— Oho! przypomniałeś panie dobrodzieju—przerwał porucznik moje porcenelo-srokate—nie było na Litwie i nie będzie takich drugich.

— Zobaczymy,—rzekł uśmiechając się Sulistrowski,—jeżeli nie maścią to cnotą, może się znajdą podobne. Właśnie mam się chwalić przed księciem moją stajnią—kazałem wyprowadzać.

Stelnicki natenczas zaczął powitania ze wszystkimi, większa część znajoma, winszowała mu wybornej rekomendacyi. A tymczasem pan Sulistrowski, wziął Ludwiką za rękę i stawiąc go przed księciem rzekł:

— Dozwól mi w. ks. mość zalecić względom swoim tego młodzieńca. Stracił on ojca, niechże ma opiekuna w w. ks. mości; a wart tego, bo jest z rodu najżyczliwszych sług domu księcia, i przymiotami swymi pięknymi, obiecuje zacnego z siebie obywatela krajowi i ziomkom.

— Panie kochanku, miło słyszeć taką zaletę. Pamiętam Augustyna Dowiata, plenipotenta *quondam*, mojego pana ojca księcia hetmana; jak on ci się godził?

— Stryj to mój mości książe.

— Podobno się zakapturzył—czy żyje jeszcze?

— Żyje mości książe, i teraz podług reguły swego Trynitarskiego zakonu, wybrał się do Turcyi, dla wykupienia niewolników z niewoli pogańskiej.

— Ach! panie kochanku! po moich tam śladach chodzić będzie.

Wszyscy wiedzieli dobrze, że książe nigdy nie był w Turcyi; ale że na konto kilkuletniej emigracyi swojej, wymyślał śmieszne anegdoty i awantury, po różnych jakoby krajach mu zdarzone, a dowcipnym i oryginalnym sposobem je opowiadał; przeto otoczyli go kołem, a ktoś zapytał:—A jakże się tam księciu powodziło?

— Rozmaicie panie kochanku—i tak i owak—ale na końcu jak poznałem się z sułtanem, to tak pokochaliśmy się i do takiej przyszli komitywy, że on mnie chciał zrobić Kapi Agą.

— A cóż to znaczy Kapi Aga?

— A to panie kochanku, ważny urząd! to po naszemu tłumacząc, permodum sekretarz seraju.

— Czemużeś książe nie przyjął tej ważnej funkcyi? i jak się zdaje mającej skądinąd niejakie zalety?

— A tak, panie kochanku tak! przyjąłbym, pewnie przyjąłbym; ale stoi w alkoranie, i sam wyczytałem: że kto jest syndykiem bernardyńskim, ten nie może być Kapi Agą.

Rozśmieli się wszyscy prócz księcia, który jak zwykle tonem prawdy i rzeczywistości, takowe swe improwizacye opowiadał.

— Powróciwszy do Nieświża,—mówił dalej książe,—chciałem wysłać księdza Katembryka do Konstantynopola, dla nawrócenia jego sułtańskiej mości, aby się ochrzcił i przyjechał na Litwę; dawałem i suplement na drogę i list mój do niego. Ale cóż? odpowiedział on: „niech jedzie ks. Dederko, jemu bliżej z Ołyki

do Stambułu. Prawda, więc ja do księdza Dederki z propozycyą, a on: niech jedzie ksiądz Toczyłowski, on biskupem *in partibus infidelium* *), jego więc rzecz nawrócić samego herszta niewiernych, i tak żaden nie pojechał; ot taka to gorliwość naszego duchowieństwa względem naszej świętej wiary.

Tymczasem wyprowadzono konie na środek obszernego dziedzińca, w okopaną w krąg ujeżdżalnię. Na czele, wiedziony przez dwóch masztalerzy, szedł dzielny arab kary, w bogatym węgierskim rzędzie, dodającym mu ozdoby i zachęcającym ochotników do próby na nim zręczności i odwagi. Mało jednak takich znaleźć się mogło, bo ogień tryskający z oczu konia, piana ziejąca z nozdrzy i pyska, oraz silne i krnąbrne susy jego, nie wróżyły szczęśliwego losu jeźdzcowi. Przy nim kilkanaście razem stanęło koni do tego przeglądu. W owym czasie wszyscy jeszcze byli mniej więcej znawcami i amatorami stadnin, dostarczających możniejszym pięknych zaprzęgów i znacznej intraty, a szlachcie choć parę co rok koników i za nie kilkudziesięciu dukatów do szkatuły, wszyscy więc zeszli na dziedziniec i opatrywali je z upodobaniem.

Stelnicki nad każdym prawie odbywał uczoną rozprawę, o składzie, rodzie i zaletach każdego. Przyznano mu w tym względzie znajomość gruntowną, ale nikt się nie przesadzał w pochwałach któregokolwiek konia pojedyńczo, bo wiedział każdy, że właściciel czekał tylko na tę pochwałę, aby wnet darowizną podobającemu się przysłużyć.

— A cóż poruczniku?—odezwał się Sulistrowski,—czy nie warte twoich porcenelo srokatych?

— Nie ma już ich, panie pisarzu dobrodzieju! nie ma już ich i na tym świecie bodaj! a zatem *de mortuis, aut bene, aut nihil.* **)

Rozśmiano się na ten dowcipny wykręt porucznika i zgromadzono się około osiodłanego araba, któremu się i książe szczególniej przypatrywał.

— Ten koń, panie kochanku, powiedziałbym, że wyprowadzony ze stajni mojego przyjaciela sułtana, a stojąc tu osiodłany od kwadransa urąga się młodzieży naszej, nieśmiejącej go dosiąść. O gdybym był młodszym!

Na taką przymówkę księcia, wielu młodych kawalerów spójrzało po sobie, ale żaden nie wystąpił, widząc jeszcze, jak liczne grono dam i mężczyzn mogło być świadkiem zdarzyć się mogącego szwanku.

— Jeżeli pan pisarz dobrodziej pozwoli?—rzekł Ludwik przystępując do konia.

---

*) W stronach zamieszkałych przez niewiernych.

**) O umarłych, albo dobrze, albo nic.

— Pozwalam z ochotą,—odpowiedział Sulistrowski,—ale życzyć nie mogę, bo widziałem nieraz, jak silniejsi zapewne od pana masztalerze, spadali zeń jeden po drugim; a nawet memu koniuszemu, który go ujeżdża, nie zawsze udaje się przejechać go i pokonać.

— Zobaczymy,- rzekł Ludwik i zabierał się do wsiadania.

— Brawo!—zawołał Stelnicki, zatrzymując go,—brawo! Śmiało! wiem żeś jeździec dobry, wszelakoż posłuchaj mnie. Znam konie tej rasy; miałem bułanego akurat takiego; pamiętaj, że one są miękkiego pyska, nie spinaj go zatem broń cię Boże! i ciszej dodał, wypuść go powolnie—niech leci, a daj mu tylko dyrekcyę na groblę i trzymaj się. Spaśli go nadto, zastały jest; widać pan koniuszy nie lubi go często dosiadać, jak całą groblę przeleci po piasku, zmorduje się, a wtenczas zawróć i przyjedziesz tu jak na baranku.

— *Inter nos loquendo*, ta próba skończyć się może na złamaniu karku,—rzekł niespokojny skarbnik.

— Milcz kauzyperdo!—zawołał niecierpliwie porucznik—i wnet spostrzegłszy się, dodał—skarbniku dobrodzieju nie odbieraj energii młodemu! Ludwik tymczasem już był na koniu. . .

Ten wstrząsł się i parsknął, rozrzucając pianę w około. . . kark w łęk przechylił, co mu tem piękniejszą dało figurę, i z miejsca dał kilka gwałtownych szprynglów, próbując jakoby jeźdźca i używając sposobu, którym prawie każdego od razu z siebie pozbywał.

Ale nowy ten jeździec, gdy nań siadł, przyrósł zda się razem do niego.

— Ach! ach! krzyknęły w oknach damy.

— Brawo! brawo! krzyczano na dziedzińcu;

Ludwik pomny na rady doświadczonego porucznika, puścił lekko wędzidła i zaledwo dawał je uczuć drażliwym wargom krnąbrnego źwierzęcia. Gryzł on je złośliwie, miotał się, słupił, i w takich kaprysach, susach i skokach, obszedł ujeżdżalnię.

— Brawo! powtarzano, brawo! i krzyczano dosyć! dosyć!

Ale Ludwik zawrócił ku bramie i tam dał poczuć koniowi, że niesie mężnego i silnego pana nad sobą, nie zaś lękliwego i wątpliwego berejtera. Ścisnął go mocno kolanami, trącił obcasem, ćmoknął i wypuścił na groblę ...

Gdyby można było zgadywać na pewno instynkta źwierząt, powiedziałbym, że koń omylony w nadziejach, i poznawszy wartość jeźdzca, postanowił teraz dowieść mu własnej. Bo w mgnieniu oka rozciągnął się aż ku ziemi i jak prawdziwy potomek sławnych wychowańców pustyni, lotem chyba ptaków dościganych, śmignął czarny koń i czarny jeździec po długiej grobli, i wnet znikli w oddali z oczu, ciekawie i niespokojnie nań patrzących . . .

Jeszcze kilka kobiecych ach! wśród których może było jedno troskliwsze, dało się słyszeć przez okno, a skarbnik rzekł do

pana Sulistrowskiego.—Czy nie trzeba kogo posłać za tym nieuważnym śmiałkiem, *inter nos loquendo* lękam się. . . .

— A któż go dopędzi mój kochany skarbniku?

— No, no, bądźcie spokojni, rzekł porucznik, ja ręczę, że wróci najbezpieczniej; i uśmiechał się gładząc czoło, bo był kontent z mądrej swej rady danej Ludwikowi. Nie chwalił się z niej jednak, chcąc zostawić wszystką chwałę z tej śmiałej próby, swemu młodemu przyjacielowi.

— Panie Aloizy, rzekł książe zbliżywszy się konfidentnie do pana Sulistrowskiego, to walny chłopak, panie kochanku! Młoda krew, a przy zaletach innych jakie mu przyznajesz, wart czegoś lepszego jak patrocyniów stryjowskich. Starościna bałamuci ze swoim babskim uporem.

— To też polecam go względom w. ks. mości w tej szczególniej okoliczności.

— A już ja go nie opuszczę!. . . daruj mu tego konia panie Aloizy.

— Z całego serca; ale pewny jestem, że nie przyjmie, spróbuję jednak.

Wytężony wzrok wszystkich i ciekawe oczekiwanie, przerwało rozmowy; krótkiemi tylko słowy ów nadzieję, ów wątpliwość, inny jedno i drugie „może wróci—może nie wróci" wyrażał. Aż wkrótce zabrzmiał okrzyk powszechny.—Wraca! wraca!

Jakoż zbliżał się Ludwik wolnym i pięknym galopem, a wkrótce przebył bramę, na spienionym ale spokojniuteńkim koniu i głaszcząc go wdzięcznie po szyi objechał jeszcze parę razy ujeżdżalnię, wśród hucznych i z okien i z dziedzińca oklasków, zsiadł nakoniec i oddał go masztalerzowi.

Arab parsknął, wstrząsł się i zarżał; a całe stado odpowiedziało głośnem i szerokiem rżeniem, jakby chórem dzielnemu reprezentantowi ich rodu.

Spotkał go najpierwszy książe, uścisnął serdecznie, a za nim wszyscy. Podszedł i Stelnicki: a co? rzekł on z cicha.

— Mądrze poradziłeś, kochany poruczniku, dziękuję.

— Panie Ludwiku, rzekł Sulistrowski, ponieważ potrafiłeś pokonać upor i swawolę tego warjata, a u mnie nikt tego nie może dokazać, więc zmiłuj się weź go sobie; przynajmniej go darmo karmić nie będę.

Takim sposobem oświadczając dar swój, Sulistrowski chciał jak najzręczniej uśpić drażliwą delikatność młodzieńca.

— Dziękuję, najpokorniej dziękuję, ale za względy tylko, których mi dowód pan dobrodziej dać pragniesz, odpowiedział Ludwik, szczerym i wzruszonym głosem,— przyjąć wszelako konia nie mogę, bo właśnie darmobym go karmił. On potrzebuje opatrzenia i starań, jakie tylko w dostatnich stajniach znaleźć może, szlachecka, żadnym sposobem nie będzie dlań dogodna, a bez tego, straci on nietylko na piękności, ale i na rzeczywistej swej dzielności i cnocie.

— Ja go od pana wnet kupuję, odezwał się pan Zenowicz. Dwieście czerwonych złotych....

Ludwik spojrzał nań z uśmiechem... —niech go pan kupuje u właściciela, rzekł, a tym jest pan pisarz litewski.

Ten spojrzał na Radziwiłła, wzrokiem, w którym było zapytanie, a co? czy nie zgadłem? Radziwiłł pokręcił głową.

Gdy wrócili na ganek, a książe zasiadł znowu na swem kurulskiem krześle, na którem rozpoczął był, za wspólną stron ugodą, kombinacyę między panem Sulistrowskim i karmelitami, przeor ich, który sam tu przybył dla tak ważnego interesu, rzekł do księcia: „Mości książe dobrodzieju! słyszałem niedawno sprawiedliwą wymówkę księcia pana, wyższemu naszemu duchowieństwu, obojętności o rozszerzenie wiary naszej świętej między niewiernymi. Niechże za łaskawem pośrednictwem w. ks. mości jw. pisarz litewski zostawi nam dosyć funduszu, a my zakonnicy zawstydzimy wysokich prałatów, i ja sam o własnym sumpcie pojadę do w. sułtana, bylem tylko miał doń list od w. ks. mości."

Rozśmieli się znowu obecni.—Panie kochanku, rzekł książe do przeora, masz głowę nie dla proporcyi. Więc jakże panie Aloizy?

— Raz się zgodziłem na zdanie w. ks. mości i o nie sam prosiłem, więc i czekam.

— A waść księże?

— Nie pozostaje mi nic więcej, jak powtórzyć słowa jw. pisarza, a polecić fundusz nasz, na chwałę Boską przeznaczony, pod szczególną opiekę w. ks. mości, i klasztor, jako w miasteczku księcia będący, tejże wspaniałej jego opiece.

— A masz waść z sobą *pecuniam* *) panie kochanku?

Ksiądz skłonił się nizko.

— Wyliczże panu Sulistrowskiemu pięć tysięcy dukatów— i odprawić sto mszy za duszę Korsaka, i sto drugie za pannę Sulistrowską, aby i na tamtym świecie był pokój między nimi. To mój dekret kompromisarski!

— Dziękujemy zań w. ks. mości, rzekły obie strony.

— Brawo! zgoda—wykrzyknęli wszyscy.

— To mi dekret odezwał się Kossowski, co i żywych i umarłych godzi.

— Panie skarbniku, rzekł z cicha Sulistrowski do Dowiata, odbierzesz pieniądze od księdza, i zkwitujesz go z całego dekretu trybunalskiego— honoraryum pańskie liczy się od wygrane summy w trybunale.

---

*) Pieniądze.

— Panie Aloizy, rzekł znowu książe, rozsądziłem cię z karmelitami, ale któż nas samych rozsądzi?

— Jak to mości książe?

— A tak panie kochanku, zdaje mi się, że mamy między sobą jakiś dawny proces, o jakąś wioskę tu w powiecie oszmiańskim będącą. Rupejko niedawno mi o tem wspominał, gdym się wybierał do Szemetowszczyzny. O cóż tam idzie? zapewne lepiej odemnie wiesz panie Aloizy.

Sulistrowski rad był w duszy, że książe sam napomknął o interesie, do traktowania którego możeby nie mógł upatrzyć stosownej chwili.

— A tak jest mości książe, prawda, mamy proces od pradziadów nam zostawiony, ale zostawmy go lepiej prawnukom; a nie mieszajmy uboczną materyą wesołych chwil bytności tu w. ks. mości.

— Na to nie ma zgody, panie kochanku. Ja nie mam dzieci, a zatem i wnuków mieć nie będę; ale mam chwała Bogu przyjaciół; przynajmniej niech ci będą mi życzliwi, a bez żadnego ze mną interesu. Mów więc panie Aloizy o co idzie.

— Kiedy koniecznie tego żądasz w. ks. mość, to niechże i tu będzie kompromis.

— Dobrze, wyśmienicie!

— A zgadzasz-że się książe na kompromisarza, którego podam?

— Zgodzę się panie kochanku, i każdego z obecnych tu akceptuję, bo wszyscy są zacni i poczciwi obywatelowie; daję na to moje szlacheckie słowo!

— Obieram więc na jedynego kompromisarza, w sporze między mną i ordynatem nieświżskim... tu zamilkł jakby się namyślał ..

— Kogo panie kochanku?

— Księcia Karola Radziwiłła wojewodę wileńskiego!

— Brawo! brawo! krzyknięto.

— Nie ma zgody na to, panie kochanku! sam swojej sprawy sądzić nie mogę—nie ma zgody.

— Mam słowo w. ks. mości, że przyjmiesz każdego kompromisarza jakiego obiorę, więc oświadczam najuroczyściej, że ani tego szlacheckiego słowa w. ks. mości, ani rozprawy, ani obranego kompromisarza, ani jego dekretu nie odstąpię.

— Tak, tak, mości książe; odezwało się wielu — *Verbum nobile!* nie ma rady.

— Wpadłem w sieci panie kochanku! . . . niechże i tak będzie; słucham sprawy.

Sulistrowski przywołał skarbnika. Stawię rzekł przed j.o. kompromisarzem mego generalnego plenipotenta, on świadomy wszelkich moich interesów, opowie i ten dokładnie, a plenipotenta obowiązuję, aby bez żadnych dyffugiów prawnych, jak najprościej. . .

— I jak, jak najkrócej, przerwał książe.

— I jak najkrócej, powtórzył Sulistrowski, interes takowy opowiedział; ależ mości książe, któż będzie bronił interesu w. ks. mości?

— Moim plenipotentem, panie kochanku, będzie ordynat nieświżski, co on powie, ja za moje własne słowa uznam.

Znowu oklaski i śmiechy rozległy się.

— Ciekawy to kompromis! Ciekawy sąd Salomona! *Inter nos loquendo*. . .

Śmiech znowu powszechny przerwał mowę skarbnikowi, którego przysłowie tak niestosownie do wielkiej kompanii słuchającej go, przypadło.

Niezmięszany skarbnik kontynuował:—Wieś Świrany mości książe, mająca chat trzydzieście, sama jedna bez dworu, leżąca stąd o mil trzy, oddawna przysłuchuje. . .

— Co to jest, panie kochanku, przysłuchuje? czy jej kto trąbi?

— To jest należy mości książe.

— A to tak i mów, panie kochanku.

— Należy więc oddawna do Szemetowszczyzny, ale. . .

— Niechże i na zawsze należy i przysłuchuje rozkazom pana pisarza litewskiego, jako swego odtąd dziedzicznego pana, bez żadnej pretensyi księcia ordynata Radziwiłła, taki jest mój dekret kompromisarski! panie Aloizy, dodał obracając się do zdziwionego Sulistrowskiego *) proszę się nie przeciwić ani obżalać mego dekretu. Ordynat nieświżski zeń bardzo kontent, i upewniam cię, że się pogniewa i zmartwi, jeżeli byś nie chciał go przyjąć; a nie możesz, panie kochanku, boś sam dał także słowo szlacheckie.

— Ale w. ks. mość nie słuchałeś całej sprawy, trzymam wprawdzie po moich antecesorach tę wioskę, ale dom Radziwiłłowski, którego dobra i prawa zjednoczyły się teraz w osobie w. ks. mości, długim i aż dotąd trwającym procesem, zaprzeczał zawsze i teraz zaprzecza mi dziedzictwa, mieniąc ją być tylko w zastawie, i pragnąc wykupna onej przez zwrót summy, kilkunastu kop groszy litewskich . .

— Na przeciw tego, rzekł pan skarbnik, Sulistrowscy przynoszą. .

— Ale ja niechcę niczego słuchać, panie kochanku! i nie łamcie mi tem już więcej głowy. Proszę panie Aloizy, dodał uprzejmie, kiedy mnie kochasz—koniec procesu między nami. Mikuć, napiszcie z panem Dowiatem, co tam ku temu potrzeba będzie.

— Niechże się staje wola księcia!—rzekł Sulistrowski, nowe obowiązki wdzięczności dla ciebie książe, nie zwiększą bynajmniej życzliwości mojej i przyjaźni, bo ta jest najszczerszą i wieczną.

Uściskali się obaj—Vivat! jeszcze raz zabrzmiało, a Kossowski rzekł:—to mości panowie kasselka nieświżska, lepsza bodaj od królewskiej janczarki—i dano znać do obiadu.

---

*) Prawdziwe,

Po obiedzie, na którym nie obeszło się bez kielichów, spowodowanych zwłaszcza dwóma szczęśliwymi kompromisami, książe potrzebujący odpoczynku, zniknął z kompanii, aby go użyć przez czas niejaki. Nie jeden z podeszlejszych poszedł za jego przykładem, kompania przerzedziła się. Damy, u których nie było jeszcze w zwyczaju przebierać się po kilkakrotnie, i w innej sukni, niżeli na obiad, występować na wieczorne zabawy rozeszły się to po ogrodzie, to po apartamentach rozległego domu Szemetowszczyzny.

Pan Ludwik nie zbliżając się do Elżuni, nieodstępującej boku matki, przejmował tylko jej nie częste, ale miłe na siebie wejrzenia i własne na nią zwracał.

Korzystając z tej chwili powszechnego rozstrojenia kompanii, Sulistrowski zbliżył się do staroscinej, i zręcznie odprowadziwszy ją do drugiego pokoju, z którego jednak nie straciła z oczu córki:—Wiesz co kochana kuzynko, rzekł, pomóż mnie dzisiaj zabawić księcia, na jutro gotuję mu polowanie w źwierzyńcu, w następnych dniach, będą przejażdżczki, i inne przy tem krotofile. Lecz dzisiaj dzień spoczynku, a niechciałbym, aby to był dzień nudy dla księcia i dla wszystkich.

— Cóż mam zrobić?

— Oto zróbmy mu jeszcze jeden kompromis — niech książe będzie sędzią między wami, kochana starościno, z Dowiatami.

Starościna zdziwiona na tę niespodzianą propozycyę, prawie odskoczyła od Sulistrowskiego.

— Czy na to mię sprowadziłeś panie pisarzu?

Sulistrowski wrócił znowu do swego uśmiechu, i nim pokrywając porywczość starościnej, a muskając wąsika—moja kochana kuzynko, rzekł: zaprosiłem cię na wspólną gospodynię domu mego, pewny bardzo, że go uweselisz i ozdobisz, i nie omyliłem się. Ale nie mogę powiedzieć, żeby w tem jeszcze nie było i szczególniejszego interesu . .

— Interesu pogodzenia mię z faworytami swymi Dowiatami, prawdziwie, kochany kuzynie, dziwię się tej twojej dla nich miłości.

— Właściwiej, starościno, dziwić się bym mógł twojej nienawiści. . . Ale nie zgadłeś prawdziwego interesu, choć jest twój własny. . .

— Mój własny? nie pojmuję.

— Czy zrobiłem małą przysługę kuzynce, przykładając się do wyjednania przedłużenia przywileju na starostwo kapinowieckie, zapytał on zmieniając jakoby treść rozmowy.

— Dziękowałam ci szczerze kochany panie Aloizy; i chociaż nie dla tego mi to przypominasz zapewne, abym ci moje dzięki powtarzała, powtarzam jednak, bo wiem, że nie tylko się przyłożyłeś, jak skromnie powiadasz, ale sam i jedynie ten interes pomyślnie dla nas dokonałeś.

— Cóż pani z tego przybyło?

— Dla nas nic wprawdzie, bo to starostwo dożywotniem jest męża mego, danem ojcowi jego, także z przedłużeniem na syna; lecz dla naszego znowu syna, a przyszłego po ojcu starosty, przybyło intraty jakie z tysiąc talarów.

— Oh! nie o to idzie—nie rozumiesz mię jeszcze starościno, i nie przypominasz własnych celów, ważniejszych może, niżeli to szczupłe powiększenie intraty. Pomyśl kuzynko!

— Tak... tak... kochany pisarzu, zgaduję nakoniec myśl twoją—prawda—mówiła jąkając się starościna—odkryłam ci to kiedyś: potrzebowałam bardziej niż dochodu, i wyżej nadeń cenię... dowodu przed litewską publicznością, przed wielu urągającymi... ubliżającymi mnie nawet... żem nie zapomniana jeszcze w stolicy. Przy zachwianym stanie interesów naszych, potrzebowałam tego dowodu, nie dla dogodzenia próżności, ale mając dzieci, córki zwłaszcza, i los ich na sercu...

— I cel ten, rzekł Sulistrowski przerywając ambarasowaną spowiedź starościnej, jako tako dopięty. Lecz nie zapomniałaś kuzynko, o ważniejszych jeszcze zabiegach, o celu jeszcze trudniejszym, a który gdyby się udał, przekonałby nawzajem Warszawę, żeś nie zapomniana na Litwie, i że twoich zadań lekce ważyć nie należy; do czego rozumiałeś być skutecznym środkiem, okazanie przewagi swej w trybunale, przez wygraną sprawę z Dowiatami. A gdy ja ten środek za mylny uznałem, i gdy na mojem zdaniu z ufnością poległaś, uważam się w obowiązku wynalezienia lepszego, i wynalazłem. Oto masz kuzynko odpowiedź na swoje, daruj że tak powiem, porywcze zapytanie, dla czego tu cię sprowadziłem?

— Gniewasz się, rzekła starościna—a słowo to wymówione przez nią, z tak ujmującym wdziękiem, spójrzeniem i głosem, że rozbroiłoby Sulistrowskiego, gdyby i prawdziwie się gniewał.

— Nie, droga kuzynko, nie gniewam się, odpowiedział on całując jej rękę.—Gniewać się na ciebie! to niepodobna! Ale im bardziej cię kocham, tem czulej mnie dotyka brak twego we mnie zaufania.

— No więc mów co mam robić? rzekła starościna, powoli odejmując swą rękę.

Po tym chwilowym objawie wzajemnej czułości, pan pisarz wracając do tonu statysty, — masz wiedzieć kuzynko, rzekł, że książe wojewoda gość nasz, jest teraz w najlepszej przyjaźni z królem jegomością. Po bytności monarchy w Nieświżu, po bliższem osobistem poznaniu się ich, po rozmówieniu się poufnem, a najbardziej po naocznem przekonaniu się króla, jak Litwa przywiązaną jest do Radziwiłła, wpływ księcia u dworu jest nieograniczonym; i dla tego...

— I dla tego zaprosiłeś go do Szemetowszczyzny, przerwała śmiejąc się starościna.

— Nie pani — odpowiedział z powagą Sulistrowski, ja sam sobie wszędzie wystarczę; lecz dla tego zaprosiłem ciebie kochana kuzynko, bo kto w swych zamiarach warszawskich będzie się wspierać na ramieniu Radziwiłła ten musi tam być uznanym znakomitym na Litwie i znajdzie ochotnych do pomocy sobie u króla, niełatwo mogącego odmówić takiej instancyi Otoż i drugi cel zbliżony, jeżeli sama dziś zechcesz do tego się przyłożyć

— Jakimże sposobem? Staram się jak mogę bawić go i dopomagać twojej żonie.

— Och! z tym panem pięknemi twemi słówkami, nic nie wskórasz; zapomni o nich lub ich nie dosłucha; trzeba go inaczej zobowiązać. Widziałaś kuzynko, jak ja nie mając nic na widoku, jedno jego przyjaźń, dla ugruntowania jej, z ochotą z parę kroci odstąpiłem karmelitom na jego jedno słowo, jak potem on wzajemnie zrzekł się wsi, która mówiąc otwarcie jego była dziedzictwem. Ot takie czyny oznaczające zaufanie w nim, i szacunek wysoki słów i zdań jego, biorą go za serce i do wywdzięczenia się zobowiązują. Dla tego proponując ci obranie jego kompromisarzem w procesie z Dowiatami, daję ci zręczność zjednania go na zawsze. Przegrywając nawet zaścianek wygrasz, zaręczam ci kuzynko daleko więcej. A któż wie czy przegrasz? bo wyrok zostawimy zupełnie sumieniu księcia, które jest prawe i poczciwe, a więcej warte niż głęboki rozum u innych. Zresztą jak potrafisz odmówić, gdy Dowiatowie ten kompromis zaproponują?

— Jakże ja tu bez mego plenipotenta prawować się będę; u niego dowody i papiery; jak bez mego męża przynajmniej. Czy to przyzwoicie?

— Bądź spokojna, wszystkiemu się zaradzi, a rozważ tylko kuzynko com ci powiedział, w rozważaniu zaś tem miej na względzie, żem ci prawdziwie życzliwy, i że nie zwykłem nigdy nic mówić w ważniejszych okolicznościach, nie rozważywszy wprzód wszystkiego najdokładniej.

Odszedł, zostawując starościnę zadumaną.

XXII.

Kompromis trzeci.

Rozdział Ostatni.

Gdy się pokazał książe na pokojach, a wesoła twarz jego, objawiała najlepsze dyspozycye, rzekł do niego pan Sulistrowski.

— Mości książe, jeszcześ w. ks. mość nie ukończył bodaj funkcyi sędziego; jeszcze raz, jeżeli łaska spełnić ją raczysz na wieczną pamiątkę swojej dobroci, a zaufania w tobie litewskich obywateli.

— Panie kochanku, zmordowałem się i tak, biorąc mocno na rozum, aż musiałem odpocząć, dajcie mi więc pokój, a pogódźcie się sami, kto tu z was prawuje się.

— Nie mości książe, pan Ludwik Dowiat, tęgi nasz dzisiejszy jeździec, nie mając sam żadnych zasług u w. ks. mości, ośmiela się przez moje usta wzywać i prosić księcia na kompromisarza w procesie, jaki ma po zmarłym niedawno ojcu swoim z państwem starościństwem Kapinowieckiem. Nie możesz w. ks. mość odmówić pierwszej jego prośbie; zwłaszcza jeżeli obecna tu pani starościna krewna moja, równąż do księcia zaniesie.

Ludwik zbliżył się i ukłonił się głęboko Radziwiłłowi.

Tak proste na pozór przemówienie Sulistrowskiego, było jednak dobrze obmyślane, bo objawiając niejaką skłonność swą dla Dowiatów, objawił razem i pokrewieństwo swe ze starościną, jedno nagradzało się drugiem, a wiązało starościnę trudnością odmówienia, a tem samem ubliżenia księciu.

Wprzód jeszcze, po rozmowie z Sulistrowskim, rozważyła ona dobrze tę jego propozycyę i wyciągnęła z niej jako wniosek drugie starostwo; była więc już zdeterminowaną, i dla tego z wesołą i uprzejmą twarzą przystąpiła do księcia.

— Kuzyn mój pan pisarz litewski, rzekła, uprzedza zamiar mój proszenia w. ks. mości, abyś raczył rozsądzić nas z państwem Dowiatami, bo widać, że dzień dzisiejszy wypadł w. ks. mości z przeznaczenia na dobre uczynki. A lubo tu męża mego niema, bo go choroba w domu zatrzymała, lecz ja zań ręczę, że on szanować będzie wyrok w. ks. mości. Sama zaś, gdy się domagam tej łaski, ośmielona jestem nie własnemi naszemi zasługami, bo ich wcale nie mamy, lecz mniemaniem, że rodzina Sapiehów, z której się rodzę, może zasługuje na względy w. ks. mości, których ja dziś wzywam.

— Mości starościno dobrodziko, gdyś Sapieżanka z domu, to nawet w konneksyi z sobą jesteśmy, bo nie sięgając dawniejszych czasów, w których się nieraz Sapiehowie z Radziwiłłami łączyli, nie ma lat stu, jak Salomea Sapieżanka, córka wojewody mścisławskiego Jerzego Sapiehy, z Połubieńskiej rodząca się, była *primo voto* za Szczuką podkanclerzem, *secundo* za Nowosielskim starostą luboszańskim, a z tym rozwiódłszy się poszła za Jerzego Radziwiłła, wojewodę nowogródzkiego. A wzajemnie Karolina Radziwiłłówna z Sanguszkówny rodząca się, córka Karola Radziwiłła, była za Kazimierzem Sapiehą, hetmanem litewskim.

— Ależ w. ks. mość erudyt jak uważam w genealogii swego świetnego domu, odezwał się pan Chalecki, podczaszy oszmiański.

— A tak, panie kochanku, tak każdy szlachcic powinien znać swoją progeniturę i wiedzieć z kim połączony, aby się tem lepiej kochać wzajemnie i aby nic takiego nie czynić, coby jego parentelę wstydziło. Waćpan naprzykład panie podczaszy jesteś także mój krewny.

— Chlubnie mi to byłoby bardzo, ale chyba, mości książe, po powszechnym ojcu naszym Adamie

— Otoż nie tylko po Adamie, ale i po Annie Kunegundzie Chaleckiej, córce Kazimierza Chaleckiego miecznika litewskiego, a żonie Alberta Radziwiłła, niedawno nawet zmarłej w Annopolu. Ale to była z rzeczyckich Chaleckich, a oszmiańscy jak pokazuje się, nic o tem nie wiedzą.

— A czyż spadła tam na mnie jaka sukcesya, po zacnej kuzynce? zapytał podczaszy.

— Oj nie, panie kochanku, bo cztery córki zostawiła.

— Niechże w Bogu spoczywa!

Popisywałby się jeszcze i dalej książe ze swemi heraldycznemi wiadomościami, które w rzeczy samej posiadał i których na portretach w zamku nieświżskim mógł się codzień uczyć, gdyby mu staróścina nie przerwała mówiąc:

— A tak mości książe, korzystając ze związków, do których się z chlubą przyznaję, prezentuję najprzód w. ks. mości młodszą odemnie kuzynkę, to jest córkę moją, na którą także spada zaszczyt tego świetnego pokrewieństwa.

Książe spojrzał ciekawie na dziewczynę, lecz niezdolny do pięknego, choć widocznie tu potrzebnego komplementu, ukłonił się tylko grzecznie, a Elżusia dygnęła nizko.

Staróścina spojrzała dumnie na Ludwika wyrażając w tem spojrzeniu: „gdzież tobie do kuzynki Radziwiłłów, rodzącej się z Sapieżanki!“

— A z kolei mości książe, rzekła po tej prezentacyi staróścina, ponawiam prośbę moją, abyś raczył przyjąć na siebie rozsądzenie ostateczne procesu naszego.

— A widać już, że jak mówiłaś staróścino dobrodziko, dzień ten z predestynacyi na mnie wypadł; o cóż więc idzie?

— Mości książe, rzekł Sulistrowski, tu musisz w ks. mość wziąść się gruntowniej i wyrok swój prawdziwie po sędziowsku na piśmie ogłosić, bo choć dokumentu na ten kompromis nie ma, ale gdy obie obecne strony z zupełną ufnością, i w obliczu tak mnogich a zacnych świadków wzywają księcia za sędziego — przeto *propria oris confessio, stat pro scripto* *) i to w dekrecie zapisanem być powinno. Nie prawdaż panie skarbniku? waćpan znasz te rzeczy nalepiej.

—Tak, odezwał się skarbnik, w niedostatku formalnego opisu, inaczej być nie może, i to będzie ważnem.

Książe się skrzywił, bo gdzie szło o pisanie, tam go niewielka brała ochota.

Co poznawszy Sulistrowski rzekł: — i dla tego w. ks. mość raczysz sobie dobrać rejenta lub sekretarza.

— A przecież mam własnego, panie kochanku. — Mikuć, waść rejentem tego sądu.

---

*) Własne ustne wyznanie, staje za pismo.

— Mówiłem ci panie Aloizy, rzekła starościna z cicha do Sulistrowskiego, że nie mam tu ani plenipotenta, ani papierów, któż będzie za mnie i czem dowodzić? Na miłość Boga do czego mnie prowadzisz?

Pan pisarz uśmiechnął się po swojemu i rzekł: bądź spokojna kuzynko.

Postawiono więc stół w osobnym pokoju, pięknym go zakryto kobiercem, a na nim srebrny krucyfiks, książe zasiadł za nim z powagą, a Mikuć stanął za krzesłem z piórem za uchem.

Pan skarbnik wystąpił przed stół ten i rzekł: „W imieniu obecnego tu synowca mego, aktora rzeczy składam najuniżeńsze dzięki w. ks. mości, że tym szlacheckim interesem, wysoki swój a pański animusz zajmować dozwalasz. Lecz go tłumaczyć szeroko i dowodzić nie będę, składam tylko w. ks. mości dekret ziemstwa wileńskiego, którego prolog rzecz całą *pro et contra* najdokładniej wyjaśnia; a odrzekam się tam wyrażonej decyzyi, bo ostatecznej ze względów i sprawiedliwości jaśnie oświeconego kompromisarza oczekujemy."

— Potrzeba panie skarbniku odczytać ten prolog, rzekł Sulistrowski, aby strona przeciwna wiedziała, czy cokolwiek na jej krzywdę opuszczonego w nim nie ma.

Skarbnik zatem najuważniej i najsumienniej, nie zmieniając nawet głosu; bez żadnych własnych uwag lub dodatków odczytał go; my zaś znajomej treści powtarzać nie będziemy.

Starościna słuchała pilnie i wszyscy obecni, skinęła ona potem głową na Sulistrowskiego, a ten rzekł: „oddajemy teraz sprawę do namowy."

— I my także, rzekł Dowiat.

Wszyscy więc wyszli; drzwi zamknięto, a został książe z Mikuciem.

— No, i cóż waść na to, panie kochanku? rzekł książe do Mikucia.

— Czekam rozkazów i decyzyi w. ks. mości.

— Patrz tylko żebyś nie podrwił głową, bo to nie żart przed takiem publicum napisać dekret.

— Będę się starał nie zawstydzić w. ks. mości.

Po niejakim czasie i namyśle, rzekł książe „Oto tak, panie kochanku, niech będzie i wilk syty i koza cała, a niech znają, że u mnie decyzya jak z procy. Niech baba bierze zaścianek, a ja Dowiatowi zapłacę!. . .

Mikuć stał nieporuszony.

— Pisz więc panie kochanku! czego czekasz? wszak mię rozumiesz.

— Rozumiem mości książe, ale to nie będzie dekret; będzie to dar w. ks. mości, z którego dla obu stron wyniknie konfuzya i suponuję, że starościna nie przyjmie zaścianku, jakby gratis so-

bie danego, a Dowiat nie przyjmie zapłaty, tracąc bez przyczyny zaścianek — tak będzie kompromis bez dekretu.

Książe pokręcił głową: Masz waść racyę; nie przyjął konia, nie przyjmie i pieniędzy, ale wbiłeś mi klina — poczekaj, pomyślę inaczej. Jakoż myślał książe, wąsa pokręcał, chodził po pokoju, nakoniec rzekł:

— A już nie ma innej rady, panie kochanku, rozważywszy wszystko, jak dać Ludwikowi Dowiatowi przysięgę na to, na co i ojciec jego, jako w tym dekrecie stoi, oną sobie podawał. Niech ją wykona i przy nim zaścianek — i pocóżby nie miał wykonać polegając na sumieniu ojca. Drożej tego nie kupić, mówi dawne przysłowie. Starościnej, poradziwszy się z panem Aloizym potrafię to później wynagrodzić; ale tego waść w dekrecie nie pisz.

— O teraz co innego, rzekł Mikuć; jest dekret i podług mojej ekwanimii, sprawiedliwy; za pół godziny ogłosimy go, i weźwiemy do przysięgi pana Dowiata.

— A widzisz waść jak dobrze wymyśliłem, pisz że teraz, a prędzej, bo nie lubię siedzieć długo samotny, jak wieżę albo rekolekcye.

Mikuć człowiek zdolny prawdziwie, wskutek swych zdolności a rekomendacyi i prośby księcia, zaszczycony przez króla w Nieświżu indygenatem szlachectwa, nie dał długo nudzić się księciu. W pół godziny był dekret gotowy, napisany zwięźle, a jednak dokładnie i zrozumiale w konkluzyi naznaczający Ludwikowi Dowiatowi, jako dziedzicowi majątku i praw wszelkich po swym ojcu, przysięgę, jaką i zmarły ojciec sobie był podawał, na to, że zaścianek Nadbrzeże nabyty był przez przodków ich prawnie i sprawiedliwie, lecz że na takowe nabycie papiery i dowody spaliły się razem z całym domem w Dowiatowszczyźnie, czego i zaniesione dawno oświadczenie, dowodzi.

Po wykonaniu takowej przysięgi wnet przed kompromisarzem, dekret kasował na zawsze pretensyę starościństwa o zaścianek, lecz w razie niewykonania onej, oddawał tenże zaścianek starościństwu, nie sądząc na żadną stronę, jako w sądzie polubownym ekspensów prawnych, lnb naliczeń intraty.

Gdy książe podpisał dekret, Mikuć otworzył pokój, i weszła najprzód starościna prowadzona przez pana Sulistrowskiego, a za nimi cała ciekawa kompania, i między nią pan Ludwik ze stryjem. Odczytano wyrok, krótkie potem milczenie huczne przerwało brawo — książe uśmiechał się i pokręcał wąsa.

Starościna bladła i czerwieniała naprzemian; sama niewiedziała jak się ma znaleźć i postąpić. Przenikając ten jej kłopot Sulistrowski, podszedł naprzód nieopuszczając jej ręki, a zatem ciągnąc ją prawie za sobą, i rzekł: radzi jesteśmy z dekretu, i dziękujemy za niego w. ks. mości.

Książe spojrzał na starościnę, i z twarzy jej, chociaż uśmie-

chającej się niby, poznawszy niezgodność z oświadczeniem Sulistrowskiego, spojrzał na niego i pokręcił głową.

Wysunął się z tłumu skarbnik, lecz go zatrzymał Ludwik.— Kochany stryju, rzekł on: rzecz mnie się osobiście tycze, dozwól więc mnie samemu i tłumaczyć się.

—*Inter nos loquendo*, mruczał skarbnik, wsuwając się znowu w gromadę, niech gada, może w nim się odkryć niespodziany talent elokwencyi. A zaścianek nasz.

— Również mości książe, rad jestem z wyroku odezwał się Ludwik, i dziękuję za niego najpokorniej.

— A zatem, rzekł Mikuć, wzywa pana j.o. kompromisarz do wykonania naznaczonej przysięgi —i podsunął krzyż na brzeg stołu.

— Przysięgi nie wykonam!

— Jakto panie kochanku? zapytał go zdziwiony książe.

Pan Sulistrowski wzruszył się również zdziwiony, a wszyscy na niego oczy zwrócili. Skarbnik wyskoczył znowu z tłumu, stanął obok Ludwika, lecz go skromnie ręką odsuwając młodzieniec, „tak mości książe! rzekł: dziękuję najpokorniej za sprawiedliwy wyrok, przyjmuję go sercem czystem i spokojnem, poddaję się warunkom jego dobrowolnie, i niewykonywając przysięgi odstępuję zaścianek, bez złej woli lub gniewu na wygrywających, Bogiem się na to świadczę!

„Drogą mi jest pamięć ojca mojego! poczciwość jego była niepokalaną! prosta, szczera a głęboka wiara, była jego sumieniem; honor szlachecki w codziennych życia przygodach był mu przewodnikiem. Przyświadczcie synowi chlubiącemu się z cnót ojca, znający go niedawno, a obecni tu zacni obywatele! mógłbym więc zda się w imię jego cnoty i sprawiedliwości, wykonać tę mi naznaczoną przysięgę. A wszakże nie uwłaczam jego pamięci, za którąbym ochotnie ostatnią kroplę krwi mojej przelał; gdy jej nie wykonywam, bo gdy on przed sądem Boskim już stanął, modły mu tylko odemnie na ulgę tego wyroku się należą, nie zaś przysięga, jakkolwiek sprawiedliwa, ale w którą sama odległość czasu, by najsubtelniejszy błąd wprowadzić mogła, i najskrupulatniejsze sumienie omylić mimowolną niewiadomością. Ojcze mój! rzekł on nakoniec, wznosząc w górę oczy łzą zamglone, cnoty i wiary uczyłeś mnie mową i przykładem; niechże to będzie dowodem, żem wierny twej nauce! niech to będzie ofiarą na pokój mej duszy w tem życiu, a twojej w wieczności!“

Piękne, szczególniej natenczasz, gdy tę apostrofę mówił, i jaśniejące, że tak powiem miłością synowską oblicze młodzieńca, zapłomienione było uczuciem pałającem mu wewnątrz! a to uczucie rozlało się po zgromadzeniu i po twarzach sędziwych ojców, wspominających lub patrzących na własnych synów, wspominających na zmarłych swych rodziców! Wszędzie tkliwość wrodzona wybiła się łzami na lica.

Nie było oklasków—milczenie w sali, ale starsi weterani podchodzili tłumem do Ludwika, ściskali go tkliwie, całowali w

czoło, i nie jeden przeżegnał go, jakby błogosławiąc i dziękując mu w imieniu wszystkich ojców, za ten przykład poczciwości, miłości synowskiej i wiary, które oni nad wszystkie światowe zalety w młodzieńcu cenili, i którą we własnych dzieciach, również prawdziwą i głęboką widziećby chcieli. Młodzi także ściskali go za ręce, a w każdem uściśnieniu był dlań zakład szczerej i stałej przyjaźni. Była to scena tkliwa i razem uroczysta. Książe siedząc jak przykuty za stołem i oparłszy głowę na ręku patrzał na to wszystko stale; a ze wzroku jego i milczenia, Mikuć stojący na boku skromnie, ze zwiniętym w ręku dekretem wróżył na pewno i szeptał innym, że dotknięte do żywego poczciwe serce księcia wybuchnie wnet jakimś pamiętnym, a godnym dnia tego, czynem.

Pan Sulistrowski, na którego ręku wspierała się starościna, pogodne i wesołe spójrzenie oprowadzając po wszystkich, uśmiechał się nie zwykłym swym ironicznym, ale swobodnym i miłym uśmiechem, a pieścił piękny swoj wąsik; lubo i on nie przewidywał tego, co się stało, wszakże zadowolonym był wewnętrznie, że protegowany przezeń u księcia młodzieniec, tak godnie ziścił rekomendacyę jego. Starościna tylko sama jedna blada i ze spuszczonemi w ziemię oczyma stała niewzruszona. Pomięszało się jej w głowie, uczuła bowiem, że czyn Ludwika w jednej chwili tak go wysoko stawił w szacunku publicznym, a tem samem taką jej samej w konsyderacyi czynił szczerbę, że wszystkie jej projekta wielkiej doznać mogły mitręgi, jeżeliby nagłym jakim czynem nie zdołała się wzbić nad tę powódź uwielbień dla Ludwika. Szybko więc w głowie, jak szuler szukający w całej talii karty mającej mu odegrać zabity parol, przerzucała ona myśli jedną po drugiej.

Nakoniec Elżunia w gronie dziewic w drugim pokoju, widząc przez otwarte podwoje tryumf ulubionego,. i słysząc wprzód jego czułą apostrofę, ocierała bujne krople łez, po jej ślicznych jagodach płynące. Nie wzbudzało to w nieświadomych jej uczuć towarzyszkach żadnego podejrzenia, bo i kilka innych równeż roztkliwienie ogarnęło. Ale piękne serce Elżuni nowem, tajemnem, a niezłomnem ogniwem łączyło się z Ludwikiem w tej chwili.— O! będę jego żoną! albo niczyją! myślała ona.

— Mości książe,— rzekł uścisnąwszy czule, jako i wszyscy weterani Ludwika, pan Oskierko, oparty na kilofie jedną ręką, a drugą za pas w boki założywszy, z tryumfem niejakim i chlubą: mości książe! mamy jeszcze chwała Bogu poczciwą młodzież.

— Tak, mamy, przerwał mu książe, budząc się z zadumania i powstając z krzesła— mamy chwała Bogu, mamy, panie kochanku! umiejmyż ją kochać. Uścisnął potem Ludwika, i biorąc go za rękę prowadził przed starościnę. Szedł młodzieniec nie mogąc się oprzeć księciu; starościna widząc zbliżających się chciała uniknąć spotkania i jak mniemała pojednania, lecz ją wstrzymał Sulistrowski.

Książe stanął przed nią z powagą a uroczyście rzekł:—mościa starościno! oto jest godnej krwi szlachcic, a mój od dziś dnia przyjaciel, w którego imieniu proszę dlań o rękę córki twojej, kochana moja kuzynko!

— Co to jest mości książe?—krzyknęła starościna.

Ludwik także chciał swą rękę wyjąć z żelaznej dłoni księcia, ale nie zdołał.

— A tak! tak panie kochanku! Radziwiłł swatem! za panem Dowiatem! A dalibóg słyszycie waćpaństwo? A toż ja wiersze powiedziałem, wyśmienicie udało się!

— Brawo książe nasz! brawo!

— Mikuć, zapisz to waść u siebie, bo wróciwszy do Nieświża poszlę te kadencye do Słonima panu hetmanowi Ogińskiemu, który pisze piękne opery, a ze mną chciał iść o zakład o Białynicze *), że ja w swem życiu żadnego wiersza nie skoncypuję; proszę zatem wszystkich tu obecnych zacnych obywateli, abyście mnie w potrzebie przyświadczyli.

Po tym ustępie, który rozśmieszył wszystkich, wracając znowu do poważnego tonu książe:— I cóż na to mości starościno? rzekł.

— Nie spodziewałam się tej propozycyi od w. ks. mości, zwłaszcza po przyznaniu mię swoją krewną.

— A gdybyś była moja pani i moją rodzoną siostrą, tobym życzył schować mitrę do kieszeni, a wydać córkę za poczciwego szlachcica, a zatem równego urodzeniem każdemu księciu. A co lepszego pan Morawski? a przecież moim jest szwagrem, choć zająkliwy! A sama moja pani kuzynko, wszakżeś Sapieżanka.

— Tak mości książe, ale. . .

Sulistrowski w tej chwili odszedł.

— I jakież ale? panie kochanku, perorował dalej książe, chyba jedno ale: to jest,—ale czy się zgodzi na to godna córka asani dobrodziki? bo jeżeliś chciała napomknąć mościa starościno o fortunie. . .

— Mości książe, przerwał Ludwik, którego stan był do nieopisania.

— Panie kochanku, milcz waść i stój!. . . bo mości starościno, czyim Radziwiłł swatem i przyjacielem, tego żona także starościną być może . . . i ten nie złamie sobie głowy dobijając się krescytywy i substancyi.

—*Inter nos loquendo*, mości książe dobrodzieju,—odezwał się zbliżając pan skarbnik, mamy się szlachecko, ale dostatecznie; a komparując aktywa i passywa rozumiałbym. . .

— Oto przyprowadzam,—zawołał wtem Sulistrowski, wiodąc Elżbietę,—najwłaściwszego sędziego w tej sprawie.

---

*) Białynicze, wielkie dobra, w połockiem natenczas województwie.

Lekkim okraszona rumieńcem, ale pogodna i spokojna twarz dziewicy oznaczała również spokojny wewnętrzny jej stan duszy i stałe postanowienie nieukrywania swych uczuć w tej stanowczej na całe jej życie chwili. Ośmielił ją jeszcze i utwierdził kilku słowami Sulistrowski, gdy ją determinował, aby z nim razem szła do matki; a dodały odwagi towarzyszki, szepcząc na ucho odchodzącej: śmiało! śmiało! piękny i poczciwy chłopiec!

Starościna rzuciwszy okiem na przychodzącą córkę, zdziwiła się jej spokojności i swobodzie, a uprzedzając księcia: — moja córko, rzekła tonem pełnym powagi i niejakiej dumy, książe jegomość używając, a ciszej dodała z suchym uśmiechem do księcia, bodaj nadużywając prawa pokrewieństwa tak dla nas chlubnego, oświadcza w imieniu obecnego tu pana Dowiata, żądanie...

— Prośbę, panie kochanku, prośbę, mości starościno. . .

— Prośbę o twoją rękę, dokończyła starościna. Tywiesz dobrze myśli rodziców twoich w tym względzie,rodziców pragnących jedynie twego szczęścia, a lubo tak wysokie wdanie się. . .

— Moja droga matko, rzekła Elżbieta ujmując jej widocznego kłopotu odmawiania księciu, a sama nie mogąc już panować nad bijącem gwałtownie sercem, i zasłaniającą się łzami źrenicą! — moja droga matko, znam dobrze i wiem myśli twe i postanowienia, ulegam im zupełnie i z pokorą, bo was kocham tak szczerze! tak czule! i z całej mojej duszy! Żądającemu więc ręki mojej młodzieńcowi, odmawiam.

Ludwik się zatrząsł — Radziwiłł go ścisnął za rękę.

— Daruj mości książe, posłuszna jestem jak powinnam woli rodziców moich. Ale moja droga matko, mówiła dalej dziewica zbierając wszystkie swe siły na to trudne wyznanie, na te słowa, które gdyby zamilczała, nadzieje związku jej z Ludwikiem zniknęłyby już niepowrotnie. Wymówićby ich jednak nigdy nie zdołała, gdyby jej uczucie dla niego ożywionem i podnieconem stokrotnie nie zostało w tej jednej chwili, w której cnota, wiara i prawość serca jego tak jawnie się wydały, i chwalebnie powszechnem uwielbieniem były uwieńczone. — Jego żoną, albo niczyją, wyrzekła natenczas w duszy Elżbieta; a gdy niespodziewanie tuż wynikł moment ostatecznego dla niej kroku, energia tem postanowieniem natchniona i wsparta, przemogła bojaźliwość i ośmieliła usta do śmiałego objawienia stanu serca.

— Ale moja droga matko! mówiła zatem Elżbieta, innego żoną ja nigdy nie będę; posłuszna tobie, odrzekam się skłonności moich od dzieciństwa powziętych. . . dalej już mówić nie mogła, i z rzewnym płaczem rzuciła się na łono matki.

— Mości starościno, rzekł książe, któż tu nadużywa praw swoich? czy ja, który dwojgu kochającym się poczciwie, chcę wyjednać szczęście i błogosławieństwo rodzicielskie? Czy imość dobrodzika, która doli swojego dziecka zaprzeczasz? A to, panie kochanku, tragedya!

Ludwik stał osłupiały obok księcia, ze wzrokiem jakby obłąkanym a utkwionym razem w matkę i córkę, spojone w jednem objęciu.

Porucznik spostrzegłszy tę jego postawę, podszedł doń, i szeptał mu na ucho tkliwym głosem przyjaciela: — Ludwiczku! upamiętaj się; — a szmer głuchy po zgromadzeniu rozchodzący się, przygotowywać zdawał ogólny atak na starościnę, w sukurs usiłowaniom księcia, który mówił dalej: — W Bogu nadzieja, panie kochanku, a tymczasem, po oświadczeniu tak szczerem i tak razem cnotliwem, bo z wolą rodziców zgodnem panny starościanki, a które na całą Litwę naszą sławnem będzie, oświadczam ja także, ja, panie kochanku! że ktobykolwiek śmiał się do niej swatać, na przekór jej sercu i postanowieniu, ze mną, panie kochanku! a głos jego był grzmiącym i stanowczym, ze mną mieć będzie do czynienia! — Vivat nasz książę! okrzyknięto, wszyscy my sekundanci w. ks. mości.

Książe wstrząsł natenczas mocno rękę Ludwika, którą dotąd trzymał, i dumnie pokręcił wąsa.

Starościna wzruszona także, bo jakżeby mogła dotrwać tylu razem wrażeniom, chciała odejść z córką, ale zatrzymał ją Sulistrowski. Szepnął on jej na ucho: „gubisz córkę, siebie, i wszystkie twe nadzieje i widoki.“ Ukłonem wyrazistym zatrzymał on także na miejscu nieukontentowanego, a spoglądającego z podełba na starościnę księcia.

—Kuzynko, rzekł Sulistrowski, dzień ten i scena ta, niemoże się tak zakończyć i zatrzymać się na peryodzie obecnym, bo w sercu i twojem, i córki twej, i księcia, i nas wszystkich, zostałoby gorzkie wspomnienie. Matka, rodzice żądają zawsze szczęścia swojego dziecka, tylko, że upatrują dla nich szczęście, częstokroć okiem własnem, wiekiem i światem spaczonem; a Bóg inaczej to widzi, i w sympatyach młodzieży przeznaczenie swe objawia.

— Gadasz, jak Katembrynk, panie Aloizy, przerwał książe.

— Bo i tu właśnie jest toż samo, mości książe. I dla tego potrzeba pobłażać troskliwym myślom matki względem losu swego ukochanego dziecka; tak jak matka powinna pobłażać i mieć wzgląd na skłonności uległej zupełnie córki, poświęcającej te skłonności jej woli! a w których nie tylko nie ma nic nagannego, lecz owszem, które wzajemna cnota, tak jawnie okazana, tembardziej jednoczy i gruntuje. Dla tego moja kochana kuzynko. . .

— I moja także, panie kochanku!

— Racz się zgodzić na to, aby ten poczciwy i zacny młodzieniec był odtąd zdeklarowanym konkurentem do ręki twej córki, a wysługującym względy wasze rodzicielskie. . . .

—Byle tylko nie tak długo jak Jakób za Rachelę, panie kochanku.

—Nie mającym, przedłużał Sulistrowski, jeszcze waszego zezwolenia, które zupełnie od woli waszej zależeć będzie, ale mającym za sobą swą cnotę i prawość, serce panny i dostojne swatowstwo księcia, a tem samem jego opiekę i przyjaźń dla domu waszego. . . a przy tych słowach ostatnich uścisnął rękę starościny.

— Brawo! Brawo! Starościna dobrodziko, wyborny projekt— okrzyknięto zewsząd.

— Jakże moja kuzynko? czyż moja instancya i przyjaźń nic nie ważą u ciebie, rzekł książe biorąc jej rękę i trzymając ją w oczekiwaniu. Starościna się uśmiechnęła. Uśmiech ten był hasłem powszechnej wesołości. . .

Radziwiłł swatem,
Za panem Dowiatem!

zawołano chórem: Vivat!

— Dajże kielicha, panie kochanku, rzekł Radziwiłł.

W kilka miesięcy potem, gdy się żałoba Dowiatów ukończyła, pod wieczór pięknego letniego dnia, kilkunastu wytwornie ubranej młodzieży na dzielnych koniach, jechało pięknym orszakiem ze dworku na Antokolu pana Dowiata. Na ich czele jako przewodnik kawalkaty harcował pan porucznik Stelnicki, błyszczący od szlif, blach, taśm złotych i pendentów, na porcenelo-srokatym tarancie, którego gdzieś wielkim kosztem odkupił; za nim jechał pan Ludwik na karym arabie, którego musiał nakoniec przyjąć w podarunku od pana Sulistrowskiego, za nimi liczna gromada towarzyszy i nakoniec masztalerzy.

Przejechawszy tak kilka ulic pomiędzy ciekawymi widzami, zawrócili się na Trocką i wysiedli przed pałacem pana pisarza litewskiego, rzęsistem oświeceniem wewnątrz jaśniejącym. Za ich tam wejściem zabrzmiała muzyka, a pytającym się na ulicy nieświadomym powodu tej uroczystości odpowiadali świadomsi — A to dziewiczy wieczór panny starościanki Kapinowieckiej, wychodzącej za mąż za pana Ludwika Dowiata, tego, co to jechał na karym koniu.

— Czemu nie? bogata para, mówiono: panna wzięła po śmierci jakiejś ciotki Dulskiej, kilkakroć sto tysięcy, a panu młodemu stryjaszek, mecenas trybunalski, podobno drugie tyle odliczył. Radziwiłł zaś przyjął tę wspólną summę i dał obojgu za bezcen w zastaw wielkie dobra w Słuczczyźnie; on to podobno zeswatał to małżeństwo.

Już się ściemniało; tłum patrzący z ulicy w okna drugiego piętra rozszedł się nakoniec, gdy kompania liczna w salonach raptem się do okien zbiegła -- bo pod niemi na ulicy zaśpiewano kilkunastu dobranymi głosami, w których dyszkant celował:

„Zakładajcie konie kare!
I chórem: Złącz Boże tę parę!
Zakładajcie konie gniade!
I chórem: Do ślubu niech jadą!
Zakładajcie konie siwe!
I chórem: Daj Boże szczęśliwie! *)

Koniec.

---

*) Dawne weselne strofki.

NOWE PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

przez

Brata Rafała Karęgę.

LIST AUTORA DO WYDAWCY.

Łaskawy dobrodzieju!

Wydałeś waszmość pan dobrodziej na *publicum* raptularze nieboszczyka brata naszego, *fiat pax* poczciwej jego duszy Michała Ławrynowicza, ochrzciwszy je mądrym tytułem Pamiętników kwestarza; zakon nasz czuje za to dla waszmość pana dobrodzieja wielką estymę i powinną rekognicyę, ale że nie święci garnki lepią, jak powiada przysłowie i nasz ksiądz kustosz dobrodziej, więc i ja idąc w ślady nieboszczyka brata Michała postanowiłem opisać moje kwestarskie dzieje; *in praeterito* wszakże, bo to od lat kilkunastu przestałem tej włóczęgi, i w moim podeszłym wieku służę Bogu spokojnie, choć świece ucierając na jego świętych ołtarzach w naszym kościele.

Skąd ta pisanina przyszła na mnie, klaryguję to na początku *per modum* w introdukcyi, i odsyłam całą tę skrypturę moją jegomości dobrodziejowi, oddając oną w zupełną opiekę i manudukcyę pańską, a jeżeli się zda waszmość panu dobrodziejowi promować i mnie także do druku, to jeden tylko kładę warunek: —Powiadają ludzie że waszmość pan dobrodziej za swoją fatygę miewasz *certum quantum* do kieszeni; otoż jeżeliby i ta moja praca ten szczęśliwy ewent jegomości dobrodziejowi przyniosła, proszę niezapominać i o bernardynach.

Nakoniec czytałem ja nie raz w starych a mądrych księgach, których po naszych klasztorach chwała Bogu nie brak, zaraz na pierwszej karcie, różne deklaracye do Zoilów; widać że ich dawniej wiele było na świecie, i że szanowni *auctores* nie lubili ich; a może i teraz wyrwie się który, jak Filip z konopi na mnie biednego, więc i ja skoncypowałem dlań taki komplement.

D o Z o i l a.

„Zoilu! jeśli zechcesz otwarcie czy nurkiem *)
Brać na kieł, by szwank wzięła ta poczciwa księga.
Masz wiedzieć — że ją bronię paskiem i ogórkiem.
„A ostrzegam zawczasu.—Brat Rafał Karęga“

Ten który się pisze jegomości dobrodzieja najniższym podnóżkiem—*Ut supra.*

---

*) Widać że tu autor miał na celu niepodpisujących się recenzentów.

I.

Introdukcya.

Rok temu, jak wszyscy wielu nas jest w klasztorze, siedzieliśmy wieczorną dobą na wielkim ganku naszym przed furtą, i popijaliśmy szumiące piwko marcowe za zdrowie naszego ks. kustosza dobrodzieja, który znając się dobrze na alchemii, sam informował brata kanaparza, a razem i piwniczego w naszym klasztorze, jakby najlepiej piwo miał uwarzyć; jakoż i udało się wyśmienite. — Wieczór był piękny w maju, i już było po nieszporach, a nasz ks. kustosz dobrodziej lubo i zakonną proeminencyą i mądrą bardzo głową nad nas wszystkich, a nawet i nad najstarszych definitorów góruje, gdy jednak w wesołym jest humorze, to lubi zabawić się z nami poufałą konwersacyą,, ot tak, to o tem, to o owem, każdy z nas coś swojego dorzuca, a gdzie jest kilkunastu ludzi w dobrej komitywie i ze spokojnem sumieniem, to im wszystkim tam wesoło jest i dobrze.

Otoż gdy tak się zabawiamy, zajeżdża przed nas bryka dwiema nędznemi szkapami zaprzężona, płótnem cała pokryta, a za woźnicę siedzi żydek obdartus, ale z pod płótna wyskakuje jakiś bardzo polityczny jegomość... wprawdzie, coś także na żyda zakrawa, ale bez pejsów, bez jarmułki, nie w łapserdaku jakim, ale w pięknym surducie i w kapeluszu zajęczym. Wszelakoż był to także żyd, a znał go już ks. kustosz, bo bywając w Wilnie, zachodził czasem do jego księgarni; zatem go i powitał.

—O! jak się masz panie Rubin? przecież i nas przypomniałeś.

— A jakże, mości dobrodzieju? a jakże? — mówił pan Rubin trochę z żydowska, i spodziewam się, że tu dobrze utarguję; aj, bo mam nowiuteńkie dzieła, to ach! niech tylko jegomość dobrodziej i wszyscy księża dobrodzieje zobaczą.

— A to nowa rzecz, mówiliśmy między sobą, książki po kraju rozwożą żydzi! pokaż, pokaż, zawołaliśmy chórem.

Więc Rubin z pomocą swego furmana wyciągnął ciężkie dwie skrzynie z bryki, i postawiwszy je przed nami na ziemi, otworzył.

— Proszę wybierać, rzekł, towaru chwała Bogu co ach!

Zaczął się więc jakby rabunek książek Rubina.

Niechaj sobie co chcą mówią libertyni, ale w każdym klasztorze znajdują się wszakże ludzie rozumni i nabożni, którzy zwłaszcza w teraźniejszych czasach łapczywymi są do książek. U naszego ks. kustosza naprzykład, stoi szeroka szafa z książkami jego własnemi; i u ks. kaznodziei także, no i u nas nieraz książka jaka ciekawa chodzi od celi do celi; i mnie się na końcu dostanie, choć nie wiele uczonemu bratu. Powiadają, że tego dawniej nie bywało, to nie prawda, bo zkądżeby wzięły się te stare foliały, którymi u nas dwie cele zawalone. — Ale to niechaj sobie.

Otoż nasz stary ks. definitor, *notabene* jubilat, chwycił jedną książkę i przeczytał tytuł „Pamiętniki szatana.“ Tfu do dyabła! krzyknął on, i rzucił ją w oczy żydowi—to takie rzeczy ty pogański synu wozisz,dodał z gniewem, to chyba w piekle drukowano i sam au-tor tamże!

— Nie mości dobrodzieju, odpowiedział Rubin, w Warszawie, to co ach! sławne dzieło! to w katalogu stoi rubli sześć, ale ja spuszczę.

— „Pamiętniki kwestarza“—przeczytał znowu ksiądz kustosz tytuł.

— Pamiętniki kwestarza powtórzyliśmy wszyscy ze zdziwieniem, a którego?

— No, to co ach! dzieło nowiuteńkie, rzekł znowu Rubin; w katalogu stoi rubli dwa, ale ja spuszczę.

— Jakiegoż kwestarza? zawołaliśmy znowu.

— A ja co wiem? odpowiedział Rubin; to musi tam być na pierwszej karcie.

— Wydane przez Ignacego Chodźkę, rzekł ks. kustosz, mam pierwsze serye Obrazów litewskich tego autora, więc i tę kupię dla kontynuacyi.

— Czy on bernardyn? czy on był kwestarzem? zapytał znowu ks. jubilat.

Uśmiechnął się kustosz A czy ten był dyabłem, kto napisał pamiętniki dyabła? rzekł.

— Kat jego wie, kto to napisał, i wiedzieć tego niechcę—odpowiedział jubilat, ale zdaje mi się, że trudno opisać to, czego nie praktykowaliśmy; więc Pamiętniki kwestarza, kwestarz by tylko i opisywać mógł, gdyby było co do opisania, lub gdyby kwestarze pisać umieli.

— A *reverendissime*, odezwałem się ja; nie wszyscy kwestarze są tacy, jak rozumiesz ojcze.

— Aha, rzekł on, waszeć niby to mędrszy.—Otoż księże Ambroży, rzekł znowu,kustosz, przeczytamy najprzód i dowiemy się kto to napisał a może i kwestarz jaki—toby nam wielki zaszczyt przyniosło, bo kiedy kwestarze piszą dzieła, to cóż jubilaty i definitory! a jeżeli autorem jest jaki świecki człowiek, naprzykład sam pan wydawca, to będzie nam materya *ad disputandum*, czy się on znał na rzeczach bernardyńskich i kwestarskich? czy przeciwnie nie w swoje wdał się; a w takim razie wytrzem mu kapitułę, jako piszącemu fałszywie o naszej. Ks. Ambroży kiwnął głową popijając piwko, musujące szumnie, i wszyscy także za przykładem starszyzny cynowe nasze, staroświeckiej mody, wychylając kufelki, zabawialiśmy się rozpatrywaniem książek.—Ks. kustosz kupił kilkanaście, i ten i ów po dwie, po trzy, jak komu stało w kieszeni.—Ale nie ma co powiedzieć na pana Rubina, miał wielki wzgląd na nasze ubogie kaletki, i spuszczał bardzo od cen drukowanych, które przy targu każdej książki, w katalogu okazywał; a tak, pięknego grosza od nas wybrawszy, kilka

jeszcze kuflów piwa wysmoktał, spakował potem resztę książek, i przyrzekając nam częstsze odwiedziny, powlókł się dalej rozwozić mądrość po świecie.

II.

Ciąg dalszy introdukcyi.

W kilka dni potem zawołano mnie do ks. kustosza, znalazłem tam razem i ks. Ambrożego, a obu w jakiejś żywej dyspucie.—Gdym wszedł umilkli—a ks. kustosz podając mi książkę rzekł:—No *charissime frater Rafaele* (bo tak mię czasem w łaskawości swej nazywał) przeczytaj waszeć te książki. Pamiętniki kwestarza, którem onegdaj kupił, a nad którymi teraz obszerną rozprawę z ks. jubilatem odbyliśmy; waszeć kiedyś kwestowałeś, przypomnij więc tamte swoje dzieje i napisz także swoje pamiętniki, ks. Ambroży dowodzi, że tego niedokażesz, a ja mówię, że „nie święci garnki lepią"—że i nasz brat Rafał ma olej w głowie, choć nie pokrytej kapturem, że nawet częściej się nad książką znajduje, niżeli tam nasi niby to luminarze. Liznąłeś widać w szkołach i łaciny trochę; jednem słowem masz wszelkie ku temu dziełu kwalifikacye, którym ks. Ambroży zaprzecza.

— Wcale nie zaprzeczam mój dobrodzieju, odpowiedział jubilat: *concedo majorem* ale *nego minorem* *), jakto dawniej powiadano; to jest nie brak tu zdolności, ale brak treści. Owszem wiem skąd inąd, że brat Rafał zdałby się na kaznodzieję, może lepszego od wielu innych, jak tego dał dowód, gdy raz jeżdżąc po kweście trafił do pewnego plebana na jakiś fest wielki w jego kościele, aż tu nagle zasłabł ksiądz mający mieć kazanie. . . .

— No, to pewnie wziął jego manuskrypt i przeczytał—przerwał ks. kustosz.

— Otoż to, że nic pisanego nie było, bo to był z takich kaznodziei i oratorów, którzy z natchnienia Bożego bez przygotowania się i bez pisma mówią, gdy więc żaden z obecnych księży nie mógł podjąć się do takiego zastępstwa *ex abrupto*, bo każdy z pisma kazać przywykł, pleban uczepił się kwestarza, to jest brata Rafała.

— I cóż? zapytał kustosz obracając się do mnie.

— A cóż *reverendissime*, odpowiedziałem; nie mogąc oprzeć się prośbom i molestacyom poczciwego a zakłopoconego plebana, westchnąłem do Boga, aby mię wspomógł na chwałę swoją, i wziąwszy ewangeliczkę w rękę, szedłem śmiało przez kościół; a

*) Termina dawnych scholastycznych dysput—zgadzam się na założenie—lub przeciwnie przeczę wnioskowi.

takie jakieś zaufanie we mnie wstąpiło, że to był cud Boski dobrodzieju.

— Jakiż tekst wziąłeś? —pytał uśmiechając się kustosz.

— Przypadła ewangelia o cudownem rozmnożeniu chleba i ryb, otoż naturalna treść o miłości chrześcijańskiej i o jałmużnie; więc karcąc jak należało przeciwne temu grzechy, to jest skępstwo, nieludzkość i twardość serca, zaklinałem słuchaczy, aby odtąd dla zbawienia dusz swoich i dla odkupienia grzechów, nie żałowali jałmużny dla biednych, a zwłaszcza dla sług bożych ubogich duchem i mieniem, jako my bernardyni.

— No *charissime*—rzekł znowu ks. kustosz, powiem ci prawdę, żeś podwójnie zgrzeszył: najprzód nie będąc kapłanem, nie możesz bez szczególnego zezwolenia mówić kazań, a powtóre—kwestowałeś z ambony, a to ani *decet* ani *licet* *), więc powinienbym cię za to teraz nawet wsadzić w ciupę, gdyby ciupa była jeszcze w modzie.

— *Mea culpa, reverendissime!*—rzekłem całując go w rękę, *confiteor*, ależ temu lat ze dwadzieścia z górą, i mnie się zdawało, że w tem nie było nic złego, dałem ludziom grzesznym naukę i razem zręczność do zbawiennej poprawy.—Jakoż słowa moje nie padły na płonną ziemię, bo gdy po sutym obiedzie, którym pleban swych kollatorów uraczył, poszedłem z talerzykiem, to wszyscy przypomnieli kazanie i talerzyk rublami zasypali, a cóż lepszego dokazałby i jaki teolog?

— Wsadź mię w ciupę *reverendissime*,— rzekł tu *insperate* do ks. kustosza ks. Ambroży, wsadź mię w ciupę, obliguję!

Kustosz spojrzał nań ze zdziwieniem, i kręcąc palcem, co to znaczy? rzekł.

— Czyż mię nie rozumiesz? wsadź mnie w ciupę—i kwita.

— Co ci się dzieje ks. jubilacie? za co? i na co? skąd ci to do głowy przyszło?

— Za co?—znajdzie się łatwo,—odpowiedział jubilat. Ot często mię rano nie widzisz w chórze, ani na jutrzni, ani wieczorem na nieszporach; powiadacie stary zalenił się, bo stary,—zalenił się—ot i wina gotowa, a gdybyś jeszcze ks. kustoszu dośledził czemu się zalenił? znalazłbyś czasami i miarkę przebraną w konsolacyi... słowem godzienem ciupy, i sadź mię śmiało *reverendissime*, nie zawiedziesz sumienia.

— Rozumiem,—rzekł kustosz, chcesz siebie poświęcić na przykład młodszym.

— To, to, to—zgadłeś *reverendissime*: mądrej głowie dość na słowie—Ciupa mości dobrodzieju, *miserere* i *sequeris* z dyscypliną, wszystko wyszło z mody, dla tego źle z nami i bardzo źle! trzymamy się to niby reguły zakonnej, ale reguła nas jakoś się nie trzyma. Dawniej im kto uczeńszy u nas bywał, tem był świątobliwszy, tem bardziej pilnował klasztoru, i w gronie braci znaj-

*) Ani przystoi, ani się godzi.

dował pociechę i chlubę ze swej mądrości. Teraz pożal się Boże! jak tylko któremu z nas się uda powiedzieć jedno i drugie dobre kazanie i rumor pochlebny rozejdzie się o nim, a szczególnie w mieście jakiem, to wnet go pycha szatańska obejmuje i wymyka się mości dobrodzieju z klasztoru samopas na świat, aby posłuchać pochwał szczerych, czy nie szczerych, z a któremi potem tęskniąc, coraz bardziej a bardziej zaniedbuje i obrzydza swą celę, i spokojny klasztorny żywot. Za starszymi idą młodzi, i tak choć furty nie zamykaj; a klasztor jak gąbka naciąga światowości, która zda się, że już po korytarzach naszych wieje. Otoż gdyby to mości dobrodzieju, przydybawszy którego, choćby jubilata, a tembardziej którego młodzika, wracającego *post silentium* do klasztoru, przeprowadzić go przez *miserere cum flagello, ad corpus delicti aplicando* *), i tu ręką wytłumaczył swoją łacinę, której sam już jeden między nami po staremu do swej mowy zwykł był dorzucać jeszcze.

— A potem,—mówił dalej,—po światowych specyałach i pierożkach cukrowanych w ciupę jegomościa na tydzień, na chleb suchy i na wodę, ze stosownemi rokolekcyami duchownemi!. . . zobaczyłbyś mości dobrodzieju, jaki to wyśmienity z tego nastąpiłby skutek, jak wszystkoby powróciło do dawniejszej zakonnej *obedientii*, i do dawnych naszych poczciwych a pobożnych obyczajów.

Tu mocno i po kilkakrotnie zażył tabaki, bo już to jego zwyczaj, gdy cokolwiek z ferworem dowodzi, zasypać argumenta tabaką, jakby piaskiem napisane kazanie.

Ks. kustosz słuchając tej perory, to się uśmiechał, to kiwał głową, i nakoniec rzekł:

— Wiele jest prawdy w tem coś powiedział *reverendissime*: jest niejakie rozwolnienie reguł, nie tylko u nas, ale i po innych zakonach, wszakże zgorszenia chwała Bogu niesłychać; owszem *reverendissime*, jeżeli się coś chybia w pozorach, to jednak grunt za łaską Bożą ulepsza się; i niewiem na jaką stronę padłaby wygrana z porównania dzisiejszego religijnego usposobienia duchowieństwa, ze stanem owego czasu, gdy Monachomachia okrywała śmiesznością rutynę scholastyczną klasztorną, i stare nałogi.

— Monachomachia! — przerwał porywczo ks. Ambroży,— Monachomachia mości dobrodzieju, dzieło libertyńskie. Biskup warmiński w piekle po uszy, że swoich talentów, które na chwałę. Boską poświęcić był powinien, użył na pohańbienie sług Bożych. Jan Kochanowski tłumaczył psalmy Dawidowe, a nie pisał herezyi.

— Ha *reverendissime*,—rzekł kustosz—Krasicki, jako chrześcijanin, katolik, tembardziej jako biskup, niewcześnie poematem swym potakiwał niedowiarstwu zarażającemu natenczas cały świat, i naszą biedną krainę; gdy przeciwnie walczyć przeciw niemu wszelkiemi siłami woli, rozumu i serca był powinien; a jako pa-

*) Z biczowaniem grzesznego ciała.

sterz poprawiać swą trzodę, nie zaś ją osławiać podając broń w rękę nieprzyjaciołom kościoła i wszelkich religijnych instytucyj, wprawdzie na usprawiedliwienie swe mówi on:

„Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych.
Śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych.“

Ale nie przyszło mu na myśl, że głupich uczyć łagodnie i oświecać nie zaś wyśmiewać ich i urągać się im należy; chybił więc swej roli i swego obowiązku, dał się unieść potokowi powszechnemu, a był zapewne przekonany, że wpłynie skutecznie na reformę obyczajów zakonnych, którą potrzebną być sądził, reszty dokonała owa szalona pokusa, to jest poezya dowcipem podniecana.—Tak się zrodziła Monachomachia szczególniej grzeszna, że nie w czas była dla religii, a w czas dla niedowiarstwa, i stąd właśnie tak szeroka jej popularność; stąd nie mała liczba naśladowców, którzy niedorównywając Krasickiemu talentem ni dowcipem, silili się na poemata, i złośliwość tylko z mętnych źródeł francuskich pożyczaną, czerpali. Stąd Organy Węgierskiego, których zapewne i nie czytałeś *reverendissime*, dedykowane nawet Krasickiemu.

— A gdzież to był ten węgierski organista?—przerwał ks. Ambroży—niechby on sobie i pisał po węgiersku; po co mu do nas?

Ks. kustosz uśmiechnął się i kontynuował dalej:

— Stąd Bibeida Rajmunda Korsaka nie drukowana dotąd, i drukować się już zapewne nie mająca.—Stąd poemat Sprzeczki w wyjątkach tylko znany *), i tym podobne ciągłe lub urywkowe na duchowieństwo miotane obelgi i czernidła, których się zepsuta natenczas i rozwiązła publiczność z upodobaniem chwytała, a które jeżeli doszły, lub gdyby doszły do Krasickiego, zraniłyby głęboko, pewny jestem, jego poczciwe skąd inąd i obywatelskie serce.

— A zkądże przyszło jegomości dobrodziejowi czytać te bałamuctwa?—zapytał ks. Ambroży.

— O mój ojcze, rzekł poważniej ksiądz kustosz: lat trzydzieści wieku mego strawiłem na świecie, nim mię Bóg do zakonu powołać raczył; trudno więc było w owych czasach młodości mojej uchronić się i ominąć trucizny, którą się jak owocami najdojrzalszej mądrości lub dowcipu traktowano, i którą z każdym kęsem chleba powszedniego pożywać, że tak powiem, trzeba było, szczęście moje, żem znalazł na nią *antidotum* u nóg Zbawiciela; że łaska Ducha świętego wypaliła aż do dna w sercu mojem zarodki złego, któreby pewnie potępiły nakoniec mą duszę, teraz oczyszczoną i pełną wiary świętej, a umocnioną dwudziestoletnią służbą u ołtarza, i codzienną przed nim ofiarą; oddam ją Bogu w nadziei nieograniczonego miłosierdzia Jego. Tu wzniósłszy ręce

*) Wyjątki te były niegdyś w Tygodniku Wileńskim.

i oczy w górę, rzekł jakby w modlitwie—„*Qui redemisti perditos—noli condemnare redemptos*“ *).

Staremu naszemu jubilatowi łzą zaszły powieki i jakby w zachwyceniu zawołał.

Reverendissime custos! dixisti verbas augustas **)—a chwytając nagle rękę kustosza ucałował ją i do piersi przycisnął.

— Ojcze co czynisz?— zawołał kustosz:—nam to, nam należy całować rękę weterana naszego i bogomódlcy rękę, która nas niedawno błogosławiła i uściskała głowy nasze na twej prymicyi zakonnej; pięćdziesiąt lat pracujesz gorliwie w winnicy pańskiej, niech cię Bóg wspiera na drugie tyle, wzajemnie ujawszy rękę starca ucałował ją czule,

— *Satis*, rzekł stary ocierając oczy, *satis*, bo się rozbeczę jak dziecko.

I mnie też zrobiło się tak razem żałośnie i miło, żem chciał obu patrom do nóg upaść, ale mi tego nie dopuścili, i tak wszyscy trzej zamilkliśmy, ale w duszy radzibyśmy byli jeden drugiemu, jak to powiadają, nieba przychylić.

Po chwili takiego milczenia odezwał się znowu ks. kustosz.

— Ale zboczyliśmy z drogi: miałem ci dowieść ojcze, że stan dzisiejszy ducha zakonnego i zakonników, mimo niejakiego rozwolnienia reguł i form, lepszym jest i gruntowniej religijnym, niżeli w owe czasy, gdy ks. biskup warmiński, zawzięte dysputy nasze wyśmiewał. Bo niechże kto teraz choć równy, a nawet wyższy odeń talentem, zebrawszy wszystkie wady i usterki klasztorne, chciał napisać z nich poema żartobliwe, pewny jestem, że tegoby nie dokazał dla braku treści; a co nie wzbudza śmiechu, to wzbudza litość albo uszanowanie, albo jedne i drugie razem. i to oboje uczułby on dziś rozpatrując się w nas bez uprzedzenia, —Nie mamy zapewne teraz tak ścisłych ascetów, jakich dawniej między zakonnikami szczególniej, nie mało się znajdowało; kateny***) równie jak ciupy wyszły z mody, ale za to wiara gorliwa i gorliwość o wiarę jest w sercu każdego i zda się, że łaska oświecająca i uświęcająca, skupiona wówczas na niektórych, teraz chwała Bogu rozlewa się na wszystkich. Wierzono dawniej po większej części bez rozbioru, obserwowano regułę i obrzędy z rutyny; dziś wierzymy sercem i przekonaniem, a każdy akt modlitwy i świętych a wspaniałych obrzędów naszych, dla tego buduje wiernych, dla tego czyni na nich głębokie wrażenie, że sami głęboko niem przeniknieni jesteśmy.

---

*) Który odkupiłeś zgubionych, nie potępiaj odkupionych.

**)Najszanowniejszy kustoszu, rzekłeś słowa szczytne.—Custos, znaczy strażnik—opiekun.

***) Katena—pas druciany ostry, którym się pokutnicy po nagim ciele przepasywali.

— Mówisz *Reverendissime* jak Salomon,—przerwał ks. Ambroży, ale mości dobrodzieju *nulla regula sine exceptione* *).

— Tak jest,—rzekł kustosz, i być inaczej niemoże, gdy sprawa z ludźmi, a nie z aniołami, ale w Bogu nadzieja, że przy jego opiece światowość, która nas jeszcze się czepia, odpadnie od nas jak szata zbutwiała; a błogosławiony habit, cela spokojna i samotna, pokora i prostota, staną się ulubionemi każdemu zakonnikowi; tak że bez przymusu i surowości wróci wszystko do dawnych reguł i karbów.

— Amen! mości dobrodzieju, rzekł ks. Ambroży, amen! i mocno pociągnął tabaki, a ja dla rozweselenia ojców tak mądrze zarozumowanych, rzekłem,

— Kiedyż wszystko ma się wracać do dawnego obyczaju, to zdaje mi się *reverendissime*, że zacząćby najpierwiej należało od bernardyńskich porcyi: „*Frater an vides me?* **) pytano dawniej u obiadu na przeciw siedzącego brata, a teraz możnaby zapytać, „*Frater an vides portiam meam?*" ***).

Zaśmieli się obaj ojcowie, a ks. kustosz dodał:

— Ot widzisz ks. Ambroży, są w nim zarywki kwestarskie, więc,—rzekł obracając się do mnie i oddając książki,—więc czytaj i potem pisz; pod staroświecką obedientią przykazuję waszeci, a co napiszesz, przynoś tu częściami do mnie, będziemy z ks. Ambrożym sądzić twą pracę i po profesorsku podpisywać *Lectum et corectum*" ****)

Powróciłem więc do celi, i najpierwiej spisałem na świeżo, i *praeter propter* dosłównie, mądrą ojców rozmowę, bo słuchając całą gębą, mając chwała Bogu lokalną pamięć, nieopuściłem ani słowa, a tem samem służy mi to za introdukcyę, i razem objaśnia skąd na mnie to przyszło.

III.

Brat Michał Ławrynowicz.

Mój miły Boże! kiedy to ja spójrzę do danych mi książek, aż od pierwszej karty dowiaduję się, że to raptularze naszego nieboszczyka, brata Michała Ławrynowicza, którego dobrze pamiętam, i którego śmierci nawet byłem świadkiem w Bienicy, bom tam natenczas był w szkółce, w której paupeŕów okazujących inklinacye do zakonu, nauczano służby

*) Żadna reguła bez wyjątku
**) Bracie czy widzisz mnie.
***) Bracie czy widzisz moją porcyę?
****) Czytano i poprawiono.

Bożej i początkowych nauk, nawet po trosze łaciny. A jeżeli który z dyscypułów, przez swą pilną aplikacyę i pojętność dawał dobrą o sobie nadzieję, to go na wyższe studya wysyłano do Wilna, skąd po latach kilku nowicyatu i nauki, wychodził na kapłana, a czasem i na wielkiego teologa.

Otoż pamiętam, że w kilka miesięcy po przybyciu swojem do Bienicy, jakoś to już na stoku zimy, a przybył latem, umarł brat Michał z gorączki, która natenczas wszędzie grasowała, a najwięcej około traktu, którym całe wojsko francuskie nazad się wlekło i marzło, a od którego Bienica blizko.

Żałowano bardzo w klasztorze brata Michała, bo choć on był *titulo* kwestarz tylko, jednak respektowanym był wielce, bo miał głowę nie dla proporcyi. A jako niegdyś dworak i wersat w interesach klasztornych, zwłaszcza *maioris importantia* *) lepiej często niż który *pater* poradził. Pamiętam nawet siwego barana, którego on uczył na prowodyra do kwesty; jadł on już chleb z rąk i na pamiątkę Michałem go nazywano, porwał go potem wilk, z wielkim żalem nas wszystkich, szczególniej klasztornych studentów, których on był faworytem.

Mówiono i to, że ks. Puciata, spowiednik brata Michała, zabrał po nim wiele papierów i całych seksternów ściśle zapisanych, mniemano natenczas, że on jeżdżąc po świecie zbierał rozmaite perskrypcye to doktorskie, to kucharskie, i zapisał je widać przy ostatniej spowiedzi swemu ojcu duchownemu, ale i ks. Puciata wkrótce także *fatis cessis*, więc i zapomniano o wszystkiem. Teraz wszystkie te cyrkumstancye przyszły mi na pamięć, gdy też same seksterniki wydrukowane są w mojem ręku; i przeczytałem je od deski do deski — Niechże w Bogu spoczywa poczciwy brat nasz Michał Ławrynowicz, a fama o nim i o zakonie naszym, niechże za błogosławieństwem Boskiem, *crescit et multiplicatur in saecula saeculorum***)

Zatem i mnie w jego ślady iść potrzeba, ksiądz kustosz nałożył obedientię, i już ze trzy pióra zgryzłem, myśląc tylko jak zacząć; pamiętniki te gorzej mi jeszcze głowę zawracają, różne obudzając refleksye, spiszę je więc wszystkie i ks. kustoszowi zaniosę, niech sądzi i dyryguje, a może mnie od tego kłopotu uwolni.

Moje refleksye.

Już mi nie o to idzie, żem się ja nigdy z memi zdolnościami do pióra nie próbował, bo owo kazanie, którem *ex abrupto* powiedział, tem samem, że się udało, dowodzi, że nie było moje własne, ale łaską Ducha Św. mnie natchnięte. Nie mogę także powiedzieć: „w szkole nie bywałem i rószczki nie widziałem,„ bo i mnie wysłanoby niegdyś jak wielu innych z Bienicy do Wil-

---

*) Większego znaczenia.

**) Rośnie i rozszerza się na wieki wieków.

na na studya, lecz jam natenczas osądził, że mnie dość nauki, i uparłem się przy swojem; a że nie było komu napędzić mi rozumu do głowy i przekonać mię, że go mam niespełna, więc tak jakoś i zostało, za to rosła codzień we mnie taka miłość do klasztoru, do kościoła, że nieustannie prosiłem aby mię co najrychlej paskiem Ś. Franciszka przepasano i wotum moje przyjęto; a gdy to się stało, nacieszyć się nie mogłem. — Bóg świadkiem, że odtąd ani razu nie pożałowałem tego, bo i cóżbym robił na świecie? Ot bym gdzieś wykierował się może na jakiego pisarza prowentowego; piękna funkcya, i piękna kondycya! Tu zaś chodząc około mądrych i pobożnych ojców, słuchając ich przestróg i nauk, codzień w głowie mi świetlało; a mając czasu na zbycie, przyszła za dobrym przykładem i ochota do książek, odzywało się w pamięci: „*Surge puer, sume librum, perlege, sapere aude;*“ *) być mądrym ośmiel się! Więc i ośmieliłem się. . . do mądrości to wprawdzie daleko, ale przecież i z głupstwa jakoś wybrnąłem, tak, że i nie wstyd było patrom za socyusza niekiedy mię przybierać; a że to często się zdarzało i nakoniec w zwyczaj jakoś weszło, więc i polityki światowej pokosztowałem trochę, i poznałem chwała Bogu co *licet i decet* **) między ludźmi; jak to powiedział ks. kustosz.

Niechże mię jednak Bóg broni od pychy! to pierwszy gradus do piekła, zawszem ja tylko brat Rafał, *humillimus servus* pokornego naszego zakonu, a refleksye te dla tego tylko czynię, że poczuwam się w możności, jak i kto inny, a może za pomocą Boską i lepiej potrafię opisywać kwestarskie moje włóczęgi. Tylko wszakże przy wszystkiem tem co mnie Bóg dał z natury, lub nadarzyła nauka, żadnym sposobem komparować się nie mogę z nieboszczykiem bratem Michałem, bo proszę uniżenie, gdzież teraz takie dwory, w jakich on wprzód jako marszałek rej wodził, a potem na swej dropiatej objeżdżał? Gdzież panowie jak Radziwiłł? do którego i mniej bogatsi, ale ze swej wspaniałości, pobożności i pańskiego życia podobnymi byli? Gdzież ten animusz, rezon i humor, z którym brat Michał już do klasztoru wstąpił, a potem w peregrynacyach swoich wszędzie go znajdując, akcenta własne mieszał z cudzymi — a nadto opisywał wiele takich rzeczy i ewentów w kraju, o których ani mi się śniło, i ledwo coś o nich od starych naszych patrów posłyszeć można; i to wiedzą z nich niektórzy, że dzwoniono, ale nie wiedzą w którym kościele? — Gdzież ta wesołość i swoboda umysłów? . . powiadają, że teraz światło panuje, ale Boże odpuść, gdzież tam? teraz ciemność panuje; a przynajmniej bardzo wielka pochmurność — Gdyby było światło, toćby rozweselało ludzi; kiedy słońce pięknie świeci, to aż miło spójrzeć w oczy każdemu; a kiedy chmurą zajdzie i nie

*) Wstań dziecię, weź książkę przeczytaj, bądź mądrem ośmiel się.— Wypisy dawniejsze na klasę I-szą.

**) Wolno i przystoi.

ma pogody na świecie, to nie ma i na twarzach ludzkich, więc kiedy nie ma teraz wesołości, to ma nie i światła — konkluzya zdaje mi się oczywista.

Kwestarze podług dawniejszej mody bywali właśnie takimi, jakimi był brat Michał: pokorny, ale *versat*—skromny, ale *facecio-sus*—weredyk, ale roztropny: umiejący i ze szlachtą się bratać, i u panów stawić się *modeste* ale *honeste*.—Powiadają nawet, że jeden taki kwestarz, stanął aż przed królem, i cały konwent swój z kłopotu wybawił; było to jakoby takim sposobem:

Któryś król przejeżdżając mimo któregoś z naszych bernardyńskich klasztorów, spostrzegł nadpis na facyacie. „*Providentia Dei*; *) zawołał zatem gwardyana i zapytał:

—Co rozumiecie przez ten nadpis?

—Miłościwy królu—odpowiedział on, rozumiemy to, że żyjemy *ex providentia Dei*, to jest z opatrzności Boskiej, która przez ręce pobożnych i miłosiernych ludzi opatruje nas chlebem.

Zakon nasz niemoże posiadać dóbr ziemskich, więc nie orząc ani siejąc z łaski dobrodziejów żyjemy.

— Dobrze, — rzekł król, — zobaczymyż jak żyjecie, — i wszedł do klasztoru w gościnę, z całym dworem na obiad.

Naturalnie, dla takiego gościa, ks. gwardyannie żałował, co miła najlepszego, a że dyspensa i sklep uprowidowane były porządnie, więc król jegomość zjadł obiad, choć klasztorny, ale dobry i smaczny; i skosztował zapewne bernardyńskiego trójniaku, ale po traktamencie rzekł do ks. gwardyana, i do assystujących mu ojców.

— No, widzę, że *providentia Dei* opatruje was hojnie, teraz więc musicie mi dowieść, żeście jej godni, to jest, żeście mądrzy i pobożni, i że taż sama *providentia*, nie tylko daje pokarm waszemu ciału, ale i wasze dusze oświeca i karmi. Zatem macie mi odpowiedzieć na trzy pytania.

Primo — ilem ja wart?

Secundo — Jak daleko z ziemi do nieba?

Tertio — Co ja myślę?

Daję wam trzy dni czasu, po których jeżeli mi na każdą tę kwestyę przyniesiecie dostateczną odpowiedź, uwierzę, że *providentia Dei* was wspiera, i żeście godni tej opieki; owszem będę sam dla was jej narzędziem, ale jeżeli pytań tych nie rozwiążecie, wypędzę was z klasztoru, jako ludzi chwalących się fałszywie łaską opatrzności, której nie są godnymi.

Trudno opisać jakie zamieszanie stało się w klasztorze, po takim gorzkim koncepcie króla. I jubilaty i definitory, najtężsi teolodzy suszyli sobie głowy, i nieschodzili z konsyliów, na których od rana do wieczora siedzieli, ale nic wymyślić nie mogli, a tu *tempis tempi* czas się skępi, i trzeci ostatni dzień nadszedł, a

---

*) Opatrzność Boska.

odpowiedzi jak niema tak niema; było ich może ze sto, ale żadnej takiej, którąby króla skonwinkować mogła.

Wtem wszedł na walną radę, w refektarzu zebraną, brat kwestarz klasztorny i zapytał:

— A cóżeście ojcowie uradzili, czy macie responsa dla króla?

Po milczeniu i minach wszystkich, poznały on, że sprawa idzie jak z kamienia:

— No *reverendissimi*—rzekł—kiedy *sapientia* wasza tak feluje, to pozwólcie mnie stanąć przed królem jegomością, może ja was uratuję, i dowiodę żeśmy nie . . .

Przerwali i nie dali mu dokończyć ojcowie; ruszyli się hurmem z ław, i wszyscy razem pytali, jakie odpowiedzie ma dać królowi?—a niektórzy kiwając wątpliwie głową odzywali się:

— My nic nie wymyślili, a waszeć masz być mędrszym od nas?

— Odpowiedzi moich, - rzekł kwestarz, - wam nie powiem, bo do wieczora może jeszcze własne skoncypujecie, ale kiedy wam na to oleju w głowach nie stanie, to powiadam wam posyłajcie po mnie, bo już nic lepszego zrobić nie będziecie mogli.

Argument ten był nieodbity, więc i stanęło na tem, że wysłano kwestarza do króla, nie dopytując się już, co on tam powie, a tylko błogosławiąc na drogę.

Stanął więc kwestarz przed królem.

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" rzekł on wchodząc, bo już to pewnie od tego zaczął.

A król pewnie odpowiedział:

— „Na wieki wieków" i spostrzegłszy go, przypomniał onegdajszą gościnę, i rzekł: przychodzisz zapewne, księżulu, z responsami na moje kwestye.

— Tak jest, najjaśniejszy panie, odpowiedział z nizkim pokłonem kwestarz.

A więc król zasiadł na tronie, i włożył koronę zwyczajnie jak król, a koło niego cały dwór od złota i srebra, aż w oczach kwestarzowi zaćmiło się, jednak nie stracił fantazyi.

— No, rzekł król, ilem ja wart?

— Szacujemy waszą królewską mość dwadzieścia dziewięć srebrników, odpowiedział kwestarz. Zdaje się, że bez krzywdy, kiedy jednym tylko srebrnikiem mniej od naszego Zbawiciela.

Król spojrzał po dworzanach, nie było co odpowiedzieć.

— Jak daleko z ziemi do nieba? zapytał znowu król.

— Moment drogi, miłościwy królu, skonanie! odpowiedział kwestarz, idzie tylko o to, aby nie zbłądzić, i nie trafić do piekła; od czego aby Bóg ustrzegł waszą królewską mość, my niegodni słudzy jego gorliwie modlić się będziemy.

Król pokręcił głową.

— No, ostatnie pytanie: co ja myślę?

— Wasza królewska mość myślisz, mówił kwestarz, że kiedy mnie tu wysłali, to ja muszę być bardzo mądry teolog, a ja prosty brat pałkuć—kwestarz, do usług waszej królewskiej mości.

— Brawo! zawołał król i wszyscy za nim: brawo!

— Wygrałeś sprawę, że *providentia Dei* opiekuje się wami i nie opuszcza was w każdym kłopocie; potem zaprosił go wzajemnie na obiadek i nakoniec sowicie obdarzonego odesłał.

Oto mi kwestarz! ale powtarzam, teraz takich nie ma, bo nie ma szkoły dla nich, a tą szkołą był świat; i choć który wyjechał z klasztoru „*simplex Dei amicus*" *) to w każdym prawie domu szlacheckim, a tembardziej pańskim znajdując prócz samych gospodarzy zawsze jeszcze mościpanów, z profesyi kwestarzów, tylko bez habitu, którzy wędrując od komina do komina, i pochlebiając tym co ich karmili, odpłacali swym dobrodziejom za chleb wytrawnym językiem. Brali oni zwykle biednego kwestarza w obróty, nim go tak nie wyuczyli, że potem i sam się obronił i ich konfundował jeszcze; stąd powstały owe jowialne anegdoty i dykteryjki kwestarskie, o które teraz trudniej jak o barany, gdyż wszyscy i wszędzie jęczą jak dusze czyścowe, choć częstokroć bez widocznej przyczyny; zmora jakaś padła na świat cały, zkąd? i dla czego? ja nie wiem.

Choćby więc kwestarz miał głowę Salomona, nic nie dokaże, gdy ani własnej, ani cudzej podjąć wesoło nie może; a gdyby zresztą i zdobył się na jakiś koncept, to cóż?. . . ot mi przychodzi na myśl komparacya: często dobre stalowe krzesiwo sypie iskrami jak żarem, cóż? kiedy gąbka się nie zapala, bo przemokła i zgniła; otoż syp koncepta i akcenta jak z rękawa, cóż, kiedy one nie rozjaśnią uśmiechem żadnej twarzy, bo wszystkie żółte i kwaśne, jakbyś je z przemokłej hubki ulepił; zblakowało towarzystwo ludzkie i kwita, a konsekwencya z tego wszystkiego czysta: że jeżeli pan wydawca powiedział, że pamiętniki brata Michała Ławrynowicza mają się tak do pamiętników Grumdrypa, spisanych przez księdza biskupa warmińskiego (o którym onegdaj tak gorącą słyszałem rozprawę) jak kwestarz do biskupa **), to moje do pamiętników Ławrynowicza mieć się będą jak żebrak do kwestarza. Zobaczymyż, co na to powie ks. kustosz dobrodziej.

IV.

Colloquium I-sze u ks. kustosza. Admonicye.

Dał że mi naukę ks. kustosz dobrodziej! bo gdym przeczytał moje refleksye, które bardzo approbował ks. Ambroży, on trzęsąc głową rzekł:

*) Prosty przyjaciel Boski.
**) Przedmowa do Pamiętników kwestarza.

— Na co waszeć taką pstrokacizną, to jest tak częstymi łacińskimi makaronizmami nastrzępiasz i szpikujesz swój styl. Czy ci polskich wyrazów brakuje?

— Ja *reverendissime* myślałem, że po bernardyńsku pisząc, tak koniecznie potrzeba, byle „*zrozumiętalnie.*"

— A niech cię licho! wrzasnął znowu ks. kustosz zatykając uszy, zkąd wyrwałeś tę zrozumiętelność.

— A wszakże to nie makaronizm, odpowiedziałem.

— To gorzej, bo barbaryzm, mówił grożąc mi palcem, a ja już myślałem, że za barbaryzm ciupę dla mnie odnowi.

Rozśmiał się ks. jubilat na taki jego ferwor, i sam się on zatem udobruchał; więc zaczął przeglądać moje refleksye.

— Z twoich uwag bracie Rafale, rzekł ks. kustosz, widać, że ty główną zaletę kwestarza na dowcipie zasadzasz; czyż to jego całe rzemiosło, aby tylko rozśmieszać i brać, a prościej mówiąc wydrwiwać barany? dawniej bywało nakształt tego, i to coś napisał w tym względzie, jest po większej części prawdziwem....

— I owszem w całości, w całości prawda, przerwał ks. Ambroży, zażywając tabakę.—Dajmy na to, że prawda, mówił dalej ks. kustosz; ale szczególniej w tem, że zmora jakaś jak mgła ciężka padła na świat i na ludzi, że jak bardzo trafnie acz popularnie wyrazić mu się udało, towarzystwo ludzkie zblakowało. Barwa nasza bowiem starodawna, rodzinna, niegdyś jasna, czysta, łagodna i żywa razem, oblekająca jakby w szatę weselną wszystkich, zwlekła się jakoś i z młodzieży i ze starych; dziś młodzież szaleje częstokroć, ale się nigdy nie weseli; a na każdego starca teraz zwykle ponurego spojrzawszy, powiesz przysłowie: „głowa miejsca szuka." Dawniej taka głowa, będąc pewna miejsca swego w królestwie niebieskiem, na ziemi igrała wiele z młodzieżą, rozsiewając z zebranego w długim wieku zapasu, ziarna i nasiona dowcipu, swobodnej wesołości i miłości wzajemnej; było to *otium cum dignitate* *) ot co jest! jak powiadał nieboszczyk ksiądz kustosz, opiekun i przyjaciel brata Ławrynowicza, ot co jest! ale dla czegoż tak jest? dla czego? rozwiąż tę kwestyę ks. jubilacie.

— Bo taka wola Pana Boga, odpowiedział ks. Ambroży.

— Naturalnie, że taka wola Pana Boga, bo nic się bez niej na świecie nie dzieje, wszelakoż wolno nam jest rozmyślając i zastanawiając się nad sobą samymi, szukać fatalnych przyczyn i grzechów naszych, których skutkiem bywa gniew Boży; jest to rachunek sumienia publicznego, rzadko kiedy zmazany skruchą i poprawą, i dla tego zawsze prawie okupowany pokutą; pokutujemy więc i teraz.

—A czy nie mówiłem *reverendissime*? czy nie mówiłem, że źle z nami? przerwał ks. Ambroży, jak pobrataliśmy się ściśle ze świa-

*) Odpoczynek z powagą.

tem, jak wyszła z mody *obedientia* i *reverentia* dla starszych, jak ciupę zamurowano bodaj po wszystkich klasztorach....

— Ale nie oto idzie ks. jubilacie, przerwał wzajemnie kustosz, nie oto idzie; obyczaje nasze zakonne, klasztorne, różniły się zawsze i różnić się muszą od świeckich, to inna materya; gorzej, że cały świat jak w ciupie, a idzie o przyczynę, czem on na to zasłużył?

— Niedowiarstwo mości dobrodzieju! niedowiarstwo! rzekł gorąco ks. Ambroży.

— Ha! w ogólności tak *reverendissime*, tak, niedowiarstwo jest to wątpliwość, a wątpliwość jest to niespokojność, niespokojność zaś nigdy swobodną ani pogodną nie była; wewnętrzny więc stan towarzystwa jest, a przynajmniej był niedawno takim, i bez wątpienia stąd początek złego, bo ludzie straciwszy ufność w Bogu, poczęli ufać sobie samym i powodować się pochopom, żądzom i namiętnościom, a te wprowadziły ich w stan nieustannego pożądania, wprowadziły na dolę trudów, starań, zamętu, nadziei, bojaźni, a co najgorsza samolubstwa, obojętności na los bliźnich i na wszelkie względem nich chrześcijańskie obowiązki. Prawda, że z takowej pracy powszechnej, wynikło wiele pożytecznych wynalazków dla świata, ale cóż? kiedy razem z przybytkiem pożytków, przybywa daleko więcej gorącej i nieograniczonej chęci posiadania, do której też same pożytki i wynalazki kuszą. Oto jest powszechna dziś choroba towarzystwa ludzkiego, jest to trawiąca gorączka, której symptomatem widocznym, jest owa niespokojna i zrzędliwa ponurość, która nas objęła i na którą się uskarżamy.

— A lekarstwo *reverendissime?* lekarstwo na to jakie? zapytał ks. Ambroży; bo jużciż sądzę, że choroba ta nie jest śmiertelną, chyba że skończenie świata blizko.

— No ks. jubilacie, odpowiedział ks. kustosz, Bóg sam tylko wie godzinę, w której każe zabrzmieć Archanielskiej trąbie, a lekarstwo na chorobę tę znajdziesz na każdej karcie naszej S-tej Ewangelii; do nas to kapłanów należy podwójny obowiązek ogłaszać i zalecać ludziom w naukach naszych to lekarstwo, a w modłach codziennych błagać Boga, aby raczył sprawiać serca ludzkie, ku przyjęciu onego i przyswojeniu; zaufanie w Bogu! i umiarkowanie w żądzach! oto w ogólności dwa specyfiki; drugie wyrabia się z pierwszego.

— Prawda, *reverendissime* prawda, rzekł jubilat, „*nisi Dominus custodiverit civitatem, frustra vigilat qui custodit eam.*“ *) bez nadziei i zaufania w Bogu, nic nie będzie.

— Zdaje mi się wszelako, mówił dalej ks. kustosz, że się zbliżamy do przesilenia i materyalnie i duchownie, umiarkowanie

---

*) Jeżeli Bóg nie opiekuje się towarzystwem, próżno ten pracuje kto je strzeże.

przyjdzie z przesytu, a bardziej może z niedostatku... jak będziemy goli, dodał śmiejąc się, to będziemy i skromni i spokojni.

— Ale nie o tym Dawidzie, gra idzie, zabrnęliśmy daleko od materyi; waszeć bracie Rafale odrzeknąć się chcąc honoru autorskiego, wynajdujesz preteksta, które ci lenistwo na ucho szepce; mówisz że nie mogłeś po świecie dzisiejszym, czy onegdajszym, gdyś po nim się włóczył, nazbierać kwestarskich treści do opisywania: a ja ci powiadam, że je masz gotowe w twej głowie: „Puść myśli na rozwagę, jak plewy na sito" gdzieś tam powiedziano; *) jeździłeś przecie po domach ludzkich, nie po budach niedźwiedzich, czasy i obyczaje zmieniają się to prawda, ale jednakże w każdym okresie czasu, ludzie i obyczaje takie jak są—są. Nieprzewidując nigdy, że cię kiedyś do ich zapisywania tak dobrze jak zmuszą, nie zastanawiałeś się zapewne nad tem coś widział, lub co ci się zdarzało; uwagi zaś twoje teraźniejsze nad tem wszystkiem, gdybyś je wypisywać chciał po niewczasie nieudałyby-ci się może, i... tu machnął ręką.

Zrozumiałem ja ten giest jego, kiwnąłem głową, a on się uśmiechnął.

— Pisz więc bracie Rafale, mówił znowu ks. kustosz, przypominaj i pisz; a my z księdzem jubilatem z twych pism i przypomnień, sami moralne sensa wyciągniemy.

— Kiedy będzie z czego, dokończył ks. jubilat, i zażył tabaki.

V.

Kwesta. Wyjazd.—Brat Piotr.

„*Adsis inceptis benigna Virgo meis!* **) Tak zaczął niegdyś swe raptularze brat Michał Ławrynowicz, gdy był jeszcze świeckim człowiekiem; więc tembardziej mnie, który habit noszę tak zaczynać należy, ale sam początek mojej peregrynacyi, zupełnie inny był niżeli jego, on się spotkał najpierwiej ze wspaniałym a pobożnym rycerzem; a ja—Panie Boże odpuść!

W lat, jak mi się zdaje piętnaście zacząłem kwestę moją z klasztoru bienickiego, po najściu francuzów i po śmierci brata Michała; byłem już natenczas maturus, bo czwarty krzyżyk kończyłem, a jednak był jeszcze długi certament w klasztorze nad tem, żem był za młody na kwestarza, ale nakoniec wyprawiono mnie, i w bardzo podobnym paragonie jak kiedyś brata Ławrynowicza, z tą tylko różnicą w zapasach, że on miał zawsze puzderko pełne i zawsze dolewane wyśmienitą staruszką, którego ja nie potrzebowałem; w głowie zaś miał dworski rozum i rezon,

*) Zabłocki.

**) Przybądź w pomoc Matko miłosierdzia poczęciu mej pracy.

bernardyńskim humorem korroborowany, a u mnie jakiż był zapas na kwestarskie eksperymenta? kilka pieśni światowych, które czasem podochocony nasz organista wyśpiewywał; a ja się od jego nauczyłem, kilka wierszy szkolnego gatunku, ot i wszystko, a wszakże i to się przydało w niektórych kazusach, jakie niżej opiszę.

W każdym klasztorze jest osobny wóz kwestarski, mocny, dobrze okuty i ładowny; na teraźniejsze czasy dość jednego, dawniej po trzy razem wyprawiano, bo nieraz z drogi dwa pełne wracały do klasztoru, i potem znowu gdzieś łączyły się z kwestarzem po drodze; kałamaha więc drabiasta i szeroka, koń stary i chudy, gotowy gość na cudzy obrok. Prowodyr rogaty tuż za wozem, i nakoniec wiozący mię sługa klasztorny; nie taki jednak jak ów Marcin brata Michała, zwykły woźnica kwestarski, *gadativus sine fine* i prawiący rozmaite światowe historye, bo mój przeciwnie najczęściej milczał jak ściana, i kiedy niekiedy tylko niby ze snu obudzony, obdarzał mię jedną półodpowiedzią na kilka moich kwestyj.

Był to neofita, niedawno z Wilna do naszego klasztoru przysłany, długa o nim historya. Piotrem go ochrzczono, a był on synem jakiegoś wielce mądrego rabina wileńskiego; ojciec chcąc go widzieć na swojem miejscu głową jakiegoś ich tam Sanchedrynu, uczył go wszelkich tajemnic żydowskiego niedowiarstwa, a najbardziej utwierdzał go w nienawiści ku chrześcijanom, i ku najświętszemu Zbawicielowi naszemu. Nie dokończył on wszakże swej nauki i umarł zostawując młodego Abla nad talmudem biorącego na gimorę, nie mogącego jednak zrozumieć jeszcze hebrajszczyzny doskonale, bo to jak mówią bardzo trudny język, tak, że nie wszyscy rabini nawet gruntownie go pojąć i zrozumieć mogą. Był zaś w naszym klasztorze ojciec Hromyko, uczony bardzo i przepobożny zakonnik, peregrynował on aż do ziemi świętej i przemieszkiwał lat kilka w samem Jeruzalem, w klasztorze naszym bernardyńskim tam przy grobie Pańskim będącym; wróciwszy zaś potem do ojczyzny, obrał sobie ciągłą rezydencyę w Wilnie i siedział w celi spokojnie i pokornie jakby pospolity bernardyn; umiał on *expeditissime* po hebrajsku, tak, że często w zawiłych sensach których rozplątać nie mogli żydzi udawali się doń i prosili, aby im tłumaczył ich własną mowę; nieodmawiał tego nigdy ks. Hromyko, bo przy każdej takiej nauce miał zręczność tłumaczyć im z własnego ich tekstu błędy ich, i konwinkować absolutnie, tak względem próżnej ich nadziei doczekania messyasza, jako i we wszelkich bajkach i bałamuctwach w ich misznach i talmudach nagromadzonych.

I Abel więc takąż samą drogą za starszymi trafił do ks. Hromyki, a poznawszy się z nim dobrze, coraz to częściej na te lekcye przychodził, bo ks. Hromyko w krótkim czasie więcej go nauczył, niżeli rabini przez lat kilkanaście; uwierzył więc on najprzód w głęboką mądrość swego nauczyciela, a potem powoli

tak doń przywykł, że pokochał jak swego rodzonego ojca, a nawet czyściej może i gruntowniej, dla tego, jak sam potem mówił, że gdy ojciec zalecał mu nienawiść ku wszystkim ludziom, którzy nie tak jak żydzi wierzyli, to ks. Hromyko dowodził mu przeciwnie, że wszyscy ludzie są braćmi, a zatem że wszystkich kochać należy, a każdy błąd tajemniczych talmudowych bałamuctw zbijał nietylko pismem ale i zdrowym rozumem.

Krótko mówiąc Abel ochrzcił się nakoniec i stawszy się z Abla Piotrem Paschalskim, bo w dniu paschy czyli wielkiejnocy przyjął chrzest Ś-ty, i niechcąc się odłączać od swego ojca w Chrystusie, przy nim w klasztorze naszym wileńskim zamieszkał.

Póki żył ks. Hromyko, wszystko szło dobrze, Paschalski codzień bardziej przyzwyczajał się do klasztornego życia, i wkrótce powziął chęć gorącą wstąpienia do naszego zakonu. Zezwolono na to chętnie, bo miano nadzieję, że przy ochocie jego do nauk, a instrukcyj ks. Hromyki, dojdzie on do wysokiej sciencyi w kościele Bożym. Lecz na nieszczęście jego, wkrótce ks. Hromyko umarł, więc nowy klasztorny frater zostawszy bez jego opieki, codzień wyraźniej zmieniał się, tak, że go wkrótce poznać było trudno, bo prócz tego, że z żalu i tęsknoty wybladł i wychudł, ale rzucił nauki, i tułał się po klasztorze jak mara, do nikogo słowa nie przemawiając, podsłuchano tylko przypadkiem, że często sam z sobą prowadził rozmowy dla nikogo niezrouzmiałe, bo po hebrajsku; wyśledzono także, że niekiedy zamknąwszy się w swojej celce, siedział zatopiony nad księgami także hebrajskiemi, których miał i własny zapas, i po ks. Hromyce pozostały, stąd osądzono, że on jest na drodze niebezpiecznej, i że albo zwarjuje, albo co gorsza, zgubi swą duszę i do żydowstwa wróci; postanowiono zatem wysłać go z Wilna do któregokolwiek na wsi klasztoru, w nadziei że wolna aura ostudzi mu głowę, i zrektyfikuje umysł zwichnięty.

Przybył on więc do Bienicy. Ks. gwardyan nasz wiedział o wszystkiem, i nie wiem dla czego mnie szczególniej poruczył, abym nań miał oko i niejakąś opiekę, dla tego starałem się poznać, co zacz w nim i z nim jest? ale w nim już szatan siedział i dręczył go, wziąwszy go właśnie jak na uzdę i ciągnąc ku sobie, choć on jeszcze jakby oburącz trzymając się nauk ks. Hromyki, przy dobrem się upierał. Z takich szalonych kontrawersyj między Ewangelią i talmudem, taka w jego głowie stała się mieszanina, że częstokroć w sobotę zapomniawszy się kiwał się w kącie po żydowsku, a w niedzielę modlił się z płaczem, przepraszając Pana Boga za sobotę. Do mnie on więcej niżeli do kogokolwiek w klasztorze przywykł, bo też i ja podług instrukcyi ks. gwardyana, starałem się ogłaskać go nieco, więc gdy się dowiedział że ja mam puścić się na kwestę, oświadczył, że mię nieodstąpi i razem ze mną pojedzie.

Być to nie może, bracie Pietrze, rzekłem—kwestarz socyuszów nie wozi i niepotrzebuje, a nie praktykowało się jeszcze aby dwóch kwestarzów na jednym wozie jeździło.

— Ja, rzekł on, będę jegomości furmanem, bo mnie zawsze tak jak nieboszczyka Hromyki, jegomościem nazywał, chociem go za to gromił, bratem mu się deklarując; ale już to tak i zostało.

— To jeszcze gorzej, odpowiedziałem,—chyba jeden drugiego wozić będziemy, bo obadwaj bracie Pietrze równi jesteśmy.

— Równi czy nie równi, odpowiedział on, to nic nie znaczy; ja sobie taką pokutę naznaczyłem, pokora grunt wszystkiego!—mówił ks. ojciec mój; kto się poniża, podwyższon zostanie, powiedział Chrystus; a rabin Majmonides. . .

— Co ty pleciesz? co ty bluźnisz? przerwałem mu ostro, jak ci to razem do głowy przyjść mogło? piękna komparacya? Chrystus i rabin jakiś!

Piotr ze dziwieniem spójrzał mi w oczy, jakby nie pamiętał co powiedział, widać że biedny nie spostrzegał się nawet jak go zły duch z dobrej na złą drogę gładko sprowadzał.

Po chwili milczenia, rzekł on znowu: pojedziemy mój jegomości, pojedziemy, a kiedy mnie tu zostawisz, to weźmiesz grzech ciężki na swoje sumienie, bo jegomość za jedne wrota, a ja za drugie, nie będę tu żył z ludźmi, którzy mię wychrztą i relapsem nazywają, wszak jeszcze ślubu z habitem nie wziałem, mogę więc przeodziać się, włożę kapotę i powiozę jegomościa, bądź łaskaw dobrodzieju wyjednaj mi to u ks. gwardyana.

— Cóż było robić? poszedłem zatem do ks. gwardyana, i gdym mu powiedział o co idzie, wysłuchawszy mnie, pokiwał on głową i rzekł: niech jedzie z panem Bogiem; jak ja uważam nie dobędzie on bernardynem, a może i nie dowozi cię do końca; zgadł jak prorok, ale o tem niżej *in ordine* mojej peregrynacyi.

Puściliśmy się więc z bratem Piotrem w podróż, smutno mi jakoś zrobiło się, gdym przejechał bramę klasztorną, obejrzałem się na kościół, to tak jakbym rodzoną matkę opuszczał; ale wnet zmówiłem „Pod Twoją obronę...“ modlitewkę moją faworytkę w utrapieniach i wnet weselej mi w oczach się zrobiło.

— A dokąd jechać? zapytał Piotr.

— Przed siebie bracie, odpowiedziałem; dla kwestarza każda droga swojska, każda chata—gościna.



VI.

Pierwsze spotkanie—pan asesor Ptaluteczku—i szlachcic na łopacie.

Pierwsze niegdyś spotkanie brata Ławrynowicza z zacnym i wspaniałym rycerzem Chomińskim, dobrze mu prognostykowało na dalszą kwestę, moje jak dziś pamiętam, wcale inaczej mi się wydarzyło. Wypadało mi przejeżdżać przez miasteczko blizkie Bienicy, w tym samym dniu, gdy tam był kiermasz; a lubo ze wschodem słońca wybrałem się z klasztoru, chcąc przebyć miasteczko nimby tłum się zebrał, jednak mi się nieudało, i musiałem przeciskać się już przez rynek i ulice; a nawet prowodyra mojego Rogacza wziąść na powróz, aby między wozami nie zbłąkał się i nie przepadł. Wyjechałem przecież na szeroki gościniec za miasteczkiem i już sobie powoli bez przeszkody wlokąć się mijałem i chłopków i szlachtę, a nawet i zegarkowych mościpanów śpieszących na kiermasz, jak na odpust jaki; nie jeden zatrzymał mię, pozdrowił grzecznie, i dwuzłotkę jeszcze wsunął mi w rękę, aż tu z daleka słyszę najprzód dzwonek, i wnet spostrzegam chmurę pyłu na drodze; więc usunęliśmy się trochę na bok, nadlatuje trójka, szkapki chłopskie aż rozciągają się do ziemi, a na kałamaszce w sterczącej słomie siedzi jakaś zawzięta figura, i ze skręconego jak waltornia cybucha puszcza gęsty dym w około, jakby mu mało było kurzu, który go okrywał.

— Stój! krzyknął on, spostrzegłszy mnie, stój ptaluteczku! i własnemu chłopowi zatrzymać się kazał; potem hec z kałamaszki i prosto do mnie.

A minaż jego mina! ni to jeż, ni to sowa, czyste, Boże odpuści straszydło weneckie! Będzie tu kuso koło mnie! pomyślałem, bo i po kołnierzu, i po bizunie przez plecy jak ładownica przewieszonym i po zacięciu, poznałem, że to pan asesor.

— Zkąd popie? wrzasnął on.

— Z Bienicy mój dobrodzieju.

— A dokąd? ptaluteczku.

— Na cały Boży świat, mój dobrodzieju.

— A masz pasport ptaluteczku?

— Mam.

— Pokaż, bo widzisz kto ja jestem.

—Widzę, i oto mój pasport, rzekłem podnosząc mu przed oczy krzyż, który na piersiach nosimy.

Stropił się jegomość i raptem przeżegnał się; ale wkrótce opamiętał się poganin, i rzekł:

—To koncept kwestarski, to pasport do nieba; ale tu pokaż ptaluteczku inny, bez którego po ziemi wędrować nie można.

— Innego nie mam, mój dobrodzieju, odpowiedziałem pokornie.

— No, to zawracaj, zawracaj bez ceremonii do miasteczka, a stamtąd przy assystencyi przyzwoitej odeszlę cię na starą kwaterę; kto wie nawet, czyś bernardyn? możeś szpieg jaki przebrany? podejrzana figura, ptaluteczku, a jeszcze i źwierzęta wodzisz za sobą. Na to trzeba osobnego pozwolenia, bo nie dawno wyszło rozporządzenie, że niedźwiedzi wodzić nie wolno.

Ach! pomyslałem, co tu przyczepek i kruczków na jeden raz.—Toż zdaje mi się baran, rzekłem uśmiechając się.

— Baran! baran! tak tobie zdaje się, a może to i wilk w baraniej skórze, odpowiedział on serjo.

— A mój dobrodzieju, rzekłem, gdyby to był wilk, toby po drodze zaczepiał i napadał jadących spokojnie.

Zamiast odpowiedzi buchnął on mi dymem w oczy na kwitę widać za tę moją do wilka przytyczkę.

Tymczasem spojrzałem przypadkiem na wóz pana asesora: aż poznaję furmana, był to dziesiętnik z bliziuteńkiej od nas wsi, Zaskiewicz, i nawet bratczyk pobożny naszego kościoła, daje mi on znaki na dłoni wcale zrozumiałe; nie widział tego pan asesor, bo tyłem do swego wozu był obrócony, gdy się rozprawiał ze mną.

Domyśliłem się łatwo jaką mi salwę nastręcza sługa znający widać dobrze sentymenta swego pana; więc idąc za tą radą daną mi na migi: wiesz co panie asesorze? rzekłem, odczep się odemnie, sam wiesz, że mnie niesłusznie turbujesz! jedziesz na kiermasz, ot lepiej wypij tam za zdrowie bernardynów butelkę wina, i wsunąłem mu w rękę te kilka złotowek, któremi mię niedawno poczciwi ludzie obdarzyli.

Scisnął, jakby stopił w garści,—no, rzekł wnet udobruchany, niech cię licho ptaluteczku! masz zapewne kwestarskie puzdro w wozie, dobądź zapijemy tę sprawę.

— Ani piję, ani wożę, mój dobrodzieju.

— Czy tak? toż ty widać prawdziwie „podozrytelna“ figura a nie kwestarz, kiedy jeździsz bez podróżnego krempulsu, modny z ciebie bernardyn! a ten twój furman kto? coś mu z oczu nie po naszemu patrzy, kto on? *generis chamutyni?* co?

I nie czekając odpowiedzi już odchodził, gdy mi przyszedł do głowy koncept, który moje złotówki wyzwolił i nazad mi je wrócił.

— Mój dobrodzieju, ozwałem się więc, zatrzymując go, pytałeś mię o pasport.

— No, nie gniewaj się ptaluteczku, to moja powinność, przerwał mi.—

— Nie tylko nie gniewam się, mówiłem dalej, ale chcę jeszcze memu dobrodziejowi dać zręczność zapytania się o pasport pewnego jegomościa, którego warto by pociągnąć na antabę, bo nie jednemu asesorowi zalał za skórę; a pasportu pewnie nie ma.

— Jak to? gdzie on? kto on? zapytał rzeźwo.

— Oto, jegomość wypatruj na kiermaszu szlachcica po dawnemu noszącego się, w kontuszu granatowym dobrze wytartym, w czapce na bakier, podsiwiałego już dobrze, ale tęgiej jeszcze i czupurnej miny; wścibia się on wszędzie gdzie tłum, gdzie piją, grają w karty, gdzie czasami policya sądzi kiermaszowe sprawy; jegomość wiesz, tu garścią pokazałem do kieszeni, i szpieguje wszystko, a potem hajda na swoją czarnoksiężką łopatę i leci z raportem do Wilna, do panów szubrawców, urwipołciów tam jakichś, takich jak i on sam; a ci, niech ich licho, drukują to wszystko co tydzień jak z pilnego interesu w swoich Brukowych wiadomościach, które zapewne i jegomość dobrodziej mogłeś czytywać, bo prawie co dom u nas, to znajdziesz tę przeklętą półarkuszówkę, jest ona i w naszym klasztorze; a szlachcic na łopacie wymalowany tam na wierzchu z podpisem „leci a leci" bodajby kark skręcił! bo to on widać roznosi te półarkuszówki i z góry rozsiewa po świecie; otoż pewnie on jest i na tym kiermaszu, zdaje mi się nawet, żem go widział w tłumie; zlustruj tylko jegomość gromadki koło zielonych stolików, koło bilardów, zajrzyj w ciemne ciupki gdzie zwykle w cichości raczą się pończykiem ichmość panowie czynownicy niższego chóru, a znajdziesz go pewnie i poznasz; więc go wraz łap za kark! i pokaż ptaluteczku pasport! nie ma, pokaż dekret jakiś ty szlachcic? nie ma, jak tu przybyłeś? na łopacie, dawaj łopatę i w piec ją, a samego jegomościa w turmę, niech nie lata samopas i nieszkaluje zacnych ludzi. Między nami mówiąc, dodałem z cicha, szubrawcy go wykupią, i tu znowu pokazałem garścią do kieszeni *).

Pan asesor słuchał mię jak osłupiały, wytrzeszczył oczy, i cybuch z gęby wypuściwszy, trzymał w ręku niedbale; a gdym skończył, słuchaj! wrzasnął, ty panie ptaluteczku, pałkuciu, czy dyabli cię wiedzą jak tam ciebie nazywać i kto ty jesteś? znam ja wszystko! czy ty rozumiesz, że ja taki dureń, iż wierzę w szlachcica i jego łopatę? Ale może to ty sam włócząc się po świecie zbierasz plotki i tym urwisom z pod ciemnej gwiazdy, szubrawcom dostarczasz nowinek, może to i ty napisałeś niedawno w Brukowych wiadomościach wydrukowany sąd Salomona **) jakoby to mój sąd; tak, że mnie teraz wszyscy w powiecie Ptaluteczkiem Salomonem nazywają; ale mniejsza oto, masz twoje złotówki i rzucił mi je w oczy, wiedz że cudzego niechcę! ale pamiętaj ptaluteczku, że kiedy znajdę w brukowcu nasze dzisiejsze spotkanie

---

*) Bardzo znane w owym czasie Brukowe wiadomości i wędrówki szlachcica na łopacie czarnoksięzkiej, dostarczającego do pisma tego najważniejszych artykułów.

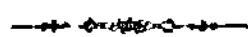
** Na pewnym jarmarku, włościanin sprzedał wołu, i przegrał pieniądze wszystkie w kubki jakiemuś szalbierzowi; przyszedł więc na skargę do asesora, który odebrał pieniądze od szulera, i wsadził go w kłodę za to, że oszukiwał włościan; a pieniądze wziął sobie, za karę chłopkowi że szulerował. Brukowe wiadomości opisały fakt ten, i nazwały go sądem Salomona.

się, to tak mi Boże dopomóż, zrobię tobie takie dzieło, że cię ani szubrawce, ani cała wasza kapituła bernardyńska nie wyplącze; jedź do dyabła!

— Umyślnie do niego nie pojadę, rzekłem śmiejąc się, i kłaniając się nizko, chyba gdzie spotkam się z nim na drodze. A więc bądźże zdrów ptaluteczku.

— No, no, wrzasnął on, grożąc mi cybuchem; jeszcze mię drażnisz! i poleciał nareszcie, a my także powlekliśmy się dalej.

To jakiś Haman! *Holofernes!* mruczał zcicha po swojemu brat Piotr.



VII.

Pan i poddany.

Już kilkanaście baranów biegło za Rogaczem, a zbliżałem się i chciałem na noc dosięgnąć do Wołożyna, gdzie jest także nasz klasztor, i gdzie oktawę Bożego Ciała przebyć postanowiłem, aż tu szyna nam na kole pękła; szczęście że blizko jakiejś karczemki, przy której i kowal się znalazł, więc kilka godzin spełzło na reparacyi i słońce brało się już pod zachód, gdyśmy dalej wyruszyli; możebym jednakże dobił się w nocy i dostukał się do bramy klasztornej, ale się naraz ściemniało i zachmurzyło się tak, że choć palcem w oko; trudno było, bo ani jechać w pociemku, ani na nocleg się przytulić nie było jak i gdzie? baranki nasze biedne nie widząc ani nas, ani wozu skupiły się w kupkę i beczały żałośnie, a tu na dobitkę burza grzmiała już nad nami i błyskawice jak biczem smagały po oczach; poleciłem się więc opiece Matki Boskiej i postanowiłem stać na miejscu. Wtem, za Jej miłosierdziem, spostrzegliśmy z boku, nie bardzo daleko od nas kilka światełek, a szczególnie jedno jaśniejsze nad inne, poznaliśmy zatem, że to być musiała wioska jakaś, do której jakkolwiek dostać się potrzeba było, bo i deszcz bujny, kroplisty jak zwykle przed ulewą moczyć nas począł, i pioruny coraz gęściej i bliżej uderzały.

Nie zważając więc jak i kędy, zawróciliśmy się do tych światełek, trzódkę naszą spuszczając na co Bóg zdarzy. Wkrótce po roli oranej i po sianożątkach jakichś, dobiliśmy się do płotów, i trzymając się podług przysłowia jak ślepy płotu, dotarliśmy przecie do wrót, i wjechaliśmy w ulicę wioskową.

Z zdziwieniem usłyszałem dzwonek z drugiego końca wioski do nas zbliżający się, a po dźwięku loretańskim domyśliłem się, że to święty Wiatyk zbliża się do którejkolwiek z chat, i rzeczywiście zbliżał się do tej samej właśnie, z której okienek światełko przewodniczyło nam w ciemnościach, a teraz stało się dla mnie gwiazdą betlejemską, bo mię przywiodło przed Boga.

Posłyszano widać w chacie ten święty odgłos dzwonka, bo wyszli wszyscy z latarnią na podwórko, a przy jej blasku spostrzegłem na przeciw siebie, jakby mnie drugiego, przybywał to bowiem z Panem Bogiem kapłan naszego zakonu z klasztoru wołożyńskiego o milę stąd odległego. Powitał on mnie krzyżem świętym; a ja uwenerowałem na kolanach tego wielkiego gościa, który ni w karecie ni w sajecie, ale na prostym wózku i na piersiach ubogiego zakonnika przybywał, a przecież przynosił chłopkowi skarb, jakiego żaden pan, ani potentat tego świata dać nie może, skarb najdroższy, to jest spokojną ostatnią godzinę. Ale to cud prawdziwy, że chmury zapewne od dzwoneczka świętego, rozchodzić się poczęły, noc rozwidniała, a grzmoty uciekając od jego dźwięku zdaleka tylko jakby z gniewu pomrukiwały.

Weszliśmy zatem do chaty.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł kapłan na progu.

— Na wieki wieków! odpowiedział głosem słabym, ale wyraźnym leżący na łóżku chory; i tem samem poznałem, że to był gospodarz domu i ojciec całej gromadki, bo nikomu innemu w chacie nie wolno odpowiedzieć na takie pobożne powitanie, jak tylko samemu gospodarzowi, to jego przywilej i attrybucya u włościan naszych.

Kapłan obejrzawszy chorego, i znajdując go do spowiedzi gotowym, rozkazał płaczącej żonie jego, aby otworzyła świronek dla ulokowania na zbożu świętej Eucharystyi.

— Niech, rzekł on, dawca na swych darach spoczywa i błogosławi je: *) co uczyniwszy powrócił do chaty, z której wszyscy wyszliśmy, bo się zaczęła spowiedź chorego.

Niebo tymczasem rozpogodziło się zupełnie, noc się zrobiła piękna i jasna; poszliśmy więc obaj z bratem Piotrem, na odszukanie naszej trzódki po śladach kędy do wsi przybyliśmy, zacząłem wołać po imieniu naszego prowodyra: Rogacz! Rogacz! odezwał się on zdaleka, a za nim cała gromadka, jakby nas o ratunek wzywała; na wołanie moje powtórne i bliższe, Rogacz przywykły do mojego głosu i ręki, przybiegł ku mnie ochoczo ze swoją kompanją; więc całą trzódkę odprowadziliśmy do wioski.

Około Bożego Ciała noc krótka, cała biedna czeladka tej chaty nie zmrużyła oka, z całej wsi nawet poschodzili się gospodarze dowiadując się o zdrowie sąsiada; a tymczasem nim spowiedź odbyła się, nim kapłan odczytał z chorym zwykłe modlitwy przed Świętą Komunją, a potem litanję do Najświętszej Panny o szczęśliwą śmierć, którą wszyscy ukląknąwszy w chacie za nim powtarzaliśmy, to już i na brzask się wzięło, wkrótce słońce ogniście weszło i kapłan właśnie ostatnie choremu udzielał

*) Zwykły zwyczaj na Litwie w podobnych zdarzeniach.

namaszczenie, oh! pomyślałem sobie, ostatni raz słonko w jego okienko dla niego zaświeciło! ale wkrótce ujrzy on słońce, które nigdy nie zachodzi!... Natenczas mogłem już zobaczyć dobrze, i rozeznać oblicze umierającego. Nie był to człowiek zgrzybiały, ale schorzały, bladość śmiertelna na twarzy, ale w oczach jeszcze życie, i Bóg mu zachował do końca łaskę swoją, bo przytomnie modlił się i rozmawiał aż do skonania.

Był to widać człowiek roztropny i poczciwy, a wielce pobożny, wiedział o zbliżającej się śmierci swojej, a wszystko co mówił jak dziś pamiętam, bo wszystko było przykładnem, i daj Boże każdemu tak umierać, jak ten prosty a szczery wyznawca naszej wiary świętej.

W chatce było czysto i schludnie, przybrano ją widać na przybycie kapłana, wysypano świeżym ajerem, stół nakryto białym obrusem, a ławy i zedelki cieńkiemi namitkami; nakoniec zapach jałowcu palonego na przypiecku rozchodził się aż po dziedzińcu, i jakby kościelnym kadzidłem napełniając powietrze, do egzekwialnych pobudzał myśli. Żona dogorywającego biedaka z żalu płacząc rzewnie, a ze zwyczaju głosząc nad nim swe lamentacye, najotwarciej mu śmierć blizką wyśpiewywała.

— Dość, kochana moja Krystyno, rzekł on, dość wiem, że wraz Bogu ducha oddam, a chcę jeszcze i dziatki nasze pobłogosławić.

Wtem drzwi się otworzyły, wbiegła młoda panienka i rzuciła się Krystynie na szyję; a dziewczyna, starsza córka umierającego, chwyciła jej ręce, i zachodząc się od płaczu całowała je. Krystyna była mamką panienki, jakem się potem dowiedział, a Magdusia siostrą jej mleczną.

— Mameczko moja kochana! siostrzyczko moja Magdusio, nie płaczcie! mówiła panienka, sama szlochając; Pan Bóg może podźwignie Marcina, a was pocieszy, dziadunio mój was nieopuści.... Konający chwycił ją także za rękę, i do ust przytulił.

— Panienko kochana! Maryniu nasza! rzekł on, i ty nie masz matki, i tyś sierota! klękaj tu, ja i ciebie pobłogosławię razem z mojemi własnemi dziatkami, bo i kocham cię jak własne dziecię moje.

Panienka uklękła obok Magdusi, przy nich syn starszy już mężczyzna i kilkoro młodszych; choremu jakby życia przybyło, podjął się o własnej sile, złożył ręce i wzniósł je w górę, a wzdychał głęboko, widać modlił się w duchu. W takiej postaci znalazł go wchodzący do chaty pan tej wioski. Gdy ujrzał on naco trafił, przykląkł i sam zcicha między gromadką tak, że go zatopiony w westchnieniach do Boga Marcin nie spostrzegł; lecz gdy zniżył ręce i zwrócił oczy na klęczących ujrzał natenczas między nimi i pana swego.

— Ach panie mój! ojcze mój! zawołał on, i ty tu z nami! niechże i ciebie Bóg błogosławi! W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Pan i dziatwa uchylili głowy, gdy on przeżegnał wszystkich.

— Przyszedłem kochany mój Marcinie, rzekł pan, zobaczyć jak się masz po lekarstwach, które ci onegdaj doktor zostawił.

— Oh! nie panie, nie! ja wiem mówił umierający, ja wiem pocoś tu przyszedł, przyszedłeś pożegnać starego swego i wiernego sługę. Niech ci Bóg zapłaci wszystkie łaski i dobrodziejstwa twoje! ojcze mój! dziatki moje tobie w opiekę oddaję!

Pan ocierając łzy, Marcinie, rzekł, jeżeli już cię Bóg do chwały swej powoła, ja ci przyrzekam, ja ci przysięgam, że dzieci twych nieopuszczę i wnukom moim pod błogosławieństwem umierając zalecę, aby potomstwo wiernego sługi mego w nędzę i biedę niepopadło, służyłeś mnie od lat dziecinnych moich i twoich, potem chciałeś mieć chatę własną, i gospodarzyłeś poczciwie, pohodowałeś dziatki w bojaźni Bożej. A jeżelim ja w czem tobie zawinił, odpuść mi po chrześcijańsku! daruj dla miłości Pana Boga! zawsze cię kochałem i teraz kocham! a wkrótce zapewne i ja pójdę za tobą!

— Ach! i ja ciebie panie i ojcze mój kocham, żal mi ciebie, z kim ty teraz pogadasz, jak bywało ze mną? kto ciebie pocieszy i udobrucha? kto z tobą razem na mogile twego jedynego dziecka, litanię świętą za jej duszę odmówi? nie płacz panie, nie płacz! ja wraz przed Bogiem stanę i modlić się będę razem z nią za ciebie. Dziatki moje, dziatki! ciężko mnie porzucać was! Żyjcie poczciwie; oto wasz drugi ojciec!... Oj Boże! i upadł na łóżko...

Pan trzęsąc się z żalu jak osina, ledwo wymówić mógł „do widzenia się Marcinie!“ i wyszedł; a wkrótce sługa ten poczciwy spokojnie oddał Bogu ducha.

Wnet potem przybiegł chłopiec ze dworu i mnie tam zaprosił, pojechałem więc; odbył się nazajutrz pogrzeb Marcina kosztem dziedzica, na którym i sam pan podkomorzy z wnukami (taki był tytuł tego pana) i wszyscy dworscy służebnicy jego znajdowali się, a gdy trumnę do ziemi spuszczano pierwszą garść piasku rzucając rzekł on.

— „Masz Marcinie ostatnią odemnie za twą wierność zapłatę; resztę niech ci Bóg w niebie doliczy.“

Po trzydniowym u pana podkomorzego odpoczynku, obdarzony kilku baranami, puściłem się dalej, a z tego zdarzenia przekonałem się, i każdemu powiem, że są jeszcze na świecie i poczciwi słudzy i dobrzy panowie.



VIII.

Farmazony.

Wołożyn*) jest już blizko Niemna, za którym nowogródzki powiat sławny pszeniczką i obfitością wszelkich darów Bożych.

*) Wołożyn majątek Tyszkiewiczów w powiecie Oszmiańskim.

A lubo bracia nasi klasztoru nieświzkiego dobrze się tam pożywiają około książąt Radziwiłłów i swych możnych panów, wszakże postanowiłem i ja tam popróbować szczęścia, i udało się, nie ma co powiedzieć; a jednak wolałbym i nogą za rzekę nie stąpić, a było to tak:

Wielkie stada owiec pasą się tam po polach, a lubo to owce drogie, bo na nich wełna jak jedwab i piękne pieniążki biorą nowogrodzianie za tę wełnę, jednak nie żałowano baranów i dla kwestarza, a nim dojechałem do Nieświża nazbierała się taka gromadka, że już z nią dalej jechać niepodobna było. — Poradziłem sobie jednakże, bo zajechawszy do klasztoru naszego nieświzkiego, gdzie mię wdzięcznie przyjęto, uprosiłem tamtejszego ks. kustosza, że z kopę moich baranów przyjął w lokatę i na paszę ze swoimi połączył. Tak więc zostawiwszy z dziesiątek przy sobie dla kompanii Rogacza, puściłem się dalej, bo w tych bogatych stronach i kaleta napełniła się sporo, i miło było jeździć po tak pięknym kraju.

Tak od komina do komina, a dworów tam gęsto, zajechałem do pana marszałka Niepokojczyckiego. Zacne panisko! było to w sobotę; na stole mięsa ani odrobiny, ryb dostatek; lecz że sama imość suszyła soboty, więc jej respektem i cały obiad był postny.

— Wiesz co kochany kwestarzu, odezwał się do mnie wśród obiadu pan marszałek, zostań dziś u nas, jutro niedziela, dzień także nie do podróży. Mamy chwała Bogu domową kaplicę i naszego szanownego księdza Jerzego kapelana, który cię przyjmie na kwaterę; a za to, posłużysz mu jutro do mszy i odbędziemy razem nabożeństwo, odpoczniesz sobie a w poniedziałek, jeżeli zechcesz koniecznie, pojedziesz z Panem Bogiem!

— Zawsze staram się dobrodzieju, odpowiedziałem, abym w niedzielę gdziekolwiek na mszę trafił; jeżeli więc wola i łaska pańska tak się mi szczęśliwie nadarza, akceptuję pokornie propozycyę, bylem się księdzu kapelanowi dobrodziejowi nie naprzykrzył z kwaterunkiem.

— A w Imię Ojca i Syna! rzekł staruszek kapelan; chyba i z baranami chcesz wleźć do mojej izby, to już natenczas byś mnie wycisnął, a inaczej pomieścimy się.

— Więc zgoda, dodała pani marszałkowa, matrona wspaniała, i pani jakich teraz nie widać, a gdy będziesz odjeżdżał księże kwestarzu, zobacz się i ze mną, wynajdę i ja cokolwiek na chwałę Boską.

Tem więc smaczniej zajadałem szczupaka i wybornem popijałem piwkiem, a odmawiałem wina, do którego nagląc mię pan marszałek powtarzał dawne przysłowie *post pisces, vinum misces.*

— Nie kwestarski to trunek, jaśnie wielmożny panie, — odpowiedziałem—„*Cerevisiam bonam, et magnificum donum*“ *) to i wszystko czem kwestarz kontentować się powinien.

*) Piwo dobre, i dar wspaniały.

— Oho,—rzekł marszałek,—widać że choć młodyś jeszcze, bywałeś w szkole dawnych kwestarzy, bo masz koncept na pogotowiu; nasz kwestarz nieświżki, to tylko *pastor bonus* swoich baranów i nic więcej.

Cały zatem ten dzień, i nazajutrz niedzielę przebyłem jak w raju, i nabożnie i wesoło. Był to dom pański, który komparować możnaby do domu pana starosty opisanego przez brata Ławrynowicza, choć może nie tak wielkiej substancyi i ostentacyi. Na mszę ś-tą zgromadził się cały dwór, i oficyaliści wszyscy za przykładem obojga państwa swoich, modlili się pięknie i gorliwie, aż serce rosło patrząc; po staroświecku, po chrześcijańsku, a jednak, lecz o tem niżej.

Gdym w poniedziałek wybierał się w dalszą peregrynacyę moją, pan marszałek dał mi parę dukatów; a imość zawoławszy mnie do siebie: weź, rzekła, bracie kwestarzu, tę sztukę płótna mojej fabryki domowej i mojego blechu na tuwalnie do ołtarzów waszego kościoła; a jakież to płótno! precz i holenderskie.

Nie umiejąc już jak dziękować za takie przyjęcie i za taką hojność: każ, rzekłem, jaśnie wielmożna pani dobrodziko odemknąć kaplicę, niech jeszcze raz w niegodnej mojej modlitwie poproszę Boga za wasze zdrowie i długie lata.

Tak się i stało; po czem wyprawiłem się za bramę, lecz gdym folwarczny dziedziniec przejeżdżał, zastąpił mi drogę pan Pszonka ekonom tutejszy, któregom już widział w kaplicy, trzymając w ręku szynkę jak łopatę: masz na drogę mospanieńku, rzekł on rzucając tę ćwierć kabana do kałamaszki.

— *Deo gratias*, rzekłem.

— *Ad felix videndum*, mospanieńku i kwita! odpowiedział.

We dwa tygodnie potem, przejechawszy powiat nowogródzki wszerz i wzdłuż, a niekiedy i na ukos, zbliżyłem się umyślnie w sobotę pod Nowogródek, bo w przeszłą niedzielę jakoś tak fatalnie się zdarzyło, żem został bez mszy św. więc już w następną postanowiłem solennie się pomodlić.

Zostawiwszy więc brata Piotra z wozem i baranami w poblizkiej wioseczce u jakiegoś poczciwego gospodarza, sam pieszo poszedłem do miasteczka i dążyłem wprost do kościoła.

— Pójdziemy razem, księże kwestarzu, rzekł dopędzający mnie; obejrzałem się, aż to pan marszałek, mój onegdajszy dobrodziej, a z nim też kilku innych panów; niektórzy znajomi mnie także, bom do nich zajeżdżał; po solennych więc a pokornych z mej strony salutacjach, marszałek dowiedziawszy się jak i po co przybyłem rzekł:

— Po nabożeństwie, bracie Rafale, do mnie na obiad proszę; a nawet, mówił uśmiechając się i spoglądając na swych towarzyszy nie źle trafiłeś do Nowogródka, możesz się tu dziś porządnie obłowić.

Nic nie wiedziałem co to miało znaczyć, ale ujrzawszy w kościele liczną frekwencyę obywatelstwa, wytłumaczyłem to sobie *ad mentem* słów pana marszałka, choć to zupełnie co innego znaczyło. Stawiłem się więc podług rozkazu po nabożeństwie do dworku jego, ale znowu niespodziewanie na dziedzińcu spotkałem onegdajszego dawcę szynki, kochanego pana Pszonkę ekonoma marszałkowskiego, który rad był bardzo temu spotkaniu; i jemu zatem rozpowiedzieć musiałem, jak i dla czego tu się znalazłem, i że idę na obiad do jego pryncypała.

— Dajże pokój mospanieńku, rzekł on, jak się tam pomieścisz? dziś u pana marszałka pół powiatu na obiedzie.

— A cóż mam zrobić? zapytałem.

— Chodź mospanieńku do mojej stancyi, mam pieczeń uczciwą, którą mi moja imość na drogę dała, a i z pańskiej kuchni podsuplementują nam przysmakami; posilisz się należycie, bo to widzisz, mospanieńku, marszałek swoim dworem, a ja swoim, on tu marszałkuje, a ja len i siemię jego sprzedaję. Żydki kaducznie zacięli się, ale i ja swego nieodstąpię; przyjdzie bodaj przenocować. No więc proszę za mną mospanieńku; a po obiedzie możesz pójść i do pana: powiesz mu żem ja cię zwerbował, i że jadłeś jego obiad, choć z innej misy. Kompanja u niego trwać będzie aż do wieczora, bo ja wiem co się tam u nich święci, i pokręcił głową, to jeszcze i na kwestę stanie czasu mospanieńku.

Akceptowałem zatem projekt pana Pszonki, a nadto tak on mi coś na poczciwego człowieka wyglądał, tak mi postura jego podżyła a w staroświeckiej kapocie przypadła do serca, żem wolał jego pieczeń, niżeli pańskie specyały, za które możeby mi jeszcze w tłumie konceptami kwestarskimi wypłacać się trzeba było; a których u mnie pasz.

Mieszkanie pana ekonoma było w kuchennej oficynie; byliśmy więc w samem gnieździe marszałkowskiego obiadu, okrajały się zatem i dla nas dostatnie porcye; aż tu wchodzi lokaj galonowany i stawiąc przedemną butelkę wina, mówi:

— To pan marszałek dla jegomości przysyła.

— A zkądże wie pan marszałek, że tu jestem? zapytałem.

— Pan nie widząc jegomościa, siadając do stołu zapytał nas, czyśmy nie widzieli bernardyna, którego na obiad zaprosił, a my jegomościa już znamy, i patrzyliśmy jak pan ekonom prowadził jegomościa do siebie, więc i opowiedzieliśmy to panu, pan i goście żałowali bardzo, że nie ma kwestarza, potem coś z sobą po francusku gadali i nakoniec pan dał mi tę butelkę, kazał zanieść jegomości i powiedzieć, że prosi jegomościa nieodmiennie, abyś był u niego na godzinę ósmę wieczorem.

— Nie mogę, rzekłem, muszę do wozu mego i do baranów powracać.

— Nie czyń mospanieńku tego, rzekł Pszonka, jeżeli marsza-

łek każe ci być u siebie o ósmej wieczorem, to nie bez racyi, i zapewne sowite dla ciebie gotuje żniwo, nieodmawiaj więc; baranów mospanieńku przez noc wilk niepożre wszystkich; a musiałeś zresztą dobrze ich tam gdzieś zalokować; przenocujesz zaś mospanieńku tu u mnie, łóżko w pogotowiu i kwita.

Przypomniałem wtedy, co mi pan marszałek powiedział, gdym się z nim spotkał, że w dobry czas do Nowogródka trafiłem, i że mogę się tu nieźle pożywić.

— Niechże i tak będzie, rzekłem, powiedz jaśnie wielmożnemu panu, że spełnię jego rozkazy, tę butelkę odnieś nazad, bo wina nie piję.

— A to co, mospanieńku, zawołał Pszonka, biorąc butelkę do rąk własnych, jaka to poniewierka łaski pańskiej. Owszem powiedz Jakóbie panu, że kwestarz pokornie dziękuje za konsolacyę.

Uśmiechnął się Jakób, usmiechnąłem się ja, a pan Pszonka nalał szklankę, łyknął do połowy, posmakował, głową pokręcił i rzekł:

— Wybornissime, mospanieńku! Gawędziliśmy zatem z popijającym marszałkowskie winko poczciwcem, gdy zapytałem go nakoniec.

— Czy nie wiesz, panie Antoni (bo tak mu było na imię) dla czego to tak licznie zebrało się dziś tu obywatelstwo.

Pszonka na to pytanie spojrzał mi ostro w oczy, jakby go nagle osa ukąsiła, i pociągnął od razu taki haust, że całą szklankę połknął aż do dna; potem zamyślił się trochę i rzekł:

— A wasyndziejowi, mospanieńku, na co ta wiadomość? może wiem, może nie wiem, ale nosa w sprawy pańskie nie wścibiam i znam dobrze cnotę nad cnotami, a życzę pamiętać mospanieńku, że ciekawość pierwszy gradus do piekła. Idę, mówił dalej wstając i biorąc czapkę, dobijać targu z żydkami o len, a wasyndzieja mospanieńku czekam z łóżkiem po konferencyi z marszałkiem i kwita.

Nie rozumiałem coby w taki ferwor wprowadziło raptem pana Pszonkę, ale nie myśląc nad tem długo, postanowiłem pójść z paciorkami do zaścianku, gdziem mój oboz zostawił, wiorst z parę niedaleko, a na ósmę powrócić, co i spełniłem, uregulowawszy tam wszystko z bratem Piotrem; o zachodzie słońca znowu byłem w mieszkaniu pana ekonoma; doczekałem tam aż ósma na wieży kościelnej wybiła i natenczas poszedłem do pana marszałka.

Tenże sam lokaj drzemał w sieni, a obudzony mem wejściem wprowadził mię do pierwszego pokoju i poszedł donieść panu o mem przybyciu; przychodząc wnet marszałek: dobry wieczór, rzekł, uprzejmie podając mi rękę: czemużeś z nami razem niechciał jeść obiadu?

— Najpokorniej dziękuję, jw. panu, odpowiedziałem, zawszem ja jednak pańskim chlebem syt.

— No, a teraz dajcie tackę kwestarzowi, rzekł on do służby, którą wnet podano, i chodź za mną.

Wieczór był ciemny i chmurny, przeszliśmy prawie po omacku i stanęliśmy przed bramą domu, od którego chociaż był na dziedzińcu, świeciło aż na ulicę; tam przy latarni zatrzymał mię pan marszałek i rzekł:

— Stój tu w bramie przy latarni i każdemu wchodzącemu pokaż talerzyk, postoisz z godzinę, a próżnego nie odniesiesz, masz na początek, i rubla na talerzyku położył.

Nie smakowała mi jakoś taka kwesta do żebraniny podobna; dla czegoż mnie między kompanję nie wprowadził? pomyślałem i chciałem odejść; oh! i bodajbym był tak uczynił! ale znowu przyszło mi na myśl, że niewdzięcznie bym sobie postąpił, i zagniewać bym mógł mego dobrodzieja.

Gdy tak waham się w myślach nie wiedząc co uczynić, nadchodzi jakiś jegomość.

—A tacka księże kwestarzu? rzekł on.

Wysunąłem ją; on mi na nią drugiego rubla położył, i odszedł.

Zrozumiałem natenczas, że to rzecz umówiona widać na obiedzie u pana marszałka, bo zkądby on wiedział, że ja mam tackę? zostałem zatem na miejscu, a zajrzałem przez bramę na dziedziniec. Stał tam blizko budynek nie mały, z którego wszystkich okien świeciło jak na roraty, i do którego coraz to nowi wchodzili goście, a każdy uśmiechając się, lub pozdrawiając mnie grzecznie, kładł rubla na tackę; to mnie tylko dziwiło, że chociaż tam kilkadziesiąt osób weszło, także ja garść już rubli z tacki do kieszeni przesypać musiałem, cicho jednak było wewnątrz i szmer jakiś tylko do mnie dochodził.

Nagle, uderzając mię ktoś po ramieniu z tyłu, zaszeptał:

— A mospanieńku, i wasyndziej tu pod farmazońską bramą? może mospanieńku myślisz sfarmazonić się także, ale ostrożnie! ostrzegam, ostrożnie! próby dyabelnie ciężkie! każą na ćwieki skakać, przez ogień iść, przez wodę brnąć, ze szkieletem trupim siedzieć w pociemku! niewytrzymasz mospanieńku, niewytrzymasz—i kwita.

Obejrzałem się więc i spostrzegłem przy świetle latarni pana Pszonkę, którego już zgadłem wprzód po mowie jego, ale nie rozumiałem co on mówił, tembardziej, że wydał mi się być podpiłym; widać że borysz dobitego targu o len zmieszał się mu w głowie z marszałkowskiem winem.

— Co wasan gadasz? rzekłem, jakie farmazony? tu mnie postawił pan marszałek z talerzykiem, na który ot kilkadziesiąt rubli zebrałem od gości wchodzących do tego domu; kto tu mieszka?

— He, he, he, rozśmiał się Pszonka: kilkadziesiąt rubli! kilkadziesiąt rubli; zobaczymy czy jutro nie znajdziesz pełnej kieszeni trzasek zamiast rubli; oho! czy słyszysz mospanieńku? czy słyszysz? rzekł chwytając mię za ramię.

— Słyszę, rzekłem, zdaje się, że młotkiem stukają jakby ćwieki wbijano do ściany.

— Cicho mospanieńku; na miłość Boga cicho! bom ja głośno mówił.—Oj ćwieki! ćwieki! ale nie do ściany wbijają tam ćwieki. Widzisz wasyndziej mospanieńku, sądzą oni tam zdrajców i za karę wbijają im ćwieki do łbów; dyabeł potem zalecza te razy tak, że i znaku nie ma, ale już taki człowiek, tak często zbija się z tołku, że i my choć nie farmazony, przecież ten jego defekt poznając, mówimy: „on ma ćwieka we łbie;“ a to zdrajca farmazon zaklętym ćwiekiem piętnowany. Lecz jeżeli jeszcze raz zdradzi, to oni jego portret przebijają nożem, a choćby on był wtenczas i na drugim końcu świata, to już nie wykręci się i wnet jemu kaput i kwita.

—Oho! słyszysz mospanieńku, łańcuchy! dalibóg łańcuchy brzęczą! ahu! ciemno! wszelki duch Pana Boga chwalił i przeżegnał się drżący Pszonka.

Na ten brzęk łańcuchów, i mnie jakoś dreszcz przeszedł po skórze, przeżegnałem się także.

— Otoż teraz, szeptał przerażony Pszonka, otoż teraz mospanieńku, sam Lucyper z łańcuchami zawitał, otoż teraz sam szatański rozgardyasz. Żegnaj mospanieńku, żegnaj na miłość Boga! zawsze to jednak ręka wasyndzieja duchowna i koło ołtarza chodzi; żegnaj ten dom przeklęty, bo dalibóg i dotrzymać trudno tu, strach! i uciekać trudno, bo nogi jakoś niestatkują. Oto wlazłem mospanieńku: „ni u zad, ni u piered,“ i kwita.

Sam nie wiedząc co robię, przeżegnałem ten dom.

— Ehe! otoż masz! rzekł nagle Pszonka chwytając mię za pasek, otoż masz! świetluteńko znowu, oto dogodziłeś im widać krzyżem świętym. Dogodziłeś, mospanieńku! a bramy piekielne nie poruszą go, jak powiada nasz ks. kapelan. . . .

— Idźmy stąd, rzekłem ja nakoniec, bo choć nie rozumiem co tu się dzieje, i co wasan prawisz, ale coś tu jest bodaj niedobrego.

Wtem jakiś jegomość idący przez ulicę z latarnią w ręku spostrzegł nas i mijając rzekł:

— A co tu robicie? i bernardyn jakiś! szpiegujecie jak uważam farmazonów? no strzeżcie się, gdyby oni was razem z sobą na łysą górę nie porwali, i rozśmiał się.

— Mości dobrodzieju, rzekłem zatrzymując go, powiedz mi, zmiłuj się, bez ogródki: czy to prawda, że w tym domu zebrani są teraz farmazoni?

— Najprzód księżulu, odpowiedział on, nie farmazoni, ale frankmassoni, a po polsku wolni mularze; a ten dom to ich loża czyli miejsce zbierania się tego towarzystwa.

— W którym mospanieńku dyabeł króluje, przerwał Pszonka.

Rozśmiał się znowu ten jegomość i zmierzywszy nas obu swą latarką od stóp do głowy, rzekł:

— Mogę was moi panowie upewnić, że tyle oni z dyabłem

się znają co i wy, ale nie podsłuchujcie, bo to na uczciwych ludzi, a zwłaszcza na duchownych nie przystoi.

Odeszliśmy więc, strach, czy borysz poplątał nogi Pszonce tak, że musiałem go odprowadzać.

— Ratuj mospanieńku, mówił on, ratuj i kwita.

Doszliśmy przecie bez szwanku do kwatery.

Po kilku słowach onego nieznajomego jegomościa, nie mogłem już wątpić, że ruble moje są farmazońskie; a zatem bez długiego namysłu postanowiłem odnieść je rano panu marszałkowi, ale mi w głowie pomieścić się nie mogło, jak to się stać mogło, żeby taki pobożny chrześcijanin i katolik jak on, należał do takiej piekielnej sekty. Nie wiedziałem wprawdzie, i po dziś dzień nie wiem, co oni tam robią w tajemnicy, ale wszakże słyszałem, że to wyklęci heretycy, i na wspomnienie farmazona zawsze jakieś mrowie przechodzi człowieka.

Wysypałem więc moje ruble na stół, nie licząc nawet; było ich blizko sta.

— No, no, piękne pieniążki! rzekł Pszonka, cały rok jeżdżąc tyle nie zbierzesz; tylko czy wiesz mospanieńku jaką inkluzę ma farmazoński rubel? nigdy jego nie wydasz.

— Jak to? zapytałem.

— A tak mospanieńku; kupuj za niego co chcesz i płać, on znowu u ciebie w kieszeni; jeden sposób pozbycia się takiego wiecznego gościa jest, że trzeba go włożyć w worek pszenicy i z nią razem sprzedać, to już pójdzie w świat i nie wróci się.

Śmiałem się z takich wszystkich zabobonów, które plótł Pszonka, *) bo mając krzyż święty na piersiach, nie lękam się szatana, ni wszelkich spraw jego, ale jednakże do pieniędzy dotykać się nie śmiałem.

— Mniejsza, rzekłem, o te ruble; wydawać ich nie będę, bo i przyjmować nie myślę, i do klasztoru ich nie powiozę.

Pszonka ciekawie patrzał mi w oczy.

— A cóż, mospanieńku, z nimi zrobisz? zapytał.

— To już mnie wiedzieć, odpowiedziałem, ale powiedz mi jegomość, jak tu pogodzić pobożność i przykładny chrześcijański ład w domu pana marszałka z jego farmazoństwem; czy spowiada się pan marszałek?

— Jak to, mospanieńku czy spowiada się? cóż to wasyndziej myślisz, że on niedowiarek jaki? Prócz wielkanocnej, przynajmniej cztery razy do roku i pan i sama imość nasza, i panicze gdy są w domu, i cały dwór przystępujemy do S-go Sakramentu, oho! dałby nam ducha ks. kapelan, gdyby który chybił.

— A jednakże pan marszałek farmazon, a zatem jak sam mówiłeś ma z dyabłem konszachty, więc jakże to pogodzić?

---

*) Zabobony powszechne między pospólstwem o frankmassonii.

— Jak pogodzić, mospanieńku? jak pogodzić? mówił to poziewając, to kręcąc wąsy i namyślając się Pszonka: mospanieńku. . . mospanieńku; widocznie nie mógł mi dać rezolucyi, nakoniec rzekł: a kiedy nie możesz pogodzić, to i nie godź.

Rozśmiałem się znowu na taką solucyę mojej kwestyi i zapytałem jeszcze.

— Czemuż mnie jegomość nie ostrzegłeś, i nawet nie chciałeś odpowiedzieć na moje pytanie, dla czego tu się zebrała tak liczna kompanja panów? choć wiedziałeś oczywiście, że to wszystko farmazoni, i wszyscy przybyli tu do swojej loży, jak tam nazywają.

— Wiedziałem, mospanieńku, wiedziałem, ale i ja ocierając się między nimi nauczyłem się po farmazońsku dotrzymywać sekretu.

— Nie zawsze jednak, odpowiedziałem, nie zawsze, bo tam pod bramą wygadałeś mi jegomość wszystko podobno, co wiesz.

— Oho, mospanieńku, to co innego; tam pod bramą pewnie mnie dyabeł za język ciągnął, bo tam *in circuito* tego domu jego panowanie.

— Ej, rzekłem, czy nie borysz to tylko na len rozwiązał jegomości usta?

Nie rozgniewał się poczciwy Pszonka, owszem uśmiechając się rzekł:

— Jedno przy, drugiem mospanieńku, jedno przy drugiem, ale teraz borysz ten ciągnie mnie oto tu, a zatem dobranoc, mospanieńku! i jak stał wyciągnął się na łóżku; ja uczyniłem toż samo, na przygotowanem osobnem posłaniu dla mnie, odmówiwszy moje paciorki, i przykrywszy habitem farmazońskie ruble.

Nigdy nie miałem nocy takiej niespokojnej: „sen mara, a Pan Bóg wiara“ mówiłem sobie przebudzając się bez ustanku od snów jakichś piekielnych. To ruble na stole pod habitem burczały jak koty, albo sykały jak węże, to znów jakiś straszny farmazon szeptał mi coś na ucho i młotkiem stukał w głowę; to byłem w jakimś lochu między trupami, a każdy trup do mnie się wyszczerzał, że aż pot zimny mnie oblewał; chciałem już obudzić pana Pszonkę chrapiącego na całą izbę, ale mi wstyd jakoś było, doczekałem przecież dnia, i tembardziej poznałem, że mnie z tymi rublami nie wozić się, bo bym z bezsenności i strachu umarł przed czasem.

Gdym więc zobaczył, że u pana marszałka okienice już były otwarte, poszedłem doń niosąc pieniądze w chustce.

— A witam, rzekł on, witam! dzień dobry, w czas trafiasz, kochany bracie na kawę, jakże wczorajsza kwesta?

— Odnoszę ją jw. panu, i wysypałem ruble na stół.

— Jak to? co to znaczy? zapytał zdziwiony marszałek.

— JW. panie, rzekłem, daruj! i nie gniewaj się, ale ja tych pieniędzy przyjąć nie mogę, i nie liczyłem nawet.

— Dla czego?

— Oto bo . . bo, jąkałem się sam nie wiedząc jak tu powiedzieć, oto bo, (nareszcie odważyłem się) bo to pieniądze farmazońskie.

— Cha, cha, cha, rozśmiał się marszałek do rozpuku, ach! głupiś mój kwestarzu, głupiś! jałmużna zkądkolwiek pochodzi, jest zawsze dobrym uczynkiem.

— Jw. panie, rzekłem ośmielony, i faryzeuszowie dawali jałmużnę.

— Zwarjowałeś, rzekł z niejakim gniewem marszałek, ktoś tobie bałamuctwa w głowę nabił, a ty wierzysz i odrzucasz dar pożyteczny i z najlepszych chęci wam ofiarowany. A po krótkiem zastanowieniu się dodał: wiesz co? jesteś jak cię poznałem roztropnym i poczciwym człowiekiem; zostań sam wolnym mularzem, to się przekonasz, że tam nic przeciwnego naszej świętej religii nie ma, ja sam ciebie wprowadzę, rzekł powstając.

— Ach! Jezus, Marya, Józef! krzyknąłem i uciekłem za drzwi. Słyszałem znowu śmiech marszałka, pożegnałem się na prędce z Pszonką, nie odpowiadając nawet na jego kwestye, i nieoglądając się ruszyłem śpiesznie za bramę w bojaźni, aby mię marszałek nie dognał i gwałtem nie zrobił farmazonem.

Gdym wyszedł za miasteczko, jakby mi kamień spadł z serca, i spokojny dostałem się do moich baranów.

Kiedy wróciłem później do klasztoru, gwardyan nasz ówczesny ks. Borejko, który już dawno w Bogu spoczywa, witając mię łaskawie, bom więcej kopy baranów przyprowadził, rzekł: ale *charissime*, nie tylko barany ale i ruble kwestowałeś; przysłano nam tu sześćdziesiąt cztery ruble srebrne pocztą, zebrane przez waszeci w Nowogródku. Nikt tu nie podpisał się na posyłce, zrozumieliśmy stąd, że nie jednego to człowieka tak sowita ofiara, ale musiała być składka jakaś; cóż z tego, kiedy nie poszła nam w pożytek.

— Jak to? zapytałem ciekawie.

— Ot tak, pojechałem do Oszmiany, aby odebrać z poczty te pieniądze, a razem uprowidować się w rozmaite klasztorne potrzeby, na zakupienie których, w sam czas przychodził ten sukurs. Tam przyjęte na poczcie ruble odliczywszy, wpuściłem z workiem do kieszeni w habicie; ciążyły one mnie, wiesz waszeć, że chwała Bogu głowy sobie nie zakrapiam, więc czujny zda się i baczny byłem na mą kieszeń przechodząc przez targ. Jednym razem poczułem, że coś w niej lekko, szust tam rękę. . . niema worka, osłupiałem ! ! ! obejrzę się w około siebie. . . niema nikogo, wywracam kieszeń—caluteńka, ani najmniejszej dziurki; chybaż dyabelska to sprawa, pomyślałem, zrobiłem kweres po targu, ale to nic nie pomogło, jednem słowem, *dictum factum*, pieniądze przepadły; a ja wróciłem do domu z czem i wyjechałem, to jest z próżną kieszenią.

Natenczas ja opowiedziałem ks. gwardyanowi całą procedencyę tych rubli; ściskał on ramionami, dał mi burę za kwestę pod bramą i nakoniec kiwając głową, powtórzył kilka razy: male partal male parta!

IX.

Bajronista.

Zawsze, i od wrót samych poznać dawniej można było, do jakiego wjeżdżałeś dworu i jakiego gatunku mieszka w nim gospodarz? Teraz trudniej to przychodzi, bo i w tym jakaś jednostajność się zaprowadza; na dziedzińcach przedtem równych, czystych i zielonych, teraz zasadzają krzaki rozmaite, gęsto a w nieładzie, tak, że choć tam budy staw na cietrzewie. Gdybyż to tylko u możnych panów, to z Panem Bogiem, oni mają komu dopatrzyć ich gospodarstwa, ale i brat szlachcic stroi swój dziedzińczyk w pląby, czy klomby (bo dalibóg nie wiem dobrze jak tam te zarośla po modnemu nazywają) i widzieć nie może z domostwa swojego, ani swej czeladki, ani swej stodoły, ani swojego spichrza; a imość dobrodzika jakby zrzekła się widoku swych krówek, swych gęsi, kaczek i indyków, na które wszakże dobrze patrzeć by powinna, zasłania je lasem, wązkie tylko w nim wycinając ścieżki, które jeszcze z pańszczyzny wyczyszczać i piaskiem żółtym wysypywać potrzeba. Za czasów mojej kwesty tego nie było, zwłaszcza jeszcze u szlachty, a przynajmniej nie tak powszechnie jak dzisiaj; powiadają że tym sposobem kraj pięknieje i kwitnie, ale po moim słabym rozumie i po staroświeckiem przysłowiu „nie sławna chata wuhłami, ale pirahami“ mnie się zdaje, że kraj każdy dostatkiem, gospodarstwem, obfitym urodzajem Bożych darów, a nie ogródkami pod oknem i na dziedzińcach kraśnieje, kwitnie i sławi się.

Bywało gdy wjeżdżam na jaki dworzec szlachecki, spotyka mię najpierwej pies; szczeknie on kilka razy, jakby oznajmiając panu o gościu, a jeżeli nie rzuca się na konia i baranów, i sam jest dobrej tuszy i karmiony, to już dobry znak, bo tu gospodarz dba widać o sługach swych wiernych i nie żałuje im chleba; a nadto, gdy wszędzie, gdzie okiem rzucisz schludnie, ogrodzono, opatrzono, nakryto, i choć ubogo ale chędogo; gdy wnet baranki moje rozbiegały się po dziedzińcu bez przeszkody; to już pewny byłem, że i one dostaną kompanistę, i konik dostanie obroku, i sam kwestarz choćby trafił po obiedzie znajdzie zwykłą porcyę „na bernardyna“ *). Ale kiedy do szlacheckiego domku wjeżdżasz

*) Gospodynie dawniejsze wydając obiady kucharzowi, dorzucały zawsze porcye zapaśne, na niespodzianego gościa, i to się nazywało „na bernardyna“, a weszło w przysłowie.

przez murowaną bramę; kiedy zamiast poczciwego gospodarskiego sobaki, wyskoczy naprzeciw ciebie chudy chart, albo wyjące gończe i barany twe rozpędzać poczną gdy po małym dziedzińcu szeroka do ganku wycięta droga; słowem, gdy wszystko na co spojrzysz małpuje pańskość, to już nie jedź po tej drodze i zawracaj konia, bo tam u gospodarza najczęściej pustki w komorze, w oborze i w gumnie, a w głowie pstrokato. W głowy takie albowiem, dwojakiego gatunku zajeżdża państwo i łamię w nich klepki; albo tam znajdziesz hardopyszka z zadartym nosem, który z tobą i mówić nie zechce, albo co najgorsze i najczęstsze między młodymi paniczami, znajdziesz tam *per modum* filozofa, co to ni do Boga, ni do ludzi, który ci duby smalone pleść będzie i takie niesłychane sentencye, że od nich uszy zatknąwszy uciekczesz;—prawdziwe filozofy, mospanie: są to niby panowie i bogacze na mądrość, jak inni są panowie na fortunę i pieniądze. Otoż jeżeli który jest prawdziwie mądrym, to i dobrze; ale mają oni swych adherentów i naśladowców między licznym autorskim chórem, jak tamci między szlachtą, którym chce się koniecznie paryerować z tymi mędrcami, więc w konsekwencyi dostają zawrotu głowy, jakby im kto wbił do łba owego farmazońskiego ćwieka, o którym mówił Pszonka, a ja śniłem.

Te wszystkie refleksye i konkluzye moje wynikły z doświadczenia—*experto credo*—jak powtarza często nasz stary definitor; a na dowód opiszę tu moją jedną taką wizytę i rozprawę z takim filozofem, któremu dałem bernardyńską admonicyę, szkoda tylko, że nie bernardyńskim paskiem.

Po nowogródzkiej farmazońskiej sprawie postanowiłem zwrócić się już do domu, i dążyłem do Wołożyna po zostawione tam moje barany, zajeżdżając wszakże to tam to ówdzie po dworach, w których jeszcze nie byłem.

Dnia jednego przed południem, przemyśliwając o obiedzie, dojrzeliśmy na boku z drogi białe kominy, więc drożyną ku nim wiodącą zawrócił się brat Piotr.

Wkrótce wjechaliśmy w ulicę brzozową i przybyliśmy przed wrota. Tam stanąłem podług zwyczaju i pieszo udałem się do dworu; a lubo żaden pies na przeciw mnie nie wyskoczył, jednak dziedziniec cały zasadzony krzakami, nie dobrze mi jakoś prognostykował; wszedłszy w te zarośla posłyszałem w gęstwinie głos wykrzykujący.

— O baranie! baranie! boski baranie!

Oho, pomyslałem sobie, spostrzeżono mię widać zdaleka, i gotują już barana, a pobożny gospodarz nazywa go boskim, jako ofiarującego się dla sług bożych. Na ten głos więc puściłem się przez krzaki i stanąłem przed młodzieńcem leżącym i rozrzuconym na nizkiej kanapce z darni; obwinięty niedbale w bławaty, miał on na głowie czerwoną sukienną jarmułkę, jak u tatarów widywa-

łem, a na nogach papucie złotem i jedwabiem w różne esy i floresy wyszywane; leżała też przy nim książka jakaś, szpargał papieru i ołówek.

Gdym się pokazał, spojrzał on na mnie, ale jak? aż mnie mróz przeszedł; nawiedzony, czy co, pomyslałem; i nie spuszczając ze mnie tego obłąkanego a płomienistego wzroku, którym mnie na wskroś przeszywał, ani odpowiadając na moje zwykłe: „Niech będzie pochwalony."

— Mnich! zawołał, mnich? zkąd tu?

— Nie mnich, odpowiedziałem, ale pokorny bernardyn kwestarz.

— A! rzekł, włóczęga żebrujący na próżniaków!

Nawiedzony, pewnie nawiedzony, pomyślałem znowu, bo bluźni.

Sam nie wiedziałem co począć, bom nigdy nie widział nawiedzonego; więc i ciekawość brała, i strach razem, nakoniec przeżegnałem go.

— Co to jest? po co mię żegnasz? zapytał.

— Boś nawiedzony młodzieniaszku, rzekłem, bluźnisz, zły duch przez ciebie gada.

— A tak, rzekł on na wpół powstając, nawiedzony, masz racyę; ale nawiedzony duchem, którego ty nie znasz i niepojmujesz, duchem światłości, nieśmiertelności i chwały!

Nie, nie nawiedzony, pomyślałem sobie, bodaj tylko warjat— piękniem wpadł! ukłoniłem się więc, chcąc uciec.

— Stój! zawołał on, stój! poczekaj mojego ojca; on ci zapewne da barana.

— Ha, więc to nie jegomość jesteś tu gospodarzem? rzekłem nieco ośmielony.

— Fe, co za głupi wyraz, „jegomość", znieść go nie mogę, nazywaj tak mojego ojca, gospodarza, który jako człowiek poziomej inteligencyi, gospodarzyć tylko umie i mnie chciałby do tej nędznej ziemi, i do pracy nad nią gwałtem nachylić . . .Matka, poczciwa niewiasta, broni mię przed ojcem, choć mię nie rozumie. . . Kocha mnie, ale cóż mi po jej miłości? pospolitość? głos natury—i nic więcej.

Teraz zrozumiałem potroszę co to za ptak? trzebaż go jednak zgromić, pomyślałem, bo czwartego przykazania nie szanuje.

— Górno latasz młodzieniaszku, przerwałem więc, górno latasz! nazwałeś mię włóczęgą, a pobożnych zakonników próżniakami; sam zaś widać jesteś hultajem i będziesz włoczęgą, bo na chleb sobie zarobić nie będziesz umiał, ale nadto, grzeszysz śmiertelnie poniewierając tak rodziców swoich, którzy w tem tylko chyba są winni, że ci nie dali poczciwego chrześcijańskiego wychowania, i na modnego filozofa wyhodowali.

— Nie, nie, bracie kwestarzu, odezwał się głos za mną, i wyszedł z za krzaków mężczyzna podżyły, spokojnej i poważnej

postaci a szlachetnego lica; pokłoniłem się mu pokornie, bom poznał wnet gospodarza domu, a on rzekł:

— Witam, witam serdecznie niespodziewanego gościa, powracając z pola zobaczyłem za bramą twoich baranów, domyśliłem się więc, że cię tu znajdę, a podchodząc dosłyszałem ostatnich słów twoich, pobudzonych widać niedorzeczną elokwencyą mojego syna. Wychowanie staraliśmy się dać mu bogobojne a przyzwoite i w domu własnym nie miał innych przykładów; cieszyłem się widząc w nim od dzieciństwa ochotę do książek, a jeszcze bardziej cieszyłem się, że się okazał zdolnym do cudzoziemskich języków, w których jak wszyscy mówią, daleko większa mądrość niżeli w naszym.

Synek tymczasem uśmiechał się szyderczo, niepowstając nawet przed ojcem.

— Ja, mówił dalej ojciec, żadnego cudzego języka nie umiejąc, nie mogłem dośledzić co on czy ta, a tymczasem on się przemądrzył, i wychowanie jego . .

— Wychowanie moje! wychowanie! przerwał porywczo młodzik zrywając się z siedzenia; ojcze! nie rozumiesz mnie! ja się sam wychowałem! Duch mój, którego długo dręczono nędzną rutyną, uderzony jak iskrą elektryczną słowami nieśmiertelnych wieszczów, a szczególniej tego orła Albionu Bajrona, poczuł swą siłę i możność, i objawił się we mnie i mnie samemu geniuszem poezyi. . .

— Czy rozumiesz księże kwestarzu? zapytał mię ojciec.

— *Praeter propter* mości dobrodzieju, tylko tego orła z Albionu nie spenetrowałem.

— A już on mi uszy tym orłem prześwidrował; on tak nazywa poetę angielskiego Bajrona.

— A który mię nauczył, perorował dalej młodzik, patrzeć z wysoka jak on, na świat i ludzi—i jak on pogardziłem światem i ludźmi—a odtąd . . .

A to mi kaznodzieja! pomyślałem.

— Odtąd, przerwał mu ojciec, stałeś się próżniakiem i rarogiem, i cobyś miał mnie staremu pomagać w domu i za domem, to marnujesz wiek swój młody, nas smucisz, a ludzi śmieszysz.

— Ludzi! zawołał znowu porywczo syn, ludzi! Oto moje wyznanie wiary o nich, posłuchaj ojcze i ty głupcze w habicie, więc porwał szpargał swój z ziemi i czytał z ferworem:

„O wy ludzie! wy psy! wy gorsi
Od psów, bo chytrzy i skorsi
Napaść i kąsać, i dusić;
Kto się wam podda—o nie ja!
Nie—próżna wasza nadzieja,
Do pracy dla was mnie zmusić!
Nie—jam nie wół wasz do pługa,
Jam nie niewolnik, nie sługa,
Bym z skarbów, które mam w sobie
Wam miał nieść podłe haracze!

Wrzeszczycie, że nic nie robię,
Że wiodę życie próżniacze.
Wrzeszczcie—czcza wasza rachuba!
Próżniactwo moje—to chluba!
To rozkosz dla mnie! nie przeto
Że mi lenistwo smakuje.
Nie! lecz że wielkim poetą
Być mogę—jestem—bo czuję
Że nim być mogę—lecz niechcę,
Boście wy tego nie warci,
Jak pieśni anielskiej czarci!

Złoto mię, cześć wasza nie łechce:
Oklask wasz—hańba nie chwała!
A moja pociecha cała
Jest w tem, że ku naszej sławie
Mogąc dać tyle, nic z siebie
Nie dam, i nic nie zostawię,
Lecz wszystko z sobą zagrzebię.

Tak, jakbym właśnie dla tego,
Chciał skarby świata całego,
Posiąść, jego mądrość całą,
I wszystkie tak zwane cnoty,
By nic wam z nich nie zostało:
Wy nizkie, ciemne istoty!—*)

— A co? słyszałeś panie bracie? rzekł obracając się do mnie ojciec, słyszałeś? mleko mu pod nosem nie oschło, a już znienawidział świat i ludzi, którzy mu nic złego nie zrobili.

— Syn jegomości dobrodzieja chorym jest, rzekłem.

— A dla Boga, gdzież tam! zdrów, zdrów jak koń, je za dwóch, zwłaszcza matczyne przysmaki, która na nieszczęście wierzy w jego rozum i pieści go jak osobliwość.

— Pleciesz mnichu, odezwał się i sam wierszopis, jam zdrów i na ciele i na umyśle.

— Otoż to młodzieńcze, rzekłem, że na umyśle nie spełna zdrów jesteś.

— Cóż to? zwarjowałem?

— Nie, do tego jeszcze nie przyszło, ale przyjść może; jeżeli pan ojciec nie użyje prędkiego sposobu i lekarstwa.

— Jakież to lekarstwo? zapytali obaj: ojciec troskliwie, a syn z miną uszczypliwą.

— Ja umiem na pamięć perskrypcyę, rzekłem, napisaną niegdyś dla młodzieży, przez ks. biskupa Naruszewicza wierszem, i jeżeli wola będzie posłuchać, to powiem.

— Wierszem? zawołał zdziwiony młodzian:—Naruszewicz dobrze władał językiem.

---

*) A. E. Odyniec.

— Nie wiem jak on władał językiem,—odpowiedziałem,—ale dobrze uczył władać narzędziem bardzo pożytecznem na choroby młodości.

— No, mów tę ciekawą perskrypcyę, księże kwestarzu, rzekł ojciec, słuchamy; a więc stanąłem w kroku, i myśląc: no paniczu! oddam ci za głupca w habicie,—z równym jak i on ferworem swoje wiersze zacząłem:

Oda do bizuna.

„O z wieków cudotworny synu byczej skóry!
Złych duchów egzorcysto! poprawco natury!
Stróżu durnej młodzieży!

(i kłaniając się wierszopisowi nizko, nieodmawiając, rzekłem)

„Proszku doskonały,
„Na upor, muchy w nosie,
(iterum ukłon głową i ręką)
Miłośne zapały."

— Głupiś popie, z twymi wierszami, rzekł młodzik i chciał odejść, ale ojciec zatrzymał go biorąc za rękę i mówiąc: — Nie Teodorze, nie, kwestarz słuchał do końca twoich wierszy, więc i ty jego dosłuchać musisz—zatem kontynuowałem:

„Pod jakimkolwiek słyniesz na świecie imieniem,
Czy cię kozak nazywa plecionym rzemieniem,
Czy lach basem bolesnym, czy swym obyczajem,
Dziki z krymu pohaniec ochrzcił cię nahajem.
Tyś był wszystkiem przed czasy, gdy hruby sarmata
Nie wysyłał po rozum do obcego świata
Swych dzieci, ale przodków chwalebnym nałogiem
Bez wielkich kosztów, miewał kańczuk pedagogiem.

„Moc twoja jak misterne dłuto, pracowicie
Krzesząc wióry i w martwe pieńki wlewa życie:
Ty polor, ty lustr dajesz i wdzięki powabne,
Ty w grzeczną młodzież Bartki zamieniasz niezgrabne;
Rura, niechluj, basałyk, wnet francuzem został,
Gdy z kółka makarem, pan ojciec wychłostał!
Gdzież twe szerokowładne znikło panowanie?
Płaczą rzewnie strapione boćki i ormianie;
Byłeś na dworach między najdroższemi sprzęty,
Wecując na kobiercu

(tu giest i ukłon do panicza).

Młode wiercipięty.

Aż miło wspomnieć jak to bywało przed laty,
Kiedy usiadł za stołem marszałek wąsaty,
Na sądy z czerwonego w żupanie atłasu;
A dobywszy groźnego z za pasa basu,

Zgromadzonym mołojcom na gody niewdzięczne
Wyliczał z kalendarza zasługi miesięczne.
Tyś z słowem grubijańskiem wyrwał nieostrożnie.

(Tak naprzykład jak i panicz dopiero, nazywając mię głupcem w habicie).

Tyś swój i pański chował sprzęt nie ochędożnie.
Tobiem mocno zakazał z pamfilem się bratać.
Tobie szachrować.—Tobie pokryjomu latać.
Tyś plotkarz.—Tyś łgarz czysty—a tyś natręt zbytni.
A waści zasmakował bardzo trunek żytni.
Panicz się trochę przekradł. A ten miły szpaczek,
Poco tu o północku zalatał do praczek?

„Więc gdy wszystko odpowie na te opłakańce
Wtem pleczyści za kmotrów wnijdą potrzymańce:
Iwan Karet podporca, kwiat między hajdony,
I pajuk jegomościa, Marcin podturczony,
Toż Matiasz masztalerz, stangret Opanasy,
Zdolne męże z niedźwiedziem w silne iść zapasy;
Zaszczepią drzwi na rygiel, kloc po środku stanie
Hałas, tertes, obietnic świętych ponawianie!..
A on licząc po ćwierciach bolesne dziesiątki
Samorodnym indychtem wrażał cnót pamiątki.
Oddycha, przypomina, nieodstąpi kęsa
Póki się leniwego nie narąbie mięsa.

Bito wszędy, i młódź też lepszą była bita,
Czego pijar nie dobił, albo jezuita,
Dwory poprawiały, a gdy duch zacięty,
Nie dał się zgiąć na szkolne i na dworskie pręty;
Wam żołnierze ostatnia zlecona robota,
W waszym ogniu dać jeszcze próbę tego złota!

„Tak przez różne przechodząc pletnie i batogi,
Tracił wiek wpółszalony zwolna swe nałogi;
Aż się też pożegnawszy z namiętności tłumem,
Począł za przewodniczym iść tylko rozumem.“

— A tego przewodnika i tobie młodzieniaszku życzę, rzekłem na końcu i pokłoniłem mu się pięknie.

— A co? rzekł ojciec śmiejąc się serdecznie, to lepsze niż twój Bajron.

— To barbarzyństwo, wykrzyknął on, niegodne uszu ludzi wysokiej inteligencyi, a kala świętość poezyi, gdy się nią śmie nazywać.

— Ale zkądże księże kwestarzu nauczyłeś się tej perskrypcyi?

— Bo nam niegdyś uczniom szkoły klasztornej nasz ks. profesor zadawał to na pensę, a skoro kto pensy nie wydał, to mu ją w praktyce wrażał.

— Wybornie, rzekł znowu ojciec, tu jednak lekarstwa twego użyć nie możemy, bo go w całym domu niema.

— A mości dobrodzieju, odpowiedziałem, gdy idzie o zdrowie godnego syna pańskiego damy temu radę; u nas w klasztorze zdarzają się takoż kazusy podobnych chorób, wypada czasami albo złego ducha egzorcyzmować z głowy durnej młodzieży, albo muchy im z nosa wypędzać, albo twardy upór miękczyć, to w braku samego lekarstwa używamy bardzo skutecznie naszego domowego surrogatu, to jest bernardyńskiego paska z ogórkami.—*Purificat mentem* *) mój dobrodzieju i doskonale leczy, więc i ja oto udzielę mojego do wiadomego użycia.

Rozśmiał się znowu ojciec:—zasłużyłeś na barana, kochany kwestarzu, rzekł, zasłużyłeś i każę ci najtłuściejszego wybrać; syn odwrócił się i pogwizdywał pod nosem; raptem krzyknął:

— Barany! barany! przebóg barany!

Spojrzeliśmy, alić trzodka moja rozbiegła się po krzakach, i chciwie objadała listki.

— Przebóg! wykrzyknął znowu pan Teodor: jam te krzewiny własnemi rękami sadził! własnym potem i własnemi łzami polewał! a teraz nędzny źwierz je niszczy.

— Niechby i zupełnie zjadł, rzekł ojciec, bo Bóg wie na co one tu potrzebne, zasłaniają mi tylko gospodarkę.

Pan Teodor pobiegł skwapliwie wypędzać baranów, a rzucił niedbale swój szpargał na ziemię, który ja podjąłem, to i został aż dotąd u mnie. Ujmując kłopotu poecie wziąłem prowodyra za rogi, i wyprowadziłem za bramę; za nim poszła cała gromada, do której zacny gospodarz wnet swojego barana dołączyć kazał; a lubo zatrzymywał mnie na obiad, wszakże unikając niemiłych dysput zostać niechciałem, i zalecając tylko moje lekarstwo dla synalka, pożegnałem ojca.

COLLOQUIUM DRUGIE U KS. KUSTOSZA.

X.

Idea i fantazya—Potok podziemny.

Niecierpliwy ks. kustosz po kilka razy pytał mnie, czy daleko postąpiłem w mej pracy? a nakoniec onegdaj w niedzielę rzekł mi:

— No, *frater Rafaele*, przynieś waszeć dziś wieczorem do mnie coś już napisał; będzie ks. jubilat, on bardzo ciekawy twego autorskiego talentu, i zaprosiłem pana prezydenta, naszego sąsiada, znasz jaki to godny i rozumny weteran; będzie on wybornym a praktycznym sędzią naszym, posłuchamy i pogadamy.

*) Czyści umysł.

Przyszedłem więc podług tego rozkazu wieczorem, niosąc pod pachą mój seksternik. Pan prezydent powitał mię łaskawie, ksiądz jubilat uśmiechał się spoglądając na mnie z ukosa i zażywał tabakę, a ks. kustosz dał mi szklankę herbaty w rękę.

— Znajomy, rzekł kustosz do prezydenta, panu nasz brat Rafał, lecz teraz rekomenduję go jako naszego domniemanego autora; opowiedziałem panu jaką mu zadałem pensę, zobaczymy teraz jak ją nam wyda?

— Słuchamy, rzekł prezydent.

— Siadaj więc bracie, oto tu między nami, rzekł kustosz mieszcząc mię przy stole, i zaczynaj.

Trochę mię mitrężył ten pan prezydent, ale przeżegnawszy się nabrałem serca; rezolutnie zatem zacząłem lekturę, i kontynuowałem ją bez przerwy. Gdym za każdym rozdziałem odpoczywał i popijał herbatę, ks. kustosz powiadał tylko: dalej! dalej! i tak aż do końca, a gdym wszystko przeczytał, ks. jubilat spał zwiesiwszy głowę na piersi; pan prezydent brwi marszczył i przygryzywał usta, a ks. kustosz spoglądał to na mnie, to na prezydenta, tarł czoło i widocznie namyślał się, a wszyscy milczeli.

— No, jakże tam dalej? wecował na kobiercu młode wiercipięty, przemówił ocknąwszy się jubilat; widać zasnął był na tym wierszu; rozśmieliśmy się wszyscy. Nakoniec po namyśle, rzekł ks. kustosz:—A widzisz bracie Rafale, żem ci dobrze powiedział, gdyś się bronił od pisania, żeś nie po budach niedźwiedzich, ale po ludzkich domach kwestował, a w niejednym dotykałeś i ocierałeś się o rozmaite kwestye towarzyskie, z których każda przyczynia się do obrazu czasu, w którym kwestowałeś i do dzisiejszego jako sukcesora po tamtym. Dziś niektóre z tych kwestyj dojrzały i przeszły w czyn; niektóre są pod nieustannym rozbiorem, niektóre się przerodziły, ulegając tak nazwanemu postępowi, który jest godłem naszego wieku, ale zarody prawie wszystkich szczególniej codziennych i powszednich, przebijały się już natenczas. Wszystko dziwnie i nagle zmienia się i przemija w naszym czasie, mówił dalej ks. kustosz, w naszych towarzystwach, w naszych obyczajach, w naszem codziennem nawet życiu. Kilka zaledwo dziesiątków lat rozdziela kwestę Ławrynowicza od kwesty Rafała, a jakże one dalekie obrazem i pojęciem. Kwestarz nie mędrzec, pobieżne tylko widoki snują mu się przed oczyma; on jeżeli je zbiera i opisuje, nie wchodzi jednak ani rozważa głębiej ich przyczyn, ani ducha z którego się one rodzą; ale obrazy Ławrynowicza tego nie wymagają; one odzwyczajonym nam i z podań już tylko świadomym tamtych czasów, oryginalnością, kolorytem i prawdą same biją w oczy i same się tłumaczą; a przywiązują wspomnieniami jeszcze niewygasłemi w sercach. Twoje, któreś przeczytał, i dalsze jeżeli je pisać będziesz, są i być muszą tem, czem i jakie było towarzystwo w czasie twej kwesty;

bezbarwne prawie, zamierające, żadnymi szczególniejszymi faktami nie odznaczające się, tak, że gdy ktokolwiek książkę twą, jeżeli ją napiszesz, złączywszy z pamiętnikami brata Ławrynowicza, czytał jednym ciągiem, różnicę tak widoczną pierwszego dzieła od dalszej kontynuacyi, przypisać by mógł różnicy talentu autorów. Ty sam w twych ekskuzach, któremiś od pracy wymówić się chciał, brak treści kwestarskiej przywodziłeś za przyczynę, a jednakże z widocznego teraz porównania was obu, i głębszego pojęcia rzeczy tej wynika krótka i zwięzła definicya, razem i różnicę między wami, i przyczynę tej różnicy obejmująca, to jest: Ławrynowicz kwestował po fantazyach, a ty po ideach.

— *Non intelligo, reverendissime* *), ozwał się ks. jubilat.

— W rzeczy samej, mości ks. kustoszu, to jaśniejszego potrzebuje wytłumaczenia, rzekł pan prezydent, bo zdaje mi się, że i fantazya bez idei być nie może.

— Nie, prezydencie, mówił dalej kustosz, nigdy dzieckiem fantazyi nie była idea stała; następuje ona zwykle i u nas nastąpiła po zniknięciu tej wesołej przewodniczki życia i gasi jej ostatki, ale nic po niej w spadku nie bierze sobie, ani przyswaja. Idea gdy ogarnie całe narody staje się duchem czasu; fantazya biega od narodu do narodu i gości tylko w każdym czas niejaki, u nas bodaj najdłużej gościła.

Życie pełne, szerokie, swobodne, niewyrozumowane, braterskie i szlachetne, dobroduszne i szczere; rozmaite codziennym czynem i animuszem, choć podobne powszechnym narodowym obyczajem. Takiem było życie ojców, a tembardziej dziadów naszych, po którego ostatkach kwestował brat Michał. Ale gdy ono powoli gasnąc, zniknęło nakoniec. . .

— A dla czegoż? i jakim sposobem znikło? przerwał prezydent.

— Oho! o tem szeroko święty Dawid pisał, odpowiedział kustosz, i sam panie prezydencie lepiej byś to, niżeli ja wytłumaczył. Komu siódmy krzyżyk na czole, i kto nie w murach klasztornych, ale publicznie żyje, ten musiał być obecnym i ostatniemu między nami tchnieniu ducha przeszłości i swobodnej fantazyi, i napływowi obcych idei, które nas samych w sobie zasklepiły.

Idea więc, jakem to powiedział, następuje po fantazyi, lecz nie dziedziczy po niej, z fantazyą jednoczymy się naturalnie, z ideą sztucznie; z pierwszą sercem, instynktem, z drugą rozumem, a raczej rozumowaniem. Fantazya naśladuje, idea zaraża, fantazya raz zamarła nie wskrzesi się już bodaj nigdy; ideje rodzą się jedne z drugich, wiążą się, spokrewniają, różnią się i jednoczą, walczą niekiedy z sobą i godzą się, giną nakoniec częstokroć, ale zawsze złem lub dobrem potomstwem obdarzają ludzkość i towarzystwo. My po przejściu narodowej fantazyi, własnych nie wyrobi-

*) Nierozumiem.

liśmy idei; cudze były gotowe, rozszerzone po całej Europie, więc je małpim zwyczajem przyswoiliśmy sobie; już na zarody tej idei zachodniej walczącej u nas natenczas z pańskim poczciwym animuszem, natrafił i brat Ławrynowicz w domu starosty. Wkrótce opanowała ona wszystkie klasy społeczeństwa naszego, rozumie się prócz chłopów, bo ci po francusku nie uczyli się, i odtąd owczym pędem brnęliśmy za cudzoziemszczyzną.

—Aleśmy przecie, ks. kustoszu dobrodzieju, dobrnęli dziś do swojego, przerwał znowu prezydent.

— Tak, rzekł kustosz, jak zapatrzyliśmy się na obcych, zajętych tylko sobą, chwalących się własną przeszłością, a poniewierających naszą; chwalących się własnym sensem i rozumem, a nam go odmawiających; trafiliśmy za łaską Bożą na ideę, abyśmy się także rozpatrzyli w sobie i za sobą, abyśmy do własnych, nie do cudzych głów chodzili po rozum, i na drugą, również szczęśliwą, abyśmy od nich to tylko naśladowali i przyswajali sobie, co nam pożytecznem i właściwem być osądzimy.

W takim rozbiorze znaleźliśmy, chwała Bogu, obfity skarb cnót rodzinnych, dotąd zaniedbany i poniewierany, i mądrości rodzimej dotąd nieuszanowanej; więc ze zdziwieniem przekonaliśmy się, że nie mamy czego zazdrościć obcym, że jak ziemia własna, własnym chlebem nas wykarmić może, tak i cnoty własne mogą wykarmić duszę naszą i wznieść ją ku wszelkiemu dobru i wszelkiej doskonałości, byle je z miłością i pracą uprawiać i zaszczepiać. Pojęcia są dziś powszechne i najpiękniejsze dają owoce, a jeszcze piękniejsze nadzieje, ale nie było jeszcze ich ani zarodu, gdy kwestował brat Rafał.—Po wielkim paroksyzmie wojennym, był to u nas czas chorowitej niedołężności; trącał się więc on o rozmaite ideje, to nierozważnie przyswajane przez młodzież, jak naprzykład bajronizm, to o jakąś manię bez celu i bez skutku rozpowszechnioną, jak naprzykład frankmassonia u starszych, to nakoniec o pospolite wady samolubstwa jak u pana asesora „ptaluteczku," które obrazy obyczajów, w krytykę zmieniają.

— Trącił się jednak, rzekł prezydent, i o jedną poczciwą, to jest ojcowskiego obejścia się panów z poddanymi, która dziś zmieniła się w czyn świadczący w obliczu Boga i ludzi, że chętnie i ochotnie poświęcamy nasz interes na ofiarę chrześcijańskiej ludzkości, a zatem, że ją mamy w duszach i sercach.

— Tak, trafił na dom jeden, rzekł ks. kustosz, do którego zły przykład nie doszedł.

— Dom jeden! przerwał powstając rezolutnie prezydent, dom jeden, mówisz ks. kustoszu, i jesteś w błędzie, a podzielasz błąd ten z wielu innymi, których zdaje się być zadaniem ubliżać przeszłości i teraźniejszości naszej, ukrywać w cieniu wszystko co dobre, a objawiać wszystko co naganne, i z których każdy jak doktor złowróżbny, okazując wrzody na skórze pacyenta, chce dowodzić, że w nim cała krew zepsuta. Tymczasem tak nie jest; byliśmy słabi, nierozważni, niekiedy nadpsuci obcymi przykładami,

jakeś to sprawiedliwie powiedział ks. kustoszu, ale nigdy źli z natury. Fantazye nawet nasze, gdyśmy byli samymi sobą, czasami swawolne, ale nigdy nie były złośliwemi, bo gruntem serc naszych jest, i była zawsze wiara prawdziwa i szczera, a we wszelkich codziennych zdarzeniach i postępkach, wysokie oszacowanie siebie samych, swojego imienia, swej dostojności, a jednem słowem swojego szlachectwa, na pierwszym były względzie. To drugie uczucie, modyfikowało się pierwszem; i dla tego zło było u nas wyjątkiem, wyjątki te nawet były rzadkimi, i dla tego imiona wyjątkowe w tym względzie, okryte nienawistną pamięcią doszły podaniem aż do naszych czasów; a gdyby były i częstsze, to wyjątki nie stanowią całości, bo całość była zawsze poczciwą.

Znam ja, bo przez wiek mój długi byłem świadkiem wszystkich przejść i przemian stosunków naszych z włościanami, przepowiem więc je wam najszczerzej, abym wywiódł cię ks. kustoszu z mylnych wyobrażeń, dość dziś zresztą pospolitych, a tyczących się szczególniej wewnętrznego ducha i uczuć naszych w tej sprawie. Dzieje te są bez głośnych faktów, uważny tylko spostrzegacz notować je i zatrzymywać mógł w swej myśli; jest to śledzenie źródła i tajemniczego biegu podziemnej krynicy, która gdy się wydobędzie na powierzchnię ziemi, wszystkim już staje się widoczną, a idzie tylko o wiadomość, czystem-li jest źródło, z którego bierze początek?

— Jeżeli woda tej rzeki jest czystą i słodką, to i źródło być musi dobre i czyste, odezwał się przecie ks. jubilat.

— Wniosek bardzo naturalny, mówił dalej prezydent, a jednakowoż w tej okoliczności od wielu zaprzeczany, zejdźmy więc do tego źródła.

Patryarchalnymi były stosunki naszych przodków z poddanymi; cóż znaczy to słowo patryarchalność, to nie niewolnictwo. Jest to miłość i łagodność chrześcijańska ze strony rządców, a przywiązanie i ufność ze strony rządzonych, i taki w rzeczy samej był niegdyś stosunek między panem i chłopkiem jego.

Urodzenie rozdzielało te dwie kasty głęboką przepaścią, ale tę przepaść zapełniała miłość chrześcijańska, za którą idąc przebywali ją panowie i z ojcowskiem sercem wnosili do chat włościan swoich troskliwość, radę, pomoc wszelką, i pociechę; przechodzili ją wzajemnie i włościanie, niosąc śmiało do dworu swoje potrzeby i troski, pewni opieki i wsparcia. Prócz tego wzmacniały tę zobopólną życzliwość okoliczności domowe, zwłaszcza w miernych szlacheckich rodzinach. Tam niańka panienki, tam faworytna sługa pani, wydana za mąż za faworytnego myśliwca jegomości, tam dziatwa wiernego włodarza, na którego staraniu i poczciwości pańskie gospodarstwo i cała chudoba leżały; i temu podobnie a tak dalece, że słudzy i poddani dobro i mienie pańskie nazywali nasze i dla tego chętnie strzegli go i na nie pracowali; a pan mówiąc moje chłopki, to nie w znaczeniu własności,

ale w takiem jak się mówi: moje dzieci, moi bracia, to jest, w myśli serdecznej, która wszystko co kocha przyswaja.

— Złote czasy, panie dobrodzieju, złote czasy! rzekł ks. kustosz—ale...

— Rozumiem, przerwał nie dając mu dokończyć prezydent, chcesz mówić, ale czy wszędzie tak było? No, to miejże na uwadze, ks. kustoszu, że ogół narodu i ducha powszechnego, nie zaś szczegóły maluję, a jak świat światem i ludzie ludźmi, wszystkich na jedną formę nie ulejesz; lecz w tej okoliczności i naówczas, jakem to już nadmienił, mała bardzo liczba od tej formy odskakiwała.

Otoż macie gniazdo owej podziemnej krynicy, której biegu dośledzamy, a której czyste wody wpłynęły jeszcze i do serc naszych w dojrzalszej naszej młodości, bo uczucia te patryarchalne przelewając się w obu klasach z pokolenia na pokolenie, jeszcze i do nas starszych doszły.

Lecz wkrótce potok nasz wrył się w mniej czyste warstwy, a mówiąc zrozumialej, stan wyobrażeń moralnych zmieniać się począł; a stan materyalnych potrzeb wkradającym się zbytkiem codzień zwiększany, do coraz ściślejszego zajmowania się gospodarstwem i ciągnienia zeń coraz większych dochodów przymuszać począł dziedziców, a zatem i do coraz ściślejszych obowiązków włościan. Rwały się więc już wprawdzie ogniwa pięknego wieńca, łączącego dotąd właściciela roli z tymi, którzy mu plony z niej zbierali, lecz z tegoż samego pilniejszego i czynniejszego gospodarowania wynikł zdrowy wniosek i idea, że od stanu zamożności włościan zależał i stan dziedziców; a tak interes zastąpił serce. Skutek materyalny prawie tenże sam, bo wzbudzający takąż samą troskliwość pana o byt jego chłopków, ale moralnie zeszliśmy daleko niżej. Na objaśnienie stanu tego i różnicy przychodzi mi na myśl przykład. Oto dajmy, że we wsi jakiej pomór na bydło zabił co do sztuki dobytek włościan; dziedzice w obu peryodach wsparliby gospodarza, ale dziad i ojciec kupiliby mu natychmiast krówkę dojną, aby miał mleko dla dzieci, i swego wydatku za dług by mu nie policzyli, syn zaś kupiłby mu wnet parę wołów, aby miał czem i pańską i własną ziemię orać, i wydatek by swój na dług włościaninowi zapisał; obaj więcby go wsparli, może nawet drugi skuteczniej, ale pierwszyby tylko wdzięczność i modły nieszczęśliwego zjednał.

Tak interes wzbudzony wzrastającemi potrzebami, wprowadził w gospodarstwa szczelniejsze obejście się i rachunek codzienny, oziębiający i zniechęcający włościan; za nim weszły niedowierzanie i nieufność ku panom, od której bardzo już blisko do nienawiści...

Ale kraj jednakże ubożał; właściciele ziemi upadali i bankrutowali, majątki wielkie rozdrabiały się na małe schedy, na miejscu jednego pana, rodziło się kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt nowych panków; a każdy na swoją rękę męczył odłogi sobie wydzielone, aby mu jak najobfitsze rodziły plony. Przyczyny tego powszechnego natenczas bankructwa i wynikłego stąd drobiazgowego podziału kraju, czyli eksdywizyów, są jeszcze w świeżej pamięci; i to inna materya, której dotykam dla tego tylko, że w tym fatalnym trzecim peryodzie potok nasz wrył się w najgorszą warstwę, to jest w napływową. Improwizowani bowiem nowi dziedzice napłynęli na ziemię, bez innych celów i usiłowań, jak wynagradzania sobie przymusowo na niej lokowanych kapitałów. Usiłowania te powiększyły zapewne massę ziarna w kraju, ale też powiększyły i pracę około niego, a zatem i znoje włościanina, spoglądającego na nowego pana, z którym go żadna przeszłość nie łączyła, nienawistnie, a często z poniewierką, jeżeli zwłaszcza był to parweniusz, w którym ekonomski pierwiastek przebijał się na każdym kroku (a takich było bardzo wielu); i nastąpiło jakieś rozstrojenie, w którem zdawało się, że los włościan najmniej nie obchodził właścicieli; a jednakże w tymże samym czasie, potok nasz zaczął wybuchać na wierzch, i to inicyatywą samejże szlachty.

Peryody te ściśle ograniczać się nie dają, wszelkie bowiem ideje jak mgły lub chmury nieograniczają się regularnym zakresem: z jednej strony nikną, z drugiej się rozszerzają, tu rzedną, tam gęstnieją; ale za niemi jest słońce, które częstokroć gorętszym promieniem niespodzianie i na wskróś je przebija. Tak właśnie i tu się stało; wśród tej powszechnej a pozornej jednak odrętwiałości na losy włościan, przypadły sejmiki gubernialne 1817-go roku, na które po dziesięciu delegatów, to jest czoło z każdego powiatu wybierano. Z mojego byłem sam między nimi, więc jak dziś pamiętam, gdy na jednej sessyi wniesiono projekt uwolnienia włościan z poddaństwa, okrzyk powszechnej zgody zabrzmiał w sali; jedna tylko znalazła się oppozycya, a stąd niejakie zamieszanie spowodowało zawieszenie wyborów; lecz po dniach kilku znowu otworzono izbę, a uwiadomiony o wypadku błogosławionej a nieśmiertelnej pamięci Cesarz Aleksander, przyjąwszy łaskawie i pochwaliwszy zamiary szlachty, rozkazał zapytać każdego z nich, czyli się zgadza na zniesienie poddaństwa? Marszałkowie więc powiatowi rozesłali delegatów z tem zapytaniem do wszystkich obywateli; jakiż rezultat okazał się z obliczenia odpowiedzi? dobrze pamiętam liczbę nawet, oto za uwolnieniem było podpisów 1,469, przeciwnych zaś osób 80, widzicie więc różnicę ośmdziesiąt na przeciw półtora tysiąca. Zaiste nader mało wyjątków!

Potem zdawało się, że wszystko ogłuchło, ale idea postępem czasu wzmocniona, którą się i rząd już przejął, trwała jednak. Z niej wyniknęła regulacya inwentarzy i powinności włościańskich; a czynność ta, uchylając nadużycia dziedziców, dała poznać włościa-

nom, że samowolność panów względem nich ustała, że i panowie mają władzę nad sobą, do której oni w krzywdach swych uciekać się mogą; jakoż i uciekają się rzeczywiście.

Tak powoli szły rzeczy ku ostatecznemu rozwiązaniu, które oto teraz, daj Boże, szczęśliwie się dokonywa. Wszystko to, mówił dalej prezydent, jest już dzisiaj przeszłością, treścią do dziejów tego kraju, ale w tych dziejach nie można zostawić piętna hańbiącego na pamięci całej klasy narodu, która na nie niezasłużyła, której prawość i chrześcijańskie cnoty, objawiały się zawsze w tej materyi szczerze, otwarcie i szlachetnie, której zatem obwiniać i spotwarzać nie godzi się za grzechy pojedyńczych indywiduów.—Niech cierpi kto zasłużył, ale nie wszyscy za jednego lub za kilku.

— Teraz nastąpią inne peryody,—przedłużał prezydent—daleko ważniejsze, bo tu wejdzie na scenę i w nowe życie klasa ludności, nie liczona dotąd w narodzie, dla której szranki dobrowolnie i ochotnie sami otwieramy. Prawa, które dla niej i dla siebie piszemy, któż wie czyli w praktyce dostatecznemi się okażą? niejeden raz je może zmieniać jeszcze przyjdzie po doświadczeniu, a jakikolwiek los stąd dla nas wypadnie, obyśmy w każdej przemianie zachowali tę prawość sumienia, i tę czystość duszy, która ojcom i dziadom naszym zastępowała prawa, a nam uległość prawom ułatwi.

Skończył prezydent, i po niejakiem milczeniu odezwał się ks. jubilat.

— *Dixisti sermonem* *), panie prezydencie.

— Które, dozwól pan, rzekł ks. kustosz, że ja skończę.

Przepaść tę, mówił on zatem, o której rezonowałeś prezydencie, między szlachtą i włościanami, a którą niegdyś zapełniała miłość i życzliwość wzajemna, na której potem interes wątłe położył kładki, dziś ją ma zapełnić prawodawstwo, i tak ją zasypać i wygładzić, aby po niej obu stronom bezpiecznie przechodzić można było, niestety! może tylko dla wzajemnych rozrachunków. . . a bodajby nie dla wzajemnych sporów i kłótni. *Quid leges sine moribus* **) powiedział kiedyś stary Cycero.

— Z tej temy, przerwał znowu jubilat, choć nie ewangelicznej, możnaby wziąć kazańko osobne i długie. *Quid leges sine moribus?* powiada mędrzec pański, a któż tam będzie wertował wszystkich mędrców Pańskich, dla zadania fałszu kaznodziei!

— I od razu kłamstwem zacząć naukę, rzekł kustosz.

Jubilat uśmiechnął się i zażył tabaki.

— Otoż ja kazania mówić nie myślę, kontynuował kustosz, bo mi nie idzie o filantropijne komunały, których dziś wszędzie nasłuchać się można. Potrzeba ofiar! potrzeba ofiar! wykrzykują

---

*) Powiedziałeś kazanie.

**) Co po prawach bez obyczajów.

dziś i powtarzają jedni za drugimi; ofiarując je ponieść w uszczupleniu dochodów swoich. O! nie w tem najgłówniejsze ofiary, do których przygotować się powinniśmy. W obyczajach właśnie naszych znajdziemy co ofiarować mamy. Potrzeba najprzód odrzec się miłości własnej, i owej buty pańskiej, z którą się rozkazywało poddanym swoim, a której nie było ni w sercu, ni w słowach, ni w obejściu się z chłopkami przodków naszych, w owe czasy, które po opisaniu twojem, prezydencie, złotymi nazwaliśmy. A nie jest to jedna z najmniejszych ofiarł między dumnem i szorstkiem „rozkazuję" do którego nawykliśmy, a grzecznem, jeżeli nie pokornem, „proszę," stoi pycha i samolubstwo, z któremi codzień się kłócić, i codzień je poskramiać przyjdzie.

Potrzeba będzie odrzec się lenistwa; mamy jeszcze wielki kapitał, któregośmy prawie nie dotknęli dotąd, to jest pracę; da on nam lichwę, ale użyć go trzeba pilnie, i nie dać się w niej zastępować najemniczym, a nigdy szczerym usługom; pracować myślą, okiem i rozsądkiem własnym około samych siebie i około własnej ziemi, która naówczas zrównoważy nam pewnie i nagrodzi ubytek, łatwo dotąd przychodzących dochodów.

Potrzeba nakoniec odrzec się fałszywego wyobrażenia, jakiego bez rozwagi trzymamy się, lub zdajemy się trzymać, o włościanach naszych: klasa ta ciemna, nie rozumna, nie oświecona, powiadamy, a przecież chłopek ma dosyć rozumu na swoją potrzebę, rozum ten jego składa się z naturalnej przenikliwości i ostrożności w stosunkach z panami, pierwsza wspiera się drugą, ulega on rozkazowi, bo musi, ale w duszy osądzi ten rozkaz sprawiedliwie i trafnie. Obie te własności jego poczytujemy mu za wady, które jednak udowodniają, że on zrozumiał dobrze stan swój dzisiejszy i swe dzisiejsze położenie, i stosować się doń umie; ale i tu przez siebie samych tylko wpłynąć nań i poprawić go możemy. Niech włościanin w sercu i w każdym kroku pana znajdzie zawsze i nieodmiennie szczerość, sprawiedliwość i dobroć; niech przenikliwością swoją nigdy w nim niczego innego niedopatrzy i nie dośledzi; a pozbędzie się tem samem tej ostrożności i nieufności od której, jakeś dobrze powiedział prezydencie, nader już blizko do nienawiści.

Krótkie to warunki w tej materyi, ale główniejsze; na nich zakon i prorocy, i spełniając je o panowie! podług słów Lewity, „Będziecie jeść chleb w sytości, i bez strachu będziecie mieszkać w ziemi waszej" *). — Mówiłem jak świecki obywatel, rzekł prezydent, dokończyłeś kustoszu jak duchowny katechista; z pomiędzy mnóstwa uwag, prawideł i proroctw, wybrałeś zdaje mi się treść samą, i zre-dukowałeś ją do ścisłych trzech przestróg. O jak dobrze byłoby, gdyby każdy szlachcic gospodarz przyswoiwszy

*) Lewityk, księga. 111, rozdział 26-ty.

sobie, i do własnej pozycyi zastosowawszy twoje wnioski, ziścił tym sposobem słowa Lewity.

— Gdybyż je słyszano, lub czytano, rzekłem.

— I cóż z tego? rzekł kustosz, czas, doświadczenie, wypadki powszechne, zamieniają i leczą częstokroć ludzi z chorób moralnych, książki zaś i nauki na mało się tu przydają; im częściej powtarzane, tem mniej cenione. Stary morał w książce, jak stara odzież, rzuca się w kąt na pastwę szczurom. „Komunały" nowy wyraz weszły dziś w modę, i rzucony jak klątwa na samą nawet najprawdziwszą prawdę, gdy się ona zbyt często słyszeć daje; toż samo spotkałoby i nasze sentencye. Ale zkądże brać nową mądrość w rzeczy dziś powszechnie i przez wszystkich traktowanej?

— Wszakże, kochany ks. kustoszu, mówił po zastanowieniu się niejakiem prezydent, nie byłem od tego, aby naszą dzisiejszą dyssertacyę, wasz przyszły autor wpisał w swoje dzieło: „*Gutta carit lapidem, non vi, sed saepe cadendo*" *) jak wiesz o tem ojcze, niech choć jeden z tysiąca przyjmie te nasze komunały do serca, a jednem tysiącznem złego z pośród nas ubędzie.

— Chybaż sami, ichmość dobrodzieje, wpiszecie do mego raptularza, to coście mówili, odezwałem się, bo chociaż dzięki Bogu na pamięci nie szwankuję, ale takim długim kontrawersyom niedotrzymam, a swoim nędznym rozumem niedopiszę.

— Niechże tak i będzie, *ad majorem Dei gloriam*, panie prezydencie, czy zgoda? zapytał kustosz.

Prezydent skinął głową, i w kilka dni potem skopjowałem już tylko co oddany mi przez ks. kustosza seksternik.

Koniec części pierwszej.

CZĘŚĆ DRUGA.

XI.

Zdziecinniały.

Zajechawszy do Nieświża po moje barany, odpoczywałem tam dni kilka jak we własnym klasztorze, a słysząc opowiadania wielkich dziwów, które niegdyś tu na zamku Radziwiłłowskim za panowania tam książąt odprawiały się, poszedłem obejrzeć go, oh! niewiedziałem ja natenczas, że po tym zamku chodził niegdyś brat nasz Ławrynowicz, że w tych salach odbywała się sławna kapitu-

*) Kropla przebija kamień, nie siłą ale często padając.

ła i pokuta ojców naszych ówczesnych; a tobym z większą jeszcze ciekawością i uwagą wszystko tam rozpatrywał.

Ale żył jeszcze stary dworzanin księcia Radziwiłła, tegoż samego syndyka naszego, pan Bukowski *), zapoznałem się z nim w klasztorze. Mieszkał on w miasteczku, w swoim dworku, ale codzień po mszy świętej zachodził do księdza kustosza na ranny posiłek, a potem po kolei od celi do celi odwiedzał ojców, którzy go bardzo szanowali, jakoby jaką drogą relikwię po Radziwiłłach im zostawioną. Uczęszczał razem z nimi i do refektarza, i na konsolacyę, tak, że więcej żył między bernardynami, niżeli w swym dworku, ot już to zwyczajnie starzy mają sympatyę do klasztorów.

Więc staruszek ochotnie podjął się być moim przewodnikiem po zamku. — Miłyż Boże! wszystko tam było w ruinach, wzdychał głęboko Bukowski rozpowiadając mnie.—To sala hetmańska! To sala królewska! To pokoje paradne. W tym pokoju wszystkie sprzęty i meble były z lanego srebra. To kaplica zamkowa. —A jakżeby poznać że to kaplica? ani śladu ołtarzy, a w kącie jednym kupa gruzów ze szlifowanych rozmaitych kamieni, z których i ołtarze i ściany, i obrazy nawet jakby malowane układanymi były. A wieleż to tych obrazów i portretów dawnych zrzuconych w jednej izbie na kupę? wieleż to żelaza i zbroi połamanych? któremi cały pułk w kirysy ubrać by można było.

Zaprowadził mnie potem Bukowski do lochów pod zamkiem. Tu, rzekł on wskazując na sklep poboczny, zamurowane były skarby Radziwiłłowskie... Dalej stały ogromne skrzynie z papierami i księgami. Na dziedzińcu leżały dwie długie armaty, było takich kilkadziesiąt na wałach zamkowych, mówił Bukowski, i nakoniec zeszedł do komnaty na dole, której okna zasłaniały się wysokimi wałami zamkowymi tak, że choćby w dniu najpogodniejszym ona przyćmioną być musiała.

—Tu, rzekł on, ostatni raz usługiwałem panu memu i dobroczyńcy, księciu Karolowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu; oślepł on biedny na starość, obrał więc sobie to pomieszkanie, do którego słońce nie dochodziło, i nie raziło zbolałych jego oczu; odjechał potem do Białej **) gdzie go miał leczyć jakiś zagraniczny okulista, ale z tych leków oczy jego zamiast uzdrowienia, zamknęły się na zawsze, i powrócił nasz ukochany książe do swojego Nieświża w trumnie... a ja szatny jego, dodawał ocierając z łez oczy, i szat nań śmiertelnych nie włożyłem.

Gdyśmy wychodzili z tych ruin, orzeł Radziwiłłowski z miedzi wykuty, i na wieży zamkowej na żelaznym pręcie utkwiony, obracając się od wiatru zaskrzypiał przeraźliwie; Bukowski stanął, obrócił się doń, zdjął czapkę, i patrząc nań, a smutnie kiwając

*) Rzeczywiście żył jeszcze w Nieświżu szatny księcia Karola Radziwiłła Bukowski, w owym czasie, który na tę kwestę przypada.

**) Biała, dobra Radziwiłłowskie w Królestwie Polskiem.

głową: jęcz, rzekł, jęcz orle sławny! gniazdo twe upadło... „*sic transit gloria mundi* *)“.

Nigdy, nigdy nie zapomnę tego staruszka od tej uroczystej chwili, i teraz stoi on mi przed oczyma, z pochylonem czołem przed orłem Radziwiłłowskim.

Od środy do niedzieli przegościwszy tak w Nieświżu, postanowiłem po nabożeństwie wyjechać; byłem więc i na kazaniu, a przysłuchiwałem się tem pilniej, że już poznałem księdza kaznodzieję, który po *obedientii* wybierał się właśnie do klasztoru naszego bienickiego; a zatem chciałem osądzić, czego z ambony słuchać będziemy. Mówił on bez pisma, co mu Bóg natchnął; nie pamiętam już z jakiego tekstu, ale wszystkim stanom dawał *ad intende*; a gromiąc wszelkie nałogi, bił szczególniej na lenistwo, i wszystkich do pracy, podług przeznaczenia każdego na świecie nakłaniał. Co panom, to panom, co chłopkom, to chłopkom; a od tych nie daleko stawiąc i okoliczną szlachtę, której pełny był kościół, dawne fumy i hajdamactwa wybijając jej z głowy, zawołał w zapale swej metaforycznej elokwencyi: „Przekujcie teraz, bracia mili, oręż na lemiesz, i tym uprawiajcie wasze niwy ojczyste!“ i tam dalej.

Nim się wybrało, nim się pożegnało, to i słońce dobrze zaszło za południe; a więc naprędce skosztowawszy barszczu w refektarzu, wywlekliśmy się powoli z miasteczka. Trzódka moja złączona z baranami, które tu z depozytu zabrałem, podwoiła się i nie małej mi przyczyniała mitręgi; tak, że postanowiłem zaraz przynająć w jakiejś wiosce chłopaka dla dopędzenia jej przynajmniej do Wołożyna **), gdzie w klasztorze naszym, już lepszą miałem nadzieję pomocy.

O półtory mili od Nieświża, zdarzyła się okolica szlachecka. Od razu poznałem, że to nie wioska, bo to i kominy gdzie niegdzie białe na dachach domostw, i okienka większe w świetlicach, i bramki na zawiasach zamiast wrót prostych, i ogródki i wiszniaki zieleniły się. Kiedym kwestował to jeszcze były te ostatki ochędóstwa po okolicach; a choć już często niektóry domek stał podparty pod wszystkie ściany z kominem skrzywionym na dachu i z szybami pobitemi, przez które wiatr świstał, to jeszcze można było komparować, że to stary szlachcic włożył na bakier dawną swoją konfederatkę, wziął się w boki, i stoi sobie czupurnie, pogwizdując wesołą piosnkę „Cztery kąty, a piec piąty“ „Oto to ja pan, i o nic nie dbam!“ — Taką nadrujnowaną okolicą była i ta w której się zatrzymałem, nie dla kwesty, bo zwykle nie naprzykrzałem się tam, gdzie zamożności nie widziałem;

---

*) Po roku 1813-m zamek nieświzki był rzeczywiście w takim stanie w jakim go tu opisuje kwestarz. Później staraniem administracyi, której naczelnikiem był pan Mikołaj Malinowski, zamek został zrestaurowanym i zamieszkałym.

**) Wołożyn, miasteczko Tyszkiewiczów w powiecie oszmiańskim.

lecz właśnie tu postanowiłem postarać się o poganiacza moich baranów. Zostawiwszy więc wóz i trzodkę na dyrwanku, wszedłem sam na ulicę i na dziedziniec do dworku, który pierwszy mi się nadarzył.

Dajże Boże przypomnieć com tam widział i słyszał, bo najtrudniej spamiętać i opisać to, w czem i jest rzecz, i nie ma rzeczy, w czem i jest sens i nie ma sensu. Niechże już sobie ks. kustosz sens moralny tu wyciąga, a ja przystępuję do narracyi.

Siedział na szerokiej przyźbie *) usypanej koło domu, staruszek siwiuteńki jak gołąb; musiał mieć lat ze sto, a przynajmniej blizko tego. Na twarzy i na czole nigdzie u niego nie było zmarszczek, bo skóra żółta jak pergamin, tak przyschła do szczęk twarzy i głowy, że jej na zmarszczki nie stało; oko jednak biegało mu żywo, i na siłach nie zdawał się upadłym, bo rzeźwo się krzątał około fabryki, którą na tejże przyźbie z kilkoletnim chłopcem wnukiem swym czy prawnukiem prowadził. Budowali oni wielki pałac ze szczepek i osypywali piaskiem, aby go mocno ufundować w ziemi; ale zdziwiłem się bardzo, że obok dziadka leżały dwa pałasze bez pochew; jednego koniec złamany i podsmalony służył widać za ożóg do pieca, drugi cały, ale zupełnie rdzą pobity. Gdy mię spostrzegł stary, chwycił za swoje pałasze i krzyknął:—nie dam! dalibóg nie dam!

— Niech będzie pochwalony, i t. d. rzekłem.

— Na wieki wieków mościjanie,odpowiedział on, ale taki pałaszów nie dam.

— Mój jegomość, rzekłem, nie mogę zrozumieć co u jegomościa w głowie; na co mi twoje pałasze, zabierać ich nie myślę.

— Tak, a czemuż dziś na ambonie wykrzykiwałeś mościjanie: „Przekujcie oręż na lemiesz!“ ja wraz zrozumiałem, że to znaczy abyśmy z naszych starych pałaszów porobili narogi. Stary zdziecinniał! powiadają na mnie, zdziecinniał! a przecież i teraz rozumiem po coś tu księże kaznodzieju przyjechał; chcesz dopilnować tego przekuwania i napędzić nas do kuźni.

— Bój się Boga staruszku, rzekłem, jam nie kaznodzieja, jam kwestarz, i nawet nie z nieświżskiego klasztoru, chociaż byłem tam dziś na nabożeństwie, i na tem kazaniu, którego widać i jegomość słuchałeś.

— A słuchałem, słuchałem; bo mnie co niedziela wnuczek mój starszy wozi kałamaszeczką do kościoła. Czyż my nie mamy innego żelaza na narogi? czyż koniecznie psuć na to nasze staroświeckie szabelki?

— Kaznodzieja, rzekłem, chciał przez to wyrazić.....

---

*) Przyźba. Tak nazywają osypanie koło chat z ziemi, odarnowane zwykle, we dni pogodne ludność włościańska na słońcu usiada i grzeje się.

— Oho ho, przerwał mi stary, ja wiem, co on chciał przez to wyrazić mościjanie oto: że nam dość wojować, a orać ziemię potrzeba. Oho ho, a co powiedzą na to panowie dygnitarze.

Tu powstał, i lubo drżał na nogach, jednak rzeźwo chwycił za pałasz, i krzyżując nim w powietrzu, wykrzyknął:

„Gdy pałasz obce mierzył granice"

I po niejakim namyśle jakby przypominał.

„Ustąpić musiał i wąs fryzurze."

— A to z dawnej pieśni, którą i ja umiem, na pochwałę wąsów, rzekłem.

— Nieprawda, mościjanie! zawołał przyciskając mocno to swoje przysłowie i ze złością tupając nogami, nieprawda, nie ustąpił! nie ustąpił! won niemcze z fryzurą!

„Żem jeszcze szlachcic, pokręcam wąsa."

I rzeczywiście pokręcił wąsa swego, spłowiałego wprawdzie i zaniedbanego zupełnie, ale sutego jeszcze i gęstego.

— A teraz, a teraz mówią, ustąp mościjanie pałaszu lemieszowi. To czemże mierzyć będziemy obce granice?. . .

— Niedawno pan Antoni Zbrożek i pan Filip Stańczyk sąsiedzi nasi pokłócili się o niwę, czyja szersza? bo od wieków wiecznych powinne być obie równe, po długich certamentach i kwestyach, zgodzili się na przyjaciół. Ja, mościjanie, jako najstarszy wiekiem, byłem *superbitrem umitate* (superbitrem unanimitate) wybrany. Cała okolica wysypała się za nami na pole, bo w tem sęk na czyjem stanie.

— Jakiś tam *stupidus* mościjanie, krzyknął: przemierzyć krokami! Otoż zaczęła się procesya po miedzach. Pan Stańczyk po swojej granicy suwał jak niedźwiedź, a po zbrożkowej skakał jak sroczka. Pan Zbrożek przeciwnie, wielki moderat i polityk, maszerował równo i poważnie po obu granicach, ale miał osobną numeracyę dla siebie, a osobną dla pana Stańczyka. Sobie liczył kroki: dwadzieścia dziewięć, dwadzieścia dziesięć, trzydzieści i znowu dalej mościjanie:—trzydzieści ośm, trzydzieści dziewięć, trzydzieści dziesięć, czterdzieści; a Stańczykowi liczył po naszemu, więc ja skonkludowałem, że z tego nic nie będzie; że trzeba przemierzyć po świętej sprawiedliwości, ale nie krokami mościjanie, bo każdy z ichmościów litygantów, i ichmościów adherentów, kroki swe podług swej inklinacyi miarkował, sekundując jednej albo drugiej stronie. Ale czemże mierzyć? Komornika gdzież tam szukać, a gdyby i był, to wiadomo, że gdzie łańcuch przejdzie, tam pięćdziesiąt lat trawa nie rośnie; powrozem? to chłop mierzy, łokciem? to żyd mierzy; ferowałem więc dekret aby przemierzyć pałaszem, po szlachecku, mościjanie. Zdzieciniały! krzyknęli wszyscy, zdzieciniały! ale ja nieuważając na to, przyniosłem wnet mój oto ten pałasz, i sam swoją osobą mościjanie, przemierzyłem obie miedze pokazało się, że niwa pana Zbrożka szerszą była na półtora pałasza od niwy pana Stańczyka; ot i przegrał pan Zbrożek; wnet więc lemiesz zrównał co pałasz przemierzył, i odtąd świę-

ta zgoda nastąpiła między panem Zbrożkiem i panem Stańczykiem. Niech żeby mościjanie tak było między pałaszem i lemieszem; a to zaraz kuć, przekuwać! a kiedy mościjanie *vice versa* lemiesz na oręż, cowtenczas będzie? he?

Tymczasem szlachta przechadzająca się na ulicy, ujrzawszy za wrotami moje barany, a mnie rozmawiającego ze starcem, zaczęła się około nas zbierać. Wszedł pierwszy wysokiej postury, suchy, dobrze podżyły jegomość; w szaraczkowej długiej aż po pięty kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu na głowie, i z kijem sękatym w ręku; po jego maszerunku punktualnym, i po minie nastrojonej poważnie, domyśliłem się ze słów staruszka, kto to był, i zgadłem, gdyż powitał mnie mówiąc z uniżeniem ręki do kolan.

— Asana dobrodzieja, sługa i podnożek—Antoni Zbrożek.

Odpowiedziałem, również uniżając rękę.

— Upadam do nóżek—brat Rafał Karęga, po barany sięga; to jest: bernardyn kwestarz z klasztoru bienickiego.

— Jak długi, na usługi, rzekł znowu pan Zbrożek uśmiechając się, i dodał, miło spotkać się z mądrym człowiekiem, bo to „*similis simili gaudet.*“*) A zatem submitując się asanu dobrodziejowi, na nocleg do siebie zapraszam, bo pana Borsuka gospodarza tego domu nie ma, wyjechał w Słonimskie do familii, a ten nasz zdziecinniały Matuzal jego ojciec, u którego w głowie jak w pietuchowie. . . .

— Nie, mój dobrodzieju, przerwałem, słuchając konwersacyi tego staruszka, poznałem ja, że jego głowa jest jak nasz klasztor bienicki; niektóre w nim cele ze starości zrujnowane i zapadłe, ale niektóre dobrze się jeszcze trzymają i są zamieszkałe.

— Dwadzieścia dziesięć, odezwał się stary kopiąc znowu przyzbę, ale mój pałasz mościjanie, skonfundował tę nową arytmetykę! i rozśmiał się jak dziecko, gdy mu figiel jaki uda się.

— Jasiu, mówił potem do wnuczka, teraz będziemy kopać staw wielki około zamku, tak jak w Nieświżu, i postawimy bramę na grobli, a zamkniemy ją szczelnie, i żadnego kowala nie puścimy do zamku.

— Ależ dziadulu, odezwał się wnuczek, dziś niedziela, kopać nie można.

— A prawda, moje dziecię, prawda, i pogładził dziecinę po głowie.

Tymczasem za panem Zbrożkiem weszło i więcej szlachty; wszyscy starsi wiekiem, bardzo pięknie i politycznie ze mną się zapoznawali, młodzi zaś poświstywali sobie tylko, na nic nie zważając, a niektórzy podszedłszy do staruszka dworować sobie zeń zaczęli, ale nie pozwolił on im długo tej zabawki, powstał on nagle, i chwytając za pałasz.

---

*) Podobny z podobnym cieszy się.

— A kysz błaznota! zawołał, a kysz! bo nauczę was *mores* i rewerencyi dla siwej głowy! czy ja niewidziałem, żeście nawet zakonnika niepowitali i nie uczcili przynajmniej krzyża świętego, który on ma na piersiach. Oho! dawniej mościjanie sto na kobiercu za takie wituperye. . .

Chłopcy rozśmieli się i uciekli.

— Co to jest, ojcze Szymonie, skąd i na co te pałasze dobyłeś? zapytał pan Zbrożek.

— A pytaj się waszmość mościjanie u kaznodziei księży bernardynów nieświzkich.

Natenczás opowiedziałem panu Zbrożkowi i wszystkim słuchającym, jak sobie wytłumaczył starzec kazanie dzisiejsze, na którem prawie wszyscy oni byli, ale żaden widać tak pilnie go niesłuchał, ani tak pojął jak zdziecinialy. Opowiadania mego lubo zdawał się on nieuważać, siedząc na przyźbie i kiwając tylko głową, jednak gdym skończył, zapytał:

— Cóż powiesz na to mościjanie? co powiedzą na to panowie dygnitarze?

— Jacy tam dygnitarze wleźli tobie w głowę, ojcze Szymonie? odezwał się Zbrożek: żeś za młodu z nimi sejmikował, i doznawał ich faworów, to ci się zdaje, że oni i teraz żyją jeszcze i prowodyrują szlachcie; a tu ani dygnitarzy, ani dygnitarstwa dawno już niema.

— A gdzież podziało się mościjanie? czy francuzi zrabowali? zapytał ze zdziwieniem starzec powstając i niespokojnie patrząc nam w oczy; niecierpliwie czekał odpowiedzi, której nikt z nas dać mu nie mógł, nawet i najmędrszy z całej gromady pan Zbrożek; aż któryś ze szlachty, tyle bodaj znający się na dygnitarstwie ile i my wszyscy:

— A cóż to za dziw? rzekł, marodery rabowali kościoły, obdzierali ołtarze, to i dygnitarstwo kiedy gdzie napadli, mogli zabrać. Musi to być rzecz bogata dygnitarstwo, sam widziałem u jednego, kawałek pasa litego Słuckiego ze złotemi fręzlami, zapewne go gdzieś od jakiegoś dygnitarstwa oderwał.

Starzec usiadł znowu, namyślał się, przecierał czoło, i głową potrząsał, rzekł nakoniec.

— Rabowali kościoły. . . obdzierali ołtarze. . . prawda, pamiętam. . . A czy jest jeszcze w Wilnie Najświętsza Panna Ostrobramska, i Pan Jezus Antokolski?

— Jest, jest, odpowiedzieli wszyscy.

— Jest, mówił stary, jest, no, to wiary naszej świętej nie zrabowali.

Potem znowu się namyślał, znowu tarł czoło, jakby mu w głowie coś trudnego do myślenia było, i potem znowu zapytał:

— A czy są jeszcze pańskie dwory mościjanie?

— A jużcić są, choć nie takie jak dawniej, odpowiedział Zbrożek.

— Są, to dobrze, a czy śpiewają tam „Zawitaj ranna jutrzeńko i kochajmy się?"

Zbrożek wzruszając ramionami rzekł:

— Prawisz ojcze Szymonie ni w pięć ni w dziewięć, i piąte przez dziesiąte, aż mnie wstyd za asana.

— Aha! piąte przez dziesiąte, waszmość mościjanie, znowu do swej arytmetyki. No, otoż, bo, i znowu powstał starzec, i coś jakby nadzwyczajnego zaświeciło mu w oczach, bo kiedy tam śpiewali „Zawitaj ranna jutrzeńko! i kochajmy się!" mówił on uroczyście jakoś i poważnie, to i modlili się jak bracia... i kochali się jak bracia i szeroko, szeroko, jak siatka w węzełki wiązana ta *fraternitas* rozciągała się po kraju... Ale kiedy to idzie tam dziś piąte przez dziesiąte... to i .. to i dygnitarstwo mościjanie przepadło .. i szlachectwo idzie ni w pięć ni w dziewięć.

To powiedziawszy, stary usiadł i opuścił głowę; znaczno było, że się wysilił, wziął swoje pałasze na kolana, a patrząc na nie kiwał głową i rękami oczy ocierał.

My z panem Zbrożkiem patrzyliśmy jeden na drugiego.

— Zdziecinniały, rzekł nakoniec Zbrożek, zdziecinniały! Już teraz nic więcej niepowie, znamy jego naturę; gdy tak usiądzie i płacze, to już milczy jak kamień. Pójdźmy więc, suplikuję asana dobrodzieja na gospodę do mnie. Bywaj mi zdrów ojcze Szymonie! zawołał Zbrożek, i za nim wielu innych szlachty.

— Bywaj zdrów staruszku! powtórzyłem i ja.

Ale starzec ani oczu na nas nie podniósł.

WOŁOŻYN.

XII.

Podanie żydowskie—Tak i nie.

Ponury i milczący zwykle brat Piotr, oniemiał jeszcze bardziej, gdyśmy się nazad zawrócili; niechciało mu się wracać do klasztoru, gdzie go z pogardą nazywano i traktowano. Wprawdzie mruczał on coś sobie czasami, ale nie mogłem nic dosłyszeć, zdało mi się raz, że po hebrajsku i zgromiłem go, więc znowu milczał. W Nieświżu znikał on po razy kilka z klasztoru, a całą sobotę niewiadomo gdzie przebył.

— Oj, czy nie szabas on tu tylko z żydami odprawia, rzekł mi tamtejszy kustosz, gdym mu całe *curriculum vitae*, tego nowego chrześcijanina opowiedział; niespokojny zatem chodziłem do późnej nocy po miasteczku, dopytując się o niego.

Nazajutrz znalazłem go krzątającego się jak zwykle o-

koło wozu, na zapytania i wymówki moje nieodpowiadał, lecz gdy zadzwoniono na mszę, poszedł skwapliwie do kościoła i modlił się gorliwie; pomyślałem zatem, że bodaj on dwóm panom służy, niewiadomo tylko, któremu wierniej.

Pan Zbrożek dostawił mi chłopaka rzeźwego, a ten wziął z sobą do pomocy domowego swego kundla, i tak obadwaj pomagając jeden drugiemu, utrzymywali w kupie moją owczarnię; nakoniec zbliżyliśmy się do Wołożyna.

Na wjeździe pod miasteczkiem, spotkała nas niespodziana mitręga, jak zawierucha jaka. Tłuszcza żydów wszelkiego wieku, starych i młodych, nawet mnóstwo małych bachorów wrzeszczących przeraźliwie, i pędzących się za jednym także żydem, który uchodził przed nimi, wprawdzie śpiesznym krokiem, ale nie tak jakby się ich lękał, lub od nich uciekał; i żydzi nie tak biegli, jakby go dopędzić, lecz raczej jakby go nie wypędzić i wystraszyć a przeprowadzić tylko chcieli.

Na ten hałas kundel nasz szczekać, rzucać się i wyć począł, barany się rozbiegły, a my ogłuszeni takim rozgardyaszem zatrzymaliśmy się na drodze. Wtem żyd pędzony obrócił się ku ujadającej za nim tłuszczy i stanął, a że blizko naszego wozu, więc mogłem nań uważnie rzucić okiem.

Nadzwyczajna to jakaś była figura, od razu poznałem, że to człowiek z cudzej ziemi. Wysoka uroda, twarz śniada jakby cygańska, powiedziałbyś że słońcem śpieczona, oko ogniste jak węgiel rozpalony, broda czarna i gęsta. Jeszcześ to nic, bo i między naszymi żydami możnaby na podobnego natrafić, ale szaty jego różniły się bardzo od zwykłych izraelskich. Miał on, bowiem na głowie *per modum* jakiegoś zawoju czerwonego, i czerwonym szerokim pasem po czarnej aksamitnej czamarze był opasany, a na ramionach miał płaszcz krojem i kolorem podobny do takich pod jakimi węgrzyni apteczki swoje noszą. Płaszcz ten przy śpiesznym jego pochodzie podwiewany wiatrem pół drogi zajmował, niósł on wielką księgę pod pachą, a długi kostur w ręku. Gdy stanął i obrócił się, żydzi tchórze stanęli także, mniejsze bachory nawet uciekać poczęły. On wtenczas księgę i kostur kładąc na ziemi, wziął w obie garście piasku, podjął obie ręce i oczy w górę,, wyrzekł głośno i uroczyście jakieś hebrajskie wyrazy, i sypnął piasek na żydów.

— Gwałt! krzyknęli jednem słowem żydzi.

— Gwałt! krzyknął z nimi razem mój brat Piotr i przeżegnał się; ja sam przeraziłem się szczególniej jego piekielnym wzrokiem z jakim piasek ci snął na żydów. On tymczasem podjąwszy swój kij i księgę, poszedł dalej, a ośmielone żydowstwo krzycząc *Orur! Orur!* *) wzajemnie sypiąc nań piaskiem, ruszyło za nim w tropy.

---

*) Przeklęty.

— Co to znaczy? rzekłem zdziwiony do Piotra, czy nie Hamana oni pędzają.

— Nie, odpowiedział, nie, święto Hamana jeszcze daleko.

— A cóż to byłoby u licha? co znaczy ten piasek? i co on powiedział, sypiąc go na nich?

— Oh, oh, rzekł brat Piotr, to straszne słowo! bardzo straszne; przeklął on ich . . przeklął aż do dziesiątego pokolenia.

— Któż on jest?

— Nie wiem, nie wiem, ale był on niedawno w Nieświżu, mówił jąkając się Piotr.

— Skąd to wiesz, bracie?

Piotr nieodpowiedział, ale ja poznałem, że on w Nieświżu bratał się widać z synagogą, i wyciągnąłem zły prognostyk, że bodaj stanie się tak, jak mówił nasz gwardyan wyprawiając mnie z nim na kwestę: wilcza natura do lasu ciągnie.

Gdy ta burza minęła nas i dalej się poniosła, zebraliśmy się jakkolwiek i dojechaliśmy w południe na sam obiad do klasztoru; tam opowiedziałem cały ten mój wjazd do miasteczka, a gdym opisywał posturę wypędzanego żyda.

— Czy nie Ahasverus zjawił się tu w nasze okolice? rzekł ks. gwardyan. Zaproszę ja dziś tutejszego rabina wieczorem na piwko; człek to arcy mądry po żydowsku, a bardzo roztropny i poczciwy po naszemu; żyjemy z sobą w dobrej komitywie, on nam opowie co to było.

Nie odmówił wezwaniu ks. gwardyana starozakonny mędrzec wołożyński.

Gdy szedł on przez miasteczko do klasztoru, byliśmy na ganku, i widzieliśmy jak gromady żydów zastępując mu drogę, cisnęły się doń jedne przed drugiemi, całując kraje szat jego; zapraszany niskimi pokłonami wstępował on do niektórych domów, a tymczasem ks. gwardyan wszedłszy z kilku ojcami i ze mną do swojej celi, mówił mi.

— Wołożyn, to Rzym dla żydów litewskich, i rabin wołożyński nigdy dla nich nie umiera; oddawna bowiem w jednej tu rodzinie godność ta i mądrość przechodzi sukcessyą z ojca na syna tak, że zmiany nie znaczno. Mój przyjaciel pan Salomon ma już syna żonatego i wnuka, więc dynastyi jego na długo stanie. Zewsząd tu zwożą bachorów na naukę do szkoły; najbogatsi morejni mają sobie za wielki honor, kiedy mogą powiedzieć, że ich syn jest uczniem rabina wołożyńskiego; a dla ubogich żydków nieboraczków, na koszta ich tu życia i utrzymania, znajdziesz w każdym żydowskim domu, zwłaszcza po miasteczkach, przy drzwiach obok jerozolimskiej i wołożyńską skarbonkę.

Starych także żydów zjeżdża się tu wiele, nawet z dalekich krajów, i siedzą często po lat kilka nad księgami, których mnóstwo tu się znajduje i codzień przybywa, bo chociaż Salomon od

nikogo i nic dla siebie nie bierze (a mógłby mieć krocie, gdyby przyjmował pieniądze i dary, które mu codziennie ofiarują), ksiąg jednakże nieodmawia, i dla tego furami tu je zwożą. Ale cóż to niestety znaczy? mówił wzdychając ks. gwardyan, są to wszystko magazyny niewierności żydowskiej: Talmudy, Miszny, Gomory i inne podobne temu bałamuctwa. Salomon jednak czyta i łacinę, a bodaj rozumie i po grecku, słowem byłby mądrym prawdziwie, gdyby był chrześcijaninem.

Przerwał tę rozmowę sam wchodzący rabin.

To znowu drugi żyd nie taki jak inni: nosił on na codzień żupan z takiej samej białej opony, jaką żydzi tylko w szabas idąc do szkoły na siebie kładą, i w niej przyszedł tu w gościnę. Nawet kapelusz miał biały, a pod nim jarmułkę ze złotogłowiu, i pas z takiejże litej materyi; wszystko to attrybuta jego patryarszej godności, na którą go, jak powiadają, siedmiu najmędrszych z całego świata rabinów w Amsterdamie koronowało. Figura sucha, widać nad księgami zawiędła, i nic osobliwego, ale gdy zaczął mówić, tobyś go słuchał cały dzień, i zapomniał że słuchasz żyda; tak czysto po polsku, i tak argumentalnie rzeczy wywodził.

Nie pamiętam co się tam w konwersacyi między nami toczyło na początku, ale gdy piwko zaprawione cytryną, muszkatową gałką i cukrem z cynamonem, udobruchało mędrca, ks. gwardyan zagadnął go w kwestyi rannego w miasteczku rozruchu.

— Co to się dziś stało panie Salomonie? jakiego to żyda cała wasza ludność wypędzała z Wołożyna? brat nasz oto ten kwestarz bienicki, spotkał się z tym tłumem, i widział dziwnego jakiegoś człowieka; a po opisaniu jego figury, przyszło mi na myśl, że to może Ahasverus, *) widziałem go kiedyś... malowanego, waćpan wiesz panie Salomonie kto on jest, i dla czego bezustanku iść musi? więc może i tu do nas zawitał.

Rabin uśmiechnął się tylko i haust kaliszanu pociągnął.

— Więc powiedz nam jeżeliś łaskaw, co to znaczyło? rzekł gwardyan.

Salomon długo kiwał głową i milczał, a gdy gwardyan powtarzał pytania i prośby:--Na co ichmościom ta wiadomość potrzebna? odpowiedział, ja upewniam że to nie był Ahasverus, bo go nigdy na świecie nie było i niema.

— Mniejsza czy on jest, czy go niema, mówił znowu gwardyan, dysputować o to nie będziemy, to nie artykuł wiary; ale jest w tem jakaś tajemnica, której nam powiedzieć niechcesz, wszelakoż rozruch w miasteczku był nadto jawny, ukryć tego nie można, i nie jeden waćpana zapyta o przyczynę.

— Dla czegoż mnie koniecznie? rzekł Salomon.

— Bo wszyscy wiedzą, że tu nic między starozakonnymi bez woli i wiadomości twojej się nie dzieje.

---

*) Ahasverus—żyd wieczny tułacz.

— A gdybym i powiedział, rzekł po niejakim namyśle rabin, cóż stąd? kiedy mnie ichmość nie uwierzycie.

— To coś ciekawego! dla czegoż nie uwierzymy?

— Bo nie uwierzycie.

— A sam czy wierzysz panie Salomonie? zapytał gwardyan, i patrzył mu w oczy.

Rabin wzajemnie patrzył w oczy księdzu, a my wszyscy na nich obu.

Nakoniec znowu po namyśle rzekł Salomon wskazując na zegar wiszący na ścianie.

— Czy wiecie co mówi ten zegar?

Obstupuit ks. gwardyan, i my także zdziwieni spojrzeliśmy na zegar.

— A cóż? czy nic nie słyszycie? pytał znowu rabin.

— Cóż tu można posłyszeć—odpowiedziałem ja, pendul czyka i nic więcej.

— Tak, czyka, ale czykając on coś mówi.

— Nie rozumiemy tego zegarowego języka, rzekł gwardyan: wytłumacz jaśniej panie Salomonie, tę jakąś swoją widać Salomonową hiperbolę.

Rabin powstał, i z powagą rzekł:

— Pendul mówi nieustannie—Tak, nie—Tak, nie—Tak, nie— indeks idzie nieznacznie, jednostajnie i powoli. A waga ciągnie na dół. Teraz rozumiecie?

Pokręciliśmy głowami.

Więc uroczyściej jeszcze iz ręką ku zegarowi wyciągniętą mówił Salomon.

— Indeks to życie! idzie godzinami, jednostajnie, powoli, nieznacznie; waga w dół ciągnie do mogiły! a pendul to myśl ludzka waha się nieustannie na dwie strony:—Tak, nie—Tak, nie, to jest wierzy, nie wierzy—wierzy, nie wierzy! —Kiedy waga stanie na dole, indeks ustawa na zawsze, pendul staje, tylko niewiadomo wtenczas na której stronie był on raz ostatni: czy na nie? czy na tak?

Zadałże nam do myślenia! jakoż milczeliśmy wszyscy, a on usiadł. Lecz ks. gwardyan opamiętawszy się rzekł:

— Hiperbola twoja i komparacya głęboka, ale się do nas nie stosuje, bo my wierzymy twardo i szczerze.

— Tak, odpowiedział rabin, wierzycie twardo i szczerze, co wasze, a nie wierzycie twardo i szczerze, co nasze, ale są rzeczy ni wasze ni nasze, które pokażą się ludziom, zadziwią, przelękną niekiedy, i zginą potem na zawsze, czy na długo? jak naprzykład i wasz Achasverus. . . Wy to nazywacie zabobonem; a jednak w te zabobony wierzycie i nie wierzycie—Tak, nie—Tak, nie.....

— Jakto, rzekł żwawo gwardyan, ja mam wierzyć w zabobony!

— Nie wierzysz tu, w celi swojej, odpowiedział Salomon, ale pójdź księże gwardyanie sam jeden o północy pod kościół, do sklepu między trumny; dla czegoż tam drżeć będziesz jak w febrze? dla czegoż serce twoje bić będzie jak młotkiem? dla cze-

goż ci włosy na głowie powstaną? wszakże tu w celi nie wierzysz w upiory, a czemuż ich w sklepie się lękasz?

— Tej próby niepróbowałem, rzekł uśmiechając się ks. gwardyan, ale cóż to należy panie Salomonie do dzisiejszego rozruchu w miasteczku?

— Jakto? czyż nie mówiłem, że nie uwierzycie temu, cobym powiedział o przyczynie tego rozruchu, czyż mię nie zapytałeś ks. gwardyanie, czy ja sam wierzę?

Gwardyan pomyślił nieco i rzekł:

— A! teraz rozumiem, konsekwentnie rozumiem twe parabole i komparacye. Mów więc panie Salomonie, mów jak wierzysz, my uwierzymy... że ty wierzysz.

— I to niekoniecznie, rzekł znowu Salomon, bo gdy waga życia mojego stanie u dołu, nie wiadomo na której stronie będzie raz ostatni pendul: czy na tak, czy na nie?

Ks. gwardyan podolewał szklanki, usiedliśmy wszyscy, a rabin zaczął.

— Jest na świecie rzeka Sambatie.

— Nie słyszałem o takiej rzece w żadnej Europie, gdzież ona? i w jakiej części świata? zapytał gwardyan.

— W tej, której jeszcze nie odkryto, odpowiedział rabin.

— A jakże wiesz że jest ona, kiedy jeszcze nieodkryta? rzekł znowu gwardyan uśmiechając się, i rozumiał że skonfundował żyda, ale ten zapytał go wzajemnie a poważnie:

— A czy już wszystko odkryto co Bóg stworzył?

Tem pytaniem sam skonfundowany gwardyan zamilkł.

— Otoż za tą rzeką, mówił dalej Salomon, jest kraj żydowski, w którym od śmierci Mojżesza żyje starozakonne plemię, nie należące do żadnego z dwunastu naszych pokoleń, bo to familia samego Mojżesza.

— Skądże oni tam? zapytał któryś z nas.

— A jeżeli mam cały talmud wam tłumaczyć, to i do jutra niedowiecie się kto był ten żyd wypędzony dziś z miasteczka i za co go wypędzili?

Upewniliśmy zatem pana Salomona, że już mu przerywać nie będziemy.

— Ponieważ tedy początek tej historyi, mówił rabin, od ziemi i rzeki jeszcze nieodkrytej nieudał się nam, to zaczniemy inaczej, od własnej ziemi, i od własnego Wołożyna.

Może temu lat sto, a może i więcej, wszyscy żydkowie Wołożyńscy zebrani byli na mogiłach i modlili się Bogu za dusze swoich ojców, gdy wszedł pośród nich młody żydek ze skórzanym workiem na plecach; a chociaż wynędzniały i obdarty, jednak wnet go wszyscy poznali i przypomnieli, a najpierwiej jego własny ojciec, któremu on upadł do nóg. Był to bowiem Jankiel pierworodny syn ubogiego żydka szklarza z miasteczka, ale wnet wszyscy odskoczyli odeń ze strachem, gdy on rozwiązawszy swój

worek, wyjął z niego głowę ludzką świeżą, jakby dziś odciętą, i przed rabinem położył.

— Gwałt! gwałt! krzyknęła cała gromada. Ale Jankiel wyjął z zanadra jakąś karteczkę i pokazał rabinowi; rabin spojrzawszy wstrząsł się i zawołał mocno, aby się wszyscy uciszyli i uspokoili.

Natenczas Jankiel prosił rabina, aby dał wszystkim chejrym na sekret, aby potem wszystkich odprawił, a został tylko sam z kilku starszymi i z ojcem jego; co gdy się stało jak on żądał, Jankiel rzekł obracając się do głowy:

— „Przysiągłem tobie że cię zaniosę na mogiłę ojca twojego, i w niej cię pochowam."

Włożył sobie potem pod język ową karteczkę, którą rabinowi pokazał, wziął głowę i poszedł prosto, jakby od dawna wiedział, do kamienia wrosłego już w ziemię, i po dziś dzień tam leżącego, na którym było wykute imię jakiegoś dawno pod nim spoczywającego Abrahama. Dziesięciu ludzi ledwoby tę płytę dźwignęło, on podjął ją jedną ręką, wygrzebał tam potem dół głęboki, dobrał się aż do kości ludzkich, zapewne tegoż Abrahama, i wśród nich złożywszy przyniesioną głowę, znowu zarył wszystko, i tym samym kamieniem przywalił.

Patrząc na te cuda, zdziwieni rabini i starsi, ledwo oczom swoim wierzyć mogli, nakoniec odeszli wszyscy do domu rabina, a tam Jankiel taką im o sobie opowiedział historyę.

— Pamiętacie zapewne, jak lat dwa temu przyjechało do nas dwóch żydów poważnych, jakoby z Jerozolimy, i mówili że ich wysłał stamtąd, bardzo bogaty i bardzo sławny kupiec tamtejszy, aby mu przywieźli z naszego kraju, z którego jakoby i sam był rodem, zięcia do jedynej jego córki, po której on dawał posagu tyle złota, ile ona sama waży; a po jego śmierci, wszystkie jego bogactwa i miliony zięciowi dostać się miały. Tylko chcieli koniecznie, aby żydek ten młody, był pierworodnym synem u swych rodziców, i gdyby był już poduczonym dobrze, to jest aby znał wszystkie punkta reguły i modlitwy naszej religii. Ojcu dawali wiele pieniędzy, i obiecywali że syn co rok go złotem osypywać będzie.

Więc na mnie wypadło jechać z nimi, bo byłem u ciebie ojcze pierworodnym, bom z łaski twojej rabbi umiałem właśnie tak jak oni chcieli wszystkie punkta i modlitwy nasze, bo nakoniec było nas u ojca sześcioro, i żyliśmy najczęściej z jałmużny, a z ojcowskiego szklarstwa trudno było i na chleb zarobić. Jednakowoż ojcze, nie zaprzedałeś ty syna, i nie wziąłeś od nich pieniędzy; choć byłeś i jesteś pewnie i teraz ubogim; pobłogosławiłeś tylko i oddałeś mnie jak Izaaka na ofiarę, ale Bóg mnie jak Izaaka wybawił.

Jechaliśmy długo i długo, płynęliśmy potem długo i długo, znowu jechaliśmy przez pustynie długo i długo, a wszystko na wschód słońca; aż nareszcie stanęliśmy nad wielką rzeką, którą

przepłynąwszy przybyliśmy do wielkiego miasta. Tłum narodu nas spotkał i witał; ale nie rozumiałem ich mowy, a myśląc że jesteśmy już w Jeruzalem, zdziwiłem się, że naszego hebrajskiego języka nie słyszę. Zapytałem o to moich opiekunów. ale oni nic nie mówiąc zawieźli i wpuścili mnie do szkoły bardzo wielkiej i wspaniałej, i w niej mnie jednego zamknęli.

Strach mię objął, w głowie mi się pomięszało, i wpadłem w sen głęboki.

Niewiem jak długo spałem; gdym się przebudził, znalazłem przed sobą stół zastawiony różnem najlepszem jedzeniem; ale ja niczego dotknąć nie mogąc i rzewnie płacząc, wołać zacząłem wielkim głosem.

O ja nieszczęśliwy! O cóż się ze mną stanie?

Na te moje wykrzyknienia odpowiedział mi głos z muru. „To się z tobą stanie, co się stało ze mną: utną twoją głowę, i postawią tu na miejscu mojej."

Znowu bardzo się przeląkłem i odbiegłem od tego gadającego muru. Ale tenże sam głos mówił dalej.

— „ Nie lękaj się, nie lękaj się, ale słuchaj mnie i zrób wszystko co tobie każę, a ja cię wybawię od zguby, a siebie z tego więzienia. Wiedz albowiem, że ty nie jesteś w Jeruzalem, ale w mieście bez nazwiska za rzeką zaklętą Sambatie, za którą żadna cudza noga zajść nie może. Mieszka tu pokolenie żydowskie z familii samego Mojżesza, które przy jego śmierci odłączyło się od ludu Izraelskiego, i któremu on ten kraj konając przekazał, a mieszkać tu będzie aż do przyjścia Messyasza, który już ich ztąd wyprowadzi i z całym Izraelem połączy. Ponieważ zaś oni nie wiedzą i nie znają zakonu naszego, ani świąt, ani modlitw, ani obrządku, które potem Pan Bóg nam podał, więc wysyłają co sto lat, kilku swoich do krajów gdzie najwięcej żydów, szczególniej prawowiernych jak nasi na Litwie, aby tam namówili jakimkolwiek sposobem żydka młodego i pierworodnego, a zatem wykupionego *) a poduczonego dobrze i aby go tu przywieźli; tu zaś ucinają mu głowę, i stawią ją w tej szkole i w tej szafie, ale kładą jej pod język słowo Mojżeszowej kabały, to jest słowo życia, przez które on niegdyś wszelkie cuda czynił; przez które faraonowskich czarnoksiężników zwyciężył, i wodę na pustyni ze skały wyprowadził Głowa więc ta ożywia się natenczas, i odpowiadać musi na wszelkie ich zapytania, tak jak i ja odpowiedziałem na twoje, gdyś wykrzyknął co się z tobą stanie?"

— Oto słowo kiedy słowo! oto *verbum!* mówił śmiejąc się gwardyan, musisz je zapewne znać panie Salomonie. Zmiłuj się, zrób nam jaki maleńki cudzik.

Rabin powstał, spojrzał obrażonym wzrokiem na gwardyana, i rzekł:

---

*) Za każdego pierworodnego syna żydzi płacą okup Lewitom, to jest jednemu z pokolenia Lewitów najbliżej natenczas znajdującemu się.

— Słowo to znasz sam księże!

— Jakto? zapytał zdziwiony gwardyan.

— Słowo to, mówił poważnie rabin, jest... Bóg! ale aby ono cudotwórczem się stało, potrzeba aby usta człowiecze godne były je wymawiać, i dla tego... i dla tego księże gwardyanie... my obadwaj cudów nie zrobimy. Znowu skonfundowany gwardyan zamilkł.

„Takim sposobem opowiadał dalej żydek wołożyński swemu rabinowi i starszyźnie, powtarzając im słowa uciętej głowy; takim sposobem wiedzą zasabatejczycy wszystkie punkta i reguły naszego zakonu; a dla tego co lat sto odmieniają oni głowy, że w ciągu takiego czasu może się tu między nami stać i postanowić coś nowego, o czem stara głowa nie wie.

Teraz, mówił mi tenże sam głos, przystąp śmiało do tej szafki; otwórz ją, a nie trać czasu; dwa dni przespałeś, dziś trzeci kończy się; na trzecim zaś muszą oni koniecznie swoje zrobić. Zginiesz zatem jeżeli opóźniać się będziesz.

Ośmieliłem się więc i otworzyłem szafę... Ale cóż się zemną stało, gdy tam ujrzałem tę głowę gadającą, osłupiałem i z miejsca ruszyć się nie mogłem. Znowu mnie zatem ona głowa dodając odwagi rzekła:

Jankielu synu Szlomy Wołożyńskiego, widzisz że wiem kto jesteś, wiedz także żem i ja z Wołożyna, i mnie tu niegdyś tak jak ciebie przywieźli; nie lękaj się więc, ale przysiąż że mnie zaniesiesz do ziemi i miasteczka gdziem się urodził, i skąd sam jesteś, i tam mnie w mogile ojca pogrzebiesz. Dajesz że mi na to chejrym?

— Daję, odpowiedziałem już śmiało, daję!

No, teraz zbij to szkło, wyjm z pod mojego języka karteczkę pergaminową, na której napisanem jest słowo kabały, i włóż tę karteczkę sobie pod język; potem włóż mnie do worka swego skórzanego, w którym przywiozłeś tu swoje Tfilim *) i wychodź stąd. Nikt cię nie zobaczy ani zatrzyma, wszystkie i wszędzie drzwi i bramy tobie się otworzą, rzeki przed tobą się rozstąpią, jeść ani pić nie będziesz żądał, i sam niewiedząc jak, staniesz w Wołożynie na nasze święta Jom-Kipur **). Tam znajdziesz wszystkich naszych na mogiłach, słowo to nakoniec zaprowadzi cię prosto na kamień ojca mojego i podniesie ten kamień przed tobą."

Spełniłem to wszystko jak widzieliście, i oto jestem między swoimi, dokończył Jankiel z radością, i znowu ojcu i rabinowi nogi całował, a rabin spisał całą tę historyę według jego słów,

---

*) Znaczy w ogólności rzecz święta, a w szczególności żydzi tym wyrazem nazywają swe pasy rzemienne i małą skrzyneczkę z dziesięciorem, którą na czoło przywiązują, gdy się modlą.

**) Jom-Kipur — Dzień ekspiacyi za dusze zmarłe.

wydrukowano potem pismo rabina, i książeczkę mamy tu u siebie w Wołożynie *).

— A domyślam się teraz, rzekł gwardyan, domyślam się, to pewnie dzisiejszy wygnaniec był sabatejczykiem, i przyszedł tu po nową głowę. Zgadłem panie Salomonie?

— Zgadywasz ks. gwardyanie, odpowiedział rabin, tak jak i ja zgadywałem patrząc pilnie na wszelkie tu jego kroki, i obróty, a najbardziej na jego staranie i podmawianie kilku młodych bachorów z mej szkoły, aby z nim jechali.

— A czemuś go wypędził? rzekł znowu gwardyan; trzeba go było zatrzymać a wziąść na antabę, niechby nam pokazał drogę do swego zaklętego kraju.

— A to na co? odpowiedział Salomon, kwestarza byście tam swego nieposłali, a przyjdzie czas, gdy wszyscy o tej drodze dowiemy się.

— Kiedy? zapytaliśmy razem.

— Wtenczas, mówił znowu powstając i z powagą rabin, wtenczas gdy się nam wszystko co było, co jest i co będzie odkryje!

— To jest kiedy? powtórzył pytanie gwardyan.

— Gdy umrzesz! zawołał rabin, uroczystym głosem podnosząc oczy i ręce w górę, gdy umrzesz ! ! !

Wszyscyśmy oniemieli na tak niespodziany argument, milczeliśmy i szklanek nawet do ust niepodnosząc, jakby nam pieprzu do kaliszanu sypnął. Salomon dopił spokojnie własnej, powiódł po nas oczyma, ukłonił się i wyszedł.

Nazajutrz wybierałem się już w drogę, gdy mi chłopak wzięty z okolicy oznajmił, że brat Piotr od wczorajszego wieczora zniknął. Przeraziła mię ta wiadomość, bo podejrzywając go o powrót do judaizmu, miałem jakoś na sumieniu, żem go z klasztoru wywiózł; prześledziwszy więc całe miasteczko, gdym się go nigdzie niedopytał, postanowiłem pójść do rabina i ściśle jego wyegzaminować o moim zbiegu. A że wczoraj poznałem jaka to mądra głowa, i jak trudno mi będzie wyprowadzić go w pole, jeżeli sam dobrowolnie wyjść nie zechce, uprosiłem więc ks. gwardyana, aby poszedł ze mną.

Gdyśmy doń weszli spotkał nas uprzejmie i uśmiechając się zapytał: Pewnie przyszliście ichmość szukać swego Piotra.

— A tak, rzekł gwardyan, więc wiesz panie Salomonie gdzie on jest!

Tak, nie—tak, nie—odpowiedział rabin wskazując na zegar wiszący u niego na ścianie, tylko zaręczam że go niema w Wołożynie.

---

*) Tytuł hebrajski tej książeczki—Saramelach.

— No panie Salomonie, mówił seryo ks. gwardyan, proszę nie żartować i wrócić nam naszego zbiega.

— Gdybym go wam zabrał, tobym go i wrócił, chociaż prawdę mówiąc, nie jest on ani wasz ani nasz.

— Jakto nie nasz? zawołałem, Piotr jest ochrzczonym!

— Sam przecież uznał, że nie jest ani waszym ani naszym, bo poszedł za trzecim.

— Za kim?

— Za sabatejczykiem.

— Jak to być może? zawołaliśmy obaj zdziwieni.

— A tak niezawodnie, zaręczam.

— Czyś go widział panie Salomonie?

Po chwili milczenia i z niejakim przymusem rzekł rabin: widziałem. . . widziałem go na rozdrożu—tak, nie—tak, nie—błąkał się. . . ścigał tajemnice rozumem .. naciągał nadto tę zardzewiałą sprężynę życia ludzkiego. . . więc i pękła. . .

— To znaczy się że zwarjował? zapytałem.

— Tak, nie—tak, nie!

— A czy wiesz panie Salomonie, rzekł nakoniec zniecierpliwiony gwardyan, i wiesz zapewne, bo czytasz wszelkie księgi, a nawet bodaj greckie, że była w Grecyi sekta filozofów, tak nazwanych sceptyków, którzy o wszystkiem wątpili. Czy mieli oni rozum?

— Tak, nie—tak, nie! odpowiedział rabin jeszcze poważniej.

— Tfu! tfu! wykrzyknął gwardyan; Salomon się rozśmiał i odeszliśmy z niczem.

Po takiej odpowiedzi Salomona, nie było mi już po co gonić za warjatem. Ks. gwardyan wołożyński dał mi swego klasztornego woźnicę, a przy pomocy chłopaka danego mi przez pana Zbrożka, przebyłem szczęśliwie mil kilka, pozostającej mi drogi, i pędząc przed sobą więcej kopy baranów, tryumfalnie zawitałem do Bienicy.

XII.

Są twoje—ale to nie ty.

Nie dał mi długo wypoczywać w klasztorze nasz ówczesny ks. gwardyan, w kilka tygodni po moim powrocie rzekł on do mnie: *Gratias tibi* bracie Rafale za twą kwestę, opatrzyłeś obficie naszą dyspensę, a nawet i naszą kaletę. Ale zima się zbliża, potrzeby się powiększają, bo gdzie z półkopy ludzi nakarmić co-

dzień, napoić i odziać przychodzi, tam zapasy nie długo trwają; jedź więc znowu, bracie miły. Na południu, chociaż spotkałeś się z farmazonami, i choć farmazońskie pieniądze nie poszły nam na pożytek, jednak ci Bóg poszczęścił, jedźże teraz na północ, nie długa będzie twoja wędrówka, bo już pierwszy ber *) w połowie; kilka tygodni wentylacyi nie zaszkodzi waści a klasztorowi pomoże; wybieraj się więc bracie, i bez zwłoki ruszaj.

Nazajutrz zatem już byłem na wozie, i dyrekcyę podróży mojej podług rady ks. gwardyana na północ obróciłem. Na południu palisto, na północy lesisto. Na południu gliniasto, na północy piaszczysto. Na południu, wieś przy wsi, dwór przy dworze; na północy mil kilka ujedziesz, i to jeszcze ciemną puszczą, nim trafisz na gniazdo ludzkie, ależ za to gniazdo to szerokie! panowie liczą tam na tysiące włok swoje obszary i lasy; a gdyby kwestarz zamiast baranów, mógł od nich brać łosie, wilki i niedźwiedzie, toby kopami dzikiego źwierza za sobą prowadził. Oto byłaby osobliwość!

Na furmana nająłem sobie mieszczanina z naszego miasteczka; podżyły już to był człowiek i wprawdzie rozmówisty, ale gdzież jemu do woźnicy, który niegdyś brata Ławrynowicza woził; a jednakże wiedział on i opowiadał mi historyę fundacyi naszego tu kościoła i klasztoru. Wierzył on nawet w owe skarby ukryte i zaklęte w grobie fundatora, ale to mi wyszło natenczas z głowy i z pamięci; i aż oto teraz po przeczytaniu Pamiętników kwestarza, jam sobie przypomniał to podanie, a ojcowie w klasztorze o niem się dowiedzieli. Pierwszy raz rzuciliśmy okiem na konterfekt Kosiełła, zapylony, i w zakrystyi w kącie wiszący, a przy nim i na worki, jakby na kopje tych, których autentyki pełne złota, on sam strzeże **).

Puszczając się na południe zostawiłem Wilię za sobą; więc teraz jadąc na północ, miałem ją przed sobą i przebyłem brnąc dalej a dalej i doświadczając codzień hojności chrześcijańskiej tamtejszych panów.

Wszakże niespodziewanie krócej trwała ta wentylacya moja, na którą mię ks. gwardyan wyprawił, i która nie miała mi zaszkodzić, a przecież bardzo zaszkodziła. Oho! *Homo proponit—Deus disponit!* Zachorowałem bowiem w drodze tak mocno, że ledwo żywy dowlekłszy się do klasztoru naszego w Drui, i zalokowawszy się tam w infirmarium, odprawiłem mojego Macieja z wozem i baranami do domu, a sam poleciwszy się miłosierdziu Matki Boskiej, do której od lat dziecinnych mam szczególniejsze i doświadczone modlitewki, i opiece ojców moich i braci w Chrystusie, czekałem na łóżku co mi Bóg przeznaczył.

W tej więc nieodległej peregrynacyi mojej, jedno ledwo ta-

*) September i tak dalej; cztery miesiące kończące się na ber.

**) Pamiętniki kwestarza.

kie spotkało mię wydarzenie, które przypomnieć sobie i wpisać tu muszę; ależ bo i napadłem na gniazdo!!!

Dni jesienne coraz krótsze; starałem się więc zawsze jak najwcześniej lokować się na noclegi, abym w tych lesistych stronach nie błądził nocami po srogich puszczach i rojstach.

Jednego zatem wieczora, jeszcze nawet przed zachodem słońca, zajechałem do jakiegoś poczciwego a ciepłego chłopka wpośród pięknych borów na zaścianku żyjącego, i trafiłem doń na łaźbiny, to jest gdy on pszczółki swoje, to w ogródku to w borze na barciach podbierał. Nietylko on mię ochotnie przyjął, i sutą wieczerzą uraczył, ale jeszcze sporym jaszczem pięknej patoki obdarzył; nazajutrz zaś rano wybrałem się rozpowiedzianą przezeń drogą do wielkiego a blizkiego jak on mówił dworu, bo u nich co mil kilka to sąsiedztwo; i około południa wyjechawszy z lasów na pole, ujrzałem ten dwór, prawda wielki, murowany; więc zawróciłem się ku bramie z dobrą nadzieją, że miłościwie jak zwyczajnie u bogatych dobrodziejów przyjętym będę, i że wypocznę sobie dzień jakiś, bo już mię choroba nagabała.

Wraz za bramą na dziedzińcu droga się rozdzielała na dwoje: jedna się zawracała do pałacu przed ganek, druga szła prosto aż do drugiej dość odległej bramy, za którą rozlegały się obszerne ekonomiczne zabudowania. Tam moje miejsce, pomyślałem, bo tam pewnie mieszka pan ekonom czy pan komisarz, z którymi najczęściej u wielkich panów kwestarskie odbywają się sprawy; jechałem więc prosto przed siebie. Dziedziniec jak suknem atłasowem zasłany, taka piękna i czysta na nim murawa, którą moje barany skubać zaczęły.

Wtem posłyszałem z ganku wołanie:

— He! co to? kto tam waść? a stój mosanie! i spostrzegłem biegnącego ku mnie lokaja z pałacu. Wysiadłem więc co najprędzej z wozu, i zacząłem spędzać owce moje z murawy.

— Pan prosi jegomościa do siebie; rzekł zasapany w biegu lokaj.

— Zajadę, rzekłem, do ekonomii, i stamtąd wnet upadnę do nóżek jaśnie wielmożnego pana.

— Nie, nie, odpowiedział *servitor*, proszę jegomościa zawrócić wóz pod ganek, i samemu iść za mną, bo tak pan kazał.

— Ale, bo widzisz mój bracie, moja trzódka popsuje murawę.

— To nic, mój jegomość, odpowiedział on, to nic. Nasz pan lubi owce, i ma ich z tysiąc, czy bodaj więcej; często tu na dziedzińcu kopami ich przypędzać każe i z ganku na nie spogląda, lub z owczarzem sam je rozpatruje; murawa potem jeszcze lepiej rośnie.

— A cóż tam mosanie za rozhowor prowadzicie? krzyknął znowu głos z ganku; kiedy ja kazałem zawrócić, to i zawracaj mosanie; więc bez dalszych wymówek zawróciłem podług rozkazu.

— Czy to wasz pan taki srogi i gniewliwy? zapytałem u idącego obok mnie lokaja.

— At sobie pan! odpowiedział on kiwając głową niedbale. Ja tu niedawno na służbę się dostałem, i niedługo pobędę, bom przywykł u prawdziwych panów służyć.... a ten bodaj także niedawno wlazł do pałacu, to i nie umie jeszcze w nim siedzieć. At spanoszały sobie pan! i machnął ręką.

Nie było już czasu do dalszych kwestyj, bośmy się zbliżyli do ganku, na którym oczekiwał nas jaśnie wielmożny.

Była to *facies* szczególniejszego gatunku: średniej tuszy i urody, łeb szeroki i łysy, tak przynajmniej zdaleka spostrzegłem; ale gdym już był przed nim, ledwom się nie przeżegnał ze zdziwienia ujrzawszy czarną gęstą i wichrowatą czuprynę na jego głowie. Czy tak obrósł w mgnieniu oka? lecz że ten cud potem kilka razy przedemną się powtarzał; że on kilka razy i zdejmował i wkładał sobie na głowę tę czuprynę jak czapkę, więc teraz w żadną gęstą czuprynę na głowie podstarzałego ćwika nie wierzę. Oczy on także raz zakrywał pięknemi w złoto oprawnemi ze szkła zielonego okularami, to zdejmując je z nosa i z za uszu, patrzał jasno, tak, że raz bywał łysym i ślepym, a znowu kędzierzawym brunetem i ostrowidzem. W tej ostatniej postaci, to jest gdy zmarszczki na łbie i pod oczami pozakrywał, młodszym był o lat dziesiątek przynajmniej, niż gdy się stawił w naturalności, bo wtenczas miał pewnie sześć krzyżyków pełnych, lub i przepełnionych. Ubrany w aksamitną sobolem czy tam innem jakiem futerkiem obłożoną czamarkę, zastępującą widać szlafrok, siedział on na ganku w szerokiem krześle, popijając kawę ze sporego kryształowego, bogato w srebro osadzonego kubka; a paląc lulkę z długiego aż do ziemi cybucha, wielkim bursztynem rozpychał sobie usta. Pan, całą gębą pan! ale że mu z lica i z postaci nie łagodność i wspaniałość pańska, na której poznałem się przecież w moich włóczęgach po rozmaitych wielkich i małych dworach, ale jakaś buńczuczność i hardość wyglądała, a to przymioty zwyczajne nie samych wielkich panów, ale raczej wielkich sług wielkich panów, to i jego pańskość podejrzaną jakoś mnie się wydała, zwłaszcza po odezwaniu się o nim sługi jego.

— He! co mosanie? wilk na nasze barany! zawołał on, złapałem cię na przesmyku! a znamy tu podobnych tobie z Drui, z Bucławia; a waść skąd? he! co?

— Z Bienicy, jaśnie wielmożny panie.

— Aha z Bienicy, wiem, to w Oszmiańskiem, widzę żeś roztropny, znasz mores i respekt jaki się komu należy;—tak, jaśnie wielmożny, bo byłem vice. . . ale na co mam się tłumaczyć, gdy sam to poznałeś, więc dobrze,—piękne już masz stadko owiec, he? co mosanie?

Za wozem bowiem moim, szła i moja trzodka, a na jej przodzie wielki baran od pana Brochockiego mnie dany, któremu na szyi uwiązawszy dzwonek, na prowodyra przyuczyłem.

— Skąd masz tego barana popku? zapytał pan, wygląda coś na merynosa he! co?

— Ze Słuczczyzny, panie dobrodzieju.

— Zgadłem, tam najpiękniejsze owczarnie; trzymaj go za rogi, rzekł do lokaja, czemu łatwo poddał się mój biedny prowodyr, bo był do rąk przywykły.

W mgnieniu oka pan siedział konno na baranie; oszłapił go mocno, i rozchylał gęstą jego wełnę.

— *Infantado!* jak mi Bóg miły *Infantado!* zawołał on, co chcesz popku za tego barana he! co mosanie?

— Niewiem jw. panie co to jest *Infantado?* ależ na baranach nie jadą, rzekłem, bo mi żal zrobiło się mego rogacza, który upadł pod jezdźcem i zabeczał.

— No, no popku nie lękaj się; nie zacisnę go, nie zacisnę; ale wiesz co? handel! dwie sztuki za jedną! dwa barany za jednego! he! co mosanie. A za każdem takiem he! co? bystro on na mnie rzucał okiem wyzywając jakoby na odpowiedź, której najczęściej nie czekał, i sypał jak z rękawa własne zalety i pochwały.

— Nie mogę, odpowiedziałem dogodzić żądaniu jw. pana, bo bez prowodyra, któż mi trzodę za wozem poprowadzi?

— No pomyślimy i pomiarkujemy się, rzekł on zsiadłszy z barana, i dopijając swą kawę, jedź tam na ekonomię, mówił potem, wskazując ręką memu furmanowi drogę a waść popku, ponieważ podobasz mi się, zostań tu. Zjesz przecie obiad z nami, o jakim w klasztorze ani ci się przyśni, i za klasztorem nie często. Tu szepnął coś na ucho małemu kozaczkowi, który się podwinął na ganku, a ten pobiegł na folwark.

— Oj, hardopyszek to jakiś, pomyślałem; poczekaj, przytnę ja tobie. Weneruję stopy jw. pana, rzekłem, i dziękuję za ten honor, któryby mnie spotkał za stołem pańskim! ale wysokie progi na moje nogi; sam jw. pan przekonałeś się że znam mores i respekt, ale znam i od siebie, i dla siebie; popek niech zasiada z panem; ale prosty brat kwestarz bernardyński, podług swej ubogiej kondycyi, znajdzie i u dyspozytora pańskiego dostateczny posiłek... więc i ja ruszam za moim wozem.

— He! co mosanie, przerwał mi skonfundowany trochę pan, he! co? aha! stój! tak, nie popek, nie; ale brat kwestarz, cha, cha, cha, a kaci was wiedzą kto z was starszy. Ale mniejsza o to, zostań tu kwestarzu, i koniec rzeczy; a ponieważ jest to godzina, w której obchodzę i lustruję całą moją administracyę, więc chodź za mną, zobaczysz i przed ludźmi powiesz co ja mam, i kto jestem.

Nie należało mi go dalej obrażać, dość że sam od postpozycyi się obroniłem; więc owszem ciekawie poszedłem za nim na tę lustracyę.

Rzeczka oddzielała dziedziniec pałacowy od ekonomicznego; na niej most murowany, który przeszedłszy, pan stanął w pozyturze, i obracając się ku mnie z miną ukontentowaną, he! co mosanie? zawołał: miasteczko pop... nie, nie, kwestarzu, miasteczko! nie prawdaż? mury! mury! A gdybyś tu był przed kilkunastu laty, gdy

dobra te należały do wielkiego wprawdzie, ale po dawnemu niedołężnego pana, tobyś widział same ruiny; ale jak się te ruiny dostały w moje ręce, oho! wnet ruchl z panem rachunki, a z majątkiem moderunki; aż nakoniec panam mosanie wykwitował, a majątek wymurował... ale dla siebie, he! co?

— A cóż? rzekłem, kiedy Pan Bóg po sprawiedliwości błogosławił, to i dobrze, ale... zamilkłem.

— No cóż ale? zapytał on ciekawie.

Ja milczałem uśmiechając się tylko.

— He! co? zgadywam myśl twoją, ale kiedy dyabeł pomagał, chciałeś powiedzieć.

Kiwnąłem głową.

— Ha, jeżeli i pomagał, mówił on dalej śmiejąc się także, to nie proszony ani dziękowany.

— At tak, jaśnie wielmożny panie, dodałem, z łaski swojej, i po przyjacielsku.

Rozśmieliśmy się obaj.

— Nazywają mię dorobkowiczem, parweniuszem, ale ja drwię z tego; zazdrość mosanie, zazdrość ludzka.

Tak rozmawiając zbliżyliśmy się do budowli wielkiej, z której szerokiego komina, gęsty dym walił kłębami; gdyśmy drzwi otworzyli i weszli, nie mogłem ani kroku postąpić, ani rozpoznać się gdzie jestem; tylko co wspominając przeklętego nieprzyjaciela dusz naszych, rozumiałem żem wpadł właśnie do jego państwa. Para jakaś gęsta i ciężki duch zajęły mi i zamgliły oczy, huk, puk, szum, świst odurzył mię zupełnie; widziałem tylko przed sobą jakieś wielkie ognisko, a nad niem i w około, i na dole i na górze i po całej tej zamroczonej otchłani, jakieś przewijające i smolnymi płomieniami błyskające straszydła.

— Ach! Jezus, Marya, Józef! krzyknąłem; gdzie ja jestem?

— He! co? czego wrzeszczysz? jesteś w browarze parowym, odezwał się głos pana, ale utopiony gdzieś tam daleko odemnie w tem piekle, chodź tu!

— Z miejsca ruszyć się nie mogę, krzyczałem znowu, ratuj mię pan na miłość Boga, i każ stąd wyprowadzić na świat Boży.

— He! co? kto tam jest? a prowadźcie tu kwestarza.

Na ten rozkaz zjawiło się przedemną dwóch żydów; jeden świecił pękiem rozpalonego łuczywa, a drugi mnie prowadził, to po wschodach w górę, to po wschodach na dół, aż nakoniec wszedłem do izby, gdziem na nowo ujrzał światło dzienne.

— A chwałaż Bogu! zawołałem oddychając wolniej i przecierając oczy; a chwałaż Bogu, żem się między ludzi dostał. Po co mię tu pan wprowadziłeś?

On mi śmiechem najprzód odpowiedział, a potem rzekł: Wprowadziłem cię tu na bernardyńskie śniadanie; ot patrz jak wódeczka potokiem z za ściany do beczki płynie; ręczę ci że wyśmienita; łyknij! podajcie kieliszek kwestarzowi.

Żydów około nas było pełno, i jeden z nich, podstawił czarkę pod rurę, z której wódka płynęła, i podawał mi pełną.

— Najprzód ja wódki niepiję, rzekłem, a gdybym i pił, tobym przyjął z rąk pańskich, ale nie z pogańskich.

— Oho mosanie, masz swoje ale, rzekł pan.

Żyd tymczasem przykrył czarną dłonią, skłócił mocno i szumnie pieniącą się gorzałkę i podnosząc na oko panu, mówił z chlubą: Perły, jasny panie! perły!

— He! co? pierwszy raz jesteś w browarze parowym? zapytał on mnie,

— Daj Boże i ostatni, jw. panie.

— A to czemu? to grunt i dowód gospodarki wielkiej i zamożnej; u małej szlachty tego nie zobaczysz: *) patrzaj co tu kuf, a wszystkie pełne takich pereł jakiemi się ten Barabasz chwali.

— Dozwól mi jw. panie wyjść stąd, rzekłem, tylko proszę przewodnika, bo sam nie trafię.

— No, no, pójdziemy razem, odpowiedział pan, i otworzył drzwi osobne, których niewidziałem; *insperate* zatem ujrzeliśmy się na dziedzińcu, nie przechodząc przez te przeklęte labirynty. Więc na dalszą puściliśmy się lustracyę.

W stajniach pyszne konie, cugi i zaprzęgi. W wozowniach wspaniałe karety, i rozmaitego blajeru kolaski, bryki i wozy. W oborze krówek najpiękniejszych aż miło spojrzeć; a w owczarni gwałt! tuzin klasztorów bernardyńskich cały rok wykarmiłbyś baraniną.

Spichrze, które odmykać kazał, bodaj umyślnie dla okazania mi dostatku swojego, zasypane ziarnem od dołu do góry, słowem wszędzie gdzie mnie poprowadził, obfitość i ład. Ale też i rygor! czuj duch! panowie oficyanci bez czapek szli za nami, pokornie; a jak się pan odezwał, he! co? to wszyscy szarf! jak gimejni przed generałem. Jednakże te he! co! uprzykrzyło się mnie, bo za każdem pochwaleniem się, a chwalił się co krok swojem bogactwem, pytał mię zawsze, i pobudzając do podziwiania wszystkiego, patrzał w oczy i powtarzał swoje: he! co? mosanie.

Nieodpowiadałem za każdym razem i milczałem, bo już namyśliłem dlań generalną odpowiedź, to jest dawny wierszyk, którego razem z kilku innymi, i razem z ową odą, uzdrawiającą zwichnięte młode głowy, niegdyś nauczyłem się, a którego, choć mi niewróżył szczęśliwej kwesty, ale zamilczeć bym go nie mógł; konceptu gdy raz wejdzie na język, gładko nazad nie połkniesz.

Gdyśmy już wracali do pałacu, zaszedł nam drogę tenże sam lokaj i podając panu list: z poczty! rzekł.

---

*) Potem gorzelnie parowe rozpowszechniły się; ale natenczas rzeczywiście tylko po wielkich majątkach je urządzano, a niedokładność początkującej maszyneryi, wnętrze ich podobnem czyniło do tego obrazu. (P. W.)

— A! to od mojego Michasia, odezwał się on, łamiąc pieczęć.

— Mam kwestarzu, syna jedynaka.

— Niech Bóg hoduje na pociechę pańską, rzekłem, uchylając głowę.

— Już wyhodowany mosanie, mówił on dalej, a sprytna sztuczka! Jak tylko przeszedł szkoły, że tam gwiazd nie liczył, i tylko liznął wszystkiego po trochu, więc nie sposobiąc go dalej na wielkiego filozofa, wnet pchnąłem w świat, do kancelaryi w gubernii; pensyjka wprawdzie niewielka, no ale . . ale. . . są z boku niewinne akcydensiki . . Grosza mu nie daję, niech panicz sam pracuje i uczy dorabiać się chleba, tak jak i ja się dorobiłem, i ja grosza niemiałem w jego wieku.

— Ale on mosanie oho! jak poczuł pot, jak zaczął to pisać, to skrobać, to wyskrobał się na człowieka! rozum nad lata. Dwudziesty drugi rok mu ledwo, a głowa mosanie, niech go licho! jak zacznie prawić i prawić, to aż moja pęka. Otumanił okolicznie wszystkich moich sąsiadów, i teraz on plenipotent w gubernii prawie wszystkiej tutejszej szlachty; osobliwie do wywodów gracz! i wszystkich ma w kieszeni. . .

— Czy nie on sam w kieszeni u wszystkich? przerwałem niby żartem.

— Na jedno to wychodzi, mówił tatulek uszczęśliwiony ze swego synka, na jedno wychodzi; on im służy, a oni mu się przysługują, ręka rękę myje. Kiedy zaś do nas zawita czasami, to matka aż skacze około niego z radości, bo to mosanie elegant bryżysty! batystowy! *) Zegarki, pierścionki, bursztyny na cybukach! a wszystko to stąd, mówił stukając w łeb palcem, stąd!

— Ot i teraz błazen jak się wykierował? donosi mi że odkomenderowany na sekretarza do komissyi rekrutskiej . . to od razu kapitalik mosanie, he? co?

A co najlepsza, że dla siebie nie żałuje, nie skąpy, nie, ale na bok w cudzą rękę grosza nie puścil nie żal takiemu i fortunę zostawić.

„Jakie drzewo taki klin, jaki ojciec taki syn" pomyślałem, tymczasem zbliżyliśmy się do pałacu.

— Proszę za mną mosanie, rzekł on, i weszliśmy do pokojów.

Pańskie, prawdziwie pańskie komnaty, napatrzyłem się ja prawdziwie takich w Nowogrodzkiem i w Słuckiem, ale tutejsze bodaj czy nie przewyższyły tamte. W pierwszej zaraz ujrzałem z pięciu kwestarzy, w wielkich lustrach wiszących po ścianach; obrazów w złotych ramach jakdo ołtarza, tylko że świeckich a nie świętych, mnóstwo, i czegoż tam jeszcze nie było? Boże zmiłuj się!

*) Natenczas były w modzie, bryże batystowe karbowane na piersiach u mężczyzn elegantów.

Spostrzegając moją admiracyę,—he! co mosanie! zawołał pan; to nie w waszych celkach. . . No, widziałeś kwestarzu jak ja gospodaruję, teraz rozpatrz się jak ja mieszkam. Pójdę tymczasem przebrać się na obiad, bo widzisz mosanie, wynijdzie na pokoje i moja żona z córkami.

— A wszakże jw. pan mówiłeś, że masz syna jedynaka.

— Naturalnie, syn gdy niema brata liczy się jedynakiem—i wyszedł.

Nieulegając temu zaproszeniu rozpatrywania jego pańskich apartamentów, siadłem sobie spokojnie blizko drzwi, i czekałem obiadu, który stawał się mi tem pożądańszym, zwłaszcza po tak długiej przechadzce. Siedziałem tak z godzinę, aż się znowu pokazał znajomy mi lokaj, ale przebrany także na przepych, i błyszczący od galonów jak obrazek.

— Proszę na obiad, rzekł lokaj.

— Ach mój bracie, odpowiedziałem, jakże ja tu pójdę, po tych slizgawicach i kobiercach?

— At, nieuważaj jegomość, mówił on, idź śmiało, jegomość; po kościele chodzisz pokornie, to co innego, a tu. . . znowu machnął ręką, a ja znowu żałowałem, żem z nim więcej pogadać niemógł.

W sali długiej i szerokiej, przynajmniej jak nasz refektarz, znalazłem już siedzących około okrągłego stołu: pana, panią, i panięta; dla mnie nakryto na osobnym stoliku przy kredensowej szafie. Nigdzie mię jeszcze nie spotkała taka konfuzya i szlachecki ambit odezwał się we mnie. Poczułem że mi policzki gorzały! w głowie przemknęła im myśl—odejdę, ale chwała Bogu habit odpowiedział zostań—a pokora zakonna? Wnet więc była pokonana pycha, jako grzech śmiertelny, i ja, ukłoniwszy się pokornie okrągłemu stołowi, i odmówiwszy zwykłe *benedicite*, usiadłem za moim. Wtenczas spojrzano na mnie, spojrzałem i ja na wszystkich. Jegomość przestroił się zupełnie, czuprynę nawet, czy inną włożył, czy też sama uczesał i ufryzował na nowo, słowem wyglądał bogato i czupurnie, i brzyżysto i buhasto!

Imość i córeczki w bławatach, obok jeszcze kilka kobiet, niewiem już z jakiej nacyi, bo gadały cudzymi językami jak nawiedzone, a wszystkie ciekawie na mnie spoglądały, imość sama przymrużając oczy, córeczki nieśmiało i z ukosa, a te inne kreatury *generis feminini* wytrzeszczonemi oczami, jakby mnie urzec chciały. A może i urzekły, bo przecież od tego obiadu gorzej mi się na zdrowiu stało. Obiad był wyśmienitym, i byłby jeszcze smakowitszym, gdyby go swemi pochwałami sam gospodarz nie psuł; do każdej bowiem potrawy wbijał on jak dwie koście ostre, swoje he! co? i jeszcze kwasił dodatkami, których już i niepamiętam.

— He? co mosanie? na waszych przystawkach w klasztorze takiej sztuki mięsa nie zobaczysz; jedz mosanie popku, chcę mówić kwestarzu, jedz! bernardyni wiadomo pasi-brzuchy, a ty jak uważam delikatnie tylko kosztujesz. Gabryelu, dołoż kwestarzowi

jeszcze jednego zraza, i nalej mu szklankę madery tej, którą ja sam piję.

A gdym się bronił od tak wielkich porcyi.

— Pij! mówił on, pij! wino wyborne; a z całym swoim konwentem mojej piwnicy nie wypilibyście; pij mosanie, nie żałuj!

— Ej, myślałem ja, słuchając razem i tej uprzejmości, i tego chlubstwa, i tej rubasznej poniewierki, ej nabiegasz ty na moje wierszyki, jak zając na cel strzelca.

Dla tego, choć się obiad skończył, i kompania okrągłego stołu, niby to żegnając się, muchy około nosa opędziła, ja chociaż podziękowawszy, mógłbym ich razem i pożegnać; że przecież rachunek nasz z panem niebył jeszcze skończony, a sam on nieprzestawał zemną konwersować, owszem jakby umyślnie rozmowę przedłużał, więc i ja nie kwapiłem się za drzwi.

— He! co mosanie? rzekł on uśmiechając się; przepraszam za obiadek, możeś głodny kwestarzu.

— Syt jestem aż nadto jw. panie, odpowiedziałem kłaniając się uniżenie.

— Bo to mosanie jeździsz po rozmaitych dworach i panach, co w jednym zobaczysz opowiadasz zapewne w drugim.

— Tak jw. panie, przerwałem, jeżeli cokolwiek spostrzegę ku zbudowaniu ludzkiemu, to dobry przykład roznoszę po świecie? ale jeżeli przeciwnie, to plotkarzem nie jestem.

— Otoż to mosanie, otoż to, i dla tego właśnie oprowadzałem cię wszędzie, abyś ludziom opowiadał, co to jest ład i gospodarność, nawet u wielkich panów; a zatem jak ubogi szlachetka nasz skromnie trzymać się powinien.... więc będziesz miał kwestarzu co tu opowiadać, i co tu pochwalić, nieprawdaż mosanie, he? co! mówił z uśmiechem i klapiąc mię łaskawie po ramieniu.

— A tuś mi, pomyślałem ukontentowany.

— Tak, rzekłem, tak jw. panie; ale w tej okoliczności, przyszedł mi na pamięć dawny wierszyk; staroświecka to wprawdzie poezya, ale tu gdy idzie o pochwały domu pańskiego, zdaje mi się że przypada raźnie.

— Dobrze, dobrze, oto mi prawdziwy kwestarz, z konceptami a nawet z wierszykami; zarobisz barana, zarobisz, mówił on nie zgadując treści mojej perory, i rozumiejąc zapewne, że to będzie dlań panegiryk. Żono, dzieci, zawołał, a chodźcie tu, posłuchajcie poezyi bernardyńskiej.

Poezyi! poezyi! odezwały się one ze zdziwieniem i podeszły ku nam z drugiego końca sali.

Więc mówiłem:

„Chcesz bym cię chwalił mospanie,
Ale czy pochwał nam stanie.?
Bo tu trzeba chwalić ciebie;
Nie zaś co masz ku potrzebie,

Piękne twe cugi karety
Są twoje—ale to nie ty!"

Przepyszne też twoje szaty,
Owe sajety bławaty!
Drogą igłą haftowane,
Za najprzedniejsze są miane.
Z ślicznych koronek mankiety
Są twoje—ale to nie ty!"

„Kuchmistrz twój jest wyśmienity,
Z każdej potrawy człek syty:
Pod twem srebrem stoł, mdleją,
Wina strumieniem się leją;
Przepyszne wety, pasztety
Są twoje—ale to nie ty!"

„Codzień z wielkich dóbr przychody,
Płyną jak ze źródła wody!
Wszyscy przed tobą czapkują,
Bo w szkatule złoto czują.
Pełne worki i kalety.
Są twoje—ale to nie ty!"

„Pokaż żeś jest sprawiedliwy,
Żeś na cudze nie jest chciwy:
Prawowierny, bogobojny,
Ku nędznym że jesteś hojny;
Jak ujrzę te twoje cnoty,
Wraz rzeknę—O co to to ty!"

Gdym skończył jegomość przez czas niejaki patrzał na mnie bystro, potem zdjął czuprynę z głowy i położył na stole. . . ja odstąpiłem dwa kroki w tył, on potarł czoło, i stanąwszy figurnie rzekł, rękę ku mnie podnosząc:

„Baran dobry na kotlety,
Ale ja go zjem a nie ty!"

— He! co mosanie? krótko, węzłowato i *ex promptu!* a tymczasem popku fora ze dwora, wskazał mi drzwi i odszedł, a za nim imość i cała czereda.

Po takiem pożegnaniu, niebyło po co dłużej tu popasać; pośpieszyłem więc na ekonomię! gdyby nie moja poezya, miałbym tam zapewne wygodny nocleg. Zdziwił się mój Maciej gdym mu kazał zaprzęgać, a obaj zdziwiliśmy się jeszcze bardziej, gdyśmy spostrzegli, że nasz prowodyr ostrzyżony.

— Co to jest Macieju?—zapytałem, jak i kiedy to się stało?

czyś sam pozwolił zdjąć przed zimą kożuch z naszego poczciwego Rogacza?

— A w Imię Ojca i Syna! odpowiedział Maciej; jakto ja miałem pozwolić? toż rabunek dobrodzieju! domyślam się: mnie na obiad zawołali a tymczasem zawinęli się tu z nożycami, około naszego barana. . . ale ja im tego nie daruję; to moja szkoda, ja niedopilnowałem, to ja i dójdę tego interesu, idę do samego pana.

— Daj pokój Macieju, rzekłem, daj pokój; widziałeś że na rogaczu naszym, pan siedział i wełnę jego rozpatrywał, więc postrzyżyny te bez jego rozkazu stać się nie mogły, a ja przypominam że gdyś ty odjeżdżał od ganku, on coś szępnął kozaczkowi swemu, i ten poleciał za tobą na folwark, on to musiał nieść dekret na naszego prowodyra. A więc bez dalszych kweresów, wyjeżdżajmy stąd co najrychlej aby nam na rozdrożu noc gdziekolwiek nie zabiegła, wszak to już zmierzcha. Nim mrozy nadejdą, Pan Bóg nowy kożuch rogaczowi sprawi.

—Jak wola jegomościa dobrodzieja, odpowiedział Maciej, wyjeżdżajmy, ale ja radzę wrócić po wiadomej drodze do zaścianka, gdzieśmy taki wyśmienity nocleg mieli; poczciwy chłopek przyjmie nas znowu najżyczliwiej i najlepiej, ręczę jegomości; świetlica czysta i ciepła, wypoczniemy wygodnie, a jutro mając dzień Boży przed sobą, rozpytamy się drogi na Druję *) gdzie dobrodziej odpocząć chcesz, i do której jak mi tu powiedziano, jest mil pięć czy sześć.

Zgodziłem się na ten projekt Macieja; dowlekliśmy się do zaścianku; jak on przepowiedział, tak się i stało; chłopek przyjął mię jak ojca, a Macieja jak brata. Przenocowaliśmy wprawdzie bardzo dobrze, ale nazajutrz gorączka już mię objęła, i nawpół żywy, jak to wyżej opisałem, dostałem się do Drui.

Colloquium trzecie u ks. Kustosza.

XIV.

Spotykając się zemną na kurytarzu, znowu zapytywał mię prawie codzień ks. kustosz:

— A jakże tam idzie, bracie Rafale, twoja skryptura? coś waszeć próżnujesz? pośpieszaj powoli, *festina lente*, jak tam powiedział stary Horacyusz, bo my czekamy; uprzedź mię wcześnie kiedy mam zebrać *Auditorium*? to jest zaprosić znowu pana

*) Druja—Miasteczko w Lepelskim powiecie.

prezydenta i naszego ks. kaznodzieję, który wymawiał mi onegdaj, żem go na pierwsze posiedzenie nie wezwał.

Tak napędzany bez ustanku, przysiedziałem fałdów i w jedną sobotę oznajmiłem ks. kustoszowi, żem na jutro gotów. A więc nazajutrz w niedzielę ks. kustosz zaprosił pana prezydenta z nabożeństwa na obiad do swojej celi; pod wieczór zaś i mnie zawołano; zatem z raptularzem moim w ręku, przyszedłem.

Pan prezydent powitał mię jako i pierwiej uprzejmie, i z uśmiechem podając mi rękę.

— *Salve!*—rzekł—*Salve doctissime auctor!* *)

— Oho! już i *doctissime*, odezwał się ks. kaznodzieja, czy nie za wysoko, mości prezydencie, dla kwestarza.

Oh, bo to *rigorosus pater*! ten nasz kaznodzieja, słowa niedaruje, gdy nie według jego myśli.

— Dowiodę ci ojcze kaznodziejo, odpowiedział prezydent, żem w powitaniu brata Rafała, nie przesadził, i że niezapomniałem jeszcze mojej łaciny. Do ciebie rzekłbym—*Sapientissime pater*—Doktryna bowiem i *Sapientia* (nauka i mądrość) nie są to synonimy blizkiego znaczenia, wprawdzie pierwsza jest matką drugiej, ale też bywa ona niekiedy i bezdzietną; dla tego wiele mamy uczonych, a nie mądrych przeto. Nadto, mój mości dobrodzieju, nauka nie z jednych tylko książek drukowanych się czerpie; świat jest wielką księgą, której praktyczne rozdziały przebiegał brat Rafał, więc jest on w nich *doctus*, i nam właśnie takie rozdziały z tej księgi czytał i ma czytać.

Ks. kaznodzieja, czy to przez konsyderacyę dostojnej persony pana prezydenta, czy to używając *pro hac sola vice* **) jezuickiego argumentu, *per silentium*, ***) który, jak dowodzi ks. jubilat, wielce niekiedy w dysputach pożytecznym bywa, dość że nie prowadząc dalszych kontrawersyj zamilkł. A tymczasem ks. kustosz uporządkował nas wszystkich po dawnemu przy stole, porozstawiał przed każdym szklanki z herbatą, i sam usiadłszy obok prezydenta:

— Czytaj, rzekł do mnie, słuchamy.

Więc i zacząłem, a gdym po rozdziale „Zdziecinialy," potrzebował nieco odetchnienia, i położywszy sekstern na stole, herbatę moją ostygłą popijać zacząłem, ks. kustosz przerywając milczenie słuchaczów:

— Cóż na to, panie prezydencie? zapytał.

— A cóż? a cóż *reverendissime*, mówił namyślając się prezydent, znowu kwestarz podług słów twoich ks. kustoszu, trącił się o kwestye żywotne naszego towarzystwa: jedne mu się od-

---

*) Witaj, uczony autorze.
**) Na ten raz jeden.
***) Dowód przez milczenie.

zywają jak echa z głębi przeszłości, drugie jak fałszywe tony ówczesnego czasu, przedłużające się aż do dzisiaj, inne nakoniec, które materyalnie czy duchowo żyją w sercach i umysłach naszych, a zatem wpływają na codzienne nasze kroki.

I tak naprzykład, jeden ten wyraz: Kochajmy się! który tak głęboko wpojonym był w treść życia naszego, że nawet w głowie starej i zdziecinniałej, w której już wszelkie wyobrażenia zatarły się, czerstwo się jeszcze odezwał, jakże wielkiego jest znaczenia w dziejach, obyczajach, a nawet w naturze naszej! Żaden naród takim się niepószczycí, bo żaden niemiał go swem godłem, żaden go tak niepojął i nieprzyswoił jak my, a nawet my sami dziś się ledwo na nim poznajemy i odkrywamy wartość jego, jak dzieci znajdujący w puściźnie po śmierci matki drogi klejnot, drogi talizman ich dobra, na który za życia jej nie zwracali uwagi i oszacować nie umieli, chociaż w czasie dni godowych, i uczt rodzinnych, błyszczał on na jej czole. W świeckiem znaczeniu, słowo to, następować by powinno wraz po pieśni Bogarodzicy; tak jak miłość wzajemna u ludzi między sobą, następuje i rodzi się z miłości Boga, i jak obie panując w sercach naddziadów naszych, stawały się pobudką tak codziennych domowych, jak i publicznych ich czynów. Były waśnie i kłótnie między nami, były—to prawda; bo kiedyż i gdzie między ludźmi być może wieczna jedność i zgoda? ale wśród największych zawziętości; nigdy głos kapłana wzbudzający w sercach w imię Boga miłość i pokój, napróżno i bez skutku nie odzywał się. Słowa święte wysokich pasterzy kościoła biskupów, koiły ogniste gniewy rwących się częstokroć na bratobójcze walki możnowładców, a spory i kłótnie braci szlachty, poczciwy pleban zwykle pogodził, przywiódł zwaśnionych do konfessyonału, i potem razem z nimi spełnił kielich miłości i pojednania: Kochajmy się!

— *Eloquentissime!* panie prezydencie dobrodzieju, *eloquentissime!* zawołał ks. jubilat zażywając tabakę i pokręcając głową.

— Mniejsza czy *eloquentissime*, ale *verrissime*, wierzcie mi; a jeżeli ze wzruszeniem to opowiadam, to dla tego że pamiętam dobrze, gdy ten kielich braterskiej miłości, bywał jeszcze i w mojem ręku . . .

Onegdaj powiedziałeś ks. kustoszu i sprawiedliwie, że porzucając obce naśladownictwo, znaleźliśmy chwała Bogu obfity skarb cnót rodzinnych, które mogą wznieść duszę naszą ku wszelkiemu dobru i wszelkiej doskonałości, byle je z miłością i pracą uprawiać i zaszczepiać. Prawda, znaleźliśmy ten skarb w przeszłości naszej, w dziejach naszych, gdy się on nam był zatracił, i dostawszy go, jak się dziś nań zapatrujemy, i jak go używamy? treść by ta była do ważnego dla nas zastanowienia, bo naprzykład dajmy na to, że w składach dawnych, zarzuconych znaleźliśmy starą pradziadowską karmazynową ferezyę. Wyborna sajeta! doskonały gatunek, nie zbutwiała bynajmniej, i bardzo użyteczną nam być może, owszem trwalszą jeszcze da odzież od dzisiejszych półsu-

kienek, ale kolor i krój odmienić potrzeba: pierwszy jest nadto jaskrawym, drugi do dzisiejszego zwyczaju nieprzypada. Otóż o dobroci i doskonałości odszukanego materyału, niema dziś sporu, lubo spór taki, młode wnuki poczciwych naddziadów z ujmą i oczernieniem ich pamięci niedawno jeszcze wiodły, lecz dziś głosy i pióra prawie jednozgodne przyznają mu zalety; idzie tylko o przefarbowanie go i przykrojenie stosowne do dzisiejszych czasów; zdania i rady w tym względzie są nader rozmaite. . . postęp. . . .

— Gwałt, panie prezydencie! przerwał porywczo ks. kaznodzieja, jakby ukąszony od żmii, gwałt! jeżeli nowy postęp będzie farbować i kroić naszą poczciwą staroświecką ferezyę, to będziemy z niej mieć na końcu poblakłe rękawice, ale z nich już karmazynowej ferezyj nie zrobimy. Przyznam się panu, że pracuję teraz nad długiem kazaniem potępiającem ten wyraz i szkodliwy wpływ jaki na otumanione głowy w naszym wieku wywiera.

Uśmiechnął się prezydent i rzekł:

— Rozmyśl się ks. kaznodziejo, nim ze swem kazaniem wstąpisz na ambonę, rozmyśl się dobrze, bo potępisz wyraz dziś święty, a przynajmniej poświęcony, a potępisz niesprawiedliwie. Wskazuj drogę po której postęp iść ma, ale nie stawaj mu na drodze, bo go niewstrzymasz. Obali cię nieprzepartą swą siłą i zdepcze; sile tej niema dziś *nec plus ultra.*

Każdy wiek ma swój postęp, bo instynkt szukania dobra i szczęścia, instynkt odgadywania tajemnic stworzenia, doskonalenia się własnego, jest wlanym od Boga w naturę ludzką, i jest najszlachetniejszą władzą jego duszy; nieustanne więc rozwijanie się tej władzy, jej usiłowania dościgania coraz nowych prawd i idei, nazwano postępem ludzkości, i wyraz ten, daruj ks. kaznodziejo, ja właściwym i nieuległym potępieniu znajduję.

— A tak postęp podług pana, rzekł kaznodzieja, jest zawsze dobrym dla ludzi.

— Bywa i złym, odpowiedział prezydent spokojnie popijając swą szklankę, to jest, bywa on na złej drodze; ale że zło nie ma zasady w prawach Boskich, razem z ludzkością stworzonych, a zatem chwała Bogu skutki i czyny zła nie są ni wieczne ni długie. Ludzie w peryodzie jego panowania przechodząc przez cierpienia i nieszczęścia, gdy zeń wybrną, tem jaśniej pojmują prawdę, tem ją troskliwiej wcielają w swe prawa i czyny, że tuż za sobą mają do porównania chmurę czarną, którą przebyli, a którą promień nowego słońca przed ich retrospektywnym wzrokiem rozbija, rozkłada, i szkaradne jej wnętrze rozświeca.

Półdziewiętnasta wieków mija, gdy Bóg postanowiwszy w przedwiecznych wyrokach swoich dźwignąć ludzkość z odmętu niepewności i błędu w którym tonęła, pociągnął ją z bałwochwalstwa na drogę objawionej przez siebie wiary, i w prawach tej wiary dał pewne, stałe i nieomylne środki doskonalenia się w dobrem, tak jednemu człowiekowi, jako i całej rodzinie ludzkiej,

o jest drogi prawdziwego postępu, czyż i takiemu postępowi aprzeczać i złorzeczyć będziesz ks. kaznodziejo?

— No, panie prezydencie, ozwał się ks. kaznodzieja, to zupełnie co innego, to zupełnie co innego.

— Jakto co innego? — mówił znowu prezydent, to najpierwsza kolebka prawdziwego postępu, to dana skala z niebios, na którą mierzyć go potrzeba, to niewątpliwa próba jego doskonałości lub błędu; a stąd znowu niewątpliwa wróżba gdzie on trafi i dokąd ludzkość zawiedzie. Krwawe prześladowanie chrześcijaństwa naówczas, było tylko protestacyą bałwochwalstwa przeciw postępowi ludzkości!. . .

Tu ks. kustosz powstał, wziął ze stolika swego arkusz papieru, ołówek, i przed sobą położył.

— A to na co? — zapytał prezydent.

— Wspomogliśmy łaskawy nasz panie prezydencie dobrodzieju, pamięć i dzieło naszego brata Rafała, spisując dlań onegdajsze nasze rozprawy; dzisiejsze jak uważam, poważniejszy jeszcze przybierają obrót, a więc redakcya ich będzie trudniejszą bez notat na gorąco, że tak powiem z ust przejętych; dozwól mi zatem prezydencie być stenografem twoich sentencyj, powiedział z uśmiechem ks. kustosz.

— A więc postanowiłeś koniecznie ks. kustoszu, rzekł z równymże uśmiechem prezydent, abyśmy mieli udział w sławie autorskiej naszego brata kwestarza.

— Sam, prezydencie dobrodzieju, onegdaj to zaproponowałeś.

— Prawda, i teraz się nie odrzekam, w sumiennem przekonaniu, że rozbiór nasz kwestyj codziennych, podręcznych, że tak się wyrażę, powszedniego życia naszego, jakkolwiek pobieżny i krótki, bo innym w potocznej rozmowie naszej być nie może, rzuci jednak tam i ówdzie promień choćby mdłego światełka na drogę tego życia i ciemniejsze na niej zakręty, i głębsze wądoły rozważnym podróżującym odkryje.

— Zdaje mi się prezydencie, rzekł znowu kustosz, że zbiegacie się z ks. kaznodzieją na jednostajne myśli, tylko że on swoich nie miał jeszcze czasu nam objawić, szkoda że nam swego nie przyniósł kazania, pewny jestem że nieznaleźlibyśmy tam bezwarunkowego potępienia postępu.

— Potępiam postęp, ozwał się żywo ksiądz kaznodzieja, potępiam postęp zuchwały, bezwzględny, zarozumiały, dumny swą wiedzą jak szatan, i wierzący w siebie jak szatan; poniewierający wszelką by najcnotliwszą przeszłością, którą spotwarza, czerni i depce; rozumujący z religią, i przeciwko religii, a w rzeczy nie mający żadnej. . . O! poznasz łatwo w towarzystwie człowieka zarażonego takim postępem! poznasz go po upakarzającem spójrzeniu jakie rzuca dokoła, poznasz po słowach pysznych, szumnych a ciemnych, przez połowę jakby z przymusu wymówionych, a przez połowę połkniętych i zamilczanych, dla domysłów o głębokiej nauce, i niedoścignionej przez gmin mądrości jego; a gdy na-

koniec zmusisz go wyjść z tych zasadzek na czyste pole, i odkryć jawnie swe zdania i myśli, gdy go w najgłębszych wnioskach jego utopii dosięgnąć pragniesz. . . wnet się ostawi w około, jakby puklerzami stalowymi, na których tajemnicze godła jego potęgi wielkie słowa filozofii, filantropii i nakoniec postępu ujrzysz wyryte, i z za tej twierdzy tak potężnie i zuchwale sypnie on na cię jak gradem kamieni: fanatyzmem, obskurantyzmem, retrogradyzmem, że cię ogłuszy zupełnie, kamienie te gmin pospolity a uwiedzony podejmie, i nim się opamiętasz już cię ukamienuje. . .

Ludzie tacy to są zlepki z ostatków wolterowskiej, ośmnastego wieku bezbożnej szkoły, i dzisiejszego racyonalizmu, w utylitarne wrzekomo skupiającego się sofizmata; szerzą oni, szczerze czy nie szczerze, wszystko to jedno, niebezpieczną propagandę, ucząc w imię idei i zarozumiałej pychy, która ją zwykle wspiera, a częstokroć i w imię ukrywającego się w głębi osobistego egoizmu, poświęcać dobro powszechne, i usprawiedliwiając wszelkie, by krwawe nawet środki dla obranych przez siebie celów i nadziei, zabijać teraźniejsze pokolenia na ofiarę przyszłym. U nich to właśnie z popiołów odradzać się mają feniksy. Taki ja postęp potępiam, takiemu postępowi jako kapłan chrześcijański z obowiązku sumienia i przekonania mego złorzeczyć muszę, tembardziej, że widzę młode pokolenie nasze uwodzone głosem i piórem tych fałszywych proroków, lecące za nimi, nie drogą religijnego i moralnego doskonalenia się w cnotach, ale *per saltum mortale* w otchłań namiętności wzburzających towarzystwo ludzkie. . .

— A po śmierci lecące do piekła. Amen! przerwał zdziwionemu mówcy ks. jubilat.

— Jak to do piekła? jak to amen! odezwaliśmy się wszyscy ze śmiechem.

— A tak amen! powtórzył jubilat, bo przeklęci zgorszenie czyniący i koniec kazania.

— Nie może być, ks. jubilacie, rzekł ks. kustosz, przecież naszym właśnie obowiązkiem jest ochraniać dusze od potępienia wiecznego, i zbłąkane owieczki odszukiwać i wracać do trzody Chrystusowej.

— A niech ich tam kto chce odszukiwa, rzekł jubilat mocno zażywając tabakę, moje *conclusum* do piekła i kwita.

Uśmiechnął się razem z nami prezydent, lecz wnet poważniej mówić zaczął.—Przeciw takiemu postępowi, i takim postępowcom, jakich odmalowałeś, powstawaj z duchowną bronią, ks. kaznodziejo; tylko jeżeli jej teraz użyjesz, nie będzie ona ściśle właściwą, i rażąc *individua* nie dosięgnie do głębi mass, ani do głów przodować im mających, bo w nich nie znajdzie zasad i konwikcyj, które masz gromić.

Za życia naszego, które początkiem i końcem w dwa wieki się rozszerzyło, to jest w 18-tym się zaczęło, a w 19-tym dobiega, tyle na oczach i pamięci naszej weszło, wykwitło, panowało i przeszło idei, tyle razy duch czasu zmieniał swą mglistą formę,

że na umyśle twoim ks. kaznodziejo, który z powołania twojego wpatrywać się, rozważać i pojmować musisz wszystko w towarzystwie, wybitniej uwięzły wady i postacie szerzące między ludźmi zło, z którem ty w naukach swoich bój codzienny do upadłego toczyć musisz; stąd na obrazie twoim skupiłeś na jedną postać, i na jeden czas, cechy i piętna ludzi rozmaitych czasem i pojęciem, a głównego celu i wyrazu rozprawy naszej, to jest dzisiejszego postępu, prawie nie dotknąłeś.

— Jak to, panie prezydencie? przerwał zdziwiony kaznodzieja.

— A tak, mówił dalej prezydent. Twój naprzykład filozof rezonujący o religii i przeciw religii, jest prozelitą przeszłego wieku, a takich dziś między nami zwłaszcza, trudno spotkać. Twój mędrzec prowadzący ludzkość choćby przez krwawe próby do celów przez siebie obranych, nie jest naszą figurą; jest on ideologiem zachodnich krajów.... i tam nawet z towarzystwa wypchnięty, i wraz z jego nauką potępiony.... My wierzymy z poetą *)

„Gdy przychodzą w świat geniusze,
Innym rzeczy wiodą torem.
Nikt przez mordy i katusze
Nie był wieków dyktatorem!“

Twój nakoniec drugi mędrzec połykający własne wyrazy, jest tylko fanfaronem każdej propagandy obiecującej mu osobistą między niedowarzonym gminem powagę; a lubo pojedyńczych takich ludzi można jeszcze dopatrzyć w społeczeństwie, i ostrzegać o nich należy, wszelakoż możemy być spokojni, że nie pociągną oni za sobą przekonania ogółu, i nie stoją dziś, ani staną kiedykolwiek na świecznikach narodowych; ani przyświecą szlakowi, po którym idzie ludzkość ku lepszemu losowi, to jest szlakowi dzisiejszego postępu.

— Przewodnikiem postępu 19-go wieku jest krzyż, mości księże kaznodziejo! tak krzyż! podjął go okrwawionego z ruin świętych ołtarzy opamiętały człowiek, i wzniósł na czoło tej procesyi ludów, dążących do powszechnego chrześcijańskiego kościoła, i do braterskiego w nim zjednoczenia.

Postęp dzisiejszy minął karawanę przeszłowieczną wlekącą się za nim skrzypiącym obozem, ze składem dawnych zardzewiałych dźwigni, któremi ówczesny duch czasu wzruszał społeczeństwo; dawnych lekarskich materyałów, którymi je truł, rozumiejąc, że je leczył; dawnych rozpraw i książek, z których uczył ludzi rozumu! rozumu bez wiary, bez pokory, bez miłości . . Przetrząsł on obóz ten szukając w nim czegokolwiek pożytecznego dla siebie, i nic albo prawie nic nie znalazłszy, odtrącił ze zgrozą i pogardą ten magazyn błędów i zepsucia, a poszedł dalej za swojem świętem godłem. . .

Ks. kaznodzieja słuchał z uwagą słów prezydenta, wpatru-

*) Zygm. Kras.

jąc się pilnie w twarz jego żywiej wzruszoną. Ks. kustosz notował, ks. jubilat pokręcał głową i coraz żywiej zażywał tabakę.

— Ale z tego ogólnego poglądu na świat, mówił dalej prezydent, z tego chwilowego rzutu oka na to pole powszechne, na którem duch postępu w odetchnieniach, że tak powiem, całej ludzkości oczywiście się dziś objawia; na którem słowa i księgi najznakomitszych mędrców, mnożąc się około słów Chrystusa, zaklinają przeciwne prądy, gdzieniegdzie jeszcze nurtujące społeczność, zwróćmy się do siebie samych i tym samym rzutem oka główniejsze cechy własnego naszego pod tym względem położenia przebieżmy. Trudno mi bardzo, jak widzicie, skupiać i ściskać w treściwe rezultata tak rozmaite idee i tak rozmaite dążenia ludzi, choćby ku jednostajnemu celowi, na udowodnienie tych rezultatów, lub na ich historyczne wywody, tomy napisać by należało; na własnej nawet niwie, myśl goni za tysiącem szczegółów, i gwałtem ją cofać trzeba do głównego przedmiotu, aby się w rozdrobieniu nie zgubiła.

— Oho, panie prezydencie, to i mnie się zdarza, gdy nad jakiem kazaniem głowę suszę, przerwał kaznodzieja.

— Zło, czy dobro, kontynuował więc prezydent, wyradzające się w ognisku wszelkich moralnych i duchowych potęg, pojęć i idei zachodniej Europy, słabszym zawsze do nas dochodzi promieniem. Mnogie tego przyczyny każdy z nas rozumie, wyliczać tu ich zatem nie myślę. . . dlatego, czyśmy się psuli, czy naprawiali, zwierzchnie tylko warstwy społeczeństwa naszego, rej w niem wiodące, wzruszały się i burzyły, lub się uspakajały i ulepszały. Dlatego, gdy zarażone niedowiarstwem francuskiem, wyższe pozycyą towarzyską i cywilizacyą cudzoziemską głowy, wchodziły do świątyń Pańskich, by wydać wojnę Bogu w jego własnych domach, to ludek nasz prosty, to bracia szlachta, to starcowie pobożni, ojcowie i dziadowie nasi, śpiewali tamże szczerze i gorliwie „Od powietrza, głodu, moru i wojny“ suplikacye; jakby błagając Boga, aby nas uchronił od wszystkich tych klęsk, które się na narody zbuntowane przeciw jego prawom wylewały.

Nawa więc losów naszych, miała swój religijny balast, który jej zatonąć nie dał, i z którym dotrwała, aż inny powiew zupełnie przeciwny tamtemu, zadął w jej żagle, i przyniósł nam postęp z krzyżem, jakem to powiedział, na znamię i godło; dziś więc i u nas, jako i wszędzie, postęp jest chrześcijańsko-duchowym.

Nie idzie jednak zatem, i nie mówię, aby już wszyscy uwierzyli, i z pokorą a skruchą padli na kolana przed ołtarzem żywego Boga; nie, bóstwo wieku przeszłego rozum ma jeszcze, i ma wielu swoich zwolenników, ale nie wyznawców przecie, ani apostołów. Wątpliwy, idzie dziś w milczeniu po tejże samej drodze co i wierzący; walczy on sam z sobą, i sam w sobie, ale się z tą walką otwarcie nie wydaje, i nie jest to w nim faryzejską obłudą, ale tylko jest to wątpliwość jego samoistnego rozumu.

U jednych wiara jest żywa, szczera, pobożna, błagająca zba-

wienia wiecznego, i upewniająca im to zbawienie; jest potrzebą i pokarmem duszy, u drugich jest wyrozumowanym warunkiem życia ziemskiego, towarzyskiego, jest przekonaniem, że bez niej nie ma poręki ani zasady bezpieczeństwa powszechnego, nie ma tarczy przeciw wyuzdanym namiętnościom ludzkim. U pierwszych religia jest dogmatem, u drugich systematem, zmuszającym ich wszakże z równą czcią jako i prawowierni, uchylać czoło przed krzyżem. A więc przeciw ludziom takiego wątpliwego sumienia, pomieszanych wprawdzie w postępowym orszaku, ale bardziej pchniętych, niżeli swobodnie w nim idących, dla ich własnego dobra, mów twoje kazanie ojcze!

— To, mości prezydencie, będzie tylko proste kazanie przeciw niedowiarstwu, i nic więcej, rzekł ks. kaznodzieja.

— Tak, ale wsparte argumentami, właśnie ze źródła, któreś zatrutem być sądził, czerpanymi; to jest z dzisiejszego postępu, ale bez teologicznych subtelności, ale utrzymujące jednych, a gromadzące drugich na drodze, na której w wyraźnych faktach objawia się duch Boży, i na której należy dziś stawiać tylko, że tak powiem, drogowskazy, abyśmy się z niej nie zbili, i nie zbłądzili na manowce.

Drogowskazy takie potrzebnymi są szczególniej dla młodych ludzi, bo starzy poczciwi bogomódlcy ich nie potrzebują, a starzy grzesznicy nie spojrzą, ani się zastanowią nad nimi. . . Wszakże jest młodzież i młodzież: nasza, ma defekta i wady rozdzielające się i stopniowane, jako i ona sama w towarzystwie — ale to inna materya; pod względem, zaś jaki rozbieramy, denominacyę tę dziś upowszechnioną „młodzież" ja nie znajduję ściśle właściwą, nazwanie takie nie ma jakoś dojrzałego znaczenia, i tę niedojrzałość mglistą i bezbarwną, na samąż młodzież rozciąga. A jednak w ukształceniu moralnem często młodzieniec wyższym jest od starego rutynisty; dałbym tu więc raczej nazwę i razem definicyę „młode pokolenie," bo w taką definicyę wejść mogą *in corpore* nie tylko młodzi z wieku, ale i wszyscy, których sprawiedliwie czy nie, oskarżają dziś, że ideje postępowe za bezpieczne i praktyczne granice posuwają. Jakkolwiek bądź, przyszłość należy do tego pokolenia.

— Przyszłość, panie prezydencie, należy do Boga, przerwał ks. jubilat.

— Tak, niezawodnie tak, mości księże jubilacie, mówił dalej prezydent, ale czyny nasze ściągają na nas z nieba gromy albo promienie łaski, i tym sposobem na przyszłość naszą wpływać możemy.

Otoż do nas należy zdać w czerstwiejsze ręce tego pokolenia, teraźniejszość naszą, ze skarbem przeszłości, który nosimy w naszem łonie. Skarb ten składa się głównie z wiary i miłości; przyjęliśmy go od dziadów i ojców naszych, piastowaliśmy go w w różnych przemianach losu, zdajmy go czystym i niepokalanym synom i wnukom naszym, zdajmy w tym skarbie razem wszyst-

kie uczucia nasze rodzinne, obyczaje nasze, mowę naszą. Uczucia te, utwierdzone dziś chrześcijańską formą postępowego wieku, rozwiną się w sercach młodych z zarodków, które tam natura wlała; a żadne szumne deklamacye, żadna błyszczącymi sofizmatami natkana elokwencya, nie wyrugują ich stamtąd ani zastąpią.

Zdajmy im nakoniec i ten wyraz: kochajmy się! nietylko jako hasło braterskiego toastu, ale bardziej jako godło braterskiej jedności, która w złej doli krzepi, dobrą ustala i dwoi. . .

— „*Concordia res parvae crescunt,*" odezwał się znowu ks. jubilat.

Prezydent skinął głową, i po niejakim przestanku, rzekł:

— Ale niestety! są indywidua, kupią się nawet gromadki, które potępiając ten wyraz kochajmy się, i to uczucie święte, które on oznacza, zastąpić go chcą i zalecają przez kąsajmy się! owszem własnym przykładem próbują go w praktyce.

— Żartujesz chyba, prezydencie, przerwał ks. kustosz, alboś gdziekolwiek wizytował dom warjatów, i tam gromadkę taką kąsającą się znalazł: „*Quos vult perdere Jupiter—dementat!*" *)

— Nie, ks. kustoszu nie; jest to gromada obłąkanych wprawdzie, ale w których zarozumiałość z nieszczęściem pogodzić się nie daje; a w tej walce podobni także do warjatów szalonych, tłuką wszystko choćby najdroższe, szarpią wszystko choćby najniewinniejsze. Kąsać nieprzyjaciela, nie po chrześcijańsku to wprawdzie, ale po ludzku, czemże są zresztą wojny? więc to rozumiem; ale zalecać i wzbudzać nienawiść, jako systemat prowadzący do dobrego, ale targać ogniwa braterskie, i rzucać klątwy złośliwe i potwarze bez wyrozumiałości i przekonania, ale karmić się i żyć tylko jadem.... tego pojąć nie umiem, bo tego ani rozpacz, ani nieszczęście usprawiedliwić nie może.

— Nieszczęście, przerwał ks. kustosz, robi częstokroć z serca człowieka pustynię, w której jednakże duch Boży najszczytniej się objawia.

— Tak, rzekł prezydent, ale po której i szatan niekiedy harcuje, bo złość i pycha to jego właściwe przymioty, i on jeden tylko zdolny tak głęboko niemi zarazić i zepsuć serce, a oślepić rozum człowieka, aby zeń zrobić apostoła powtarzającego ludziom, nie kochajmy się—ale kąsajmy się! spotwarzajmy się! obrzydzajmy wszelką pracę dla dobra ziomków i kraju podjętą, słowem, gryźmy się wzajemnie i najzajadlej, aż póki krwią własną nie zalejemy tej ziemi, i żaden z nas na niej nie zostanie.

— A to, mości dobrodzieju, rzekł ks. jubilat, przeznaczają oni nam los owych dwóch sławnych chartów księcia Radziwiłła, panie kochanku, tak zajadłych i zawziętych, że się na śmierć zagryźli, i tylko z nich dwa ogony zostały się.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy, ale jakoś gorzko nam było na duszy. Po niejakiem milczeniu odezwał się ks. kaznodzieja.—Gdy są gdziekolwiek na świecie tacy apostołowie, których głos chwała Bogu

*) Kogo chce Jowisz zgubić — rozum odbiera.

nie przeszedł naszej klauzury klasztornej, a o których musisz wiedzieć, panie prezydencie; to jakaż broń przeciwko nim? jaka rada?

Prezydent z zachmurzonem czołem, ale z powagą, i widocznie z wewnętrznego przekonania odrzekł:—odpowiem ci księże kaznodziejo słowami poety:

„Rada jest jedna; sumieniowi swemu
Czynić zadość—każdy po swojemu,
Każdy jak może—resztę zwierzyć niebu!" *)

A stamtąd nakoniec przyjść musi miłosierdzie dla wszystkich, a dla nich opamiętanie!

Wieczór już był późny. Prezydent więc pożegnał nas, a dalsze czytanie i rozmowę odłożono do przyszłej niedzieli.

Colloquium czwarte.

XV.

Raniej niż przedtem, bo wraz po nieszporach kazano mi stawić się do ks. kustosza, i wnet rozpoczęła się lektura, tylko nie od mojej kwestarskiej narracyi, ale od przeczytania dyaryuszu onegdajszej rozmowy, którą ks. kustosz *verbum ad verbum* spisał.

Dziwił się pan prezydent, dziwiliśmy się i my, jak tego dokazał.

— Notowałem, rzekł on,—*per abbreviationem* co się mówiło, a dokładając pamięci, łatwiej potem wydecyfrowałem moje hieroglify; gdy skończył, na mnie przyszła kolej.

Przeczytałem więc mego rabina Salomona, i jaśnie wielmożnego pana, który mi Rogacza ostrzygł, a gdy dalej kontynuować chciałem: stój, rzekł mi ks. kaznodzieja, bo i o tem cośmy wysłuchali pogadać by należało, stanowić to może ciąg dalszy onegdajszej rozmowy, a za łaską Bożą da mi nową treść do kazania. Bo zważ panie, prezydencie, ten jego mędrzec wołożyński ze swojem nie i tak czyż nie jest rzeczywistym obrazem owych ludzi wątpiących, którzy w pańskiej procesyi postępowej, idą za wiarą chociaż bez wiary, idą za krzyżem chociaż się nie żegnają.

— Jest między nimi podobieństwo, chociaż nie tożsamość, odpowiedział prezydent. Żydzi są u nas dotąd klasą wyjątkową towarzystwa; zlewają się oni gdzieindziej z całą massą ludności przyswajającej ich w miejscową narodowość, nastąpi to z czasem i

---

*) Odyniec. — Dramat Barbara.

u nas, ale dotąd oni tu pilnie strzegą swej własnej narodowości, opartej na dwóch głównych zasadach, to jest, na ich religii i na ich interesie; więc nie należą jeszcze u nas żydzi do naszej postępowej procesyi, patrzą tylko na nią z boku, a rozumniejsi pojmują że prędzej, później, muszą się do niej, jeżeli nie duchowo, to materyalnie wtłoczyć. Salomon zatem nie zaczerpnął swojej wątpliwości, swego nie i tak, z systematycznego anti-chrześcijańskiego zepsucia, ale ze zwykłej słabości rozumu ludzkiego, nie wspartego objawieniem, zresztą najprawowierniejszy i najpobożniejszy między nami nawet, może mieć chwilę zwątpienia...

Ależ niech Bóg broni każdego, aby ta chwila nie była mu ostatnią, jak ją wróży każdemu Salomon. Zwątpienie u wrót wieczności! to czy nie gorzej jak piekło?.. przeklęte! trzykroć przeklęte! księgi i ludzie, którzy to zwątpienie obudzają....

— Błogosławieni umierający w Panu! przerwał ks. kustosz. W tumanach okrywających i teraźniejszość i przeszłość człowieka, dwa tylko punkta stałe i pewne można, i trzeba mieć na oku, krzyż i grób! w nich jedyna nadzieja i uspokojenie myśli i serca. My, którzy z powołania naszego patrzymy często na ostatnie godziny ludzkie, widzimy nieraz z przerażeniem, tę rozpacz i trwogę jaka ogarnia wątpiących przy skonaniu.. i przeciwnie, to zaufanie, tę spokojną chrześcijańską rezygnacyę, z którą wierni zbliżają się i przygotowują się do swej ostatniej godziny.

Nigdy, naprzykład, nie zapomnę śmierci i czynu przedśmiertnego kapłana, a pamiętnego w naszym kościele biskupa, ks. Jana Cywińskiego. Mieszkałem natenczas w klasztorze naszym wileńskim; pasterz ten względnym był dla mnie, i dozwalał mi częstego do siebie wstępu, a więc gdy zachorował, i gdy poznano, że już nie wstanie z łóżka, pośpieszyłem doń, abym choć nieudolną posługą moją około niego okazał mu wdzięczność moją i błogosławieństwo jego otrzymał. Chwile jego były policzone; on sam czuł to i poznał, ale przytomność i spokojność umysłu nie odstępowały go. Modliliśmy się przy łożu jego! Och! jakże gorliwie i szczerze modliśmy się! On, póki mu siły pozwalały, modlił się razem z nami; gdy choroba zmogła w nim głos i piersi, natenczas w milczeniu złożywszy ręce do pacierza słuchał nas, i wznosząc oczy na obraz Zbawiciela na przeciw umieszczony, tonął, że tak śmiało powiedzieć mogę, w Bogu i w wieczności.

Nakoniec czując się coraz słabszym, kazał przenieść siebie na szerokie poręczowe krzesło, a zawołać wszystkich swych służących; przyszło ich kilkunastu; spojrzawszy na swego dogorywającego ojca, bo takim był on dla nich rzeczywiście, padli oni na kolana. Łzy potoczyły się po wybladłem licu pasterza.

— „Dziatki moje, rzekł on, umieram. Dziej się święta wola Boska! Ale nim umrę, chciałem was wszystkich pożegnać, pobłogosławić, podziękować wam za wasze wierne usługi, i prosić was byście mi odpuścili i darowali, jeżeli któregom z was obraził lub skrzywdził... nie z namysłu lub ze złości, świadczę się Bogiem

przed którym wraz stanę, ale jeżelim zgrzeszył jako człek ułomny, darujcie mi dziatki moje! proszę was, błagam was, darujcie dla miłości Pana Boga!"

Natenczas płacz rzewny rozległ się w około: starsi i równowieczni z panem słudzy jego, przez całe życie będący przy nim, więc przywykli doń i poufalsi, pełzali na klęczkach i całowali mu ręce.

— „Wstań, rzekł on, do stangreta swego, wstań Adamie i chodź ku mnie.

„Rok temu czy więcej, gdym cię ukarał, zasadzając na trzy dni na chleb i wodę"...

— Bo wart tego byłem jaśnie wielmożny panie, przerwał chlipający Adam, bo wart tego byłem! Cały tydzień piłem w zapor; to jakieś dopuszczenie Boże było na mnie, nie było nawet komu zawieść jegomościa do katedry.

— „To prawda, wszystko to prawda, mówił biskup, chciałem ci obrzydzić twój nałóg, a jednak nie umrę spokojnie, nim cię mój stary sługo nie przeproszę. Więc przebacz mi poczciwy Adamie! daruj!..."

— A daruję, dalibóg, daruję, choć niema czego.

— „Dajże mi rękę na zgodę."

Adam podał rękę..., i nim się opamiętał, biskup podniósł ją do ust swoich, i kilkakrotnie ucałował.

Stangret oderwał rękę, jakby z żaru, i rycząc z płaczu, padł jak snop do nóg biskupa.

Wszyscy my zdumieni i rozrzewnieni do głębi tym czynem pokory chrześcijańskiej, a właściwiej, powiem Chrystusowej, poczuliśmy się jakby ogarnięci świętością jakąś, promieniejącą z oblicza tego prawdziwego namiestnika Chrystusa *).

— Dzięki ci, ks. kustoszu, rzekł prezydent, za ten obraz uroczysty razem i święty; bogdajby on służył przykładem i wzorem, zwłaszcza w naszym wieku, gdy pokora wśród chrześcijańskiego nawet dążenia społeczeństwa, nie jest wszakże cnotą przodkującą mowom i czynom naszym.

— Oh! bo to najtrudniejsza cnota, panie prezydencie dobrodzieju, rzekł kustosz; może tylko jeden bernardyn kwestarz bywał pokornym, albowiem duma i prośba wzajem sobie nie przystają; ale i ten odcinał się zwykle, gdy go już bardzo poniewierać chciano, w codziennem zaś towarzystwie ludzkiem nie dojrzysz jej prawie nigdzie; a przeciwnie co krok trącać się przychodzi o szorstką i twardą skorupę miłości własnej i pychy, pod którą jak pod tarczą żółwia słabota i głupstwo się tai.

Pokora prawdziwa nigdy i nikogo nie poniżyła, bo obok nie

*) Opisanie tego prawdziwego czynu zeszłego ks. biskupa Cywińskiego mniemam, że nie jest właściwem w Obrazach Litewskich. (*P. W.*)

idzie zawsze szlachetna prawda, która ją podnosi. Pycha jest chorobą chroniczną rodzaju ludzkiego, nazwania jej rozmaite: duma, zarozumiałość, próżność; są to objawy tejże samej choroby, mniej więcej sobie podobne w codziennem życiu, a religia jednym wyrazem pychy, i jednem piętnem grzechu śmiertelnego ją oznaczyła. Siedlisko jej w głowie, *antidotum* w sercu, po które jednak nigdy prawie nie sięga człowiek, bo to jest głównym symptomatem tej choroby, że im kto bardziej chory, tem się zdrówszym być sądzi.

— To jest, przerwał ks. jubilat, *subintelligitur* *) po prostu, że im kto głupszy tem dumniejszy.

— *Praeter propter* tak **), kontynuował ks. kustosz, aleś zredukował definicye moje na bardzo pospolity choć prawdziwy wniosek. Nie ku temu ja przecież zmierzam, chcę bowiem powiedzieć, że twoja, prezydencie, procesya postępowa, ma swój także lazaret, pełny chorych moralnie i ciągnie go za sobą. Panująca w nim słabość jest właściwie pycha i zarozumiałość, a zarażonych nią najwięcej ludzi z młodego pokolenia, któremu, jak powiedziałeś prezydencie, przyszłość nasza powierzona. Zwykłe to wprawdzie w każdym wieku wady młodości, ale w naszym, choroba ta dosięgła tak wysokiego stopnia, że bogdajby nie oznaczyła nas w potomności swą cechą, barwą i skutkami.

— Ale, księże kustoszu dobrodzieju, rzekł prezydent, z ogólnych obrazów wieku i towarzystwa, schodźmy zawsze do siebie samych podobni do wędrowca, który przebiegłszy obce kraje do własnej wraca zagrody i w niej się rozpatruje. Można bowiem napisać całą księgę ogólników bardzo mądrych i sprawiedliwych, której nikt przecież do końca niedoczyta, można w najdłuższem kazaniu zebrać wszystkie moraly i najświątobliwsze sentencye, a nikogo jednak nie nawrócisz, ani wzruszysz, jeżeli nie trafisz w serce słuchaczy. Aby nas przekonać, leczyć i poprawiać, potrzeba trafić jak w cel, w nas samych; to jest, obudzając w każdym głos sumienia i prawdy, z nim się w naukach jednoczyć; natenczas, i tylko natenczas, skutek niezawodny, bo niemasz sprawiedliwszego trybunału nad czynami naszymi, jak ten, od Boga w duszy ludzkiej ustanowiony..

—Wychodzisz i sam na ogólniki, panie prezydencie dobrodzieju, przerwał wzajemnie ks. kustosz uśmiechając się.

— Tak, ale z tych ogólników wniosek, mówił prezydent, abyś symptomata chorób moralnych nie po całym świecie, ale w naszej własnej młodzieży badał, i z niej wybierał kandydatów do twojego lazaretu. Ciekawy jestem czy ją znasz dobrze? i nakoniec jeżeliż mamy być współautorami brata Rafała, pożytecznymi dla czytelników i obyczajów naszych, mówmyż *ad hominem*.

— Czy ja znam młodzież naszą? przerwał potrząsając głową kustosz, o znam ją, znam, panie prezydencie! znam ją i kocham...

*) Rozumie się.

**) Mniej więcej.

a dla tego właśnie, że kocham, tem goręcej pragnę jej udoskonalenia i dobra.

Niedawno powiedziałeś, panie prezydencie, że jest młodzież i młodzież; domyślna to różnica, ale rzeczywista i oczywista... a przywiodła mi na pamięć dawną z jakiejś małej komedyjki piosenkę, którą śpiewał niegdyś towarzysz młodości mojej, dziś stary jako i ja, a setką mil od Litwy oddzielony; zapomniał on jej może, lecz ja i piosenki i śpiewaka nie zapomniałem.

Na scenie, stary legionista powraca po długiem oddaleniu do rodziny, i zapytany co widział na obcej ziemi? odpowiada:

„Widziałem rodaków wielu,
Co nad brzegami Sekwany.
Nauki mając na celu,
Im każdy z nich był oddany.
Żądając tego jedynie,
Być czynnym w każdej godzinie,
Korzystać w każdym rodzaju,
Nabierać światła i sztuki,
A wziąwszy różne nauki,
Roznieść je w ojczystym kraju!
Widziałem grono nie małe;
Są to próżniacy, wietrznicy,
Których zatrudnienie całe,
Zbijać bruki po ulicy.
Szafując wspaniale złotem,
Które ojciec zbierał z potem;
A zwiedziwszy cudze kraje,
Wnoszą na ojczyzny łono,
I szkatułę wypróżnioną,
I zepsute obyczaje!"

— A dalibóg, ks. kustoszu, rzekł prezydent, widocznie sam skoncypowałeś te wierszyki, patrząc na nasze każdo-wiosenne emigracye litewskie do Paryża.

— Nie, nie, prezydencie, jest to jedna z pamiątek świeckiej młodości mojej; wszakże i dziś mogłaby pożytecznie być wpisaną do memorandum każdego młodego wyjeżdżającego za granicę, aby pamiętał, co ma tam zbierać i z czem do kraju wrócić.

— Jest to dowolna dygressyjka, ks. kustoszu dobrodzieju, rzekł ks. kaznodzieja, wprawdzie stosowna *ad rem tractandam*, ale nie odpowiadająca na ciekawość pana prezydenta, czy znasz młodzież dzisiejszą i jej defekta?

— Prawda, mówił kustosz, prawda tem prawdziwsza, że wietrznictwo ówczesnej młodzieży, nie jest wadą dzisiejszej. Natenczas płynęło ku nam z zachodu, jakeśmy to już nieraz powiedzieli, niedowiarstwo, bezbożna filozofia, bezrozumne trzpiotalstwo, z materyalnem zepsuciem i wzgardą wszelkiej towarzyskiej

moralności połączone. Teraz młodzież, albo jak pan nazywasz, młode pokolenie, wzięło za godło pracę — bardzo pięknie! ale obracając ją ku osobistym jedynie widokom i korzyściom, jedzie do obcych wrzekomo dla doskonalenia się i przyswojenia coraz tam nowych i coraz pożyteczniejszych wynalazków, a w rzeczy samej nasiąka i w praktyce uczy się egoizmu racyonalizmem usprawiedliwiającego się, mając już w sobie samej rolę dobrze usposobioną do przyjęcia tego zgubnego zasiewu.

Bo też pobłażliwy pogląd dzisiejszy na młodzież naszą, wprowadza ją od razu na fałszywą drogę; od razu bowiem przyswajają sobie młodzi ludzie prawo dyktowania praw towarzystwu; od razu sądzą się dojrzałymi, i sto razy mędrszymi od swych ojców, których doświadczeniem gardzą, a przestrogi poniewierają, i pychą ze swej mniemanej doskonałości nadęci, razem i pierwszym grzechem śmiertelnym się obciążają, i czwarte przykazanie gwałcą. Nigdy tyle co dziś nie napisano książek duchownych i moralnych dla dzieci i młodzieży poświęconych, a nigdy towarzystwo nie było bardziej materyalnem; nigdy związki rodzinne i domowe nie były tak wątłymi. Dziecko wyrasta na młodzieńca, i wnet dom rodzicielski ciasnym jest dla niego, wnet mu się obrzydzają proste a poczciwe obyczaje rodzinne; obrzydza mu się ziemia, która go wykarmiła, wnet przymus by najmniejszy, choćby władzy najłagodniejszej pana ojca a dziś papy, ciąży mu; idzie więc w świat gonić i wrażać w siebie teorye i utopie uczące ludzi co się im od towarzystwa należy, ale nie tego co się wzajem należy od nich towarzystwu. Pragnie on powszechnej dyscypliny ubezpieczającej ich przeciw innym, ale nie obowiązków, któreby ich zmuszały do uległości dla dobra innych: słowem, wchodzi właśnie do owego lazaretu postępowego naszego wieku, o którym powiedziałem wyżej.

— Mówiłeś, ks. kustoszu, odezwał się ks. kaznodzieja, o klasie wyższej, bogatszej i oświeceńszej narodu; ale jest plaga, która padła na klasę uboższą, nie tyle zamożną, która nie z systematu utylitarności, ale z potrzeby pracować musi, której synowie idą także w świat szukać nie chleba, ale pieniędzy. Chleb jest to rzecz bardzo prosta, bardzo poczciwa; nasyca ale nie pokusza, uspakaja głód, ale nie podszcza żądzy ani namiętności, i poczciwą też pracą łatwo zarabiać się daje; pieniądz przeciwnie, wzbudza pragnienie, a nie zaspakaja go, owszem coraz je powiększa, tak jak każde pragnienie gorączkowe. Bóg też mając na pieczy dobro człowieka, którego stworzył, rozsiał ziarna na powierzchni ziemi, a kruszce zachował w jej głębi, aby nie łatwo mu było dostać się do tego materyału wszelkiego zła na świecie.

Prezydent uśmiechając się przerwał: — retoryczny to ks. kaznodziejo i dowcipny domysł zamiarów Stworzyciela, ale do czegoż zmierzasz?

— Oto do tego, prezydencie, że gdy młodzież nasza, jedna w wyższem usposobieniu i polocie grzeszy dziś pychą, to druga

niższego chóru, chciwością czyli łakomstwem na grosz cudzy, a źle nabyty.

— Znowu grzech śmiertelny, odezwał się ks. jubilat; jak uważam multyplikujecie pekkatorów obficie!

— I tu z pod słomianej strzechy, kontynuował kaznodzieja, nie zważając na tę przerwę, z okolic naprzykład lub z dworków szlacheckich wyrywa się młody chłopiec, kosztem ciężkiej ojcowskiej pracy wychowany, i wpada między ludzi jak cygan na kiermasz. . . Pracę poczciwą, szlachetną i uszlachetniającą, znalazłby każdy i we własnym domku, bo gdzież jej człowiek nie znajdzie, gdy w prawości serca i szczerej chęci ująć się jej zechce? Praca za stolikiem czy za pługiem, czy około pługa, gdy jest cnotliwą i szczerą, jednostajnej jest wartości, i jednostajnego dla społeczeństwa pożytku; ale pogardza on tą ostatnią, a skwapliwie chwyta się pierwszej, bo z niej miły grosz rychlej i rzeźwiej płynie, a mówiąc słowem zrozumialszem i jak powiadasz, panie prezydencie, *ad hominem*, taka młodzież ciśnie się zwykle do kancelaryj popychana nawet przez swych własnych rodziców. Słyszałem nie jednego ojca cieszącego się, jak ów jw. *vice*, z umieszczenia syna w jakiejś juryzdykcyi i mówiącego jak tamten: „pensyjka wprawdzie nie wielka, ale są z boku akcydensiki, któremi się on kieruje.“ Otoż te nieszczęśliwe akcydensiki kusząc go codzień do grzechu przeciw siódmemu przykazaniu, stają się nałogiem, to jest drugą naturą, i demoralizują wielką liczbę młodzieży, która jako nie skrępowana stalszymi miejscowymi obowiązkami, mogłaby właśnie składać klasę administracyjną, lub gospodarczą dla narodu; ale na to głównie potrzeba, aby była poczciwą. Tu gangrena idzie z dołu, wtenczas gdy z góry ciśnie nas mgła jakaś niefortunną przyszłością brzemienna.

Zaczepił się i brat Rafał o tę kwestyę u jaśnie wielmożnego *vice*, i dał nam treść do teraźniejszej rozmowy: cieszy się tam dorobkowicz, że synek idzie po tej samej drodze, która się jemu tak szczęśliwie poszykowała.

Po krótkiem milczeniu, zabrał głos pan prezydent, ów modyfikator opinij naszych patrów.

— Obaj kochani ojcowie, rzekł on, zgodzilibyście się zapewne na wyjątki w waszych ogólnych obrazach, ale ja zgodzić się nie mogę, bo *nego majorem* chociaż *concedo minorem* *), mości dobrodzieju: to jest zgadzam się na trafność i prawdziwość waszych spostrzeżeń w towarzystwie, ale ja liczę je właśnie za wyjątki; ogół zaś innym być sądzę.

Nie będę mówił o młodzieży niższego chóru, jak ją nazywasz, ks. kaznodziejo, lubo jej liczba mnoży się codzień niestety, chociaż ich wszystkich nie do lazaretu postępowego, ale do domu poprawy odsyłać by należało, lecz się zastanowię nad tą młodzieżą naszą, która wyższa światłem, pojęciem i dostatkami,

*) Tłumaczenie na początku tej książki.

odziedziczy po nas, a nawet teraz zagarnia duchową i moralną wśród nas przewagę. Przypatrzmy się jej, tylko przypatrzmy się bez uprzedzenia, przypatrzmy się gasząc i w sobie samych popędy do wkorzenionej w nas samych dumy i pychy, do której z wieku i doświadczenia mniemamy mieć prawo. Były zawsze obyczaje młodzieży różniące się od starych wiekiem, niekiedy jako i dziś epoką czasu; i dla tego napisano tyle książek o młodości i młodzieży, że z nich liczne biblioteki złożyćby można; lecz my ściągamy wszystko do jednego naszego narodowego mianownika, i do czasu, w którym żyjemy.

Najprzód, gdzieżeś dziś widział młodego człowieka bezbożnego, a przynajmniej niedowiarka?

— A zdarza się, panie prezydencie, zdarza się, odpowiedział kaznodzieja.

— Zdarza się, mówił dalej prezydent, więc to wyjątek.

Gdzieżeś widział młodego człowieka, któryby ci przewrotne i swemu przekonaniu kłamiące objawiał ideje? Ideje te bywają częstokroć przesadzone, rażone błędami wieku, niebezpieczne lub niepraktyczne, ale nigdy chytre, nigdy samolubne, a zawsze szlachetne, zawsze z poświęceniem się własnem, zawsze z ofiarą i ogniem, jaki się nigdy nie zapali w człowieku zużytym lub zepsutym; młody jest nieraz ślepem narzędziem, ale nigdy rozmyślnym złego promotorem.

I w rzeczy samej zdarzało mi się niejednokrotnie zbadać głębiej młodych ludzi deklamujących z zapałem najekscentryczniejsze teorye, i doszedłem z zdziwieniem i ze zgrozą nawet, że teorye te i pomysły natchnięte im i podpowiadane były, jak studentom na lekcyach, przez ukrywających się za nimi chytrych suflerów, łudzących ich pozorami dobra, w istocie zaś własny a nie społeczny interes mających na celu. Ale objaw powszechnie jaką ideę piękną, pożyteczną, chrześcijańską, szlachetną, dobroczynną, a zobaczysz jak się około niej skupi zacna młódź nasza; i gdy dojrzalsi będą się zastanawiać, rozważać, stosować, młódź ochoczą pracą skutek jej przyśpieszy. Dla tego ją nie lazaretem postępowym, ale raczej przednią strażą postępowej krucyaty, dążącej dziś jakem to powiedział, do powszechnego chrześcijańskiego kościoła nazwaćby należało.

Przednia straż niekarna, krnąbrna, nieroztropna, zarozumiała w sobie, często się unosi i ginie . . Ale i natenczas doświadczeniem i rozwagą główny korpus wzbogaca.

Tu podano panu prezydentowi bilet; przebiegłszy go, — przybyli do mnie, — rzekł on, goście; muszę wnet odjechać: maszże jeszcze bracie Rafale dalszą kwestę?

— O mam, mam, odpowiedziałem wskazując mój sekstern.

— Fatygujemy cię, łaskawy nasz prezydencie dobrodzieju, odezwał się natenczas ks. kustosz.

— I owszem, rzekł prezydent, i owszem; nigdy nie przy-

krzy mi się miłe towarzystwo, i rozsądny, a umiarkowany rozbiór kwestyi tak interesujących.

— A więc, rzekł kustosz, we środę fest zwiastowania Najświętszej Panny Maryi; racz prezydencie dobrodzieju, przyjąć po onegdajszemu naszą bernardyńską porcyę, a potem lektura.

— Zgoda, odpowiedział prezydent, i pożegnał nas.



Colloquium piąte.

XVI.

Wstąpił dziś na ambonę nasz ks. kaznodzieja; otoż, pomyślałem w duchu, wypali on nam swoje kazanie przeciw postępowi, ale widać zmoderował się w zdaniu po słowach pana prezydenta i wcale się inaczej zwrócił.

Ma to do siebie nasza święta Ewangelia, że z którejkolwiek karty zaczniesz ją rozważać lub tłumaczyć ludziom, zawsze i łatwo trafisz do wszystkich cnót na świecie, a szczególniej do miłości Boga i bliźniego, na czem cały zakon i prorocy. Otoż ks. kaznodzieja wysławiając pokorę Przeczystej Dziewicy, i tekst ten z którego zaczął kazanie: „Oto ja służebnica pańska, niech mi się stanie podług słowa twego“ wymownie i pokilkakrotnie w różnych obrótach powtórzywszy, napadł *e contra* na przeciwny grzech tej cnocie, na pychę. Tu już poznałem że *colloquia* nasze weszły aż na ambonę, i tem uważniej słuchałem, spostrzegłszy w ławkach i pana prezydenta zwróconego ku kaznodziei i pilnie weń wpatrującego się

On, pognębiwszy i na wieczne potępienie skazawszy pychę, żywcem już wziął sentencyę ks kustosza: „Bracia, mówił, siedlisko tej śmiertelnej choroby duszy naszej jest w głowie, lekarstwo na nią w sercu! rozum to nasz ludzki, im słabszy tem zarozumialszy zaślepia nas. Rozum, geniusz nawet, bez wiary, jest tylko obraźliwą miłością własną; a wiara bez najgłówniejszej tej cnoty, bez miłości jest tylko natrętnem domaganiem się u Boga niezasłużonych darów i dobrodziejstw.“

— Oho, pomyślałem znowu, dalibóg trafi do „kochajmy się“ A więc wiara i miłość bracia moi, a w nich i z nich rodząca się nadzieja, idzie jako trzecia cnota czyli łaska niebios wskazująca, że kto ma w sercu dwie pierwsze, ten ufać może i w trzecią, tak w teraźniejszym doczesnym żywocie, jako i w wieczności. Amen!“

— No, gładko zakończył, rzekłem sobie.

Zeszliśmy się więc po obiedzie u ks. kustosza.

— Winszuję ci, szanowny nasz kaznodziejo, rzekł prezydent po przywitaniu się, twojej dzisiejszej nauki. Postępowe kazanie, mości dobrodzieju, postępowe.

— *De tuis donis, tibi offerrimus* *) odpowiedział uśmiechając się ks. kaznodzieja.

— *De colloquiis nostris, de colloquiis reverendissime!* odpowiedział prezydent, i mówił dalej:

— Jedną z najpiękniejszych misyi na świecie, której często zazdroszczę, jest to nauczać głośno w świątyni Pańskiej lud cnoty i prawdy. Misya ta święta, nie jest dość pojmowaną przez wypełniających ją, mówię to w ogólności, gdyż szczęśliwych, pełnych gorliwego zapału, namaszczenia i talentu kapłanów i kaznodziei, mamy chwała Bogu niemało, którzy tę misyę spełniają z prawdziwym dla dusz wiernych pożytkiem, pojmując ten wyraz głębokiego znaczenia: Misya!

— Ach! panie prezydencie, odezwał się ks. kustosz, dziś czy nie zanadto już misyonarzy? bo każdy zwłaszcza autor potrzebnej czy niepotrzebnej książki, każdy szczególniej poeta, zasługujący na to imię, czy nie, każdy nakoniec, który chociaż jeszcze nie pisze, ale przygotowuje się na przyszłego mędrca i nauczyciela prozą czy wierszem, przyznaje sobie misyę nadziemską, ogłasza się posłańcem natchnionym, wieszczem; a co za tem idzie, mającym prawo do części chwały i wysokiego dostojeństwa w narodzie; tak dalece, że słowo to misya spowszedniało dziś jak modna czapka na wielu głowach na bakier wrzucona. O zaprawdę, panie prezydencie, są to wszystko kandydaci do mojego lazaretu, zwłaszcza że zwykle łączą w sobie i główną chorobę wieku, zarozumiałość czyli pychę, którą dziś ks. kaznodzieja tak na ambonie wychłostał; a napełniliby ten lazaret ludno, bo więcej bodaj teraz natchnionych geniuszów, niżeli prostych poczciwych ludzi, to jest autorów i poetów, niż czytelników.

— Masz słuszność, kochany kustoszu, rzekł prezydent; ale bo nic bez ale na tym Bożym świecie.

Pracować nad powiększeniem szczęścia człowieka, to jest nad ulepszeniem i udoskonaleniem jego samego, bo jedno idzie za drugiem, i jak nie ma prawdziwie doskonałego, tak i prawdziwie szczęśliwego nie ma, jest, zda mi się, szczególnym obowiązkiem tych, którym natura dała większą łatwość pojmowania, myślenia i przekonywania innych, to jest przeznaczyła ich na nauczycieli, a prosto mówiąc na autorów, a że takim ludziom zwykle wlaną jest i ochota rozpowszechniania swych myśli, więc tem samem w zarodkach swej natury mają oni misyę do ludzi i dla ludzi.

Lecz tu rzeczywiście jest wielu wezwanych, a mało wybranych, bo jakże mało objawia się na świecie ludzi prawdziwie zdolnych przerzucać imię swoje aż za wieki, i wrazić je nie tylko współcze-

---

*) Z twoich darów, tobie ofiarujemy.

snym głęboko w usta i w serca, ale aby i rodzące się pokolenie już je do przyjęcia także w usta i w serca, gotowem znalazło.

W dziewiętnastym wieku, pióro wydało otwartą walkę wszelkiej potędze, i zwycięża każdą; ale do tej walki gromadząc liczne kohorty i zepewniając im żołd sowity, nawerbowało ludzi rozmaitych, pożytecznych i szkodliwych, zdolnych i niezdolnych, prawych i zepsutych; którzy nie rozumiejąc czy nie chcąc rozumieć interesów ludzkości, z najszlachetniejszego i najdostojniejszego literackiego zawodu, utworzyli zawód rzemieślniczy, handlujący płodami myśli i wyrabiający towary, jakie w danym czasie, i w danem usposobienie powszechnych wyobrażeń, na rynkach umysłowych całego świata najlepiej się popłacają..

— Chrystus wygnał ze świątyni Salomona kupujących i sprzedających, przerwał kustosz.

— Brawo ks. kustoszu. *ad casum* rzekłeś, kontynuował prezydent, zdaje się nawet, że to wygnanie spełnia się już stanowczo, jeżeli się nie spełniło; towar spadł na cenie, bo kupujący poznali się na gatunku.. Ale nigdy odmiany ducha czasu tak widocznie i raptownie nie następowały po sobie jak dzisiaj, gwoli im piszący odmieniają front swojego szyku, i przed ludźmi poświęconymi wyższym pojęciom, mającymi lub mniemającymi mieć w takiej lub owakiej formie misyę oświecania ludzi, i zaspakajania upragnień ich duszy, występują dziś specyaliści pracujący nad przymnożeniem środków ulepszających byt materyalny ludzi; i ci ostatni przeludniają pierwszych.

W głębsze wszakże rozwagi nad literaturą dzisiejszą powszechną zaciekać się nie myślę; kto śledził i zna jej ruch i rozwój, niech te kilka ogólnych spostrzeżeń do szczegółów zastosuje; mniemam że je mylnemi nie znajdzie; ja bym tego i niepotrafił zapewne.

— Ocho ho, u pana taka biblioteka, odezwał się ks. jubilat, tyle książek; co za dziw, że jegomość dobrodziej taki mądry, choć na profesora! może co i piszesz?

Prezydent uśmiechnął się po swojemu, a uśmiech jego zawsze wychodzi na Salomonowe tak i nie.

— Co do nas, rozpoczął znowu prezydent, powiedziałem onegdaj, że zło i dobro słabszym tu zawsze od zachodu przenika promieniem; takim więc promieniom uległo i piśmiennictwo nasze, nim się między nami zażegło własne ognisko, i czystem światłem nie uderzyło w oczy. O tem już mówiliśmy, a lubo u nas chwała Bogu, na rzemiosło nie wyszło, lecz w każdym razie na swojej nawet pracując niwie, i z własnych treści piszący nasi nie mogą się odjąć wpływowi powszechnych idei, tak łatwo dziś i szybko z wiatrem, powiedzieć można, roznoszących się po całej kuli ziemskiej. Stąd godło czy piętno czasu odbijać się musi koniecznie i w piśmiennictwie naszem, rozmnożonem dziś w książki i niezliczone rozprawy, w przedmiotach pożytecznych wprawdzie, ale tyczących się po większej części chleba naszego powszedniego; i u nas więc jak i wszędzie, talent ustępuje w cień, a naprzód interesowana utylitarność.

Niedawno autor nasz znakomity, umiejący dostrzedz przenikliwie wszelkie odcienie i zmiany, na jakie się zanosi w towarzystwie, jedną ze swych powieści przedstawiającej niedorzeczność tych egzagerowanych i nieuważnie stosowanych teoryj obcych ekonomicznych, najście do naszego kraju, zakończył wołaniem: „Nie zabijajcie ducha!“ *).

Wołanie to, pojmują pewnie w każdym względzie ci, których głos wewnętrzny pobudza, a talent usposabia i ułatwia pracę, powtarzam, nad powiększeniem szczęścia człowieka przez udoskonalenie jego samego, a nawet nad przysporzeniem mu miłych wrażeń, osładzających nieraz gorzkie godziny życia. Takich ludzi mamy chwała Bogu nie mało, pojmujących swoją misyę. . .

— Po co się krzywisz, ks. kustoszu? zdaje się żem wytłumaczył, co przez ten wyraz rozumiem; a dodam jeszcze, że próba czy ją ma autor lub poeta rzeczywiście, jest łatwą i zrozumiałą dla czytelnika, niech tylko w jego pismach i życiu, szuka śladów jego uczuć osobistych, których pod zewnętrzną formą dzieła czy życia, ani autor, ani człowiek nigdy tak ukryć nie zdoła, aby się dostrzedz nie dały. Każde bowiem dzieło powinno być wyznaniem wiary autora, a życie jego praktyką tej wiary.

Jeden z piszących dzisiaj, w poufnej niedawno do mnie korespondencyi, tak się wyraził:

„Pamiętaj bracie krzewić cnót wzory,
Poczciwych naszych naddziadów,
Wskazywać mądre życia ich tory
Obrazem żywych przykładów.
Serca poruszać tkliwem wspomnieniem,
Miłością ludzi je poić;
I tej miłości łagodnem tchnieniem
Gorycze życia ukoić!

Ku temu słabe me pióro wiodę,
To godło myśli mych stałe,
I od mych ziomków chcę za nagrodę,
Osiągnąć miłość — nie chwałę!“ i t. d.

Kto więc szczerze te dwa ostatnie wiersze wyznać, i położywszy rękę na swem czystem sercu, zastosować je do siebie może, taki nosząc w niem szczerą miłość dla ludzkości i braci, a w dziełach swoich jakiejkolwiek treści, nauczając jej, i dowodząc własnym przykładem **), taki mówię, może osiągnąć ich wzajemność, wdzięczność i szacunek. . . a jeżeli i zawiedzie się w tych swoich najdroższych nadziejach, co jednakże w zdrowej części narodu stać się nie może, to przynajmniej umrze spokojny, że spełnił swą misyę na ziemi.

---

*) Kraszewski — Dwa Światy. Powieść.

**) Niech ten co o cnocie gada,
Sam także cnotę posiada!
Leon Borowski. — Nota wydawcy.

Wszyscyśmy umilkli.

— No, bracie Rafale, odezwał się przerywając to milczenie prezydent, za długośmy się rozgawędzili, teraz na ciebie kolej. Czytaj ciąg dalszy twej kwesty.

Wziąłem się więc do czytania i zacząłem:

„Rok tysiąc ośmset trzydziesty... Ks. kustosz odebrał mi z nagle rąk raptularz, i ołówkiem, którym notacye swe przez cały ciąg naszych *colloquii* robił, podpisał: koniec.

— Jak to koniec! rzekłem zdziwiony. Oto pięknie! jeszcze tak wiele zostaje historyj; toż jeszcze powrót brata Piotra z za rzeki Sambatie i wielu innych okoliczności i ewentów mojej peregrynacyi.

Ks. kustosz powtórzył:—Koniec.

ZAKOŃCZENIE
OBRAZÓW LITEWSKICH.

Dopisawszy ostatniej kartki tego tomiku kończącego moje Obrazy Litewskie, złożyłem pióro... i spojrzałem na cały ich zbiór z zadowoleniem, obejmującem zwykle każdego pracującego, po ukończeniu pracy. Z rozrzewnieniem i wdzięcznością, myślałem o pobłażliwem przyjęciu ziomków, tej mojej dla nich ofiary, i tkliwem, a jakby ostatniem wspomnieniem żegnałem się ze snującemi się po mojej wyobraźni osobami, pod których to opieką, lub wpływem, pielęgnowała się niegdyś młodość moja, i których z za grobu, po kolei do siebie wzywałem na wzory cnót i obyczajów ojców naszych, mających być przykładem nam i potomkom...

Lecz czyliż pisma te moje, dojdą rąk potomków? Czyliż mają dość wartości i wdzięku, aby odpowiedziały pospolitemu godłu *utile dulci* *), ale najwłaściwszemu każdej podobnej książce, i zapewniającemu jej długotrwałą między ziomkami pamiątkę. Czyliż trafię do serc wszystkich? Wszystkich! ... to niepodobna! do serc przynajmniej wybrańszych, niezarażonych wpływem mętnych idei, i takich którym cnoty naddziadów, ich wiara i prostota mi są i drogiemi, którzy je pielęgnować we własnych sercach pragną, i którzy pojmą i uczują, że pisząc te obrazy, za każdym prawie wierszem, sercam się także swojego radził. Serca, w którem miłość przeszłości poczciwej, z gorącem życzeniem dobra moralnego dla współczesnych ziomków, ściśle połączone.

Ta wątpliwość, to przygnębiając moją miłość własną, to na niej wsparta chyląc się ku nadziei, znużyła niepewnie myśli moje, jakby ojca usiłującego odgadnąć przyszłe losy ulubionych swych dzieci. Znużenie to objęło ciało i duszę: pierwsze usnęło, druga nie przestała marzyć jakby na jawie...

---

*) Pożytek z przyjemnością.

I ujrzałem się w domu mojego dziadka.

Taż sama nizka strzecha, też okna różnoszybne, ten ganek staroświecki i od niego w różne strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa *). Ten ogródek zakwitły pod oknem w siarczyste goździki i nagietki, zdobiące dawniej w niedzielę i uroczystośćie głowy wiejskich dziewic i ramy świętych obrazów w pokojach. . .

Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości jeszcze pochyliło.

Dzień się zniżał ku zachodowi, i w oddaleniu dawał się słyszeć odgłos dzwonu kościelnego; a bliżej w domku jakby zaczynane i przerywane znowu tony i słówka dawnych piosnek, to pobożnych, to światowych, których echa odzywały się w przeszłości mojej. i które pamięć moja i serce kończyły . .

A co najbardziej, tenże sam krzyż, pod którym tylekroć za dziadkiem moim, proste a gorące odmawiałem paciorki i pod którym teraz. . . jego samego ujrzałem!

Siedział na kamieniu w tej postaci, jak go raz ostatni za życia widziałem; oparty na nieodstępnej swej podporze, kiju prostym, mosiężną skówką pokrytym, zdawał się życzliwem okiem spoglądać na mnie, zbliżającego się ku niemu nieśmiało. . .

— Czegoż się trwożysz moje dziecię? rzekł on, chodź do mnie po dawnemu i usiądź obok, a niespokojne twe myśli zbierz w jedno westchnienie do Boga, o szczęśliwy skutek usiłowań twoich

Czas wielkiej próby przyszedł na plemię wasze, moje dziecię; zepsucie otacza was zewnątrz i weszło wewnątrz was, i trawi tam wszystkie wasze cnoty rodzinne, przy których gdybyście w tej próbie wytrwali, wyszlibyście z niej z niepokalaną duszą, czystą i usposobioną do wszelkich odmian i wypadków, jakie czas spełniający przeznaczenie Boskie, na ten świat sprowadza!

Dla czegoż ten domek mój, w którym cię wypielęgnowałem, stoi dotąd mocno, trwale? bom go na dawnych i odwiecznych fundamentach postawił; bo ich nie wzruszyłem z głębi ziemi, do której wrosły; bo ich nie zastąpiłem kruchą i niewytrawioną gliną, którąby się już dawno rozsypała i domek by mój upadł!

Wieki i lata przemijają moje dziecię, a w nich zmieniają się myśli ludzkie, zamiary, postanowienia, nadzieje i losy . . Ale są rzeczy i zasady, które się nigdy zmienić nie mogą, których płoche usiłowania ludzkie nie wzruszą, bo one są pod opieką Ducha Bożego, który jest duchem prawdy wieczystej i nieodmiennej. Którego my wyznając i wielbiąc w szczerości serca i duszy, prostaczkowie w porównaniu z waszem rozumnem pokoleniem, nie odstępowaliśmy właśnie tych odwiecznych zasad jego mądrości danych ludziom, dla ich prawdziwego tu na ziemi i tam w niebiosach szczęścia. Nie poniewierajcie więc przykładami naszymi.

---

*) Domek mojego dziadka.

W doskonałości waszej coraz jakoby wyższej, którą się chlubicie, nie zapominajcie że my, w gorliwej wierze naszej, w cnotach z niej wypływających, to jest, w miłości powszechnej i braterskiej między sobą, w skromnej mierności i prostocie domowego pożycia, a w szlachetnej prawości postępków, znajdowaliśmy tę swobodę i spokojność umysłu; w biedach i przygodach, to zaufanie w opiekę i wolę Boską, jakich wy, w głębokich dociekaniach waszych i w wątpliwem mędrkowaniu, nigdy nie znajdziecie!. . .

—Ot co jest! prawda, panie strażniku dobrodzieju, ot co jest...

Zwróciłem oczy i ujrzałem stojącego obok, znajomego mi opisanego w Pamiętnikach kwestarza, ks. kustosza bernardyńskiego.

— «Wy zaś skryptorowie, mówił dalej dziadek mój, którzyście przedsięwzięli nauczać ziomków waszych, i którzy bronicie pamięci, obyczajów i przymiotów naszych, stójcie jak dawniej my szlachta na granicy dyfferencyi, aby napastnik i uzurpator ani kroku za nią nie stąpił. Stójcie i strzeżcie tak, aby obca, zła i niechrześcijańska zaraza, nie wzmogła się coraz nowymi posiłkami i nie wyrugowała do reszty z serc wszystkich, rodzinnej poczciwości waszej. A póki skryptury i księgi wasze, z taką miłością czułą i serdeczną, i z takiem życzeniem dla braci waszych pisać będziecie, z jakiemi stary dziadulek naucza katechizmu swoje małe wnuczęta i broni je od zgorszenia; z jakiemi naprzykład ja ciebie nauczyłem, póty nie lękajcie się Zoilów, bo

„Nie zginie wiecznie żywa
Święta Chrystusowa wiara!
Nie zginie mądrość prawdziwa,
I poczciwość nasza stara!“

ot co jest! prawda! ot co jest! odezwał się kustosz... i ja się ocknąłem.

Koniec.

SPIS RZECZY.

Obrazy litewskie.

Pamiętniki Kwestarza.

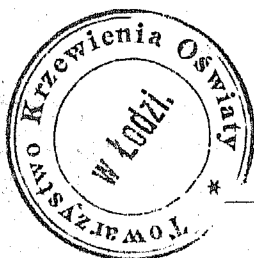
Stron.

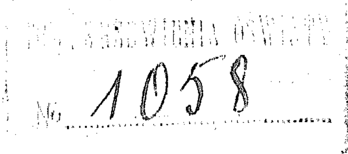
Obrazy litewskie.

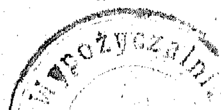
Stron.

Nowe pamiętniki Kwestarza.

CZĘŚĆ DRUGA.


Towarzystwo Krzewienia Oświaty
w Łodzi.


№ 1058


Wypożyczalni

[illegible]